STEPHEN

KING

TO

ALBATROS

Film w kinach.

NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCA POWIEŚĆ KRÓLA GROZY. DOCENIONA PRZEZ MILIONY CZYTELNIKÓW NA CAŁYM ŚWIECIE.

Ciebie też porwie.

la dzieci miasteczko Derry jest całym światem. Dla dorosłych, którzy zawsze wiedzą wszystko najlepiej, to po prostu rodzinne miasto – swojskie, porządne, idealne do życia. Ale to dzieci widzą – i czują – co tak strrrasznie różni Derry od innych miejsc. W kanałach miasteczka zalęgło się TO. Bliżej nieokreślone, przybiera najróżniejsze postacie – klauna, ogromnego ptaszyska, głosu w rurach. Poluje na dzieci. Tylko dzieci potrafią dostrzec TO. I to one stają do walki z potworem.

Mijają lata, dzieci opuszczają rodzinne miasto. Zgroza i potworności trwają głęboko pogrzebane i przykryte całunem

zapomnienia... Dopóki już jako dorośli nie zostaną wezwani, by raz jeszcze stanąć do walki z TO, które miota się w zakamarkach ich pamięci, zamieniając dawne koszmary w przerażającą rzeczywistość.

W 1990 roku na podstawie ***To*** nakręcono serial telewizyjny. Na adaptację kinową przyszło czekać prawie 30 lat. Reżyser Andres Muschietti zdecydował się na podzielenie akcji na dwa filmy. Pierwszy, który wszedł na ekrany w 2017 roku, przedstawia historię dzieci. W drugim, z gwiazdorską obsadą – m.in. Jessica Chastain, James McAvoy i Bill Skarsgärd – pojawiają się one już jako dorośli. Premiera ***To: Rozdział 2*** już 6 września 2019 roku!

STEPHEN

KING

Z angielskiego przełożył
Robert Lipski

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

STEPHEN KING

Wybitny amerykański pisarz, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book, a w 2015 r. odebrał z rąk prezydenta USA National Medal of Arts. Światową sławę przyniosła mu powieść **Carrie**. Kolejne utwory – powieści, opowiadania i komiksy – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki jak: **Lśnienie**, **Sklepik z marzeniami**, **Bastion**, **Zielona Mila**, **Dolores Claiborne**, **Komórka**, **Uciekinier**, **Czarna bezgwiezdna noc**, **Cujo** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**, na podstawie którego powstał film z Matthew McConaugheyem i Idrisem Elbą w rolach głównych. W 2017 r. swoją premierę miała pierwsza część ekranizacji jednej z kultowych książek Kinga, **To**. Już we wrześniu 2019 r. do polskich kin wejdzie druga część tego świetnie przyjętego przez widzów filmu, pt. **To: Rozdział 2**.

Pod pseudonimem Richard Bachman King opublikował siedem powieści.

Stephen King wciąż szuka nowych wyzwań – w ostatnich latach napisał trylogię kryminalną z detektywem Billem Hodgesem, do której należą książki: **Pan Mercedes**, **Znalezione nie kradzione** i **Koniec warty**.

stephenking.com

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MILA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
CZTERY PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIER
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC
CUJO
PODPALACZKA

ROK WILKOŁAKA
MROCZNA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA
ŁOWCA SNÓW
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA
UNIESIENIE
INSTYTUT

Stephen King, Richard Chizmar
PUDEŁKO Z GUZIKAMI GWENDY

Trylogia PAN MERCEDES

PAN MERCEDES
ZNALEZIONE NIE KRADZIONE
KONIEC WARTY

MROCZNA WIEŻA

ROLAND
(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)

POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROCZNA WIEŻA

Powieści graficzne MROCZNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU
ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY
SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL
PRZYDROŻNY ZAJAZD
CZŁOWIEK W CZERNI

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill

W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O’Nan
TWARZ W TŁUMIE

Tytuł oryginału:
IT

Copyright © Stephen King 1986
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Robert Lipski 2009

Redakcja: Jacek Ring

Opracowanie graficzne okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-757-2

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

CZĘŚĆ I. Poprzedzające cienie
- ROZDZIAŁ 1. Po powodzi (1957)
- ROZDZIAŁ 2. Po festynie (1984)
- ROZDZIAŁ 3. Sześć rozmów telefonicznych (1985)

DERRY: Pierwsze interludium

CZĘŚĆ II. Czerwiec 1958
- ROZDZIAŁ 4. Upadek Bena Hanscoma
- ROZDZIAŁ 5. Bill Denbrough pokonuje diabła (I)
- ROZDZIAŁ 6. Jeden z zaginionych: opowieść z lata 1958
- ROZDZIAŁ 7. Tama w Barrens
- ROZDZIAŁ 8. Pokój George’a i dom przy Neibolt Street
- ROZDZIAŁ 9. Wielkie sprzątanie

DERRY: Drugie interludium

CZĘŚĆ III. DOROŚLI
ROZDZIAŁ 10. Ponowne spotkanie
ROZDZIAŁ 11. Przechadzki
ROZDZIAŁ 12. Trzej nieproszeni goście

DERRY: Trzecie interludium

CZĘŚĆ IV. Lipiec 1958
ROZDZIAŁ 13. Wielka bitwa na kamienie
ROZDZIAŁ 14. Album
ROZDZIAŁ 15. Dymna jama
ROZDZIAŁ 16. Kryzys Eddiego
ROZDZIAŁ 17. Kolejny zaginiony: śmierć Patricka Hockstettera
ROZDZIAŁ 18. Strzał w dziesiątkę

DERRY: Czwarte interludium

CZĘŚĆ V. Rytuał Chüd
ROZDZIAŁ 19. Nocne czuwanie
ROZDZIAŁ 20. Krąg się zamyka
ROZDZIAŁ 21. Pod miastem
ROZDZIAŁ 22. Rytuał Chüd
ROZDZIAŁ 23. Wyjście

DERRY: Ostatnie interludium

EPILOG. Bill Denbrough pokonuje diabła (II)

Przypisy

Bardzo dziękuję za pozwolenie wykorzystania fragmentów utworów objętych prawem autorskim:

My Town by Michael Stanley. © 1983 by Berna Music Co./Michael Stanley Music Co.

The Return of the Exile from Poems by George Seferis. Translation copyright © 1960 by Rex Warner. Reprinted by permission of David R. Godine, Publisher, Inc.

My My Hey Hey by Neil Young and Jeff Blackburn. © 1979 Silver Fiddle. Used by permission of Warner Bros. Ltd. All rights reserved.

Paterson by William Carlos Williams. Copyright © 1946, 1948, 1949, 1951, 1958. Copyright © Florence Williams, 1963. Reprinted by permission of Penguin Books Ltd.

No Surrender, *Glory Days*, and *Born in the U.S.A.* by Bruce Springsteen. © 1984 Bruce Springsteen. ASCAP. All rights reserved.

I Heard It Through the Grapevine words and music by Norman Whitfield and Barrett Strong. © 1966 Jobette Music Co., Inc. Used by permission. International copyright secured. All rights reserved.

The Rubberband-Man by Tom Bell and Linda Creed. © 1976 Mighty Three Music. Administered and reprinted by kind permission of Island Music Ltd.

Splish Splash by Bobby Darin and Jean Murray. © 1958 Unart Music Corp. © renewed 1986 CBS Catalogue Partnership. All rights controlled and administered by Good Music Ltd. All rights reserved. International copyright secured. Used by permission.

Books of Blood, Volume I by Clive Barker. Copyright © 1984. Reprinted by permission of Sphere Books Ltd.

Summertime Blues by Eddie Cochran and Jerry Capeheart. © 1958 Warner-Tamerlane Publishing Corp., Rightsong Music, Elvis Presley Music and Gladys Music. Used by permission of Intersong Music Ltd. All rights reserved.

Earth Angel. © 1954, renewal 1982 by Dootsie Williams Publications. Recorded by the Penguins, Dootone Records.

Do-Re-Mi by Richard Rodgers and Oscar Hammerstein II. Copyright © 1959 by Richard Rodgers and Oscar Hammerstein II. Williamson Music Co., owner of publication and allied rights throughout the Western Hemisphere and Japan. International copyright secured. All rights

reserved. Used by permission of Williamson-Music Ltd. London.

Mean Streets, a film by Martin Scorsese. © 1973 Warner Bros. Inc. All rights reserved.

Don't It Make You Wanta Go Home by Joe South. Copyright © 1969 by Lowery Music Co., Inc., Atlanta, GA. International copyright secured. All rights reserved. Used by permission.

Here's to the State of Richard Nixon by Phil Ochs. © Barricade Music Inc. Used with permission of Warner Bros. Ltd. All rights reserved.

Whole Lot of Shakin' Goin' On by David Curlee Williams. Used by permission.

Rock and Roll is Here to Stay by David White. Published by Golden Egg Music/Singular Music. By permission of American Mechanical Rights Agency Inc.

Bristol Stomp words and music by Kal Mann and Dave Appell. © 1961 Kalmann Music, Inc.

It's Still Rock and Roll to Me by Billy Joel. © 1980 Impulsive Music/CBS Songs Ltd. Used by permission.

Light My Fire words and music by The Doors. © 1967 Doors Music Company. All rights reserved. Used by permission.

My Toot Toot by Sidney Simien. © 1985 Flat Town Music Company and Sid-Sim Publishing Company. All rights reserved. Used by permission. *Tutti Frutti* by Dorothy La Bostrie and Richard Penniman. © 1955, ATV Music. Used by permission.

Diana by Paul Anka. Copyright © 1957, 1963, renewed 1985 by Spanka Music Corp./Management Agency and Music Publishing, Inc. International copyright secured. All rights reserved. Reproduced by permission.

High School Confidential by Ron Hargrave and Jerry Lee Lewis. By permission of Carlin Music Corp.

Travelogue for Exiles from Collected Poems 1940–1978 by Karl Shapiro. Copyright © 1942 and renewed 1970 by Karl Shapiro. Reprinted by permission of Random House, Inc.

You Got to Lose words and music by Earl Hooker. © Copyright 1969 by Duchess Music Corporation. Rights administered by MCA Music Ltd., London. Used by permission. All rights reserved.

The Girl Can't Help It If the Menfolks Stop and Stare words and music by Robert W. Troup © 1956 Twentieth Century Music Corp., renewed

1984 Robert W. Troup. Assigned 1984 Londontown Music, Inc.

Don't Back Down by Brian Wilson. © 1964 Irving Music, Inc. (BMI). All rights reserved. International copyright secured.

Surfin' U.S.A. music by Chuck Berry, words by Brian Wilson. Copyright © 1958, 1963 by Arc Music Corporation. Reprinted by permission of Jewel Music Co., Ltd., London. All rights reserved.

Sh-Boom (Life Could Be a Dream) by James Keyes, Claude Feaster, Carl Feaster, Floyd F. McRae, and James Edwards. Copyright © 1954 by Progressive Music Publishing Co., Inc. Used by permission of Carlin Music Corporation.

I Knew the Bride When She Used to Rock 'n' Roll by Nick Lowe. © Anglo Rock Inc. Used with permission.

Dedykuję tę książkę moim dzieciom:

NAOMI RACHEL
JOSEPHOWI HILLSTROMOWI
OWENOWI PHILIPOWI

Moja matka i żona nauczyły mnie, jak być mężczyzną.
Dzieci nauczyły mnie, jak być wolnym.

Dzieci, fikcja to prawda ukryta w jądrze kłamstwa,
a prawdę tę można wyrazić bardzo prosto:
magia istnieje.

S.K.

To stare miasto było tu, odkąd sięgam pamięcią,
I pozostanie, nawet kiedy mnie już zabraknie,
East Side, West Side, rozejrzyj się uważnie wokoło,
Gryziesz ziemię od spodu, ale to nic,
Bo jesteś teraz cząstką moich kości.

The Michael Stanley Band

Stary druhu, czego szukasz?
Wróciłeś po tylu latach
w poszukiwaniu ułudy, którą hołubiłeś
pod obcym nieboskłonem
z dala od swego rodzinnego kraju.

George Seferis

Z błękitu w czerń.

Neil Young

CZĘŚĆ I
Poprzedzające cienie

Zaczęli!
Osiągane są istne szczyty
doskonałości
Kwiat rozkłada w słońcu swe
kolorowe
płatki szeroko
Ale języczek pszczoły ich nie dotyka
Pogrążają się na powrót w ile,
krzycząc
Możesz nazwać krzykiem to
co je wówczas ogarnia
owe dreszcze
przeszywające je

kiedy więdną i zanikają
William Carlos Williams, *Paterson*

Urodzony w Mieście Umarłego
Bruce Springsteen

ROZDZIAŁ 1
Po powodzi (1957)

1

Z tego, co wiem, koszmar, który nie miał się zakończyć przez całe dwadzieścia osiem lat (jeżeli w ogóle się skończył), zaczął się od małej łódki zrobionej z gazety i puszczonej w rynsztoku. Okręcik zakołysał się na wodzie, uniósł się, ominął dzielnie zdradzieckie wiry i kontynuował swój rejs przez Witcham Street w stronę świateł przy skrzyżowaniu Witcham i Jackson. Tego jesiennego popołudnia 1957 roku światła na skrzyżowaniu oraz te w domach były wyłączone. Padało przez cały tydzień, a dwa dni temu do ulewy dołączyła jeszcze silna wichura. Od tej pory w większej części Derry zabrakło światła i jak dotąd stan ten się nie zmienił.

Mały chłopiec w żółtej kurtce i czerwonych kaloszach biegł radośnie obok gazetowego okręcika. Deszcz nie przestał padać, ale nieco osłabł. Nareszcie. Wielkie krople bębniły w żółty kaptur nieprzemakalnej kurtki chłopca, a odgłos ten przypominał mu dudnienie deszczu o dach szopy… Lubił ten dźwięk. Chłopiec nazywał się George Denbrough. Miał sześć lat. Jego brat William, znany dzieciom ze szkoły podstawowej w Derry (oraz nauczycielom, którzy jednak nigdy nie zwróciliby się do niego w ten sposób) jako Bill Jąkała, leżał w łóżku, pokasłując, złożony fatalną grypą, która na szczęście powoli zaczynała już mijać. Tej jesieni 1957 roku, osiem miesięcy przed rozpoczęciem prawdziwego koszmaru, dwadzieścia osiem lat przed ostatnią jego odsłoną. Bill miał dziesięć lat.

To Bill zrobił okręcik, obok którego biegł teraz George. Zrobił go, siedząc na łóżku oparty plecami o stos poduszek, podczas gdy ich matka grała w salonie na fortepianie *Dla Elizy*, a deszcz bębnił nieustannie o szyby okna sypialni. Mniej więcej na wysokości trzech czwartych ulicy w stronę skrzyżowania i wyłączonych świateł Witcham Street była zablokowana dla ruchu przez grudy błota i cztery pomalowane na pomarańczowo drewniane kozły. Na każdym

z nich widniał napis: DEPARTAMENT ROBÓT PUBLICZNYCH DERRY. Za nimi można było dostrzec wydobyte z kanałów przez deszcz gałęzie, kamienie i wielkie, lepkie sterty jesiennych liści. Woda z początku poczynała sobie ostrożnie, dopiero na trzeci dzień zaczęła przebierać miarę. Do południa czwartego dnia przez skrzyżowanie Jackson i Witcham zaczęły przepływać odwalone kawałki asfaltu, przypominające maleńkie tratwy pośród strumieni białej, spienionej wody. Do tego czasu wielu ludzi w Derry już opowiadało nerwowe dowcipy o budowie arki. Departament Robót Publicznych zdołał utrzymać Jackson Street otwartą, ale Witcham była nieprzejezdna od kozłów aż do centrum miasta.

Wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że najgorsze już minęło. Poziom Kenduskeag w Barrens obniżył się znacznie i sięgał parę cali poniżej cementowych brzegów kanału, przepływając przez centrum miasta. Teraz więc grupka mężczyzn – a pośród nich również Zack Denbrough, ojciec George’a i Billa – zaczęła usuwać worki z piaskiem, którymi dzień wcześniej w pośpiechu obłożono brzegi kanału. Jeszcze wczoraj podwyższenie stanu wód, a co za tym idzie fala powodzi, wydawały się niemal

nieuniknione. Bóg wiedział, że to już się przytrafiło w 1931 roku. Katastrofa, która wówczas nastąpiła, kosztowała miliony dolarów i prawie dwa tuziny istnień ludzkich. To było dawno temu, ale wciąż jeszcze żyło sporo ludzi, którzy pamiętali owo wydarzenie wystarczająco dobrze, aby wystraszyć pozostałych. Jedną z ofiar powodzi znaleziono dwadzieścia pięć mil na wschód, w Bucksport. Ryby zeżarły nieszczęśnikowi oczy, trzy palce, penisa oraz większą część lewej stopy. W rękach, a właściwie w tym, co z nich pozostało, ściskał kurczowo kierownicę forda.

Teraz jednak poziom wody opadał, a kiedy w górze rzeki ruszy nowa hydroelektrownia z tamą, problem w ogóle zniknie. Tak w każdym razie twierdził Zack Denbrough, który pracował dla Bangor Hydroelectric. Nie było sensu martwić się przyszłymi powodziami. Należało przetrwać obecną, przywrócić miastu prąd, a potem zapomnieć o wszystkim. W Derry zapominanie o tragediach i katastrofach było nieomal sztuką, o czym Bill Denbrough dowie się z czasem.

George zatrzymał się tuż za drewnianymi kozłami, na skraju głębokiej szczeliny wyrwanej z asfaltowej nawierzchni Witcham Street. Biegła

ona niemal dokładnie ukośnie. Kończyła się po drugiej stronie ulicy, nieco na prawo, około czterdziestu stóp w dół wzgórza od miejsca, w którym się teraz znajdował. Roześmiał się w głos – radosny, samotny śmiech dziecka rozjaśnił nieco szarość tego ponurego popołudnia, podczas gdy prąd płynącej wody wprowadził jego papierowy okręcik na serię małych katarakt tworzonych przez wyrwy w asfalcie. Rwąca woda żłobiła kanał, który biegł wzdłuż ukośnej szczeliny, toteż okręcik zaczął przepływać z jednej strony Witcham na drugą, a prąd niósł go tak szybko, że George musiał podbiec, aby za nim nadążyć. Woda bryzgała spod jego kaloszy błotnistymi strumieniami. Ich zapięcia brzęczały radośnie, podczas gdy George Denbrough biegł na spotkanie swojej dziwnej śmierci.

Uczuciem, które go w tej chwili przepełniało, była czysta i prosta miłość do brata, do Billa… miłość i żal, że Bill nie mógł tu być, aby to zobaczyć i stać się tego częścią. Oczywiście spróbuje mu to opisać, kiedy wróci do domu, ale wiedział, że nie zdoła zrobić tego tak obrazowo, jak by to zrobił Bill, gdyby był na jego miejscu. Bill był dobry w czytaniu i pisaniu, ale nawet sześcioletni George wiedział, że jego brat zbierał

same piątki nie tylko z tego powodu i nie tylko dlatego, że nauczyciele lubili jego styl. Bill nie dość, że świetnie opowiadał, to na dodatek był doskonałym obserwatorem.

Okręcik przemknął śmiało wzdłuż kanału biegnącego po przekątnej i chociaż zbudowano go ze strony wyrwanej z lokalnej gazety, George wyobrażał sobie, że to prawdziwy okręt marynarki wojennej z jednego z filmów wojennych, które czasami oglądał z Billem na sobotnich seansach filmowych. Z filmu, w którym John Wayne walczył z Japońcami. Spod dziobu okrętu trysnęły strugi wody, kiedy przyspieszył, a potem dotarł do rynsztoka, po lewej stronie Witcham Street. W tym miejscu świeży strumień spływający po wyrwie w asfalcie tworzył spory wir i chłopiec miał wrażenie, że okręcik musi się tu przewrócić i zatonąć. Papierowa jednostka przechyliła się na bok, a kiedy powróciła do pionu, na twarzy George'a pojawił się radosny uśmiech. Okręcik popłynął dalej, w stronę skrzyżowania. George pobiegł za nim. Nad jego głową szumiał październikowy wiatr, przemykając pośród gałęzi drzew niemal całkiem pozbawionych już – wskutek wichury – brzemienia różnokolorowych

liści. O tak, w tym roku wiatr był bezwzględnym i surowym żniwiarzem.

2

Siedząc na łóżku, Bill skończył okręcik, ale kiedy George sięgnął po niego, brat odsunął go.

– Teraz daj mi p-p-parafinę.

– Co to jest? Gdzie to jest?

– W p-p-piwnicy n-na d-dole – rzekł Bill. – W p-pudełku z napisem „G-g-gulf”. Przynieś mi to i nóż, i m-miseczkę. I p-pudełko z-z-zapałek.

George posłusznie poszedł po żądane przedmioty. Słyszał, jak matka nadal gra na fortepianie – tym razem nie *Dla Elizy*, lecz coś, co nie podobało mu się tak bardzo – a deszcz nadal brzdąkał miarowo o szyby. Uważał te odgłosy za przyjemne, ale schodzenie do piwnicy wcale nie było miłe. Ani trochę. Nie lubił piwnicy ani schodzenia do niej po schodach, bo zawsze wyobrażał sobie, że tam, na dole, w ciemnościach, coś na niego czyha. Rzecz jasna, to głupio tak myśleć – co zgodnie twierdzili jego ojciec, matka, a nawet Bill – ale pomimo wszystko… Nie lubił nawet otwierać drzwi, aby włączyć światło, bo zawsze mu się zdawało (a to było już zupełnie irracjonalne, więc nie zwierzył się z tego absolutnie nikomu), że kiedy sięgnie

w stronę kontaktu, jakaś potworna, zakończona szponami łapa wciągnie go w tę ciemność cuchnącą kurzem, wilgocią i zapachem gnijących warzyw.

Bzdura! Istoty o palcach zakończonych szponami, pokryte futrem i przepełnione żądzą mordu nie istnieją! Zdarzały się wypadki, kiedy ktoś dostawał ataku morderczego szału i zabijał parę osób – o takich rzeczach opowiadał czasem Chet Huntley w *Wiadomościach* – no i rzecz jasna istnieli też komuniści, ale w ich piwnicy na pewno nie mieszkał żaden niezwykły i krwiożerczy potwór. Mimo to zawsze było tak samo. W tych trwających bez końca chwilach, kiedy sięgał w stronę kontaktu prawą ręką (lewa zaciskała się kurczowo na framudze), woń z piwnicy zdawała się przybierać na sile i wypełniać cały świat. Zapachy kurzu, wilgoci i dawno zgniłych warzyw mieszały się z sobą, tworząc jedyny w swoim rodzaju odór – odór potwora, apoteozę wszystkich potworów. To była woń czegoś, co nie miało nazwy, woń tego skulonego, przyczajonego w ciemności i gotowego do skoku stwora, który przełknąłby wszystko, ale największą ochotę ma zawsze na świeże dziecięce mięso.

Tego ranka George otworzył drzwi i sięgnął ręką do przełącznika (co trwało w nieskończoność), jak zwykle trzymając się lewą ręką framugi i zaciskając mocno powieki. Koniuszek języka wystawał mu z kącika ust jak usychający korzeń, który szuka wody na pustyni. Zabawne? Pewno. Oczywiście, że tak. Patrzcie na George'a! George boi się ciemności! Smarkacz!

Z pomieszczenia, które ojciec nazywał pokojem, a matka salonem, dochodziły dźwięki fortepianu. Brzmiały jak muzyka z innego, odległego świata. Palce odnalazły włącznik światła. Ach!

Przekręcił go. I nic. Ciemność. Kurczę. Nie ma prądu! George cofnął rękę tak gwałtownie, jakby wsadził ją do koszyka pełnego węży. Uciekł od otwartych drzwi piwnicy, a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Nie było światła – to jasne – zapomniał, że nie było światła. O Jezu! I co teraz? Wrócić i powiedzieć Billowi, że nie znalazł pudełka z parafiną, bo nie ma światła, a poza tym bał się, że coś mogłoby go złapać, gdyby schodził po schodach – coś gorszego niż psychopatyczny morderca czy komuniści – istota o wiele groźniejsza i zabójcza? To coś mogłoby wysunąć swoją oślizgłą, gnijącą część niczym mackę przez szczelinę pomiędzy stopniami schodów

i schwycić go za kostkę. Bo przecież mogłoby. A może nie? Inni może by się z tego śmiali, ale nie Bill. Nie on. Bill by się wkurzył. Powiedziałby: „Dorośnij, George… chcesz okręcik czy nie?”.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli z sypialni dobiegł głos Billa.

– U-u-umarłeś t-tam, G-george?

– Nie, zaraz przyniosę, Bill – odparł natychmiast.

Zatarł dłońmi ramiona, żeby usunąć z nich gęsią skórkę i żeby znów zrobiły się gładkie.

– Po prostu zatrzymałem się, żeby się napić wody.

– To się p-p-pospiesz!

Zszedł cztery stopnie, serce biło mu w piersi jak młot, włosy zjeżyły się na karku, oczy miał rozszerzone, przepełnione zgrozą, dłonie zimne jak lód, a w głębi duszy czuł, że lada moment drzwi się zamkną, odcinając go od białego światła płynącego z okna kuchni, a potem usłyszy To, coś gorszego niż wszyscy komuniści i mordercy razem wzięci, gorszego niż Japońcy, gorszego niż Hun Attyla, a nawet setka filmów grozy połączonych w jeden.

To ryknie gardłowo – a on usłyszy ten warkot i ryk na parę szalonych sekund przedtem, nim To rzuci się na niego i wypruje mu flaki.

Odór piwnicy był dziś ze względu na powódź gorszy niż kiedykolwiek. Ich dom znajdował się niemal na szczycie wzgórza przy Witcham Street i udało im się dzięki temu uniknąć najgorszego, ale w miejscach, gdzie pośród starych fundamentów nastąpił przeciek, nadal stały kałuże wody. Woń była ostra i nieprzyjemna – tak że musiał oddychać bardzo płytko. George, najszybciej jak mógł, przejrzał stos gratów na półce. Stare pudełka z pastą Kiwi, szmaty do czyszczenia butów, zbita lampa naftowa, prawie pusta butelka windeksa, stara, płaska puszka wosku „Żółw".

Z jakiegoś powodu ta puszka przykuła jego uwagę i niemal przez pół minuty wpatrywał się jak zahipnotyzowany w wizerunek żółwia na wieczku. Potem odłożył ją na półkę… i wreszcie znalazł małe kwadratowe pudełko z napisem „Gulf". Schwycił je i pędem wbiegł po schodach, nagle zdając sobie sprawę, że skrawek koszuli wysunął mu się ze spodni, a to może przyczynić się do zguby. Istota z piwnicy pozwoli mu przebyć prawie całą drogę na górę, a potem złapie go za ten skrawek materiału i szarpnie z całej siły do tyłu… Wpadł do kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi. Huknęły gwałtownie. Oparł się o nie plecami, miał zamknięte oczy, pot wystąpił

mu na ręce i czoło, dłoń zaciskała się kurczowo na pudełku z parafiną. Fortepian ucichł i chłopiec usłyszał głos swojej mamy.

– George, czy mógłbyś następnym razem zamykać drzwi trochę głośniej? Może wtedy uda ci się stłuc parę talerzy w kuchni, tylko musisz się dobrze postarać.

– Przepraszam, mamo! – krzyknął.

– George, ty niezdaro – rzucił Bill ze swojej sypialni. Powiedział to cicho, żeby matka nie mogła go usłyszeć.

George zachichotał. Jego strach zniknął – opuścił go tak łatwo, jak koszmar opuszcza człowieka, który się budzi skostniały i zdyszany, który czuje swoje ciało i rozgląda się wokoło, aby się upewnić, że nic, o czym śnił, nie zdarzyło się naprawdę, a potem z miejsca zaczyna o tym zapominać. Zanim jego stopy dotkną podłogi, niepamięć ogarnia już połowę jego sennej zmory; kiedy wyjdzie spod prysznica i zacznie wycierać się ręcznikiem, dojdzie do trzech czwartych, a zanim skończy śniadanie, zapomni wszystko. Aż do następnego razu, kiedy w uścisku koszmaru przypomni sobie swoje lęki. Ten żółw, zastanawiał się George, podążając w stronę szuflady w szafce, gdzie trzymano zapałki. Gdzie ja wcześniej widziałem tego żółwia?

Ale nie uzyskał odpowiedzi i zbył pytanie milczeniem. Wyjął z szuflady pudełko zapałek, wziął nóż z przegródki (trzymając ostrze przezornie z dala od ciała, tak jak go uczył tata) i małą miseczkę z kredensu w jadalni. Potem udał się z powrotem do sypialni Billa.

– A-ale z ciebie d-dupek, G-george – powiedział Bill łagodnym tonem i odsunął na bok niektóre z przedmiotów i medykamentów znajdujących się na jego nocnym stoliku, pustą szklankę, dzbanek z wodą, chusteczki do nosa, książki, butelkę vicks vapo rub, która towarzyszyła mu zawsze, kiedy był chory albo choćby miał katar. Wiedział, że nigdy nie zapomni tego zapachu. Było tam też radio, stare Philco, ale nie płynęły z niego dźwięki muzyki Chopina czy Bacha, tylko jednej z piosenek Little Richarda… głos był przyciszony i mogło się zdawać, że Little Richard został do reszty obdarty ze swej mocy. Ich matka, która studiowała pianistykę w klasie fortepianu, nie cierpiała rock and rolla. Nie tylko nie lubiła – po prostu go nienawidziła.

– Nie jestem dupkiem – rzekł George, siadając na skraju łóżka Billa i kładąc przyniesione rzeczy na nocnym stoliku.

– Jesteś – odparł Bill – wielkim dupkiem z wielką brązową dziurą. To właśnie ty.

George próbował sobie wyobrazić dzieciaka, który był jedną wielką dupą na nogach, i zachichotał.

– Masz dziurę w tyłku większą niż Augusta – powiedział Bill i też zaczął chichotać.

– A ty większą niż cały stan – odparł George. Później zapanowała blisko dwuminutowa cisza.

Kiedy wreszcie znów zaczęli rozmawiać, mówili szeptem i była to rozmowa, która znaczy bardzo niewiele dla każdego prócz dwóch małych chłopców. Kłócili się, kto jest większym dupkiem, kto ma większy tyłek i bardziej brązową dziurę i tak dalej. W końcu Bill powiedział jedno z zakazanych słów, oskarżając George'a, że jest wielkim zasranym dupkiem, i obaj wybuchnęli radosnym śmiechem. Śmiech Billa zmienił się w kaszel. Kiedy się w końcu uspokoił (a jego twarz – ku przerażeniu George'a – nabrała śliwkowego odcienia), fortepian znów przestał grać. Obaj spojrzeli w kierunku salonu w przekonaniu, że klapa fortepianu lada chwila zostanie zamknięta, a w korytarzu rozlegną się kroki mamy. Bill zakrył usta ręką, tłumiąc kaszel i jednocześnie

pokazując w stronę dzbanka. George nalał szklankę wody, a jego brat wypił ją do dna.

Fortepian znów zaczął grać – ponownie *Dla Elizy*. Bill Jąkała nigdy nie zapomniał tego utworu i nawet po latach wywoływał on u niego gęsią skórkę. W takich chwilach miał wrażenie, że jego serce przestaje bić, i przypominał sobie: Moja matka to grała w dniu, kiedy umarł George.

– Będziesz jeszcze kaszlał, Bill?

– Nie.

Bill wyjął z pudełka chusteczkę higieniczną, chrząknął, splunął w nią flegmą, zmiął ją w kulkę i wrzucił do kosza na śmieci stojącego przy łóżku, w którym znajdowało się już wiele podobnych kulek. Potem otworzył pudełko z parafiną i odwróciwszy je, wyłożył zawartość na dłoń. George przyglądał mu się z uwagą, ale nic nie mówił ani o nic nie pytał. Bill nie lubił, jak brat mu przeszkadzał, ale George wiedział, że jeżeli tylko będzie trzymał język za zębami, brat i tak wszystko mu wyjaśni. Zwykle tak postępował.

Bill odkroił nożem mały kawałek parafiny, włożył go do miseczki, a potem położył na wierzch parafiny zapaloną zapałkę. Obaj chłopcy patrzyli na mały żółty płomyczek, podczas gdy słabnący wiatr raz po raz chłostał deszczem okno.

– Trzeba zaimpregnować okręcik, w przeciwnym razie przesiąknie i zatonie – wyjaśnił Bill.

Kiedy był z George'em, jąkał się rzadko lub wcale. W szkole jednak bywało czasem tak kiepsko, że w ogóle nic nie mógł z siebie wykrztusić. Nie umiejąc się z nim porozumieć, koledzy odchodzili, podczas gdy Bill, ściskając dłońmi krawędź stołu, z twarzą niemal równie czerwoną jak włosy i oczyma zmienionymi w szparki, próbował coś powiedzieć. Nieraz mu się udawało, kiedy indziej zaś ponosił klęskę. Gdy miał trzy lata, został potrącony przez samochód i siła uderzenia rzuciła go na ścianę budynku. Był nieprzytomny przez siedem godzin. Matka powiedziała, że to przez ten wypadek zaczął się jąkać. George czasami miał wrażenie, że ojciec – a nawet sam Bill – w to nie wierzyli.

Kawałek parafiny prawie całkiem się roztopił. Płomień zapałki przygasał, dochodząc do końca kartonowego patyczka, robił się niebieski, aż w końcu zniknął zupełnie. Bill zanurzył koniec palca w miseczce i wyjął go z cichym syknięciem. Uśmiechnął się przepraszająco do George'a.

– Gorące – powiedział.

Parę sekund później powtórzył tę czynność i zaczął rozsmarowywać parafinę wzdłuż boków

okręcika, gdzie szybko zastygła, tworząc mlecznobiałe grube pasma.

– Mogę? – spytał George.

– Dobrze. Tylko nie poplam któregoś z koców, bo mama by cię zabiła.

George zanurzył palec w parafinie, która była dosyć ciepła, ale już nie gorąca, i zaczął smarować nim papierową łódeczkę.

– Nie tak dużo, dupku – powiedział Bill. – Chcesz, żeby zatonęła podczas dziewiczego rejsu?

– Przepraszam.

– Już dobrze. Rób d-dalej. S-spokojnie.

George skończył drugą stronę, a potem uniósł okręcik w dłoniach. Wydawał się trochę cięższy, ale nie za bardzo.

– Świetnie – ucieszył się. – Wyjdę i puszczę go na wodę.

– Tak. Zrób to – powiedział Bill. Nagle zaczął sprawiać wrażenie zmęczonego i nadal dręczonego chorobą.

– Chciałbym, żebyś mógł pójść ze mną – oznajmił George. Naprawdę tak było. Bill czasami bywał nieznośny, ale zawsze miał najlepsze pomysły i nigdy się nie mylił. – To przecież twoja łódka.

– „Twój”, a nie „twoja” – poprawił go Bill. – Bo to jest okręcik.

– Twój.

– Ja też bym chciał pójść z tobą – odparł ponuro Bill.

– Cóż… – George przestąpił z nogi na nogę, ściskając w dłoni okręcik.

– Nałóż coś od deszczu – rzucił Bill – bo w przeciwnym razie złapiesz grypę jak ja. Najprawdopodobniej i tak się zarazisz. Ode mnie.

– Dzięki, Bill. To świetny okręcik. – I zrobił coś, czego nie robił od dawna, a czego Bill nigdy nie zapomniał: pochylił się i pocałował brata w policzek.

– Teraz to już na pewno złapiesz grypę, ty dupku – powiedział, ale mimo wszystko wyglądał na zadowolonego. Uśmiechnął się do George'a. – I odłóż to wszystko na miejsce, bo się mama wścieknie.

– Pewno. – Zabrał przyniesione rzeczy i przeszedł przez pokój z okręcikiem na wierzchu pudełka z parafiną.

– G-g-george?

George odwrócił się, aby spojrzeć na brata.

– B-bądź ostrożny.

– Pewno.

Jego czoło zmarszczyło się nieznacznie. To było coś, co zwykle mówiła mama, a nie starszy brat. Równie dziwne wydało mu się to, że

pocałował Billa w policzek. Nie robił tego już od dawna.

– Pewno, że tak.

I wyszedł. Billy nie zobaczył go już nigdy więcej.

3

I teraz tutaj gonił za okręcikiem. Biegł szybko, ale woda była szybsza i okręcik mocno go wyprzedził. Usłyszał głośny szum i zobaczył, że pięćdziesiąt jardów dalej w dół zbocza woda z rynsztoka wpływała kaskadą do kanału, który wciąż jeszcze pozostał otwarty. Był to duży, ciemny półokrąg wycięty w zakręcie drogi i podczas gdy George patrzył, naga gałąź o ciemnej i błyszczącej jak skóra foki korze wpadła do paszczy otworu kanału. Zawisła tam na chwilę, a potem ześlizgnęła się na dół. Właśnie tam zmierzał jego okręcik.

– Rany koguta! – krzyknął przerażony.

Przyspieszył i przez chwilę wydawało mu się, że dogoni okręcik. Nagle poślizgnął się i upadł, rozbijając sobie kolano i wydając głośny, piskliwy okrzyk bólu. Z nowej, nieomal horyzontalnej perspektywy patrzył, jak jego łódeczka okręca się dwa razy wokół osi, wpada w kolejny wir, a potem znika.

– Rany koguta! – krzyknął ponownie i uderzył pięścią w chodnik. To też zabolało i zaczął z cicha pochlipywać. Co za głupi sposób, aby stracić taki okręcik! Wstał i podszedł do wylotu kanału. Ukląkł i zajrzał do środka. Woda, wpadając w mrok, wydawała głuchy i nieprzyjemny odgłos. To był straszny odgłos. Przypominał mu…

– Ha! – Ten dźwięk sprawił, że poderwał się jak marionetka szarpnięta za sznurki i odsunął się gwałtownie do tyłu.

Tam w dole dostrzegł parę ślepi – ślepi, jakie zawsze sobie wyobrażał, ale jakich nigdy nie widział w piwnicy. To zwierzę, przyszło mu nagle na myśl. To tylko jakieś zwierzę. Może kot, który się zabłąkał… Mimo to nadal był gotów do ucieczki, uciekłby, gdyby jego umysł nie poradził sobie z szokiem, jakiego doznał na widok tych świecących ślepi. Poczuł pod palcami szorstką powierzchnię asfaltu i rozlewającą się wokół niego cieniutką warstewkę wody. Zobaczył samego siebie wstającego i odchodzącego, kiedy nagle usłyszał głos wydobywający się z kanału. Ten głos zwracał się do niego. Brzmiał pewnie i jakby dość ciepło.

– Cześć, George – odezwał się głos.

George zamrugał i ponownie spojrzał w głąb kanału. Niemal nie uwierzył własnym oczom –

to, co zobaczył, przypominało scenę z bajki albo filmu, w którym zwierzęta mówią ludzkim głosem i tańczą. Gdyby był dziesięć lat starszy, nie uwierzyłby w to, ale nie miał szesnastu lat, tylko sześć.

W kanale znajdował się klown. Pomimo kiepskiego oświetlenia George Denbrough zdawał sobie sprawę, co widzi. To był klown, jak w cyrku i telewizji. Prawdę mówiąc, wyglądał jak skrzyżowanie Boza i Clarabella, który (czy która – George nigdy nie wiedział, jakiej oni byli płci) mówił przez specjalną tubkę w sobotnich porankach – Buffalo Bob był chyba jedynym, który rozumiał Clarabella, a to zawsze doprowadzało George'a do pasji.

Twarz klowna w kanale bielała, po obu stronach łysej czaszki sterczały zabawne kępki rudych włosów, a na ustach widniał wielki namalowany uśmiech. Gdyby George mieszkał tu rok później, na pewno pomyślałby najpierw o Ronaldzie McDonaldzie zamiast o Bozie lub Clarabellu. Klown trzymał w jednej dłoni pęk kolorowych balonów niczym olbrzymią kiść dojrzałych owoców, a w drugiej ręce papierowy okręcik George'a.

– Chcesz swój okręcik, George? – Klown się uśmiechnął.

George odpowiedział mu uśmiechem. Nie mógł nic na to poradzić – był to jeden z tych uśmiechów, na które po prostu musisz zareagować.

– Pewno, że tak – odparł.

Klown wybuchnął śmiechem.

– Pewno, że tak. To świetnie! To wspaniale! A co byś powiedział na balonik?

– No… pewno! – Sięgnął ręką… i nagle cofnął ją z wahaniem. – Nie wolno mi niczego brać od obcych. Tak mówi mój tata.

– Twój tata bardzo mądrze mówi – powiedział klown w kanale, wciąż się uśmiechając.

Jak mogłem przypuszczać, że jego oczy były żółte? – zastanawiał się George. Były jasne, jasnoniebieskie, koloru oczu jego mamy i Billa.

– Naprawdę bardzo mądrze. A więc przedstawię ci się. Widzisz, George, ja jestem Pan Bob Gray znany także jako Pennywise, Tańczący Klown. Pennywise, poznaj George’a Denbrough. George, poznaj Pennywise’a. Teraz już się znamy. Nie jestem dla ciebie obcy, tak jak ty nie jesteś obcy dla mnie. Jaasne?

George zachichotał.

– Chyba tak. – Ponownie wyciągnął rękę… i raz jeszcze ją cofnął. – Jak się tam dostałeś?

– Zmiotło mnie tu podczas burzy – odparł klown Pennywise. – Rozwaliło cały cyrk. Czujesz zapach cyrku, George?

George pochylił się do przodu. Nagle poczuł zapach orzeszków ziemnych! Gorących prażonych orzeszków! I octu! I frytek! Czuł zapach waty cukrowej i pączków, a także słaby, ale mimo to wyraźny odór zwierzęcego łajna. Czuł łagodny aromat trocin. I… I przenikający przez to wszystko smród powodzi i rozkładających się liści, i czeluści mrocznych kanałów. Ten smród był wilgotny i zgniły. Odór piwnicy. Ale inne zapachy były silniejsze.

– Oczywiście, że czuję – powiedział.

– Chcesz swój okręcik, George? – spytał Pennywise. – Powtarzam to, bo nie wygląda, żebyś chciał go odzyskać. – Uniósł go, uśmiechając się. Był w workowatym jedwabnym kostiumie z wielkimi pomarańczowymi guzikami-pomponami. Pod szyją zwisała mu jasnoniebieska muszka, a na dłoniach miał olbrzymie białe rękawiczki, podobne do tych, które zawsze noszą Myszka Miki i Kaczor Donald.

– Tak. Pewno – odparł George, spoglądając w głąb kanału.

– I balonik? Mam czerwony, zielony, żółty i niebieski…

– Czy one unoszą się w powietrzu?

– Czy się unoszą? – Uśmiech klowna się rozciągnął. – O tak. Oczywiście. One pływają w powietrzu. Mam jeszcze watę cukrową…

George wyciągnął rękę. Klown schwycił go za przegub.

I chłopiec zobaczył, że twarz klowna zaczyna się zmieniać. To, co ujrzał, było tak straszne, że jego najgorsze wizje dotyczące istoty z piwnicy wydawały się przy tym słodkimi marzeniami; to, co ujrzał, zniszczyło bastion jego zdrowego rozsądku jednym ciosem szponiastej łapy.

– One pływają na wietrze – powiedziała istota w kanale zduszonym, chichotliwym głosem. Trzymała George'a za rękę w mocnym, mackowatym uścisku i ciągnęła go w stronę potwornej ciemności, gdzie woda, pędząc, rycząc i zawodząc jak szalona, niosła swój kamienisty ładunek ku morzu. George odsunął głowę od tej ostatecznej ciemności i zaczął krzyczeć w deszczu, krzyczał opętańczo, wznosząc twarz ku białemu jesiennemu niebu, które pochylało się nad Derry tego jesiennego dnia 1957 roku. Jego okrzyki były ostre i przejmujące; wzdłuż całej Witcham Street ludzie zaczęli wyglądać przez okna i wychodzić na werandy przed domami.

– One pływają w powietrzu – warknęło To. – Pływają, George, i kiedy znajdziesz się tu na dole ze mną, ty też będziesz pływał…

Ramię George'a opierało się na cemencie chodnika i Dave Gardener, który tego dnia ze względu na powódź nie poszedł do pracy, zobaczył tylko małego chłopca w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym, małego chłopca, który krzyczał i wił się w rynsztoku, podczas gdy błotnista woda zalewała mu twarz i sprawiała, że wydawane przez malca odgłosy były stłumione i bulgoczące.

– Tu na dole wszystko unosi się w powietrzu – zachichotała istota, przegniły głos przeszedł w szept i nagle dał się słyszeć odgłos darcia, a potem pojawił się palący, przeraźliwy ból i George Denbrough przestał cokolwiek odczuwać.

Dave Gardener dotarł do niego pierwszy i choć zjawił się tam kilkadziesiąt sekund po jego okrzyku, George Denbrough już nie żył. Gardener schwycił go za kurtkę, odciągnął do tyłu… i sam zaczął krzyczeć, kiedy ciało chłopca obróciło się w jego rękach. Lewa strona kurtki George'a była teraz jasnoczerwona. Krew ściekała do kanału, wypływając ze strzępiastej dziury, gdzie znajdowało się lewe ramię chłopca. Spod

podartego materiału wyłaniała się wypukłość przeraźliwie jasnej kości.

Oczy chłopca patrzące w górę na białe niebo zaczęły wypełniać się kroplami deszczu, podczas gdy Dave Gardener chwiejnym krokiem odszedł na bok, w stronę, z której nadchodzili już inni ludzie, zaalarmowani krzykiem George'a.

4

Gdzieś w dole, w kanałach wypełnionych nieomal do granic możliwości wartko płynącą wodą (tam na dole nie mogło być nikogo, powie później lokalny szeryf reporterowi „Derry News" tonem pełnym frustracji i wściekłości, że niemal wyczuwało się w nim bezsilność i ból; sam Herkules nie dałby sobie rady z tak szybkim i rwącym prądem), gazetowy okręcik George'a płynął pośród spowitych mrokiem nocy pomieszczeń i długich cementowych korytarzy, pośród ryczącej i szumiącej kipieli. Przez pewien czas płynął obok martwego kurczaka, którego żółte szpony mierzyły w ociekające wodą sklepienie; potem, na jednym z rozgałęzień na wschód od miasta kurczak popłynął w lewo, podczas gdy łódeczka George'a pomknęła przed siebie. Godzinę później, gdy matce George'a aplikowano w szpitalu w Derry środki

uspokajające, a Bill Jąkała siedział osłupiały, biały jak płótno i milczący na swoim łóżku, słuchając, jak jego ojciec szlocha w saloniku, gdzie w chwili wyjścia George'a z domu matka grała utwór *Dla Elizy* – okręcik wyprysnął przez cementowy otwór jak kula z lufy rewolweru i spłynął do strumienia bez nazwy. Dwadzieścia minut później znalazł się na spienionych, rwących falach rzeki Penobscot, a wysoko w górze, na niebie, zaczęły się już pojawiać pierwsze smugi błękitu. Burza dobiegła końca.

Okręcik przechylał się, kołysał i czasami nabierał trochę wody, ale nie zatonął. Dwaj bracia doskonale go zaimpregnowali. Nie wiem, dokąd w końcu dotarł, jeżeli w ogóle dopłynął gdzieś dalej – być może znalazł się na morzu i pływa tam po wsze czasy jak magiczny okręt z bajki. Wiem tylko, że po opuszczeniu granic miasta Derry w stanie Maine raźno płynął naprzód, niesiony falą powodzi, i tym samym jego rola w tej opowieści dobiegła końca.

ROZDZIAŁ 2
Po festynie (1984)

1

Później jego szlochający przyjaciel powie glinom, że Adrian nosił tę czapeczkę, ponieważ wygrał ją na stanowisku Pitch Til U Win w lunaparku w Bassey Park sześć dni przed swoją śmiercią. Był z niej dumny.

– Nosił ją, bo kochał to zasrane małe miasto! – wrzasnął jego bliski „przyjaciel” Don Hagarty do policjantów.

– Spoko, spoko, bez takich wyrazów, proszę – rzekł do Hagarty’ego funkcjonariusz Harold Gardener.

Harold Gardener był jednym z czterech synów Dave’a Gardenera. W dniu, kiedy jego ojciec odnalazł jednorękie zwłoki

George’a Denbrough, Harold Gardener miał pięć lat.

Tego dnia, blisko dwadzieścia siedem lat później, miał trzydzieści dwa lata i sporą łysinkę. Harold Gardener zdawał sobie sprawę z żalu i bólu trawiącego Dona Hagarty’ego, a jednocześnie nie potrafił traktować go serio. Ten facet – jeżeli w ogóle zasługiwał na miano faceta – miał mocno uszminkowane usta i satynowe obcisłe spodnie. Pogrążony w smutku i żalu, ale bądź co bądź ciota. Podobnie jak jego zmarły przyjaciel, świętej pamięci Adrian Mellon.

– Powtórzymy to jeszcze raz – powiedział partner Harolda, Jeffrey Reeves. – Obaj wyszliście z Falcona i ruszyliście w stronę kanału. Co było dalej?

– Ile razy mam wam to powtarzać, matoły?! – Hagarty wciąż krzyczał. – Oni go zabili! Zepchnęli go z nabrzeża! Jeszcze jeden dzień, w którym mogli się wykazać swoją siłą! – Don Hagarty zaczął płakać.

– Jeszcze raz – powtórzył cierpliwie Reeves. – Wyszliście z Falcona. I co dalej?

2

W pokoju przesłuchań na końcu korytarza dwaj gliniarze z Derry rozmawiali ze Steve’em

Dubayem (lat siedemnaście); w biurze kuratora na piętrze dwóch kolejnych zajmowało się Johnem „Webbym” Gartonem (lat osiemnaście), a w biurze szefa policji na czwartym piętrze szef Andrew Rademacher i zastępca prokuratora okręgowego Tom Boutillier przesłuchiwali piętnastoletniego Christophera Unwina. Unwin, który nosił sprane dżinsy, wysmarowany podkoszulek i robocze buty, płakał. Rademacher i Boutillier zajęli się nim, bo uznali – i słusznie – że jest najsłabszym ogniwem w całym łańcuchu.

– Powtórzymy to sobie jeszcze raz – rzekł Boutillier, podczas gdy dwa piętra niżej Jeffrey Reeves mówił dokładnie to samo.

– Nie chcieliśmy go zabić – wymamrotał Unwin. – To ta jego czapka. Nie mogliśmy uwierzyć, że nadal ją nosi po tym, co Webby powiedział mu ostatnim razem. I chcieliśmy go wystraszyć.

– Za to, co powiedział – wtrącił Rademacher.

– Tak.

– Johnowi Gartonowi, po południu siedemnastego.

– Tak. Webby’emu. – Unwin ponownie wybuchnął płaczem. – Ale próbowaliśmy go uratować, kiedy zobaczyliśmy, że ma kłopoty…

w każdym razie ja i Stevie Dubay… nie chcieliśmy go zabić!

– Nie pierdol, Chris, daj spokój – powiedział Boutillier. – Wrzuciliście tego pedała do kanału.

– Tak, ale…

– I wszyscy trzej zgłosiliście się tu sami. Doceniamy to, prawda, Andy?

– Pewno. Trzeba mieć jaja, żeby przyznać się do tego, co się zrobiło.

– To teraz nie spieprz tego prostym kłamstwem. Chcieliście go wrzucić do kanału od chwili, kiedy zobaczyliście, jak on i jego pedalski koleś wychodzą z Falcona, tak?

– Nie! – zaprotestował gwałtownie Chris Unwin. Boutillier wyjął z kieszeni koszuli paczkę marlboro i włożył papierosa do ust. Podsunął paczkę Unwinowi.

– Papierosa?

Unwin wyjął jednego. Boutillier musiał nieźle się namęczyć, żeby utrzymać zapałkę przy koniuszku papierosa, którego tamten miał w ustach, bo wargi Unwina trzęsły się niemiłosiernie.

– Ale kiedy zobaczyliście, że miał na głowie tę czapeczkę? – spytał Rademacher.

Unwin zaciągnął się głęboko i pochylił głowę, tak że przetłuszczone włosy opadły mu na oczy,

i wydmuchnął dym nosem, pokrytym gęsto wągrami.

– Tak – odparł, niemal zbyt cicho, by można go było usłyszeć.

Boutillier pochylił się do przodu, jego brązowe oczy błyszczały. Twarz przypominała oblicze drapieżnika, ale głos był miły i uprzejmy.

– Co, Chris?

– Powiedziałem „tak”. Chyba tak. Postanowiliśmy go wrzucić. Ale nie chcieliśmy go zabić. – Uniósł wzrok, aby na nich spojrzeć, na jego twarzy malowały się szaleństwo i smutek, wciąż jeszcze nie mógł pojąć ogromu zmian, jakie nastąpiły w jego życiu, odkąd zeszłego wieczoru o wpół do ósmej wyszedł z domu i wybrał się na festyn wraz z dwoma kolesiami. – Nie chcieliśmy go zabić! – powtórzył. – A ten facet pod mostem… nadal nie mam pojęcia, kim on był.

– Co za facet? – zapytał Rademacher, ale bez większego zainteresowania. Słyszeli to już wcześniej i żaden z nich w to nie uwierzył; prędzej czy później ludzie oskarżeni o morderstwo zawsze przypominali sobie, że na miejscu zdarzenia był jakiś inny facet. Boutillier miał nawet na to nazwę: Syndrom Jednorękiego, od starego serialu telewizyjnego *Ścigany*.

– Facet w kostiumie klowna – rzekł Chris Unwin i zadrżał. – Facet z balonami.

3

Festyn pod nazwą Dni Kanału w Derry, trwający od 15 do 21 lipca, okazał się niemałym sukcesem, co potwierdzali zgodnie mieszkańcy miasta. Miał spory wpływ na morale mieszkańców, wizerunek miasta i stan jego finansów. Tygodniowy festyn urządzono z okazji stulecia otwarcia w Derry kanału biegnącego przez środek całego miasta. Kanał ten powstał, aby można nim było w latach 1884–1910 spławiać drewno, i to właśnie on sprawił, że Derry rozrosło się ponad miarę. To był wspaniały okres.

Miasto zostało oczyszczone i odnowione. Dziury w asfalcie, zdaniem niektórych nienaprawiane od lat, zostały zalane i wygładzone, jak należy. Domy wewnątrz przemeblowano, a z zewnątrz odmalowano. Najgorsze z graffiti w Bassey Park – głównie antyhomoseksualne hasła, takie jak: „Zabić wszystkie cioty!” czy „AIDS to kara boża na pedałów!” – pościerano z ławek i drewnianych ścian małego zabudowanego przejścia nad kanałem, znanym jako Most Pocałunków.

Muzeum Dni Kanału znajdowało się w trzech pustych magazynach w śródmieściu i wypełniono je eksponatami zebranymi przez Michaela Hanlona, tutejszego bibliotekarza i historyka amatora. Najstarsze rodziny z miasta wypożyczały bardzo chętnie swoje niemal bezcenne skarby, a w czasie tygodnia festynu blisko czterdzieści tysięcy gości zapłaciło po ćwierć dolara, aby obejrzeć karty dań z restauracji sprzed stu lat, urządzenia do cięcia drewna, piły i siekiery z lat osiemdziesiątych XIX wieku, zabawki dla dzieci z lat dwudziestych XX wieku oraz ponad dwa tysiące zdjęć i dziewięć rolek filmów opowiadających o życiu Derry w minionym stuleciu. Muzeum sponsorowała Liga Kobiet z Derry, która sprzeciwiła się przedstawieniu przez Hanlona niektórych eksponatów, takich jak niesławny fotel włóczęgów, i zdjęć (na przykład Gangu Bradleya po głośnej strzelaninie). Wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że był to wielki sukces, i nikt naprawdę nie miał ochoty oglądać staroci kojarzących się z krwawymi wydarzeniami. Lepiej było skoncentrować się na podkreśleniu dobrych rzeczy i eliminowaniu złych, jak mówi stara piosenka.

W parku Derry rozbito olbrzymi namiot, gdzie podawano napoje orzeźwiające i co wieczór odbywały się koncerty. W Bassey Park znajdowało się wesołe miasteczko – prowadzone przez członków Smokey's Greater Shows – z karuzelami i salonem gier obsługiwanymi przez tutejszych mieszkańców. Po historycznych dzielnicach miasta jeździł co dzień specjalny tramwaj, który kończył swój godzinny kurs w tej krzykliwej i miłej maszynce do wyciągania pieniędzy. To właśnie tu Adrian Mellon wygrał swoją czapeczkę, która ściągnęła na niego śmierć – papierową czapeczkę z kwiatkiem i napisem I ♥ Derry.

4

– Jestem zmęczony – rzekł John „Webby" Garton. Podobnie jak jego dwaj przyjaciele, był ubrany jak Bruce Springsteen, choć zapewne gdyby go zapytano, określiłby Springsteena mianem „pedzia" albo „cioty" i wybrał którąś z bardziej „hałaśliwych" grup heavymetalowych, takich jak Def Leppard, Twisted Sister albo Judas Priest. Rękawy niebieskiego podkoszulka były poobrywane, ukazując mocno umięśnione ramiona chłopaka. Gęste, brązowe włosy opadały mu na jedno oko, co sprawiało, że bardziej niż

Springsteena przypominał teraz Johna Cougara Mellencampa. Na ramionach miał tatuaże, niezwykłe symbole. – Nie chcę już nic mówić.

– Opowiedz nam o tym wtorkowym popołudniu na festynie – rzekł Paul Hughes, który był zmęczony, zszokowany i roztrzęsiony po całej tej aferze. Miał wrażenie, jakby festyn w Derry zakończył się wydarzeniem, o którym wiedzieli wszyscy, ale którego nikt nie ośmieli się wpisać do oficjalnego programu. Gdyby tak się stało, wyglądałby on następująco:

Sobota 21.00 – Ostatni koncert zespołów liceum w Derry i Barber Shop Mello-Men.
Sobota 22.00 – Wielki pokaz sztucznych ogni.
Sobota 22.35 – Rytualna ofiara Adriana Mellona oficjalnie kończy Festyn Dni Kanału.

– Pieprzyć festyn – odparł Webby.

– Mów, co powiedziałeś Mellonowi i co on wtedy odpowiedział.

– O Chryste! – Webby przewrócił oczami.

– No, dalej, Webby…

Webby Garton westchnął i zaczął wszystko jeszcze raz.

5

Garton zobaczył, jak tamci dwaj idą objęci, chichoczący niczym dziewczyny. Na początku wydawało mu się, że to były dziewczyny. Potem rozpoznał Mellona, którego widział już wcześniej. Gdy mu się przyglądał, zobaczył, że Mellon odwrócił się do Hagarty'ego… i pocałowali się. To był krótki pocałunek.

– Rany, chłopie, chyba się porzygam – rzucił z obrzydzeniem w głosie Webby. Byli z nim Chris Unwin i Steve Dubay. Kiedy Webby wskazał na Mellona, Steve Dubay powiedział, że ten drugi typ ma, zdaje się, na imię Don i że podwoził kiedyś jakiegoś chłopaka z liceum w Derry, a potem próbował go wykorzystać. Mellon i Hagarty, oddalając się od stanowiska Pitch Til U Win, ruszyli w stronę trzech chłopaków i wyjścia z wesołego miasteczka. Webby Garton powie później oficerom Hughesowi i Conleyowi, że jego „obywatelska duma" doznała uszczerbku, kiedy zobaczył, że pieprzona ciota ma na głowie czapeczkę z napisem I ♥ Derry. Ta czapeczka była po prostu idiotyczna – papierowa imitacja kapelusza z wielkim kwiatkiem sterczącym

u góry i kołyszącym się na wszystkie strony. Widok ten uraził obywatelską dumę Webby'ego jeszcze boleśniej.

Kiedy Mellon i Hagarty minęli ich, nadal obejmując się nawzajem w pasie, Webby Garton krzyknął:

– Powinienem cię zmusić, żebyś zeżarł ten kapelusz, ty w dupę jebany pedale!

Mellon odwrócił się do Gartona, zatrzepotał zalotnie powiekami i powiedział:

– Jeśli masz ochotę coś skonsumować, miałbym ci do zaproponowania coś o wiele smaczniejszego niż mój kapelusz.

W tym momencie Webby Garton uznał, że musi nieco przemodelować twarz tej cioty. Nikt nigdy nie proponował mu ciągnięcia druta. Nikt.

Ruszył w stronę Mellona. Kumpel Mellona, Hagarty, czując, co się święci, starał się odciągnąć Mellona na bok, ale ten nie ruszył się z miejsca. Uśmiechał się. Garton, jak powie później funkcjonariuszom Hughesowi i Conleyowi, był przekonany, że Mellon musiał się wcześniej naćpać. Hagarty potwierdzi to, kiedy funkcjonariusze Gardener i Reeves napomkną o tym podczas przesłuchania. Naćpał się dwoma pączkami z nadzieniem – i była to jedyna rzecz, jaką nafaszerował się tego dnia. Mimo to jakby

nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, jakie przedstawiał sobą Webby Garton.

– Ale Adrian już taki był – powiedział Don, ocierając oczy chusteczką i rozcierając cienie, którymi miał pomalowane powieki. – Nie zdawał sobie sprawy, co mu groziło. Myślał, że każdy konflikt zawsze można załagodzić. Mógł zostać ciężko pobity, od razu na miejscu, gdyby Garton nie poczuł, że coś go trąciło w łokieć. To była policyjna pałka. Odwrócił się i zobaczył funkcjonariusza Franka Machena.

– Daj spokój, chłopie – rzekł do Gartona Machen. – Zajmij się swoimi sprawami i zostaw tych gejów w spokoju. Niech się zabawią.

– Słyszał pan, co on do mnie powiedział? – spytał ostro Garton. Unwin i Dubay dołączyli do niego; obaj czuli w powietrzu kłopoty i chcieli odciągnąć Gartona na bok, ale on zaczął się stawiać i gdyby nalegali, rzuciłby się na nich z pięściami. Jego męskość została urażona: ta uraza domagała się pomsty.

– Nie wierzę, że on mógł cię obrazić – odparł Machen. – Poza tym ty pierwszy się do niego odezwałeś. A teraz ruszaj stąd, synu. Nie chcę tego powtarzać.

– Sugerował, że jestem ciotą!

– A obawiasz się, że możesz nią być? – spytał Machen z wyraźnym zainteresowaniem w głosie, podczas gdy policzki Gartona pokrył silny rumieniec. Podczas tej wymiany zdań Hagarty z rosnącą desperacją usiłował odciągnąć Adriana Mellona z miejsca zdarzenia. W końcu Mellon uległ.

– Pa, pa, kochanie! – zawołał radośnie przez ramię Adrian.

– Zamknij się, słodkodupy gnoju! – krzyknął Machen. – I zjeżdżaj stąd.

Garton rzucił się w stronę Mellona, ale Machen go powstrzymał.

– Może należałoby cię trochę utemperować, przyjacielu. Gdy tak patrzę na ciebie, odnoszę wrażenie, że to całkiem niezły pomysł.

– Następnym razem, gdy się spotkamy, tak ci dołożę, że popamiętasz! – zawołał Garton za odchodzącą dwójką, a parę głów odwróciło się, by spojrzeć w jego stronę. – I jeśli będziesz miał na głowie ten cholerny kapelusz, to cię zabiję! W tym mieście nie potrzeba nam pedałów.

Mellon, nie odwracając się, pokręcił palcami lewej ręki – miał polakierowane paznokcie – i idąc, wykonał nimi kilka znaczących gestów. Garton ponownie rzucił się w jego stronę.

– Jeszcze jedno słowo albo gest i cię zamknę – powiedział łagodnie Machen. – Uwierz mi, chłopcze, ja nie żartuję.

– Chodź, Webby – rzucił niepewnie Chris Unwin. – Spadamy.

– Lubicie takich typów? – zwrócił się do Machena Webby, całkiem ignorując Chrisa i Steve'a. – Co?

– Nie lubię rozrób – rzekł Machen. – I jestem neutralny. Interesują mnie tylko spokój i cisza, a wyjątkowo nie cierpię takich awanturników jak ty. O co ci właściwie chodzi? Koniecznie chcesz, żebym cię przymknął? A może zamierzasz się bić?

– Daj spokój, Webby – powiedział cicho Steve Dubay. – Chodźmy na hot dogi.

Webby odszedł, obciągając teatralnym gestem koszulę i odgarniając włosy z oczu. Machen, który następnego dnia po śmierci Adriana Mellona składał zeznanie w tej sprawie, powiedział:

– Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem z jego ust, była pogróżka: „Następnym razem, gdy się spotkamy, tak ci dołożę, że popamiętasz!".

6

– Proszę, muszę pomówić z matką – rzekł po raz trzeci Steve Dubay. – Muszę ją poprosić, żeby udobruchała jakoś mojego ojczyma. Bo jak nie, to po powrocie do domu czeka mnie nieziemskie lanie.

– Za chwilę – poinformował go funkcjonariusz Charles Avarino. Zarówno Avarino, jak i jego partner, Barney Morrison, wiedzieli, że Steve Dubay nie wróci do domu tego wieczoru, a kto wie, może nawet nie zjawi się tam przez dłuższy czas. Chłopak wyraźnie nie zdawał sobie sprawy ze swego fatalnego położenia, a Avarino wcale nie był zdziwiony, kiedy dowiedział się, że Dubay rzucił szkołę w wieku szesnastu lat. Wciąż wtedy chodził do szkoły średniej Water Street. Iloraz inteligencji chłopaka wynosił sześćdziesiąt osiem, jak głosił wynik testu, któremu został poddany w siódmej klasie. Powtarzał ją trzy razy.

– Powiedz nam, co się stało, kiedy zobaczyłeś, jak Mellon wychodzi z Falcona – nalegał Morrison.

– Nie, człowieku, lepiej nie.

– Czemu nie? – spytał Avarino.

– Może i tak powiedziałem już za dużo.

– Przyszedłeś tu, aby złożyć zeznania – powiedział Avarino. – Czyż nie tak?

– No… tak… ale…

– Posłuchaj – odezwał się ciepło Morrison, siadając obok Dubaya i częstując go papierosem. – Czy uważasz, że ja i Chick jesteśmy pedałami?

– No… ja nie wiem…

– Czy wyglądamy jak cioty?

– Nie, ale…

– Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Stevie – ciągnął z powagą Morrison. – I możesz mi wierzyć, że w obecnej sytuacji ty, Chris i Webby potrzebujecie przyjaciół, i to tylu, ilu tylko się da. Bo jutro każdy mieszkaniec tego miasta będzie się domagał waszej krwi.

Steve Dubay wyglądał na zaniepokojonego. Avarino, który niemal potrafił czytać w myślach tego małego, tchórzliwego gnojka, podejrzewał, że ponownie myślał on o swoim ojczymie. I choć Avarino nie przepadał za gejami i podobnie jak reszta gliniarzy z przyjemnością powitałby zamknięcie Falcona na cztery spusty, równie chętnie osobiście odwiózłby Dubaya do domu. Prawdę mówiąc, żałował, że nie mógł być przy tym, jak ojczym sprawi chłopakowi lanie. Ba – sam by go chętnie przytrzymał, podczas gdy stary zacznie drzeć z gnoja pasy. Avarino nie lubił pedałów, ale to nie oznaczało, że powinno się ich torturować i wykańczać. Mellona

potraktowano wyjątkowo okrutnie. Kiedy wyciągnięto go spod mostu na kanale, miał otwarte, przerażone oczy. A ten tu chłopak absolutnie nie zdawał sobie sprawy z sytuacji.

– Nie chcieliśmy go skrzywdzić – powtórzył Steve. To była jego podstawowa taktyka obronna, którą przyjmował, kiedy choć odrobinę tracił rezon.

– Dlatego tu teraz jesteś – rzekł z naciskiem Avarino. – Przejdź do faktów i będzie po sprawie. No nie, Barney?

– Jasne – zgodził się Morrison.

– Co byś powiedział na to, żeby powtórzyć to wszystko.

– No cóż… – Steve powoli zaczął mówić.

7

Kiedy w 1973 roku otwarto Falcona, Elmer Curtie sądził, że jego klienci będą się składać głównie z pasażerów autobusów – terminal znajdujący się tuż obok obsługiwał trzy linie: Trailways, Greyhound i Aroostoock County. Nie zdawał sobie sprawy, ilu spośród pasażerów tych autobusów stanowią kobiety albo rodziny z małymi dziećmi. Wielu innych było zaopatrzonych w butelki w brązowych papierowych torbach i w ogóle nie wysiadało

z autokarów. Wysiadali głównie żołnierze i marynarze chcący wypić jedno czy dwa szybkie piwka. Raczej trudno jest prowadzić lokal, w którym klienci wpadają na dziesięć minut i zaraz się ulatniają.

Curtie zaczął zdawać sobie z tego sprawę około 1977 roku, ale wtedy było już za późno. Siedział po uszy w długach i, co najgorsze, nie miał pojęcia, jak z nich wybrnąć. Przyszedł mu do głowy pomysł, żeby spalić cały ten lokal i zgarnąć odszkodowanie, ale uznał, że sam nie ma na co liczyć, powinien wynająć do tego profesjonalistę, a nie miał pojęcia, gdzie można spotkać zawodowego podpalacza.

W lutym zdecydował, że do 4 lipca rzuci tę robotę i jeżeli nic się nie zmieni, po prostu uda się do sąsiedniego budynku, kupi bilet na autokar i zobaczy, jak się przedstawiają sprawy na Florydzie.

Jednakże w ciągu pięciu następnych miesięcy bar nieoczekiwanie przeżył okres błyskotliwego rozwoju, dzięki czemu został odmalowany od wewnątrz na czarno i złoto i udekorowany wypchanymi ptakami (brat Elmera Curtie był preparatorem amatorem i specjalizował się w ptakach, a po jego śmierci Elmer odziedziczył po nim wszystko). Nagle liczba wydawanych co

wieczór drinków podskoczyła z sześćdziesięciu piw i dwudziestu głębszych do osiemdziesięciu piw i setki głębszych… stu dwaudziestu… czasami nawet stu sześćdziesięciu.

Jego klientami byli niemal wyłącznie uprzejmi młodzi mężczyźni. Wielu z nich ubierało się dziwacznie, a nawet wyzywająco, ale w tych latach taki styl był nieomal normalny, toteż dopiero w 1981 roku Elmer zorientował się, że jego klienci to prawie wyłącznie homoseksualiści. Gdyby mieszkańcy Derry usłyszeli jego słowa, roześmialiby się; czyżby Elmer Curtie myślał, że oni wszyscy urodzili się zaledwie wczoraj? Ale właściciel lokalu mówił szczerą prawdę. Tak jak facet, którego zdradza żona, dowiedział się o tym ostatni i praktycznie się tym nie przejął. Bar przynosił zyski i podczas gdy w Derry były jeszcze cztery równie dobrze prosperujące lokale, tylko Falcon mógł poszczycić się tym, że jego goście nie robili w nim regularnie ogólnej demolki. Po pierwsze, nie było tu kobiet, o które można by walczyć, a ci mężczyźni – cioty czy nie – w przeciwieństwie do swych heteroseksualnych odpowiedników poznali, jak się zdawało, sekret pokojowego współistnienia.

Niemal natychmiast, kiedy uświadomił sobie upodobania seksualne gości, zdał sobie również sprawę, że praktycznie wszędzie krążą opowieści o Falconie. Od lat przekazywano je sobie z ust do ust, ale Curtie po prostu nigdy nie miał okazji ich usłyszeć. Aż do roku 1981. Jak się okazało, najbardziej entuzjastyczne opowieści o jego lokalu snuli ludzie, których nie zaciągnięto by do Falcona nawet w łańcuchach, prędzej powyrywano by im ręce, niż zmuszono do przestąpienia progu tego baru. Mimo to właśnie oni mieli wszelkie, nawet najbardziej intymne informacje na jego temat.

Zgodnie z tymi opowieściami, gdybyś wszedł wieczorem, zobaczyłbyś tańczące przytulone męskie pary, facetów pieszczących się nawzajem, obejmujących się i całujących „po francusku” przy barze, a w toalecie odchodził jeden numerek za drugim. Podobno na tyłach znajdował się mały pokoik, do którego udawałeś się, chcąc spędzić parę chwil z facetami w nazistowskich mundurach, szczęśliwymi, jeśli mogli się tobą zająć.

W rzeczywistości jednak to wszystko nie było prawdą. Kiedy przyjezdni wpadali do Falcona na piwo czy parę głębszych, zwykle nawet nie przypuszczali, że mogłoby się tu dziać coś

zdrożnego – owszem, było tu sporo facetów, ale bar ten nie różnił się od tysięcy innych lokali w całym kraju. Klienci byli gejami, ale gej nie jest synonimem głupoty. Gdyby mieli ochotę na odrobinę czegoś skandalizującego, udaliby się do Portlandu. Gdyby chcieli czegoś więcej, pojechaliby do Nowego Jorku albo do Bostonu. Derry było małym prowincjonalnym miasteczkiem, a tutejsza społeczność homoseksualna dobrze zdawała sobie sprawę z tego, gdzie przyszło jej żyć.

Don Hagarty przychodził do Falcona od dwóch czy trzech lat, ale dopiero w marcu osiemdziesiątego czwartego po raz pierwszy zjawił się tu z Adrianem Mellonem. Przedtem Hagarty należał do wolnych strzelców i rzadko kiedy pokazywał się kilkakrotnie z tym samym facetem. Jednak pod koniec kwietnia nawet dla Elmera Curtiego, który nie interesował się tymi sprawami, stało się jasne, że Hagarty i Mellon żyją z sobą w trwałym związku.

Hagarty był kreślarzem i pracował dla firmy inżynieryjnej z Bangor. Adrian Mellon był pisarzem, typowym wolnym strzelcem, który publikował wszędzie, gdzie się tylko dało. Pisał powieść, ale może traktował to niezbyt serio,

gdyż pracował nad nią od trzeciej klasy college'u, czyli już dwanaście lat.

Przybył do Derry, aby napisać artykuł o kanale – na zlecenie „New England Byways" – znanego dwumiesięcznika drukowanego w Concord. Adrian przyjął to zlecenie, gdyż zdołał wycisnąć od redakcji „Byways" trzytygodniową dietę. Zapewnili mu hotel, a zdawał sobie sprawę, że na zebranie materiału do artykułu nie będzie potrzebował więcej niż pięć dni. Przez pozostałe dwa tygodnie mógł zebrać materiał dla czterech innych regionalnych gazet. Ale podczas swego trzytygodniowego pobytu w Derry poznał Dona Hagarty'ego i zamiast wrócić do Portlandu, wynajął małe mieszkanko przy Kossuth Lane. Zajmował je tylko przez sześć tygodni. Potem wprowadził się do Dona Hagarty'ego.

8

To lato, jak powiedział Hagarty Haroldowi Gardenerowi i Jeffowi Reevesowi, było najszczęśliwszym latem jego życia.

– Powinien był się domyślić – rzekł – powinien był wiedzieć, że Bóg wkłada dywan pod nogi takich jak on tylko po to, aby go siłą wyszarpnąć.

Adrian miał niezwykle gorący stosunek do Derry. Nosił podkoszulek z napisem: „Maine nie jest złe, ale Derry jest wspaniałe!”. Miał kurtkę drużyny Derry Tigers. No i do tego tę czapeczkę. Twierdził, że podoba mu się tutejsza atmosfera. Dodawała mu wigoru i animuszu. Może tak rzeczywiście było – po raz pierwszy od blisko roku powrócił do pisania swojej powieści.

– Czy naprawdę zaczął nad nią pracować? – spytał Gardener, choć wcale go to nie obchodziło, chciał jednak, aby Hagarty kontynuował swoją wypowiedź.

– Tak… Pisał jak szalony. Mówił, że może to będzie okropna książka, ale przynajmniej ją skończy. Oszacował, że jej zakończenie powinno wypaść w październiku, na jego urodziny. Oczywiście nie wiedział, jakie naprawdę jest Derry. Tak mu się tylko wydawało, ale nie mieszkał tu dostatecznie długo, aby poczuć prawdziwy zapach tego miasta. Próbowałem mu to uświadomić, ale nie chciał mnie słuchać.

– A jakie naprawdę jest Derry, Don? – spytał Reeves.

– Jest jak zdechła kurwa z robakami wyłażącymi z cipy – odrzekł Don Hagarty.

Dwaj gliniarze spojrzeli na niego zaskoczeni.

– To złe miejsce – dodał Hagarty. – Czy wy dwaj naprawdę nie zdajecie sobie z tego sprawy? Żyjecie tu i o tym nie wiecie?

Żaden z nich nie odpowiadał. Po krótkiej chwili Hagarty mówił dalej.

9

Dopóki w jego życiu nie pojawił się Adrian Mellon, Don miał zamiar wyjechać z Derry. Mieszkał tu już od trzech lat głównie dlatego, że zgodził się na długoterminowy wynajem apartamentu z najbardziej niezwykłym widokiem na rzekę, ale teraz okres najmu dobiegał końca i Don był z tego zadowolony. Miał już tego dość. Miał już dość złych bioprądów Derry; kiedyś powiedział Adrianowi, że czuje się tak, jakby w tym mieście stale wypadało trzynastego.

Adrian mógł myśleć, że Derry było wspaniałym miejscem, i to Dona przerażało. Nie chodziło tu tylko o homofobię panującą w tym miejscu i nastawienie wyrażane zarówno słowami wypowiadanymi przez kaznodziejów, jak i graffiti w miejskim parku, ale przynajmniej to mógł wytknąć palcem. Adrian tylko się roześmiał.

– Don, w każdym mieście w Stanach znajdziesz ludzi, którzy nie cierpią gejów – odparł. – Nie mów, że o tym nie wiesz. Przecież to w końcu era Ronniego Morona i Phyllis Housefly.

– Chodź ze mną do Bassey Park – odparł Don po tym, jak zrozumiał, że Adrian bynajmniej nie żartował i że naprawdę uważał Derry za zwykłe miasteczko, nie gorsze od wielu innych miast podobnej wielkości w jakiejkolwiek części Stanów. – Chcę ci coś pokazać, kochany.

Pojechali do Bassey Park w połowie czerwca, na miesiąc przed zabójstwem, jak powiedział Hagarty gliniarzom. Zabrał Adriana do mrocznych cuchnących podcieni Mostu Pocałunków i pokazał jeden z napisów. Adrian zapalił zapałkę i przytrzymał przed graffiti: „Pokaż mi swego kutasa, cioto, to ci go utnę".

– Wiem, co ludzie myślą o gejach – rzekł cicho Don. – Kiedy byłem nastolatkiem, pobito mnie na przystanku autobusowym w Dayton. W Portlandzie paru facetów podpaliło mi buty przed sklepem, podczas gdy gruby glina z wielkim tyłkiem patrzył na to wszystko i śmiał się do rozpuku. Wiele widziałem… ale nigdy nie widziałem czegoś takiego. Spójrz tu. Zobacz.

Blask kolejnej zapałki oświetlił napis: „Wbij gwoździe w oczy wszystkim pedałom (na chwałę

Boga!)”.

– Ktokolwiek pisze te krótkie homilie, jest niespełna rozumu. Czułbym się lepiej, gdybym wiedział, że to dzieło tylko jednego, jedynego psychola, ale… – Don zatoczył ręką łuk wzdłuż całej długości Mostu Pocałunków. – Ale tego jest cała masa… i nie sądzę, aby te napisy były dziełem tylko jednego człowieka. Właśnie dlatego chcę wyjechać z Derry, Ade. Ostatnio mamy tu sezon na szaleńców.

– Dobrze, ale jak skończę książkę, co? Proszę. Przyrzekam, wyjedziemy w październiku. Nie później. Tu jest lepsze powietrze.

– Nie wiedział, że powinien uważać na wodę – dodał z goryczą w głosie Hagarty.

10

Tom Boutillier i szef policji Rademacher pochylili się do przodu, ale żaden z nich się nie odezwał. Chris Unwin siedział ze spuszczoną głową, mówiąc monotonnym głosem do podłogi. To była część, którą chcieli usłyszeć, to była część, po której przynajmniej dwóch z tych dupków zostanie odesłanych do Thomaston.

– W wesołym miasteczku robiło się nudno – rzekł Unwin. – Wszystko, co najlepsze, było nieczynne, tak jak Diabelski Młyn czy

Spadochronowy Zeskok. Wesołe Samochodziki też już zamknięto. Zostały tylko karuzele dla dzieciaków. No to minęliśmy parę salonów gier i Webby zobaczył budę Pitch Til U Win, i zapłacił pięćdziesiąt centów, a potem zobaczył kapelusik, taki jak ten, który nosił ten pedał, i zaczął rzucać, żeby go wygrać, ale nie trafiał, i za każdym razem, jak pudłował, coraz bardziej się wkurzał. A Steve, wiecie, ten typ, co to zawsze mówi: „Zbastuj, stary; przestań, stary; czemu się nie uspokoisz, stary”… on go naprawdę doprowadzał do szału, bo Webby wziął pigułkę. Może to nawet było coś całkiem legalnego. Czerwona pigułka. Nie wiem, co to było. Ale potem zaczął marudzić Webby’emu, i to tak, że mało mu Webby nie przywalił. Mówi: „Nawet nie potrafisz wygrać pedalskiej czapki. Musisz być naprawdę do niczego, skoro nie potrafisz jej wygrać. A to przecież zwykła pedalska czapeczka”. W końcu ta babka z budy dała mu nagrodę, mimo że nawet nie trafił w nią kółkiem. Chyba dlatego, że chciała się nas pozbyć. Nie mam pojęcia. Może nie. A może tak. Chyba miała nas dość. To była taka zabawka do robienia hałasu, wiecie. Taka, co wydaje odgłosy, jakby ktoś pierdział. Znacie to? Miałem kiedyś taką. Dostałem ją na Halloween czy Nowy Rok, a może na jakieś inne

pierdolone święto, była całkiem fajna, ale gdzieś ją posiałem. A może ktoś mi ją podprowadził w budzie. Nie mam pojęcia. No, nieważne. Potem lunapark zamknęli, a my wyszliśmy i Steve nadal truł dupę Webby'emu, wiecie, o tym, że nie potrafił wygrać tej pieprzonej pedalskiej czapeczki. Webby niewiele gadał i wiedziałem, że to kiepski znak, ale robiłem dobrą minę do złej gry, kapujecie. Czułem, że powinienem go zmusić, żeby zmienił temat, ale w ogóle nie byłem w stanie myśleć. Nie mogłem, rozumiecie, na niczym się skupić. No więc kiedy doszliśmy na parking, Steve mówi: „Gdzie ty chcesz iść? Do domu? Już?". A Webby na to: „Pokręćmy się wpierw trochę pod Falconem, zobaczymy, może ta ciota się tam zjawi".

Boutillier i Rademacher wymienili spojrzenia. Boutillier uniósł palec i stuknął nim w policzek. Choć chłopak w roboczych butach o tym nie wiedział, mówił o morderstwie pierwszego stopnia.

– A ja na to, że muszę iść do domu, a Webby: „Boisz się przejść obok tej knajpy dla pedałów?". No to ja mu odpowiadam: „Nie, kurwa!", a Steve, który był naćpany czy jak, nie mam pojęcia, wtrąca: „Wpierdolmy jakiemuś pedałowi! Wpierdolmy…".

11

Czas okazał się dla wszystkich nielitościwy. Adrian Mellon i Don Hagarty wyszli właśnie z Falcona po wypiciu dwóch piw; przeszli obok przystanku autobusowego i wzięli się za ręce. Żaden z nich o tym nie myślał. Zrobili to odruchowo. Była dwudziesta druga dwadzieścia. Doszli do zakrętu i skręcili w lewo. Most Pocałunków znajdował się o pół mili stąd. Mieli zamiar przejść przez Main Street Bridge, który był o wiele mniej romantyczny. Poziom Kenduskeag był niski – nie więcej niż cztery stopy wody przepływającej apatycznie wokół cementowych filarów.

Kiedy śmieciarka zatrzymała się tuż przed nimi (Steve Dubay zauważył ich, jak wychodzili z Falcona, i bardzo się ucieszył z tego powodu), znajdowali się na skraju mostu.

– Zatrzymaj! Zatrzymaj! – ryknął Webby Garton. Dwaj mężczyźni przeszli właśnie pod latarnią i dopiero wtedy zauważył, że trzymali się za ręce. To doprowadziło go do pasji… – Zajedź im drogę, do cholery. – I Steve to zrobił.

Chris Unwin odmówił uczestnictwa w tym, co działo się później, ale Don Hagarty wyznał coś całkiem innego. Powiedział, że Garton wyskoczył z wozu, zanim jeszcze ten się zatrzymał. Dwaj

pozostali szybko poszli w jego ślady. Potem doszło do wymiany zdań. Niezbyt przyjemnej, ogólnie rzecz biorąc. Tym razem Adrian nie próbował się silić na przytyki czy fałszywą kokieterię. Zdawał sobie sprawę, że wpadli w poważne tarapaty.

– Daj mi ten kapelusik – rzekł Garton. – Daj mi go, pedale.

– A jak ci dam, zostawisz nas w spokoju? – Adrian był zielony ze strachu, o mało nie zaczął płakać, spoglądając przerażonym wzrokiem to na Unwina, to na Dubaya, to znowu na Gartona.

– Po prostu mi go daj, skurwielu!

Adrian podał mu go. Garton wyjął z lewej kieszeni dżinsów scyzoryk i przeciął kapelusz na dwie części. Przetarł nimi tyłek. Potem rzucił je na ziemię i podeptał. Don Hagarty cofnął się nieznacznie, podczas gdy uwaga pozostałych była skupiona na Adrianie i jego kapelusiku – twierdził, że szukał gliniarza.

– A może te… – zaczął Adrian Mellon i właśnie wtedy Garton uderzył go w twarz, ciskając go na barierę mostu. Adrian krzyknął, przykładając dłonie do ust. Krew ciekła mu przez palce.

– Ade! – krzyknął Hagarty i ponownie wysforował się do przodu. Dubay podstawił mu nogę. Garton kopnął go w brzuch, strącając go

z chodnika na jezdnię. Jakiś samochód przejechał obok. Hagarty podniósł się na kolana i wrzasnął za nim przeciągle. Wóz nawet nie zwolnił. Kierowca – jak powiedział Gardenerowi i Reevesowi – w ogóle nie oglądał się na boki.

– Zamknij się, cioto! – syknął Dubay i kopnął go w twarz. Hagarty upadł na bok, do rynsztoka, na wpół przytomny.

Parę sekund później usłyszał głos Chrisa Unwina, mówiącego, żeby spadał, dopóki nie przydarzyło mu się to samo co jego kolesiowi. W swoim zeznaniu Unwin potwierdził, że ostrzegał chłopaka.

Hagarty słyszał głuche odgłosy uderzeń i krzyki swego kochanka. Adrian piszczał jak zając schwytany w sidła. Hagarty odczołgał się w stronę skrzyżowania i jasnych świateł dworca autobusowego, a kiedy był już dostatecznie daleko, obejrzał się za siebie. Adrian Mellon, który miał pięć i pół stopy wzrostu i ważył około stu trzydziestu pięciu funtów, był popychany i potrącany, zataczając się od Gartona przez Dubaya do Unwina i z powrotem. Ci trzej sprawiali wrażenie, jakby grali w jakąś grę żywą piłką. Jego ciało było bezwładne i wiotkie jak ciało szmacianej lalki. Bili go, okładali pięściami, rozrywali na nim ubranie. Kiedy tak się

przyglądał, zeznał, Garton uderzył Adriana w krocze. Mellonowi włosy przesłaniały oczy. Krew ciekła mu z ust i plamiła koszulę. Webby Garton miał na prawej ręce dwa ciężkie sygnety – jeden był sygnetem liceum z Derry, drugi własnoręcznie zrobił i ozdobił wypukłymi literami DB. Oznaczały one Dead Bugs – jego ulubiony zespół heavymetalowy. Sygnet rozdarł górną wargę Adriana Mellona i strzaskał trzy z jego górnych zębów tuż przy linii dziąseł.

– Pomocy! – krzyknął Hagarty. – Na pomoc! Na pomoc! Oni go zabiją! Pomocy! – Budynki przy Main Street były spowite mrokiem i tajemnicze. Nikt nie przybył z pomocą, nawet od strony oazy światła oznaczającej dworzec autobusowy, i Hagarty nie mógł pojąć, jak to w ogóle możliwe. Widział ich, kiedy mijał ich wraz z Ade'em. Czy nikt nie przyjdzie mu na pomoc? Nikt?

– Pomocy! Oni go zabiją! Na pomoc! Proszę! Na miłość boską! Pomocy… – wyszeptało jeszcze coś z lewej strony Dona Hagarty'ego, a później słychać już było tylko chichot.

– Wykąpać pedzia! – krzyczał teraz Garton. Krzyczał i śmiał się.

Hagarty powiedział Gardenerowi i Reevesowi, że cała trójka zarykiwała się ze śmiechu, tłukąc

Adriana gdzie popadło.

– Wykąpać pedzia! Do wody z nim!

– Na pomoc – rozległ się ponownie ten cichy głos i choć brzmiał ponuro, ponownie dał się w nim słyszeć ten sam chichot, przypominający śmiech dziecka, które nie może sobie z czymś poradzić.

Hagarty spojrzał w dół i zobaczył klowna – i właśnie w tym momencie Gardener i Reeves zamknęli sprawę, bo reszta była zwyczajnym majaczeniem szaleńca. Jednakże później Harold Gardener zaczął się zastanawiać. Ale to było później – kiedy się dowiedział, że Unwin potwierdził zeznania Hagarty'ego na temat klowna – i wtedy coś go tknęło. Jego partner nigdy nie miewał przeczuć, a w każdym razie nie przyznawał się do tego. Klown, powiedział Hagarty, wyglądał jak skrzyżowanie Ronalda McDonalda ze starym telewizyjnym Bozem, a przynajmniej tak mu się wydawało. Te skojarzenia przywiodły mu na myśl pomarańczowe kępki włosów po bokach łysej jak kolano głowy. Dopiero po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że podobieństwo pomiędzy tym a tamtym klownem było raczej niewielkie. Uśmiech namalowany na białej twarzy był czerwony, a nie pomarańczowy, oczy zaś srebrne

i lśniły silnym blaskiem. Prawdopodobnie szkła kontaktowe… ale coś w głębi duszy podpowiadało mu, że te oczy naprawdę są srebrne. Miał na sobie workowaty strój z wielkimi pomarańczowymi pomponami-guzikami, a na rękach wielkie rękawice.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, Don – powiedział klown – weź sobie balonik. – I wyciągnąwszy przed siebie rękę, zaproponował mu balonik. – One pływają w powietrzu – rzekł klown. – Tu, na dole, wszyscy pływamy. Niedługo twój przyjaciel też będzie pływał.

12

– Ten klown zwrócił się do ciebie po imieniu – powiedział bezbarwnym głosem Jeff Reeves. Spojrzał nad pochyloną głową Hagarty'ego na Harolda Gardenera i mrugnął porozumiewawczo.

– Tak – mruknął Hagarty, nie unosząc wzroku. – Wiem, jak to brzmi.

13

– I wrzuciliście go do wody – powiedział Boutillier. – Żeby wykąpać pedała…

– Nie ja! – zaprzeczył Unwin, unosząc wzrok. Odgarnął włosy z oczu i spojrzał na gliniarzy z przejęciem. – Kiedy zobaczyłem, że oni naprawdę chcą to zrobić, próbowałem odciągnąć Steve'a, bo wiedziałem, że ten typ może sobie zrobić krzywdę… do powierzchni wody było dobre dziesięć stóp…

Były dwadzieścia trzy. Jeden z gliniarzy Rademachera już to zmierzył.

– Zachowywali się jak szaleni. „Heeej, hoop! Heej, hoop!". Webby wziął go pod ręce, a Steve za nogi, a potem… potem…

14

Kiedy Hagarty zobaczył, co tamci robią, ruszył biegiem w ich stronę, wrzeszcząc na całe gardło:

– Nie! Nie! Nie!

Chris Unwin odepchnął go i Hagarty wylądował na chodniku z taką siłą, że aż mu szczęknęły zęby.

– Też chcesz popływać? – wyszeptał. – Spadaj, dziecino.

A potem zrzucili Adriana Mellona z mostu do wody.

Hagarty usłyszał pluśnięcie.

– Wynośmy się stąd – rzekł Steve Dubay. On i Webby szli już w stronę samochodu. Chris

Unwin podszedł do barierki i spojrzał w dół. Najpierw zobaczył Hagarty'ego ześlizgującego się i zsuwającego po zaśmieconym zboczu nabrzeża do wody. Potem zobaczył klowna. Klown jedną ręką wciągał Adriana. W drugiej trzymał pęk balonów. Adrian był cały przemoczony, krztusił się i jęczał. Klown przekrzywił głowę i uśmiechnął się do Chrisa, który zobaczył jego lśniące srebrne oczy i obnażone zęby, wielkie, olbrzymie zęby.

– Jak u lwa w cyrku – powiedział. – To znaczy były tak wielkie. – Potem opowiadał, że widział, jak klown odciągnął do tyłu jedną rękę Adriana Mellona, tak że znalazła się nad jego głową.

– I co później, Chris? – spytał Boutillier. Był już znudzony tą częścią. Bajki go nudziły, odkąd skończył osiem lat.

– Nie wiem – odrzekł Chris. – Bo właśnie wtedy Steve złapał mnie za rękę i wsadził do wozu. Ale… myślę, że to mu się wgryzło pod ramię. – Ponownie uniósł wzrok. Sprawiał wrażenie niepewnego i rozbitego. – Myślę, że właśnie tak się stało. To wgryzło mu się pod ramię. Jakby chciało go pożreć, rozumiecie. Jakby chciało mu wygryźć serce.

15

– Nie – rzekł Hagarty, kiedy w formie pytań przedstawiono mu wersję zdarzeń Chrisa Unwina. Klown nie wyciągał Ade'a na brzeg, w każdym razie wcale to tak nie wyglądało, a przecież nie był bynajmniej bezstronnym obserwatorem, przyglądającym się całemu zdarzeniu z zaciekawieniem. On po prostu odchodził od zmysłów.

Klown – jak twierdził – stał w pobliżu nabrzeża, trzymając w ramionach ociekające wodą ciało Adriana. Prawe ramię Ade'a sterczało sztywno za głową klowna, a twarz klowna rzeczywiście znajdowała się pod jego pachą. Ale on się w niego nie wgryzał. On się uśmiechał.

Hagarty widział, jak klown wyglądał zza ramienia Ade'a i się uśmiechał. Ramiona klowna zacisnęły się i Hagarty usłyszał trzask pękających żeber. Ade krzyknął.

– Popływaj z nami, Don – rzucił klown, rozciągając czerwone usta w uśmiechu, a potem wskazał ręką w wielkiej białej rękawicy pod most.

Balony unosiły się w powietrzu, obijały się o spód mostu – nie dziesiątki czy setki, ale tysiące – czerwone, niebieskie, zielone i żółte, a na każdym z nich widniał napis I ♥ DERRY!

16

– Tak, to z pewnością sporo – powiedział Reeves i ponownie mrugnął do Harolda Gardenera. – Tyle balonów!

– Wiem, jak to brzmi – odparł drżącym głosem Hagarty.

– Widziałeś te balony? – zapytał Gardener. Don Hagarty powoli uniósł obie dłonie do twarzy.

– Widziałem je równie wyraźnie, jak teraz swoje palce. Tysiące balonów. Przysłoniły spód mostu. Falowały nieznacznie, odbijając się to w górę, to w dół. I był jeszcze ten dźwięk. Zabawny, cichy, piskliwy dźwięk. Kiedy ocierały się o siebie. I te sznurki. Las zwieszających się z balonów białych sznurków. Wyglądały jak białe pasemka pajęczyny. Klown zabrał Ade'a pod most. Widziałem, jak jego ubranie rozsuwało te sznurki na boki. Ade wydawał dziwne dźwięki, jakby się dusił. Ruszyłem za nim… i klown wtedy się odwrócił. Zobaczyłem jego oczy i w jednej chwili zrozumiałem, kto to był.

– Kto to był, Don? – spytał cicho Harold Gardener.

– To było Derry – odrzekł Don Hagarty. – To było to miasto.

– I co wtedy zrobiłeś? – zainteresował się Reeves.

– Uciekłem, durniu – odparł Hagarty i wybuchnął płaczem.

17

Harold Gardener miał spokój aż do 13 listopada, następnego dnia John Garton i Steven Dubay mieli stanąć przed sądem okręgowym Derry pod zarzutem zamordowania Adriana Mellona. Potem poszedł na spotkanie z Tomem Boutillierem. Chciał porozmawiać o klownie. Boutillier nie miał na to ochoty, ale kiedy zdał sobie sprawę, że Gardener bez jego drobnej pomocy mógłby zrobić coś głupiego, przystał na to.

– Nie było żadnego klowna, Haroldzie.

– Mamy dwóch świadków…

– To bzdury. Kiedy Unwin zorientował się, że tym razem nie pójdzie mu tak łatwo, zdecydował się rzucić na szalę Syndrom Jednorękiego. „To nie my zabiliśmy tego małego biednego pedzia, to był Jednoręki”. Hagarty z kolei był w szoku. Stał i patrzył, jak te gnoje mordują jego najlepszego przyjaciela. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby zobaczył latające talerze.

Boutillier wiedział lepiej. Gardener dostrzegał to w jego oczach i uniki zastępcy prokuratora okręgowego doprowadzały go do białej gorączki.

– Daj spokój – powiedział. – Mówimy tu o niezależnym świadku. Nie wciskaj mi kitu.

– Jaki kit? Czy chcesz mi wmówić, że wierzysz w klowna wampira, który zagnieździł się pod Main Street Bridge? Moim zdaniem właśnie to jest kit!

– Nie, niezupełnie, ale…

– A może wierzysz w to, że Hagarty zobaczył tam miliard balonów, każdy z takim samym napisem, jaki widniał na czapce jego kochanka? Moim zdaniem właśnie to jest kit.

– Nie, ale…

– To czemu mnie tym męczysz?

– Przestań brać mnie w krzyżowy ogień pytań! – ryknął Gardener. – Oni obaj opisali to jednakowo i żaden nie wiedział, co mówił drugi!

Boutillier siedział przy biurku, bawiąc się ołówkiem. Teraz odłożył go, wstał i podszedł do Harolda Gardenera. Boutillier był pięć cali niższy, ale Gardener cofnął się o krok przed gniewem tamtego.

– Chcesz, żebyśmy przegrali tę sprawę, Haroldzie?

– Nie, oczywiście, że…

– Chcesz, żeby te gnoje wyszły na wolność?

– Nie!

– W porządku. Skoro ustaliliśmy już pewne podstawy, powiem ci dokładnie, co o tym myślę. Tak. Prawdopodobnie tego wieczoru pod mostem był jakiś człowiek. Może miał na sobie kostium klowna, choć wydaje mi się, że musiał to być zwyczajny włóczęga ubrany w łachmany albo jakiś transwestyta. Sądzę, że zszedł tam na dół po drobniaki albo porzucone resztki jedzenia, hamburgera czy niedojedzoną torebkę frytek. Oczy tamtych dopowiedziały resztę, Haroldzie. Czy teraz uważasz, że to możliwe?

– Nie wiem – odparł Harold. Chciał być przekonany, ale opisy podane podczas składania zeznań były tak dokładne… Nie. Nie sądził, aby to było możliwe.

– To nie wszystko. Nie obchodzi mnie, czy to był klown Kinko czy facet na szczudłach przebrany za Wujka Sama albo Huberta Wesołego Geja. Jeżeli wprowadzimy tę postać do sprawy, ich adwokat załatwi im uniewinnienie. Powie, że jedynym przestępstwem, jakiego dopuściły się te dwie stojące tam niewinne owieczki (rzecz jasna ubrane elegancko i ze świeżo przyciętymi włosami), było wrzucenie tego pedzia Mellona do kanału. Zrobili to

naturalnie dla jaj. Wykaże, że Mellon przeżył upadek z mostu, będzie miał na to zeznania zarówno Unwina, jak i Hagarty'ego. Jego klienci nie popełnili morderstwa, o nie! To zrobił psychopata w stroju klowna.

– Unwin i tak o tym powie.

– Ale nie Hagarty – odparł Boutillier. – Bo on wie. I rozumie. A bez Hagarty'ego kto uwierzy Unwinowi?

– No tak, pozostajemy jeszcze my – rzekł Harold Gardener z goryczą, która dziwiła nawet jego samego. – Ale jak sądzę, my też nie puścimy pary z ust.

– Daj spokój! – ryknął Boutillier, wyrzucając obie ręce w górę. – Oni go zabili! Nie tylko wrzucili go do kanału. Garton miał nóż sprężynowy. Mellon został dźgnięty siedem razy, miał ranę w płucu i dwie rany kłute narządów płciowych. Wszystkie pasują do noża. Poza tym chłopak miał pęknięte cztery żebra; to zrobił Dubay, gdy chwycił go w niedźwiedzi uścisk. To prawda, miał na ciele ślady ukąszeń – na ramionach, policzku i szyi. A jeżeli nawet spod jego prawego ramienia wyrwano spory kawałek ciała, to co z tego? – Boutillier przerwał, spoglądając na Harolda. – Jeżeli włączymy do

sprawy klowna, ci gówniarze się z tego wyślizgają. Chcesz tego?

– Nie. Już mówiłem.

– Gość był pedziem, ale nikomu nie zrobił nic złego – ciągnął Boutillier. – Przejdźmy nad tym do porządku dziennego, a ci trzej niech nałożą ciężkie buciory i pogarują trochę, bo Bóg mi świadkiem, że to im się należy. Mam zamiar ich zapuszkować i jeżeli kiedykolwiek się dowiem, że ktoś z Thomaston przerżnął te ich małe jędrne dupki, to wyślę im z tej okazji pocztówkę i wyrażę nadzieję, że ten ktoś był chory na AIDS.

Bardzo porywcze, pomyślał Gardener. No i, rzecz jasna, skazańcy będą się świetnie prezentować w twoich aktach, kiedy za dwa lata wdrapiesz się na najwyższy stołek.

Wyszedł, nie mówiąc ani słowa więcej, bo on również był zdania, że ci trzej powinni znaleźć się za kratkami.

18

John Webber Garton został uznany za winnego morderstwa pierwszego stopnia i skazany na karę dwudziestu lat w więzieniu stanowym Thomaston.

Steven Bishoff Dubay został uznany za winnego morderstwa pierwszego stopnia

i skazany na karę piętnastu lat więzienia w zakładzie karnym Shawshank.

Christopher Philip Unwin został osądzony osobno jako nieletni i uznany za winnego morderstwa drugiego stopnia. Skazano go na sześć miesięcy w zakładzie dla nieletnich South Windham. Wyrok został zawieszony.

W chwili kiedy to piszę, wszystkie trzy wyroki zostały poddane apelacji. Gartona i Dubaya można zobaczyć, kiedy są na przepustkach – jak przyglądają się dziewczynom albo grają w Penny Pitch, w Bassey Park, nieopodal miejsca, gdzie przy jednym z filarów Main Street Bridge znaleziono unoszące się na wodzie, zmasakrowane zwłoki Adriana Mellona. Don Hagarty i Chris Unwin opuścili miasto. Na głównym procesie (gdzie sądzono Gartona i Dubaya) nikt nawet słowem nie napomknął o klownie.

ROZDZIAŁ 3
Sześć rozmów telefonicznych (1985)

1

Stanley Uris bierze kąpiel

Patricia Uris, jak powiedziała potem matce, powinna była się domyślić, że coś jest nie tak. Powinna była wiedzieć, bo Stanley nigdy się nie kąpał po południu. Co rano brał prysznic i czasami późnym wieczorem pomoczył się dłuższy czas w wannie (z pismem w jednej i piwem w drugiej ręce), ale kąpiel o dziewiętnastej to nie było w jego stylu. I do tego te książki. Powinny wprawiać go w radosny nastrój, ale czuła, choć nie potrafiła powiedzieć, jak to się działo, że te książki go denerwują

i wpędzają w depresję. Jakieś trzy miesiące przed tym okropnym dniem Stanley odkrył, że jego przyjaciel z dzieciństwa został pisarzem – nie prawdziwym pisarzem, jak Patricia powiedziała matce, lecz powieściopisarzem. Autor nazywał się William Denbrough, ale Stanley nazywał go niekiedy Billem Jąkałą. Przeczytał prawie wszystkie jego książki, ba, tego wieczoru podczas kąpieli czytał właśnie ostatnią – to było 28 maja 1985 roku. Patty z ciekawości sięgnęła kiedyś po jedną z nich. Odłożyła ją, przeczytawszy zaledwie trzy rozdziały. To nie była zwykła powieść, powiedziała później matce, to był horror. Określiła to prosto i łatwo jednym słowem, jakby mówiła „erotyk". Patty była słodką, dobrą kobietą, ale niezbyt elokwentną – chciała powiedzieć matce, jak bardzo przeraziła ją ta książka i dlaczego tak się stało, ale nie umiała.

– Roiło się w niej od potworów – mówiła. – Potworów ścigających małe dzieci. Były zabójstwa i… nie wiem… złe przeczucia i ból. Takie tam. – Prawdę mówiąc, odebrała tę książkę niemal jak pornografię. Starała się omijać to słowo i nigdy w życiu go nie wypowiadała, choć wiedziała, co znaczyło. – Ale czytając je, Stan czuł się, jakby wrócił pamięcią do czasów

dzieciństwa… Mówił o tym, że do niego napisze, ale wiedział, że tego nie zrobi… I zdawałam sobie sprawę, że te opowieści wprawiają go w okropny nastrój… i… i…

I wtedy Patty Uris zaczęła płakać.

Tego wieczoru, mniej więcej sześć miesięcy przed dwudziestą ósmą rocznicą zaginięcia George'a Denbrough, który spotkał klowna Pennywise'a, Stanley i Patty siedzieli w swym domu na przedmieściach Atlanty. Telewizor był włączony. Patty siedziała na wprost niego, dzieląc uwagę pomiędzy szycie a swój ulubiony program telewizyjny *Family Feud*. Ona po prostu adorowała Richarda Dawsona, uważała, że zegarek z dewizką, jaki zawsze nosił, był diablo seksowny i nawet końmi nie można by jej odciągnąć od ekranu. Poza tym lubiła ten show, bo prawie zawsze udzielała najbardziej popularnych odpowiedzi (w tym programie nie było prawidłowych odpowiedzi, tylko najbardziej popularne). Któregoś razu spytała Stana, dlaczego pytania, które są dla niej tak dziecinnie łatwe, wydają się tak trudne dla występujących tam rodzin.

– Prawdopodobnie kiedy tam siedzisz, w blasku reflektorów, wszystko wydaje ci się o wiele trudniejsze – odparł Stanley i wtedy

odniosła wrażenie, jakby jakiś cień napłynął na jego twarz. – Kiedy to dzieje się naprawdę, zawsze jest trudniej. I wtedy zaczynasz się dusić.

Prawdopodobnie miał rację, uznała. Stanley miał bardzo często ciekawe spostrzeżenia na temat ludzkiej natury. Naprawdę. O wiele bardziej interesujące niż jego stary przyjaciel, William Denbrough, który wzbogacił się, pisząc kilka horrorów. Nie żeby Urisom wiodło się kiepsko! Żyli w bogatej dzielnicy i mieli dom, który w 1979 roku nabyli za osiemdziesiąt siedem tysięcy dolarów, a który obecnie bez trudu mogliby sprzedać za sto sześćdziesiąt pięć tysięcy. Nieważne, czy chcieliby to zrobić, ale zawsze dobrze było to wiedzieć. Czasami wracała z Fox Run Mail swoim volvem (Stanley prowadził mercedesa diesla, który kiedy się z nim droczyła, nazywała Sedanley) i widząc swój dom, przystawała przy niskim cisowym żywopłocie, zastanawiając się: Kto tam mieszka? Ja, oczywiście! Pani Stanleyowa Uris! To nie była w pełni szczęśliwa myśl; uczucie psuła potworna duma, która ją zżerała. Widzicie, bo kiedyś ta kobieta była samotną osiemnastolatką Patricią Blum i odmawiano jej nawet wstępu na przyjęcia szkolne w klubie miasteczka Glanton w stanie Nowy Jork. Odmówiono jej wstępu rzecz jasna

dlatego, że jej nazwisko rymowało się z *plum*[1] i to właśnie była ona, słodka, mała żydowska śliweczka. Ale tego typu dyskryminacje były naturalnie bezprawne (cha, cha, cha) no i, a może przede wszystkim, minęło już tyle lat. Tyle że dla pewnej części to się nigdy nie skończy. Część niej zawsze będzie wracać do samochodu z Michaelem Rosenblattem oraz chrzęstu żwiru pod jej pantoflami i jego wypożyczonymi lakierkami. Samochód należał do jego ojca, Michael pożyczył go na wieczór i woskował przez całe popołudnie. Część niej będzie zawsze kroczyć obok Michaela ubranego w wypożyczony biały smoking – jak on lśnił tego pięknego wiosennego wieczoru! Ona miała na sobie jasnozieloną suknię wieczorową, w której jak twierdziła jej matka, wyglądała niczym syrena – żydowska syrenka, niezłe (cha, cha, cha). Szli z podniesionymi głowami, a ona nie uroniła nawet jednej łzy (nie wtedy), odnosiła jednak wrażenie, że nie wracali, ale rejterowali, i oboje czuli się teraz bardziej niż kiedykolwiek Żydzi, jak właściciele lombardu, jak bydło przewożone w ciężarówce, jak zbite psy, jak żydowskie wypierdki, szczeniaki, które chcą, by ogarnęła ich wściekłość, ale nie potrafią jej z siebie wykrzesać – a gniew przyszedł później, kiedy

było im już wszystko jedno. W tej chwili czuła jedynie wstyd i ból. A potem ktoś wybuchnął śmiechem. Wysoki, piskliwy szczebioczący śmiech, jak szybkie przebiegnięcie palcami po klawiaturze fortepianu. I dopiero w samochodzie zaczęła płakać, o tak, wspaniała żydowska syrenka o fatalnym nazwisku rozryczała się na dobre.

Dom usadowiony z takim pietyzmem za żywopłotem z cisów sprawiał, że czuła się lepiej – ale nie za dobrze. Ból i wstyd pozostały i chociaż całkiem nieźle żyło jej się z sąsiadem, nie mogło to zatrzeć wspomnień owego feralnego wieczoru i zagłuszyć potwornego chrzęstu żwiru, który stale pobrzmiewał w jej uszach.

Nawet to, że była członkiem tutejszego klubu (wraz z mężem) i *maître d'hôtel* zawsze witał ich z szacunkiem. Wracała do domu swoim volvem (rocznik 1984) i patrząc na dom otoczony połaciami zielonego trawnika, często – aż za często, jak się jej wydawało – myślała o tym przejmującym chichocie. Miała nadzieję, że ta dziewczyna, która się wtedy śmiała, żyła teraz w jakiejś marnej ruderze, określonej na wyrost mianem domu, z mężem gojem, który lał ją z byle powodu, ze trzy razy była w ciąży, ale nie donosiła żadnego dziecka, mąż zdradzał ją

z chorymi kobietami, a do tego ta nieznajoma dziewczyna miała kłopoty z kręgosłupem, żołądkiem oraz torbiele na swoim niewyparzonym, pieprzonym jęzorze.

Może to wszystko wreszcie minęło. Nie mam już osiemnastu lat. Mam trzydzieści sześć i jestem kobietą. Dziewczyną, która słyszała ten niekończący się chrzęst żwiru, która odsunęła się przed dotknięciem dłoni Mike'a Rosenblatta, kiedy próbował ją pocieszyć, tylko dlatego, że był Żydem. Ta głupia mała syrenka umarła. Teraz już mogę o niej zapomnieć i być sobą.

Jednak przeważnie czuła się całkiem nieźle. Wręcz dobrze. Lepiej niż dotychczas. Kochała męża, swój dom i zazwyczaj również kochała swoje życie i siebie samą. Rzeczy miały się świetnie. Nie zawsze tak było, naturalnie, ale to przecież oczywiste. Czy zdarzyło się tak, żeby zawsze było dobrze?

Kiedy przyjęła pierścionek zaręczynowy od Stana, jej rodzice byli jednocześnie wściekli i nieszczęśliwi. Spotkała go na jednym z przyjęć. Przyjechał do jej szkoły z Uniwersytetu Nowego Jorku, gdzie był stypendystą. Przedstawił ich sobie wspólny znajomy i zanim wieczór dobiegł końca, zaczęła podejrzewać, że się w Stanie zakochała. Podczas przerwy semestralnej była

o tym przekonana. Kiedy nadeszła wiosna i Stanley zaoferował jej pierścionek z diamencikiem nałożonym na stokrotkę, przyjęła go. W końcu jej rodzice zaakceptowali go pomimo wcześniejszych uprzedzeń. Nie mieli zbyt wielkiego wyboru, choć Stanley Uris zamierzał niebawem rozpocząć nową pracę i tym samym przestał żyć na koszt rodziny, biorąc w formie zakładniczki (i uśmiechu fortuny) ich jedyną córkę. Ale Patty miała dwadzieścia dwa lata, była już kobietą i niedługo miała skończyć naukę.

– Będę łożył na tego czterookiego sukinsyna do końca życia. – Patty którejś nocy usłyszała słowa ojca. Jej rodzice wyszli na kolację i ojciec wypił o parę głębszych za dużo.

– Cii… cii… bo cię usłyszy – powiedziała Ruth Blum. Tej nocy Patty co najmniej do dwunastej nie mogła usnąć – było jej na przemian to gorąco, to zimno. Nienawidziła rodziców. Nie płakała. Przez następne dwa lata usiłowała wyplenić z siebie tę nienawiść, ale zbyt dużo jej się w niej nazbierało. Czasami, kiedy patrzyła w lustro, widziała rzeczy, jakie wyprawiało z jej twarzą, zmarszczki, jakie się pojawiały.

Wygrała jednak tę walkę. Pomógł jej w tym Stan. Jego rodzice również nie byli zachwyceni

tym związkiem. Naturalnie nie wierzyli, że ich Stanleya czeka życie w skrajnej nędzy, ale twierdzili, że „obecna młodzież jest nad wyraz popędliwa”. Donald Uris i Andrea Bertoly pobrali się, gdy oboje nie mieli dwudziestu lat, ale jakby zupełnie o tym fakcie zapomnieli. Tylko Stanley zdawał się pewny siebie i swej przyszłości. Nie przejmował się trudami życia, przed którymi przestrzegali go rodzice. Nie przejmował się tym, co mówili o „pochopnych decyzjach”. I w końcu okazało się, że to on miał rację, a nie oni. W lipcu 1972 roku, kiedy na jej dyplomie ledwo zasechł atrament, Patty otrzymała pracę w Traynor, małym miasteczku czterdzieści mil na południe od Atlanty, gdzie miała uczyć stenografii i urzędowego angielskiego. Kiedy myślała o tym, jak do tego doszło, dochodziła do wniosku, że był to co najmniej dziwny przypadek. Sporządziła listę czterdziestu propozycji, które brała pod uwagę, z ogłoszeń w czasopismach dla nauczycieli, a potem w ciągu pięciu wieczorów napisała czterdzieści listów (po osiem każdego wieczoru) z prośbą o dalsze informacje na temat pracy i formularze zgłoszeniowe. Otrzymała dwadzieścia dwie odpowiedzi, że propozycje są już nieaktualne. W pozostałych wypadkach nie miała odpowiednich kwalifikacji i dalsza

korespondencja – jak wynikało z wyjaśnień firm – byłaby stratą czasu i biur, i jej samej. Pozostało tuzin propozycji. Wszystkie niemal jednakowe. Stanley przyszedł, kiedy siedziała nad nimi i zastanawiała się, czy zdoła wypełnić tuzin podobnych formularzy, nie dostając przy tym kręćka. Spojrzał na stos papierów na stole, a potem stuknął palcem w list z Traynor Superintendent of Schools – list wyglądający dokładnie tak samo jak pozostałe. List, który nie wyróżniał się absolutnie niczym.

– Tam – powiedział.

Uniosła wzrok, spojrzała na niego zaskoczona prostotą i przekonaniem w jego głosie.

– Wiesz coś o Georgii, czego ja nie wiem?

– Skąd? Oglądałem ją tylko na filmach.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– *Przeminęło z wiatrem*, Vivien Leigh, Clark Gable. Pomyślę o tym jutro. Jutro też jest dzień. Czy mam południowy akcent, Patty?

– Tak, z południowego Bronksu. Jeżeli nic nie wiesz o Georgii i nigdy tam nie byłeś, to dlaczego…

– Bo to jest właśnie to.

– Nie możesz tego wiedzieć na pewno, Stanley.

– Mogę. Pewno, że mogę – odparł po prostu. – Ja wiem.

Patrząc na niego, zdała sobie sprawę, że nie żartował. Mówił całkiem serio.

I w tej samej chwili przebiegł jej po plecach dreszcz.

– Skąd wiesz?

Uśmiechnął się półgębkiem. Teraz ten uśmiech przygasł, a jego miejsce zajął grymas zakłopotania.

– Żółw nie mógł nam pomóc – rzekł nagle. Powiedział to wyraźnie. Usłyszała to. Na jego twarzy wciąż malował się ten wyraz głębokiego zamyślenia i nagle poczuła, że zaczyna ją ogarniać przerażenie.

– Stanley? O czym ty mówisz? Stanley?

Drgnął gwałtownie. Pracując nad formularzami, jadła brzoskwinie i teraz jego ręka trąciła talerz. Spadł na podłogę i stłukł się. W oczach Stanleya pojawił się błysk zrozumienia.

– O cholera! Przepraszam!

– Już dobrze. Stanley, o czym ty mówiłeś?

– Zapomniałem – odparł. – Ale myślę, że powinniśmy pojechać do Georgii, kochanie.

– Ale…

– Zaufaj mi – powiedział. Zrobiła to.

Jej rozmowa wstępna wypadła znakomicie. Już w pociągu, gdy jechała do Nowego Jorku, wiedziała, że zdobyła tę pracę. Szef wydziału

handlu zapałał sympatią do Patty (z wzajemnością). List potwierdzający swoje przypuszczenia otrzymała tydzień później. Wydział Szkolnictwa Traynor Consolidated mógł jej zaproponować na początek próbny kontrakt i wynagrodzenie w wysokości dziewięciu tysięcy dwustu dolarów.

– Zemrzesz z głodu – rzekł Herbert Blum, kiedy powiedziała mu, że zamierza przyjąć tę pracę. – Sparzysz się na tym.

– Trele-morele, Scarlett – powiedział Stanley, kiedy podzieliła się z nim tym, co usłyszała od ojca. Była wściekła, bliska łez, ale teraz zaczęła chichotać, a Stanley wziął ją mocno w ramiona.

Kochali się i nie umarli z głodu. Pobrali się 19 sierpnia 1972 roku. Patty Uris weszła do małżeńskiego łoża jako dziewica. Wślizgnęła się naga do chłodnej pościeli hotelu w kurorcie Poconos w nad wyraz burzliwym nastroju – z jednej strony czuła, jak wybuchają w niej jasne jak błyskawice pożądanie i nieopisana rozkosz, z drugiej zaś ogarniały ją mroczne obrazy.

Kiedy Stanley wślizgnął się do łóżka obok niej – góra mięśni, z grubym członkiem sterczącym twardo spomiędzy kłębowiska rudych włosów łonowych – wyszeptała:

– Nie zrób mi krzywdy, kochanie.

– Nigdy cię nie skrzywdzę – odparł, biorąc ją w ramiona, i obietnicy tej dotrzymał do 28 maja 1985 roku, do wieczoru, kiedy poszedł wziąć kąpiel.

W pracy szło jej świetnie. Stanley podjął pracę jako kierowca ciężarówki rozwożącej pieczywo – za sto dolców tygodniowo. W październiku tego roku, kiedy otwarto Centrum Handlowe Traynor Flats, zaczął tam pracować w biurze H&R Block za sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. W sumie zarabiali razem siedemnaście tysięcy rocznie, co wydawało się im nielichą sumą w czasach, kiedy galon benzyny kosztował trzydzieści pięć centów, a bochenek białego chleba o dziesięć centów mniej. W marcu 1973 roku bez pompy i fanfar Patty Uris przestała brać pigułki antykoncepcyjne.

W 1975 roku Stanley rzucił pracę dla H&R Block i otworzył własny interes. Rodzice obojga uznali to za nierozsądny krok. Nie żeby Stanley nie miał otwierać własnego interesu, uchowaj Boże, powinien to zrobić, ale jeszcze nie teraz, jeszcze jest na to za wcześnie, mówili zgodnie – w tej sytuacji będą musieli oboje żyć z pieniędzy Patty (przynajmniej dopóki ten darmozjad nie wyciągnie od niej wszystkiego, jak powiedział swemu bratu Herbert Blum któregoś ranka po

nocy spędzonej na popijawie w kuchni, a później ja będę ich musiał utrzymywać). Rodzice zgodnie doszli do wniosku, że człowiek nawet nie powinien myśleć o otwieraniu własnego interesu, dopóki nie osiągnie bardziej dojrzałego wieku i nie zmądrzeje, czyli kiedy stuknie mu minimum siedemdziesiąt osiem lat.

I ponownie Stanley sprawiał wrażenie nad wyraz pewnego siebie. Był młody, przystojny, mądry i zdolny. Praca dla Blocków dała mu dobry start. To wszystko wiedział. Nie wiedział tylko, że Corridor Video, pionier w rodzącym się dopiero przemyśle wideo, miał zamiar zająć olbrzymią połać wydzierżawionego terenu niecałe dziesięć mil od przedmieścia, na które w 1979 roku przeprowadzili się Urisowie, i nie mógł wiedzieć, że niecały rok po pojawieniu się w Traynor firma Corridor stanie się rynkiem dla niezależnego marketingu. Nawet gdyby Stan dysponował tymi informacjami, to z całą pewnością nie uwierzyłby, że znajdzie się tam praca dla młodego amerykańskiego Żyda – okularnika, na którego twarzy często gościł uśmiech; który idąc, kołysał lekko biodrami; który poza pracą preferował noszenie starych, spranych dżinsów i na którego twarzy wciąż

jeszcze można było dostrzec oznaki trądziku młodzieńczego.

A jednak się znalazła. Został zatrudniony. I wyglądało, jakby Stan przez cały czas wiedział, że tak się stanie. Podjąwszy pracę dla CV, w bardzo szybkim tempie zdał sobie sprawę, jak wysoko zaszedł. Trzydzieści tysięcy dolarów rocznie to był niezły kawał grosza.

– A to dopiero początek – rzekł Stanley do Patty tej nocy w łóżku. – W sierpniu interes rozrośnie się jak kukurydza na polu. Jeżeli tylko nikt nie wysadzi tej planety w powietrze, w ciągu najbliższych dziesięciu lat dorównają takim potentatom jak Kodak, Sony czy RCA.

– I co masz zamiar zrobić? – spytała, choć znała już odpowiedź.

– Powiem im, że praca dla nich będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością – odparł i wybuchnął śmiechem, a potem przyciągnął ją do siebie i pocałował. Chwilę potem wszedł na nią i kochali się w miłosnym uniesieniu… ale nie spłodził dziecka.

Pracując dla CV, spotkał paru najbogatszych i najpotężniejszych ludzi z Atlanty. Oboje ze zdziwieniem stwierdzili, że to w większości całkiem równi faceci. Tamci dostrzegli, że ich akceptuje i jest życzliwy, a to rzadkie u kogoś

z Północy. Patty przypomniała sobie, jak kiedyś Stanley pisał list do domu do rodziców. „Najbogatsi ludzie w Stanach żyją w Atlancie, w Georgii. Zamierzam pomóc paru z nich we wzbogaceniu się, a oni pomogą mi w zbiciu fortuny i nie będę należał do nikogo prócz mojej żony Patricii, a ponieważ ona jest już moja, myślę, że wszystko jest w najlepszym porządku”.

Niedługo potem wyprowadzili się z Traynor, a Stanley został akcjonariuszem spółki i miał pod sobą sześciu ludzi. W 1983 roku stan ich dochodów znalazł się na nieznanym dotąd terytorium; terytorium, które Patty znała jedynie ze słyszenia. To była bajeczna sześciocyfrowa kraina. Poszło to tak szybko i łatwo, jak włożenie adidasów w niedzielny poranek. To ją czasami przerażało. Raz żartem bąknęła coś o pakcie z diabłem. Stanley śmiał się do rozpuku, ale jej nie wydawało się to zabawne i chyba nigdy nie będzie. „Żółw nie mógł nam pomóc”. Czasem, zupełnie bez powodu, budziła się w nocy, mając w myślach te słowa jako jedyny fragment zapomnianego snu, i odwracała się do Stanleya, by go dotknąć, upewnić się, że nadal przy niej jest.

To było dobre życie – żadnych dzikich pijatyk, pozamałżeńskiego seksu, narkotyków, nudy ani

gorzkich kłótni na temat tego, co powinni dalej robić. Była tylko jedna jedyna chmura. To jej matka wspomniała o niej pierwsza. I wyglądało na to, że to właśnie ona wywołała tę chmurę. Zrodziła się z pytania, które pojawiło się w jednym z listów Ruth Blum. Pisała do Patty raz na tydzień, a ten szczególny list przyszedł wczesną jesienią 1979 roku. Przysłano go na ich nowy adres z Traynor, a Patty przeczytała go w salonie zasłanym stertami kartonowych pudeł, zawierających cały ich dobytek, który teraz kojarzył się z powyrywanymi chwastami porzuconymi na polu, żeby zgniły.

Pod wieloma względami był to zwyczajny list z domu Ruth Blum – cztery niebieskie stroniczki zapisane gęstym maczkiem, każda z nagłówkiem „To tylko list od Ruth”. Jej bazgroły były niemal nieczytelne i Stanley skarżył się, że nie potrafił przeczytać ani jednego słowa napisanego przez teściową.

– A po co miałbyś czytać? – oparła Ruth.

W liście tym mama jak zwykle dzieliła się z nią najświeższymi plotkami, dla Ruth Blum wspomnienia były jak rzeka wypływająca z ruchomego punktu tu i teraz i tocząca swe wody poprzez coraz to nowe kaskady stosunków międzyludzkich. Wielu ludzi, o których pisała jej

matka, blakło w pamięci Patty jak fotografie w starym albumie, ale dla Ruth one wszystkie pozostawały świeże. Jej troska o ich zdrowie i ciekawość związana z tym, co robili, nigdy nie słabła, a jej prognozy były wyjątkowo trafne. Ojciec nadal cierpiał na dotkliwe bóle żołądka. On był pewien, że to tylko zwykła niestrawność; myśl, że to mógł być wrzód (pisała), nie przyszła mu do głowy, dopóki nie zaczął kasłać krwią, a może nawet i wtedy nie. „Znasz swego ojca, kochanie – pracuje jak muł i czasami nawet tak myśli. Boże, wybacz mi tego typu określenia. Randi Harlengen poddała się operacji; wyjęli jej z jajników cysty wielkie jak piłki golfowe – dzięki Bogu nie miała guza, ale dwadzieścia siedem cyst, wyobrażasz sobie? Przecież z czymś takim można się wykończyć!”. To ta woda w Nowym Jorku, na pewno, no i powietrze w mieście jest strasznie zanieczyszczone, ale ona była przekonana, że to przez wodę. Niszczy człowieka od środka. Często dziękowała Bogu, że Patty i jej mąż wyjechali na wieś, gdzie zarówno powietrze, jak i woda – a woda w szczególności – były o wiele czystsze (dla Ruth całe Południe włącznie z Atlantą i Birmingham to była wieś). Ciotka Margaret znowu zaczęła się procesować z elektrownią. Stella Flanagan ponownie wyszła

za mąż – niektórzy nigdy się niczego nie nauczą. Richiego Hubera znowu wylali z roboty.

I w samym środku tej słodkości, płytkiej gadki szmatki, zupełnie bez powodu, bez żadnego à propos, Ruth Blum zadała, niejako na marginesie, to przerażające pytanie: „No to kiedy ty i Stan uczynicie nas dziadkami? Jesteśmy już gotowi, aby rozpieścić jego (lub ją) do granic możliwości. A tymczasem, gdybyś tego nie zauważyła, Patty, my wcale nie stajemy się młodsi". Potem zmieniła temat i zaczęła opowiadać o dziewczynie Brucknerów z końca ulicy, którą odesłano ze szkoły do domu, bo nie nosiła stanika i miała bluzkę, przez którą wszystko było widać.

Tęskniąc za ich starym domem w Traynor, czując się niepewnie i jakby trochę przestraszona tym, co mogło ją jeszcze czekać, Patty poszła do pokoju, który miał być ich sypialnią, i położyła się na materacu (reszta posłania znajdowała się w garażu, a tu w sypialni na gołej podłodze rozłożono tylko materac). Ukryła głowę w ramionach i płakała przez blisko dwadzieścia minut. Wiedziała, że będzie płakać. Tak czy inaczej, to musiało nastąpić. Po prostu list matki przyspieszył ten proces, tak jak kurz porwany

wiatrem, kiedy dostanie się do nosa, powoduje kichanie.

Stanley chciał mieć dzieci. Ona też chciała. Mieli na ten temat identyczne zdanie, tak jak na to, że lubią filmy Woody'ego Allena i nie przepadają za częstymi wizytami w synagodze. Mieli identyczne przekonania polityczne, nie lubili marihuany i zgadzali się w setkach innych, bardziej lub mniej ważnych spraw. W domu w Traynor mieli pokój podzielony na dwie części. Po lewej stronie znajdowały się stół do pracy i fotel do czytania. Po prawej maszyna do szycia i stolik karciany, na którego blacie układała puzzle. Bardzo rzadko rozmawiali na temat pokoju, on po prostu tam był, na swoim miejscu, tak jak ich nosy czy obrączki ślubne. Kiedyś ten pokój będzie należał do Andy'ego lub Jenny. Ale co z dzieckiem? Czemu nie przychodzi na świat? Maszyna do szycia, kosze z materiałami, stół i stolik karciany znajdowały się na swoich miejscach i zdawały się z każdym miesiącem umacniać tam swoją pozycję, cementując tym samym trwałość ich związku. „Poczęcie" – to słowo, tak jak „pornografia", nigdy nie padło z jej ust, ale zawsze właśnie o to jej chodziło. Pamiętała, jak któregoś razu dostała okres i otworzyła szafkę pod umywalką w łazience, aby

wyjąć z niej paczkę podpasek. Spojrzała na pudełko i wtedy odniosła wrażenie, jakby ono uśmiechnęło się do niej radośnie. „Cześć, Patty! Jesteśmy twoimi dziećmi. Jesteśmy jedynymi dziećmi, jakie będziesz miała, i jesteśmy głodne. Nakarm nas. Nakarm nas swoją krwią”.

W 1976 roku, trzy lata po tym, jak przestała używać tabletek antykoncepcyjnych, pojechali do lekarza w Atlancie. Nazywał się Harkavay.

– Chcemy wiedzieć, czy coś jest nie w porządku – powiedział Stanley. – I jeżeli tak, to czy można coś na to zaradzić.

Zrobili testy. Sperma Stana okazała się w porządku, podobnie jak jajniki Patty; wszystkie kanały, które powinny być otwarte, były otwarte.

Doktor Harkavay, który nie nosił obrączki i był otwartym, miłym facetem o twarzy studenta z college’u tuż po powrocie z semestralnych wakacji spędzonych na nartach w Kolorado, powiedział im, że to mogło być spowodowane przez nerwy. Powiedział, że to często spotykana sytuacja, że psychika tak jak impotencja może uniemożliwiać zapłodnienie – im bardziej się tego chciało, tym mniej z tego wychodziło. Powinni się rozluźnić i zapomnieć podczas stosunków o prokreacji.

W drodze do domu Stan był wyjątkowo ponury. Patty spytała go dlaczego.

– Nigdy tego nie robię – odparł.

– Czego?

– Nie myślę o prokreacji. W trakcie.

Zaczęła chichotać, choć w głębi duszy czuła strach i osamotnienie. I tej nocy, leżąc w łóżku, długo po tym, jak sądziła, że już usnął, przestraszyła się, gdy usłyszała jego głos dochodzący z ciemności. Był cichy, tłumiony łzami.

– To ja – powiedział. – To moja wina.

Odwróciła się do niego i objęła go.

– Nie wygłupiaj się. – Ale jej serce biło szybko, zbyt szybko. Nie to ją jednak zdziwiło. To było tak, jakby zajrzał w głąb jej umysłu i odczytał utajnioną informację, przekonanie, które tam skrywała, ale o którym aż do tej chwili nie wiedziała. Czuła, że miał rację. Coś było nie tak. Ale nie z nią. Z nim. Z czymś w jego wnętrzu. – Daj spokój – wyszeptała w jego ramię. Był lekko spocony i nagle zdała sobie sprawę, że Stan był przerażony. Strach bił od niego chłodnymi falami i gdy tak leżała nago obok niego, czuła się, jakby leżała na wprost otwartej lodówki.

– Wiem, co mówię. I wcale się nie wygłupiam – powiedział tym samym tonem. – I ty też o tym

wiesz. To ja. Ale nie wiem czemu.

– Nie możesz tego wiedzieć. – Jej głos był ochrypły, beształący jak głos matki, kiedy się czegoś bała. I gdy to mówiła, całe jej ciało przeszył ostry dreszcz jak smagnięcie bicza. Stanley poczuł to i jego ramiona zacisnęły się mocno wokół niej.

– Czasami wydaje mi się, że wiem dlaczego. Czasami mam sen, zły sen, i budzę się, myślę. A teraz już wiem. Już wiem, co jest nie tak. Nie chodzi tylko o to, że nie możemy mieć dziecka. Chodzi o wszystko. W moim życiu wszystko jest nie tak, jak powinno.

– To nieprawda, Stanley.

– Nie mówię o tym, co wewnątrz. W środku wszystko jest w porządku. Mówię o tym, co jest na zewnątrz. O czymś, co powinno było się skończyć, ale się nie skończyło. Budzę się wtedy i myślę… Całe życie spędziłem w oku cyklonu i praktycznie nic z tego nie rozumiem. Boję się. I wtedy to wszystko zaczyna blaknąć. Tak jak to zwykle bywa ze snami.

Wiedziała, że często miewał niespokojne sny. Budził ją kilkakrotnie, gdy rzucał się na łóżku i jęczał. Prawdopodobnie parę razy przespała jego nocne koszmary. Kiedy zaś próbowała mu pomóc i pytała go, co się z nim działo,

odpowiadał zawsze tak samo: „Nie pamiętam. Nie mogę sobie przypomnieć”. Potem zwykle siadał na łóżku i sięgał po papierosy, czekając, aż resztki snu wypłyną przez pory jego ciała jak kropla złego potu. Nie mieli dzieci. Tego wieczoru, 28 maja 1985 roku – w wieczór kąpieli – ich rodzice nadal czekali, że zostaną dziadkami. Dodatkowy pokój był wciąż dodatkowym pokojem. Podpaski (mini i maksi) nadal znajdowały się w szafce pod umywalką w łazience.

Jej matka, która była zajęta własnymi sprawami, ale wcale nieobojętna na ból córki, przestała wypytywać ją w listach o dziecko i nie wspominała o tym słowem, kiedy Stan i Patty dwukrotnie w ciągu roku przyjeżdżali do Nowego Jorku.

Nie było już żartobliwych wzmianek o tym, czy brali regularnie pastylki z witaminą E. Stanley przestał mówić o dzieciach, ale czasami, kiedy nie wiedział, że mu się przyglądała, Patty dostrzegała cień spowijający jego twarz. Jakiś cień. Jakby rozpaczliwie starał się coś sobie przypomnieć. Poza tą jedną chmurą prowadzili całkiem radosne i przyjemne życie, aż do momentu, kiedy tego wieczoru – 28 maja, w połowie programu *Family Feud*, rozdzwonił się

telefon. Patty miała w rękach zestaw sześciu koszul Stana i dwie swoje bluzki, a Stan wydaną w twardej oprawie najnowszą książkę Williama Denbrough. Na okładce widniała jakaś rycząca potworna bestia. Na odwrocie było zdjęcie łysego mężczyzny w okularach. Stan siedział blisko telefonu. Podniósł słuchawkę i powiedział:

– Halo, dom Urisów. – Słuchał przez chwilę, a pomiędzy jego brwiami pojawiła się zmarszczka zamyślenia. – Kto? Proszę powtórzyć!

Patty poczuła, że nagle zaczyna ją ogarniać przerażenie. Później wstyd zmusi ją do kłamstwa i powie rodzicom, że kiedy tylko zaczął dzwonić telefon, domyślała się, że stanie się coś złego, ale tak naprawdę tylko jeden jedyny raz uniosła wzrok znad swojej sterty szycia. Może miała rację. Może na długo przed tym telefonem oboje przypuszczali, że niebawem coś się stanie, coś, co nie pasowało do tego miłego domku znajdującego się za niskim cisowym żywopłotem, coś tak oczywistego, że nie wymagało potwierdzenia… prócz tego jednego jedynego ukłucia niewypowiedzianej zgrozy, która przeszyła jej serce jak ostrze szpikulca do lodu. To wystarczyło. W zupełności.

– Czy to mama? – spytała natychmiast, myśląc, że może jej ojciec, mający dwadzieścia funtów nadwagi i cierpiący na ustawiczne „bóle brzucha”, odkąd skończył czterdziestkę, doznał ataku serca.

Stan pokręcił głową, a potem uśmiechnął się na coś, co powiedział mu głos w słuchawce.

– To ty. Ty… Niech mnie diabli, Mike! Jak się… – Ponownie umilkł. Nasłuchiwał.

Kiedy jego uśmiech przygasł, rozpoznała przyczynę, jak jej się wydawało; wyraz najgłębszego skupienia na twarzy, grymas, który pojawił się teraz, pogłębiał, kiedy Stan rozwiązywał jakiś skomplikowany problem, słuchał informacji na temat nagłej zmiany istniejącej sytuacji albo gdy ktoś mówił mu coś dziwnego i interesującego. Prawdopodobnie to ostatnie, doszła do wniosku. Nowy klient? Stary przyjaciel? Być może. Ponownie skupiła uwagę na ekranie telewizora, gdzie jakaś kobieta zarzuciła Richardowi Dawsonowi ramiona na szyję i zaczęła całować go jak oszalała. Pomyślała, że Richard Dawson musiał być obcałowywany jeszcze częściej niż kamień Blarney. Pomyślała też, że sama nie miałaby nic przeciw temu, aby go pocałować. Kiedy zaczęła szukać czarnego guzika, który pasowałby do

niebieskiej koszuli Stana, prawie nie zdawała sobie sprawy, że rozmowa telefoniczna przybrała bardzo poważny ton. Stanley milczał, kiwał głową, aż wreszcie chrząknął i zapytał:

– Czy jesteś pewien, Mike? – W końcu po bardzo długiej przerwie powiedział: – W porządku. Rozumiem. Tak… ja… tak. Tak… Wszystko. Rozumiem. Co? Nie. Nie mogę absolutnie obiecać, ale przemyślę to. Bardzo dokładnie. Wiesz, że… ach? Naprawdę? No, możesz być pewny! Oczywiście, że tak. Ta… pewno… dziękuję… tak. Na razie. – Odłożył słuchawkę.

Patty odwróciła się do niego i zobaczyła, że Stan wpatruje się niewidzącym wzrokiem w ekran telewizora. W programie widzowie oklaskiwali rodzinę Ryanów, która zdobyła właśnie dwieście osiemdziesiąt punktów, trafnie zgadując, że największy procent widzów uzna matematykę za najbardziej znienawidzony przez uczniów przedmiot w szkole.

Stanley był zasępiony. Później Patty powie swoim rodzicom, że twarz Stanleya sprawiała wrażenie, jakby była wyprana z kolorów, a w każdym razie tak jej się wtedy wydawało, ale nie doda, że w głębi duszy uznała to za grę

światła bijącego z lampy na stoliku, lampy z zielonym abażurem.

– Kto to był, Stan?

– Hmm? – Odwrócił się i spojrzał na nią. Wyraz jego twarzy stanowił dziwną mieszankę łagodnego roztargnienia i wczesnego stadium rozdrażnienia. Dopiero później, kiedy wielokrotnie rozważała w myślach tę sytuację, zrozumiała, że to było spojrzenie człowieka, który metodycznie odłączał się od rzeczywistości, wyrywając jeden kabel za drugim. To była twarz człowieka, który przechodzi z błękitu w czerń.

– Kto dzwonił?

– Nikt – odparł. – Nikt, naprawdę. Myślę, że wezmę kąpiel.

Wstał.

– Co? O siódmej wieczorem?

Nie odpowiedział, tylko wyszedł z pokoju. Mogła go zapytać, czy coś się stało, mogła nawet pójść za nim i spytać, czy coś go boli, bo jeżeli chodziło o niektóre rzeczy, Stan był pedantyczny i nie miał w zwyczaju ot tak, całkiem nagle, wstawać od przerwanego zajęcia, aby wziąć kąpiel. To nie było w jego stylu. Ale właśnie teraz przedstawiono nową rodzinę, a poza tym i tak straciła już zbyt wiele czasu na odnalezienie tego cholernego czarnego guzika, choć wiedziała, że

w pudełku jest ich całkiem sporo. Ukrywały się, naturalnie, to było jedyne wyjaśnienie…

Dlatego też pozwoliła mu odejść i pomyślała o nim dopiero jakiś czas później, kiedy uniósłszy przypadkiem wzrok, zobaczyła pusty fotel. Usłyszała, jak na górze Stan napuszcza wody do wanny i zakręca ją jakieś pięć, dziesięć minut później… ale nie zwróciła uwagi, żeby otwierał i zamykał drzwiczki od lodówki, a to oznaczało, że był tam, na górze, bez swojej zwyczajowej puszki piwa. Ktoś do niego zadzwonił i zabił mu nielichego ćwieka. Stan miał kłopoty, a ona nie raczyła pocieszyć go choćby słowem. Właśnie. Czy próbowała go choćby pocieszyć? Nie. Czy starała się mu pomóc? Nie. Czy w ogóle zdawała sobie sprawę, że coś jest nie tak? Nie, po raz trzeci – nie.

Wszystko przez jakiś głupi program telewizyjny; nawet nie mogła zrzucić winy za to, co się stało, na guziki – one były tylko nędzną wymówką.

W porządku, zaniesie mu na górę puszkę dixie, wyszoruje mu plecy – będzie grała gejszę – jeżeli zechce, umyje mu włosy, a potem dowie się, o co albo o kogo chodziło. Czym się tak zadręczał.

Wyjęła z lodówki puszkę piwa i poszła z nią na górę. Pierwsze uczucie niepokoju pojawiło się, kiedy zobaczyła zamknięte drzwi łazienki. Nie półprzymknięte, ale zamknięte. Stanley nigdy nie zamykał drzwi, kiedy się kąpał. To był taki ich wspólny żart. Zamknięte drzwi oznaczały, że robił coś, czego nauczyła go matka, a otwarte, że nie miał nic przeciwko zrobieniu tego, czego naukę matka pozostawiła komuś innemu.

Patty zastukała paznokciem w drzwi i nagle zupełnie nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, że ten dźwięk w przerażający sposób kojarzy się ze skrobaniem gadzich pazurów. Poza tym stukanie do drzwi łazienki jak gość nie należało do ogólnie przyjętych zwyczajów, jakie kultywowali w swoim związku małżeńskim. Nigdy tego nie robiła. Nie pukała ani do łazienki, ani do żadnych innych drzwi w ich domu.

Nagle jej niepokój zaczął narastać. Pomyślała o jeziorze Carson, gdzie często pływała jeszcze jako młoda dziewczyna. Na początku sierpnia jezioro było ciepłe jak woda w wannie… ale mogło się zdarzyć, że natrafiałaś na zimne miejsca i przeszywały cię dreszcze; połączenie zaskoczenia i uczucia przyjemności. W jednej chwili było ci ciepło, w drugiej zaczynałaś dygotać z zimna. Pominąwszy uczucie

przyjemności, to było dokładnie to, co teraz czuła – jakby natrafiła na zimne miejsce pośród toni jeziora. Tyle że nie znajdowało się ono poniżej bioder, aby spowić chłodem jej długie nogi nastolatki, zanurzone w wodach jeziora Carson. Tym razem znajdowało się ono wokół serca.

– Stanley? Stan? – Tym razem nie zastukała w drzwi paznokciami, ale całymi palcami. Kiedy nadal nie uzyskała odpowiedzi, zaczęła walić w nie pięściami. – Stanley?

Jej serce. Nie znajdowało się już wewnątrz klatki piersiowej. Biło teraz w gardle, dławiąc i utrudniając oddychanie.

– Stanley!

W ciszy, jaka nastąpiła po jej okrzyku, usłyszała coś, jakiś drobny odgłos, który wprawił większą część jej umysłu w panikę, jak nagłe pojawienie się jakiegoś nieoczekiwanego gościa. To był bardzo cichy dźwięk. Odgłos kapiącej wody. *Kap*… przerwa. *Kap*… przerwa. *Kap*…

Widziała krople formujące się u wylotu kranu, nabrzmiewające z każdą chwilą, jakby przygotowywały się do narodzin – przezroczyste, grube, ciężarne, a potem, kropla za kroplą odrywają się i spadają: *kap*…

Tylko ten dźwięk. Nic więcej. I nagle ogarnęło ją przerażające przekonanie, że Stanley, a nie jej

ojciec, doznał tego wieczoru ataku serca. Z jękiem schwyciła w dłoń klamkę z rżniętego szkła i przekręciła ją. Mimo to drzwi się nie otworzyły. Były zamknięte na klucz. Nagle Patty zdała sobie sprawę z trzech „nigdy”: Stan nigdy nie kąpał się wieczorem, nigdy, jeżeli nie korzystał z toalety, nie zamykał drzwi do łazienki i nigdy nie zamykał ich na klucz. Czy to możliwe, zastanawiała się jak szalona, aby przygotować się na atak serca?

Patty przeciągnęła językiem po wargach – usłyszała przy tym pod czaszką odgłos przypominający szorowanie papierem ściernym po desce – i ponownie zawołała męża po imieniu. Nadal nie było odpowiedzi, tylko ciągły, regularny dźwięk kropel wody spływającej z kranu. Spuściła wzrok i zobaczyła, że wciąż trzymała w jednej ręce puszkę dixie. Patrzyła na nią otępiałym wzrokiem. Serce waliło jej w piersi jak młot. Wydawało się, że nigdy dotąd nie widziała puszki piwa – w każdym razie takiej puszki, bo kiedy zamrugała powiekami, okazało się, że trzyma w ręce słuchawkę telefonu, czarną i groźną niczym wąż.

Czym mogę pani służyć? W czym mogę pomóc? – syknął wąż. Patty cisnęła słuchawkę na widełki i odsunęła się o krok, zacierając dłoń,

w której ją trzymała. Rozejrzała się wokoło i zobaczyła, że ponownie znajduje się w pokoju telewizyjnym, i zrozumiała, że panika, która do tej pory zakradała się cichaczem do jej umysłu niczym włamywacz, ogarnęła ją na dobre. Dopiero teraz przypomniała sobie, jak upuściła puszkę piwa przed drzwiami łazienki i na łeb na szyję zbiegła po schodach, zastanawiając się w duchu: To wszystko jest jakąś potworną pomyłką. Później oboje będziemy się z tego śmiać. Pewno napuścił wody do wanny i nagle przypomniał sobie, że nie ma papierosów, i wyszedł, żeby je kupić, jeszcze przed kąpielą…

Tak. Tylko że on najpierw zamknął drzwi do łazienki od wewnątrz i ponieważ nie chciało mu się ich otwierać (bo za dużo z tym zachodu), po prostu otworzył okno nad wanną i zszedł po murze domu jak mucha pełzająca po ścianie. Tak. Z pewnością… Oczywiście…

Ponownie jej umysł zaczęła ogarniać panika – kojarzyła się jej z gorzką czarną kawą, która grozi przelaniem się przez ścianki filiżanki. Zamknęła oczy, próbując zwalczyć to uczucie. Stała absolutnie nieruchoma, jak głaz, blady pomnik, z sercem podchodzącym do gardła. Teraz sobie przypomniała, jak zbiegła po

schodach, a potem dopadła telefonu – tak, tak właśnie było, ale do kogo chciała zadzwonić?

Szalona myśl: Zadzwoniłabym do żółwia, ale żółw nie może nam pomóc. To już nie miało znaczenia. Wykręciła zero i musiała bąknąć coś, co nie należało do standardowych wypowiedzi, bo operator spytał ją, czy coś się stało, czy miała jakiś problem.

Owszem, miała, ale jak mogła powiedzieć temu pozbawionemu twarzy głosowi, że Stanley zamknął się w łazience i nie odpowiada na jej wołanie albo że przez ten regularny odgłos wody kapiącej z kranu jej serce niemal przestaje bić? Ktoś musiał jej pomóc. Ktoś…

Przyłożyła wierzch dłoni do ust i zacisnęła na niej zęby. Zrobiła to świadomie. Usiłowała zmusić się do myślenia. Zapasowe klucze w kuchennym kredensie. Zaczęła iść i jedna z jej obutych w pantofle stóp kopnęła pudełko z guzikami stojące obok stołu. Posypały się na podłogę. Zobaczyła, że było wśród nich co najmniej pół tuzina czarnych.

Po wewnętrznej stronie drzwiczek kredensu nad podwójnym zlewem znajdowała się sporej wielkości lakierowana deska w kształcie klucza – Stan dostał ją od jednego z klientów, który zrobił ją w warsztacie na gwiazdkę, dwa lata temu.

W deskę były ponabijane małe haczyki, na których wisiały wszystkie klucze od domu – po dwa egzemplarze na jednym haczyku. Pod każdym z nich naklejono małą karteczkę ze słowami wypisanymi na niej drobnym charakterem pisma Stana: „Garaż”. „Poddasze”. „Łazienka na dole”. „Łazienka na górze”. „Drzwi frontowe”. „Drzwi na tyłach”. Z boku wisiały duplikaty kluczyków do samochodu z podpisem „Volvo”.

Patty zagarnęła gwałtownie klucz z podpisem „Łazienka na górze”, a potem zmusiła się, by ruszyć przed siebie. Bieg mógł sprawić, że powróciła panika, która teraz – niczym puszka – drzemała pod powierzchnią, gotowa jednak w każdej chwili wychynąć. Może gdy będzie szła wolno, krok za krokiem, nic się nie stanie. Może nie stanie się nic złego. A może, jeżeli coś złego jednak się stało, Bóg spojrzy w dół, zobaczy ją idącą wolnym, spokojnym krokiem i pomyśli: O rany, nieźle narozrabiałem, ale jest jeszcze czas, aby to wszystko odwrócić. Idąc niespiesznym krokiem, jak kobieta udająca się na spotkanie Kółka Miłośniczek Literatury, weszła po schodach i zbliżyła się do zamkniętych drzwi łazienki.

– Stanley! – zawołała, delikatnie kładąc dłoń na klamce i poruszając nią kilkakrotnie. Nie chciała używać klucza; to była swego rodzaju ostateczność. Jeżeli Bóg nie odwróci tego, zanim ona zdecyduje się użyć klucza, to znaczy, że to nigdy nie nastąpi. Era cudów, bądź co bądź, minęła. Ale drzwi pozostały zamknięte. Jedyną odpowiedzią, jaką uzyskała, był odgłos kapiącej wody. *Kap… kap…*

Jej dłoń drżała, a klucz zagrzechotał, przejeżdżając po całej klamce, dopóki nie odnalazł dziurki i nie zagłębił się w niej z cichym szczęknięciem. Przekręciła go i usłyszała dźwięk odsuwanej zasuwy. Sięgnęła po klamkę z rżniętego szkła. Ponownie próbowała wyślizgnąć się jej z ręki, tym razem jednak nie dlatego, że drzwi były zamknięte, lecz dlatego, że jej dłoń była mokra od potu. Otworzyła drzwi.

– Stanley? Stanley? St…

Spojrzała na wannę z niebieską zasłoną prysznica, ściągniętą na jeden koniec nierdzewnego stalowego pręta, i zapomniała, jak jej mąż miał na imię. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Po prostu patrzyła na wannę, a na jej twarzy widniał wyraz powagi, jak na twarzy dziecka, które po raz pierwszy przestąpiło próg szkoły.

Za chwilę zacznie krzyczeć i mieszkająca w sąsiednim domu Anita MacKenzie usłyszy jej wrzask, i to właśnie ona, przekonana, że ktoś włamał się do domu Urisów i morduje jego mieszkańców, zdecyduje się wezwać policję.

Ale teraz, w tej właśnie chwili, Patty Uris po prostu stała w milczeniu. Z dłońmi zaciśniętymi na materiale swojej ciemnej bawełnianej spódnicy, z twarzą pełną powagi i rozszerzonymi oczyma. I nagle wyraz powagi zaczął się zmieniać – przeistaczać w coś całkiem innego. Olbrzymie oczy niemal wychodziły z orbit. Usta rozchyliły się w potworny, przerażający uśmiech zgrozy. Chciała krzyczeć, ale nie mogła.

Łazienkę oświetlały jarzeniówki. Było bardzo jasno. Żadnej czerni. Widziało się wszystko, czy się tego chciało czy nie.

Woda w wannie miała barwę jasnoróżową. Stanley leżał oparty plecami o tylną ścianę wanny. Głowę miał odchyloną do tyłu tak mocno, że kosmyki jego krótkich czarnych włosów dotykały skóry pomiędzy łopatkami. Gdyby jego zapatrzone oczy mogły jeszcze cokolwiek widzieć, zobaczyłyby je dokładnie do góry nogami. Jego usta były otwarte na całą szerokość, jak cieliste wrota. Na twarzy widniał grymas bezgranicznego przerażenia. Na krawędzi wanny

leżała paczka żyletek Gillette Platinum Plus. Stan rozciął sobie przedramiona po wewnętrznej stronie, od nadgarstków po zgięcia łokci, a potem każde z tych nacięć przedzielił jeszcze jednym, tuż poniżej bransoletki fortuny, tworząc w ten sposób parę krwawych liter T. Ziejące głębokie rany błyszczały szkarłatem i czerwienią w ostrym białym świetle. Pomyślała, że odsłonięte ścięgna i więzadła wyglądały jak kawałki taniej wołowiny. U wylotu lśniącego chromem kranu pojawiła się kropelka wody. Zaczęła nabrzmiewać. Można by powiedzieć, że stawała się ciężarna. Błyszczała. I w końcu spadła. *Kap*.

Stan zanurzył palec wskazujący prawej ręki we własnej krwi i napisał na niebieskich kafelkach jedno słowo. Dwie sporej wielkości koślawe litery. Druga z nich kończyła się rozmazanym zygzakiem, w miejscu gdzie ręka ześlizgnęła się po glazurze, aby wpaść do wanny. Teraz unosiła się na powierzchni wody.

Uznała, że to musiało być dzieło Stana – jego pożegnanie ze światem na chwilę przedtem, zanim stracił przytomność. Zdawało się, że słowo na ścianie krzyczy do niej:

Kolejna kropla wody wpadła do wanny. *Kap*. To przeważyło szalę. Patty Uris w końcu odzyskała głos. Patrząc w martwe, szkliste oczy trupa swego męża, zaczęła krzyczeć.

2

Richard Tozier bierze urlop

Rich czuł się całkiem nieźle, dopóki nie zaczęły go ogarniać mdłości. Wysłuchał wszystkiego, co miał mu do powiedzenia Mike Hanlon, trochę z nim pogadał, udzielił paru odpowiedzi na postawione pytania, a nawet zadał kilka własnych. Niemal nie zdawał sobie sprawy, że mówił – nie dziwnym i przepełnionym oburzeniem głosem, jakiego niekiedy używał w radiu (jego ulubieńcem był, przynajmniej dotychczas, Kinky Briefcase – seksuolog – a słuchacze przyjmowali go niemal równie ciepło, jak jego odwiecznego faworyta, pułkownika Buforda Kissdrivela), ale

przyjemnym, pełnym wewnętrznego spokoju i pewności siebie. Głos Człowieka Mówiącego, że Wszystko Jest w Porządku, brzmiał świetnie, ale to było kłamstwo.

– Ile pamiętasz, Rich? – spytał Mike.

– Bardzo mało – odparł Rich i przerwał na chwilę. – Ale chyba wystarczająco.

– Przyjedziesz?

– Przyjadę – odrzekł Rich i odłożył słuchawkę.

Siedział w swoim studiu jeszcze chwilę, rozparty w fotelu za stołem, wpatrując się w widoczne w oddali fale Pacyfiku. Po lewej stronie na plaży dostrzegł grupkę dzieciaków z deskami surfingowymi, ale żaden z nich dzisiaj nie pływał. Fala była zbyt niska.

Stojący na stole zegarek elektroniczny – prezent od wytwórni płytowej – wskazywał godzinę 17.09 28 maja 1985 roku. Tam, skąd dzwonił Mike, było trzy godziny później. Zapadł już zmierzch. Kiedy Rich się poruszył, aby zrobić to, co należało, poczuł, że na jego ciele pojawiła się gęsia skórka. Przede wszystkim musiał włączyć jakąś płytę – obojętnie jaką; nie wyszukiwał, wybrał pierwszą z brzegu spośród tysięcy płyt ustawionych na półkach. Rock and roll był niemal w równym stopniu częścią jego życia jak głosy i praktycznie rzecz biorąc, bez

muzyki nie potrafił nic nowego zrobić – im głośniej grała płyta, tym lepiej. Jak się okazało, wybrał retrospektywny album Marvina Gaye'a, jednego z nowych członków grupy, którą Rich nazywał czasami Zespołem Wszystkich Zmarłych, i chwilę później usłyszał pierwsze dźwięki *Usłyszałem to przez winorośle*. „O-ho-ho. Założę się, że zastanawiasz się, skąd wiedziałem…".

– Nieźle – powiedział Rich. Nawet uśmiechnął się pod nosem. A było źle, wręcz tragicznie, ale pomimo wszystko czuł, że sobie poradzi. Nie ma problemu. Wszystko da się załatwić.

Zaczął się szykować do powrotu do domu. W którymś momencie, w ciągu następnej godziny, odniósł wrażenie, jakby umarł, a mimo to mógł jakimś dziwnym sposobem wydawać jeszcze ostatnie dyspozycje związane ze swoją pracą… nie mówiąc już o przygotowaniach do pogrzebu. I czuł się świetnie. Odnosił wrażenie, że postępował właściwie. Zadzwonił do swojej agentki, choć zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej właśnie w tej chwili dziewczyna mknęła autostradą do domu. Mimo wszystko postanowił zaryzykować. Miał szczęście i udało mu się zastać ją w biurze. Wyjaśnił jej,

o co mu chodziło, a ona poprosiła go, by dał jej piętnaście minut.

– Jestem ci winien przysługę, Carol – powiedział. W ciągu ostatnich trzech lat zarzucili grzecznościowe formułki typu „pan”, „pani” i zaczęli zwracać się do siebie po imieniu, pomimo że nigdy nie spotkali się twarzą w twarz.

– W porządku, możesz mi się zrewanżować – rzekła. – Powiedz coś głosem Kinky’ego Briefcase’a. Zrobisz to?

Bez chwili wahania – gdyby się zawahał, nie zdołałby wydobyć z siebie głosu – powiedział:

– Telewizyjny seksuolog Kinky Briefcase. Któregoś dnia przyszedł do mnie jeden facet, który chciał się dowiedzieć, jaki był najgorszy przypadek zarażenia się AIDS. – Jego głos przycichł nieznacznie, a jednocześnie zaczął mówić nieco szybciej i bardziej beztrosko. Był to bez wątpienia amerykański głos, choć mógł mimo wszystko przywołać wizję bogatego brytyjskiego kolonialisty, czarującego, naturalnie na swój sposób, i jakby odrobinę zepsutego. Richie nie miał pojęcia, kim naprawdę był Kinky Briefcase, ale wiedział, że ten człowiek zawsze nosił białe garnitury, czytywał „Esquire’a”, popijał drinki z wysokich szklanic i pachniał szamponem kokosowym. – Ja mu na to:

Najgorsze byłoby, gdybym musiał tłumaczyć twojej matce, jak załapałeś to świństwo od tej Haitanki. To na razie, ludziska, mówił Kinky Briefcase, seksuolog, pamiętajcie. Jeżeli sam nie dasz rady, ja ci udzielę porady.

Carol Feeny wybuchnęła śmiechem.

– Idealne! Po prostu idealne! Mój chłopak nie wierzy, że potrafisz ot tak naśladować te głosy. Uważa, że używasz jakichś elektronicznych gadżetów czy jak…

– To kwestia talentu, moja droga – odparł Rich. Kinky Briefcase odszedł. Jego miejsce zajął W.C. Fields, w kapeluszu, z czerwonym nosem i torbą golfową na ramieniu. – Jestem tak przepełniony talentem, że musiałem pozatykać sobie wszystkie otwory w ciele, żeby ze mnie nie wyciekł jak… jak… no, żeby nie wypłynął.

Ponownie się roześmiała, a Rich zamknął oczy. Czuł, że zaczyna go boleć głowa.

– Bądź taka miła i sprawdź, co możesz dla mnie zrobić, dobrze? – spytał, wciąż jeszcze naśladując W.C. Fieldsa i wciąż mając w uszach jej śmiech, po czym odłożył słuchawkę. Teraz musiał znowu być sobą, a to nie wydawało się łatwe – trudniejsze niż kiedykolwiek. Łatwiej jest być dzielnym, kiedy się udaje kogoś innego. Właśnie wybierał buty i postanowił pozostać

przy trampkach, kiedy telefon zadzwonił ponownie. To była Carol Feeny. Oddzwoniła w iście rekordowym tempie. Miał ochotę zacząć imitować głos Buforda Kissdrivela, ale stłumił to w sobie.

Załatwiła dla niego miejsce w pierwszej klasie samolotu American Airlines z Los Angeles do Bostonu. Odlot o dwudziestej pierwszej trzy, przylot na lotnisko Logana około piątej rano następnego dnia. Stamtąd o siódmej trzydzieści odlot Deltą do Bangor w Maine. Powinien być na miejscu o ósmej dwadzieścia. Z lotniska wynajętym samochodem pokona dwadzieścia sześć mil dzielących go od Derry. Tylko dwadzieścia sześć mil? – pomyślał Rich.

Czy to wszystko, Carol? Cóż, może i tak. W każdym razie licząc odległość w milach. Ale nie zdajesz sobie sprawy, jak naprawdę jest daleko do Derry. Zresztą ja też nie. Ale dowiem się. Jak mi Bóg miły, dowiem się.

– Nie wynajmowałam pokoju, bo nie powiedziałeś mi, jak długo zamierzasz tam zabawić. Czy…

– Nie, sam się tym zajmę – rzekł Rich, naśladując głos Buforda Kissdrivela. – Jesteś cudowna, moja droga, co ja bym bez ciebie zrobił. Bardzo dziękuję.

Odłożył delikatnie słuchawkę, podczas gdy ona jak zwykle się śmiała, a potem wykręcił 207-555-1212 – numer informacji stanu Maine. Chciał spytać o numer Derry Town House. Boże – to była nazwa z przeszłości. Nie myślał o Derry Town House od… dziesięciu? dwudziestu? dwudziestu pięciu lat? Choć to mogło wydawać się szalone, sądził, że co najmniej od dwudziestu pięciu lat, i gdyby Mike nie zadzwonił, prawdopodobnie ta nazwa nigdy więcej nie przyszłaby mu do głowy. A wiele lat temu właściwie codziennie przechodził obok tego wielkiego budynku z czerwonej cegły, kilkakrotnie nawet tamtędy przebiegał, ścigany przez Henry'ego Bowersa, Belcha Hugginsa i tego trzeciego olbrzyma, Victora Jakmutam, którzy wrzeszczeli za nim: „Dostaniemy cię, skurwysynu! Dostaniemy cię, gnoju! Dorwiemy cię, kurduplu! Dostaniesz za swoje, czterooki śmieciu!". Czy kiedykolwiek im się to udało?

Zanim zdołał sobie przypomnieć, na linii dał się słyszeć głos operatora:

– Derry, centrala.

Derry! Boże! Nawet to słowo brzmiało dziwnie w jego ustach, wypowiadanie go przypominało całowanie antyku.

– Chciałbym się dowiedzieć, jaki jest numer do Derry Town House.

– Chwileczkę, proszę pana.

Nic z tego. Ten dom na pewno już nie istnieje. Wyburzono go w ramach projektu renowacji miasta. Postawiono tam Elks' Hall albo kręgielnię, albo salon wideo. Albo może spłonął któregoś dnia aż do fundamentów, kiedy jakiś pijany w sztok dozorca zasnął w łóżku, trzymając w dłoni zapalonego papierosa. Wszystko przeminęło, Richie. Tak jak twoje okulary, z których zawsze wyśmiewał się Henry Bowers. Jak to leci w piosence Bruce'a Springsteena? Dni chwały… przemijają wraz z mrugnięciem oka młodej dziewczyny. Jakiej młodej dziewczyny? Jakiej? Bev. Oczywiście Bev…

– Town House mógł się zmienić, ale istniał nadal, bo mdły mechaniczny głos pojawił się na linii i zaczął recytować:

– Numer… jest… taki… dziewięć… cztery… jeden… osiem… dwa… osiem… dwa. Powtarzam… numer… jest… taki…

Ale Rich zapamiętał go już za pierwszym razem. Odwieszenie słuchawki, w której brzmiał ten ponury głos, sprawiło mu swoistą przyjemność. Bez trudu mógł sobie wyobrazić potężnego potwora informacji telefonicznej,

zagrzebanego gdzieś głęboko pod ziemią, pocącego się nitami, z którego ciała wychodzą tysiące chromowanych błyszczących macek, dzierżących tysiące telefonów. Automatyczna wersja popularnego przeciwnika Spider-Mana, doktora Octopusa. Z każdym rokiem świat, w którym żył Rich, przypominał mu coraz bardziej olbrzymi elektroniczny nawiedzony dom, w którym cyfrowe duchy i przerażeni ludzie prowadzili niespokojną, chwiejną koegzystencję. Ciągle stoi. Parafrazując Paula Simona – ciągle stoi, i to po tylu latach.

Zadzwonił do hotelu, który po raz ostatni widział w dzieciństwie przez szkła swoich okularów w rogowej oprawie. Wykręcenie numeru 1-207-941-8282 było dziecinnie proste. Przyłożył słuchawkę do ucha, wyglądając przez olbrzymie okno swego studia. Dzieciaków z deskami już nie było. Jakaś para szła wolno wzdłuż plaży, trzymając się za ręce. Wydawali się niemal idealną reklamą do zdjęcia na stronę jednego z pokojów biura podróży, w którym pracowała Carol Feeny. Byli po prostu idealni. Gdyby nie fakt, że oboje nosili okulary.

Dostanę cię, ślepaku. Stłukę ci te twoje cyngle.

Criss, powiedział głos w jego myślach. Nazywał się Criss. Victor Criss. Nie była to

informacja, na której mu szczególnie zależało, ale najwidoczniej jego zdanie niewiele tu znaczyło. Coś się działo tam, głęboko, w lochach, gdzie Rich Tozier przechowywał swoją prywatną kolekcję standardów sprzed lat. Drzwi zaczęły się otwierać.

Tylko że tam na dole nie ma płyt, prawda? Tam na dole nie jesteś Richiem „Płyciarzem” Tozierem z KLAD i człowiekiem tysiąca głosów, prawda? To, co się otwiera, to nie są drzwi, racja?

Próbował odpędzić od siebie te myśli.

Powinieneś zapamiętać jedynie to, że wszystko jest okay. Ja jestem okay i ty jesteś okay, Rich Tozier jest okay. Jak chcesz, zapal sobie.

Rzucił palenie przed czterema laty, ale teraz miał wielką ochotę na papierosa. Tam na dole nie ma płyt, tylko trupy. Pogrzebałeś je głęboko, ale teraz musiało się przydarzyć jakieś szalone trzęsienie ziemi i ciała zostały wyrzucone na powierzchnię. Nie jesteś Rich „Płyciarz” Tozier, tam na dole mówią na ciebie „Cynglarz” albo „Czterooki”. I jesteś ze swoimi przyjaciółmi, a boisz się tak bardzo, że masz wrażenie, jakby twoje jaja zaczynały się zmieniać w półpłynną galaretę. Tam nie ma drzwi i one się nie otwierają. To są groby, Richie. Ich płyty pękają

i wampiry, o których myślałeś, że są martwe, ponownie wzbijają się do lotu.

Papieros. Tylko jeden. Może być nawet carlton, na miłość boską. Dostaniemy cię, okularniku! Zeżresz ten worek na książki!

– Town House – powiedział męski głos z jankeskim akcentem; głos przewędrował całą Nową Anglię, Środkowy Zachód i przemknąwszy pod kasynami Las Vegas, dotarł do jego ucha.

Rich zapytał właściciela głosu, czy mógłby zarezerwować dlań apartament w Town House, począwszy od jutra. Głos powiedział mu, że mógłby, i zapytał, na jak długo.

– Nie wiem jeszcze. Mam… – Przerwał na chwilę. Zamyślił się.

Co on właściwie miał? Oczyma duszy zobaczył chłopca z workiem na książki w szkocką kratę, uciekającego przed bandą łobuzów; zobaczył chłopca w okularach, chudego chłopca o bladej twarzy, który wyglądał, jakby krzyczał: „Uderz mnie! No dalej, uderz mnie!” do każdego mijającego go osiłka. To było niezwykłe i tajemnicze.

Oto moje usta. Rozgnieć mi je na zębach! Oto mój nos! Rozkwaś mi go i złam, jeżeli potrafisz! Daj mi w ucho, tak żeby napuchło jak bania! Rozwal mi brew! Masz, to moja szczęka,

znokautuj mnie! To moje oczy, podbij je i stłucz te okulary, które tak ci się nie podobają. Te wstrętne znienawidzone okulary o grubych szkłach, okulary w rogowych oprawkach połączone na łuku kawałkiem taśmy klejącej. Złam je! Wbij odłamek szkła w jedno z tych niebieskich oczu i zamknij je na zawsze! Zrób to, do diabła! No, zrób!

Zamknął oczy.

– Mam w Derry parę spraw do załatwienia. Widzi pan, nie wiem, ile czasu mi to zajmie. Co by pan powiedział na wynajęcie apartamentu na trzy dni z możliwością przedłużenia?

– Z możliwością przedłużenia? – spytał recepcjonista z powątpiewaniem w głosie, a Rich czekał cierpliwie, aż tamten to sobie przemyśli. – A tak, rozumiem. W porządku!

– Dziękuję i… ja… mam nadzieję, że będzie pan na nas głosował w październiku – powiedział John Kennedy. – Jackie chce… przejąć Gabinet Owalny, a ja mam już robotę dla mojego brata… hm… Bobby'ego.

– Pan Tozier?

– Tak.

– W porządku… Ktoś włączył się na linię na parę sekund.

Nie ktoś, tylko stary kumpel z paczki dobrych, znanych nieboszczyków, gdybyś tego nie wiedział. Nie przejmuj się tym. Przeszedł go dreszcz i niemal z desperacją w głosie powiedział do siebie w myślach: Nic ci nie jest, Rich.

– Ja też to słyszałem – rzekł Rich. – Musiało być jakieś sprzężenie na linii. No i co z tym pokojem?

– Och, nie ma sprawy – odparł recepcjonista. – Miewamy tu w Derry gości, ale nigdy nie ma specjalnego przepełnienia.

– Naprawdę?

– Ehe – rzucił recepcjonista. Rich zapomniał również i o tym potaknięciu używanym powszechnie w północnych regionach Nowej Anglii. „Dostaniemy cię, draniu!”, wrzasnął widmowy głos Henry’ego Bowersa i Richie poczuł, jak w jego wnętrzu pęka coraz więcej nagrobnych płyt. Woń, jaką poczuł, nie była odorem gnijących ciał, lecz rozkładających się wspomnień, a to w pewien sposób wydawało się jeszcze gorsze.

Podał recepcjoniście numer swojej karty kredytowej American Express i odłożył słuchawkę. Potem zadzwonił do Steve’a Covalla, szefa programów stacji KLAD.

– Co się stało, Rich? – zapytał Steve. Ostatnie notowania wykazały, że spośród konkurujących stacji KLAD była obecnie na szczycie i od tej pory Steve był w wyśmienitym humorze. Dzięki Bogu za Jego drobne łaski.

– Możesz pożałować, że o to zapytałeś – powiedział Steve'owi. – Właśnie się zmywam.

– Zmywasz się… – Usłyszał zatroskanie w głosie Steve'a. – Chyba cię nie rozumiem, Rich.

– Muszę wyjechać. Spływam stąd.

– Co to znaczy „wyjechać"? Zgodnie z grafikiem, który mam przed sobą, jutro od drugiej do szóstej po południu powinieneś być na antenie, jak zwykle. Prawdę mówiąc, o szesnastej masz umówiony wywiad z Clarence'em Clemonsem. Znasz Clarence'a Clemonsa, Rich? Jak *Come on and blow, Big Man*?

– Clarence, równie dobrze jak ze mną, może pogadać z Mikiem O'Harą.

– Clarence nie chce rozmawiać z Mikiem, Rich. Clarence nie chce rozmawiać z Bobbym Russellem. Nie chce rozmawiać ze mną. Clarence jest wielkim miłośnikem Buforda Kissdrivela i Wyatta Zabójczego Włóczęgi. Chce rozmawiać z tobą, przyjacielu. A ja nie mam ochoty patrzeć, jak ważący dwieście pięćdziesiąt funtów

saksofonista, były gracz w futbol, dostaje szału w moim studiu.

– Nie wiedziałem, że on jest taki groźny – powiedział Rich. – Człowieku, mówimy tu o Clarensie Clemonsie, a nie o Keicie Moonie.

Na linii zapadła cisza. Rich czekał cierpliwie.

– Nie mówisz serio, co? – spytał w końcu Steve. Jego głos brzmiał płaczliwie. – Chyba że chodzi o śmierć twojej matki, guz mózgu albo coś równie poważnego.

– Muszę jechać, Steve.

– Czy twoja matka jest chora? A może, nie daj Boże, umarła?

– Przed dziesięciu laty.

– Masz guza mózgu?

– Nawet jednego czyraka.

– To nie jest zabawne, Rich.

– Nie.

– Robisz mi koło pióra i wcale mi się to nie podoba.

– Mnie też nie, ale muszę jechać.

– Dokąd? Dlaczego? O co chodzi? Powiedz mi, Rich!

– Ktoś do mnie zadzwonił. Ktoś, kogo znałem dawno temu. Przed wieloma laty. W innym miejscu coś się wtedy stało. Złożyłem obietnicę. Wszyscy przyrzekliśmy, że wrócimy, jeżeli

znowu coś się stanie. I wydaje mi się, że To się znowu zaczęło.

– O czym ty mówisz, Rich?

– Na razie nie mogę powiedzieć. – Uznałbyś, że mi odbiło, gdybym ci powiedział prawdę. Ja po prostu nie pamiętam, dodał w myślach.

– Kiedy złożyłeś tę sławetną obietnicę?

– Dawno temu, latem pięćdziesiątego ósmego roku.

Nastała długa cisza i czuł, że właśnie w tej chwili Steve Covall zastanawiał się, czy Rich „Płyciarz" Tozier alias Buford Kissdrivel, alias Wyatt Zabójczy Włóczęga po prostu się zgrywał czy też przeżywał poważny kryzys psychiczny.

– Musiałeś być wtedy dzieckiem – rzucił niepewnym tonem Steve.

– Miałem jedenaście lat. Prawie dwanaście.

Kolejna dłuższa przerwa. Rich czekał cierpliwie.

– W porządku – rzekł Steve. – Zmienię grafik. Zastąpi cię Mike. Mogę zadzwonić do Chucka Fostera, żeby się wszystkim zajął. Rzecz jasna, jeżeli uda mi się go znaleźć. Pewno znów zaszył się w jakiejś chińskiej restauracji. Zrobię to, bo obaj przeszliśmy razem długą drogę. Ale nigdy nie zapomnę numeru, jaki mi wywinąłeś, Rich.

– Och, dajże spokój – zniecierpliwił się Rich, a jego ból głowy się wzmógł. Wiedział, co robił. Czy Steve naprawdę nie zdawał sobie z tego sprawy? – Po prostu potrzebuję paru dni wolnego, to wszystko. Zachowujesz się, jakbym zrywał z tobą kontrakt.

– Po cholerę ci parę dni wolnego? Jedziesz na Spotkanie Klubu Skautów z Pcimia Górnego w Dakocie Północnej czy Zadupia Wielkiego w Wirginii Zachodniej?

– Pławdę mówiąc, wydaje mi się, że to będą łaczej Szambowice Małe w Ałkansas, szefie – powiedział gromki głos Buforda Kissdrivela, ale Steve nie dał się zbić z tropu.

– Jedziesz tam, bo gdy miałeś jedenaście lat, złożyłeś taką obietnicę? Dzieciaki w tym wieku nie składają poważnych obietnic, na miłość boską! I nie tylko o to chodzi, Rich. Wiesz o tym. Nie pracujesz w zakładzie ubezpieczeń czy w kancelarii adwokackiej, tylko w show-biznesie. Tu obowiązują pewne reguły i dobrze o tym wiesz! Gdybyś mnie zawiadomił o tym, że chcesz wyjechać, nie trzymałbym w jednej ręce słuchawki, a w drugiej butelki mylanty. Przyparłeś mnie do muru. Zadałeś mi cios poniżej pasa i zdajesz sobie z tego sprawę, więc nie obrażaj mojej inteligencji!

Steve już prawie krzyczał, a Rich zamknął oczy.

– Nigdy ci tego nie wybaczę! – rzucił Steve i Rich przypuszczał, że tak właśnie będzie. Ale Steve powiedział również, że jedenastoletnie dzieci nie składają poważnych obietnic, a to nieprawda. Rich nie pamiętał, o jaką obietnicę chodziło. Nie był pewny, czy chciał pamiętać, ale wiedział, że chodziło o coś bardzo poważnego.

– Steve, muszę.

– Taaak. I powiedziałem ci, że sobie poradzę. Jedź. Zasuwaj, ty parszywy draniu.

– Steve, ty idio…

Ale Steve już odłożył słuchawkę. Richie zrobił to samo. Miał właśnie odejść od stołu, kiedy ponownie zabrzęczał telefon. Rich wiedział niemal instynktownie, nie podnosząc słuchawki, że to znowu był wściekły jak osa Steve. Bardziej wkurzony niż kiedykolwiek do tej pory. Rozmawianie z nim w tej chwili nie było wskazane – mogłoby jedynie pogorszyć całą sprawę. Przesunął przełącznik znajdujący się z boku aparatu w prawo; dzwonienie ucichło jak ucięte nożem. Poszedł na górę, wyjął z szafy dwie walizki i uzupełnił je ubraniami, które wybierał, praktycznie rzecz biorąc, na chybił trafił. Dżinsy, slipy, skarpety. Dopiero później zda sobie

sprawę, że wybrał wyłącznie młodzieżowe rzeczy. Zniósł walizki na dół.

Na ścianie jego kryjówki znajdowała się czarno-biała fotografia Big Sur zrobiona przez Ansela Adamsa. Rich odchylił ją na ukrytych zawiasach, odsłaniając znajdujący się pod spodem sejf. Otworzył go, a potem przekopał się przez stertę zalegających tam papierów i dokumentów (papiery domu, dwadzieścia akrów terenów wycinki lasu w Idaho i plik papierów wartościowych). Co się tyczy akcji, kupił je przypadkiem, a jego makler natychmiast złapał się za głowę – ale ich wartość w miarę upływu lat systematycznie wzrastała.

Czasami dziwił się, że był prawie – lecz nie do końca – bogatym człowiekiem. Wszystko to dzięki muzyce rockowej… i naturalnie dzięki głosom. Domy, teren wycinki lasu, akcje, polisa ubezpieczeniowa, nawet kopia jego ostatniej woli i testament. Sznurki, które przywiązują cię mocno do mapy życia, pomyślał.

Raptem ogarnął go dziki impuls, aby zapalić swoją zapalniczkę Zippo i podpalić to wszystko, zmieniając znajdujące się w sejfie dokumenty w kupkę popiołu. Mógł to zrobić. Czuł, że byłby do tego zdolny. Zawartość jego sejfu nagle przestała mieć dla niego jakiekolwiek znaczenie.

A wtedy poczuł po raz pierwszy prawdziwą zgrozę i nie było w tym nic nadnaturalnego. Po prostu zdał sobie sprawę, jak łatwo zniszczyć całe życie. Właśnie to było tak przerażające. Wystarczyło jedno pstryknięcie palcem. Mógł spalić to wszystko albo wysadzić w powietrze, a potem po prostu się ulotnić.

Za papierami wartościowymi znajdował się prawdziwy szmal. Gotówka. Cztery tysiące dolarów, w dziesiątkach, dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Wygarniając je teraz i wpychając do kieszeni dżinsów, zastanawiał się, czy instynktownie nie przeczuwał nadejścia tej chwili, kiedy każdego miesiąca układał tu parę banknotów pięćdziesięcio-, stu-, dwudziesto- czy dziesięciodolarowych. Robił to regularnie. Pieniądze na czarną godzinę. Forsa, która teraz miała mu pomóc, którą teraz miał wykorzystać.

– Rany, to okropne – powiedział, niemal nie zdając sobie z tego sprawy. Wyglądał przez olbrzymie okno z widokiem na plażę i ocean. Plaża była teraz pusta, ludzie z deskami odeszli, podobnie jak nowożeńcy (jeżeli nimi byli, ma się rozumieć).

O tak, teraz zaczynam sobie przypominać. Pamiętasz na przykład Stanleya Urisa? Założę się o swoje futro, że tak. Pamiętasz to powiedzonko

i jak wtedy uważaliście, że jest świetne? Stanley Uryna, jak nazywali go starsi chłopcy… Stanley Uryna! Hej, ty pieprzony zabójco Chrystusa! Dokąd się wybierasz? Idziesz po jednego ze swoich kumpli pedałów, żeby ci obciągnął?

Zatrzasnął drzwi sejfu i olbrzymie zdjęcie znalazło się na swoim miejscu. Kiedy ostatni raz myślał o Stanie Urisie? Pięć lat temu? Dziesięć? Dwadzieścia? Rich i jego rodzina wyprowadzili się z Derry wiosną 1960 roku i twarze jego przyjaciół blakły bardzo szybko, twarze członków ich małej grupki, grupki frajerów, z ich klubowym miejscem na terenach znanych jako Barrens[2] – zabawna nazwa dla okolicy bujnie porośniętej roślinnością. Bawili się tam w podróżników przemierzających dziewiczą dżunglę i żołnierzy lądujących na koralowym atolu, aby powstrzymać nacierających Japończyków. Byli budowniczymi tam, kowbojami i kosmonautami na planecie-dżungli. Zresztą jak zwał, tak zwał, i tak chodziło tu tylko o jedno. O to, by się ukryć. Ukryć się przed starszymi chłopakami. Ukryć się przed Henrym Bowersem, Victorem Crissem, Belchem Hugginsem i całą resztą. Stanowili naprawdę niezłą gromadkę frajerów. Stan Uris ze swym wielkim żydowskim nosem, Bill Denbrough,

który potrafił powiedzieć tylko: „Hej-ho, Silver! Naprzód”, nie jąkając się przy tym za bardzo, a zacinał się tak, że doprowadzał do szału wszystkich, którzy go słuchali, Beverly Marsh, cała w siniakach z papierosami wciśniętymi za fałdy zawiniętych rękawów bluzki, Ben Hanscom, który był tak potężny, że stanowił ludzką odmianę Moby Dicka, i Richie Tozier, z okularami o grubych szkłach, kujon, wyszczekany cwaniak z wielką gębą, która aż się prosiła o to, by ją przefasonować. Czy było jakieś słowo, którym można by ich wszystkich określić? O tak. Ono istniało zawsze. *Le mot juste*. W tym wypadku – mięczaki.

Wspomnienia wracały – powracały bez końca, a on stał nieruchomo, bezradny jak szczeniak zaskoczony przez straszną burzę, i trząsł się, bo prócz przyjaciół, z którymi uciekał, przypomniał sobie coś jeszcze.

Były też jeszcze inne rzeczy, o których nie myślał od lat, a które czyhały tuż pod powierzchnią, czekając cierpliwie na wypłynięcie. Krwawe rzeczy.

Ciemność. Jakaś ciemność. Dom przy Neibolt Street i Bill krzyczący:

– Ty z-zabiłeś mojego b-brata, ty s-skurwysynu!

Czy to pamiętał? Tak. Pamiętał dostatecznie dużo, aby nie chcieć sobie tego przypomnieć. Mógł założyć się o swoje futro, że tak było.

Woń odpadków, smród odchodów i odór czegoś innego. Czegoś gorszego niż wszystko inne. To był smród bestii, smród Tego, znajdującego się gdzieś głęboko w ciemnościach, pod Derry, gdzie stale rozlega się łoskot maszyn. Przypomniał sobie George'a…

Ale tego już było za wiele i pobiegł do łazienki, zahaczając po drodze o fotel. O mało nie upadł. Zdążył… niemal w ostatniej chwili. Gładkim ślizgiem przemknął na kolanach po płytkach łazienki, jak tancerz breakdance podjechał do muszli klozetowej i schwyciwszy oburącz za jej krawędzie, zwymiotował. Miał wrażenie, że wyrzygał cały żołądek. Ale i wtedy to się nie skończyło. Nagle zobaczył George'a Denbrough, tak jakby go widział wczoraj – George'a, od którego to wszystko się zaczęło, który został zamordowany jesienią 1957 roku, który umarł tuż po powodzi, któremu wyrwano ramię ze stawu.

Rich starał się wymazać to wszystko z pamięci. Ale czasami te wspomnienia wracały, o tak, wracały, bo one czasami wracają. Spazmy minęły i Rich sięgnął ręką na oślep w stronę

spłuczki. Rozległ się głośny szum wody. Jego wczesna kolacja w postaci podgrzanej zupy spłynęła do rury ściekowej.

I do kanałów. W których panował mrok. Do ciemnych, smrodliwych kanałów.

Zamknął klapę i oparł się o nią czołem, a potem zaczął płakać. Płakał pierwszy raz od śmierci matki w 1975 roku. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, przyłożył dłonie do oczu i chwilę potem szkła kontaktowe, które nosił, znalazły się w jego ręku, błyszczące od łez. Czterdzieści minut później, czując się pusty i jakimś dziwnym trafem oczyszczony, wrzucił walizki do bagażnika swego MG i wyprowadził wóz z garażu. Robiło się ciemno. Spojrzał na swój dom otoczony świeżą roślinnością, na plażę i wodę, która przybrała barwę wyblakłych szmaragdów, poprzecinaną tu i ówdzie wąskimi złocistymi pasemkami, i ogarnęło go przeczucie, że już nigdy tego nie zobaczy, że jest już chodzącym trupem.

– Wracam do domu – wyszeptał do siebie Rich Tozier. – Wracam do domu. Boże, dopomóż mi, wracam do domu.

Wrzucił bieg i ruszył. Raz jeszcze dziwił się, z jaką łatwością zdołał przecisnąć się przez szczelinę w pancerzu życia, który uważał za

mocny i niezniszczalny. Jak łatwo było przemknąć na drugą stronę – przepłynąć z błękitu w czerń. Z błękitu w czerń, tak. To było to. A po drugiej stronie mógł się spodziewać praktycznie wszystkiego.

3

Ben Hanscom wypija drinka

Gdybyś owego wieczoru, 28 maja 1985 roku, chciał znaleźć człowieka, którego magazyn „Time” określał mianem „prawdopodobnie najbardziej obiecującego młodego architekta w Stanach” (Ochrona Energii Miejskiej i młodzi radykałowie – „Time” 15 sierpnia 1984 roku), musiałbyś wyjechać z Omaha na zachód autostradą międzystanową numer 80. Musiałbyś skorzystać z wyjazdu na Swedholm, a potem jechać wzdłuż Highway 81, do śródmieścia Swedholm, które jest niezbyt duże. Potem powinieneś skręcić na Highway 92 przy barze Bucky’ego („Naszą specjalnością są pieczone kurczaki”) i znalazłszy się za miastem, pruć śmiało aż do autostrady numer 63, która biegnie prosto jak strzała przez opuszczone miasteczko Gatlin, by w końcu doprowadzić cię do

Hemingford Home. Śródmieście Hemingford Home sprawiało, że przy nim Swedholm wyglądało jak Nowy Jork; okręg handlowy składał się tu z ośmiu budynków – pięciu po jednej stronie i trzech po drugiej. Znajdowały się tam salon fryzjerski Kleen Kut (w oknie widnieje pożółkła karteczka z wypisanym na niej odręcznie piętnastoletnim tekstem: „Jeśli jesteś hipem, strzyż się gdzie indziej") i stare kino. Były tam filia Nebraska Homeowners' Bank, stacja benzynowa, apteka i sklep National Farmstead & Hardware Supply, spośród których tylko ten ostatni jako tako prosperował.

Na szarym końcu tego ciągu, nieco z dala od pozostałych budynków, niczym parias stał typowy, zwyczajny przydrożny bar – Czerwone Koło. Gdybyś dotarł aż tak daleko, na parkingu pokrytym dziurami i kurzem dostrzegłbyś także starego cadillaca convertible rocznik 1968, z podwójnymi antenami CB z tyłu. Na jego przedniej tablicy rejestracyjnej widniał chełpliwy napis: „cadillac Bena". A już wewnątrz, gdybyś podszedł do baru, natrafiłbyś na tego, kogo szukasz, czyli wychudłego, ogorzałego mężczyznę w bawełnianej koszuli, spranych dżinsach i roboczych butach. Na twarzy tego faceta prócz małych kurzych łapek w kącikach

oczu nie zauważyłbyś ani jednej zmarszczki. Miał trzydzieści osiem lat, ale wyglądał jakieś dziesięć lat młodziej.

– Witam, panie Hanscom – powiedział Ricky Lee, kładąc na barze papierową serwetkę, gdy Ben usiadł. Ricky Lee sprawiał wrażenie zaskoczonego i tak było w istocie. Nigdy dotąd Hanscom nie pojawił się w barze w tygodniu. Przychodził co piątek na dwa piwa i co sobota, kiedy pozwalał sobie na dwa lub trzy piwa więcej. Zawsze pytał o trzech chłopaków Ricky'ego Lee. I zawsze gdy wychodził, zostawiał pięć dolców napiwku pod kuflem. Należał do ulubionych klientów Ricky'ego Lee, który lubił z nim rozmawiać i szanował go jako dobrego fachowca. Dziesięć dolarów tygodniowo (i pięćdziesiątka w okresie świąt, zostawiana pod kuflem w barze) to było w sam raz, ale o wiele bardziej liczyła się tu sama obecność Hanscoma. Kulturalne towarzystwo zawsze należało do rzadkości, a już na takim zadupiu jak to było prawdziwym skarbem.

Choć korzenie Hanscoma sięgały Nowej Anglii, a college kończył w Kalifornii, miał w sobie trochę więcej niż tylko szczyptę typowo teksańskiej ekstrawagancji. Ricky Lee liczył na piątkowe i sobotnie wizyty Hanscoma w barze,

bo przekonał się, że tamten jest niezawodny. Pan Hanscom mógł budować drapacz chmur w Nowym Jorku (miał już na koncie trzy budynki w mieście, o których się mówiło), nową galerię sztuki w Redondo Beach czy gmach handlowy w Salt Lake City, ale kiedy przychodził w piątkowy wieczór około ósmej, wpół do dziewiątej, wchodził do baru tak nonszalancko, jak ktoś, kto mieszka po drugiej stronie miasta i zdecydował się wpaść do knajpy, bo akurat nie było nic ciekawego w telewizji. Miał własnego learjeta i prywatny pas startowy na swojej farmie w Junkins.

Przed dwoma laty był w Londynie, najpierw projektował, a potem nadzorował budowę nowego gmachu BBC (w prasie brytyjskiej do dziś trwała zażarta debata na ten temat). Wymieniono ostre za i przeciw. Według „Guardiana” był to „zapewne najpiękniejszy budynek, jaki wzniesiono w Londynie w ciągu ubiegłych dwudziestu lat”; dziennikarz gazety „Mirror” miał inne zdanie: „Pomijając twarz mojej teściowej po wyjściu na czworakach z pubu, to najokropniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem”.

Kiedy Hanscom dostał tę robotę, Ricky Lee pomyślał: Cóż, może jeszcze kiedyś go zobaczę.

A może on po prostu o nas zapomni.
I rzeczywiście, w piątkowy wieczór, po tym jak Ben Hanscom wyjechał i wszelki ślad po nim zaginął, Ricky Lee bezskutecznie pomiędzy ósmą a dziewiątą trzydzieści patrzył na otwierające się drzwi do baru. Może kiedyś tu wróci.

„Kiedyś” okazało się następnym wieczorem. Kwadrans po dziewiątej drzwi otwarły się i Ben Hanscom wszedł do środka, ubrany w swoje stare dżinsy, podkoszulek z napisem GO’BAMA i buty robocze. Wyglądał tak, jakby w ogóle nie wyjeżdżał z miasta. I kiedy Ricky Lee niemal z radością zawołał: „Hej, panie Hanscom! Chryste! Co pan tu robi!”, Ben się zdziwił, jakby to, że tu się znalazł, nie było niczym niezwykłym. Bądź co bądź podczas swej dwuletniej pracy dla BBC wpadał do baru regularnie co sobota. Jak powiedział Ricky’emu Lee, każdego sobotniego ranka o jedenastej opuszczał Londyn na pokładzie concorde’a i lądował na lotnisku Kennedy’ego w Nowym Jorku o dziesiątej piętnaście (czterdzieści pięć minut przed opuszczeniem Londynu – przynajmniej zgodnie ze wskazaniem zegarka).

Tam czekała już na niego limuzyna, aby zabrać go na lotnisko Teterboro w New Jersey, i jazda ta w sobotni ranek nie trwała zwykle

dłużej niż godzinę! Przed południem bez problemów zasiadał w kabinie swego leara i o czternastej trzydzieści lądował na pasie w Junkins. „Jeżeli prułeś na zachód dostatecznie szybko – powiedział Ricky'emu – mogło ci się wydawać, że dzień trwa wiecznie". Potem zwykle ucinał sobie dwugodzinną drzemkę, spędzał godzinę ze swoim majstrem, pół godziny z sekretarką, jadł kolację i szedł do baru na godzinkę czy półtorej. Zawsze przychodził sam i zawsze sam wychodził, choć Bóg jeden wiedział, że w tej części Nebraski była cała masa kobiet, które dałyby wiele, aby pójść z nim do łóżka. Po powrocie na farmę spał przez sześć godzin, a potem cały proces powtarzał się, tyle że w odwrotną stronę. Wszyscy goście Ricky'ego byli pod wrażeniem, gdy słuchali tej opowieści. „Może to pedał" powiedziała mu kiedyś jakaś kobieta. Ricky Lee popatrzył na nią taksująco; przyjrzał się jej starannie ułożonym włosom, świetnie skrojonej kreacji, która z pewnością pochodziła od jednego z bardziej znanych projektantów mody, diamentowym kolczykom w uszach i jej oczom i wiedział, że musiała pochodzić ze Wschodu – najprawdopodobniej z Nowego Jorku. Zapewne przyjechała tu z wizytą do rodziny albo starej koleżanki ze

szkoły i nie mogła się już doczekać powrotu do domu.

– Nie – odrzekł – pan Hanscom nie jest ciotą.

Wyjęła paczkę dolarów z torebki i włożywszy papierosa do ust, trzymała go pomiędzy swymi błyszczącymi czerwienią wargami, czekając, aż poda jej ogień.

– Skąd pan wie? – spytała, uśmiechając się nieznacznie.

– Po prostu wiem – odparł. Wiedział. Miał chęć jej powiedzieć, że to najbardziej samotny mężczyzna, jakiego w życiu spotkał. Ale nie powiedział tego tej kobiecie z Nowego Jorku, która traktowała go jak jeszcze jedną atrakcję turystyczną tutejszego regionu.

Dziś wieczorem Hanscom wyglądał na pobladłego i jakby trochę zakłopotanego.

– Czołem, Ricky Lee – powiedział, siadając, a potem zaczął przyglądać się swoim dłoniom.

Ricky Lee wiedział, że Hanscom miał spędzić najbliższe sześć do ośmiu miesięcy w Colorado Springs, nadzorując początek budowy Mountain States Cultural Center – potężnego kompleksu sześciu budynków, który miał powstać w wyciętym zboczu skalistego wzgórza. „Kiedy będzie po wszystkim, ludzie będą mówili, że to wygląda tak, jakby dziecko olbrzyma zostawiło

na schodach porzucone zabawki – powiedział Ricky'emu Lee Ben Hanscom. – Niektórzy na pewno tak powiedzą i przynajmniej po części będą mieli rację. Ale myślę, że to zadziała. To największe przedsięwzięcie, jakiego się podjąłem, i zrealizowanie go będzie cholernie trudne, ale myślę, że powinno się udać".

Według Ricky'ego Lee było bardzo prawdopodobne, że Hanscom cierpiał na typowy przypadek tremy zawodowej. Nic w tym dziwnego i, rzecz jasna, nic złego. Kiedy stajesz się dostatecznie duży, by zostać zauważonym, masz prawo się bać o swoją przyszłość.

A może po prostu był chory. Ostatnio w okolicy sporo ludzi skarżyło się na różne dolegliwości. Ricky Lee wyjął spod baru kufel i sięgnął ręką w stronę kurka olympii.

– Nie rób tego, Ricky Lee.

Ricky Lee odwrócił się, zaskoczony, a kiedy Ben Hanscom uniósł wzrok znad swoich rąk, poczuł, że ogarnia go przerażenie. Bo Bena Hanscoma nie dręczyła trema ani żadne choróbsko. Nic z tych rzeczy. Wyglądał, jakby przydarzyło mu się coś strasznego, i próbował zrozumieć, co się właściwie stało.

Ktoś umarł. Nie jest żonaty, ale każdy człowiek ma rodzinę i wygląda na to, że jeden z jego

bliskich właśnie gryzie ziemię. Tak. To na pewno to. Bez dwóch zdań.

Któryś z gości wrzucił ćwierćdolarówkę do szafy grającej i Barbara Mandrell zaczęła śpiewać o pijanym mężczyźnie i samotnej kobiecie.

– Dobrze się pan czuje, panie Hanscom?

Ben Hanscom spojrzał na Ricky'ego Lee oczyma, które nagle wyglądały dziesięć – nie, dwadzieścia lat starzej niż reszta jego twarzy, i Ricky Lee ze zdziwieniem spostrzegł, że włosy Hanscoma pokryte były nitkami siwizny. Nigdy dotąd nie zauważył u niego siwych włosów.

Hanscom się uśmiechnął. Uśmiech był upiorny, przerażający. Jak uśmiech trupa.

– Nie sądzę, Ricky Lee. Nie. Nie dzisiaj. I chyba już nigdy nie będę się dobrze czuł.

Ricky Lee odstawił kufel i podszedł do miejsca, gdzie siedział Hanscom. Bar, jak zwykle w poniedziałkowy wieczór po sezonie, świecił pustkami. Znajdowało się w nim zaledwie dwudziestu klientów. Annie siedziała przy drzwiach w kuchni, grając w karty z kucharzem.

– Złe wieści, panie Hanscom?

– O tak, złe wieści. Złe wieści z domu. – Spojrzał na Ricky'ego Lee. Patrzył wprost na niego.

– Przykro mi to słyszeć, panie Hanscom.

– Dziękuję, Ricky Lee.

Zamilkł i Ricky Lee już chciał zapytać, czy mógłby coś dla niego zrobić, gdy Hanscom powiedział:

– Jaką masz tu whisky, Ricky Lee?

– Dla wszystkich innych, którzy tu przychodzą, four roses – odparł Ricky Lee. – Ale myślę, że dla pana znajdzie się odrobina wild turkey.

Hanscom, słysząc to, uśmiechnął się pod nosem.

– Miło mi to słyszeć, Ricky Lee. Daj tu ten kufel. I nalej mi do niego wild turkey. Do pełna.

– Do pełna? – spytał zaskoczony Ricky Lee. – Chryste, będę musiał pana stąd wynosić albo wezwać ambulans!

– Nie dziś – odparł Hanscom. – Nie sądzę.

Ricky Lee z uwagą spojrzał Hanscomowi w oczy, jakby chciał się przekonać, że tamten nie żartuje, i nie zajęło mu to więcej niż sekundę. Nie. Ben Hanscom nie żartował. Ricky wyjął zza baru kufel i wyjął z półki pod barkiem butelkę wild turkey. Szyjka butelki zabrzęczała o brzeg kufla, kiedy zaczął go napełniać. Patrzył wbrew sobie z fascynacją, jak whisky wlewa się do kufla. Ricky Lee uznał, że Ben Hanscom miał w sobie

więcej niż tylko szczyptę Teksańczyka. To musiała być największa pieprzona porcja whisky, jaką podał w życiu. I wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał okazję powtórzyć ten wyczyn. *Kurwa. Przyjdzie mi wzywać pogotowie. Jak to wypije, to ani chybi wyzionie ducha*. Mimo to jednak wypełnił, jak należy, swoją powinność i postawił kufel przed Hanscomem. Kiedyś ojciec powiedział mu, że jeśli facet jest przy zdrowych zmysłach, powinien dostać to, czego chce, nawet gdyby to miał być kufel szczyn czy trucizny. Ricky nie wiedział, czy to była dobra, czy zła rada, ale zdawał sobie sprawę, że dopóki bar stanowił jego jedyne źródło utrzymania, ojcowskie słowa były lekarstwem na żarłoczne niczym rak wyrzuty sumienia. Hanscom przez długą chwilę przyglądał się w zamyśleniu stojącemu przed nim mamuciemu drinkowi, a potem zapytał:

– Ile ci jestem za to winien, Ricky Lee?

Ricky Lee wolno pokręcił głową, wpatrując się w kufel; nie chciał unieść wzroku i spojrzeć w niewidzące, jakby zamyślone oczy tamtego.

– To na koszt firmy.

Hanscom ponownie się uśmiechnął – tym razem bardziej naturalnie.

– Wobec tego dziękuję, Ricky Lee. A teraz pokażę ci coś, czego się nauczyłem w Peru w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. Pracowałem wtedy z niejakim Frankiem Billingsem, mógłbyś powiedzieć, że go dublowałem. Frank Billings był, jak sądzę, najlepszym pierdolonym architektem na świecie. Złapał gorączkę i lekarze zaczęli go szprycować całą masą antybiotyków, ale to nie skutkowało. Chorował przez dwa tygodnie, a potem umarł. A teraz pokażę ci coś, czego nauczyłem się od Indian, którzy pracowali nad tamtejszym projektem. Woda ognista, jaką się tam pija, to naprawdę mocny trunek. Pociągniesz łyk i już myślisz, że to nic takiego, kiedy nagle czujesz, jakby ktoś wcisnął ci do ust palnik acetylenowy i odkręcił kurek na pełną moc. Ale Indianie piją to jak coca-colę i rzadko kiedy widziałem, żeby któryś z nich był zalany, a już nigdy nie zauważyłem, aby ktokolwiek spośród nich miał kaca. Nigdy dotąd tego nie próbowałem. Ale myślę, że dziś to zrobię. Przynieś mi parę plasterków cytryny, proszę.

Ricky Lee przyniósł mu cztery i położył na świeżej serwetce tuż obok kufla pełnego whisky. Hanscom wziął do ręki jeden z nich, odchylił głowę do tyłu jak człowiek, który zakrapia sobie

oczy, a potem zaczął wyciskać sok cytrynowy do prawej dziurki od nosa.

– Jezus Maria! – krzyknął przerażony Ricky Lee.

Gardło Hanscoma zaczęło pracować. Jego policzki pokraśniały… a potem Ricky Lee zobaczył łzy spływające po bokach jego twarzy w stronę uszu. Z szafy grającej dobiegały dźwięki piosenki w wykonaniu zespołu Spinners. „O Panie, po prostu nie wiem, ile dam jeszcze radę wytrzymać”, śpiewał zespół.

Hanscom na oślep sięgnął ręką w stronę blatu baru, odnalazł palcami drugi kawałek cytryny i wycisnął sok do drugiej dziurki.

– Pan się, kurwa, zabije – wyszeptał Ricky Lee. Hanscom rzucił oba wyciśnięte plasterki cytryny na blat baru.

Miał zaczerwienione oczy i oddychał spazmatycznie. Z obu jego nozdrzy ściekał czysty sok cytryny, spływając w stronę kącików ust. Sięgnął po kufel, uniósł go i wypił jedną trzecią zawartości.

Ricky Lee niczym skamieniały patrzył, jak jego grdyka unosiła się i rytmicznie opadała. Hanscom odstawił kufel, wzdrygnął się dwukrotnie, a potem skinął głową. Spojrzał na

Ricky’ego Lee i uśmiechnął się słabiutko. Jego oczy nie były już czerwone.

– Działa dokładnie tak, jak mówili. Jesteś tak cholernie zajęty tym, co się dzieje z twoim nosem, że w ogóle nie zdajesz sobie sprawy z tego, co przepływa ci przez gardło.

– Pan oszalał, panie Hanscom – powiedział Ricky Lee.

– Możesz się założyć o swoje futro – odparł Ben Hanscom. – Pamiętasz to, Ricky Lee? Mówiliśmy tak, gdy byliśmy dziećmi. „Możesz się założyć o swoje futro”. Czy wspominałem ci już kiedyś, że byłem gruby?

– Nie, proszę pana, nigdy – wyszeptał Ricky Lee. Był teraz przekonany, że Hanscom otrzymał przerażającą wiadomość, która nieomal doprowadziła go do obłędu, a w każdym razie chwilowo pozbawiła zdrowych zmysłów.

– Byłem prawdziwym grubasem. Nigdy nie grałem w baseball ani w kosza, zawsze, kiedy bawiliśmy się w berka, łapali mnie pierwszego i wyśmiewali się ze mnie. Pośmiewisko. Byłem gruby, o tak, prawdziwy tłuścioch. W moim rodzinnym mieście mieszkało paru chłopaków, którzy stale się ze mnie nabijali. Jeden chłopak nazywał się Reginald Huggins, tylko że wszyscy mówili na niego Belch, bo zawsze głośno mu się

odbijało. Drugi nazywał się Victor Criss. Pamiętam jeszcze paru innych. Ale najgorszy z nich był Henry Bowers. Prawdziwy świr. Szef całej tej bandy. Naprawdę obrzydliwy chłopak, na wskroś przesiąknięty złem. I ja nie byłem jedynym, którego prześladował. Mój kłopot polegał na tym, że nie potrafiłem uciekać równie szybko jak pozostali.

Hanscom rozpiął koszulę i rozchylił ją. Ricky Lee zobaczył na brzuchu Bena Hanscoma, tuż nad pępkiem, dziwną, krętą bliznę. Była pofałdowana, biała i stara. Zobaczył, że to litera. Ktoś wyciął Hanscomowi na brzuchu literę H – prawdopodobnie na długo przedtem, zanim stał się mężczyzną.

– Henry Bowers mi to zrobił. Jakieś tysiąc lat temu. Mam szczęście, że nie zdążył mi wyciąć całego swojego imienia i nazwiska.

– Panie Hanscom…

Hanscom wziął do rąk dwa pozostałe kawałki cytryny, odchylił głowę do tyłu, a potem użył ich jak kropli do nosa. Otrząsnął się gwałtownie, odłożył je na bok i pociągnął dwa spore łyki z kufla. Ponownie się wzdrygnął, a potem, mając przez cały czas zamknięte oczy, schwycił oburącz za miękko obitą krawędź baru. Pozostawał przez chwilę w tej pozycji, jak marynarz na żaglówce

targanej sztormem trzymający się kurczowo burty łódki. Potem otworzył oczy i uśmiechnął się do Ricky'ego Lee.

– Mógłbym dosiadać tego byka przez całą noc.

– Panie Hanscom, nie chciałbym, żeby pan to robił jeszcze raz – rzekł nerwowo Ricky Lee.

Annie podeszła z tacą do stanowiska kelnerek i zamówiła parę millerów, Ricky Lee wyjął je i podał jej. Nogi miał miękkie jak z gumy.

– Czy z panem Hanscomem wszystko w porządku, Ricky Lee? – spytała Annie.

Patrzyła w dal za Rickym, który odwrócił się, by podążyć za nią wzrokiem. Hanscom nachylił się nad barem i wyjmował z puszki plasterki cytryny.

– Nie wiem – powiedział. – Nie sądzę.

– No to wyjmij palec z dupy i zrób z tym coś. – Annie podobnie jak większość innych kobiet lubiła Bena Hanscoma.

– Nie wiem, czy powinienem. Mój tata zawsze mówił, że jeżeli człowiek jest przy zdrowych zmysłach…

– Twój tata miał mózg mniejszy od tego, jaki Bóg dał susłowi – odparła Annie. – Pieprzyć twojego starego. Musisz to skończyć, Ricky Lee. On się zabije.

I otrzymawszy taki rozkaz, Ricky Lee podszedł do miejsca, gdzie siedział Ben Hanscom.

– Panie Hanscom, naprawdę wydaje mi się, że już dość…

Hanscom odchylił głowę do tyłu. Wycisnął cytrynę. Tym razem wciągnął sok do nosa, jakby to była kokaina. A potem wypił whisky jak wodę. Spojrzał ponuro na Ricky'ego Lee.

– Ale draka, co za klapa, banda skacze po kanapach – powiedział, a potem wybuchnął śmiechem. W kuflu zostało nie więcej niż dwa cale alkoholu.

– Wystarczy. Już dość – powtórzył Ricky Lee i wyciągnął rękę w stronę kufla.

Hanscom odsunął go na bok.

– Co się stało, już się nie odstanie, Ricky Lee. Powstałych szkód już nie można usunąć. Nie można.

– Panie Hanscom, proszę.

– Mam coś dla twoich dzieci, Ricky Lee. Niech to szlag, o mały włos bym zapomniał!

Miał na sobie wyblakłą dżinsową kamizelkę. Ricky Lee usłyszał stłumiony brzęk.

– Mój tata umarł, kiedy miałem cztery lata – powiedział Hanscom. Jego głos nie był ani trochę niewyraźny. – Zostawił nam trochę długów i to. Chcę, żebyś dał je swoim dzieciakom, Ricky Lee.

Położył na barze trzy srebrne dolarówki, monety błyszczały w mdławym świetle. Ricky Lee wstrzymał oddech.

– To bardzo miłe z pana strony, panie Hanscom, ale ja nie mógłbym…

– Były cztery, ale dałem jedną Billowi Jąkale i innym. Bill Jąkała, tak go nazywaliśmy, podobnie jak mówiliśmy zawsze: „Możesz się założyć o swoje futro”. Był jednym z najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałem. Wiesz, miałem ich kilku, nawet taki mały grubas jak ja miewał przyjaciół. Bill Jąkała jest teraz pisarzem.

Ricky Lee ledwo go słyszał. Patrzył na monety z fascynacją w oczach: 1921,1923 i 1924 rok. Bóg jeden wie, ile teraz były warte, i to tylko pod względem zawartości srebra.

– Nie mógłbym… – zaczął ponownie.

– Nalegam. – Pan Hanscom wziął do ręki kufel i opróżnił go. Powinien już leżeć pod barem, nieprzytomny, a przez cały czas wpatrywał się w Ricky’ego Lee. Oczy Bena Hanscoma były wodniste i bardzo przekrwione, ale Ricky mógł przysiąc na wszelkie świętości, nawet na Biblię, że były to oczy człowieka trzeźwego.

– Przeraża mnie pan trochę, panie Hanscom.

Przed dwoma laty do Czerwonego Koła zawitał niejaki Gresham Arnold, znany tutejszy

pijaczyna. Miał przy sobie garść dwudziestopięciocentówek i banknot dwudziestodolarowy wciśnięty za opaskę kapelusza. Wręczył drobne Annie, instruując ją, by wrzucała je do szafy grającej po cztery sztuki. Dwudziestkę położył na barze i powiedział, że stawia wszystkim kolejkę.

Gresham Arnold, przyjacielu, przed laty był gwiazdą koszykówki drużyny Hemingford Rams i poprowadził ją do pierwszego (i najprawdopodobniej ostatniego) mistrzostwa w rozgrywkach licealnych. To było w 1961 roku. Zdawać by się mogło, że ów młody człowiek miał przed sobą piękną przyszłość. Jednakże już w pierwszym semestrze wylano go z uczelni, co było wynikiem brania przez niego narkotyków, nadużywania alkoholu i urządzania całonocnych libacji.

Wrócił do domu, naprawił żółtego cadillaca convertible'a, którego otrzymał od rodziców na koniec szkoły, i zaczął pracować u swego ojca jako komiwojażer. Minęło pięć lat. Ojciec nie chciał go wylać z roboty, więc ostatecznie zwinął interes i wyniósł się do Arizony przerażony widokiem niewytłumaczalnej i najwyraźniej nieodwracalnej degeneracji własnego potomka. Interes należał jeszcze do jego starego, a Arnold

przynajmniej starał się udawać, że pracuje, i usiłował walczyć ze swoim alkoholizmem. Potem poddał się kompletnie. Może i był podłym facetem, ale tego wieczoru był słodziutki jak cukierek, w barze postawił wszystkim kolejkę i podziękowano mu za to nad wyraz ciepło, a Annie puszczała raz za razem piosenki Moe Bandy, bo Gresham Arnold lubił Moe Bandy.

Siedział przy barze, na stołku, który teraz zajmował Hanscom (co Ricky Lee uświadomił sobie z narastającym uczuciem niepokoju), wypił trzy czy cztery bourbony, śpiewał razem z zespołem, nie sprawiał kłopotów, a kiedy Ricky Lee zamknął lokal, poszedł do domu, a tam, w swojej sypialni na piętrze, powiesił się, przymocowawszy pasek do drążka w szafie. Tego wieczoru oczy Greshama Arnolda wyglądały niemal tak, jak w tej chwili oczy pana Hanscoma.

– Przerażam cię? – spytał Hanscom, a jego oczy ani na chwilę nie odrywały się od oczu Ricky'ego Lee. Odsunął od siebie kufel, a potem splótł dłonie na wprost leżących na blacie baru trzech dolarówek. – Prawdopodobnie tak. Ale nie jesteś nawet w części tak przerażony jak ja, Ricky Lee. I módl się, abyś nigdy nie był.

– Ale co się stało? – spytał Ricky Lee. – Może… – Oblizał usta. – Może zdołałbym panu pomóc.

– Co się stało? – Ben Hanscom wybuchnął śmiechem. – No cóż, niewiele. Dziś wieczorem otrzymałem telefon od mojego starego przyjaciela, Mike'a Hanlona. W ogóle o nim zapomniałem, Ricky Lee, ale nie o to chodzi. Nie to mnie przeraziło. Prawdę mówiąc, kiedy się znaliśmy, byliśmy jeszcze dziećmi, a dzieciaki zapominają o różnych rzeczach, nieprawdaż? „Możesz się założyć o swoje futro". Przerażenie ogarnęło mnie w drodze do baru, kiedy to uświadomiłem sobie, że zapomniałem nie tylko o Mike'u, ale i o wszystkim, co wiązało się z moim dzieciństwem.

Ricky Lee tylko na niego spojrzał. Nie miał pojęcia, o czym mówił Hanscom, ale czuł, że tamten był naprawdę przerażony. To nie ulegało wątpliwości. W przypadku Bena Hanscoma wyglądało to śmiesznie, ale tak właśnie było.

– Chcę przez to powiedzieć, że zapomniałem absolutnie wszystko. – Dla podkreślenia tych słów stuknął lekko parę razy kostkami palców w blat baru. – Czy słyszałeś kiedyś, Ricky Lee, żeby ktoś miał tak totalną amnezję, że sam nie pamiętał o tej amnezji?

Ricky Lee pokręcił przecząco głową.

– Ja również. Ale tak właśnie było. Jechałem tu i nagle zdałem sobie z tego sprawę. Jakbym

dostał obuchem w głowę. Przypomniałem sobie Mike'a Hanlona tylko dlatego, że do mnie zadzwonił. I przypomniałem sobie Derry dlatego, że stamtąd telefonował.

– Derry?

– Ale to wystarczyło. To było wszystko. Zdałem sobie nagle sprawę, że nie myślałem o swoim dzieciństwie od… od… sam już nie wiem od jak dawna. I właśnie wtedy, jak na zawołanie, wspomnienia zaczęły powracać. Jak to, co się stało z czwartą dolarówką.

– Co pan z nią zrobił, panie Hanscom?

Hanscom spojrzał na zegarek i nagle ześlizgnął się ze stołka. Zachwiał się lekko – prawie niezauważalnie. Tylko tyle.

– Nie mam czasu do stracenia. Odlatuję dziś w nocy.

Ricky Lee sprawiał wrażenie zaniepokojonego, ale Hanscom jedynie się roześmiał.

– Odlatuję, ale nie będę pilotował samolotu. Nie tym razem. Lecę maszyną United Airlines, Ricky Lee.

– Och. – Wydawało mu się, że na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, ale wcale się tym nie przejął. – A dokąd się pan wybiera?

Hanscom wciąż jeszcze miał rozpiętą koszulę. Patrzył z zamyśleniem na nabrzmiałe białe linie starej blizny na brzuchu, a potem wolno zaczął zapinać guziki.

– Wydawało mi się, że już ci to powiedziałem, Ricky. Do domu. Wybieram się do domu. Daj te monety swoim dzieciakom.

Ruszył w stronę drzwi i coś w sposobie, w jaki szedł i podciągnął spodnie, przeraziło Ricky'ego Lee. Podobieństwo do zmarłego i ogólnie nieopłakiwanego Greshama Arnolda stało się nagle tak absolutne, że niemal odniósł wrażenie, jakby zobaczył ducha.

– Panie Hanscom! – zawołał przejmującym tonem.

Hanscom odwrócił się, a Ricky Lee cofnął się o krok. Rąbnął pośladkami w tylną szafkę baru i kiedy butelki uderzyły o siebie, rozległo się głośne brzęknięcie szkła. Cofnął się tak gwałtownie, bo nagle ogarnęło go przekonanie, że Ben Hanscom był martwy. Tak, Ben Hanscom leżał gdzieś, w jakimś miejscu – rowie, na poddaszu swego domu albo co bardziej prawdopodobne, w szafie, z zadzierzgniętą na szyi pętlą z własnego paska i nogami w kowbojskich butach za czterysta dolarów, zwisającymi cal czy dwa nad podłogą, a ta postać,

ta istota stojąca opodal szafy grającej i patrząca na niego, była tylko duchem. Przez chwilę – to trwało tylko ułamek sekundy, ale wystarczyło w zupełności, aby spowić jego serce powłoką lodu – miał wrażenie, że widzi stoły i krzesła znajdujące się za plecami tamtego, jakby Ben Hanscom był przezroczysty.

– O co chodzi, Ricky Lee?

– N-n-nie. N-n-nic.

Ben Hanscom patrzył na Ricky'ego Lee podkrążonymi oczyma. Jego policzki płonęły od alkoholu, a nos był czerwony i podrażniony.

– Nic – wyszeptał raz jeszcze Ricky Lee, ale nie mógł oderwać wzroku od tej twarzy, twarzy człowieka, który umarł w śmiertelnym grzechu, a teraz staje przed dymiącymi i rozpalonymi wrotami piekła.

– Byłem gruby i byliśmy biedni – rzekł Ben Hanscom. – Teraz to sobie przypominam. Nie pamiętam tego zbyt dobrze, ale albo Beverly, albo Bill Jąkała, w każdym razie któreś z nich uratowało mi życie za pomocą srebrnej dolarówki. Jestem tak przerażony, że niemal tracę zmysły i boję się tego, co mogę sobie przypomnieć, zanim ta noc dobiegnie końca, ale mój strach nie ma tu nic do rzeczy, bo to i tak nastąpi. Wspomnienia są we mnie, jak wielki

bąbel narastający wewnątrz umysłu. Muszę tam pojechać i zrobię to, bo wszystko, co kiedykolwiek udało mi się zdziałać, i to, czym dysponuję dziś, jest w jakiś sposób związane z tym, co stało się przed laty, z tym, co wówczas zrobiliśmy, a zawsze należy spłacać swoje długi wobec świata. Może to dlatego Bóg każe nam być najpierw dziećmi, znajdować się nisko, przy ziemi, bo on wie, że każda prosta lekcja, jaką otrzymujesz w życiu, wiąże się zwykle z upadkiem, bólem i krwawieniem. Jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz. Za wszystko trzeba płacić i zawsze dostajesz to, za co zapłaciłeś… i prędzej czy później to, co do ciebie należy, wróci do ciebie, czy tego chcesz czy nie.

– Ale przyleci pan jeszcze w tym tygodniu, prawda? Jeszcze w ten weekend? – spytał Ricky Lee, mimo że usta mu zdrętwiały. Ogarnięty coraz większym niepokojem nie mógł się zdobyć na nic innego. – Wróci pan w ten weekend, jak zawsze, prawda?

– Nie wiem – odparł Hanscom i uśmiechnął się w sposób przyprawiający o dreszcz zgrozy. – Tym razem wybieram się dalej niż do Londynu, Ricky Lee.

– Panie Hanscom…

– Daj te monety swoim dzieciakom – powtórzył i wyszedł w mrok nocy.

– Co, do diabła? – spytała Annie, ale Ricky Lee całkiem ją zignorował. Podniósł klapę w barze i podbiegł do okna wychodzącego na parking. Zobaczył, że światła cadillaca Bena Hanscoma zostały włączone i usłyszał odgłos zapuszczanego silnika. Wóz wyjechał z parkingu, wzbijając spod tylnych kół fontanny piasku i kurzu. Tylne światła zmniejszyły się, aby stać się drobnymi krwawymi punkcikami, kiedy samochód wjechał na autostradę numer 63, a nocny wiatr rozwiał ciągnącą się za nim chmurę kurzu.

– Tyle wypił, a ty pozwoliłeś mu wsiąść do samochodu i odjechać – powiedziała Annie. – Po prostu świetnie, Ricky Lee. Szerokiej drogi.

– Nieważne.

– On się zabije.

I choć Ricky Lee jeszcze pięć minut temu był tego samego zdania, kiedy tylne światła wozu znikły w oddali, odwrócił się i pokręcił przecząco głową.

– Nie sądzę – odparł. – Choć wnioskując z jego obecnego stanu, może tak byłoby dla niego lepiej.

– Co on ci powiedział?

Pokręcił głową. Miał w głowie zamęt i zdawało się, że w ogólnym rozrachunku to,

czego się dowiedział, absolutnie nie miało znaczenia.

– To nieważne. Ale wątpię, abyśmy go tu jeszcze kiedykolwiek zobaczyli.

4

Eddie Kaspbrak bierze swoje lekarstwo

Mówi się, że jeśli chcesz wiedzieć wszystko o przeciętnym członku amerykańskiego społeczeństwa, czy to mężczyźnie czy kobiecie, powinieneś zajrzeć do jego apteczki. W każdym razie zwykle tak bywa. Jednak, uchowaj Boże, żebyś zerknął do apteczki Eddiego Kaspbraka, miałbyś wówczas zapewne tak jak on pobladłą twarz i rozszerzone oczy.

Na górnej półce znajdują się anacyna, excedryna, excedryna P.M., contac, gelusil, tylenol i spory słoiczek vicksów, przypominających jajka w inkubatorze. Jest tam butelka vivarinu, serutanu (*nature's* wspak – jak to mawiał w reklamówkach Lawrence Welk) i dwie butelki mleczka magnezjowego, które przypomina w smaku płynną kredę, i nowość o smaku miętowym, która też przypomina płynną kredę. Nieopodal olbrzymiej butelki

tumsów stoi pękata butelka rolaidów. Tumsy stoją obok wielkiej butelki tabletek Di-Gel o smaku pomarańczowym. Ta trójka przypomina wyglądem różowe świnki skarbonki, tyle że wewnątrz nich zamiast drobniaków znajdują się pigułki.

Druga półka to obszerny przegląd witamin – są tam witaminy E, C i C forte, B-simple i B-complex, jak również B-12. Lizyna ma coś zrobić z twoją skórą, z którą stale masz problemy, i lecytyna, mająca zapobiec niepokojącemu wzrostowi cholesterolu i uratować twoją „wielką pompę”. Znajdują się tam różne zestawy witamin, myadec, centrum. A na honorowym miejscu pośród nich widnieje olbrzymia buteleczka geritolu.

Przeglądając trzecią półkę apteczki Eddiego Kaspbraka, natrafimy na sporej wielkości placyk zarezerwowany dla medykamentów używanych przy różnych okazjach. Ex-lax, carter’s pills, mające utrzymać w normie jego układ wydalniczy. Gdyby wydalanie było zbyt bolesne albo zachodziło niezbyt szybko, opodal czekały już kaopectate, pepto-bismol i preparat H. Jest tu też parę tucksów w zakręcanym słoiku, formuła 44 na kaszel, nyquil i dristan na przeziębienia oraz spora buteleczka olejku kamforowego.

W razie gdyby Eddie miał chore gardło, w apteczce czekają blaszany pojemniczek sucrets i cztery rodzaje płynów do płukania ust: chloraseptic, cepacol, cepestat (w sprayu) i dobra stara listeryna, którą często podrabiano, ale żadna imitacja nie mogła dorównać oryginałowi. Visine i murine do oczu. Cortaid i maść neosporin (do skóry), stanowiące drugą linię obrony, gdyby lizyna nie okazała się dostatecznie skuteczna; tubka oxy-5 i plastikowa butelka oxy wash (przezorny zawsze ubezpieczony, a Eddie zawsze wolał wydać pięć centów więcej, niż potem tego żałować), jak również niewiele pigułek tetracykliny.

Nieco z boku, jak grupka zgorzkniałych konspiratorów, stoją trzy butelki szamponu leczniczego. Dolna półka jest prawie pusta, ale to, co na niej stoi, to solidna porcja prochów. Gdybyś ją łyknął, mógłbyś przeżyć całkiem niezły odjazd. Miałbyś lepszy lot niż Ben Hanscom na pokładzie swego odrzutowca i lądowanie twardsze niż Thurman Munson[3]. Znajdują się tam valium, percodan, elavil i darvon complex. Na niższej półce stoi jeszcze jedno pudełeczko sucretsów, ale po otwarciu go nie znajdziesz w nim ani jednego. Jego zawartość stanowi sześć quaaludes.

Eddie Kaspbrak wierzył w skautowskie motto. Wchodząc do łazienki, wymachiwał raźno trzymaną w ręku torbą. Postawił ją na umywalce, otworzył suwak, a potem drżącymi rękoma zaczął wrzucać do niej butelki, słoiki, pojemniki i tubki. W innych okolicznościach wkładałby je do środka z prawdziwym pietyzmem i namaszczeniem, ale teraz nie miał czasu na takie ceregiele. Eddie miał tylko jeden wybór – równie prosty jak brutalny – musiał ruszać w drogę, i to tak szybko, żeby nie mieć czasu na zastanawianie, bo gdyby zaczął się zastanawiać, przerażenie, które narodziłoby się wraz z myślami, po prostu by go zabiło.

– Eddie? – dobiegł z dołu głos Myry. – Eddie, co ty robisz?

Eddie wrzucił do torby pudełko sucretsów, zawierające zestaw quaaludes. Apteczka była już teraz prawie pusta – pozostały w niej tylko midol Myry i mała, niemal całkiem zużyta, tubka blisteksu. Zatrzymał się na chwilę, a potem zgarnął również blistex. Miał już zamknąć suwak torby, kiedy po chwili namysłu zdecydował się wziąć też midol. Zawsze mogła sobie kupić nowy.

– Eddie? – Myra była teraz w połowie schodów.

Eddie zapiął suwak torby do końca, a potem wyszedł z łazienki, machając torbą. Był niskim mężczyzną o nieśmiałej twarzy przypominającej pyszczek królika. Stracił już większość włosów; z łysiny na głowie sterczały tu i ówdzie mocno przerzedzone kępki.

Ciężar torby sprawiał, że przechylał się wyraźnie na jedną stronę. Niezwykle potężna kobieta wchodziła wolno na piętro. Eddie słyszał, jak deski skrzypią pod jej ciężarem.

– Co ty tam rooobisz?

Eddie nie potrzebował psychiatry, aby wiedzieć, że pod pewnym względem wziął ślub z własną matką. Myra Kaspbrak była potężną kobietą. Była duża, kiedy Eddie poślubił ją przed pięciu laty, ale czasami czuł podświadomie, że ona się rozrasta. Istny kolos.

A kiedy weszła na podest piętra, wydawała mu się olbrzymia jak nigdy dotąd. Miała na sobie białą koszulę nocną, nabrzmiałą i opiętą na wysokości brzucha i bioder. Jej pozbawiona makijażu twarz była biała i błyszcząca. Myra sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej.

– Muszę wyjechać na pewien czas – oznajmił Eddie.

– Co to znaczy, że musisz wyjechać? Co to był za telefon?

– Nic takiego – odrzekł i zbiegł szybko na dół, by podejść do szafy w przedpokoju. Postawił torbę na ziemi, otworzył rozsuwane drzwi szafy i przesunął na bok pół tuzina identycznych czarnych garniturów, które tam wisiały niczym złowieszcza gradowa chmura pośród reszty bardziej kolorowych rzeczy. W pracy zawsze nosił jeden z tych garniturów. Pochylił się, w nozdrza uderzył go zapach naftaliny i wełny, a potem wyciągnął z szafy walizkę. Otworzył ją i zaczął pakować do niej rzeczy. Cień Myry padł na niego.

– O co tu chodzi, Eddie? Dokąd się wybierasz? Powiedz mi!

– Nie mogę ci powiedzieć.

Stała tam, patrząc na niego i zastanawiając się, co powinna powiedzieć i zrobić w tej sytuacji. Przyszło jej na myśl, aby po prostu wrzucić go do szafy, zatrzasnąć drzwi, zaprzeć się o nie plecami i trzymać go w środku tak długo, aż szaleństwo, jakie go opętało, minie, ale nie potrafiła się na to zdobyć, choć na pewno dałaby radę. O tak. Na pewno. Była o trzy cale wyższa od Eddiego i sto funtów cięższa.

Nie potrafiła myśleć ani działać, bo jego dzisiejsze zachowanie stanowiło coś zupełnie nowego. Nie byłaby bardziej zdziwiona

i przerażona, gdyby weszła do pokoju i zobaczyła, że ich telewizor unosi się w powietrzu.

– Nie możesz wyjechać – usłyszała swój głos. – Przyrzekłeś, że załatwisz dla mnie autograf Ala Pacino. – To było absurdalne wytłumaczenie, ale naturalnie lepsze takie niż żadne.

– Dostaniesz go – powiedział Eddie. – Po prostu będziesz musiała zawieźć go sama.

Mętlik w jej głowie pogłębiło uczucie narastającego przerażenia. Krzyknęła cicho.

– Ja… nie mogę… ja… nigdy…

– Będziesz musiała. – Teraz Eddie przeglądał swoje buty. – Nie ma nikogo innego.

– Nie wcisnę się w żaden z moich uniformów! Są zbyt ciasne w biuście!

– Delores na pewno jakoś to załatwi – odparł nieprzejednanym tonem.

Wrzucił dwie pary butów do szafy, znalazł puste pudełko na buty i włożył do niego trzecią parę. Dobre, czarne buty, mógł w nich jeszcze długo pochodzić, ale nie nadawały się już, żeby wkładać je do pracy. Kiedy żyjesz z obwożenia po Nowym Jorku bogatych ludzi, pośród których jest wiele sław, wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Te buty nie wyglądały już zbyt dobrze… ale przypuszczał, że tam, dokąd się wybierał,

będą jak znalazł. I do zadania, które go tam czekało. Może Richie Tozier mógłby…

I wtedy ogarnął go mrok, poczuł, że jego gardło zaczęło się zamykać. Eddie z nieskrywaną paniką zdał sobie sprawę, że zapakował już całą swoją apteczkę, a zapomniał o najważniejszym – aspiratorze – który zostawił na szafce ze sprzętem stereo, na dole.

Zamknął walizkę, obejrzał się na Myrę, która stała w korytarzu z dłonią przyciśniętą do szyi, jakby to ona cierpiała na astmę. Patrzyła na niego, a na jej twarzy malowały się zdumienie i zgroza. Gdyby sam nie był przerażony, prawdopodobnie byłoby mu jej szkoda.

– Co się stało, Eddie? Kto dzwonił? Masz jakieś kłopoty? Masz, prawda? O co chodzi? Co to za kłopoty?

Podszedł do niej z torbą w jednej i walizką w drugiej ręce. Teraz, trzymając w obu dłoniach nieomal równie ciężkie przedmioty, prawie się nie przekrzywiał na bok. Stanęła na wprost niego, blokując mu przejście, i przyszło mu na myśl, że go nie wypuści. I wtedy, nagle, kiedy jego głowa miała z impetem wbić się w miękką zaporę jej piersi, ustąpiła…

Zeszła mu z drogi przejęta bezbrzeżną trwogą. Kiedy minął ją, nie zwalniając ani na

chwilę, wybuchła płaczem.

– Nie mogę wozić Ala Pacino! – zaszlochała. – Rozwalę się na znaku drogowym albo wpakuję się na kogoś. Wiem, że tak będzie! Wiem! I boję się, Eddie! Boooję się!

Spojrzał na zegarek stojący na stole przy schodkach. Dwudziesta pierwsza dwadzieścia. Pracownik linii lotniczych Delta, o głosie metalicznym i brzmiącym, jakby mówił, trzymając przy ustach puszkę, poinformował go, że spóźnił się już na ostatni samolot na północ – do Maine – który odlatywał z La Guardii o dwudziestej dwadzieścia pięć. Zadzwonił do Amtraka i dowiedział się, że ostatni pociąg do Bostonu odchodził z Penn Station o dwudziestej trzeciej trzydzieści. Dotrze nim na South Station, a tam będzie mógł złapać taksówkę, którą dojedzie na Arlington Street, gdzie mieszczą się biura Cape Cod Limousine. Cape Cod i Royal Crest, spółka, w której pracował Eddie, były zaprzyjaźnione od lat. Jeden telefon do Butcha Carringtona w Bostonie wystarczył, by ten zajął się sprawą jego środka transportu. Butch powiedział, że zatankowana i gotowa do odjazdu limuzyna będzie już na niego czekała. Nareszcie pojedzie z klasą i bez wrzodu na tyłku w postaci klienta rozpartego na tylnym siedzeniu,

zatruwającego powietrze dymem z wielkiego cygara i pytającego Eddiego, czy wie, gdzie można zarwać jakąś niezłą dupę albo zdobyć trochę koki – a zwykle chodziło o jedno i drugie.

Jazda z klasą, o tak, pomyślał, z większą klasą mógłbyś jechać chyba tylko karawanem, ale nie martw się, Eddie, bo prawdopodobnie właśnie tak stamtąd wrócisz, a raczej cię przywiozą. Jeżeli będzie jeszcze co zbierać, ma się rozumieć.

– Eddie?

Dwudziesta pierwsza dwadzieścia. Dosyć czasu, aby z nią porozmawiać, aby ją ułagodzić. Rzecz jasna byłoby lepiej, gdyby tego wieczoru miała kolejną umówioną partyjkę wista, dzięki czemu mógłby wymknąć się cichaczem, zostawiając kartkę pod magnesem na drzwiach lodówki (zawsze zostawiał kartki dla Myry na drzwiach lodówki, bo w ten sposób miał pewność, że ona ich nie przeoczy). Tego typu wyjazd – a raczej ucieczka – byłby niezbyt dobrym wyjściem, ale z pewnością lepszym niż to, z czym miał teraz do czynienia. To tak jakby musiał opuszczać dom raz po raz – a jest to takie trudne i w dodatku robił to trzykrotnie.

Czasami dom jest tam, gdzie serce twoje, pomyślał w duchu Eddie. Wierzę w to, stary. Bobby Frost powiedział, że dom to takie miejsce,

które gdy tam przyjedziesz, zawsze cię przyjmie. Niestety, jest to również miejsce, które gdy już tam zawitasz, nie ma ochoty cię wypuścić.

Stał przy schodach, utraciwszy chwilowo zapał do działania i przepełniony strachem. Oddychał chrapliwie i patrzył na szlochającą żonę.

– Chodź ze mną na dół, to powiem ci tyle, ile będę mógł.

Eddie postawił torbę z lekarstwami i walizkę z ubraniami w korytarzu przy drzwiach wyjściowych. I wtedy przypomniał sobie coś… a raczej duch jego matki, która nie żyła już od wielu lat, przypomniał mu o tym.

Wiesz, że kiedy przemoczysz nogi, to zawsze masz gorączkę, Eddie. Nie jesteś taki jak inni ludzie, masz bardzo słaby układ odpornościowy, musisz być ostrożny. I dlatego zawsze, kiedy pada, musisz nosić kalosze.

W Derry często padało.

Eddie otworzył drzwiczki szafy, zdjął z haczyka plastikową torebkę z kaloszami i włożył ją do walizki z ubraniami.

Dobry z ciebie chłopiec, Eddie.

On i Myra właśnie oglądali telewizję, kiedy zaczął się ten koszmar. Eddie wszedł do pokoju telewizyjnego i włączył guzik, który zmniejszał

ekran odbiornika Mural/Vision. Ekran był tak duży, że Freeman McNeil wyglądał na nim jak gość z Brobdingnagu. Wziął do ręki słuchawkę telefonu i zadzwonił po taksówkę. Przyjmujący zgłoszenie powiedział mu, że wóz zostanie podstawiony za piętnaście minut. Eddie odparł, że nie ma sprawy.

Odłożył słuchawkę i zdjął swój aspirator z szafki, na której stał ich drogi odtwarzacz kompaktów marki Sony.

Wydałem tysiąc pięćset dolców, kupując ten sprzęt, żeby Myra nie uroniła ani jednej złotej nuty z płyt swego ulubieńca, Barry'ego Manilowa, i zestawów „najwspanialszych przebojów", pomyślał i nagle ogarnęło go poczucie winy. To nie było fair i dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Myra byłaby równie szczęśliwa, mając zestaw starych porysowanych płyt, wcale nie potrzebowała nowiutkich, lśniących krążków kompaktowych, podobnie jak byłaby szczęśliwa, gdyby aż do starości przyszło im mieszkać w tym małym czteropokojowym domku w Queens.

Eddie kupił aparaturę stereo z tych samych powodów co wielki piętrowy dom na Long Island, wewnątrz którego grzechotali jak dwa małe ziarenka fasoli w blaszanej puszce – po

pierwsze dlatego, że było go na to stać, a po drugie, ze względu na miękki, pełen zgrozy, a niekiedy zdumienia, zawsze nieprzejednany głos jego matki. Zdawało się, że w ten sposób mówi: Zrobiłem to, mamo! Dokonałem tego! Spójrz tylko, mamo! Czy teraz będziesz łaskawa zamknąć się na jakiś czas?

Eddie włożył aspirator do ust i jak człowiek, który naśladuje popełnianie samobójstwa, nacisnął spust. Obrzydliwie słodka chmura wpadła mu do ust. Spłynęła do gardła. Eddie odetchnął głęboko. Czuł, jak jego krtań, która była już prawie zaciśnięta, znowu zaczyna się otwierać. Uczucie ucisku w piersiach zelżało i nagle usłyszał w myślach głosy duchów.

– Czy dostał pan ode mnie wiadomość?

– Dostałem, pani Kaspbrak, ale…

– W razie gdyby pan nie umiał czytać, trenerze Black, przeczytam ją panu osobiście. Jest pan gotowy?

– Pani Kaspbrak…

– Świetnie. No to zaczynam. Niech pan słucha uważnie. Gotowy? Mój Eddie nie może uprawiać ćwiczeń fizycznych. Powtarzam, nie może uprawiać ćwiczeń fizycznych. Jest bardzo delikatny i jak biega… albo skacze…

– Pani Kaspbrak, mam w aktach w moim biurze wyniki ostatnich testów Eddiego, wszystko zgodnie z zaleceniami. Wynika z nich, że Eddie jest może trochę zbyt niski jak na swój wiek, ale pod innymi względami całkiem normalny. Właśnie dlatego zadzwoniłem do pani lekarza, aby się upewnić, że…

– Twierdzi pan, że kłamię, trenerze Black? Czy tak? No to proszę. Oto on. Eddie stoi tu, obok mnie! Słyszy pan, jak on oddycha? Słyszy pan?

– Mamo… proszę… czuję się dobrze.

– Eddie, przecież wiesz, jak jest. Nauczyłam cię, nie należy przeszkadzać starszym.

– Słyszę go, pani Kaspbrak, ale…

– Słyszy pan? Dobrze! Bo myślałam, że może pan ogłuchł! Jego oddech przypomina sapanie ciężarówki sunącej pod górę na pierwszym biegu, czyż nie? A jeżeli to nie jest astma…

– Mamo, ja…

– Cicho bądź, Eddie, nie przerywaj mi ponownie. Jeżeli to nie jest astma, trenerze Black, to ja jestem królową Elżbietą!

– Pani Kaspbrak. Eddie na zajęciach WF-u sprawia wrażenie radosnego, zdrowego i szczęśliwego chłopca. Uwielbia gry i zabawy i naprawdę szybko biega. W mojej rozmowie z doktorem Baynesem padło określenie

„zaburzenia psychosomatyczne”. Zastanawiam się, czy brała pani pod uwagę, że…

– …że mój syn jest wariatem? Czy to stara się pan powiedzieć? Czy próbuje pan w ten sposób powiedzieć, że mój syn jest wariatem?

– Nie, ale…

– Jest delikatny.

– Pani Kaspbrak…

– Mój syn jest bardzo delikatny.

– Pani Kaspbrak. Doktor Baynes potwierdził, że nie odnajduje u niego żadnych…

…fizycznych anomalii czy objawów choroby, dokończył w myślach Eddie. Po raz pierwszy od lat przypomniał sobie upokarzające spotkanie w sali gimnastycznej, kiedy to jego matka wydzierała się na trenera Blacka, a on kulił się w sobie i powoli przełykał ślinę, podczas gdy inne dzieciaki zebrały się pod jednym z koszy i przyglądały się im z uwagą. Nie było to jedyne wspomnienie, które ożywił telefon Mike’a Hanlona. Wiedział o tym. Czuł, że cała masa innych tylko czeka, aby się ujawnić, skryta gdzieś w głębinach jego umysłu. I wiedział, że to niebawem nastąpi. Był o tym przekonany. Jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić? Cenę normalności? Być może. Połowę… ceny. Szkody

spowodowane przez wodę i dym. Wszystko minie.

– Żadnych fizycznych anomalii czy objawów choroby – powtórzył, wziął głęboki oddech, wzdrygnął się i włożył aspirator do kieszeni.

– Eddie – powiedziała Myra. – Proszę, powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Na jej rumianych policzkach lśniły ślady łez. Jej dłonie zaciskały się bez przerwy jak para bawiących się, różowych, bezwłosych zwierząt. Raz na krótko przed tym, jak się pobrali, otrzymał od Myry zdjęcie i postawił je tuż obok zdjęcia swojej matki, która zmarła na udar serca w wieku sześćdziesięciu czterech lat. W chwili śmierci matka Eddiego ważyła ponad czterysta funtów – ściśle rzecz biorąc, czterysta sześć. Stała się wówczas czymś w rodzaju potwora, jej ciało stanowiły głównie piersi, pośladki i brzuch, ponad którymi widniało blade, nieustannie wykrzywione przerażeniem oblicze. Ale jej zdjęcie, które postawił obok zdjęcia Myry, zostało zrobione w 1944 roku, na dwa lata przed jego urodzeniem („Byłeś bardzo chorowitym dzieckiem – wyszeptał mu jej duch prosto do ucha – wiele razy rozpaczaliśmy nad twoim życiem…”). W 1944 roku jego matka ważyła względnie mało, czyli około stu osiemdziesięciu

funtów. Uczynił to porównanie, które jak przypuszczał, miało być jego ostatnią próbą powstrzymania się przed popełnieniem psychologicznego kazirodztwa. Spojrzał na matkę, potem na Myrę, a następnie znowu na matkę. Mogły być siostrami. Podobieństwo wprost rzucało się w oczy.

Eddie popatrzył na dwa niemal identyczne zdjęcia i przyrzekł sobie, że nie zrobi niczego głupiego. Wiedział, że chłopaki z pracy zaczęli już opowiadać kawały o Jacku Spracie i jego żonie, ale nie znali nawet połowy prawdy. Żarty i docinki jeszcze by zniósł, ale czy chciał być klownem w takim freudowskim cyrku? Nie. Nie chciał. Rzuci Myrę. Zostawi ją i zrobi to delikatnie, bo ona naprawdę była bardzo słodką osóbką i miała jeszcze mniej doświadczenia z mężczyznami niż on z kobietami. A potem, kiedy ta kobieta zniknie wreszcie z jego życia, zacznie pobierać lekcje tenisa, o których myślał już od dawna („Eddie na zajęciach WF-u sprawia wrażenie radosnego, zdrowego i szczęśliwego chłopca”), albo załatwi sobie wejściówkę na baseny w hotelu Plaza („Eddie uwielbia gry i zabawy”), nie mówiąc już o klubie fitness, który otwarto przy Trzeciej Alei, naprzeciw jego garażu.

„Eddie biega całkiem szybko, biega szybko, kiedy nie ma pani w pobliżu, biega szybko, kiedy w pobliżu nie ma nikogo, kto przypomniałby mu, jaki jest delikatny! Widzę w jego twarzy, pani Kaspbrak, że on wie, nawet teraz, w wieku dziewięciu lat, wie, że największą przysługą, jaką mógłby sobie wyświadczyć, byłaby ucieczka, ucieczka tam, dokąd pani, pani Kaspbrak, nie chce go puścić, a on powinien tam pobiec, popędzić tam ile sił w nogach, najszybciej, jak tylko potrafi”.

W końcu i tak ożenił się z Myrą. Stary styl i stare nawyki okazały się po prostu zbyt silne. Dom był miejscem, do którego – kiedy się już tam znalazłeś – przykuwano cię jak psa łańcuchowego. O tak, mógł pokonać ducha swojej matki. To trudne, ale wiedział, że zdoła tego dokonać, gdyby to rozwiązywało całą sprawę. Ale nie rozwiązywało. To Myra zaczęła wolniutko, krok za krokiem, pozbawiać go niezależności. To ona otoczyła go kokonem troski, przybiła gwoździami opieki i zakuła w kajdany słodkiej niewoli. Myra jak jego matka zgłębiła ostatecznie tajniki jego charakteru (z opłakanym skutkiem dla niego samego). Eddie był bardziej delikatny, bo czasami przypuszczał, że w ogóle nie był delikatny. Eddie potrzebował ochrony przed

własną brawurą, która niekiedy, jak się zdawało, brała nad nim górę.

W deszczowe dni Myra zawsze wyjmowała jego kalosze z plastikowej torebki w szafie i stawiała je pod wieszakiem przy drzwiach. Obok jego talerza z pszenicznym tostem (bez masła) każdego ranka znajdowała się miseczka czegoś, co mogło w pierwszej chwili być wzięte za wielokolorową owsiankę, ale co po dokładnym przyjrzeniu się okazywało się całą gamą witamin. Myra, podobnie jak jego matka, rozumiała go, tak że nie widział dla siebie najmniejszej szansy. Jako młody kawaler trzykrotnie zostawiał matkę i trzykrotnie powracał do domu. Do niej. A także później, cztery lata po tym, jak jego matka wyzionęła ducha w korytarzu swego apartamentu w Queens, blokując drzwi frontowe tak dokładnie swoim potężnym ciałem, że pielęgniarze z pogotowia (wezwani przez ludzi z dołu zaalarmowanych hukiem, spowodowanym przez upadek pani Kaspbrak na deski, gdzie oczekiwała ostatecznego rozliczenia) musieli włamać się przez zamknięte drzwi pomiędzy kuchnią a schodami przeciwpożarowymi. Wtedy wierzył, że wrócił do domu po raz ostatni – znowu w domu, znowu

w domu, wreszcie znowu jestem w domu. Myra była potężną, grubą kobietą, ale miała w sobie to coś, była słodka i rzeczywiście nie miał już najmniejszej szansy. Przyciągała go do siebie tym fatalnym, hipnotyzującym wężowym okiem zrozumienia. Wtedy myślał, że powrócił do domu już na zawsze.

Ale może się myliłem, pomyślał. Może tu nie jest dom, może nigdy nim nie był. Może dom to miejsce, do którego muszę udać się dzisiejszego wieczoru. Dom to miejsce, w którym – kiedy już się tam znajdziesz – musisz wreszcie stawić czoło istocie czającej się w ciemności.

Wzdrygnął się bezradnie, jakby wyszedł na deszcz bez kaloszy i złapał paskudną grypę.

– Eddie, proszę!

Znowu zaczęła płakać. Łzy były jej ostatnią linią obrony, podobnie jak u jego matki. Stanowiły łagodną broń o działaniu paraliżującym, która za pomocą łagodności i tkliwości wykuwa szczelinę w najtwardszym pancerzu. Nie żeby kiedykolwiek przywdziewał pancerz. Zbroja nieustępliwego nigdy do niego nie pasowała.

Dla jego matki łzy były czymś więcej niż tylko sposobem obrony – stanowiły również broń. Myra rzadko używała swoich łez równie

cynicznie… ale cynicznie czy nie, zdał sobie sprawę, że właśnie teraz próbowała wykorzystać je w ten sposób… i to z powodzeniem.

Nie mógł jej na to pozwolić. Zbyt łatwo sobie uświadamiał, jaki będzie się czuł samotny, siedząc w pociągu jadącym poprzez mrok nocy do Bostonu, mając na półce nad głową walizkę z rzeczami, pod nogami torbę z całą masą lekarstw, a na piersi ciężar w postaci niewidzialnego brzemienia strachu. Zbyt łatwo byłoby poddać się Myrze, dać się zaprowadzić na piętro i pozwolić, by udowodniła, jak bardzo go kocha, serwując mu aspirynę i nacierając plecy spirytusem. A potem położyłaby go do łóżka, gdzie mogłaby (lub też nie) dać mu nieco inny, bardziej konkretny dowód miłości.

Ale on przecież obiecał. Przyrzekł.

– Myro, posłuchaj – powiedział, siląc się na oschły i rzeczowy ton.

Spojrzała na niego wilgotnymi, bezbronnymi, przerażonymi oczyma. Postanowił, że teraz spróbuje jej wszystko wyjaśnić, najlepiej, jak tylko potrafi; opowie jej o tym, jak zadzwonił do niego Mike Hanlon i powiedział, że To się znowu zaczęło i że – był o tym przekonany – pozostali również przyjadą na jego wezwanie.

Ale to, co padło z jego ust, było nieco bardziej racjonalną wersją.

– Rano przede wszystkim idź do biura. Pogadaj z Philem. Powiedz mu, że musiałem wyjechać i że ty będziesz jeździć z Pacinem.

– Eddie, ale ja nie mogę! – jęknęła. – To wielki gwiazdor! Jak się zgubię, zacznie się na mnie wydzierać… wiem, że tak będzie, będzie na mnie krzyczał, bo wszyscy zaczynają krzyczeć, kiedy kierowca się gubi, a… a ja zacznę płakać… spowoduję wypadek… na pewno spowoduję wypadek… Eddie… Eddie… musisz zostać w domu…

– Na miłość boską, przestań! – krzyknął.

Jego ostre słowa sprawiły jej ból. Cofnęła się o krok. Eddie sięgnął ręką po aspirator, ale nie przyłożył go do ust. Uznałaby to za wykorzystywanie przeciwko niej własnej słabości, a nie chciał postępować tak jak ona.

Boże, jeżeli tam jesteś, proszę, uwierz mi, kiedy mówię, że nie chcę zranić Myry. Nie chcę jej zranić ani skrzywdzić. Nie chcę, by przydarzyło się jej coś złego. Ale przyrzekałem, wszyscy złożyliśmy przyrzeczenie, przysięgę krwi, proszę, Boże, pomóż mi, bo muszę to zrobić…

– Nie cierpię, kiedy na mnie krzyczysz, Eddie – wyszeptała.

– Myro, ja też tego nie cierpię, zwłaszcza gdy mnie do tego zmuszasz.

Skrzywiła się. No właśnie, Eddie. Znów sprawiłeś jej ból. Czemu po prostu nie rąbniesz jej parę razy pięścią? To pewnie byłoby łagodniejsze rozwiązanie. I szybsze.

Nagle, prawdopodobnie sprawiła to myśl o wprawieniu w ruch pięści, w jego myślach pojawiła się wizja – zobaczył twarz Henry'ego Bowersa. Po raz pierwszy od lat pomyślał o Henrym Bowersie i nie wpłynęło to kojąco na chaos w jego umyśle. Ależ skąd. Zamknął oczy na chwilę, po czym otworzył je i powiedział:

– Nie zgubisz się, a on nie będzie na ciebie krzyczał. Pan Pacino to bardzo miły i wyrozumiały człowiek.

Nigdy dotąd nie woził Ala Pacino, a to, co powiedział, było wynikiem jego wewnętrznych przemyśleń, biorących się z doświadczenia, jakie nabył podczas swej długoletniej pracy w zawodzie kierowcy. Zgodnie z utartymi mitami większość gwiazdorów stanowiła bandę tępych, gruboskórnych snobów, ale Eddie siedział dostatecznie długo za kółkiem, by wiedzieć, że rzadko kiedy okazywało się to prawdą. Rzecz

jasna, zdarzały się również wyjątki od reguły – i te wyjątki były naprawdę okropne – jednakże Eddie miał w głębi duszy nadzieję, że Pacino do nich nie należał.

– Naprawdę jest taki? – spytała trwożliwie.

– Tak, naprawdę.

– Skąd wiesz?

– Demetrios jeździł z nim dwa czy trzy razy, kiedy pracował dla Manhattan Limousine – odparł płynnie Eddie. Dodał też, że Pacino zawsze daje co najmniej pięćdziesiąt dolarów napiwku.

– Mógłby dać i pięćdziesiąt centów, aby tylko nie zaczął na mnie krzyczeć.

– Myro, twoje zadanie jest bardzo proste. Masz do zrobienia trzy rzeczy: po pierwsze, odbierasz klienta w Saint Regis jutro o siódmej wieczorem i zabierasz go do budynku ABC. Mają tam nagrywać ostatni akt sztuki, w której gra Pacino. Nosi tytuł, jeśli dobrze pamiętam, *American Buffalo*. Po drugie, odwozisz go z powrotem do Saint Regis około jedenastej. Po trzecie, wracasz do garażu, zdajesz wóz i odfajkowujesz przyjazd w grafiku.

– To wszystko?

– Wszystko. Mogłabyś to zrobić, stojąc na głowie, Marty.

Zwykle chichotała, gdy ją tak nazywał, ale teraz tylko spojrzała na niego z bolesną, dziecinną powagą.

– A jeżeli zamiast wrócić do hotelu, będzie chciał pojechać gdzieś na kolację? Albo do jakiejś knajpy? Albo na dancing?

– Nie sądzę, aby się na to zdecydował, ale jeśli nawet, to po prostu go tam zawieziesz. Gdyby zapowiadało się, że zamierza balować całą noc, po północy możesz skontaktować się z Philem Thomasem. Przyśle kierowcę, żeby cię zastąpił. Gdybym miał kogoś wolnego, nigdy bym cię o to nie prosił, ale Demetrios jest na urlopie, a wszyscy inni są zawaleni robotą. Najpóźniej o pierwszej będziesz już w łóżku, Marty. Najpóźniej o pierwszej. Gwarantuję ci to solennie.

I tym razem jego gierka słowna nie doczekała się radosnego odzewu z jej strony.

Chrząknął i pochylił się, opierając łokcie na kolanach. W tej samej chwili duch jego matki wyszeptał: „Eddie. Nie siadaj w ten sposób, Eddie. To źle wpływa na twoją postawę i uciska twoje płuca. A ty masz bardzo delikatne płuca”.

Ponownie się wyprostował, niemal nieświadomie.

– Mam nadzieję, że tylko ten raz przyjdzie mi usiąść za kółkiem – jęknęła cichutko. – Bardzo się roztyłam. Przez ostatnie dwa lata roztyłam się jak świnia. Mój uniform wygląda po prostu fatalnie.

– Tylko ten raz. Przysięgam.

Jakby na zawołanie dwa promienie światła przesunęły się po ścianie. Kiedy samochód wjeżdżał na podjazd, dał się słyszeć pojedynczy sygnał klaksonu. Ogarnęła go ulga. Przez całe piętnaście minut mówił o Pacinie zamiast o Derry, Mike'u Hanlonie i Henrym Bowersie. W sumie dobrze, że tak się stało. Dobrze zarówno dla Myry, jak i dla niego. Nie chciał poświęcić ani chwili na myślenie czy rozmowę na ten temat, dopóki nie będzie musiał tego zrobić.

Eddie wstał.

– To moja taksówka.

Podniosła się tak szybko, że potknęła się o skraj swojej koszuli nocnej i runęła do przodu. Eddie złapał ją, ale przez chwilę miał wrażenie, że jego wysiłki nic nie dadzą – wszak była od niego cięższa o całe sto funtów. I ponownie zaczęła zawodzić.

– Eddie, musisz mi powiedzieć!

– Nie mogę. Nie mam czasu.

– Nigdy nic przede mną nie ukrywałeś, Eddie – zapłakała.

– Teraz też nie ukrywam. Naprawdę. Po prostu nic nie pamiętam. W każdym razie, przynajmniej jak dotąd, nie potrafię sobie niczego przypomnieć. Wiem tylko, że facet, który do mnie zadzwonił, to mój dobry, stary przyjaciel. On…

– Rozchorujesz się – rzuciła z rozpaczą w głosie, idąc za nim do korytarza przy drzwiach. – Wiem, że to się tak skończy. Pozwól mi się tobą zająć, Eddie, proszę. Zajmę się tobą, a Pacino może sobie wynająć taksówkę albo skorzystać z usług innej firmy, nic mu się nie stanie. Pojadę z tobą, co ty na to?

Mówiła podniesionym głosem, była na granicy rozpaczy i ku przerażeniu Eddiego coraz bardziej przypominała mu matkę – taką, jaka była w ostatnich miesiącach przed śmiercią – starą, grubą, szaloną kobietę.

– Będę nacierała ci plecy i pilnowała, żebyś brał swoje pigułki… ja… ja ci pomogę… nie odezwę się, jeżeli nie zechcesz, ale proszę, żebyś opowiedział mi o wszystkim… Eddie… Eddie, proszę, nie odchodź, Eddie, proszę, proooszę!

Szedł pewnym, nieustępliwym krokiem w stronę drzwi wyjściowych, szedł na oślep

z pochyloną głową, jak człowiek pokonujący atak gwałtownej wichury. Ponownie miał świszczący oddech. Kiedy podniósł torby, zdawało mu się, że każda z nich waży dwieście funtów. Czuł na sobie dotyk tłustych różowych dłoni – palce Myry zaciskały się na jego ramieniu, ale słabo. Jedyną bronią, jaką teraz dysponowała, były bezradność i łzy zatroskania. Tylko w ten sposób mogła go powstrzymać i starała się tego dokonać.

Nie uda mi się, pomyślał z goryczą. Jego astma coraz bardziej mu dokuczała, czuł się gorzej niż kiedykolwiek dotąd. Nigdy nie było z nim tak źle. Nawet kiedy był dzieckiem. Sięgnął dłonią do klamki, ale ta jakby się od niego odsuwała, niknąc w ciemności panującej na zewnątrz.

– Jak zostaniesz, zrobię ci tort kawowy ze śmietaną – wymamrotała. – Zrobimy sobie prażoną kukurydzę… Przyrządzę dla ciebie najwspanialszego indyka… Jeżeli zechcesz, zrobię ci to wszystko jutro na śniadanie… Zacznę już… zaraz… – A potem dodała ponurym, nieomal grobowym tonem: – Eddie, proszę, tak się boję, tak mnie przerażasz… boję się!!!

Złapała go za kołnierz i pociągnęła do tyłu, jak tłusty gliniarz chwytający podejrzanego typa, który usiłował zbiec. Eddie mimo to szedł dalej, ale jego opór zaczął słabnąć… i kiedy niemal

zupełnie opadł już z sił i w głębi duszy zaczął się zastanawiać, czy nie powinien się poddać, poczuł, że jej palce rozwarły się wolniutko.

Puściła go. Jęknęła. Ostatni raz.

Jego palce zacisnęły się na klamce; była tak cudownie chłodna. Otworzył drzwi i zobaczył stojącą na podjeździe taksówkę – ambasadora z krainy zdrowego rozsądku. Noc była czysta. Na niebie błyszczały jasne, migotliwe gwiazdy.

Odwrócił się plecami do Myry. Miał przyspieszony, świszczący oddech.

– Musisz zrozumieć, że to nie jest coś, co chcę zrobić – powiedział. – Gdybym miał możliwość wyboru, ba, gdybym w ogóle miał jakikolwiek wybór, nie pojechałbym. Proszę, zrozum to, Marty, wyjeżdżam, ale wrócę. – W głębi duszy czuł jednak, że kłamie.

– Kiedy? Jak długo cię nie będzie?

– Tydzień. Może dziesięć dni. Na pewno nie dłużej.

– Tydzień! – wrzasnęła, chwytając się za brzuch, jak diwa w kiepskiej operze. – Tydzień! Dziesięć dni! Proszę, Eddie. Pro-oo…!

– Marty, przestań. Dobrze? Po prostu przestań.

Ku jego zdumieniu umilkła i tylko stała nieruchomo, patrząc na niego wilgotnymi

podkrążonymi oczyma. Nie była na niego wściekła, bała się o niego i – rzecz niezwykła – również o siebie. Właśnie wtedy, być może po raz pierwszy od lat, odkąd ją znał, poczuł, że potrafi darzyć ją prawdziwą miłością. Czy odczuwał to dlatego, że wyjeżdżał? Być może. Nie. Skreślić „być może”. Wiedział, że tak było. I czuł się jak coś, co żyje na niewłaściwym końcu teleskopu.

Ale może dobrze, że tak się stało. Czy to uczucie było właściwe? Czy dobrze zrobił, pozwalając sobie na uświadomienie faktu, że miłość do niej wydawała się całkiem właściwa? Nawet jeśli kiedyś wyglądała jak jego matka, nawet jeśli jadła w łóżku czekoladowe ciasteczka, oglądając *Hardcastle and McCormick* albo *Falcon Crest*, przy czym naturalnie okruchy zawsze lądowały po jego stronie, nawet jeśli nie była zbyt bystra i z uwagi na to, że jego medykamenty zajmowały niemal całą apteczkę, swoje przechowywała w lodówce?

A może… Czy to możliwe?…

Tego typu myśli przychodziły mu do głowy w różnych chwilach i okresach jego pogmatwanego życia, na poszczególnych jego etapach, podczas których awansował od syna przez kochanka aż do stanowiska męża. Teraz, kiedy opuszczał dom, czując w głębi duszy, że

robi to po raz ostatni, przyszła mu do głowy całkiem nowa ewentualność i powiew zdziwienia omiótł jego myśli niczym muśnięcie skrzydła jakiegoś wielkiego ptaka.

Czy to możliwe, aby Myra była bardziej przerażona niż on? Czy to możliwe, aby tak samo było w przypadku jego matki?

Kolejne wspomnienie z Derry wybuchło w jego podświadomości niczym jaskrawy skwierczący fajerwerk. Na Center Street znajdował się sklep obuwniczy Shoeboat. Matka zabrała go tam pewnego dnia – wydawało mu się, że miał wówczas jakieś pięć czy sześć lat – i powiedziała, aby siedział spokojnie i był grzeczny, podczas gdy ona kupowała białe pantofelki na uroczystość ślubną.

No i siedział grzecznie i spokojnie, a jego matka rozmawiała z panem Gardenerem, jednym z tamtejszych sprzedawców, ale był tylko małym, pięcio-, może sześcioletnim chłopcem i kiedy matka odrzuciła trzecią parę białych pantofli, które zaprezentował jej pan Gardener, Eddie poczuł się znudzony i podszedł do rogu sklepu, gdzie zauważył coś, co go zaciekawiło.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że jest to olbrzymia skrzynia postawiona na jednym z rogów. Jednak kiedy podszedł bliżej, uznał, że

to musiał być jakiś pulpit. Ale z pewnością był to najdziwniejszy pulpit czy stół, jaki kiedykolwiek widział. Był taki wąski! Zrobiono go z polakierowanego drewna z całą masą inkrustowanych krętych linii i ozdobnych wycięć wykonanych na gładkiej powierzchni.

Poza tym, aby do niego dotrzeć, trzeba było wejść po trzech schodkach, a on nigdy nie widział stołu ze schodkami.

Kiedy znalazł się tuż obok niego, zobaczył, że w pulpitopodobnym przedmiocie u dołu widniał szeroki otwór, a z boku znajdował się przycisk, na górze zaś – zachwycające! – coś, co przypominało kosmiczny teleskop Kapitana Wideo.

Eddie obszedł pulpit dookoła i zobaczył tabliczkę. Musiał mieć co najmniej sześć lat, bo zdołał przeczytać, co było na niej napisane, wyszeptując na głos każde słowo: „Czy twoje buty pasują? Sprawdź i zobacz!”.

Zawrócił, wszedł po trzech schodkach na małą platformę, a potem włożył stopę w otwór urządzenia. Czy jego but pasował? Eddie nie wiedział, ale miał wielką ochotę sprawdzić i zobaczyć. Przyłożył oko do gumowanego okularu i nacisnął guzik. Zielone światło zalało jego oczy. Eddie wstrzymał oddech. Widział

swoją stopę pływającą wewnątrz buta wypełnionego zielonym dymem. Poruszał palcami i nagle zdał sobie sprawę, że widzi nie tylko swoje palce, ale również kości! Kości swojej stopy! Skrzyżował wielki palec z drugim (jakby się przed czymś zażegnywał) i nieziemskie kości w obiektywie lunety ułożyły się w X, który jednak nie był biały, ale zielony. Widział… I wtedy jego matka krzyknęła, to był narastający okrzyk paniki, który przeciął ciszę panującą w sklepie jak ryk kombajnu, jak piorun kulisty albo zew nadciągającego po niebie Jeźdźca Apokalipsy. Odsunął się gwałtownie od pulpitu, zaskoczony, obrócił się i zobaczył, jak gnała ku niemu w samych tylko pończochach, z sukienką powiewającą wokół niej jak poły płaszcza na wietrze. Przewróciła krzesło i jedno z urządzeń do mierzenia obuwia poszybowało w górę. Jej brzuch przelewał się ciężko. Usta otwarte na kształt szkarłatnego O odzwierciedlały wyraz bezgranicznego przerażenia. Twarze klientów odwracały się w jej stronę, kiedy biegła przez sklep. „Eddie, odejdź stamtąd! – wrzasnęła. – Odejdź stamtąd! Przez te maszyny nabawisz się raka! Złaź stamtąd! Eddie! Eddieee!”. Cofnął się, jakby w tej samej chwili maszyna rozgrzała się do czerwoności. Ogarnięty paniką zapomniał

o znajdujących się tuż za nim schodach. Jego pięty obsunęły się z pierwszego stopnia i zaczął spadać – wolno upadał do tyłu, wymachując opętańczo rękami, próbując w ten sposób odzyskać utraconą równowagę. I czy w tej chwili w jego umyśle nie pojawiła się szaleńcza, acz radosna myśl: „Spadam! Zaraz się dowiem, jak to jest, kiedy się upada i rozwala sobie łeb. Dobrze mi tak…!”? Czy nie myślał wtedy w ten sposób? A może to były tylko jego dorosłe przemyślenia na temat tego, co działo się wówczas w umyśle małego chłopca, które pojawiły się wraz z na wpół zamazanymi obrazami (pozbawionymi sensu w swej niesamowitej wyrazistości), czy rzeczywiście tak wtedy myślał, czy też tak mu się tylko zdawało?

W gruncie rzeczy było to retoryczne pytanie. Nie upadł. Matka znalazła się przy nim na czas. Złapała go. Wybuchnął płaczem, ale nie upadł. Wszyscy na nich patrzyli. Pamiętał to. Pamiętał, jak pan Gardener podniósł przewrócony stojak do mierzenia butów i sprawdził, czy wszystkie znajdujące się na nim pokrętła i suwaki działają, jak należy, podczas gdy inny sprzedawca postawił na swoim miejscu krzesło i nim przyjął typową pozę dobrotliwego i usłużnego pracownika sklepu, wzruszył ramionami

w geście radosnego obrzydzenia. Przede wszystkim jednak Eddie przypomniał sobie wilgotny policzek matki i jej gorący, kwaśny oddech. Pamiętał, jak szeptała mu do ucha raz po raz: „Nigdy więcej tego nie rób, nigdy więcej…”. W ten sposób jego matka starała się zażegnać wszelkie kłopoty. Powtarzała te słowa rok wcześniej, kiedy odkryła, że któregoś gorącego letniego dnia opiekunka do dziecka zabrała Eddiego na basen w Derry Park – było to w okresie, gdy zagrożenie chorobą Heinego i Medina, jakie nastało z początkiem lat pięćdziesiątych, zaczęło z wolna przemijać. Wyciągnęła go z basenu, powtarzając, że nigdy, nigdy, nigdy więcej nie wolno mu tego robić, a wszystkie dzieciaki, tak jak teraz klienci i pracownicy sklepu, patrzyły na nich. Jej oddech wówczas miał taki sam kwaśny posmak. Wyprowadziła go ze sklepu, krzycząc na sprzedawców, że jeżeli coś złego stało się jej małemu chłopcu, to wniesie przeciwko nim wszystkim pozew do sądu. Eddie płakał przez cały dzień, a jego astma ponownie dała o sobie znać ze zdwojoną siłą. To był fatalny dzień. Tej nocy przez wiele godzin nie mógł zasnąć, zastanawiając się, co to właściwie takiego ten rak, czy był gorszy niż choroba Heinego

i Medina, czy był śmiertelny, a jeżeli tak, to jak długo trwało umieranie i jak bardzo się cierpiało przed wyzionięciem ducha.

Zastanawiał się też, czy gdyby umarł na raka, to tym samym poszedłby do piekła.

Wiedział jedno – zagrożenie było naprawdę poważne.

Ona tak bardzo się bała. Wiedział o tym. Czuł to. I dlatego wiedział. Była przerażona.

– Marty – powiedział, pokonując barierę czasową – czy mogłabyś mnie pocałować?

Pocałowała go i robiąc to, objęła go tak mocno, że jego kręgosłup jęknął przeciągle. Gdybyśmy byli w wodzie, pomyślał, utopiłaby nas oboje.

– Nie bój się – wyszeptał jej do ucha.

– Nie mogę nic na to poradzić.

– Wiem – powiedział i zdał sobie sprawę, że chociaż ściskała go tak mocno, jego astma wyraźnie osłabła. Nie miał już świszczącego oddechu. – Wiem, Marty.

Taksówkarz ponownie nacisnął klakson.

– Zadzwonisz? – spytała drżąco.

– Jeżeli będę mógł.

– Eddie, proszę, czy nie mógłbyś mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Przypuśćmy, że zrobiłby to? Czy to by ją uspokoiło?

Marty, miałem dziś telefon od Mike'a Hanlona. Rozmawialiśmy przez chwilę, ale ogólnie rzecz biorąc, wszystko sprowadza się do dwóch rzeczy: „To się znowu zaczęło – powiedział Mike. – Przyjedziesz?". A teraz płonę z gorączki, Marty, tyle że tej gorączki nie uleczysz aspiryną; podobnie jak mojej astmy nie uda się uleczyć za pomocą tego cholernego aspiratora. Bo te kłopoty z oddechem nie biorą się z krtani czy płuc, ale z okolic serca. Wrócę, jeżeli będę mógł, Marty, ale czuję się jak człowiek stojący u wylotu szybu starej kopalni, która w każdej chwili grozi zawaleniem, stoję tam i czekam, aby wejść do środka, a tym samym raz na zawsze pożegnać się z tym światem.

Tak, na Boga, tak! To na pewno by ją podbudowało i uspokoiło!

– Nie – rzekł. – Chyba nie mogę ci tego powiedzieć.

I zanim zdążyła coś dodać, zanim zdążyła ponownie otworzyć usta („Eddie, wysiądź z taksówki, nabawisz się raka!"), zaczął iść przed siebie, oddalając się od niej coraz szybciej i szybciej. Zanim dotarł do taksówki, prawie biegł.

A ona wciąż stała w drzwiach, podczas gdy taksówka wyjechała na ulicę, ciągle tam stała, kiedy wóz ruszył w stronę miasta – wielki czarny cień kobiety wycięty ze światła padającego z wnętrza ich domu. Pomachał jej i wydawało mu się, że zobaczył, jak uniosła rękę w odpowiedzi.

– Dokąd prujemy, przyjacielu? – spytał taksiarz.

– Penn Station – powiedział Eddie i jego dłoń zamknęła się na aspiratorze. Astma wycofała się do swojej kryjówki.

Czuł się… prawie dobrze.

Ale cztery godziny później potrzebował swego aspiratora bardziej niż kiedykolwiek, gdyż przebudził się z lekkiej drzemki gwałtownym spazmatycznym szarpnięciem, które sprawiło, że siedzący naprzeciw niego facet w garniturze opuścił trzymaną w dłoni gazetę i spojrzał na niego z zaciekawieniem, niemniej przemieszanym z niepokojem.

Wróciłam, Eddie! – zawołała radośnie astma. Wróciłam i kto wie, może tym razem cię zabiję! Czemu nie? Wiesz, że to i tak nastąpi prędzej czy później. Nie mogę się z tobą cackać w nieskończoność! Klatka piersiowa Eddiego unosiła się i opadała. Sięgnął po inhalator,

znalazł go; włożył koniec do ust i pociągnął za spust. Potem siadł sztywno w wysokim fotelu Amtraka, trzęsąc się jak osika, czekając, aż ból przeminie, i myśląc o śnie, z którego się właśnie obudził. Śnie? Chryste, jeżeli to było tylko to. Obawiał się, że nawiedziło go raczej wspomnienie. Było w nim zielone światło, jak to wewnątrz maszyny do zdjęć rentgenowskich w sklepie obuwniczym, i trędowaty o gnijącym ciele, ścigający krzyczącego chłopca – Eddiego Kaspbraka – przez ciąg podziemnych tuneli. Biegł i biegł (on biega dosyć szybko, jak powiedział trener Black jego matce, i biegł naprawdę szybko, mając za plecami tę gnijącą rzecz, o tak, możesz się założyć o swoje futro, że tak było) w tym śnie, w którym miał jedenaście lat, a potem poczuł coś jak woń śmierci i ktoś zapalił zapałkę, a on spojrzał w dół i zobaczył rozkładającą się twarz Patricka Hockstettera, chłopca, który zniknął w lipcu 1958 roku, robaki kłębiące się zbitą masą w dziurach jego policzków, poczuł okropny smród bijący z wnętrza ciała trupa, ale to nie koniec, bo w tym śnie, który był bardziej wspomnieniem niż snem, spuścił wzrok i dostrzegł dwa podręczniki szkolne, grube od wilgoci i pokryte zieloną warstewką pleśni: *Roads to Everywhere* i *Understanding Our*

America. Ich kiepski stan należało tłumaczyć obrzydliwą wilgocią, jaka panowała tu, na dole (temat pracy Patricka Hockstettera: „Jak spędziłem letnie wakacje”. „Spędziłem je martwy w tunelu! Mech i pleśń pokryły moje książki, tak że każda z nich napuchła do rozmiarów katalogów Searsa”). Eddie otworzył usta do krzyku i właśnie wówczas szorstkie palce trędowatego musnęły po jego policzkach i wsunęły mu się do ust, a on dokładnie w tej chwili się obudził i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że wcale nie znajduje się w kanałach pod Derry, w stanie Maine, tylko w wagonie pociągu linii Amtrak, sunącym przez Rhode Island pod czarnym niebem rozświetlonym bladą tarczą księżyca. Mężczyzna siedzący naprzeciw niego jakby przez chwilę zastanawiał się, co ma powiedzieć, aż wreszcie wydusił z siebie:

– Dobrze się pan czuje?

– Tak – odparł Eddie. – Usnąłem i miałem zły sen. Znowu odzywa się moja astma.

– Rozumiem. – Gazeta ponownie się uniosła. Eddie zobaczył, że była to gazeta, którą jego matka określała czasami jako „Żydo-York Times”. Eddie wyjrzał przez okno, na śpiącą okolicę skąpaną w blasku bajecznego księżyca. Tu i ówdzie dostrzegał jakiś dom – czasami kilka –

w większości z nich było ciemno, w kilku wciąż jeszcze paliły się światła. Ale te światła były niczym w porównaniu z upiorną poświatą księżyca.

Wydawało mu się, że księżyc do niego przemawiał. Henry Bowers. Boże. Był taki szalony. Eddie zastanawiał się, gdzie był teraz ten sukinsyn. Może nie żył. A może siedział w więzieniu lub, kto wie, przemierzał wyludnione równiny w centrum kraju, jak wirus, którego nie sposób uleczyć, napadając nocami na sklepy Seven-Eleven przy drogach albo zabijając dla marnych paru dolców ludzi, którzy byli na tyle głupi, że widząc go stojącego na szosie z wyciągniętą w bok ręką i uniesionym kciukiem, zatrzymywali się, aby go podwieźć.

To niewykluczone.

A może był pacjentem któregoś ze szpitali psychiatrycznych? Czy patrzył w niebo na tarczę księżyca zbliżającego się do pełni? Czy przemawiał do niego i słuchał odpowiedzi, których nikt prócz niego nie słyszał?

Eddie uznał, że to było jeszcze bliższe prawdy. Wzdrygnął się. Wreszcie zaczynam sobie przypominać dzieciństwo, pomyślał. Zaczynam sobie przypominać, jak spędziłem letnie wakacje w tym upiornym 1958 roku. Czuł, że teraz, gdyby

chciał, przypomniałby sobie każdą scenę, jaka rozegrała się owego lata, ale on tego nie chciał!

O Boże, gdybym tylko mógł to wszystko jeszcze raz zapomnieć! Oparł się czołem o brudną szybę okna, trzymając luźno w dłoni swój aspirator, i patrzył, jak pędzący pociąg rozprasza otaczającą go noc. *Jadę na północ*. Ale to nie było tak. *Nie jadę na północ. Bo to nie jest pociąg. To wehikuł czasu. Nie jadę na północ. Raczej cofam się w czasie*. I nagle odniósł wrażenie, że usłyszał szept księżyca. Eddie Kaspbrak zacisnął palce na swoim aspiratorze i zamknął oczy. Poczuł nagły zawrót głowy.

5

Beverly Rogan dostaje lanie

Tom już prawie usnął, kiedy rozdzwonił się telefon. Podniósł się na łóżku, pochylił w stronę aparatu i w tej samej chwili poczuł, jak jedna z piersi Beverly przywiera do jego ramienia, kiedy jego żona podniosła słuchawkę. Opadł z powrotem na poduszkę, zastanawiając się w duchu, kto mógł o tej porze dzwonić pod ten zastrzeżony numer. Usłyszał, jak Beverly

powiedziała „cześć”, a potem ponownie pogrążył się w drzemce.

Podczas meczu baseballowego opróżnił prawie osiemnaście puszek piwa i był nieźle wstawiony. Nagle usłyszał ostry, pełen zaciekawienia głos Beverly: „Cooooo?”, który przeszył jego ucho jak kolec do lodu, i ponownie otworzył oczy. Próbował usiąść i sznur telefonu wpił się w jego grubą szyję.

– Zdejmij ze mnie to kurestwo, Beverly – powiedział, a ona szybko wstała i obeszła łóżko, trzymając przewód telefonu w zdrętwiałych palcach. Miała ciemnorude włosy, które opadały falami na jej koszulę nocną i sięgały jej niemal do pasa. Włosy kurwy. Nie spojrzała na jego twarz, by wyczytać, w jakim jest nastroju, a Tomowi Roganowi to się nie podobało. Usiadł. Zaczęła go boleć głowa. Cholera, prawdopodobnie głowa już go bolała, tyle że drzemiąc, nie zdawał sobie z tego sprawy.

Poszedł do łazienki i odlał się. Miał wrażenie, że ta czynność zabrała mu dobre trzy godziny, więc uznał, że może sobie pozwolić na jeszcze jedno piwo i spróbować w ten sposób zabić tego cholernego kaca.

Idąc przez sypialnię w stronę schodów, facet w białych bokserkach spodenkach, które łopotały

jak żagle pod linią jego pokaźnego brzuszka, z ramionami jak metalowe sztaby (przypominał bardziej osiłka z doków niż przewodniczącego i głównego kierownika Beverly Fashions Inc.), obejrzał się przez ramię i zawołał gniewnie:

– Jeśli to ta kretynka Lesley, to jej powiedz, żeby się odpierdoliła i dała nam pospać!

Beverly uniosła na chwilę wzrok, pokręciła głową, by dać mu do zrozumienia, że to nie była Lesley, a potem na powrót zajęła się rozmową.

Tom poczuł, że mięśnie jego karku zaczęły się napinać. Odebrał ten gest tak, jakby chciała go zbyć. Wielka dama zbywa natręta. Pierdolona milady. Wyglądało na to, że będzie musiał zrobić coś w tej sprawie. Być może Beverly potrzebowała krótkiego przypomnienia, kto rządzi w tym domu. Niewykluczone. Czasami aż się o to prosiła. Nie była zbyt pojętną uczennicą.

Zszedł na dół i przeszedł przez hol do kuchni, jakby od niechcenia wyciągając końcami palców materiał swoich spodenek, który wsunął się zbyt głęboko w szczelinę pomiędzy pośladkami, i otworzył lodówkę.

Jednak w środku znajdował się tylko niebieski półmisek z resztką romanoffa. Piwa już nie było. Opróżnił nawet puszkę, którą zwykle przechowywał z tyłu na czarną godzinę

(podobnie jak na wszelki wypadek przechowywał zawsze dwudziestodolarowy banknot ukryty za oprawką prawa jazdy). Gra była zacięta, ale i tak wszystko na nic. White Sox przegrali. Skiepścili się w tym roku, patałachy.

Jego wzrok powędrował ku butelkom mocniejszych trunków, stojącym na przeszklonej półce nad kuchennym barkiem, i przez chwilę zobaczył siebie, nalewającego sobie do szklaneczki z paroma kostkami lodu porcyjkę jima beama. Potem podszedł w stronę schodów – wiedział, że kolejny drink tylko wzmógłby doskwierający mu ból głowy. Spojrzał na tarczę starego zegara z wahadłem, stojącego przy schodach, i zobaczył, że było już po północy. Ta informacja bynajmniej nie poprawiła mu samopoczucia, które nigdy, nawet w najwspanialszych chwilach, nie było najlepsze.

Wszedł po schodach wolno, z rozwagą, świadomy – aż zanadto – jak ciężko pracowało jego serce. *Ba-bach, ba-bach, ba-bach, ba-bach*. Kiedy czuł każde uderzenie serca w uszach, nadgarstkach i klatce piersiowej, zawsze narastało w nim zdenerwowanie.

Czasami, kiedy tak się działo, wyobrażał sobie, że jego serce nie było zaciskającym się i rozwierającym rytmicznie mięśniem, tylko

wielką tarczą z igłą przesuwającą się niebezpiecznie w stronę czerwonego pola. Nie lubił tego gówna. Nie potrzebował tego gówna. Potrzebował jedynie solidnej porcji snu. Ale ta głupia, tępa cipa, z którą się ożenił, wciąż jeszcze wisiała na telefonie.

– Rozumiem to, Mike… tak… tak… oczywiście… wiem… ale…

Dłuższa pauza.

– Bill Denbrough?! – wykrzyknęła i ten przeklęty kolec do lodu wbił się ponownie w ucho Toma.

Stał przed drzwiami sypialni, dopóki oddech mu się nie unormował. Jego serce znów uderzyło w rytm – *ba-bach*, *ba-bach*, *ba-bach*. Dudnienie ustało. Wyobraził sobie, jak igła cofa się z czerwonego pola, a potem błyskawicznie odegnał od siebie tę wizję.

Był mężczyzną, na miłość boską, i to cholernie dobrym mężczyzną, nie jakąś maszyną ze spieprzonym termostatem. Był w świetnej formie. Facet z żelaza. I gdyby musiał jej o tym przypomnieć, zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością.

Już miał wejść do sypialni, kiedy coś go powstrzymało. Stał jeszcze przez chwilę w drzwiach, słuchając jej słów; nie obchodziło go,

z kim rozmawiała ani o czym, po prostu nasłuchiwał to wznoszącego się, to opadającego tonu jej głosu. I poczuł, że ponownie zaczyna go ogarniać znajome uczucie tępej, niepohamowanej wściekłości.

Spotkał ją w barze dla samotnych, w śródmieściu Chicago, przed czterema laty. Rozmowa raczej się kleiła, bo oboje pracowali w budynku Standard Brands, mieli paru wspólnych znajomych. Tom pracował dla King & Landry w dziale kontaktów z klientami, na czterdziestym drugim piętrze. Beverly, która nosiła jeszcze wtedy nazwisko Marsh, była asystentką projektantki w Delia Fashion na dwunastym. Delia, którą potem uznano za najskromniejszy dom mody na Środkowym Zachodzie, zaspokajała potrzeby ludzi młodych; spodnie, bluzki, szaliki i sukienki sprzedawano hurtowo do sklepów, które Delia Castleman nazywała „sklepami młodzieży”, a Tom Rogan – „chłamowymi butikami”. Tom Rogan prawie natychmiast dowiedział się dwóch rzeczy o Beverly Marsh – była warta grzechu i łatwa do zdobycia. W niecały miesiąc dowiedział się jeszcze trzeciej rzeczy – ta dziewczyna miała talent. Olbrzymi talent. W wykonanych przez nią projektach zwyczajnych sukienek i bluzek

dostrzegł nieomal niewyczerpaną żyłę złota. Beverly Marsh była niewykorzystaną maszyną do robienia pieniędzy. I marnuje swój talent dla chłamowych butików, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos (w każdym razie wtedy). Koniec z marnym oświetleniem i pokazami na zapleczu domów towarowych, między artykułami pierwszej potrzeby a podkoszulkami zespołów rockowych. Niech się tym gównem zajmują maluczcy i nieudacznicy.

Wiedział o niej sporo, nim jeszcze Bev zdążyła się zorientować, że się nią interesował, ale tak właśnie chciał to przeprowadzić Tom Rogan. Od lat szukał kogoś takiego jak Beverly Marsh i rzucił się na nią jak wygłodzony lew na powaloną antylopę. Co prawda, z wyglądu Beverly Marsh wcale nie sprawiała wrażenia łatwego łupu. Była piękną, szczupłą, dobrze zbudowaną kobietą. Nie miała zbyt ładnych bioder, ale mogła się poszczycić naprawdę fantastycznym tyłkiem i najwspanialszym biustem, jaki Rogan kiedykolwiek widział. Tom zawsze lubił piersiaste dziewczyny, ale te wysokie zwykle rozczarowywały. Nosiły cienkie bluzki i widoczne przez nie sutki doprowadzały cię do szaleństwa, ale kiedy już zdjąłeś z nich wierzchnie odzienie, okazywało się, że te sutki

były wszystkim, czym dziewczyny mogły się pochwalić. Przypominały małe krótkie wałeczki wystające z szuflady biurka, za które się ją wyciągało.

„Aby było co wziąć do ręki. Więcej to już zwykłe marnotrawstwo” – twierdził zawsze jego kumpel z college’u, z którym mieszkał w jednym pokoju, ale Tom uważał, że tamten zna się na babkach jak kura na pieprzu.

Tak, ta dziewczyna była diablo atrakcyjna – naprawdę, z tym cudownym, ponętnym ciałem i kaskadą opadających na plecy rudych włosów. Ale była miękka… w jej wnętrzu kryła się jakaś słabość.

To tak, jakby wysyłała sygnały radiowe, które tylko on umiał odebrać. Świadczyły o tym pewne oczywiste fakty – dużo paliła (choć prawie ją z tego wyleczył) oraz niemal nigdy nie spoglądała w oczy ludziom, którzy do niej mówili, popatrywała na nich tylko od czasu do czasu, a potem odwracała wzrok, mrugając nerwowo; przemawiał za tym jej nawyk zacierania dłońmi łokci, kiedy się denerwowała, i przyglądania się własnym paznokciom, które przycinała zawsze starannie i bardzo krótko. Tom zauważył ten drugi szczegół już podczas pierwszego spotkania. Podniosła kieliszek białego wina, a on zwrócił

uwagę na jej paznokcie i pomyślał, że obcina je tak krótko, bo po prostu lubi je obgryzać.

Lwy może i nie myślą – w każdym razie w taki sposób jak ludzie – ale potrafią obserwować. A kiedy antylopy zrywają się od wodopoju zaalarmowane wonią zbliżającej się śmierci, wielkie koty obserwują zwykle, które ze zwierząt odstaje od reszty stada i pozostaje w tyle – czy to z powodu zranionej nogi, naturalnej powolności… czy też słabiej rozwiniętego instynktu samozachowawczego, który nie pozwolił na szybsze zlokalizowanie zagrożenia. Być może również niektóre antylopy… i niektóre kobiety chciały zostać schwytane. Nagle usłyszał dźwięk, który raptownie wyrwał go z zamyślenia – trzask jej zapalniczki.

Ponownie ogarnął go gniew. Jego wnętrze wypełniło się ciepłem, które nie było całkiem niemiłe. Paliła. Ona paliła. Odbyli parę specjalnych seminariów Toma Rogana na ten temat. I mimo to zrobiła to ponownie. Nie należała do pojętnych uczennic, ale na usługi tej szczególnie krnąbrnej osóbki był już specjalny nauczyciel, skory do udzielenia jej kolejnej lekcji.

– Tak – powiedziała teraz. – W porządku. Tak… – Nasłuchiwała przez chwilę, po czym wybuchnęła dziwnym, urywanym śmiechem,

jakiego nigdy dotąd nie słyszał. – Skoro pytasz, mam do ciebie dwie sprawy… zarezerwuj dla mnie pokój i módl się za mnie. Tak. W porządku… uhm… ja też. Dobranoc.

Odkładała słuchawkę, kiedy wszedł do pokoju. Chciał wejść do środka ostro, wrzeszcząc, żeby natychmiast skończyła tę rozmowę, nie za chwilę, tylko zaraz, teraz, już! Ale kiedy ją zobaczył, słowa uwięzły mu w gardle. Tylko trzy razy wcześniej widział ją w takim stanie. Raz przed ich wielkim show, raz przed ich pierwszym prywatnym pokazem kolekcji dla nabywców z całego kraju i raz, kiedy pojechali do Nowego Jorku na uroczystość wręczenia nagród dla najlepszych projektantów mody z całego świata (International Design Awards).

Przeszła przez sypialnię długimi krokami, biała koszula nocna owinęła się wokół jej kształtnego ciała; przednimi zębami trzymała zapalonego papierosa (Boże, nie cierpiał, kiedy paliła, wyglądała wtedy okropnie), a unoszącą się zeń szarą smużkę wydmuchiwała za siebie, ponad lewym ramieniem, jak lokomotywy.

To widok jej twarzy sprawił, że Tom Rogan stanął jak skamieniały i na krótką chwilę oniemiał. Jego serce zadudniło w piersi i skrzywił się, mówiąc sobie w duchu, że to, co czuł, to nie

był strach, lecz zaskoczenie i zdziwienie wywołane jej dziwacznym stanem.

Była kobietą pracującą zawsze na pełnych obrotach, życie oznaczało dla niej ciągłą walkę i nieustanne pięcie się w górę. Kiedy wcześniej przeżywała podobne kryzysy, było to, rzecz jasna, związane z jej karierą. Widział w niej wtedy całkiem inną kobietę niż tę, którą znał na co dzień – kobietę, której radar antystresowy został spieprzony przez niespodziewane zakłócenia napływające dzikimi, nieokiełznanymi falami. Kobietę, którą stawała się w chwilach załamania; była silna, ale przewrażliwiona, nieustraszona, a zarazem nieobliczalna.

Policzki Bev były różowe z natury, ale oczy miała rozszerzone i iskrzące. Nie wyglądała na niewyspaną. Ależ skąd. Włosy opadały jej rudoczerwoną falą na twarz, ramiona i plecy. I… o, spójrzcie tylko, przyjaciele i sąsiedzi! Spójrzcie tylko tutaj! Czy ona właśnie wyjmuje z szafy walizkę? Walizkę? Na Boga, tak! „Zarezerwuj dla mnie pokój i módl się za mnie…”.

Cóż, w najbliższej przyszłości mała Beverly Rogan nie będzie potrzebowała pokoju w żadnym hotelu, bo nie ruszy się stąd nawet na krok, nie opuści tego domu i, o tak, przez

następne trzy czy cztery dni będzie jadała posiłki na stojąco. A co się tyczyło zdrowasiek – miał wrażenie, że mogła tego potrzebować, zanim z nią skończy.

Cisnęła walizkę przed łóżkiem i podeszła do komody. Otworzyła górną szufladę i wyjęła z niej dwie pary dżinsów i parę sztruksów. Wrzucała je do walizki. Potem znów podeszła do komody, wydmuchując dym ponad ramieniem. Wyjęła sweter, parę podkoszulków, starą bluzkę (Ship ’n Shore), która wyglądała idiotycznie, ale którą mimo to wzięła. Ktokolwiek do niej zadzwonił, najwyraźniej nie przywiązywał wagi do ubioru. Wyglądało na to, że Bev szykuje się do upojnego weekendu.

Nie obchodziło go, kto do niej dzwonił ani dokąd się wybierała, bo dobrze wiedział, że nigdzie nie pojedzie. Nie to dręczyło jego otępiały i obolały od nadmiaru piwa i niedostatku snu umysł. To ten papieros.

Był przekonany, że wyrzuciła wszystkie. Ale widać się mylił. Namacalny dowód tkwił teraz w jej ustach. I ponieważ nadal nie zauważyła, że stał w drzwiach, z przyjemnością przypomniał sobie dwa wieczory, podczas których zupełnie przejął nad nią kontrolę.

– Nie chcę, żebyś kiedykolwiek przy mnie paliła – powiedział jej, kiedy wracali z przyjęcia w Lake Forest. To było w październiku. – Muszę dusić się tym parszywym dymem na przyjęciach, ale nie muszę tego wdychać, kiedy jestem z tobą. Wiesz, z czym mi się to kojarzy? Powiem ci prawdę. Jest niezbyt przyjemne, ale to prawda. Czuję się tak, jakbym zżerał czyjeś smarki.

Wydawało mu się, że zaprotestuje, powie coś, ale ona tylko spojrzała na niego w ten swój niewinny, milutki sposób. Jej głos był cichy, posłuszny i pełen pokory.

– W porządku, Tom.

– No to go wyrzuć.

Zrobiła to. Przez resztę wieczoru Tom był w świetnym humorze.

Parę tygodni później, gdy wychodziła z kina, bezwiednie zapaliła w holu papierosa i leniwie wydmuchiwała dym, kiedy szli przez parking do stojącego tam samochodu. To był chłodny, listopadowy wieczór, wiatr chłostał jak szalony każdy odsłonięty skrawek ciała, jaki udało mu się znaleźć. Tom przypomniał sobie, że czuł wtedy w nozdrzach zapach jeziora (jak to czasami bywa w zimne noce). To był płaski zapach, woń ryb, ale czegoś mu brakowało. Pozwolił jej wypalić papierosa. Nawet otworzył jej drzwiczki, kiedy

doszli do samochodu. Siadł za kierownicą, zamknął drzwiczki po swojej stronie, a potem powiedział:

– Bev?

Wyjęła papierosa z ust i odwróciła się do niego z pytającym wzrokiem, a wtedy przyrżnął jej w twarz – jego twarda otwarta ręka zdzieliła ją w policzek tak mocno, że aż poczuł w niej lodowate mrówki, a głowa Beverly odskoczyła w tył, odbijając się od zagłówka. Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia i bólu… i czegoś jeszcze. Uniosła dłoń do policzka, który pulsował i nieprzyjemnie mrowił.

– Auuu, Tom!

Spojrzał na nią, mrużąc oczy i uśmiechnął się. Czekał. Chciał się dowiedzieć, co będzie dalej – jak Beverly zareaguje. Członek w jego spodniach zaczął sztywnieć, ale on prawie nie zwrócił na to uwagi. To mogło poczekać. Teraz musiał dać jej lekcję. Zrobił powtórkę z tego, co się przed chwilą wydarzyło. Jej twarz. Co to było, ten trzeci grymas, jaki wykwitł na jej obliczu, na ułamek sekundy, by zaraz potem zniknąć? Najpierw zdziwienie. Potem ból. A jeszcze później… to przypominało wspomnienie. Jakieś wspomnienie. Trwało nie dłużej niż chwilkę. Wątpił, czy w ogóle zdawała sobie sprawę, że ten

grymas pojawił się na jej twarzy. Wątpił, aby potrafiła wychwycić to ulotne wrażenie, jakie zagościło w jej umyśle przez ten ułamek sekundy.

Chwileczkę, chwileczkę. To wszystko mogło się zawrzeć w słowach, których jednak nie wypowiedziała.

Wiedział o tym dobrze. To nie było: „Ty sukinsynu!” czy: „Zobaczymy się później, Macho City!” lub: „Bywaj zdrów, Tom”.

Ona tylko na niego spojrzała podkrążonymi, pełnymi bólu oczyma i powiedziała:

– Dlaczego to zrobiłeś? – Potem chciała coś dodać, ale zamiast tego wybuchnęła płaczem.

– Wyrzuć to.

– Co? Co, Tom? – Makijaż spływał jej po twarzy brudnymi strużkami. Nie zwracał na to uwagi. Lubił, kiedy tak wyglądała. Zmysłowy nieład. Było w tym coś, co go podniecało.

– Papieros, wyrzuć go.

Zrozumiała. A wraz z tym zrozumieniem pojawiło się poczucie winy.

– Po prostu zapomniałam! – krzyknęła. – To wszystko!

– Wyrzuć go, Beverly. Bo dam ci w mordę drugi raz.

Opuściła szybę i wyrzuciła papierosa. Potem odwróciła się do niego przerażona, z pobladłą twarzą, a mimo wszystko jakby pogodna.

– Nie możesz… nie powinieneś mnie bić, to marna podstawa… trwałego związku.

Próbowała odnaleźć właściwy ton i dorosły rytm mówienia, ale jej się to nie udało. Spowodował u niej regresję. Był w tym samochodzie z dzieckiem. Zmysłowym i seksownym, ale mimo wszystko dzieckiem.

– „Nie powinienem” i „nie mogę” to dwie różne sprawy, mała – odparł spokojnie, ale wewnątrz aż kipiał z wściekłości. – I to ja zadecyduję, co spaja długotrwały związek, a co nie. Jeśli umiesz się z tym pogodzić, to dobrze. Jeśli nie, droga wolna. Nie będę cię zatrzymywał. Może na odchodne kopnę cię w dupę, ale nie będę cię zatrzymywał. To wolny kraj. Cóż więcej mogę powiedzieć?

– Może już powiedziałeś zbyt wiele – wyszeptała i uderzył ją powtórnie, tym razem inaczej niż poprzednio, bo nikt nigdy nie miał prawa naigrawać się z Toma Rogana. Dopieprzyłby nawet samej królowej Anglii, gdyby zaczęła stroić z niego żarty.

Rąbnęła policzkiem w miękkie obicie deski rozdzielczej. Jej dłoń sięgnęła w stronę klamki,

a potem opadła. Beverly skuliła się w kącie wozu jak królik, z jedną ręką przy ustach i przerażonymi, rozszerzonymi, wilgotnymi od łez oczyma. Tom patrzył na nią przez chwilę, a potem wyszedł i obszedł samochód. Otworzył drzwiczki po jej stronie. Z ust buchała mu para w ten czarny, wietrzny listopadowy wieczór, a zapach jeziora był bardzo wyraźny.

– Chcesz wysiąść, Bev? Widziałem, jak sięgałaś do klamki, więc chciałaś wysiąść. W porządku. Dobrze. Prosiłem cię, abyś coś zrobiła. I powiedziałaś, że to zrobisz. Ale nie dotrzymałaś słowa. I co, chcesz wysiąść? No to jazda. Wysuwaj. W czym problem? Wynocha! Chcesz wysiąść?

– Nie – wyszeptała.

– Co? Nie słyszę cię.

– Nie. Nie chcę wysiąść – rzekła, tym razem nieco głośniej.

– Co? Papierosy tak ci zaszkodziły, że już nie możesz nic powiedzieć? Skoro tak, to ci, kurwa, kupię megafon. To twoja ostatnia szansa, Beverly. Mów tak, żebym cię usłyszał. Chcesz wysiąść z samochodu czy wrócić ze mną?

– Chcę wrócić z tobą – powiedziała i zacisnęła dłonie na spódnicy jak mała dziewczynka. Nie spojrzała na niego. Łzy ściekały jej po policzkach.

– W porządku – rzekł. – Ale najpierw powiedz to, Bev, zrób to dla mnie. Powiedz: „Zapomniałam, że nie powinnam przy tobie palić, Tom”.

Odwróciła się do niego. W jej oczach były ból i nieme błaganie. Jej oczy mówiły: „Możesz mnie do tego zmusić, ale nie rób tego. Nie rób tego. Kocham cię. Czy mógłbyś wreszcie przestać?”.

Nie. Nie mógł. Bo nie tylko o to jej chodziło i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

– Powiedz to.

– Zapomniałam, że nie powinnam przy tobie palić, Tom.

– Dobrze, a teraz powiedz: „przepraszam”.

– Przepraszam – powtórzyła otępiałym tonem.

Dymiący papieros leżał na chodniku jak odcięty kawałek lontu. Ludzie wychodzący z kina patrzyli na nich, mężczyznę stojącego przy otwartych drzwiczkach najnowszego modelu vegi i kobietę siedzącą wewnątrz z dłońmi złożonymi zgrabnie na podołku i spuszczoną głową, a światło sufitowej lampki osnuwało jej włosy złotawą poświatą. Zgniótł papierosa butem i rozmazał na chodniku.

– A teraz powiedz: „Nigdy więcej nie zrobię tego bez twojej zgody. Nigdy…”.

Zaczęła się zacinać:

– …nigdy… ni-ni-ni…

– Powiedz to, Beverly.

– …Nigdy wię-więcej tego nie zrobię. Bez twojej zgody.

Kiedy to powiedziała, zatrzasnął drzwiczki i ponownie zajął swoje miejsce. Usiadł za kółkiem. Pojechali do ich apartamentu w śródmieściu. Żadne z nich nie odezwało się choćby słowem. Połowę łączących ich stosunków uzgodniono na parkingu, drugą połowę czterdzieści minut później w łóżku Toma. Powiedziała, że nie ma ochoty się kochać. Jednak w jej oczach i ułożeniu nóg zobaczył coś zupełnie innego i kiedy zdjęła bluzkę, ukazując nagie piersi, doznał naprawdę potężnego wzwodu. Jęknęła, kiedy zaczął pieścić jej sutki, i krzyknęła cicho, kiedy wziął do ust najpierw pierwszy, a potem drugi, miętosząc przy tym bez przerwy palcami jej obfite krągłe piersi. Ujęła go za rękę i włożyła ją sobie między nogi.

– Myślałem, że nie chciałaś – powiedział… a ona odwróciła twarz… ale nie puściła jego ręki i kołyszący rytm bioder stał się nieco szybszy. Popchnął ją na łóżko… i tym razem był delikatny, nie zerwał z niej bielizny, tylko zsunął ją z niej łagodnie, z rozwagą, niemal tkliwie. Wszedł w nią tak, jakby była dobrze naoliwiona.

Poruszał się wraz z nią, rżnął ją, ale tak samo ona rżnęła jego i chyba po raz pierwszy oboje doszli jednocześnie, a kiedy to się stało, Beverly krzyknęła i rozdarła mu paznokciami skórę na plecach. Później zwolnili tempo, ale nie przestawali i w którymś momencie odniósł wrażenie, że Bev przeżyła drugi orgazm. Tom powoli zaczął dochodzić, a w jego myślach pojawiły się statystyki uderzeń zadanych podczas meczu przez White Soksów, wspomnienie kogoś, kto próbował go sprzedać Chesleyowi, a potem ogarnęło go przeświadczenie, że w końcu wszystko znowu będzie dobrze. Spojrzał na jej twarz, rozmazany tusz, przez który jej oczy przypominały oczy szopa, ślady szminki wokół ust, i poczuł pewne oznaki zbliżającego się jak burza orgazmu.

Zadzierała biodra coraz wyżej i wyżej – w tamtych czasach nie dzielił ich jeszcze jego kałdun (wynik nadużywania piwa) – i ich brzuchy zderzały się z sobą z głośnym plaśnięciem. Pod koniec krzyknęła, a potem ugryzła go w ramię swymi małymi równymi zębami.

– Ile razy miałaś orgazm? – spytał, kiedy oboje wzięli prysznic.

Odwróciła twarz, a kiedy się odezwała, mówiła tak cicho, że prawie jej nie słyszał.

– Nie powinieneś o to pytać.

– Nie? A kto ci to powiedział?

Ujął ją za twarz jedną ręką, wbijając kciuk głęboko w jeden z jej policzków, a resztę palców w drugi, obejmując wnętrzem dłoni jej brodę.

– Powiedz Tomowi. Słyszysz mnie, Bev? Powiedz tatusiowi.

– Trzy razy – odparła z wahaniem.

– Dobrze – powiedział. – Możesz zapalić papierosa.

Spojrzała na niego nieufnie, jej rude włosy były rozsypane na poduszce. Prócz kusych majteczek nie miała na sobie nic. Już samo patrzenie na nią wystarczało, aby jego motor zagrał ponownie równym rytmem. Skinął głową.

– No, jazda. Pozwalam ci.

Trzy miesiące później wzięli ślub cywilny. Zjawiło się tam dwóch jego kumpli i jedna jej przyjaciółka, Kay McCall, którą Tom określił mianem „cycatej cipy”.

Wszystkie te wspomnienia pojawiły się w umyśle Toma Rogana w ciągu zaledwie paru sekund, jak film puszczony na przyspieszonych obrotach, gdy tak stał nieruchomo w drzwiach i patrzył na Beverly w milczeniu. Skupiła się

teraz na wygarnianiu rzeczy z dolnej szuflady czegoś, co nazywała „weekendową komodą”, i wrzucała do walizki bieliznę; nie brała bielizny, za którą tak przepadał, satynowych i jedwabnych seksownych ciuszków, tylko same bawełniane rzeczy, które noszą zwykle młode dziewczyny. Większość tych ciuchów była już mocno wyblakła, gumki i paski powyciągane i pofałdowane na brzegach. Bawełniana koszulka nocna, która wyglądała jak żywcem wyjęta z *Domku na prerii*. Wysunęła szufladę do końca, żeby sprawdzić, co mogło się tam jeszcze czaić.

W tym czasie Tom Rogan przeszedł po kosmatym dywanie w stronę swojej szafy. Był boso i poruszał się bezszelestnie. To ten papieros. To on doprowadził go do takiego szału. Minęło sporo czasu, odkąd zapomniała pierwszą lekcję. Potem było wiele innych lekcji, bardzo wiele, i czasem nawet w gorące letnie dni musiała nosić bluzki z długimi rękawami albo grube swetry zapinane pod samą szyję. Były dni szarugi, kiedy nosiła okulary przeciwsłoneczne. Ale ta pierwsza lekcja była tak gwałtowna i podstawowa…

Zapomniał już o telefonie, który wyrwał go z pogłębiającej się drzemki. To był ten papieros. Jeżeli teraz paliła, to znaczyło, że zapomniała o Tomie Roganie. Rzecz jasna chwilowo, tylko

chwilowo, ale nawet ta chwila to było dla niego zbyt długo. Nieważne, co sprawiło, że o nim zapomniała. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać w jego domu, niezależnie od powodu.

Z haka, po wewnętrznej stronie drzwi szafy, zwisał szeroki czarny pas skóry. Nie było przy nim sprzączki – zdjął ją już dawno temu. W miejscu, gdzie kiedyś była sprzączka, znajdowała się teraz skórzana pętla i Tom Rogan włożył w nią rękę.

„Tom, byłeś niegrzeczny!”, mawiała czasami jego matka; no, może słówko „czasami” jest tu nie na miejscu – raczej trzeba by powiedzieć „często”. Tak, „często” było bardziej adekwatnym określeniem. „Chodź no tu, Tommy! Musisz dostać lanie”. Jego dzieciństwo było poprzedzielane kolejnymi porcjami lania. Na końcu udało mu się czmychnąć do stanowego college’u Wichita, ale najwyraźniej nie było dla niego szans na całkowitą ucieczkę przed matką, bo do dziś w snach słyszał czasami jej głos. „Chodź no tu, Tommy, musisz dostać lanie, lanie…”.

Był najstarszy z całej czwórki. Trzy miesiące po tym, jak przyszedł na świat najmłodszy, Ralph Rogan umarł – cóż, może „umarł” nie było najwłaściwszym słowem, raczej powinno się to

określić zwrotem „popełnił samobójstwo”, jako że któregoś dnia zamknął się w łazience, nalał sobie do szklanki hojną porcyjkę ługu z ginem i wypił ów diabelski trunek do dna.

Pani Rogan znalazła pracę w fabryce Forda. Tom, choć miał dopiero jedenaście lat, stał się głową rodziny. I jeśli czegokolwiek nie dopilnował – kiedy okazywało się, że po wyjściu z domu opiekunki dzieciak zabrudził pieluchy i do powrotu matki nie zostały zmienione albo jeśli Tom nie odebrał Megan z przedszkola, a wścibska pani Gant go zakapowała, albo gdy przypadkiem zagapił się na *American Bandstand*, podczas gdy w tym samym momencie Joey robił w kuchni bałagan – jeżeli zdarzyła się jedna z powyższych i tysiące innych podobnych sytuacji… to kiedy małe dzieci zostały już położone do łóżek, matka wyjmowała rózgę i zaczynała swoją inwokację. „Chodź no tu, Tommy. Musisz dostać lanie”.

Lepiej być bijącym niż bitym. Jeżeli czegokolwiek nauczyło go życie, to właśnie tego. Znał tę prawdę od lat. Dlatego też owinął sobie luźny pasek wokół ręki i zacieśnił pętlę. Potem zacisnął mocno pięści. Czuł się dobrze. Czuł się naprawdę dorosły. Skórzany pas zwisał z jego

zaciśniętej pięści jak martwy wąż. Ból głowy zniknął.

Beverly znalazła z tyłu w szufladzie ostatnią rzecz, której szukała – to był stary, biały bawełniany, usztywniony stanik. W jego głowie przez chwilę pojawiła się myśl, że być może człowiek, który do niej dzwonił, był jej kochankiem, ale zaraz odrzucił od siebie te przypuszczenia. To było idiotyczne. Kobieta wybierająca się na randkę z kochankiem nie zabrałaby z sobą starej, wypłowiałej bluzki i bawełnianej bielizny z ponaciąganymi gumkami i ramiączkami. Poza tym nie ośmieliłaby się tego zrobić.

– Beverly – powiedział łagodnie, a ona odwróciła się błyskawicznie, zaskoczona; jej oczy rozszerzyły się, a włosy omiotły twarz i ramiona. Pas zawahał się… opadł nieznacznie. Tom spojrzał na nią i ponownie poczuł przypływ niezdecydowania. Tak. Wyglądała tak samo jak przed jakimiś ważnymi wydarzeniami, a w takich sytuacjach wolał nie wchodzić jej w drogę, bo wiedział, że jej wnętrze wypełniała wówczas zabójcza mieszanka strachu i agresji, tak jakby do jej głowy napompowano jakiegoś gazu. Wystarczyłaby jedna iskierka, aby spowodować wybuch.

Dla niej wielkie pokazy nie stanowiły szansy oderwania się od Delia Fashions, aby mogła żyć – albo nawet zbić fortunę – na własną rękę. Byłoby dobrze, gdyby tak się stało. Ale wówczas z pewnością nie byłaby równie utalentowaną projektantką. Dla niej pokazy stanowiły coś w rodzaju egzaminu mistrzowskiego przeprowadzanego pod okiem wyjątkowo surowych profesorów. W takich sytuacjach zawsze widziała przed sobą potwora bez twarzy. Ta istota nie miała twarzy, ale miała nazwę – władza.

Na twarzy Bev, w jej rozszerzonych oczach wyraźnie było widać oznaki zdenerwowania, ale nie tylko. Otaczała ją nieomal namacalna aura napięcia, dzięki której wydawała mu się jeszcze bardziej ponętna i niebezpieczna niż kiedykolwiek. Już od lat taka nie była. Bał się, bo była tu, ciałem i duszą, prawdziwa ona – jakże inna od tej, której chciał Tom Rogan i jaką zdołał ją uczynić.

Beverly sprawiała wrażenie zszokowanej i przerażonej. A także odrobinę rozbawionej. Jej policzki były różowe, choć tuż pod dolnymi powiekami widniały białe placki, przypominające drugie oczy. Nakremowane błyszczące czoło kontrastowało z jej ogólnym

wyglądem. I nadal trzymała w ustach papierosa – tym razem sterczał on z kącika ust, nieco ku górze, jakby ta głupia cipa uważała się za pieprzonego Franklina Delano Roosevelta. Papieros! Już samo patrzenie na niego sprawiało, że ogarniała go fala wściekłości. W myślach kołatało mu wspomnienie, jak którejś nocy, kiedy leżeli razem w łóżku, z ciemności dobiegł go jej przytłumiony, jakby zduszony głos: „Któregoś dnia mnie zabijesz, Tom. Wiesz o tym? Któregoś dnia po prostu posuniesz się za daleko i to będzie koniec. Przegniesz pałę". Odpowiedział: „Rób, co ci mówię, Beverly, a ten dzień nigdy nie nadejdzie".

Teraz, zanim gniew przyćmił wszystko inne, przyszło mu na myśl, że być może ten dzień właśnie nadszedł. Papieros. Do diabła z telefonem, pakowaniem się i dziwnym wyrazem jej twarzy. Wszystkiemu winien był papieros. Powie jej, co o tym myśli. A potem ją zerżnie. A jeszcze później rozmówią się na temat pozostałych spraw. Może do tej pory to go zaciekawi.

– Tom – powiedziała. – Tom, muszę wy…

– Palisz – rzucił oschle. Jego głos zdawał się odległy, jakby dobiegał z głośnika dobrego radia.

– Wygląda na to, że zapomniałaś, mała. Gdzie je chowałaś?

– Spójrz. Już go gaszę – odparła i podeszła do drzwi łazienki. Wrzuciła papierosa do muszli klozetowej, nawet z tej odległości widział na filtrze ślady jej zębów. Psss. Wyszła z łazienki. – Tom, to był stary przyjaciel… bardzo stary przyjaciel. Muszę…

– Musisz się zamknąć i nic poza tym! – ryknął. – Po prostu stul dziób!

Na jej twarzy nie dostrzegł jednak tego, na co czekał – czyli oznak strachu. Strachu przed nim. Nie bała się go, lecz obawiała się czegoś, czego dowiedziała się od swego tajemniczego rozmówcy. Nie spodziewał się tego. Zupełnie jakby nie widziała pasa ani jego i Tom poczuł pod sercem uczucie niepokoju. Czy on tu był? To głupie pytanie, ale czy on w ogóle był tutaj?

Pytanie było przerażające i elementarne; w pierwszej chwili poczuł, że korzenie jego jaźni zaczynają opuszczać grunt, w którym się znajdowały; bał się, że lada chwila czeka go los krzewu szarłatu pędzonego w dal gwałtownymi podmuchami wiatru. W końcu jednak zdołał wziąć się w garść. Przecież był tutaj i uznał, że jak na jeden wieczór miał już dość tej miałkiej psychologicznej gadki. Był tutaj, był Tomem

Roganem. Wybrańcem Boga, a jeśli ta głupia cipa w ciągu następnych trzydziestu sekund nie wyprostuje się i nie zacznie zachowywać, jak należy, to tak ją przefasonuje, że jej rodzona matka nie pozna.

– Musisz dostać lanie – oznajmił. – Przykro mi z tego powodu, mała. – Widział już wcześniej tę mieszankę strachu i agresji. Jednak po raz pierwszy zaserwowała mu ją tak otwarcie.

– Odłóż to – powiedziała. – Muszę dotrzeć na O'Hare jak najszybciej.

Jesteś tu, Tom? Jesteś tu?

Odegnał od siebie tę myśl. Skórzany rzemień, który kiedyś był pasem, kołysał się przed nim niczym wahadło. Tom mrugnął, po czym wbił wzrok w jej twarz.

– Posłuchaj mnie, Tom. W moim rodzinnym mieście były kiedyś kłopoty, naprawdę bardzo poważna sprawa. Miałam wtedy przyjaciela. Myślę, że mógł być nawet moim chłopakiem, tylko że my wtedy jeszcze do tego nie dorośliśmy. Miał wówczas jedenaście lat i strasznie się jąkał. Teraz jest pisarzem. Wydaje mi się, że czytałeś chyba kiedyś jedną z jego książek… *Black Rapids*, jeśli się nie mylę?

Przyglądała się jego twarzy, ale nie wyczytała z niej niczego. I tylko skórzany pas kołysał się jak

wahadło w przód i w tył, w przód i w tył. Tom stał z nieznacznie pochyloną głową i w lekkim rozkroku. A ona od niechcenia przeczesała ręką włosy, jakby miała całą masę spraw do przemyślenia i w ogóle nie zauważała trzymanego przez niego pasa. W jego głowie zaś bezustannie pobrzmiewało pytanie zadawane przez niezmordowany głos: Jesteś tam? Jesteś pewien?

– Ta książka leżała tu od wielu tygodni, ale nigdy sobie tego nie mogłam skojarzyć. Może powinnam, ale wszyscy tak bardzo się postarzeliśmy, a ja już od wielu, bardzo wielu lat nie myślałam o Derry. W każdym razie Bill miał brata George'a, który został zabity, zanim jeszcze poznałam Billa. Zamordowano go. A potem, następnego lata…

Ale Tom miał już dość tej głupiej gadki. Miał dość głosu Beverly i tego, który odzywał się w jego wnętrzu. Spadł na nią jak drapieżny ptak, unosząc wysoko prawe ramię i odrzucając je do tyłu jak oszczepnik szykujący się do rzutu.

Skórzany pas ze świstem przeciął powietrze. Beverly zobaczyła, jak się zbliżał w jej stronę, i próbowała się uchylić, ale uderzyła prawym ramieniem w drzwi łazienki i chwilę potem rozległo się głośne plaśnięcie, kiedy pas trafił ją

w lewe przedramię, zostawiając na nim czerwony ślad.

– Dam ci bobu! Tak ci przyleję, że popamiętasz – powiedział Tom. Mówił spokojnym tonem, nawet z odrobiną żalu w głosie, a wypowiadając te słowa, uśmiechał się lodowato, ukazując przy tym białe zęby. Chciał zobaczyć to spojrzenie pełne strachu, zgrozy i wstydu, spojrzenie, które mówiło: „Tak, masz rację, zasłużyłam na to". Spojrzenie, które mówiło: „Tak. Masz rację, czuję twoją obecność". Wraz z nim wróci miłość i powinno tak być, bo on naprawdę ją kocha. Jeżeli tego chciała, pomówi z nią o tym telefonie i dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. Ale to będzie musiało jeszcze trochę poczekać. Na razie trzeba udzielić jej lekcji. Stara zasada. Najpierw obowiązki, a potem przyjemności. I pieprzenie.

– Przykro mi, mała.

– Tom, nie rób te…

Zamachnął się pasem w bok i zobaczył, jak skórzany rzemień dosięga jej biodra. Na jej pośladku pojawił się przyjemny ślad, czemu towarzyszył głośny trzask. I… Jezu, ona próbowała złapać pasek! Sięgała ręką po pasek! Przez krótką chwilę Tom Rogan był tak zaskoczony nagłym wybuchem niesubordynacji,

że o mały włos – gdyby nie skórzana pętla na końcu – straciłby swoją dyscyplinę. Uwolnił go szarpnięciem.

– Nigdy nie próbuj mi niczego odbierać – odezwał się ochrypłym tonem. – Słyszysz? Zrobisz tak jeszcze raz, a przysięgam ci, że przez następny miesiąc będziesz szczała na malinowo.

– Tom, przestań już – powiedziała, a jej poważny ton wprawił go we wściekłość; miał wrażenie, że jest sześciolatkiem słuchającym głosu płynącego z głośnika umieszczonego na placu zabaw. – Muszę jechać. Ja nie żartuję. Ludzie giną, a ja wiele lat temu złożyłam obietnicę.

Tom prawie jej nie słyszał. Ryknąwszy przeraźliwie, rzucił się na nią ze spuszczoną głową, wymachując skórzanym pasem. Trafił ją tak, że zatoczyła się od drzwi wzdłuż całej ściany sypialni. Odrzucił ramię do tyłu, trafił ją, odrzucił ramię do tyłu i trafił ją po raz kolejny. Później tego ranka nie zdoła podnieść ręki ponad poziom oczu, dopóki nie łyknie trzech tabletek kodeiny, ale teraz liczyło się dla niego tylko to, że Beverly ośmieliła mu się sprzeciwić. Nie tylko paliła, ale jeszcze próbowała mu wyrwać pasek i – posłuchajcie wszyscy, przyjaciele i sąsiedzi – skoro sama się prosiła, aby spuścić jej manto, był

święcie przekonany, że dostanie to, na co zasłużyła.

Szedł za nią wzdłuż ściany, wymachując pasem i zasypując ją gradem ciosów. Uniosła obie ręce, ale w ten sposób odsłaniała resztę swego ciała. Ciszę pokoju raz po raz przeszywał ostry trzask skórzanego rzemienia. A Beverly nie krzyczała, jak to czasem miała w zwyczaju, nie błagała go, aby przestał, jak to zwykle robiła. Najgorsze ze wszystkiego było to, że nie płakała, a zawsze zalewała się łzami. Jedynymi odgłosami w pokoju były trzask pasa i ich oddechy – jego, ciężki i ochrypły, i jej, szybki i płytki. Podbiegła do łóżka i stojącej przy nim toaletki. Ramiona Bev były czerwone od otrzymanych razów. Jej włosy płonęły niczym ogień. Skoczył za nią. Był wolniejszy, ale potężny, bardzo potężny – często grywał w squasha, dopóki dwa lata temu nie uszkodził sobie ścięgna Achillesa i od tej pory przybrał nieco na wadze („sporo” byłoby tu lepszym określeniem), ale wciąż miał silne mięśnie, twarde jak stalowe liny, ukryte głęboko pod grubą warstwą tłuszczu. Niepokoiło go jedynie to, że ostatnio bardzo szybko się męczył.

Dotarła do toaletki i wydawało mu się, że ma zamiar się tam skulić albo spróbuje wczołgać się pod spód, ale złapała tylko coś w obie ręce…

odwróciła się… i nagle w powietrzu zaroiło się od latających przedmiotów. Ciskała w niego kosmetykami. Butelka Chantilly trafiła go w sam środek klatki piersiowej i spadła na podłogę, gdzie roztrzaskała się w drobny mak. W nozdrza uderzył go ostry, kwiatowy zapach.

– Przestań! – ryknął. – Przestań, ty dziwko!

Jej dłonie ze zdwojoną prędkością przesunęły się po pokrytym szkłem blacie toaletki, chwytając wszystko, co jej wpadło w ręce, i rzucając w jego stronę. Złapał się za pierś w miejscu, gdzie trafiła go buteleczka Chantilly, nie mogąc pojąć nawet teraz, kiedy w jego stronę mknął grad pocisków, że został trafiony. Zranił go szklany korek od butelki. Było to zwykłe trójkątne zadrapanie, ale czyż stojąca przed nim rudowłosa dama nie odpowie za to, oglądając kolejny świt ze szpitalnego łóżka? O tak. Na pewno tak będzie. Pewna dama, która…

Słoiczek kremu trafił go nad prawą brwią ze sporą siłą. Odgłos uderzenia usłyszał gdzieś głęboko wewnątrz czaszki. Przed oczyma rozbłysło mu oślepiające białe światło i cofnął się o krok, otwierając szeroko usta. Teraz tubka z kremem Nivea rąbnęła go w brzuch przy wtórze głośnego plaśnięcia, a ona… czy to możliwe? Tak! Ona krzyczała na niego:

– Jadę na lotnisko, ty sukinsynu! Słyszysz? Mam swoje sprawy i wyjeżdżam! I zejdź mi z drogi, bo wychodzę!

Ciepła krew spłynęła mu do oka. Otarł ją wierzchem dłoni. Stał przez chwilę nieruchomo, patrząc na Beverly, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Jej piersi unosiły się gwałtownie. Twarz, pokryta silnym rumieńcem, niemal płonęła. Wargi uniosły się, ukazując zaciśnięte w złowieszczym grymasie zęby. Blat toaletki był pusty. Zużyła całą amunicję. Wciąż dostrzegał w jej oczach oznaki strachu, ale nadal nie był to strach przed nim.

– Odłóż ubrania na miejsce – powiedział, starając się wypowiadać te słowa spokojnym tonem. Nie chciał, by usłyszała jego przyspieszony oddech. To nie byłoby dobre. Stanowiłoby oznakę słabości. – A potem połóż walizkę na miejsce i wracaj do łóżka. Jeżeli to zrobisz, może nie uszkodzę cię za bardzo. Może zamiast za dwa tygodnie będziesz mogła wyjść z domu już za dwa dni.

– Tom, posłuchaj mnie – rzekła powoli. Jej spojrzenie było czyste. – Jeśli się do mnie zbliżysz, to cię zabiję. Pojmujesz, beko sadła? Zabiję cię.

I nagle – może sprawił to wyraz obrzydzenia na jej twarzy, pogarda albo fakt, że nazwała go beką sadła, a może wystarczył do tego sam widok jej piersi unoszących się i opadających w buntowniczy sposób – poczuł dławiący go strach.

Nie pojedynczy pąk czy bukiet, ale cały pieprzony ogród strachu, przeraźliwego strachu, który mówił, że Toma Rogana w ogóle tu nie ma.

Tym razem rzucił się na swoją żonę bez głośnych okrzyków, zaatakował ją tak cicho, jak torpeda przecinająca morskie fale. I tym razem nie chciał jej pobić, tylko zrobić z nią to, czym ona mu się odgrażała.

Pomyślał, że Bev zacznie uciekać. Prawdopodobnie do łazienki. Może pobiegnie ku schodom. Ona jednak nie ruszyła się z miejsca. Stała jak wrośnięta w ziemię. Rąbnęła biodrem w ścianę, kiedy wytężając wszystkie siły, podniosła toaletkę i obróciła się w jego stronę (zdarła sobie dwa paznokcie do żywego mięsa, gdy ciężkie drewno zaczęło wyślizgiwać się z jej spoconych rąk).

Przez chwilę stolik chwiał się, a jej udało się odzyskać równowagę. Toaletka tańczyła na jednej nóżce, lustro chwytało promienie słońca i rzucało na sufit ulotne tańczące cienie, aż

wreszcie przechyliło się do przodu i spadło. Jego koniec uderzył Toma w uda, przewracając go na ziemię. Rozległ się głośny brzęk, kiedy znajdujące się wewnątrz toaletki buteleczki zaczęły się tłuc w drobny mak. Zobaczył, jak lustro spada na podłogę po jego lewej stronie i uniósł przedramię, aby osłonić oczy. Pas wyślizgnął mu się z ręki. Szkło rozprysło się na podłodze. Poczuł, że parę odłamków rozcięło mu skórę.

A Beverly zaczęła płakać. Oddech wydobywał się z jej ust krótkimi urywanymi spazmami. Szlochała. Częstokroć widziała siebie opuszczającą tego tyrana, Toma, tak jak wcześniej opuściła swego ojca, wówczas nocą cichaczem wymknęła się z domu, wrzucając torby z rzeczami do bagażnika swego cutlassa. Nie była głupia, w każdym razie nie tak głupia, by wmówić sobie, że nigdy nie kochała Toma, uwierzyć, że nic do niego nie czuła. Ale jednocześnie bała się go… nienawidziła go i gardziła sobą, że zdecydowała się z nim pozostać i że wybrała go z różnych mrocznych powodów, pogrzebanych wiele lat temu, które już dawno powinny zostać zapomniane. Jej serce nie było złamane – raczej płonęło w piersi, wytapiając się jak tłuszcz. Bała się, że żar bijący

z jej serca może niebawem spalić powłokę jej normalności i doprowadzić ją do obłędu.

Wszystkie te myśli, kłębiące się pod jej czaszką, zagłuszał oschły, stonowany głos Mike'a Hanlona, powtarzający raz po raz nieustannie: „To powróciło, Beverly… To powróciło… A ty złożyłaś przysięgę…".

Toaletka uniosła się nieznacznie i ponownie opadła. Raz, drugi, trzeci. Zupełnie tak, jakby oddychała. Poruszając się ostrożnie, lecz zwinnie, z ustami wygiętymi w kącikach ku dołowi i dziwacznym tikiem wykrzywiającym jej twarz, wyminęła toaletkę, przestąpiła potłuczone szkło i schwyciła pas w tej samej chwili, kiedy Tom zwalił toaletkę na jedną stronę. Potem cofnęła się, wkładając rękę w pętlę pasa. Odgarnęła włosy z oczu i czekała, co zrobi Tom.

Tom wstał. Odłamki szkła z lustra rozcięły mu policzek. Jego czoło przedzielała pionowa, cienka jak nitka, szkarłatna kreska. Zmrużył oczy, patrząc na nią, i wstał, a wówczas zobaczyła kropelki krwi na jego spodenkach.

– Oddaj mi ten pasek – powiedział.

Ona jednak owinęła sobie skórzany rzemień dwukrotnie wokół ręki i rzuciła mu zuchwałe wyzywające spojrzenie.

– Daj spokój, Bev. Natychmiast.

– Jeśli się do mnie zbliżysz, oberwiesz – ostrzegła, choć w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że te słowa w ogóle padły z jej ust. Kim był naprawdę ten jaskiniowiec w zakrwawionych spodenkach?

Jej mężem? Jej ojcem? Kochankiem z college'u, który kiedyś, dla kaprysu, złamał jej nos?

Pomóż, Boże, pomyślała. O Boże, pomóż mi! Poruszała ustami.

– Mogę to zrobić. Jesteś gruby i powolny, Tom. Wyjeżdżam i myślę, że opuszczam cię na dobre. Wydaje mi się, że to koniec.

– Kim jest ten facet, Denbrough?

– Zapomnij o tym. To był…

Kiedy zrozumiała, że zadał to pytanie tylko po to, by zmylić jej czujność, było już za późno. Skoczył w jej stronę, zanim jeszcze zdążyła dokończyć zdanie. Pas, który trzymała w ręku, zatoczył szeroki łuk i przy wtórze odgłosu przypominającego trzask korka wyskakującego z butelki trafił go w twarz. Jęknął z bólu i uniósł obie ręce do ust. Jego oczy były rozszerzone z bólu i szoku. Krew wypływała mu pomiędzy palcami i ściekała po wierzchu dłoni.

– Rozwaliłaś mi usta, ty dziwko! – wrzasnął zduszonym głosem. – O Boże, rozwaliłaś mi usta!

Ponownie rzucił się na nią z umazanymi krwią ustami. Wyglądało na to, że miał wargi pęknięte w dwóch miejscach. Uderzenie utrąciło też koronkę z jego przednich zębów. Na jej oczach wypluł ją na podłogę.

Część niej, ta przerażona i trawiona mdłościami, chciała opuścić to miejsce lub przynajmniej zamknąć oczy i nie oglądać tych okropności. Ale ta druga Beverly czuła się teraz jak więzień skazany na karę śmierci, uratowany przed egzekucją przez niezwykłe trzęsienie ziemi. Ta Beverly była tym wszystkim po prostu zachwycona.

Chciałabym, abyś ją połknął, pomyślała. Chciałabym, abyś się nią udławił!

Drugie „ja” Beverly zamachnęło się pasem po raz ostatni – był to ten sam pas, którego razów doświadczyła na swoich pośladkach, nogach i piersiach. Pas, z którego przez ostatnie cztery lata korzystał nieskończenie wiele razy. Lista uderzeń zależała od rodzaju przewinienia. Tom wraca do domu, a kolacja jest zimna? Dwa uderzenia. Beverly pracuje nieco dłużej w studiu i nie raczy zadzwonić do domu? Trzy uderzenia. O, spójrzcie tylko, Beverly dostała kolejny mandat – jedno uderzenie… po piersiach. Był w tym dobry. Rzadko bił tak, żeby miała siniaki.

I nawet nie bolało jej to za bardzo. Te lania były raczej upokarzające niż bolesne. Tak. Prawdziwie bolało upokorzenie.

A jeszcze gorsze było to, że część niej pragnęła tego bólu, tego upokorzenia. Czas spłacić wszystkie długi, pomyślała i zamachnęła się z całej siły.

Uderzyła z boku, mierząc nisko, i rzemień pasa trafił Toma w krocze przy wtórze potężnego trzasku, przypominającego uderzenie trzepaczką o dywan. I było już po wszystkim. Tom Rogan stracił na dobre ochotę do walki. Wydał z siebie cieniutki, pozbawiony siły okrzyk i upadł na kolana, jakby chciał się modlić. Jego dłonie znajdowały się pomiędzy nogami. Głowę miał odrzuconą do tyłu. Żyły wystąpiły mu na szyi. Jego lewe kolano opadło ciężko na twardą zakrzywioną krawędź rozbitej butelki po perfumach i Tom Rogan bez słowa przetoczył się na bok jak potężny wieloryb. Jedna ręka opuściła krocze, by zacisnąć się z całych sił na kolanie, z którego tryskała krew. Krew. Boże wszechmogący, on jest cały pokrwawiony.

Będzie żył, pomyślała chłodno nowa Beverly, która narodziła się wraz z telefonem od Mike'a Hanlona. Faceci tacy jak on zawsze uchodzą z życiem. Wynoś się stąd, zanim ten typ

zdecyduje się ponownie zaprosić cię do tanga albo zejść do piwnicy po winchestera.

Cofnęła się i poczuła ból przeszywający jej stopę, kiedy stanęła na odłamek szkła ze stłuczonego lustra toaletki. Pochyliła się, by podnieść walizkę. Ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku. Podeszła tyłem do drzwi i wyszła na zewnątrz. Walizkę trzymała w obu dłoniach przed sobą, tak że ta z każdym krokiem obijała jej golenie. Rozcięta stopa zostawiała na dywanie krwawe odciski pięty.

Kiedy dotarła do schodów, odwróciła się i bez chwili zastanowienia zbiegła na dół. Przypuszczała, że w tym stanie i tak nie potrafiłaby logicznie rozumować. Poczuła, jak coś otarło się lekko o jej nogę, i wrzasnęła głośno. Spuściła wzrok i zobaczyła, że to koniec paska. Skórzany rzemień nadal miała owinięty wokół ręki. W słabym świetle bardziej niż kiedykolwiek przypominał martwego węża. Rzuciła go przez poręcz.

Spadł na dywan w dole, układając się w kształt czarnego S. Stanąwszy u stóp schodów, skrzyżowała ręce, i schwyciwszy za skraj swojej białej koronkowej koszuli nocnej, ściągnęła ją przez głowę. Materiał był zakrwawiony i niezależnie od wszystkiego nie zniosłaby go na

sobie ani chwili dłużej. Cisnęła koszulę, tak że zawisła na fikusie stojącym przy drzwiach do salonu jak koronkowy spadochron. Naga pochyliła się nad walizką. Jej sutki były zimne i sztywne.

– Beverly, natychmiast wracaj na górę!

Wstrzymała oddech, drgnęła, po czym pochyliła się ponownie. Jeżeli był na tyle silny, by wydać z siebie tak głośny krzyk, to miała mniej czasu, niż przypuszczała. Otworzyła walizkę i wyjęła z niej majtki, bluzkę i parę starych lewisów. Nałożyła je, stojąc przy drzwiach, i ani na chwilę nie spuszczała wzroku ze schodów. Ale Tom Rogan nie pojawił się na górnym podeście. Jeszcze dwukrotnie zawołał ją po imieniu i za każdym razem, kiedy słyszała jego głos, mrużyła oczy, a jej usta wykrzywiał drapieżny grymas, w którym odsłaniała zaciśnięte zęby. Zapinała guziki bluzki tak szybko, jak tylko mogła. Brakowało dwóch górnych (o ironio, jak mało miała czasu na reperację własnych rzeczy) i przypuszczała, że musiała teraz wyglądać jak tania dziwka rozglądająca się za dwoma szybkimi numerkami tuż przed zakończeniem nocnej zmiany – ale, niestety, nic nie mogła teraz na to poradzić.

– Zabiję cię, ty suko! Ty pierdolona dziwko!

Zamknęła walizkę i zatrzasnęła zamki. Z jednej strony wystawał z niej przypominający język rękaw bluzki. Rozejrzała się szybko wokół, jeden jedyny raz, przypuszczając w duchu, że już nigdy więcej nie zobaczy tego domu. Świadomość ta przyniosła jej ulgę. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Była już trzy przecznice od domu, szła przed siebie bez konkretnego celu, kiedy zdała sobie sprawę, że nie ma na nogach butów. Lewa stopa, ta zraniona, pulsowała tępym bólem. Musiała załatwić sobie jakieś buty, a była prawie druga nad ranem. Jej portfel i karty kredytowe zostały w domu. W kieszeniach dżinsów, oprócz paru zabłąkanych nitek w miejscu, gdzie materiał się postrzępił, też nic nie miała. Została bez centa przy duszy. Rozejrzała się wokoło, wodząc wzrokiem wzdłuż sąsiednich domów. Były to śliczne małe wille otoczone starannie wypielęgnowanymi trawnikami i kwietnikami. W oknach było ciemno. I nagle zaczęła się śmiać.

Beverly Rogan usiadła na kamiennym murku, z walizką ustawioną pomiędzy brudnymi, nagimi stopami i wybuchnęła śmiechem. Na niebie świeciły gwiazdy; jakie one były jasne! Odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się do nich, radość skąpała całe jej ciało jak fala przypływu, która podniosła się i parła coraz dalej, obdarzona oczyszczającą

mocą – była to siła, która sprawiała, że Beverly przestawała racjonalnie myśleć: krew zawładnęła jej ciałem i umysłem, a jej potężny głos przemawiał do niej niezwykłą nieartykułowaną mową pożądania, choć nie wiedziała ani nie chciała wiedzieć, ku czemu owo pożądanie było skierowane. Wystarczyło jej samo uczucie wszechogarniającego ciepła i szczęścia. Pożądanie, pomyślała i fala radości w jej wnętrzu zaatakowała ze wzmożoną siłą, zwracając ją ku – zdawałoby się – nieuchronnej katastrofie.

Śmiała się do gwiazd – przerażona, ale wolna. Jej strach był przejmujący jak ból i słodki jak dojrzałe, październikowe jabłko, a kiedy w sypialni na piętrze domu okolonego kamiennym murkiem zapaliło się światło, podniosła z ziemi swoją walizkę i pobiegła w noc, ani na chwilę nie przestając się śmiać.

6

Bill Denbrough robi sobie przerwę

– Wyjeżdżasz? – powtórzyła Audra. Spojrzała na niego zdziwiona i trochę przestraszona, a potem podkuliła nogi i usiadła na nich. Podłoga

była zimna. Prawdę mówiąc, w całym domku panował przejmujący chłód. Tego roku wiosna na południu Anglii była wyjątkowo nieprzyjemna, a Bill Denbrough niejednokrotnie, podczas swych regularnych porannych i wieczornych spacerów, przyłapywał się na rozmyślaniach o Maine… myślał o Derry, co wydawało się naprawdę zastanawiające.

Zgodnie z ulotką reklamową domek miał mieć centralne ogrzewanie i rzeczywiście w schludnej małej piwniczce znajdował się piec (ukryty wewnątrz czegoś, co niegdyś stanowiło pomieszczenie na węgiel), ale jak się niebawem przekonał wraz z Audrą, centralne ogrzewanie w wydaniu brytyjskim różniło się nieco od amerykańskiego. Brytyjczycy prawdopodobnie uważali, że skoro rano nie musiałeś przewiercać strumieniem ciepłego moczu pokrywy lodu w kiblu, to znaczy, że masz w domu centralne ogrzewanie. Był ranek – za kwadrans ósma. Bill pięć minut temu odłożył słuchawkę telefonu.

– Bill, ty nie możesz ot tak, po prostu wyjechać. Wiesz o tym!

– Muszę.

Po drugiej stronie pokoju znajdował się barek. Podszedł do niego, wyjął butelkę glenfiddich

z najwyższej półki i nalał sobie drinka. Trochę płynu przelało się ponad krawędź szklaneczki.

– Kurwa – mruknął pod nosem.

– Kto dzwonił? Co cię tak przeraziło, Bill?

– Nic. Nie jestem przestraszony.

– Czyżby? Czy zawsze ręce tak ci się trzęsą? Zawsze wypijasz drinka przed śniadaniem?

Wrócił na swój fotel – poły szlafroka owijały mu się wokół kostek – i usiadł. Próbował się uśmiechać, ale mizernie mu to wychodziło, toteż dał sobie spokój. W telewizji spiker BBC przekazywał właśnie poranną porcję złych wiadomości, po których powinien przedstawić wyniki meczów piłki nożnej z ubiegłego wieczoru.

Kiedy przybyli do Fleet – małej wioski na przedmieściu, na miesiąc przed planowanym rozpoczęciem zdjęć – oboje byli oczarowani techniczną jakością brytyjskiej telewizji. Na dobrym telewizorze firmy Pye wszystko naprawdę wyglądało tak, że wydawało ci się, jakbyś bez trudu mógł wskoczyć do środka. „Więcej linii albo coś takiego”, powiedział Bill. „Nie wiem, na czym to polega, ale to po prostu cudowne”, odparła Audra. Dopiero później odkryli, że większość programu zapełniają mdłe amerykańskie programy i tasiemcowe seriale

w stylu *Dallas* oraz sprawozdania z rozgrywanych w Wielkiej Brytanii zawodów sportowych, od wykwintnych i nudnych począwszy (mistrzowie rzucania lotkami do tarczy wyglądali jak zapaśnicy sumo), po zwyczajnie nudne (brytyjska piłka nożna była okropna, a krykiet jeszcze gorszy).

– Ostatnio myślałem sporo o domu – powiedział Bill, sącząc drinka.

– O domu? – spytała i tak ją to zaskoczyło, że aż wybuchnęła śmiechem.

– Biedna Audra! Od jedenastu lat jest żoną faceta, o którym wie właściwie tyle co nic. Co ty wiesz na ten temat?

Ponownie się roześmiał i dokończył drinka. Ten rodzaj śmiechu nie pasował do niego tak samo jak szklaneczka szkockiej o tak wczesnej porze. Ten śmiech przypominał raczej skowyt bólu niż przejaw radości.

– Zastanawiam się, czy reszta też ma żony i mężów, którzy nieoczekiwanie zdają sobie sprawę, jak mało wiedzą na ich temat. Przypuszczam, że tak.

– Billy, wiem, że cię kocham – powiedziała. – I to mi wystarczało przez jedenaście lat.

– Tak. – Uśmiechnął się do niej; uśmiech był słodki, zmęczony i przepełniony niepokojem.

– Proszę, powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Spojrzała na niego swymi cudownymi szarymi oczyma, siedząc w fotelu wynajętego przez nich domku, z podkurczonymi nogami owiniętymi skrajem koszuli nocnej – kobieta, którą kiedyś kochał, poślubił i nadal darzył miłością. Próbował spojrzeć jej oczami, aby zorientować się, co mogła wiedzieć. Próbował zobaczyć to jako opowieść. Mógł, ale wiedział, że nigdy nie udałoby mu się tego sprzedać.

Oto on, biedny chłopak z Maine, który jedzie na uniwersytet na stypendium. Przez całe życie chciał zostać pisarzem, ale kiedy zapisuje się na warsztaty pisarskie, znajduje się w sytuacji człowieka zagubionego, bez kompasu, w jakimś dziwnym i przerażającym kraju. Jest tam facet, który chce być Updikiem. Inny ma zamiar zmienić się w nowoangielską wersję Faulknera, tyle że chce pisać powieści o ponurym życiu biedoty białym wierszem. Jest tam dziewczyna, która podziwia Joyce Carol Oates, ale czuje, że ponieważ Oates wychowywała się w społeczeństwie przeżartym seksem, to „jest ona radioaktywna w sensie literackim”. Dziewczyna mówi: „Oates nie może być czysta”. Ona będzie czystsza. Jest tu niski gruby student,

który nie może – albo nie chce – wydać z siebie czegoś więcej niż ciche pomrukiwanie. Ten typ ma na swoim koncie sztukę, w której występuje dziewięć osób. Każda z nich mówi tylko jedno słowo. Aktorzy z wolna dochodzą, że gdy połączyć te słowa w zdanie, będzie ono brzmiało następująco: „Wojna jest narzędziem zepsutych, przeżartych seksem, bezwzględnych handlarzy śmiercią”.

Sztuka tego chłopaka uzyskuje najwyższą ocenę od faceta, który prowadzi Eh-141 (Seminarium Twórczego Pisarstwa). Wydawnictwo Uniwersyteckie wydało jego cztery zbiorki wierszy i prace dotyczące prowadzonych przezeń wykładów. Facet pali trawkę i nosi medalion z pacyfą. Sztuka grubego mamroczącego typa zostaje wystawiona przez studencki teatr podczas protestów antywojennych w marcu 1970 roku i staje się powodem zamknięcia kampusu. Instruktor gra jedną z ról.

W tym czasie Bill Denbrough pisze kryminał (z zagadką morderstwa w zamkniętym pokoju), trzy opowiadania science fiction i parę horrorów nawiązujących do dzieł i stylów E.A. Poego, H.P. Lovercrafta i R. Mathesona, a w późniejszych latach powie, że te opowiadania przypominają

karawan z połowy XIX wieku, tylko pomalowany czerwoną fluorescencyjną farbą i zaopatrzony w potężny silnik odrzutowy.

Za jedno z opowiadań otrzymuje czwórkę.

„To jest lepsze – pisze instruktor na pierwszej stronie. – W kontrataku Obcych widzimy błędne koło, typowy przypadek, w którym przemoc rodzi przemoc; mnie najbardziej przypadł do gustu „igłonosy" statek kosmiczny jako symbol socjoseksualnego najazdu. Pomimo że pozostawia pewnego rodzaju niesmak i uczucie niepokoju, jest to dość ciekawa praca".

Za resztę nie dostaje więcej niż trójki.

Wreszcie któregoś dnia, po trwającej około siedemdziesięciu minut dyskusji na temat wykonanej przez bladą, młodą kobietę winiety przedstawiającej krowę przyglądającą się porzuconej na pustym polu maszynie (mogła to być scena rozgrywająca się w świecie po wojnie jądrowej, ale niekoniecznie), wstaje z krzesła. Ta blada dziewczyna o ziemistej cerze, która pali jednego winstona po drugim i od czasu do czasu drapie paznokciami pryszcze na skroniach, twierdzi, że jej winieta to socjopolityczna deklaracja w stylu wczesnego Orwella. Większość grupy – oraz instruktor – zgadza się z jej słowami, mimo to dyskusja trwa nadal.

Kiedy Bill wstaje, oczy wszystkich kierują się w jego stronę. Jest wysoki i zwraca uwagę. Powoli, artykułując słowa, bez zacinania się (nie jąkał się od ponad pięciu lat) mówi:

– W ogóle tego nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Czemu opowieść musi mieć podłoże socjo… jakieś tam. Polityka… kultura… historia… czyż nie są one naturalnymi składnikami każdej opowieści, jeżeli tylko zostanie ona należycie przedstawiona?… Chodzi mi o to…

Rozgląda się wokoło, widzi wrogość w ich oczach i zdaje sobie sprawę, że oni traktują jego wypowiedź jako jawny atak. Być może nawet mają rację. Być może, mówi sobie w duchu, biorą go właśnie za przeżartego seksem, skorumpowanego handlarza śmiercią.

– Chodzi mi o to… czy… czy wszyscy nie moglibyście pozwolić, aby opowieść była zwyczajną opowieścią?

Nikt nie odpowiada. Cisza się przedłuża. A on stoi tam, wodząc wzrokiem od jednej pary zimnych oczu do drugiej. Dziewczyna o bladej twarzy wydmuchuje dym i gasi papierosa w popielniczce, którą przyniosła z sobą w plecaku.

W końcu instruktor mówi łagodnie, jak do strojącego fochy, nieznośnego dziecka:

– Czy wydaje ci się, że William Faulkner po prostu snuł opowieści? Czy wydaje ci się, że Szekspir pisał dla zarobku? No dalej, Bill. Powiedz nam, co o tym myślisz.

– Myślę, że jest to dość bliskie prawdy – odpowiada Bill po dłuższej chwili szczerego zastanowienia i dostrzega w ich oczach nieskrywany gniew i pogardę.

– Wydaje mi się – mówi instruktor, bawiąc się piórem i patrząc spod półprzymkniętych powiek na Billa – że musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Z końca sali dobiegają oklaski. Bill wychodzi… ale wraca w następnym tygodniu, zdecydowany skończyć kurs. W tym czasie pisze opowiadanie *Mrok* – opowieść o małym chłopcu, który odkrywa, że w piwnicy jego domu mieszka potwór. Chłopiec walczy z nim i ostatecznie go uśmierca. Pisanie tego opowiadania wprawia Billa w stan swego rodzaju świętej egzaltacji – tak jakby to dzieło przepływało przez niego, zamiast wychodzić spod jego pióra. W pewnym momencie odkłada pióro i wystawia rozgrzaną i bolącą dłoń na grudniowy mróz, gdzie pod wpływem nagłej zmiany temperatury ręka zdaje się buchać dymem. Krąży tam i z powrotem, a jego zielone buty skrzypią na śniegu jak zawiasy, które wymagają naoliwienia. Wydaje

mu się, że jego głowa pęcznieje od wypełniającej ją opowieści. Sposób, w jaki domaga się ona wydostania na zewnątrz, jest w pewnym sensie przerażający.

Czuje, że jeśli nie będzie pisał dostatecznie szybko, opowieść, która nie może się już doczekać przelania na papier, wypłynie z jego czaszki przez oczodoły po uprzednim wybiciu z nich gałek ocznych.

– To będzie rewelacja – mówi do mroźnego, chłoszczącego wiatru i zaczyna się cicho śmiać.

Zdaje sobie sprawę, że w końcu udało mu się odkryć, jak ma to robić – po dziesięciu latach prób odnalazł w końcu włącznik olbrzymiego wymarłego buldożera, zajmującego sporo miejsca wewnątrz jego czaszki. Maszyna została włączona. I nabiera tempa. Przyspiesza coraz bardziej. W tej wielkiej maszynie nie ma nic pięknego. Nie została stworzona, aby zawozić nią śliczne dziewczyny na przyjęcia czy bale szkolne. Nie stanowi symbolu statusu społecznego. Oznacza interes. I może zmiażdżyć wszystko, co napotka na swojej drodze. Nawet jego samego, jeżeli nie będzie dostatecznie ostrożny.

Wchodzi do środka i ogarnięty białą gorączką kończy *Mrok* o czwartej nad ranem, a potem zasypia przy stole. Gdyby ktoś mu powiedział, że

tak naprawdę pisał o swoim bracie George'u, byłby tym wielce zdziwiony. Nie myślał o George'u od lat, a przynajmniej tak mu się wydaje.

Kiedy instruktor zwraca mu opowiadanie, na stronie tytułowej widnieje olbrzymia pała. Pod nią, wypisane wielkimi drukowanymi literami, widnieją słowa: DNO! – krzyczy jedno. CHAŁA! – zdaje się wołać drugie.

Bill podchodzi do pieca, trzymając w dłoni piętnastostronicowy manuskrypt, i otwiera drzwiczki. Ma już wrzucić go do środka, kiedy nagle zdaje sobie sprawę z absurdalności swego zamierzenia. Siada na bujanym fotelu, patrzy na plakat Grateful Dead i zaczyna się śmiać. Dno? Świetnie. Niech i tak będzie.

– Ale od dna można się odbić! – wykrzykuje Bill i śmieje się, aż łzy zaczynają płynąć mu z oczu i ściekać po policzkach.

Przepisuje tytułową stronę, tę z opinią instruktora, i wysyła tekst do magazynu dla panów „White Tie" (choć zdaniem Billa powinien się on nazywać „Nagie Dziewczyny, Które Wyglądają Jak Narkomanki"). Mimo to, zgodnie z informacją, jaką znajduje w swoim starym *Writer's Market*, wydawcy „White Tie", kupują horrory i rzeczywiście, w dwóch kolejnych

numerach natrafia na cztery opowiadania grozy wciśnięte pomiędzy zdjęcia nagich dziewcząt i reklamy pornosów oraz pigułek na potencję. Jedno z nich autorstwa niejakiego Dennisa Etchisona okazuje się całkiem niezłe. Wysyła *Mrok*, choć specjalnie na nic nie liczy – już wielokrotnie wysyłał swoje opowiadania do różnych czasopism, ale były one zawsze odrzucane – i z prawdziwą przyjemnością i dumą dowiaduje się, że redaktor działu opowiadań „White Tie” decyduje się je kupić, płacąc dwieście dolarów za prawo do publikacji.

Zastępca redaktora załącza krótką notkę, w której pisze, że jest to najlepsze krótkie opowiadanie grozy od czasu *Słoja* Raya Bradbury’ego, i żałuje, że przeczyta je tylko około siedemdziesięciu ludzi w całym kraju, ale Billa to nie wzrusza. Ważne jest, że otrzymał za swoje opowiadanie dwieście dolarów!

Idzie do swego doradcy z kartą członkowską kursu Eh-141. Doradca parafuje mu kartę. Bill Denbrough przypina do niej spinaczem pochlebną notkę od zastępcy redaktora z „White Tie” i przyczepia pinezkami do tablicy ogłoszeń na drzwiach gabinetu instruktora seminarium. W rogu tablicy dostrzega antywojenny rysunek. I nagle, jakby działały na własną rękę, jego palce

wyjmują pióro z kieszeni bluzy na piersiach i wypisują w poprzek rysunku słowa: „Jeżeli beletrystyka i polityka rzeczywiście staną się kiedyś wymienne, to się zabiję, bo nie będę miał innego wyjścia. Widzicie, polityka to rzecz zmienna. Opowieści natomiast nigdy się nie zmieniają”.

Przerywa i wtedy, co prawda z pewnym wahaniem, dopisuje: „Wydaje mi się, że musi się pan jeszcze wiele nauczyć”.

Trzy dni później otrzymuje pocztą swoją kartę. Parafował ją instruktor kursu. W rubryce na oceny nie widnieje zwyczajowa słaba trójka, tylko wielka pała nakreślona w poprzek. Poniżej instruktor dopisał: „Czy wydaje ci się, że pieniądze mogą cokolwiek udowodnić, Denbrough?”.

– No cóż, wydaje mi się, że tak – mówi Denbrough do pustego pokoju, a potem raz jeszcze wybucha szaleńczym śmiechem.

W późniejszych latach w college’u odważa się napisać powieść, naturalnie tylko dlatego, że nie zdaje sobie sprawy, w co się pakuje. Z tej potyczki wychodzi nieźle pokiereszowany i wystraszony, ale żywy i z manuskryptem liczącym blisko pięćset stron. Wysyła maszynopis do Viking Press, wiedząc, że będzie to pierwszy spośród

wielu przystanków dla jego książki, traktującej o duchach… ale podoba mu się logo firmy w kształcie charakterystycznego okrętu i decyduje się rozpocząć swoją wydawniczą odyseję właśnie od tego miejsca. Jak się okazuje, pierwszy przystanek jest zarazem ostatnim. Viking Press kupuje książkę… i oto Bill Denbrough wkracza w krainę baśni. Mężczyzna, znany niegdyś jako Bill Jąkała, trzy lata później, o trzy tysiące mil od północnych krańców Nowej Anglii, w wieku dwudziestu trzech lat odnosi wielki życiowy sukces, poślubia kobietę, która jest gwiazdą filmową starszą od niego o pięć lat.

Ceremonia zaślubin odbywa się w Hollywood's Church w Pines. Dziennikarze z plotkarskich rubryk prorokują, że ich związek nie przetrwa dłużej niż siedem miesięcy. Można się tylko zakładać, mówią, czy cały ten skandal zakończy się rozwodem, czy też unieważnieniem małżeństwa. Tego samego zdania byli przyjaciele (oraz wrogowie) obojga nowożeńców. Różnica wieku i cała reszta… On jest wysoki, zaczyna już łysieć i nabierać brzuszka. W towarzystwie zawsze mówi wolno, a i tak czasami prawie nie można go zrozumieć. Audra zaś ma wspaniałe kasztanowe włosy, posągową figurę i jest olśniewająco piękna – bardziej niż ziemską

kobietę przypomina półboginię, potomkinię jakiejś nadludzkiej rasy.

Zamówiono u niego scenariusz jego drugiej powieści *Black Rapids* głównie dlatego, że przysługiwało mu prawo do sporządzania pierwotnej wersji scenariusza, i naturalnie ze względów finansowych (a kiedy agentka dowiedziała się o jego zamierzeniach, z miejsca załamała ręce i powiedziała, że to czyste szaleństwo), i poszło mu to całkiem sprawnie. Zaproszono go do Universal City na spotkanie z producentem filmu, a także w celu dokonania paru nieznacznych przeróbek w tekście.

Jego agentką jest Susan Browne – ma dokładnie pięć stóp wzrostu, jest diabelnie energiczna i jeszcze bardziej stanowcza.

– Nie rób tego, Billy – powiada. – Daj temu spokój. Zbyt dużo w to zainwestowali i znajdą kogoś dobrego do napisania scenariusza. Może nawet Goldmana.

– Kogo?

– Williama Goldmana. To jedyny dobry pisarz, który tam trafił i potrafi przygotować dobry scenariusz.

– O czym ty mówisz, Suze?

– Został tam, i to już chyba na dobre. Znalazł tam swoje miejsce. Szansa bycia dobrym na obu

tych polach jest mniej więcej taka, jak na zwalczenie raka płuc. Można tego dokonać, ale komu by się chciało próbować. Wypalisz się pod wpływem alkoholu i seksu. A kto wie, może nawet zaczniesz ćpać.

Fascynujące brązowe oczy Susan zabłysły złowieszczymi, jasnymi iskierkami.

– A jeżeli nawet wezmą do napisania scenariusza kogoś innego niż Goldmana, jakiegoś rzemiechę, no to co z tego? Książka stoi tam, na półce. Nie mogą zmienić nawet słowa.

– Susan…

– Posłuchaj mnie, Billy! Bierz forsę i w nogi. Jesteś młody i silny. To jest dokładnie to, co lubią. Najpierw pozbawią cię szacunku do samego siebie, a potem zatracisz umiejętność narysowania prostej kreski z punktu A do punktu B. Na koniec załatwią cię testami. Piszesz jak dorosły, ale jesteś zwykłym dzieciakiem z wysokim czołem. Nikim więcej.

– Muszę tam jechać.

– Czy ktoś tu puścił bąka? Chyba tak, bo coś tu wyraźnie śmierdzi!

– Ale ja muszę. Ja muszę.

– Jezu!

– Muszę wyjechać z Nowej Anglii. – Boi się powiedzieć więcej, zupełnie jakby miała mu się

wyrwać wyjątkowo wulgarne przekleństwo, ale jest jej to winny. – Muszę opuścić Maine.

– Dlaczego, na miły Bóg?

– Nie wiem, po prostu muszę.

– Czy mówisz mi to serio, czy jako pisarz, Billy?

– Serio.

Prowadząc tę rozmowę, leżą razem w łóżku. Jej piersi są małe jak brzoskwinie, słodkie małe brzoskwinie. Bill kocha Susan, ale nie tak, jak oboje by tego chcieli. Nie w sposób, który można by określić mianem prawdziwej miłości. Susan siada z prześcieradłem na podołku i zapala papierosa. Płacze, ale on wątpi, czy ona wie, że on zdaje sobie z tego sprawę. To tylko lśnienie w jej oczach. Jako że nietaktem byłoby o tym wspominać, nie robi tego. Może i nie darzy jej w głębi serca prawdziwą miłością, ale na pewno bardzo mu na niej zależy. Naprawdę. Bardzo.

– No to jedź – mówi wtedy oschłym, rzeczowym tonem, odwracając się w jego stronę. – Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz gotów i jeśli zostanie ci choć trochę sił. Przyjadę i pozbieram twoje kawałki, o ile coś z ciebie zostanie.

Filmowa wersja *Black Rapids* nosi tytuł *Jama Czarnego Demona*, a jedną z głównych ról gra

Audra Phillips. Tytuł jest okropny, ale film, ogólnie rzecz biorąc, całkiem niezły.

I jedyne, co Bill traci w Hollywood, to swoje serce.

– Bill – powiedziała ponownie Audra, wyrywając go ze wspomnień. Zobaczył, że wyłączyła telewizor. Spojrzał w okno i dostrzegł mgłę kłębiącą się za szybą.

– Wyjaśnię ci tyle, ile będę mógł. Zasługujesz na to. Ale wpierw chciałbym, abyś zrobiła dla mnie dwie rzeczy.

– W porządku.

– Nalej sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty i powiedz mi, co o mnie wiesz. Albo co ci się wydaje, że wiesz.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i podeszła do szafki.

– Wiem, że pochodzisz z Maine – odparła, nalewając sobie herbaty. Nie była Angielką, ale w jej głosie pojawił się cień brytyjskiego akcentu; nabrała go dla roli w *Pokoju na poddaszu*, filmu, który przyjechali tu nakręcić. To był pierwszy oryginalny scenariusz Billa. Zaproponowano mu również, aby wyreżyserował ten obraz. Na szczęście odmówił, bo jego wyjazd mógłby spieprzyć całe przedsięwzięcie. Wiedział, co oni wszyscy by powiedzieli, to znaczy cała załoga.

Billy Denbrough pokazuje w końcu swoje prawdziwe oblicze. Jeszcze jeden pierdolony pisarzyna, bardziej obłąkany niż Szalony Kapelusznik.

Jeden Billy wiedział, jak czuł się w tej chwili obłąkany.

– Wiem, że miałeś brata, że bardzo go kochałeś i że on umarł – ciągnęła Audra. – Wiem, że dorastałeś w mieście Derry, jakieś dwa lata po śmierci brata przeprowadziłeś się do Bangor, a kiedy skończyłeś czternaście lat, wyjechałeś do Portlandu. Wiem, że twój tata zmarł na raka płuc, kiedy miałeś siedemnaście lat. I napisałeś swój pierwszy bestseller jeszcze w college'u. Wiem, że ucząc się, dorabiałeś w fabryce tekstylnej. Zyski za twoją pierwszą książkę musiały nieźle podreperować twój budżet. Przypuszczam, że ta zmiana musiała ci się wydawać bardzo dziwna… w sumie niezłe widoki na przyszłość. – Powróciła na jego stronę pokoju i wtedy dostrzegł w jej twarzy wyraz świadomości ukrytych przestrzeni znajdujących się pomiędzy nimi. – Wiem, że rok później napisałeś *Black Rapids* i wyjechałeś do Hollywood. A na tydzień przed zdjęciami do filmu spotkałeś pewną zmieszaną kobietę, niejaką Audrę Phillips, która wiedziała co nieco

na temat tego, co musiałeś przejść, tej szalonej dekompresji, bo jeszcze pięć lat temu nazywała się ona Audrey Philpott. I ta kobieta tonęła…

– Audra, nie…

Nie odrywała wzroku od jego oczu.

– Och, czemu nie. Dwa lata przed spotkaniem ciebie odkryłam prochy, a rok potem kokainę i to było jeszcze lepsze. Prochy rano, koka po południu, wino wieczorem, a valium na dobranoc. Witaminki Audry. Zbyt wiele ważnych wywiadów, zbyt wiele dobrych ról. To śmieszne, ale przypominałam jedną z postaci powieści Jacqueline Susann. Wiesz, co teraz o tym myślę, Bill?

– Nie.

Sączyła swoją herbatę, ani na chwilę nie spuszczając z niego wzroku, i uśmiechnęła się.

– Czułam się tak, jakbym biegła przejściem na LA International. Chwytasz?

– Niezupełnie.

– To ruchomy chodnik, jak ruchome schody. Ma jakieś ćwierć mili długości.

– To akurat wiem – odparł – ale nie rozumiem, co chcesz…

– Po prostu stajesz na nim i on dowozi cię do stanowiska, w którym odbierasz bagaże. Ale wcale nie musisz stać na tym pasie. Możesz po

nim iść. Albo biec. I może ci się wydawać, że idziesz normalnym krokiem albo że biegniesz niespecjalnie szybko. Zapominasz, że tak naprawdę twoja prędkość jest zwielokrotniona przez prędkość przesuwającego się pasa. To dlatego na samym końcu znajdują się napisy: ZWOLNIJ. ZBLIŻASZ SIĘ DO STANOWISKA BAGAŻOWEGO.

Kiedy cię spotkałam, poczułam się, jakbym zeszła z tego pasa na nieruchomą platformę. Taka właśnie byłam. Moje ciało znajdowało się dziewięć mil przed moimi stopami. W tej sytuacji nie sposób zachować równowagi. Prędzej czy później upadniesz na twarz. Tyle że ja nie upadłam. Bo ty mnie złapałeś.

Odstawiła filiżankę z herbatą i patrząc na niego, zapaliła papierosa. Widział, jak drżały przy tym jej ręce. Maleńki płomyczek zapalniczki przesunął się wpierw na prawo, a potem na lewo, nim w końcu znalazł koniuszek papierosa. Zaciągnęła się głęboko, a następnie wypuściła potężny kłąb dymu.

– Co o tobie wiem? Zawsze wyglądałeś mi na faceta opanowanego i twardego. To pewne. Sprawiałeś wrażenie, jakby nie bawiło cię picie czy chodzenie na kolejne spotkania i przyjęcia. Tak jakbyś wiedział, że jeżeli kiedykolwiek

zechcesz to zmienić, one będą na ciebie czekać. Mówiłeś wolno. Po części wynikało to zapewne z typowego dla mieszkańców Maine zwyczaju cedzenia słów, tak mi się przynajmniej wydaje, ale w głównej mierze to po prostu stanowiło twoją cechę charakterystyczną. Musiałam zwolnić, aby móc cię wysłuchać. Spojrzałam na ciebie, Bill, i zobaczyłam kogoś, kto nigdy nie biegł po ruchomym chodniku, bo dobrze wiedział, że tak czy inaczej dotrze na miejsce. Miałeś w sobie konieczny spokój i opanowanie. Coś takiego jak niepokój czy uczucie histerii były ci kompletnie obce. Nie wypożyczałeś lśniącego rolls-royce'a, żeby po doczepieniu doń własnych kapiących od próżności tablic przejeżdżać nim w sobotnie popołudnia wzdłuż Rodeo Drive. Nie miałeś agentki prasowej, która umieszczała artykuły na twój temat w „Variety" i „The Hollywood Reporter". Nigdy nie brałeś udziału w programie Carsona.

– Pisarzy tam się nie zaprasza, chyba że znają jakieś sztuczki z kartami albo potrafią wyginać łyżeczki – odparł, uśmiechając się. – To jak ogólnonarodowe prawo. – Myślał, że ona się uśmiechnie, ale nie zrobiła tego.

– Wiem, że byłeś przy mnie, gdy cię potrzebowałam. Kiedy spadłam z tego

ruchomego pasa, jak O.J. Simpson w starej reklamie Hertza. Może uratowałeś mnie przed łyknięciem niewłaściwej pigułki po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu. A może to wszystko jest tylko moim wymysłem i zanadto udramatyzowałam całą tę sytuację. Ale nie… nie sądzę. Wydaje mi się, że nie. Przynajmniej wewnętrznie tak właśnie czuję.

Zgasiła papierosa, pociągnąwszy zaledwie dwa razy.

– Byłeś przy mnie, gdy cię potrzebowałam. A ja przy tobie. W łóżku było nam dobrze. To wiele dla mnie znaczyło. Ale na dodatek jesteś facetem na poziomie i teraz wydaje mi się to jeszcze ważniejsze niż kiedykolwiek. Czuję, że mogłabym przeżyć z tobą resztę życia i byłabym z tego powodu naprawdę szczęśliwa. Wiem, że pijesz za dużo piwa i za mało ćwiczysz. Wiem, że czasami miewasz koszmary…

Poczuł zaniepokojenie. Niepokój zaczął narastać. Był prawie przerażony.

– Nigdy nie miewam snów.

Uśmiechnęła się.

– Możesz to powiedzieć dziennikarzom, kiedy cię pytają, skąd bierzesz swoje pomysły. Ale to nieprawda. Chyba że twoje nocne pojękiwania

i stękanie to skutek niestrawności. Ale ja w to nie wierzę, Billy.

– Czy ja coś mówię? – spytał ostrożnie. Nie pamiętał żadnych snów. Żadnych, ani tych dobrych, ani tych złych.

Audra skinęła głową.

– Czasami. Ale nigdy nie mogę cię zrozumieć. I parę razy zdarzyło się, że płakałeś.

Rzucił jej pozbawione wyrazu spojrzenie. Czuł w ustach nieprzyjemny smak – coś jakby ślad rozpuszczonej aspiryny na języku i w gardle.

A więc teraz już wiesz, jak smakuje strach, pomyślał. Pora, abyś się dowiedział, zważywszy na to, że przez cały czas piszesz na ten temat.

Doszedł do wniosku, że mógłby przywyknąć do tego smaku, naturalnie gdyby miał dostatecznie dużo czasu. Nagle zaczęły doń powracać wspomnienia. To było tak, jakby czarna narośl w jego umyśle zaczęła nabrzmiewać, grożąc, że wybuchnie swoją obrzydliwą zawartością (snami), obrazami zrodzonymi w podświadomości, przesyłając ją do mentalnego obszaru wizji, dowodzonego przez jego racjonalny, czuwający umysł, i gdyby to się stało raptownie, to przypuszczalnie popadłby w obłęd. Próbował usunąć te wizje i udało mu się, ale nim to nastąpiło, usłyszał głos jakby

człowieka pogrzebanego żywcem, krzyczącego spod ziemi.

„Uratowałeś mi życie, Bill. Te wielkie chłopaki zawsze się ze mnie nabijają. Czasami myślę, że naprawdę chcą mnie zabić…”.

– Twoje ramiona – zwróciła mu uwagę Audra.

Bill spuścił wzrok, aby na nie spojrzeć. Pokryły się gęsią skórką. Nie drobną, ale potężną, utworzoną z wielkich, białych pryszczatych nabrzmień. Oboje przyglądali się im jak jakimś interesującym eksponatom muzealnym. Gęsia skórka powoli zaczęła znikać.

W ciszy, jaka potem nastąpiła, Audra powiedziała:

– I wiem jeszcze jedno. Ktoś dzwonił do ciebie dziś rano ze Stanów i powiedział, że musisz mnie opuścić.

Bill wstał, obrzucił szybkim spojrzeniem butelki z alkoholem, po czym poszedł do kuchni i wrócił ze szklaneczką soku pomarańczowego.

– Wiesz, że miałem brata i że on umarł, ale nie wiesz, że został zamordowany.

Audra wstrzymała oddech.

– Zamordowany! Och, Bill, czemu mi nigdy…

– Nie powiedziałem? – Roześmiał się. – Nie wiem.

– Co się stało?

– Mieszkaliśmy w Derry. Zdarzyła się wówczas powódź, ale największe zagrożenie już minęło, a George nudził się jak mops. Ja miałem wtedy grypę i leżałem w łóżku. Poprosił, żebym zrobił mu łódkę z gazety. Nauczyłem się tego rok wcześniej na obozie. Powiedział, że puści ją wzdłuż rynsztoka na Witcham Street i Jackson, bo te ulice wciąż jeszcze były zalane. No i zrobiłem mu ten okręcik, a on podziękował mi i wyszedł. Wtedy ostatni raz widziałem mojego brata żywego. Może żyłby, gdybym nie chorował.

Przerwał i pogładził prawą dłonią lewy policzek, jakby sprawdzał, czy pojawił się na nim zarost. Jego oczy, powiększone przez szkła okularów, sprawiały wrażenie zamyślonych… ale nie patrzył na nią.

– To się stało na Witcham Street, nieopodal skrzyżowania z Jackson. Ktokolwiek go zabił, wyrwał mu całe lewe ramię z taką łatwością, jak drugoklasista skrzydło musze. I wątpię, aby dla zabójcy mogło to stanowić jakąkolwiek różnicę.

– Chryste, Bill!

– Zapewne zastanawiasz się, dlaczego ci nigdy o tym nie opowiadałem. Prawda jest taka, że sam się nad tym głowię. Jesteśmy małżeństwem od jedenastu lat, a ty aż do dziś nie wiedziałaś o tym, co się przydarzyło George’owi. Ja wiem sporo na

temat twojej rodziny. Opowiedziałaś mi nawet o swoich ciotkach i wujkach. Wiem, że twój dziadek umarł w swoim garażu, biegając w kółko z włączoną piłą łańcuchową; był wtedy pijany. Wiem o tym, bo małżeńskie pary, niezależnie od tego, jak bardzo są pochłonięte swoimi zajęciami, po jakimś czasie dowiadują się o sobie nawzajem praktycznie wszystkiego. I nawet jeżeli są już naprawdę znudzone i przestają słuchać, tak czy inaczej wchłaniają podawane im informacje jakby osmotycznie. A może uważasz, że się mylę?

– Nie – odparła słabo. – Nie mylisz się, Bill.

– A my zawsze potrafiliśmy z sobą rozmawiać, nieprawdaż? Chodzi mi o to, że żadne z nas nie znudziło się drugim tak bardzo, aby musiało dochodzić do osmozy, racja?

– No cóż, przynajmniej do dziś też tak uważałam.

– Daj spokój, Audro. Znasz każdy fakt z mojego życia od dnia, kiedy skończyłem jedenaście lat. Każdy mój ruch, każdy pomysł, wiesz o każdej chorobie, każdym kumplu i wrogu, który zrobił mi coś złego bądź też chciał to zrobić. Wiesz, że sypiałem z Susan Browne. Wiesz, że czasami, kiedy wypiję zbyt wiele, robię się sentymentalny i puszczam bardzo głośno płyty.

– Zwłaszcza Grateful Dead – powiedziała i Bill wybuchnął śmiechem. Tym razem ona też się uśmiechnęła.

– Wiesz o mnie wszystko, znasz najważniejsze rzeczy, moje nadzieje i marzenia.

– Tak. Tak sądzę. Ale to… – Przerwała, pokręciła głową i zamyśliła się przez chwilę. – Co ten telefon miał wspólnego z twoim bratem, Bill?

– Wyłożę ci to po swojemu. Jeżeli mam ci to wyjaśnić, musisz pozwolić mi zrobić to na mój sposób. Nie próbuj mnie ponaglać ani zmuszać, żebym z miejsca przeszedł do sedna sprawy, bo nie zrozumiesz, o co mi chodzi. To poważna… i tak paskudna sprawa… że aż przechodzą mnie ciarki… prawdę mówiąc, sam nie wiem, od czego powinienem zacząć… Widzisz… nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby opowiedzieć ci o George'u.

Spojrzała na niego, zasępiła się i pokręciła nieznacznie głową.

– Nie rozumiem.

– Chcę przez to powiedzieć, że od dwudziestu lat, a może i dłużej, w ogóle nie myślałem o George'u.

– Ale przecież powiedziałeś mi, że miałeś brata…

– Powtórzyłem fakt. To wszystko. Jego imię było zwyczajnym słowem. Słowo „George” nie rzucało najmniejszego cienia na moje myśli.

– Ale może rzucało cień na twoje sny – zauważyła cicho Audra.

– Te jęki? Płacz?

Skinęła głową.

– Może i masz rację – powiedział. – Prawdę mówiąc, na pewno masz rację.

– Ale sny, których nie pamiętasz, raczej się nie liczą, prawda? Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas ani razu o nim nie myślałeś?

– Tak. Ani razu.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Nawet o potwornym sposobie, w jaki go zamordowano?

– Nie. Aż do dziś, Audro.

Spojrzała na niego i po raz kolejny pokręciła głową.

– Jeszcze zanim się pobraliśmy, spytałaś mnie kiedyś, czy mam rodzeństwo, a ja odparłem, że miałem brata, który umarł, kiedy byłem dzieckiem. Wiedziałaś, że moi rodzice nie żyją, a twoja rodzina była tak liczna, że zaprzątała całą twoją uwagę. Ale to nie wszystko.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie tylko zapomniałem o George’u. Przez całe dwadzieścia lat albo dłużej ani razu nawet nie pomyślałem o Derry! Ani o dzieciakach, z którymi się kumplowałem: Eddiem Kaspbraku, Richiem Niewyparzonej Gębie, Stanie Urisie, Bev Marsh… – Przebiegł dłońmi po włosach i wybuchnął drżącym śmiechem. – To tak, jakbyś cierpiał na amnezję, która sprawia, że zapominasz w ogóle o swojej chorobie. A kiedy zadzwonił Mike Hanlon…

– Kim jest Mike Hanlon?

– To jeszcze jeden dzieciak, z którym się przyjaźniliśmy po śmierci George’a. Oczywiście nie jest już dzieckiem. Nikt z nas nie jest. To Mike do mnie zadzwonił. Powiedział: „Halo, czy to rezydencja pana Denbrough?”, a ja odparłem: „Tak”. Wtedy on spytał: „Bill, czy to ty?”. Ja mu na to: „Tak”. On: „Mówi Mike Hanlon”. Te słowa nic dla mnie nie znaczyły, Audro. Równie dobrze mógł być sprzedawcą książek czy płyt. Potem rzekł: „Dzwonię z Derry”. I kiedy to powiedział, miałem wrażenie, jakby gdzieś wewnątrz mnie otworzyły się tajemne drzwi i zaczęło przez nie prześwitiwać upiorne, straszne światło, i wtedy przypomniałem sobie, kim on był. I przypomniałem sobie George’a. I całą resztę. Wszystko to stało się… – Bill strzelił palcami – ot

tak, znienacka, w jednej chwili. I wiedziałem już, że poprosi mnie, abym przyjechał.

– Do Derry.

– Właśnie. – Zdjął okulary, przetarł oczy i spojrzał na nią. Nigdy dotąd nie widziała równie przerażonego człowieka.

– Z powrotem do Derry, bo przyrzekliśmy – powiedział. – Złożyliśmy przysięgę i dotrzymamy jej. My, dzieciaki. Wszyscy. Cała nasza grupka. Staliśmy kołem w strumieniu, który przepływa przez Barrens, i trzymaliśmy się za ręce, a potem kawałkiem szkła nacięliśmy sobie dłonie od wewnątrz, jak gromadka dzieciaków bawiąca się w braterstwo krwi. Tyle że my to zrobiliśmy na serio.

Uniósł odwrócone dłonie i pośrodku każdej z nich zobaczyła białe kreski, które mogły być bliznami. Trzymała jego dłoń – obie jego ręce – tyle razy, ale nigdy dotąd nie zauważyła na nich żadnych blizn. Były słabo widoczne, to fakt, ale mogłaby przysiąc, że…

I to przyjęcie! Przyjęcie!

Nie to, na którym się spotkali, choć to drugie mogło stanowić epilog pierwszego, bo wyprawiono je z okazji zakończenia zdjęć do *Jamy Czarnego Demona*. Ubaw był przedni i cała okolica słyszała, że bawiono się znakomicie.

Może nie było to tak ponure przyjęcie, do jakich przywykła w Los Angeles, ponieważ – z czego wszyscy zdawali sobie sprawę – zdjęcia poszły nadzwyczaj dobrze. Audra Phillips miała jeszcze jeden powód do zadowolenia: wtedy zakochała się w Billu Denbrough.

Jak się nazywała ta dziewczyna, która uważała się za chiromantkę? Nie mogła sobie teraz przypomnieć, ale wiedziała, że ta dziewczyna była jedną z dwóch asystentek charakteryzatora. Przypomniała sobie, jak w którymś momencie zdjęła bluzkę (ukazując bardzo przezroczysty stanik) i zaczęła wymachiwać nią nad głową jak cygańską chustką. Naćpana i pijana przez resztę wieczoru odczytywała gościom przyszłość z ich dłoni… to znaczy przynajmniej do chwili, kiedy film jej się urwał. Audra nie mogła sobie przypomnieć, czy przepowiednie, jakie tamta podawała, były dobre czy złe, mądre czy głupie – ona sama tego wieczoru miała nieźle w czubie. Pamiętała tylko, że w pewnej chwili dziewczyna wzięła do ręki dłoń Billa i unosząc swoją, powiedziała, że doskonale do siebie pasują. Są życiowymi bliźniakami, oznajmiła. Przypomniała sobie, jak z więcej niż tylko odrobiną zazdrości przypatrywała się dziewczynie, która wodziła

jasno polakierowanym paznokciem wzdłuż linii na dłoni Billa – jakże to było głupie, tu w Los Angeles, w świecie filmu, gdzie wkładanie dziewczynom rąk między nogi było niemal tak rutynową czynnością jak w Nowym Jorku klepanie ich po tyłkach! Jednakże w tym geście było coś intymnego i poufałego. Wtedy na dłoniach Billa nie było drobnych białych blizn. Obserwowała całą tę sytuację czujnym wzrokiem zazdrosnej kochanki i zdawała sobie sprawę, że jej wspomnienie na ten temat było wyjątkowo precyzyjne. Ona po prostu wiedziała. Nie miała najmniejszych wątpliwości.

I podzieliła się tym faktem z Billem. Skinął głową.

– Masz rację. Wtedy ich tam nie było. I choć nie mogę przysiąc, nie sądzę, abym miał je na dłoniach jeszcze zeszłego wieczoru w Plow & Barrow. Ralph i ja ponownie siłowaliśmy się na rękę, o piwo, i myślę, że bym to zauważył. – Uśmiechnął się do niej. Jego uśmiech był oschły, pozbawiony radości i przesiąknięty niepokojem. – Myślę, że one powróciły, kiedy zadzwonił Mike Hanlon. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Bill, to niemożliwe. – Sięgnęła po papierosy. Bill patrzył na swoje dłonie.

– Stan to zrobił – powiedział. – Naciął nam dłonie kawałkiem butelki po coli. Przypominam to sobie dokładnie. – Uniósł wzrok i spojrzał na Audrę, a jego oczy za szkłami okularów przepełniały ból i zakłopotanie. – Pamiętam, jak ten kawałek szkła błyszczał w promieniach słońca. To była jedna z tych nowych butelek. Przedtem butelki od coli były zielone, wiesz? – Pokręciła głową, ale w ogóle tego nie zauważył. Nadal przyglądał się swoim dłoniom. – Pamiętam, że Stan naciął swoje dłonie na końcu, udając najpierw, że chce rozpłatać sobie przeguby rąk. Czułem, że się zgrywa, ale mało brakowało, a rzuciłbym się na niego… żeby go powstrzymać. Bo przez sekundę czy dwie sprawiał wrażenie, jakby naprawdę zamierzał to zrobić.

– Bill, nie – szepnęła. Tym razem, chcąc utrzymać zapalniczkę nieruchomo w prawej ręce, musiała lewą złapać się za nadgarstek, jak policjant mierzący z rewolweru na strzelnicy. – Blizny nie mogą powracać. Albo są, albo ich nie ma.

– A widziałaś je wcześniej? Chcesz mi wmówić, że tak?

– Są bardzo słabo widoczne – powiedziała Audra nieco ostrzej, niż zamierzała.

– Wszyscy krwawiliśmy – rzucił cicho. – Staliśmy w wodzie nieopodal miejsca, gdzie Eddie Kaspbrak, Ben Hanscom i ja zbudowaliśmy tamę…

– Chyba nie masz na myśli tego architekta, co?

– A znasz kogoś, kto by się tak nazywał?

– Boże, Bill, on buduje nowy gmach dla BBC! Wciąż jeszcze trwają spory, czy ten budynek to cud architektury, czy ucieleśnienie najgorszych koszmarów specjalistów z tej dziedziny.

– Cóż, nie wiem, czy to ten sam facet, czy nie. Być może tak, choć to mi się wydaje mało prawdopodobne. Ben, którego znałem, był specem od budowania różnych rzeczy. Staliśmy tam wszyscy, ja trzymałem w prawej ręce dłoń Beverly Marsh, a w lewej rękę Richiego Toziera. Staliśmy w wodzie jak baptyści z Południa, po kolejnym spotkaniu, na którym przyjmowani byli nowi członkowie, i pamiętam, że widziałem na horyzoncie zarys stacji pomp. Lśniła czystą bielą, która mogła się kojarzyć z barwą szat aniołów, a my złożyliśmy przyrzeczenie. Przysięgaliśmy sobie jedno: że jeżeli okaże się, że to się nie skończyło, jeżeli jeszcze kiedykolwiek zacznie się od nowa… powrócimy. I zrobimy to powtórnie. I powstrzymamy To. Na zawsze.

– Co mieliście zatrzymać?! – krzyknęła z wściekłością w głosie. – Co chcieliście powstrzymać? O czym ty mówisz, do cholery?!

– Wolałbym, żebyś nie p-p-pytała – zaczął Bill i nagle umilkł. Zobaczyła, że na jego obliczu zaczął się rozlewać grymas przerażenia. – Daj mi papierosa. – Podała mu paczkę. Zapalił papierosa. Nigdy nie widziała, aby palił.

– Kiedyś się jąkałem. Dawno temu.

– Jąkałeś się?

– Tak. Przed laty. Powiedziałaś, że byłem jedynym człowiekiem w Los Angeles, którego znałaś i który odważył się mówić powoli i z rozmysłem. Prawda jest taka, że ja się nie odważyłem mówić szybko. To nie było mówienie z rozmysłem czy zastanowieniem. To nie była mądrość. Wszyscy ludzie, którzy mieli kiedyś kłopoty z wymową i którym udało się je pokonać, zawsze mówią bardzo wolno. To jedna ze sztuczek, jakich się uczysz, na przykład żebyś zawsze, zanim się przedstawisz, pomyślał o swoim drugim imieniu, bo ludzie, którzy się jąkają, mają problemy głównie z rzeczownikami, a najwięcej trudności sprawia im wypowiedzenie własnego imienia.

– Jąkałeś się. – Uśmiechnęła się nieznacznie, jakby powiedział jakiś żart, a ona nie umiała

wyłapać zabawnej puenty.

– Do śmierci George'a jąkałem się raczej umiarkowanie – powiedział Bill i w tej samej chwili zaczął w myślach słyszeć podwójnie wypowiadane przez siebie słowa. Tak jakby mówił je dwukrotnie, w pewnych odstępach czasu.

Wypowiadał je gładko i płynnie, ale w myślach podwójne słowa „George" i „umiarkowanie" nałożyły się na siebie tworząc: „G-g-george" i „u-u-umiarkowanie".

– To znaczy, miewałem i gorsze chwile, zwłaszcza w szkole, kiedy wywoływano mnie do odpowiedzi, a szczególnie kiedy znałem odpowiedź i bardzo chciałem jej udzielić, ale zazwyczaj jakoś sobie radziłem. Po śmierci George'a mój stan się pogorszył. Potem, kiedy miałem czternaście, piętnaście lat, ponownie się poprawiło. Zacząłem uczęszczać do liceum w Portlandzie, gdzie była naprawdę świetna specjalistka od wymowy, pani Thomas. Nauczyła mnie paru niezłych sztuczek. Jak na przykład tego, abym pomyślał najpierw o swoim drugim imieniu, zanim powiem na głos: „Cześć, jestem Bill Denbrough". Nauczyłem się za jej radą podstaw francuskiego, żebym, gdy się bardzo zatnę, przechodził na ten język. I tak, zamiast

stać jak ostatni kretyn, powtarzając jak zacinająca się płyta „t-t-t-to j-j-jest k-k-k-k-k…”, przechodziłem na francuski płynnie i gładko: „*ce livre*”. Skutkowało za każdym razem. A kiedy już powiedziałem to po francusku, mogłem bez trudu wydusić z siebie „to książka” po angielsku. Jeśli zacinałem się na wyrazach zaczynających się od „s”, takich jak „statek”, „sardynka” czy „slalom”, wypowiadałem je, sepleniąc, „sztatek”, „szardynka” i „szlalom”. To wszystko było bardzo pomocne, ale mój stan poprawił się głównie dlatego, że zacząłem zapominać o Derry i o wszystkim, co się tam wydarzyło. Bo to właśnie wtedy zacząłem zapominać. Nie zapomniałem wszystkiego od razu, tylko stopniowo, niejako etapami, choć muszę przyznać, że ten proces zachodził wyjątkowo szybko. Trwał chyba nie dłużej niż cztery miesiące. Jednocześnie znikło moje jąkanie. I wszystkie wspomnienia. Jakby ktoś starł tablicę i równania, które były na niej zapisane.

Wypił resztę soku.

– Kiedy parę sekund temu zaciąłem się przy słowie „pytała”, stało się to po raz pierwszy od dobrych dwudziestu lat.

Spojrzał na nią.

– Najpierw blizny, potem j-j-jąkanie. S-s-słyszysz to?

– Robisz to specjalnie! – powiedziała przerażona nie na żarty.

– Nie. Chyba nie mógłbym nikogo tym przekonać, ale to prawda. Jąkanie się to zabawna przypadłość, Audro. I trochę straszna. W pierwszym momencie nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Ale… jest przy tym coś, co słyszysz w głębinach własnego umysłu. To tak, jakby część twojej głowy pracowała nieco szybciej niż cała reszta. Albo urządzenie pogłosowe, które w latach pięćdziesiątych dzieciaki montowały w swoich gablotach i dzięki którym dźwięk z t-tylnego g-głośnika dobiegał u-ułamek s-sekundy później niż dźwięk z g-głośnika z przodu.

Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Sprawiał wrażenie zmęczonego i z pewnym niepokojem pomyślała o tym, jak ciężko harował przez ostatnie trzynaście lat, jakby poprzez wściekłą, niemal nieprzerwaną pracę chciał usprawiedliwić przeciętność swego talentu. Nagle przyszła jej do głowy pewna niepokojąca myśl i natychmiast próbowała ją odegnać, ale nic z tego nie wyszło. Przypuśćmy, że to Ralph Foster zadzwonił do Billa, zapraszając go do Plow & Barrow na godzinkę zapasów „na rękę” czy

partyjkę kości albo może Freddie Firestone, producent *Pokoju na poddaszu*, który chciał przedyskutować z nim ten czy inny problem?

A może to była „zwykła pomyłka”, jak tego typu telefony określała żona pewnego brytyjskiego lekarza, mieszkająca w sąsiedztwie?

Do czego prowadziły takie rozważania?

Z pewnością do tego, że cała ta sprawa z Derry i Mikiem Hanlonem była wyłącznie koszmarnym urojeniem. Urojeniem spowodowanym przez początkowe stadium załamania nerwowego.

Ale te blizny, Audro, jak wytłumaczysz te blizny? On ma rację. Nie było ich tam… A teraz są. To prawda i dobrze o tym wiesz.

– Opowiedz mi resztę – poprosiła. – Kto zabił twojego brata, George’a? Co zrobiliście ty i twoi przyjaciele? Na czym polegała obietnica, którą złożyliście?

Podszedł i ukląkł przed nią jak staromodny konkurent proszący o rękę. Ujął jej dłoń w swoje.

– Wydaje mi się, że mógłbym ci powiedzieć – rzekł cichym, łagodnym tonem. – Myślę, że mógłbym to zrobić, gdybym naprawdę zechciał. Co prawda, że większości tego, co się wówczas wydarzyło, nie pamiętam, ale wiem, że gdybym tylko zaczął mówić, wspomnienia na pewno by powróciły. Czuję, jak drzemią gdzieś tam,

wewnątrz mnie… czekając, aby móc się narodzić. Są jak chmury napęczniałe od deszczu. Tyle że ten deszcz byłby wyjątkowo plugawy. Rośliny, które urosłyby po takim deszczu, byłyby potworami, mutantami. Może wraz z innymi zdołam stawić temu czoło…

– Czy oni wiedzą?

– Mike powiedział, że wezwał ich wszystkich. Wydaje mu się, że przyjadą wszyscy. No, może z wyjątkiem Stana. Powiedział, że Stan miał bardzo dziwny głos.

– Dla mnie to wszystko brzmi dziwnie. Coraz bardziej mnie przerażasz, Bill.

– Przepraszam – powiedział i pocałował ją.

Poczuła, jakby pocałował ją ktoś obcy. Narastała w niej nienawiść do tego Mike'a Hanlona.

– Myślałem, że powinienem ci o tym opowiedzieć przynajmniej tyle, ile obecnie pamiętam. Myślałem, że to będzie lepsze niż wyjazd bez słowa wyjaśnienia. Przypuszczam, że niektórzy z nich postąpili właśnie w ten sposób. Widzisz, ja po prostu muszę wyjechać. I myślę, że Stan też się tam zjawi, niezależnie od tego, jak dziwny mógł się wydawać jego głos. Może nie wyobrażam sobie, żebym tam nie pojechał.

– Z powodu twojego brata?

Bill pokręcił głową.

– Mógłbym powiedzieć, że tak, ale to byłoby kłamstwem. Kochałem go. Wiem, że to może się wydawać dziwne po tym, jak powiedziałem ci, że przez dwadzieścia lat ani razu nawet o nim nie pomyślałem, ale tak, kochałem go z całego serca. Naprawdę. – Uśmiechnął się pod nosem. – Był czasami wkurzający, ale go kochałem. Wiesz, jak to jest?

Audra, która miała młodszą siostrę, pokiwała głową.

– Wiem.

– Ale nie chodzi o George'a. Nie mogę ci wyjaśnić, na czym to polega. Ja… – Wyjrzał przez okno w poranną mgłę. – Mam chyba podobne doznania do ptaka, który wyczuwa nadchodzącą jesień i wie… instynktownie, że musi lecieć w rodzinne strony. To instynkt, kochanie… i wydaje mi się, że tworzy on żelazny szkielet większości naszych posunięć, dokonywanych zgodnie z tak zwaną wolną wolą. Czasami nie można powiedzieć „nie", chyba że ma się już dość życia i chce się z sobą skończyć przy najbliższej nadarzającej się okazji. Nie możesz wybierać, bo w tej sytuacji po prostu nie masz wyboru. Nic na to nie poradzisz. To się i tak dzieje, czy tego chcesz czy nie. Muszę jechać. Ta

obietnica… wbija się w mój umysł jak ostrze haczyka n-n-na ryby.

Wstała i powoli do niego podeszła. Sprawiała wrażenie bardzo słabej i kruchej, jakby mocniejszy czy bardziej zdecydowany ruch mógł ją rozbić na kawałki. Położyła mu rękę na ramieniu i odwróciła go do siebie.

– No to zabierz mnie z sobą.

Wyraz przerażenia, jaki pojawił się w tej samej chwili na jego twarzy – i nie był to strach przed nią, lecz o nią – był tak wyraźny, że po raz pierwszy naprawdę się przestraszyła i cofnęła gwałtownie o krok.

– Nie – powiedział. – Nie myśl o tym, Audro. Nawet o tym nie myśl. Nie wolno ci się zbliżyć do Derry na mniej niż trzy tysiące mil. Mam wrażenie, że w Derry przez najbliższe kilka tygodni będzie naprawdę nieprzyjemnie. Musisz zostać tutaj i przeprosić w moim imieniu wszystkich zainteresowanych, którzy mogliby chcieć się ze mną zobaczyć. A teraz przyrzeknij mi, że to zrobisz!

– Mam ci przyrzec? – spytała, świdrując go wzrokiem. – Mam ci przyrzec, Bill?

– Audro…

– Naprawdę? Ty złożyłeś obietnicę i zobacz, w co przez to wdepnąłeś. I ja razem z tobą, jako

że jestem twoją żoną i cię kocham.

Jego potężne dłonie aż do bólu zacisnęły się na jej ramionach.

– Obiecaj mi. Obiecaj! O-o-o-o…

Nie mogła tego znieść. To słowo miotało się w jego ustach jak schwytana na haczyk, walcząca zaciekle ryba.

– Przyrzekam. W porządku? Przyrzekam! – Wybuchnęła płaczem. – Teraz jesteś zadowolony? Jezu! Tobie chyba odbiło, ta cała sprawa to czyste szaleństwo, ale skoro tak ci na tym zależy, to przyrzekam, przyrzekam, przyrzekam!

Objął ją i podprowadził do tapczanu. Przyniósł jej brandy. Popijała alkohol i powoli zaczynała się uspokajać.

– No to kiedy wyjeżdżasz?

– Odlatuję jeszcze dziś. Concorde’em. Uda mi się, jeżeli zamiast wsiadać do pociągu, pojadę na Heathrow. Freddie chciał, żebym wpadł do niego po lunchu. Zajrzyj do niego o dziewiątej, tylko nic mu nie mów. O niczym nie wiesz, jasne?

Skinęła głową z wahaniem.

– Zanim ktokolwiek się połapie, będę już w Nowym Jorku. I jeżeli wszystko p-p-pójdzie d-d-dobrze, przed zachodem słońca dotrę do Derry.

– Kiedy znowu się zobaczymy? – zapytała cicho.

Mocno ją uściskał, ale nie odpowiedział na pytanie.

DERRY:
Pierwsze interludium

Jak wiele ludzkich oczu… zdołało
dostrzec ich sekretną budowę
na przestrzeni minionych lat?
Clive Barker, *Księgi krwi*

Poniższy fragment i wszystkie pozostałe interludia pochodzą z pracy Derry: Nieautoryzowana historia miasta *Mike'a Hanlona. Jest to nieopublikowany zestaw notatek i załączonych fragmentów manuskryptu (który czyta się niemal jak dziennik) znalezionego w piwnicy biblioteki publicznej Derry; tytuł zaczerpnięto z napisu na teczce, w której były przechowywane te zapiski aż do momentu pojawienia się ich w obecnej formie. Autor wszakże kilkakrotnie używa innego tytułu, który pojawia się na kartach jego notatek*: Derry: Rzut oka na piekło przez drzwi od zaplecza.

Ktoś mógłby pomyśleć, że pan Hanlon poważnie się zastanawiał nad spopularyzowaniem niniejszej pracy i jej publikacją.

2 stycznia 1985

Czy całe miasto może być nawiedzone?

Nawiedzone, tak jak to bywa z niektórymi domami? Nie pojedynczy budynek w tym mieście, jakiś konkretny róg ulicy czy plac do gry w koszykówkę w parku, z nagą obręczą kosza wyglądającą w promieniach zachodzącego słońca niczym ponure i krwawe narzędzie tortur – nie jeden obszar, ale wszystko.

Całość. Miasto.

Czy to możliwe? Proszę posłuchać.

„Nawiedzony: często odwiedzany przez duchy i istoty z zaświatów". *Funk and Wagnalls*.

„Nawiedzenie: częste i dręczące powracanie do czegoś w myślach, trudne do zapomnienia".

Ditto Funk and Friend.

„Nawiedzać: pojawiać się lub często powracać, zwłaszcza jako duch". Ale – posłuchajcie – „miejsca często odwiedzane: kurort, jaskinia, miejsca, gdzie znajdowano wisielców…".

I jeszcze jedna, ostatnia definicja nawiedzania, która przeraża mnie najbardziej – „miejsce żerowania zwierzyny". Zwierząt takich jak te, które pobiły Adriana Mellona, a potem zrzuciły go z mostu? Takich jak To, które czekało wówczas pod mostem?

Miejsce żerowania zwierzyny. Co żeruje w Derry? Co żeruje na Derry?

Wiecie, to całkiem interesujące, prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, że człowiek może być równie przerażony, jak ja byłem od czasu wypadku Adriana Mellona, i może nadal żyć i normalnie funkcjonować. To zupełnie tak, jakbyś wpadł w wir opowieści, a wszyscy wiedzą, że nie powinieneś odczuwać strachu aż do finału, kiedy to istota nawiedzająca mrok wyjdzie w końcu ze swej kryjówki, aby zacząć żerować… ma się rozumieć na tobie. Na tobie.

Ale jeśli jest to opowieść, to na pewno nie z gatunku, który uprawiali tacy klasycy jak Lovecraft, Bradbury czy Poe. Nie wiem może wszystkiego, ale na pewno sporo. Wpadłem w to w chwili, kiedy owego wrześniowego dnia otworzyłem egzemplarz „Derry News", przeczytałem o wstępnych przesłuchaniach Chrisa Unwina i zdałem sobie sprawę, że być może klown, który zabił George'a Denbrough, powrócił. To zaczęło się dla mnie około roku 1980 – chyba właśnie wtedy śpiąca część mojego umysłu przebudziła się… ze świadomością, że ponownie zbliża się czas Tego. Jaka część? Ta, która zajmuje się czuwaniem i obserwacją. Tak mi się przynajmniej wydaje.

A może to był głos Żółwia. Tak… chyba raczej to było to. Wiem, że Bill Denbrough byłby za tym

rozwiązaniem.

Odkrywałem nowinki ze świata grozy w starych książkach. Czytałem o potwornościach sprzed lat na łamach starych gazet i za każdym razem, każdego dnia coraz głośniej, w głębinach mojego umysłu słyszałem szum – jak szum morskiej muszli, czegoś z wolna nabierającego mocy. Wydawało mi się, że czuję w nozdrzach woń ozonu, jak to zwykle dzieje się przed burzą. Zacząłem robić notatki do książki, której z całą pewnością nigdy nie napiszę.

Jednocześnie żyłem nadal swoim życiem. Z jednej strony trwam i muszę trwać w niekończącym się najgorszym z możliwych koszmarów, z drugiej powinienem prowadzić stateczne i niezbyt atrakcyjne życie małomiasteczkowego bibliotekarza. Ustawiam książki na półkach. Wystawiam karty biblioteczne dla nowych jej członków. Wyłączam projektor mikrofilmów, o czym niekiedy zapominają beztroscy użytkownicy. Dowcipkuję z Carole Danner, mówiąc, jak bardzo chciałbym pójść z nią do łóżka, a ona równie żartobliwie odpowiada, że też nie może się tego doczekać – i oboje wiemy, że ona tylko żartuje, a ja nie, podobnie jak oboje zdajemy sobie sprawę, że Carole nie zagrzeje tu długo miejsca, podczas gdy

ja pozostanę w Derry aż do końca życia, podklejając rozdarte strony w „Business Week”, siadając podczas miesięcznych spotkań, kiedy to kupowaliśmy nowe książki do biblioteki, z fajką w jednej ręce i plikiem „Library Journals” w drugiej… i budząc się w środku nocy z pięściami przytkniętymi do szeroko otwartych ust, w których głębi rodził się krzyk. Gotyckie konwencje są błędne. Moje włosy nie posiwiały. Nie lunatykuję. Nie zacząłem rzucać tajemniczych uwag ani nosić w kieszeni kurtki wózka spirytystycznego. Myślę, że śmieję się nieco więcej i częściej, i to wszystko – tyle że ten śmiech musi chyba brzmieć jakoś dziwnie i ochryple, bo zauważyłem, że kiedy zaczynam się śmiać, ludzie obrzucają mnie podejrzliwymi spojrzeniami. Część mnie – ta, którą Bill określiłby mianem głosu Żółwia – mówi, że powinienem do nich zadzwonić, i to jeszcze tej nocy. Ale czy jestem o tym do końca przekonany? Czy naprawdę chcę to zrobić? Czy mam pewność? Czy chcę mieć tę pewność? Nie. Oczywiście, że nie. Ale, Boże, to, co się stało z Adrianem Mellonem, tak bardzo przypomina to, co się przydarzyło George’owi, bratu Billa Jąkały, jesienią 1957 roku.

Jeśli To się znowu zaczęło, wezwę ich. Będę musiał. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze jest za wcześnie. Ostatnim razem To zaczynało się powoli i kulminacja nastąpiła dopiero latem pięćdziesiątego ósmego. Dlatego… zaczekam. I będę wypełniał czekanie robieniem zapisków w tym notatniku i długotrwałym wpatrywaniem się w lustro, by dostrzec oblicze obcego, którym stał się mały chłopiec.

Twarz chłopca była twarzą miłośnika książek – pełną nieśmiałości i bojaźni. Twarz mężczyzny przypomina oblicze pracownika banku w jednym z westernów, faceta, który nigdy nic nie mówi i gdy pojawiają się rabusie, od razu podnosi ręce i odgrywa przerażonego. A jeśli akurat scenarzysta zażyczy sobie, aby ktoś został zastrzelony przez bandytów, zwykle to on staje się ofiarą. Ten sam stary Mike. Może trochę się gapi i ma oczy zmęczone brakiem snu, ale nie do tego stopnia, żebyście mogli to dostrzec od razu. Z bliska tak, gdy przysunie się twarz, ale on już dawno nie był z nikim tak blisko.

Gdybyś przyjrzał mi się uważnie, mógłbyś pomyśleć: Czytał za dużo książek. Ale nic poza tym. Wątpię, abyś domyślił się, jak zaciekle ten facet o łagodnym obliczu pracownika bankowego

toczy obecnie walkę o zachowanie zdrowych zmysłów…

Gdybym musiał zadzwonić, kilkoro z nich mogłoby zginąć.

To jedna z rzeczy, którym muszę stawić czoło w bezsenne noce, kiedy leżę w łóżku ubrany w swoją konserwatywną, niebieską piżamę, ze starannie złożonymi okularami, leżącymi nieopodal na blacie nocnego stolika, obok szklanki z wodą, którą zawsze stawiam na wypadek, gdybym obudził się w nocy i zachciało mi się pić. Leżę po ciemku, popijam wodę i zastanawiam się, ile tamci pamiętają – dużo czy mało. Wydaje mi się, że nie pamiętają nic, bo tylko ja jeden słyszę głos Żółwia, tylko ja jeden pamiętam, bo tylko ja pozostałem w Derry. A ponieważ tamci rozjechali się we wszystkie strony, nie mogą wiedzieć, że ich życie przebiega według takiego samego schematu.

Sprowadzenie ich z powrotem… ukazanie im tego schematu – tak, to mogłoby zabić kilkoro z nich. A może nawet wszystkich. Myślę o tym bez przerwy. O tym i o nich, próbując przypomnieć ich sobie takich, jacy byli i jacy mogą być teraz, zastanawiając się, kto z nich może być najsłabszy i najbardziej bezbronny. Richie Tozier „Niewyparzona Gęba”, myślę

czasami – to na niego zawzięli się najbardziej Criss, Huggins i Bowers, mimo że to Ben był najgrubszy. Richie najbardziej bał się Bowersa, wszyscy baliśmy się go najbardziej, ale dwaj pozostali również potrafili nas wystraszyć. Czy gdybym do niego zadzwonił, przyjąłby to jako swego rodzaju Powrót Wielkich Mięśniaków (dwóch z grobu, a trzeciego ze szpitala dla wariatów w Juniper Hill, gdzie przebywa do dziś)?

Czasami mam wrażenie, że to Eddie był najsłabszy. Eddie ze swym dominującym wpływem matki i potwornymi atakami astmy. Beverly? Zawsze udawała twardą, ale bała się tak samo jak my wszyscy. Bill Jąkała, stojący twarzą w twarz z koszmarem, który nie miał zniknąć nawet po tym, jak nakładał pokrywę na maszynę do pisania? Stan Uris?

Nad głowami ich wszystkich wisi ostrze gilotyny, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że oni nie zdają sobie z tego sprawy. To moje dłonie obejmują dźwignię. Mogę opuścić ostrze, otwierając swój notes z telefonami i dzwoniąc do każdego z nich po kolei. Może nie będę musiał tego robić. Wmawiam sobie, choć bez większej nadziei, że się pomyliłem i wziąłem tchórzliwy krzyk mego

bojaźliwego umysłu za głębszy, bardziej prawdziwy głos Żółwia. Jakkolwiek było, co ja właściwie wiem? Mellon w lipcu. Martwe dziecko znalezione przy Neibolt Street w sierpniu i jeszcze jedno, w Memorial Park, na początku grudnia, tuż przed pierwszym śniegiem. Może to był włóczęga, jak pisano w gazetach. Albo szaleniec, który już dawno opuścił Derry lub ogarnięty żalem i nienawiścią do samego siebie popełnił samobójstwo, jak to – wedle niektórych książek – mógł zrobić prawdziwy Kuba Rozpruwacz.

Może.

Ale dziewczynkę Albrechtów znaleziono po drugiej stronie ulicy dokładnie naprzeciwko tego cholernego starego domu przy Neibolt Street… i zabito ją dokładnie tego samego dnia co dwadzieścia siedem lat temu George'a Denbrough. A potem znaleziono chłopca Johnsonów w Memorial Park, miał jedną nogą oderwaną poniżej kolana. W Memorial Park znajduje się stacja pomp, a chłopaka znaleziono nieopodal jej zabudowań. Stacja pomp stoi o rzut kamieniem od Barrens; a właśnie tam Stan Uris zobaczył tych chłopców. Tych martwych chłopców.

Pomimo to nie jestem pewien. Może mam rację. A może nie. A jeśli to tylko zbieg okoliczności? Albo coś pomiędzy – jakieś szkodliwe echo. Czy to możliwe? Odnoszę wrażenie, że tak. Tu w Derry wszystko jest możliwe.

Wydaje mi się, że to, co było tutaj wcześniej, nadal tu jest – ta rzecz, która była tu w 1957 i 1958, to coś, co było tu w 1929 i 1930, kiedy Legion Białej Przyzwoitości z Maine spalił Black Spot; to coś, co było tu w 1904, 1905 i na początku 1906, przynajmniej do dnia, kiedy eksplodowały Zakłady Kitchenera; ta rzecz, która była tu w 1876 i 1877, ta istota, która pojawia się mniej więcej co dwadzieścia siedem lat.

Czasami pojawia się nieco wcześniej, niekiedy zaś z pewnym opóźnieniem, ale To zawsze powraca. Kiedy grzebie się w przeszłości, w miarę upływu czasu coraz trudniej jest znaleźć jakiekolwiek wzmianki na ten temat, bo luki w zapiskach stają się coraz większe, a i samych zapisków też jest o wiele mniej. Ponieważ jednak wiedziałem, gdzie należy szukać i kiedy, w znacznym stopniu udało mi się rozwikłać ten skomplikowany problem.

Bo, widzicie, To zawsze powraca. To.

I dlatego myślę – tak, myślę, że będę musiał do nich zadzwonić. Wydaje mi się, że to mamy być my. Jakimś cudem, z jakiegoś powodu zostaliśmy wybrani, aby powstrzymać To raz na zawsze. Ślepy los? Ślepy traf? A może to znowu ten przeklęty Żółw? Czy tak jak mówić, To potrafi również rozkazywać? Nie wiem. I wątpię, czy To się w ogóle liczy. Tyle lat temu Bill powiedział: „Żółw nie może nam pomóc" i jeśli wtedy to była prawda, na pewno teraz też nic się nie zmieniło.

Myślę o nas, stojących w wodzie, trzymających się za ręce, składających obietnicę, że powrócimy, jeżeli To zacznie się ponownie – stojących tam niczym druidzi ciasnym kręgiem – i o naszych dłoniach ociekających krwią wiążącą nas jeszcze jedną obietnicą. Ten rytuał jest zapewne tak stary jak sama ludzkość, to jak spuszczanie życiodajnych soków z drzewa wszystkich mocy, rosnącego na granicy pomiędzy krainą tego, co znamy, a tego, czego się tylko domyślamy.

Bo podobieństwa…

Chyba zmieniam się tu w Billa Denbrough, jąkam się, powtarzając raz po raz to samo, odwołując się do kilku faktów i paru nieco mniej przyjemnych supozycji, które z każdym kolejnym zdaniem pogłębiają dręczącą mnie obsesję. To

niedobrze. To bezcelowe. A może nawet się okazać niebezpieczne. Ale tak trudno jest czekać na konkretne dowody.

Ten notatnik to moja próba przezwyciężenia obsesji poprzez poszerzenie zakresu mojej uwagi, cokolwiek by mówić, ta opowieść to coś więcej niż tylko historia sześciu chłopców i jednej dziewczynki – grupki nieszczęśliwców pozbawionych akceptacji ze strony otoczenia, którzy pewnego gorącego lata, kiedy jeszcze Eisenhower był prezydentem, znaleźli się w samym sercu upiornego koszmaru.

Jest to próba nieznacznego wycofania kamery, aby można było dostrzec jej okiem całe miasto, miejsce, w którym prawie trzydzieści pięć tysięcy ludzi pracuje, je, śpi, kocha się, jeździ samochodami, przechadza się, chodzi do szkoły, a niektórzy z nich są niekiedy zamykani w więzieniu lub znikają w mrokach nocy.

Aby wiedzieć, czym jest to miejsce, należy, moim zdaniem, dowiedzieć się, czym ono było. I gdybym musiał konkretnie określić, kiedy ponownie zaczął się dla mnie ten koszmar, powiedziałbym, że to było wczesną wiosną 1980 roku, gdy poszedłem na spotkanie z Albertem Carsonem (który umarł zeszłego lata, dożywając sędziwego wieku dziewięćdziesięciu jeden lat).

Był głównym bibliotekarzem w tym mieście od 1914 do 1960 roku, co jest dość niezwykłą sprawą (ale on był naprawdę niezwykłym człowiekiem), i miałem wrażenie, że jeżeli ktokolwiek mógł naprawdę dobrze znać historię tego miasta i podpowiedzieć mi, od czego mógłbym zacząć, to na pewno tym kimś był Albert Carson.

Zapytałem go o to, siedząc na werandzie, a on udzielił mi odpowiedzi. Mówił wolno i ochryple, co było wynikiem postępującego raka gardła, choroby, która ostatecznie go zabrała.

– Te historie nie są warte funta kłaków. Dobrze o tym wiesz.

– To od czego powinienem zacząć?

– Co zacząć, na miły Bóg?

– Zgłębianie historii tego miejsca. Historii Derry.

– A tak. Zacznij od Frickego i Michauda. Tak będzie najlepiej.

– A potem, jak to już przeczytam…

– Przeczytać ich? Chryste, nie! Wyrzuć ich do kosza! To twoje pierwsze zadanie. Potem przeczytaj Buddingera. Branson Buddinger to był sentymentalny badacz, rozlazły i głupi, przynajmniej tak by wynikało z tego, co o nim słyszałem, ale kiedy przybył do Derry, miał serce

na właściwym miejscu. Wiele faktów przeinaczył, ale zrobił to z serca, Hanlon.

Zaśmiałem się pod nosem i Carson również wykrzywił spękane usta w przejawie dobrego humoru, który mógł być co nieco przerażający. W tym momencie wyglądał jak sęp, który z lubością strzeże świeżo ubitej zwierzyny, czekając, aż postępujący w niej proces rozkładu nada ciału należyty posmak, i będzie mógł zacząć się pożywiać.

– Kiedy skończysz z Buddingerem, przeczytaj Ivesa. Zrób notatki. Zapisz nazwiska wszystkich ludzi, z którymi rozmawiał. Sandy Ives wciąż jeszcze wykłada na uniwersytecie w Maine. Jest znawcą folkloru. Kiedy go przeczytasz, postaraj się z nim spotkać. Zaproś go na obiad. Ja zabrałem go do Orinoko, bo tam obiady nie mają końca, jak się zdaje. Wyciągnij z niego, ile tylko się da. Wypełnij notes nazwiskami i adresami. Pogadaj z ludźmi starej daty, z którymi i on rozmawiał, na pewno część z nich jeszcze żyje. Paru z nas ciągle jeszcze dycha… cha, cha, cha, cha… wydobądź z nich kolejne nazwiska. Kiedy tego dokonasz, będziesz miał świetny początek do swojej pracy, rzecz jasna, jeżeli jesteś choć w połowie tak cwany, jak ci się wydaje. Jeżeli uda ci się dopaść tych ludzi, dowiesz się o paru

rzeczach, o których zwykle się nie mówi. O wydarzeniach, których nie znajdziesz w żadnych kronikach. I kto wie, czy dasz radę jeszcze potem normalnie zasnąć.

– Derry…

– Co?

– Coś jest nie w porządku z tym miastem, prawda?

– W porządku? – spytał ochrypłym szeptem. – A co to jest „w porządku”? Co oznacza ten zwrot? Czy zdjęcia robione na kliszy Kodaka ukazujące Kenduskeag o zachodzie słońca są „w porządku”? Jeżeli tak, to Derry jest w porządku, bo zdjęcia wychodzą wyśmienicie. Czy jest w porządku, że grupka starych zdewociałych babsztyli chce uratować Governor’s Mansion albo umieścić tablicę pamiątkową przed stacją pomp? Jeżeli tak, to z Derry jest wszystko w porządku. A czy jest w porządku, że przed City Center stoi brzydki plastikowy pomnik Paula Bunyana? Och, gdybym miał ciężarówkę napalmu i moją starą zapalniczkę Zippo, zająłbym się tym kurestwem, zapewniam cię, ale jeżeli czyjś zmysł estetyczny jest na tyle elastyczny, aby znieść widok plastikowych pomników, to znaczy, że z Derry wszystko w porządku. Pytanie brzmi, co to

oznacza dla ciebie, Hanlon. Co? A raczej czego w tym wszystkim nie potrafisz się dopatrzyć?

Mogłem tylko pokręcić głową. Albo on wiedział, albo nie. I albo mi to powie, albo nie.

– Czy chodzi ci o niezbyt przyjemne opowieści, które możesz dopiero poznać, czy o te, które już znasz? Nieprzyjemne historie istnieją od zawsze. Dzieje miasta to jak zapuszczona stara posesja pełna pokoi i różnych innych zacisznych kryjówek, zarówno na parterze, jak na poddaszu i w piwnicach. Nie mówiąc już o tym, że muszą się w niej znajdować tajemne przejścia. Jeżeli zaczniesz studiować *Posiadłość Derry*, znajdziesz wszystkie wspomniane miejsca. Tak. Potem możesz tego żałować, ale znajdziesz je i jak już to ci się uda, nie będziesz ich mógł z powrotem ukryć, rozumiesz? Niektóre z pokoi są zamknięte, ale istnieją klucze, którymi można je otworzyć. – Jego oczy błysnęły, kiedy spojrzał na mnie ze starczą przenikliwością. – Możesz dojść do wniosku, że natknąłeś się na najgorszy z sekretów Derry… ale zawsze jest gdzieś ukryty jeszcze jeden.

– Czy…

– Myślę, że muszę cię przeprosić i skończyć mój dzisiejszy wykład. Bardzo dokucza mi gardło. Czas, żebym wziął lekarstwo i zdrzemnął

się odrobinę. Innymi słowy, masz tu nóż i widelec; do ciebie należy sprawdzić, co zdołasz nimi ukroić.

Zacząłem od Frickego i Michauda. Poszedłem za radą Carsona i wyrzuciłem ich książki do kosza, ale najpierw je przeczytałem. Były okropne, tak jak sugerował starzec. Przeczytałem historię Buddingera, porobiłem notatki i posługując się nimi, rozpocząłem śledztwo. Było to nieco bardziej zadowalające, choć podążanie tego typu ścieżkami jest wyjątkowo uciążliwe… widzicie, to jak chodzenie po śladach wydeptanych na nieznanym, archaicznym i dzikim gruncie. Ścieżki te to schodzą się, to znów się rozszerzają, a każda pomyłka może zaprowadzić cię w ślepy zaułek lub na niebezpieczne, bagniste trzęsawisko.

„Jeżeli natraficie na jakiś ślad – powiedział kiedyś wykładowca wydziału bibliotekarstwa klasie, do której chodziłem – podążajcie nim tak szybko, jak tylko możecie, żeby go nie stracić, bo ślady mają to do siebie, że szybko się mnożą”.

Ślady się mnożą i czasami mnożenie się jest dobrą rzeczą, ale o wiele częściej bywa dokładnie na odwrót. Opierając się na śladach odnalezionych w sztampowej pracy Buddingera *Historia starego Derry* (Orono, Wyd. Uniw.

Maine, 1950), przebrnąłem przez liczący sto lat zbiór złożony z zapomnianych książek, zakurzonych dysertacji z dziedziny historii i folkloru, artykułów z nieistniejących już czasopism i całych stosów ksiąg i raportów miejskich.

Bardziej interesujące okazały się moje rozmowy z Sandym Ivesem. Jego źródła pokrywały się od czasu do czasu z tymi, z których korzystał Buddinger, ale jedynie to ich łączyło. Ives poświęcił sporą część życia, zbierając przekazy ustne – innymi słowy, opowieści – spisując je niemal słowo w słowo, którą to czynnością Branson Buddinger zwykł gardzić.

Ives napisał cykl artykułów o Derry w latach 1963–1966. Kiedy zacząłem poszukiwania, większość ludzi starej daty, z którymi rozmawiał, już nie żyła, ale mieli oni wszakże synów, córki, bratanków i kuzynów. Poza tym, rzecz jasna, jedną z najwspanialszych życiowych prawd jest to, że na miejsce starca, który umiera, przychodzi kolejny. I to, że dobra opowieść nigdy nie umiera – jest zawsze przekazywana z pokolenia na pokolenie. Siadywałem na wielu werandach i gankach, wypiłem morze herbaty, piwa Black Label, piwa domowej roboty, piwa korzennego, kranówki i wody źródlanej. Wiele słuchałem,

a szpule mojego magnetofonu obracały się nieprzerwanie.

Zarówno Buddinger, jak i Ives zgadzali się w zupełności pod jednym względem. Derry założyło około trzystu osadników. Byli to Anglicy. Mieli statut i byli ogólnie znani jako Derrie Company. Ich ziemie obejmowały teren, na którym znajduje się dziś Derry, większą część Newport i drobne skrawki okolicznych miast. I w roku 1741 wszyscy członkowie społeczności Derry po prostu zniknęli. Byli tam jeszcze w czerwcu tego roku – w sumie trzysta czterdzieści osób – a w październiku okazało się, że nie ma tam żywej duszy. Mała wioska złożona z drewnianych domów kompletnie opustoszała. Jeden z budynków, stojący mniej więcej w miejscu, gdzie dziś znajduje się skrzyżowanie Witcham i Jackson, był doszczętnie spalony. Michaud w swojej książce twierdzi, że wszyscy musieli zostać wymordowani przez Indian, choć nie ma na to żadnych dowodów, prócz – rzecz jasna – tego jednego spalonego domu. Bardziej prawdopodobne jest raczej to, że czyjś piec po prostu zanadto się nagrzał i dom stanął w płomieniach. Masakra dokonana przez Indian? Wątpliwa sprawa. Brak kości, brak ciał. Powódź?

Nie tego roku. Choroba? W okolicznych miastach nic o tym nie wiedziano.

Oni po prostu zniknęli. Wszyscy. W sumie trzysta czterdzieści osób. Bez śladu. O ile wiem, jedynym zbliżonym wypadkiem w historii Ameryki może być zniknięcie kolonistów z Roanoke Island w Wirginii. Każde dziecko zna tę sprawę, ale kto wie o zaginięciu osadników z Derry? Najwyraźniej nikt. Nawet tutejsi mieszkańcy. Spytałem o to paru uczniów uczęszczających na kurs historii Maine i żaden z nich nie wiedział nic na ten temat. Potem przejrzałem tekst *Maine wtedy i teraz*. Znajduje się tam około czterdziestu wzmianek na temat Derry, głównie jednak dotyczą one okresu boomu w przemyśle drzewnym.

Nie ma ani słowa na temat zaginięcia grupy pierwszych osadników… i – jak powinienem to określić? – ta cisza pasuje do ogólnego obrazu całej układanki.

Większość tego, co się tu dzieje, okrywa swego rodzaju zasłona ciszy… mimo to ludzie nadal mówią. Myślę, że nic nie może powstrzymać ludzi przed mówieniem. Ale musicie przy tym bardzo uważnie słuchać, a to raczej rzadka umiejętność. Szczycę się tym, że przez ostatnie cztery lata udało mi się ją rozwinąć w całkiem

zadowalającym stopniu. Trzeba jednak przyznać, że miałem po temu niezłą praktykę. Stary człowiek powiedział mi o tym, jak jego żona usłyszała głosy mówiące do niej z rury odpływowej kuchennego zlewu trzy tygodnie przed śmiercią ich córki – było to na początku zimy na przełomie 1957 i 1958 roku. Dziewczynka, o której mówił, była jedną z pierwszych ofiar fali morderstw, która rozpoczęła się wraz ze śmiercią George'a Denbrough i zakończyła dopiero latem następnego roku.

– Cała masa zlewających się z sobą, mamroczących głosów – rzekł. Był właścicielem stacji benzynowej przy Kansas Street i rozmawiał ze mną w przerwach pomiędzy kolejnymi kursami do dystrybutorów, kiedy to nalewał benzynę, sprawdzał olej i mył szyby podjeżdżających pod stację samochodów. – Powiedziała, że nawet raz coś odburknęła, chociaż była przestraszona. Pochyliła się nad rurą i zawołała: „Kim wy jesteście, do cholery? Jak się nazywacie?". W odpowiedzi usłyszała stękania, jęki, mamrotania, śmiech, krzyki, wrzaski, skowyty i bełkoty… wie pan. I dodała, że mówiły to, co ten opętany powiedział Jezusowi: „Imię nasze: Legion". Przez dwa lata nie zbliżała

się do zlewu. A ja, choć sterczę tu dwanaście godzin dziennie, z bolącym kręgosłupem, po powrocie do domu musiałem jeszcze zmywać te pieprzone talerze.

Pił colę z puszki wyjętą z automatu stojącego przed drzwiami swego biura – facet liczący sobie siedemdziesiąt dwa, trzy lata, w wyblakłym, roboczym kombinezonie, z rzekami zmarszczek spływającymi z kącików oczu i ust.

– Teraz pewno myślisz pan, że mi odbiło, ale ja powiem jeszcze coś, jeżeli wyłączysz pan ten furkoczący magnetofon.

Wyłączyłem i uśmiechnąłem się do niego.

– Zważywszy na to, co usłyszałem przez ostatnie kilka lat, musiałby się pan nieźle natrudzić, aby mnie o tym przekonać – odparłem.

On również się uśmiechnął, ale w jego uśmiechu nie było radości.

– Któregoś wieczoru zmywałem jak zwykle talerze. To było jesienią pięćdziesiątego dziewiątego, kiedy już wszystko wróciło do normy. Moja żona spała na górze. Betty była jedynym dzieckiem, jakim Bóg raczył nas obdarzyć, i od czasu, kiedy została zamordowana, żona spała o wiele dłużej niż normalnie. W każdym razie wyjąłem korek

i woda zaczęła spływać do rury ściekowej zlewu. Zna pan dźwięk, jaki robi woda z płynem do mycia naczyń, kiedy spływa do rur? To taki odgłos ssania. To był ten dźwięk, ale ja o tym wtedy nie myślałem, bo chciałem pójść jeszcze do szopy, żeby narąbać trochę drewna na opał, i nagle, kiedy ten dźwięk zaczął cichnąć, odniosłem wrażenie, jakbym tam, na dole, usłyszał moją Betty. Śmiała się. Śmiech dochodził z tych pieprzonych rur. Tyle że kiedy się człowiek przysłuchał uważniej, ten śmiech bardziej kojarzył się z krzykiem. Albo raczej mieszanką jednego i drugiego. Ona się śmiała i krzyczała gdzieś tam, na dole, w rurach. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy usłyszałem coś takiego. Może to tylko mi się zdawało. Ale… nie. Raczej nie.

Spojrzał na mnie, a ja na niego. Światło padające przez brudne szyby okienne na jego twarz postarzało go, sprawiało, że wyglądał jak Matuzalem. Pamiętam, że zrobiło mi się wtedy zimno. Bardzo zimno.

– Uważasz pan, że zmyślam? – zwrócił się do mnie starzec, który w 1957 roku mógł mieć jakieś czterdzieści pięć lat, którego Bóg obdarzył jedną jedyną córką, Betty. Betty została znaleziona przy końcu Jackson Street, tuż po świętach tego roku,

zamarznięta; jej szczątki, rozdarte na strzępy, walały się po całym chodniku.

– Nie. Nie sądzę, aby pan zmyślał, panie Ripsom.

– Wiem, że mówi pan prawdę – odparł z wyraźnym zdumieniem. – Widzę to w pana oczach.

Wydaje mi się, że chciał mi powiedzieć coś więcej, ale w tej samej chwili z tyłu za nami rozległ się dźwięk dzwonka, a na podjazd przy dystrybutorach wtoczył się wolno samochód. Kiedy zadzwonił brzęczyk, obaj poderwaliśmy się gwałtownie, a ja wydałem z siebie cichy, zduszony krzyk. Ripsom wstał i pokuśtykał w stronę samochodu, wycierając ręce w zwiniętą w kulkę szmatę. Kiedy wrócił, spojrzał na mnie, jakbym był raczej niemile widzianym przybyszem, nieproszonym gościem, który zjawił się tu niejako „z ulicy”.

Pożegnałem się i odszedłem.

Buddinger i Ives zgodzili się jeszcze pod jednym względem. Tu, w Derry, wiele rzeczy jest nie w porządku; w Derry nic nigdy nie było w porządku.

Po raz ostatni widziałem się z Albertem Carsonem miesiąc przed jego śmiercią. Jego stan

znacznie się pogorszył, jedyne, co mógł wydobyć ze swego gardła, to syczący cichy szept.

– Nadal myślisz o napisaniu historii Derry, Hanlon?

– Mam to na uwadze – powiedziałem, ale rzecz jasna nigdy nie zamierzałem tego zrobić, to znaczy nie dosłownie, i on chyba o tym wiedział.

– To by ci zajęło ze dwadzieścia lat – wyszeptał – i nikt by tego nie przeczytał. Nikt nie chciałby tego przeczytać. Daj temu spokój, Hanlon. – Przerwał na moment, po czym dorzucił: – Buddinger popełnił samobójstwo, wiesz…

Oczywiście, że wiedziałem, ale tylko dlatego, że ludzie lubią dużo gadać, a ja nauczyłem się słuchać. Artykuł w „News” określił to mianem nieszczęśliwego upadku i chyba rzeczywiście jego autor w pewnym sensie miał rację. W „News” jednak nie napisano, że kiedy Buddinger spadał ze stołka, miał na szyi zadzierzgniętą pętlę.

– Wiesz o cyklu?

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

– O tak.

– Co dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat, Buddinger też o tym wiedział. Sporo ludzi ze starszego pokolenia wie o tym, choć nie chcą

mówić na ten temat, nawet kiedy mają mocno w czubie. Daj temu spokój, Hanlon. – Wyciągnął jedną ze swych pokrzywionych, ptasich dłoni. Zacisnął palce wokół mojego nadgarstka i prawie poczułem, jak rak w jego wnętrzu zżera wszystko, co jeszcze można było zeżreć, choć wtedy nie było już tego za wiele. Albert Carson zmienił się w wysuszoną, prawie pustą skorupę. – Michael, lepiej się w to nie mieszaj. Są pewne rzeczy w Derry, które potrafią nieźle człowieka ugryźć. Daj temu spokój. Daj spokój.

– Nie mogę.

– A zatem strzeż się – powiedział. I nagle oczy starego, umierającego człowieka zmieniły się w oczy małego, przerażonego dziecka. – Strzeż się!

Derry. Moje rodzinne miasto. Nazwane na cześć irlandzkiego hrabstwa o tej samej nazwie. Urodziłem się tutaj, w szpitalu miasta Derry. Tu chodziłem do podstawówki i do liceum. Studiowałem na uniwersytecie w Maine – nie w Derry, ale jak mówią starzy, to tylko o rzut kamieniem stąd, a potem znów tu wróciłem. Do biblioteki publicznej w Derry. Jestem człowiekiem z małego miasteczka prowadzącym małomiasteczkowe życie – jednym spośród milionów.

Ale: W 1851 grupa drwali znalazła szczątki innej grupy, która spędziła mroźną, śnieżną zimę w obozie w górnym biegu Kenduskeag na szczycie czegoś, co dzieciaki do dziś nazywają Barrens. Odrąbane głowy leżały na ziemi… nie mówiąc już o ramionach… i nogach… a także odciętym penisie przybitym do jednej ze ścian chaty.

Ale: W 1851 John Markson otruł całą swoją rodzinę, a następnie usiadłszy w kręgu utworzonym z ciał, zjadł całego grzyba, którego nazywają „biel-cień nocy”. Jego agonia musiała być potworna. Konstabl, który go odnalazł, napisał w swoim raporcie, że w pierwszej chwili odniósł wrażenie, jakby trup uśmiechał się do niego; napisał o potwornym białym uśmiechu Marksona. Biały uśmiech powodował trujący grzyb, który wypełniał całe usta. Musiał żuć nawet wtedy, kiedy jego umierającym ciałem wstrząsały ostatnie, potworne, konwulsyjne spazmy.

Ale: W Niedzielę Wielkanocną właściciele Zakładów Kitchenera, na których miejscu stoi teraz Centrum Handlowe Derry, zarządzili poszukiwanie wielkanocnych jajek dla wszystkich dobrych dzieci z Derry. Poszukiwania odbyły się w olbrzymim budynku zakładów.

Niebezpieczne obszary zostały zamknięte, a pracownicy fabryki na ochotnika zgłosili się, by ich pilnować i upewnić się, że żaden żądny przygód dzieciak nie przedostanie się przez barierę, aby sprawdzić, co znajduje się po jej drugiej stronie. Na terenie zakładów ukryto pięćset czekoladowych jajek, owiniętych różnokolorowymi wstążkami. Zgodnie z tym, co pisał Buddinger, przypadało mniej więcej jedno jajko na jedno dziecko. Chichocząc, myszkując i ciesząc się, dzieci rozbiegły się po fabryce, aby znajdować jajka ukryte w różnych miejscach w hali, w szufladach biurek, balansując pomiędzy wielkimi zardzewiałymi kołami zębatymi, wewnątrz form odlewniczych na drugim piętrze (na starych fotografiach te urządzenia wyglądają jak formy do ciast z kuchni jakiegoś olbrzyma). Trzy pokolenia Kitchenerów znajdowały się w fabryce, patrząc, jak dziatwa rozbiega się wokoło, i czekając, by punktualnie o szesnastej, niezależnie od tego, czy wszystkie jajka zostaną znalezione, czy też nie, obdarować dzieci podarunkami po skończonych „łowach”.

Zakończyły się one jednak czterdzieści pięć minut przed czasem, dokładnie o piętnastej piętnaście. To właśnie wtedy w zakładach nastąpiła potężna eksplozja. Przed zachodem

słońca z budynku wydobyto siedemdziesiąt dwa ciała. Ostatecznie liczba zabitych wynosiła sto dwa (w tym osiemdziesięcioro ośmioro dzieci). W środę, w następnym tygodniu, gdy miasto wciąż jeszcze w milczeniu rozpamiętywało niedawną tragedię, pewna kobieta znalazła ponad gałęzią jabłoni w swoim sadzie oderwaną głowę dziewięcioletniego Roberta Dohaya. Chłopiec miał zęby pomazane czekoladą i krew we włosach. Był ostatnią znalezioną ofiarą. Nigdy nie doliczono się ośmiorga dzieci i jednej osoby dorosłej.

To była największa tragedia w historii Derry, jeszcze większa niż pożar w Black Spot w 1930 roku, i nigdy nie wyjaśniono jej przyczyn.

Wszystkie cztery kotły grzewcze w fabryce były zamknięte. Nie tylko zamknięte. Wyłączone.

Ale: Liczba zabójstw w Derry przekracza sześciokrotnie liczbę zabójstw, do jakich dochodzi w każdym innym mieście tej wielkości w Nowej Anglii. Tak trudno mi było w to uwierzyć, że udałem się z moimi obliczeniami do jednego z licealnych przemądrzalców, który jeśli nie przebywa w bibliotece, to siedzi zwykle przy klawiaturze swego commodore'a.

Udało mu się pójść jeszcze dalej (skreślić „przemądrzalca" – on miał po prostu wysokie

aspiracje), dorzucając kolejny tuzin małych miast do czegoś, co określił mianem bazy danych, i pokazał mi komputerowy wydruk liniowy, w którym Derry wysuwało się na pierwsze miejsce jak bolący palec.

– Ludzie muszą tu mieć naprawdę podłe charaktery i brutalną naturę, panie Hanlon – powiedział.

Nie skomentowałem jego słów. Gdybym to zrobił, to kto wie, może powiedziałbym mu, że istotnie tak jest i że coś, co mieszka w Derry, ma rzeczywiście paskudny charakter i brutalną naturę. Tu, w Derry, co roku znika bez śladu przeciętnie czterdzieścioro, sześćdziesięcioro dzieci. Większość to nastolatki. Uważa się ich za uciekinierów z domu. Przypuszczam, że pewien procent spośród nich faktycznie można zaliczyć do tej kategorii.

A podczas tego, co Albert Carson bez wątpienia nazwałby czasem cyklu, ta liczba zwielokrotniała się niepomiernie. Na przykład w 1930 roku, kiedy spalono Black Spot, w Derry zanotowano ponad sto siedemdziesiąt zaginięć dzieci, a musicie pamiętać, że mowa tu tylko o zaginięciach, które zostały zgłoszone na policji i wprowadzone do rejestrów.

– Nic w tym dziwnego – powiedział mi obecny szef policji, kiedy pokazałem mu statystyki. – To był czas kryzysu, większości dzieciaków zapewne znudziło się jedzenie kartoflanki albo przymieranie głodem w domach i zdecydowali się zdać na uśmiech losu i poszukać czegoś lepszego.

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku w Derry zanotowano zaginięcia stu dwudziestu siedmiorga dzieci w wieku od trzech do dziewiętnastu lat. Czy wtedy też był kryzys? – spytałem szefa Rademachera.

– Nie – odparł. – Ale ludzie lubią podróżować, Hanlon. Zwłaszcza dzieciaki. Zawsze gdzieś je nosi. Wystarczy, że poprztykają się ze starymi, bo za późno wrócili do domu po randce. Trzask-prask i już ich nie ma.

Pokazałem szefowi policji Rademacherowi zdjęcie Chada Lowe'a, które pojawiło się w „Derry News" w kwietniu 1958.

– Czy uważa pan, szefie, że ten dzieciak uciekł z domu po sprzeczce z rodzicami, kiedy zbyt późno wrócił? Kiedy zniknął, miał zaledwie trzy i pół roku!

Rademacher zmierzył mnie ponurym spojrzeniem i powiedział mi, że owszem, bardzo

miło mu się ze mną rozmawia, ale ma mnóstwo pracy. I wyszedł.

Nawiedzony, nawiedzenie, nawiedzać.

„Często odwiedzany przez duchy lub istoty z zaświatów” – tak jak rury pod zlewem; „pojawiać się często lub powracać” – co dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lub dwadzieścia siedem lat; „miejsce żerowania zwierzyny” – za przykład może służyć śmierć George’a Denbrough, Adriana Mellona, Betty Ripsom, dziewczynki Albrechtów i chłopca Johnsonów.

Miejsce żerowania zwierzyny. Tak. To jest moje nawiedzenie. Jeżeli stanie się coś jeszcze – cokolwiek – zadzwonię do nich. Będę musiał. A tymczasem będę snuł przypuszczenia, zbierał odłamki swego rozbitego „ja” i wspominał. Te moje cholerne wspomnienia.

No i jeszcze jedno – mam przecież swój notatnik, nieprawdaż? To moja ściana płaczu. Siedzę tu, a dłoń trzęsie mi się tak bardzo, że prawie nie mogę pisać, siedzę w opuszczonej bibliotece długo po jej zamknięciu, nasłuchując słabych odgłosów dochodzących z różnych stron, obserwując cienie rzucane przez kuliste żółte lampy, aby mieć pewność, że te cienie się nie poruszają… i nie zmieniają.

Siedzę tuż obok telefonu. Kładę rękę na aparacie… dłoń obsuwa się… dotyka otworów w tarczy, dzięki którym mógłbym połączyć się z nimi wszystkimi – z moimi starymi przyjaciółmi.

Wspólnie w tym ugrzęźliśmy. Wspólnie pogrążyliśmy się w czerni. Czy uda nam się z niej wyjść, jeśli zabrniemy w nią powtórnie? Nie sądzę.

Boże, spraw, proszę, abym nie musiał do nich dzwonić.

CZĘŚĆ II
Czerwiec 1958

Moja powierzchnia
to ja sam,
pod nią zaś
pogrzebana jest
moja młodość
Korzenie? Każdy z nas je ma
William Carlos Williams, *Paterson*

Czasami zastanawiam się, co mam zrobić
Nie ma lekarstwa na letniego bluesa
Eddie Cochran

ROZDZIAŁ 4
Upadek Bena Hanscoma

1

Około dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć jedna ze stewardes obsługująca pierwszą klasę w samolocie United Airlines lot 41 z Omaha do Chicago doznaje strasznego szoku. Przez parę chwil wydaje jej się, że człowiek siedzący w 1-A wyzionął ducha. Kiedy wszedł na pokład w Omaha, pomyślała: O rany, zapowiadają się kłopoty. Jest zalany w pestkę. Woń alkoholu wokół jego głowy przypominała jej chmurę kurzu, która zawsze otacza tego małego brudnego chłopca z komiksu *Fistaszki*, zwanego Pig-Pen. Była zdenerwowana pierwszą obsługą, czyli podawaniem pasażerom alkoholu, gdyż spodziewała się, że poprosi o drinka – zapewne nawet podwójnego. Potem będzie musiała

zdecydować, czy ma go obsłużyć, czy nie. Jakby tego było mało, przez całą dzisiejszą podróż lecieli pośród burz i stewardesa jest pewna, że facet ubrany w dżinsy i kraciastą koszulę lada chwila puści pawia.

Jednakże kiedy przyszła pora pierwszej obsługi, wysoki mężczyzna nie zamówił niczego więcej prócz wody sodowej i zrobił to naprawdę uprzejmie. Jego lampka nie zapaliła się więcej i stewardesa już niebawem kompletnie o nim zapomni, bo w samolocie jest dziś sporo ludzi. To jeden z tych lotów, o których zwykle chce się jak najszybciej zapomnieć; jeżeli masz wolną chwilę, wciąż zadajesz sobie pytania, czy go przetrwasz.

Samolot wykonuje slalom pomiędzy błyskawicami niczym dobry narciarz zjeżdżający ze stoku. Pogoda jest fatalna. Pasażerowie krzyczą i opowiadają nerwowo dowcipy na temat błyskawic, które raz po raz wytryskują spomiędzy kłębów chmur otaczających maszynę. „Mamo, czy Bóg robi zdjęcia aniołkom?”, pyta mały chłopiec, a jego matka, zielona na twarzy, wybucha urywanym śmiechem. Pierwsza obsługa okazuje się jedyną obsługą na pokładzie maszyny. Wszyscy pasażerowie od dwudziestej minuty lotu, kiedy pojawił się napis, mają zapięte pasy. W tym samym czasie stewardesy czekają

w przejściach i odpowiadają na błyski światełek wezwaniowych, które pojawiają się seriami niczym wystrzały petard.

– Ralph jest dziś zajęty – mówi główna stewardesa, przechodząc wzdłuż przejścia. Główna stewardesa wraca do turysty ze świeżym zapasem torebek na wymiociny. To pół żargon, pół żart. Ralph jest zawsze zajęty, kiedy samolotem zaczyna rzucać. Samolot przechyla się nagle na skrzydło, ktoś krzyczy półgłosem, stewardesa odwraca się nieznacznie, wyciąga rękę, żeby utrzymać równowagę, i spogląda prosto w patrzące niewidzącym wzrokiem oczy człowieka na fotelu oznaczonym numerem 1-A.

O mój Boże, on nie żyje, myśli. Najpierw ta woda, którą wypił… potem te harce maszyny… jego serce nie wytrzymało… przeraził się na śmierć.

Wysoki wymizerowany mężczyzna patrzy prosto na nią, ale jakby w ogóle jej nie zauważał. Jego oczy się nie poruszają. Są błyszczące. To z całą pewnością oczy trupa.

Stewardesa odwraca się przed tym okropnym spojrzeniem, czując, jak serce podchodzi jej do gardła, i zaczyna się zastanawiać, co ma zrobić, jak dalej postępować. Dziękuje Bogu, że na sąsiednim fotelu nie ma pasażera, który mógłby

zacząć krzyczeć i wszcząć panikę. Decyduje się powiadomić o wypadku główną stewardesę i męską załogę z przodu. Może przykryją go kocem i zamkną mu oczy. Pilot nie wyłączy napisu nakazującego zapięcie pasów, nawet jeżeli pogoda się poprawi, i żaden z pasażerów nie będzie mógł wstać z fotela, a kiedy już wylądują i zaczną opuszczać samolot, pomyślą, że facet po prostu usnął…

Te myśli przelatują jej przez głowę z prędkością błyskawicy i odwraca się raz jeszcze, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. Jej oczy napotykają spojrzenie martwych, niewidzących oczu… a potem trup podnosi szklaneczkę z wodą sodową i upija z niej łyk.

W tej samej chwili samolot znów zaczyna się chybotać i zduszony okrzyk zdziwienia stewardesy ginie pośród innych, bardziej przejmujących oznak trwogi. Oczy mężczyzny przesuwają się – nie za bardzo, ale na tyle, by przekonać ją, że żyje i ją widzi. Kiedy wszedł na pokład, uznałam, że jest dobrze po pięćdziesiątce, ale on przecież nie jest taki stary, nawet pomimo siwizny we włosach, myśli stewardesa. Podchodzi do niego, choć słyszy za sobą brzęczenie włączanych przycisków (Ralph rzeczywiście jest dziś bardzo zajęty – po ich

idealnym lądowaniu na O’Hare, za trzydzieści minut od tej chwili stewardesy wyrzucą ponad siedemdziesiąt zużytych torebek na wymiociny).

– Czy wszystko w porządku, proszę pana? – pyta z uśmiechem. Uśmiech jest fałszywy, nierealny.

– W jak najlepszym porządku – odpowiada wymizerowany mężczyzna.

Dziewczyna patrzy na plakietkę z tyłu siedzenia pierwszej klasy i odczytuje jego nazwisko: „Hanscom”.

– Świetnie. Ale trochę dziś telepie, prawda? Ma pani masę roboty. Niech się pani mną nie przejmuje. Ja… – Uśmiecha się do niej upiornym uśmiechem, który sprawia, że przychodzi jej na myśl strach na wróble łopoczący nad nagimi listopadowymi polami. – Czuję się po prostu wyśmienicie.

– Wyglądał pan… (*jak trup*)… niezbyt dobrze.

– Myślałem o dawnych czasach – mówi. – Dopiero dziś zdałem sobie sprawę, że było coś takiego jak „dawne czasy”, a przynajmniej odniosłem takie wrażenie.

Brzęczenie kolejnych włączanych przycisków.

– Przepraszam, można prosić stewardesę?! – krzyczy ktoś nerwowym tonem.

– Cóż, skoro pan twierdzi, że wszystko w porządku…

– Myślałem o tamie, którą zbudowałem z paroma moimi przyjaciółmi – mówi Ben Hanscom. – To chyba byli pierwsi przyjaciele, jakich miałem. Zbudowali tamę, kiedy ja…

Przerywa, patrzy na nią ze zdziwieniem, a potem wybucha śmiechem. To szczery śmiech, przypominający beztroski śmiech małego chłopca, i brzmi bardzo dziwnie we wnętrzu kołyszącego się i trzęsącego niemiłosiernie samolotu.

– …na nich spadłem. Prawie dosłownie. Nieźle nabroiliśmy z tą tamą. Pamiętam to dobrze.

– Stewardesa!

– Przepraszam pana, muszę wrócić do moich obowiązków.

– Oczywiście.

Odchodzi pospiesznie, ciesząc się, że nie widzi już tego spojrzenia – tych błyszczących, zabójczych, niemal hipnotyzujących oczu.

Ben Hanscom odwraca głowę do okna i wygląda na zewnątrz. Dziewięć mil od prawego skrzydła z czarnej jak atrament chmury wytryska błyskawica. W blasku piorunów chmury wyglądają niczym olbrzymie przezroczyste mózgi wypełnione złymi myślami.

Sięga ręką do kieszeni kamizelki, ale nie ma w nich już srebrnych dolarówek. Dał je Ricky'emu Lee. Nagle żałuje, że nie zostawił sobie choć jednej. Mogłaby mu się przydać. Oczywiście, możesz wpaść do banku (chyba że bujasz w obłokach na wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy stóp) i dostać całą garść srebrnych dolarówek, ale te miedziane monety otoczone srebrną powłoką, które rząd wciska ci ostatnio jako prawdziwy pieniądz, na nic ci się nie przydadzą. Nie pomogą ci. Nie ma mowy. Na wilkołaki, wampiry i wszelkie istoty mroku potrzebowałeś srebra. Szczerego srebra. Potrzebowałeś srebra, aby powstrzymać potwora. Potrzebowałeś…

Zamknął oczy. Wokół niego raz po raz słychać było brzęczyki przycisków. Samolot trząsł się, kiwał i chybotał, a wokoło rozlegały się brzęczyki. Brzęczyki? Nie… dzwonki. To były dzwonki – dźwięk dzwonka, najważniejszego ze wszystkich, tego, który oznajmiał zakończenie roku szkolnego, tego, na który czekałeś już po pierwszym tygodniu szkoły. Dzwonek, który ponownie sygnalizował wolność, który stanowił apoteozę wszystkich dzwonków.

Ben Hanscom siedzi w fotelu pierwszej klasy samolotu kluczącego pośród bijących wokoło

piorunów, lecącego na wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy stóp, z twarzą zwróconą do okna, i czuje, jak mur czasu zaczyna gwałtownie chudnąć. Mój Boże, myśli, zjada mnie własna przeszłość.

Błyskawica oświetla jego oblicze – i choć on nie zdaje sobie z tego sprawy, nastaje nowy dzień. 28 maja 1985 roku staje się, ponad mrocznym i burzliwym tej nocy Illinois, 29 maja.

Farmerzy w dole śpią snem sprawiedliwych, śniąc swoje prywatne sny, a kto wie, co może teraz poruszać się w ich oborach, piwnicach domów i pośród pól, ponad którymi przy wtórze szeptu gromów przemykają błyskawice. Nikt nie wie – ludzie ci mają jedynie świadomość tego, że w ich domach nie ma światła i że na zewnątrz szaleje okropna burza.

A kiedy samolot lecący na wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy stóp wydostaje się poza zasięg burzy i kołysanie ustaje, dzwonki rozlegają się ponownie. To dzwonki. Ben Hanscom usypia, mając w uszach ich dźwięk. Dźwięk dzwonków. A kiedy zapada w sen, mur pomiędzy przeszłością a teraźniejszością zanika kompletnie, a on spada, cofając się poprzez całe lata, jak człowiek osuwający się w głąb mrocznej studni albo Wellsowski podróżnik w czasie, który

z ułamanym żelaznym kręgiem w dłoni runął w czeluść tunelu Morloków, gdzie w samym sercu ciemności rozlega się nieustannie głuche dudnienie maszyn. Rok 1981,1977,1969 i nagle znajduje się tutaj – w czerwcu 1958. Wszystko otacza jasne słoneczne światło, jest lato i źrenice za zamkniętymi powiekami Bena Hanscoma odpowiadają na polecenie płynące z jego śniącego mózgu, który nie widzi ciemności rozciągającej się nad zachodnią częścią Illinois, tylko jasne słoneczne światło pewnego czerwcowego dnia w Derry, w stanie Maine – dwadzieścia siedem lat temu.

Dzwonki.

Dzwonek.

Szkoła…

Koniec…

2

…szkoły!

Dźwięk dzwonka rozlega się i przemyka pośród korytarzy szkoły, wielkiego ceglanego budynku stojącego przy Jackson Street, a na ten odgłos dzieci z piątej klasy – wśród nich również Ben Hanscom – wznoszą radosne okrzyki. Pani Douglas, zwykle bardzo sroga nauczycielka,

nawet nie próbuje ich uciszać. Być może zdaje sobie sprawę, że byłoby to niemożliwe.

– Dzieci! – zawołała, kiedy ucichło echo radosnego krzyku. – Czy mogę jeszcze na chwilę poprosić was o uwagę?

Teraz w klasie do wesołych pomruków dołączyło kilka znudzonych jęków. Pani Douglas trzymała w dłoni ich cenzurki.

– Mam nadzieję, że zdałam! – rzuciła śpiewnie Sally Mueller do Beverly Marsh siedzącej w sąsiednim rzędzie.

Sally była mądra, ładna i żywa. Bev też była ładna, ale mimo że to ostatni dzień szkoły, nie miała w sobie za grosz życia. Spuściwszy wzrok, wpatrywała się w czubek swoich tanich trampków.

Na jednym policzku miała pożółkłego, znikającego już z wolna siniaka.

– Mnie to gówno obchodzi – powiedziała Bev.

Sally sarknęła. W ten sposób chciała dać jej do zrozumienia, że damom nie uchodzi używać takiego języka. Potem odwróciła się do Grety Bowie. Najprawdopodobniej fakt, że Sally w ogóle zdecydowała się odezwać do Beverly, został spowodowany jej podnieceniem z powodu zakończenia roku szkolnego, pomyślał Ben.

Sally Mueller i Greta Bowie pochodziły z bogatych rodzin, mieszkały przy West Broadway, podczas gdy Bev przychodziła do szkoły z jednego z ponurych obskurnych budynków przy Lower Maine Street. Stamtąd na West Broadway było półtorej mili, ale nawet takie dziecko jak Bev wiedziało, że dystans ten jest w rzeczywistości zbliżony do odległości Ziemi od Plutona.

Wystarczyło spojrzeć na tani sweter Beverly, jej za dużą spódnicę, która wyglądała, jakby pochodziła z magazynów Armii Zbawienia, i znoszone trampki, by wiedzieć, jak wiele je różniło. Ale Ben pomimo wszystko i tak bardziej lubił Beverly. O wiele bardziej. Sally i Greta były zawsze świetnie ubrane i jak przypuszczał Ben, co miesiąc miały specjalnie ondulowane czy nakręcane włosy, ale jego zdaniem to niczego nie zmieniało. Mogłyby sobie nawet codziennie robić trwałą ondulację, a i tak nadal byłyby tylko parą zakichanych smarkul.

Beverly była sympatyczniejsza… i o wiele ładniejsza, choć nigdy w życiu nie ośmieliłby się jej tego powiedzieć prosto w oczy. Czasami jednak, w samym środku zimy, kiedy zdawało się, że światło na zewnątrz drzemie jak kot zwinięty w kłębek na kanapie, podczas gdy pani

Douglas prowadziła jakiś nudny wykład z matematyki (na przykład o tym, jak znaleźć wspólny mianownik dwóch ułamków, aby móc je dodać), czytała fragmenty z *Shining Bridges* albo opowiadała o złożach cyny w Paragwaju – gdy odnosiło się wrażenie, że szkoła nigdy się nie skończy, ale z powodu tego, co działo się za oknem, to i tak nie miało żadnego znaczenia… w takie dni Ben czasami odwracał się i spoglądał na Beverly, przyglądał się jej twarzy, a w jego sercu pojawiało się jednoczesne uczucie rozpaczy i dodającej otuchy radości.

Podobała mu się i być może był w niej nawet zakochany, bo zawsze myślał o Beverly, kiedy w radiu słyszał zespół Penguins śpiewający *Earth Angel*: „Moja najsłodsza ukochana, kocham cię przez cały czas”.

Tak, to było głupie, może i naiwne, ale cóż w tym złego, skoro i tak nie miał jej o tym powiedzieć. Przypuszczał, że grubi chłopcy mogą kochać śliczne dziewczyny tylko platonicznie. Gdyby powiedział komukolwiek o tym, co czuł, ten ktoś zapewne śmiałby się tak długo, aż dostałby ataku serca. A gdyby kiedykolwiek zdradził się z tym wobec Beverly, mogłaby zareagować w dwojaki sposób – wyśmiewając go

(co byłoby złe) lub udając, że wymiotuje (co byłoby jeszcze gorsze).

– A teraz podchodźcie do mnie po kolei, kiedy będę was wywoływać. Paul Anderson… Carla Bordeaux… Greta Bowie… Calvin Clark… Cissy Clark… – Kiedy pani Douglas wywoływała ich po nazwisku, uczniowie piątej klasy podchodzili kolejno i odbierali swoje płowożółte cenzurki zaopatrzone z jednej strony w wizerunek amerykańskiej flagi i Przysięgę Wierności, a z drugiej w Modlitwę Pańską. Potem wychodzili z klasy… by pędem pomknąć w stronę schodów i zbiec po nich do otwartych na oścież olbrzymich drzwi. Wybiegali na zewnątrz i znikali w letnim skwarze; jedni odjeżdżali na rowerach, inni biegli do domu, podskakując, jeszcze inni udawali, że dosiadają niewidzialnych koni i naśladując tętent kopyt, uderzali się otwartymi dłońmi po udach, a niektórzy obejmowali się ramionami i odchodzili, śpiewając na melodię Bojowego Hymnu Republiki: „W moich oczach jest blask chwały, gdy goreje moja szkoła”.

– Marcia Fadden… Frank Frick… Ben Hanscom…

Wstał i po raz ostatni tego lata (jak mu się wtedy zdawało) spojrzał na Beverly Marsh,

a potem podszedł do stolika pani Douglas – jedenastoletni dzieciak z bebechem wielkości Nowego Meksyku, bebechem wciśniętym w nowe dżinsy z miedzianymi nitami, które chwytały i odbijały promienie słońca, i szeleściły, gdy jego grube uda ocierały się o siebie. Zarzucał biodrami jak dziewczyna. Jego kałdun przelewał się na boki. Ben miał na sobie luźną bluzę od dresu, mimo że dzień był bardzo ciepły. Prawie zawsze nosił luźne bluzy od dresu, gdyż bardzo się wstydził swego brzucha i nie zapomniał pierwszego dnia w szkole, po przerwie świątecznej, kiedy włożył jedną z nowych koszulek Ivy League (prezent od matki), na co Belch Huggins, szóstoklasista, zareagował gromkim okrzykiem: „Hej, spójrzcie tu! Zobaczcie, co Święty Mikołaj przyniósł Benowi Hanscomowi pod choinkę! Parę wielkich cyców!”.

Belch prawie upadł, zarykując się ze śmiechu. Inni też się śmiali – wśród nich kilka dziewcząt. Gdyby właśnie w tej chwili pod nogami Bena Hanscoma otworzyła się ziemia, runąłby w mroczną czeluść bez słowa, a może nawet przy wtórze cichego westchnienia wdzięczności.

Od tego dnia zawsze chodził w dresach. Miał cztery pary bluz: zgniłobrązową, zgniłozieloną

i dwie zgniłoniebieskie. Była to jedna z niewielu rzeczy, jaką udało mu się przeforsować, wydarzenie niemal tak znaczące, że powinien zapisać je w kominie. Gdyby zobaczył, że owego dnia Beverly Marsh śmiała się z niego wraz z innymi dziewczynami, nie przeżyłby tego.

– To była przyjemność mieć cię w swojej klasie, Benjaminie – powiedziała pani Douglas, podając mu cenzurkę.

– Dziękuję, pani Douglas.

Z tyłu klasy dobiegł ironiczny falset:

– Cienkuję, panni Dougwlazł.

To był oczywiście Henry Bowers. Henry zamiast w szóstej klasie był w piątej ze swoimi kumplami, Belchem Hugginsem i Victorem Crissem, ponieważ w zeszłym roku musiał repetować. Ben miał wrażenie, że Bowers znów zostanie na drugi rok. Pani Douglas nie wyczytała jego nazwiska przy rozdawaniu świadectw, a to oznaczało kłopoty.

Ben był z tego powodu zaniepokojony, bo gdyby Henry ponownie musiał zostać, Ben również byłby za to poniekąd odpowiedzialny… i Henry dobrze o tym wiedział.

Podczas ostatnich testów na koniec roku, które odbyły się w ubiegłym tygodniu, pani Douglas porozsadzała ich na chybił trafił,

posługując się w tym celu wyciągniętymi z kapelusza karteczkami z ich nazwiskami. Ben usiadł na końcu przy stoliku w ostatnim rzędzie obok Henry'ego Bowersa. Jak zawsze Ben zakrył kartkę ręką; pochylił się nisko, czując niezbyt przyjemny nacisk swojego brzucha na kant stołu, i od czasu do czasu, jakby poszukując inspiracji, oblizywał koniuszek ołówka.

Mniej więcej w połowie wtorkowego egzaminu, który był testem z matematyki, Ben usłyszał szept dochodzący od sąsiedniego stolika. Był cichy, rzeczowy i doświadczony jak szept starego więźnia przekazującego wiadomość na dziedzińcu więzienia.

– Daj mi ściągnąć.

Ben spojrzał w lewo, prosto w czarne i przepełnione wściekłością oczy Henry'ego Bowersa. Henry, nawet jak na swoje dwanaście lat, był dobrze zbudowany. Jego ramiona i nogi były grube od mięśni wyrobionych pracą na roli.

Jego ojciec, który miał opinię szaleńca, uprawiał małe poletko na końcu Kansas Street, nieopodal granicy Newport. Henry spędzał na nim co najmniej trzydzieści godzin tygodniowo, kopiąc ziemię, plewiąc chwasty, sadząc, wykopując kamienie, przycinając drzewa

i zbierając owoce (naturalnie, jeżeli było co zbierać).

Włosy Henry'ego były na czubku głowy przycięte tak krótko, że prześwitywała pomiędzy nimi biała skóra. Z przodu miał zostawioną grzywkę, którą zawsze pokrywał grubą warstwą brylantyny (z tubki noszonej stale w kieszeni dżinsów na biodrze), w rezultacie czego włosy nad jego czołem przypominały zęby nadjeżdżającej kosiarki. Zawsze otaczały go woń potu i zapach owocowej gumy do żucia. Do szkoły przychodził w różowej motocyklowej kurtce z wizerunkiem orła na plecach. Któregoś razu jakiś czwartoklasista okazał się na tyle niemądry, że zaczął wyśmiewać się z tej kurtki; Henry doskoczył do gnojka zwinnie jak łasica i szybko niczym żmija, a potem swoją twardą, spracowaną pięścią wymierzył tamtemu błyskawicznie dwa ciosy. Szczeniak stracił trzy przednie zęby. Henry został na dwa tygodnie zawieszony w prawach ucznia. Ben, jako jeden z prześladowanych i terroryzowanych przez Bowersa, miał nadzieję, że tamten zostanie definitywnie wylany ze szkoły, ale jego nadzieje okazały się płonne. Kot zawsze spada na cztery łapy. Po zakończeniu kary Henry znów pojawił się na dziedzińcu szkolnym ubrany w swoją

charakterystyczną różową kurtkę. Chłopak miał sińce pod oczami, pozostałość po laniu, jakie zaaplikował mu ojciec w formie kary za „bójkę na boisku”. Ślady pobicia w końcu zniknęły, ale dzieciaki dobrze zapamiętały tę lekcję. Ben nie słyszał, aby od tej pory ktokolwiek ośmielił się powiedzieć coś złego na temat różowej kurtki Henry’ego.

Kiedy Bowers zwrócił się szeptem do Bena, aby ten dał mu odpisać, w głowie Bena pojawiły się natychmiast trzy myśli – równie szybkie i smukłe, jak jego ciało było grube i tłuste. To trwało zaledwie kilka sekund. Pierwsza myśl dotyczyła tego, że gdyby pani Douglas przyłapała Henry’ego na odpisywaniu z jego pracy, obaj jak amen w pacierzu zarobiliby po lufie. Druga zakładała, że jeśli Ben nie pozwoli Henry’emu ściągnąć, ten z całą pewnością zaczai się na niego po szkole i z pomocą Hugginsa i Crissa, którzy przytrzymają Bena za ręce, zademonstruje mu swoje słynne podwójne uderzenie. To były myśli dziecka i nic w tym dziwnego, bo przecież był dzieckiem. Trzecia i ostatnia myśl wydawała się jednak o wiele bardziej złożona – prawie dorosła. Może mnie dorwać, to prawda. Ale niewykluczone, że udałoby mi się schodzić mu z drogi przez ostatni tydzień szkoły. Jestem

pewien, że zdołałbym tego dokonać, gdybym naprawdę się postarał. A on przez wakacje o wszystkim zapomni. Tak mi się w każdym razie wydaje. Tak. To dureń. Jeżeli schrzani ten test, to prawdopodobnie znów będzie musiał repetować. A jeżeli on zostanie na drugi rok, to już się więcej nie zobaczymy. Będę przecież w starszej klasie. Wcześniej od niego pójdę do liceum, może… uda mi się od niego uwolnić.

– Daj mi ściągnąć – wyszeptał ponownie Henry. Jego czarne oczy były błyszczące, rozkazujące.

Ben pokręcił głową i zgiął ramię, żeby bardziej przysłonić kartkę.

– Dostanę cię, grubasie – wyszeptał Henry tym razem nieco głośniej. Jego kartka była czysta. Widniało na niej tylko imię i nazwisko. Był zrozpaczony. Gdyby spieprzył test i ponownie zawalił rok, ojciec dałby mu popalić jak nigdy dotąd. – Dasz mi ściągnąć albo pożałujesz.

Ben pokręcił głową – jego policzki zadrżały. Był przerażony, ale jednocześnie zdeterminowany. Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu świadomie przeszedł do działania, i choć nie wiedział czemu, to go przeraziło. Miną długie lata, zanim zrozumie, że to zimna krew, wyrachowanie i skrupulatne,

wyjątkowo pragmatyczne obliczenie zysków i strat, które kojarzyło się z nadchodzącą dorosłością, przeraziły go bardziej niż perspektywa zadarcia z Henrym Bowersem. Z Henrym mógł sobie poradzić. Przed dorosłością zaś, z jej skomplikowanym rozumowaniem, nie było dla niego ucieczki.

– Czy ktoś tam na końcu rozmawia? – spytała wtedy głośno pani Douglas. – Jeżeli tak, to chcę, aby ta rozmowa natychmiast się zakończyła.

Przez kolejne dziesięć minut w klasie było cicho jak makiem zasiał. Głowy pochylały się w skupieniu nad kartami testowymi, które pachniały aromatycznym purpurowym tuszem do powielacza, i wtedy nagle w przejściu pomiędzy stolikami rozległ się ponownie szept Henry'ego Bowersa. Szept był cichy, ledwo słyszalny, ale zawarta w nim obietnica, wypowiedziana z pełnym spokojem i opanowaniem, mroziła krew w żyłach.

– Jesteś już trupem, grubasie.

3

Ben odebrał swoje świadectwo i uciekł, dziękując wszystkim bogom, jakich może znać jedenastoletni grubasek, że Henry Bowers nie dostał swojego, aby móc opuścić klasę przed nim

(jak to powinno wynikać z układu alfabetycznego) i zaczaić się nań przed szkołą.

Nie przebiegł przez korytarz, jak inne dzieci. Potrafił biegać, i to nawet szybko jak na chłopca swojej postury, ale wiedział, że śmiesznie wtedy wygląda, więc po prostu szedł szybkim krokiem. Gdy wyszedł z przesiąkniętego zapachem książek holu szkoły w rozświetlony blaskiem słońca czerwcowy dzień, stał przez chwilę z twarzą uniesioną ku niebu, ciesząc się ciepłem i wolnością. Tego dnia wrzesień w ogóle dla niego nie istniał. Kalendarz mógł mówić całkiem co innego, ale i tak kłamał. To lato będzie trwało dłużej niż cały rok i będzie należało wyłącznie do niego. Czuł się wielki jak stacja pomp i szeroki jak całe miasto.

Ktoś wpadł na niego i go popchnął. Ben natychmiast zapomniał o lecie i zachwiał się, próbując utrzymać równowagę na skraju kamiennych schodów. Schwycił się stalowej poręczy dosłownie w ostatniej chwili, ratując się przed niezbyt przyjemnym upadkiem.

– Zejdź mi z drogi, ty góro tłuszczu. – To był Victor Criss. Włosy miał zaczesane do tyłu „na Elvisa” i nasmarowane brylantyną, tak że aż się świeciły. Zszedł po schodach i podszedł do furtki. Ręce trzymał w kieszeniach dżinsów, kołnierz

kurtki miał wysoko postawiony, a okucia ciężkich roboczych butów stukały w rytm jego kroków. Ben, z przerażeniem czując, jak serce w jego piersi zaczyna wyprawiać dziwne harce, zobaczył, że po drugiej stronie ulicy stał Belch Huggins. Palił papierosa. Kiedy Victor podszedł do niego, Belch podniósł rękę i podał mu peta. Victor zaciągnął się i oddał papierosa Belchowi, a potem wskazał ręką na stojącego w połowie schodów Bena. Powiedział coś i obaj wybuchnęli śmiechem. Ben poczuł, że się czerwieni. Zawsze udawało im się go dopaść. To było jak los albo coś w tym rodzaju.

– Tak ci się tu podoba, że masz zamiar stać przez cały dzień? – spytał głos, który rozległ się tuż obok jego ramienia.

Ben odwrócił się i jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. Ujrzał Beverly Marsh; rude włosy okalały jej twarz i opadały na ramiona kłębiastą chmurą. Oczy miały cudowną szaroniebieską barwę. Jej sweter, powyciągany i poprzecierany na łokciach, był pod szyją postrzępiony i niemal tak samo workowaty jak bluza od dresu Bena; tak luźny, że nie dawało się określić, czy dziewczynie zaczęły się już wykształcać piersi, ale Ben w ogóle się tym nie interesował.

Kiedy miłość pojawia się przed okresem pokwitania, atakuje tak czystymi i potężnymi falami, że nikt nie może im się oprzeć, Ben również nie miał zamiaru tego próbować. Po prostu poddał się temu. Było mu z jednej strony głupio, z drugiej zaś cudownie. Czuł się zakłopotany, a jednocześnie niewiarygodnie szczęśliwy. Te niepohamowane emocje, które zmieszały się z sobą, sprawiły, że w głębi duszy czuł się zarazem paskudnie i bosko.

– Nie – odparł ochryple. – Chyba nie. – Na jego ustach wykwitł szeroki uśmiech. Wiedział, że musi wyglądać idiotycznie, ale nie umiał się go pozbyć. – No… – Znowu zachrypł. Musiał chrząknąć i jego rumieniec stał się jeszcze wyraźniejszy. – Przyjenych wakacji, Beverly.

– Nawzajem, Ben. Do zobaczenia w przyszłym roku. – Szybko zeszła po schodach, a Ben zobaczył wszystko okiem człowieka zakochanego: jasny materiał spódnicy, falę rudych włosów opadających na plecy, mleczną karnację skóry i małą zaleczoną bliznę na łydce (z jakiegoś powodu ten ostatni szczegół obudził w nim kolejną falę uczuć, która zaatakowała go z tak potężną mocą, że musiał ponownie sięgnąć ręką w stronę barierki; to uczucie było niezwykle silnym, nieokreślonym, lecz na szczęście krótkim

przesłaniem, które stanowiło być może zapowiedź sygnału seksualnego, ale jak na razie nie miało znaczenia, ponieważ większość jego gruczołów spała jeszcze snem sprawiedliwego, a mimo to zostało zarejestrowane bardzo wyraźnie, jak błyskawica w czasie letniej burzy) oraz jasną, złotą bransoletę na kostce, tuż nad prawym trampkiem, która mrugała do słońca, rzucając krótkie migotliwe błyski.

Z jego ust dobył się jakiś dźwięk. Zszedł po schodach niczym słaby, zgrzybiały starzec i jeszcze przez chwilę stał przy nich nieruchomo, patrząc, jak Beverly skręca w lewo i znika za wysokim żywopłotem oddzielającym dziedziniec szkolny od ulicy.

4

Stał tam tylko przez chwilę, omijany przez grupki rozwrzeszczanych, biegnących dzieciaków, a potem przypomniał sobie o Henrym Bowersie i w pośpiechu ruszył na tyły budynku. Minął plac zabaw dla małych dzieci, przebiegł palcami po łańcuchu huśtawki, tak że zaczęła się kołysać przy wtórze łagodnego brzęku, i przestąpił ponad deskami koników ustawionymi na drewnianych klocach. Wyszedł przez mniejszą furtkę na Charter Street i skręcił

w lewo, nie oglądając się za siebie, by spojrzeć na stos kamieni, wewnątrz którego spędzał większość dni ostatnich dziewięciu miesięcy. Włożył świadectwo do kieszeni i zaczął pogwizdywać. Miał na nogach kedsy, ale odnosił takie wrażenie, jakby wcale nie dotykał stopami ziemi.

Opuścił szkołę po dwunastej, ale nie spieszył się, gdyż matka nie wróci do domu przed osiemnastą, bo w piątki po pracy chodzi zawsze do sklepu. Reszta dnia należała do niego.

Wszedł na chwilę do McCarron Park i usiadł pod drzewem, gdzie od czasu do czasu szeptał cichutko pod nosem: „Kocham Beverly Marsh”, i za każdym razem, kiedy to mówił, czuł się coraz bardziej błogo i romantycznie. W pewnym momencie, gdy przez park przemaszerowała gromadka chłopców szukających odpowiedniego miejsca do wyrysowania boiska do gry w baseball, wyszeptał dwukrotnie: „Beverly Hanscom”, a później musiał ukryć twarz w trawie, dopóki jego palące policzki choć trochę nie ochłonęły.

Niedługo potem wstał i ruszył przez park w kierunku Costello Avenue. Jeszcze pięć przecznic i dotrze do biblioteki publicznej, która – jak przypuszczał – była jego ostatecznym celem.

Wychodził już z parku, kiedy szóstoklasista Peter Gordon zobaczył go i zawołał:

– Hej, cycaty! Chcesz zagrać? Potrzebujemy łapacza!

Rozległ się gromki śmiech. Ben wybiegł z parku jak najszybciej, kuląc się w sobie niczym żółw chowający głowę we wnętrzu swojej skorupy. Mimo wszystko uznał, że tego dnia szczęście mu dopisywało. Kiedy indziej chłopcy mogliby go zacząć ścigać, by z niego szydzić, albo też wytarzać go w ziemi i przekonać się, czy zacznie płakać. Dziś jednak byli zbyt zaabsorbowani przygotowaniem do gry – jedyne, co ich zajmowało, to rozgrzewka – i pełnym niepokoju wyczekiwaniem na to, który z zespołów okaże się lepszy. Ben zadowolony pozostawił ich samym sobie i ruszył w drogę.

Trzy przecznice dalej przy żywopłocie jednego z domów zauważył coś ciekawego. Coś, co mogło mu przynieść spore korzyści. Przez otwór z jednej strony brązowej papierowej torby przezierało błyszczące szkło butelki. Ben stopą wysunął torbę na chodnik. Wyglądało na to, że rzeczywiście tego dnia dopisywało mu szczęście. W torbie były cztery butelki po piwie i cztery duże butelki po wodzie sodowej. Większe były warte po pięć centów każda. Mniejsze zaś po

dwa. Dwadzieścia osiem centów leżące pod żywopłotem, czekające na jakiegoś dzieciaka, który odważy się je zgarnąć. Na dzieciaka, który ma szczęście.

– To ja – powiedział z radością w głosie Ben, nie wiedząc, co go jeszcze czeka tego dnia. Poszedł dalej, trzymając jedną rękę pod spodem torby, żeby się nie rozerwała. Sklep przy Costello Avenue znajdował się zaledwie przecznicę dalej. Ben skręcił w sąsiednią ulicę. Zamienił butelki na gotówkę, której większość wydał na słodycze.

Stał przy okienku stoiska ze słodyczami, pokazując, co chce kupić, jak zawsze uszczęśliwiony zgrzytliwym odgłosem wydawanym przez przesuwane drzwiczki na łożyskach kulkowych, kiedy otwierał je sprzedawca. Dostał pięć długich czerwonych toffi i pięć czarnych, dziesięć batonów o smaku piwa korzennego (dwa za centa), pasek drażetek (po pięć w rządku, pięć rzędów na pasku i zjadałeś je tuż po wyłuskaniu z papierka), paczkę Likem Ade i paczuszkę groszków Pez do pistoletu groszkowego, który miał w domu.

Ben wyszedł z małą brązową torebką słodkości w dłoni i czterema centami w przedniej prawej kieszeni nowych dżinsów. Spojrzał na torbę z jej słodką zawartością i nagle przyszła mu

do głowy pewna myśl: jak się będziesz tak obżerał, Beverly Marsh nigdy nawet na ciebie nie spojrzy. Ale to była nieprzyjemna myśl i odegnał ją od siebie. Przyszło mu to bez trudu – przywykł już do likwidowania tego typu myśli.

Gdyby ktoś zapytał go: „Czy nie czujesz się samotny, Ben?” – spojrzałby na tego kogoś z niekłamanym zdumieniem. To pytanie nigdy nie przyszło mu na myśl. Nie miał przyjaciół, ale miał swoje książki i marzenia. Miał modele firmy Revell i gigantyczny zestaw klocków Lincoln Logs, z którego budował masę różnych rzeczy. Jego matka niejednokrotnie twierdziła, że domy z Lincoln Logs wyglądają lepiej niż niektóre prawdziwe budowle. Dostał też zestaw Mały Budowniczy. Liczył, że na swoje urodziny w październiku otrzyma Superzestaw. Mógłby w ten sposób zrobić zegar, który naprawdę wskazywałby czas, i samochód działający niemal jak prawdziwy. Samotny? – mógłby spytać w odpowiedzi i byłby autentycznie zaskoczony. Że co? Słucham?

Dziecko niewidome od urodzenia nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie widzi, dopóki ktoś mu tego nie uświadomi. A nawet wówczas ma bardzo słabe pojęcie na temat tego, czym jest ślepota. Tylko ci, którzy przedtem widzieli,

potrafią pojąć całą istotę i złożoność problemu. Ben Hanscom nie zdawał sobie sprawy ze swojej samotności, gdyż zawsze był samotny. Gdyby to było dla niego czymś nowym albo gdyby w jego życiu nastąpiła jakaś radykalna zmiana, przypuszczalnie zdołałby to zrozumieć, ale samotność, która go otaczała, zawładnęła nim bez reszty. Po prostu była. Jak kciuk o dwóch stawach albo śmieszny mały występ w jednym z jego przednich zębów, występ, po którym wodził językiem zawsze wtedy, kiedy się denerwował.

Beverly była słodkim marzeniem, cukierki – słodką rzeczywistością. Słodycze były jego najlepszymi przyjaciółmi. Dlatego też odegnał od siebie natrętną obcą myśl, a w połowie drogi pomiędzy sklepem a biblioteką zjadł wszystkie kupione cukierki.

Naprawdę chciał zostawić sobie groszki na wieczór – miał zamiar je zjeść podczas oglądania telewizji. Lubił ładować groszki do małego plastikowego pistoleciku, do którego wpadały przy wtórze cichego szczęku małej sprężynki, która znajdowała się w środku, a już najbardziej lubił wstrzeliwać je sobie do ust jeden po drugim, przy czym wyglądał jak dzieciak usiłujący

popełnić samobójstwo przez przejedzenie słodyczami.

Dziś wieczorem w telewizji pokazywano *Whirlybirds* z Kennethem Tobeyem w roli nieustraszonego pilota, *Dziennik sierżanta Fridaya*, w którym prezentowane zdarzenia są autentyczne, ale aby ochronić niewinnych, zmieniono wszystkie nazwiska, oraz jego ulubiony *Highway Patrol* z Broderickiem Crawfordem w roli gliniarza z drogówki, Dana Matthewsa. Broderick Crawford był ulubionym bohaterem Bena – szybki, twardy, przed nikim nie pękał, ale przede wszystkim, i to chyba najważniejsze, odznaczał się pokaźną tuszą.

Dotarł na róg Costello i Kansas Street i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie mieścił się budynek biblioteki publicznej. W zasadzie były to dwa budynki – stara kamienna budowla z frontu, zbudowana w 1890 roku za pieniądze potentata drzewnego, i nowy budynek z piaskowca, znajdujący się na tyłach pierwszego, w którym mieścił się księgozbiór dla dzieci. Biblioteka z księgozbiorem dla dorosłych była połączona z biblioteką dla dzieci przeszklonym korytarzem. Kansas Street, biegnąca niemal przez centrum miasta, była jednokierunkowa, toteż przechodząc na drugą

stronę, Ben spojrzał tylko w prawo. Gdyby spojrzał w lewo, przeżyłby doprawdy nieprzyjemny szok. W cieniu wielkiego starego dębu, na trawniku przed Derry Community House stało bowiem trzech chłopców: Belch Huggins, Victor Criss i Henry Bowers.

5

– Bierzmy się do niego – niemal wydyszał Victor. Henry patrzył, jak mały grubasek przechodzi na drugą stronę ulicy; jego brzuch bujał się na boki, a tyłek opięty ciasno nowymi dżinsami kołysał się na dziewczęcą modłę. Oszacował dystans pomiędzy ich trójką, stojącą na trawniku przed Community House, a Hanscomem oraz pomiędzy Hanscomem a biblioteką. Wiedział, że najprawdopodobniej zdołaliby go dopaść, zanim ten znalazłby się wewnątrz budynku, ale Hanscom mógł zacząć krzyczeć. To całkiem prawdopodobne. Gdyby tak się stało, mógłby się wtrącić ktoś z dorosłych, a Henry nie chciał, by doszło do jakiejkolwiek interwencji. Ta dziwka, Douglas, powiedziała Henry'emu, że oblał zarówno z anglika, jak i z matmy. Powiedziała, że go przepuści, ale będzie musiał przez cztery tygodnie popracować trochę w szkole. Henry wolałby już raczej

repetować. Gdyby został na drugi rok, ojciec pobiłby go tylko raz. Kiedy jednak przyjdzie mu spędzać w szkole po cztery godziny każdego dnia przez cztery kolejne tygodnie, w okresie kiedy na farmie jest najwięcej roboty, ojciec wyżyje się na nim co najmniej pięć razy, a może i więcej. Pogodził się z ponurą wizją przyszłości tylko dlatego, że miał zamiar już wkrótce odpłacić za swoje cierpienie temu obrzydliwemu tłustemu grubasowi.

Zrobi to. Odpłaci mu. Z nawiązką.

– Tak, chodźmy – powiedział Belch.

– Poczekamy, aż wyjdzie.

Patrzyli, jak Ben otwiera jedne z olbrzymich podwójnych drzwi i wchodzi do środka, a potem usiedli, zapalili papierosy i opowiadali sobie zasłyszane dowcipy, czekając na ponowne pojawienie się Bena Hanscoma.

Henry wiedział, że to w końcu nastąpi. A kiedy Ben Hanscom wyjdzie z biblioteki, pożałuje, że się w ogóle urodził.

6

Ben uwielbiał bibliotekę. Uwielbiał chłód panujący w jej wnętrzu nawet podczas największych upałów. Uwielbiał ciszę w pomieszczeniach biblioteki, przerywaną od

czasu do czasu przez cichy, krótki szept, głuche uderzenie towarzyszące stemplowaniu przez bibliotekarza książek i kart albo szelest przewracanych stron dobiegający z czytelni czasopism, gdzie przesiadywali starsi ludzie, czytając gazety przymocowane do długich listewek. Kochał tamtejsze oświetlenie – promienie słońca przenikające popołudniami przez wysokie, wąskie okna i ciepłe światło kulistych lamp zawieszonych na łańcuchach, kiedy w zimowe wieczory na zewnątrz hulał mroźny wiatr. Lubił zapach książek – bogaty i bajeczny. Niekiedy przechadzał się wzdłuż działu z książkami dla dorosłych, spoglądając na tysiące woluminów i wyobrażając sobie świat istniejący we wnętrzu każdego z nich, tak jak czasami, kiedy szedł ulicą w skąpany w krwistoczerwonej poświacie zachodzącego słońca październikowy wieczór, wyobrażał sobie, jak może wyglądać życie za oknami każdego z mijanych domów. Wyobrażał sobie ludzi śmiejących się i sprzeczających z sobą, układających kwiaty w wazonie i dających jeść dzieciom bądź trzymanym w domu zwierzętom. Wyobrażał sobie twarze tych ludzi wpatrzonych w ekran telewizora. Podobało mu się, że w przeszklonym korytarzu łączącym stary

budynek z biblioteką dziecięcą było zawsze ciepło, nawet zimą, chyba że dni były pochmurne i deszczowe. Pani Starrett, główna bibliotekarka działu dziecięcego, powiedziała mu, że spowoduje to tak zwany efekt cieplarniany. Ben był tym zachwycony. Wiele lat później zbuduje centrum komunikacyjne rozgłośni BBC w Londynie i fakt ten będzie bardzo szeroko komentowany, jednak nikt nigdy (z wyjątkiem, rzecz jasna, samego Bena) nie dowie się, że gmach ten to nic innego jak ów przeszklony korytarz w bibliotece publicznej Derry, ustawiony pionowo.

Lubił też budynek biblioteki dziecięcej, choć nie miał on nawet odrobiny owego mrocznego czaru, jaki odczuwał, przebywając w starej bibliotece, z jej kulistymi lampami i wąskimi, krętymi metalowymi schodami, po których nie mogło przejść jednocześnie dwóch ludzi – jeden zawsze musiał się wycofać.

Biblioteka dziecięca była jasnym, słonecznym i gwarnym miejscem, wbrew zamieszczonym wszędzie tabliczkom z napisami: „Zachowujmy się cicho, dobrze?”. Największy hałas dobiegał jak zawsze z Kącika Puchatka, gdzie najmniejsze dzieci przeglądały książki z obrazkami. Kiedy Ben wszedł do środka, okazało się, że właśnie

zaczęła się tam Godzina Opowieści. Panna Davies, ładna młoda bibliotekarka, czytała *Bajkę o trzech małych kózkach*.

„Kto tam tupta, tupiąc po moim mostku?”. Kiedy w opowieści pojawiał się troll, panna Davies zaczynała mówić nieco ściszonym, bardziej gardłowym głosem. Niektóre z mniejszych dzieci zakrywały usta dłońmi i chichotały pod nosem, ale większość przyglądała się jej ze skupieniem i powagą, akceptując głos trolla, tak jak akceptowały głosy swoich marzeń, a ich zamyślone oczy odzwierciedlały odwieczną fascynację światem baśni – czy zło zostanie pokonane, czy też uda mu się pożreć trzy małe kózki?

W całym pomieszczeniu porozwieszane były kolorowe plakaty. Na jednym z nich widniał portret Grzecznego Chłopca, który mył zęby z takim zapałem, że jego usta pokryte były pianą jak pysk wściekłego psa, na drugim zaś Niegrzeczny Chłopak palił papierosy. „Kiedy dorosnę, też dostanę raka płuc, tak jak mój tata”, brzmiał podpis. Wisiała tu cudowna fotografia przedstawiająca miliard drobniutkich, błyszczących w ciemności punkcików światła. Motto pod zdjęciem głosiło:

JEDNA IDEA ROZPALA TYSIĄCE ŚWIEC
Ralph Waldo Emerson

Na niektórych plakatach pojawiały się hasła zapraszające: „Zostań skautem” albo informujące: „W klubach dla dziewcząt już dzisiaj rodzą się kobiety jutra”.

Były tu formularze zgłoszeniowe do klubu softballowego i Teatru Dziecięcego Community House. No i rzecz jasna można tu było znaleźć formularz zachęcający dzieci, aby przyłączyły się do letniego programu czytelniczego. Ben był wielkim miłośnikiem tego programu. Za każdą przeczytaną (i opisaną) książkę dostawało się nalepkę do naklejenia na swoją mapę. Do nalepki dołączona była notka informacyjna na temat ptaka i kwiatu przypisanego danemu stanowi, roku przyłączenia go do Unii oraz czy pochodził z niego któryś z prezydentów Stanów Zjednoczonych, a jeżeli tak, to który. Za zebrany komplet czterdziestu ośmiu naklejek otrzymywało się darmową książkę. Świetny układ. Diablo dobry. Ben miał zamiar postąpić zgodnie z apelem znajdującym się pod plakatem: „Nie trać czasu, zgłoś się jeszcze dziś”.

Pośród tych kolorowych i krzykliwych plakatów wyróżniała się zwykła, biała,

prostokątna plansza z napisem, przyczepiona do stołu tuż obok stanowiska bibliotekarki. Tekst na białej, pozbawionej zabawnych, kolorowych postaci kartce brzmiał następująco:

PAMIĘTAJCIE,
OD 19.00 OBOWIĄZUJE GODZINA POLICYJNA.
DEPARTAMENT POLICJI W DERRY

Już samo spojrzenie na tę informację przeszyło Bena dreszczem. W podnieceniu związanym z otrzymaniem świadectwa, kłopotami z Henrym Bowersem, rozmową z Beverly i początkiem letnich wakacji zapomniał o godzinie policyjnej i morderstwach… Ludzie sprzeczali się, ile ich właściwie było, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że od ostatniej zimy co najmniej cztery, pięć, jeśli policzyć George’a Denbrough.

Zgodnie też twierdzili, że pierwszą ofiarą była Betty Ripsom, którą znaleziono dzień po świętach Bożego Narodzenia w rejonie robót przy rogatkach Jackson Street. Ciało trzynastoletniej dziewczynki zostało zmasakrowane i zamarzło w błotnistej ziemi. Nie pisano o tym w gazetach ani żaden z dorosłych nie mówił o tym Benowi. Były to po prostu informacje, które udało mu się

podsłuchać to tu, to tam. Jakieś trzy i pół miesiąca później, niedługo po rozpoczęciu sezonu połowu pstrągów, wędkarz łowiący na brzegu strumienia, dwadzieścia mil na wschód od Derry, złapał coś, co w pierwszej chwili wziął za gałąź. Okazało się jednak, że była to dłoń, nadgarstek i cztery cale przedramienia dziewczyny. Haczyk wbił się w miękkie ciało pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Policja stanowa znalazła resztę Cheryl Lamonica. Siedemdziesiąt jardów dalej w dół strumienia – zaczepioną o drzewo, które zeszłej zimy osunęło się do wody. Tylko szczęśliwy traf sprawił, że zwłoki nie zostały zmyte do Penobscot, a potem, w okresie wiosennych spływów, do morza. Lamonica miała szesnaście lat. Była z Derry, ale nie chodziła do szkoły. Trzy lata temu urodziła córkę Andreę. Mieszkała wraz z małą u rodziców.

– Cheryl była trochę dziką, ale w głębi serca dobrą dziewczyną – powiedział policji jej płaczący ojciec. – Andi przez cały czas pyta: „Gdzie jest moja mama?”, a ja nie wiem, co mam jej powiedzieć.

Doniesienie o zaginięciu dziewczyny zostało złożone pięć tygodni przed odnalezieniem ciała. Śledztwo w sprawie śmierci Cheryl zaczęło się od

pierwszego logicznego wyjaśnienia, jakie się nasuwało, a mianowicie, że zamordował ją jeden z jej chłopaków. Wielu z nich było żołnierzami z bazy lotniczej znajdującej się przy drodze do Bangor.

– Większość z nich to byli mili chłopcy – powiedziała matka Cheryl. Jeden z tych „miłych chłopców” był czterdziestoletnim pułkownikiem sił powietrznych, który miał w Nowym Meksyku żonę i troje dzieci. Inny odsiadywał właśnie wyrok za napad z bronią w ręku.

Chłopak, myślała policja. Albo ktoś obcy. Zboczeniec.

Jeżeli to był zboczeniec, to najwyraźniej lubił także chłopców. Pod koniec kwietnia jeden z nauczycieli, będący wraz z grupką ośmioklasistów na wycieczce, zauważył parę czerwonych trampek i fragment niebieskiego dziecięcego kombinezonu, wystające z otworu przepustowego przy Merit Street. Ten koniec Merit Street był zablokowany drewnianymi kozłami. Zeszłej jesieni ulicę doszczętnie rozkopano. Miała tam powstać kolejna rogatka – i jeszcze jedno skrzyżowanie wzdłuż drogi prowadzącej na północ do Bangor.

Znalezione zwłoki to był trzyletni Matthew Clements, którego zaginięcie zgłosili rodzice

zaledwie poprzedniego dnia (jego zdjęcie pojawiło się na tytułowej stronie „Derry News”, ciemnowłosy dzieciak uśmiechający się zuchwale do aparatu, z przekrzywioną czapeczką drużyny Red Sox na głowie). Rodzina Clementsów mieszkała przy Kansas Street, po drugiej stronie miasta. Jego matka, która po śmierci dziecka przeżyła tak wielki szok, że wydawała się całkiem spokojna i niewzruszona, powiedziała policji, że Matty jeździł tego dnia na swoim trzykołowym rowerku opodal ich domu na rogu Kansas Street i Kossuth Lane. Odeszła, by zanieść pranie do suszarni, a kiedy ponownie wyjrzała przez okno, Matty’ego już nie było. Na chodniku leżał przewrócony trójkołowy rowerek. Jedno z kółek wciąż jeszcze obracało się leniwie. Chwilę potem, praktycznie na jej oczach, zatrzymało się.

Tego było już dosyć dla szefa policji Bortona. Na specjalnym zebraniu rady miejskiej następnego wieczoru zaproponował wprowadzenie od dziewiętnastej godziny policyjnej. Propozycję przyjęto jednogłośnie i następnego dnia wprowadzono w życie. Małe dzieci miały być przez cały czas pod „wytężoną i wzmożoną opieką kompetentnych dorosłych”, jak to określono w artykule na temat godziny policyjnej, zamieszczonym w „Derry News”.

W zeszłym miesiącu w szkole Bena odbyło się specjalne zebranie. Szef Borton, który wyszedł na podium, wsadził kciuki za swój szeroki pas i zapewnił dzieci, że nie muszą się niczym martwić, dopóki będą postępować zgodnie z kilkoma prostymi zasadami: nie będą rozmawiać z obcymi, przyjmować propozycji podwiezienia, chyba że osoba podwożąca będzie kimś, kogo bardzo dobrze znają, będą zawsze pamiętać, że policjant to przyjaciel… i przestrzegać godziny policyjnej.

Dwa tygodnie temu chłopiec, którego Ben znał tylko z widzenia (był w innej piątej klasie podstawówki w Derry), zajrzał do jednego z kanałów burzowych przy Neibolt Street i zobaczył w głębi niego coś, co wyglądało jak pływająca kępka włosów. Ten chłopak, który nazywał się Frankie czy Freddie Ross (a może Roth), szukał różnych rzeczy za pomocą urządzenia własnego pomysłu, Niezwykłego Kija z Gumowym Końcem. Kiedy o tym mówił, zawsze jakby używał wielkich liter i rzeczywiście myślał o nim w ten sposób.

Niezwykły Kij z Gumowym Końcem był po prostu kawałkiem gałęzi brzozy z wielką kulą gumy do żucia na końcu. W wolnym czasie Freddie (czy Frankie) przechadzał się ze swoim

kijkiem po Derry, zaglądając do kanałów i rynsztoków. Czasami zauważał pieniądze – głównie jednocentówki, ale czasami zdarzała mu się też dziesięcio- czy dwudziestopięciocentówka (te ostatnie z sobie tylko znanych powodów określał mianem „nadbrzeżnych potworów”). Po zauważeniu monety Frankie (czy Freddie) oraz jego Niezwykły Kij z Gumowym Końcem przechodzili do działania. Wystarczyło sięgnąć pomiędzy kratami i monetę miał praktycznie w kieszeni. Ben słyszał różne plotki na temat Frankiego (czy Freddiego) i jego kijka długo przed tym, gdy stał się on sławny dzięki odnalezieniu ciała Veroniki Grogan.

– On jest naprawdę obrzydliwy – powiedział któregoś dnia Benowi Richie Tozier.

Tozier był chudym chłopcem w okularach. Ben pomyślał, że bez nich Tozier musiał wyglądać jak Pan Magoo. Jego powiększone oczy, widoczne za grubymi szkłami okularów, przepełniało nieustannie zdziwienie. Miał także olbrzymie przednie zęby, dzięki czemu zyskał sobie przydomek Bucky Bóbr. Był w tej samej klasie co Freddie (czy Frankie).

– Przez cały dzień wkłada ten swój kij do ścieków, a wieczorem zdejmuje z niego gumę i żuje, aż mu się uszy trzęsą.

– O rany, to okropne! – wykrzyknął Ben.

– Łacja, kłóliku – powiedział Tozier i odszedł.

Frankie (czy Freddie), gmerający Niezwykłym Kijem z Gumowym Końcem pomiędzy prętami kraty kanału, był przekonany, że znalazł perukę. Myślał, że gdyby udało mu się ją wysuszyć, dałby ją swojej matce na urodziny albo z jakiejś innej, równie szczytnej okazji. Po paru minutach gmerania i popychania, kiedy już miał zrezygnować, z mrocznej wody w zatkanym kanale wyłoniła się twarz – twarz oblepiona zgniłymi liśćmi na białych policzkach i grudkami ziemi w otwartych, niewidzących oczach. Freddie (czy Frankie) uciekł do domu z krzykiem.

Veronica Grogan chodziła do czwartej klasy Neibolt Street Church School, prowadzonej przez ludzi, których matka Bena nazywała „Chrystusowcami”. Veronicę pochowano w dniu jej dziesiątych urodzin.

Któregoś wieczoru, niedługo po wspomnianym przed chwilą koszmarnym zdarzeniu, Arlene Hanscom usiadła obok Bena na kanapie. Wzięła jego ręce w swoje i spojrzała nań przenikliwym wzrokiem. Ben, lekko zaniepokojony, przyjrzał się jej z uwagą.

– Ben – powiedziała poważnym tonem – czy jesteś głupim chłopcem?

– Nie, mamusiu – odparł Ben, czując się bardziej niepewnie niż kiedykolwiek. Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkich chodziło. Nigdy dotąd nie widział, żeby jego mama była równie poważna i posępna.

– Nie – potwierdziła. – Chyba nie jesteś.

Zamilkła na dłuższą chwilę. Nie patrzyła na Bena; wyglądała przez okno. Ben zastanawiał się w duchu, czy aby o nim nie zapomniała. Wciąż jeszcze była młoda – miała trzydzieści dwa lata, ale samotne wychowywanie syna wycisnęło na niej swoje piętno. Pracowała przez czterdzieści godzin tygodniowo w Zakładzie Włókienniczym Stark's Mills w Newport przy zwijaniu i belowaniu materiałów i czasami, kiedy pył i odpadki włókien dotkliwiej niż zwykle dawały jej się we znaki, kaszlała tak długo i głośno, że Ben czuł, jak ogarnia go przerażenie. W te noce długo nie mógł usnąć i wpatrując się przez okno w panujący na zewnątrz mrok, zastanawiał się, co by się z nim stało, gdyby umarła. Mógłby zostać Dzieckiem Stanu (nie wiedział, co to oznaczało, ale przypuszczał, że musiałby mieszkać z farmerami, którzy od świtu do nocy zmuszaliby go do pracy w polu) lub też wysłano by go do sierocińca w Bangor. Starał się sobie wmówić, że głupio jest przejmować się takimi

rzeczami, ale to nie odnosiło żadnych rezultatów. Nie martwił się wszak tylko o siebie. Martwił się również o nią. Jego mama była twardą kobietą i w wielu sprawach, kiedy się uparła, potrafiła postawić na swoim, ale była dobrą matką. I bardzo go kochała.

– Wiesz o tych morderstwach – powiedziała, ponownie odwracając wzrok w jego stronę.

Skinął głową.

– Z początku ludzie myśleli, że to były zabójstwa… – zastanowiła się nad tym, co ma powiedzieć dalej, nigdy nie mówiła o tym przy swoim synu, ale okoliczności były nietypowe i zmusiła się, aby wypowiedzieć te słowa – …na tle seksualnym. Może tak było, a może nie. Może jest już po wszystkim, a może nie. Już nikt nie jest niczego pewny, wiadomo tylko jedno: gdzieś tam czai się jakiś szaleniec, który czyha na małe dzieci. Rozumiesz mnie, Ben?

Skinął głową.

– I wiesz, co mam na myśli, mówiąc, że to mogły być zabójstwa na tle seksualnym?

Nie wiedział, w każdym razie niedokładnie, ale jeszcze raz skinął głową. Gdyby jego matka zorientowała się, że musi mu jeszcze tłumaczyć „te sprawy” o ptaszkach i pszczółkach, najprawdopodobniej umarłaby ze zmartwienia.

– Martwię się o ciebie, Ben. Martwię się, że poświęcam ci za mało czasu.

Ben spojrzał na nią spod oka, ale nic nie odparł.

– Jesteś samodzielny. Czasami myślę, że aż za bardzo. Ty…

– Mamo…

– Ani słowa, kiedy do ciebie mówię – powiedziała i Ben natychmiast umilkł. – Musisz być ostrożny, Benny. Nadchodzi lato i nie chcę ci popsuć wakacji, ale masz być ostrożny. Chcę, żebyś codziennie wracał na kolację. O której zwykle jemy kolację?

– O szóstej.

– Otóż to. Punktualnie! Posłuchaj, jeżeli nakryję do stołu i naleję ci mleka, a ty do tej pory nie wrócisz do domu i nie będziesz mył rąk w łazience, od razu dzwonię na policję i donoszę o twoim zaginięciu. Rozumiesz?

– Tak, mamo.

– I zdajesz sobie sprawę, że ja nie żartuję?

– Tak.

– Prawdopodobnie gdyby do tego doszło, i tak by się okazało, że zrobiłam to na próżno. Nie jestem kompletną ignorantką, jeżeli chodzi o sprawy chłopców. Zdaję sobie sprawę, że podczas letnich wakacji zajmują się głównie

zabawą i realizacją własnych pomysłów: śledzeniem roju pszczół do ich ula, grą w piłkę czy choćby kopaniem znalezionej na ulicy puszki. To, rzecz jasna, tylko drobna część tego, do czego jesteście zdolni ty i twoi przyjaciele.

Ben pokiwał głową ponuro. Skoro jego matka nie wiedziała, że nie miał żadnych przyjaciół, to najprawdopodobniej nie miała też zielonego pojęcia na temat jego chłopięcych lat, wbrew temu, co jej się wydawało. Jednak nigdy, przenigdy by jej tego nie powiedział.

Wyjęła coś z kieszeni podomki i podała mu. To było małe plastikowe pudełko. Gdy Ben podniósł wieczko i zobaczył, co znajdowało się wewnątrz, po prostu otworzył usta ze zdumienia.

– Jejku! – powiedział z nieukrywanym podziwem. – Dzięki!

To był zegarek Timex z małymi srebrnymi cyferkami i paskiem z imitacji skóry. Nakręciła go i trzymała, a on usłyszał cykanie.

– Rany, ale fajowy! – Objął ją mocno i głośno pocałował w policzek. Uśmiechnęła się zadowolona, że ucieszył się z prezentu, i pokiwała głową. A potem znowu spoważniała.

– Nałóż go, noś, nakręcaj, sprawdzaj godzinę i uważaj, żebyś go nie zgubił.

– Dobrze.

– Teraz, kiedy już masz zegarek, nie masz powodu, aby się spóźniać. Pamiętaj, co ci powiedziałam. Jeżeli nie wrócisz do domu na czas, powiadomię policję. Dopóki nie złapią tego drania, który zabija dzieci w okolicy, nie wolno ci się spóźnić nawet o minutę.

– Tak, mamo.

– Jeszcze jedno. Nie chcę, żebyś chodził sam. Wiesz dobrze, że nie powinieneś przyjmować od nieznajomych cukierków i propozycji podwiezienia do domu. Oboje zgodziliśmy się, że nie jesteś głupi. Jesteś dużym chłopcem, ale dorosły człowiek, a do tego człowiek szalony, może z łatwością porwać dziecko, bo przecież ma więcej sił. Chciałabym, żebyś do parku czy biblioteki chodził zawsze z kolegami.

– Dobrze, mamo.

Ponownie wyjrzała przez okno i wydała z siebie westchnienie pełne zatroskania.

– Jak to jest, że rzeczy dobre są tak ulotne, a takie jak ta zdają się trwać wiecznie. Tak, w tym mieście z całą pewnością jest coś nie w porządku. Zawsze tak uważałam. – Ponownie spojrzała na niego spode łba. – Jesteś takim wędrowniczkiem, Ben. Musisz znać prawie każdy zakątek w Derry, co? W każdym razie jeżeli chodzi o miasto.

Ben nie uważał, że zna prawie każdy zakątek w Derry, choć znał ich wiele. I był tak poruszony nieoczekiwanym prezentem, że przyznałby jej rację, nawet gdyby powiedziała, że John Wayne powinien zagrać rolę Adolfa Hitlera w komedii muzycznej o drugiej wojnie światowej. Odwrócił głowę.

– Nie widziałeś niczego, prawda? – spytała. – Niczego ani nikogo… hmm… podejrzanego? Czegoś niezwykłego. Czegoś, co cię przeraziło?

Mało brakowało, a zachwycony swoim zegarkiem i przepełniony miłością do matki, aby sprawić jej przyjemność i ulżyć zatroskaniu (które w swej nieskrywanej gwałtowności było nieco przerażające), opowiedziałby jej o tym, co mu się przydarzyło pod koniec stycznia.

Otworzył usta i nagle zamknął je ponownie. Co to właściwie było? Intuicja. Ni mniej, ni więcej. Nawet dzieci czasami rozumieją, że niekiedy lepiej jest zamknąć buzię na kłódkę i oszczędzić trosk tym, których się kocha. Był to jeden z powodów, dla których Ben zdecydował się zachować milczenie. Ale był jeszcze inny powód – wcale nie tak szlachetny. Jego mama mogła być twarda. Nigdy nie nazwała go grubym, zawsze określała go mianem „dużego” (czasami dodawała też, że jest „duży jak na swój wiek”),

a kiedy po kolacji jeszcze coś zostawało, bardzo często przynosiła mu talerz, kiedy oglądał telewizję czy odrabiał lekcje, a on zmiatał wszystko, choć w głębi duszy nienawidził siebie za to, co robił.

Ben miał wrażenie, że jakaś jego część – ta najmniej znana, najmroczniejsza część jego „ja" – znała motywy tego nieustannego podkarmiania go. Czy to była tylko miłość? A może jeszcze coś innego? Nie. Z całą pewnością nie. Ale… zastanawiał się. Przecież nie zdawała sobie sprawy, że nie miał żadnych kolegów. Ten fakt sprawił, że przestał jej ufać – nie był pewny, jak mogłaby zareagować na jego opowieść o tym, co mu się przydarzyło w styczniu. Jeżeli cokolwiek mu się przydarzyło. Przychodzenie o osiemnastej do domu i zostawanie w nim nie było takie złe. Mógł czytać książki, oglądać telewizję, budować domki z klocków. Jeść. Ale gdyby musiał siedzieć w domu cały dzień, to już nie byłoby przyjemne – to byłoby okropne… a czuł, że gdyby opowiedział jej o tym, co widział (lub co wydawało mu się, że widział) w styczniu, właśnie tak by się to dla niego skończyło. Dlatego też, z wielu powodów, Ben nie opowiedział jej o tym zdarzeniu.

– Nie, mamo – powiedział. – Tylko pana McKibbona grzebiącego w śmietnikach.

Usłyszawszy to, roześmiała się – nie lubiła pana McKibbona, który był zarazem republikaninem i „Chrystusowcem”, i jej wybuch śmiechu zakończył ten temat. Tej nocy Ben długo nie mógł zasnąć, ale nie zadręczał się myślami o tym, co by było, gdyby matka umarła, a on został sierotą. Leżąc w łóżku i patrząc na zawieszony na niebie księżyc, który rzucał słaby blask przez szybę okna na podłogę w jego pokoju, czuł się kochany i bezpieczny. Na przemian to przykładał zegarek do ucha, to znowu przybliżał go do oczu, by móc podziwiać jego upiornie fosforyzującą tarczę.

W końcu jednak usnął i śnił, że grał w baseball z innymi chłopcami na pustym parkingu za bazą ciężarówek braci Tracker. Właśnie zdobył ostatni, decydujący punkt dla swojej drużyny i jego krzyczący radośnie koledzy z zespołu wybiegli mu na spotkanie. Dawali mu żartobliwe kuksańce i poklepywali go po plecach. Wzięli go na ramiona i przenieśli do miejsca, gdzie znajdował się ich sprzęt. W tym śnie szczęście i duma prawie go rozsadzały… i nagle spojrzał w stronę środka pola, gdzie ogrodzenie z łańcuchów wyznaczało linię graniczną pomiędzy żużlowym placem a zachwaszczonym trawiastym gruntem, zmieniającym się nieco

dalej w łagodną stromiznę Barrens. Pośród tych chwastów i krzewów, prawie niewidoczna, stała jakaś postać. W jednej ręce, ukrytej w białej rękawicy, trzymała pęk różnokolorowych balonów – czerwone, żółte, zielone, niebieskie… Drugą kiwała na niego. Nie widział twarzy tej postaci, ale dostrzegał workowaty kostium z wielkimi pomarańczowymi pomponami z przodu i obwisłą żółtą muszkę. To był klown.

„Łacja, kłóliku”, przytaknął widmowy głos.

Kiedy Ben obudził się następnego ranka, nie pamiętał, co mu się przyśniło, ale jego poduszka był wilgotna w dotyku… jak gdyby w nocy płakał.

7

Podszedł do głównego stołu w bibliotece dziecięcej, otrząsając się z myśli obudzonych przez znak przypominający o godzinie policyjnej, jak pies po wyjściu z wody.

– Czołem, Benny – powiedziała pani Starrett. Tak jak Douglas w szkole, ona również szczerze lubiła Bena. Dorośli, zwłaszcza ci, którzy czasami z uwagi na swoją pracę musieli utrzymywać dzieci w karności, ogólnie rzecz biorąc, lubili go, bo był miły, dobrze wychowany, cichy, rozważny, a także na swój sposób zabawny.

Z tych samych powodów większość dzieci uważała go za frajera.

– Znudziły cię już letnie wakacje?

Ben się uśmiechnął. Pani Starrett lubiła żarciki.

– Jeszcze nie – odparł – bo wakacje zaczęły się zaledwie – spojrzał na zegarek – godzinę i siedemnaście minut temu. Niech mi pani da jeszcze godzinę.

Pani Starrett roześmiała się cicho, zakrywając usta dłonią. Spytała Bena, czy chce się zapisać na letni program czytelniczy, a on odpowiedział, że tak. Dała mu mapę Stanów Zjednoczonych, za którą grzecznie podziękował.

Wszedł pomiędzy półki. To tu, to tam wybierał jakąś książkę, przeglądał ją, a potem odkładał na miejsce. Wybieranie było poważną sprawą. Należało zachować ostrożność. Gdyby był dorosły, mógłby wziąć tyle książek, ile by zechciał – dzieci mogły wypożyczyć naraz tylko trzy. Innymi słowy, jeżeli wybrałeś chłam, to sam sobie byłeś winien.

Wreszcie wybrał trzy – *Bulldozer, The Black Stallion* i *Hot Rod* (ta ostatnia, autorstwa Henry'ego Gregora Felsena, była typowym strzałem w ciemno).

– Może ci się nie spodobać – zauważyła pani Starrett, stemplując książkę – jest wyjątkowo krwawa. Namawiam do jej przeczytania nastolatków, zwłaszcza tych, którzy dopiero co zrobili prawo jazdy, bo to zwykle daje im do myślenia. Mam wrażenie, że po tej lekturze co najmniej przez tydzień jeżdżą o wiele wolniej niż zwykle.

– Przejrzę ją – powiedział Ben i zaniósł swoje książki do stolika znajdującego się w pewnej odległości od Kącika Puchatka, gdzie lektura *Bajki o trzech małych kózkach* doszła do momentu, kiedy najstarsza kózka słała pokaźną porcję obelg trollowi zaczajonemu pod mostem.

Zaczął czytać *Hot Rod* i uznał, że książka wcale nie jest taka zła. Wręcz przeciwnie – była całkiem niezła. Opowiadała o chłopaku, świetnym kierowcy, i nikczemnym gliniarzu, który za wszelką cenę chciał go zmusić do wolniejszej jazdy. Ben dowiedział się, że w Iowa, gdzie toczyła się akcja książki, nie było ograniczeń prędkości. Fajna sprawa. Przeczytawszy trzy rozdziały, uniósł wzrok znad książki i dostrzegł całkiem nowy zestaw plakatów. Na honorowym miejscu (choć w sumie całe wnętrze biblioteki było wprost obwieszone plakatami) wisiał plakat ukazujący szczęśliwego

listonosza wręczającego list szczęśliwemu dziecku. „W bibliotece jest również miejsce na pisanie – głosił napis u dołu. – Czemu jeszcze dziś nie napiszesz do swojego przyjaciela? Uśmiech gwarantowany!”.

Poniżej znajdowały się pojemniczki z ostemplowanymi kartami pocztowymi, kopertami i papeterią z nadrukiem biblioteki Derry. Każda z kopert kosztowała pięć centów, pocztówka trzy, dwie kartki jednego centa.

Ben sięgnął do kieszeni – wciąż miał w niej cztery centy. Zaznaczył stronę w *Hot Rod* i ponownie podszedł do stołu.

– Czy mogę prosić jedną pocztówkę?

– Oczywiście, Ben. – Pani Starrett była jak zwykle oczarowana jego łagodną uprzejmością i nieco zasmucona rozmiarami. Jej matka powiedziałaby, że ten chłopak sam kopał sobie grób nożem i widelcem.

Dała mu pocztówkę i patrzyła, jak wracał na miejsce. Przy stoliku mogło zmieścić się sześć osób, ale Ben siedział tam sam. Nigdy nie widziała Bena z innymi chłopcami. Zdawała sobie sprawę, że była to doprawdy wielka szkoda, bo wierzyła, że wnętrze Bena Hanscoma skrywało nieprzebrane skarby. I wiedziała, że chłopiec chętnie oddałby część z nich

cierpliwemu i łagodnemu poszukiwaczowi… gdyby tylko natrafił na odpowiedniego człowieka.

8

Ben wyjął swój długopis i zaadresował kopertę – Pani Beverly Marsh, Lower Maine Street, Derry, Maine, Strefa 2.

Nie znał numeru domu, ale mama powiedziała mu, że większość listonoszy, którzy pracują tu od dłuższego czasu, zna mieszkańców swoich rewirów. Jeżeli listonosz, który obsługuje Lower Maine Street, doręczy kartkę, to świetnie. Jeżeli nie, list trafi do biura listów niedoręczonych, a on straci swoje trzy centy. I nigdy ich nie odzyska, bo przecież nie miał zamiaru pisać na kartce swojego nazwiska i adresu.

Niosąc kartkę odwróconą adresem do spodu (wolał nie ryzykować, mimo że nie zauważył w pobliżu nikogo znajomego), wziął z drewnianego pudełka przy pojemniku na pocztówki kilka kartek. Wrócił na swoje miejsce i zaczął pisać – pisał, skreślał i pisał na nowo.

W ostatnim tygodniu szkoły przed egzaminami na lekcjach angielskiego czytali i pisali haiku. Haiku było japońską formą poezji,

krótką i rządzącą się surowymi prawami. „Haiku – powiedziała pani Douglas – może liczyć tylko siedemnaście sylab, ani mniej, ani więcej. Zwykle opisuje się w nich w nader wyrazisty sposób pojedyncze, specyficzne uczucia, takie jak smutek, radość, nostalgię, szczęście… i miłość”.

Ben był tym zachwycony. Lubił lekcje angielskiego, choć zwykle odczuwał na nich jedynie łagodne zadowolenie. Mógł napisać to, co chciał, normalnie, ale to by nie było to. Czegoś tu brakowało. W budowie haiku coś rozpalało jego wyobraźnię. Pomysł napisania krótkiego wiersza sprawił, że poczuł się naprawdę szczęśliwy, jak wówczas gdy pani Starrett opowiadała mu o efekcie cieplarnianym. Haiku było dobrą poezją. – Ben czuł to, ponieważ była to poezja strukturalna, bez żadnych tajemnych reguł. Siedemnaście sylab – jedna wizja wiążąca się z pojedynczą emocją, i to wszystko. Bingo. Podobało mu się nawet samo to słowo, zdawało się, że strumień powietrza, opuszczając gładko twoje usta, łamie się przy dźwięku „k” tworzącym swego rodzaju dysonans. Jej włosy, pomyślał i ponownie zobaczył ją schodzącą po schodach z falą włosów opadającą na ramiona. Słońce nie tyle błyszczało, ile raczej płonęło pośród nich.

Po dwudziestu minutach pracy (z jedną przerwą na wzięcie kolejnej porcji kartek), wykreśleniu słów, które były za długie, szeregu zmian i przeróbkach Ben stworzył coś takiego:

Twoje włosy
są jak ogień –
– zimą
Płonie w nim moje serce.

Nie był tym specjalnie zachwycony, ale więcej z siebie nie wykrzesał. Obawiał się, że gdyby babrał się w tym zbyt długo i za bardzo się przejmował swoją pracą, spłodziłby coś o wiele gorszego. Albo w ogóle nic. Nie chciał, aby do tego doszło. Chwila, w której Beverly zdecydowała się odezwać do Bena, była kluczowym momentem jego życia. Chciał upamiętnić to wydarzenie. Prawdopodobnie Bev podobał się jakiś starszy chłopiec, szósto-, a może nawet siódmoklasista, i pomyśli, że to może ten chłopak przysłał jej haiku. To uczyniłoby ją szczęśliwą, a jednocześnie na zawsze zapamiętałaby ów dzień. I choć nigdy się nie dowie, że to Ben Hanscom przysłał jej pocztówkę, nie miało to żadnego znaczenia. Ale on będzie wiedział.

Przepisał gotowy wiersz na pocztówkę (pisząc go drukowanymi literami, jakby to było żądanie okupu, a nie tekst haiku), po czym włożył długopis do kieszeni, a kartkę do książki *Hot Rod*. Następnie wstał i wychodząc, powiedział „do widzenia” pani Starrett.

– Do widzenia, Ben – odparła pani Starrett. – Wesołych wakacji, ale nie zapomnij o godzinie policyjnej.

– Nie zapomnę.

Przeszedł przez przeszklony korytarz pomiędzy budynkami, ciesząc się z panującego w nim ciepła (efekt cieplarniany, pomyślał niejako od niechcenia), by znaleźć się w chłodnym wnętrzu biblioteki dla dorosłych. W czytelni, w jednym z wygodnych, miękkich foteli, siedział jakiś staruszek, czytający „News”. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: „Dulles obiecuje – w razie potrzeby amerykańscy żołnierze pomogą Libanowi!”.

Poniżej widniało zdjęcie Ike’a ściskającego dłoń Araba w Ogrodzie Różanym. Mama Bena mówiła, że kiedy w 1960 Hubert Humphrey zostanie wybrany na prezydenta, to może sytuacja w kraju trochę się polepszy. Ben miał mgliste pojęcie o czymś, co określano mianem przedłużającej się recesji, a jego mama obawiała

się, że może stracić pracę. Mniejszy nagłówek w dolnej połowie pierwszej strony brzmiał: „Trwa pościg policji za psychopatycznym mordercą”.

Ben pchnął wielkie frontowe drzwi biblioteki i wyszedł na zewnątrz.

Przy chodniku znajdowała się skrzynka pocztowa. Ben wyjął z książki pocztówkę i wrzucił ją do skrzynki. Kiedy wyślizgnęła mu się spomiędzy palców, poczuł, jak serce zaczęło bić szybszym rytmem. A jeśli mimo wszystko domyśli się, że to ja? Nie bądź głupi, zareagował wyraźnie poruszony, kiedy zdał sobie sprawę, że przyjął tę perspektywę ze sporą dozą ekscytacji.

Ruszył wzdłuż Kansas Street. Nie wiedział, dokąd zmierza, ale wcale go to nie obchodziło. W jego głowie zaczęły się tworzyć fantastyczne wizje.

Widział podchodzącą doń Beverly Marsh – jej szaroniebieskie oczy były rozpalone, a rude włosy związane z tyłu w koński ogon. „Chcę zadać ci pytanie, Ben – powiedziała ta wyimaginowana dziewczyna. – I musisz mi przysiąc, że powiesz prawdę. Czy to ty napisałeś?”. Uniosła pocztówkę.

To była straszna wizja. Straszna, ale jednocześnie cudowna. Chciał, żeby się

skończyła, i zarazem pragnął, aby trwała wiecznie. Twarz znów zaczęła go palić.

Ben szedł, marzył; przekładał książki spod jednej pachy pod drugą i zaczął cicho pogwizdywać.

„Pewno pomyślisz, że jestem okropna – powiedziała Beverly – ale wydaje mi się, że chcę cię pocałować”. Jej usta rozchyliły się nieznacznie. I nagle Ben przestał gwizdać. Jego wargi zrobiły się diabelnie suche.

– Ja chyba też – wyszeptał i uśmiechnął się. Uśmiech Bena był narkotyczny, ogłupiający i co nie ulegało wątpliwości, piękny. Gdyby właśnie teraz spojrzał na chodnik, zobaczyłby trzy cienie, które wyrosły wokół jego własnego; gdyby był czujny, usłyszałby stukot podkutych butów Victora, kiedy on, Belch i Henry zbliżali się ku niemu. Ale nie usłyszał tego ani nie zauważył podchodzącej trójki. Ben był teraz daleko, czując na swoich ustach delikatne muśnięcie warg Beverly i unosząc drżącą dłoń, by dotknąć kaskady jej rudych włosów.

9

Jak wiele miast – tych dużych i tych mniejszych – Derry nie było planowane, tylko podobnie jak Topsy stopniowo się rozrastało. Po

pierwsze, planiści nigdy by go tu nie ulokowali. Śródmieście Derry leżało w dolinie uformowanej przez strumień Kenduskeag, który przepływał przez centrum handlowe na ukos, z południowego zachodu na północny wschód. Reszta miasta rozlokowała się na zboczach okolicznych wzgórz.

Dolina, w której zjawili się pierwsi osadnicy, była bagnista i mocno zarośnięta. Strumień i rzeka Penobscot, do której wpływał Kenduskeag, stanowiły spore udogodnienie dla osób trudniących się handlem, natomiast wielki problem dla tych, którzy uprawiali ziemię i zbudowali swoje domy zbyt blisko ich brzegów – zwłaszcza w pobliżu Kenduskeag, gdyż strumień ten wylewał przeciętnie co trzy lub cztery lata. Pomimo sporych sum wydawanych przez ostatnie pięćdziesiąt lat na powstrzymanie tej klęski miastu cały czas groziła powódź. Gdyby wylewy zostały spowodowane tylko przez sam strumień, rozwiązaniem mógłby być system tam i śluz. Istniały wszakże inne czynniki. Jeden z nich stanowiły niskie brzegi Kenduskeag. Drugim był marny system kanałów odpływowych. Od początku XX stulecia w Derry doszło do wielu poważnych powodzi, z których najpoważniejsza i najtragiczniejsza wydarzyła

się w 1931 roku. Jakby tego było mało, wzgórza, na których znajdowała się większa część Derry, przecinały pajęcze nitki małych strumyków; jednym z ich był Torrault Stream, w nim właśnie znaleziono ciało Cheryl Lamonica. W okresie ulewnych deszczów wszystkie te strumienie również występowały z brzegów.

– Jeżeli popada jeszcze ze dwa tygodnie, w mieście może wybuchnąć epidemia – powiedział kiedyś ojciec Billa Jąkały.

Kenduskeag na obszarze miasta był betonowany. Przy skrzyżowaniu z Main Street i Canal znikał pod mostem, by na odcinku mniej więcej pół mili zmienić się w podziemną rzekę, a wyłaniał się na powierzchnię dopiero w okolicy Bassey Park. Przy wylocie z miasta po obu stronach uregulowanego strumienia znajdował się ciąg barów – jak przestępcy ustawieni rzędem przez aresztujących ich gliniarzy – i każdego tygodnia policja musiała wyławiać z wody samochody pijanych kierowców, którzy zdecydowali się usiąść za kółkiem. Wozy te, z uwagi na poziom zanieczyszczenia wody ściekami i odpadami z fabryki włókienniczej, nie nadawały się już do użytku. Od czasu do czasu w strumieniu złowiono jakąś rybę, ale były to w stu procentach niejadalne mutanty.

W północno-wschodniej części miasta strumień został jako tako ujarzmiony. Mimo powodzi po obu jego stronach kwitnie handel. Ludzie przechadzają się wzdłuż wybetonowanych brzegów – pojedynczo i parami (ma się rozumieć, jeśli wiatr jest sprzyjający, bo jeśli nie, potworny smród przegoni stąd nawet najbardziej wytrzymałą zakochaną parę), a w Bassey Park, naprzeciwko budynku liceum, skauci rozbijają częstokroć namioty i urządzają sobie ogniska. W 1969 roku obywatele ze zgrozą i obrzydzeniem odkryli, że hipisi (jeden z nich przyszył sobie na siedzeniu spodni amerykańską flagę, ale gliniarze zamknęli go czym prędzej) palili tam trawkę i handlowali prochami. Na przełomie sześćdziesiątego dziewiątego roku Bassey Park stało się regularną apteką na wolnym powietrzu.

Poczekajcie tylko, mówili ludzie, zanim ukrócą ten proceder, na pewno ktoś zginie. I rzeczywiście, w końcu wydarzył się tragiczny wypadek – w okolicy strumienia znaleziono ciało siedemnastolatka, naszprycowanego czystą heroiną, którą dzieciaki nazywają cienką białą szyną. Kiedy ćpuny zaczęły opuszczać teren Bassey Park, pojawiły się opowieści mówiące, że duch tego zmarłego chłopaka nawiedza

tamtejszą okolicę. Był to, rzecz jasna, czysty absurd, ale jak się okazało, również skuteczny sposób na przepędzenie z parku narkomanów i handlarzy prochów.

Od południowo-zachodniej strony strumień zawsze sprawiał tutejszym mieszkańcom masę problemów. Okoliczne wzgórza zostały mocno naruszone podczas przejścia wielkiego lodowca, a następnie przez niekończącą się erozję Kenduskeag i jego dopływów. W wielu miejscach można było dostrzec podłoże skalne, jak na wpół zagrzebane w ziemi kości dinozaurów. Długoletni pracownicy Departamentu Robót Publicznych w Derry wiedzieli, że po okresie pierwszych jesiennych przymrozków będą mieli sporo roboty przy naprawie chodników w tej części miasta. Beton się skurczy, zacznie się kruszyć, a potem pęknie, ukazując znajdujące się pod spodem przecięte mroczną szczeliną podłoże skalne – wyglądało to tak, jakby coś chciało wydostać się z głębi ziemi.

W płytkiej ziemi najlepiej rosły rośliny o płytkim systemie korzeniowym i te, które były wytrzymałe z natury – innymi słowy, wszelkiego rodzaju chwasty i zielska, nagie drzewka, gęste niskie krzewy i sumak jadowity, atakujące

wszędzie, gdzie tylko miały dostatecznie dużo miejsca, by móc się rozrosnąć.

Teren po południowo-zachodniej stronie opadał stromo do miejsca znanego w Derry jako Barrens. Barrens to spłacheć ziemi mający około półtorej mili szerokości i trzy mile długości, który można by określić tuzinem różnych nazw, tylko nie „ziemią jałową”. Z jednej strony ograniczał ją górny fragment Kansas Street, z drugiej zaś Old Cape – dzielnica tanich i starych domów, a stan kanałów na tym terenie był tak marny, że w toaletach rury były pozapychane, a niekiedy nawet je rozrywało. Kenduskeag przepływał przez sam środek Barrens. Miasto rozrosło się na północny wschód i po obu stronach wzgórz, tu jednak jedynym śladem cywilizacji były stacja pomp numer 3 (przepompownia ścieków) i wysypisko śmieci. Widziane z powietrza Barrens wyglądało jak wielki zielony sztylet wymierzony w stronę śródmieścia.

Dla Bena jedynym wnioskiem wypływającym z powyższych wywodów natury geograficzno-geologicznej było to, że obecnie po jego prawej stronie nie stały żadne domy. Znajdowało się tam strome, pokryte zielenią zbocze. Okalał je i stanowił swego rodzaju zabezpieczenie wysoki do pasa rozklekotany płotek pomalowany na

biało i biegnący wzdłuż chodnika. Ben słyszał dochodzący z oddali szum wody. Stanowił on podkład dźwiękowy dla przeżywanej przez niego fantazji.

Przerwał i spojrzał na Kenduskeag, wciąż mając przed oczami twarz Bev i czując zapach jej włosów. Z tego miejsca strumień widoczny pośród gęstwiny liści był tylko serią migotliwych błysków na wodzie. Niektóre dzieciaki mówiły, że tego roku nad strumieniem pojawiły się komary wielkie niczym wróble, inne zaś, że nad brzegiem czyhają na ludzi ruchome piaski. Ben nie wierzył w opowieści o komarach, ale bał się ruchomych piasków.

Nieco po lewej na niebie kołowało stado mew. Co chwila któraś z nich obniżała lot. Wysypisko śmieci. Do jego uszu dobiegł ich słaby krzyk. Po drugiej stronie widział Derry Heights i niskie dachy tanich domów w Old Cape, najbliższej Barrens. Po prawej od Old Cape sterczącа w górę, jak zakrzywiony biały palec, widniała kolumna stacji pomp w Derry. W dole pod nią widać było pokryty rdzą otwór odpływowy, z którego wyciekała brudna woda, spływająca w dół wzgórza migotliwym małym strumykiem, znikającym pośród gęstwiny drzew i krzewów.

Przyjemną fantazję o Beverly w myślach Bena zakłóciła mroczna i ponura wizja – a jeżeli właśnie teraz z otworu odpływowego wystaje ręka trupa? Co będzie, jeżeli ją zobaczy? A jeśli, gdy odwróci się, by ruszyć w stronę najbliższego telefonu i powiadomić policję, zobaczy przed sobą klowna? Zabawnego klowna w workowatym kostiumie, z wielkimi puchatymi pomponami w formie guzików? A jeżeli…

Jakaś dłoń spadła na ramię Bena. Krzyknął.

W tej samej chwili usłyszał śmiech. Odwrócił się gwałtownie, opierając się o białe ogrodzenie oddzielające bezpieczny, zwyczajny chodnik Kansas Street od dzikiego, nieujarzmionego Barrens (płot skrzypnął głośno), i zobaczył przed sobą Henry'ego Bowersa, Belcha Hugginsa i Victora Crissa.

– Cześć, grubasie – powiedział Henry.

– Czego chcesz? – spytał Ben, siląc się na odwagę.

– Chcę ci przyłożyć – odrzekł Henry. Zdawało się, że rozważa swój pomysł z pełną powagą i doniosłością. W jego czarnych oczach zabłysły iskierki. – Muszę ci dać nauczkę, cycolu. Nie miej mi tego za złe. Przecież lubisz się uczyć nowych rzeczy, no nie?

Zamierzył się na Bena, ale ten się uchylił.

– Trzymajcie go, chłopaki.

Belch i Victor schwycili go za ręce. Ben zakwilił. To był tchórzliwy dźwięk, odgłos słabości i poddania; ale nic nie mógł na to poradzić. Proszę, Boże, nie pozwól, by zmusili mnie do płaczu, i nie pozwól, żeby rozbili mój zegarek, pomyślał z rozpaczą Ben. Nie wiedział, czy zadadzą sobie tyle trudu, by rozbić mu zegarek, czy nie, ale był prawie pewny, że lada chwila się popłacze. I wiedział, że zanim z nim skończą, będzie ryczał aż miło.

– Jezu! On kwiczy jak prosię – rzekł Victor i wykręcił Benowi rękę w nadgarstku.

– Pewno. – Belch zachichotał.

Ben szarpnął się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Belch i Victor poluzowali nieznacznie uścisk na jego rękach, dali mu nieco swobody, a potem szarpnęli go gwałtownie do tyłu.

Henry złapał za przód bluzy dresu Bena i zadarł ją, odsłaniając brzuch chłopca. Potężny kałdun przelewał się nad paskiem zwałami tłuszczu.

– Spójrzcie na ten bebech! – wykrzyknął z obrzydzeniem w głosie Henry. – Jezus Maria!

Victor i Belch ponownie wybuchnęli śmiechem. Ben rozejrzał się przerażony dokoła

w poszukiwaniu pomocy. Nie zauważył nikogo. Zza jego pleców z okolic Barrens dochodziły piskliwe okrzyki mew i cykanie świerszczy.

– Lepiej przestań! – powiedział. Jeszcze nie beczał, ale był tego bliski. – Lepiej przestań!

– Bo co? – spytał Henry, jakby to go naprawdę zainteresowało. – Bo co, tłuściochu? Bo co? Hę?

Ben pomyślał nagle o Brodericku Crawfordzie, grającym rolę Dana Matthewsa w *Highway Patrol* – ten drań był twardy, ten drań był podły, ten drań przed nikim nie pękał – i wtedy wybuchnął płaczem. Dan Matthews wyrzuciłby tych drani przez płot, używając do tego wyłącznie swego brzucha.

– Och, popatrzcie no tylko na tę beksę! – zarechotał Victor. Belch przyłączył się do niego. Henry uśmiechnął się pod nosem, ale jego twarz nadal miała ten posępny, zamyślony wyraz. Bowers sprawiał wrażenie, jakby był czymś zasmucony. Ben był przerażony. Czuł, że może czekać go coś gorszego niż zwykłe pobicie.

Jakby na potwierdzenie tych myśli Henry sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z nich nóż.

Zgroza zmusiła Bena do działania. Do tej pory szarpał się bezskutecznie na boki – teraz zaś nagle rzucił się z całej siły do przodu. Przez ułamek sekundy miał nadzieję, że mu się uda.

Uwierzył, że ma szansę się wyrwać. Był bardzo spocony, a ręce, za które trzymali go tamci dwaj, wydawały się pokryte warstewką oliwy. Belch zdołał utrzymać jego prawy nadgarstek, ale nie był to mocny uścisk. Jeszcze chwila i się uwolni. Wyrwał się z uchwytu Victora. Kolejne szarpnięcie…

Zanim zdołał je wykonać, Henry postąpił krok do przodu i pchnął go z całej siły. Ben poleciał do tyłu. Tym razem płot zaskrzypiał o wiele głośniej i Benowi wydawało się, że deski ugięły się nieco pod jego ciężarem. Belch i Victor ponownie złapali go za ręce.

– A teraz trzymajcie go – powiedział Henry. – Słyszycie?

– Jasne, Henry – rzekł Belch. W jego głosie brzmiała niepewność. – Nie wyrwie się. Nie martw się.

Henry podszedł do przodu tak, że jego płaski brzuch prawie stykał się z tłustym kałdunem Bena. Ben patrzył na niego, a łzy spływały mu z kącików rozszerzonych oczu; nic nie mógł na to poradzić. Wpadłem! Wpadłem! – wrzeszczał głos pod jego czaszką. Próbował go uciszyć, ale ten głos, ten hałaśliwy ryczący głos nie chciał umilknąć.

Henry otworzył nóż, ostrze było długie, szerokie i ozdobione jego imieniem. Czubek lśnił w promieniach popołudniowego słońca.

– Teraz zrobię ci test – powiedział Henry tym samym zamyślonym tonem. – Nadszedł czas egzaminu, cycolu, i dobrze by było, gdybyś był przygotowany.

Ben płakał. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Z nosa pociekło mu aż na górną wargę. Książki z biblioteki leżały rozrzucone u jego stóp. Henry przestąpił nad *Bulldozerem*, spojrzał w dół i jednym uderzeniem swego czarnego roboczego buta wkopał książkę do rynsztoku.

– Pierwsze pytanie, grubasie. Kiedy ktoś na ostatnim egzaminie powie ci „daj ściągnąć”, co wtedy odpowiesz?

– Tak! – wykrzyknął natychmiast Ben. – Odpowiem: tak! Jasne! Okay! Spisuj, ile chcesz!

Ostrze noża przeszyło dwa cale powietrza i przywarło do brzucha Bena. Było zimne jak pojemnik do lodów tuż po wyjęciu z lodówki, Ben wciągnął brzuch. Przez chwilę świat zrobił się szary. Usta Henry’ego poruszały się, ale Ben nie słyszał jego słów. Miał wrażenie, jakby oglądał program telewizyjny z wyłączoną fonią, a potem świat przed jego oczami zaczął wirować… wirować… Ani mi się waż zemdleć! – wrzasnął

spanikowany głos w jego głowie. Jeżeli zemdlejesz, on może się wściec tak, że cię zabije! Ponownie odzyskał ostrość widzenia. Zobaczył, że zarówno Belch, jak i Victor przestali się śmiać. Wyglądali na zdenerwowanych… prawie przerażonych. Ten widok podziałał na Bena jak siarczysty policzek. *Zupełnie nieoczekiwanie ci dwaj nie wiedzą, co on ma zamiar zrobić ani jak daleko się posunie. I choć wydaje ci się, że było źle i jest źle, nie oszukuj się, może być jeszcze gorzej. Musisz myśleć. Jeżeli nigdy dotąd tego nie robiłeś, to teraz masz okazję. Myśl intensywnie. Bo jego oczy mówią, że tamci dwaj nie na próżno są zdenerwowani. Jego oczy mówią, że Henry Bowers to skończony świr.*

– To niewłaściwa odpowiedź, tłuściochu – powiedział Henry. – Jeżeli ktoś ci mówi „daj ściągnąć”, to mnie to gówno obchodzi. Jasne?

– Tak – zgodził się Ben, a jego brzuch unosił się gwałtownie w rytm spazmatycznego szlochu. – Tak. Rozumiem.

– To dobrze. To jedna zła odpowiedź, ale mamy przed sobą jeszcze wiele pytań. Jesteś gotowy na następne pytania?

– Tak… chyba tak…

W ich stronę wolno jechał samochód. Był to zakurzony ford rocznik 1951, wewnątrz którego

z przodu siedziała para staruszków. Przypominali sklepowe manekiny. Ben zobaczył, jak starzec powoli odwraca głowę w jego stronę. Henry przysunął się bliżej do Bena, zasłaniając nóż. Ben czuł czubek jego ostrza wpijający mu się w ciało tuż nad pępkiem. Był nadal zimny. Nie wiedział, jak to możliwe, ale tak właśnie było.

– No, jazda, krzycz – rzucił Henry. – A będziesz wyjmował flaki z tenisówek.

Stali tak blisko siebie, że mogliby się pocałować. Ben czuł na swojej twarzy oddech Henry'ego przesiąknięty słodkawym zapachem gumy do żucia o smaku owocowym.

Samochód minął ich i wolno, dystyngowanie jak na paradzie pojechał dalej wzdłuż Kansas Street.

– W porządku, grubasie, drugie pytanie. Jeżeli ja podczas egzaminu powiem „daj ściągnąć", jak będzie brzmiała twoja odpowiedź?

– Tak. Powiem: tak. Natychmiast.

Henry się uśmiechnął.

– Odpowiedź właściwa, tłuściochu. A teraz trzecie pytanie. Skąd mam wiedzieć, że nigdy o tym nie zapomnisz?

– No… nie wiem – wyszeptał Ben.

Henry się uśmiechnął. W tym momencie jego twarz mogła się wydawać przystojna.

– Ja wiem! – powiedział, jakby odkrył jakąś wielką prawdę. – Ja wiem, tłuściochu! Wytnę ci na kałdunie moje imię i nazwisko!

Victor i Belch nagle ponownie wybuchnęli śmiechem. Przez chwilę Ben jakby trochę odetchnął – odniósł wrażenie, że to wszystko miało mu jedynie napędzić strachu. Ale Henry Bowers nie roześmiał się i naraz Ben zdał sobie sprawę, że Victor i Belch zarykiwali się śmiechem, bo oni również się uspokoili. Obydwaj wierzyli, że Henry nie mówi tego poważnie. Oni byli o tym przekonani, ale Henry nie.

Ostrze noża przesunęło się gładko ku górze. Na pobladłej skórze Bena pojawiła się jasnoczerwona cieniutka kreska krwi.

– Ej! – krzyknął Victor. Jego głos był zduszony, niewyraźny.

– Trzymajcie go! – warknął Henry. – Po prostu go trzymajcie, jasne? – Teraz oblicza Henry’ego nie przepełniało uczucie spokoju i zamyślenia. Obecnie przypominało ono wykrzywioną, zdeformowaną twarz diabła.

– Rany kota, Henry, nie chlastaj go! – krzyknął Belch piskliwie, prawie dziewczęcym głosem.

Od tej pory wydarzenia toczyły się błyskawicznie, ale Ben miał wrażenie, że widzi wszystko w zwolnionym tempie – na zasadzie

stop-klatek w serii zdjęć, jakie są niekiedy publikowane na kartach magazynu „Life”. Uczucie paniki, jakie go ogarniało, przeminęło. Nagle odkrył coś, co drzemało w jego wnętrzu, i to coś, uznawszy, że panika jest w tym momencie odczuciem niestosownym, po prostu ją połknęło.

Przy pierwszym trzasku migawki Henry zadarł mu bluzę dresu aż do piersi. Z płytkiego pionowego cięcia nad pępkiem ściekała krew.

Przy drugim trzasku migawki Henry ponownie ciął nożem – tym razem z góry na dół. Działał szybko i precyzyjnie jak chirurg wojskowego szpitala pracujący pod ostrzałem artyleryjskim. Pociekła świeża krew. Do tyłu, pomyślał Ben, kiedy krew zaczęła spływać w szczelinę pomiędzy paskiem jego spodni a skórą. Muszę wiać do tyłu, to jedyna droga, jaka mi jeszcze pozostała. Belch i Victor wbrew rozkazom Henry’ego już go nie trzymali i odeszli na bok. Byli przerażeni. Ale gdyby zaczął uciekać, Henry Bowers z pewnością by go dopadł.

Przy trzecim trzasku migawki Henry połączył dwa pionowe cięcia krótką poprzeczną kreską. Ben czuł, jak krew spływa do majtek i wijącą się strużką ścieka po lewym udzie.

Henry odsunął się nieco w tył i przez chwilę, jak malarz pracujący nad pejzażem, z zamyśleniem przyglądał się swemu dziełu. Po H przyjdzie kolej na E, pomyślał Ben, i to było wszystko, czego potrzebował, aby przejść do działania. Przesunął się trochę do przodu i Henry ponownie go popchnął. Ben odepchnął się nogami, wzmagając impet uderzenia Henry'ego. Rąbnął plecami w biały płot oddalający Kansas Street od Barrens. Jednocześnie uniósł prawą stopę i kopnął w brzuch Henry'ego. To nie był akt zemsty; Ben chciał w ten sposób dodać rozpędu swojemu ciału. A kiedy zobaczył wyraz niekłamanego zdziwienia na twarzy Bowersa, ogarnęła go dzika radość; w pierwszej chwili miał wrażenie, że lada moment pęknie mu czaszka. Nagle rozległ się trzask desek w płocie. Ben zobaczył, jak Victor i Belch chwytają Henry'ego, zanim wylądował na tyłku w rynsztoku, obok resztek *Bulldozera*, a potem runął w dół.

Ben rąbnął plecami w zbocze pagórka tuż poniżej otworu przepustowego, który zauważył wcześniej. Dobrze się stało, że wylądował pod nim, a nie na nim, bo lądując na rurze, mógłby sobie skręcić kark. Gęste chwasty i trawa należycie wytłumiły impet jego upadku, tak że

prawie nic nie poczuł. Przekoziołkował w tył. Wylądował w siadzie i ześlizgnął się po zielonym zboczu jak po olbrzymiej zjeżdżalni, bluza dresu podjechała mu aż do szyi, dłonie zaciskały się nerwowo, ale jedynym tego efektem było wyrywanie kolejnych garści paproci i prosa.

Zobaczył, jak szczyt zbocza (wydawało mu się niemożliwe, że jeszcze przed chwilą stał tam na górze) oddala się od niego w zastraszającym tempie – jak w kreskówkach. Zobaczył Victora i Belcha z rozdziawionymi ustami. Potem gruchnął w coś z potworną siłą i mało brakowało, a odgryzłby sobie język. To było zwalone drzewo; zahamowało upadek Bena, prawie łamiąc mu przy tym lewą nogę. Wpijając się palcami obu dłoni w ziemię, podsunął się nieco do góry i uwolnił nogę, wydając przy tym głośny jęk bólu. Drzewo zatrzymało się w połowie wysokości zbocza. Poniżej krzewy były gęściejsze. Woda spływająca z otworu rury ściekała mu po rękach cienkimi strumyczkami.

Nad jego głową rozległ się krzyk. Ben ponownie uniósł wzrok i zobaczył Henry'ego Bowersa przeskakującego na stok zbocza z nożem w zębach. Wylądował na obu nogach, jego ciało było odchylone w tył, toteż nie stracił równowagi. Zjechał ślizgiem parę jardów,

a potem zaczął posuwać się w dół, wykonując olbrzymie, kangurze skoki.

– …abijem cie ciochu! – wrzeszczał Henry przez trzymany w ustach nóż, a Ben nie potrzebował tłumacza, by wiedzieć, że tamten mówił: „zabiję cię, tłuściochu!”. – …abijem cie rwa ciochu!

I nagle, kalkulując chłodno, tak jak przedtem na chodniku, Ben zdał sobie sprawę, co powinien zrobić. Podniósł się, nim jeszcze Henry zdołał do niego dotrzeć; Bowers wyjął nóż z ust i trzymał go teraz przed sobą w wyciągniętej ręce jak bagnet. Lewa nogawka dżinsów Bena była podarta, a noga krwawiła bardziej niż brzuch… ale utrzymywała jego ciężar, co oznaczało, że nie była złamana. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Ben przykulił się nieznacznie, aby trochę odzyskać równowagę, i kiedy Henry schwycił go jedną ręką za dres, a drugą zamierzył się nożem, Ben zrobił krok w bok. Stracił równowagę, ale upadając, kopnął jeszcze z całej siły swoją poharataną lewą nogą. Trafił Henry’ego w golenie i to kopnięcie zbiło Bowersa z nóg. Ben przez chwilę patrzył jak urzeczony, a jego przerażenie zmieniło się w mieszankę strachu i podziwu. Henry Bowers przeleciał jak Superman nad drzewem, na którym zatrzymał

się Ben Hanscom. Ręce miał sztywno wyprostowane, tak samo jak George Reeves w telewizyjnym programie. Tyle że dla George'a Reevesa lot wydawał się czymś tak naturalnym, jak kąpiel czy jedzenie obiadu na tylnej werandzie domu. Henry Bowers wyglądał jak ktoś, komu wetknięto w tyłek rozpalony do białości pogrzebacz. Jego usta otwierały się i zamykały na przemian. Z ich kącika wypłynęła strużka śliny i – na oczach Bena – rozprysła się na małżowinie usznej Henry'ego.

A potem Henry Bowers runął na ziemię. Nóż wypadł mu z ręki. Bowers przetoczył się przez ramię, wylądował na plecach i ześlizgnął się w gąszcz krzaków z rozłożonymi nogami. Rozległ się głuchy odgłos. Krzyk. A potem zapadła cisza.

Ben usiadł oszołomiony, patrząc na połamane gałęzie krzewów w miejscu, gdzie przed chwilą zniknął Henry Bowers. Nagle obok niego zaczęły spadać kamienie. Były różne – duże i małe. Ponownie uniósł wzrok. Victor i Belch schodzili po zboczu pagórka. Poruszali się ostrożniej niż Henry, a co za tym idzie – wolniej, ale jeżeli niczego nie zrobi, dotrą do niego za niecałe pół minuty.

Jęknął. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

Nie spuszczając z nich wzroku, przestąpił nad zwalonym drzewem i dysząc ciężko, zaczął zsuwać się po zboczu. Kłuło go w boku. Język bolał jak diabli. Krzewy były prawie tak wysokie jak Ben. Uderzyła go woń bujnej roślinności. Słyszał szum wody płynącej nieopodal, przelewającej się po kamieniach i prześlizgującej się wąskimi strumyczkami ponad nimi. Poślizgnął się i ponownie zaczął spadać – ześlizgiwał się i koziołkował, rąbnął wierzchem dłoni o wystający kamień, przebił się przez gęstwinę ciernistych krzewów, zostawiając na ich kolcach strzępki bawełny wydarte ze swej bluzy i drobne kawałki ciała wyrwane z dłoni i policzków.

Zatrzymał się gwałtownie, przyjmując pozycję siedzącą, z obiema stopami w wodzie. Wylądował w małym strumyku płynącym kręto w stronę gęstej grupki drzew po jego prawej stronie. Pomiędzy nimi panował mrok jak we wnętrzu jaskini. Spojrzał w lewo i zobaczył Henry’ego Bowersa leżącego pośrodku strumienia. W jego na wpół otwartych oczach było widać tylko białka. Krew wypływała mu z jednego ucha i spływała cienką strużką w stronę Bena.

Mój boże! Zabiłem go! Mój Boże, jestem mordercą! O Boże! Zapominając, że ma za sobą Belcha i Victora (a może kiedy ci dwaj zobaczą, że ich Nieustraszony Wódz wyzionął ducha, przejdzie im ochota na bójkę), i rozchlapując wokoło wodę, Ben przebył dwadzieścia stóp w górę strumienia do miejsca, gdzie leżał Henry. Bowers miał koszulę w strzępach, spodnie całe czarne i brakowało mu jednego buta. Ben, mgliście, ale zdawał sobie sprawę, że z jego własnego ubrania też niewiele zostało, a całe ciało stało się jednym wielkim siedliskiem bólu. Najgorzej sprawa wyglądała z kostką – napuchła tak, że niemal rozsadzała przemoczoną tenisówkę, i bolała go tak bardzo, że praktycznie nie szedł, lecz zataczał się jak marynarz, który po raz pierwszy postawił nogę na lądzie po wyjątkowo długim rejsie.

Pochylił się nad Henrym Bowersem. Oczy Henry'ego otwarły się gwałtownie. Schwycił Bena za łydkę jedną ze swych podrapanych okrwawionych dłoni. Jego usta poruszały się i choć dobywał się z nich tylko przeciągły świst, Ben bez trudu rozpoznał w nim słowa: „Zabiję cię, ty gruby gnoju". Henry usiłował się podnieść, używając nogi Bena jako podpórki. Ben jak oparzony odskoczył w tył. Dłoń Henry'ego

obsunęła się po jego łydce i ześlizgnęła się z niej całkowicie. Ben cofnął się, młócąc z całej siły rękami, i po raz trzeci w ciągu ostatnich czterech minut – co było jego rekordem – wylądował na tyłku w wodzie. Ponownie ugryzł się w język. Woda rozbryznęła się wokół niego. Na moment przed oczyma Bena pojawiła się tęcza, ale w ogóle go to nie obchodziło. Nie obchodził go garnek złota, który mógł znajdować się u jednego z jej końców. Jedyne, na czym mu teraz zależało, to jego własne, nic niewarte życie.

Henry się przetoczył. Próbował wstać. Upadł. Podźwignął się na kolana. W końcu chwiejnie się podniósł. Spojrzał na Bena swymi czarnymi oczyma. Miał zmierzwione włosy, które wyglądały teraz jak pole kukurydzy po przejściu huraganu.

Ben poczuł, że nagle zaczyna go ogarniać złość. Nie. To nie była złość. To była wściekłość. Nie wadząc nikomu, szedł sobie spokojnie ulicą, niosąc pod pachą plik książek i marząc o pocałowaniu Beverly Marsh. I spójrzcie tylko. Spójrzcie no tylko! Spodnie podarte, lewa kostka może złamana, a na pewno nieźle nadwerężona. Noga pokiereszowana, język poprzegryzany. Na brzuchu pieprzony monogram pieprzonego Henry’ego Bowersa. I co wy na to?

Prawdopodobnie to właśnie myśl o książkach z biblioteki sprawiła, że wreszcie rzucił się na Henry'ego Bowersa. Wizja utraconych przez niego książek i pełnego wyrzutu wyrazu oczu pani Starrett, kiedy opowie jej o tym, co się stało. Niezależnie od tego, co było powodem – rany cięte, zwichnięta kostka, książki z biblioteki, a może nawet myśl o przemoczonej i prawdopodobnie nieczytelnej już cenzurce znajdującej się w tylnej kieszeni jego spodni – Ben Hanscom ruszył do ataku. Rzucił się do przodu, rozpryskując butami wodę, i z całej siły kopnął Henry'ego w krocze. Henry wrzasnął, a jego okropny, ochrypły krzyk spłoszył ptaki siedzące do tej pory na drzewach. Jeszcze przez chwilę stał z rozstawionymi szeroko nogami, przyciskając obie dłonie do krocza i patrząc z niedowierzaniem na Bena.

– Uch – stęknął cicho.

– Racja – rzekł Ben.

– Uch – stęknął Henry jeszcze ciszej.

– Racja – powtórzył Ben.

Henry wolno osunął się na kolana i nie tyle upadł, ile raczej złożył się wpół. Wciąż patrzył z niedowierzaniem w oczach na Bena.

– Uch.

– Masz cholerną rację.

Henry upadł na bok, wciąż ściskając dłońmi obolałe narządy, i powoli zaczął przewracać się z boku na bok.

– Uch – jęknął Henry. – Moje jaja! Uch! Rozpieprzyłeś mi jaja!

Powoli odzyskiwał siły, a Ben zaczął się wycofywać. To, co zrobił, z jednej strony przyprawiało go o mdłości, z drugiej zaś napełniało go uczuciem rzetelnej, paraliżującej ruchy fascynacji.

– Uch, moje pieprzone jaja!

Ben mógł stać tam jeszcze długo – może nawet do chwili, kiedy Henry całkiem odzyskałby siły i puścił się za nim w pościg, ale nieoczekiwanie ciśnięty mocno kamień trafił go tuż nad prawym uchem. W pierwszej chwili Ben pomyślał, że został ugryziony przez osę, ale kiedy dotknął palcami bolącego miejsca i zobaczył krew, zrozumiał, co się stało.

Odwrócił się i zobaczył tamtych dwóch, brnących środkiem strumienia w jego stronę. Każdy z nich miał w rękach garść otoczaków. Victor rzucił kamieniem i pocisk śmignął Benowi koło ucha. Ben uchylił się i w tej samej chwili drugi kamień trafił go w prawe kolano. Ból był spory. Ben krzyknął głośno. Trzeci kamień odbił

się od jego prawej kości policzkowej i oko wypełniło się łzami.

Sięgnął ręką w stronę brzegu i wspiął się nań tak szybko, jak tylko mógł, chwytając się korzeni i gałęzi krzewów. Dotarł na szczyt i szybko obejrzał się przez ramię.

Belch klęczał obok Henry'ego, podczas gdy Victor stał o sześć stóp od nich, rzucając kamieniami. Jeden wielkości piłki baseballowej przeszył gęstwę wysokich krzewów tuż obok Bena. Zobaczył już dość. Można powiedzieć, że nawet więcej niż dość. Co najgorsze, Henry Bowers znowu zaczął się podnosić. Jak timex Bena, mógł chodzić dalej. Ben odwrócił się i dał nura w krzaki, wybierając kierunek na zachód (w każdym razie miał nadzieję, że podąża ku zachodowi). Gdyby udało mu się dotrzeć do Old Side, mógłby wysępić od kogoś parę centów i dojechać autobusem do domu. A gdyby już tam dotarł, zamknąłby za sobą drzwi, wrzucił podarte ubranie do kosza i ten szalony sen wreszcie dobiegłby końca. Ben pomyślał o sobie siedzącym na krześle w pokoju, ubranym w swój włochaty czerwony szlafrok, oglądającym kreskówki z Kaczorem Duffym i popijającym przez słomkę mleko o smaku truskawkowym.

Tak trzymaj, powiedział sobie w myślach i brnął dalej przed siebie, chłostany gałęziami po twarzy. Ben odgarniał je, ale i tak kolce szarpały skórę i ubranie. Starał się je ignorować. W końcu dotarł do płaskiego terenu, który był czarny i błotnisty. Rosły na nim gęste kępy czegoś, co przypominało bambusy, a z ziemi unosił się cuchnący odór. W jego umyśle pojawiła się złowieszcza myśl (ruchome piaski) niczym cień przenikający nad ziemią.

Stał i patrzył na rozciągającą się przed nim polanę i porastającą ją roślinność. Wszędzie stały kałuże mulistej wody. Nie chciał tam iść. Nawet jeżeli to nie były ruchome piaski, błoto mogło zedrzeć mu z nóg buty. Zamiast pójść przez polanę, skręcił w prawo i wreszcie dotarł do prawdziwych drzew.

Były to głównie jodły i zdawało się, że rosną wszędzie, walczyły między sobą o odrobinę przestrzeni i słońca, ale pośród nich nie rosło zbyt wiele krzewów, toteż mógł poruszać się tu dużo szybciej. Nie wiedział, czy zmierza we właściwym kierunku, ale mimo wszystko nadal miał pewną przewagę nad tamtymi. Barrens było z trzech stron otoczone przez Derry, a z czwartej okalała je niewykończona jeszcze rogatka szosy

przelotowej. Prędzej czy później gdzieś jednak wyjdzie.

Jego brzuch pulsował tępym bólem, uniósł więc to, co zostało z bluzy od dresu, żeby rzucić nań okiem. Skrzywił się i gwizdnął przez zęby. Brzuch wyglądał jak groteskowa bombka choinkowa, pokryty rozmazanymi smugami krwi i zieleni od przejażdżki w dół po zboczu trawiastego pagórka. Obciągnął bluzę. Patrzenie na to przyprawiało go o mdłości. Nagle usłyszał cichy, brzęczący dźwięk, dochodzący gdzieś z góry – niezmienny, miarowy odgłos balansujący na granicy słyszalności. Dorosły, pochłonięty jedynie problemem jak najszybszego opuszczenia tego miejsca (komary zdołały go w końcu odnaleźć i choć Ben nie zauważył, żeby któryś z nich był wielkości wróbla, to pomimo wszystko nie zaliczały się one do najmniejszych), zignorowałby ten dźwięk albo w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Ale Ben był chłopcem i w końcu udało mu się przezwyciężyć własny strach. Skręcił w lewo i przedarł się przez niską kępę wawrzynów. Za nimi na niemal trzy stopy wystawał z ziemi wylot cementowego cylindra średnicy prawie czterech stóp. Zamykała go dziurkowana stalowa pokrywa. Widniały na niej słowa: Departament Robót Publicznych w Derry.

Dźwięk, bardziej brzęczenie niż warkot, dobiegał jakby z jego wnętrza. Ben przyłożył oko do otworu, ale niczego nie dostrzegł. Słyszał jedynie brzęczenie i odgłos wody płynącej gdzieś w dole. Zaczerpnął powietrza, poczuł kwaśny odór wilgoci i ekskrementów i odsunął się od pokrywy, krzywiąc usta z niesmakiem. Tak. To był ściek. A może połączenie ścieku z kanałem. Wiele ich znajdowało się w Derry, mieście, którego największą bolączką były powodzie. Nic takiego. Pomimo to poczuł przenikające go dreszcze. Po części wynikało to z faktu, że na tym odludziu dostrzegł ślady działalności człowieka, po części zaś sprawił to, jego zdaniem, wygląd tej rury – tego betonowego cylindra wystającego z ziemi. Przed rokiem Ben czytał *Wehikuł czasu* Wellsa – najpierw w wersji komiksowej, a potem książkowej. Ten cylinder z dziurkowaną pokrywą przypominał mu jedną ze studni wiodących do podziemnej krainy zamieszkiwanej przez okropnych i zdziczałych Morloków.

Oddalił się od niego czym prędzej, próbując ponownie odnaleźć kierunek zachodni. Dotarł do małej polanki i obracał się, dopóki jego cień nie znalazł się dokładnie za plecami. A potem ruszył prosto przed siebie. Pięć minut później ponownie

usłyszał przed sobą szum wody i głosy. Głosy dzieciaków.

Zatrzymał się, nasłuchując, i właśnie wtedy usłyszał dochodzący z tyłu trzask łamanych gałęzi i inne głosy. Rozpoznał je bez trudu. Należały do Victora, Belcha i jedynego w swoim rodzaju Henry'ego Bowersa. Wyglądało na to, że koszmar jeszcze się nie skończył. Ben rozejrzał się wokoło, szukając dogodnego miejsca, gdzie mógłby zapaść się pod ziemię.

10

Wyszedł ze swej kryjówki jakieś dwie godziny później, brudny jak nieboskie stworzenie, ale odrobinę odświeżony. Co niezwykłe, zdołał nawet uciąć sobie krótką drzemkę. Kiedy usłyszał za sobą odgłosy pogoni, niemal zastygł w bezruchu, jak zwierzę schwytane w świetle reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki. Przez chwilę był jak sparaliżowany. Przyszło mu na myśl, żeby po prostu położyć się na ziemi, zwinąć w kłębek jak jeż i pozwolić im zrobić z sobą, co im się żywnie podoba. To był szalony pomysł, ale dziwnym trafem wydawał mu się idealny. Ben jednak ruszył w stronę odgłosu płynącej wody i tamtych dzieciaków. Próbował usłyszeć, o czym rozmawiały, w przekonaniu, że to pomogłoby mu

przezwyciężyć paraliż krępujący jego ducha. Jakiś projekt. Rozmawiały o jakimś projekcie. Jeden czy dwa głosy były nawet dość znajome. Rozległ się plusk, a po nim salwa nieskrępowanego, naturalnego śmiechu. Ten śmiech przepełnił Bena uczuciem głupiej tęsknoty

I bardziej niż cokolwiek innego upewnił go, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Jeżeli miał zostać złapany, lepiej, żeby nie mieszał do tego tych dzieciaków. Ponownie skręcił w lewo. Przeszedł tak blisko nich, że widział ich cienie poruszające się pomiędzy nim a migoczącą wodą, ale tamci nie zauważyli go ani nie usłyszeli. Stopniowo ich głosy zaczęły cichnąć. Dotarł do wysokiej wydeptanej ścieżki. Ben zawahał się przez chwilę, po czym nieznacznie pochylił głowę. Przeszedł dróżkę i ponownie zniknął wśród gęstej roślinności. Tym razem poruszał się wolno – nie przebijał się przez krzaki jak torpeda, lecz delikatnie rozchylał je na boki. Nadal szedł równolegle do strumienia. Nawet z tego miejsca w gąszczu widział, że był to szerszy strumień niż ten, do którego wpadł razem z Henrym Bowersem.

Pośród krzewów jeżyn znajdował się jeszcze jeden (prawie niewidoczny) betonowy cylinder,

pomrukujący cicho do siebie. Za nim zbocze pagórka opadało do strumienia. Nieopodal zauważył zwalony wiąz, pochylony nad wodą. Jego korzenie, na wpół uwolnione z ziemi przez erozję brzegu, przypominały strąki brudnych włosów.

Z nadzieją, że nie ma tam żadnego robactwa czy węży, ale zbyt znużony i przerażony, żeby się tym przejmować, Ben wsunął się pomiędzy gałęzie i dalej w głąb maleńkiej niszy pod nimi, byle jak najgłębiej. Jakiś korzeń dźgnął go w plecy jak rozzłoszczony palec. Nieznacznie zmienił pozycję i całkiem nieźle wpasował się w niszę pod drzewem. Nadeszli Henry, Belch i Victor. Myślał, że uda mu się ich zmylić i pójdą dalej wzdłuż ścieżki, ale nic z tego. Przez chwilę stali tak blisko niego, że wyciągnąwszy rękę, mógłby ich dotknąć.

– Założę się, że te zakichane szczyle tam dalej na pewno go widziały – powiedział Belch.

– No to sprawdźmy – odparł Henry i zawrócili w stronę, z której przyszli. Niedługo potem Ben usłyszał jego ryk: – Co wy tu, kurwa, robicie, gnoje?

Padła jakaś odpowiedź, ale Ben nie umiał jej rozszyfrować; dzieciaki były zbyt daleko od niego, a za blisko rzeki, Kenduskeag zaś należał

do wyjątkowo głośnych strumieni. Wydawało mu się jednak, że w głosie chłopca wyczuł przerażenie. Solidaryzował się z nim w duchu.

Wtedy Victor Criss wrzasnął coś, czego Ben w ogóle nie zrozumiał.

– Co za pieprzona dziecinna tama!

„Dziecinna tama”? „Dziecina tam”? A może Victor powiedział „dziecinna banda”, tylko Ben przekręcił nieświadomie jedno słowo?

– Rozwalmy ją! – zaproponował Belch.

Dały się słyszeć okrzyki protestu, po których rozległ się krzyk bólu. Ktoś zaczął płakać. Tak. Ben solidaryzował się z tym kimś. Nie udało się im go złapać, ale napotkali po drodze inne dzieciaki, na których mogli wyładować swoją wściekłość.

– Jasne, rozwalmy to – zgodził się Henry.

Pluski. Okrzyki. Głośny obłąkańczy śmiech Belcha i Victora. Pełen wściekłości i rozpaczy krzyk jednego z dzieciaków.

– Gówno mnie obchodzi, co ty tam bełkoczesz, ty mały, zafajdany, głupi jąkało – oznajmił Henry Bowers. – W ogóle dziś gówno mnie wszystko obchodzi.

Głuchy trzask pękającego drewna. Szum strumienia zrobił się głośniejszy i zanim ponownie, jak zawsze, stał się cichym szumem,

na krótką chwilę zmienił się w ochrypły ryk. Nagle Ben zrozumiał. Dziecinna tama – tak, to było to, co powiedział Victor. Te dzieciaki (było ich dwoje lub troje) budowały tamę. Henry i jego kumple po prostu rozwalili ją paroma kopniakami. Ben rozpoznał jednego z tych chłopaków. Jedynym małym, zafajdanym, głupim jąkałą, jakiego znał ze szkoły w Derry, był Bill Denbrough, chodzący do równoległej piątej klasy.

– Nie musiałeś tego robić! – wykrzyknął piskliwy przerażony głosik i Ben z miejsca rozpoznał ten głos, choć nie potrafił dopasować do niego twarzy. – Czemu to zrobiłeś?

– Bo tak mi się podobało, zasrańcu! – odwarknął Henry. Rozległ się głuchy odgłos. Po nim nastąpił krzyk bólu. Potem dał się słyszeć płacz.

– Zamknij się – mruknął Victor. – Ucisz tego ryczącego gnoja, bo poobrywam mu uszy i zawieszę na szyi.

Płacz zmienił się w serię zduszonych chlipnięć.

– Idziemy – powiedział Henry – ale wcześniej chciałbym was o coś spytać. Czy w ciągu ostatnich paru minut widzieliście tu grubego

dzieciaka? Wielkiego tłustego gnoja, całego pokrwawionego i poharatanego?

Odpowiedź, jaka potem nastąpiła, była zbyt krótka na cokolwiek innego prócz „nie”.

– Jesteś pewny? – spytał Belch. – Lepiej, żebyś był, jąkało.

– J-j-jestem p-p-pewny – odrzekł Bill Denbrough.

– Chodźmy – rzucił Henry. – Prawdopodobnie zawrócił tędy.

– Pa, pa, chłopcy! – zawołał Victor Criss. – To była naprawdę dziecinna tama, chłopcy, nic niewarta. Bez niej będzie lepiej, uwierzcie mi.

Głośne chlupnięcie. Ponownie rozległ się głos Belcha, ale tym razem dobiegał z oddali. Ben nie zrozumiał jego słów. Prawdę mówiąc, nie chciał rozumieć. Chłopak, który płakał, znowu się rozryczał. Ten drugi próbował go pocieszyć, uspokoić. Ben uznał, że musiało ich być dwóch – Bill Jąkała i ten drugi, płaksa. Pół siedząc, pół leżąc, przysłuchiwał się dwu chłopcom nad rzeką i cichnącym odgłosom Henry’ego i jego kumpli – dinozaurów przedzierających się przez strumień w stronę drugiego końca Barrens. Promienie słońca zabłysły mu przed oczami i tańczyły drobnymi świetlnymi punkcikami na splątanych korzeniach drzewa, nad nimi i wokół niego. Było

tu brudno, ale jednocześnie swojsko i bezpiecznie.

Szum strumienia działał na niego kojąco. Nawet płacz tamtego dzieciaka w pewnym sensie go uspokajał. Ból w jego ciele zmienił się w tępe ćmienie, a odgłosy dinozaurów ucichły zupełnie. Zamierzał odczekać jeszcze jakiś czas, aby mieć pewność, że odeszli na dobre, i dopiero potem wrócić do domu.

Ben słyszał dochodzące z ziemi pulsowanie i szum mechanizmu odprowadzającego wodę z kanału – ba, on to po prostu czuł – to była miarowa, delikatna wibracja, płynąca z głębi ziemi, poprzez korzenie drzewa, pod którym leżał, aż do jego kręgosłupa. Ponownie pomyślał o Morlokach, ich nagich ciałach, wyobrażał sobie ich zapach, mieszankę wilgoci i ekskrementów, jak smród bijący przez otwory w metalowej pokrywie betonowego cylindra.

Pomyślał o ich kanałach, wydrążonych głęboko w ziemi, kanałach, których ściany zaopatrzone były w przerdzewiałe stalowe drabinki. Zamknął oczy i w którymś momencie jego myśli przemieniły się w sen.

11

Nie śnił o Morlokach. Śnił o tym, co przydarzyło mu się w styczniu i z czego nie chciał zwierzyć się matce. Było to pierwszego dnia szkoły, po długiej świątecznej przerwie. Pani Douglas poprosiła, aby ktoś zgłosił się na ochotnika do pomocy w liczeniu książek, które zostały zwrócone tuż przed feriami. Ben podniósł rękę.

– Dziękuję, Ben – powiedziała pani Douglas, nagradzając go tak serdecznym uśmiechem, że aż się zaczerwienił.

– Lizus – mruknął pod nosem Henry Bowers.

Był to jeden z tych zimowych dni, który w Maine jest zarazem wspaniały i okropny – bezchmurne niebo, tak czyste, że aż bolą oczy, i mróz przenikający do szpiku kości. Temperaturę dwanaście stopni poniżej zera pogarszał jeszcze silny wiatr, chłoszczący wszystko lodowatymi podmuchami.

Ben liczył książki i podawał numery, a pani Douglas zapisywała je (z dumą zauważył, że ani razu nie sprawdziła, czy się nie pomylił), a potem oboje zanieśli książki do magazynu. Szli przez korytarze, których wnętrze wypełniał miły dla ucha szum grzejników.

Z początku cała szkoła była pełna różnych odgłosów – trzasku drzwiczek metalowych szafek, szczęku maszyny do pisania w biurze pani Thomas, nieco atonalnych śpiewów dobiegających z sali, w której odbywały się próby chóru, nerwowego dudnienia koszykarzy grających w sali gimnastycznej i pisku oraz głuchego stukotu ich butów sportowych, kiedy członkowie drużyn mknęli w stronę koszy lub byli ostro zatrzymywani na śliskim, lakierowanym parkiecie. Te odgłosy powoli milkły, a kiedy zakończyli obliczanie zwróconych książek (jednej brakowało, ale to był drobiazg – pani Douglas westchnęła przeciągle), jedynymi dźwiękami, jakie im towarzyszyły, były szum grzejników, ciche szuranie miotły, którą pan Fazio zgarniał kolorowe trociny z podłogi holu, i skowyt wiatru na zewnątrz.

Ben spojrzał w stronę wąskiego okna w pomieszczeniu magazynu i zobaczył, że na zewnątrz robiło się już ciemno. Była czwarta godzina. Nadchodził zmierzch. Wokół oblodzonych przyrządów na placu zabaw unosiła się gęsta chmura wirujących płatków śniegu. Drewniane huśtawki były wmarznięte w ziemię. Dopiero kwietniowe roztopy przełamią te mocne zimowe okowy. Na Jackson Street nie zobaczył

żywej duszy. Patrzył jeszcze przez chwilę, oczekując, że jakiś samochód przejedzie przez pobliskie skrzyżowanie, ale żaden się nie pojawił. Wszyscy w Derry dbali tylko o siebie i dla nich pani Douglas mogła nie żyć albo nawet w ogóle nie istnieć.

Spojrzał w jej stronę i z przerażeniem stwierdził, że ona odczuwała dokładnie to samo w stosunku do niego. Domyślił się tego po wyrazie jej oczu. Były zamyślone i nieobecne, nie jak oczy nauczycielki, ale oczy dziecka. Dłonie miała złożone na piersiach, jak do modlitwy.

Boję się, pomyślał Ben. I ona też się boi, ale czego tak naprawdę się boimy?

Nie wiedział. Wtedy ona spojrzała na niego i roześmiała się krótkim, urywanym śmiechem. Wydawała się nieco zakłopotana.

– Zatrzymałam cię tak długo – powiedziała. – Przepraszam, Ben.

– Nic się nie stało.

Spojrzał na swoje buty. W pewnym sensie ją kochał – nie było to wprawdzie tak szczere i niepohamowane uczucie, jakie żywił do panny Thibodeau, swojej nauczycielki z pierwszej klasy… ale pomimo wszystko kochał ją.

– Gdybym prowadziła samochód, podwiozłabym cię – rzekła – ale nie mam prawa

jazdy. Mój mąż ma po mnie przyjechać mniej więcej kwadrans po piątej. Jeżeli chciałbyś zaczekać, moglibyśmy…

– Nie, dziękuję – odparł Ben. – Do tej pory będę już w domu.

Nie była to prawda, ale żywił jakąś nieokreśloną niechęć do spotkania z mężem pani Douglas.

– Może twoja matka mogłaby…

– Ona też nie ma prawa jazdy – powiedział Ben. – Ale to nic. Mam zaledwie milę do domu.

– Mila to przy ładnej pogodzie nic takiego, ale przy takiej zawiei jak teraz może się strasznie dłużyć. Zajdziesz gdzieś, jeżeli zrobi się zbyt zimno, co, Ben?

– Na pewno. Do Costello’s Market i postoję chwilę przy piecu albo gdzie indziej. Jestem pewny, że pan Gedreau nie będzie miał nic przeciwko temu. No i mam ocieplane spodnie. I nowy szalik, który dostałem na święta.

Pani Douglas jakby trochę się uspokoiła… a potem raz jeszcze spojrzała w stronę okna.

– Wydaje się, że tam, na zewnątrz, jest tak zimno. Tak… tak nieprzyjaźnie.

Nie znał tego słowa, ale bez trudu pojął jego znaczenie. Właśnie przed chwilą coś się stało – ale co?

Nagle zdał sobie sprawę, że patrzył na nią nie jak na nauczycielkę. Właśnie to się stało. Nagle dostrzegł jej twarz z całkiem innej perspektywy i stała się dla niego zupełnie nowa – to była twarz zmęczonej poetki. Widział ją wracającą do domu z mężem, siedzącą obok niego w samochodzie, ze złożonymi na podołku dłońmi, podczas gdy on, przy wtórze szumu silnika, opowiadał jej, jak mu minął dzień. Widział ją przygotowującą dla nich kolację. I nagle zapragnął zapytać: Czy ma pani dzieci, pani Douglas?

– O tej porze roku często myślę, że ludzie nie powinni mieszkać tak daleko od równika – powiedziała. – W każdym razie tu, na tej szerokości geograficznej. – A potem się uśmiechnęła i wrażenie niezwykłości ją opuściło (albo jego) i od tej pory widział ją taką jak zawsze.

Już nigdy więcej nie zobaczysz jej w ten sposób, w każdym razie nie do tego stopnia, pomyślał z konsternacją.

– Aż do wiosny będę się czuła staro, a potem znów odżyję. Tak jest co roku. Na pewno nie chcesz zaczekać, Ben?

– Nie, dziękuję.

– Tak myślałam. Uważaj na siebie. Jesteś dobrym chłopcem, Ben. – Ponownie spuścił

wzrok i zaczerwienił się. W tej krótkiej chwili kochał ją bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

W korytarzu, nie unosząc wzroku znad szczotki, pan Fazio rzekł:

– Uważaj na odmrożenia, chłopcze.

– Będę uważał.

Dotarł do swojej szafki, otworzył ją i wyjął z niej ocieplane spodnie. Nie był zadowolony, kiedy matka poleciła mu, aby wkładał je w wyjątkowo zimne dni, gdyż uważał, że te spodnie dobre są dla dziecka, a nie dla niego, lecz tego popołudnia cieszył się, że mógł je włożyć. Podszedł wolno do drzwi, zapiął kurtkę, ściągnął mocno sznurki kaptura i naciągnął rękawiczki. Wyszedł i stanął na chwilę na ośnieżonym górnym stopniu schodów, nasłuchując, jak drzwi za jego plecami zamykają się i zatrzaskują z głuchym szczękiem. Zaczepy przy lince flagowej masztu zgrzytały i wybijały jakiś dziwny, upiorny rytm na metalowym słupie. Wiatr omiótł ciepłą, nieprzygotowaną na tak nagłą zmianę temperatury skórę na twarzy Bena, niemal kompletnie pozbawiając ją czucia.

„Uważaj na odmrożenia, chłopcze”.

Szybko naciągnął szalik na twarz; wyglądał teraz jak gruba karykatura Czerwonego Kapturka. To mroczne niebo miało w sobie

posmak jakiegoś niezwykłego piękna, ale Ben nie zatrzymał się, aby je podziwiać – było na to za zimno. Ruszył przed siebie.

Z początku miał wiatr w plecy i cała sytuacja przedstawiała się nie najgorzej, prawdę mówiąc, ten wiatr w pewnym sensie nawet go trochę popychał. Jednakże przy Central Street musiał skręcić w prawo i iść dalej pod wiatr. Teraz miał wrażenie, że wichura chce go zatrzymać… jakby miała z nim na pieńku i zamierzała wyrównać rachunki. Szalik okazał się skuteczny, ale tylko do pewnego stopnia. Jego oczy łzawiły, a śluz w nosie zaczął z wolna zamarzać. Nogi poczęły drętwieć. Kilkakrotnie włożył dłonie pod pachy, aby je ogrzać. Wiatr huczał i wył; czasami nawet mogło się wydawać, że w jego poszumie brzmi jakaś ludzka nuta.

Ben czuł się zarazem przerażony i rozbawiony. Przerażony, bo właśnie teraz zrozumiał sens kilku przeczytanych opowiadań, takich jak *To Build a Fire* Londona, w których ludzie po prostu zamarzali na śmierć. W taką noc jak ta perspektywa zamarznięcia wydawała się aż nadto prawdopodobna. Mróz był wyjątkowo siarczysty. Trudno było wyjaśnić kwestię rozbawienia Bena. To było uczucie samotności, uczucie pewnego rodzaju melancholii. Był na

zewnątrz. Mknął na skrzydłach wiatru i żaden z ludzi za jasno oświetlonymi prostokątami okien nie mógł go zobaczyć. Oni byli wewnątrz, w swoich domach, gdzie królowały światło i ciepło. Nie wiedzieli, że ich mijał. Tylko on o tym wiedział. Była to jego tajemnica. Podmuchy wiatru cięły niczym niewidzialne igły, ale powietrze było rześkie i czyste. Obłoczki pary wypływały mu z nosa małymi kłębami.

Kiedy nadszedł zmierzch, po zachodniej stronie horyzontu pojawiła się długa, zimna, pomarańczowożółta linia umierającego dnia, a nad jego głową rozbłysły pierwsze gwiazdy, połyskujące niczym maleńkie okruchy diamentów. Dotarł do kanału. Był teraz zaledwie o trzy przecznice od domu i przepełniała go chęć ponownego poczucia ciepła na twarzy i nogach oraz odzyskania normalnego krążenia krwi, przy wtórze jedynych w swoim rodzaju ciarek. Mimo to się zatrzymał.

Wody kanału przepływające wzdłuż betonowych nabrzeży pokrywała lodowa powłoka przypominająca kożuch na mleku, spękany i o nierównej powierzchni. Strumień pomimo unieruchomienia tętnił życiem w słabym świetle zimowego zmierzchu i był

obdarzony swoistym, trudnym do zdefiniowania pięknem.

Ben skręcił na południowy zachód w stronę Barrens. Kiedy obrał ten kierunek, ponownie miał wiatr w plecy. Jego podmuchy chłostały bezlitośnie materiał spodni chłopca, które trzepotały niczym flaga na wietrze.

Kenduskeag płynął wzdłuż wybetonowanego nabrzeża kanału około pół mili – potem beton się kończył i strumień wlewał się na teren Barrens, które o tej porze roku stanowiło upiorny świat szkieletów skutych lodem krzaków jeżyn i sterczących nagich gałęzi.

Tam w dole, na lodzie, stała jakaś postać.

Ben spojrzał na nią i pomyślał: Owszem, tam na dole może być jakiś człowiek, ale czy to możliwe, żeby miał na sobie strój, który wydaje mi się, że ma? To niemożliwe, no nie?

Postać miała na sobie coś, co przypominało srebrzystobiały strój klowna. Wiatr rozdymał go z każdym kolejnym podmuchem. Nogi zdobiły olbrzymie pomarańczowe buty, które harmonizowały z pomarańczowymi guzikami-pomponami zdobiącymi przód jego kostiumu. W jednej ręce klown trzymał pęk sznurków, na których były uwiązane różnokolorowe balony, a kiedy Ben zauważył, że te balony zaczęły

płynąć w jego stronę, poczuł, że ogarnia go jeszcze większy niepokój. Czuł się niepewnie jak nigdy dotąd. Zamknął oczy, przetarł je i otworzył. Zdawało się, że balony nadal napływają w jego stronę.

Usłyszał pod czaszką głos pana Fazio: „Uważaj na odmrożenia, chłopcze”. To musiała być halucynacja albo miraż wywołany nagłym kaprysem pogodowym. Owszem, tam na lodzie mógł się znajdować jakiś człowiek, ba, praktycznie rzecz biorąc, mógł on być nawet ubrany w strój klowna. Ale balony nie mogły napływać w stronę Bena, pod wiatr. A wyglądało na to, że tak właśnie było.

– Ben! – zawołał klown stojący na lodzie. Ben miał wrażenie, że ten głos rozległ się tylko w myślach, choć wydawało mu się, że po prostu go usłyszał. – Chcesz balonik, Ben?

W tym głosie było coś tak złego, tak potwornego, że Ben miał ochotę obrócić się na pięcie i uciec, gdzie pieprz rośnie, ale jego nogi wydawały się jak gdyby przyspawane do chodnika – przymarznięte do ziemi, jak huśtawki na szkolnym placu zabaw.

– One unoszą się w powietrzu, Ben! One wszystkie pływają w powietrzu! Sprawdź i zobacz sam!

Klown zaczął iść po lodzie w stronę mostu na kanale, na którym znajdował się Ben. Ben patrzył, jak tamten się zbliżał, stojąc w kompletnym bezruchu. Patrzył na niego jak ptak na zbliżającego się węża. Balony powinny popękać na mrozie, ale nie popękały. Unosiły się nad i przed klownem, podczas gdy powinny być znoszone wiatrem do tyłu, w stronę Barrens, skąd – jak w głębi duszy przypuszczał Ben – wyłoniła się tajemnicza postać. I wtem Ben zauważył jeszcze jeden szczegół. Choć ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na skutą lodem powierzchnię kanału, klown nie rzucał cienia. W ogóle.

– Spodoba ci się tu, Ben – rzekł klown. Teraz był już tak blisko, że Ben słyszał klapanie, które wydawały olbrzymie buty klowna, kiedy ten stąpał po nierównym lodzie. – Spodoba ci się tu, przyrzekam. Wszystkim chłopcom i dziewczynkom, których spotkałem, tu się podoba, bo to miejsce to jak Wyspa Przyjemności z *Pinokia* i Nibylandia z *Piotrusia Pana*; one nie muszą dorosnąć, a to jest wszystko, czego pragnie każde dziecko! Chodź więc! Oglądaj widoki, weź sobie balonik, karm słonie, baw się na zjeżdżalni! Spodoba ci się tu, och, Ben, spodoba ci się na pewno, będziesz mógł pływać do woli…

I pomimo ogarniającego go strachu Ben zdał sobie sprawę, że część niego chciała dostać balonik. Jaki człowiek miał balon, który potrafił pływać na wietrze? Kto w ogóle słyszał o czymś takim? Tak – chciał dostać balonik i chciał zobaczyć twarz klowna, który pochylony wpatrywał się w lód jak ktoś, kto walczy z napierającą nań potworną wichurą.

Ben nie wiedział… a może nie chciał wiedzieć, co by się stało, gdyby właśnie wtedy nie rozległ się dźwięk syreny Derry Town Hall. Najważniejsze było to, że syrena w ogóle zabrzmiała, a jej przenikliwy dźwięk przeszył mroźne wieczorne powietrze niczym ostrze kolca do lodu. Klown uniósł wzrok, jakby go to zaskoczyło, i wtedy Ben zobaczył jego twarz.

Mumia! O mój Boże, to mumia! – pomyślał, a zgroza, jaka nim zawładnęła w tej samej chwili, zmusiła go, aby z całych sił oburącz uchwycił poręcz mostu. Gdyby tego nie zrobił, najprawdopodobniej by zemdlał. Oczywiście to nie była mumia, to nie mogła być mumia. Istniało co prawda wiele egipskich mumii, wiedział o tym, ale od razu pomyślał, że to właśnie ta mumia – pokryty warstwą piachu i kurzu potwór grany przez Borisa Karloffa w starym filmie,

który oglądał jednego wieczoru w zeszłym miesiącu.

Nie, to nie była ta mumia, to nie mogła być ona, bo przecież wszyscy wiedzieli, że filmowe potwory nie są prawdziwe. Nawet małe dzieci to wiedzą. Niemniej…

Klown nie miał na sobie charakteryzacji ani nie był ot tak, po prostu, owinięty paroma zwojami bandaży. Miał na sobie bandaże, głównie na klatce piersiowej, szyi i nadgarstkach, bandaże, które łopotały na wietrze, ale Ben widział bardzo wyraźnie twarz klowna. Pokrywały ją głębokie bruzdy, skóra stanowiła pergaminową mapę zmarszczek, policzki były w strzępach, a ciało wyglądało jak wysuszone. Skóra na czole została rozdarta, ale nie dostrzegał krwi. Martwe usta wykrzywiały się w uśmiechu, odsłaniając poczerniałe zęby przypominające nagrobki. W czarnych dziąsłach potwora Ben ujrzał wgłębienia. Nie widział oczu, ale w mrocznych jamach pomarszczonych oczodołów błyszczało coś, co mogło się kojarzyć z zimnymi klejnotami, z których wykonywano oczy skarabeuszy.

I choć wiatr wiał w przeciwną stronę, Ben miał wrażenie, że poczuł woń cynamonu, przypraw korzennych i gnijących bandaży

pokrytych dziwacznymi maściami, piaskiem i krwią tak starą, że jej zaschnięte skrzepy przypominały płatki i ślady rdzy.

– Tu na dole wszyscy pływamy – skrzeknął klown-mumia i Ben znowu poczuł ogarniające go przerażenie, gdyż dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tamten w jakiś sposób zdołał dotrzeć do mostu i był teraz tuż pod nim, sięgając w górę swoją wysuszoną i powykrzywianą ręką, z której zwisały łopoczące niczym proporce strzępy i płaty skóry, ręką, w której można było zobaczyć wystające kawałki pożółkłych kości. Jeden palec, praktycznie całkowicie pozbawiony ciała, delikatnie musnął koniuszek jego buta. Paraliż Bena prysnął. Przebiegł przez most, wciąż mając w uszach gwizd syreny, który ucichł dopiero wówczas, gdy chłopiec znalazł się po drugiej stronie kanału. To musiało być złudzenie. Po prostu musiało.

Klown nie mógł przebyć tak długiego dystansu w ciągu dziesięciu, piętnastu sekund trwania dźwięku syreny. Ale strach Bena nie był złudzeniem. Podobnie jak gorące łzy spływające z oczu i natychmiast zamarzające na policzkach. Biegł – jego buty dudniły na chodniku, a z tyłu za sobą słyszał odgłosy mumii w kostiumie klowna, wypełzającej z kanału, dźwięk prastarych,

skamieniałych paznokci drapiących o metal, starych ścięgien skrzypiących jak nienaoliwione zawiasy. Słyszał przeciągły świst suchego oddechu tej istoty, który kojarzył mu się z pozbawionymi wilgoci korytarzami wielkiej piramidy. Czuł woń olejków i maści, którymi natarte były bandaże, i wiedział, że lada chwila ręce mumii, suche, kościste i pozbawione ciała, jak elementy jego zestawów konstrukcyjnych, zacisną mu się na ramionach. A potem odwrócą go i jego wzrok padnie na tę pomarszczoną, uśmiechniętą twarz. Oblicze Bena omiecie martwa rzeka oddechu stwora. Mumia pochyli nad nim głowę z ziejącymi jamami czarnych oczodołów, wewnątrz których płonie niezwykły, upiorny blask. Bezzębne usta otworzą się, a on dostanie swój balonik. O tak. Dostanie tyle balonów, ile tylko zechce.

Ale kiedy dotarł do rogu ulicy, na której mieszkał, zdyszany i płaczący, z sercem wywijającym dziwne hołubce i dudniącym mu w uszach, kiedy w końcu obejrzał się przez ramię, ulica była pusta. Łukowaty mostek okolony betonowym nabrzeżem i staromodny brukowany chodnik również były puste. Nie widział samego kanału, ale czuł, że tam na dole także nie dostrzegłby żywej duszy. Nie, bo jeżeli

mumia nie była złudzeniem czy halucynacją, jeżeli istniała naprawdę, czekałaby pod mostem niczym troll z *Bajki o trzech małych kózkach*. Pod mostem.

Czyhając, ukrywając się.

Ben przyspieszył kroku. Co chwila oglądał się za siebie, dopóki w końcu nie dotarł do domu. Tu, po zamknięciu za sobą drzwi i zatrzaśnięciu zasuwy, poczuł się wreszcie bezpieczny. Wyjaśnił matce – która miała wyjątkowo ciężki dzień w pracy i praktycznie nie zdążyła odczuć jego nieobecności – że pomagał pani Douglas w liczeniu książek. Potem zasiadł do obiadu i zjadł porcję klusek oraz resztki niedzielnego indyka. Wmusił w siebie trzy dokładki i stopniowo wizja mumii zaczęła stawać się coraz bardziej odległa. Ona nie była prawdziwa; ożywają tylko pomiędzy reklamówkami telewizyjnego kina nocnego albo sobotnich seansów kinowych, gdzie jeżeli miałeś fart, za ćwierć dolca mogłeś obejrzeć dwa filmy z potworami, a mając jeszcze jedną ćwiartkę, nabyć tyle prażonej kukurydzy, ile tylko mogłeś zjeść. Nie, zarówno telewizyjne, jak i kinowe potwory nie były prawdziwe. Tak samo potwory z komiksów. Owszem, tak było, ale dopóki nie położyłeś się do łóżka i nie zasnąłeś, dopóki nie

zjadłeś ostatnich czterech cukierków, które zawsze trzymałeś pod poduszką dla ochrony przed upiorami, dopóki twoje łóżko nie zaczynało się zmieniać w jezioro okropnych snów, wiatr za oknem zawodził jak potępiona dusza, a ty bałeś się spojrzeć w okno, bo mogłeś w nim zobaczyć twarz – prastarą, uśmiechniętą twarz, która nie była przeżarta zgnilizną, tylko zwyczajnie wysuszona jak stary liść, z oczyma błyszczącymi niczym okruchy diamentu z głębi zapadniętych, ziejących czernią oczodołów. Tak było, dopóki nie zobaczyłeś pokrytej strzępami skóry, kościstej dłoni trzymającej pęk balonów: „Oglądaj widoki, weź sobie balonik, karm słonie, baw się na zjeżdżalni! Ben, och, Ben, będziesz mógł pływać do woli…”.

12

Ben obudził się, chwytając głęboko powietrze. Wciąż miał przed oczami twarz mumii, a mrok panujący wokół niego, przenikany delikatną wibracją, wzmagał jeszcze uczucie paniki. Wzdrygnął się i wystająca gałąź ponownie dźgnęła go w plecy, jakby w przypływie irytacji.

Zobaczył światło i skierował się w jego stronę. Wyczołgał się na zewnątrz, gdzie królowały popołudniowe słońce i szum strumienia,

i wszystko powróciło do normalności. Było lato – nie zima. Mumia nie zaniosła go do swojej krypty na pustyni. Ben po prostu schował się przed trzema starszymi chłopakami w piaszczystym dole pod na wpół zwalonym drzewem. Był w Barrens. Henry i jego kumple wrócili do miasta, wyżywając się uprzednio na dwóch dzieciakach bawiących się przy strumieniu, gdyż nie udało im się znaleźć Bena i ulżyć sobie tak, jak by tego chcieli.

„Pa, pa, chłopcy. To była naprawdę dziecinna tama, chłopcy, nic niewarta. Bez niej będzie lepiej, uwierzcie mi”.

Ben obrzucił ponurym spojrzeniem swoje poszarpane ubranie. Mama na pewno nieźle go za to obsztorcuje. Zdrzemnął się dostatecznie długo, żeby zesztywnieć. Ześlizgnął się po zboczu, a potem krzywiąc się przy każdym kroku, ruszył wzdłuż strumienia. Był jednym wielkim kłębkiem bólu, czuł się jak Spike Jones, któremu przyszłoby grać szybką melodię, mając zamiast większości mięśni potłuczone szkło pod skórą. Każdy cal jego odsłoniętego ciała zdawał się pokryty zakrzepłą albo krzepnącą krwią.

Budowniczowie tamy i tak na pewno już dawno poszli, pocieszał się w duchu. Nie był pewny, jak długo spał, ale nawet jeśli drzemka

trwała pół godziny, spotkanie z Henrym i jego kumplami z pewnością przekonało Denbrough i jego kolegę, że byłoby dla nich zdrowiej, gdyby wynieśli się stąd, gdzie pieprz rośnie, do Timbuktu, a może jeszcze dalej.

Ben kuśtykał przed siebie, wiedząc, że gdyby tamci trzej powrócili do Barrens, nie miałby najmniejszych szans, aby przed nimi uciec. Nie obchodziło go to. Okrążył zakole strumienia i zatrzymał się na chwilę. Patrzył przed siebie. Budowniczowie tamy wciąż jeszcze stali przy strumieniu. Jednym z nich był rzeczywiście Bill Denbrough, zwany Jąkałą. Klęczał obok drugiego chłopca, który siedział nad brzegiem strumienia, opierając się plecami o nasyp. Głowa tego drugiego chłopaka była odrzucona do tyłu tak mocno, że jego grdyka wyglądała jak trójkątny korek. Miał ślady skrzepniętej krwi pod nosem, na brodzie i szyi. W jednej ręce trzymał luźno coś białego.

Bill Jąkała obejrzał się gwałtownie i zobaczył stojącego nieopodal Bena. Z chłopakiem siedzącym na brzegu coś było nie tak. Denbrough był blady jak płótno i najwyraźniej śmiertelnie przerażony. Ben pomyślał ze smutkiem: Czy ten dzień nigdy się nie skończy?

– Zastanawiam się, cz-czy m-mógłbyś m-mi pomóc – rzekł Bill Denbrough. – J-j-jego a-a-aspirator jest p-p-pusty. Myślę, że o-o-on… – Jego twarz pokryła się rumieńcem. Usiłował wypowiedzieć to słowo, jąkając się przy tym jak karabin maszynowy. Ślina prysnęła mu z ust i dopiero gdy przez dobre trzydzieści sekund wypluwał z siebie „u-u-u-u”, Ben domyślił się, co Denbrough próbował mu powiedzieć: że ten chłopiec umiera.

ROZDZIAŁ 5
Bill Denbrough pokonuje diabła (I)

1

Czuję się jak cholerny kosmonauta, myśli Bill Denbrough. Równie dobrze mógłbym się znajdować we wnętrzu kuli wystrzelonej z rewolweru. Myśl ta, choć w pełni prawdziwa, nie dodaje mu otuchy. Prawdę powiedziawszy, przez pierwszą godzinę od startu concorde'a (prędzej pasowałby tu zwrot „wzbicia się w powietrze") z lotniska Heathrow próbuje zwalczyć w sobie uczucie narastającej klaustrofobii. Samolot jest wąski, tak wąski, że wzbudza to w człowieku niepokój. Posiłek jest niemal wyborny, ale obsługa, która go serwuje, musi w tym celu nieźle się nawyginać, naschylać

i naskręcać niczym trupa gimnastyków. Patrzenie na ich wysiłki odbiera Billowi przyjemność czerpaną z jedzenia posiłku, choć jego sąsiadowi to najwyraźniej nie przeszkadza.

Współpasażer to jeszcze jeden minus tego lotu. Jest gruby i niezbyt czysty – woda kolońska, której używa, to najprawdopodobniej Ted Lepidus, ale pod jej zapachem Bill wyczuwa wyraźny odór potu i brudu. Poza tym tamten nie zwraca zbytniej uwagi na swój lewy łokieć i co jakiś czas uderza nim Billa przy wtórze miękkiego plaśnięcia.

Jego oczy raz po raz wędrują ku elektronicznemu wskaźnikowi z przodu kabiny. Teraz pokazuje prędkość, z jaką mknie ten brytyjski pocisk. Obecnie, kiedy concorde osiąga typową dla siebie prędkość przelotową, przekracza ona dwa machy. Bill wyciąga z kieszeni długopis i końcem przyciska guziczki na swoim zegarku z kalkulatorem, który dostał od Audry na gwiazdkę w zeszłym roku. Jeżeli machometr się nie myli – a Bill nie ma powodu, by tak sądzić – to znaczy, że mkną teraz z prędkością osiemnastu mil na minutę. Bill nie jest pewny, czy to informacja, na której szczególnie mu zależało.

Za małym okienkiem o grubej szybie, jak w starych kapsułach kosmicznych, dostrzega niebo, które nie jest niebieskie, lecz ma barwę purpury, oznaczającą zmierzch, choć to jeszcze środek dnia.

W miejscu, gdzie morze i ziemia łączą się z sobą, widzi, że linia horyzontu się lekko zakrzywia.

Siedzę tu, myśli Bill, ze szklaneczką krwawej mary w dłoni, tłusty, brudny facet wali mnie łokciem w biceps, a ja przyglądam się krzywiźnie Ziemi. Uśmiecha się nieznacznie, myśląc, że facet, który potrafi stawić czoło czemuś takiemu, nie powinien się niczego obawiać. Ale on się boi i jego strach nie wynika tylko z faktu, że leci z prędkością osiemnastu mil na minutę zamknięty w tej wąskiej, kruchej skorupie. Prawie czuje, jak Derry sunie w jego stronę. Tak, to najwłaściwsze określenie. Niezależnie od tego, czy leci z prędkością osiemnastu mil na minutę, czy też nie, odczuwa to zupełnie tak, jakby stał w miejscu, a Derry sunęło w jego stronę niczym jakiś potężny drapieżnik, któremu znudziło się już wyczekiwanie na ofiarę i który zdecydował się opuścić swoją kryjówkę. Derry, ach, Derry! Czy mamy napisać odę do Derry? Opisać smród ścieków i odpadów z fabryki? Dostojną ciszę

okolonych drzewami ulic? Bibliotekę? Stację pomp? Bassey Park? Podstawówkę? Barrens?

W jego głowie rozbłyskują światła – potężne lampy Kliega. Zupełnie jakby przez dwadzieścia siedem lat siedział w mrocznym wnętrzu kina, czekając, aż coś się stanie, i wreszcie miał rozpocząć się seans. Film leci, klatka po klatce, i nie jest to stara niegroźna komedyjka – jak *Arszenik i stare koronki*. Billowi Denbrough bardziej kojarzy się z *Gabinetem doktora Caligari*.

Wszystkie te historie, które napisałem, myśli z głupawym rozbawieniem, wszystkie te powieści pochodzą z Derry. Bo Derry to źródło. One pochodzą z tego, co zdarzyło się owego lata, i z tego, co stało się z George'em jesienią poprzedniego roku. Wszyscy dziennikarze zawsze zadawali mi to pytanie… a ja udzielałem im błędnej odpowiedzi.

Łokieć grubasa znów wbija się w jego ramię i pod wpływem uderzenia rozlewa trochę swego drinka. Bill ma już coś powiedzieć, ale w końcu zmienia zamiar.

Tym pytaniem było rzecz jasna: „Skąd bierze pan pomysły do swoich książek?". Bill przypuszczał, że na to pytanie wszyscy powieściopisarze musieli odpowiadać (lub przynajmniej udawać, że odpowiadają)

przeciętnie dwa razy w tygodniu, ale facet taki jak on, żyjący z opisywania rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły (i nie zdarzą), musiał na nie odpowiadać (lub przynajmniej udawać, że odpowiada) o wiele częściej.

– Wszyscy pisarze mają w sobie coś na kształt rurociągu prowadzącego do podświadomości – mówił im, nie nadmieniając, rzecz jasna, że z każdym rokiem coraz bardziej wątpił w istnienie czegoś, co nazywa się podświadomością. – Ale mężczyzna czy kobieta piszący horrory mają ten rurociąg jeszcze dłuższy, tak że sięga, można by rzec, do podpodświadomości.

Całkiem zgrabna odpowiedź, ale w gruncie rzeczy nigdy w to nie wierzył. Podświadomość? Cóż, tam na dole rzeczywiście coś było, ale Bill uważał, że ludzie nadmiernie przeceniali funkcję, która stanowi zapewne mentalny odpowiednik łzawienia oczu, kiedy wpadnie do nich drobinka pyłu, czy puszczania bąków godzinę lub dwie po obfitym posiłku. Ta druga metafora była najprawdopodobniej trafniejsza, ale nie możesz przecież powiedzieć dziennikarzom, że w twoim rozumieniu sny, mgliste pragnienia i wrażenia w rodzaju déjà vu

są niczym więcej, jak tylko serią mentalnych pierdnięć.

Jednakże wszyscy ci pismacy ze swymi notesami i małymi japońskimi dyktafonami sprawiali wrażenie, jakby gorączkowo czegoś pragnęli, a Bill chciał im pomóc – przynajmniej na tyle, na ile zdoła. Wiedział, że pisanie było ciężką, cholernie ciężką pracą. Nie miał zamiaru utrudniać im roboty wypowiedziami w stylu: Przyjacielu, równie dobrze mógłbyś mnie zapytać, skąd się biorą dziury w serze.

Myśli teraz: Zawsze wiedziałeś, że zadawali ci niewłaściwe pytanie. Zawsze, zanim jeszcze zadzwonił Mike. Teraz już wiesz, jak powinno brzmieć prawdziwe pytanie. Nie skąd czerpiesz swoje pomysły, ale dlaczego masz te pomysły. Rurociąg rzeczywiście istniał, ale nie docierał do podświadomości we freudowskim czy jungowskim rozumieniu tego określenia. Nie było żadnego wewnętrznego systemu kanalizacyjnego umysłu, żadnych podziemnych jaskiń pełnych Morloków, które tylko czekają na okazję, by się uwolnić.

Po drugiej stronie rurociągu nie było nic oprócz Derry. Tylko Derry. I… i „kto tam tupta, tupiąc po moim mostku?”.

Gwałtownie prostuje się na siedzeniu i tym razem to jego łokieć zatacza krótki łuk; wbija go w bok swego współtowarzysza podróży.

– Uważaj no, koleś – mówi grubas. – Siedzenia są bardzo blisko, kapujesz.

– Przestań p-pan walić mnie ł-łokciem, to i ja p-przestanę.

Gruby patrzy na niego z niedowierzaniem, jakby chciał powiedzieć: „O czym ty, do diabła, mówisz?”.

Bill patrzy na niego, dopóki tamten nie odwróci wzroku, mrucząc coś pod nosem.

„Kto tam?”. „Kto tam tupta, tupiąc po moim mostku?”.

Ponownie wygląda przez okno i myśli: Walczymy z diabłem.

Na jego ramionach i karku pojawia się gęsia skórka. Wypija resztę drinka jednym łykiem. I ponownie w jego umyśle rozbłyska światło. Silver. Jego rower. Właśnie tak go nazwał, po koniu Samotnego Jeźdźca. Wielki schwinn wysoki na dwadzieścia osiem cali.

– Zabijesz się na nim, Billy – powiedział do niego ojciec, ale bez odrobiny zmartwienia w głosie. Od śmierci George’a rzadko kiedy czymś się przejmował. Przedtem był twardy. Sprawiedliwy, ale twardy. Od tamtego dnia jakby

w ogóle przestał istnieć. Starał się zachowywać jak ojciec, ale to, co robił, było jedynie wystudiowaną grą, zwyczajnym udawaniem. Tak jakby przez cały czas czekał na powrót George'a do domu.

Bill zobaczył rower w oknie sklepu Bike and Cycle Shoppe przy Center Street. Stał ponuro wsparty na swojej stopce, wyższy od reszty rowerów na wystawie, matowy, podczas gdy tamte były lśniące, prosty tam, gdzie inne były zgięte, zgięty tam, gdzie inne były proste. O jego przednią oponę oparta była kartka z napisem:

ROWER UŻYWANY
Wstąp – złóż ofertę

Stało się jednak tak, że kiedy Bill wstąpił do sklepu, to właściciel złożył jemu ofertę, a Bill ją przyjął. Nie potrafiłby targować się z właścicielem sklepu, nawet gdyby zależało od tego jego życie, a cena – dwadzieścia cztery dolary – wydawała się Billowi niezbyt wygórowana, ba, nawet niska.

Zapłacił za Silvera pieniędzmi, które zaoszczędził przez ostatnie siedem miesięcy – pieniędzmi, które otrzymał na urodziny, na święta i za strzyżenie trawnika. Zauważył ten

rower na wystawie przed Świętem Dziękczynienia. Zapłacił za niego i kiedy tylko śnieg stopniał, odprowadził go do domu. To zabawne, bo do zeszłego roku w ogóle nie myślał o tym, aby mieć rower. Ten pomysł nawiedził go nieoczekiwanie któregoś dnia po śmierci George'a. Po tym, jak George został zamordowany.

Na początku mało brakowało, a Bill przypłaciłby życiem swój zakup. Pierwsza przejażdżka na nowym rowerze zakończyła się upadkiem; Bill zrobił to celowo, aby nie wpakować się na płot na końcu Kossuth Lane (bał się nie tyle wjechania na płot, ile przebicia go i upadku sześćdziesiąt stóp niżej, do Barrens). Wyszedł z tego z pięciocalową raną na lewej ręce biegnącą od nadgarstka do łokcia. Niecały tydzień później nie zdążył zahamować na czas i z prędkością około trzydziestu pięciu mil na godzinę przeleciał przez skrzyżowanie Witcham i Jackson; mały dzieciak na zakurzonym szarym mamucim rowerze (Silver był srebrny tylko przy maksymalnej wyobraźni) mknący przy wtórze ryku plastikowych kart zamocowanych przy szprychach obu kół, i gdyby akurat w tym momencie nadjechał jakiś samochód, zabiłby go jak amen w pacierzu. Byłby trupem, tak samo jak

George. Z nadejściem wiosny pomału zaczął uczyć się kontrolować Silvera. Do tej pory żadne z jego rodziców nie zdawało sobie sprawy, że ich latorośl usiłowała popełnić samobójstwo, używając do tego celu roweru. Miał wrażenie, że po paru pierwszych dniach w ogóle przestali zauważać jego rower – dla nich był to zwykły stary grat z odpryskującą farbą, który w deszczowe dni stał oparty o ścianę garażu.

Silver jednak był czymś więcej niż tylko starym gratem. Nie wyglądał zbyt szykownie, ale mknął niczym wiatr. Przyjaciel Billa – jego jedyny prawdziwy przyjaciel Eddie Kaspbrak – był specem od mechaniki. Pokazał Billowi, jak przywrócić rower do stanu używalności – które śruby należy dokręcić mocniej i regularnie sprawdzać, gdzie oliwić zębatkę, jak nałożyć łańcuch i jak powinien nakleić łatkę na oponę Silvera, gdyby zdarzyło mu się złapać gumę.

„Powinieneś go pomalować”, powiedział mu Eddie któregoś dnia, ale Bill nie chciał malować Silvera. Z jakichś niewiadomych nawet dla niego powodów chciał, aby został taki, jaki był. Wyglądał obskurnie, jakby jego właściciel był na tyle nieostrożny, że często zdarzało mu się zostawiać rower na trawniku podczas deszczu; maszyna sprawiała wrażenie jednej wielkiej

przerdzewiałej kupy złomu, zgrzytającej, chrzęszczącej i brzęczącej przy byle poruszeniu. Wyglądała marnie, ale mknęła niczym wiatr.

– Mogłaby… mogłaby pokonać samego diabła – mówi na głos i wybucha śmiechem. Jego gruby współtowarzysz obrzuca go natychmiast przenikliwym spojrzeniem. To był ten sam śmiech, który wcześniej tak wystraszył Audrę.

Tak, wyglądał dość tandetnie ze swoją starą łuszczącą się farbą, staroświeckim koszem bagażnika nad tylnym kołem i trąbką z czarną gumową gruszką, trąbką przymocowaną na stałe do kierownicy za pomocą zardzewiałej śruby wielkości pięści dziecka. Tak. To dość tandetne. Ale czy Silver potrafił jeździć? Czy potrafił? Chryste Panie!

I dobrze, że tak było, bo w czwartym tygodniu czerwca 1958 roku uratował Billowi życie. Było to tydzień po tym, jak Bill poznał Bena Hanscoma, tydzień po tym, jak on, Ben i Eddie wspólnie zbudowali tamę, tydzień po tym, jak Ben, Richie „Niewyparzona Gęba” Tozier i Beverly Marsh zjawili się w Barrens po sobotnim seansie kinowym. Tego dnia, kiedy Silver uratował życie Billowi, na bagażniku siedział również Richie Tozier, a więc najprawdopodobniej rower uratował i jego.

Przypomniał sobie dom, z którego uciekali. O tak, teraz pamiętał go doskonale. Ten cholerny dom przy Neibolt Street.

Tego dnia stanął do wyścigu z samym diabłem – to było bardziej niż pewne. Walczył z diabłem o oczach lśniących jak błyszczące monety. Z włochatym diabłem o paszczy pełnej zakrwawionych zębów. O tym jednak później. Jeżeli więc Silver uratował wówczas życie jemu i Richiemu, to może uratował również Eddiego Kaspbraka w dniu, kiedy Bill i Eddie spotkali Bena przy szczątkach ich tamy w Barrens. Henry Bowers, który wyglądał, jakby ktoś wyrzucił go do zsypu na śmieci, rozwalił Eddiemu nos, a wtedy Eddie dostał gwałtownego ataku astmy i okazało się, że jego aspirator był pusty. Pozostawał jedyny ratunek – Silver.

Bill Denbrough, który nie siedział na rowerze od blisko siedemnastu lat, wygląda przez okno samolotu, o którym w 1958 roku nikomu poza pisarzami science fiction jeszcze się nie śniło. Hej-ho, Silver, naprzóóóód! – myśli, i nagle musi zamknąć oczy, bo czuje, że zaczynają się w nich pojawiać łzy. Co się stało z Silverem? Nie może sobie przypomnieć. Ten szczegół wciąż jeszcze skrywa mrok niepamięci – musi czekać na błysk.

Może tak jest lepiej. Może to swego rodzaju miłosierny gest.

Hej-ho. Hej-ho, Silver.

2

– Naprzóóóód! – krzyknął. Wiatr zgarnął jego słowa do tyłu ponad ramieniem jak trzepoczącą bibułkową wstęgę. To były głośne słowa, miały w sobie moc niczym triumfalny okrzyk. Jedyne słowa, przy których nigdy się nie zająknął.

Pedałował wzdłuż Kansas Street w stronę miasta, powoli nabierając prędkości. Silver, jak się już rozkręcił, mknął, że aż miło, ale trzeba było się sporo namęczyć, żeby go rozpędzić. Patrzenie, jak szary rower nabiera prędkości, przypominało obserwowanie wielkiego samolotu sunącego po pasie startowym. W pierwszej chwili w ogóle nie mogłeś uwierzyć, że ta wielka chybocząca się machina może oderwać się od ziemi – ten pomysł wydawał się prawie absurdalny. A potem widziałeś cień w dole i nim zdążyłeś się zastanowić, czy to tylko złudzenie, cień zostawał w tyle, a samolot wzbijał się w powietrze i przecinał je tak gładko i zwinnie, jak myśl przenikająca przez zadowolony umysł.

Właśnie taki był Silver.

Bill dotarł do zjazdu z niewielkiego pagórka i zaczął pedałować szybciej, jego nogi unosiły się i opadały niczym tłoki. Stał na pedałach wysunięty tak mocno do przodu, że zwieńczenie ramy roweru miał niemal tuż poniżej krocza. Bardzo szybko (po paru niefortunnych przejażdżkach, kiedy obił sobie to, co jest dla chłopca najczulszym miejscem) nauczył się, aby przed każdym wejściem na rower mocno podciągnąć slipki. Później tego lata, gdy Richie to zauważy, powie: „Bill robi to, bo myśli, że może kiedyś mieć dzieci. Moim zdaniem nie jest to dobry pomysł, ale kto wie, przecież dzieci mogą się wdać w matkę, no nie?”. On i Eddie maksymalnie obniżyli siodełko, tak że teraz, kiedy pracował na pedałach, obijało mu pośladki. Jakaś kobieta pieląca chwasty w ogródku uniosła dłoń do oczu, by mu się przyjrzeć. Uśmiechnęła się pod nosem. Chłopiec na wielkim rowerze przypominał jej małpkę, którą kiedyś widziała jadącą na jednokołowcu w cyrku Barnuma i Baileya.

On się zabije. Ani chybi on się chce zabić. Ten rower jest dla niego za duży, pomyślała, powracając do przerwanej pracy w ogródku. Ale to przecież nie był jej kłopot, więc się tym nie przejęła.

3

Bill miał dostatecznie dużo oleju w głowie, by nie wdawać się w sprzeczkę ze starszymi chłopakami, kiedy wyłonili się zza krzaków, przypominając rozwścieczonych myśliwych w pogoni za zwierzyną, która zdołała poturbować jednego z nich. Eddie jednak nieroztropnie otworzył usta i Henry Bowers wyładował na nim swoją złość.

Bill znał ich bardzo dobrze; Henry, Belch i Victor byli najprawdopodobniej najgorszymi łobuzami w całej szkole. Parę razy pobili Richiego Toziera, z którym Bill się przyjaźnił. Zdaniem Billa była to w dużej mierze wina Richiego. Nie na darmo nazywano go „Niewyparzoną Gębą”.

Któregoś kwietniowego dnia Richie powiedział coś na temat ich kołnierzy, kiedy cała trójka mijała go na dziedzińcu szkolnym. Wszyscy trzej mieli postawione kołnierze jak Vic Morrow w *Szkolnej Dżungli*. Bill, który siedział przy pobliskim budynku i apatycznie bawił się paroma małymi kulkami, nie dosłyszał wszystkiego. Podobnie jak Henry i jego kolesie… ale usłyszeli dostatecznie dużo, by skręcić w stronę Richiego. Bill przypuszczał, że Richie chciał powiedzieć to, co powiedział, ale szeptem.

Kłopot polegał na tym, że Richie miał raczej donośny głos.

– Coś ty powiedział, okularniku? – spytał ostro Victor Criss.

– Nic – odparł Richie i to zaprzeczenie w połączeniu z wyrazem jego twarzy, który był mieszanką konsternacji i przerażenia, mogło zakończyć całe zdarzenie. Tyle że usta Richiego były jak na wpół dziki koń, który z natury lubi ponosić, praktycznie bez żadnego powodu. Zupełnie nieoczekiwanie dorzucił więc: – Powinieneś wydłubać sobie woskowinę z uszu, wielkoludzie. Chcesz trochę dynamitu?

Tamci przez chwilę patrzyli na niego z niedowierzaniem, a potem rzucili się za nim w pogoń. Bill Jąkała obserwował ten nierówny pościg, od momentu jego rozpoczęcia do łatwego do przewidzenia finału, ze swego miejsca przy ścianie budynku.

Nie było sensu się w to mieszać. Te trzy dryblasy z przyjemnością wykorzystałyby okazję pobicia dwóch dzieciaków zamiast jednego. Richie przebiegł na skos przez plac zabaw dla dzieci, przeskoczył ponad deskami koników, wyminął zgrabnie huśtawki i dopiero kiedy zatrzymał się przy drucianej siatce pomiędzy placem zabaw a przyległym parkiem, zdał sobie

sprawę, że znalazł się w ślepej uliczce. Próbował wdrapać się po siatce, wczepiając się w nią palcami i czubkami trampek, i dotarł mniej więcej do dwóch trzecich jej wysokości, kiedy Henry i Victor Criss ściągnęli go na ziemię. Henry schwycił go za tył kurtki, a Victor za siedzenie dżinsów. Richie wrzeszczał, kiedy zdzierali go z siatki. Rąbnął plecami w asfalt. Okulary spadły mu z nosa. Wyciągnął po nie rękę, a Belch Huggins kopniakiem odrzucił je na bok. Właśnie dlatego jeden z łuków oprawki okularów był tego lata zalepiony plastrem.

Bill skrzywił się i obszedł budynek od frontu. Zauważył, że pani Moran, jedna z nauczycielek czwartej klasy, spieszyła, aby przerwać ten incydent, ale wiedział, że tamci zdążyli już dobrać się do Richiego i zanim nauczycielka dotrze na miejsce, Richie będzie ryczał jak bóbr. Płacz, mały, płacz – spójrzcie no na tę beksę.

Bill nie miał z nimi zbyt wielu przejść. Rzecz jasna, nabijali się z jego jąkania i od czasu do czasu urządzali sobie z niego pośmiewisko. Któregoś deszczowego dnia, kiedy szli na lunch w sali gimnastycznej, Belch Huggins wytrącił Billowi z ręki torebkę z lunchem, a potem zgniótł ją obcasem swego potężnego roboczego buta, miażdżąc wszystko, co znajdowało się w środku.

– O j-j-jeju! – krzyknął Belch z udawanym przerażeniem, unosząc dłonie i wymachując nimi przed jego twarzą. – P-p-przepraszam z-za twój l-l-lunch, f-frajerze. – A potem przeszedł wolno korytarzem w stronę fontanny z wodą pitną, stojącej przed drzwiami toalety dla chłopców, gdzie czekał na niego Victor Criss zaśmiewający się do rozpuku. Mimo wszystko nie było tak źle. Eddie podzielił się z Billem połową swego lunchu, a Richie z przyjemnością oddał mu swoją porcję smażonego jajka, które matka przyrządzała mu do szkoły co drugi dzień i które, jak twierdził, powodowało u niego odruch wymiotny.

Regułą było, aby nie wchodzić im w drogę, a jeśli nie mogłeś trzymać się od nich jak najdalej, musiałeś próbować stać się niewidzialny. Eddie zapomniał o tej regule i dostał nauczkę. Nie było z nim źle, choć krew ciekła mu z nosa jak z fontanny. Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy Henry i jego kumple przeszli środkiem strumienia i wyszedłszy na brzeg Kenduskeag, ruszyli w drogę powrotną do Derry.

Eddie krwawił jak świnia. Kiedy jego chusteczka przesiąkła na wylot, Bill dał mu swoją, położył koledze rękę na karku i odchylił

jego głowę do tyłu. Bill pamiętał, że matka postępowała w ten sposób z George'em, bo jego brat też czasami miewał krwotoki z nosa… Och, myśli o George'u są tak bolesne.

Kiedy odgłos trzech dryblasów przedzierających się niczym stado bawołów przez Barrens ucichł zupełnie, a nos Eddiego przestał krwawić, odezwała się jego astma i dała o sobie znać ze wzmożoną siłą. Zaczął gwałtownie chwytać powietrze, jego dłonie otwierały się i zaciskały w pięści, a oddech stał się dziwnie świszczący.

– Cholera! – jęknął Eddie, walcząc o kolejny łyk powietrza. – Astma! Rany! – Sięgnął po swój aspirator i w końcu zdołał wyjąć go z kieszeni. Urządzenie przypominało butelkę windeksu, z niewielkim spryskiwaczem przymocowanym u góry. Włożył do ust dziobek i nacisnął na spust.

– Lepiej? – spytał z niepokojem Bill.

– Nie. Jest pusty. – Eddie spojrzał na Billa oczyma pełnymi paniki, a potem powiedział: – Koniec ze mną, Bill. Koniec ze mną.

Opróżniony aspirator wypadł mu z ręki. Strumień chichotał tak jak zawsze, bynajmniej nie przejmując się tym, że Eddie Kaspbrak miał trudności z oddychaniem. Billowi przyszło nagle na myśl, że Henry i jego kolesie mieli rację co do

jednego – to była rzeczywiście dziecinna tama. Ale przy jej rozwalaniu mieli sporo uciechy i czuł, jak z tego powodu narastała w nim tępa niepohamowana wściekłość.

– T-t-tylko s-spokojnie, E-eddie – powiedział.

Przez następne czterdzieści minut Bill siedział przy nim, oczekując, że lada moment astma Eddiego zacznie stopniowo ustępować. Zanim pojawił się Ben Hanscom, niepokój zmienił się w prawdziwy strach. Astma nie tylko nie ustąpiła, ale jeszcze się wzmogła. A drugstore przy Center Street, gdzie zaopatrywał się Eddie, znajdował się o trzy mile stąd. Jeśli wróci z lekarstwem dla Eddiego i zastanie go nieprzytomnego? Nieprzytomnego albo (*nie pieprz, proszę, nie myśl tak*) nawet martwego, dorzucił nieubłagany głos jego umysłu, (*martwego jak Georgie, martwego*)? Nie bądź idiotą! On nie umrze!

Nie. Prawdopodobnie nie. Ale jeśli po powrocie zastanie Eddiego w stanie combra[4]? Bill wiedział wszystko o combrach. Doszedł nawet do wniosku, że określenie „grzywacz” pochodziło od tych wielkich spienionych hawajskich fal, po których faceci ślizgali się na deskach surfingowych, i w sumie było to całkiem

trafne określenie, bo czymże był ów comber, jeśli nie grzywaczem, który zalewał twój mózg?

W serialach lekarskich, takich jak *Ben Casey*, ludzie zawsze wpadali w stan śpiączki i czasami z niego nie wychodzili pomimo głośnych (i niezbyt kulturalnych) pokrzykiwań Bena Caseya.

Toteż siedział tam, wiedząc, że powinien jechać do sklepu, gdyż zostając tu i towarzysząc Eddiemu, nie mógł mu pomóc, niemniej nie chciał go zostawić samego. Jakaś irracjonalna, przesądna część niego była przekonana, że Eddie zapadłby w śpiączkę w tej samej chwili, kiedy on, Bill, odwróciłby się do niego plecami. Nagle spojrzał w górę strumienia i zobaczył stojącego nieopodal Bena Hanscoma. Rzecz jasna wiedział, kim był Ben – najgrubszy chłopiec w szkole zawsze osiąga pewien stopień popularności, aczkolwiek rzadko kiedy wychodzi mu to na zdrowie.

Ben chodził do równoległej piątej klasy. Bill widywał go czasami na przerwach, jak stał samotnie – zazwyczaj w kącie – przeglądając książkę albo pałaszując lunch z torebki wielkości worka na bieliznę.

Patrząc teraz na Bena, Bill pomyślał, że wyglądał on jeszcze gorzej niż Henry Bowers.

Trudno w to uwierzyć, jednak była to prawda. Bill nie umiał sobie wyobrazić okropnej walki, jaką musieli stoczyć ci dwaj. Podejrzewał, że z pewnością była to istna masakra. Włosy Bena rozczochrane i zlepione błotem sterczały niczym druty na wszystkie strony. Jego sweter albo bluza od dresu – nie sposób powiedzieć, jak rano nazywała się ta część jego garderoby, a teraz najwyraźniej nie miało to już żadnego znaczenia – była jedną wielką podartą ruiną ubabraną zielono-czerwoną pacią z trawy i krwi. Dżinsy Bena kończyły się przy kolanach.

Zobaczył, jak Bill patrzy na niego, i cofnął się nieznacznie – w jego oczach zabłysły iskierki czujności.

– N-n-nie o-o-o-odchodź! – zawołał Bill. Uniósł puste dłonie środkiem na zewnątrz, aby pokazać, że nie jest uzbrojony. – P-p-potrzebujemy p-p-pomocy.

Ben podszedł bliżej, ale nadal zachowywał nadzwyczajną ostrożność. Kuśtykał, jakby miał kłopoty z nogą. Najwyraźniej bardzo cierpiał.

– Czy oni odeszli? Bowers i jego kumple?

– T-tak – odparł Bill. – Posłuchaj, cz-czy m-m-mógłbyś zostać z moim p-przyjacielem, p-podczas gdy ja p-pojadę po jego l-l-lekarstwo? On m-maa-a…

– Astmę?

Bill pokiwał głową. Ben podszedł do rozwalonej tamy i ukląkł z trudnością obok Eddiego, który leżał na plecach, miał na wpół przymknięte oczy, a jego klatka piersiowa unosiła się powoli.

– Który go uderzył? – spytał w końcu Ben. Uniósł wzrok i Bill zobaczył na twarzy chłopca wyraz wściekłości i frustracji, a zatem nie był odosobniony w swoich doznaniach. – Henry Bowers?

Bill pokiwał głową.

– Tak myślałem. Jasne, jedź. Zostanę z nim.

– Dzię-ę-ękuję.

– Nie dziękuj mi – rzucił Ben. – To przeze mnie mieliście te kłopoty. Jedź już. Pospiesz się. Muszę wrócić do domu na kolację.

Bill odszedł, nie mówiąc więcej ani słowa. W głębi duszy chciał powiedzieć Benowi, aby nie brał sobie tego tak do serca – to, co się stało, było w takim samym stopniu winą Bena, jak i Eddiego, który nie potrafił trzymać języka za zębami. Chłopcy tacy jak Henry i jego kolesie byli ucieleśnieniem wypadków, które chodzą po ludziach – dziecięcą wersją katastrofy w stylu powodzi, huraganów czy kamieni żółciowych. Chciał to powiedzieć, i to nawet bardzo, ale

w owej chwili był tak spięty, że zabrałoby mu to dobre dwadzieścia minut, a do tej pory Eddie mógł zapaść w comber (to jeszcze jedna rzecz, jakiej Bill dowiedział się z seriali o doktorach Caseyu i Kildarze; w śpiączkę się nie wchodziło, tylko zawsze – zapadało).

Podążając w dół strumienia, obejrzał się jeszcze raz przez ramię. Zobaczył, jak Ben Hanscom wyjmuje z wody otoczaki i układa je na brzegu. Bill zastanawiał się przez chwilę, po co tamten to robił, aż wreszcie zrozumiał. To był magazyn amunicji. Na wypadek gdyby Henry i jego kolesie wrócili do Barrens.

4

Barrens nie miało dla Billa tajemnic. Tej wiosny często się tutaj bawił – czasami z Richiem, przeważnie z Eddiem, a niekiedy całkiem sam. Rzecz jasna nie zdołał przemierzyć całego tego terytorium, ale bez problemu potrafił odnaleźć drogę od strumienia do Kansas Street i właśnie teraz to zrobił. Wyszedł na drewniany mostek, gdzie Kansas Street przecinała jeden z pozbawionych nazwy strumyków, które wypływały z kanałów Derry i nieco dalej łączyły się z wodami Kenduskeag. Pod tym mostem zostawił swego Silvera, przywiązawszy go

kawałkiem mocnego sznura do jednego ze wsporników mostu, tak by nie dotykał kołami wody.

Bill rozwiązał sznur oplatający kierownicę roweru, włożył go do kieszeni i wyciągnął Silvera na chodnik. Czynność ta wymagała od niego niemałego wysiłku – nieźle się przy tym zmachał i spocił, a raz nawet stracił równowagę i wylądował na ziemi tylną częścią ciała. W końcu jednak dopiął swego i wciągnął rower na most. Błyskawicznie przerzucił nogę przez wysoką ramę i wskoczył na siodełko.

I jak zawsze, kiedy dosiadał Silvera, stał się kimś innym.

5

– Hej-ho, Silver, naprzód!

Wypowiedział te słowa głośniej i mocniej niż zwykle. Głos, który dobył się z jego gardła, brzmiał jakoś inaczej. Był to niemalże głos człowieka, w którego lada chwila miał się zmienić. Silver powoli nabierał prędkości – wzrost tempa jazdy oznajmiało przyspieszone klaskanie kart przymocowanych do szprych roweru. Bill stanął na pedałach, a jego dłonie zacisnęły się na uchwytach kierownicy, zwrócone nadgarstkami do góry. Wyglądał jak

człowiek, który chce podnieść wyjątkowo ciężką sztangę. Mięśnie wystąpiły mu na szyi. Żyły w skroniach pulsowały. Kąciki ust zaciśniętych w grymasie olbrzymiego wysiłku drżały, kiedy toczył znaną mu już walkę z ciężarem i bezwładnością, dając z siebie wszystko, aby wprawić Silvera w ruch.

I jak zawsze, jego wysiłek okazał się opłacalny. Rower zaczął się toczyć nieco żwawiej. Bill miał wrażenie, że okoliczne domy nie stały w miejscu, lecz śmigały gładko obok niego. Po lewej stronie, gdzie Kansas Street przecinała Jackson, nieskrępowany Kenduskeag stawał się kanałem. Pojechawszy przez skrzyżowanie Kansas Street, pomknął szybko w dół wzgórza w stronę Center i Main, dzielnicy handlowej Derry. Ulice krzyżowały się tu często, ale na szczęście dla Billa przed każdym skrzyżowaniem znajdował się znak stopu, a myśl, że jakiś kierowca mógłby się kiedyś nie zatrzymać i rozgnieść go na placek, ani przez chwilę nie przyszła mu do głowy. Prawdopodobnie nawet gdyby o tym pomyślał, i tak zrobiłby to samo. We wcześniejszym i późniejszym okresie swego życia zapewne mógłby zwolnić, ale ta wiosna i początek lata były dla niego wyjątkowo burzliwym czasem. Bill zdziwiłby się, gdyby ktoś

zapytał go, czy czuł się samotny, byłby równie zdziwiony, gdyby ktoś zapytał go, czy igra ze śmiercią.

O-oczywiście n-nie! – odparłby natychmiast (i to z oburzeniem), ale nie zmieniało to faktu, że sunął w dół Kansas Street do miasta i coraz bardziej przypominał szalonego kamikadze w swym pierwszym (i ostatnim) samobójczym ataku.

Ten fragment Kansas Street był znany jako Milowe Wzgórze. Bill pokonał je, mknąc niczym strzała, pochylony nad kierownicą Silvera, by zmniejszyć opór powietrza, z jedną ręką uniesioną nad gumową gruszką klaksonu, by w razie potrzeby móc ostrzec nieostrożnych, i z rudymi włosami płynącymi za nim na wietrze trzepoczącą falą. Klekot kart na szprychach roweru zmienił się w regularny, miarowy ryk. Grymas nieśmiałego skrzywienia ust rozrósł się w potężny, głupkowaty uśmiech. Rząd domów po prawej stronie ustąpił na rzecz sklepów (głównie domów towarowych i zakładów mięsnych), które przemykając obok niego, zmieniały się w na wpół rozmazaną plamę, ale fakt ten był dla Billa jak najbardziej satysfakcjonujący. Po lewej stronie kącikiem oka dostrzegał Kenduskeag jak migotliwą iskierkę ognia.

– Hej-ho, Silver, naprzód! – wrzasnął triumfalnie.

Silver pokonał pierwszy zakręt i jak prawie zawsze w tym miejscu, stopy Billa oderwały się od pedałów. Jechał teraz siłą rozpędu, powierzając się bez reszty temu z bogów, którego zadaniem było chronienie małych chłopców.

Wjechał w ulicę, przekraczając o dobre piętnaście mil obowiązujące tu ograniczenie prędkości do dwudziestu pięciu mil na godzinę.

Teraz wszystko pozostało daleko za nim; jego jąkanie, widok mętnych, przepełnionych bólem oczu ojca, kiedy kręcił się po swoim warsztacie w garażu, potworny obraz warstewki kurzu zalegający na pokrywie zamkniętego fortepianu na piętrze – było zakurzone, bo mama przestała na nim grać. Ostatni raz zrobiła to podczas pogrzebu George'a, kiedy zagrała trzy hymny metodystów. Obrazy… dziesiątki obrazów.

George, wychodzący w deszcz w swojej żółtej nieprzemakalnej kurtce, trzymający w dłoni nasmarowany parafiną papierowy okręcik. Pan Gardener idący dwadzieścia minut później ulicą z jego zakrwawionym ciałem na rękach. Przepełniony bólem i rozpaczą krzyk matki. To wszystko pozostało daleko w tyle. Teraz Bill był kimś innym – Samotnym Jeźdźcem, Johnem

Wayne’em, Bo Diddleyem, każdym, kim zawsze chciał być, a z całą pewnością nie trzęsącą się ze strachu beksą, która błaga, by zabrano ją do m-m-mamy.

Zdawało się, że Silver frunie, a Bill Denbrough wraz z nim. Cień pozostawał daleko w tyle. Mknęli razem w dół Milowego Wzgórza – karty na szprychach Silvera ryczały przeciągle. Stopy Billa ponownie odnalazły pedały i zaczęły kręcić, jakby chłopiec chciał jechać jeszcze szybciej, jakby chciał osiągnąć jakąś określoną prędkość – nie prędkość światła, ale prędkość wspomnień – i przebić otaczającą go barierę bólu.

Pochylony nad kierownicą pędził jak wiatr, usiłując pokonać diabła. Skrzyżowanie trzech ulic – Kansas, Center i Main – zbliżało się ku niemu z olbrzymią prędkością. Był to horror stanowiący połączenie ruchu jednokierunkowego i sprzecznych z sobą znaków i sygnalizatorów, które w założeniu miały być zsynchronizowane, ale w rzeczywistości nic z tego nie wyszło. Rezultat określono w ubiegłym roku na łamach „Derry News” mianem „piekielnego ronda”.

Jak zawsze Bill zerknął w prawo i w lewo, oceniając ruch uliczny i szukając luk pomiędzy samochodami. Gdyby pomylił się w swoich

obliczeniach (innymi słowy, gdyby się „zająknął”), mógłby doznać poważnych obrażeń albo nawet zginąć.

Wjechał w zatłoczoną ulicę pełną wolno sunących pojazdów i gdy dotarł do skrzyżowania, odbił w prawo, aby nie wpakować się pod wielkiego buicka. Obejrzał się szybko przez ramię, by upewnić się, że środkowy pas był pusty. Ponownie spojrzał przed siebie i zobaczył, że najpóźniej za pięć sekund rozpłaszczy się na tyle pick-upu, który zatrzymał się pod kątem prostym na środku skrzyżowania, a jego kierowca, w typie wujaszka Ike’a, wyciągnął szyję, aby przyjrzeć się uważnie wszystkim znakom, i co za tym idzie, upewnić się, że skręcił we właściwą ulicę i nie skończy jakimś dziwnym trafem w okolicy Miami Beach.

Pas po prawej stronie Billa był zajęty przez autobus linii Derry–Bangor. Pomimo to zjechał w prawo i wślizgnął się w przerwę pomiędzy stojącym pick-upem a autobusem, ani na chwilę nie zwalniając, a jechał teraz ze czterdzieści mil na godzinę. W ostatniej chwili ostro odchylił głowę w bok, jak żołnierz robiący przesadne „w prawo zwrot”, aby boczne lusterko pick-upu zamontowane po stronie pasażera nie przefasonowało mu twarzy. Strumień gorących

spalin spłynął mu do gardła, paląc niczym mocny trunek. Usłyszał cichy, przeciągły pisk, kiedy jedna z rączek jego kierownicy cmoknęła w czułym pocałunku aluminiowy bok autobusu, kreśląc na nim poziomą rysę. Kątem oka dostrzegł bladą twarz kierowcy autobusu, ukrytą pod spiczastą czapką firmy Hudson Bus Company. Kierowca pogroził mu pięścią i krzyknął coś. Bill wątpił, aby były to życzenia urodzinowe.

Trzy staruszki przechodziły przez Main Street od New England Bank na drugą stronę, gdzie znajdował się sklep obuwniczy. Usłyszały oschły furkot kart przy szprychach roweru i uniosły wzrok. Otworzyły usta ze zdumienia, podczas gdy chłopiec na olbrzymim rowerze przemknął jak widmo parę cali przed nimi.

Najgorszą i zarazem najłatwiejszą część drogi miał już za sobą. Raz po raz stawał oko w oko ze śmiercią i zawsze udawało mu się jej uniknąć. Nie wpadł pod autobus, nie zabił siebie ani tych trzech staruszek przechodzących przez jezdnię z torbami pełnymi zakupów i czekami opieki społecznej w kieszeniach, uniknął też rozpłaszczenia o tył starego pick-upu. Znowu sunął pod górę – prędkość roweru zaczęła maleć. Wraz z nią malało również coś, co można by

nazwać pragnieniem. Ponownie dopadły go myśli i wspomnienia – siemanko, Bill, już myślałyśmy, że cię zgubiłyśmy, ale spójrz, znów tu jesteśmy – oblazły go niczym małe, niewidoczne stworzenia, wspinały się po jego koszuli, wskakiwały mu do ucha i wpadały do mózgu jak dzieci zsuwające się po zjeżdżalni.

Czuł, jak powracają na swoje miejsca, jak rozpychają się gorączkowo między sobą. Jejku! Auu! Rany! Znowu jesteśmy we wnętrzu głowy Billa! Pomyślmy o George'u. No, jazda! Kto chce zacząć?

Za dużo myślisz, Bill. Nie, nie na tym polegał jego problem. Po prostu za dużo sobie wyobrażał. Skręcił w Richard's Alley i parę chwil później wyjechał na Center Street, czując pot na plecach i we włosach. Zeskoczył z Silvera przed drugstore'em i wszedł do środka.

6

Przed śmiercią George'a Bill nie miałby nic przeciwko ucięciu sobie małej pogawędki z panem Keene'em, który wprawdzie nie należał do najsympatyczniejszych osób – w każdym razie tak o nim myślał Bill – ale był dość cierpliwy i nie kpił ani nie wyśmiewał się z chłopca. Teraz jednak stan Billa znacznie się pogorszył –

i obawiał się, że jeżeli nie załatwi szybko sprawy z lekarstwem, Eddiemu może przytrafić się coś złego.

Dlatego też, kiedy pan Keene powiedział:

– Witaj, Billy, czym mogę ci służyć? – Bill sięgnął po folder reklamujący witaminy, przekręcił go i napisał na odwrocie: „Eddie Kaspbrak i ja bawiliśmy się w Barrens. Dostał gwałtownego ataku astmy. Ma trudności z oddychaniem. Czy może pan napełnić jego aspirator?”.

Podał tę kartkę ponad przeszklonym kontuarem panu Keene’owi, a ten przeczytał ją, spojrzał w przepełnione strachem niebieskie oczy Billa i powiedział:

– Oczywiście. Poczekaj tutaj i nie dotykaj niczego, czego nie powinieneś.

Bill nerwowo przestępował z nogi na nogę, podczas gdy pan Keene zniknął na zapleczu. Kiedy wrócił pięć minut później – Bill miał wrażenie, że minęły już całe wieki – trzymał w ręce jedną z plastikowych buteleczek Eddiego. Podał ją Billowi, uśmiechnął się i rzekł:

– To powinno rozwiązać problem.

– Dz-dziękuję – powiedział Bill. – N-n-n-nie mam p-p-p…

– Wszystko w porządku, synu. Pani Kaspbrak ma u mnie kredyt. Dopiszę to do jej rachunku. Jestem pewien, że zechce podziękować ci za uprzejmość.

Bill poczuł wielką ulgę; podziękował panu Keene'owi i szybko wyszedł. Właściciel drugstore'u okrążył kontuar i przez chwilę przyglądał się chłopcu. Zobaczył, jak Bill wrzuca aspirator do kosza bagażnika i niezgrabnie wdrapuje się na siodełko.

Czy on naprawdę da radę pojechać tym rowerem? – zastanawiał się pan Keene. Wątpię w to. Szczerze w to wątpię.

Ale mały Denbrough zdołał jakoś ruszyć z miejsca, nie wywalając się przy tym, i odjechał, wolno pedałując. Rower, który wydawał się najczystszą kpiną, kołysał się jak szalony z boku na bok. Aspirator przetaczał się w koszu bagażnika to w przód, to w tył.

Pan Keene uśmiechnął się pod nosem. Gdyby Bill zobaczył ten uśmiech, jeszcze bardziej utwierdziłby się w przekonaniu, że nie należał on do elity najsympatyczniejszych ludzi świata. Był to uśmiech pełen goryczy, uśmiech człowieka, który zna się na ludziach i ludzkich bolączkach na tyle, by mieć powód do zastanowienia, a jednocześnie nie potrafi

odnaleźć w nich nic pokrzepiającego i podnoszącego na duchu. Tak – dopisze lekarstwo Eddiego do rachunku Soni Kaspbrak, a ona, jak zwykle, będzie zaskoczona i bardziej podejrzliwa niż wdzięczna, że lekarstwo było takie tanie. „Inne leki są takie drogie”, mówiła pani Kaspbrak. Pan Keene wiedział, że należała ona do ludzi, którzy nie wierzyli w uzdrowicielską moc tanich medykamentów. Oczywiście mógł podnieść cenę preparatu hydrox i zedrzeć z niej tyle, ile tylko się da (czasami kusiło go, aby to zrobić)… ale niby czemu miałby żerować na ludzkiej głupocie. Nie przymierał wszak głodem.

Tani? O tak. Jak najbardziej. Preparat hydrox („stosować w razie potrzeby”, jak brzmiał napis na nalepce, w którą zaopatrzona była każda z plastikowych buteleczek) był niezwykle tani, ale nawet pani Kaspbrak musiała przyznać, że pomimo to bardzo skutecznie kontrolował astmę jej syna.

Był tani, ponieważ składał się w głównej mierze z wodoru i tlenu, z niewielkim dodatkiem kamfory, która miała mu dodać słabego, typowego dla lekarstw posmaku. Innymi słowy, lekarstwo na astmę Eddiego było zwyczajną wodą z kranu.

7

Powrót zabrał Billowi więcej czasu, ponieważ jechał pod górę. W paru miejscach musiał zsiąść i pchać Silvera. Po prostu nie miał dość siły, by wjechać rowerem na coś większego niż łagodne zbocze. Zanim odstawił rower pod most i wrócił nad strumień, było dziesięć po czwartej. Opadły go czarne myśli. Na przykład mały Hanscom mógł odejść, zostawiając Eddiego na pastwę losu. Albo trzej zabijacy mogli powrócić i zdrowo im dołożyć. Lub też… ten ktoś, kto mordował dzieci, mógł załatwić obu albo przynajmniej jednego z nich. Tak jak zabił George'a.

Wiedział, że krążyło wiele plotek i spekulacji na ten temat. Bill mocno się jąkał, ale nie był głuchy – choć czasami ludzie najwyraźniej myśleli, że tak jest, bo odzywał się tylko wtedy, kiedy to było konieczne. Niektórzy uważali, że zabójstwo George'a w żaden sposób nie wiązało się z zamordowaniem Betty Ripsom, Cheryl Lamonica, Matthew Clementsa i Veroniki Grogan. Inni twierdzili, że George, Ripsom i Lamonica zostali zabici przez jednego człowieka, a śmierć pozostałej dwójki była dziełem jego naśladowcy. Trzeci typ opinii bazował na twierdzeniu, że chłopców zabił jeden morderca, a dziewczynki drugi.

Bill był przekonany, że zamordowała ich ta sama osoba… jeśli to w ogóle był człowiek. Czasami się nad tym zastanawiał. Podobnie jak czasami zastanawiał się nad swoimi odczuciami względem Derry. Czy jego rodzice nadal trwali w szoku spowodowanym śmiercią George'a i nie potrafią zrozumieć prostego faktu, że on – Bill – żyje i może zrobić sobie krzywdę? Jak to się miało do innych morderstw?

A głosy, które czasem odzywały się w jego głowie, szeptały teraz do niego (i z całą pewnością nie były to odmiany jego głosu, bo one się nie jąkały, były zbyt głośne, ale bardzo wyraźne i przepełnione pewnością) i radziły mu, aby postępował akurat tak, a nie inaczej? Czy właśnie to sprawiało, że w jego odczuciu Derry wyglądało jakoś inaczej?

Wydawało mu się jakby groźniejsze ze swymi niezbadanymi ulicami, które zamiast zapraszać, zionęły jakąś dziwną, złowieszczą ciszą. Czy to dlatego niektóre twarze sprawiały wrażenie tajemniczych i przerażonych?

Nie wiedział, ale wierzył w to – tak jak wierzył, że wszystkich tych morderstw dokonał jeden zabójca, wierzył, że Derry naprawdę się zmieniło i że początek tej zmiany określała śmierć jego brata. Mroczne przypuszczenia

w jego głowie narodziły się z przeświadczenia, że obecnie w Derry mogło zdarzyć się wszystko. Wszystko.

Kiedy minął ostatni zakręt, nic nie zapowiadało jakichkolwiek zmian. Ben Hanscom nadal siedział obok Eddiego. Sam Eddie przyjął teraz nieco bardziej wyprostowaną pozycję. Dłonie miał złożone na podołku, a głowę nieznacznie pochyloną. Wciąż oddychał z trudem. Słońce było już tak nisko nad horyzontem, że w poprzek strumienia położyły się długie zielone cienie.

– Chłopie, aleś się sprężył – powiedział Ben, wstając. – Nie spodziewałem się ciebie w ciągu najbliższej półgodziny.

– Mam sz-szybki r-rower – odparł Billy z pewną dumą w głosie. Przez chwilę dwaj chłopcy przyglądali się sobie podejrzliwie, jakby z ostrożnością. Nagle Ben uśmiechnął się kontrolnie, a Bill odpowiedział mu tym samym.

Dzieciak był gruby, ale chyba w porządku. I nie czmychnął do domu. Musiał mieć ikrę, bo przecież wiedział, że być może gdzieś tam wciąż jeszcze krążył Henry Bowers ze swymi przygłupimi kolesiami. Bill mrugnął do Eddiego, który patrzył nań z uczuciem bezgranicznej wdzięczności.

– M-m-m-masz, E-e-eddie – powiedział, dając mu aspirator. Eddie włożył go do ust, zaaplikował sobie dawkę hydroksu i sapnął konwulsyjnie. Potem odchylił się do tyłu, przymykając oczy. Ben przyglądał mu się z zatroskaniem.

– Jeezu. Naprawdę z nim było źle, co?

Bill skinął głową.

– Przez pewien czas bardzo się bałem – powiedział Ben przyciszonym tonem. – Zastanawiałem się, co powinienem zrobić, gdyby miał konwulsje albo coś takiego. Próbowałem sobie przypomnieć, co nam mówili na zbiórkach Czerwonego Krzyża, które mieliśmy w kwietniu. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to aby włożyć mu do ust patyk, żeby nie odgryzł sobie języka.

– Myślę, że to się robi e-e-epileptykom.

– Och tak. Chyba tak.

– W każdym razie on nie miał k-k-konwulsji.

Ciężki oddech Eddiego stał się nieco łagodniejszy. Otworzył oczy i spojrzał na nich.

– Dzięki, Bill – rzucił. – Było ciężko. Naprawdę.

– Przypuszczam, że to się zaczęło, kiedy rozwalili ci nos, tak? – spytał Ben.

Eddie roześmiał się ponuro, wstał i włożył aspirator do tylnej kieszeni.

– Nawet nie myślałem o nosie. Myślałem o mojej mamie.

– Poważnie? – W głosie Bena brzmiało zdziwienie, ale jego dłoń sięgnęła strzępów bluzy od dresu i zaczęła międlić je nerwowo.

– Spojrzy raz na krew na mojej koszuli i pięć sekund potem będę już w szpitalu.

– Dlaczego? – spytał Ben. – Przecież krwotok ustał, no nie? Pamiętam, jak jeden dzieciak, z którym chodziłem do przedszkola, Scooter Morgan, spadł kiedyś z drabinki i rozwalił sobie nos. Zabrali go do szpitala tylko dlatego, że przez cały czas leciała mu krew.

– Tak? – spytał Bill wyraźnie zainteresowany. – Czy o-on u-u-umarł?

– Nie, ale przez tydzień siedział w domu.

– Nieważne, czy krwotok ustał, czy nie – rzekł ponuro Eddie. – I tak mnie tam zawiezie. Pomyśli, że mam złamany nos i jego kawałki mogą mi utkwić w mózgu albo coś w tym rodzaju.

– A m-m-może tak b-być? – spytał Bill. Wyglądało na to, że będzie to najciekawsza rozmowa, w jakiej uczestniczył od dobrych parunastu tygodni.

– Nie wiem. Zdaniem mojej matki wszystko jest możliwe. – Eddie ponownie zwrócił się do

Bena. – Zawozi mnie na pogotowie raz albo dwa razy w miesiącu. Nie cierpię szpitali. Któregoś dnia jeden z sanitariuszy powiedział, że powinni ją zmusić do płacenia czynszu, tak często tam ze mną bywała.

– Rany – skomentował Ben. Pomyślał, że matka Eddiego musi być naprawdę dziwna. Nie zdawał sobie sprawy, że od pewnego czasu miętosił dłońmi to, co pozostało z jego bluzy od dresu. – Czemu po prostu nie powiesz „nie”? Powiedz tak: Posłuchaj, mamo, czuję się świetnie i chcę po prostu zostać w domu i obejrzeć kolejny odcinek *Sea Hunt*. Właśnie tak.

Eddie mruknął z niezadowoleniem i nie odezwał się więcej.

– T-ty j-jesteś Ben H-h-h-hanscom, t-tak? – spytał Bill.

– Tak. A ty się nazywasz Bill Denbrough.

– Tak. A to jest E-e-e-e… E-e-e-e…

– Eddie Kaspbrak – powiedział Eddie. – Nie cierpię, gdy się jąkasz, wymawiając moje imię, Bill. Jakbym słyszał Elmera Fudda.

– P-przepraszam.

– Miło was poznać – oświadczył Ben. Jego słowa zabrzmiały dziwnie sztucznie i nieprzekonująco. Wszyscy trzej zamilkli. Zapanowała cisza. Nie była ona jednak

nieprzyjemna. W tej ciszy bowiem trzej chłopcy stali się przyjaciółmi.

– Czemu te typy cię ścigały? – spytał w końcu Eddie.

– O-oni zawsze k-kogoś g-g-ganiają – powiedział Bill. – N-nie c-cierpię t-tych s-s-s-skurwieli.

Ben milczał przez chwilę – głównie z podziwu – ponieważ Bill użył przed chwilą jednego z Naprawdę Brzydkich Słów, jak je określała czasami jego matka. Ben nigdy dotąd nie wypowiedział Naprawdę Brzydkiego Słowa, choć dwa lata temu na Halloween napisał je na jednym ze słupów telefonicznych (bardzo małymi literami).

– Bowers siedział obok mnie podczas ostatnich egzaminów – powiedział w końcu Ben. – Chciał ode mnie ściągnąć. Nie dałem mu.

– Chyba musisz mieć dwa życia, chłopie – rzekł z podziwem Eddie. – Bo bardzo szastasz jednym.

Bill Jąkała wybuchnął śmiechem. Ben obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, lecz stwierdziwszy, że tamten nie śmieje się z niego (trudno było określić, jak do tego doszedł, niemniej był o tym przekonany), uśmiechnął się.

– Pewno tak. W każdym razie Henry musi teraz zaliczyć kurs wakacyjny i dlatego on i tamci dwaj zawzięli się na mnie. I to by było tyle. Teraz już wiecie, co się stało i dlaczego.

– W-w-w-wyglądasz, jakby c-cię z-z-zabili – powiedział Bill.

– Spadłem tu z Kansas Street. Zjechałem z całego zbocza pagórka. – Spojrzał na Eddiego. – Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że wkrótce spotkamy się na oddziale nagłych wypadków. Kiedy mama zobaczy moje ciuchy, z miejsca zawiezie mnie do szpitala.

Tym razem zarówno Bill, jak i Eddie wybuchnęli radosnym śmiechem. Ben przyłączył się do nich. Śmiech powodował u niego bóle brzucha, ale pomimo to śmiał się piskliwie i jakby nieco histerycznie. W końcu musiał usiąść na brzegu strumienia i odgłos, jaki wydał jego tyłek przy zderzeniu z ziemią, ponownie wprawił go w radosny nastrój. Lubił brzmienie swego śmiechu zmieszanego ze śmiechem Billa i Eddiego. To był dźwięk, jakiego nigdy dotąd nie słyszał; wielokrotnie słyszał różne chichoty, ale nigdy nie śmiał się do spółki z kolegami.

Uniósł wzrok i spojrzał na Billa Denbrough, a ten na niego i znowu wybuchnęli śmiechem.

Bill podciągnął spodnie, postawił kołnierz koszuli i zaczął przechadzać się wolno dokoła leniwym, nonszalanckim krokiem. Jego głos przycichł nieco, kiedy zaczął mówić.

– Zabiję cię, dzieciaku. Nie rób se ze mnie jaj. Jestem głupi, ale za to wielki. Mógłbym rozbijać na czole orzechy. Potrafię szczać octem i srać cementem. Nazywam się Honeybunch Bowers i jestem szefem bandy kutasów, które rządzom tom częściom Derry.

Eddie leżał teraz na brzegu strumienia i trzymając się za brzuch, zwijał ze śmiechu. Ben zgiął się wpół i z głową pomiędzy kolanami, ze strużkami łez spływającymi z oczu i gilami zwisającymi mu z obu dziurek od nosa, ryczał jak hiena.

Bill usiadł obok nich i z wolna cała trójka się uspokoiła.

– Jedno jest w tym wszystkim dobre – powiedział po chwili Eddie. – Jeżeli Bowers jest na kursie wakacyjnym, nie będziemy go tu widywać zbyt często.

– Często bawicie się w Barrens? – spytał Ben. Ta myśl nigdy nie przyszłaby mu do głowy nawet za tysiąc lat, ale teraz, kiedy był tutaj, nie wydawało mu się to aż takie złe.

Prawdę mówiąc, kiedy popołudnie z wolna przechodziło w zmierzch, pas niskiego brzegu Kenduskeag wydawał się całkiem przyjemny.

– J-j-jasne. T-tu j-jest f-f-fajnie. Z-zwykle nikt t-tu n-nie p-p-przychodzi. Znamy t-tu sporo miejsc. W każdym r-r-razie B-b-bo-wers i t-t-tamci t-tu n-nie schodzą.

– Ty i Eddie?

– R-r-r… – Bill pokręcił głową. Jego twarz, kiedy się jąkał, przypominała mokrą, skręconą ścierkę.

Bill nie zająknął się ani razu, parodiując Henry'ego Bowersa.

– Z-z-zwykle p-przychodzi tu też Richie T-tozier. Ale dz-dzisiaj p-poszedł z t-t-tatą zrobić p-p-porządek na p-p-p…

– Poddaszu – wyjaśnił Eddie i wrzucił do wody kamień.

– Tak. Znam go – powiedział Ben. – Często tu bywacie, co, chłopaki?

To zafascynowało go i przepełniło dziwną tęsknotą.

– D-d-dosyć – odrzekł Bill. – Czemu n-n-nie miałbyś p-przyjść t-tu j-j-jutro? J-ja i E-eddie p-p-próbowaliśmy zbudować t-t-tamę.

Ben nie mógł wykrztusić słowa. Zdziwiła go nie tylko propozycja, ale prostota i banalność,

z jaką mu ją złożono.

– Może powinniśmy zrobić coś innego – rzekł Eddie. – Tama i tak nie spisywała się najlepiej.

Ben wstał i podszedł do strumienia, strzepując grudki ziemi ze swych olbrzymich pośladków. Po obu stronach strumienia nadal znajdowały się splątane stosy gałązek, ale wszystko inne zostało zmyte przez prąd.

– Przydałoby się wam parę desek – zauważył Ben. – Załatwcie deski i wstawcie je w poprzek… równolegle do siebie… jak chleb w kanapce. – Bill i Eddie patrzyli na niego zaskoczeni. Ben ukląkł na jedno kolano. – Spójrzcie – powiedział. – Deski tu i tu. Wkładacie je do strumienia jedną przy drugiej. Jasne? Potem, zanim woda je zmyje, zapełniacie przestrzeń pomiędzy nimi kamieniami i piaskiem…

– M-m-my – powiedział Bill.

– Co?

– M-m-my to zrobimy.

– Och – mruknął Ben. Czuł się (i był pewien, że wyglądał) wyjątkowo głupio. Jednak nie przejmował się tym, bo nagle ogarnęło go szczęście. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz był równie szczęśliwy. – Tak. My. A więc jeśli wy… my zapełnimy przestrzeń pomiędzy deskami kamieniami i piaskiem, to woda jej nie

zmyje. Deska w górze strumienia będzie pod wpływem naporu wody opierać się o kamienie i żwir. Druga, jak sądzę, po pewnym czasie zostanie zmyta, ale gdybyśmy mieli jeszcze trzecią… zresztą popatrzcie sami.

Zaczął rysować na ziemi patykiem. Bill i Eddie Kaspbrak pochylili się i przyglądali rysunkowi z trzeźwym zainteresowaniem.

– Budowałeś już kiedyś tamę? – spytał Eddie. Jego głos był przepełniony respektem. Wydawało się, że chłopiec był nieco zaniepokojony.

– Nie.

– N-no to skąd w-w-wiesz, ż-że to z-z-z-zadziała?

Ben spojrzał na Billa z zakłopotaniem.

– A niby czemu nie?

– Ale s-skąd w-wiesz? – spytał Bill.

Ben zamiast sarkastycznego niedowierzania rozpoznał w tym głosie szczere zaciekawienie.

– S-skąd w-wiesz?

– Po prostu wiem – odparł Ben. Jakby chcąc się upewnić, spojrzał na widniejący na ziemi rysunek. Nigdy dotąd nie widział grodzy ani w rzeczywistości, ani na rysunku i nie zdawał sobie sprawy, że właśnie przed chwilą całkiem udanie narysował jedną z nich.

– D-dobrze – powiedział Bill i klepnął Bena w plecy. – N-no, to do j-j-jutra.

– O której?

– J-ja i E-eddie będziemy t-tu o ó-ósmej trzydzieści. Mniej w-więcej.

– Jeżeli ja i mama wciąż jeszcze nie będziemy siedzieć na oddziale nagłych wypadków – powiedział Eddie i westchnął.

– Przyniosę parę desek – oznajmił Ben. – Ten stary facet, który mieszka przy sąsiedniej przecznicy, ma ich sporo. Podwędzę kilka.

– Przynieś też jakiś prowiant – dodał Eddie. – Coś do jedzenia. Wiesz, kanapki, ringding i takie tam.

– Dobra.

– M-masz j-j-jakąś broń?

– Wiatrówkę – odparł Ben. – Dostałem od mamy na gwiazdkę, ale ona nie lubi, kiedy strzelam w domu. Zawsze się wtedy wścieka.

– T-też ją p-p-przynieś – powiedział Bill. – M-m-może sobie p-p-postrzelamy.

– Dobrze. – Ben był wyraźnie zadowolony. – Posłuchajcie, chłopaki, muszę zmykać do domu.

– M-my t-t-też – powiedział Bill.

Wyszli z Barrens we trójkę. Ben pomógł Billowi wtoczyć Silvera na zbocze nasypu. Eddie szedł za nimi, ponownie miał świszczący oddech i patrzył z niepokojem na swoją zakrwawioną koszulę.

Bill pożegnał się, a potem odjechał na rowerze, krzycząc na całe gardło.

– Hej-ho, Silver. Naprzód!

– Ten rower jest gigantyczny – powiedział Ben.

– Załóż się o swoje futro – rzucił Eddie. Strzelił sobie kolejną działkę ze swego aspiratora i ponownie oddychał normalnie. – Czasami mnie podwozi na bagażniku. Jeździ tak szybko, że naprawdę mnie przeraża. Ale w sumie Bill to fajny gość. – Ostatnie zdanie rzucił niejako mimochodem, ale jego oczy mówiły zupełnie coś innego. Były przepełnione szacunkiem i uwielbieniem. – Wiesz, co się stało z jego bratem, no nie?

– Nie, co z nim?

– Zabili go zeszłej jesieni. Jakiś facet go zabił. Oderwał mu ramię, tak jakby odrywał skrzydełko musze.

– Rany!

– Bill prawie się wtedy nie jąkał. Od tego czasu mu się pogorszyło. Zauważyłeś, jak się zacina?

– No… trochę.

– Ale jego mózg się nie zacina. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– W każdym razie powiedziałem ci to dlatego, że jeśli chcesz, aby Bill był twoim przyjacielem, byłoby lepiej, gdybyś nie rozmawiał z nim o jego młodszym bracie. Nie próbuj go wypytywać. On jest przeczulony na tym punkcie.

– Też bym był – odparł Ben.

Przypomniał sobie teraz (choć mgliście) o małym chłopcu, który został zamordowany poprzedniej jesieni. Zastanawiał się, czy jego matka myślała o George'u, kiedy dała mu zegarek, który teraz miał na ręku, czy po prostu o kolejnych zabójstwach.

– To się stało tuż po wielkiej powodzi?

Dotarli do rogu ulic Kansas i Jackson, gdzie mieli się rozstać. Dzieci biegały to tu, to tam, bawiąc się w berka i rzucając piłkami baseballowymi. Mały chłopiec w wielkich niebieskich szortach i futrzanej czapie z szopa (w stylu Davy'ego Crocketta) na głowie, nałożonej tył na przód, tak że puchaty ogon przesłaniał mu

oczy, minął Bena i Eddiego, tocząc hula-hoop, i zawołał:

– Pościgamy się? No, kto mnie dogoni? Kto dogoni kółko?

Dwaj starsi chłopcy patrzyli na niego przez chwilę z rozbawieniem, a potem Eddie powiedział:

– Cóż, muszę już iść.

– Poczekaj chwilę – powiedział Ben. – Skoro nie chcesz, żeby mama zawiozła cię do szpitala, wydaje mi się, że mam pewien pomysł.

– Naprawdę? – Eddie spojrzał na Bena z powątpiewaniem, ale i nadzieją.

– Masz pięć centów?

– Mam dziesięć. No i co?

Ben zlustrował wzrokiem zaschnięte kasztanowate plamy na koszuli Eddiego.

– Zajrzyj do sklepu i kup mleko czekoladowe, a potem wylej mniej więcej połowę na koszulę. Jak wrócisz do domu, powiedz mamie, że ci się rozlało.

Oczy Eddiego pojaśniały. W ciągu czterech lat od śmierci ojca wzrok jego matki znacznie się pogorszył. Z czystej próżności (i ponieważ nie prowadziła samochodu) nie chciała pójść do okulisty załatwić sobie okularów. Zaschnięte

plamy krwi i mleka czekoladowego wyglądały dość podobnie. Może…

– To może zadziałać – zgodził się.

– Tylko jeśli się pokapuje, to nie mów jej, że to był mój pomysł.

– Nie powiem – odparł Eddie. – Zobaczymy się może, aligatorze.

– W porząsiu.

– Nie – powiedział cierpliwie Eddie. – Powinieneś odpowiedzieć: pewno w Nilu, krokodylu.

– Och. Pewno w Nilu, krokodylu.

– Załapałeś. – Eddie się uśmiechnął.

– Wiesz co? – rzekł Ben. – Fajne z was chłopaki.

Eddie był bardziej niż zakłopotany. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– Bill owszem – rzucił jakby mimochodem i odszedł.

Ben patrzył, jak tamten idzie w dół Jackson Street, a potem ruszył w stronę domu. Trzy przecznice dalej, na przystanku autobusowym, na rogu Jackson i Main zobaczył trzy aż nazbyt znajome sylwetki. Na szczęście Henry Bowers i jego dwaj kumple stali do niego tyłem. Ukrył się za żywopłotem; serce biło mu szybciej i mocniej.

Pięć minut później na przystanek podjechał autobus linii Derry–Newport–Haven; Henry z kumplami wsiadł do środka. Ben zaczekał, aż autobus zniknie z pola widzenia, a potem raźno pospieszył do domu.

8

Tej nocy Billowi Denbrough przydarzyło się coś strasznego. To stało się już po raz drugi. Jego mama i tata byli na dole, oglądając telewizję; nie rozmawiali wiele, siedząc na dwóch końcach kanapy jak ścianki biblioteczki.

Kiedyś w pokoju telewizyjnym panował taki gwar i hałas, że w ogóle nie było słychać telewizora.

– Zamknij się, Georgie! – ryczał Bill.

– Nie zżeraj całego popcornu, to się zamknę – odpowiedział George. – Maa, powiedz Billowi, żeby dał mi kukurydzy.

– Bill, daj mu trochę popcornu, George, nie mów do mnie „Maa”. „Maa” robią owce.

Albo jego ojciec rzucał jakiś dowcip i wszyscy się wtedy śmiali, nawet mama. George nie zawsze rozumiał sens, ale śmiał się ze wszystkimi. Wtedy jego mama i tata też siedzieli jak ścianki biblioteczki, tyle że on i George byli książkami.

Od śmierci George'a Bill starał się wsunąć niczym książka pomiędzy nich, ale zawsze porażał go jakiś dziwny chłód. Emanował z obu stron, a system rozmrażający Billa nie mógł sobie z nim poradzić. Odchodził, bo ten rodzaj chłodu zawsze zmrażał mu policzki i sprawiał, że jego oczy zaczynały łzawić.

– Opowiedzieć wam dowcip, który usłyszałem dzisiaj w szkole? – zapytał kiedyś, parę miesięcy temu. Reakcją z ich strony była cisza. W telewizji przestępca błagał swego brata, księdza, aby go ukrył. Tata Billa uniósł wzrok znad „True", które przeglądał, i spojrzał na syna z lekkim zdziwieniem, po czym wrócił do kartkowania czasopisma.

Na jednej ze stron widniało zdjęcie myśliwego leżącego na śniegu ze wzrokiem utkwionym w górującego nad nim niedźwiedzia polarnego. Artykuł nosił tytuł: *Ofiara zabójcy z białych pustyń*.

Bill pomyślał, że chyba wie, gdzie znajdują się niektóre z tych pustyń – na tej kanapie, pomiędzy rodzicami. Jego matka w ogóle nie podniosła wzroku.

– Wiecie, ilu Francuzów potrzeba do wkręcenia jednej żarówki? – rzucił Bill. Poczuł, że jego czoło pokryło się warstewką potu, jak to

czasami działo się w szkole, kiedy wiedział, że nauczycielka zbyt długo go ignorowała i lada moment może wywołać go do odpowiedzi. Mówił trochę za głośno, ale nie ściszył głosu.

Wypowiedziane przezeń słowa dźwięczały niczym szalone kuranty odbijające się głośnym echem, cichnąc i ponownie rozbrzmiewając w pokoju.

– W-wiecie i-i-i-ilu?

– Jednego do wkręcenia żarówki i czterech, żeby obracali dom – rzucił jakby od niechcenia Zack Denbrough i przewrócił stronę czasopisma.

– Powiedziałeś coś, kochanie? – spytała matka, a w *Four Star Playhouse* brat, który był księdzem, poradził bratu przestępcy, aby zgłosił się na policję i modlił o przebaczenie.

Bill siedział tam i pocił się, ale było mu zimno – bardzo zimno. Czuł chłód, bo nie był jedyną książką pomiędzy rodzicami; George wciąż tam siedział, tylko że teraz George stał się niewidzialny i nie domagał się popcornu ani nie piszczał, że Bill go podszczypuje. Niczego nie krytykował. Niczego nie żądał. To był jednoręki George, blady jak śmierć i przeraźliwie milczący, otoczony mroczną białoniebieską poświatą i kto wie, może to właśnie od niego bił ów przeraźliwy chłód, może to George był prawdziwym zabójcą

z białych pustyń. W końcu Bill uciekł od tego chłodu, niewidzialnego brata i w swoim pokoju rzucił się na łóżko, ukrył twarz w poduszce, zapłakał.

Pokój George'a był taki sam jak w dniu jego śmierci. Któregoś dnia, jakieś dwa tygodnie po pogrzebie, Zack włożył jego zabawki do kartonowego pudła z zamiarem oddania ich do Goodwill, Armii Zbawienia albo innej tego typu organizacji – w każdym razie tak się wydawało Billowi. Sharon Denbrough zauważyła go, jak wychodził, niosąc wielkie pudło, a jej ręce niczym spłoszone białe ptaki uniosły się i chwytając kurczowo pęki włosów, zacisnęły w pięści.

Bill widział to i zobaczył, jak bezwładnie oparła się o ścianę.

Wyglądała na równie szaloną jak Elsa Lanchester w *Narzeczonej Frankensteina*.

– Nie waż się zabierać tych rzeczy! – zawyła ochryple.

Zack cofnął się i bez słowa zaniósł pudło z powrotem do pokoju George'a. Poukładał zabawki dokładnie w tych samych miejscach, z których je zabrał. Bill wszedł do pokoju i zobaczył ojca klęczącego przy łóżku George'a (w którym matka nadal zmieniała

pościel – choć obecnie tylko raz, a nie jak przedtem dwa razy w tygodniu) z głową opartą na owłosionych, muskularnych przedramionach. Bill zobaczył, że ojciec płakał, i to wzmogło w nim uczucie strachu. Przyszła mu do głowy przerażająca myśl – gdy ci się nie wiodło, mówiłeś sobie: zła passa musi się kiedyś skończyć, ale bywały sytuacje, że zła passa nie tylko się nie kończyła, ale jeszcze się pogłębiała aż do momentu, kiedy wszystko waliło się w gruzy.

– T-t-tato…

– Odejdź, Bill – powiedział ojciec. Głos Zacka był stłumiony i drżący.

Bill bardzo pragnął przyłożyć dłoń do pleców ojca, aby sprawdzić, czy nie udałoby mu się uspokoić dotknięciem jego spazmatycznych skurczów. Nie ośmielił się tego zrobić. Odejdź, spadaj.

Wyszedł i przemknął cichaczem przez górny korytarz, słysząc dochodzący z kuchni płacz matki. Był to przeraźliwy odgłos, pełen bólu i bezradności. Bill zastanawiał się przez chwilę, dlaczego płaczą, choć są tak daleko od siebie, a potem odegnał tę natrętną myśl.

9

W pierwszy wieczór letnich wakacji Bill wszedł do pokoju George’a. Serce waliło mu w piersi, a nogi miał sztywne i zdrętwiałe z napięcia. Często wchodził do tego pokoju, ale nie lubił w nim przebywać. W pokoju tak bardzo wyczuwało się obecność George’a, jakby pomieszczenie było nawiedzone.

Wszedł do środka i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że lada chwila drzwi do szafy otworzą się ze skrzypnięciem i pośród wiszących tam koszul i spodni zobaczy George’a ubranego w płaszcz przeciwdeszczowy pokryty krwawymi plamami i zaciekami, z jednym pustym, zwisającym rękawem. Oczy George’a będą niewidzące i straszne, jak oczy żywego trupa w jednym z filmów o zombi. Kiedy wyjdzie z szafy, skrzypiąc kaloszami po podłodze, podejdzie do Billa siedzącego na łóżku i skamieniałego z przerażenia…

Gdyby któregoś wieczoru wyłączono prąd, podczas gdy on znajdowałby się akurat w pokoju George’a, siedząc na łóżku i patrząc na zdjęcia na ścianie albo modele stojące na szafce, z całą pewnością dziesięć sekund później dostałby zawału i dokonał żywota. Mimo wszystko przychodził do tego pokoju. Wahał się pomiędzy

strachem przed duchem brata a gwałtowną potrzebą, niejako głodem, pogodzenia się z faktem jego odejścia i odnalezienia właściwego sposobu na dalsze życie.

Nie chciał zapomnieć George'a, ale sprawić, aby wspomnienia o nim nie były aż tak okrutne. Zdał sobie sprawę, że rodzice mu w tym nie pomogą, i jeżeli miało mu się to w ogóle udać, to będzie musiał tego dokonać sam.

Nie przychodził tam tylko dla siebie, ale również dla niego. Kochał brata i trzeba przyznać, że jak na braci byli dość zgodni. Co prawda, zdarzały się im ostrzejsze scysje. Bill robił z George'em stare numery z płonącym sznurem, a George z kolei wsypywał Billa, gdy ten zakradał się nocami do lodówki, żeby zjeść resztę mrożonego kremu cytrynowego, ale zwykle stosunki między nimi układały się całkiem dobrze.

Już sama śmierć brata była tragedią. Jednak dla Billa koszmar dopiero się rozpoczął, ponieważ George z chwilą swego odejścia zmienił się w istotę rodem z najstraszliwszego horroru. Prawdą było, że brakowało mu tego małego. Brakowało mu jego głosu, śmiechu – i widoku oczu, w których malowała się niewzruszona pewność, że Bill potrafi udzielić

odpowiedzi na każde zadane pytanie. Rzecz dziwna: uczucie miłości do George'a odzywało się najgwałtowniej w chwilach, kiedy Bill był przerażony, bo nawet bojąc się – ogarnięty niejasnym przeczuciem, że zombi-George mógł czaić się gdzieś w mrokach szafy albo pod łóżkiem – pamiętał o swoich uczuciach wobec George'a i uczuciach brata wobec niego. George go kochał. W swoich próbach pogodzenia miłości i strachu Bill czuł, że jest coraz bliższy odnalezienia ostatecznego rozwiązania.

Nie były to sprawy, o których zwykł mówić – myśli te tworzyły w głębinach jego umysłu chaotyczne kłębowisko. Ale jego gorące i przepełnione tęsknotą serce zrozumiało, że wszak tylko to się liczyło. Czasami przeglądał książki brata, od czasu do czasu bawił się jego zabawkami. Jednak od grudnia zeszłego roku nie zaglądał do albumu ze zdjęciami George'a.

Teraz, następnego wieczoru po spotkaniu z Benem Hanscomem, Bill otworzył drzwi do szafy brata (jak zwykle przygotowując się, że zobaczy w niej samego George'a stojącego pośród ubrań, w zakrwawionym płaszczu przeciwdeszczowym, a chwilę potem jedyna zsiniała dłoń o zakrwawionych jak szpony

palcach wypryśnie z mroku, by schwycić go za ramię) i zdjął album z najwyższej półki.

Złoty napis na okładce głosił: „Moje fotografie”. Poniżej na kawałku łuszczącej się i pożółkłej już dziś taśmy klejącej widniały napisane starannie słowa – „George Elmer Denbrough lat 6”.

Bill zaniósł album do łóżka, na którym sypiał Georgie, a serce biło mu mocniej niż zwykle. Nie potrafił powiedzieć, co go zmusiło do tego, by ponownie sięgnąć po ten album. Po tym, co się stało w grudniu…

Drugi rzut oka. To wszystko. Aby się upewnić, że ten pierwszy raz był jedynie złudzeniem, że to się nie wydarzyło naprawdę. Że to była wyłącznie sztuczka powstała w twojej przepracowanej mózgownicy. No cóż. Było to jakieś wyjaśnienie.

Lepsze takie niż żadne. Zwłaszcza że mogło w pewnym sensie być prawdziwe. Jednak Bill przypuszczał, że chodziło w głównej mierze o sam album, który wywoływał w nim jakąś niezwykłą, szaleńczą fascynację. To, co zobaczył, lub raczej co wydawało mu się, że zobaczył…

Otworzył album. Wypełniały go zdjęcia, które George otrzymał od swego ojca, a także wielu ciotek i wujków. George’a nie obchodziło, że na

zdjęciach widniały osoby czy miejsca, których nie znał. Fascynowała go sama fotografia jako taka.

Kiedy nie mógł wyłudzić od nikogo nowej porcji zdjęć, siadywał (tak jak teraz Bill) na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i przeglądał stare, przewracając ostrożnie kartki i studiując z uwagą czarno-białe fotografie.

Jedno z nich przedstawiało matkę, kiedy była jeszcze młoda i olśniewająco piękna; inne ojca, wtedy zaledwie osiemnastoletniego, gdzie indziej znowu trójkę uśmiechniętych młodych ludzi ze strzelbami stojącą nad trupem świeżo ustrzelonego jelenia, którego oczy wciąż jeszcze były otwarte; wujek Hoyt na skałkach z czekanem w uniesionej wysoko dłoni; ciotka Fortuna na Targu Rolnym w Derry klęcząca dumnie obok kosza wyhodowanych przez siebie pomidorów; stary buick; kościół; dom; droga biegnąca skądś dokądś. Wszystkie te zdjęcia, zrobione przez zapomnianych ludzi z zapomnianych powodów, spoczywały w albumie nieżyjącego już dziś chłopca. Na jednym ze zdjęć Bill zobaczył siebie (w wieku lat trzech) siedzącego na szpitalnym łóżku z głową owiniętą bandażami niczym turbanem. Biała wstęga spływała po policzkach, krzyżując się pod pękniętą szczęką.

Bill Denbrough został potrącony przez samochód na parkingu A & P przy Center Street. Niewiele pamiętał ze swego pobytu w szpitalu – tylko tyle, że dawano mu tam lodowe koktajle, które popijał przez słomkę, i że przez trzy dni diabelnie bolała go głowa.

A oto cała rodzina na trawniku przed domem, Bill stojący obok matki i trzymający ją za rękę, i George, wtedy jeszcze niemowlę, na rękach Zacka. A tu…

Nie był to koniec albumu, ale ostatnia strona, jaka się w nim liczyła, bo na pozostałych nie umieszczono zdjęć. Ostatnia z fotografii była szkolnym zdjęciem George'a, zrobionym w październiku ubiegłego roku, niespełna dziesięć dni przed jego śmiercią. Miał na sobie koszulkę polo. Zwykle zwichrzone włosy ulizał na wodę. Uśmiechał się, ukazując dwie szczerby, w których nigdy nie wyrosną nowe zęby – chyba że zęby rosną też po śmierci, pomyślał Bill i wzdrygnął się.

Przez jakiś czas wpatrywał się w fotografię i miał już zamknąć album, kiedy to, co stało się w grudniu, wydarzyło się ponownie. George na zdjęciu przewrócił oczami. Przesunęły się, by napotkać spojrzenie Billa. Fotograficzny uśmiech (zaraz wyleci ptaszek) zmienił się w odrażający

ironiczny grymas. George mrugnął do Billa prawym okiem. Zobaczymy się wkrótce, Bill. W mojej szafie. Może jeszcze tej nocy.

Bill cisnął albumem przed siebie. Przyłożył obie dłonie do ust. Księga uderzyła w ścianę i otwarta upadła na podłogę. Kartki albumu przewracały się, choć nie było przeciągu, by ponownie ukazać to okropne zdjęcie z umieszczonym u dołu podpisem: „Szkolni przyjaciele 1957–1958”. Ze zdjęcia zaczęła wypływać krew. Szkarłatna struga spłynęła po stronicy albumu i zaczęła ściekać na podłogę.

Bill wybiegł z pokoju, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 6
Jeden z zaginionych: opowieść z lata 1958

1

Nie wszyscy zostali odnalezieni. Nie – nie wszyscy zostali odnalezieni. A od czasu do czasu wysnuwano całkiem błędne przypuszczenia.

2

Wyjątek z „Derry News” z 21 czerwca 1958 (str. 1)

ZAGINIĘCIE CHŁOPCA WYWOŁUJE
NOWĄ FALĘ STRACHU

Edward L. Corcoran, zamieszkały w Derry przy Charter Street 73, zaginął. Zeszłego wieczoru fakt ten został zgłoszony policji przez jego matkę, Monicę Macklin, i ojczyma, Richarda P. Macklina. Mały Corcoran ma dziesięć lat. Jego zniknięcie obudziło na nowo w Derry falę lęku przed czyhającym na dzieci zabójcą. Pani Macklin powiedziała, że chłopiec zaginął 19 czerwca, kiedy to nie wrócił do domu ze szkoły, w przeddzień rozpoczęcia letnich wakacji. Gdy spytano, czemu zwlekała dwadzieścia cztery godziny ze zgłoszeniem zaginięcia syna, państwo Macklin odmówili komentarza. Szef policji Richard Borton również nie wypowiedział się na ten temat, aczkolwiek reporter „Derry News" dowiedział się z nieoficjalnego źródła, że stosunki chłopca z ojczymem nie układały się zbyt dobrze i że już wcześniej zdarzało mu się spędzać noce poza domem. Ostatecznym powodem ucieczki z domu mogły być niezadowalające oceny na świadectwie szkolnym. Dyrektor Derry School, Harold Metcalf, odmówił wypowiedzi na temat stopni Corcorana, twierdząc, że nie jest to

sprawa, którą należałoby roztrząsać na forum publicznym.

„„Mam nadzieję, że zniknięcie tego chłopca nie spowoduje fali niepotrzebnego lęku – powiedział wieczorem szef Borton. – Nastroje społeczeństwa są ze zrozumiałych względów pełne niepokoju, ale chcę przypomnieć, że każdego roku w tych okolicach znika od trzydziestu do pięćdziesięciu młodych osób. Większość odnajduje się żywa i cała w ciągu tygodnia od zgłoszenia zaginięcia. Miejmy nadzieję, że Edward Corcoran też się znajdzie”.

Borton powtórzył, że w jego przeświadczeniu zabójstwa George’a Denbrough, Betty Ripsom, Cheryl Lamonica, Matthew Clementsa i Veroniki Grogan nie były dziełem jednej osoby. „Każda z tych zbrodni jest na swój sposób inna”, powiedział Borton, ale odmówił wdawania się w szczegóły. Oświadczył, że lokalna policja przy współpracy z biurem prokuratora stanowego Maine wciąż podąża kilkoma tropami. Na zadane mu podczas rozmowy telefonicznej pytanie, jak dobre są owe tropy, szef Borton odparł, że bardzo dobre. Zapytany, czy

w najbliższym czasie spodziewa się aresztować sprawcę którejś z wymienionych zbrodni, Borton odmówił odpowiedzi.

Wyjątek z „Derry News” z 22 czerwca 1958 (str. 1)

ZASKAKUJĄCA DECYZJA SĄDU O DOKONANIU EKSHUMACJI

Zadziwiającym i przejmującym nowym akcentem w sprawie zniknięcia Edwarda Corcorana jest podjęta wczoraj przez sędziego Sądu Okręgowego w Derry, Erhardta K. Moultona, decyzja o ekshumacji zwłok młodszego brata Corcorana, Dorseya. Sąd domaga się szczegółowych danych od prokuratora hrabstwa i lekarza sądowego hrabstwa.

Dorsey Corcoran, który również mieszkał z matką i ojczymem przy Charter Street 73, zmarł wskutek nieszczęśliwego wypadku w 1957 roku. Chłopiec został przywieziony do szpitala w Derry

z licznymi ciężkimi obrażeniami (z uszkodzeniami czaszki włącznie). Wyjaśnień na temat wypadku udzielił Richard P. Macklin, ojczym chłopca. Powiedział on, że Dorsey Corcoran bawił się na składanej drabinie w garażu i najwidoczniej musiał z niej spaść. Chłopiec zmarł trzy dni później, nie odzyskawszy przytomności. Zniknięcie dziesięcioletniego Edwarda Corcorana zostało zgłoszone w zeszłą środę. Na pytanie, czy pan lub pani Macklin są podejrzani w sprawie śmierci młodszego, jak też zaginięcia starszego z chłopców, Richard Borton odmówił odpowiedzi.

Wyjątek z „Derry News” z 24 czerwca 1958 (str. 1)

MACKLIN ARESZTOWANY ZA TRAGICZNE W SKUTKACH POBICIE
Podejrzany w sprawie o zaginięcie pasierba

Szef Richard Borton z policji w Derry zwołał wczoraj konferencję prasową, by oświadczyć, że Richard P. Macklin, zamieszkały przy Charter Street 73, został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem zamordowania swojego pasierba, Dorseya Corcorana. Chłopiec zmarł w szpitalu wskutek „nieszczęśliwego wypadku” 31 maja ubiegłego roku. „W raporcie koroner stwierdził, że chłopiec został ciężko pobity”, powiedział Borton. Choć Macklin oświadczył, że chłopiec spadł z drabiny, kiedy bawił się w garażu, Borton podał, że wedle raportu koronera Dorsey Corcoran został bestialsko pobity jakimś tępokrawędziastym narzędziem. Kiedy spytano, co to mogło być za narzędzie, Borton odparł, że być może młotek. Najważniejsze jednak jest to, że, zdaniem koronera, chłopiec otrzymał całą serię uderzeń twardym narzędziem, a w wyniku tego doznał złamania kości. Rany, zwłaszcza te na czaszce, nie przypominają ran, jakie można odnieść wskutek upadku z drabiny. Dorsey Corcoran został najpierw

brutalnie pobity, a potem odwieziony do szpitala, aby mógł tam umrzeć.

Spytany, czy lekarze zajmujący się Corcoranem mogli zaniedbać swoich obowiązków w związku z nieujawnieniem faktów związanych z pobiciem dziecka czy podaniem fałszywej przyczyny zgonu, Borton oznajmił: „Kiedy pan Macklin stanie przed sądem, będą musieli odpowiedzieć na kilka bardzo poważnych pytań”. Poproszony o opinię dotyczącą związku z tą sprawą niedawnego zaginięcia starszego brata Dorseya Corcorana, Edwarda, o którego zaginięciu donieśli przed czterema dniami Richard i Monica Macklin, szef Borton odpowiedział: „Wydaje mi się, że ta sprawa jest poważniejsza, niż z początku sądziliśmy”.

Wyjątek z „Derry News” z 25 czerwca 1958 (str. 2)

NAUCZYCIELKA MÓWI, ŻE EDWARD CORCORAN BYŁ CZĘSTO POSINIACZONY

Henrietta Dumont, nauczycielka piątej klasy szkoły podstawowej w Derry, mieszczącej się przy Jackson Street, powiedziała, że Edward Corcoran, który zaginął przed blisko tygodniem, często przychodził do szkoły pokryty siniakami. Pani Dumont, która od końca drugiej wojny światowej uczyła w jednej z dwóch piątych klas szkoły podstawowej w Derry, powiedziała, że mały Corcoran jakieś trzy tygodnie przed swoim zniknięciem zjawił się w szkole pobity tak, że nie widział na oczy. „Kiedy spytałam go, co się stało, odparł, że ojciec sprał go za to, że nie chciał zjeść kolacji".

Na pytanie, czemu nie doniosła o tak okrutnym pobiciu, pani Dumont odparła: „Nie po raz pierwszy w swojej karierze widziałam coś takiego. Na początku trafił mi się uczeń, którego ojciec nagminnie nadużywał kar cielesnych. Stosował je jako terapię wychowawczą. Próbowałam coś na to zaradzić. Zastępczyni dyrektora, którą była w owym czasie Gwendolyn Rayburn, poradziła, abym się w to nie mieszała. Powiedziała, że wtrącanie się nauczycieli w przypadki domniemanego znęcania się

rodziców nad dziećmi odbija się zawsze na szkole poprzez podatki i Wydział Oświaty. Poszłam do dyrektora, a on powiedział mi, żebym o tym zapomniała albo dostanę naganę. Spytałam go, czy nagana w związku z taką sprawą mogłaby znaleźć się w moich aktach. Odpowiedział, że niekoniecznie. Zrozumiałam aluzję". Na pytanie, czy w systemie szkolnym podstawówki w Derry coś się zmieniło, pani Dumont odpowiedziała: „A jak to się przedstawia w świetle obecnych wydarzeń? Najprawdopodobniej gdyby nie to, że z końcem tego roku szkolnego przechodzę na emeryturę, nie doszłoby do tej rozmowy".

Pani Dumont dodaje poza tym: „Odkąd się o tym dowiedziałam, każdego wieczoru padałam na kolana i modliłam się, żeby Eddie Corcoran zdobył się wreszcie na odwagę i uciekł od tego potwora, swojego ojczyma. Modlę się, aby teraz, kiedy pisze się w gazetach o aresztowaniu Macklina, chłopiec powrócił do domu".

W krótkim wywiadzie telefonicznym Monica Macklin gorąco zaprzecza oskarżeniom pani Dumont. „Rick nigdy nie

pobił Eddiego ani Dorseya. Mówię to teraz, a kiedy umrę, by stanąć przed tronem Najwyższego Sędziego, spojrzę mu w oczy i powtórzę dokładnie to samo, słowo w słowo”.

Wyjątek z „Derry News” z 28 czerwca 1958 (str. 2)

„TATUŚ MUSIAŁ MNIE ZBIĆ, »BO JESTEM ZŁY«”, POWIEDZIAŁ CHŁOPIEC NAUCZYCIELCE PRZEDSZKOLA KRÓTKO PRZED SWOJĄ ŚMIERCIĄ

Miejscowa nauczycielka przedszkola, która nie chce ujawniać swojej tożsamości, powiedziała wczoraj reporterowi „Derry News”, że mały Dorsey Corcoran niecały tydzień przed swoją śmiercią w domniemanym wypadku w garażu przyszedł do przedszkola (w którym zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu) z silnie wywichniętym prawym kciukiem i trzema palcami prawej ręki. „Ręka bolała go tak bardzo, że nie mógł wziąć kredki,

aby pokolorować obrazek – powiedziała nauczycielka. – Palce miał napuchnięte jak parówki. Kiedy spytałam Dorseya, co się stało, odrzekł, że jego ojciec (ojczym, Richard P. Macklin) wykręcił mu palce, bo przeszedł po podłodze, którą matka dopiero co umyła i nawoskowała. »Tatuś musiał mnie zbić, bo jestem zły«, powiedział. Kiedy patrzyłam na te jego biedne napuchnięte palce, chciało mi się płakać. Ten chłopiec chciał tak jak reszta dzieci pokolorować swój obrazek, więc dałam mu aspirynę i pozwoliłam dokończyć pracę, podczas gdy reszcie dzieci czytałam w tym czasie bajkę. Uwielbiał kolorować rysunki, plakaty Pana Pracusia były jego ulubionymi, tak się cieszę, że mogłam dać mu tego dnia choć odrobinę szczęścia. Kiedy umarł, nie przyszło mi na myśl, że mogło to być coś innego aniżeli nieszczęśliwy wypadek. Chyba w pierwszej chwili pomyślałam o upadku, bo on nadal miał trudności z chwytaniem czegokolwiek tą ręką. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że dorosły potrafiłby zrobić coś równie potwornego małemu dziecku. Teraz już wiem, że się

myliłam. Życzyłabym sobie, aby było inaczej”.

Starszy brat Dorseya Corcorana, Edward, lat 10, nadal nie został odnaleziony. Richard Macklin, znajdujący się obecnie w jednej z cel więzienia hrabstwa w Derry, w dalszym ciągu zaprzecza, że miał jakikolwiek związek ze śmiercią swojego młodszego pasierba i zaginięciem starszego.

Wyjątek z „Derry News” z 30 czerwca 1958 (str. 5)

MACKLIN PRZESŁUCHIWANY W SPRAWIE ŚMIERCI GROGAN I CLEMENTSA

Źródło donosi o alibi nie do podważenia.

Wyjątek z „Derry News” z 6 lipca 1958 (str. 1)

BORTON OŚWIADCZA: MACKLIN ZOSTANIE OSKARŻONY TYLKO

O ZABÓJSTWO SWEGO PASIERBA DORSEYA

Edward Corcoran nadal uważany za zaginionego.

Wyjątek z „Derry News” z 24 lipca 1958 (str. 1)

PŁACZĄCY OJCZYM PRZYZNAJE SIĘ DO ZAKATOWANIA PASIERBA

Podczas kolejnej dramatycznej odsłony w toczącym się w Sądzie Okręgowym procesie Richarda Macklina oskarżony o zabójstwo swego pasierba Dorseya Corcorana Macklin załamał się pod wpływem krzyżowego ognia pytań prokuratora hrabstwa Bradleya Whitsuna i przyznał się do śmiertelnego pobicia swego pasierba młotkiem. Po dokonaniu zbrodni zakopał młotek na dalekim krańcu należącego do żony ogródka warzywnego, a następnie odwiózł chłopca na pogotowie.

Zgromadzeni w sali sądowej oszołomieni i milczący słuchali, jak

płaczący Macklin, który uprzednio przyznał się, że bił swoich pasierbów „od czasu do czasu, i jeżeli już, to tylko dla ich dobra”, opowiadał przebieg całego zdarzenia. „Nie wiem, co mnie naszło. Zobaczyłem, jak ponownie włazi na tę drabinę i schwyciłem młotek z półki, a potem zacząłem go nim okładać. Nie chciałem go zabić. Bóg mi świadkiem, że nie chciałem”.

„Czy powiedział coś do pana, zanim stracił przytomność?”, spytał Whitson.

„Powiedział: »tato, przestań, przepraszam, kocham cię«”, odrzekł Macklin.

„Przestał pan?”.

„W końcu tak”, odparł Macklin. A potem zaczął tak histerycznie szlochać, że sędzia Erhardt Moulton zarządził odroczenie rozprawy.

Wyjątek z „Derry News” z 18 września 1958 (str. 16)

GDZIE JEST EDWARD CORCORAN?

Jego ojczym, odsiadujący wyrok od dwóch do dziesięciu lat w Shawshank za zamordowanie czteroletniego Dorseya, w dalszym ciągu twierdzi, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa Edward Corcoran. Jego matka, która wniosła o rozwód z Richardem P. Macklinem, mówi, że jej (niebawem były) mąż kłamie. Czy rzeczywiście?

„Ja tak nie uważam – mówi ojciec Ashley O'Brian, który obsługuje katolickich więźniów w Shawshank. Macklin wkrótce po znalezieniu się w więzieniu zaczął praktykować religię katolicką i ojciec O'Brian spędził z nim sporo czasu. – On naprawdę szczerze żałuje tego, co zrobił", twierdzi ojciec O'Brian, dodając, że kiedy pierwszy raz zapytał go, czemu chciał zostać katolikiem, Macklin odpowiedział: „Słyszałem, że u nich jest coś takiego, co nazywa się aktem skruchy, a ja będę tego potrzebował, i to dość sporo, bo w przeciwnym razie po śmierci pójdę do piekła". „On dobrze wie, co zrobił temu chłopcu – powiedział ojciec O'Brian. – Jeżeli zrobił coś starszemu, to po prostu

tego nie pamięta. Co się tyczy Edwarda, wierzy, że ma czyste ręce”.

Jak czyste są ręce Macklina w związku ze sprawą jego pasierba Edwarda – oto pytanie, które dręczy do dziś mieszkańców Derry, ale jedno jest pewne. Macklin został w pełni oczyszczony z zarzutów popełnienia pozostałych morderstw. Zdołał przedstawić niepodważalne alibi na okres, kiedy popełniono pierwsze trzy, a w końcu czerwca, lipcu i sierpniu, gdy doszło do siedmiu następnych, przebywał w więzieniu.

Wszystkie dziesięć zabójstw pozostało niewyjaśnione. W wywiadzie na wyłączność, jakiego Macklin udzielił „Derry News” w zeszłym tygodniu, ponownie zapewnił, że nie wie nic na temat obecnego miejsca pobytu Edwarda Corcorana. „Biłem ich obu – wyznał w bolesnym monologu, który często przerywał momentami niekontrolowanego szlochu. – Kochałem ich, ale ich lałem. Nie wiem dlaczego, podobnie jak nie wiem, czemu Monica mi na to pozwalała i kryła mnie po śmierci Dorseya. Przypuszczam, że mógłbym zabić Eddiego równie łatwo

jak Dorseya, ale przysięgam na Boga, Jezusa Chrystusa i wszystkich świętych w niebie, że tego nie zrobiłem. Wiem, jak to musi brzmieć, ale ja tego nie zrobiłem. Myślę, że on po prostu uciekł. Jeżeli rzeczywiście tak się stało, to pozostaje mi tylko podziękować za to Bogu".

Spytany, czy ma świadomość istnienia jakichś luk w swojej pamięci (gdyby na przykład zabił Edwarda, a potem zablokował wszystkie wspomnienia związane z tym zdarzeniem), Macklin odparł: „Nie mam świadomości żadnych luk. Dobrze, nawet aż za dobrze, zdaję sobie sprawę z tego, co uczyniłem. Poświęciłem moje życie Chrystusowi i zrobię wszystko, aby tego nie zaprzepaścić. Mam wiele do odrobienia".

Wyjątek z „Derry News" z 27 stycznia 1960 (str. 1)

ZNALEZIONE CIAŁO TO NIE MŁODY CORCORAN, MÓWI SZEF BORTON

Dziś rano szef policji Richard Borton powiedział reporterom, że znalezione silnie rozłożone zwłoki chłopca w wieku Edwarda Corcorana, który znikł bez śladu w czerwcu 1958 roku, z całą pewnością nie należą do zaginionego. Ciało odnaleziono w Aynesford, w Massachusetts, pogrzebane w zasypanej żwirem jamie. Policja zarówno z Maine, jak i z Massachusetts początkowo uważała, że może to być zaginiony chłopiec Corcoranów, który po ucieczce z domu przy Charter Street, gdzie jego brat został zakatowany na śmierć, padł ofiarą zboczeńca gustującego w dzieciach.

Badania zębów wykazały bez cienia wątpliwości, że zwłoki znalezione w Aynesford nie należą do Eddiego Corcorana, który już od dziewiętnastu miesięcy uważany jest za zaginionego.

Wyjątek z „Portland Press-Herald” z 19 lipca 1967 (str. 3)

SKAZANY MORDERCA POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO W FALMOUTH

Richard P. Macklin, skazany dziewięć lat temu za zabójstwo swego czteroletniego pasierba, wczoraj po południu został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu w Falmouth. Zwolniony warunkowo Macklin, który od czasu opuszczenia Shawshank mieszkał i pracował w Falmouth, bez wątpienia popełnił samobójstwo. „Kartka, którą zostawił, wskazuje, że był w okropnym stanie… rozbity wewnętrznie", powiedział zastępca szefa policji Falmouth Brandon K. Roche. Odmówił jednak wyjawienia treści kartki, ale policyjne źródło donosi o dwóch zdaniach. „Widziałem Eddiego ostatniej nocy. On nie żyje". Wymieniony Eddie może być pasierbem Macklina, bratem chłopca, za którego zabicie Macklin został skazany w 1958 roku. To właśnie zaginięcie Edwarda Corcorana przyczyniło się ostatecznie do skazania Macklina za pobicie na śmierć młodszego brata Edwarda, Dorseya. Starszy z chłopców od dziewięciu lat uważany jest za zaginionego. W 1966 roku podczas krótkiej rozprawy sądowej matka chłopca złożyła oświadczenie, że chłopiec nie żyje, dzięki

czemu mogła wejść w posiadanie należących do niego oszczędności, czyli szesnastu dolarów.

3

Eddie Corcoran rzeczywiście nie żył.

Umarł wieczorem 19 czerwca i jego ojczym nie miał z tym nic wspólnego. Umarł, kiedy Ben Hanscom siedział w domu, oglądając telewizję ze swoją matką; kiedy matka Eddiego Kaspbraka dotykała trwożliwie jego czoła, by sprawdzić, czy nie ma oznak jego ulubionej choroby, „widmowej gorączki”; kiedy ojczym Beverly Marsh – mężczyzna, który przynajmniej pod względem temperamentu przypominał przybranego ojca Eddiego i Dorseya Corcoranów – wymierzył dziewczynie silne kopnięcie w tylną część ciała i powiedział: „Ruszaj stąd i pozmywaj naczynia, tak jak ci matka kazała”; kiedy paru licealistów przejeżdżających starym dodge’em obok domu Hanlonów, stojącego w niezbyt dużej odległości od farmy szalonego ojca Henry’ego Bowersa, obrzucało obelgami pielącego chwasty w ogródku Mike’a Hanlona, kiedy Richie Tozier przeglądał zdjęcia półnagich kobiet w „Gemie”, który znalazł na dnie szuflady ze skarpetkami i bielizną ojca i bawił się przy tym setnie, a Bill

Denbrough z przerażeniem i niedowierzaniem cisnął o ścianę albumem swego brata. Choć później żadne z nich nie przypomni sobie, aby to robiło dokładnie w chwili śmierci Eddiego Corcorana, każde z nich uniosło głowę… jakby usłyszało dochodzący z oddali krzyk.

Gazeta „Derry News” miała rację pod jednym względem – świadectwo Eddiego było tak marne, że w istocie mógł obawiać się o swoją skórę po powrocie do domu. Poza tym jego matka i ojczym ostatnio stale mieli jakieś zatargi. To jeszcze pogorszyło całą sprawę. Kiedy scysje przeradzały się w gwałtowne sprzeczki, matka nie przebierała w słowach. Ojczym z początku zwykle reagował stłumionymi pomrukami, które stopniowo zmieniały się w okrzyki mające na celu uciszenie jej, a potem we wściekły ryk, przypominający ryk rozwścieczonej dzikiej świni, której wbiła się w ryj cała masa kolców jeżozwierza. Eddie nigdy nie widział, aby ojczym i na nią podnosił rękę, i wydawało mu się, że nie odważyłby się tego zrobić.

W dawnych czasach oszczędzał pięści na Eddiego i Dorseya, a teraz, kiedy Dorsey nie żył, Eddie miał przejąć po bracie należną porcję cięgów. Pyskówki powtarzały się cyklicznie.

Najczęściej pod koniec miesiąca, kiedy należało uiścić wszystkie opłaty.

Zawołany przez sąsiadów gliniarz wpadał raz czy dwa, kiedy zdawało się, że sytuacja była krytyczna, i upominał ich, aby zachowywali się ciszej. Zwykle to kończyło sprawę. Jego matka nieraz pokazała gliniarzowi, „gdzie się zgina", i po tej prowokacji lądowała w areszcie, ale ojczym zwykle siedział cicho. Eddie uważał, że ojczym bał się policji. Podczas tych okresów kłótni Eddie starał się nie rzucać w oczy. Tak było mądrzej. Jeżeli jesteście innego zdania, to przypomnijcie sobie, co się stało z Dorseyem. Eddie nie znał szczegółów i znać nie chciał, niemniej dobrze znał Dorseya. Sądził, że musiał on po prostu o niewłaściwej porze znaleźć się w niewłaściwym miejscu, jakim niewątpliwie okazał się garaż w ostatnim dniu miesiąca.

Powiedzieli Eddiemu, że Dorsey spadł z drabiny w garażu…

– Jeżeli powiedziałem raz, żeby się nie zbliżał do drabiny, to tak, jakbym to zrobił sześćdziesiąt razy – rzekł ojczym, ale matka unikała jego wzroku… a kiedy ich spojrzenia przypadkiem się spotkały, Eddie dostrzegał w jej oczach drobniutkie iskierki przerażenia i wcale mu się to nie podobało. Stary siedział w milczeniu przy

kuchennym stole, popijając rheingolda i nie widząc nic spod swoich wpółprzymkniętych powiek. Eddie starał się go unikać.

Kiedy ojczym wrzeszczał, to zwykle – choć nie zawsze – wszystko było w porządku. Musiałeś mieć się na baczności, gdy przestawał. Dwa wieczory temu cisnął w Eddiego krzesłem, kiedy chłopiec chciał zobaczyć, co było w telewizji na innym programie – po prostu podniósł jedno z okrągłych kuchennych aluminiowych krzeseł, zamachnął się nim nad głową i rzucił. Trafił Eddiego w tyłek, a siła uderzenia była tak duża, że chłopiec przewrócił się na ziemię. Wciąż jeszcze bolało go siedzenie, ale wiedział, że mogło być gorzej. Mógł przecież dostać krzesłem w głowę.

Któregoś wieczoru stary po prostu wstał i zupełnie bez powodu wtarł Eddiemu we włosy garść tłuczonych ziemniaków. Innym razem, było to we wrześniu ubiegłego roku, Eddie wrócił ze szkoły do domu i nieopatrznie zbyt głośno zamknął drzwi, kiedy ojczym ucinał sobie właśnie krótką drzemkę. Macklin wypadł z sypialni ubrany w swoje pogniecione bokserki, z włosami jak strzecha, dwudniową szczeciną na policzkach i oddechem przesiąkniętym dwudniową porcją piwa.

– Doigrałeś się, Eddie – powiedział. – Zajmę się tobą za takie zamykanie drzwi. – W pojęciu Richa Macklina „zająć się” oznaczało „stłuc na kwaśne jabłko” i Eddie dostał wtedy niezłe cięgi. Kiedy stary cisnął nim przez pół przedpokoju, Eddie stracił przytomność. Matka zawiesiła w przedpokoju parę wieszaków, żeby on i Dorsey mieli gdzie powiesić kurtki. Eddie rąbnął w ścianę tak, że tkwiące w niej haki wbiły mu się w plecy na wysokości nerek i właśnie wtedy stracił przytomność. Kiedy dziesięć minut potem doszedł do siebie, usłyszał, jak matka krzyczy, że zabiera Eddiego do szpitala i on nie może jej przed tym powstrzymać.

– Po tym co się stało z Dorseyem? – odparł ojczym. – Chcesz iść do więzienia, kobieto?

I na tym się zakończyła dyskusja o szpitalu. Matka zaprowadziła Eddiego do pokoju, gdzie na łóżku leżał zlany potem i miotany gwałtownymi dreszczami.

Przez następne trzy dni wychodził z pokoju tylko wówczas, gdy rodziców nie było w domu. Wtedy wolno kuśtykał do kuchni, pojękując pod nosem, i wyjmował spod zlewu butelkę whisky ojczyma. Parę łyków łagodziło ból. Na piąty dzień ból prawie zupełnie znikł, ale jeszcze przez dwa tygodnie Eddie sikał krwią.

Poza tym w garażu nie było młotka. O czym to świadczy? No o czym, jak sądzicie? Tak, tak, stary, zwykły młotek nadal tkwił na swoim miejscu. Znikł tylko specjalny, nieodskakujący młotek typu Scotti. Tego młotka ani jemu, ani Dorseyowi nie było wolno nawet dotknąć. „Jeżeli tkniecie go choćby palcem – powiedział im w dniu, kiedy go kupił – wypruję wam flaki i okręcę nimi głowę tak, że nie będziecie musieli używać nauszników”. Dorsey zapytał nieśmiało, czy młotek był bardzo drogi. Stary odpowiedział, że drogi jak cholera. W środku – jak twierdził – znajdowały się specjalne kulki, które powodowały, że w chwili uderzenia, niezależnie, z jak dużą siłą zostałoby ono zadane, młotek nie odskakiwał. A teraz ów młotek zniknął z garażu.

Eddie miał kiepskie stopnie, bo od czasu powtórnego zamążpójścia matki rzadko bywał w szkole. Nie oznaczało to jednak, że był głupi. Wydawało mu się, że wiedział, co się stało z młotkiem. Domyślał się, że ojciec pobił nim Dorseya, a potem zakopał go w ogrodzie albo wrzucił do kanału. Takie rzeczy często się zdarzały w komiksach, które czytywał Eddie i które trzymał na górnej półce w swojej szafie.

Podszedł bliżej do kanału, którego wody przepływały pomiędzy betonowymi brzegami jak

oleisty jedwab. Na ich mrocznej powierzchni pojawiły się refleksy księżycowego blasku, przyjmujące kształt bumerangu. Usiadł, wymachując stopami w powietrzu i stukając piętami w beton.

Przez ostatnie sześć tygodni było raczej sucho i tafla wody znajdowała się jakieś dziewięć stóp poniżej znoszonych podeszew jego trampek. Jednak jeśli rozejrzałeś się uważnie, mogłeś dostrzec na ścianach kanału ślady zacieków, świadczące o znacznym zróżnicowaniu poziomów wody tego strumienia. Beton był upstrzony ciemnobrązowymi plamami tuż powyżej obecnego poziomu wody. Brązowa plama powoli blakła, zmieniając się stopniowo w żółtą, a na wysokości stóp Eddiego ściana była prawie biała. Woda wypływała wartko i cicho spod łukowatego, wybijanego kamieniami od wewnątrz sklepienia, mijała miejsce, przy którym siedział Eddie, aby popłynąć pod drewniany mostek łączący Bassey Park i liceum w Derry. Zarówno ściany boczne, jak i deski, po których się przechodziło, a nawet belki pod dachem pokryte były galimatiasem inicjałów, numerów telefonów i wszelakiego rodzaju napisów. Były tu wyznania miłości, informacje, że ta a ta „robi laskę” bądź „daje dupy”, pogróżki

dla pedałów, którym powinno się „uciąć to i owo”, a otwory w tyłkach pozalewać płynną smołą, jak też pojedyncze głosy sprzeciwu. Któregoś razu Eddie odnalazł pośród tego chaosu napis: „Uratuj rosyjskich Żydów! Zbieraj cenne nagrody!”. Co to miało oznaczać? Czy to było coś ważnego? Nie wiedział.

Tego wieczoru Eddie nie poszedł na Most Pocałunków, nie miał ochoty przechodzić na drugą stronę, gdzie znajdowała się szkoła. Uznał, że najprawdopodobniej prześpi się w parku; może zagrzebie się w stercie zeschłych liści pod sceną, ale na razie jeszcze trochę tu posiedzi. Podobało mu się to. Lubił przebywać w parku i często tu przychodził, żeby przemyśleć to i owo. Czasami pośród krzewów widział kochające się pary, ale zostawiał je w spokoju – i z ich strony również niczego nie musiał się obawiać. Na boisku szkolnym słyszał opowieści o pedałach krążących po Bassey Park o zmroku i nie wątpił, że były one prawdziwe, lecz jak dotąd ani razu nikt go nie zaczepił.

Park był spokojnym miejscem i jego zdaniem najlepsza część znajdowała się właśnie tu, gdzie teraz siedział. Lubił tu przebywać, zwłaszcza w pełni lata, kiedy poziom wody był tak niski, że ledwie zakrywała ona kamienie i rozlewała się

w setki wąskich krętych strumyczków, które to rozdzielały się, to znów łączyły z sobą. Lubił tu przebywać w końcu marca i na początku kwietnia, tuż po wiosennych roztopach, kiedy potrafił przez godzinę stać nad kanałem z postawionym, przesłaniającym twarz kołnierzem starej, od dwóch lat za małej na niego ocieplanej kurtki nieświadomy, że jego chudym zmarzniętym ciałem wstrząsały przenikliwe dreszcze. Kanał tydzień czy dwa po stopnieniu lodów tętnił niesamowitą, nieposkromioną mocą. Chłopiec patrzył zafascynowany, jak spieniona, rwąca woda wylatuje z rykiem spod kamiennego sklepienia i przepływa obok niego, niosąc patyki, gałęzie i przeróżne wyrzucane przez ludzi śmieci.

Niejednokrotnie wyobrażał sobie, jak idzie któregoś marcowego dnia obok kanału wraz z ojczymem i popycha z całej siły tego wielkiego, paskudnego, nic niewartego skurwysyna. Ojczym wpadłby do wody z krzykiem, wymachując opętańczo rękoma, a on, Eddie, stałby na brzegu i patrzył, jak tamten spływa z prądem, stając się małą czarną kropeczką w spienionej białej kipieli rwącego nurtu. Stałby tam, o tak, i przyłożywszy dłonie do ust, wrzasnąłby: „To za Dorseya, ty cholerny kutasie! Kiedy już trafisz do piekła,

powiedz diabłu, że ostatnią rzeczą, jaką usłyszałeś, była otrzymana ode mnie rada, abyś zawsze porywał się na tych, którzy są tobie równi!”. Oczywiście to się nigdy nie wydarzyło, ale pomarzyć dobra rzecz. Świetnie jest marzyć, siedząc nad brzegiem kanału, podczas gdy…

Czyjaś dłoń zacisnęła się wokół stopy Eddiego.

Patrzył właśnie na widoczną po drugiej stronie kanału szkołę, uśmiechając się pod nosem, podczas gdy w myślach widział, jak ojczym znoszony prądem na zawsze znika z jego życia. To było cudowne. Kiedy poczuł na swojej nodze niezbyt brutalny, ale mocny uścisk, był tak zaskoczony, że o mały włos wylądowałby w kanale.

To jeden z tych pedałów, o których zawsze mówili starsi chłopcy, pomyślał, a potem spojrzał w dół. Jego usta otwarły się szeroko.

Mocz gorącą strugą spłynął mu po nodze, a na nogawkach spodni pojawiła się w blasku księżyca czarna plama. To nie był zboczeniec.

To był Dorsey. Taki, jakiego pochowano. Dorsey w niebieskim swetrze i szarych spodniach, tylko że teraz sweter był ubłocony i zwisał w strzępach, koszula zmieniła się w pożółkły łach, a wilgotne spodnie owijały się wokół wychudłych jak patyki nóg martwego

chłopca. Jego głowa była dziwnie zniekształcona, na potylicy wgnieciona, a z przodu wypukła, na kształt olbrzymiego guza. Dorsey się uśmiechał.

– Eddieeeee – skrzeknął jego martwy brat niczym jeden z komiksowych żywych trupów. Gdy Dorsey uśmiechnął się szerzej, błysnęły pożółkłe zęby, a gdzieś z tyłu, poza nimi, w ciemności coś jakby się poruszało. – Eddieeee… Przyszedłem się z tobą zobaczyć, Eddieeeee…

Eddie próbował krzyknąć. Ogarnęły go szare fale szoku, przez chwilę wydawało mu się, że unosi się w powietrzu. Ale to nie był sen. Przecież nie spał. Dłoń na jego trampku była biała jak brzuch pstrąga. Nagie stopy brata jakimś cudem przywierały do betonu. Coś odgryzło Dorseyowi jedną piętę.

– Chodź do mnie na dół, Eddieeee…

Eddie nie zdołał krzyknąć. W jego płucach nie było dość powietrza. Wydobył z siebie zduszony jęk. Na nic więcej nie potrafił się teraz zdobyć. No i w sumie dobrze. I tak za sekundę czy dwie jego umysł pryśnie jak mydlana bańka, a potem już nic się nie będzie liczyło. Dłonie Dorseya były małe, ale bezlitosne. Pośladki Eddiego zsuwały się po betonie ku brzegowi kanału. Wciąż jęcząc, sięgnął za siebie i uchwyciwszy się skraju betonowego obrzeża, zaparł się o nie z całej siły,

a potem zaczął odczołgiwać się w tył. Poczuł, jak dłoń zsuwa się z jego nogi, usłyszał wściekły syk i zdążył jeszcze pomyśleć: To nie Dorsey, nie wiem, co to jest, ale to nie Dorsey. Potem adrenalina zalała jego ciało i zaczął czołgać się w tył jak oszalały, usiłując uciekać, nim jeszcze na dobre poderwał się z ziemi, a z ust dobywał mu się płytki, przyspieszony świszczący oddech.

Na betonowej powierzchni obrzeża kanału pojawiły się białe dłonie. Rozległo się mokre plaskanie. W bladym księżycowym blasku bryznęły w górę kropelki wody strząśnięte z białej niczym papier skóry. Teraz nad krawędzią pojawiła się twarz Dorseya. W jego zapadniętych, podkrążonych oczach błyszczały mętne czerwone iskierki. Mokre włosy miał przylepione do głowy. Błoto rozmazane na twarzy przypominało indiańskie barwy wojenne. Klatka piersiowa Eddiego zaczęła w końcu pracować, jak należy. Wciągnął powietrze do płuc i wrzasnął przeraźliwie. Poderwał się z ziemi i rzucił do ucieczki. Biegł, oglądając się przez ramię, chcąc zobaczyć, gdzie znajdował się Dorsey, i w rezultacie wpakował się na pień potężnego grubego wiązu.

Miał wrażenie, jakby ktoś – na przykład jego stary – rozsadził mu lewe ramię ładunkiem

dynamitu. Przed oczyma zawirowały mu wszystkie gwiazdy. Upadł jak ścięty pod drzewem z krwią spływającą mu po lewej skroni. Przez blisko półtorej minuty był nieprzytomny. Potem znowu podniósł się z ziemi. Jęknął, kiedy spróbował unieść lewą rękę. Bezskutecznie. Była zdrętwiała i wydawała się bardzo odległa. W tej sytuacji uniósł prawą rękę i potarł piekielnie bolącą głowę. Wtedy przypomniał sobie, dlaczego wpadł na drzewo, i przerażony tym odkryciem rozejrzał się wokoło.

Brzeg kanału w blasku księżyca był biały jak kość i prosty jak struna. Ani śladu istoty z kanału… jeżeli ta istota w ogóle istniała. Obracał się dalej, wykonując powoli i z trudem pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Bassey Park był milczący i wymarły jak zatrzymany w kadrze czarno-białej fotografii. Wierzby płaczące ciągnęły po ziemi swoje długie, powłóczyste ramiona, pod którymi mogła czaić się praktycznie każda, nawet najbardziej zła i szalona istota.

Eddie zaczął iść, próbując rozglądać się na wszystkie strony jednocześnie. Jego zwichnięte ramię pulsowało synkopowym bólem w rytm uderzeń serca.

– Eddieeee – zaświszczał wiatr zawodzący pośród drzew. – Nie chcesz się ze mną zobaczyć, Eddieeee?

Poczuł, jak długie trupie palce przesuwają się pieszczotliwie po jego szyi. Obrócił się gwałtownie, unosząc obie ręce. Kiedy jego nogi zaplątały się i upadł, zobaczył, że to, co go tak przestraszyło, było tylko paroma poruszanymi wiatrem gałęziami wierzby. Raz jeszcze wstał. Chciał pobiec, ale w tej samej chwili w jego ramieniu został zdetonowany kolejny ładunek dynamitu, tak że natychmiast musiał się zatrzymać. Podświadomie wiedział, że powinien już do tej pory przemóc swój strach, nazywał się w głębi duszy dzieckiem, które boi się swego odbicia w lustrze albo samo o tym nie wiedząc, usnęło i dręczą je teraz wspomnienia sennych koszmarów. A jednak tak się nie stało – prawdę mówiąc, było dokładnie na odwrót. Serce waliło mu w piersiach, tak że prawie nie odróżniał już poszczególnych uderzeń i czuł, że lada chwila pęknie. Nie mógł biec, ale po wyjściu spomiędzy wierzb przynajmniej kuśtykał trochę szybciej. Spojrzał w stronę lampy oznaczającej bramę wejściową do parku. Ruszył w jej kierunku, przyspieszając nieznacznie i mówiąc do siebie w myślach: Aby do latarni i wszystko będzie

w porządku. Jasne światło, koniec strachu, blask księżyca lśni na dachu.

Coś go ścigało. Eddie słyszał, jak przedzierało się przez wierzbowe gałęzie. Gdyby się odwrócił, zobaczyłby To. Co gorsza, to coś go doganiało. Słyszał odgłos kroków, chlupoczące szuranie, jakby idąca jego śladem istota powłóczyła nogami, ale nie obejrzy się za siebie, nie, będzie patrzył prosto na światło, szedł przed siebie, aż dotrze do światła, a był już prawie na miejscu, prawie…

Zapach zmusił go do odwrócenia się. Potworna, wszechogarniająca woń, jaką wydziela stos psujących się ryb pozostawionych na słońcu, aby zgniły. To smród martwego oceanu. Eddiego nie ścigał Dorsey. To był Potwór z Czarnej Laguny. Potwór miał długi i pofałdowany pysk. Z przypominających usta, czarnych otworów na policzkach wypływał zielonkawy śluz. Jego oczy były białe i galaretowate. Połączone błoną palce kończyły się długimi, ostrymi jak brzytwa szponami. Oddech miał głęboki i bulgoczący, jak oddech nurka z wadliwym regulatorem przy butli.

Kiedy To zobaczyło, że Eddie się odwrócił, czarnozielone wargi odsłoniły długie kły w martwym, nieobecnym uśmiechu. Potwór

szedł dalej, powłócząc nogami i ociekając wodą, i nagle Eddie zrozumiał. To chciało zaciągnąć go z powrotem do kanału, zanieść go w wilgotną czerń podziemnego przejścia w kanale. Aby móc go tam pożreć.

Eddie przyspieszył. Lampa sodowa przy bramie była coraz bliżej. Widział unoszącą się wokół niej chmarę owadów – wśród nich wiele ciem.

Jakaś ciężarówka przejechała nieopodal, ale kierowca ostro dociskał pedał gazu, i wtedy w ogarniętym rozpaczą mózgu Eddiego pojawiła się myśl, że być może tamten popijał właśnie kawę z papierowego kubka, słuchał przez radio piosenki Buddy'ego Holly'ego i był absolutnie nieświadomy tego, że nie dalej niż dwieście jardów od niego znajdował się chłopiec, który za niespełna dwadzieścia sekund mógł zostać zamordowany. Smród. Wszechobecny smród Tego. Zbliżało się. Zdawało się otaczać go ze wszystkich stron.

Nagle potknął się o ławkę. Musiały ją przewrócić dzieciaki wychodzące z parku i śpieszące się, aby zdążyć do domu przed godziną policyjną. Jej siedzenie wystawało o cal lub dwa ponad trawę i miało zielony kolor, w blasku księżyca ławki więc praktycznie nie

można było dojrzeć. Krawędź oparcia trafiła Eddiego w golenie, powodując eksplozję przejmującego, ostrego bólu. Nogi wyślizgnęły się spod niego i runął jak kłoda na ziemię.

Spojrzał za siebie i zobaczył, jak potwór pochyla się nad nim – zobaczył błysk jego białych jak ugotowane jajka oczu, łuski ociekające śluzem w kolorze wodorostów, skrzela unoszące się i opadające na wybrzuszonej szyi oraz otwierające się i zamykające na policzkach.

– Ach! – jęknął Eddie. Zdawało się, że to było wszystko, co mógł z siebie wydobyć: – Ach! Ach!

Czołgał się jeszcze, jego palce wryły się głęboko w murawę, język wysunął mu się z ust. Na sekundę przed tym, jak cuchnąca rybami, chropowata, szponiasta łapa zacisnęła się wokół jego gardła, przyszła mu do głowy pocieszająca myśl. To tylko sen, to musi być sen. Nie ma prawdziwego Potwora. Nie ma prawdziwej Czarnej Laguny. A nawet gdyby była, to nie tu, tylko na Florydzie, w Ameryce Południowej albo w jakimś innym równie odległym miejscu. To tylko sen i obudzę się w swoim łóżku albo w stosie liści pod sceną, w parku, i…

W tej samej chwili płazie łapy zacisnęły się na jego szyi, tłumiąc ochrypłe okrzyki Eddiego; następnie Potwór odwrócił go, a chitynowe

szpony, którymi były zakończone palce, nakreśliły krwawiące znaki kaligraficzne na gardle chłopca. Eddie spojrzał w błyszczące oczy monstrum. Poczuł, jak błony pomiędzy palcami Potwora przywierają do jego szyi niczym pasy ściągające stworzone z żywych wodorostów.

Jego rozszerzone z przerażenia oczy zauważyły płetwę, coś, co przypominało koguci grzebień, a co było z pewnością rzędem ostrych, wypełnionych trucizną kolców, sterczących na szczycie zdeformowanej płaskiej głowy Potwora. Kiedy jego łapy zacisnęły się mocniej, odcinając mu dopływ powietrza, zdołał nawet dostrzec, jak białe światło lampy sodowej zmienia się w zielone, zakryte przez przezroczystą płetwę głowową potwora.

– Ty… przecież… nie… istniejesz… – wydusił Eddie, ale ogarniające go chmury szarości robiły się coraz gęstsze i coś kazało mu uwierzyć, że pomimo wszystko Potwór był ze wszech miar prawdziwy. Przecież, bądź co bądź, to monstrum właśnie go zabijało. Mimo to ta odrobina racjonalizmu, jaka tkwiła w jego umyśle, nie opuściła go aż do końca, i nawet w chwili, kiedy Potwór wbił szpony w miękką szyję, rozdzierając tętnicę, tak że strumień gorącej krwi zbryzgał gadzie łuski na piersi, dłonie Eddiego sięgnęły

w stronę jego pleców w poszukiwaniu zamka błyskawicznego. Opadły dopiero w chwili, kiedy Potwór przy wtórze cichego gardłowego pomruku zadowolenia jednym gwałtownym szarpnięciem oderwał chłopcu głowę.

I kiedy stworzona dla Eddiego wizja Tego zaczęła się rozpływać, To rozpoczęło przemianę w coś zupełnie innego.

4

Nie mogąc spać, dręczony przez koszmary, Mike Hanlon wstał pierwszego dnia wakacji o świcie. Światło było blade, stłumione przez nisko zwieszoną gęstą mgłę, która rozwieje się około ósmej, ustępując pola pięknemu letniemu dniu. Ale to potem. Teraz świat pławił się w szarości i różu i był cichy jak kot stąpający po dywanie. Mike, ubrany w sztruksy, podkoszulek i czarne trampki, zszedł na dół, zjadł talerz płatków (nie lubił ich, ale chciał dostać darmową nagrodę, która była w pudełku – Pierścień Dekoderowy Kapitana Midnighta), a potem wskoczył na rower i popedałował w stronę miasta, jadąc – z uwagi na mgłę – po chodniku.

Mgła wszystko zmieniła, sprawiała, że najzwyklejsze rzeczy, takie jak hydranty czy światła przy skrzyżowaniach, nabierały posmaku

tajemniczości i stawały się czymś dziwnym, obcym, a nawet odrobinę złowieszczym. Słyszałeś samochody, ale ich nie widziałeś, a z powodu niezwykłych właściwości akustycznych mgły nie potrafiłeś określić, czy były daleko, czy blisko, dopóki nie zauważyłeś, jak wyłaniają się z upiorną poświatą rzucaną przez ich reflektory.

Skręcił w prawo w Jackson Street, minął śródmieście, a potem Palmer Lane dotarł do Main Street i podczas tego krótkiego fragmentu jego przejażdżki minął dom, w którym będzie mieszkał jako dorosły. Nie spojrzał na niego; był to całkiem zwyczajny piętrowy budyneczek z garażem i małym trawnikiem. Nie wyemanował żadnych niezwykłych wibracji do przejeżdżającego obok małego chłopca, który spędzi w nim większość swego dorosłego życia jako jego właściciel i mieszkaniec.

Przy Main Street skręcił w prawo i pojechał w stronę Bassey Park. Jechał wolno, ciesząc się wszechobecną o tak wczesnej porze ciszą. Minął główną bramę, zsiadł z roweru, postawił go na nóżce i ruszył pieszo w stronę kanału. Szedł tam wiedziony wyłącznie własną zachcianką; w jego mniemaniu to był zwyczajny kaprys, nic więcej. Rzecz jasna, nie przyszło mu do głowy, by

połączyć wczorajszy koszmar z jego dzisiejszym spacerem; nawet dobrze nie pamiętał, co mu się przyśniło – wiedział tylko, że ktoś kogoś gonił – i kiedy obudził się o piątej rano, spocony i wstrząsany dreszczami, miał jedynie ochotę wrzucić coś na ząb i zrobić sobie małą przejażdżkę po mieście.

Tu, w Bassey Park, mgła przesycona była zapachem, którego nie lubił, zapachem morza, słonym i starym. Rzecz jasna, czuł go już wcześniej. O świcie, kiedy Derry spowijają kłęby mgieł, bardzo często możesz poczuć woń oceanu – choć wybrzeże znajduje się czterdzieści mil stąd. Tym razem jednak zapach wydawał się bardziej intensywny, bardziej żywy. Prawie groźny.

Coś przykuło jego uwagę. Pochylił się i podniósł z ziemi tani scyzoryk z dwoma ostrzami. Na jednej stronie jego obudowy ktoś wydrapał inicjały E.C. Mike przez chwilę przyglądał się scyzorykowi z zamyśleniem, a potem włożył go do kieszeni. Ten, kto znalazł, niech się cieszy, a kto zgubił, tego pech.

Rozejrzał się wokoło. Nieopodal miejsca, gdzie znalazł nóż, leżała przewrócona ławka. Podniósł ją, ustawiając stalowe nóżki w otworach, które wyżłobiły w ziemi przez miesiące, a może nawet

lata stania w jednym miejscu. Za ławką zobaczył spłacheć zgniecionej trawy… i biegnące od tego miejsca dwie bruzdy. Trawa już się podniosła, ale bruzdy nadal były doskonale widoczne. Biegły w stronę kanału. I była też krew. (Ptak, przypomnij sobie ptaka, przypomnij sobie).

Ale nie chciał sobie przypomnieć ptaka i odegnał od siebie tę myśl. Psy się musiały pogryźć – nic więcej. Ta myśl okazała się jednak niezbyt przekonująca. Myśli o ptaku powracały – tego ptaka, którego widział w Zakładach Kitchenera, Stanley Uris nie znalazłby w swojej księdze ptaków.

Przestań. Po prostu wyjdź stąd.

Zamiast to zrobić, Mike podążył wzdłuż widocznych w ziemi bruzd. Idąc, zaczął układać sobie w myślach prawdopodobny przebieg wydarzeń, które tu się rozegrały. To było morderstwo. Jakiś dzieciak szwenda się tu po zmierzchu. Jest już dobrze po godzinie policyjnej. Zabójcy udaje się go schwytać. A jak pozbywa się ciała? Oczywiście! Zaciąga je i wrzuca do kanału. Tak samo jak w *Alfred Hitchcock przedstawia*!

Ślady w ziemi mogły zostać wyżłobione przez trampki ofiary, doszedł do wniosku. Mike wzdrygnął się i rozejrzał niepewnie wokoło.

Wymyślona przez niego historyjka wydawała się aż nazbyt prawdopodobna.

Przypuśćmy jednak, że to nie była robota człowieka, tylko potwora. Takiego jak z komiksu, powieści albo filmu grozy, albo… (*z koszmaru*) bajki czy czegoś takiego…

Ten pomysł nie przypadł mu specjalnie do gustu. Był głupi. Starał się wyrzucić go ze swych myśli, ale bezskutecznie. No i co z tego? Niech zostanie. To była głupota. Jazda po mieście o tak wczesnej porze była głupotą. Łażenie wzdłuż dwóch bruzd w ziemi było głupotą. Tata będzie miał dziś dla niego sporo roboty. Powinien jak najszybciej wrócić do domu i zabrać się do pracy, bo inaczej przyjdzie mu przerzucać siano na strychu stodoły w skwarne popołudnie. Tak, powinien już wracać. I właśnie zaraz to zrobi. Pewnie, że tak, pomyślał. Chcesz się założyć?

Zamiast wrócić do roweru, wskoczyć na siodełko, pojechać do domu i zabrać się do pracy, poszedł dalej wzdłuż śladów wyrytych w ziemi. Tu i ówdzie na trawie dostrzegał kropelki zaschniętej krwi. Nie było jej jednak zbyt wiele. Nie tak dużo jak przy ławce, którą ustawił na swoim miejscu.

Mike słyszał teraz delikatny, miarowy szum kanału. Chwilę potem z mgły zaczęło wyłaniać

się betonowe nabrzeże. W trawie leżało coś jeszcze. Mój Boże, dziś naprawdę masz fart do znajdowania różnych rzeczy, powiedział głos jego umysłu z dwuznaczną dobrotliwością i w tej samej chwili gdzieś w oddali krzyknęła mewa, a Mike cofnął się o krok i ponownie pomyślał o ptaku, którego widział tamtego wiosennego dnia, i postanowił, że cokolwiek tam leży w trawie, nawet na to nie spojrzy. Ale już się pochylał nad tym przedmiotem, a jego dłonie oparły się na udach, tuż nad kolanami. Zobaczył postrzępiony kawałek ubrania z widniejącą na nim kropelką krwi.

Ponownie rozległ się krzyk mewy. Mike patrzył na zakrwawiony strzęp ubrania i przypomniał sobie, co mu się przydarzyło wiosną tego roku.

5

Każdego roku na przełomie kwietnia i maja farma Hanlonów budziła się z zimowej drzemki. Mike poznawał nadejście wiosny nie po tym, że pod oknami matczynej kuchni pojawiły się krokusy, a dzieciaki zaczynały przynosić do szkoły różne stworzonka i owady, ani nawet po rozpoczęciu przez senatorów waszyngtońskich sezonu baseballowego (przy czym zwykle nieźle

się ubabrali), ale po okrzyku swego ojca, kiedy wołał go, by pomógł mu wytoczyć ze stodoły ciężarówkę mieszańca. Przednią połowę stanowiła część forda, model A, tylną platforma pick-upu z klapą zrobioną ze starych drzwiczek kurnika. Jeżeli zima nie była zbyt sroga, wóz zapalał już po wypchnięciu go ze stodoły na podjazd. Kabina ciężarówki nie miała drzwiczek ani przedniej szyby. Siedzenie stanowiła połówka starej sofy, którą Will Hanlon zwędził z wysypiska śmieci. Drążek zmiany biegów kończyła szklana gałka, będąca niegdyś klamką.

Ojciec i syn we dwóch wytaczali wóz na podjazd i kiedy samochód sunął siłą rozpędu, Will wskakiwał do szoferki, przekręcał kluczyk w stacyjce, włączał starter, wciskał sprzęgło i zacisnąwszy swoją potężną dłoń na szklanej gałce, wrzucał pierwszy bieg. Potem wołał: „Przepchnij mnie przez ten garb!”. Popuszczał sprzęgło i silnik starego forda zaczynał kasłać, dławić się, prychać, strzelać… czasami od razu zaskakiwał, z początku topornie i chropowato, a potem coraz szybciej. Will zjeżdżał drogą w stronę farmy Rhulina, wykręcał na ich podjeździe (gdyby zrobił inaczej, Butch, szalony ojciec Henry’ego Bowersa, prawdopodobnie odstrzeliłby mu głowę z dubeltówki), a potem

zawracał z rykiem; pozbawiony tłumika silnik klekotał przeraźliwie, podczas gdy Mike podskakiwał z radością, pokrzykując wesoło, a matka stojąca w drzwiach kuchni wycierała dłonie w ścierkę i udawała, że jest zdegustowana, choć wcale tak nie było.

Czasami wóz nie zapalał i Mike musiał wtedy czekać, aż ojciec, mamrocząc coś pod nosem, przyniesie ze stodoły korbę. Mike żywił przekonanie, że wypowiadane szeptem słowa były tłumionymi przekleństwami i w takich chwilach bał się trochę ojca. Dopiero po latach, podczas jednej z tych niekończących się wizyt w szpitalnej sali, gdzie leżał umierający Will Hanlon, dowiedział się, że ojciec mamrotał pod nosem, bo bał się używać korby; któregoś razu, kiedy zakręcił nią gwałtownie, wyślizgnęła się z otworu i uderzyła go w twarz, rozrywając mu policzek i kącik ust. „Cofnij się, Mike”, mówił wtedy, wsuwając korbę w głąb otworu u podstawy chłodnicy. A kiedy ford wreszcie zapalał, stary Hanlon zawsze mówił, że w przyszłym roku zamieni tego gruchota na chevroleta, ale to nigdy nie nastąpiło.

Stary ford A, niewyobrażalna hybryda, wciąż stał na swoim miejscu w stodole, porośnięty od kół po klapę platformy chwastami. Podczas

jazdy, kiedy Mike siedział na fotelu pasażera, czując w nozdrzach woń spalin, a na twarzy powiew wiatru wdzierającego się przez otwór w ramie, gdzie niegdyś znajdowała się szyba, myślał zwykle: Znowu mamy wiosnę. Wszyscy znów budzimy się z zimowego snu.

W głębi jego duszy narastało wówczas uczucie radości, które potrafiłoby wstrząsnąć najtwardszymi murami. W takich chwilach kochał wszystko, co go otaczało, a przede wszystkim ojca, który uśmiechał się do niego przez ramię i wołał: „Trzymaj się, Mikey! Rozgrzejemy tego maluszka! Przepłoszymy parę ptaków!”.

A potem wyjeżdżali na podjazd, spod tylnych kół forda wytryskiwały strumienie czarnego kurzu i szare grudki błota, a oni siedzieli w otwartej kabinie ciężarówki na pełniącej funkcję foteli sofie, podskakiwali na nierównościach i śmiali się jak szaleni. Will przejeżdżał fordem przez wysoką trawę porastającą pole na tyłach domu (trawę koszono na siano), skąd udawał się na pole południowe (ziemniaki), zachodnie (kukurydza i fasola) albo wschodnie (groch, cukinia i dynie).

Kiedy jechali, z trawy przed ciężarówką wylatywały przerażone skrzeczące ptaki. Raz

spłoszyli kuropatwę, to był wspaniały ptak, brązowy jak późnojesienne dęby; trzepot jego skrzydeł przypominający odgłos eksplozji był słyszalny nawet poprzez ryk silnika ciężarówki. Właśnie w trakcie tych przejażdżek Mike czuł, że budziła się wiosna. Prace na polu zaczynały się od zbierania kamieni. Codziennie wyjeżdżali fordem i znosili z pola kamienie, które mogły złamać brony w okresie orki. Czasami ciężarówka grzęzła w błotnistej wiosennej ziemi i Will znowu mamrotał coś pod nosem… kolejne przekleństwa wedle przypuszczeń Mike'a.

Znał parę słów i wyrażeń tego typu – inne, jak „skurwysyn", wprawiały go w zakłopotanie. Po przeczytaniu Biblii dowiedział się, że wyraz „kurwa" był odpowiednikiem słowa „nierządnica" i odnosił się do kobiet pochodzących z miejsca zwanego Babilonem. Raz miał ochotę poprosić o wyjaśnienie swego ojca, ale ford tkwił wtedy po resory w błocie, a Will Hanlon miał marsową minę, i w tej sytuacji Mike postanowił zapytać o to przy lepszej okazji.

Później tego roku spytał o to Richiego Toziera, a Richie powiedział mu, że – jak to ujął jego ojciec – kurwa to kobieta, która bierze pieniądze za uprawianie seksu z mężczyznami. „Co to znaczy

»uprawiać seks«?”, dociekał Mike, a Richie odszedł, łapiąc się oburącz za głowę.

Któregoś dnia Mike spytał swego ojca, dlaczego, skoro co roku w kwietniu zbierali kamienie z pola, w następnym znajdowali ich tam jeszcze więcej. Stali przy miejscu, gdzie zwykle zwozili kamienie o zachodzie słońca, ostatniego dnia kamiennych żniw. Ubita ścieżka, niezasługująca na miano drogi, prowadziła od krańca zachodniego pola do żlebu rozciągającego się nieopodal brzegu Kenduskeag. Żleb stanowiło nagie pustkowie, którego powierzchnię pokrywały kamienie zniesione z pola Willa w ciągu wielu lat. Patrząc na tę niegościnną ziemię, na którą zwoził kamienie, najpierw sam, a potem z pomocą syna (gdzieś pod nimi znajdowały się gnijące szczątki pniaków, które wykopywał kolejno, zanim każde z pól mogło zostać oddane pod uprawę), Will zapalił papierosa i powiedział:

– Mój tata powiedział mi, że Bóg bardziej niż resztę swego stworzenia ukochał kamienie, muchy, chwasty i biedaków i dlatego stworzył ich tak wiele.

– Ale mogłoby się wydawać, że one każdego roku wracają.

– Tak. Myślę, że tak – powiedział Will. – To jedyny sposób, w jaki mogę to wyjaśnić.

Z drugiego brzegu Kenduskeag, którego wody w promieniach zachodzącego słońca były pomarańczowoczerwone, rozległ się krzyk nura. To był samotny odgłos, tak samotny, że zmęczone ramiona Mike'a pokryły się gęsią skórką.

– Kocham cię, tato – rzekł nagle i przypływ uczuć, jaki go ogarnął, sprawił, że łzy napłynęły mu do oczu.

– Ja też cię kocham, Mikey – powiedział ojciec i uściskał go mocno. Mike poczuł, jak szorstki materiał flanelowej koszuli ojca otarł się o jego policzek. – Co byś powiedział na powrót do domu? Akurat zdążymy się wykąpać, zanim pewna dobra kobieta postawi na stole kolację.

– Ehe – mruknął Mike.

– Ehe, nooo… – mruknął Will Hanlon i obaj wybuchnęli śmiechem. Byli zmęczeni, ale czuli się świetnie. Ich ręce i nogi były spracowane, ale nie przepracowane, a dłonie szorstkie od noszenia kamieni nie bolały za bardzo.

Wiosna nadeszła, pomyślał tego wieczoru Mike, drzemiąc w swoim pokoju, podczas gdy jego rodzice oglądali *The Honeymooners* w pokoju obok. Wiosna znowu nadeszła, dzięki Ci, Boże, wielkie dzięki. I kiedy już usypiał,

jeszcze raz usłyszał krzyk nura, a potem pogrążył się na dobre w marzeniach sennych.

Wiosna była okresem pracy, ale dobrym okresem. Po zbiorze kamieni Will parkował forda w wysokiej trawie na tyłach domu i wyprowadzał ze stodoły traktor. Przychodził czas bronowania; ojciec prowadził traktor, a Mike albo jechał z tyłu, trzymając się metalowego siodełka, albo szedł obok, podnosząc kamienie, które przeoczyli, i odrzucając je na bok. Potem nadchodził okres siewów, a po nim okres typowych prac letnich – spulchniania, okopywania i gracowania…

Jego matka odkurzała Larry'ego, Moego i Curly'ego, trzy strachy na wróble, a Mike pomagał ojcu przymocować do wypełnionej sianem głowy każdego z nich brzękacze. Brzękacz składał się z puszki, w której wycięto denko. Przez jej środek przekładało się kawałek nawoskowanego i natartego kalafonią sznurka i związywało go bardzo mocno. Kiedy wiał wiatr, brzękacz wydawał naprawdę przerażający dźwięk – coś, co przypominało przeciągły skrzek. Ptaki żywiące się ziarnem bardzo szybko odkryły, że Larry, Moe i Curly nie stanowiły dla nich większego zagrożenia, ale brzękacze zawsze je przepłaszały.

W lipcu zaczynały się zbiory – najpierw groch i rzodkiew, potem sałata i pomidory, następnie w sierpniu kukurydza i fasola, kolejna porcja kukurydzy i fasoli we wrześniu, a na koniec dynie i cukinia.

Gdzieś pomiędzy tym wszystkim pojawiały się młode ziemniaki, a gdy dni zaczęły stawać się krótsze i chłodniejsze, tata zdejmował brzękacze (zimą czasami one znikały; wydawało się, że każdego roku trzeba było robić nowe). Dzień po tym Will dzwonił do Normana Sadlera (który był tak samo głupi jak jego syn, Moose, ale miał naprawdę dobre serce) i Normie przyjeżdżał ze swoją maszyną do wykopywania ziemniaków.

Przez następne trzy tygodnie wszyscy pracowali przy wykopkach. Oprócz swojej rodziny Will zatrudniał trzech czy czterech licealistów, płacąc im po ćwierć dolara od kosza. Ford jeździł wolno w górę i w dół wzdłuż południowego pola zawsze na niskim biegu, zawsze z opuszczoną tylną klapą i platformą wypełnioną koszami, z wypisanymi nazwiskami osób, które je zapełniały, a pod koniec dnia Will otwierał swój stary pomięty portfel i płacił każdemu ze zbieraczy gotówką. Mike i matka też dostawali zapłatę. Ponieważ te pieniądze

należały wyłącznie do nich, Will Hanlon nigdy, ani razu, nie zapytał ich, co z nimi robili.

Mike w wieku pięciu lat miał pięć procent udziałów w farmie, a – jak powiedział Will – kiedy ma się pięć lat, jest się już dostatecznie dużym, aby trzymać gracę i wiedzieć, czym się różni palusznik od grochu. Każdego roku otrzymywał o jeden procent więcej i każdego roku dzień po Święcie Dziękczynienia Will przeliczał zarobki farmy i oszacowywał zysk Mike'a… ale Mike nigdy nie zobaczył ani centa z tych pieniędzy. Były one przeznaczone na jego naukę w college'u i pod żadnym innym pozorem nie można z nich było korzystać. W końcu przychodził dzień, kiedy Normie Sadler odwoził swoją maszynę do domu; robiło się coraz bardziej szaro i chłodno, a na stosie pomarańczowych dyń ustawionych przy ścianie stodoły pojawiał się szron.

Mike, stojąc przed domem z czerwonym nosem i brudnymi dłońmi wciśniętymi w kieszenie dżinsów, patrzył, jak ojciec wstawia najpierw traktor, a potem starego forda A do stodoły. Myślał wtedy zwykle: Znowu szykujemy się do snu zimowego. Wiosna… przeszła. Lato… minęło. Zbiory… zakończone. Miał teraz przed sobą smutną jesień z nagimi, pozbawionymi liści

drzewami, zmarzniętą ziemią i warstewką lodu na powierzchni Kenduskeag. Czasami na polach kilka wron przysiądzie na ramionach Moego, Larry'ego i Curly'ego i pozostaną tam tak długo, jak będą chciały. Strachy na wróble były nieme, a co za tym idzie – niegroźne.

Mike nie przerażał się myślą, że oto dobiegł końca kolejny rok – dziewięcio- czy dziesięciolatek jest jeszcze za mały, aby móc myśleć w kategoriach śmierci i przemijania; dla niego liczyło się to, co dopiero miało nastąpić: zjeżdżanie na sankach z górki w McCarron Park (albo z Rhulin Hill w Derrytown, jeżeli byłeś dostatecznie odważny, bo tam zwykle bawili się starsi chłopcy), jazda na łyżwach, boje na śnieżki i budowanie śnieżnych fortec. To był czas, aby pomyśleć o wspólnej wyprawie z tatą po choinkę i o nartach, które (choć nie na pewno) mógł dostać na Gwiazdkę. Zima była dobrą porą… ale patrzenie, jak jego ojciec wprowadza forda do stodoły, zawsze go zasmucało, podobnie jak widok odlatujących na południe kluczy ptaków i codzienna szarówka sprawiały, że w oczach niespodziewanie pojawiały się łzy. Wiosna przeszła, lato przeminęło, zbiory zakończone. Znowu szykujemy się do snu zimowego…

Jego plan dnia nie składał się na przemian z pracy i szkoły, szkoły i pracy, o nie. Will Hanlon niejednokrotnie powtarzał żonie, że chłopiec potrzebował czasu dla siebie, aby móc pójść na ryby, nawet jeśli w wolnych chwilach niekoniecznie musiał zajmować się łowieniem. Kiedy Mike wracał ze szkoły do domu, kładł podręczniki na telewizor, robił sobie coś na ząb (jego ulubioną przekąską były kanapki z masłem orzechowym i cebulą, na co matka patrzyła z przerażeniem), a potem rzucał okiem na kartkę zostawioną mu przez ojca, na której Will Hanlon pisał, gdzie był, i wyznaczał Mike'owi zadania do wykonania. Mogło to być na przykład wypielenie chwastów z jakiejś konkretnej grządki, zebranie czegoś z pola, napełnienie i przyniesienie paru koszy, zamiecenie stodoły – praktycznie cokolwiek. Czasami jednak – przeciętnie raz (niekiedy dwa razy) w tygodniu – nie znajdował żadnej karteczki. Wtedy „wychodził na ryby", choć naprawdę wcale nie zajmował się łowieniem. To były wspaniałe dni… dni, kiedy nie musiał iść w żadne konkretne miejsce ani tym bardziej się spieszyć.

Co jakiś czas ojciec zostawiał mu kartkę innego rodzaju. Można by rzec – żadnych zajęć. Polecenie brzmiało: „Idź do Old Cape i przyjrzyj

się uważnie torom tramwajowym”. Mike udawał się wtedy do Old Cape, znajdował ulice, na których wciąż jeszcze leżały tory, przyglądał się im uważnie, a potem rozmyślał o pojazdach przypominających pociągi, które jeździły środkami ulic. Wieczorem tego dnia on i ojciec rozmawiali o tym, a ojciec pokazywał mu zdjęcia z albumu Derry, na których widać było tramwaje. Z dachu pojazdu sterczał śmieszny pałąk, biegnący do przewodu elektrycznego, a na bokach widniały reklamy papierosów. Innym razem wysłał Mike’a do Memorial Park, gdzie znajdowała się stacja pomp, aby obejrzał brodzik dla ptaków.

Raz udali się we dwóch do gmachu sądu, aby zobaczyć potworne urządzenie, które szef policji Borton znalazł na poddaszu. Przedmiot ten nazywano fotelem włóczęgów. Był wykonany z lanego żelaza, a do poręczy i nóg miał przymocowane metalowe kajdany. Przypomniało to Mike’owi fotografię, którą widział w jednej książce – zdjęcie krzesła elektrycznego w Sing Singu. Borton pozwolił Mike’owi usiąść na fotelu i zamknął obręcze kajdan na jego rękach i nogach. Kiedy minęło pierwsze złowieszcze wrażenie, Mike spojrzał pytająco na ojca i szefa policji, zastanawiając się, czemu miała to być tak

straszliwa kara dla wagów (jak ich określał Borton – skrót od „wagabunda”), którzy odwiedzali to miasto na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Wypukłości i guzy czyniły fotel nieco niewygodnym, to prawda, podobnie jak kajdany uniemożliwiały ci przyjęcie wygodniejszej pozycji, ale…

– Cóż… jesteś jeszcze dzieckiem – powiedział, śmiejąc się, Borton. – Ile ważysz? Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt funtów? Większość wagów, których szeryf Sully posadził na tym fotelu, ważyła dwa razy tyle. Mniej więcej po godzinie przestawało im tu być wygodnie, po dwóch lub trzech mieli serdecznie dosyć siedzenia na tym krześle, po czterech czy pięciu było już naprawdę źle. Po siedmiu, ośmiu godzinach zaczynali wyć, a po kilku następnych przeważnie płakali, i to rzewnymi łzami. Po dwudziestu czterech godzinach byli gotowi przysiąc przed obliczem Boga i człowieka, że kiedy następnym razem będą przejeżdżać przez terytorium Nowej Anglii, ominą Derry wyjątkowo szerokim łukiem. I o ile mi wiadomo, większość dotrzymywała słowa. Cała doba na fotelu włóczęgów to cholernie skuteczny środek perswazji.

Nagle Mike odniósł wrażenie, że fotel miał o wiele więcej guzów i garbów, które zaczęły

wpijać się coraz mocniej i głębiej w jego pośladki, kręgosłup, nerki, a nawet podstawę karku.

– Czy mogę już wstać? – spytał uprzejmie i szef policji ponownie wybuchnął śmiechem.

Przez krótką, pełną grozy chwilę Mike'owi przyszło na myśl, że Borton tylko zadynda mu kluczami od kajdan przed oczami i powie: „Pewnie, że cię uwolnię, pewnie… za dwadzieścia cztery godziny, mój mały…".

– Czemu mnie tam zabrałeś, tato? – spytał, kiedy wracali do domu.

– Dowiesz się, gdy będziesz starszy – odparł Will.

– Nie lubisz go, tak?

– Nie – odrzekł jego ojciec takim tonem, że Mike nie ośmielił się zapytać o nic więcej.

Mike'owi podobała się większość miejsc w Derry, do których wysyłał lub zabierał go ojciec, i zanim skończył dziesięć lat, Will zdołał wszczepić mu swoje zainteresowanie historią miasta.

Czasami, jak wtedy gdy wodził palcami po kamienistej obudowie brodzika dla ptaków w Memorial Park albo gdy kucał, aby przyjrzeć się uważniej torom tramwajowym na Mont Street w Old Cape, w przedziwny sposób, nieomal namacalnie doświadczał prawdy

o czasie… czasie jako czymś realnym, czymś, co choć niewidzialne, miało masę, tak jak na przykład światło słoneczne (niektóre dzieciaki w szkole śmiały się, kiedy pani Greenguss powiedziała im o masie światła słonecznego, ale Mike był zbyt zdumiony tym, co usłyszał, aby móc skwitować to śmiechem; pierwszą jego myślą było: Światło ma masę? O Boże, to potworne!)… – o czasie jako czymś, co go wreszcie pogrzebie.

Pierwsza notatka, jaką zostawił mu ojciec w 1958 roku, była napisana na tylnej stronie koperty i włożona pod solniczkę. Powietrze było typowo wiosenne, ciepłe, cudownie słodkie, a jego matka pootwierała wszystkie okna. „Żadnych prac – brzmiał tekst na kartce. – Jeżeli chcesz, przejedź się rowerem na Pasture Road. Na polu po lewej stronie zobaczysz sporo ruin i starych urządzeń. Rozejrzyj się tam i przynieś jakąś pamiątkę. Nie zbliżaj się do pomieszczeń piwnicznych. I wróć przed zmierzchem, wiesz dlaczego”.

Mike wiedział dlaczego. I to bardzo dobrze. Gdy powiedział matce, dokąd się wybiera, zasępiła się.

– Czemu nie spytasz, czy Randy Robinson nie chciałby przejechać się razem z tobą?

– Dobrze, mamo. Wpadnę do niego i zapytam – powiedział Mike. Rzeczywiście tak zrobił, ale Randy pojechał z ojcem do Bangor, żeby kupić sadzonki ziemniaków. Dlatego też Mike pojechał na Pasture Road sam. To była niezła przejażdżka – trochę ponad cztery mile. Mike oszacował, że była mniej więcej trzecia, kiedy w końcu oparł rower o stary drewniany płot po lewej stronie Pasture Road i chwilę potem znalazł się na rozciągającym się za nim polu.

Poszwenda się tu z godzinę, a potem wróci do domu. Zwykle matka nie miała nic przeciwko jego wypadom, dopóki wracał do domu przed szóstą, kiedy stawiała na stole obiad, ale jeden niezapomniany epizod uświadomił mu, że tego roku to było nie do pomyślenia. Tego dnia, kiedy spóźnił się na obiad, matka nieomal wpadła w histerię. Rzuciła się na niego ze ścierką i zaczęła go nią okładać, podczas gdy on stał w drzwiach z szeroko otwartymi ustami i postawionym na ziemi wiklinowym koszykiem, w którym znajdował się pstrąg tęczowy.

– Nigdy więcej nie strasz mnie w ten sposób! – wrzasnęła. – Nigdy! Nigdy!

Każde „nigdy” było przedzielone kolejnym zamachem ścierki. Mike spodziewał się, że ojciec wkroczy do akcji i uratuje go z opresji, ale tak się

nie stało… Być może ojciec zdawał sobie sprawę, że równie dobrze mogłaby skierować swój drapieżny gniew przeciwko niemu. Mike wziął sobie do serca tę nauczkę; jedno lanie ścierką w zupełności mu wystarczyło. Mam być w domu przed zmierzchem. Dobrze, mamo, będę. Punktualnie.

Przeszedł przez pole w stronę tytanicznych ruin znajdujących się w samym środku. Były to, rzecz jasna, pozostałości Zakładów Kitchenera – często przejeżdżał koło nich, ale nigdy nie przyszło mu na myśl, aby je zbadać, i nie słyszał, aby jakikolwiek dzieciak mówił, że tego dokonał. Teraz, pochylając się, aby się przyjrzeć stercie cegieł tworzących nieregularny kopiec, miał wrażenie, że wie dlaczego. Pole było oślepiająco jasne, skąpane w promieniach słońca wiszącego na wiosennym niebie (od czasu do czasu przepływała przed nim chmura, a wówczas przez pole przesuwał się wolno szary cień), ale pomimo wszystko miało w sobie coś przerażającego – ciszę, jaka na nim panowała, przerywał tylko delikatny szum wiatru. Czuł się jak badacz, który odnalazł jedyne pozostałości jakiegoś bajecznego zaginionego miasta.

W oddali przed sobą po prawej stronie zobaczył okrągły bok masywnego, wyłożonego

kafelkami walca, wystający z porośniętej trawą ziemi. Podbiegł do niego. Był to główny komin fabryczny. Zajrzał do środka i poczuł ciarki na grzbiecie. Otwór był dostatecznie duży, aby wejść do środka, gdyby tego chciał. Ale nie chciał; Bóg jeden wiedział, jakie obrzydlistwa mogły się tam znajdować, przylepione do wewnętrznych ścian komina, i jakie wstrętne robaki czy stworzenia mogły tam zamieszkiwać.

Zerwał się wiatr. Przechodząc przez otwór zwalonego komina, wywołał dźwięk dziwnie przypominający odgłos nawoskowanych sznurków brzękaczy, które zawieszali z ojcem na strachach na wróble każdej wiosny. Mike cofnął się nerwowo o krok, przypominając sobie nagle film, który oglądał wczoraj wieczorem. Film nosił tytuł *Rodan: ptak śmierci* i wtedy wydawał się całkiem fajny, a Will Hanlon za każdym razem, kiedy pojawiał się Rodan, śmiał się i krzyczał: „Załatw go, Mike”. Mike, wymierzywszy palcem w ekran telewizora, naśladował odgłosy strzałów, dopóki w drzwiach nie pojawiała się mama, która prosiła ich, aby zachowywali się nieco ciszej, bo od tych hałasów zaczyna ją boleć głowa. Teraz wcale nie wydawał się zabawny. W filmie Rodan został uwolniony z głębi Ziemi

przez ekipę górników, którzy kopali najgłębszy na świecie tunel.

Spoglądając na czarny otwór komina, aż nazbyt łatwo można było sobie wyobrazić, że gdzieś tam, na końcu tej wielkiej rury, kulił się potężny ptak ze skórzastymi, nietoperzowymi skrzydłami przylegającymi ściśle do boków, i ten ptak patrzył na małą okrągłą twarzyczkę chłopca próbującego przeniknąć ciemność, patrzył na nią oczyma o złotych obwódkach… Mike cofnął się, drżąc. Zaczął iść wzdłuż komina, który był do połowy zagrzebany w ziemi. Teren wznosił się tu nieznacznie i Mike instynktownie wdrapał się na rurę. Z zewnątrz nie wydawała się taka straszna. Jej okafelkowana powierzchnia była nagrzana od słońca. Podniósł się i zaczął iść przed siebie z rozłożonymi szeroko ramionami (rura była szeroka i nie musiał się obawiać, że spadnie, ale w ten sposób naśladował oglądanego w cyrku linoskoczka), a wiatr przyjemnie omiatał mu twarz.

Dotarłszy do drugiego końca komina, zeskoczył na ziemię i zaczął się uważnie rozglądać – cała masa cegieł, pogięte formy odlewnicze, odłamki drewna, kawałki pordzewiałych urządzeń. „Przynieś jakąś pamiątkę”, napisał mu na kartce ojciec.

Potrzebował czegoś naprawdę porządnego. Zbliżył się do ziejącej czeluści piwnicy, przez cały czas przyglądając się szczątkom i uważając, żeby nie pokaleczyć się o rozbite szkło. Było go tu sporo.

Mike nie zapomniał o przestrodze ojca dotyczącej piwnicy, jak również nie zapomniał o wypadku, jaki wydarzył się tu przed ponad pięćdziesięciu laty, który pochłonął wiele ludzkich istnień. Przypuszczał, że jeżeli w Derry istniało jakieś nawiedzone miejsce, to na pewno to. Mimo wszystko – a może raczej właśnie dlatego – miał zamiar tu zostać, dopóki nie znajdzie czegoś odpowiedniego, co mógłby zanieść do domu i pokazać ojcu.

Wolno i spokojnie podszedł do wejścia do piwnicy, idąc równolegle do jego postrzępionych brzegów, kiedy wewnętrzny głos zaczął mu szeptać, że podchodzi zbyt blisko, że lada chwila osłabiona wiosennymi ulewami płyta, po której stąpa, zarwie się pod jego ciężarem, a on runie w czeluść pełną przeróżnego żelastwa, aby nadziany na rdzewiejące ostrza jak żuk na szpilce konać w potwornych męczarniach przez wiele godzin.

Podniósł okienne skrzydło i cisnął je na bok. Był tu metalowy garniec, wielki jak dla olbrzyma,

z rączkami pomarszczonymi i pokrzywionymi od jakiegoś niewyobrażalnego żaru. Znajdował się tu też tłok tak wielki, że nie mógł go nawet poruszyć, a co dopiero mówić o podniesieniu. Przestąpił ponad nim. Przestąpił go i…

A jeżeli znajdę czaszkę? – pomyślał nagle. Czaszkę jednego z tych dzieciaków, które zginęły tu podczas poszukiwań wielkanocnych czekoladowych jajek w tysiąc dziewięćset którymś tam roku? Rozejrzał się wokoło po skąpanym w słońcu pustym polu, wielce zdegustowany tą perspektywą. Wiatr szumiał mu w uszach jak wielka niewidzialna muszla i kolejny cień – cień wielkiego nietoperza… a może ptaka – przetoczył się majestatycznie nad polem.

Ponownie zaniepokoiła go potworna cisza panująca w tym miejscu i to, jak dziwne wydawało się to pole ze swymi porozsiewanymi stertami gruzów i fragmentami wystających z ziemi gigantycznych metalowych konstrukcji. To miejsce wyglądało tak, jakby dawno temu stoczono tu jakąś potworną bitwę. Nie pękaj, powiedział sobie w duchu. Wszystko, co było do znalezienia, wyzbierano już pięćdziesiąt lat temu, po tym wypadku. A jeśli nawet nie… to do tej pory… resztki… znalazł na pewno jakiś inny

dzieciak albo dorosły. Czy myślisz, że jesteś jedyną osobą, jaka kiedykolwiek przyszła tu w poszukiwaniu pamiątek? Nie… Nie, nie sądzę. Ale… Ale co? – spytała racjonalna część jego umysłu i Mike miał wrażenie, że mówiła jakby trochę zbyt głośno i za szybko.

Nawet gdyby coś tam jeszcze było, to już dawno by uległo rozkładowi. No więc… co? Mike znalazł wśród chwastów rozłupaną szufladę. Obejrzał ją, odrzucił na bok i podszedł do otworu prowadzącego do piwnicy, gdzie rosło najwięcej chwastów. Był pewny, że na dole uda mu się znaleźć coś ciekawego.

A jeżeli tam są duchy? Co wtedy? Co się stanie, jeżeli zobaczę dłonie wysuwające się z okna piwnicy… co się stanie, jeżeli te dzieciaki w strzępach swych odświętnych strojów zaczną wstawać w podartych i przegniłych ubrankach poznaczonych pięćdziesięcioletnią porcją wiosennego błota, jesiennych ulew i śnieżnych, mroźnych zim? Dzieciaki bez głów, dzieciaki bez nóg, dzieciaki z rozprutymi brzuchami, jak wypatroszone dorsze, dzieciaki takie jak ja… które mogłyby zejść do piwnic i bawić się… tam, na dole, w ciemnościach… pod wąskimi stalowymi dźwigarami i wielkimi zardzewiałymi kołami zębatymi.

Och, przestań, na miłość boską!

Ale w tej samej chwili lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach i Mike uznał, że nadszedł czas, aby zabrać stąd coś na pamiątkę i jak najszybciej wziąć nogi za pas. Pochylił się i praktycznie na chybił trafił sięgnął ręką, podnosząc z ziemi małe, siedmiocalowej średnicy kółko zębate. Miał w kieszeni ołówek i użył go, aby szybko wydłubać ziemię spomiędzy zębów znaleziska. Potem włożył pamiątkowe kółko do kieszeni. A teraz już sobie pójdzie. Tak. Pójdzie już… Nogi jednak prowadziły go w przeciwnym kierunku, w stronę otworu piwnicy, i z przerażeniem uświadomił sobie, że miał ochotę zajrzeć do środka. Musiał tam zajrzeć. Uchwycił się porowatego wspornika wystającego z ziemi i pochylił do przodu, próbując zapuścić żurawia w głąb piwnicy. Nie udało mu się. Znajdował się jakieś piętnaście stóp od krawędzi, ale to nie wystarczało, by dojrzeć dno piwnicy.

Nie obchodzi mnie, czy zobaczę dno piwnicy, czy nie. Wracam. I to natychmiast. Mam to, po co tu przyszedłem. Nie muszę zaglądać do żadnych zakichanych starych dziur. A tata napisał mi na kartce, że mam trzymać się z daleka od tego miejsca.

Gorączkowa ciekawość, jaka go opanowała, nie dała jednak za wygraną. Krok po kroku, niepewnie zbliżał się do krawędzi wejścia do piwnicy, zdając sobie sprawę, że kiedy znajdzie się poza zasięgiem wspornika, nie będzie miał pod ręką niczego, za co w razie czego mógłby się złapać, a grunt, po którym teraz stąpał, był naprawdę niepewny i kruchy. Wokół krawędzi dostrzegł wgłębienia przypominające zapadnięte groby i wiedział, że w tych miejscach nastąpiły wcześniejsze obsunięcia. Z sercem walącym w piersiach jak oddział maszerującego raźno wojska dotarł do krawędzi i spojrzał w dół.

Ptak, który miał w piwnicy swoje gniazdo, uniósł wzrok.

Mike w pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom. Jego ciało wydawało się sztywne jak bryła lodu i najwyraźniej bezwład mięśni udzielił się także tym partiom mózgu, które odpowiadały za produkowanie myśli. Nie spowodował tego szok wywołany widokiem tak olbrzymiego ptaka, który miał pierś pomarańczową jak drozd, a pióra szare jak zwyczajny wróbel – raczej fakt, że chłopiec nie spodziewał się tu takiego widoku. Oczekiwał, że zobaczy monolity maszyn na wpół utopione w kałużach brudnej wody i błota; tymczasem patrzył na olbrzymie gniazdo, które

wypełniało całe wnętrze piwnicy, od ściany do ściany. Zużyto na nie tyle tymotki łąkowej, że dałoby się zrobić tuzin bel siana, ale ta trawa była srebrzysta i stara. Ptak siedział pośrodku gniazda, jego błyszczące żywo, czarne jak roztopiona smoła oczy były nieruchome. Mike przez jedną szaloną chwilę, zanim zdołał pokonać w sobie uczucie paraliżu, dostrzegł w nich swoje odbicie.

I w tej samej chwili ziemia zaczęła usuwać mu się spod nóg. Usłyszał trzask pękających gałęzi i uświadomił sobie, że się zsuwa. Z głośnym okrzykiem rzucił się do tyłu, wymachując rękoma dla zachowania równowagi. Stracił ją jednak i rąbnął ciężko na zaśmieconą ziemię. Jakiś twardy, tępy kawałek metalu wbił mu się w plecy i Mike zdążył jeszcze pomyśleć o fotelu włóczęgów, kiedy usłyszał głośny furkotliwy trzepot skrzydeł ptaka.

Podniósł się na kolana, zaczął pełznąć, obejrzał się przez ramię i zobaczył ptaka wydostającego się z czeluści piwnicy. Jego łuskowate szpony były ciemnopomarańczowe. Młócące powietrze skrzydła, przy rozpiętości około dziesięciu stóp każde, rozrzucały na wszystkie strony źdźbła tymotki jak nabierające prędkości łopaty helikoptera. To wydawało

z siebie warkoczący, szczebiotliwy okrzyk. Parę luźnych piór wypadło mu ze skrzydeł i opadło spiralnie na dno piwnicy.

Mike ponownie poderwał się na nogi i rzucił do ucieczki. Biegł przez pole, nie oglądając się za siebie, bojąc się nawet spojrzeć przez ramię. Ptak nie wyglądał jak Rodan, ale Mike czuł, że to był duch Rodana, który wyskoczył z piwnic Zakładów Kitchenera niczym diabeł z pudełka. Potknął się, upadł na jedno kolano, wstał i znów zaczął biec. Ten dziwny, burczący, szczebiotliwy skrzek rozległ się ponownie. Spowił go cień i kiedy Mike uniósł głowę, zobaczył, że ten stwór przeleciał zaledwie pięć stóp nad jego głową. Zakrzywiony dziób brudnożółtego koloru otwierał się i zamykał na przemian, odsłaniając różowe wnętrze.

Zawrócił w stronę Mike'a. Wiatr wzbijany skrzydłami ptaka omiótł mu twarz, w nozdrza uderzył go suchy, nieprzyjemny zapach – mieszanka kurzu na poddaszu i gnijących mebli. Odbił w lewo i ponownie zobaczył zwalony komin. Podbiegł w jego stronę. Ręce, trzymane blisko przy bokach, pracowały jak tłoki. Ptak wrzasnął i Mike usłyszał trzepot jego skrzydeł. Przypominał łopotanie żagla. Coś uderzyło go w tył głowy. Miał wrażenie, że ktoś przyłożył mu

pochodnię do nasady karku. Poczuł, że ogień rozpala się coraz bardziej, w miarę jak krew zaczęła ściekać mu za kołnierz.

Ptak ponownie zakołował z zamiarem schwytania go w swoje potężne szpony i uniesienia jak jastrząb małą mysz polną. Miał zamiar zanieść go do swego gniazda. A tam, naturalnie, pożreć. Kiedy spikował w jego stronę, cały czas wpatrując się w Mike'a czarnymi, potwornie żywymi oczyma, chłopiec rzucił się gwałtownie w prawo. Ptak chybił celu, ale minimalnie. Obrzydliwa woń jego skrzydeł była przytłaczająca, nie do zniesienia. Mike biegł teraz równolegle do komina. Kafelki zlewały mu się w oczach w niewyraźną plamę. Widział koniec rury. Gdyby zdołał tam dobiec, skręcić ostro w lewo i wślizgnąć się do środka, chyba byłby bezpieczny. Miał wrażenie, że ptak był za duży, aby wcisnąć się w głąb rury.

Mało brakowało, a nie zdążyłby dobiec do swojej kryjówki. Ptak ponownie rzucił się na niego; spadał, wystawiając zakrzywione szpony i młócąc skrzydłami powietrze. Raz jeszcze wrzasnął przeciągle i tym razem Mike miał wrażenie, że usłyszał w jego głosie nutę triumfu. Pochylił głowę, uniósł ramię i skoczył naprzód. Szpony zacisnęły się i ptak przez chwilę zdołał

uchwycić go za rękę. Mike miał wrażenie, jakby na jego ramieniu zaciskały się niesamowicie silne palce zakończone twardymi paznokciami. Gryzły jak zęby. Trzepot skrzydeł ptaka brzmiał w jego uszach niczym odgłosy burzy.

Prawie nie zdawał sobie sprawy, że wokół niego w powietrzu wirowały pióra, a kilka z nich opadając na ziemię, musnęło jego policzki na podobieństwo pocałunków duchów. I wtedy ptak znów wzbił się w powietrze, a kiedy to się stało, Mike poczuł, że jest ciągnięty ku górze, najpierw się wyprostował, stanął na palcach… i przez jedną przerażającą sekundę miał wrażenie, że czubki jego trampek stracą kontakt z ziemią.

– Puść mnie! – krzyknął i szarpnął ręką, wykręcając ją z całej siły. Szpony jeszcze przez chwilę trzymały, a potem rękaw koszuli chłopca rozdarł się z głośnym trzaskiem.

Opadł ciężko na ziemię. Ptak wrzasnął. Mike znowu zaczął biec, przedzierając się przez pióra w ogonie stwora i dławiąc się wydzielanym przez nie okropnym smrodem. Czuł się, jakby odgarniał zrobioną z piór zasłonę prysznica. Kaszląc bez przerwy, z załzawionymi oczyma, podrażnionymi przez kurz sypiący się z piór ptaka, wślizgnął się do otworu zwalonego komina. Nie zastanawiał się już, co mogło nań

czyhać wewnątrz. Wbiegł w ciemność, a słabe echo odbijało urywany odgłos jego szlochu.

Wszedł w głąb mniej więcej na dwadzieścia stóp, a potem odwrócił się w stronę jasnego kręgu światła dziennego. Jego pierś unosiła się i opadała szybkimi, spazmatycznymi skurczami. I nagle uświadomił sobie, że jeżeli pomylił się w obliczeniach bądź to w kwestii rozmiarów ptaka, bądź też średnicy rury, to już był trupem, dokładnie tak samo, jak gdyby przyłożył sobie do głowy strzelbę ojca i pociągnął za spust. Znalazł się w pułapce. To była ślepa uliczka, gdyż drugi koniec komina był zagrzebany w ziemi.

Ptak wrzasnął raz jeszcze i nagle jakiś cień przesłonił światło płynące z wylotu rury. Mike zobaczył jego żółte łuskowate nogi grubości męskiej łydki. Potem ptak pochylił głowę i zajrzał do środka.

Mike ponownie spojrzał w te niesamowite, błyszczące, czarne jak świeża smoła oczy ze złotymi obwódkami tęczówek. Dziób stwora otwierał się i zamykał, otwierał i zamykał, a za każdym razem, kiedy się zatrzaskiwał, wydawał odgłos przypominający zgrzytnięcie zębów.

Ostry, pomyślał Mike, ten dziób jest ostry. Chyba wiedziałem, że ptaki mają ostre dzioby, ale aż do teraz o tym nie myślałem. To ponownie

skrzeknęło. Dźwięk ten w ograniczonej, wyłożonej kafelkami gardzieli komina był tak głośny, że Mike przyłożył dłonie do uszu. Ptak zaczął się wciskać w głąb rury.

– Nie! – krzyknął Mike. – Nie, nie możesz!

Kiedy ptak usiłował wedrzeć się do otworu komina, wewnątrz zrobiło się jeszcze ciemniej. O Boże, czemu nie pamiętałem, że ptak to w dużej mierze same pióra? Czemu nie pamiętałem, że on potrafi się przeciskać? Światło bladło coraz bardziej… aż wreszcie znikło zupełnie. Teraz były już tylko atramentowa ciemność, dławiący smród ptaka i szeleszczący odgłos piór.

Mike upadł na kolana i rozkładając szeroko ręce, zaczął macać dłońmi wzdłuż zakrzywionej podłogi – ściany komina. Natrafił na kawałek pękniętej płytki; jej ostre krawędzie były pokryte czymś miękkim, co w dotyku przypominało mech. Odchylił ramię do tyłu i rzucił kafelkiem w ptaka. Rozległ się głuchy odgłos. Ptak ponownie zaskrzeczał.

– Wynoś się stąd! – wrzasnął Mike.

Nastała cisza… a potem znów dał się słyszeć szelest piór, kiedy ptak ponowił próbę wdarcia się w głąb komina. Mike macał rękoma po podłodze, odnajdywał leżące na niej kawałki

płytek i ciskał nimi w stwora. Pociski odbijały się z głuchym stukotem od ptaka i z brzękiem lądowały na wyłożonym kafelkami dnie komina. Proszę, Boże, błagał w myślach Mike, proszę, Boże, proszę, Boże, proszę, Boże…

Przyszło mu do głowy, że powinien wycofać się głębiej w czeluść komina. Chwilę potem dotarł do czegoś, co, jak sądził, stanowiło podstawę rury. Przejście coraz bardziej się zwężało. Mógł wycofać się jeszcze dalej, tak, i nasłuchiwać suchego szelestu piór ptaka, brnącego krok za krokiem w jego kierunku. Mógł się wycofać jeszcze bardziej w głąb rury i gdyby sprzyjało mu szczęście, dotrzeć do miejsca, gdzie ptak nie zdoła się już wcisnąć. A jeżeli ptak utknie w rurze? Gdyby tak się stało, umarliby tu obaj – i on, i ptak. Umarliby tu razem i razem by zgnili. W ciemnościach.

– Proszę, Boże! – krzyknął, w ogóle nie zdając sobie sprawy, że krzyczy. Rzucił jeszcze jednym odłamkiem płytki i tym razem zrobił to z większą siłą (dużo później powiedział innym, że czuł, jakby w tym momencie ktoś stał za jego plecami i pchnął jego rękę z całej siły). Tym razem nie było stłumionego, głuchego odgłosu. Rozległo się plaśnięcie, jakby jakiś dzieciak uderzył ręką na płask w naczynie z na wpół zastygłą galaretką.

Tym razem ptak nie wrzasnął z wściekłości, ale z prawdziwego bólu. Wnętrze komina wypełnił furkot jego pierzastych skrzydeł. Huragan cuchnącego powietrza omiótł twarz Mike'a, załopotał ubraniem i wywołał atak kaszlu, a kiedy od stóp do głów obsypała chłopca fontanna kurzu i mchu, cofnął się jeszcze bardziej w głąb komina. Światło pojawiło się ponownie, z początku szarawe i słabe, stopniowo coraz silniejsze, w miarę jak ptak wypełzał z czeluści rury.

Mike wybuchnął płaczem, ponownie opadł na kolana i jak szalony zaczął szukać kolejnych kawałków płytek. Praktycznie bez namysłu, trzymając w obu dłoniach kawałki kafelków (w świetle dostrzegł, że były one pokryte niebieskawoszarym nalotem mchu i porostów jak kamienie na grobach), zbliżył się do wylotu komina. Był gotów na wszystko, aby tylko nie dopuścić ptaka do powrotu.

To pochyliło głowę, jak niekiedy mają w zwyczaju ptaki w klatkach, i Mike zobaczył, gdzie trafił jego ostatni pocisk. Prawe oko ptaka praktycznie przestało istnieć. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno błyszczało morze świeżej smoły, znajdował się teraz krater wypełniony krwią. Z kącika oczodołu wyciekał białoszary

śluz i spływał wzdłuż dziobu ptaka. Maleńkie pasożyty kłębiły się i skręcały w tym obrzydliwym brejowatym strumieniu.

To zobaczyło go i rzuciło się do przodu. Mike zaczął ciskać kawałkami płytek. Trafił w głowę i dziób. To zawahało się przez chwilę, po czym ponowiło atak, otwierając szeroko dziób i ukazując jego różowe wnętrze, a także coś jeszcze – co sprawiło, że Mike zesztywniał na ułamek sekundy z otwartymi szeroko ustami. Język ptaka był srebrny, a jego powierzchnia pokryta siateczką dziwnych pęknięć jak powierzchnia wulkanicznej krainy, która z płynnej lawy zmieniła się w żużel. Na tym języku jak dziwne chwasty, które porastały ten teren, znajdowały się liczne pomarańczowe pęcherze.

Mike rzucił ostatnią płytkę dokładnie w tę rozdziawioną paszczę i ptak ponownie się wycofał, wydając przejmujący skrzek zawodu, gniewu i bólu. Przez chwilę Mike widział przed sobą jego długie gadzie szpony… Potem istota wzbiła się z trzepotem skrzydeł w powietrze i zniknęła. Chwilę później uniósł głowę – jego twarz była szarobrązowa, pokryta kurzem, błotem i strzępkami mchu – w stronę, skąd dochodził dźwięk skrobania ostrych pazurów po

płytkach komina. Jedynymi czystymi miejscami na twarzy Mike'a były ślady łez na policzkach. Ptak krążył nad jego głową tam i z powrotem.

Mike wycofał się nieco głębiej, zebrał nową porcję płytek i zaniósł je tak blisko otworu komina, jak tylko ośmielił się podejść.

Gdyby ta rzecz wróciła, chciał poczęstować ją pociskami z możliwie najbliższej odległości. Światło na zewnątrz wciąż było jasne – był maj i do zmierzchu pozostało jeszcze sporo czasu – ale gdyby się okazało, że ptak postanowił zaczekać…

Mike przełknął ślinę, wyschnięte ścianki gardła przez moment ocierały się o siebie. Nad jego głową słychać było skrobanie.

Miał teraz całkiem spory zapas amunicji. W słabym świetle, poza zasięgiem promieni słońca wpadających do wnętrza rury, wyglądała jak stos porcelanowych skorup zmieciony w jedno miejsce przez gospodynię domową. Mike otarł brudne wnętrza dłoni o dżinsy i czekał na rozwój sytuacji. Minęło trochę czasu, nie był pewny ile – pięć minut czy dwadzieścia pięć – zanim coś się wydarzyło. Miał tylko świadomość, że nad jego głową bez przerwy spacerował olbrzymi ptak jak człowiek cierpiący na bezsenność, krążący po twojej sypialni o trzeciej

nad ranem. Potem znów dał się słyszeć trzepot skrzydeł. To wylądowało tuż przy wylocie rury. Mike klęczący tuż za stosem płytek zaczął rzucać w To pociskami, zanim jeszcze zdążyło pochylić głowę. Jeden z nich trafił w łuskowatą żółtą nogę ptaka, a krew, która z niej pociekła, była tak ciemna, że wydawała się niemal czarna jak oczy stwora.

Mike krzyknął triumfalnie – ale ten dźwięk był cichy i niemal całkiem utonął w złowieszczym, gniewnym skrzeku ptaka.

– Wynoś się stąd! – krzyknął Mike. – Będę w ciebie rzucał, dopóki się stąd nie wyniesiesz, przysięgam, na Boga, że tak będzie!

Ptak pofrunął na szczyt rury i ponownie zaczął po niej spacerować. Mike czekał. Wreszcie znowu rozległ się trzepot skrzydeł i ptak odleciał. Mike czekał, że lada chwila po raz kolejny zobaczy przed sobą żółte kurze łapy. Bezskutecznie. Odczekał jeszcze parę minut, przekonany, że to jakaś sztuczka, i dopiero później uświadomił sobie, co naprawdę było powodem jego czekania. Zwlekał, gdyż był śmiertelnie przerażony, bał się opuścić swoją bezpieczną kryjówkę.

Nieważne! Nieważne! Nie jestem królikiem!

Wziął tyle płytek, ile się dało wynieść, a potem wrzucił jeszcze parę za koszulę. Wyszedł z komina, gorączkowo się rozglądając na wszystkie strony i w duchu żałując, że nie ma drugiej pary oczu z tyłu głowy. Przed nim i wokół niego rozciągało się pole upstrzone szczątkami zniszczonej wybuchem fabryki Kitchenera. Okręcił się na pięcie, spodziewając się ujrzeć ptaka siedzącego jak sęp na skraju rury, tak by chłopiec mógł go zobaczyć, nim nastąpi ostatni atak, podczas którego ostry dziób będzie go dźgał i rozszarpywał.

Ale ptaka tam nie było. Naprawdę odleciał. Mike'owi puściły nerwy.

Wydał z siebie przeraźliwy okrzyk przerażenia i pobiegł w stronę płotu pomiędzy polem a drogą, wyrzucając ostatnie kawałki płytek. Reszta wypadła mu zza koszuli, kiedy ta wysunęła się ze spodni.

Przeskoczył nad ogrodzeniem, używając tylko jednej ręki, jak Roy Rogers w swoim pokazowym numerze dla Dale'a Evansa, wracając z korrala z Patem Bradym i resztą kowbojów.

Schwycił za kierownicę roweru i zanim wskoczył na siodełko, przebiegł wraz z nim dobre czterdzieści stóp. Potem zaczął pedałować jak szalony, nie śmiąc obejrzeć się za siebie ani

tym bardziej zwolnić, dopóki nie dotarł do skrzyżowania Pasture Road z Outer Main Street, przez które przejeżdżało zwykle sporo samochodów.

Kiedy dotarł do domu, ojciec wymieniał właśnie świece w traktorze. Will zauważył, że jego syn wyglądał jak nieboskie stworzenie. Mike zawahał się w pierwszej chwili, ale zaraz wyjaśnił ojcu, że gdy wracał do domu, przewrócił się wraz z rowerem, bo chciał wyminąć zbyt późno zauważony wybój na drodze.

– Złamałeś sobie coś, Mike? – spytał Will, uważnie lustrując syna.

– Nie, tato.

– Zwichnąłeś?

– Eee.

– Na pewno?

Mike skinął głową.

– Przywiozłeś jakąś pamiątkę?

Mike sięgnął do kieszeni i wyjął kółko zębate. Pokazał je ojcu, który przyjrzał mu się pobieżnie, a potem wyjął tkwiący w dłoni Mike’a, nieco poniżej kciuka, maleńki odłamek płytki. Wydawał się tym o wiele bardziej zainteresowany.

– Ze starego komina? – spytał.

Mike skinął głową.

– Wszedłeś tam?

Mike ponownie przytaknął ruchem głowy.

– Widziałeś tam coś? – spytał Will i wtedy, jakby chciał obrócić to pytanie w żart (choć jego ton wcale na to nie wskazywał), dorzucił: – Zakopany skarb?

Mike, uśmiechając się pod nosem, pokręcił przecząco głową.

– Cóż, nie mów matce, że tam wlazłeś – powiedział Will. – Najpierw zastrzeliłaby mnie, a potem ciebie. – Przyjrzał się jeszcze uważniej synowi. – Mike, na pewno nic ci nie jest?

– Hę?

– Masz sińce pod oczami.

– Chyba jestem trochę zmęczony – odrzekł Mike. – Nie zapominaj, że tam i z powrotem jest osiem, dziesięć mil. Pomóc ci przy traktorze, tato?

– Nie. Na ten tydzień już prawie skończyłem. Idź się uczyć.

Mike ruszył w stronę domu, kiedy ojciec zawołał go raz jeszcze.

Mike się odwrócił.

– Nie chcę, abyś kręcił się w tamtej dzielnicy… zabraniam ci tam jeździć… aż cała ta koszmarna sprawa się wyjaśni… i złapią tego faceta, który to

robi… nikogo tam nie widziałeś, prawda? Nikt cię nie gonił… nie wołał?

– Nie widziałem tam żadnych ludzi – odparł Mike.

Will pokiwał głową i zapalił papierosa.

– Myślę, że popełniłem błąd, wysyłając cię tam. Stare miejsca jak to… czasami mogą być niebezpieczne. – Ich spojrzenia spotkały się przez moment.

– W porządku, tato – powiedział Mike. – I tak nie miałem zamiaru tam wracać. Nieźle najadłem się strachu. To naprawdę okropne miejsce.

Will ponownie pokiwał głową.

– Uważam, że nie powinieneś tego mówić mamie. Im mniej wie, tym lepiej. A teraz idź się umyj. I powiedz jej, żeby ci nałożyła trzy albo cztery dodatkowe parówki.

Mike zrobił to bez wahania.

6

To teraz nieważne, pomyślał Mike Hanlon, patrząc na bruzdy biegnące i kończące się przy betonowym nabrzeżu kanału. To nieważne, to mógł być tylko zwykły sen i…

Na skraju kanału widniały kałuże skrzepniętej krwi. Mike spojrzał na nie, a potem

przeniósł wzrok w dół, na kanał. Czarna woda wartko płynęła. Strugi brudnej żółtej piany przywierały do brzegów kanału, a czasami odrywały się od nich, by spłynąć z prądem, tworząc szalone pętle i łuki. Przez chwilę, ale tylko chwilę, dwa skrzepy piany połączyły się i zdawało się, że tworzą coś w rodzaju twarzy – twarzy dziecka o oczach przesyconych strachem i niewypowiedzianym bólem.

Mike wstrzymał raptownie oddech, jakby nadział się na długi, ostry cierń. Piana rozpłynęła się, ponownie stając się nic nieznaczącą plamą na wodzie, i w tej samej chwili gdzieś po jego prawej stronie dał się słyszeć plusk. Gwałtownie odwrócił głowę, skulił się nieco w sobie i przez chwilę wydawało mu się, że zobaczył coś pośród cieni tunelu odpływowego, gdzie kanał, po swojej długiej wędrówce pod mostkiem, ponownie wyłaniał się na powierzchnię. A potem to zniknęło.

Nagle, zziębnięty i drżący, sięgnął do kieszeni po nóż, który znalazł na trawie. Wrzucił go do kanału. Rozległo się ciche pluśnięcie, na wodzie pojawiły się kręgi, które pod wpływem prądu przybrały kształt strzały… a potem nie było już nic.

Nic z wyjątkiem strachu, który schwycił go za gardło niewidzialnymi palcami, i niemal stuprocentowej pewności, że właśnie w tej chwili coś znajdowało się nieopodal niego, obserwując go, rozważając swoje szanse i czekając na stosowny moment. Odwrócił się, zamierzając wrócić spokojnym krokiem do roweru – paniczna ucieczka stanowiłaby potwierdzenie racjonalności jego obaw i plamę na honorze – gdy ponownie usłyszał to dziwne pluśnięcie. Tym razem było o wiele głośniejsze. Pal diabli godność.

Nagle ruszył w stronę bramy i swego roweru, piętą złożył nóżkę i zaczął pedałować w stronę ulicy.

Woń morza, która uderzyła go w nozdrza, była mocna… zdecydowanie zbyt mocna. Zdawała się wszechobecna. A odgłos wody spływającej z mokrych gałęzi drzew wydawał się zdecydowanie zbyt głośny.

Coś się zbliżało. Usłyszał ciężkie, posuwiste szuranie stóp po trawiastej powierzchni.

Stanął na pedałach, dając z siebie wszystko i nie oglądając się za siebie, wyprysnął na Main Street. Jechał do domu tak szybko, jak tylko mógł; zastanawiając się w duchu, jaki diabeł nakłonił go do przyjazdu w to miejsce. Co go podkusiło, że

tam pojechał? Co go tam ciągnęło? A potem zaczął myśleć o pracy, samej pracy i tylko pracy. Z pełnym powodzeniem.

I kiedy następnego dnia przeczytał w gazecie nagłówek na pierwszej stronie („Zaginięcie chłopca wywołuje nową falę strachu”), pomyślał o scyzoryku, który wrzucił do kanału – scyzoryku z wydrapanymi na rączce inicjałami EC. Pomyślał o śladach krwi na trawie. I o dwóch bruzdach w ziemi, które kończyły się przy nabrzeżu na skraju kanału.

ROZDZIAŁ 7
Tama w Barrens

1

Z wysokości drogi ekspresowej, za kwadrans piąta nad ranem, Boston przypomina miasto umarłych, pogrążone w rozmyślaniach nad jakąś tragedią z przeszłości – zarazą lub może klątwą.

Znad oceanu dociera tu ciężki, zdecydowanie zbyt mocny zapach soli. Wczesnoporanne mgły przesłaniają większość oznak ruchu, jaki można by zaobserwować o tej porze.

Jadąc na północ wzdłuż Storrow Drive, siedząc za kółkiem czarnego cadillaca rocznik ’84 wypożyczonego z firmy Cape Cod Limousine, należący do Butcha Carringtona, Eddie Kaspbrak myśli, że w takich chwilach niemal czuje się wiek miasta; może nigdzie indziej w Stanach nie byłoby to możliwe, ale tu tak. Boston to małe

dziecko w porównaniu z Londynem i niemowlę wobec Rzymu, ale jak na warunki amerykańskie jest stary – i to nawet bardzo stary. Założono go w tym miejscu przed trzystu laty, kiedy nikt jeszcze nie myślał o podatkach od herbaty i całej masie innych towarów, a Paula Revere'a i Patricka Henry'ego nie było jeszcze na świecie.

Ten wiek, ta cisza i unoszący się pośród mgieł zapach morza denerwują Eddiego, a kiedy się denerwuje, sięga po swój aspirator. Wkłada go do ust i wpuszcza do gardła chmurę ożywczego sprayu.

Na ulicach dostrzega kilka osób, jedna czy dwie przechodzą przez jezdnię – ich widok sprawia, że Eddie odnosi wrażenie, jakby nagle trafił do któregoś z opowiadań H.P. Lovecrafta o skazanych miastach, prastarym złu i potworach o imionach niemożliwych do wypowiedzenia. Koło przystanku autobusowego z napisem „Kenmore Square City Center" widzi kelnerki, pielęgniarki i paru robotników; ich twarze są opuchnięte od snu. Racja, myśli Eddie, przejeżdżając pod napisem Most Tobin, tylko autobusy. Zapomnij o metrze. Metro to zły pomysł. Na twoim miejscu nie schodziłbym tam na dół. Do tuneli.

To zła myśl. Jeżeli nie uda mu się jej pozbyć, niedługo znów będzie musiał sięgnąć po aspirator. Cieszy się, widząc, że na moście jest nieco większy ruch. Mija teren jakichś prac. Pomnik. Na ceglanym murze dostrzega z lekka niepokojące hasło: ZWOLNIJ! MOŻEMY POCZEKAĆ!

Znajduje się tu zielony podświetlany znak z napisem DO 95 MAINE N.H. CAŁA PÓŁNOCNA NOWA ANGLIA.

Patrzy na ten znak i nagle wstrząsa nim silny dreszcz. Jego dłonie wydają się przyspawane do kierownicy cadillaca. Chciałby wierzyć, że to tylko zapowiedź jakiejś choroby wirusowej lub, być może, „widmowej gorączki", o której tyle opowiadała mu matka. Ale on dobrze wie, co mu dolega. To to miasto za nim, balansujące bezdźwięcznie na prostej jak drut równoważni nocy i dnia oraz tego, co zgodnie z obietnicą znaku znajduje się przed nim. Jest chory, to prawda, ale to nie wirus ani „widmowa gorączka". Jest zatruwany przez własne wspomnienia.

Boję się, myśli Eddie. To było sedno tego wszystkiego. Strach. I tyle. Sądzę jednak, że ostatecznie i tak jakoś nam się udało. Wykorzystaliśmy to. Ale jak?

Nie pamięta. Zastanawia się, czy ktoś z pozostałych to pamięta. Ma nadzieję, że tak. Dla dobra ich wszystkich.

Ciężarówka, pomrukując monotonnie, przejeżdża po lewej tuż obok niego. Eddie ma nadal włączone światła i kiedy ciężarówka przyspiesza, aby pomknąć w dal, odruchowo miga kilkakrotnie. Robi to bez zastanowienia. Niewidoczny kierowca ciężarówki, w odpowiedzi, szybko dwukrotnie zapala tylne światła, dziękując Eddiemu za uprzejmość.

Gdyby wszystko mogło być tak proste, myśli. Jedzie za znakami do I-95. Na szosie północnej panuje słaby ruch, choć jak zauważa, pomimo tak wczesnej godziny ulice zaczynają się już zapełniać. Eddie niemal płynie swoim wozem i wjeżdża na pas skrętu na długo przedtem, niż to konieczne.

Minęły już lata – dosłownie – odkąd po raz ostatni przejechał zjazd, w który powinien skręcić. Dokonuje zmiany pasa automatycznie, tak samo jak automatycznie dał kierowcy ciężarówki sygnał światłami, i akurat udało mu się odnaleźć właściwą drogę pośród plątaniny ścieżek w Barrens.

Fakt, że nigdy dotąd nie wyjeżdżał z Bostonu – jednego z najbardziej zagmatwanych miast

Ameryki pod względem komunikacji samochodowej – nie miało tu absolutnie żadnego znaczenia. Nagle przypomina sobie coś jeszcze na temat tamtego lata, coś, co Bill powiedział mu któregoś dnia.

– Chyba m-m-masz w g-g-głowie k-k-kompas, E-e-eddie.

Jak bardzo się z tego wtedy cieszył. I teraz, wyjeżdżając swoim dorado rocznik ’84 na szosę w kierunku rogatki, ponownie jest zadowolony. Podwyższa prędkość limuzyny do bezpiecznego limitu pięćdziesięciu siedmiu mil na godzinę i znajduje w radiu jakąś spokojną muzykę. Przypuszcza, że wtedy byłby gotów umrzeć za Billa, gdyby to się okazało konieczne; gdyby Bill go spytał, Eddie bez wahania odparłby:

– Pewno, Wielki Billu… tylko powiedz kiedy. Masz już na myśli jakiś konkretny termin?

Eddie śmieje się z tego – początkowe parsknięcie zmienia się po chwili w prawdziwy wybuch śmiechu.

Ostatnio śmieje się rzadko i, rzecz jasna, nie oczekiwał, aby podczas tej ponurej pielgrzymki miał okazję do chichrania się (to było określenie Richiego – zwykle pytał go: „Chichrałeś się dzisiaj, Eds?”)

Ale, jak przypuszcza, skoro Bóg jest na tyle złośliwy, że doświadcza swoich wiernych, obdarzając ich tym, czego najbardziej pragną, to może w swoim pokrętnym poczuciu humoru da mu podczas tej podróży parę powodów do prawdziwego, nieskrępowanego śmiechu.

– Chichrałeś się ostatnio, Eds? – mówi na głos i ponownie wybucha śmiechem. Nie cierpiał, jak Richie nazywał go „Eds”… choć jakaś jego część w pewnym sensie to lubiła. Pewno tak samo musiał się czuć Hanscom, kiedy Richie nazywał go „Haystack”. To było… jak ksywka. Tajna tożsamość. Sposób, aby stać się ludźmi niemającymi nic wspólnego z obawami, nadziejami i stałymi żądaniami ze strony rodziców. Richie ze swoimi głosami mógł tego nie wiedzieć, ale czuł, że dla całej ich grupki zmiana tożsamości choćby tymczasowo jest czymś niezwykle ważnym.

Eddie patrzy na monety, ułożone starannie na desce rozdzielczej dorado. Układanie drobnych jest jeszcze jednym automatycznym nawykiem w jego zawodzie. Kiedy zbliżasz się do budki opłat, nie masz ochoty sięgnąć do kieszeni, nie chcesz, aby się okazało, że podjeżdżasz do automatu, nie zabrawszy z sobą właściwych monet.

Pośród drobniaków znajdują się dwie czy trzy srebrne dolarówki Susan B. Anthony. Takie monety, mówi w myślach, mógłbyś dziś znaleźć praktycznie tylko w kieszeniach szoferów i kierowców taksówek z Nowego Jorku, tak samo jak banknoty dwudolarowe to niemal nieodłączny element w okienku kasy wyścigów konnych.

Zawsze trzyma parę drobniaków pod ręką, gdyż wrzuca je do automatów, przejeżdżając przez most Jerzego Waszyngtona albo Triboro. Nagle w jego umyśle rozbłyska kolejne światełko – srebrne dolarówki. Nie te fałszywe, miedziane, ale prawdziwe srebrne, z wizerunkiem odzianej w zwiewną szatę Lady Liberty. Srebrne dolarówki Bena Hanscoma. Tak, ale czy to nie Bill, Ben albo Beverly… które z nich użyło kiedyś jednej z tych monet, aby uratować im życie? Nie jest pewny, ba, praktycznie rzecz biorąc, nie jest dziś pewny absolutnie niczego… a może po prostu nie chce pamiętać?

Tam było ciemno, myśli nagle. Pamięta doskonale. Tam było ciemno. Boston zostaje w tyle, a mgła zaczyna się rozwiewać. Przed nim rozciąga się Maine N.H. Cała północna Nowa Anglia. Przed nim jest Derry, a w Derry coś, co od dwudziestu siedmiu lat powinno już nie żyć,

a mimo wszystko jakimś cudem żyje. Coś, co dysponuje większą liczbą twarzy niż Lon Chaney. Ale czym to jest naprawdę? Czy w ostatniej odsłonie nie zobaczyli prawdziwego oblicza Tego, kiedy została wreszcie zrzucona ostatnia z jego masek?

Ach. Tyle pamięta… ale to wciąż za mało.

Pamięta, że kochał Billa Denbrough, i pamięta to doskonale. Bill nigdy nie wyśmiewał się z jego astmy. Bill nigdy nie nazywał go małą zasmarkaną cipą. Kochał Billa jak starszego brata… albo jak ojca. Bill znał się na wielu rzeczach. Wiele umiał. Znał masę różnych fajnych miejsc. Umiał tyle pokazać. Nigdy nie potrafił odmówić. Kiedy biegałeś wraz z Billem, to tak jakbyś ścigał się z samym diabłem, i śmiałeś się… ale rzadko kiedy po takiej przebieżce w ogóle miałeś zadyszkę.

A bieg bez zadyszki to coś wspaniałego, tak cholernie wspaniałego, oznajmi Eddie całemu światu. Kiedy biegałeś z Wielkim Billem, chichrałeś się cały dzień.

– Caa-lusień-ki dzień – mówi głosem Richiego Toziera i ponownie wybucha śmiechem.

To był pomysł Billa, aby zbudować tamę w Barrens, i w pewnym sensie to właśnie tama ich połączyła. Ben Hanscom pokazał im, jak

należy ją skonstruować – i zrobili ją tak dobrze, że mieli przez to nieprzyjemności z panem Nellem, który był gliniarzem, ale sam pomysł pochodził od Billa. I choć każdy z nich, z wyjątkiem Richiego, widział bardzo dziwne i przerażające rzeczy, jakie przydarzyły im się ostatnio w Derry, to właśnie Bill zdobył się na odwagę, aby powiedzieć o tym głośno. Ta tama. Ta cholerna tama.

Przypomniał sobie Victora Crissa. „Pa, pa, chłopcy. To była naprawdę dziecinna tama, chłopcy, nic niewarta". Bez niej będzie lepiej, uwierzcie mi.

Dzień później Ben Hanscom uśmiechnął się do nich i powiedział:

– Moglibyśmy…

– Moglibyśmy zatopić…

– Moglibyśmy zatopić Barrens…

2

…i to całe, gdybyśmy tylko chcieli.

Bill i Eddie spojrzeli na Bena z powątpiewaniem, a potem przyjrzeli się sprzętowi, jaki przyniósł z sobą – kilka desek (prawdopodobnie zwędzonych z ogrodu na tyłach domu pana McKibbona, ale to nic takiego,

bo on najprawdopodobniej też je komuś podprowadził).

– No, nie wiem – rzucił Eddie, popatrując na Billa. – Wczoraj nie poszło nam najlepiej. Prąd zmył wszystkie patyki, które podłożyliśmy.

– To zadziała – powiedział Ben i on również spojrzał na Billa, oczekując na podjęcie ostatecznej decyzji.

– N-n-no to spróbujmy – rzekł Bill. – Dziś r-r-r-rano z-zadzwoniłem do Richiego T-t-toziera. P-p-p-powiedział, że wpadnie t-tu p-p-później. Może on i S-s-s-stanley będą chcieli p-p-pomóc.

– Jaki Stanley? – spytał Ben.

– Uris – odparł Eddie. Wciąż patrzył z zaciekawieniem na Billa, który dziś wyglądał inaczej, był cichszy i jakby mniej podniecony perspektywą budowy tamy. Bill był dziś bardzo blady. I odległy.

– Stanley Uris? Chyba go nie znam. Czy on chodzi do podstawówki?

– Jest w naszym wieku, ale właśnie skończył czwartą klasę – oznajmił Eddie. – Poszedł do szkoły rok później, bo jak był mały, sporo chorował. Powinniście się cieszyć, że nie jesteście w jego skórze. Stale ktoś się z niego nabija i go przezywa.

– O-o-on j-j-jest Ż-ż-żydem – oświecił go Bill. – S-s-sporo dzieciaków go przez to n-n-nie l-l-l-lubi.

– Tak? – spytał Ben, poruszony. – Żydem? – Przerwał na chwilę, po czym dorzucił nieśmiało: – Czy to tak jak być Turkiem albo, dajmy na to, Egipcjaninem?

– Chyba bardziej jak T-t-t-turkiem – powiedział Bill. Podniósł jedną z desek, którą przyniósł Ben, i spojrzał na nią. Miała prawie sześć stóp długości i trzy szerokości. – M-m-m-mój tata m-m-mówi, że Ż-ż-żydzi m-mają w-wielkie nosy i sporo f-f-forsy, ale S-s-s-s…

– Stan ma zwyczajny nos i zawsze jest spłukany – powiedział Eddie.

– Tak – rzucił Bill i po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął. Ben też się uśmiechnął. Podobnie jak Eddie.

Bill cisnął deskę na bok, wstał i otrzepał siedzenie dżinsów. Podszedł do brzegu strumienia i obaj pozostali chłopcy do niego dołączyli. Wcisnął dłonie w tylne kieszenie i westchnął głęboko. Eddie był pewny, że Bill zaraz powie coś bardzo poważnego. Przeniósł wzrok z Eddiego na Bena i z powrotem na Eddiego; nie uśmiechał się już.

Eddie poczuł, że ogarnia go niepokój. A wtedy Bill zapytał:

– M-m-masz swój a-a-aspirator, E-eddie?

Eddie klepnął się po kieszeni.

– Załadowany i gotowy do strzału.

– A numer z mlekiem czekoladowym zadziałał? – zapytał Ben.

Eddie wybuchnął śmiechem.

– Po prostu świetnie – powiedział.

On i Ben chichotali wesoło, podczas gdy Bill patrzył na nich uśmiechnięty, ale jakby nieco zakłopotany. Eddie wyjaśnił mu, o co chodziło, a Bill skinął głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– M-m-mama Eddiego m-m-myśli, że on m-może się zabić, a o-ona n-nie dostanie potem o-o-odszkodowania.

Eddie prychnął i zrobił ruch, jakby chciał wrzucić Billa do strumienia.

– Uważaj no, gnoju – rzucił Bill, naśladując głos Henry'ego Bowersa. – Bo ci tak przekręcę łeb, że będziesz mógł patrzeć, jak się podcierasz.

Ben upadł na ziemię, zarykując się ze śmiechu. Bill spojrzał na niego, uśmiechając się bez przerwy i ani na chwilę nie wyjmując rąk z kieszeni dżinsów. Uśmiechał się, ale wydawał się dziwnie zamyślony i odległy. Spojrzał na Eddiego, a potem na Bena.

– Dzieciak jest t-t-taki m-m-miękki – powiedział.

– Tak – zgodził się Eddie, przeczuwając, że coś się święci. Bill przez cały czas się nad czymś zastanawiał. Coś go gryzło. Eddie przypuszczał, że Bill powie, co go dręczy, kiedy nadejdzie właściwy moment. Pytanie brzmiało, czy chciał o tym usłyszeć.

– Dzieciak jest opóźniony umysłowo.

– Zapóźniony – dorzucił Ben, stale chichocząc.

– P-p-p-pokażesz n-nam, j-jak zbudować t-t-tamę, czy będziesz s-s-siedział n-na t-tym swoim t-tłustym t-tyłku c-c-cały dzień?

Ben podniósł się ponownie. Najpierw spojrzał na strumień płynący obok nich z umiarkowaną prędkością. Tu, w Barrens, Kenduskeag nie był zbyt szeroki, mimo to wczoraj zdołał ich pokonać. Ani Eddie, ani Bill nie wiedzieli, w jaki sposób przezwyciężyć siłę prądu.

Ale Ben uśmiechał się jak człowiek, który rozważa dokonanie czegoś nowego… czegoś, co będzie wspaniałe, ale niespecjalnie trudne. Eddie pomyślał: On wie jak. Wydaje mi się, że on naprawdę wie.

– W porządku – oznajmił. – A teraz, chłopcy, zdejmijcie buty, bo zamoczycie sobie stópki.

W mózgu Eddiego z miejsca rozległ się głos matki – surowy, rozkazujący i niewzruszony jak głos gliniarza z drogówki: „Ani mi się waż, Eddie! Ani mi się waż! Mokre stopy to jeden z tysięcy sposobów na złapanie przeziębienia, a od przeziębienia jeden krok do zapalenia płuc, więc nie waż się tego robić!”.

Bill i Ben usiedli na brzegu i zdjęli buty i skarpetki. Ben podwijał zawzięcie nogawki dżinsów. Bill uniósł wzrok i spojrzał na Eddiego. Jego oczy były czyste, ciepłe i biła z nich sympatia.

Eddie uświadomił sobie nagle, że Wielki Bill doskonale wiedział, o czym on myślał, więc się zawstydził.

– I-i-idziesz?

– Tak, pewno – powiedział Eddie. Usiadł na brzegu i pomimo głosu matki rozlegającego się w głowie zzuł buty i skarpety… i naraz z ulgą stwierdził, że jej głos stawał się coraz bardziej odległy, jakby ktoś przebił olbrzymim haczykiem materiał jej bluzki na plecach i kręcąc zawzięcie kołowrotkiem, wciągnął ją w głąb bardzo długiego korytarza.

3

To był jeden z tych niezapomnianych, wspaniałych letnich dni. Łagodny wietrzyk przegnał najgorsze komary i muchy. Niebo było jasnoniebieskie. Temperatura wynosiła ponad dwadzieścia stopni. Ptaki śpiewały i zajmowały się swoimi sprawami w krzewach i pośród gałęzi niskich drzew.

Eddie skorzystał raz ze swego aspiratora, po czym jego klatka piersiowa zaczęła poruszać się swobodniej, a krtań jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powiększyła się do rozmiarów autostrady. Przez resztę poranka aspirator spoczywał w tylnej kieszeni. Ben Hanscom, który dzień wcześniej wydawał się spięty i niepewny, od chwili zaangażowania w budowę tamy nabrał śmiałości i pewności siebie. Chodził po brzegu to tu, to tam i stając z ubłoconymi rękoma wspartymi na biodrach, przyglądał się budowie, pomrukując coś pod nosem. Co jakiś czas przesuwał dłonią po włosach, tak że około jedenastej jego fryzura wyglądała jak śmieszny czub punka.

Eddie czuł z początku niepewność, później radość, a wreszcie doświadczył czegoś zupełnie nowego – uczucia, które było jednocześnie dziwne, przerażające i radosne. Było dla niego

obce do tego stopnia, że nie potrafił go w ogóle nazwać, aż do owego wieczoru, kiedy leżąc w łóżku i wpatrując się w sufit, wspomniał ów dzień. Moc. Poczuł moc. Nad wodą odniósł wrażenie, że ich konstrukcja zadziała jak należy i – na Boga! – będzie jeszcze lepsza, niż on czy Bill, a może nawet i Ben mogliby sobie wymarzyć.

Widział, że Bill również przyłączył się do budowy, z początku nieśmiało, przez cały czas dręcząc się myślami, które – jak wszystko na to wskazywało – nie dawały mu spokoju, aż w końcu praca pochłonęła go bez reszty. Raz czy dwa klepnął Bena w mięsiste ramię i powiedział mu, że jest niesamowity. Ben za każdym razem oblewał się rumieńcem. Nakazał Eddiemu i Billowi, aby przełożyli jedną z desek przez strumień i przytrzymali ją, podczas gdy on młotem wbił ją w koryto rzeki.

– Gotowe, ale będziesz musiał jeszcze ją przytrzymać, bo w przeciwnym razie zmyje ją prąd – powiedział Eddiemu, który stanął pośrodku strumienia i trzymał deskę, podczas gdy woda przelewała się ponad jej krawędzią, zmieniając jego dłonie w drżące blade rozgwiazdy.

Ben i Bill umieścili drugą deskę dwie stopy dalej w dole strumienia. Ben ponownie użył młota, aby ją obsadzić, a Bill przytrzymał ją, podczas gdy Ben wypełniał przestrzeń pomiędzy deskami piaskiem i ziemią z brzegu strumienia. Z początku woda zmywała ją wokół końców desek żwirowymi chmurkami i Eddie miał poważne wątpliwości, czy ich przedsięwzięcie zakończy się sukcesem, ale kiedy Ben zaczął dodawać kamienie i błotnistą zaprawę z koryta rzeki, chmury uciekającego mułu zaczęły się zmniejszać.

W niecałe dwadzieścia minut stworzył nieforemny brązowy kanał ziemi i kamieni pomiędzy dwoma umieszczonymi w środku strumienia deskami. Eddiemu dzieło to wydawało się złudzeniem optycznym.

– Gdybyśmy mieli prawdziwy cement… a nie tylko… muł i kamienie, w połowie przyszłego tygodnia… musieliby przenieść całe miasto… na stronę Old Cape – oznajmił Ben, kiedy w końcu cisnął na bok łopatę i usiadł na brzegu, czekając, aż jego oddech powróci do normy. Bill i Eddie wybuchnęli śmiechem, a Ben przyłączył się do nich.

Kiedy się uśmiechnął, przez ułamek sekundy przypominał przystojnego mężczyznę, jakim

stanie się po latach, ale ta wizja prysła zaraz jak mydlana bańka.

Teraz za deską od strony górnego biegu strumienia zaczęła zbierać się woda. Eddie spytał, co zrobią z wodą przepływającą wzdłuż boków desek.

– Niech sobie płynie. To żaden kłopot.

– Serio?

– Serio.

– Czemu?

– Nie potrafię wyjaśnić dlaczego. Chyba trochę wody musi przepływać.

– Skąd wiesz?

Ben wzruszył ramionami. Po prostu wiem – mówił ów gest i Eddie momentalnie zamilkł.

Kiedy Ben już trochę odpoczął, wziął do ręki trzecią deskę – najgrubszą z czterech czy pięciu, które przyniósł z sobą do Barrens, i przyłożył ją ostrożnie do deski w górnym biegu strumienia, a potem wbił ją jednym końcem w dno rzeki, a drugim oparł o deskę trzymaną przez Billa, tworząc podpórkę, którą przedstawił na wyrysowanym projekcie poprzedniego dnia.

– W porządku – powiedział i cofnął się o parę kroków. Uśmiechnął się do pozostałych. – Teraz się odsuńcie. Zaprawa pomiędzy dwoma deskami

przyjmie na siebie większość siły naporu wody. Resztę załatwi podpórka.

– I woda tego nie zmyje? – spytał Eddie.

– Skąd, woda jeszcze to umocni.

– J-j-jak się p-p-pomyliłeś, t-to cię z-z-zabijemy – oświadczył Bill.

– Nie ma sprawy – skwitował uprzejmie Ben.

Bill i Eddie wyszli na brzeg. Dwie deski tworzące podstawę tamy skrzypnęły cicho, ugięły się lekko… i to było wszystko.

– Rany koguta! – krzyknął podekscytowany Eddie.

– To p-p-po p-p-prostu świetne! – powiedział Bill z uśmiechem.

– Taaak – mruknął Ben. – Chyba czas najwyższy, żeby coś przekąsić.

4

Siedzieli na brzegu i jedli, nie rozmawiając wiele i patrząc na wodę zbierającą się za tamą i przepływającą wokół krawędzi desek. Eddie zobaczył, że udało się im już zmienić nieznacznie geografię brzegów strumienia – odwrócony prąd rzeczny zaatakował je ze sporą siłą. Na jego oczach strumień płynący nowym nurtem uderzył w nabrzeże, powodując niewielką lawinę.

Przy tamie w górze strumienia uformował się nieregularny, okrągły basen, a w jednym miejscu woda przelewała się nad krawędzią wału. Jasne, odbijające strumyczki spływały w trawę i znikały pomiędzy krzewami. Eddie powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że Ben wiedział o tym od początku – tama była już zbudowana.

Szczeliny pomiędzy deskami i krawędzie wału stały się przepustami śluzy. Ben nie mógł tego powiedzieć Eddiemu, bo po prostu nie znał tego słowa. Nad deskami Kenduskeag nabrzmiewał jak rosnący pęcherz. Szepczący odgłos płytkiej wody przepływającej po kamieniach i żwirze umilkł – wszystkie kamienie znajdowały się teraz pod wodą. Co jakiś czas kawałki gliny i ziemi porywane przez nurt rozszerzającego się strumienia wpadały z pluskiem do wody.

W dolnym nurcie strumienia prawie nie było już wody – cienkie strumyczki płynęły środkiem koryta, ale to wszystko. Kamienie, które leżały pod wodą Bóg wie jak długo, schły na słońcu. Eddie przyglądał się im ze zdumieniem… i czymś jeszcze. To było to nienazwane uczucie. Dokonali tego. Oni. Zobaczył skaczącą żabę i pomyślał, że najprawdopodobniej stary Pan Ropuch zastanawiał się, gdzie się podziała woda. Roześmiał się w głos.

Ben starannie składał puste opakowania do przyniesionej torby śniadaniowej. Zarówno Eddie, jak i Bill byli zaskoczeni ilością prowiantu, który Ben skrupulatnie wypakował – dwie kanapki z szynką, kanapka z kiełbasą, jajko na twardo (ze szczyptą soli w małym zawiniętym kawałku nawoskowanego papieru), dwa batony bakaliowe, trzy ciasteczka czekoladowe i ringding.

– Co powiedziała twoja mama, kiedy wróciłeś tak poharatany do domu? – spytał go Eddie.

– Hm! – Ben uniósł wzrok od rozszerzającego się strumienia wody poza tamą i zasłaniając usta ręką, czknął delikatnie. – Och! Wiedziałem, że wczoraj po południu mama pójdzie na zakupy, i wróciłem do domu przed nią. Wykąpałem się, umyłem głowę. Potem wyrzuciłem dżinsy i podartą bluzę. Nie wiem, czy zauważyła ich brak, czy też nie. Co do bluzy, sądzę, że nie. Mam ich parę, ale myślę, że powinienem sobie kupić nowe dżinsy, zanim zacznie mi przeszukiwać szuflady. – Myśl o wydaniu pieniędzy na coś tak nieistotnego zasępiła na moment Bena.

– A s-s-siniaki?

– Powiedziałem jej, że wybiegając ze szkoły, spadłem ze schodów – odparł Ben, a kiedy Eddie i Bill skwitowali to śmiechem, na twarzy Bena

pojawił się grymas zakłopotania i smutku. Bill, który właśnie zaczął się dławić kawałkiem ciasta, bryznął na wszystkie strony strumieniem brązowych okruchów, a potem dostał gwałtownego ataku kaszlu. Eddie, wciąż wyjąc, klepnął go w plecy. – Istotnie, o mały włos nie spadłem ze schodów – powiedział Ben. – Ale nie dlatego, że wybiegłem jak wariat ze szkoły, tylko dlatego, że popchnął mnie Victor Criss.

– W t-t-takiej bluzie b-byłbym m-m-mokry jak szczur – rzucił Bill, zjadając ostatni kawałek ciasta.

Ben się zawahał. Przez chwilę wydawało się, że nic nie powie.

– Kiedy jesteś gruby, takie bluzy są o wiele lepsze – rzekł w końcu. – Znaczy się dresy.

– Z uwagi na twój brzuch? – spytał Eddie.

Bill prychnął.

– Z powodu t-t-twoich c-c-c…

– Tak. Moich cyców. No i co z tego?

– Tak – zakończył łagodnie Bill. – N-n-no i c-co?

Nastała chwila niezręcznej ciszy, aż w końcu Eddie rzucił:

– Spójrzcie, jaka woda robi się ciemna, kiedy opływa brzegi tamy.

– Rany! – Ben poderwał się z ziemi. – Woda wypłukuje zaprawę! Jezu! Tak chciałbym mieć cement!

Uszkodzenie zostało szybko naprawione, ale nawet Eddie zdawał sobie sprawę, co się stanie, jeśli nie będzie się stale dosypywać świeżej porcji żwiru pomiędzy deski. Erozja wreszcie spowoduje, że górna z desek spadnie na dolną i cała konstrukcja się zawali.

– Moglibyśmy podeprzeć boki – powiedział Ben. – To nie powstrzyma erozji, ale chociaż ją spowolni.

– Czy jeśli użyjemy piasku i mułu, to woda tego nie zmyje? – spytał Eddie.

– Użyjemy kawałków darni.

Bill skinął głową i złączył kciuk z palcem wskazującym prawej ręki w charakterystycznym geście.

– R-r-ruszajmy. J-j-ja będę k-k-kopał, a t-ty p-pokażesz mi, g-gdzie mam je w-wtykać, Big Ben.

Z tyłu za ich plecami rozległ się nagle radosny głos.

– Mój Booooże, nie wiedziałem, że strumień w Barrens ma odnogi! Raany kota!

Eddie odwrócił się, zauważywszy, że na dźwięk dziwnego głosu Ben gwałtownie zesztywniał, a jego usta zmieniły się w wąską

kreskę. Nad nimi, nieco z boku, na ścieżce stali Richie Tozier i Stan Uris. Richie zbiegł do strumienia, spojrzawszy z wyraźnym zaciekawieniem na Bena, a potem uszczypnął Eddiego w policzek.

– Nie rób tego! Nie cierpię, kiedy tak robisz, Richie.

– Uwielbiasz to, Eds – powiedział Richie i uśmiechnął się do niego. – No i co mi jeszcze powiesz? Chichrałeś się dzisiaj, Eds?

5

Cała piątka skończyła pracę około czwartej. Siedzieli dużo wyżej na brzegu – miejsce, gdzie Bill, Ben i Eddie jedli lunch, znalazło się teraz pod wodą – i patrzyli na swoje dzieło. Nawet Benowi było trudno w to uwierzyć. Zmęczenie mieszało się w nim z niepewnością i niepokojem.

Myślał o filmie *Fantazja* i o Myszce Miki… jak udało jej się zmusić miotły do ruszenia w tan, a potem nie potrafiła ich powstrzymać.

– To jest, kurwa, niewiarygodne – powiedział cicho Richie Tozier i nałożył okulary.

Eddie spojrzał na niego, ale Richie nie robił teraz żadnego ze swoich numerów – był zamyślony, prawie poważny.

Na dalekim końcu strumienia, gdzie ziemia najpierw unosiła się, a potem opadała dość stromo, stworzyli pasmo nowych błot.

Paprocie i ostrokrzewy stały w wodzie głębokiej na stopę. Nawet siedząc na brzegu, chłopcy widzieli błoto wysyłające świeże niby-nóżki rozprzestrzeniające się miarowo na zachód. Za tamą Kenduskeag, płytki i niegroźny tego ranka, stał się leniwym, niemal nieruchomym pasemkiem wody.

Około drugiej poszerzająca się sadzawka za tamą spowodowała tak poważną erozję brzegu, że przecieki płynące bokami tamy stały się sporymi strumieniami.

Wszyscy prócz Bena udali się na wyprawę na wysypisko śmieci w poszukiwaniu kolejnej partii potrzebnych materiałów. Ben pozostał na miejscu i metodycznie zalepiał dziury. Poszukiwacze powrócili nie tylko z deskami, ale i czterema łysymi oponami, zardzewiałymi drzwiczkami hudsona horneta rocznik ’49 i sporym kawałkiem blachy falistej. Pod kierunkiem Bena dorobili boki do tamy, ponownie blokując odpływ wody, a ponieważ skrzydła ustawione zostały pod kątem do prądu rzeki, tama działała teraz jeszcze lepiej.

– Zatrzymałeś to na cacy – powiedział Richie. – Jesteś geniuszem, stary.

Ben się uśmiechnął.

– Skądże.

– Mam parę winstonów – zaproponował Richie. – Kto chce jednego?

Wyjął z kieszeni spodni pomiętą biało-czerwoną paczkę i puścił ją w obieg. Eddie, obawiając się, że papieros przyprawiłby go o potworny atak astmy, odmówił. Stan również. Bill wziął jednego po chwili namysłu, podobnie jak Ben. Richie wyjął pudełko zapałek z napisem „Roi-Tan" na wierzchu i najpierw przypalił Benowi, a potem Billowi.

Miał już przypalić sobie, kiedy Bill zgasił zapałkę dmuchnięciem.

– Wielkie dzięki, Denbrough, ty palancie – rzekł Richie. Bill uśmiechnął się przepraszająco.

– T-t-trzy na j-j-jedną – powiedział – t-t-to za d-d-dużo. P-p-pechowo.

– Pecha to mieli twoi starzy, że cię spłodzili – skomentował Richie i zapalił swego papierosa kolejną zapałką. Wyciągnął się na ziemi i ułożył ręce pod głową. Papieros sterczał mu pionowo spomiędzy zębów.

– Winstony smakują jak każdy prawdziwy papieros. – Odwrócił nieznacznie głowę

i mrugnął do Eddiego. – No nie, Eds?

Eddie zauważył, że Ben patrzył na Richiego z mieszaniną niepokoju i ostrożności. Eddie dobrze to rozumiał. Znał Richiego Toziera od czterech lat, ale dotąd nie udało mu się go rozgryźć. Wiedział, że Richie dostawał w szkole czwórki i piątki, ale zachowanie miał tylko poprawne. Ojciec zawsze się go o to czepiał, a matka płakała, kiedy Richie przynosił do domu marniutkie oceny, i choć zwykle przyrzekał, że się poprawi, nigdy nie trwało to dłużej niż pół semestru.

Kłopoty z Richiem polegały na tym, że nie potrafił usiedzieć spokojnie dłużej niż minutę i miał absolutnie niewyparzoną gębę. Tu w Barrens nie miał z tego powodu większych problemów, ale Barrens nie było Nibylandią, a oni nie będą Dzikimi Chłopcami dłużej niż przez kilka godzin (perspektywa bycia Dzikim Chłopcem z aspiratorem w tylnej kieszeni spodni sprawiła, że Eddie mimo woli się uśmiechnął).

Najgorsze w Barrens wydawało się to, że kiedyś trzeba je opuścić.

Powrót do zewnętrznego świata oznaczał dla Richiego kolejną porcję kłopotów i zatargów – z rodzicami, nic niespecjalnie przyjemnego,

i z chłopakami takimi jak Henry Bowers, co było jeszcze gorsze.

Jego wcześniejsze wejście stanowiło doskonały tego przykład. Ben Hanscom nie zdążył nawet powiedzieć „cześć”, kiedy Richie upadł przed nim na kolana. Potem, z rozłożonymi szeroko rękoma, zaczął bić przed nim pokłony. Za każdym razem jego dłonie, uderzając w błoto, wydawały głośny plusk. Jednocześnie Richie zaczął mówić jednym z głosów.

Richie dysponował prawie tuzinem różnych głosów. Jego ambicją – o czym powiedział Eddiemu któregoś deszczowego popołudnia, kiedy znajdowali się w maleńkim pokoiku nad garażem Kaspbraków i czytali komiksy o Małej Lulu – było stać się największym na świecie brzuchomówcą. Twierdził, że będzie lepszy od Edgara Bergena i co tydzień będzie gościem w programie Eda Sullivana. Eddie podziwiał za to Richiego, ale potrafił przewidzieć wiążące się z tym problemy.

Po pierwsze, każdy z głosów Richiego za bardzo przypominał jego własny. Nie żeby Richie od czasu do czasu nie potrafił być zabawny – wręcz przeciwnie. Co się tyczy przekręceń słów i głośnych bąków, Richie określał je jednym

terminem: ulżenie sobie. Pech chciał, że robił to zbyt często i zwykle w niewłaściwym towarzystwie. Po drugie, kiedy Richie zmieniał się w brzuchomówcę, jego usta poruszały się wyraźnie. I to nie tylko przy „p” i „b”, ale przy całych wyrazach. Po trzecie, kiedy Richie przerzucał się na jeden z głosów, zwykle nie posuwał się zbyt daleko. Jednak większość jego przyjaciół była zbyt uprzejma – albo rozbawiona obezwładniającym, a niekiedy dość wyczerpującym urokiem Richiego – aby wytknąć mu poważne uchybienia.

Bijąc szaleńczo pokłony przed zaskoczonym i zakłopotanym Benem Hanscomem, Richie zaczął mówić głosem – jak go sam nazywał – Czarnucha Jima.

– Dopłaszam siem łaski, to przecież być Haystack Calhoun! – wrzasnął Richie. – Niech pan na mie nie upada, misteł Haystack! Łozgniótłby mie pan na placek! Łaski, panie, łaski, panie! Czysta funtów żywego miensa, łosiemdziesiunt łosiem cali od cyca do cyca, Haystack czuć jak stare panterze łajno! Złobiłem szystko, panie! Tylko nie padaj se na biednego małego czałnego chłopca, płoszę!

– Nie przejmuj się – powiedział Bill. – To t-t-tylko R-r-richie. To wariat.

Richie poderwał się z ziemi.

– Słyszałem, Denbrough. Lepiej daj mi spokój albo poszczuję na ciebie Haystacka.

– N-n-najlepsza część c-c-ciebie spłynęła t-twojemu ojcu p-p-po n-nodze – powiedział Bill.

– To prawda – zgodził się Richie. – Ale zobacz, ile dobrego jeszcze zostało. Sie masz, Haystack! Richie Tozier się nazywam, do zabawy się wyrywam. – Wyciągnął rękę.

Ben, wyraźnie speszony, wolno wysunął swoją. Richie cofnął rękę. Ben zamrugał. Chwilę później Richie uścisnął mu dłoń.

– Gdyby cię to interesowało, nazywam się Ben Hanscom – oznajmił Ben.

– Widywałem cię w szkole. – Przejechał ręką po rozlewającej się obok kałuży. – To musiał być twój pomysł. Tych mokrych końców nie przypaliłbyś teraz nawet miotaczem płomieni.

– Mów za siebie, Richie – rzekł Eddie.

– Co? Chcesz powiedzieć, że to był twój pomysł, Eds? Jezu. Przepraszam. – Upadł na twarz przed Eddiem i znowu zaczął bić pokłony.

– Wstawaj. Ochlapujesz mnie błotem! – krzyknął Eddie.

Richie po raz drugi poderwał się z ziemi i uszczypnął Eddiego w policzek.

– Śliczne, śliczne, śliczne! – wykrzyknął.

– Przestań, nie cierpię tego!

– Wyluzuj, Eds. Kto zbudował tamę?

– B-B-Ben nam p-p-pokazał – wyjaśnił Bill.

– Nieźle. – Richie odwrócił się i odkrył stojącego za nim Stanleya Urisa. Stan z rękoma w kieszeniach przypatrywał się popisowi Richiego. – A to Stan Man Uris – zwrócił się do Bena Richie. – Stan jest Żydem. A zatem zabił Chrystusa. W każdym razie tak mi mówił Victor Criss któregoś dnia. Od tej pory jestem po stronie Stana. Domyślam się, że skoro jest tak stary, to mógłby nam kupić parę piw, no nie, Stan?

– Myślę, że to musiał być mój ojciec – powiedział Stan cichym, łagodnym głosem, co sprawiło, że wszyscy łącznie z Benem wybuchnęli śmiechem.

Eddie śmiał się tak długo, aż zaczął się krztusić i z oczu popłynęły mu łzy.

– Świetna sprawa! – zawył Richie, krążąc w kółko z uniesioną ręką jak sędzia przyznający kolejny punkt w meczu. – Stan Man ulżył sobie! To naprawdę Wielka Chwiiiiiila!

– Cześć – powiedział Stan do Bena i zdawało się, że w ogóle nie zauważa Richiego.

– Cześć – odrzekł Ben. – Chodziliśmy razem do drugiej klasy. To ty byłeś tym dzieciakiem, który…

– …nigdy nic nie mówił – dokończył Stan, uśmiechając się pod nosem.

– Fakt.

– Stan nigdy nic nie mówi, nawet z pełną gębą – rzekł Richie – co mu się często zdarza.

– Z-zamknij się, R-r-richie – rzucił ostro Bill.

– Dobra, ale najpierw muszę wam jeszcze coś powiedzieć, choć szczerze mówiąc, nie chcę. Myślę, że tracicie waszą tamę. Dolinie grozi zalanie, chłopaki. Ratujcie przede wszystkim kobiety i dzieci.

I nie zadając sobie trudu, by podwinąć spodnie czy chociaż zdjąć trampki, Richie wskoczył do wody i zaczął wrzucać grudy mułu i ziemi na boczną ścianę tamy, gdzie uparta woda zaczęła się przedzierać wąziutkimi błotnistymi strumyczkami.

Jeden z łuków jego okularów był sklejony kawałkiem lekarskiego przylepca; zwisający luźno pasek plastra ocierał się o policzek Richiego, kiedy chłopiec zabrał się do pracy.

Bill zauważył spojrzenie Eddiego, uśmiechnął się lekko i wzruszył ramionami. Taki właśnie był Richie. Czasami potrafił doprowadzić człowieka do pasji – ale w sumie dobrze było mieć go w pobliżu. Pracowali przy tamie jeszcze około godziny. Richie wysłuchiwał poleceń Bena –

który mając dwójkę nowych podkomendnych, ponownie zaczął tracić rezon – z pełnym skupieniem i wypełniał je w gorączkowym pośpiechu. Kiedy każda z jego misji dobiegała końca, wracał do Bena po dalsze rozkazy, salutował służbiście i strzelał przemoczonymi trampkami. Co jakiś czas przemawiał do pozostałych jednym ze swoich głosów: niemieckiego dowódcy, angielskiego służącego Toodlesa, senatora z południa (który brzmiał trochę jak Kurak Leghorn i który z czasem zmieni się w postać Buforda Kissdrivela), narratora MovieTone Newsreel.

Robota nie posuwała się naprzód, ale po prostu parła jak burza. Kiedy w końcu, około piątej, ponownie przysiedli na brzegu strumienia, okazało się, że to, co powiedział Richie, było prawdą. Zatrzymali wodę na dobre. Drzwiczki samochodu, kawałek blachy falistej i stare opony stały się drugą warstwą tamy i zostały wzmocnione sporą porcją ziemi i kamieni, dochodzącą do spadzistego brzegu kanału. Bill, Ben i Richie palili; Stan leżał na plecach. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że wpatrywał się w niebo, ale Eddie wiedział lepiej. Stan patrzył na drzewa po drugiej stronie strumienia w poszukiwaniu ptaków, które

wieczorem mógłby wpisać do swojego ptasiego notatnika.

Eddie z kolei siedział na brzegu ze skrzyżowanymi nogami, czując przyjemne zmęczenie i zadowolenie. Było po prostu świetnie. Tamci chłopcy wydawali mu się wspaniałymi kumplami. Razem czuli się wyśmienicie. Pasowali do siebie i uzupełniali nawzajem swoje braki. Nie potrafił sobie tego lepiej wyjaśnić, a ponieważ w zasadzie żadne wyjaśnienia nie były tu potrzebne, uznał, że jest dobrze tak, jak jest. Spojrzał na Bena trzymającego niezdarnie w palcach na wpół wypalonego papierosa i spluwającego raz po raz na ziemię; wyglądało na to, że nie przepadał za tym smakiem. Podczas gdy Eddie się przyglądał, Ben zgasił papierosa i ukrył go w trawie, następnie uniósł wzrok, zobaczył, że Eddie patrzył na niego, i spuścił oczy zakłopotany.

Eddie spojrzał na Billa i dostrzegł w jego twarzy coś, co nie przypadło mu do gustu. Bill patrzył w poprzek strumienia na drzewa i krzewy po drugiej stronie, a jego oczy przepełniało zamyślenie. Znowu się czymś zamartwiał. Eddie pomyślał, że Bill wygląda prawie jak nawiedzony. Jakby czytając w jego myślach, Bill obejrzał się na niego. Eddie

uśmiechnął się, ale Bill nie odpowiedział mu tym samym.

Zgasił papierosa i powiódł wzrokiem po pozostałych. Nawet Richie pogrążył się we własnych myślach, co było mniej więcej tak samo rzadkie jak możliwość zobaczenia drugiej strony Księżyca.

Eddie wiedział, że Bill nieczęsto mówił coś ważnego, chyba że było cicho jak makiem zasiał, bo miał straszne trudności z wysławianiem się. I nagle zapragnął coś rzucić albo żeby Richie zaczął przemawiać jednym ze swoich głosów. Ogarnęło go niezbite przekonanie, że kiedy Bill otworzy usta, powie coś strasznego, coś, co zmieni to wszystko.

Eddie automatycznie sięgnął po swój aspirator, wyjął go z tylnej kieszeni i trzymał w ręce. Zrobił to, wcale o tym nie myśląc.

– M-m-mogę c-c-coś p-p-powiedzieć? – spytał Bill.

Spojrzeli na niego. Rzuć jakiś żart, Richie! – pomyślał Eddie. Rzuć jakiś żart, załatw go, obraź, cokolwiek, tylko spraw, żeby zamknął dziób na kłódkę, cokolwiek to jest. Nie chcę tego usłyszeć, nie chcę, żeby cokolwiek się zmieniło, nie chcę być przerażony. Szepczący, drżący głos w jego umyśle powiedział: „Zrobię ci to za dziesięć

centów”. Eddie wzdrygnął się, próbując zagłuszyć ten głos i obraz, jaki wraz z nim pojawił się w jego umyśle: dom przy Neibolt Street, trawnik przed domem, porośnięty chwastami i gigantyczne słoneczniki w niepielęgnowanym ogrodzie, po jednej stronie.

– Jasne, Wielki Billu – rzekł Richie. – Co jest grane?

Bill otworzył usta (co ponownie zaniepokoiło Eddiego), zamknął je (Eddie był mu za to niezmiernie wdzięczny), a potem znów je otworzył (kolejna porcja lęku).

– J-j-jak się b-b-będziecie śmiać, t-t-to n-n-nigdy już n-nie b-będę się z w-w-wami b-b-bawił – rzekł Bill. – T-t-to szalone, ale p-przysięgam, że s-sobie tego n-nie w-w-wymyśliłem, to szczera p-p-prawda.

– Nie będziemy się śmiać – powiedział Ben. Spojrzał na pozostałych. – No nie?

Stan pokręcił głową. Richie też. Eddie chciał powiedzieć: Tak, Bill, będziemy. Będziemy się śmiać do rozpuku i nazywać cię skończonym durniem, czemu więc się nie zamkniesz, co?

Rzecz jasna, nie powiedział tego na głos. To był przecież Wielki Bill. Pokręcił smutno głową. Nie. Nie będzie się śmiał. Nigdy dotąd nie był tak ponury jak teraz.

Siedzieli nad tamą, którą wykonali według zaleceń Bena, popatrując to na Billa, to na wodę za tamą i z powrotem na Billa, i słuchali, jak opowiadał im o tym, co się stało, kiedy otworzył album z fotografiami George'a – o tym, jak George na zdjęciu odwrócił głowę i mrugnął do niego, jak album zaczął ociekać krwią, kiedy cisnął nim przez pokój.

To był długi, bolesny monolog i Bill, zanim skończył, był cały spocony i czerwony na twarzy. Eddie nigdy dotąd nie słyszał, żeby Bill tak się jąkał.

Wreszcie opowieść dobiegła końca. Bill spojrzał na pozostałych wyzywająco, a jednocześnie z niepokojem. Eddie zobaczył na twarzach Bena, Richiego i Stana czyste przerażenie. Ani cienia niedowierzania. Miał ochotę zerwać się na równe nogi i wrzasnąć: Cóż za szalona historia! Chyba nie wierzysz w te bzdury, a jeżeli nawet, to my w nią nie wierzymy, wiesz? Zdjęcia nie mogą mrugać, albumy nie mogą krwawić! Chyba ci odbiło, Bill!

Ale nie powiedział tego, bo wyraz strachu widniał również i na jego obliczu. Czuł to doskonale. „Wracaj tu, dzieciaku! – usłyszał ochrypły głos. – Zrobię ci za darmo. Wróć"! Nie,

w głowie Eddiego rozległ się jęk. Proszę, odejdź. Nie chcę o tym myśleć.

„Wróć tu, mały”.

I nagle Eddie zobaczył coś jeszcze – nie na twarzy Richiego, ale z całą pewnością u Stana i Bena. Wiedział, czym było owo coś, bo ten sam grymas pojawił się również i na jego twarzy.

Rozpoznanie.

„Zrobię ci za darmo”.

Dom przy Neibolt Street 29 znajdował się za przecinającym Derry torowiskiem. Był stary i zabity dechami, jego weranda stopniowo pogrążała się w ziemi, trawnik przed domem na dobre zarósł chwastami. Stary trójkołowy rower, przewrócony i przerdzewiały, leżał ukryty w wysokiej trawie – jedno koło sterczało pod kątem w górę. Ale po lewej stronie werandy na trawniku widniał spory łysy placek i bez trudu mogłeś dostrzec brudne okna piwnicy usytuowane w rozsypujących się ceglanych fundamentach domu.

To właśnie w jednym z tych okien Eddie zobaczył po raz pierwszy twarz trędowatego sześć tygodni temu.

6

W soboty, kiedy Eddie nie miał się z kim bawić, szedł zwykle na torowisko. Bez powodu – po prostu lubił tam przychodzić. Jechał rowerem wzdłuż Witcham Street, a potem skręcał na północny zachód w Route 2. Jakąś milę dalej na rogu Route 2 i Witcham stał budynek szkoły wyznaniowej przy Neibolt Street. Był drewniany i miał olbrzymi krzyż na szczycie i słowa: „Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie”, wypisane złoconymi literami nad frontowymi drzwiami.

Czasami, w soboty, Eddie słyszał dochodzącą ze środka muzykę i śpiewy. To była muzyka gospel, ale pianista, kimkolwiek był, miał w sobie więcej z Jerry’ego Lee Lewisa niż z przeciętnego organisty.

Śpiew, zdaniem Eddiego, nie brzmiał zbyt religijnie, choć w tekstach znajdowały się fragmenty o „wspaniałym Syjonie”, „obmyciu we krwi Baranka” i „przyjacielu, jakiego mamy w Jezusie”.

Eddie uważał, że śpiewający zbyt dobrze się bawili jak na osoby, które miały być pogrążone w religijnych medytacjach. Mimo wszystko lubił te dźwięki – tak samo jak lubił słuchać Jerry’ego Lee ryczącego *Whole Lotta Shakin, Goin’ On*. Czasami przystawał na chwilę po drugiej stronie

ulicy, opierał rower o drzewo i udając, że czyta, wsłuchiwał się w dźwięki muzyki.

W inne soboty szkoła była zamknięta i milcząca, a wtedy, nie zatrzymując się nigdzie po drodze, jechał na torowisko, aż do końca Neibolt Street, czyli do parkingu pokrytego chwastami wyrastającymi ze szczelin w asfalcie. Opierał wówczas rower o drewniane ogrodzenie i patrzył na przejeżdżające pociągi. W soboty było ich sporo. Matka powiedziała mu, że w dawnych czasach na stacji przy Neibolt Street zatrzymywał się osobowy GS&WM, ale pociągi już tam nie przystają od momentu rozpoczęcia wojny koreańskiej.

– Gdybyś wsiadł do takiego pociągu jadącego na północ, dotarłbyś do stacji Brownsville – powiedziała. – A z Brownsville mógłbyś złapać pociąg dokądkolwiek, nawet do Kanady, gdybyś chciał, albo na wybrzeże Pacyfiku. Pociąg na południe dowiózłby cię do Portlandu, a stamtąd do Bostonu, skąd mógłbyś już dotrzeć wszędzie. Ale wydaje mi się, że obecnie linie pociągów osobowych zaczynają podzielać los tramwajów. Nikt już nie chce jeździć pociągami, kiedy może po prostu wskoczyć do swego forda i wyruszyć w drogę. Kto wie, może nigdy nie będziesz miał okazji przejechać się pociągiem.

Jednak długie, majestatyczne pociągi towarowe wciąż przejeżdżały przez Derry. Sunęły na południe, załadowane masą drzewną, papierem i ziemniakami, a gotowe wyroby jechały na północ, do miast okręgu, który ludzie z Maine nazywają niekiedy Big Northern, czyli Bangor, Millinocket, Machias, Presque Isle czy Houlton. Eddie najbardziej lubił patrzeć na jadące na północ wagony do przewozu samochodów, z ich ładunkiem lśniących fordów i chevroletów. Któregoś dnia też będę miał taki wóz, przyrzekał sobie. Taki jak jeden z tych. Albo może i lepszy. Kto wie, może to nawet będzie cadillac!

Pajęczą krzyżówkę torów przypominających sieć schodzącą się ku środkowi tworzyło sześć tras kolejowych. Bangor i Great Northern Lines z północy, Great Southern i Western Maine z zachodu, Boston i Maine z południa, a Southern Seacoast ze wschodu.

Dwa dni temu, kiedy Eddie stał w pobliżu toru tej ostatniej linii i patrzył na przejeżdżające pociągi, pijany kolejarz rzucił w niego skrzynią wyciągniętą z jednego z wagonów. Eddie uchylił się i odskoczył w tył, choć skrzynia wylądowała na asfalcie dziesięć stóp od niego. W skrzyni coś

było, coś żywego; coś, co poruszało się i szczękało donośnie.

– Ostatnia podróż, chłopcze! – wykrzyknął pijany kolejarz. Wyjął z jednej z kieszeni bluzy płaską brązową buteleczkę, odkorkował ją, opróżnił, a potem cisnął na asfalt, gdzie roztrzaskała się w drobny mak. Kolejarz wskazał na skrzynię. – Zabierz je do domu, do mamy! Z pozdrowieniami od pierdolonej Southern-Seacoast-która-ma-wam-wszystkim-ułatwić-życie! – Wychylił się do przodu, aby wykrzyczeć ostatnie słowa, podczas gdy pociąg sunął cały czas przed siebie, i Eddie przez chwilę miał wrażenie, że kolejarz wypadnie z wagonu.

Kiedy pociąg odjechał, Eddie podszedł do skrzyni i pochylił się nad nią ostrożnie. Bał się podejść zbyt blisko. Wewnątrz znajdowały się jakieś pełzające i oślizgłe stworzenia. Gdyby kolejarz krzyknął, że to dla niego, Eddie zostawiłby skrzynię tam, gdzie upadła. Ale ten człowiek powiedział, że ma ją zabrać do domu, do mamy, a u Eddiego, tak jak u Bena, słowo „mama” oznaczało coś w rodzaju hasła.

Z jednego z magazynów podwędził kawałek sznurka i przywiązał skrzynkę do bagażnika roweru. Matka zajrzała do wnętrza skrzyni z jeszcze większą ostrożnością niż Eddie, a potem

wrzasnęła głośno – ale był to okrzyk radości, a nie strachu. W środku znajdowały się cztery homary, wielkie, ważące po dwa funty każdy, z długimi szczękającymi szczypcami. Ugotowała je na kolację i była bardzo zagniewana na Eddiego, że nawet nie chciał skosztować.

– A jak myślisz, co dziś wieczorem pałaszują Rockefellerowie w swoim domu w Bar Harbor? – spytała z naciskiem. – Jak myślisz, co jadają bogacze z Nowego Jorku. Kanapki z masłem orzechowym i galaretką? Jedzą homary, Eddie, tak samo jak my! No, proszę, spróbuj.

Ale Eddie nie chciał spróbować – a w każdym razie tak to określiła jego matka, choć Eddie bardziej nie mógł, niż nie chciał spróbować choćby kawałka homara. Bez przerwy widział w myślach, jak pełzały wewnątrz skrzyni, i słyszał klekot ich szczypiec. Matka przez cały czas mówiła mu, jakie były wspaniałe i jakie delicje go ominęły, aż wreszcie tak się zaczął dusić, że musiał skorzystać z aspiratora.

Potem zostawiła go samego. Eddie wrócił do swojej sypialni i czytał. Jego matka zadzwoniła do przyjaciółki, Eleanor Dunton, żeby przyjechała, a potem obie przeglądały stare wydania „Photo-play” i „Screen Secrets”, chichocząc nad artykułami z rubryki plotek

i zajadając się sałatką z homara na zimno. Kiedy następnego ranka Eddie wstał do szkoły, matka wciąż jeszcze była w łóżku, chrapiąc i raz po raz puszczając bąka, który to odgłos przypominał dźwięk trąbki (Richie powiedziałby, że sobie folgowała).

W miseczce, gdzie były homary, nie zostało nic prócz paru drobniutkich kropel majonezu.

To był ostatni pociąg linii Sourthern Seacoast, jaki Eddie kiedykolwiek zobaczył, a gdy któregoś dnia spotkał pana Braddocka, pracownika kolei z Derry, spytał go nieśmiało, co się stało.

– Kompania padła – wyjaśnił pan Braddock. – To wszystko. Nie czytasz gazet? Tak dzieje się w całym kraju. A teraz spadaj stąd. To nie miejsce dla dzieciaków.

Po tym zdarzeniu Eddie przechadzał się czasami wzdłuż toru numer 4 linii Southern Seacoast i nasłuchiwał, jak wewnątrz jego głowy jakiś głos wymieniał monotonnie kolejne nazwy miast znajdujących się wzdłuż linii kolejowej – te nazwy miały jakąś magiczną moc – Camden, Rockland, Bar Harbor (wymawiane jako Baa Haabaa), Wiscasset, Bath, Portland, Ogunquit, Berwicks. Szedł szlakiem na wschód dopóty, dopóki się nie zmęczył, a chwasty rosnące

pomiędzy szynami wprawiały go w posępny nastrój.

Któregoś razu uniósł wzrok i zobaczył mewy kołujące nad jego głową i wrzeszczące jak szalone, tak że zaczęło mu się zbierać na płacz. Przy wejściu na torowisko niegdyś znajdowała się brama, ale podczas jakiejś burzy została rozwalona i nikt nie zadał sobie trudu, by ją naprawić. Eddie mógł tu przychodzić, kiedy mu się żywnie podobało, choć pan Braddock wyrzucał go (podobnie jak każdego innego dzieciaka), kiedy go tylko zauważył.

Czasami kierowcy ciężarówek rzucali się za tobą w pogoń (ale niezbyt daleko), bo przypuszczali, że przychodziłeś tu, aby coś podwędzić, i niejednokrotnie mieli rację. Jednak zazwyczaj było tu bardzo spokojnie. Budka strażnika stała pusta, a jej szyby powybijano już dawno kamieniami. Od około 1950 roku miejsca tego nie pilnowano jak niegdyś, dwadzieścia cztery godziny na dobę. W dzień dzieciaki przeganiał pan Braddock, a nocą cztery czy pięć razy przejeżdżał tędy strażnik w starym studebakerze zaopatrzonym w zewnętrzny reflektor, i to wszystko. Czasami jednak pojawiali się tam włóczędzy i bezdomni. Jeżeli cokolwiek, co miało związek z torowiskiem, przerażało

Eddiego, to właśnie oni – mężczyźni o twarzach pokrytych niegolonym zarostem, z pęcherzami na rękach i spierzchniętymi wargami. Przybywali znikąd, spędzali jakiś czas w Derry, a potem udawali się w dalszą drogę. Czasami byli okaleczeni – brakowało im palców. Zwykle byli pijani i dopytywali się, czy masz papierosy. Któregoś dnia jeden z tych typów wypełzł spod werandy domu przy Neibolt Street 29 i zaproponował Eddiemu, że zrobi mu dobrze za dwadzieścia pięć centów. Eddie cofnął się, jego skóra zmieniła się w lód; w ustach czuł drażniącą suchość.

– Nie mam ćwiartki – rzekł Eddie, wracając do swego roweru.

– Zrobię to za dychę – skrzeknął włóczęga, podchodząc do niego. Miał na sobie zielone flanelowe spodnie. Na jego podołku zastygła żółta plama rzygowin. Rozpiął rozporek i sięgnął do środka. Próbował się uśmiechnąć. Jego nos był czerwonym koszmarem.

– Nie… nie mam też dychy – rzekł Eddie i nagle pomyślał: O Boże, on jest trędowaty! Jeżeli mnie dotknie, ja też się zarażę! Stracił nad sobą panowanie i zerwał się do ucieczki. Usłyszał za sobą szuranie, kiedy włóczęga, powłócząc nogami, ruszył jego śladem. Stare, powiązane

sznurkami łapcie mężczyzny klekotały i szurały na trawniku przed opuszczonym budynkiem.

– Wróć tu, dzieciaku! Zrobię ci dobrze za darmo! Wróć tu!

Eddie wskoczył na rower, oddychając ciężko i czując, że jego krtań zaczyna się zaciskać do otworu o rozmiarach główki od szpilki. Miał wrażenie, jakby ktoś położył mu na piersiach olbrzymi ciężar. Nacisnął na pedały i zaczął już nabierać prędkości, kiedy jedna ręka włóczęgi uderzyła w bagażnik. Rower się zatrząsł. Eddie obejrzał się przez ramię i zobaczył, że włóczęga biegł tuż obok niego, na wysokości tylnego koła roweru (doganiał go!!!), a rozchylone wargi mężczyzny odsłoniły czarne pieńki zębów w grymasie, który mógł być zarówno wyrazem desperacji, jak i wściekłości.

Pomimo kamieni ciążących mu na piersi, Eddie pedałował jeszcze szybciej, obawiając się, że lada moment jedna z pokrytych strupami dłoni włóczęgi zaciśnie się na jego ramieniu, zrzuci go z roweru, a potem zaciągnie do rowu i Bóg jeden wie co z nim tam zrobi. Nie ośmielił się spojrzeć za siebie, dopóki nie minął szkoły wyznaniowej i nie przejechał przez skrzyżowanie z Route 2. Włóczęga zniknął.

Eddie dusił w sobie tę historię prawie przez tydzień i w końcu podzielił się nią z Richiem Tozierem i Billem Denbrough, gdy któregoś dnia czytali komiksy nad garażem.

– On nie miał trądu, ty durniu – rzekł Richie. – Miał syfa.

Eddie spojrzał na Billa, jakby chciał upewnić się, że Richie nie robił go w konia – nigdy dotąd nie słyszał, żeby ktoś cierpiał na chorobę zwaną syfonem. Brzmiało to tak, jakby Richie to zmyślił.

– Czy jest taka choroba syfon, Bill?

Bill ponuro pokiwał głową.

– T-t-tylko to się n-n-nazywa syf, a n-nie s-s-syfon. To s-skrót od syfilis.

– Co to takiego?

– Załapujesz, to od pieprzenia się – rzekł Richie. – Wiesz, co to znaczy pieprzyć, no nie, Eds?

– Pewno – odparł Eddie. Miał nadzieję, że się nie zaczerwienił.

Wiedział, że kiedy chłopak dorasta, z jego członka, gdy zesztywnieje, wypływa pewna substancja. Vincent Boogers Taliendo wyłożył mu to któregoś dnia, w szkole, na jednej z przerw. Zdaniem Boogersa, kiedy się pieprzyłeś, przyciskałeś swój członek do brzucha dziewczyny i robiłeś to do momentu, aż

stwardniał (znaczy się członek, a nie brzuch). Potem masowałeś go jeszcze bardziej, dopóki nie zacząłeś „tego odczuwać”. Kiedy Eddie zapytał, co to oznaczało, Boogers tylko tajemniczo pokręcił głową. Powiedział, że nie sposób tego opisać, ale jak to poczujesz – zapewnił – na pewno będziesz wiedział. Powiedział też, że mogłeś to praktykować, leżąc w wannie i nacierając członek mydłem (Eddie próbował tego, ale jedyne, co po tym odczuwał, to gwałtowną potrzebę oddania moczu).

– W każdym razie – ciągnął Boogers – po tym, jak zaczynasz „to czuć”, ta substancja wypływa z twojego członka. Większość dzieciaków nazywała ten proces „dojściem” – twierdził Boogers, ale jego starszy brat określił to bardziej naukowo jako „spuszczenie się”. – I kiedy zaczynasz „to czuć”, musisz szybko wycelować swój penis, tak by „spuścić się” dziewczynie do pępka. Potem ta substancja spływa do brzucha i z tego się robią dzieci.

– Czy dziewczyny to lubią? – spytał Boogersa Eddie. On sam był tym wszystkim raczej przerażony.

– Musi tak – odparł Boogers z tajemniczym wyrazem twarzy.

– A teraz posłuchaj, Eds – rzekł Richie – bo potem mogą zacząć się pytania. Czasami chorują na to kobiety. Mężczyźni niekiedy też, ale głównie kobiety. Facet może się tym zarazić od kobiety…

– Albo od innego f-f-faceta, jeżeli j-j-jest c-ciotą – dodał Bill.

– Racja. Najważniejsze jest to, że dostajesz syfa, rżnąc kogoś, kto już go ma.

– I co się wtedy dzieje? – zapytał Eddie.

– Zaczynasz gnić – rzekł po prostu Richie.

Eddie spojrzał na niego przerażony.

– Wiem, że to okropne, ale to prawda – ciągnął Richie. – Najpierw traci się nos. Niektórym facetom chorym na syfa nos najnormalniej w świecie odpada. Potem przychodzi kolej na kutasa.

– P-p-p-proszę – rzekł Bill. – Dopiero c-co j-j-jadłem.

– Hej, stary, to naukowy wykład – powiedział Richie.

– No ale jaka jest różnica pomiędzy trądem a syfem? – zapytał Eddie.

– Trądu nie załapuje się od pieprzenia – odparł Richie, a potem wybuchnął gwałtownym śmiechem, którego przyczyna pozostała zarówno dla Billa, jak i Eddiego tajemnicą.

7

Od tego dnia dom przy Neibolt Street zajął poczesne miejsce w wyobraźni Eddiego. Patrząc na ten zarośnięty trawnik, podupadłą werandę i okna zabite deskami, czuł ogarniającą go niezdrową fascynację. A sześć tygodni temu zaparkował swój rower na żwirowej powierzchni ulicy (chodnik kończył się cztery domy dalej) i przeszedł przez trawnik w stronę werandy tego domu.

Serce biło mu ciężko w piersi, a w ustach znów pojawił się ten suchy posmak – słuchając opowieści Billa o strasznym zdjęciu w albumie, wiedział, że zbliżając się do tego domu, czuł dokładnie to samo co Bill, kiedy wchodził do pokoju George'a. Miał wrażenie, jakby w ogóle się nie kontrolował. Jakby coś go popychało.

Zdawało się, że nogi Eddiego w ogóle się nie poruszają, miał wrażenie, że to raczej ów tajemniczy, spowity ciszą dom przesuwał się miarowo w jego stronę.

Słyszał dochodzące z torowiska odgłosy dieslowskich silników oraz płynne metaliczne trzaski łączonych wagonów. Lokomotywy manewrowe przetoczyły wagony i doczepiały do pozostałych. Tworzono pociąg.

Dłoń Eddiego sięgnęła po aspirator, ale, co dziwne, astma nie zaatakowała, tak jak tego dnia, kiedy uciekał przed włóczęgą z gnijącym nosem. W tej chwili odczuwał tylko to, że stoi nieruchomo, a dom bezszelestnie podjeżdża ku niemu, jakby sunął po ukrytym torze.

Eddie zajrzał pod werandę. Nikogo tam nie było. Wcale go to nie zdziwiło. Była wiosna, a włóczędzy pojawiali się w Derry najczęściej od końca września do początku listopada. W ciągu tych sześciu tygodni facet mógł znaleźć sobie robotę na którejś z farm, nawet jeżeli nie wyglądał przyzwoicie. Jabłka i ziemniaki czekały na pozbieranie, należało rozpiąć siatki ogrodzeń, a dachy niektórych obór i stodół domagały się połatania przed grudniem, kiedy to pojawiała się tu zwykle sroga, wietrzna i mroźna zima.

Pod werandą nie było włóczęgów, ale sporo śladów mówiło, że przebywali tu wcześniej. Puste puszki i butelki po piwie. Puste butelki po wódce. Brudny koc leżący pod ścianą jak zdechły pies. Znajdowało się tu też parę stronic gazet i jeden stary but, a nad wszystkim unosiła się woń śmieci. Można było również dostrzec spore sterty uschniętych liści.

Nie chciał tego robić, ale nie mając innego wyjścia, wczołgał się pod werandę. Kolejne

uderzenia serca aż mu tętniły w głowie, a przed oczyma zaczęły wirować białe plamki światła. Pod spodem odór był jeszcze gorszy – zapach alkoholu zmieszany z wonią potu i mrocznym, silnym aromatem gnijących liści. Stare liście nawet nie szeleściły pod dłońmi i kolanami. Zarówno on, jak i gazety tylko wzdychały cichutko.

Jestem włóczęgą, pomyślał nagle Eddie. Jestem włóczęgą i jeżdżę z miasta do miasta. To jest to, co robię. Nie mam forsy ani domu, ale mam flaszkę i dolara, i miejsce, gdzie mogę się kimnąć. W tym tygodniu zbieram jabłka, a w przyszłym ziemniaki. Kiedy mróz skuje ziemię i zamrozi ją jak oszczędności w banku, wsiądę do wagonu towarowego, przycupnę gdzieś w rogu, przykryję się słomą, jeśli tylko tam będzie, a potem sobie popiję, pojem i wcześniej czy później dojadę do Portlandu lub Beantown, i jeśli nie złapie mnie żaden pieprzony strażnik kolei, wskoczę do któregoś z wagonów ’Bama Star, aby pojechać na południe, i kiedy już tam trafię, załapię się do zbiorów cytryn, brzoskwiń albo pomarańczy. A jeśli będę miał taki kaprys, zatrudnię się przy budowie dróg, po których później będą jeździli turyści.

Do diabła, przecież robiłem to wcześniej, no nie? Jestem tylko samotnym, starym włóczęgą, nie mam forsy, nie mam domu, ale mimo wszystko coś mam; mam chorobę, która mnie zżera. Moja skóra pęka, zęby wypadają. I wiecie co? Czuję, że psuję się od środka jak gnijące jabłko, które robi się coraz bardziej miękkie. Czuję, że to się dzieje, że to zżera mnie od środka i próbuje przegryźć mnie na zewnątrz… zżera mnie… zżera… zżera…

Eddie przesunął na bok zesztywniały koc, trzymając go między kciukiem i palcem wskazującym, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie. Dokładnie za kocem znajdowało się jedno z tych niskich okien piwnicznych. Jedna z szyb była stłuczona, druga potwornie zabrudzona. Wychylił się do przodu jak zahipnotyzowany. Przysunął się nieco bliżej do okna, do ciemności panującej w piwnicy, wciągając w nozdrza woń starości i zgnilizny, a gdy zbliżał się do mroku, nabierał przekonania, że lada moment wyłoni się z niej posępna postać trędowatego. W tej samej chwili jego astma zdecydowała się zaatakować. Płuca ugięły się pod ciężarem, który był bezbolesny, a mimo to przerażający – oddech Eddiego ponownie zmienił

się w znajomy, znienawidzony świszczący dźwięk.

Cofnął się i w tej samej chwili pojawiła się twarz. Stało się to tak gwałtownie i nagle (chociaż oczekiwanie), że Eddie nie zdołałby krzyknąć, nawet gdyby nie miał właśnie ataku astmy. Oczy wyszły mu z orbit. Usta otworzyły się szeroko. To nie był włóczęga z gnijącym nosem, ale podobieństwo było spore. Potworne. A jednak… ta rzecz nie mogła być człowiekiem. Nic nie mogło być jednocześnie tak bardzo wyżarte, a mimo to żywe. Skóra na czole Tego była rozszczepiona. Spod membrany żółtego śluzu błyszczała niczym reflektor samochodu biała kość czaszki. Nos był surową chrząstką ponad dwoma jaskrawoczerwonymi kanałami nozdrzy. Jedno oko było jasnoniebieskie. Drugi oczodół wypełniała brunatnoczarna, gąbczasta tkanka. Dolna warga trędowatego zwisała bezwładnie jak kawał wątroby. Górnej wargi w ogóle nie było. Eddie widział wyraźnie półokrąg zębów wyszczerzonych w złowieszczym grymasie.

Jedna ręka Tego wyprysnęła przez wybite okno. Druga stłukła brudną szybę sąsiedniego okna. To szukało, a jego zaciskające się kurczowo dłonie pokrywały strupy i wrzody. Chrząszcze i robaki pełzały po nich tam i z powrotem. Łapiąc

kurczowo powietrze i kwiląc z cicha, Eddie zaczął odczołgiwać się w tył. Oddychał z trudem. Serce waliło mu w piersi jak silnik pracujący na pełnych obrotach. Trędowaty miał na sobie coś w rodzaju srebrzystego kostiumu. W strąkach jego brązowych włosów pełzały jakieś robaki.

– Zrobię ci dobrze, Eddie, chcesz? – skrzeknął stwór, uśmiechając się resztką ust. Dorzucił śpiewnie: – Bobby robi to za dziesięć centów, kiedy tylko chcesz, a jeśli potrwać ma to dłużej, dorzuć piętnastaka. To ja, Bob Gray. A teraz, skoro już się sobie przedstawiliśmy… – Jedna z rąk Tego plasnęła o prawe ramię Eddiego. Eddie krzyknął cichutko. – Wszystko w porządku – rzekł trędowaty, a Eddie zobaczył, jak ta istota rodem z nocnego koszmaru zaczyna wyczołgiwać się przez okno. Czołem o łuszczącej się, odpadającej płatami skórze To rozbiło cienką drewnianą listwę pomiędzy dwoma szybami. Dłonie stwora orały pokrytą mierzwą i liśćmi ziemię. Srebrne ramiona jego ubrania… kostiumu… cokolwiek to było… zaczęły przeciskać się przez otwór. Jedyne wściekłe niebieskie oko ani na chwilę nie odrywało wzroku od twarzy Eddiego. – Już idę, Eddie, już wszystko dobrze – skrzeknęło To. – Spodoba ci się u nas na dole. Jest tam paru twoich przyjaciół.

To ponownie wyciągnęło rękę, a Eddie, mimo śmiertelnego przerażenia, resztką świadomości czuł, że jeśli ta rzecz choćby muśnie jego nagą skórę, on również zacznie gnić. Ta myśl wyrwała go z paraliżującego odrętwienia. Wycofał się na czworakach, a potem odwrócił się i zaczął brnąć w stronę dalekiego końca werandy. Światło słoneczne, wpadające przez wąskie szczeliny pomiędzy deskami, przecinało od czasu do czasu jego twarz cienkimi pasemkami. Przebijał się głową przez zakurzone siatki pajęczyn, których strąki zostawały mu we włosach. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że trędowaty zdołał się już w połowie wydostać z piwnicy.

– Ucieczka nic ci nie da, Eddie. Nie możesz uciec! – zawołało To.

Eddie dotarł do dalekiego końca werandy, gdzie znajdowała się drewniana kratownica. Przechodzące przez nią promienie słońca drukowały lśniącą jak diament mozaikę świetlną na jego policzkach i czole. Pochylił głowę i rąbnął w nią bez chwili wahania, wyrywając kratownicę przy wtórze jęku wychodzących z drewna gwoździ.

Za nią znajdowały się krzewy róż i Eddie, który poderwał się na nogi, przedarł się przez nie, czując, jak ostre kolce pokrywają jego

policzki, szyję i ramiona płytkimi, bolesnymi zadrapaniami. Odwrócił się i zaczął się wycofywać na miękkich jak z gumy nogach, wyciągając z kieszeni aspirator i serwując sobie pokaźną dawkę medykamentu.

Rzecz jasna to się nie zdarzyło naprawdę, no nie? Po prostu myślał o włóczędze, a jego umysł… cóż… zaprezentował mu horror, jak jeden z tych obrazów z monstrum Frankensteina albo wilkołakiem, jakie oglądali czasem na sobotnich seansach w kinie Bijou, Gem albo Aladyn. Jasne. To było to, nic więcej. Sam się wystraszył! Ależ z niego kretyn!

Zdołał jeszcze wydobyć z siebie drżący spazm śmiechu, dziwiąc się nieoczekiwanej potędze swojej przewrażliwionej wyobraźni, kiedy gnijące dłonie wyprysły spod werandy, młócąc krzewy róż w przypływie bezmyślnej wściekłości, szarpiąc je, wyrywając i pozostawiając na nich drobniutkie kropelki krwi. Eddie krzyknął.

Trędowaty wypełzł przed dom. Jak Eddie mógł się teraz naocznie przekonać, tamten miał na sobie strój klowna – ozdobiony z przodu wielkimi pomarańczowymi guzikami. To zobaczyło Eddiego i uśmiechnęło się. Połowa ust stwora otwarła się i wysunął się z nich język,

a raczej rozwinął na całą blisko trzystopową długość, jak język kameleona.

To przepełzło jeszcze kawałek i znieruchomiało. Język wystający z ust stwora pokryty był lepką i żółtą pianą. Pełzało po nim robactwo. Krzaki róż, świeże i zielone, kiedy przedzierał się przez nie Eddie, stały się teraz czarne i obumarłe.

– Chodź, zrobię ci dobrze – wyszeptał trędowaty i podniósł się z ziemi.

Eddie rzucił się do roweru. To był ten sam wyścig co poprzednio, tylko że teraz urósł on do rangi jednego z koszmarów, w których niezależnie od tego, jak szybko byś biegł, wydaje ci się, że brniesz w morzu lepkiej, spowolniającej ruchy kleistej brei… i czyż nie jest tak, że w tych snach słyszysz lub czujesz, jak coś – To – zbliża się do ciebie? Czyż nie jest tak, że czujesz wówczas cuchnący oddech Tego, tak jak Eddie czuł go właśnie teraz?

Jeszcze przez chwilę łudził się nadzieją – może to naprawdę był koszmar, może obudzi się w swoim łóżku, zlany zimnym potem, drżący, ba, nawet płaczący… ale żywy. Bezpieczny.

Zdecydował się odegnać od siebie tę myśl. Była zbyt urzekająca i mogła się okazać zgubna. Nie wskoczył od razu na siodełko roweru, lecz

przez chwilę biegł obok niego z pochyloną głową, prowadząc rower za kierownicę. Miał wrażenie, że tonął, ale nie w wodzie, lecz we wnętrzu własnej klatki piersiowej.

– Zrobię ci dobrze – wyszeptał ponownie trędowaty. – Wróć, kiedy zechcesz, Eddie. Przyprowadź kolegów.

Jego gnijące palce zdawały się dotykać karku chłopca, ale może to tylko strzęp pajęczyny, który zaplątał mu się we włosy, otarł się o jego kulące się ciało.

Eddie wskoczył na rower i popedałował przed siebie. Nie przejmował się tym, że jego krtań znów zaczęła się zaciskać, nie przejmował się kolejnym niespodziewanym atakiem astmy i nie oglądał się przez ramię. Obejrzał się dopiero wówczas, gdy dotarł w pobliże domu, a wtedy, naturalnie, nie było już za nim włóczęgi, tylko w oddali dwóch chłopców szło wolno w stronę parku, aby pograć tam w piłkę.

Tej nocy, kiedy leżał w łóżku sztywny jak pogrzebacz, z jedną ręką zaciśniętą mocno na aspiratorze, i wpatrywał się w cienie, usłyszał szept trędowatego: „Ucieczka nic ci nie da, Eddie. Nie możesz uciec”.

8

– O rany! – rzucił z powagą w głosie Richie. To była pierwsza rzecz, jaką którykolwiek z nich powiedział, odkąd Bill Denbrough skończył swoją opowieść.

– M-m-masz j-j-jeszcze p-p-papierosa, R-r-richie?

Richie dał mu ostatniego z prawie pustej paczki, jaką zwinął ojcu z szuflady. Nawet przypalił Billowi.

– To nie był sen, co, Bill? – zapytał nagle Stan.

Bill pokręcił głową.

– N-n-nie. T-to n-nie był s-s-sen.

– Prawda – powiedział cichym głosem Eddie.

Bill odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

– C-c-co?

– Powiedziałem, że to prawda. – Eddie wyglądał na bliskiego oburzenia. – To się stało naprawdę. To była prawda. – I zanim zdołał ugryźć się w język, opowiedział im historię o trędowatym, który wyczołgał się z piwnicy domu przy Neibolt Street 29. W połowie opowieści zaczął się dusić i musiał skorzystać z aspiratora. Przy końcu wybuchnął płaczem, wstrząsany spazmatycznymi dreszczami.

Wszyscy spojrzeli na niego z politowaniem, a potem Stan położył mu rękę na plecach. Bill

objął go niezdarnie, podczas gdy inni odwracali wzrok z zakłopotaniem.

– W p-p-porządku, E-e-eddie. Już d-d-dobrze.

– Ja też To widziałem – odezwał się nagle Ben Hanscom. Jego głos był cichy, ochrypły i pełen przerażenia.

Eddie uniósł wzrok; twarz miał pokrytą łzami, a oczy czerwone i błyszczące.

– Co?

– Widziałem klowna – powiedział Ben. – Tylko że nie wyglądał tak, jak ty go opisałeś, w każdym razie nie wtedy, kiedy ja go zobaczyłem. Nie był zaropiały ani pokryty ranami. Był… był wysuszony. – Przerwał, pochylił głowę i spojrzał na swoje blade dłonie spoczywające na grubych udach. – Myślę, że to była mumia.

– Taka jak w filmach? – spytał Eddie.

– Taka, ale i nie taka – odparł wolno Ben. – W filmach one zwykle wyglądają fałszywie. Taka mumia jest straszna, ale ty dobrze wiesz, że to tylko zwykła charakteryzacja, no nie? Wszystkie te bandaże wyglądają zbyt dobrze, zbyt schludnie, czy coś w tym rodzaju. Ale ten typ… wyglądał jak prawdziwa mumia… a w każdym razie tak mi się wydawało. To znaczy tak jak mumia, którą mógłbyś znaleźć we wnętrzu

jakiejś starej piramidy, kapujecie. Tylko ten kostium…

– C-c-co z n-n-nim?

Ben spojrzał na Eddiego.

– Był srebrny z wielkimi pomarańczowymi pomponami z przodu – ciągnął.

Eddie otworzył szeroko usta, po czym zamknął je i powiedział:

– Jeżeli to, co mówisz, to tylko żarty, to powiedz. Ja nadal… nadal mam koszmary o tym facecie pod werandą.

– To nie są żarty – oświadczył Ben i zaczął opowiadać. Mówił wolno, zaczynając od tego, jak zgłosił się do pomocy pani Douglas w liczeniu i składowaniu książek, a skończył w otchłani własnego koszmaru. Opowiadając swoją historię, nie patrzył na pozostałych. Mówił tak, jakby wstydził się tego, co mu się przytrafiło. Uniósł głowę, dopiero kiedy skończył.

– Chyba ci się to przyśniło – rzekł w końcu Richie. Zobaczył, że Ben się skrzywił, i dodał: – Nie bierz sobie tego zbytnio do serca, Ben, ale wiesz dobrze, że balony nie mogą płynąć w powietrzu pod wiatr i…

– Zdjęcia też nie mrugają – zripostował Ben.

Richie zakłopotany przenosił wzrok z Bena na Billa. Oskarżać Bena o to, że zmyśla, to jedno, ale

oskarżać o to Billa, to coś całkiem innego. Bill był ich przywódcą, chłopakiem, którego wszyscy podziwiali. Nikt nie powiedział tego głośno, ale nie było potrzeby.

Bill był chłopakiem z wyobraźnią, który zawsze potrafił wymyślić jakieś zajęcie na nudny dzień, który pamiętał zapomniane przez innych gry i zabawy. W pewien sposób otaczała go specyficzna aura dorosłości i odpowiedzialności – wiedzieli, że gdyby zaszła konieczność, Bill wziąłby ten ciężar na swoje barki. Prawdą było to, że Richie pomimo irracjonalności historii Billa wierzył w nią absolutnie bez zastrzeżeń. I może nie chciał wierzyć Benowi… albo na przykład Eddiemu.

– Tobie nic takiego się nie przydarzyło, co? – spytał Eddie, zwracając się do Richiego.

Richie chciał coś powiedzieć, otworzył usta, znowu zastanowił się chwilę, a potem rzekł:

– Najstraszniejszą rzeczą, jaką ostatnio widziałem, był Mark Prenderlist odlewający się w McCarron Park. W życiu nie widziałam tak brzydkiego fiuta.

– A co z tobą, Stan? – zapytał Ben.

– Nic – odparł szybko Stan i odwrócił wzrok. Jego mała twarz była blada, a usta zaciśnięte tak mocno, że aż pobielały.

– W-w-widziałeś c-c-coś, S-s-stan? – dopytywał się Bill.

– Nie. Już wam powiedziałem! – Stan poderwał się z ziemi i z rękoma w kieszeniach podszedł do brzegu strumienia. Stał, patrząc, jak woda przelewa się nad szczytem pierwszej tamy i zbiera za wałem drugiej śluzy.

– No, dalej, Stanley! – rzucił Richie falsetem. To był jeszcze jeden z jego głosów: cioteczka Grunt. Kiedy przemawiał jej głosem, przechadzał się w kółko, przyciskając jedną pięść do pleców na wysokości nerek i prawie przez cały czas chichocząc. Mimo to nadal bardziej niż kogokolwiek innego przypominał głosem Richiego Toziera. – No, Stanley, odpręż się, opowiedz swojej starej ciotuuuuuni o brzyydkim klownie, a ja ci dam smaczne czekoladowe ciasteczko. Tylko powiedz…

– Zamknij się! – krzyknął nagle Stanley, okręcając się na pięcie i stając twarzą do Richiego, który cofnął się zaniepokojony o dwa kroki. – Po prostu stul dziób.

– Nie ma sprawy – mruknął Richie i usiadł na ziemi. Spojrzał z nieufnością na Stana Urisa. Na policzkach Stanleya pojawiły się jaskrawe rumieńce, ale chłopak był bardziej przestraszony niż zagniewany.

– W porządku – powiedział spokojnie Eddie. – Nieważne, Stan.

– To nie był klown – rzekł Stanley. Wodził wzrokiem po ich twarzach. Wyglądało, jakby toczył zaciekłą wewnętrzną walkę.

– M-m-możesz n-n-nam o-opowiedzieć – dorzucił cicho Bill. – M-my p-powiedzieliśmy.

– To nie był klown. To był…

I właśnie w tej chwili jego wypowiedź przerwał ochrypły, zapijaczony głos pana Nella, sprawiając, że wszyscy wzdrygnęli się gwałtownie.

– Jejzu Chryste Przenajświętszy! Cóż to za ba-ałagan. Jejzu Chry-yste!

ROZDZIAŁ 8
Pokój George’a i dom przy Neibolt Street

1

Richie Tozier wyłącza radio, z którego płyną dźwięki *Like a Virgin* Madonny – puszczanego przez stację WZON (powtarzającej z histeryczną wręcz częstotliwością, że jest najlepszą rockową rozgłośnią AM w Bangor) – zjeżdża na pobocze, wyłącza silnik mustanga wypożyczonego z firmy Avis na lotnisku międzynarodowym Bangor i wysiada z samochodu. W uszach ma rytmiczny szum własnego oddechu. Widzi znak, który wywołał u niego gęsią skórkę. Podchodzi do przodu wozu i kładzie jedną rękę na masce. Słyszy, jak silnik, stygnąc, popykuje cichutko sam do siebie. Gdzieś w oddali rozlega się krzyk sójki

i zaraz potem cichnie. Słychać cykanie świerszczy. I to by było tyle, jeżeli chodzi o ścieżkę dźwiękową. Widzi znak, mija go i nagle ponownie jest w Derry. Po dwudziestu pięciu latach Richie „Niewyparzona Gęba” Tozier wraca do domu. Jest…

I wtem palący ból przeszywa mu oczy, przerywając tok rozmyślań. Wydaje z siebie zdławiony okrzyk i unosi obie ręce do twarzy. Jeden jedyny raz czuł coś zbliżonego do tego bólu, kiedy rzęsa wpadła mu pod szkło kontaktowe. I wtedy bolało go tylko jedno oko. Ten potworny ból rani teraz oba.

Zanim jego dłonie sięgają twarzy, ból znika. Opuszcza ręce wolno, z zamyśleniem spogląda w dal, wzdłuż Route 7. Zjechał z autostrady wylotem Etna-Haven, nie chcąc z niewiadomego powodu skorzystać z rogatki, która, kiedy on i jego rodzice strzepali z butów kurz tego dziwnego miasta i wyjechali na Środkowy Zachód, wciąż jeszcze była w budowie. Co prawda, to byłoby szybsze rozwiązanie, ale w głębi duszy wiedział, że jednocześnie niewłaściwe.

Dlatego też pojechał wzdłuż Route 9 pośród zaspanych budynków Haven Village, a potem zjechał na Route 7. W miarę upływu czasu dzień

robił się coraz jaśniejszy. A teraz ten znak. To był ten sam typ znaków, które określały granice ponad sześciuset miast w Maine, ale żaden tak jak ten nie ścisnął go za serce!

Hrabstwo
Penobscot
D
E
R
R
Y
Maine

Nieco dalej znak łosia. Znak Klubu Rotariańskiego i na dokładkę jeszcze jeden z napisem głoszącym, że „Lwy z Derry ryczą o zjednoczony fundusz!”.

Za nim znowu rozciąga się Route 7, sunąc prosto jak strzelił pomiędzy rzędami sosen i świerków. W budzącym się do życia świetle milczącego jeszcze dnia te drzewa wyglądają równie ulotnie, jak szarosiny dym papierosowy unoszący się w nieruchomym powietrzu zamkniętego na cztery spusty pokoju.

Derry, myśli, Derry, pomóż mi, Boże. Derry. Rany… Stoi na Route 7. Pięć mil dalej, jeśli

w minionym okresie nie zmiotło jej tornado, powinna znajdować się farma Rhulinów, gdzie jego matka zawsze kupowała jajka i większość warzyw. Dwie mile za nią Route 7 staje się Witcham Road, aby w końcu zmienić się w Witcham Street – Bogu niech będą dzięki, teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen. Gdzieś pomiędzy Rhulin Farms i miastem przejedzie obok domu Bowersów, a potem Hanlonów. Milę za farmą Hanlonów zobaczy pierwszy błysk Kenduskeag i pierwsze rozrastające się chaszcze trującej zieleni. Bujny zakątek zwany Barrens. Naprawdę nie wiem, czy zdołam stawić temu czoło, myśli Richie. Mówię serio. Po prostu nie wiem, czy dam radę.

Cały poprzedni dzień wydawał mu się snem. Sen trwał, w miarę jak trwała podróż, a on jechał i jechał cały czas przed siebie, pokonując kolejne mile. Ale teraz się zatrzymał i obudził ze świadomością potwornej prawdy – że sen okazał się rzeczywistością. Derry jest rzeczywistością.

Wygląda na to, że nie może powstrzymać potoku wspomnień, ma wrażenie, że w końcu doprowadzą go one do obłędu, a teraz przygryza wargę i składa ręce razem jak do modlitwy, dociskając je z całej siły, jakby to miało go powstrzymać przed rozpadnięciem się na

kawałki, Richie czuje bowiem, że się rozleci, i to już niebawem. Wydaje się, że jakaś szalona część jego „ja” spogląda w przyszłość, dopatrując się tego, co ma się wydarzyć, ale prawie cała reszta zastanawia się tylko nad jednym – czy uda mu się przeżyć następne parę dni. Jest…

I znowu potok myśli zostaje przerwany. Na drogę wychodzi jeleń, Richie słyszy łagodny stukot miękkich racic na asfalcie. Oddech Richiego zamiera w półwydechu, a potem powoli znowu zaczyna pracować. Patrzy oszołomiony, uświadamiając sobie, że w Rodeo Drive nigdy nie widział czegoś takiego. Nie – aby to zobaczyć, musiał wrócić do domu.

To łania. Wychodzi z lasu po prawej i zatrzymuje się pośrodku Route 7, stając przednimi nogami po jednej, a tylnymi po drugiej stronie przerywanej białej linii. Omiata Richiego Toziera łagodnym spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Richie dostrzega w nich zainteresowanie, ale ani cienia strachu. Patrzy na nią ze zdumieniem, uważając to spotkanie za swego rodzaju zapowiedź przyszłości, omen lub coś w tym rodzaju. I wtedy, nieoczekiwanie, przychodzi mu na myśl pan Nell. Ale ich wtedy wystraszył! Po opowieściach Billa, Bena i Eddiego wszyscy mieli niezłego pietra! Mało brakowało,

żeby w chwili pojawienia się go cała grupka wyzionęła ducha na miejscu!

Teraz, patrząc na łanię, Richie bierze głęboki oddech i zaczyna mówić jednym z głosów… ale po raz pierwszy od dobrych dwudziestu pięciu lat jest to głos irlandzkiego gliniarza, który dołączył do swego repertuaru po tym pamiętnym dniu. W ciszy poranka pobrzmiewa on jak przetaczająca się gdzieś w oddali olbrzymia, niewidzialna kula bilardowa; jest potężniejszy i głośniejszy, niż Richie przypuszczał.

– Jeezu Chryste i wszyscy świenci! Cóż ty tu porabiasz, dziefczynko? Łaniusiu! Chryste Paanie! Lepi idź już do domu, zanim zdecydujem siem o tobie opowiedzieć ojcu O’Staggersowi!

Nim rozwieje się echo głosu Richiego i zanim pierwsza spłoszona sójka zdąży wzbić się w powietrze, łając go za ten świętokradczy uczynek, łania macha w jego stronę krótkim ogonkiem jak białą flagą i znika po lewej stronie drogi pośród rzędu świerków przypominających słupy dymu, pozostawiając po sobie małą kupkę dymiących bobków na znak, że od czasu do czasu nawet o wpół do ósmej rano Richie Tozier potrafi sprawić, że jeleń sobie ulży!

Richie zaczyna się śmiać. Z początku tylko chichocze i nagle zdaje sobie sprawę z własnej

śmieszności; oto on, stojący w blasku poranka na jednej z dróg stanu Maine, trzy tysiące mil od domu, wrzeszczący na łanię głosem zabarwionym akcentem irlandzkiego policjanta.

Chichot zmienia się w śmiech, śmiech staje się rechotem, który z kolei przeradza się w jękliwy skowyt, aż w końcu Richie nie ma już siły śmiać się i stoi, opierając się o maskę samochodu, z twarzą zalaną łzami radości, zastanawiając się w duchu, czy ma zlać się w spodnie, czy też zrobić coś całkiem innego.

Za każdym razem, kiedy już ma się wziąć w garść, jego wzrok pada na tę małą stertę bobków i Richie wybucha kolejną salwą śmiechu. W końcu, prychając i parskając, siada za kierownicą i zapala silnik mustanga. Omiata go pęd powietrza przejeżdżającej obok szybko ciężarówki firmy Orinco przewożącej nawozy sztuczne. Kiedy wóz znika w oddali, Richie wjeżdża na szosę i ponownie rusza w stronę Derry. Teraz czuje się już lepiej, odzyskuje nad sobą kontrolę… a może to, że znowu jest w ruchu i pokonuje kolejne mile, zrodziło w nim złudne wrażenie snu.

Znowu zaczyna myśleć o panu Nellu – o nim i o tym dniu przy tamie. Pan Nell spytał ich, kto wymyślił tę zabawę. Widzi, jak cała piątka

niepewnie popatruje na siebie nawzajem, i przypomina sobie, jak w końcu Ben postąpił o krok naprzód. Chłopiec miał pobladłe policzki, spuszczone nisko oczy, a jego wargi drżały, kiedy zacięcie walczył z cisnącym mu się na usta potokiem bełkotliwych słów. Biedny dzieciak prawdopodobnie myślał, że dostanie od pięciu do dziesięciu lat w Shawshank za spowodowanie zalania kanałów przy Witcham Street, myśli teraz Richie, ale pomimo wszystko przyznał się do tego. I czyniąc to, zmusił pozostałych do zrobienia kroku naprzód i udzielenia mu wsparcia. W przeciwnym razie nieźle by się zbłaźnili. Wyszliby na tchórzy.

Żaden z telewizyjnych bohaterów nigdy nie tchórzył w trudnych sytuacjach. Wszyscy trzymali się razem na dobre i złe. I chyba właśnie to zdarzenie scementowało ich przyjaźń na dwadzieścia siedem lat. Czasami różne wydarzenia przypominają kostki domina. Pierwsza przewraca drugą, druga trzecią i tak dalej.

Kiedy nie było już dla nas odwrotu? – zastanawia się Richie. Z chwilą kiedy on i Stan pojawili się nad strumieniem i pomogli w budowie tamy? Kiedy Bill opowiedział im o szkolnym zdjęciu, na którym jego brat poruszył

głową i mrugnął do niego? Może… ale dla Richiego Toziera kostki domina zaczęły się przewracać z chwilą, kiedy Ben Hanscom postąpił zdecydowanie krok naprzód i powiedział:

– To ja. To ja im pokazałem…

2

…jak to należy zrobić. To moja wina.

Pan Nell po prostu stał, spoglądając na niego, ze ściśniętymi mocno wargami i rękoma opartymi na skrzypiącym, czarnym skórzanym pasie. Popatrywał to na Bena, to na wodę rozlewającą się za tamą i z powrotem na Bena, jakby nie wierzył własnym oczom.

Był ogorzałym Irlandczykiem, jego włosy – przedwcześnie posiwiałe – były zaczesane do tyłu i ukryte pod niebieską czapką. Oczy miał jasnoniebieskie, a nos czerwony jak pomidor. Na policzkach dało się zauważyć drobniutkie gniazda popękanych naczynek. Był mężczyzną średniego wzrostu, ale dla pięciu przerażonych chłopców urastał do co najmniej ośmiu stóp.

Pan Nell otworzył usta, aby coś powiedzieć, kiedy Bill Denbrough stanął obok Bena.

– T-t-t-to b-b-był m-m-mój p-p-p-pomysł – wykrztusił w końcu. Wziął głęboki oddech

i podczas gdy pan Nell przypatrywał mu się beznamiętnie, Bill zdołał wydusić z siebie to, co miał do powiedzenia: to nie była wina Bena; tak się akurat złożyło, że Ben przechodził nieopodal i pokazał im, jak ulepszyć tamę, którą wybudowali.

– Ja też – rzekł nagle Eddie i stanął obok Bena z drugiej strony.

– Co to ma znaczyć „ja też”? – spytał pan Nell. – To twoje nazwisko czy adres, eee?

Eddie zaczerwienił się aż po korzonki włosów.

– Byłem z Billem, zanim jeszcze pojawił się tu Ben. To chciałem powiedzieć.

Richie stanął obok Eddiego. Przyszło mu na myśl, żeby przemówić jednym z głosów, co być może poprawiłoby nastrój pana Nella. Jednak po namyśle (co było u Richiego olbrzymią rzadkością) uznał, że prawdopodobnie pogorszyłby w ten sposób ich obecną sytuację, która nie należała do najlepszych. Nie wyglądało na to, żeby pan Nell był dziś w radosnym nastroju. Wątpliwe, aby miał ochotę się chichrać. Ściśle mówiąc, wyglądało na to, że chichranie było ostatnią rzeczą, o jakiej mógł teraz myśleć. Dlatego też powiedział tylko cicho:

– Ja też brałem w tym udział.

Potem zamknął buzię na kłódkę.

– I ja – rzucił Stan, stając obok Billa.

Teraz cała piątka stała rzędem przed panem Nellem. Ben patrzył to w jedną, to w drugą stronę, co najmniej zdumiony i oszołomiony ich postępowaniem. Przez chwilę Richie miał wrażenie, że wielki Haystack ze wzruszenia zacznie płakać.

– Jejzu – powiedział ponownie pan Nell i choć w jego głosie pobrzmiewał wyraz zdegustowania, przez chwilę mogło się wydawać, że ma ochotę wybuchnąć śmiechem. – Nigdy żem nie widział takiej okropnej bandy gnojków. Dyby wasi starzy wiedzieli, dzie się podziewacie, daliby wam dzisia w tyłki, jak mie Bóg miły. Kto wie, czy zresztom tak nie będzie.

Richie nie mógł już dłużej wytrzymać – jego usta po prostu się otworzyły, a potem, jak to zwykle bywało, popłynął z nich istny potok słów.

– Jak tam leci w starym kraju, panie Nell? – zapytał. – Widzę wyraz smutku i bólu w pana oczach i jestem święcie przekonany, że tak szlachetny człowiek jak pan z pewnością musi tęsknić za rodzinną ziemią i dałby…

– Dam to ja ci w skórę, mój drogi, i to zaraz – rzucił oschle pan Nell.

Bill odwrócił się do niego i warknął:

– Na m-m-m-miłość b-b-boską, R-r-richie, z-z-zamknij s-się w-w-wreszcie!

– Dobra rada, panie Williamie Denbrough – oznajmił pan Nell. – Jak sądzę, Zack nie wie, że tu jesteś, znaczy się w Bar’ns, i bawisz się pośród pływających gówien, co?

Bill spuścił wzrok i pokręcił głową. Dzikie róże płonęły na jego policzkach. Pan Nell spojrzał na Bena.

– Nie przypominam sobie twojego nazwiska, synu.

– Hanscom, proszę pana – wyszeptał Ben. Pan Nell pokiwał głową i ponownie spojrzał na tamę.

– To był twój pomysł?

– Jak to zbudować? Tak. – Szept Bena był prawie niesłyszalny.

– No cóż, niezły z ciebie budofniczy, chłopie, ale chyba gówno wiesz o Bar’ns i systemie kanałów w Derry, co?

Ben pokręcił głową. Pan Nell mu to wytłumaczył.

– System składa się z dwóch części. Jedna odprowadza stałe ludzkie nieczystości, gówno, jeśli to określenie nieurazi waszych uszu. Druga odprowadza brudną wodę, wodę spłukiwaną w toaletach albo spływającą do rur z umywalek, wanien, pralek i pryszniców. Ta cała woda

dociera do kanałów biegnących pod miastem. Dzięki Bogu, waszym uczynkiem nie spowodowaliście żadnych problemów ze stałymi nieczystościami; są one wpuszczane do Kenduskeag nieco dalej, w dole rzeki. Najprawdopodobniej na skutek waszej działalności gdzieś na tym odcinku pojawiły się teraz wielkie kałuże brudnej wody, które ostatecznie wyschną na słońcu, ale możecie być pewni, że nie macie na sumieniu plam gówna na suficie w czyimś mieszkaniu. Co się tyczy brudnej wody… nie obsługuje się jej za pomocą pomp. Spływa ona w dół wzgórza tym, co spece od kanałów nazywają ściekami grawitacyjnymi. I założę się, że wiesz, dokąd prowadzą wszystkie te kanały, co, chłopcze?

– Tam, na górę – powiedział Ben, wskazując na teren za tamą, teren, który w poważnym stopniu udało się im zatopić. Zrobił to, nie unosząc wzroku. Wielkie łzy zaczęły spływać mu po policzkach. Pan Nell udawał, że ich nie zauważył.

– Racja, mój wielki młody przyjacielu. Wszystkie te ścieki grawitacyjne wpływają do strumienia, który z kolei trafia do górnej części Barrens. Prawdę mówiąc, sporo tych małych strumyczków składa się wyłącznie z brudnej

wody wypływającej z kanałów, których nawet nie zobaczysz, bo szczelnie zakrywa je zieleń. Gówno płynie jednym kanałem, a cała reszta drugim. Boże, dzięki ci za roztropność ludzką; czy kiedykolwiek przyszło wam na myśl, że wskutek waszej działalności możecie zalać całe Derry szczynami i brudną wodą?

Nagle Eddie zaczął się dusić i musiał skorzystać z aspiratora.

– Zawróciliście całą wodę z sześciu spośród ośmiu centralnych odpływów, które obsługują Witcham, Jackson, Kansas i cztery czy pięć pomniejszych uliczek pomiędzy nimi.

Pan Nell spiorunował wzrokiem Billa Denbrough.

– Jeden z nich odprowadza wodę z pańskiego domu, paniczu Denbrough. A w ten sposób mamy kanały, które są przepełnione, pralki, z których nie można spuścić wody, i całą masę radośnie pozalewanych piwnic…

Ben wydał z siebie zduszony, suchy szloch. Pozostali spojrzeli w jego stronę, po czym odwrócili wzrok. Pan Nell położył wielką dłoń na ramieniu chłopca. Była szorstka i twarda, ale w tej chwili również łagodna i delikatna.

– Spoko, spoko. Może nie będzie tak źle. Nie martw się. Przynajmniej na razie. Troche żem

przesadził, żebyście mie dobrze zrozumieli. Przysłali mie tu, żebym zobaczył, czy jakieś drzewo nie osunęło się do strumienia. To się zdarza od czasu do czasu. Nie ma powodu, aby prawda o tym, co się stało, nie miała pozostać pomiędzy mną a waszą piątką. Ostatnio mamy w mieście większe kłopoty niż odrobina wody z przepełnionych ścieków. Napiszę w moim raporcie, że udało mi się zlokalizować drzewo, które osunęło się do wody, i wraz z grupką chłopców zdołałem wyciągnąć je ze strumienia. Nie wymienię waszych nazwisk. Nie będziecie mieli tym samym nieprzyjemności za budowanie tam w Barrens.

Obrzucił całą piątkę długim spojrzeniem. Ben zaciekle ocierał oczy chustką; Bill spoglądał z zamyśleniem na tamę; Eddie trzymał w jednej ręce swój aspirator; Stan stał obok Richiego z jedną ręką na jego ramieniu, gotowy ścisnąć je – i to mocno – gdyby Richie zdecydował się powiedzieć coś więcej oprócz „dziękuję bardzo”.

– Nie powinniście się szlajać w takich brudnych miejscach jak to, chłopaki – ciągnął pan Nell. – Można tu załapać ze szesnaście różnych rodzajów choróbsk. – „Załapać” w jego wykonaniu zabrzmiało jak „załatać”. – Z jednej strony wysypisko śmieci, strumienie pełne

szczyn i brudnej wody, błoto, obrzydliwe robale, lotne piaski… nie powinniście sie szwendać w takich miejscach jak to. Macie cztery czyste parki, gdzie możecie se grać w piłkie przez cały boży dzień, a ja przyłapuję was tu na dole. Jejzu Chryste!

– N-n-nam s-się t-t-tu p-p-p-podoba – rzucił nieoczekiwanie i wyzywająco Bill. – K-k-kiedy t-t-tu j-j-jesteśmy, n-n-n-nikt s-s-się z n-n-nas n-n-n-nie n-n-n-n-nabija.

– Co on mówi? – spytał pan Nell.

– Powiedział, że kiedy tu jesteśmy, nikt się z nas nie nabija – objaśnił Eddie. Jego głos był cichy i świszczący, ale brzmiał pewnie. – I ma rację. Kiedy chłopcy tacy jak my przychodzą do parku i mówią, że chcą zagrać w baseball, tamci odpowiadają: „Pewno, a za którą bazę chcecie robić, za drugą czy za trzecią?”.

Richie zachichotał.

– Eddie sobie ulżył! Świetnie, stary!

Pan Nell odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć. Richie wzruszył ramionami.

– Przepraszam. Ale on ma rację. I Bill też ma rację. Podoba się nam tutaj.

Richie pomyślał, że pan Nell znowu się rozgniewa, słysząc te słowa, ale siwowłosy glina

zaskoczył go – zaskoczył ich wszystkich, uśmiechając się szeroko.

– Ach – powiedział. – Jak żem był chłopcem, też mie się tu podobało. I wcale nie bede wam tego zakazywał. Ale posłuchajcie mie uważnie, chłopaki. – Wymierzył palec w ich stronę, a ponury wzrok całej piątki skupił się na jego obliczu. – Jeżeli przychodzicie tu się bawić, to róbta to całom grupom, tak jak tera. Wspólnie. Rozumiecie?

Skinęli głowami.

– Mówiąc „razem”, mam na myśli „zawsze, przez cały czas”. Żadnych zabaw w chowanego i rozdzielania się. Wiecie, co się tera dzieje w mieście. Nie broniem wam tu przychodzić głównie dlatego, że i tak już tu jesteście. Ale dla waszego własnego dobra tu i w całej okolicy macie przebywać stale w grupie.

Spojrzał na Billa.

– Nie zgadzasz się ze mną, paniczu Denbrough?

– N-n-nie, p-p-proszę p-pana – odparł Bill. – B-b-będziemy z-z-zawsze g-g-g…

– Mnie to wystarczy – powiedział pan Nell. – Przybij piątkie.

Bill wyciągnął rękę i pan Nell ją uścisnął.

Richie strącił z ramienia dłoń Stana i postąpił naprzód.

– Panie Nell, to jasne jak słońce, że jest pan niewątpliwie księciem pośród ludzi, o tak! Źwietny z pana facet! Źwietny! – Wyciągnął rękę, ujął olbrzymią łapę Irlandczyka i potrząsnął nią gwałtownie, uśmiechając się przy tym przez cały czas.

Dla rozbawionego pana Nella ten chłopiec wyglądał jak okropna parodia Franklina D. Roosevelta.

– Dziękuję, chłopcze – rzekł pan Nell, cofając rękę. – Musisz nad tym jeszcze popradzować. Jak na razie, bardziej niż Irlandczyka przypominasz Groucha Marksa.

Pozostali chłopcy roześmiali się z wyraźną ulgą, a Stan posłał Richiemu pełne wyrzutu spojrzenie mówiące: Dorośnij, Richie!

Pan Nell uścisnął dłonie pozostałym, pozostawiając Bena na koniec.

– Nie masz się czego wstydzić, chłopcze, prócz tego, że byłeś niedoinformowany. Co do tego tam… zobaczyłeś, jak to się robi, w książce?

Ben zaprzeczył.

– Wziąłeś to z głowy?

– Tak, proszę pana.

– Niech cię kule biją, chłopcze! Któregoś dnia stworzysz coś wielkiego, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale Barrens to nie miejsce na to. – Obrzucił ich zamyślonym spojrzeniem. – Tu nigdy nie powstanie nic wielkiego. Okropne miejzce. – Westchnął. – Rozbierzcie to, chłopaki. Rozbierzcie to zaraz. Ja se siende w cieniu tego o, krzewu, o tam, i uronię se łzę, jak wy będziecie pracować.

Kończąc swoją wypowiedź, spojrzał ironicznie na Richiego, jakby oczekiwał kolejnego wybuchu z jego strony.

– Tak, proszę pana – powiedział z pokorą w głosie Richie, i to było wszystko. Pan Nell zadowolony skinął głową, a chłopcy zabrali się do pracy, ponownie czekając na wskazówki od Bena, jak najszybciej rozebrać to, co zgodnie z jego zaleceniami stworzyli.

Tymczasem pan Nell wyjął zza pazuchy brązową butelkę i pociągnął z niej tęgi łyk. Kaszlnął, zrobił gwałtowny wydech, a potem spojrzał na chłopców dobrotliwymi, załzawionymi oczyma.

– Co masz pan w tej budeledżce? – spytał Richie, stojąc po kolana w wodzie.

– Richie, zamkniesz się w końcu czy nie? – syknął Eddie.

– Tej? – Pan Nell spojrzał na Richiego z łagodnym zdziwieniem, po czym ponownie przeniósł wzrok na butelkę. Nie było na niej żadnej etykietki. – To lekarstwo bogów na kaszel, chłopcze. A teraz zobaczmy, czy potrafisz się schylać równie szybko, jak mleć jęzorem.

3

Później Bill i Richie szli razem wzdłuż Witcham Street. Bill pchał Silvera; po budowie, a potem rozbieraniu tamy po prostu nie miał w sobie dość siły, aby rozpędzić swój olbrzymi rower. Obaj chłopcy byli brudni, rozczochrani i w sumie nieźle zmęczeni.

Stan spytał ich, czy nie chcieliby pójść do niego zagrać w monopol, parcheesi czy jakąś inną grę, ale odmówili. Robiło się późno. Zmęczony i przygnębiony Ben oznajmił, że pójdzie do domu i sprawdzi, czy ktoś zwrócił jego książki z biblioteki. Miał pewną nadzieję, bo w bibliotece zarządzono, aby na każdej z kart wypożyczonych książek zapisywano prócz imienia i nazwiska również adres wypożyczającego. Eddie powiedział, że obejrzy w telewizji *The Rock Show*, bo miał występować Neil Sedaka, a on chciał sprawdzić, czy Neil Sedaka jest Murzynem. Stan starał się to

wyperswadować Eddiemu. Uważał, że Neil Sedaka jest biały, wystarczyło go posłuchać, aby ostatecznie nabrać pewności. Eddie oświadczył, że samo słuchanie nie zawsze wystarcza; do zeszłego roku był przekonany, że Chuck Berry jest biały, ale kiedy pokazano go w *Bandstand*, okazało się, że to Murzyn.

– Moja matka nadal myśli, że on jest biały, i w gruncie rzeczy to dobrze – powiedział Eddie. – Gdyby się dowiedziała, że to Murzyn, prawdopodobnie zabroniłaby mi słuchać jego piosenek.

Stan założył się z Eddiem o cztery komiksy, że Neil Sedaka jest biały, i we dwóch poszli do domu Eddiego, aby rozstrzygnąć ten spór. I tak właśnie Bill i Richie szli w stronę domu Billa, nie rozmawiając wiele, Richie rozmyślał o historii Billa ze zdjęciem, na którym postać odwracała głowę i puszczała oko. Pomimo znużenia przyszło mu coś do głowy. To było szalone… ale miało pewien urok.

– Billy, stary – powiedział. – Zatrzymajmy się na chwilę. Zróbmy pięć minut postoju. Jestem skonany.

– Nie ma mowy – rzucił Bill, ale zatrzymał się, położył ostrożnie Silvera na skraju trawnika Seminarium Teologicznego i chwilę potem dwaj

chłopcy usiedli na szerokich kamiennych schodach prowadzących do przysadzistego czerwonego wiktoriańskiego budynku.

– Co za dzień – rzucił ponuro Bill. Pod oczami miał fioletowe sińce. Jego twarz była biała i zmęczona. – L-l-lepiej, jak ode mnie zadzwonisz do domu. Po co twoi rodzice mają się m-m-m-martwić.

– Tak. Jasne. Posłuchaj, Bill…

Richie przerwał na chwilę, myśląc o mumii Bena, trędowatym Eddiego i o tym, o czym nie zdołał im opowiedzieć Stan. Przyszło mu coś do głowy, coś, co wiązało się z pomnikiem Paula Bunyana przy City Center. Ale, na miły Bóg, to był tylko sen!

Odegnał od siebie te niestosowne myśli i powiedział:

– Co byś powiedział na to, gdybyśmy poszli do twojego domu i zajrzeli do pokoju George’a? Chciałbym zobaczyć to zdjęcie.

Bill wyraźnie zaszokowany spojrzał na Richiego. Próbował coś z siebie wykrztusić, ale nie mógł. Stres był od niego silniejszy. Pozostał przy gwałtownym, przeczącym kręceniu głową.

– Słyszałeś opowieść Eddiego. I Bena. Wierzysz w to, co powiedzieli?

– N-n-nie w-w-wiem. Myślę, że m-m-może coś w-w-widzieli.

– Tak. Ja też. Chyba każdy z dzieciaków, który został zabity w tej okolicy, miałby do opowiedzenia jakąś historię. Jedyna różnica pomiędzy nimi a Benem i Eddiem polega na tym, że Ben i Eddie nie zostali złapani.

Bill uniósł brwi, ale nie okazał większego zdziwienia. Richie przypuszczał, że Bill już wcześniej doszedł do tego samego wniosku. Nie wysławiał się zbyt dobrze, ale nie był durniem.

– Pomyśl o tym przez chwilę, Wielki Billu – powiedział Richie. – Facet przebiera się w strój klowna i zabija dzieciaki. Nie wiem, czemu miałby to robić, ale z wariatami tak to już jest, no nie?

– R-r-r…

– Racja. To tak jak z Jokerem w komiksach o Batmanie. – Już samo wypowiadanie swoich przemyśleń na głos wprawiało Richiego w nastrój podniecenia. Zastanawiał się, czy chciał coś udowodnić, czy też stworzyć zasłonę dymną ze słów, żeby mógł zobaczyć ten pokój i to zdjęcie. Ostatecznie prawdopodobnie nie miało to większego znaczenia. Być może wystarczyło mu samo spojrzenie Billa, którego oczy

przepełniało takie samo podniecenie jak jego oczy.

– A-ale gdzie w t-tej układance p-p-pasuje t-to zdjęcie?

– A jak sądzisz, Bill?

Cichym głosem, nie patrząc na Richiego, Bill powiedział, że nie uważał, by miało ono coś wspólnego z morderstwami.

– Myślę, że t-t-to był duch G-g-george'a.

– Duch na zdjęciu?

Bill skinął głową. Richie się zamyślił. Kwestia ducha w ogóle nie zaniepokoiła jego dziecinnego umysłu. Był pewny, że takie rzeczy istniały. Jego rodzice byli metodystami i Richie chodził w niedziele do kościoła, a w czwartki na spotkania Wspólnoty Młodzieżowej Metodystów. Wiedział już sporo na temat Biblii i zdawał sobie sprawę, że Biblia wierzyła w całą masę dziwnych rzeczy. Według Pisma sam Bóg był przynajmniej w jednej trzeciej duchem, a to tylko początek. Mogłeś też powiedzieć, że Biblia wierzyła w demony, bo Jezus wypędził kiedyś całą ich zgraję z jednego faceta. Były naprawdę zabawne. Kiedy Jezus spytał tego człowieka, który miał je w sobie, jak się nazywał, demony odpowiadały mu, żeby przyłączył się do Legii Cudzoziemskiej czy coś w tym rodzaju. Biblia wierzyła

w czarownice, bo Richie przeczytał inny fragment, który o tym mówił. Ba, niektóre rzeczy w tej książce były jeszcze lepsze niż komiksy grozy. Ludzie gotowani we wrzącej oliwie albo wieszający się jak Judasz Iskariota; opowieść o tym, jak występny król Achaz spadł z wieży, a potem zjawiły się wszystkie te psy i zlizywały jego krew; masowe morderstwa niemowląt, jakie towarzyszyły narodzinom zarówno Jezusa, jak i Mojżesza; faceci, którzy wstawali z grobów albo unosili się w powietrzu; żołnierze obalający mury za pomocą czarów; prorocy, którzy widzieli przyszłość i walczyli z potworami.

To wszystko stało czarno na białym w Biblii i to była prawda, jak twierdził wielebny Craig, rodzice Richiego, a także on sam.

Chłopiec mógłby zgodzić się z rozwiązaniem proponowanym przez Billa; jedyne, co go wprawiało w zakłopotanie, to logika.

– Ale mówiłeś, że byłeś przerażony. Czemu duch George'a miałby cię straszyć, co, Bill?

Bill otarł usta dłonią. Jego ręka drżała nieznacznie.

– P-p-przypuszczam, że jest n-n-na mnie wściekły. Za t-to, że został z-z-zamordowany. T-to była m-moja w-w-wina. Ja mu zrobiłem t-t-ten o-o-o… – Nie mógł wypowiedzieć tego słowa, toteż

uniósł rękę i wykonał w powietrzu płynny, falujący ruch.

Richie skinął głową, żeby pokazać, że zrozumiał, o co chodziło Billowi… ale nie oznaczało to, że się z nim zgadzał.

– Nie sądzę – powiedział. – Gdybyś dźgnął go nożem albo strzelił mu w plecy, to co innego. Albo nawet gdybyś dał mu do ręki naładowaną spluwę taty, a on wpakowałby sobie kulkę w głowę. Ale to nie był rewolwer, to był okręcik. Nie chciałeś go skrzywdzić, chciałeś – Richie uniósł palec i wymierzył go w Billa – żeby mały miał trochę dobrej zabawy, co nie?

Bill się zamyślił. Zastanawiał się głęboko. To, co Richie właśnie powiedział, sprawiło, że po raz pierwszy od wielu miesięcy, myśląc o śmierci George'a, poczuł się nieco lepiej; jednak jakaś jego część z naciskiem twierdziła, że nie powinien czuć się lepiej. Oczywiście, że to była twoja wina, mówiła twardo ta część jego „ja" – może nie całkiem, ale na pewno w znacznym stopniu.

Jeżeli nie, to czemu na kanapie pomiędzy twoimi rodzicami pojawiło się to lodowate miejsce? Jeżeli nie, to czemu żadne z nich przy kolacji nie odzywa się słowem? Czemu jedynym odgłosem towarzyszącym jedzeniu jest szczęk

sztućców, którego nie możesz znieść, i nadchodzi taki moment, że pytasz, czy m-m-możesz odejść od stołu?

Zupełnie jakby to on był duchem, obecnością, która mówiła i poruszała się, ale której nie było widać ani słychać zbyt wyraźnie – ot, istota dająca się wyczuć, ale która nadal nie była akceptowana jako do końca realna.

Perspektywa, że to on był winny śmierci George'a, nie przypadała mu zbytnio do gustu, ale jedyna możliwość, jaką zdołał wymyślić, aby wyjaśnić zachowanie rodziców, okazała się jeszcze gorsza; wynikało z niej, że cała miłość i troska, jaką obdarzali go dotychczas, była rezultatem obecności George'a, a wraz z jego odejściem nie pozostało dla niego nic… absolutnie nic i, co najgorsze, wszystko to stało się zupełnie przypadkowo, bez żadnego konkretnego powodu. I gdybyś przyłożył ucho do tych drzwi, mógłbyś usłyszeć dochodzący zza nich szum wichrów szaleństwa. Dlatego też powtórzył w myślach dokładnie wszystko, co zrobił, czuł i powiedział w dniu śmierci George'a, po części w nadziei, że to, co mówił Richie, było prawdą, po części zaś starając się temu zaprzeczyć. Był pewien jednego – że nie był dla George'a braciszkiem, aniołkiem. Bili się

i szarpali, i to nawet dość często. Czy tego dnia również? Nie. Żadnych bójek. Bill był jeszcze zbyt osłabiony, aby sprzeczać się z George'em. Był śpiący, śnił o jakimś (żółwiu) zabawnym małym zwierzątku, nie pamiętał dokładnie o jakim, i obudził się, słysząc bębnienie deszczu o szyby i głos George'a mamroczącego coś do siebie w pokoju jadalnym. Spytał George'a, co się stało. George wszedł i powiedział, że próbował zrobić okręcik według wskazówek z *Best Book of Activities*, ale stale mu coś nie wychodziło. Bill kazał George'owi przynieść tę książkę. I siedząc obok Richiego na kamiennych stopniach, Bill przypomniał sobie, jak oczy George'a zalśniły, kiedy zobaczył gotowy okręcik – i jaki on sam był wtedy szczęśliwy, widząc, że w oczach młodszego brata urasta do rangi kogoś, kto zawsze robi wszystko lepiej i nigdy nie cofa się z raz obranej drogi. Czuł się wówczas jak prawdziwy starszy brat.

Ten okręcik zabił George'a, ale Richie miał rację – wykonanie łódeczki nie mogło być porównywalne z wręczeniem George'owi nabitego rewolweru. Bill nie mógł wiedzieć, co się stanie. W żaden sposób.

Wziął głęboki, drżący oddech, czując, jak ciężki niewidzialny kamień, z którego istnienia

nawet nie zdawał sobie sprawy, spadł mu z serca. I od razu zrobiło mu się lepiej. Pod każdym względem. Otworzył usta, aby powiedzieć o tym Richiemu, i zamiast tego wybuchnął płaczem.

Zatrwożony Richie objął go ramieniem (rozejrzawszy się uprzednio wokoło, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ich omyłkowo wziąć za parę pedziów).

– Już dobrze – powiedział. – Wszystko w porządku, Bill, prawda? No, jazda. Zakręć kraniki.

– N-nie chciałem, ż-ż-żeby został za-za-zabity! – szlochał Bill. – W ogóle o tym n-n-n-nie m-m-m-myślałem!

– Chryste, Bill. Wiem, że nie – odparł Richie. – Gdybyś chciał się go pozbyć, wystarczyłoby, żebyś zepchnął go ze schodów albo coś w tym stylu. – Richie niezdarnie poklepał Billa po ramieniu i zanim odsunął rękę, jeszcze raz go uściskał. – Daj spokój. Przestań się mazać. Zachowujesz się jak dzieciak.

Bill powoli się uspokoił. Wciąż czuł ból, ale ten ból wydawał się czystszy, jakby rozpłatał swoje ciało i wyjął coś, co gniło w jego wnętrzu. Poza tym przez cały czas odczuwał dziwną ulgę.

– N-nie chciałem, żeby został z-z-zabity – powtórzył Bill – a j-jak komuś p-p-powiesz, że p-p-p-płakałem, to r-r-rozkwaszę ci n-n-nos.

– Nie powiem – rzekł Richie. – Nie martw się. Rany, był przecież twoim bratem. Ja to bym ryczał jak bóbr.

– T-ty nie masz b-b-b-brata.

– Ale gdybym miał.

– N-n-naprawdę?

– Pewno. – Richie przerwał, obrzucając Billa czujnym spojrzeniem i zastanawiając się, czy Bill naprawdę zdołał wziąć się w garść. Pomimo że tamten wciąż jeszcze ocierał zaczerwienione oczy chusteczką, Richie uznał, że chyba jednak tak. – Chodziło mi tylko o to, że nie rozumiem, czemu George miałby cię nawiedzać. Może to zdjęcie ma coś wspólnego z tym… klownem.

– M-m-może G-g-george n-n-nie wie. M-może myśli…

Richie zrozumiał, co Bill chciał powiedzieć, i dał mu znak ręką.

– Zanim wyskrzeczysz swoje, dowiesz się wszystkiego, co o tobie myślą ludzie, Wielki Billu. – Mówił jak anielsko cierpliwy nauczyciel wyjaśniający jakiś skomplikowany problem największemu tępakowi w całej szkole. – To jest w Biblii. Jest tam napisane: Nawet choć teraz

w lustrze nie widzimy zbyt wiele, po śmierci będziemy przez nie widzieć na wskroś, jak przez okno. To z pierwszego Listu do Tesaloniczan albo z drugiego do Babilończyków. Zapomniałem z którego. Znaczy to, że…

– Wiem, co to z-z-znaczy – rzekł Bill.

– I co ty na to?

– Hę?

– Chodźmy do twojego pokoju i rzućmy na to okiem. Może natrafimy na jakiś trop tego, kto zabija wszystkie te dzieciaki.

– B-b-boję się.

– Ja też – rzekł Richie, sądząc, że to stwierdzenie było jeszcze jedną podpuchą mającą skłonić Billa do podjęcia ostatecznej decyzji, a wtedy nagle poczuł, jak coś ciężkiego zaczęło przewalać mu się w żołądku, i zdał sobie sprawę, że powiedział prawdę; był śmiertelnie przerażony.

4

Dwaj chłopcy wślizgnęli się jak duchy do domu rodziny Denbrough. Ojciec Billa był nadal w pracy. Sharon Denbrough siedziała przy stole w kuchni i czytała gazetę. Zapach przygotowywanego na kolację sztokfisza wpływał do korytarza.

Richie od razu zadzwonił do domu, aby powiedzieć mamie, że nic mu się nie stało, tylko złożył krótką wizytę koledze.

– Jest tam kto?! – zawołała pani Denbrough, kiedy Richie odłożył słuchawkę. Zamarli, popatrując na siebie nawzajem z poczuciem winy. Potem Bill zawołał:

– To j-ja, mamo. I R-r-r…

– Richie Tozier, proszę pani! – krzyknął Richie.

– Cześć, Richie! – odkrzyknęła pani Denbrough bezosobowym głosem, tak jakby w ogóle jej tam nie było. – Zostaniesz na kolacji?

– Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale za jakieś pół godziny przyjedzie tu po mnie mama.

– Pozdrów ją ode mnie, dobrze?

– Oczywiście, proszę pani.

– No, już – wyszeptał Bill. – Dosyć tych pogaduszek.

Weszli na górę, gdzie znajdował się pokój Billa. Panował w nim względny porządek, co oznaczało, że matka Billa na widok tego pomieszczenia dostawała tylko lekkiego bólu głowy. Półki były zapełnione całą masą książek i komiksów. Na biurku leżało jeszcze więcej komiksów, parę modeli, zabawek i zestaw płyt. Stała na nim również stara maszyna do pisania

typu Underwood. Rodzice dali mu ją na gwiazdkę dwa lata temu i Bill od czasu do czasu pisał na niej krótkie opowiadania. Wycieczki w świat ułudy koiły jego umysł.

Na podłodze stał adapter. Na jego zamkniętym wieku leżał stosik ubrań. Bill wrzucił ubrania do szuflady szafki i zdjął płyty z blatu biurka. Przejrzał je i wybrał pół tuzina. Nałożył je na wybierak adapteru i włączył aparaturę. Chwilę potem rozległy się pierwsze tony *Come Softly Darling* zespołu Fleetwood Mac. Richie złapał się za nos.

Bill uśmiechnął się, pomimo że serce waliło mu w piersiach.

– O-o-oni nie l-l-lubią rock and r-r-rolla – powiedział. – D-d-dali mi t-to na u-u-u-urodziny. I dwa a-a-albumy P-pata B-b-boone'a, i T-t-tommy'ego Sandsa. L-l-little R-r-richarda i S-s-screamin' J-jaya Hawkinsa słucham, k-k-kiedy nie ma ich w d-d-domu. Ale jak b-b-będzie słyszała m-m-muzykę, pomyśli, że s-s-siedzimy w m-m-moim p-p-pokoju. Cho-o-o-odźmy.

Pokój George'a znajdował się po drugiej stronie korytarza. Drzwi były zamknięte. Richie spojrzał na nie i oblizał wargi.

– Nie zamykają ich na klucz? – wyszeptał do Billa. Nagle zapragnął, aby jednak były

zamknięte na klucz. Miał taką nadzieję. Zaczął wręcz żałować, że w ogóle wpadł na ten pomysł.

Bill, z pobladłą twarzą, pokręcił głową i nacisnął klamkę. Wszedł do środka i obejrzał się przez ramię na Richiego. Po chwili wahania chłopiec ruszył za nim. Bill zatrzasnął drzwi i piosenka Fleetwood Mac brzmiała już znacznie ciszej. Słysząc szczęk zamka, Richie mimo woli drgnął gwałtownie.

Rozejrzał się wkoło zaniepokojony i jednocześnie zaciekawiony. Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę, była niezwykła suchość powietrza. Było, delikatnie mówiąc, zatęchłe. Już od dawna nikt tu nie otwierał okna, pomyślał. Rany, nikt tutaj od dawna nie oddychał. Dlatego tak tu jest.

Wzdrygnął się lekko na tę myśl i ponownie oblizał wargi. Jego wzrok padł na łóżko George'a i pomyślał o nim śpiącym teraz pod pokrywą ziemi na cmentarzu Mount Hope. Jego dłonie nie były splecione, bo do tego potrzeba dwóch rąk, a George'a pochowano tylko z jedną.

Cichy dźwięk wymknął się z gardła Richiego. Bill odwrócił się i spojrzał na niego pytająco.

– Masz rację – rzucił ochryple Richie. – Tu jest naprawdę strasznie. Nie rozumiem, jak mogłeś wytrzymać tu sam.

– B-był m-m-moim b-b-bratem – odparł Bill. – Czasami po prostu tego chcę, to w-w-wszystko.

Na ścianach wisiały plakaty – dziecięce plakaty. Na jednym z nich widniał Tom Terrific, bohater kreskówek z programu Kapitan Kangaroo. Tom robił salto, trzymając za ręce Crabby'ego Appletona, który był, rzecz jasna, Zepsuty Do Szpiku Kości. Drugi plakat ukazywał siostrzeńców Kaczora Donalda – Hueya, Louiego i Dewiego, maszerujących przez puszczę w śmiesznych futrzastych czapkach drużyny Junior Woodchucks na głowach. Na trzecim, pomalowanym przez samego George'a, Pan Pracuś wstrzymywał ruch, aby gromadka dzieci mogła przejść przez jezdnię. „Czekajcie na przeprowadzacza"! – widniały u dołu słowa Pana Pracusia.

Dzieciak był zbyt niecierpliwy, często wychodził poza linię, pomyślał Richie, a potem się wzdrygnął. Już nie zdoła tego poprawić. Richie spojrzał na stolik przy oknie. Pani Denbrough ułożyła tam wszystkie świadectwa George'a. Patrząc na nie i wiedząc, że nie będzie ich już więcej, bo George umarł, zanim nauczył się nie wychodzić poza kreskę przy kolorowaniu rysunków, a jego życie zakończyło się definitywnie wraz z tymi paroma cenzurkami

(przedszkolnymi i z pierwszej klasy podstawówki), Richie po raz pierwszy pojął idiotyczną prawdę o śmierci. To było dla niego szokiem. Miał wrażenie, jakby wielki stalowy sejf spadł mu na głowę i wbił się głęboko w mózg.

Mogłem umrzeć! – wrzasnął w głębi jego umysłu przepełniony przerażeniem głos. Każdy mógł, każdy mógł!

– Rany kota – powiedział drżącym głosem. Więcej nie zdołał z siebie wydusić.

– Tak – wyszeptał Bill i usiadł na łóżku George'a. – Spójrz. – Richie podążył za palcem wskazującym Billa i zobaczył zamknięty album leżący na podłodze.

– „Moje zdjęcia – przeczytał Richie. – George Elmer Denbrough, lat sześć".

Lat sześć! – wykrzyknął głos jego umysłu tym samym tonem co poprzednio. Lat sześć i ani dnia więcej! Zawsze sześć lat! Aż do śmierci! Na zawsze! Cholera! Każdy z nas mógł umrzeć! Każdy!

– Był o-o-otwarty – powiedział Bill. – Wcześniej.

– A więc się zamknął – rzekł niepewnie Richie. Usiadł na łóżku obok Billa i spojrzał na album. – Wiele książek zamyka się sama z siebie.

– S-s-strony może, ale n-n-nie okładka. Z-zamknęła się s-s-sama. – Obrzucił Richiego ponurym spojrzeniem. Jego oczy w pobladłej, zmęczonej twarzy wydawały się bardzo ciemne. – A-a-ale To chce, żebyś t-t-ty otworzył t-t-ten a-a-album. T-t-tak mi się w-w-wydaje.

Richie wstał i powoli podszedł do albumu. Leżał pod oknem przesłoniętym zasłonami. Wyglądając przez nie, Richie dostrzegł jabłoń w ogródku na tyłach domu. Jej gałęzie, wystające z grubego, pogiętego czarnego pnia, kołysały się wolno w przód i w tył.

Spuścił wzrok i raz jeszcze spojrzał na album. Brzegi stron pokryte były zaschniętymi kasztanowatymi zaciekami. To mógł być stary keczup. Na pewno. Nietrudno było sobie wyobrazić George'a przeglądającego album i jednocześnie jedzącego hot doga albo wielkiego, pękatego hamburgera; odgryza spory kęs i wtedy trochę keczupu bryzga na kartki albumu. Małe dzieciaki zawsze napaprzą. To mógł być keczup. Ale Richie wiedział, że to nieprawda.

Dotknął ostrożnie albumu, a potem szybko cofnął rękę. Album był zimny. Leżał na nasłonecznionym miejscu – tylko zaciągnięte zasłony filtrowały promienie, i chociaż powinien

być nieźle nagrzany po całym dniu, był zimny jak lód.

Dobra, dam już temu spokój, pomyślał Richie. I tak nie chcę otwierać tego starego albumu i oglądać ludzi, których wcale nie znam. Chyba powiem Billowi, że zmieniłem zdanie i chciałbym, żebyśmy w jego pokoju posłuchali muzyki i poczytali komiksy. A potem pójdę do domu, zjem kolację i wcześnie położę się do łóżka, bo jestem strasznie zmęczony, a jutro rano, jak się obudzę, z pewnością przyznam, że ta zaschnięta pacia to był zwykły keczup, i właśnie tak zrobię.

W końcu podniósł album dłońmi, które zdawały się odległe od niego o tysiąc mil, na samym końcu długich, plastikowych ramion, otworzył go i zaczął przeglądać znajdujące się tam fotografie twarzy i miejsc – zdjęcia ciotek, wujków, dzieci, domów, starych fordów i studebakerów, słupów telefonicznych, skrzynek pocztowych, płotów, studzien, diabelskiego młyna w lunaparku, stacji pomp, ruin Zakładów Kitchenera…

Jego palce przesuwały się coraz szybciej i nagle dotarły do pustych, czarnych stron. Mimo woli się cofnął. Natrafił na zdjęcie śródmieścia

Derry, Main Street i Canal Street z lat trzydziestych, a po nim nie było już nic.

– Tu nie ma szkolnego zdjęcia George'a – powiedział Richie. Spojrzał na Billa z mieszaniną ulgi i irytacji. – W co ty sobie lecisz, Wielki Billu?

– Że co?

– To zdjęcie śródmieścia sprzed lat jest ostatnie w całym albumie. Po nim są już tylko puste strony.

Bill wstał z łóżka i podszedł do Richiego. Spojrzał na zdjęcie przedstawiające śródmieście Derry sprzed blisko trzydziestu lat; staromodne samochody i ciężarówki, staroświeckie lampy uliczne z kiśćmi białych kul przypominającymi winogrona, przechodnie idący wzdłuż kanału, zatrzymani w kadrze jednym ruchem migawki.

Przewrócił stronę i tak jak powiedział Richie, okazało się, że była pusta. Nie – niezupełnie pusta. Coś na niej było. Czarny przyklepany trójkącik, w który wkładało się rożek fotografii.

– T-t-to b-było tutaj! – powiedział i stuknął palcem w czarny trójkącik. – P-p-popatrz.

– Jeeeju! Jak myślisz, co się z tym stało?

– N-n-nie w-w-w-wiem.

Bill wziął album od Richiego i trzymał go teraz na podołku. Przewracał strony w poszukiwaniu fotografii George'a. Mniej więcej

po minucie zrezygnował, w przeciwieństwie do kartek albumu. Przewracały się same, wolno, lecz zdecydowanie, przy wtórze głośnego szelestu. Bill i Richie popatrzyli na siebie nawzajem rozszerzonymi oczyma, a potem spuścili wzrok na ożywiony album. Stronice przestały się przewracać, kiedy oczom chłopców ponownie ukazało się ostatnie zdjęcie. Była to fotografia śródmieścia Derry, utrzymana w tonie sepii – przedstawiająca miasto długo przed przyjściem na świat Billa i Richiego.

– Jejku! – powiedział nagle Richie i wziął album od Billa. W jego głosie nie było teraz strachu, ale na twarzy malowało się zdumienie. – Kurczę blade!

– C-co? C-c-co to j-j-jest?

– My! To przecież my! Rety! Spójrz! Spójrz no tylko!

Bill ujął jedną stronę albumu. Pochyleni nad nim wyglądali jak dwaj chłopcy na próbie chóru. Bill gwałtownie zaczerpnął powietrza i Richie już wiedział, że on również to zobaczył.

Zamknięci pod błyszczącą powierzchnią starej fotografii dwaj mali chłopcy szli wzdłuż Main Street w stronę skrzyżowania Main i Center, gdzie kanał wpływał do trzewi miasta na dalsze półtorej mili. Dwaj chłopcy byli

wyraźnie widoczni na tle niskiego betonowego murku na brzegu kanału. Jeden z nich nosił krótkie spodenki. Drugi miał na sobie coś, co wyglądało prawie jak strój marynarza. Na głowie miał tweedową czapeczkę. Byli zwróceni w trzech czwartych profilu do aparatu, patrzyli na coś, co znajdowało się dalej, po drugiej stronie ulicy.

Chłopiec w krótkich spodenkach to bez wątpienia Richie Tozier, a chłopcem w marynarskim ubranku był naturalnie Bill Jąkała. Patrzyli na samych siebie na zdjęciu, prawie trzy razy starszym od nich, jak zahipnotyzowani. Wnętrze ust Richiego zrobiło się nagle suche jak pieprz i gładkie jak szkło. Parę stóp przed chłopcami na zdjęciu stał mężczyzna przytrzymujący rondo swej fedory – jego płaszcz został zarejestrowany w chwili, gdy rozchylał się na boki wydęty gwałtownym podmuchem wiatru.

Na ulicy można było dostrzec fordy T, pierce-arrowy i chevrolety.

– N-n-nie wierzę w t-t-to – zaczął Bill i właśnie wtedy zdjęcie ożyło.

Ford T, który powinien pozostać na zawsze na środku skrzyżowania (albo przynajmniej dopóki chemikalia starego zdjęcia nie rozłożą się

całkowicie), przejechał przez nie w kłębach spalin bijących z rury wydechowej. Pojechał dalej w stronę Milowego Wzgórza. Mała biała ręka wystrzeliła z okna po stronie kierownicy, sygnalizując skręt w lewo. Wóz skręcił w Court Street i wjechawszy za białą ramkę zdjęcia, znikł z pola widzenia.

Pierce-arrowy, chevrolety, packardy – wszystkie zostały wprawione w ruch i zaczęły przejeżdżać przez skrzyżowanie. Mniej więcej po dwudziestu ośmiu latach poły płaszcza mężczyzny opadły wreszcie. Facet nasadził mocniej kapelusz na głowę i oddalił się.

Dwaj chłopcy dokończyli obrót, stanęli *en face* i chwilę potem Richie zobaczył, że patrzyli na kundla przechodzącego przez Center Street. Chłopiec w ubraniu marynarskim – Bill – uniósł dwa palce, wsadził je w kąciki ust i zagwizdał. Richie oszołomiony do tego stopnia, że nie mógł mówić ani myśleć, zdał sobie sprawę, że usłyszał ten gwizd, podobnie jak słyszał warkot silników przejeżdżających samochodów. Odgłosy były słabe, jakby dochodziły zza grubej szyby, ale mimo wszystko słyszalne.

Pies spojrzał w stronę dwóch chłopców, po czym podreptał dalej. Chłopcy spojrzeli na siebie nawzajem, a potem roześmiali się jak Chip i Dale.

Ruszyli przed siebie i w pewnej chwili Richie w krótkich spodenkach schwycił Billa za rękę i wskazał w stronę kanału. Odwrócili się w tamtą stronę.

Nie, pomyślał Richie. Nie rób tego. Nie…

Podeszli do niskiego, betonowego murku i nagle nad jego krawędzią pojawiła się głowa klowna, który wyskoczył jak diabeł z pudełka, klowna z twarzą George'a Denbrough; włosy miał zaczesane do tyłu, krwistoczerwone usta wykrzywiały się w potwornym grymasie, oczy stały się dwiema czarnymi dziurami. Jedną ręką klown trzymał sznurki trzech balonów. Drugą ręką sięgnął w stronę chłopca w marynarskim stroju i schwycił go za szyję.

– N-n-nieee! – krzyknął Bill i wyciągnął rękę w stronę zdjęcia. Jego dłoń zagłębiła się w fotografii.

– Przestań, Bill! – wrzasnął Richie i złapał go z całej siły. O mały włos byłby się spóźnił. Zobaczył, jak czubki palców Billa przechodzą przez zdjęcie i wnikają do świata po drugiej stronie. Zobaczył, jak końce palców zmieniają się z różowych w pożółkłe, jak wszystko, co białe na starych fotografiach.

Jednocześnie stały się małe i odległe. To było jak złudzenie optyczne, podobne do tego, gdy

ktoś wkłada rękę do szklanego naczynia z wodą; część znajdująca się pod powierzchnią wydaje się pływać, oddzielona od ręki i reszty ciała pozostających na zewnątrz. Serie poziomych cięć rozorały palce Billa w miejscu, gdzie przestawały być jego palcami i stawały się częścią fotografii, zupełnie jakby zamiast w głąb zdjęcia włożył rękę pomiędzy śmigła wentylatora.

Richie schwycił go za ramię i szarpnął potężnie. Obaj upadli. Album George'a zleciał na podłogę i zamknął się z głuchym kłapnięciem. Bill włożył palce do ust. Łzy napłynęły mu do oczu. Richie widział krew spływającą po jego dłoni i nadgarstku cieniutkimi strużkami.

– Pozwól mi rzucić okiem – powiedział.

– B-b-boli – rzekł Bill. Wyciągnął rękę w stronę Richiego, wierzchem do góry. W poprzek jego trzech palców, wskazującego, środkowego i serdecznego, biegły głębokie rany. Mały palec zaledwie dotknął powierzchni zdjęcia (jeśli ono w ogóle miało powierzchnię) i choć nie został rozpłatany, Bill powiedział później Richiemu, że paznokieć najmniejszego palca został przycięty tak starannie, jakby dokonały tego nożyczki manikiurzystki.

– Jezu, Bill! – zawołał Richie. – Bandaże.

To jedyne, o czym mógł teraz myśleć. Boże, ależ mieli szczęście – gdyby odciągnął Billa chwilę później, mógłby stracić palce, a tak skończyło się tylko na paru głębszych skaleczeniach.

– Musimy coś z tym zrobić. Twoja matka mogłaby…

– T-t-t-to n-n-nieważne – rzekł Bill. Ponownie wziął do ręki album, rozpryskując krople krwi po podłodze.

– Nie otwieraj go znowu! – krzyknął Richie, chwytając Billa kurczowo za ramię. – Jezu Chryste, o mało nie straciłeś palców!

Bill strącił jego dłoń. Zaczął przerzucać strony albumu, a ponury wyraz nieugiętej determinacji na jego twarzy przeraził Richiego bardziej niż cokolwiek innego.

Oczy Billa były niemal oczyma szaleńca. Jego zranione palce znaczyły album George'a świeżą krwią, która gdy tylko trochę przyschnie, na pewno będzie wyglądała jak rozlany keczup. Oczywiście, że tak.

I ponownie ich oczom ukazała się fotografia śródmieścia. Ford model T stał pośrodku skrzyżowania. Inne samochody zamarły na swoich poprzednich pozycjach. Mężczyzna idący w kierunku skrzyżowania przytrzymywał rondo

swojej fedory – poły jego płaszcza ponownie trzepotały na wietrze.

Dwaj chłopcy zniknęli. Ale…

– Spójrz – wyszeptał Richie i wskazał pewien szczegół. Zrobił to bardzo ostrożnie, uważając, aby nie dotknąć zdjęcia nawet koniuszkiem palca. Nad niskim murkiem przy brzegu kanału widać było łukowaty zarys jakiegoś przedmiotu – czubek czegoś okrągłego. Czegoś, co przypominało balon.

5

Wyszli z pokoju George'a dokładnie na czas. Od schodów dobiegał głos matki Billa, pojawił się też jej cień na ścianie.

– Ćwiczyliście zapasy, chłopcy? – spytała ostro. – Słyszałam jakiś stukot.

– T-t-t-troszeczkę, m-m-mamo. – Bill rzucił Richiemu przenikliwe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „bądź cicho".

– Chcę, żebyście przestali. Miałam wrażenie, że lada moment sufit zwali mi się na głowę.

– J-j-już n-nie będziemy.

Usłyszeli, jak wraca w stronę kuchni. Bill owinął zakrwawioną dłoń chusteczką; materiał zabarwił się czerwienią i lada chwila mógł zacząć ociekać krwią. Chłopcy poszli do łazienki,

gdzie Bill trzymał rękę pod kranem, dopóki krwawienie nie ustało. Po oczyszczeniu rany wyglądały niegroźnie, ale były głębokie. Patrząc na ich białe krawędzie i czerwone mięso tuż pod nimi, Richie poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Owinął je szybko bandażami.

– B-b-boli jak d-d-diabli – syknął Bill.

– To po cholerę włożyłeś tam rękę, co?

Bill spojrzał ponuro na pierścienie bandaży spowijające jego palce, a potem uniósł wzrok na Richiego.

– T-t-to był k-k-klown – powiedział. – K-k-klown udający G-g-george'a.

– Racja – rzekł Richie. – Tak jak udawał mumię, kiedy go zobaczył Ben. I tak jak udawał chorego włóczęgę, którego widział Eddie.

– T-t-trędowatego.

– Właśnie.

– Ale czy t-t-to naprawdę k-k-klown?

– To potwór – rzucił cichym głosem Richie. – Jakiś potwór. Potwór, który zagnieździł się w Derry. To zabija dzieci.

6

W sobotę, niedługo po wydarzeniu z tamą w Barrens, spotkaniu z panem Nellem i incydencie z ożywioną fotografią, Richie, Ben

i Beverly Marsh stanęli twarzą w twarz nie z jednym, lecz z dwoma potworami, i jeszcze za to zapłacili. To znaczy zrobił to Richie. Te potwory były straszne, ale nie niebezpieczne; ścigały swoje ofiary na ekranie kina Aladin, podczas gdy Richie, Ben i Bev obserwowali to z balkonu.

Jednym z potworów był wilkołak, grany przez Michaela Landona, i był świetny, bo nawet przemieniony w potwora miał śmieszną, fikuśną czuprynkę.

Drugim monstrum był trup kierowcy starego automobilu, grany przez Gary'ego Conwaya, przywrócony do życia przez potomka Victora Frankensteina, który niepotrzebnymi kawałkami ciał karmił hodowane w piwnicy wygłodzone aligatory.

Poza tym w programie były pokaz najnowszej paryskiej mody, sprawozdanie z wypadków rakiet Vanguard na Cape Canaveral, dwie kreskówki Warner Bros, po jednym odcinku *Popeye'a* i *Chilly Willy* (z jakiegoś powodu kapelusz Chilly'ego Willy'ego zawsze doprowadzał Richiego do łez) i zapowiedzi nadchodzących atrakcji.

Co się tyczy tego ostatniego, przedstawiono fragmenty z filmów, które Richie natychmiast

wpisał na listę tego-co-musi-zobaczyć. *Wyszłam za kosmicznego potwora* i *Plazmę*.

Podczas seansu Ben zachowywał się bardzo cicho. Mało brakowało, a dobry, gruby Haystack zostałby wcześniej zauważony przez Henry'ego, Victora i Belcha; Richie przypuszczał, że właśnie to go tak trapiło. Ben jednakże bardzo szybko zapomniał o swoich prześladowcach (siedzieli na parterze, blisko ekranu, zajadając się popcornem i rycząc na całe gardło). To Beverly była powodem jego milczenia. Jej bliskość przejmowała go do tego stopnia, że czuł się niemal chory. Ciało pokryła mu gęsia skórka, a kiedy Beverly poruszała się na swoim fotelu, choćby tylko po to, żeby nieznacznie zmienić pozycję, miał wrażenie, że płonie, jakby ogarnęła go tropikalna gorączka.

Kiedy jej ręka muskała jego dłoń, sięgając po kukurydzę, przeszywał go dreszcz uniesienia. Później pomyślał, że te trzy godziny w ciemności obok Beverly były zarazem najdłuższymi i najkrótszymi godzinami w jego życiu.

Richie, nieświadom pierwszych miłosnych rozterek Bena, bawił się setnie. Jego zdaniem była tylko jedna rzecz lepsza od filmów z Francisem Mówiącym Mułem – a mianowicie horrory. I do tego oglądane w kinie pełnym

dzieciaków, wrzeszczących i krzyczących w najbardziej krwawych momentach. Naturalnie nie skojarzył wydarzeń przedstawianych w tych dwóch niskobudżetowych filmach z tym, co działo się w mieście… w każdym razie jeszcze nie wtedy. Dowiedział się o podwójnym sobotnim seansie z piątkowej gazety i prawie natychmiast zapomniał, jak kiepsko spał zeszłej nocy i jak, nim położył się do łóżka, zapalił światło w szafie (było to – rzecz jasna – bardzo dziecinne, ale dopóki tego nie zrobił, nie mógł zmrużyć oka).

Rano wszystko znów wydawało się normalne… w każdym razie prawie. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem on i Bill nie ulegli halucynacji. Oczywiście rany na palcach kolegi nie były złudzeniem, ale kto wie, być może Bill zwyczajnie pozacinał się papierem. Dość grubym papierem. Całkiem możliwe. Mogło się tak zdarzyć. Poza tym nie było chyba prawa, które nakazywałoby mu zastanawiać się nad tym przez następne dziesięć lat, prawda? Oczywiście, że nie.

Dlatego też po przygodzie, która każdego dorosłego zmusiłaby do natychmiastowej wizyty u najbliższego psychiatry, Richie Tozier wstał z łóżka, zjadł olbrzymią porcję płatków, zobaczył w gazecie zapowiedź dwóch horrorów, sprawdził

swoje zasoby finansowe, które na jego nieszczęście okazały się niezbyt wysokie (zerowe byłoby w tym wypadku lepszym określeniem) i zaczął dopytywać się ojca, czy nie miałby dla niego jakiejś roboty.

Ojciec, który zasiadł już przy stole ubrany w swój biały dentystyczny fartuch, odłożył część gazety z rubryką sportową i nalał sobie drugą filiżankę kawy. Był miłym z wyglądu mężczyzną o dość pociągłym obliczu. Nosił okulary w drucianej oprawce, z tyłu głowy miał małą łysinkę. (W 1973 roku umrze na raka krtani). Spojrzał na reklamę, którą pokazywał mu Richie.

– Horrory – rzekł Wentworth Tozier.

– Tak – odparł z uśmiechem Richie.

– Chciałbyś pójść, co? – spytał Wentworth Tozier.

– Taaak!

– I jak sądzę, wyzionąłbyś ducha w konwulsjach rozczarowania, gdybyś nie obejrzał tych dwóch szmatławych filmideł?

– Tak! Tak! Tak! O tak! Gheeee! – Richie spadł z krzesła na podłogę, chwytając się za gardło i wysuwając z ust język. Był to jeden z ulubionych sposobów Richiego oczarowywania ludzi.

– Boże, Richie, mógłbyś wreszcie przestać? – spytała matka stojąca przy kuchence, gdzie smażyła jajka w formie dodatku do naleśników.

– Daj spokój, Rich – powiedział ojciec, gdy Richie ponownie usadowił się na krześle.

– Wydaje mi się, że zapomniałem ci wypłacić w poniedziałek kieszonkowe. To jedyny powód, dla którego w piątek mógłbyś potrzebować pieniędzy. W każdym razie nie umiem wymyślić nic bardziej sensownego.

– No…

– Jesteś bez grosza?

– No…

– To wyjątkowo głęboki temat dla chłopca o tak płytkim rozumku – skomentował Wentworth Tozier. Oparł się jednym łokciem o blat stołu i podparł brodę dłonią, przyglądając się synowi z wyrazem głębokiego zafascynowania. – Co zrobiłeś z tymi pieniędzmi?

Richie natychmiast przerzucił się na głos Toodlesa – angielskiego kamerdynera.

– Co z nimi zrobiłem, szefie? Wydałem, rzecz jasna. Trzask-prask i po wszystkim. Trochę na to, trochę na tamto i już. To był mój wkład w wojnę. Każdy musiał się dołożyć, żeby pokonać przeklętych Hunów, no nie? A to kosztuje… to kanapka, to coś do picia, to stek…

– Stek bzdur – przerwał uprzejmie Went i sięgnął po słoik konfitur truskawkowych. – Gówno prawda – dorzucił.

– Oszczędź mi takiego słownictwa przy śniadaniu, dobrze? – rzekła Maggie Tozier do męża, przynosząc Richiemu do stołu talerz z jajecznicą. A do Richiego: – Nie wiem, po co chcesz zapełniać sobie głowę takimi bzdurami.

– Oj, mamo – jęknął Richie. Zewnętrznie był przybity, ale wewnętrznie promieniał ze szczęścia. Rodzice byli dlań jak książki, znane, stare i kochane książki; teraz był już pewien, że dostanie to, czego chciał: otrzyma zadanie do wykonania i fundusze na sobotni seans filmowy.

Went nachylił się do Richiego i uśmiechnął się szeroko.

– Tuś mi, bratku – powiedział.

– Naprawdę, tato? – rzekł Richie i odpowiedział uśmiechem… sztucznie niepewnym, rzecz jasna.

– O tak, znasz swój trawnik, Richie? Zaznajomiłeś się z nim, jak należy?

– Oczywiście, szefie – odparł Richie, ponownie stając się (bądź usiłując się stać) kamerdynerem Toodlesem. – Zarósł, no nie?

– Hm – mruknął Went. – I ty, Richie, doprowadzisz go do porządku.

– Ja?

– Tak, ty. Przystrzyżesz trawnik, Richie.

– W porządku, tato. Oczywiście – powiedział Richie i nagle w jego umyśle pojawiło się straszne podejrzenie. Może jego ojciec nie miał na myśli tylko frontowego trawnika.

Uśmiech Wentwortha Toziera zmienił się w szeroki, drapieżny, rekini grymas.

– Całość, kretyński potomku moich lędźwi. Trawnik frontowy, tył i boczne. A kiedy skończysz, położę na twoją dłoń dwa zielone kawałki papieru z podobiznami Jerzego Waszyngtona z jednej strony i wizerunkami piramidy z Zawsze-Czujnym-Okiem z drugiej.

– Nie rozumiem cię, tato – rzekł Richie, choć z niepokojem czuł, że było dokładnie na odwrót.

– Dwa dolce.

– Dwa dolce za cały trawnik?! – wykrzyknął Richie z niekłamanym bólem. – To największy trawnik na całej ulicy! Jeezu, tato!

Went westchnął i ponownie podniósł gazetę. Richie widział nagłówek na pierwszej stronie. ZAGINIĘCIE CHŁOPCA WYWOŁUJE NOWĄ FALĘ STRACHU.

Pomyślał przez chwilę o dziwnym albumie George’a Denbrough – ale to z całą pewnością

była tylko halucynacja – a nawet jeżeli nie, zdarzyło się to wczoraj.

– Wydaje mi się, że nie zależy ci za bardzo na obejrzeniu tych filmów – rzekł Went zza gazety. Chwilę potem nad jej górną krawędzią pojawiły się jego oczy, przyglądając się bacznie Richiemu. Prawdę mówiąc, przyglądały mu się z pewną dozą lekceważenia. Przyglądały mu się tak, jak facet z karetą na ręku przygląda się swemu pokerowemu przeciwnikowi ponad wachlarzem kart.

– Kiedy bliźniaki Clarków to zrobią, dajesz im po dwa dolce. Na łebka!

– To prawda – przyznał Went. – Ale jak mi wiadomo, im nie zależy na pójściu jutro do kina na podwójny seans. A jeśli nawet chcą się tam wybrać, to najwyraźniej muszą mieć na to fundusze, bo nie wpadli tu ostatnio z zapytaniem o stan trawników otaczających naszą posesję. Ty jesteś w o tyle gorszej sytuacji, że chciałbyś pójść do kina, ale nie masz pieniędzy. To, co ściska cię w żołądku, Richie, to może być te pięć naleśników i porcyjka jajecznicy, jaką opędzlowałeś na śniadanie, lub też, co bardziej prawdopodobne, świadomość, że mam cię w garści. Prawda? – Oczy Wenta ponownie znikły za płachtą gazety.

– On mnie szantażuje – powiedział Richie do matki, która jadła suchego tosta, bo chciała ponownie trochę schudnąć. – To szantaż. Mam nadzieję, że wiesz o tym.

– Tak, kochanie. Wiem – odparła matka. – Masz jajko na brodzie.

Richie starł z brody resztki jajka.

– Trzy dolce, jeśli uporam się z tym do wieczoru? – zwrócił się do gazety.

Oczy ojca ponownie pojawiły się na krótką chwilę.

– Dwa i pół.

– O rety – rzekł Richie. – Ty i Jack Benny.

– To mój idol – odparł Went zza gazety. – Zdecyduj się wreszcie, Richie. Chciałbym doczytać ten artykuł o boksie.

– Stoi – powiedział Richie i westchnął. Kiedy twoi starzy trzymali cię za jaja, naprawdę wiedzieli, jak należy je ściskać. Po namyśle można się było z tego nieźle obśmiać. Tak. To było całkiem zabawne. Kosząc trawę, ćwiczył swoje głosy.

7

Skończył trawniki – przed frontem, po bokach i na tyłach domu – o trzeciej po południu w piątek i rozpoczął sobotę z dwoma dolarami

i pięćdziesięcioma centami w kieszeni dżinsów. Prawie fortuna. Zadzwonił do Billa, ale ten oznajmił ponuro, że musi pojechać do Bangor na jakiś test logopedyczny.

Richie szczerze mu współczuł, a potem dodał, naśladując najlepiej, jak potrafił, głos Billa Jąkały.

– D-d-daj i-i-im p-p-popalić, B-b-bill.

– M-masz t-to u mnie j-j-jak w b-b-b-banku, T-t-tozier – odparł Bill i odłożył słuchawkę.

Potem zadzwonił do Eddiego Kaspbraka, ale Eddie sprawiał wrażenie jeszcze bardziej przygnębionego niż Bill – jego matka załatwiła dla siebie i dla niego jednodniowe bilety autobusowe i postanowiła zabrać Eddiego z wizytą do trzech ciotek mieszkających w Haven, Bangor i Hampden. Wszystkie trzy były grube jak pani Kaspbrak i żadna z nich nie była mężatką.

– Będą mnie szczypać w policzki i mówić, jak bardzo urosłem – rzekł Eddie.

– To dlatego, że jesteś taki śliczny, Eds. Tak samo jak ja. Jak cię tylko pierwszy raz zobaczyłem, od razu mi się spodobałeś.

– Czasami, Richie, jesteś prawdziwą kupą gówna.

– Poznasz jedną, to tak jakbyś znał wszystkie, Eds. Wpadniesz do Barrens w przyszłym

tygodniu?

– Chyba tak… jeżeli wy też tam będziecie. Pobawimy się w strzelaninę?

– Może. Ja i Wielki Bill mamy wam coś do opowiedzenia.

– Co?

– W gruncie rzeczy to, jak sądzę, opowieść Billa. No to na razie. Baw się dobrze u tych swoich ciotek.

– Bardzo zabawne.

Trzeci telefon wykonał do Stana, ale okazało się, że starzy akurat uziemili go za wybicie szyby w największym z okien. Stan bawił się przy domu, zmieniając talerzyk na ciastka w prawdziwy latający talerz i przez przypadek trafił w okno. Błędne koordynaty. Brzdęk. Przez cały weekend musiał harować jak wół i najprawdopodobniej w przyszłym tygodniu czekało go to samo. Richie złożył mu wyrazy współczucia, a potem spytał Stana, czy w przyszłym tygodniu przyjdzie do Barrens.

Stan odparł, że najprawdopodobniej tak, jeżeli ojciec nie zdecyduje się zabronić mu wychodzenia z domu albo coś w tym rodzaju.

– Jezu, Stan, to było tylko okno – rzekł Richie.

– Tak, ale duże – odparł Stan i odłożył słuchawkę.

Richie miał już wyjść z pokoju, kiedy pomyślał o Benie Hanscomie. Przejrzał książkę telefoniczną i odnalazł w niej numer Arlene Hanscom. Jako że była jedyną panią Hanscom spośród czterech osób o tym nazwisku widniejących w spisie, Richie uznał, że to musiał być numer Bena, i zadzwonił, aby to sprawdzić.

– Chciałbym pójść, ale nie mam już ani centa – powiedział Ben. W jego słowach pobrzmiewały smutek i zawstydzenie. Prawdę powiedziawszy, wydał te pieniądze na słodycze i napoje gazowane.

Richie, który akurat nie narzekał na brak pieniędzy (i który nie lubił chodzić do kina sam), zaproponował:

– Mam sporo forsy. Pożyczę ci.

– Tak? Naprawdę? Zrobiłbyś to?

– Pewno – rzekł Richie z zakłopotaniem w głosie. – Czemu nie?

– W porządku! – rzucił wyraźnie uszczęśliwiony Ben. – Świetnie! To będzie wspaniałe! Dwa horrory! Czy powiedziałeś, że jeden z tych filmów jest o wilkołaku?

– Tak.

– Chłopie, uwielbiam filmy o wilkołakach!

– Jezu, Haystack, tylko nie zlej się w gacie.

Ben wybuchnął śmiechem.

– Zobaczymy się pod kinem, okay?

– Tak. Świetnie.

Richie odłożył słuchawkę i spojrzał z zadumą na telefon. Nagle przyszło mu na myśl, że Ben Hanscom był samotny. A to z kolei wprawiło go w prawie heroiczny nastrój. Poczuł się jak prawdziwy bohater. Idąc na górę, by przed kinem przejrzeć jeszcze parę komiksów, pogwizdywał wesoło.

8

Dzień był słoneczny, wietrzny i chłodny. Richie szedł tanecznym krokiem wzdłuż Center Street w stronę kina Aladyn, nucąc pod nosem *Rockin' Robin*. Czuł się wspaniale. Pójście do kina zawsze wprawiało go w doskonały nastrój – uwielbiał ten magiczny świat, te czarodziejskie sny. Współczuł wszystkim, którzy w taki dzień musieli wypełniać jakieś nudne obowiązki – Billowi idącemu na terapię logopedyczną, Eddiemu, który musiał odwiedzić ciotki, biednemu staremu Stanowi Manowi, który zapewne przez całe popołudnie będzie oskrobywał schody werandy albo zamiatał garaż tylko dlatego, że rzucany przez niego talerzyk zamiast w lewo, poleciał w prawo. Richie miał jo-jo w tylnej kieszeni spodni, a teraz wyjął je

i starał się ponownie ukołysać je do snu. Była to umiejętność, która stanowiła jedno z ukrytych marzeń Richiego, i jak na razie nic nie wskazywało na to, by miało się ono spełnić. To szalone małe świństwo albo opadało i z miejsca podrywało się w górę, albo po opadnięciu zamierało na końcu sznurka i już nic nie można było z nim zrobić.

W połowie Center Street Hill zobaczył dziewczynę w beżowej plisowanej spódniczce i białej bluzce bez rękawów, siedzącą na ławce przed drugstore'em. Jadła coś, co wyglądało jak lody pistacjowe. Kaskada rudych włosów, które w słońcu raz wydawały się miedziane, a innym razem prawie złote, sięgała jej aż do łopatek.

Richie znał tylko jedną dziewczynę o włosach tak niezwykłej barwy. To była Beverly Marsh. Richie lubił Beverly. Nawet bardzo. Podziwiał jej figurę (i wiedział, że nie był pod tym względem odosobniony – Sally Mueller i Greta Bowie nienawidziły jej jak zarazy, nie mogąc pojąć swymi zbyt młodymi jeszcze móżdżkami, jak to możliwe, żeby one, które przecież mogą mieć wszystko, co zechcą, musiały konkurować z jakąś dziewczyną z biednej dzielnicy), ale przede wszystkim lubił ją, bo była twarda i cechowało ją spore poczucie humoru. I zwykle miała przy

sobie papierosy. Krótko mówiąc, lubił ją, bo była dobrym kumplem. Pomimo to przyłapał się raz czy dwa na tym, że zastanawiał się, jaki kolor mają majtki Bev ukryte pod skąpym materiałem jej nieco wyblakłej spódniczki, a raczej nie zastanawiał się nad tym, gdy myślał o innych znajomych. I Richie musiał przyznać, że ta dziewczyna była naprawdę pięknym kumplem.

Podchodząc do ławki, na której siedziała, jedząc lody, Richie zapiął pasek niewidzialnego płaszcza i nasadził mocniej na głowę niewidzialny kapelusz, udając Humphreya Bogarta. Gdy dodał do tego właściwy głos, stał się Humphreyem Bogartem – w każdym razie w swoim mniemaniu. Dla wszystkich innych pozostanie w dalszym ciągu Richiem Tozierem, tyle że jakby odrobinę zachrypniętym.

– Widaj, gochanie – powiedział, przystając przy ławce i lustrując wzrokiem ulicę. – Nie ma szenszu czekać tu na autobusz. Nażyści odcięli nam odwrót. Ostatni szamolot odlatuje o północy. Polecisz nim. On cię potrzebuje, gochaanie. Ja również… ale jakoś szobie poradzę.

– Cześć, Richie – powiedziała Bev, a kiedy odwróciła się do niego, zobaczył purpurowoczarny siniak na jej prawym policzku, przypominający cień skrzydła kruka. Ponownie

był nią urzeczony… tyle że teraz wydawała mu się prawie piękna. Aż do tej chwili nigdy nie przyszło mu na myśl, że piękne dziewczyny można spotkać gdzie indziej oprócz ekranu w kinie albo że mógłby znać jedną z nich.

Być może to właśnie ten siniak pozwolił mu dostrzec jej urodę – zasadniczy kontrast, skaza, która najpierw przykuwa uwagę patrzącego, a następnie pozwala zdefiniować resztę – szaroniebieskie oczy, naturalnie czerwone usta, nieskazitelną kremową skórę. Bev miała na nosie parę małych piegów.

– Zobaczyłeś coś zielonego? – spytała, unosząc zuchwale głowę.

– Ciebie, kochanie – rzekł Richie. – Cała jesteś zielona jak szerek pleśniowy. Ale kiedy wydosztaniemy cię już z Casablanki, pójdziesz do najlepszego szpitala, jaki można załatwić za pieniądze. Znowu będziesz biała. Przysięgam na imię mojej matki.

– Ale z ciebie głupek, Richie. Twój głos wcale nie przypomina głosu Humphreya Bogarta. – Mówiąc to, uśmiechnęła się delikatnie pod nosem.

Richie usiadł obok niej.

– Chodzisz do kina?

– Nie mam forsy – odparła. – Mogę zerknąć na twoje jo-jo?

Podał jej zabawkę.

– Powinno wracać – powiedział. – Powinno się cofać, kiedy się je szarpnie, ale nie chce. Coś się schrzaniło.

Włożyła palec w pętlę ze sznurka, a Richie nasunął okulary nieco wyżej na nos, by móc przyjrzeć się, co Bev będzie robiła lepiej od niego. Odwróciła rękę wnętrzem do góry – jo-jo ułożyło się w zagłębieniu jej nieznacznie zgiętej dłoni. Opuściła jo-jo wzdłuż palca wskazującego. Szpulka potoczyła się w dół i dotarłszy do końca sznurka, usnęła. Kiedy Bev poruszyła palcami w geście przywołania, jo-jo posłusznie się obudziło i zaczęło się wspinać po sznurku w kierunku jej ręki.

– Rety, rety, patrzcie tylko! – rzucił Richie.

– To dziecinnie proste – oznajmiła Beverly. – Spójrz tylko. – Ponownie opuściła jo-jo. Pozwoliła mu chwilę pospać, a potem podciągnęła je kilkoma krótkimi szarpnięciami.

– Przestań już – mruknął Richie. – Nie cierpię, jak się ktoś popisuje.

– A jak ci się to podoba? – spytała Bev, uśmiechając się słodko; wymachiwała jo-jo do przodu i do tyłu, sprawiając, że czerwona

drewniana szpulka zachowywała się jak bo-lo, które miał kiedyś Richie. Skończyła podwójnym „dookoła świata” (o mały włos uderzając pewną przechodzącą obok starszą panią, która się im przyglądała). Jo-jo wylądowało na jej dłoni ze sznurkiem owiniętym gładko wokół szpulki. Bev oddała zabawkę Richiemu i ponownie usiadła na ławce. Richie przysiadł obok niej; usta miał rozdziawione w wyrazie bezgranicznego podziwu. Bev spojrzała na niego i zachichotała.

– Zamknij buzię, bo ci mucha wleci.

Richie głośno kłapnął szczękami.

– Przyznaję, że miałam dziś trochę szczęścia. Po raz pierwszy udało mi się zrobić podwójne „dookoła świata”.

Siedzących na ławce Bev i Richiego mijały grupki dzieciaków zmierzających w stronę kina. Peter Gordon szedł obok Marcii Fadden. Przypuszczalnie byli razem, ale jak sądził Richie, stało się tak tylko dlatego, że mieszkali obok siebie i oboje byli skończonymi kretynami, więc jedyne, co mogli zrobić, to połączyć siły i wspierać się nawzajem. Twarz Petera, pomimo że miał zaledwie dwanaście lat, pokryła się już sporą porcją trądziku młodzieńczego.

Gordona widywano czasem z Bowersem, Crissem i Hugginsem, ale nie był dostatecznie

odważny, aby spróbować czegokolwiek na własną rękę. Spojrzał przez ramię na Richiego i Bev siedzących razem na ławce i zaintonował:

– Richie i Bev razem! Patrzcie no! Ale się dobrali. No, jazda… Po-ca-łuj-cie się! Najpierw miłość, potem ślub, a…

– Potem Richie z wózkiem tup, tup, tup – dokończyła Marcia poprzez śmiech.

– Usiądź na tym, kochanie – powiedziała Beverly, wyciągając w ich stronę dłoń z wyprostowanym środkowym palcem.

Marcia odwróciła wzrok z oburzeniem, jakby nie dowierzała, że ktoś może być tak wulgarny. Gordon ją objął i przez ramię zawołał do Richiego:

– Może zobaczymy się później, okularniku!

– Może zobaczysz pas do pończoch swojej matki – odparował Richie szybko (lecz odrobinę nonsensownie). Beverly wybuchnęła śmiechem. Oparła się przez chwilę na ramieniu Richiego i to wystarczyło, by uznał to dotknięcie i wrażenie, że ją podtrzymywał, za całkiem przyjemne. Ale Bev zaraz znów się wyprostowała.

– Para palantów – burknęła.

– Tak, myślę, że Marcia Fadden szcza perfumami – powiedział Richie, a Beverly ponownie zachichotała.

– Chanel numer pięć – dodała zduszonym głosem, bo przez cały czas zakrywała usta dłonią.

– Z pewnością – przyznał Richie, choć nie miał zielonego pojęcia, co to takiego Chanel numer pięć. – Bev?

– Co?

– Pokażesz mi, jak to robisz z jo-jo?

– Chyba tak. Nigdy jeszcze nikogo nie uczyłam.

– Jak się nauczyłaś? Kto ci pokazał?

Spojrzała na niego z niesmakiem.

– Nikt mi nie pokazał. Sama do tego doszłam. Tak jak z żonglowaniem buławą. Jestem w tym dobra…

– Prawdę mówiąc, skromnością to ty nie grzeszysz – rzucił Richie, przewracając oczyma.

– Może i tak – odparła. – Ale u nikogo lekcji nie brałam. Nic z tych rzeczy.

– Naprawdę umiesz żonglować?

– Jasne.

– To pewnie będziesz cheerleaderką w liceum?

Uśmiechnęła się. Był to uśmiech, jakiego Richie nigdy dotąd nie widział. Mieszanka mądrości, cynizmu i smutku. Czując bijącą od niej moc, Richie cofnął się nieznacznie, tak jak to

zrobił, kiedy zdjęcie w albumie Billa zaczęło żyć własnym życiem.

– To dla takich dziewczyn jak Marcia Fadden – powiedziała. – Dla niej, dla Sally Mueller i Grety Bowie. Dla panienek, które szczają perfumami. Rodzice kupują im sprzęt do ćwiczeń i stroje. Właśnie takie dziewczyny zostają cheerleaderkami. Ja nigdy się nie załapię. Mowy nie ma.

– Jezu, Bev, jak możesz być tak…

– Mogę, bo to prawda. – Wzruszyła ramionami. – Nie zależy mi. A w sumie kto ma chęć wywijać koziołki i pokazywać majtki całej masie ludzi? Patrz, Richie. Uważaj.

Przez następne dziesięć minut pokazywała Richiemu, jak powinien usypiać jo-jo. Pod koniec Richie prawie już umiał, choć zazwyczaj po przebudzeniu szpulka pokonywała tylko połowę długości sznurka.

– Po prostu nie podrywasz palców dostatecznie mocno, to wszystko – powiedziała.

Richie spojrzał na zegar na Merrill Trust po drugiej stronie ulicy i zerwał się z ławki, wciskając jo-jo do tylnej kieszeni spodni.

– Jeju. Muszę już iść, Bev. Mam się spotkać z Haystackiem. Jeszcze pomyśli, że zmieniłem zdanie albo coś takiego.

– Kim jest ten Haystack?

– Ben Hanscom. Ale ja mówię na niego Haystack. No, wiesz, jak Haystack Calhoun, ten zapaśnik.

Bev spojrzała na niego surowo.

– To niezbyt miłe z twojej strony. Lubię Bena.

– Nie bić moja, massa. – Richie przeszedł na kolejny ze swoich głosów, przewracając oczyma i składając ręce jak do modlitwy. – Nie bić moja. Moja być już dobry. Pani przekonać, że być…

– Richie – powiedziała cicho Bev. Richie przestał.

– Ja też go lubię – oświadczył. – Parę dni temu wszyscy razem zbudowaliśmy w Barrens tamę i…

– Byliście tam? Ty i Ben bawiliście się tam?

– Jasne. Nie tylko my dwaj. Byliśmy całą gromadką. Tam jest fajowo. – Richie ponownie spojrzał na zegar. – Naprawdę muszę już zmykać. Ben będzie na mnie czekał.

– W porządku.

Zamyślił się, po czym rzekł:

– Jeżeli nigdzie się nie wybierasz, to chodź ze mną.

– Powiedziałam ci. Nie mam forsy.

– Fundnę ci. Mam parę dolców.

Wrzuciła resztkę rożka z lodami do najbliższego kosza na śmieci. Jej oczy, stanowiące wspaniały melanż szarości i błękitu, zwróciły się w jego stronę. Widniało w nich szczere rozbawienie. Udając, że rozczesuje palcami włosy, zapytała:

– Czyżbyś proponował mi randkę, mój drogi?

Richie był przez chwilę podniecony, co mu się nieczęsto zdarzało. Na policzkach chłopca wykwitły rumieńce. Złożył jej propozycję w sposób jak najbardziej naturalny, tak jak wcześniej Benowi… tyle że Ben będzie mu winny za bilet. Tak. Jeśli chodzi o Beverly, nie szepnął ani słówkiem o pożyczce.

Richie poczuł się dziwnie. Spuścił wzrok, nie chcąc widzieć jej rozbawionych oczu, i nagle zdał sobie sprawę, że kiedy Bev wyrzucała resztkę lodów do kosza, spódniczka podsunęła się nieznacznie do góry, tak że mógł zobaczyć jej kolana. Uniósł wzrok, ale to też nic mu nie dało. Teraz patrzył na krągłości, które z wolna zaczęły rysować się pod jej bluzką.

Richie, jak to zwykle bywało w chwilach zakłopotania, wybrał rozwiązanie całkiem absurdalne.

– Tak! Randkę! – wrzasnął, rzucając się przed nią na kolana i unosząc złożone dłonie. – Proszę,

chodź! Proszę, chodź! Jeśli tego nie zrobisz, zabiję się. No i co? I jak będzie? No jak? Jak?

– Och, Richie. Ty masz naprawdę nie po kolei w głowie – powiedziała i ponownie zachichotała… ale czy jej policzki nie zaczerwieniły się nieznacznie? Jeżeli nawet, to wyglądała teraz jeszcze ładniej niż kiedykolwiek dotąd.

– Podnieś się, zanim cię aresztują.

Wstał z klęczek i ponownie usiadł obok niej. Czuł, że odzyskał już wewnętrzną równowagę. Wierzył, że w chwilach oszołomienia i zakłopotania najlepszym lekarstwem jest odrobina szaleństwa.

– Pójdziesz? – zapytał.

– Oczywiście – odparła. – Bardzo dziękuję. Pomyśl tylko! Moja pierwsza randka. Nie mogę się doczekać, jak dziś wieczorem napiszę o tym w pamiętniku. – Złożyła obie ręce pomiędzy swymi pączkującymi piersiami, zamrugała powiekami, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Chciałbym, żebyś przestała to tak nazywać – oznajmił Richie.

Westchnęła.

– Masz mało romantyczną duszę.

– Może i tak.

Wewnętrznie czuł się jednak bardzo szczęśliwy. Świat wydawał mu się wyjątkowo przyjazny i dobry. Od czasu do czasu odwracał głowę, żeby na nią spojrzeć. Bev patrzyła na okna wystawowe sklepów – na sukienki i koszule nocne u Cornella-Hopleya, ręczniki i garnki na wystawie Discount Barn, a on wodził wzrokiem po jej włosach i wzdłuż delikatnej linii szczęki. Patrzył na jej nagie ramię wyłaniające się z okrągłego otworu bluzki. Dostrzegł skrawek ramiączka stanika. Wszystko to wprawiło go w iście szampański nastrój. Nie potrafił powiedzieć czemu, ale nigdy, tak jak właśnie w tej chwili, ponure wydarzenia w sypialni George'a nie wydawały mu się bardziej odległe i nierzeczywiste.

Był już najwyższy czas, aby ruszyć na spotkanie z Benem Hanscomem, ale on jeszcze przez dłuższą chwilę siedział obok Bev, która lustrowała wzrokiem wystawy sklepów, bo patrzenie na nią i bycie z nią sprawiało mu niewyobrażalną przyjemność.

9

Dzieciaki kupowały w kasie kina bilety po ćwierć dolca od sztuki, a potem wchodziły do holu. Patrząc przez ścianę szklanych drzwi,

Richie widział spory tłumek przy ladzie ze słodyczami. Maszyna do prażonej kukurydzy ciągnęła resztką sił, ziarna popcornu wysypywały się na podłogę, a zatłuszczona klapka na zawiasach na przemian unosiła się i opadała.

Bena nie było nigdzie widać. Richie spytał Beverly, czy go nie zauważyła. Pokręciła głową.

– Może jest już w środku.

– Powiedział, że jest bez grosza. A Córka Frankensteina nie wpuściłaby go bez biletu.

Richie wskazał kciukiem na panią Cole, która była bileterką w kinie Aladyn na długo przed tym, jak wprowadzono film dźwiękowy. Jej wyblakłe rude włosy były teraz tak rzadkie, że mogłeś zobaczyć przez nie skórę czaszki. Miała olbrzymie, obwisłe usta, które malowała śliwkową szminką. Jej policzki pokrywała gruba, nieregularna plama różu. Brwi pociągnięte były czarną kredką. Pani Cole była zaiste doskonałą demokratką. Nienawidziła tak samo wszystkich dzieci, co do jednego.

– Rany, nie chcę wejść tam bez niego, ale zaraz zacznie się seans – rzekł Richie. – Gdzie on się, kurczę, podział?

– Możesz mu kupić bilet i zostawić u bileterki – powiedziała całkiem rozsądnie Bev. – A jak

przyjdzie…

I właśnie w tej samej chwili zza rogu Center i Macklin wyłonił się Ben. Był zdyszany, a potężny kałdun ukryty pod bluzą dresu kołysał się na boki. Zobaczył Richiego i uniósł dłoń, aby mu pomachać. Potem dostrzegł Bev i jego ręka zawisła nieruchomo w powietrzu. Oczy chłopca rozszerzyły się na chwilę. Dokończył machnięcia dłonią i powoli podszedł do Richiego i Bev, stojących pod markizą kina Aladyn.

– Cześć, Richie – powiedział, a potem rzucił krótkie spojrzenie w stronę Bev. Zupełnie tak, jakby się obawiał, że patrząc na nią przez dłuższą chwilę, mógłby stracić wzrok. – Siemasz, Bev.

– Czołem, Ben – przywitała go i zapadło dziwne milczenie, choć nie można powiedzieć, aby było ono w jakiś sposób nieprzyjemne.

Richie poczuł coś w rodzaju emanacji mocy, a gdzieś w głębi pod sercem dosięgło go delikatne ukłucie zazdrości, bo pomiędzy tamtą dwójką przeszło coś niewidzialnego, a on najnormalniej w świecie został pominięty. Wyłączono go.

– Siema, Haystack! – powiedział. – Jużem myślał, żeś spękał. Na tych filmach stracisz z dziesięć funtów sadła. Tak, tak, chłopie, na tym seansie twoje włosy staną się siwe. Bileter będzie

ci musiał pomóc wyjść z kina, bo tak się będziesz trząsł, że nie zdołasz ustać na nogach o własnych siłach.

Richie ruszył w stronę kasy, a Ben dotknął jego ramienia. Chciał coś powiedzieć, spojrzał na Beverly i musiał zacząć od początku.

– Byłem tu wcześniej – oświadczył – ale przeszedłem przez ulicę i skręciłem za róg, kiedy zobaczyłem tych typków.

– Jakich typków? – zapytał Richie, choć znał już odpowiedź.

– Henry'ego Bowersa, Victora Crissa i Belcha Hugginsa. I paru innych.

Richie gwizdnął.

– Musieli już wejść do środka. Nie widziałem, żeby któryś z nich kupował słodycze.

– Tak. Pewnie tak.

– Na ich miejscu, chcąc obejrzeć horror, oszczędziłbym sobie wydawania pieniędzy na bilet do kina – powiedział Richie. – Po prostu spojrzałbym w lusterko. Taniej by wyszło.

Bev roześmiała się serdecznie, ale Ben nie miał wesołej miny. Uśmiechał się tylko pod nosem.

Owego dnia, w zeszłym tygodniu, Henry Bowers z początku chciał go tylko zranić, ale

skończyło się na tym, że miał ochotę go zabić. Ben był tego stuprocentowo pewny.

– Powiem ci coś – rzekł Richie. – Pójdziemy na balkon. Tamci na pewno będą siedzieć w drugim albo trzecim rzędzie na parterze z nogami na oparciach foteli.

– Jesteś tego pewny? – zapytał Ben. Nie był przekonany, czy Richie wiedział, z kim miał do czynienia. To byli naprawdę okropni ludzie, a Henry Bowers był najgorszym łobuzem z nich wszystkich.

Richie, który z niemałym trudem uniknął trzy miesiące temu solidnego lania z rąk Henry'ego i jego nienormalnych kolesiów (po długiej ucieczce zdołał ich w końcu zgubić w dziale zabawek Freese's Department Store), znał Henry'ego i jego wesołą gromadkę lepiej, niż się Benowi wydawało.

– Gdybym nie był pewny, nie wszedłbym do środka – powiedział. – Zależy mi na obejrzeniu tych filmów, Haystack, ale nie aż tak, żeby dać się z tego powodu zabić.

– Poza tym, gdyby zaczęli sprawiać kłopoty, będziemy mogli powiedzieć Foxy'emu, żeby ich wyrzucił – rzekła Bev.

Foxy, a raczej pan Foxworth, był chudym, posępnym mężczyzną o ziemistej cerze, który

pełnił funkcję kierownika kina. Teraz sprzedawał cukierki i prażoną kukurydzę.

– Czekajcie na swoją kolejkę, czekajcie na swoją kolejkę – mówił. W wyświechtanym garniturze i pożółkłej koszuli wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy, którego zakład przechodzi poważny kryzys.

Ben powiódł wzrokiem pełnym powątpiewania od Bev poprzez Foxy'ego do Richiego.

– Nie możesz pozwolić pomiatać sobą przez całe życie, stary – powiedział cicho Richie. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, no nie?

– Pewno tak – rzekł Ben i westchnął. Prawdę mówiąc, wcale nie zdawał sobie z tego sprawy, ale obecność Bev była dla niego wystarczającym bodźcem. Gdyby nie przyszła, próbowałby namówić Richiego, aby wybrali się do kina innego dnia; gdyby zaś Richie nalegał, Ben po prostu zrezygnowałby z seansu. Ale tu była Bev. Nie chciał w jej oczach uchodzić za tchórza. Poza tym perspektywa bycia wraz z nią na balkonie, w ciemności (nawet gdyby Richie miał siedzieć pomiędzy nimi, na co się obecnie zanosiło), była nad wyraz kusząca.

– Poczekamy, aż zacznie się seans, a potem wejdziemy – zaproponował Richie. Uśmiechnął

się i stuknął Bena w ramię. – Niech to diabli, Haystack, chcesz żyć wiecznie?

Ben ściągnął brwi, a potem wybuchnął zduszonym, chrapliwym śmiechem. Richie też się roześmiał. Beverly również nie mogła się powstrzymać. Richie ponownie podszedł do kasy. Panna „Wielkie Usta" Cole spojrzała nań ponuro.

– Dobły wieczół, dłoga pani – powiedział Richie głosem barona Butthole'a. – Chciałbym kupić trzy bilety na te dwa stałe hołłoły.

– Przestań się wygłupiać i powiedz mi, o co ci chodzi, mały! – warknęła Wielkie Usta przez okrągłą dziurę w szklanej tafli, a coś w sposobie, w jaki jej malowane brwi unosiły się i opadały, zaniepokoiło Richiego do tego stopnia, że po prostu wsunął pognieciony banknot dolarowy przez otwór i mruknął:

– Trzy poproszę.

Trzy bilety wysunęły się z otworu. Richie wziął je. Wielkie Usta rzuciła mu ćwierćdolarówkę.

– Nie zgrywać się, nie rzucać pudełkami z popcornem, nie wrzeszczeć, nie biegać po holu, nie ganiać po przejściach.

– Oczywiście, proszę pani – rzekł Richie, wracając do Bena i Beverly. – Nic tak nie rozpala

mego serca, jak widok starego babsztyla, który kocha dzieci.

Postali jeszcze przez chwilę przy wejściu, czekając na rozpoczęcie seansu. Wielkie Usta patrzyła na nich podejrzliwie z wnętrza swojej przeszklonej klatki. Richie uraczył Bev opowieścią o tamie w Barrens, wypowiadając kwestie pana Nella dopiero co przyswojonym głosem irlandzkiego gliniarza. Beverly chichotała, aż w końcu wybuchnęła gromkim śmiechem. Nawet Ben uśmiechał się pod nosem, choć przez cały czas popatrywał z ukosa to na szklane drzwi kina Aladyn, to na twarz Beverly.

10

Na balkonie było bezpiecznie. Podczas pierwszego filmu *Nastoletni Frankenstein* Richie zauważył Henry'ego Bowersa i jego kretyńskich koleżków. Siedzieli w drugim rzędzie, tak jak przewidywali. Było ich pięciu czy sześciu, sami piąto-, szósto- i siódmoklasiści, opierający nogi w wysokich motocyklowych butach na fotelach przed nimi.

Foxy pojawiał się i kazał im zdjąć nogi z oparć. Robili to. Foxy wychodził. Kiedy tylko znikał za drzwiami, tamci znowu kładli nogi na fotelach. Pięć, dziesięć minut potem Foxy znów

się pojawiał i sytuacja się powtarzała. Foxy nie miał dość ikry, aby ich wyrzucić z kina, a tamci zdawali sobie z tego sprawę.

Filmy były znakomite.

Nastoletni Frankenstein był niezły. Jednak *Nastoletni wilkołak* okazał się straszniejszy… i jakby trochę smutniejszy. To, co się stało, nie było jego winą. To była sprawka hipnotyzera, który przemienił w wilkołaka gniewnego nastolatka dręczonego negatywnymi emocjami.

Richie zastanawiał się, ilu ludzi na świecie skrywa w sobie podobne uczucia. Henry Bowers był nimi przepełniony, ale bynajmniej nie starał się ich ukrywać.

Beverly siedziała pomiędzy chłopcami, pojadając popcorn z ich pudełek, krzycząc, zakrywając oczy, a niekiedy wybuchając śmiechem. Kiedy wilkołak polował na dziewczynę ćwiczącą po szkole na sali gimnastycznej, przycisnęła twarz do ramienia Bena, a Richie usłyszał jego okrzyk zdumienia nawet pośród krzyku siedzących na dole dwustu dzieciaków.

W końcu wilkołak został zabity. W ostatniej scenie jeden gliniarz powiedział ze smutkiem do drugiego, że powinno to być dla ludzi nauczką, aby nie mieszali się w sprawy, które przynależą

do Boga. Kurtyna opadła i zapaliły się światła. Rozległy się brawa. Richie był zadowolony pomimo lekkiego bólu głowy. Prawdopodobnie już wkrótce będzie musiał pójść do lekarza i znowu zmienić szkła. W liceum będę nosił na oczach denka od coli, pomyślał ponuro.

Ben pociągnął go za rękaw.

– Zobaczyli nas, Richie – powiedział ochrypłym, strwożonym głosem.

– Co?

– Bowers i Criss. Wychodząc, patrzyli na górę. Zobaczyli nas!

– Dobra, dobra – rzekł Richie. – Uspokój się, Haystack. Tylko się uspokój. Wyjdziemy bocznymi drzwiami. Nie ma się czym przejmować.

Zeszli po schodach. Richie pierwszy, Bev w środku, a Ben na końcu. Hanscom raz za razem oglądał się przez ramię.

– Czy ci chłopcy naprawdę cię ścigają, Ben? – zapytała Beverly.

– Tak. Chyba tak – odrzekł Ben. – Ostatniego dnia szkoły miałem bójkę z Henrym Bowersem.

– Pobił cię?

– Nie tak bardzo, jak by chciał – odparł Ben. – I jak sądzę, właśnie dlatego jest taki wściekły.

– Poza tym nasz wielki Heniek-Pieniek stracił trochę skóry – mruknął Richie. – Tak przynajmniej słyszałem. I nie sądzę, aby był z tego powodu specjalnie zadowolony.

Otworzył drzwi i cała trójka wyszła na alejkę biegnącą pomiędzy kinem a barem Nan. Kot grzebiący w śmietniku prychnął i przebiegł obok nich, kierując się w dół ulicy przegrodzonej na drugim końcu drewnianym płotem. Kot wspiął się po nim i zeskoczył na drugą stronę. Rozległ się brzęk przewracanej pokrywy od śmietnika. Bev aż podskoczyła, chwytając Richiego za rękę, a potem roześmiała się nerwowo.

– Chyba wciąż jeszcze jestem przerażona tymi filmami – powiedziała.

– Nie… – zaczął Richie.

– Siemasz, frajerze – rozległ się za nimi głos Henry'ego Bowersa. Cała trójka odwróciła się zaskoczona. U wylotu alejki stali Henry, Victor i Belch. Za nimi widać było jeszcze dwóch innych.

– O cholera, wiedziałem, że tak będzie – jęknął Ben.

Richie szybko odwrócił się w stronę kina, ale drzwi wyjściowe zatrzasnęły się za nimi, a od zewnątrz nie można ich było otworzyć.

– Powiedz: żegnaj, frajerze – rzekł Henry i nagle rzucił się na Bena.

To, co stało się potem, zarówno wtedy, jak i później kojarzyło się Richiemu ze scenami z jakiegoś filmu – bo w normalnym życiu coś takiego raczej się nie zdarza. W normalnym życiu dzieciaki dostają manto, po czym zbierają z ziemi powybijane zęby i idą do domu.

Tym razem było inaczej. Beverly postąpiła krok naprzód, odchodząc nieco w bok, jakby miała zamiar przywitać się z Henrym lub może nawet podać mu rękę. Richie słyszał stukot żabek jego podbitych butów. Victor i Belch biegli za nim. Dwaj ostatni pozostali przy wylocie ulicy, na straży.

– Zostawcie go! Dajcie mu spokój! – krzyknęła Beverly. – Wybierzcie sobie równego wam przeciwnika!

– On jest wielki jak ciężarówka, dziwko – warknął, bynajmniej nie po dżentelmeńsku, Henry. – A teraz zejdź mi…

Richie podstawił mu nogę. Nie żeby miał zamiar to zrobić, stopa Richiego zachowała się w tej sytuacji jak jego język, który czasami jakby żył własnym życiem i często samorzutnie wysuwał się z ust. Henry potknął się o nią i runął jak długi. Wyłożona kostką aleja była śliska od

śmieci wysypujących się z przepełnionych pojemników ustawionych przy barze. Henry poszorował po ziemi. Kiedy wreszcie zaczął się podnosić, jego koszula była pokryta plamami od kawy, błotem i kawałkami sałaty.

– Zdechniecie, gnoje! – wrzasnął.

Aż do tej chwili Ben był przerażony. Teraz coś w nim pękło. Ryknął przejmująco i schwycił jeden z pojemników na śmieci. Podniósł go i trzymając przez chwilę nad głową, naprawdę wyglądał jak Haystack Calhoun. Jego twarz była blada i wściekła. Cisnął z całej siły koszem na śmieci. Pojemnik trafił Henry'ego w plecy na wysokości nerek i ponownie rozłożył go na ziemi.

– Spadamy! – wrzasnął Richie.

Pobiegli w stronę wylotu alejki. Victor Criss zastąpił im drogę. Ben z rykiem pochylił głowę i bykiem wyrżnął Victora w żołądek.

– Uuu! – jęknął Victor i usiadł.

Belch schwycił Beverly za związane w kucyk włosy i pchnął ją na ścianę kina. Beverly odbiła się od niej i pobiegła dalej, rozcierając dłonią bolące ramię. Richie pognał za nią, chwytając po drodze wieko od kosza na śmieci.

Belch Huggins zamierzył się na niego pięścią wielkości bochna chleba. Richie przyjął cios na stalową, galwanizowaną pokrywę kosza. Pięść

Belcha trafiła w nią z pełną mocą. Rozległo się głośne i głuche brzęknięcie – dźwięk ten był nawet dość przyjemny. Richie poczuł, jak fala drgań przeszyła jego rękę od łokcia aż do ramienia. Belch wrzasnął i zaczął podskakiwać w kółko, trzymając się za nabrzmiałą rękę.

– Nie uczyli cię, żebyś nie podnosił ręki na słabszych? – spytał z przekorą w głosie Richie, naśladując całkiem zresztą udanie Tony'ego Curtisa, a potem pobiegł za Benem i Beverly. Jeden z chłopaków stojących u wylotu alejki złapał Beverly. Ben szamotał się z nim. Drugi zaczął wymierzać Benowi serię ciosów w nerki. Richie zamachnął się stopą. Trafił stojącego za Benem chłopaka w tyłek. Z ust kopniętego wyrwał się okrzyk bólu. Richie schwycił jedną ręką ramię Bev, a drugą ramię Bena.

– Gazu! – wrzasnął.

Chłopak, z którym szamotał się Ben, puścił Beverly i zamachnął się sierpowym na Richiego. Jego ucho eksplodowało krótkotrwałym bólem, a potem przestało mu doskwierać i zrobiło się bardzo ciepłe. W jego głowie rozległ się przeciągły gwizd. Był zupełnie taki sam, jakbyś nałożył słuchawki i usłyszał w nich długi sygnał kontrolny. Biegli w dół Center Street. Ludzie oglądali się za nimi. Olbrzymi brzuch Bena

tańczył pogo w górę i w dół. Kucyk Bev podskakiwał miarowo. Richie puścił Bena i lewym kciukiem przyszpilił okulary do czoła, żeby ich nie zgubić. W głowie wciąż mu dzwoniło i miał wrażenie, że puchnie mu ucho, ale czuł się wyśmienicie. Wręcz idealnie. Zaczął się śmiać. Beverly dołączyła do niego. Wkrótce Ben także się roześmiał. Przecięli Court Street i usiedli na ławce przed posterunkiem policji; w tym momencie było to jedyne miejsce, w którym mogli się czuć bezpieczni. Beverly oplotła ramionami Bena i Richiego. Uścisnęła ich mocno.

– To było świetne! – Jej oczy rozbłysły. – Widzieliście tych typów! Widzieliście ich?

– Owszem, widziałem – jęknął Ben. – I nigdy więcej nie chcę zobaczyć.

Te słowa wywołały u całej trójki kolejny wybuch śmiechu. Richie obawiał się, że lada moment zza rogu wyłoni się Henry ze swoją bandą i nie bacząc na sąsiedztwo posterunku policji, znowu zacznie ich gonić. Pomimo to nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Beverly miała rację. To było naprawdę świetne.

– Klub Frajerów sobie ulżył! – wykrzyknął Richie. – I to w jakim stylu! – Przyłożył zwinięte ręce do ust i krzyknął głosem Wielkiego Berniego: – Yow-za, Yow-za, Yow-za, dzieciaki!

Z otwartego okna na pierwszym piętrze posterunku wychylił się policjant i zawołał:

– Ej, dzieciaki, jazda stąd! Ale już! Idźcie na spacer!

Richie otworzył usta, aby powiedzieć coś wspaniałego, prawdopodobnie nowo przyswojonym głosem irlandzkiego gliniarza, kiedy Ben kopnął go w kostkę.

– Zamknij się, Richie – powiedział i przez długi czas po tym zastanawiał się, jak coś takiego w ogóle przeszło mu przez usta.

– Tak jest, Richie – dołączyła Bev, patrząc na niego z czułością. – Dosyć. Basta.

– W porządku – odparł Richie. – Co macie zamiar teraz robić? Chcecie znaleźć Henry'ego Bowersa i zaprosić go do wspólnej gry w monopol?

– Ugryź się w język – rzuciła Beverly.

– Hę? Co to miało znaczyć. Nie kapuję.

– Nieważne – odparła Beverly. – Niektórzy chłopcy to tacy ignoranci!

Ben z wahaniem, czerwieniąc się jak burak, zapytał:

– Czy on coś zrobił twoim włosom, Beverly?

Uśmiechnęła się do niego łagodnie i właśnie w tej chwili zrozumiała, że jej poprzednie przypuszczenia okazały się słuszne – to Ben

Hanscom przysłał jej pocztówkę ze wspaniałym haiku.

– Nie. Nie było tak źle – odparła.

– Chodźmy do Barrens – zaproponował Richie.

I poszli tam, a właściwie raczej należałoby powiedzieć – uciekli. Richie pomyśli później, że to miejsce stało się ich domem na resztę lata. To tu spędzali najwięcej czasu. To było ich miejsce. Beverly, podobnie jak Ben w dniu swego pierwszego spotkania ze starszymi chłopakami, nigdy wcześniej tu nie była. Kiedy ich trójka gęsiego przemierzała wąską wydeptaną ścieżkę, Beverly znajdowała się w środku pomiędzy Benem i Richiem. Jej spódniczka falowała uroczo i patrząc na nią, Ben odczuwał coś równie silnego jak ból żołądka. Nosiła bransoletkę na kostce. Metal błyszczał w promieniach popołudniowego słońca.

Przeszli przez odnogę Kenduskeag, którą chłopcy przegrodzili tamą (strumień rozdzielał się około siedemdziesięciu jardów dalej i ponownie się łączył po przepłynięciu około dwustu jardów), i przeskakując po kamieniach, wyszli na brzeg wschodniej odnogi strumienia dużo szerszej niż sąsiednia. Błyszczała w promieniach popołudniowego słońca.

Po lewej Ben zobaczył dwa betonowe walce z pokrywami u góry. Poniżej nich nad strumieniem zwieszały się olbrzymie betonowe rury, z których wypływały strumienie błotnistej wody i wpadały do Kenduskeag. Gdzieś tam w mieście ktoś siedzi na kiblu, a tu to wszystko wypływa, pomyślał Ben, przypominając sobie wyjaśnienia pana Nella na temat systemu kanałów w Derry. Czuł narastający w sobie gniew połączony z bezsilnością. Kiedyś prawdopodobnie w tej rzece były ryby. Teraz są raczej nikłe szanse na złowienie tu pstrąga. Już prędzej można natrafić na skrawek używanego papieru toaletowego.

– Tu jest tak ślicznie – westchnęła Bev.

– Tak. Całkiem nieźle – zgodził się Richie. – Nie ma much, a wiatr jest dostatecznie duży, aby przegnać komary.

Spojrzał na nią z nadzieją.

– Masz papierosy?

– Nie – powiedziała. – Miałam parę, ale wypaliłam wczoraj.

Rozległ się ryk syreny i cała trójka z uwagą zaczęła przyglądać się pociągowi towarowemu sunącemu wzdłuż nabrzeża po drugiej stronie Barrens w stronę torowiska. Jezu, gdyby to był pasażerski, ludzie mieliby niezłe widoki,

pomyślał Richie. Najpierw biedna dzielnica Old Cape, potem bagna po drugiej stronie Kenduskeag, a wreszcie, przed opuszczeniem Barrens, dymiący żwirowany dół olbrzymiego wysypiska śmieci.

Przez chwilę ponownie zaczął się zastanawiać nad opowieścią Eddiego – o trędowatym pod opuszczonym domem przy Neibolt Street. Odegnał od siebie tę myśl i zwrócił się do Bena.

– Co ci się najbardziej podobało, Haystack?

– Że co? – Ben spojrzał na niego z miną winowajcy. Kiedy Bev patrzyła na Kenduskeag, zatopiona w myślach, przyglądał się jej profilowi… i siniakowi na kości policzkowej.

– W filmach, Dumbo, co ci się najbardziej podobało?

– Podobało mi się, jak doktor Frankenstein zaczął rzucać ciała krokodylom pod swoim domem – rzekł Ben. – To mi się podobało najbardziej.

– To było straszne – wtrąciła Beverly i zadrżała. – Nie cierpię takich rzeczy. Krokodyli, piranii czy rekinów.

– Co? Co to są piranie? – zapytał Richie nagle zainteresowany.

– Takie małe rybki – odparła Beverly. – I one mają małe, drobne, ale diabelnie ostre ząbki. I są

sprytne. Jeżeli wejdziesz do rzeki, gdzie żyją te ryby, obgryzą cię do kości.

– Och!

– Widziałam raz film, w którym tubylcy chcieli przeprawić się przez rzekę, ale most był zwalony. Toteż wpuścili do wody krowę na postronku i przeprawili się, gdy piranie zjadały krowę. Kiedy ją wyciągnęli na brzeg, z krowy pozostał tylko szkielet. Przez tydzień miałam potem koszmary.

– Rany! Chciałbym mieć parę takich rybek – powiedział radośnie Richie. – Wpuściłbym je Henry'emu Bowersowi do wanny.

Ben zaczął chichotać.

– Wątpię, aby on się kiedykolwiek kąpał.

– Tego nie wiem, ale wiem, że powinniśmy uważać na tych typów – oświadczyła Beverly. Dotknęła palcami siniaka na policzku. – Tata przyłożył mi za zbicie paru talerzy. Raz na tydzień całkiem mi wystarczy.

Nastała chwila ciszy, która mogła być kłopotliwa, ale Richie przerwał ją, mówiąc, że najbardziej podobała mu się scena, kiedy Nastoletni Wilkołak dorwał złego hipnotyzera.

Rozmawiali o filmach – innych horrorach, jakie widzieli w kinie, i serialach telewizyjnych, takich jak na przykład *Alfred Hitchcock*

przedstawia – jeszcze przez dobrą godzinę. Bev zauważyła stokrotki rosnące na brzegu i zerwała jedną. Przyłożyła ją najpierw pod brodę Richiemu, a następnie Benowi. Kiedy trzymała kwiat pod ich brodami, każdy z nich miał świadomość lekkiego zetknięcia ich ramion i czystego zapachu jej włosów.

Jej twarz tylko na chwilkę zbliżyła się do twarzy Bena, ale tej nocy chłopiec śnił o tym, jak wyglądały oczy Beverly w tym krótkim, a jednocześnie trwającym bez końca momencie.

Rozmowa przygasła nieznacznie, kiedy usłyszeli szelest kroków ludzi nadchodzących wzdłuż ścieżki. Cała trójka odwróciła się szybko w stronę źródła dźwięku i nagle Richie zdał sobie sprawę, że stali odwróceni plecami do strumienia. Nie mieli dokąd uciec. Byli w ślepej uliczce.

Głosy się zbliżały. Podniósłszy się, Richie i Ben przesunęli się intuicyjnie przed Beverly. Zasłona krzewów na końcu ścieżki zatrzęsła się – i nagle wyłonił się zza niej Bill Denbrough. Był z nim jeszcze jeden chłopak, którego Richie znał z widzenia. Nazywał się Bradley Jakiśtam i straszliwie seplenił. Prawdopodobnie był w Bangor z Billem na tej terapii logopedycznej – pomyślał Richie.

– Wielki Bill! – powiedział, a potem głosem Toodlesa dodał: – Cieszymy się z pańskiego przybycia, paniczu Denbrough.

Bill spojrzał na nich i uśmiechnął się; kiedy Denbrough powiódł wzrokiem po twarzach Bena, Beverly, a potem Bradleya Jakiegośtam, Richie zrozumiał – Beverly była częścią ich grupy. Wzrok Billa jakby to potwierdzał. W przeciwieństwie do wzroku Bradleya. Mógł tu dzisiaj zostać, ba, mógł nawet ponownie zjawić się w Barrens – nikt nie powiedziałby mu: Niestety, przepraszamy, mamy w Klubie Frajerów komplet i jest już wśród nas jeden chłopak, który ma kłopoty z wymową – ale on do nich nie pasował. Nie był częścią ich grupy.

Ta myśl wzbudziła w nim falę gwałtownego, irracjonalnego strachu. Przez chwilę czuł się tak, jak czujesz się, wypływając zbyt daleko od brzegu, kiedy nagle zdajesz sobie sprawę, że nie masz gruntu pod nogami. Błysk świadomości – zostaliśmy w coś wciągnięci. Upatrzono nas sobie i wybrano. Nic tu nie dzieje się przypadkiem. Czy to już wszyscy?

Potem intuicja zmieniła się w bezładną gmatwaninę myśli – jak resztki potłuczonego naczynia zmiecione na kupkę. Poza tym to nie miało znaczenia. Bill był tutaj. Bill wszystkim się

zajmie. Bill nie dopuści, aby rzeczy wymknęły się spod kontroli. Był najwyższy i niewątpliwie najprzystojniejszy z nich.

Richiemu wystarczyło tylko spojrzeć w oczy Bev przyglądającej się Billowi, a potem nieco dalej w bok, aby móc zmierzyć wzrokiem Bena, patrzącego z zamyśleniem i smutkiem na Bev.

Bill był zarazem najsilniejszy z nich, i to nie tylko fizycznie. To nie było wszystko, a jako że Richie nie znał słowa „charyzma” ani pełnego znaczenie słowa „magnetyzm”, mógł jedynie czuć, że siła Billa płynęła z jego wnętrza i mogła przejawiać się na wiele, zapewne także nieoczekiwanych sposobów.

Richie podejrzewał, że gdyby Bev „poleciała na niego”, „zabujała się w nim”, czy jak się to tam nazywa, Ben nie byłby zazdrosny (tak samo, pomyślał Richie, jakby wypadło na mnie) i przyjąłby to za coś całkiem naturalnego.

I było coś jeszcze: Bill był dobry. Ta myśl (a właściwie odczucie) wydawała się głupia, ale nie mógł się jej wyprzeć. Dobroć i siła niemalże emanowały z Billa. Był jak rycerz ze starego filmu – ckliwego, ale na tyle poruszającego widzów, że pod koniec cieszą się i klaszczą z całej siły. Silny i dobry. Pięć lat później, gdy jego wspomnienia o tym, co zdarzyło się w Derry tego

lata i jeszcze wcześniej, zaczęły błyskawicznie zanikać, Richiemu, podówczas nastolatkowi, przyszło na myśl, że John Kennedy przypominał mu Billa Jąkałę.

Kogo? – odezwie się jego umysł. Uniesie wzrok z lekkim zakłopotaniem i pokręci głową. Kogoś, kogo znałem, pomyśli, a potem zapomni, nasuwając okulary wyżej na nos i powracając do przerwanej pracy domowej.

Kogoś, kogo znałem dawno temu.

Bill Denbrough oparł dłonie na biodrach, uśmiechnął się promiennie i rzekł:

– N-n-no d-d-dobrze, j-jesteśmy t-t-tutaj… i c-c-c-co d-dalej?

– Masz może papierosa? – zapytał z nadzieją w głosie Richie.

11

Pięć dni później, już pod koniec czerwca, Bill powiedział Richiemu, że chce pojechać na Neibolt Street i sprawdzić werandę, pod którą Eddie widział trędowatego.

Wrócili właśnie pod dom Richiego i Bill prowadził Silvera za kierownicę. W drodze powrotnej Richie dosiadł się do Billa i Silver pruł wtedy naprawdę jak burza, ale przecznicę przed domem Bill był na tyle ostrożny, że pozwolił

Richiemu zsiąść. Gdyby matka Richiego zobaczyła, że Bill go podwozi, dostałaby palpitacji serca.

W drucianym bagażniku roweru znajdowało się kilka zabawkowych sześciostrzałowców – dwa z nich należały do Billa, trzy do Richiego. Większość popołudnia spędzili w Barrens, bawiąc się w strzelaninę. Beverly Marsh zjawiła się około trzeciej, mając na sobie wyblakłe dżinsy i trzymając w dłoniach bardzo starą wiatrówkę Daisy, która była już tak zużyta, że kiedy naciskało się owinięty plastrem spust, wydawała z siebie świst, który bardziej niż wystrzał przypominał Richiemu odgłos towarzyszący siadaniu na starym dmuchanym materacu.

Specjalnością Beverly były japońskie zasadzki snajperskie. Wspinała się zwinnie na drzewa, a potem strzelała do niczego niepodejrzewających chłopców przechodzących dołem. Siniak na jej kości policzkowej przybladł i zrobił się jasnożółty.

– Coś ty powiedział? – zapytał Richie. Był zszokowany… ale również odrobinę zaintrygowany.

– Chciałbym z-z-zajrzeć p-p-pod tę w-w-werandę – rzekł Bill. Jąkał się, ale nie patrzył na

Richiego. Na jego policzkach wykwitły mocne rumieńce. Stanęli przed domem Richiego.

Maggie Tozier była na werandzie, czytając książkę. Pomachała im i zawołała:

– Czołem, chłopcy! Chcecie mrożonej herbaty?

– Zaraz przyjdziemy, mamo – rzekł Richie, a potem zwrócił się do Billa. – Tam nic nie będzie. On prawdopodobnie zobaczył zwykłego włóczęgę, a potem to wszystko wyolbrzymił. Na miłość boską, znasz przecież Eddiego.

– T-t-tak. Znam E-e-eddiego. A-a-ale p-p-pamiętasz zdjęcie?

Richie przez chwilę przestępował niezdecydowanie z nogi na nogę. Bill uniósł prawą rękę. Bandaże zniknęły, ale Richie widział wyraźnie świeżo zabliźnione rany na pierwszych trzech palcach.

– Tak, ale…

– P-p-posłuchaj – rzekł Bill. Zaczął mówić bardzo wolno, cały czas patrząc Richiemu w oczy. Ponownie wspomniał o podobieństwach pomiędzy opowieściami Bena i Eddiego… i powiązał je z tym, co widzieli na ożywionym zdjęciu. Po raz kolejny zasugerował, że to klown zamordował dzieci, które znaleziono martwe w Derry od grudnia ubiegłego roku. – I m-m-może n-nie tylko te – dokończył Bill. – A c-c-co

z tymi, którzy z-z-zaginęli? Co z E-e-eddiem C-c-corcoranem?

– Spłynął na gigant przez swego ojczyma – rzekł Richie.

– M-m-może tak, a m-może n-n-nie – zaoponował Bill. – T-t-trochę g-go znałem i w-wiem, że s-stary g-g-go b-bił. W-wiem t-też, ż-że czasami u-u-urywał się n-na n-n-noce z d-domu.

– Może więc klown dostał go, kiedy był na gigancie? – rzekł z zamyśleniem Richie. – O to ci chodzi?

Bill skinął głową.

– No to czego ty właściwie chcesz? Jego autografu?

– J-jeżeli t-t-to k-k-klown zabił p-p-pozostałych, t-to znaczy, ż-że zabił t-t-też G-g-george'a – powiedział Bill. Ich spojrzenia znów się spotkały. Wzrok Billa był lodowaty i mściwy. – Chcę T-to z-z-zabić.

– Jezu Chryste – wymamrotał przerażony Richie. – Jak zamierzasz to zrobić?

– M-m-mój tata ma p-pistolet – powiedział Bill. Strużka śliny pociekła mu z ust, ale Richie prawie tego nie zauważył. – O-o-on n-n-nie wie, że j-ja wiem, ale j-j-ja w-wiem. L-leży w szafie n-n-na górnej p-półce.

– To świetnie, jeśli to jest ten człowiek – oznajmił Richie – i jeśli zastaniemy go siedzącego na kupie dziecięcych kości…

– Nalałam wam herbaty, chłopcy! – zawołała radośnie mama Richiego. – Chodźcie i weźcie ją sobie.

– Zaraz, mamo! – powiedział Richie, uśmiechając się fałszywie. Uśmiech znikł natychmiast, gdy Richie odwrócił się w stronę Billa. – Bo nie zastrzeliłbym faceta tylko za to, że nosi strój klowna, i tobie, Bill, też bym na to nie pozwolił. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, ale zrobiłbym wszystko, aby cię przed tym powstrzymać.

– A j-j-jeśli naprawdę znajdziemy s-stos k-k-k-kości?

Richie oblizał wargi i przez chwilę nie odezwał się nawet słowem. Potem zapytał Billa:

– A co zrobisz, jeśli to nie jest człowiek, Billy? Co zrobisz, jeżeli to jest rzeczywiście jakiś potwór? Co, jeśli potwory naprawdę istnieją? Ben Hanscom powiedział, że to była mumia i że balony płynęły w powietrzu pod wiatr, a to coś w ogóle nie rzucało cienia. Zdjęcie w albumie George’a… można by sądzić, że to nam się tylko przywidziało albo że zadziałały tu jakieś czary, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, chłopie, to nie

sądzę, aby to była halucynacja. Twoje palce mówią same za siebie, no nie?

Bill pokiwał głową.

– No więc co zrobimy, jeśli okaże się, że to nie jest człowiek, Bill?

– B-b-będziemy m-m-musieli w-w-wymyślić coś i-i-innego.

– Aha – mruknął Richie. – Rozumiem. Kiedy wpakujesz mu cztery czy pięć kul i to coś nadal będzie na nas szło jak Nastoletni Wilkołak w filmie, który oglądałem razem z Benem i Beverly, możesz spróbować skorzystać ze swojej procy. Jeśli i ona nie zadziała, rzucę w To odrobiną swojego proszku na kichanie. A jeżeli To nadal będzie nas ścigało, po prostu poprosimy o czas i powiemy: „Poczekaj. Stop. To nie działa, panie Potworze. Proszę posłuchać, muszę skoczyć do biblioteki i trochę na ten temat poczytać. Zaraz wracam. Proszę mi wybaczyć”. Czy właśnie to chcesz powiedzieć, Wielki Billu?

Spojrzał na swego przyjaciela, czując pod czaszką potworne dudnienie. Część jego „ja” chciała, aby Bill obstawał przy swojej decyzji pójścia do tego starego domu i rozejrzenia się pod werandą, ale z kolei druga rozpaczliwie pragnęła, aby Bill porzucił ten zamiar. Pod pewnym względem sytuacja zaczęła

przypominać akcję jednego z horrorów, jakie Richie oglądał na sobotnich seansach w kinie Aladyn, choć naturalnie nie do końca.

Bo to, w co wdepnęli, nie było tak samo bezpieczne jak film, gdzie wiedziałeś, że wszystko się dobrze skończy, a nawet jeżeli nie, to i tak tobie włos z głowy nie spadnie. Zdjęcie w pokoju George'a w niczym nie przypominało filmu. W sumie wydawało mu się, że już o tym zapomniał, ale najwyraźniej próbował oszukać sam siebie, bo teraz bardzo wyraźnie widział świeże blizny na dłoni Billa. Gdyby go nie odciągnął…

Rzecz niesłychana – Bill się uśmiechnął. Śmiał się.

– T-ty chciałeś, ż-ż-żebym p-p-pokazał c-ci zdjęcie – powiedział. – T-t-teraz ja chcę z-z-zabrać c-c-ciebie d-do t-t-tego d-domu. C-coś z-za c-c-coś.

– A co ja z tego będę miał? – spytał Richie i obaj wybuchnęli śmiechem.

– J-j-jutro r-r-rano – rzekł Bill, jakby sprawa została ostatecznie przesądzona.

– A jeśli okaże się, że to potwór? – zapytał Richie, patrząc Billowi w oczy. – Jeśli pistolet twojego ojca nie zdoła Tego powstrzymać, co wtedy, Wielki Billu? Jeżeli kule Tego nie zatrzymają?

– W-w-wymyślimy c-c-coś i-i-i-innego – powtórzył Bill. – B-b-będziemy m-m-musieli. – Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się jak szalony.

Po chwili Richie dołączył do niego. Nie sposób było się tego ustrzec. Przeszli razem chodnikiem w stronę werandy domu Richiego.

Maggie postawiła przed nimi szklaneczki z mrożoną herbatą i odrobiną mięty i talerzyk wafli waniliowych.

– Ch-ch-chcesz?

– Nie – odparł Richie. – Ale będę.

Bill klepnął go mocno w plecy i to w pewnym stopniu dodało im otuchy, choć Richie – nie bez racji – sądził, że tej nocy sen nie przyjdzie szybko.

– Wygląda, chłopcy, jakbyście odbyli tam jakąś poważną dyskusję – powiedziała pani Tozier, siadając z książką w jednej i szklanką mrożonej herbaty w drugiej ręce.

Spojrzała na chłopców wyczekująco.

– Eee, bo Denbrough wpadł na idiotyczny pomysł, że Red Soksi skończą w pierwszej części – rzekł Richie.

– Ja i m-m-mój t-t-t-tata uważamy, że w-w-wykonają strzał n-n-na t-t-trzecią – powiedział Bill i upił łyk mrożonej herbaty. – Jest bardzo d-d-dobra, pani Tozier.

– Dziękuję, Bill.

– Tego roku, kiedy Soksi skończą w pierwszej części, przestaniesz się zacinać, jąkało – rzucił Richie.

– Richie! – krzyknęła pani Tozier zaszokowana. Mało brakowało, a upuściłaby szklankę z herbatą. Ale zarówno Richie, jak i Bill wybuchnęli gwałtownym, niemal histerycznym śmiechem. Pani Tozier spojrzała na swego syna, na Billa i powróciła wzrokiem do Richiego ogarnięta zdziwieniem, które w olbrzymiej mierze składało się ze zdumienia, ale było również zabarwione odrobiną strachu i ten lęk przebił się swym cienkim i długim ostrzem do najdalszych głębin jej serca, powodując tam serię wibracji, jak kamerton wykonany z czystego lodu.

W ogóle ich nie rozumiem, pomyślała. Nie wiem, dokąd chodzą, co robią, czego chcą… ani co z nich wyrośnie. A czasami… o Boże, czasami ich oczy są takie dzikie i boję się o nich, i boję się ich…

Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, że dobrze by było, gdyby ona i Went mieli także dziewczynkę – śliczną blondyneczkę, która wkładałaby nową sukienkę, czarne skórzane buciki i przewiązywałaby włosy kokardą

w niedzielę. Uroczą dziewczynkę, która po szkole prosiłaby o upieczenie dla niej ciasteczek i która zamiast książek o brzuchomówstwie i modeli samochodów Revella (o nad wyraz krótkim żywocie) wolałaby lalki. Uroczą dziewczynkę, którą by rozumiała.

12

– Masz to? – spytał trwożliwie Richie.

Prowadzili swoje rowery wzdłuż Kansas Street obok Barrens o dziesiątej rano następnego dnia. Niebo było ołowianoszare. Na to popołudnie zapowiadano deszcz. Richie nie usnął aż do północy i uznał, że Denbrough wyglądał, jakby też miał za sobą nieprzespaną noc – dobra, Wielki Bill miał pod oczyma olbrzymie sińce.

– M-m-mam – powiedział Bill i poklepał zielony wełniany płaszcz na sobie.

– Pokaż – rzucił zafascynowany Richie.

– Nie teraz – rzekł Bill, a potem się uśmiechnął – ktoś m-m-mógłby z-z-zobaczyć. Ale s-s-spójrz, c-co jeszcze p-p-przyniosłem.

Sięgnął za siebie, pod płaszcz i wyjął z tylnej kieszeni procę zwaną bullseye.

– Kurczę, będą kłopoty – powiedział Richie i zaczął się śmiać. Bill udawał obrażonego.

– T-t-to był t-t-twój p-p-pomysł, T-t-tozier.

Bill dostał zwyczajną, aluminiową procę na swoje urodziny w zeszłym roku. To był wymyślony przez Zacka kompromis pomiędzy dwudziestkądwójką, której zażyczył sobie Bill, a stanowczym wetem matki, która uważała, że chłopiec w jego wieku nie powinien dostać do ręki żadnej broni palnej. W instrukcji było pisane, że proca mogła stanowić doskonałą broń myśliwską, jeśli tylko dostatecznie opanowało się sposób jej użycia.

„We właściwych rękach twoja proca bullseye może być równie zabójczą i efektywną bronią, jak łuk czy broń palna", brzmiało hasło w instrukcji. Po tych wszystkich peanach na cześć bullseye instrukcja ostrzegała, że proca może być niebezpieczna; dwadzieścia kul, jakie stanowiło amunicję do niej, było tu porównywane do pocisków pistoletowych, twierdzono też, że celowanie z procy do człowieka to jak wymierzenie doń z broni palnej.

Bill nie był w tym jeszcze zbyt dobry (i w głębi duszy sądził, że nigdy nie będzie), ale uważał, że ostrzeżenia zawarte w instrukcji były ze wszech miar słuszne – gruba guma procy miała twardy naciąg, a kiedy trafiło się w puszkę, pocisk wybijał w niej cholernie dużą dziurę.

– Poprawiłeś celność, Wielki Billu? – spytał Richie.

– T-t-trochę – odrzekł Bill.

Było to tylko po części prawdą. Po dłuższym przyjrzeniu się zdjęciom w instrukcji i dostatecznie długim treningu strzelania w Derry Park – aż do zmęczenia ręki – trafiał w papierową tarczę mniej więcej trzy razy na dziesięć. I raz trafił w samą dziesiątkę. Prawie. Richie naciągnął gumę procy, puścił, a potem oddał broń Billowi. Nie powiedział tego na głos, ale prywatnie wątpił, czy gdyby przyszło do zabijania potworów, proca mogłaby skutecznie konkurować z pistoletem Zacka Denbrough.

– Tak? – powiedział. – Przyniosłeś swoją procę, no i dobrze. To pestka. Spójrz, co ja przyniosłem, Denbrough.

I z kieszeni kurtki wyjął paczuszkę z rysunkiem łysego mężczyzny o policzkach wydętych jak u Dizzy'ego Gillespie, mówiącego: „a psik!". Napis na paczuszce głosił: PROSZEK DO KICHANIA DRA WESOŁKA. ISTNY HURAGAN ŚMIECHU!

Dwaj chłopcy patrzyli na siebie nawzajem przez długą chwilę, a potem wybuchnęli śmiechem, poklepując się po plecach.

– J-j-jesteśmy g-g-g-gotowi na w-w-wszystko – rzekł w końcu Bill, wciąż chichocząc i ocierając oczy rękawem kurtki.

– Jasne, Wielki Billu – oświadczył Richie.

– A teraz słuchaj. Z-z-zostawimy t-t-twój rower w Barrens. T-t-tam, gdzie zostawiam Silvera, kiedy się bawimy. P-p-pojedziesz na b-b-bagażniku, w razie gdybyśmy m-m-musieli szybko się z-zmywać. – Richie skinął głową, nie zamierzając się z nim spierać. Jego dwudziestodwucalowy raleigh (czasami, kiedy szybko pedałował, uderzał kolanami w kierownicę) wyglądał jak dziecinny rowerek w porównaniu z potężnym Silverem. Wiedział, że Bill był silniejszy, a Silver szybszy.

Dotarli do małego mostka i Bill pomógł Richiemu ukryć pod nim rower. Potem usiedli i przy wtórze odgłosów przejeżdżających nad nimi od czasu do czasu pojazdów Bill rozpiął płaszcz i wyjął pistolet ojca.

– T-t-tylko b-bądź b-b-bardzo ostrożny – powiedział Bill, podając go Richiemu, który gwizdnął z nieukrywanym podziwem. – W t-t-takiej broni nie ma b-b-bezpiecznika.

– Jest nabity? – zapytał z niepokojem w głosie Richie. Pistolet, Walther PPK, który znajdował się

w posiadaniu Zacka Denbrough od czasów wojny, wydawał się niewiarygodnie ciężki.

– J-j-jeszcze n-n-nie – odparł Bill i poklepał się po kieszeni. – M-mam tu p-p-parę naboi. Ale m-m-mój t-t-tata mówi, że czasami, j-jeśli n-n-nie j-jesteś d-dostatecznie o-o-ostrożny, p-p-pistolet p-potrafi sam w-w-wypalić. I m-możesz się s-s-sam p-p-postrzelić. – Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech, który potwierdzał, że Bill wierzył w prawdziwość tego twierdzenia pomimo całej jego absurdalności.

Richie zrozumiał. W tym przedmiocie jak w klatce czaiła się zabójcza drapieżność – coś, czego nigdy nie wyczuwał w dwudziestcedwójce czy strzelbie ojca (choć, co się tyczy dubeltówki, wydawało mu się, że czasami coś odczuwał… w sposobie, w jaki stała, milcząca i naoliwiona w mrocznym kącie szafy w garażu, jakby mówiła: „Gdybym chciała, mogłabym być naprawdę straszna; niewiarygodnie straszna” – ale na szczęście broń była niema). Ten pistolet jednak, ten mały czarny walther… zdawał się wprost stworzony do zabijania ludzi. Richie z lodowatym dreszczem uświadomił sobie, że właśnie po to został on wyprodukowany. Co innego mogłeś robić pistoletem? Przypalać papierosy?

Odwrócił walthera lufą do siebie, trzymając dłonie z dala od spustu. Jedno spojrzenie w głąb czarnej czeluści lufy wystarczyło, by zrozumiał znaczenie dziwnego uśmiechu Billa. Przypomniał sobie, jak ojciec powiedział mu kiedyś: „Jeżeli zdołasz pojąć, że nie ma czegoś takiego jak nienaładowana broń, to przez całe życie nie będziesz miał kłopotów z bronią palną, Richie”.

Z wyraźną ulgą oddał pistolet Billowi. Bill ponownie schował go pod płaszczem. Nagle dom przy Neibolt Street nie wydawał się już Richiemu taki straszny… choć perspektywa rozlewu krwi stała się bardziej prawdopodobna niż kiedykolwiek dotąd. Spojrzał na Billa; być może miał zamiar zaproponować mu, aby mimo wszystko zrezygnowali z tej wyprawy, ale zobaczył jego twarz, odczytał, co się na niej malowało, i zapytał tylko:

– Jesteś gotowy?

13

Jak zawsze, kiedy Bill w końcu oderwał drugą nogę od ziemi, Richie był pewny, że się przewrócą i porozbijają sobie głowy na twardym cemencie. Wielki rower chybotał się szaleńczo z boku na bok. Karty przypięte do szprych nie strzelały ogniem pojedynczym, lecz przeszły na

ciągły. Rower przestał sunąć chwiejnie jak pijak i zaczął jechać nieco bardziej pewnie. Richie zamknął oczy i czekał na nieuniknione.

I wtedy Bill zawołał:

– Hej-ho, Silver, naprzóóóóód!

Rower przyspieszył i wreszcie to upiorne, przyprawiające o mdłości kołysanie ustało. Richie rozluźnił swój morderczy uchwyt na brzuchu Billa i złapał się przedniej części bagażnika. Bill przejechał na skos Kansas Street i pomknął przez boczne uliczki, stale przyspieszając, w stronę Witcham. Bill prawie położył Silvera na boku i ponownie krzyknął:

– Hej-ho, Silver!

– Szybciej, Bill! – zawołał Richie, przerażony jak wszyscy diabli, ale mimo wszystko śmiejący się do rozpuku. – Musisz ujarzmić tę dziecinę!

Bill wziął to sobie do serca, unosząc się na siodełku, pochylając nad kierownicą i napierając na pedały jak szaleniec.

Patrząc na plecy Billa, które były zadziwiająco szerokie jak na jedenasto-, dwunastolatka, jego łopatki unoszące się na przemian w rytm stóp naciskających na pedały, Richie pomyślał, że są absolutnie nietykalni… nic nie może się im przydarzyć… będą żyć wiecznie… No cóż, może nie oni obaj, ale z całą pewnością Bill. Bill nie

zdawał sobie sprawy ze swojej siły, nieustępliwości i doskonałości. Sunęli jak burza, mijali teraz mniej domów, a ulice przecinały Witcham w o wiele większych odstępach.

– Hej-ho, Silver! – krzyknął znowu Bill, a Richie zawołał z tyłu ostrym i przenikliwym głosem Murzyna Jima:

– Hej-ho, Silver, massa! Jechać pan szybki. Pan pewny, massa! Pan spieszyć. Hej-ho, Silver, Naprzóóód!

Mijali teraz szerokie pola, które pod szarym niebem wydawały się płaskie i bezkresne. W oddali Richie dostrzegał starą ceglaną stację. Po prawej stronie rozciągał się rząd magazynów. Silver podskoczył najpierw na jednej, a potem na drugiej szynie toru.

Z prawej strony kończyła się Neibolt Street. TOROWISKO DERRY, brzmiał niebieski napis pod znakiem ulicznym. Był przerdzewiały i zwisał krzywo. Poniżej znajdował się dużo większy znak – czarne litery na żółtym polu układały się w napis: ŚLEPA ULICZKA, i było to swego rodzaju epitafium dla torowiska.

Bill skręcił w Neibolt Street, dojechał do chodnika i zdjął nogę z pedału.

– P-p-pójdziemy dalej p-p-pieszo.

Richie zsunął się z bagażnika z mieszanymi uczuciami ulgi i żalu.

– Dobra.

Przeszli wzdłuż popękanego i zarośniętego chwastami chodnika.

Od strony torowiska dał się słyszeć ryk silnika dieslowskiego, który to cichł, to rozbrzmiewał na nowo ze zdwojoną siłą.

Raz czy dwa usłyszeli metaliczny brzęk uderzających o siebie buforów.

– Boisz się? – spytał Billa Richie.

Bill, prowadząc Silvera za kierownicę, obejrzał się przez ramię, a potem kiwnął głową.

– T-t-tak. A t-ty?

– Pewno.

Bill powiedział Richiemu, że poprzedniego wieczoru spytał ojca o Neibolt Street. Ojciec mówił, że do końca drugiej wojny światowej mieszkało tam wielu kolejarzy – maszynistów, mechaników, konduktorów, sygnalistów, robotników i bagażowych. Ulica podupadała, podobnie jak całe torowisko, i w miarę jak Bill i Richie posuwali się dalej, odległość między domami stawała się większa, same budynki coraz bardziej brudne, a obejścia zachwaszczone. Ostatnie trzy czy cztery po obu stronach były

opuszczone i zabite deskami, a trawniki porosły zielskiem.

Na werandzie jednego z nich wisiał zapomniany od dawna napis: NA SPRZEDAŻ. Richiemu wydawało się, że tabliczka ta musi mieć dobre tysiąc lat. Chodnik się skończył i szli teraz wzdłuż bitej drogi, która nie była tak bardzo zarośnięta jak pobliskie trawniki.

Bill zatrzymał się i pokazał ręką.

– T-t-to t-t-tam – powiedział cichym tonem.

Dom przy Neibolt Street 29 był niegdyś czerwony. Być może, pomyślał Richie, mieszkał tam kiedyś jakiś inżynier, kawaler noszący dżinsy i grube, usztywniane rękawice z poduszkami – facet, który raz czy dwa razy w miesiącu przez trzy lub cztery dni z rzędu przesiadywał w domu, pracując w ogródku i słuchając radia, facet, który jadał głównie smażone potrawy (i żadnych warzyw, choć uprawiał je dla przyjaciół), a w wietrzne noce powracał myślami do porzuconej przed laty dziewczyny.

Teraz czerwona farba wyblakła i stała się bladoróżowa; odłaziła brzydkimi płatami od ścian jak wrzody. Okna zabite dechami przypominały oślepione oczy. Brakowało większości gontów. Chwasty obrosły dom z obu

stron, a trawnik był pokryty pierwszymi tego roku mleczami. Po lewej, przy wysokim drewnianym płocie, który kiedyś musiał być biały, a teraz wyblakł do odcienia ołowianej szarości, tak że niemal pasował do barwy nieba, rozrosła się gęstwa kołysanych wiatrem krzewów.

Mniej więcej w połowie tego ogrodzenia Richie dostrzegł las monstrualnych słoneczników – najwyższy miał dobre pięć stóp wysokości. Były napęczniałe i niezbyt przyjemne z wyglądu. Wiatr poruszał nimi i zdawało się, że słoneczniki kiwają potakująco głowami: Chłopcy są tutaj – czy to nie miłe? Więcej chłopców. Naszych chłopców. Richie zadrżał.

Podczas gdy Bill ostrożnie opierał Silvera o pień wiązu, Richie zlustrował wzrokiem dom. Zobaczył koło wystające z gęstej, wysokiej trawy opodal werandy i pokazał je Billowi. Bill skinął głową; to był przewrócony trójkołowiec, o którym wspominał Eddie.

Rozejrzeli się po Neibolt Street. Dudniący odgłos diesla to cichł, to z kolei narastał, milkł i rozbrzmiewał od nowa. Ten dźwięk wisiał w powietrzu jak rzucone przez kogoś zaklęcie. Ulica była całkiem pusta. Richie słyszał, jak wzdłuż Route 2 przejeżdżają raz po raz

samochody, ale nie zobaczył żadnego. Silnik dieslowski buczał i cichł, buczał i cichł. Olbrzymie słoneczniki potakiwały milcząco: Świeża dostawa. Dobrzy chłopcy. Nasi chłopcy.

– J-j-jesteś g-g-gotowy? – spytał Bill i Richie drgnął gwałtownie.

– Wiesz co, właśnie sobie przypomniałem, że muszę oddać dziś parę książek do biblioteki – rzekł Richie. – Może powinienem…

– D-d-daj spokój z t-t-tymi bzdurami, R-r-richie. J-j-jesteś g-g-gotów czy n-n-nie?

– Chyba tak – odparł Richie, choć wiedział, że było dokładnie na odwrót i że nigdy nie będzie gotowy na to, co mieli zrobić.

Przeszli przez zarośnięty trawnik w stronę werandy.

– P-p-popatrz t-t-tam – powiedział Bill.

Nieco dalej po lewej spomiędzy gęstwiny krzewów wystawała drewniana kratownica. Obaj chłopcy widzieli wyrwane, zardzewiałe gwoździe. Były tu stare krzewy róż i podczas gdy róże zarówno po prawej, jak i po lewej stronie niezamocowanego kawałka kratownicy kwitły w najlepsze, te wokół i na wprost niej były uschnięte i obumarłe.

Bill i Richie spojrzeli po sobie ponuro. Wszystko, o czym opowiadał Eddie, wydawało

się prawdą; po siedmiu tygodniach dowody nadal tu się znajdowały.

– Chyba nie chcesz tam wchodzić, co? – spytał Richie niemal błagalnym tonem.

– N-n-nie – odparł Bill. – Ale wejdę.

Richie ze złamanym sercem czuł, że tamten nie żartował. W oczach Billy'ego odbijały się migotliwe promyki szarego światła. Bruzdy na jego twarzy, świadczące o nieugiętości, sprawiały, że wyglądał na starszego. Richie pomyślał, że on naprawdę ma zamiar To zabić, jeśli To nadal tam jest. Zabić To i może odciąć Temu głowę. A potem zanieść ją ojcu i powiedzieć: „Spójrz, To zabiło George'a. A teraz porozmawiajmy. Mów do mnie, opowiedz, jak ci minął dzień, co nowego w pracy, kto przegrał, kiedy graliście w marynarza o to, komu przyjdzie płacić za poranną kawę…".

– Bill – wyszeptał, ale Billa już tam nie było. Zmierzał ku prawemu narożu werandy, pod które musiał wpełznąć Eddie. Richie chciał dogonić Billa i prawie upadł, zahaczając o trójkołowca leżącego pośród chwastów i rdzewiejącego w ziemi.

Kiedy znalazł się na miejscu, Bill właśnie przykucał i zaglądał pod werandę, która z tej strony w ogóle nie była osłonięta – deski musiały

zostać zdjęte przez jakiegoś włóczęgę, chcącego ukryć się tam przed styczniowym śniegiem, zimnym listopadowym deszczem albo letnią ulewą.

Richie ukucnął obok niego, a serce waliło mu jak oszalałe. Pod werandą nie było nic prócz sterty liści, pożółkłych gazet i cieni. Zbyt wielu cieni.

– Bill – powtórzył.

– C-c-co? – Bill ponownie wyjął walthera. Wysunął delikatnie magazynek z kolby, a następnie wydobył z kieszeni cztery naboje. Załadował je jeden po drugim. Richie obserwował tę czynność z fascynacją, a potem znów zajrzał pod werandę. Tym razem dostrzegł coś innego. Potłuczone szkło. Pobłyskujące słabo odłamki. Coś ścisnęło go boleśnie w żołądku. Stanowiło to ostateczne potwierdzenie prawdziwości historii Eddiego.

Odłamki szkła na stertach liści pod werandą oznaczały, że okno zostało wybite od wewnątrz. Od strony piwnicy.

– C-co? – zapytał powtórnie Bill, unosząc wzrok, aby spojrzeć na Richiego. Jego twarz była posępna i blada. Patrząc na nią, Richie poczuł narastające mdłości.

– Nic – odpowiedział.

– I-i-idziesz?

– Tak.

Wpełzli pod werandę. Richie, ogólnie rzecz biorąc, lubił zapach gnijących liści, ale woń, która dominowała tu na dole, bynajmniej nie należała do przyjemnych. Liście uginały się pod jego dłońmi i kolanami i miał wrażenie, że mogą zapaść się na dwie albo nawet i trzy stopy w głąb. Zastanawiał się przez chwilę, co by zrobił, gdyby spod tych liści wyprysnęła łapa albo pazur i schwyciła go z całej siły.

Bill przyglądał się wybitemu oknu, rozsypane szkło walało się wszędzie. Drewniana listwa łącząca dwie szyby leżała rozszczepiona pod stopniami werandy. Górna część framugi sterczała niczym złamana kość.

– Coś nielicho w to przyrżnęło – wyszeptał zdyszany Richie. Bill, który teraz zaglądał do środka lub w każdym razie próbował, pokiwał głową. Richie trącił go łokciem, chcąc też rzucić okiem w głąb piwnicy.

Wnętrze pomieszczenia zasłane było pudłami i skrzyniami. Podłogę stanowiło klepisko, z którego, tak jak i z liści, biła woń wilgoci i zgnilizny. Z pieca po lewej odchodziły do niskiego sufitu metalowe rury. Poza nimi na końcu piwnicy Richie zauważył olbrzymią

przegrodę z drewnianymi bokami. Od razu skojarzyła mu się z boksem w stajni, ale kto trzymałby konie w tej ohydnej zatęchłej piwnicy? Potem uświadomił sobie, że taki stary dom zamiast ropą, musiał być opalany drewnem. Nikt nie zadał sobie trudu doprowadzenia tego miejsca do porządku, gdyż nie było chętnych na ten dom. Pomieszczenie z drewnianą przegrodą stanowiło składzik na węgiel. Nieco dalej, po prawej, Richie dostrzegł schody prowadzące na parter. Teraz Bill usiadł… przesunął się nieco do przodu i zanim Richie zdołał uwierzyć w to, co zobaczył, nogi przyjaciela znikły w otworze okna.

– Bill, na miłość boską! – syknął. – Co ty wyprawiasz? Wyłaź stamtąd!

Bill nie odpowiedział. Ześlizgnął się na dół, o włos unikając zetknięcia z odłamkiem szkła, który jak nic rozorałby mu plecy do kości – wełniany płaszcz, który miał na sobie, podsunął mu się aż do nerek. Chwilę potem Richie usłyszał, jak tenisówki Billa plasnęły o twarde klepisko wewnątrz piwnicy.

– Olej to – mruknął pod nosem Richie, patrząc na prostokąt ciemności, w którym przed chwilą zniknął jego przyjaciel. – Bill, czyś ty zwariował?

– M-m-możesz t-t-tam zostać, j-j-jeżeli chcesz, R-r-richie. Zostań n-n-na straży – dobiegł go głos

Billa.

On jednak przeczołgał się na brzuchu i wsunął obie nogi przez okno piwnicy, zanim nerwy odmówiły mu posłuszeństwa, mając w głębi duszy nadzieję, że nie potnie sobie rąk ani brzucha na potłuczonym szkle.

Coś schwyciło go za nogi. Richie wrzasnął.

– T-t-to t-t-tylko ja – syknął Bill.

Chwilę później Richie stał obok niego w piwnicy, obciągając kurtkę i koszulę.

– A m-m-myślałeś, że kto?

– Czarny Lud – odparł Richie i wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

– J-jeżeli n-n-nie chcesz, n-n-nie…

– Pieprzyć to – rzucił Richie. Jego głos był drżący i niepewny. Słyszał w nim uderzenia swego serca. – Zostaję z tobą, Wielki Billu.

Najpierw udali się w stronę składziku na węgiel; Bill z pistoletem w dłoni szedł nieco z przodu, Richie zaraz za nim, starając się patrzeć na wszystkie strony jednocześnie.

Bill stał przez chwilę za jedną z drewnianych przegród składziku i nagle wyprysnął zza niej jak szalony, trzymając gotową do strzału broń w obu rękach. Richie zmrużył powieki, przygotowując się na huk. Ale strzał nie padł. Ostrożnie otworzył oczy.

– N-n-nic, t-t-tylko w-węgiel – rzucił Bill i zachichotał nerwowo.

Richie stanął obok Billa i zajrzał do środka. Wciąż znajdowała się tam hałda węgla, sięgająca w tylnej części składziku prawie aż pod sufit, a u ich stóp nie przekraczała wysokości jednej czy dwóch bryłek. Węgiel był czarny jak skrzydło kruka.

– Chodź… – zaczął Richie i w tej samej chwili drzwi wejściowe do piwnicy, otwierając się, rąbnęły z trzaskiem w ścianę, wpuszczając na schody promienie jasnego światła słonecznego. Obaj chłopcy krzyknęli.

Richie usłyszał warczenie jakby dzikiego zwierzęcia zamkniętego w klatce. Było bardzo głośne. Zobaczył stopy w trampkach, schodzące po schodach. Wyblakłe nogawki dżinsów… luźno opuszczone wzdłuż boków dłonie…

Ale to nie były dłonie… to były łapy. Olbrzymie, zniekształcone łapy.

– W-w-właź p-p-p-po w-węglu! – wrzasnął Bill, ale Richie stał jak skamieniały, zdając sobie sprawę, że wie, co ku niemu zmierza i co chce ich zabić w tej mrocznej piwnicy cuchnącej wilgocią i rozlanym po kątach tanim winem. Mimo że wiedział, musiał się przekonać na własne oczy. – N-nad w-w-węglem jest o-o-okno!

Łapy były porośnięte gęstą brązową sierścią, poskręcaną i falującą jak druty; palce kończyły połamane, postrzępione paznokcie. Teraz Richie zobaczył jedwabną kurtkę. Była czarna z pomarańczowymi lamówkami – w barwach liceum Derry.

– U-u-uciekaj! – zawołał Bill i z całej siły popchnął Richiego. Chłopak wyłożył się na hałdzie węgla. Ostre krawędzie brył wpiły się boleśnie w jego ciało, wyrywając go z odrętwienia. Kolejna porcja brył osunęła mu się po rękach jak lawina. Szalony warkot nie milkł ani na chwilę. Panika rozpostarła swój kaptur nad umysłem Richiego.

Niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął się wspinać po górze węgla – brnął coraz wyżej, osuwał się i ponownie odzyskiwał utracone cale, krzycząc jak oszalały. Okno u szczytu hałdy, całe czarne od pyłu węglowego, nie przepuszczało ani odrobiny światła. I było zamknięte. Richie schwycił za zasuwkę i próbując ją obrócić, naparł na nią całym ciężarem. Bez skutku. Warkot się przybliżał.

Gdzieś pod nim dał się słyszeć huk wystrzału – był to ogłuszający dźwięk w tak ograniczonej przestrzeni. Ostry i kwaśny dym z lufy pistoletu podrażnił nozdrza Richiego. Otrzeźwiło go to

nieco i nagle zdał sobie sprawę, że szarpał się z zasuwką, próbując ją przekręcić w niewłaściwą stronę. Spróbował zrobić to samo, ale napierając w przeciwną stronę, i zamek odskoczył przy wtórze jękliwego zgrzytu przerdzewiałego mechanizmu. Pył węglowy obsypał mu dłonie jak pieprz. Pistolet wypalił powtórnie z przeraźliwym hukiem.

– Zabiłeś mojego brata, ty draniu! – krzyknął Bill Denbrough.

Przez chwilę mogło się wydawać, że istota schodząca po schodach wybuchnęła śmiechem; zdawała się coś mówić – przypominało to odgłosy wydawane przez wściekłego psa i w pewnym momencie Richie odniósł wrażenie, że pośród tego zaciekłego warkliwego jazgotu wyławia słowa: „I ciebie też zabiję”.

– Richie! – wrzasnął wówczas Bill i Richie usłyszał grzechot osuwających się brył węgla, kiedy Bill wdrapywał się na górę.

Ryki i warczenie trwały nadal. Trzask pękającego drewna. Mieszanka ryków i skowytów – dźwięki z piekła rodem. Koszmar na jawie. Richie z całej siły naparł na okno, nie myśląc o tym, że ostre kawałki szkła mogą pociąć mu dłonie na paski. Przestał się tym przejmować. Okno nie rozbiło się – odchyliło się na zewnątrz

na starych, przerdzewiałych zawiasach. Kolejna porcja pyłu węglowego znalazła się tym razem na twarzy Richiego. Wyślizgnął się na zewnątrz jak węgorz, czując w nozdrzach zapach świeżego powietrza, a na twarzy dotyk źdźbeł długich traw. Prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, że padało. Widział grube łodygi wielkich słoneczników, zielone i owłosione. Walther wypalił po raz trzeci i stwór w piwnicy wydał z siebie przejmujący ryk – prymitywny dźwięk czystej wściekłości. I wtedy Bill krzyknął:

– T-t-to mnie złapało, Richie. Na pomoc! D-dostało mnie!

Richie obrócił się na czworakach i w prostokącie okna dostrzegł przerażony owal odwróconej ku górze twarzy przyjaciela. Przez to okno w październiku każdego roku wrzucano do piwnicy ładunek węgla na zimę.

Bill leżał jak długi na hałdzie. Jego dłonie sięgały rozpaczliwie w stronę framugi okna, która, niestety, znajdowała się tuż poza jego zasięgiem. Koszula i kurtka chłopca były zadarte prawie do piersi. A on zsuwał się w dół… nie, był ściągany przez coś, co Richie ledwo mógł dostrzec. To był poruszający się gigantyczny cień z tyłu za Billem. Cień, który warczał i mamrotał coś tak, że brzmiało to niemal jak ludzka mowa.

Richie nie musiał się temu przyglądać. Widział to w zeszłą sobotę na ekranie kina Aladyn. To było szalone, absolutnie szalone, ale Richie bynajmniej nie wątpił ani w swoje przypuszczenia, ani w sprawność własnych zmysłów. Nastoletni Wilkołak zdołał schwytać Billa, tyle że to nie był aktor, Michael Landon, z porcją masy charakteryzatorskiej i sztucznego futra na twarzy, tylko prawdziwy wilkołak. Jakby na dowód tego Bill ponownie krzyknął.

Richie sięgnął w głąb piwnicy i schwycił Billa za ręce. W jednej z dłoni Jąkały tkwił walther i po raz drugi tego dnia Richie zajrzał do jego czarnej lufy… tylko że tym razem broń była załadowana. Szamotali się przez chwilę, walcząc o Billa – Richie trzymając go za ręce, wilkołak za kostki stóp.

– U-u-u-uciekaj, Richie! – wrzasnął Bill. – U-u-u…

Nagle z ciemności wychynęło oblicze wilkołaka. Miał niskie, wysunięte do przodu czoło pokryte rzadkimi włosami. Policzki zapadnięte i owłosione. Ciemnobrązowe oczy spoglądały z jakąś potworną inteligencją i świadomością.

Usta otwarły się i z gardzieli dobyło się ochrypłe warczenie. Z kącików ust pociekły aż na

brodę gęste strużki białej piany. Włosy na głowie stwora były zaczesane do tyłu w groteskowej parodii młodzieżowej fryzury. To odrzuciło głowę do tyłu i ryknęło przeciągle, ani na chwilę nie spuszczając oka z Richiego.

Bill zaczął wspinać się po hałdzie. Richie schwycił go za przedramiona i pociągnął. Przez chwilę wydawało mu się, że zwycięży. I wtedy wilkołak ponownie szarpnął Billa za nogi, ściągając go raz jeszcze w ciemność piwnicy. To było silniejsze. To trzymało Billa i nie zamierzało zrezygnować ze swojej ofiary. Nagle, niemal nie zastanawiając się, co robi i czemu, Richie usłyszał dobywający się z własnych ust głos irlandzkiego gliniarza – głos pana Nella. Nie była to wszakże kiepska imitacja w wykonaniu Richiego Toziera. To był głos twardego irlandzkiego gliny, który na gorącym uczynku przyłapał młodocianego złodziejaszka próbującego sforsować po północy drzwi któregoś ze sklepów.

– Nie rusz go, mały, bo rozpieprzem ci ten twój twardy łep! Jak mi Bóg miły, że to zrobiem! Nie rusz go, bo jak nie, to ci zaserwujem twojom własnom dupe na płaskiem talerzu!

Stwór z piwnicy wydał z siebie przeszywający uszy ryk gniewu… ale Richiemu wydawało się, że

wychwycił w nim coś jeszcze… Może strach. Albo ból.

Richie ponownie szarpnął z całej siły i Bill wyfrunął przez okno na trawnik. Uniósł wzrok i spojrzał na Richiego ciemnymi, przerażonymi oczyma. Przód kurtki miał cały w pyle węglowym.

– Sz-sz-szybko! – wydyszał Bill. Prawie jęczał. Chwilę później okno piwnicy wypełniło oblicze wilkołaka. Warczał na nich zajadle. Jego łapy wściekle orały trawę.

Bill wciąż miał przy sobie walthera – ani na chwilę nie wypuścił go z ręki. Teraz uniósł go przed sobą, trzymając pistolet oburącz, i zmrużywszy nieznacznie powieki, nacisnął spust. Rozległ się kolejny ogłuszający wystrzał. Richie zobaczył, jak kula odrywa potężny kawał czaszki wilkołaka i strumień krwi spływa po boku głowy potwora, plamiąc porastające je futro i kołnierz szkolnej kurtki, którą monstrum miało na sobie.

Istota z rykiem zaczęła przeciskać się przez okno.

Richie wolno jak w transie sięgnął pod kurtkę do tylnej kieszeni spodni. Wyjął z niej paczuszkę z rysunkiem kichającego mężczyzny. Rozerwał ją, podczas gdy krwawiąca, rycząca kreatura

wydostała się z piwnicy, ryjąc w ziemi przed oknem długie, głębokie bruzdy. Richie nacisnął na paczuszkę.

– Wracaj do siebie, mały – rozkazał głosem irlandzkiego gliniarza. Biała chmura buchnęła wilkołakowi w pysk. I nagle jego ryk umilkł. To spojrzało na Richiego z niemal komicznym zdziwieniem i zaczęło wydawać chrapliwe, zduszone kichnięcia. Czerwone, napuchnięte, załzawione oczy wpatrywały się w Richiego, jakby chciały zapamiętać go na zawsze.

I wtedy To zaczęło kichać.

Kichało raz po raz – jak z armaty. Z pyska stwora pociekły kleiste strugi śliny. Z nozdrzy wytrysnął zielonoczarny obrzydliwy śluz. Parę kropel wylądowało na skórze Richiego, paląc niczym kwas. Richie wytarł je z okrzykiem bólu i obrzydzenia. Na twarzy Tego nadal widniała wściekłość, ale również ból – to nie ulegało wątpliwości. Bill mógł To zranić z pistoletu ojca, ale Richie dopiekł mu bardziej… najpierw za pomocą głosu irlandzkiego gliniarza, a potem używając proszku na kichanie.

Jezu, gdybym miał też trochę proszku na swędzenie i do tego jeszcze joy buzzer, to kto wie, może udałoby mi się To zabić, pomyślał Richie

i w tej samej chwili Bill schwycił go za kołnierz kurtki i szarpnął z całej siły do tyłu.

Na szczęście. Wilkołak bowiem przestał kichać równie gwałtownie, jak zaczął, i rzucił się na Richiego. To było szybkie – niewiarygodnie szybkie.

Richie mógłby siedzieć tam z pustą paczuszką proszku na kichanie w jednej ręce, patrząc z osłupieniem i zdumieniem na wilkołaka, myśląc o tym, jak brązowe było jego futro i jak czerwona wydawała się krew stwora, oraz że w tym dziwnym świecie nic nie było ani czarne, ani białe, i siedziałby tak, aż potężne łapy zacisnęłyby się wokół jego szyi, a długie połamane paznokcie rozdarłyby mu gardło, ale Bill ponownie go szarpnął i zmusił do podniesienia się z ziemi. Richie, zataczając się, pobiegł za przyjacielem. Wybiegli przed dom i Richie pomyślał, że To nie ośmieli się ich gonić, są teraz na ulicy, To nie ośmieli się gonić, nie odważy się, nie odważy się…

Ale To się zbliżało. Słyszał, że było tuż za nimi, mamroczące, warczące i śliniące się.

Przed nimi, oparty o drzewo, stał Silver. Bill wskoczył na siodełko i wrzucił broń ojca do bagażnika, w którym zwykle przewozili pistolety zabawki. Richie, wskakując na bagażnik,

zaryzykował spojrzenie za siebie i zobaczył, że wilkołak sunął w ich stronę przez trawnik i dzieliło go od nich około dwudziestu stóp. Krew i ślina mieszały się na materiale licealnej kurtki. Pomiędzy kudłami na prawej skroni potwora prześwitywała biała kość.

Po bokach nosa stwora widniały rozmazane ślady proszku na kichanie. Prócz tego Richie zobaczył jeszcze dwie rzeczy, które dopełniły wrażenia zgrozy – na kurtce stwora nie było zamka błyskawicznego, lecz znajdowały się tam wielkie, puszyste pomarańczowe guziki-pompony. Druga rzecz była jeszcze gorsza. Kiedy to zobaczył, przez chwilę czuł się tak, jakby miał zaraz zemdleć, i zastanawiał się, czy nie powinien zaprzestać beznadziejnej walki i po prostu dać się zabić.

Na lewej piersi kurtki widniały wyszyte złotą nicią litery (co u Machena kosztowało dolara). Pomimo że materiał był zakrwawiony, bez trudu można było zobaczyć, że układały się one w słowa RICHIE TOZIER.

To rzuciło się na nich.

– Jazda, Bill! – ryknął Richie.

Silver zaczął się toczyć, ale jechał wolno, o wiele za wolno. Zawsze tak długo trwało, zanim Bill zdołał wprawić go w ruch. Wilkołak

przeskoczył pociętą koleinami ścieżkę dokładnie w chwili, gdy Bill wyjechał na środek Neibolt Street. Krew zbryzgała wypłowiałe dżinsy stwora i Richie, gdy obejrzał się przez ramię, z przeraźliwą, niezłomną fascynacją, bliską stanowi hipnotycznego transu, dostrzegł, że szwy dżinsów w wielu miejscach popękały, ukazując wyłażące spod nich kępki gęstego brązowego futra.

Silver chybotał się dziko na boki. Bill podniósł się na siodełku, chwytając mocniej rączki kierownicy, i uniósł głowę; żyły wystąpiły mu na szyi. Pomimo jego wysiłków karty przy szprychach nadal strzelały pojedynczym ogniem. Jedna z łap sięgnęła po Richiego. Chłopiec wrzasnął przeraźliwie i uchylił się w bok. Wilkołak warknął i uśmiechnął się. Był tak blisko, że Richie widział pożółkłe rogówki jego oczu i czuł słodko-zgniły zapach oddechu z jego ust. Zęby stwora były długimi, zakrzywionymi kłami. Richie krzyknął raz jeszcze, kiedy To wykonało potworny zamach. Był przekonany, że monstrum oderwie mu głowę, ale łapa śmignęła tuż przed jego nosem, chybiając zaledwie o cal. Siła zamachu odgarnęła spocone włosy z czoła Richiego.

– Hej-ho, Silver. Naprzóoóód! – zawył Bill na całe gardło.

Dotarł do szczytu niskiego pagórka. Nie był zbyt wysoki, ale wystarczający, aby rozpędzić Silvera. Karty zaczęły strzelać szybciej i ten odgłos zmienił się w ostre staccato. Bill jak szalony nacisnął na pedały, Silver przestał się bujać i pomknął prosto w dół Neibolt Street w stronę Route 2.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu, pomyślał ni stąd, ni zowąd Richie. Dzięki… Wilkołak ryknął ponownie. Mój Boże, zupełnie jakby był tuż obok mnie. W tej samej chwili Richie stracił oddech, kiedy pod wpływem gwałtownego szarpnięcia od tyłu kołnierze koszuli i kurtki wpiły mu się w tchawicę.

Wydał z siebie zduszony, gardłowy dźwięk i w ostatniej chwili zdążył złapać Billa wpół, zanim potężna łapa ściągnęła go z bagażnika roweru. Bill szarpnął się w tył, ale trzymał z całej siły rączki kierownicy. Richie pomyślał, że wielki rower po prostu się przewróci, a on i Bill wylądują twardo na ziemi. W tej samej chwili jego kurtka (która i tak tego dnia miała się znaleźć w koszu na śmieci) rozdarła się na plecach z głośnym trzaskiem, przypominającym

solidne pierdnięcie. Richie znowu mógł oddychać.

Popatrzył wokoło i spojrzał prosto w te błotniste, mordercze oczy.

– Bill! – usiłował zawyć, ale słowo to wydobyło się z jego ust kompletnie pozbawione siły i dźwięku.

Pomimo to wydawało się, że Bill go usłyszał. Pedałował jeszcze mocniej, mocniej niż kiedykolwiek dotąd w całym swoim życiu. Miał wrażenie, że wszystkie wnętrzności, zupełnie nieskrępowane, podchodzą mu do gardła. W ustach czuł metaliczny posmak krwi. Oczy zaczęły mu wychodzić z orbit. Jego usta otworzyły się szeroko, łakomie chłonąc powietrze. Przepełniło go uczucie ożywienia – coś, co tkwiło w nim i było od niego zupełnie niezależne. Coś dzikiego. I wolnego.

Pragnienie. Stanął na pedałach. Przypochlebiał się im. Miażdżył je stopami. Silver stale nabierał prędkości. Teraz zaczął już wyczuwać drogę – zdawało się, że płynie w powietrzu. Bill czuł to aż nazbyt wyraźnie. Miał wrażenie, że frunie.

– Hej-ho, Silver! – krzyknął raz jeszcze. – Hej-ho, Silver. Naprzóóóóód!

Richie słyszał szybki, gwałtowny tupot podeszew trampek na chodniku. Odwrócił się. Łapa wilkołaka trafiła go tuż nad oczami z potworną siłą i przez moment Richiemu wydawało się, że stracił górną połowę czaszki. Nagle wszystko stało się mało ważne, jakby spowite mgłą. Dźwięki to rozbrzmiewały, to cichły. Świat wydawał się wyprany z kolorów. Richie odwrócił się, przywierając rozpaczliwie do Billa. Ciepła krew wpłynęła mu do prawego oka, powodując okropne pieczenie.

Łapa uniosła się do kolejnego ciosu i śmignęła w dół – tym razem trafiając w tylny błotnik. Richie poczuł, jak rower zachwiał się gwałtownie; przez moment wydawało się, że Silver się przewróci, jednak w ostatniej chwili zdołał utrzymać równowagę i powrócił do pionu. Bill zawołał ponownie: „Hej-ho, Silver, naprzód!”, ale ten dźwięk również był bardzo odległy, jak echo słyszane na moment przed jego kompletnym wygaśnięciem. Richie zamknął oczy i trzymając się kurczowo, czekał na koniec.

14

Bill nie odważył się odwrócić i spojrzeć, choć słyszał tupot kroków, co znaczyło, że klown jeszcze się nie poddał. Zdawał sobie sprawę, że

gdyby To ich dogoniło, przewróciłoby rower. To mu wystarczyło.

No, dalej, mały, pomyślał. Daj z siebie wszystko! Wszystko, co możesz! Teraz! Jedź, Silver! Jedź.

Bill Denbrough powtórnie stanął do wyścigu z diabłem, tyle że teraz diabeł był okropnie uśmiechniętym klownem o twarzy pokrytej białą szminką, ustach wykrzywionych w wampirycznym uśmiechu i oczach błyszczących jak srebrne monety. Klownem, który z jakichś szalonych powodów nosił kurtkę liceum Derry narzuconą na srebrzysty strój z pomarańczową kryzą i pomarańczowymi pomponami.

Jazda, Silver, dawaj, mały, co ty na to?

Neibolt Street, przemykając obok niego, była jedną wielką szarą plamą. Silver zaczynał rozpędzać się na dobre. Czy tupot stóp jakby nieco przycichł, czy też Billowi się tylko wydawało? Wciąż nie miał dość odwagi, by się odwrócić i spojrzeć. Richie obejmował go kurczowym, morderczym uchwytem, uciskając mu klatkę piersiową i utrudniając oddychanie. Bill chciał mu powiedzieć, żeby trochę poluzował ręce, ale na to również nie mógł się zdobyć, bo nie chciał tracić ani odrobiny powietrza.

Tam w oddali, jak cudowny sen, majaczył znak stopu oznaczający skrzyżowanie Neibolt Street i Route 2. Ulicą przejeżdżały samochody. Ponieważ Bill był przerażony i skrajnie wyczerpany, ten obraz odbierał niemal jak coś cudownego. Teraz, ponieważ lada moment przyjdzie mu nacisnąć na hamulce (albo zrobić coś równie pomysłowego), zaryzykował ukradkowe spojrzenie przez ramię. To, co zobaczył, sprawiło, że jednym gwałtownym szarpnięciem zatrzymał pedały Silvera, obracając je w przeciwną stronę. Rowerem zarzuciło, na asfalcie pozostał ślad gumy z tylnego koła, a Richie wyrżnął boleśnie głową w prawe ramię Billa.

Ulica była kompletnie pusta. Ale jakieś dwadzieścia pięć jardów za nimi, przy pierwszym z opuszczonych domów tworzących coś w rodzaju konduktu pogrzebowego dla torowiska, błysnęło coś pomarańczowego. To leżało blisko otworu kanału burzowego wyciętego w asfalcie.

– Aaach…

Bill zdał sobie sprawę, że Richie zsuwa się z bagażnika, gdy było już prawie za późno. Jego oczy były skierowane ku górze, tak że Bill widział

tylko dolne krawędzie tęczówek ukrytych pod górnymi powiekami.

Zreperowany łuk okularów Richiego sterczał przekrzywiony. Z czoła chłopca wolno spływała krew. Bill schwycił go za ramię, obaj przechylili się na prawo i Silver stracił równowagę. Upadli na ulicę w plątaninie rąk i nóg. Bill nieźle się przy tym poobijał i aż wrzasnął z bólu. Na ten dźwięk Richie zamrugał powiekami.

– Pokażę ci, jak snaleść skarb, senhorrr, ale ten facet, Dobbs, jesss dość niebespieczny – rzucił ochrypłym tonem Richie.

To był głos Pancho Vanilli[5], ale ton i kompletny brak związku z tym, co się wydarzyło, napędziły Billowi niezłego stracha. Zobaczył kilka szorstkich, brązowych włosów przylepionych do płytkiej szarpanej rany na czole Richiego. Były lekko poskręcane, jak owłosienie łonowe jego ojca. Ich widok wprawił go w jeszcze większe przerażenie i Bill wymierzył Richiemu solidny policzek.

– Aauu! – zawołał Richie. Zamrugał powiekami, po czym otworzył szeroko oczy. – Czego mnie bijesz, Bill? Stłuczesz mi okulary. I tak są w nie najlepszym stanie, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś.

– M-m-myślałem, ż-ż-że u-umierasz albo c-c-co – odparł Bill.

Richie usiadł powoli na ulicy i przyłożył rękę do głowy.

– Co się sta… – I wtedy sobie przypomniał. Jego oczy rozszerzyły się na skutek strachu i szoku i poderwał się na kolana, oddychając chrapliwie.

– N-n-nie – rzekł Bill. – T-t-to odeszło, R-r-richie. Odeszło.

Richie zobaczył pustą ulicę, na której nic się nie poruszało, i wybuchnął płaczem. Bill przyglądał mu się przez chwilę, a potem zarzucił Richiemu ramiona na szyję i uściskał go mocno. Richie odpowiedział mu tym samym. Chciał powiedzieć coś mądrego, na przykład że Bill powinien spróbować użyć do obrony przed wilkołakiem procy bullseye, ale z jego ust wyrwał się jedynie szloch.

– N-n-nie, R-r-richie – powiedział Bill. – N-n-n… – Po czym sam zaniósł się płaczem i tak klęczeli obaj objęci na ulicy obok przewróconego roweru Billa, a łzy spływały po ich czarnych od pyłu węglowego policzkach, żłobiąc na nich czyste, kręte bruzdy.

ROZDZIAŁ 9
Wielkie sprzątanie

1

Gdzieś, wysoko nad stanem Nowy Jork, po południu 25 maja 1985 roku Beverly Rogan ponownie wybucha śmiechem. Zakrywa usta dłońmi, obawiając się, że ktoś weźmie ją za osobę niespełna rozumu, ale nie może się powstrzymać. Wtedy sporo się śmialiśmy, myśli. To coś innego, jeszcze jedno światełko w ciemności. Przez cały czas umieraliśmy ze strachu, a mimo to nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu, tak jak ja teraz.

Facet siedzący obok niej na fotelu jest młody, długowłosy i przystojny. Odkąd samolot wystartował z Milwaukee o wpół do trzeciej (już prawie dwie i pół godziny temu z postojem w Cleveland i Filadelfii), parę razy spoglądał w jej

stronę taksującym wzrokiem, ale szanuje jej wyraźną niechęć do nawiązania konwersacji. Po paru próbach zagajenia rozmowy, na które reagowała uprzejmie, lecz chłodno, otwiera swoją torbę i wyjmuje z niej powieść Roberta Ludluma. Teraz zamyka ją, zaznaczając palcem miejsce, gdzie skończył czytać, i mówi z pewnym zatroskaniem w głosie:

– Czy wszystko w porządku?

Bev kiwa głową, starając się nadać twarzy poważny wyraz, a potem ponownie parska śmiechem. On uśmiecha się pod nosem zakłopotany i patrzy na nią pytająco.

– Nic, nic – odpowiada, ponownie siląc się na powagę, lecz bezskutecznie. Im bardziej usiłuje się opanować, tym bardziej jej twarz stawia zaciekły opór. Jak za starych czasów. – Po prostu nagle zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, do jakich linii lotniczych należy ten samolot. Wiem tylko, że na boku ma wielką k-k-kaczkę. – Ta myśl przeważa szalę. Bev ponownie wybucha śmiechem.

Ludzie oglądają się i przyglądają się jej; niektórzy są wyraźnie zdegustowani.

– Republic – mówi mężczyzna.

– Słucham?

– Leci pani w powietrzu z prędkością czterystu dwudziestu mil na godzinę dzięki maszynie linii Republic. Tak jest napisane w folderze KYAG-u, który znajduje się w kieszeni fotela.

– KYAG?

Wyjmuje folder (który rzeczywiście ma na pierwszej stronie logo Republic) z kieszeni fotela. W broszurze znajdują się informacje na temat umiejscowienia wyjść awaryjnych, urządzeń pływających, obsługi masek tlenowych i przyjęcia właściwej pozycji na wypadek lądowania z poślizgiem.

– Piszą tu, jak pocałować własny tyłek na do widzenia – mówi, i tym razem oboje zaczynają się śmiać.

On jest naprawdę przystojny, myśli nagle Bev. To całkiem świeża myśl, w pewien sposób orzeźwiająca, jedna z tych, które mogą zaświtać ci w głowie, kiedy jesteś wypoczęta, rozluźniona i pozbawiona absolutnie wszystkich kłopotów. Mężczyzna ma na sobie sweter i sprane dżinsy. Jego ciemnoblond włosy są związane z tyłu w krótki kucyk, który przywodzi jej na myśl koński ogon z czasów dzieciństwa. Myśli: Założę się, że to typowy, miły kutas z college'u.

Dostatecznie długi, aby mieć własne zdanie, i nie dość gruby, aby być naprawdę arogancki.

Ponownie zaczyna się śmiać i nic nie może na to poradzić. Nagle uświadamia sobie, że nawet nie ma chusteczki, którą mogłaby otrzeć załzawione oczy, i to sprawia, że jej śmiech się wzmaga.

– Lepiej niech się pani uspokoi, bo przyjdzie stewardesa i wyrzuci panią z samolotu – mówi mężczyzna z powagą, a ona tylko kiwa głową i zanosi się śmiechem; boki i brzuch zaczynają już dawać się jej we znaki.

Podaje jej białą chusteczkę, a ona z niej korzysta. To w pewnym sensie pomaga jej wziąć się w garść. Wreszcie dochodzi do siebie. Nie uspokaja się jednak od razu. Jej atak śmiechu ustaje po całej serii drobnych skurczów i gwałtownych, krótkich oddechów. Raz po raz przychodzi jej na myśl wizerunek wielkiej kaczki na boku maszyny i wtedy ponownie parska.

Po chwili oddaje mężczyźnie chusteczkę.

– Dziękuję.

– Jezu, proszę pani, co się stało z pani ręką? – Trzyma jej dłoń przez chwilę wyraźnie skonsternowany.

Bev spuszcza wzrok i widzi swoje zdarte paznokcie – efekt zbyt gwałtownej próby

przewrócenia toaletki na Toma. Wspomnienie tego wyczynu boli jeszcze bardziej niż same paznokcie i to sprawia, że na dobre przestaje się śmiać. Odsuwa od niego rękę, ale robi to łagodnym ruchem.

– Przytrzasnęłam sobie rękę drzwiczkami samochodu na lotnisku – mówi, myśląc o tych wszystkich sytuacjach, kiedy po pobiciu przez Toma, a jeszcze wcześniej przez ojca, musiała uciekać się do kłamstwa. Czy to już ostatni raz, ostatnie kłamstwo? To byłoby piękne… niemal zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Myśli o doktorze przychodzącym do nieuleczalnie chorego pacjenta z dobrą wiadomością: analiza rentgenowska wykazała, że komórki rakowe zaczęły się kurczyć. Jeszcze nie wiemy dlaczego, ale tak właśnie jest.

– To musi diabelnie boleć – mówi mężczyzna.

– Wzięłam parę aspiryn. – Ponownie sięga po magazyn ilustrowany, choć wie, że przeglądała go już od deski do deski co najmniej dwa razy.

– Dokąd się pani wybiera?

Zamyka magazyn, spogląda na niego i uśmiecha się.

– Jest pan bardzo miły, ale nie mam ochoty na pogawędkę. Jasne?

– Jasne – odpowiada z uśmiechem. – Ale jeżeli po przylocie do Bostonu zechce pani wypić zdrowie tej kaczki na samolocie, to ja stawiam.

– Dziękuję, lecz muszę zdążyć na drugi samolot.

– Rany, widać mój dzisiejszy horoskop się pomylił – odpowiada i ponownie otwiera książkę. – Ale podoba mi się pani śmiech. Można by się zakochać.

Bev otwiera magazyn, ale zamiast na artykuł o atrakcjach Nowego Orleanu patrzy na swoje postrzępione paznokcie. Pod dwoma z nich widnieją purpurowe, podbiegłe krwią sińce. W duchu słyszy, jak Tom krzyczy w dół schodów: „Zabiję cię, ty dziwko! Ty pieprzona dziwko!”.

Przeszywa ją dreszcz. Dziwka dla Toma, dziwka dla szwaczek, które opieprzały się przed wielkimi pokazami i miały stale pretensje do Beverly Rogan, dziwka dla własnego ojca na długo przed tym, jak Tom czy beznadziejne szwaczki stały się częścią jej życia.

Dziwka. Ty dziwko. Ty pieprzona dziwko.

Zamyka oczy na chwilę. Stopa, rozcięta na rozbitej butelce perfum podczas ucieczki z sypialni, boli ją bardziej niż palce. Kay dała jej bandaż, parę butów i czek na tysiąc dolarów, który Bev zrealizowała o dziewiątej w First Bank

of Chicago, przy Watertower Square. Pomimo protestów Kay Beverly wypisała jej na zwykłej kartce papieru maszynowego czek na tysiąc dolców.

– Czytałam kiedyś, że przyjmują każdy czek, niezależnie od tego, na czym jest wypisany – powiedziała do Kay. Zdawało się, że jej głos dochodzi z jakiegoś innego miejsca. Zupełnie jakby płynął z radia stojącego w sąsiednim pokoju. – Ktoś zgarnął kiedyś szmal za czek wypisany na łusce pocisku artyleryjskiego. Czytałam o tym, jak sądzę, w *The Book of Lists*. – Przerwała i wybuchnęła niepewnym śmiechem.

Kay spojrzała na nią trzeźwo, prawie z powagą.

– Ale na twoim miejscu zrealizowałabym go jak najszybciej, zanim Tomowi przyjdzie na myśl zablokować konta.

Choć nie czuje się zmęczona (zdaje sobie sprawę, że jedyne, co utrzymuje ją na nogach, to zszarpane nerwy i mocna czarna kawa Kay), wydarzenia poprzedniej nocy wydają się jej snem.

Przypomina sobie, że szło za nią trzech nastolatków, wołających i gwiżdżących przeciągle, ale żaden nie odważył się do niej zbliżyć. Pamięta uczucie ulgi, jakie ją ogarnęło,

kiedy zobaczyła zalewające chodnik światło sklepu Seven-Eleven. Weszła do środka i kiedy pryszczaty sprzedawca spojrzał na przód jej starej bluzki, namówiła go, aby pożyczył jej czterdzieści centów na telefon. To nie było trudne, zważywszy na jej wygląd.

Najpierw zadzwoniła do Kay McCall, wykręcając numer z pamięci. Telefon zadzwonił z tuzin razy i zaczęła się już martwić, że Kay była w Nowym Jorku. W chwili kiedy Beverly miała odłożyć słuchawkę, głos zaspanej Kay wymamrotał:

– Lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego.

– To ja, Bev – powiedziała z wahaniem, a potem dorzuciła: – Kay, potrzebuję pomocy.

Nastała chwila ciszy, aż w końcu Kay odezwała się ponownie. Wydawało się, że była już całkiem rozbudzona.

– Gdzie jesteś? Co się stało?

– Jestem w sklepie Seven-Eleven na rogu Streyland Avenue i jakiejś innej ulicy. Ja… rzuciłam Toma.

Kay szybko, z emfazją i ekscytacją w głosie wybuchnęła:

– Świetnie! Nareszcie! Hura! Zaraz po ciebie przyjadę! To sukinsyn! Gnój! Zaraz po ciebie wpadnę! Musimy to uczcić! Ja…

– Wezmę taksówkę – powiedziała Bev, trzymając dwie pozostałe dziesiątki na spoconej dłoni. W okrągłym lustrze na tyłach sklepu zobaczyła, jak pryszczaty sprzedawca z głębokim skupieniem przygląda się jej pośladkom. – Ale jak do ciebie przyjadę, będziesz musiała zapłacić za taryfę. Nie mam forsy. Nawet złamanego centa.

– Dam mu jeszcze pięć dolców napiwku! – zawołała Kay. – To, kurwa, najlepsza wiadomość, jaką słyszałam od czasu ustąpienia Nixona! Przyjeżdżaj tu zaraz, malutka! I… – Przerwała, a kiedy znów się odezwała, jej głos był przepełniony taką dozą powagi, łagodności i ciepła, że Bev o mało się nie rozpłakała. – Bogu dzięki, że w końcu to zrobiłaś, Bev. Mówię serio. Dzięki Bogu.

Kay McCall jest byłą projektantką mody, która poślubiła bogatego rozwodnika i w 1972 roku na trzy lata przed poznaniem Bev odkryła politykę feministyczną. W okresie swojej największej (kontrowersyjnej) popularności oskarżono ją, że stała się zaciekłą feministką po uprzednim wykorzystaniu archaicznych, szowinistycznych praw, aby wydusić ze swego męża przemysłowca każdego centa, jaki mógł jej prawnie przysługiwać.

– Gówno prawda! – wykrzyknęła kiedyś Kay do Beverly. – Ludzie, którzy tak mówią, nigdy nie musieli iść do łóżka z Samem Chacowiczem. Dwa szybkie pchnięcia i wytrysk, to było motto dobrego Sammy'ego. Dłużej niż minutę wytrzymywał tylko wtedy, gdy walił konia w wannie. Nie obrobiłam go. Po prostu wzięłam to, co mi się należało.

Napisała trzy książki – o feminizmie i pracującej kobiecie, o feminizmie i rodzinie oraz o feminizmie i natchnieniu. Pierwsze dwie cieszyły się sporą popularnością. Trzy lata po wydaniu swojej ostatniej książki wypadła z rynku mody i Beverly uznała, że przyniosło to jej swego rodzaju ulgę. Powodziło jej się doskonale („Dzięki Bogu, feminizm i kapitalizm potrafią żyć z sobą w zgodzie", powiedziała do Bev któregoś dnia) i była teraz bogatą kobietą z własnym domem, domkiem na wsi i dwoma czy trzema kochankami, dostatecznie męskimi, by jej dogodzić w łóżku, ale nie dość męskimi, by pokonać ją na korcie.

– Kiedy stają się lepsi ode mnie, od razu się ich pozbywam – powiedziała i choć Kay uważała to za żart, Beverly zastanawiała się, czy jednak przyjaciółka nie mówi prawdy.

Beverly wezwała taksówkę i gdy samochód podjechał, wsiadła z tyłu z walizką zadowolona, że może zniknąć z oczu natrętnemu sprzedawcy, a potem podała kierowcy adres Kay, która czekała na końcu podjazdu, ubrana we flanelową koszulę nocną i narzucone na nią futerko z norek. Na nogach miała miękkie papucie z pomponami. Dzięki Bogu, że te pompony nie były pomarańczowe, bo Bev mogłaby jeszcze dostać ataku histerii. Wrzeszczałaby na całe gardło. Przejażdżka do Kay była naprawdę niezwykła – powracały do niej wspomnienia i działo się to tak szybko, że zaczęło ją ogarniać przerażenie. Czuła się, jakby ktoś uruchomił w jej głowie olbrzymi buldożer i zaczął przekopywać umysłowy cmentarz, z którego istnienia w ogóle nie zdawała sobie sprawy. Tyle że zamiast ciał na powierzchnię wydobywano nazwiska, nazwiska osób, o których nie myślała od lat: Ben Hanscom, Richie Tozier, Greta Bowie, Henry Bowers, Eddie Kaspbrak… Bill Denbrough. Zwłaszcza Bill – Bill, którego nazywali Jąkałą, z typową dla dzieci otwartością, niekiedy określaną mianem szczerości, a niekiedy okrucieństwem. Wydawał się jej taki wysoki, taki doskonały (rzecz jasna, dopóki nie otworzył ust i nie zaczął mówić).

Nazwiska… miejsca… wydarzenia.

Na zmianę, to ociekająca potem, to miotana dreszczami, przypomniała sobie głosy płynące z rury kanalizacyjnej… i krew. Krzyczała i ojciec spuścił jej lanie.

Jej ojciec… Tom…

Groziło jej, że się rozpłacze… i wtedy Kay zapłaciła taksiarzowi i dała mu taki napiwek, że zaskoczony facet wyjąkał tylko:

– O rety, dziękuję pani!

Kay zabrała ją do domu, zaprowadziła pod prysznic, dała jej szlafrok, a kiedy Bev stamtąd wyszła, Kay zrobiła kawę, zbadała obrażenia oraz opatrzyła i zabandażowała zranioną stopę. Wlała do drugiej filiżanki kawy Bev sporą porcyjkę brandy i dopilnowała, aby wypiła wszystko, aż do ostatniej kropli.

Potem przyrządziła dla siebie i Bev steki z grzybami.

– W porządku – powiedziała. – Co się stało? Zadzwonimy po gliny czy po prostu wyślemy cię do Reno, żebyś tam sobie trochę pomieszkała?

– Nie mogę ci powiedzieć zbyt wiele – odparła Beverly. – To mogłoby zabrzmieć zbyt absurdalnie. Ale to była w głównej mierze moja wina.

Kay rąbnęła dłonią w stół. Na mahoniowym drewnie odgłos ten zabrzmiał jak wystrzał

z małokalibrowego pistoletu. Bev aż podskoczyła.

– Nie mów tak. – Policzki Kay były zaróżowione, a brązowe oczy zdawały się płonąć. – Od jak dawna się przyjaźnimy? Od dziewięciu, dziesięciu lat? Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że to twoja wina, to się porzygam. Słyszysz, co mówię? Mówię, że się, kurwa, porzygam. To nie była twoja wina ani tym razem, ani poprzednim, ani jeszcze wcześniej, ani w ogóle kiedykolwiek. Nigdy, kapujesz? Coś ci powiem: większość twoich przyjaciół była gotowa się zakładać, że prędzej czy później przez tego typa zamkną cię w gipsowym pancerzu albo może nawet całkiem wyzioniesz ducha!

Beverly patrzyła na nią rozszerzonymi oczyma.

– A to przynajmniej w pewnym stopniu rzeczywiście mogłoby być twoją winą. Możesz sobie tylko zarzucić, że tak długo zwlekałaś i pozwalałaś sobą pomiatać. Ale teraz wreszcie tego dokonałaś. Uciekłaś. Rzuciłaś go. Dzięki Bogu i za to. Nie możesz jednak siedzieć tu z zerwaną połową paznokci, rozwaloną stopą i śladami pasa na ramionach, wmawiając mi, że to się stało z twojej winy.

– Nie użył pasa – powiedziała Bev. To kłamstwo było automatyczne… i tak ją to

zawstydziło, że na jej policzkach wykwitły silne rumieńce.

– Skoro zerwałaś z Tomem, to chyba również powinnaś przestać kłamać – powiedziała cicho Kay i patrzyła na Bev tak długo i z takim uczuciem, że Beverly musiała spuścić wzrok. Gdzieś głęboko w gardle czuła słony posmak łez. – Kogo ty chcesz oszukać? – zapytała Kay, nadal nie podnosząc głosu. Sięgnęła ponad blatem stołu, ujmując dłonie Beverly w swoje. – Ciemne okulary, bluzki z wysokimi kołnierzami i długimi rękawami… może uda ci się oszukać jednego czy dwóch klientów. Ale z przyjaciółmi ten numer nie przejdzie, Bev. Nie z ludźmi, którzy cię kochają.

I wtedy Bev zaczęła płakać. Płakała długo i rzewnie, a Kay obejmowała ją mocno. Później, tuż przed położeniem się do łóżka, powiedziała Kay tyle, ile zdołała, że zadzwonił do niej stary przyjaciel z Derry, w Maine – gdzie dorastała – i przypomniał jej o złożonej dawno temu obietnicy. „Nadszedł czas, aby wypełnić przyrzeczenie”, powiedział. Spytał, czy przyjedzie. Odparła, że tak. I wtedy zaczęły się kłopoty z Tomem.

– Co to za obietnica? – zapytała Kay.

Beverly powoli pokręciła głową.

– Nie mogę ci tego powiedzieć, Kay. Choć bardzo bym chciała.

Kay przełknęła tę pigułkę, a potem skinęła głową.

– W porządku. To uczciwe postawienie sprawy. Co masz zamiar zrobić z Tomem po powrocie z Maine?

Bev, która z każdą chwilą coraz wyraźniej czuła, że najprawdopodobniej nigdy nie powróci z Derry, powiedziała tylko:

– Najpierw zajadę do ciebie i obie zadecydujemy, co z tym począć. Okay?

– Jasne. Czy mam to traktować jako obietnicę?

– Oczywiście – odparła z przekonaniem w głosie Bev. – Jak tylko wrócę z Derry. – I po tych słowach z całej siły uściskała Kay.

Wybrawszy pieniądze z banku, mając na nogach buty Kay, pojechała autobusem linii Greyhound na północ, do Milwaukee, ponieważ obawiała się, że Tom mógłby wybrać się za nią na lotnisko O’Hare. Kay, która towarzyszyła jej w wyprawie do banku i na dworzec autobusowy, próbowała odwieść ją od tej decyzji.

– Na O’Hare jest cała masa ochroniarzy i strażników, kochanie – powiedziała. – Nie musisz się nim martwić. Gdyby choć zbliżył się

do ciebie, wystarczyłoby, żebyś zaczęła krzyczeć, jakby cię obdzierali ze skóry.

Beverly pokręciła głową.

– Nie mam ochoty się na niego natknąć. I to jest najlepszy sposób, aby tego uniknąć.

Kay obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Boisz się, że mógłby ci to wybić z głowy, co?

Beverly pomyślała o tym, jak całą siódemką stali w strumieniu, o Stanie i jego kawałku zbitej butelki po coli, błyszczącym w słońcu; pomyślała o bólu, kiedy rozcinał jej skórę na dłoni, i jak stojąc w kręgu, złapali się za ręce, przyrzekając na głos, że gdyby To zaczęło od nowa… powrócą i zniszczą To raz na zawsze.

– Nie – powiedziała. – Nie zdołałby mi tego wyperswadować. Ale mógłby mnie skrzywdzić niezależnie od tego, czy byliby tam strażnicy, czy też nie. Nie widziałaś go zeszłego wieczoru, Kay.

– Widziałam go parę razy przy wcześniejszych okazjach – odrzekła Kay, ściągając brwi. – To dupa wołowa udająca człowieka.

– On oszalał – oświadczyła Bev. – Strażnicy mogliby sobie z nim nie poradzić. Tak będzie lepiej. Uwierz mi.

– W porządku – odparła z wahaniem Kay i w głowie Bev zaświtała pewna myśl: jej

przyjaciółka była rozczarowana faktem, że obejdzie się bez konfrontacji i wielkiej rozróby.

– Jak najszybciej zgarnij gotówkę – powtórzyła jej Beverly – zanim wpadnie na pomysł, żeby zablokować konta. Wiesz, że to zrobi.

– Jasne – powiedziała Kay. – Jeżeli to zrobi, złożę temu sukinsynowi wizytę zaopatrzona w pokaźny bicz i pokażę mu, jak to smakuje.

– Trzymaj się od niego z daleka – ucięła ostro Bev. – On jest niebezpieczny, Kay. Uwierz mi. Przypomina mi… – Mojego ojca, pomyślała. Te słowa nie chciały jej przejść przez gardło, powiedziała tylko: – Przypominał mi jakiegoś szaleńca.

– W porządku. Nic się nie martw, kochana. Rób swoje. Dotrzymaj obietnicy. I pomyśl przez chwilę o swojej przyszłości.

– Pomyślę – skłamała Beverly. Było zbyt wiele rzeczy, o których musiała teraz myśleć, na przykład o tym, co się stało latem tego roku, kiedy miała jedenaście lat; o tym, jak pokazywała Richiemu, w jaki sposób powinien usypiać swoje jo-jo, o głosach w rurze kanalizacyjnej i o tym, co zobaczyła, o czymś tak potwornym, że nawet gdy z całej siły obejmowała Kay, stojąc przy

srebrzystym boku autobusu linii Greyhound, jej umysł nie zdołał pokazać jej tego do końca.

Teraz, kiedy samolot z wizerunkiem kaczki na kadłubie zbliża się do Bostonu i zaczyna obniżać pułap, ponownie powraca do tego myślami… do Stana Urisa… do otrzymanego na pocztówce niepodpisanego wiersza… do głosów… i do tych paru sekund, kiedy stanęła oko w oko z czymś, co mogło być nieskończonością.

Wygląda przez okno, patrzy w dół i myśli, że zło Toma jest niczym, ot, zwyczajnym pyłkiem, w porównaniu ze złem oczekującym na nią w Derry. Jeżeli istnieje coś takiego jak rekompensata, to Bill Denbrough będzie tam… a dawno temu jedenastoletnia Beverly Marsh kochała Billa Denbrough. Przypomina sobie pocztówkę z cudownym wierszem na odwrocie i przypomina sobie, że od razu domyśliła się, kto go napisał. Nie pamięta nic więcej, ot, po prostu sam tekst haiku… ale czuje, że to właśnie Bill musiał być autorem wiersza. Tak, całkiem możliwe, że napisał go właśnie Bill Denbrough, zwany Jąkałą. Nagle przypomina sobie, jak kładła się spać następnego wieczoru po tym, jak Richie i Ben zabrali ją na podwójny seans do kina. Po jej pierwszej randce. Żartowała często z Richiem na ten temat, ale w głębi duszy była mocno

poruszona, podniecona i może troszkę zaniepokojona. To naprawdę była jej pierwsza randka, nawet jeśli zamiast z jednym, umówiła się z dwoma chłopcami. Richie zafundował jej bilet i w sumie wszystko było tak, jak przystało na poważną randkę. A potem… ta historia z chłopakami, którzy ich ścigali…

…i reszta popołudnia spędzona w Barrens…

…kiedy pojawił się Bill Denbrough z jakimś swoim kolegą, nie pamiętała imienia tego chłopca, ale nie zapomniała, jak spojrzenia jej i Billa spotkały się przez krótką chwilę i wtedy poczuła coś, jakby elektryczny wstrząs… prąd przeszył całe jej ciało, a policzki w okamgnieniu pokryły się rumieńcami. Zrobiło jej się gorąco. Pamięta, jak myślała o tym wszystkim, nakładając koszulę nocną i idąc do łazienki, aby umyć twarz i wyszorować zęby. Przypomina sobie, jak sądziła, że tej nocy nie uśnie tak szybko; było tyle spraw, które należało przemyśleć… przemyśleć solidnie, bo to chyba byli dobrzy chłopcy, chłopcy, z którymi, jak sądziła, warto się zaprzyjaźnić i którym można zaufać. Przynajmniej do pewnego stopnia. To byłoby miłe. To byłoby… cudowne. Boskie! I rozmyślając w ten sposób, wzięła swój ręcznik

i pochyliła się nad umywalką, żeby nalać sobie trochę wody, kiedy usłyszała głos…

2

…szepczący z otworu odpływowego umywalki:

– Pomóż mi…

Beverly cofnęła się zaskoczona, upuszczając suchy ręcznik na podłogę. Pokręciła nieznacznie głową, jakby próbowała się otrząsnąć, a potem ponownie pochyliła się nad umywalką i spojrzała z zaciekawieniem w otwór odpływowy. Łazienka znajdowała się na tyłach ich czteropokojowego mieszkania. Słyszała, że w telewizji leci jakiś western. Dźwięk był słaby, przytłumiony. Kiedy się skończy, ojciec najprawdopodobniej przełączy na mecz baseballu albo na walki, a potem uśnie w fotelu.

Tapeta w łazience była ozdobiona wizerunkami żabek na liściach lilii wodnych. Fałdy i wybrzuszenia świadczyły o nierównościach znajdujących się pod nimi ścian. Tu i ówdzie tapetę pokrywały zacieki, gdzie indziej papier płatami odchodził od muru.

Wannę pokrywały ślady rdzy, sedes był popękany. Z porcelanowej oprawki nad umywalką sterczała naga czterdziestowatowa

żarówka. Beverly pamiętała (aczkolwiek mgliście), że był tu kiedyś kulisty klosz, ale został zbity wiele lat temu i nigdy nie założono nowego. Podłogę pokrywało linoleum z wyblakłym wzorem, z wyjątkiem małego kawałka pod umywalką.

Nie było to radosne pomieszczenie, ale Beverly tak się do niego przyzwyczaiła, że po prostu nie zwracała już uwagi na jego wygląd. Umywalka również nosiła ślady zacieków. Otwór odpływowy o dwucalowej średnicy kończył się krzyżykowym filtrem. Niegdyś była tu chromowana okładzina, ale ślad po niej już dawno zaginął. Gumowy korek na łańcuszku zwisał przerzucony nonszalancko przez kran. Otwór odpływowy był mroczną rurą i kiedy Beverly pochyliła się nad nią, po raz pierwszy poczuła, że bił z niej słaby, nieprzyjemny zapach ryb.

Zmarszczyła nos z obrzydzeniem.

– Pomóż mi…

Z trudem złapała powietrze. To był głos. Myślała, że to może jakieś dudnienie w rurach… albo wytwór jej wyobraźni… efekt obejrzanych filmów…

– Pomóż mi. Beverly…

Ogarniały ją na przemian fale zimna i gorąca. Ściągnęła gumkę z włosów, które opadały jej na ramiona jasną kaskadą. Czuła, że końcówki jej włosów poczynają sztywnieć.

Nieświadoma, że ma zamiar coś powiedzieć, pochyliła się ponownie nad umywalką i wyszeptała:

– Halo? Jest tam kto?

Głos z rury musiał być głosem bardzo małego dziecka, być może takiego, które dopiero co nauczyło się mówić. Pomimo gęsiej skórki, jaka pokryła jej ciało, umysł Bev poszukiwał jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia. To była kamienica czynszowa. Marshowie mieszkali na tyłach domu, na parterze. Może jakiś dzieciak w budynku wymyślił sobie zabawę polegającą na wołaniu do rury odpływowej? A dźwięk ma to do siebie, że potrafi wyczyniać różne dziwne sztuczki…

– Jest tam kto? – zapytała tym razem głośniej. Nagle przyszło jej na myśl, że gdyby zjawił się tu teraz ojciec, pomyślałby, że Beverly oszalała.

Rura nie odpowiedziała, ale ten nieprzyjemny zapach jakby trochę przybrał na sile. Przywodził jej na myśl bambusowy zakątek w Barrens i znajdujące się nieco dalej wysypisko śmieci; przywoływał obrazy bijących wolno w niebo

słupów dymu i czarne błoto, które chciało zedrzeć buty z twoich stóp.

Sęk w tym, że w budynku nie było naprawdę małych dzieci. Tremontowie mieli pięcioletniego chłopca i trzyipółroczne dziewczynki, ale pan Tremont stracił pracę w sklepie obuwniczym przy Tracker Avenue i jako że ich budżet nie prezentował się najlepiej, któregoś dnia po prostu odjechali w nieznane swoim starym, rdzewiejącym buickiem power-flite. We frontowym apartamencie na pierwszym piętrze mieszkał Skipper Bolton, ale on miał czternaście lat.

– Wszyscy chcemy cię poznać, Beverly…

Jej dłoń uniosła się do ust, a oczy rozszerzyły się ze zgrozy. Przez chwilę… ale tylko przez chwilę… miała wrażenie, że zobaczyła, jak tam na dole coś się porusza. Nagle uświadomiła sobie, że jej włosy opadające dwoma grubymi pasmami znajdowały się blisko… bardzo blisko otworu odpływowego umywalki.

Instynktownie wyprostowała się i odgarnęła włosy do tyłu. Rozejrzała się wokoło. Drzwi łazienki były zamknięte. Słyszała, jak w telewizji Cheyenne Bodie ostrzega bandziora, żeby odłożył broń, zanim ktoś zostanie ranny. Była sama. No i był jeszcze głos.

– Kim jesteś?! – zawołała w głąb rury, ale niezbyt głośno.

– Matthew Clements – wyszeptał głos. – Klown zabrał mnie tu na dół, do rur, i umarłem, a niedługo przyjdzie i zabierze ciebie, Beverly, i Bena Hanscoma, i Billa Denbrough, i Eddiego…

Jej dłonie uniosły się i dotknęły policzka. Oczy Bev rozszerzały się niemal w nieskończoność. Poczuła, jak jej ciało staje się coraz bardziej lodowate. Teraz głos zaczął się dusić, dławić – wydawał się stary, bardzo stary… a mimo to dało się w nim wyczuć jakąś dziwną, skrywaną radość.

– Będziesz tu pływać ze swoimi przyjaciółmi, Beverly, wszyscy tu pływamy. Powiedz Billowi, że George go pozdrawia, powiedz mu, że George bardzo za nim tęskni, ale już wkrótce się z nim zobaczy, powiedz mu, że George zjawi się u niego którejś nocy… Wyjdzie z szafy z kawałkiem struny fortepianowej w ręku i wbije mu ją w oko, powiedz mu…

Głos zaczął się nagle krztusić i z otworu umywalki wypłynął jasnoczerwony, wypełniony bąbelkami powietrza strumień; strużki krwi rozlały się po brudnej porcelanie. Krztuszący się głos mówił teraz szybciej i w trakcie monologu zmieniał się – najpierw był to głos małego

dziecka, potem głos nastolatki, jeszcze później (co Beverly uświadomiła sobie z przerażeniem) usłyszała głos Veroniki Grogan – dziewczyny, którą znała. Ale Veronica nie żyła, znaleziono ją martwą w kanale…

– Jestem Matthew… Jestem Betty… Jestem Veronica… Jesteśmy tu na dole… Razem z klownem… I potworem… I mumią… I wilkołakiem… I z tobą, Beverly… Ty też tu jesteś… A my pływamy i zmieniamy się…

Nagle z otworu umywalki rzygnął strumień krwi, zbryzgując porcelanę, lustro i tapetę w żabki i lilie. Beverly krzyknęła przejmująco. Cofnęła się od umywalki, uderzyła w drzwi, odbiła się od nich, otworzyła je gwałtownie i pobiegła do pokoju, gdzie jej ojciec właśnie podnosił się z fotela.

– Co jest z tobą, do licha ciężkiego? – zapytał, a jego brwi złączyły się w jedną krzaczastą linię. Tego wieczoru byli w domu tylko we dwoje. Mama Beverly pracowała na zmianę od trzeciej do jedenastej w Green’s Farm, najlepszej restauracji w Derry.

– Łazienka! – krzyknęła histerycznie. – Łazienka, tato! W łazience!

– Ktoś cię podglądał, Beverly? Co? – Jego ramię, wystrzeliło do przodu, a palce zacisnęły

się jak kleszcze na jej ramieniu. Na twarzy ojca Bev malowało się zatroskanie, ale miało ono posmak drapieżności i bardziej przerażało, niż dodawało otuchy.

– Nie… umywalka… w umywalce… tam… tam…

Wybuchnęła histerycznym szlochem, zanim zdołała wykrztusić coś więcej. Serce waliło jej w piersi tak mocno, że odniosła wrażenie, jakby lada moment miało eksplodować.

Al Marsh odepchnął ją na bok i z wyrazem twarzy zdającym się mówić: „O Jezu, a to co znowu?”, wszedł do łazienki. Był tam tak długo, że Beverly ponownie zaczęła się niepokoić. Nagle ojciec zawołał:

– Beverly! Chodź no tu, maleńka!

Nie było mowy, żeby postąpiła inaczej. Gdyby oboje stali na wysokiej, stromej skale i dostałaby od niego polecenie, aby skoczyła: „No już, maleńka, skacz”, zrobiłaby to, instynktownie podporządkowując się poleceniu ojca, zanim jej racjonalny umysł zdążyłby zainterweniować.

Drzwi łazienki były otwarte. Stał w nich jej ojciec, potężny mężczyzna o rudych, teraz już nieco przerzedzonych włosach, których niezwykłą barwę odziedziczyła po nim Beverly. Wciąż miał na sobie szare robocze spodnie

i szarą bluzę (był dozorcą w szpitalu Derry) i wpatrywał się z zacięciem w swoją córkę. Nie pił, nie palił, nie uganiał się za kobietami. „Wszystkie kobiety, których potrzebuję, mam w domu”, powiedział pewnego razu i kiedy to zrobił, na ustach wykwitł mu tajemniczy uśmiech; ale oblicze ojca, zamiast się rozjaśnić, jeszcze bardziej sposępniało.

Kiedy patrzyło się na ten uśmiech, odnosiło się wrażenie, jakby spoglądało się na cień chmury sunącej ponad kamienistym polem.

„One troszczą się o mnie, a kiedy trzeba, ja troszczę się o nie”.

– No więc o co ci chodzi, do licha ciężkiego? – zapytał, kiedy weszła do środka. Beverly miała wrażenie, jakby jej gardło było w środku pokryte łupkiem. Czuła, że zbiera się jej na mdłości. Lustro pokryte było długimi, krwawymi zaciekami. Na żarówce pełniącej funkcję lampy w łazience też była krew. Czuła jej zapach, kiedy krew smażyła się na gorącym szkle czterdziestowatówki. Krew spływała po porcelanowych ściankach umywalki i skapywała na linoleum grubymi kroplami.

– Tatusiu… – wyszeptała ochryple.

Odwrócił się z wyrazem zdegustowania na twarzy (co zdarzało się raczej dość często)

i zaczął starannie myć ręce w zakrwawionej umywalce.

– Dobry Boże, dziewczyno. Gadaj. Aleś mnie wystraszyła. Wytłumacz się, na miłość boską.

Mył ręce i widziała, jak szkarłat plami jego szare spodnie w miejscu, gdzie dotykał umywalki, a gdyby dotknął czołem lustra (mało brakowało), krew znalazłaby się też na jego skórze. Z gardła Bev dobył się zduszony dźwięk.

Zakręcił wodę, zdjął ręcznik, na którym widniały dwa długie, rozbryzgnięte ślady krwi, i zaczął wycierać ręce. Bliska omdlenia patrzyła, jak rozcierał krew na olbrzymich kostkach palców i wnętrzach dłoni. Widziała szkarłatne ślady za jego paznokciami – jak dowody winy.

– No i? Czekam. – Powiesił ręcznik z powrotem na drążku. Krew… była wszędzie. A jej ojciec tego nie widział!

– Tatusiu. – Nie wiedziała, co ma powiedzieć, ale ojciec przerwał jej gwałtownie.

– Martwię się o ciebie – powiedział Al Marsh. – Wątpię, czy ty kiedykolwiek dorośniesz. Cały czas gdzieś biegasz, do prac w domu trudno cię zagonić, nie potrafisz gotować, szyć też nie umiesz. Połowę wolnego czasu spędzasz, bujając w obłokach z nosem w książce, a przez resztę

stękasz, jęczysz i użalasz się na jakieś migreny czy wapory. Martwi mnie to.

Nagle jego dłoń śmignęła w powietrzu i trafiła ją boleśnie w siedzenie. Krzyknęła i spojrzała mu prosto w oczy. We włosach jego krzaczastych brwi po prawej stronie widniało kilka czerwonych kropel.

Jeżeli będę na to patrzyła dostatecznie długo, to oszaleję, a wtedy już nic się nie będzie liczyło.

– Bardzo się o ciebie martwię – powiedział i ponownie ją uderzył, tym razem mocniej, w ramię tuż nad łokciem. To ramię krzyknęło, a potem jakby zapadło w sen. Następnego dnia będzie miała na nim olbrzymiego żółtofioletowego siniaka. – Strasznie. – Rąbnął ją w brzuch. W ostatniej chwili rozluźnił rękę i Beverly straciła tylko połowę powietrza. Zgięła się wpół, dysząc ciężko; łzy napłynęły jej do oczu. Ojciec patrzył na nią, a jego twarz nic nie wyrażała. Włożył zakrwawione dłonie do kieszeni spodni. – Musisz dorosnąć, Beverly – rzekł, a jego głos był teraz łagodny, pełen przebaczenia. – Czyż nie?

Skinęła głową. W głowie czuła pulsujący ból. Płakała cichutko. Gdyby się rozbeczała na dobre i zaczęła coś, co jej ojciec określał mianem

„dziecinnego wycia”, mógłby znów zabrać się do dzieła i stłuc ją na kwaśne jabłko.

Al Marsh spędził całe swoje życie w Derry i tym, którzy go pytali (jak i tym, którzy nie zadali mu podobnego pytania), mówił, że chciałby być pochowany właśnie tutaj, dożywszy, jak miał nadzieję, sędziwego wieku stu dziesięciu lat. „Nie widzę powodu, czemu nie miałbym żyć wiecznie – mówił od czasu do czasu Rogerowi Aurlette, który raz w miesiącu przycinał mu włosy. – Nie mam żadnych nałogów”.

– A teraz wytłumacz się – powiedział. – I zrób to szybko.

– Zobaczyłam… – Przełknęła ślinę i poczuła ból, bo jej gardło było suche jak pieprz. – Zobaczyłam pająka. Wielkiego, grubego, czarnego pająka. Wypełzł… z otworu umywalki… i chyba schował się tam z powrotem.

– Och… – Uśmiechnął się pod nosem, jakby jej wytłumaczenie go rozbawiło. – Naprawdę? A niech to! Gdybyś mi powiedziała, Beverly, w ogóle bym cię nie uderzył! Wszystkie dziewczynki boją się pająków. Rany boskie! Czemuś mi tego nie powiedziała?

Pochylił się nad otworem i Bev musiała przygryźć wargi, aby nie krzyknąć, próbując go ostrzec… a wtedy gdzieś głęboko w jej wnętrzu

dał się słyszeć obcy, straszliwy głos, który nie był częścią jej „ja”. Czuła, że był to głos samego diabła. Jeśli To go chce, to niech go sobie weźmie – niech go wciągnie na dół. Baba z wozu, koniom lżej!

Ten głos przepełnił ją zgrozą. Próbowała go zagłuszyć. Gdyby słuchała go jeszcze choć przez chwilę, z całą pewnością zostałaby potępiona na wieki.

Zajrzał jednym okiem w głąb otworu. Jego dłonie ślizgały się po mokrej od krwi porcelanowej ściance umywalki. Beverly z trudem tłumiła mdłości. Bolał ją brzuch w miejscu, gdzie uderzył ją ojciec.

– Nic nie widzę – powiedział. – Wszystkie te budynki są stare, Bev. Otwory odpływowe są szerokie jak cała ulica, wiedziałaś o tym? Kiedy byłem dozorcą w starym liceum, znajdowaliśmy sami utopione szczury w muszlach klozetowych. Dziewczyny po prostu szalały. – Roześmiał się na myśl o kobiecych dolegliwościach w rodzaju waporów czy migren. – Zwłaszcza kiedy Kenduskeag przybierał. Teraz, gdy uruchomili nowy system kanałów, w rurach nie spotyka się już tak wielu okazów tutejszej fauny.

Objął ją ramieniem i mocno ścisnął.

– Posłuchaj. Pójdziesz teraz do łóżka i nie będziesz już więcej o tym myśleć. Okay?

Poczuła gwałtowny przypływ miłości do niego. „Nigdy nie podniosę na ciebie ręki, jeżeli na to nie zasłużysz, Beverly”, powiedział jej któregoś razu, kiedy płakała jak bóbr, uważając, że została niesłusznie ukarana. I z całą pewnością musiała to być prawda, bo on był zdolny do okazywania miłości. Czasami spędzał z nią całe dnie, pokazując, jak się robi różne rzeczy, opowiadając przeróżne historie albo spacerując z nią po mieście, a kiedy okazywał jej tyle ciepła i dobroci, miała wrażenie, że jej serce zaczyna pęcznieć ze szczęścia i że lada moment pęknie. Kochała go i próbowała zrozumieć, że musiał karcić ją tak często, bo to był (jak sam twierdził) obowiązek, jaki został mu wyznaczony przez Boga. „Córki – powiedział kiedyś Al Marsh – należy karcić częściej niż synów”. Nie miał syna i Bev czuła w głębi duszy (co prawda, mgliście), że mogło to być po części również jej winą.

– W porządku, tato – powiedziała. – Nie będę.

Poszli razem do małej sypialni. Jej prawe ramię przeszywał ostry ból po otrzymanym uderzeniu. Obejrzała się i zobaczyła, że umywalka, lustro, ściana i podłoga są zakrwawione. Uwalany krwią ręcznik, którego

używał ojciec, wisiał, tak jak poprzednio, na drążku. Jak ja kiedykolwiek będę mogła tam wejść, żeby się umyć? To niemożliwe. Odpada. Boże. Drogi Boże, przepraszam, jeśli źle myślałam o ojcu, możesz mnie ukarać, jeśli zechcesz, zasłużyłam na karę, możesz sprawić, żebym upadła i boleśnie się potłukła albo żebym miała grypę, tak jak w zeszłym roku, kiedy któregoś razu kaszlałam tak mocno, że aż się porzygałam, ale, proszę, Boże, spraw, aby rano ta krew zniknęła, dobrze, Boże? Tak bardzo cię proszę. Dobrze? Sprawisz, żeby zniknęła?

Jej ojciec, jak zawsze, poprawił koc i pocałował ją w czoło. Potem jeszcze przez chwilę stał nad nią w typowej dla siebie pozycji (a przynajmniej Bev zawsze tak uważała), pochylony nieznacznie do przodu, z dłońmi w kieszeniach, patrząc na nią z góry swymi jasnoniebieskimi oczyma. Jego twarz miała smutny wyraz i przypominała nieco oblicze basseta. Wiele lat później, długo po tym, jak w ogóle przestała myśleć o Derry, patrząc na ludzi siedzących w autobusie albo stojących w kącie z pojemnikiem obiadowym w dłoni, czy to o zmierzchu, czy w południe, w czysty jesienny dzień, na ulicy i na środku Watertower Square, będzie widzieć tylko ich sylwetki – sylwetki

mężczyzn, ich kształty rozmazane w tle, ich zasady, ich pragnienia, tak jak widziała Toma czy swojego ojca. Kiedy zdejmował koszulę i nieco przygarbiony stawał przed lustrem, aby się ogolić. Kształty mężczyzn. Kontury. Sylwetki.

– Czasami martwię się o ciebie, Bev – powiedział, ale w jego głosie nie było już ani śladu gniewu czy zakłopotania. Dotknął delikatnie włosów Bev, sczesując je z czoła.

Mało brakowało, a zawołałaby: Tato, w łazience jest pełno krwi! Nie widzisz tego? Jest wszędzie! Smaży się na żarówce nad umywalką! Wszędzie! Nie widzisz tego?

Ale nie odezwała się słowem, a jej ojciec wyszedł, zamykając za sobą drzwi, i pokój pogrążył się w ciemności. Wciąż nie mogła usnąć i wpatrywała się w mrok, kiedy o wpół do dwunastej wróciła do domu matka i zgasiła telewizor. Usłyszała, jak rodzice poszli do swego pokoju, a chwilę potem dało się słyszeć skrzypienie sprężyn, kiedy zaczęli uprawiać seks. Beverly podsłuchała, jak Greta Bowie mówiła Sally Mueller, że kopulowanie strasznie boli i żadna porządna dziewczynka nigdy nie chciałaby tego robić. „Na końcu mężczyzna odlewa się na twoją dziurkę”, powiedziała Greta i Sally krzyknęła: „Jejku, nigdy nie pozwoliłabym

na to żadnemu chłopakowi!”. Jeżeli to rzeczywiście tak bardzo bolało, jak twierdziła Greta, to mama Beverly starannie to ukrywała. Bev usłyszała, jak jej matka krzyknęła cichutko raz czy dwa, ale w żadnym razie nie był to okrzyk bólu.

Potem powolne skrzypienie sprężyn przyspieszyło, osiągając na krótko nieomal szaleńczy rytm, aż w końcu ucichło. Później nastała krótka cisza, dały się słyszeć odgłosy prowadzonej półgłosem rozmowy, a następnie szelest kroków matki, kiedy szła do łazienki.

Beverly wstrzymała oddech, czekając, czy matka zacznie krzyczeć czy nie. Nie rozległ się żaden okrzyk – usłyszała tylko szum wody napuszczanej do umywalki. Po nim nastąpiło niezbyt głośne pluskanie. Jeszcze później znajomy bulgoczący odgłos wody spływającej do rury.

Matka myła teraz zęby. Wkrótce sprężyny w pokoju rodziców skrzypnęły ponownie, kiedy mama wróciła do łóżka. Pięć minut później ojciec zaczął chrapać.

Czarna zasłona strachu spowiła jej serce i schwyciła ją za gardło. Beverly nie chciała się odwracać na prawy bok (to była jej ulubiona pozycja, w której zwykle zasypiała), bo bała się,

że może dostrzec coś w oknie; coś, co mogło się jej przyglądać. Dlatego też leżała na plecach sztywna jak pogrzebacz, patrząc w górę, w sufit z blachy falistej. Jakiś czas później – trudno powiedzieć, czy minęło kilka minut, czy kilka godzin – zapadła w płytki, niespokojny sen.

3

Beverly zawsze budziła się, kiedy w sypialni rodziców odzywał się budzik. Musiała być naprawdę czujna, bo ledwie rozbrzmiewał sygnał budzika, ojciec zaraz wyłączał go szybkim machnięciem ręki. Zatrzymała się na chwilę (co stało się obecnie niemal rutynową czynnością), aby spojrzeć w lustro i sprawdzić, czy jej piersi urosły przez noc chociaż troszkę. Zaczęło się to pod koniec zeszłego roku. Z początku trochę to bolało, ale ten okres miała już za sobą. Piersi były wyjątkowo małe – niewiele większe niż wiosenne jabłuszka – ale przecież tam były. Dzieciństwo dobiegało końca, stawała się kobietą.

Uśmiechnęła się do swego odbicia i przyłożyła dłoń z tyłu głowy, podnosząc włosy i wypinając piersi do przodu. Zachichotała jak mała dziewczynka… i nagle przypomniała sobie krew wypływającą z otworu umywalki poprzedniego wieczoru. Śmiech momentalnie ucichł. Spojrzała

na rękę i zobaczyła siniaka, jaki utworzył się na niej podczas nocy – brzydką plamę pomiędzy ramieniem i łokciem, plamę z różnobarwnymi palcami.

Z toalety dobiegł trzask i szum spuszczanej wody.

Beverly poruszała się szybko, bo nie chciała, aby tego ranka rozgniewał się na nią (ba, nie chciała, aby ją w ogóle zauważył). Nałożyła dżinsy i podkoszulek, a potem poszła do zwolnionej przed chwilą łazienki. Po drodze minęła się z ojcem, który właśnie zmierzał do swego pokoju, aby się ubrać. Niebieska piżama spowijała luźno jego ciało. Mruknął coś do niej pod nosem, ale tak cicho, że nie zdołała go zrozumieć.

– W porządku, tato – powiedziała mimo wszystko. Stała przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami łazienki, próbując się przygotować na to, co mogła zobaczyć wewnątrz. Przynajmniej jest dzień, pomyślała i to dodało jej trochę otuchy. Niewiele, ale trochę. Ujęła za klamkę, przekręciła ją i weszła do środka.

4

To był pracowity poranek dla Beverly. Przygotowała dla ojca śniadanie – sok

pomarańczowy, jajecznicę oraz tosty wedle upodobania Ala Marsha (czyli podgrzane, ale nie upieczone kromki chleba). Siedział przy stole ukryty za barykadą „News” i zjadł cały posiłek.

– Gdzie bekon?

– Nie ma, tato. Zjedliśmy go wczoraj.

– Usmaż mi hamburgera.

– Został tylko maleńki kawałek i…

Gazeta zaszeleściła, a potem osunęła się w dół. Bev poczuła na sobie niewidzialny ciężar spojrzenia jego niebieskich oczu.

– Coś ty powiedziała? – zapytał łagodnie.

– Powiedziałam „zaraz, tato”.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę. Potem gazeta znowu się podniosła, a Bev pospieszyła w stronę lodówki, żeby wyjąć mięso.

Usmażyła hamburgera, rozbijając mały kawałek mięsa, jaki został w lodówce, tak mocno, jak tylko się dało, żeby wyglądał na większy. Zjadł hamburgera, przeglądając artykuły sportowe, a Bev przygotowała dla niego lunch – kilka kanapek z masłem orzechowym i galaretką, spory kawałek ciasta, jaki jej matka przyniosła ubiegłego wieczoru z Green’s Farm, i termos gorącej kawy, mocno osłodzonej.

– Przekaż matce ode mnie, że należy dziś doprowadzić to mieszkanie do porządku – rzucił,

biorąc swój pojemnik obiadowy. – Tu jest jak w chlewie. Wielkie nieba! Przez cały dzień sprzątam brudy w szpitalu. Nie mam ochoty wracać do domu, w którym jest brudno jak w chlewie. Chyba mnie rozumiesz, Beverly.

– W porządku, tato. Zajmę się tym.

Pocałował ją w policzek, uścisnął niezgrabnie i wyszedł. Beverly, jak zawsze, podeszła do okna w swoim pokoju i patrzyła, jak szedł ulicą. I jak zawsze, kiedy skręcił za róg, poczuła ulgę. Nienawidziła siebie za to.

Umyła naczynia, a potem wyszła z mieszkania, aby na stopniach z tyłu domu móc przeczytać fragment książki. Lars Theramenius o długich blond włosach, które niemal pałały własnym, wewnętrznym światłem, wyszedł z sąsiedniego bloku, aby pokazać Beverly swoją nową ciężarówkę i nowe zadrapania na kolanach. Beverly z głośnym okrzykiem przyjęła zarówno jedno, jak i drugie. Potem matka zawołała ją do domu.

We dwie zmieniły pościel na obu łóżkach, umyły podłogi i wywoskowały linoleum w kuchni. Matka zajęła się podłogą w łazience, za co Bev była jej w głębi duszy wdzięczna. Elfrida Marsh była małą kobietą o siwiejących włosach i srogim spojrzeniu. Jej pomarszczona twarz

jakby mówiła, że przeżyła już niejedno i że miała jeszcze przed sobą parę latek… Mówiła również, że świat, na którym przyszło jej żyć, wcale nie był taki idealny i że pani Marsh w najbliższym czasie nie spodziewała się radykalnych zmian obecnego status quo.

– Zajmiesz się oknami w pokoju, Bev? – zapytała, wracając do kuchni. Przebrała się w swój uniform kelnerki. – Muszę pojechać do Saint Joe's w Bangor, aby się spotkać z Cheryl Tarrent. Złamała nogę wczoraj wieczorem.

– Tak. Zajmę się nimi – powiedziała Beverly. – Co się przytrafiło pani Tarrent? Upadła czy jak? – Cheryl Tarrent pracowała razem z Elfridą w restauracji.

– Ona i ten nicpoń, jej mąż, mieli wypadek samochodowy – odparła ponuro matka Beverly. – On był pijany. Módl się i co wieczór dziękuj Bogu, że twój ojciec nie pije, Bev.

– Pomodlę się – obiecała Beverly i zrobiła to.

– Na pewno ją wyleją. Jego, jak sądzę, też. – Teraz w głosie Elfridy pojawił się ton posępnej grozy. – Sądzę, że będą musieli przejść na zasiłek.

To była najgorsza rzecz w mniemaniu Elfridy Marsh. Utrata dziecka czy wiadomość o tym, że masz raka, były niczym w porównaniu z tą tragedią. Mogłeś być biedny, ale kiedy spadłeś

poniżej poziomu rynsztoka, lądowałeś na samym dnie i nadchodził taki czas, że żyłeś z zasiłku, a co za tym idzie, spijałeś pot przelany przez innych ludzi w formie daru. Przed taką właśnie perspektywą stanęła obecnie Cheryl Tarrent.

– Kiedy umyjesz okna i wyniesiesz śmieci, możesz pójść się bawić. Ojciec idzie dziś wieczorem na kręgle, więc nie musisz mu szykować kolacji, ale chcę, żebyś wróciła do domu przed zmierzchem. Wiesz dlaczego.

– W porządku, mamo.

– Mój Boże, ale ty szybko rośniesz – powiedziała Elfrida. Patrzyła przez chwilę na wypukłości rysujące się pod koszulką Bev. Jej spojrzenie było kochające, ale surowe. – Nie wiem, co ja sama tu pocznę, kiedy już wyjdziesz za mąż i założysz własny dom.

– Nigdy cię nie opuszczę – rzekła z uśmiechem Beverly. Matka uścisnęła ją błyskawicznie i pocałowała w kącik ust suchymi, ciepłymi wargami.

– Ja wiem lepiej – powiedziała. – Ale kocham cię, Bevvie.

– Ja też cię kocham, mamo.

– Kiedy skończysz, upewnij się, że na oknach nie ma żadnych zacieków – powiedziała, biorąc

torebkę i idąc w stronę drzwi. – Jeżeli zostaną, ojciec cię zleje.

– Będę uważała.

Kiedy matka otworzyła drzwi, Beverly zapytała ją tonem, w którym, przynajmniej taką miała nadzieję, pobrzmiewało zaciekawienie.

– Zauważyłaś coś zabawnego w łazience, mamo?

Elfrida spojrzała na nią i jakby trochę się zasępiła.

– Zabawnego?

– No… zeszłego wieczoru widziałam tam pająka. Wyszedł z otworu umywalki. Tata ci nie mówił?

– Czy twój tata zdenerwował się na ciebie wczoraj wieczorem, Bevvie?

– Nie! Skąd! Powiedziałam mu, że pająk wyszedł z otworu odpływowego i mnie przestraszył, a on na to, że w starym liceum on i jego koledzy znajdowali czasami w toaletach utopione szczury. Z powodu tych kanałów. Nie mówił ci, że widziałam pająka?

– Nie.

– No cóż. Nieważne. Właśnie się zastanawiałam, czy ty też go widziałaś.

– Nie widziałam żadnych pająków. Chciałabym, żebyśmy mogli kupić nowe linoleum

na podłogę do łazienki.

Spojrzała na niebo, które było niebieskie i bezchmurne.

– Mówią, że jeżeli zabijesz pająka, to sprowadzisz deszcz. Nie zabiłaś go, prawda?

– Nie – odparła Beverly. – Nie zabiłam.

Matka patrzyła na nią, a jej usta były ściśnięte tak mocno, że prawie niewidoczne.

– Jesteś pewna, że tata nie rozgniewał się na ciebie wczorajszego wieczoru?

– Nie!

– Czy on cię dotknął, Bevvie? Kiedykolwiek?

– Co? – Beverly kompletnie zbita z tropu spojrzała na matkę. Boże, ojciec dotykał jej codziennie. – Nie rozumiem, o co…

– Nieważne – ucięła Elfrida. – Nie zapomnij o śmieciach. I jeżeli okna będą pokryte zaciekami, to sama cię zleję, nie czekając na ojca.

– Nie… (*czy on cię dotknął, Bevvie? Kiedykolwiek?*) …zapomnę.

– I wróć przed zmierzchem.

– Wrócę.

(*czy on*) (*martwię się bardzo*)

Elfrida wyszła. Beverly znów wróciła do swego pokoju i patrzyła, jak jej matka przechodzi przez ulicę, by chwilę potem zniknąć za rogiem, tak jak wcześniej ojciec. Później, kiedy doszła do

wniosku, że jej matka miała już za sobą spory odcinek trasy na przystanek autobusowy, Beverly wzięła wiaderko, windex i parę szmat spod zlewu. Najpierw poszła do pokoju i zabrała się do okien. W mieszkaniu było jakby trochę za cicho. Za każdym razem, kiedy zaskrzypiała podłoga albo trzasnęły drzwi, podrywała się nieznacznie. Gdy nad jej głową rozległ się szum toalety Boltonów, jęknęła, a jej jęk zabrzmiał prawie jak krzyk. Przez cały czas spoglądała w stronę zamkniętych drzwi łazienki. W końcu podeszła do nich, otworzyła je ponownie i zajrzała do środka. Matka sprzątała tam dziś rano i zmyła większość krwi z podłogi. Podobnie rzecz się miała z porcelanowymi ściankami umywalki. Jednak wewnątrz niej oraz na oknie i na tapecie wciąż jeszcze widniały zaschnięte kasztanowe bryzgi i plamy.

Beverly spojrzała na swoje blade odbicie i nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że przez ślady na lustrze wygląda tak, jakby to jej twarz krwawiła. Pomyślała ponownie: I co ja mam z tym zrobić? Czy ja oszalałam, czy to tylko wytwór mojej wyobraźni?

Nagle z otworu odpływowego umywalki dobiegł gardłowy chichot. Beverly krzyknęła i trzasnęła drzwiami, a pięć minut później, kiedy

zaczęła myć okna w pokoju, jej dłonie wciąż jeszcze drżały tak mocno, że o mały włos nie upuściła na podłogę butelki windeksu.

5

Było około trzeciej po południu, mieszkanie zamknięte, zapasowy klucz tkwił głęboko w kieszeni dżinsów, kiedy Beverly skręciła w Richard's Alley, wąską uliczkę łączącą Main i Center, i natknęła się tam na Bena Hanscoma, Eddiego Kaspbraka i Bradleya Donovana, grających w rzucanie monet.

– Cześć, Bev! – zawołał Eddie. – Męczą cię koszmary po filmach?

– Nie – odparła Bev, kucając, aby poobserwować grę. – Skąd ci to przyszło na myśl?

– Haystack mi powiedział – rzekł Eddie, pokazując kciukiem na Bena, który nagle bez żadnego wyraźnego powodu zaczął się czerwienić.

– Jakich filmóff? – spytał Bradley i teraz Beverly go rozpoznała. To on przed tygodniem zjawił się w Barrens z Billem Denbrough. Obaj jeździli do Bangor na sesje logopedyczne. Beverly prawie o nim zapomniała. Gdyby ktoś ją spytał, odpowiedziałaby, że wydawał się jej w pewnym

sensie mniej ważny niż Ben czy Eddie. Mniej na miejscu.

– Parę filmów o potworach – odparła i w przysiadzie podsunęła się bliżej, aż wreszcie stanęła pomiędzy Benem i Eddiem. – Ty rzucasz?

– Tak – odrzekł Ben. Posłał jej szybkie spojrzenie, po czym odwrócił wzrok.

– Kto wygrywa?

– Eddie – odparł Ben. – Jest naprawdę dobry.

Spojrzała na Eddiego, który przez chwilę polerował paznokcie o przód swojej koszuli, a potem zachichotał.

– Mogę zagrać?

– Jasne – odparł Eddie. – A masz centa?

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła trzy.

– Rany, jak ty się nie boisz wychodzić z domu z takim szmalem – rzucił Eddie. – Ja bym się nie odważył.

Ben i Bradley Donovan się roześmiali.

– Dziewczyny też bywają odważne – odparła z powagą Beverly, a chwilę potem wszyscy śmiali się w głos.

Bradley rzucał pierwszy, potem Ben, Beverly, a na końcu Eddie, ponieważ wygrywał. Rzucali monetami w stronę muru drugstore’u przy Center Street.

Czasami monety lądowały bliżej, czasami trafiały i odbijały się od ściany. Przy końcu każdej kolejki ten, kto rzucił monetę najbliżej muru, zbierał wszystkie cztery centy. Pięć minut później Beverly miała już dwadzieścia cztery centy. Przegrała tylko jedną kolejkę.

– Dziewcyna osukuje! – rzucił z oburzeniem Bradley i wstał, aby odejść. Jego dobry humor prysnął. Patrzył na Beverly z wściekłością i oburzeniem. – Dziewcynom nie pofinno się pozwolić na…

Ben Hanscom poderwał się na równe nogi. To był przerażający widok.

– Odwołaj to!

Bradley spojrzał na Bena z otwartymi ustami.

– Co?

– Odwołaj to! Ona nie oszukuje!

Bradley powiódł wzrokiem po twarzach Bena, Eddiego i Beverly, którzy wciąż jeszcze klęczeli na chodniku. Potem ponownie spojrzał na Bena.

– Chces mieć jesce grubom fargę do koleksji, tłusciochu?

– Pewno – odparł Ben i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Było w nim coś, co sprawiło, że Bradley, zaskoczony, cofnął się niepewnie o krok. Być może zobaczył w tym uśmiechu, że Ben Hanscom, po zatargu z Henrym Bowersem

i dwukrotnym z nim starciu, nie bał się gróźb chudego Bradleya Donovana (którego dłonie pokrywały kurzajki i który diabelnie seplenił).

– Tak, a potem wsyscy się na mnie zucicie – rzekł Bradley i cofnął się jeszcze o krok. Głos zaczął mu się łamać, łzy napłynęły do oczu. – Banda osustów!

– Odwołaj to, co o niej powiedziałeś – rzucił ostro Ben.

– Daj spokój, Ben. Nieważne – odezwała się Beverly. Wyciągnęła w stronę Bradleya dłoń pełną miedziaków. – Zabierz, co twoje. I tak nie grałam dla pieniędzy.

Spod dolnych powiek Bradleya popłynęły łzy. Czuł się poniżony. Podbił dłoń Beverly, monety posypały się na ziemię, a potem pobiegł co sił w nogach wzdłuż Richard's Alley w stronę Center Street.

Tamci patrzyli na niego z rozdziawionymi ustami. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, Bradley odwrócił się na pięcie i zawołał:

– Jesteś po płostu małą dziwką, ot co! Osustka! Osustka! A tfoja matka jest kułwą!

Beverly jęknęła. Ben popędził alejką w kierunku Bradleya, ale potknął się o leżącą na ziemi skrzynię i wyłożył jak długi. Bradley uciekł i Ben dobrze wiedział, że nigdy nie uda mu się go

dogonić. Wrócił do Beverly, żeby sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku. To słowo zaszokowało go równie mocno jak ją.

Zauważyła wyraz zatroskania na jego twarzy. Otworzyła usta, aby powiedzieć, że nic jej nie jest, żeby się nie martwił, że „pałki i kamienie mogą połamać mi kości, ale słowa nigdy nic mi nie zrobią”… i wtedy powróciło to dziwne pytanie (*czy on cię dotknął, Bev? Kiedykolwiek?*) zadane przez matkę. Dziwne pytanie, pełne podtekstów, mętne jak stara kawa. Zamiast powiedzieć, że słowami nie można jej zranić, wybuchnęła płaczem.

Eddie patrzył na nią wyraźnie skrępowany, wyjął z kieszeni spodni aspirator i zaaplikował sobie dawkę. Potem pochylił się i zaczął zbierać rozsypane monety. Kiedy to zrobił, na jego twarzy widniał grymas pełnej koncentracji. Ben zbliżył się do niej instynktownie, chcąc ją objąć i pocieszyć, ale w końcu zmienił zamiar. Była zbyt ładna. W obliczu jej piękna czuł się absolutnie bezradny.

– Rozchmurz się – powiedział, wiedząc, że musi to zabrzmieć idiotycznie, ale nie umiał wymyślić nic lepszego na poczekaniu. Dotknął lekko jej ramienia (przyłożyła dłonie do twarzy, by zakryć załzawione oczy i czerwone policzki),

a potem szybko odsunął rękę, jakby jej ciało było rozpalone do białości. Policzki Beverly były teraz tak czerwone, jakby dziewczyna lada moment miała doznać ataku apopleksji. – Rozchmurz się, Beverly.

Opuściła dłonie i zawołała ostrym, pełnym wściekłości głosem:

– Moja matka nie jest kurwą! Ona jest… ona jest kelnerką!

Wypowiedź tę powitała absolutna cisza. Billy patrzył na Bev z otwartymi ustami. Eddie uniósł wzrok znad brukowanej powierzchni alejki; w obu dłoniach trzymał zebrane monety. I nagle cała trójka wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Kelnerka! – Eddie zachichotał. Miał mgliste pojęcie, co oznaczało słowo „kurwa”, ale porównanie tych dwóch wyrazów wydawało mu się pod pewnym względem wyborne i niepowtarzalne. – To właśnie to, czym jest!

– Tak! Właśnie to! – jęknęła Beverly, płacząc i śmiejąc się jednocześnie. Ben śmiał się tak mocno, że nie mógł utrzymać się na nogach. Usiadł ciężko na koszu na śmieci. Jego masa wgniotła pokrywę kosza i śmietnik przewrócił się wraz z siedzącym na nim Benem. Ben wylądował ciężko na boku. Eddie pokazał na niego palcem

i zawył ze śmiechu. Beverly pomogła Benowi wstać.

Nad nimi otworzyło się okno i jakaś kobieta krzyknęła:

– Wynocha stąd, dzieciaki. Ludzie idą do pracy na nocną zmianę! Spadajcie stąd! No już! Jazda!

Cała trójka praktycznie bez namysłu podała sobie ręce (Beverly w środku) i pobiegła w stronę Center Street, ani na chwilę nie przestając się śmiać.

6

Przeliczyli pieniądze i okazało się, że mają czterdzieści centów, co wystarczało na dwa mrożone koktajle. Ponieważ stary pan Keene nie pozwalał dzieciom poniżej dwunastu lat na spożycie zakupionych łakoci przy saturatorze (twierdził, że mogłyby zepsuć znajdujące się na sali automaty do gier), zabrali dwa woskowane olbrzymie pojemniki do Bassey Park i usiedli na trawie, aby wypić ich zawartość. Ben miał koktajl o smaku kawowym, a Eddie truskawkowym. Beverly usiadła pomiędzy chłopcami, popijając przez słomkę na przemian od nich obu, jak pszczoła spijająca nektar z kwiatu. Znowu czuła się świetnie – po raz pierwszy od zeszłego

wieczoru, kiedy z otworu umywalki w łazience zaczęła buchać krew. Emocjonalnie była wyczerpana, ale jej nastrój wyraźnie się poprawił. Przynajmniej na razie.

– Nie rozumiem, co się stało Bradleyowi – rzucił w końcu Eddie niezręcznie, przepraszającym tonem. – Nigdy się tak nie zachowywał.

– Wstawiłeś się za mną – powiedziała Beverly i nagle pocałowała Bena w policzek. – Dziękuję.

Ben znowu poczerwieniał.

– Nie oszukiwałaś – wymamrotał i wypił połowę swego koktajlu trzema potężnymi łykami. Potem czknął głośno, co przypominało wystrzał z dwururki.

– Zostało ci coś jeszcze? – zapytał Eddie, a Beverly roześmiała się, trzymając oburącz za brzuch.

– Już nie mogę – zachichotała. – Brzuch mnie boli. Proszę, już dosyć.

Ben się uśmiechał. Tej nocy przed snem będzie wiele razy wspominał chwilę, kiedy Bev go pocałowała.

– Naprawdę dobrze się czujesz? – spytał.

Skinęła głową.

– To nie przez niego. Nawet nie przez to, co powiedział o mojej matce. Chodzi o to, co się stało

zeszłego wieczoru. – Zawahała się, popatrzyła po twarzach Bena, Eddiego i powróciła spojrzeniem do Bena. – Ja… ja… muszę komuś o tym opowiedzieć. Albo komuś to pokazać. Wydaje mi się, że płakałam, bo bałam się, że tracę zmysły.

– O czym ty mówisz? Ty tracisz zmysły? – zapytał nowy głos.

To był Stanley Uris. Jak zawsze wydawał się niski, szczupły i nienaturalnie schludny – o wiele za schludny jak na jedenastolatka. W białej koszuli włożonej starannie za brzegi świeżutkich dżinsów, z nienagannie zaczesanymi włosami i nieskazitelnie czystymi czubkami trampek wyglądał raczej jak najmniejszy dorosły świata. Chwilę potem uśmiechnął się i złudzenie prysło.

Nie powie tego, co miała powiedzieć, pomyślał Eddie, bo nie było go tu, kiedy Bradley obraził jej matkę. Ale po chwili wahania Beverly opowiedziała im o wszystkim. Bo dziwnym trafem Stanley był inny niż Bradley – w przeciwieństwie do Bradleya wydawał się całkiem na miejscu.

Stanley jest jednym z nas, pomyślała Beverly i w głębi duszy zastanawiała się, czemu w tej samej chwili na jej rękach pojawiła się gęsia skórka. Nie robię im żadnej łaski, opowiadając

o tym, co mi się przydarzyło. Ani im, ani sobie. Tak mi się w każdym razie wydaje.

Ale już było za późno. Już zaczęła mówić. Stan usiadł obok nich, a jego twarz była nieruchoma i poważna. Eddie zaproponował mu resztkę koktajlu, lecz Stan odmówił ruchem głowy, nie spuszczając wzroku z twarzy Beverly. Żaden z chłopców się nie odezwał.

Opowiedziała im o głosach. O tym, jak rozpoznała głos Veroniki Grogan. Wiedziała, że Ronnie nie żyje, ale mimo to była pewna, że głos należał do niej. Opowiedziała im o krwi, o tym, że ojciec jej nie widział ani nie czuł, podobnie zresztą jak matka, która rano weszła do łazienki.

Kiedy skończyła, powiodła z obawą wzrokiem po twarzach kolegów… ale nie dostrzegła w nich niedowierzania. Strach, owszem, ale ani cienia niedowierzania.

W końcu Ben zadecydował.

– Chodźmy. Musimy rzucić na to okiem.

7

Weszli tylnymi drzwiami nie tylko dlatego, że pasował do nich klucz, który miała Beverly, lecz z uwagi na to, że jak sama powiedziała, ojciec by ją zabił, gdyby pani Bolton zauważyła ją

wchodzącą do mieszkania pod nieobecność rodziców z trzema chłopakami.

– Dlaczego tędy? – zapytał Eddie.

– Nie zrozumiałbyś, tępaku – uciął Stan. – I dlatego siedź cicho.

Eddie chciał coś odpowiedzieć, ale jedno spojrzenie na bladą, napiętą twarz Stana wystarczyło, aby zmienił zamiar.

Przez drzwi dostali się do kuchni, w której królowały promienie popołudniowego słońca i letnia cisza. W suszarce błyszczały naczynia. Cała czwórka stała ściśnięta przy kuchennym stole, a kiedy na górze trzasnęły drzwi, wszyscy podskoczyli gwałtownie, po czym wybuchnęli nerwowym śmiechem.

– Gdzie to jest? – spytał Ben szeptem.

Czując gwałtowne pulsowanie w skroniach, Beverly poprowadziła ich małym korytarzykiem, w którym po jednej stronie znajdowała się sypialnia rodziców, a na samym końcu zamknięte drzwi do łazienki. Otworzyła je, szybko weszła do środka i wyjęła korek z umywalki. Potem ponownie się wycofała, stając pomiędzy Benem i Eddiem. Krew na lustrze, umywalce i tapecie zaschła, tworząc brudnobrązowe zacieki. Beverly spoglądała na krew, bo nieoczekiwanie to okazało się łatwiejsze

niż patrzenie na nich. Cichym głosem, który z trudem rozpoznała jako własny, spytała:

– Widzicie to? Czy któryś z was to widzi?

– Czy to jest tam? – Ben zrobił krok naprzód, a ona ponownie zdziwiła się, widząc, że jego ruchy pomimo niewątpliwie potężnych rozmiarów ciała były nad wyraz delikatne. Dotknął jednego ze śladów, potem drugiego, a następnie długiego zacieku na lustrze. – Tu, tu i tu. – Jego głos był rzeczowy, autorytatywny.

– Jejku. To wygląda tak, jakby zaszlachtowano tu świnię – rzucił Stan z niepokojem w głosie.

– I to wszystko wypłynęło przez otwór w umywalce? – zapytał Eddie. Widok krwi przyprawiał go o mdłości. Jego oddech stawał się coraz płytszy. Sięgnął po aspirator.

Beverly starała się powstrzymywać nową falę łez. Nie chciała płakać. Bała się, że jeśli to zrobi, będą ją traktować jak jeszcze jedną zwyczajną dziewczynę. Sięgnęła dłonią do klamki i w tej samej chwili ogarnęła ją przynosząca ulgę fala przerażającej siły. Aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, jak dalece była przekonana o swoim obłędzie, omamach wzrokowych czy zwyczajnych urojeniach.

– A twoja mama i twój ojciec tego nie widzą? – dziwił się Ben. Dotknął zaschniętego krwawego

śladu i odsunąwszy dłoń, otarł ją o skrawek koszuli. – Straszne. Rany, ale się porobiło.

– Nie wiem, jak będę mogła tu jeszcze kiedykolwiek wejść – oznajmiła Beverly. – Nie mówiąc o tym, żeby się umyć, wyszorować zęby czy… sami wiecie.

– No to czemu nie doprowadzimy tego miejsca do porządku? – zapytał nagle Stanley.

Beverly spojrzała na niego.

– Posprzątać tutaj?

– Pewno. Może nie uda się nam zmyć wszystkiego z tapety, sami widzicie, jak okropnie to wygląda, ale z resztą chyba zdołalibyśmy się uporać. Nie masz paru szmat?

– Pod zlewem w kuchni – odparła Beverly. – Ale jeśli ich użyjemy, mama będzie się zastanawiała, co się z nimi stało.

– Mam pięćdziesiąt centów – rzucił cicho Stan. Nie spuszczał wzroku z krwawych śladów wokół umywalki. – Umyjemy to wszystko najlepiej, jak się da, a potem wpadniemy do płatnej pralni. Wyjdziemy tak, jak weszliśmy. Wypierzemy i wysuszymy szmaty, a potem odwiesimy je na miejsce, zanim wrócą twoi starzy.

– Mama mówi, że krwi nie da się sprać – zaoponował Eddie. – Twierdzi, że krew osadza się w materiale czy jakoś tak.

Ben zachichotał histerycznym śmiechem.

– To nieważne, czy krew zejdzie ze szmat, czy nie. Przecież oni i tak jej nie widzą.

Nikt nie zapytał go, kogo miał na myśli, mówiąc „oni”.

– W porządku – powiedziała Bev. – Spróbujmy to zrobić.

8

Przez następne pół godziny cała czwórka zmywała ohydne ślady, a w miarę jak krew znikała ze ścian, okna i porcelany umywalki, Beverly czuła, że robi się jej coraz lżej na sercu. Ben i Eddie zajęli się umywalką i lustrem, ona podłogą. Stan pracował nad tapetą z pełnym skupieniem, używając szmaty, która była prawie sucha. Wreszcie udało im się usunąć niemal wszystkie zacieki. Ben zakończył dzieło, wykręcając żarówkę znad umywalki i zamieniając ją na nową z pełnego pudełka w spiżarni. Było ich tam sporo. Elfrida Marsh zrobiła dwuletni zapas jesienią zeszłego roku, kiedy w Derry Lions była coroczna wyprzedaż.

Użyli kubełka Elfridy, jej ajaksu i sporej ilości gorącej wody. Zmieniali wodę często, bo żadne z nich nie chciało moczyć w niej rąk, kiedy już przybrała różowy odcień. Wreszcie Stan cofnął

się, spojrzał na łazienkę krytycznym okiem chłopca, który wyjątkowo ceni czystość i porządek, i powiedział:

– Chyba więcej nie da się zrobić.

Na tapecie po lewej stronie umywalki wciąż jeszcze widniały ślady krwi, ale papier był tam bardzo cienki i na tyle przetarty, że Stanley nie ośmielił się dociskać doń zbyt mocno nasączonej wodą szmatki. Mimo to, nawet tu, krew utraciła swą poprzednią złowieszczą moc, nie była teraz niczym więcej niż zwyczajną, mało widoczną rozmazaną smugą.

– Dziękuję – powiedziała do nich wszystkich Beverly. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy była komukolwiek równie głęboko wdzięczna, jak teraz tym trzem chłopcom. – Dziękuję wam.

– To nic takiego – mruknął Ben Hanscom i oczywiście znowu się zaczerwienił.

– Jasne – przyznał Eddie.

– Zajmijmy się teraz szmatami – rzekł Stanley. Na jego twarzy widniał wyraz powagi, niemal srogości.

Później Beverly pomyśli, że najprawdopodobniej tylko Stanley zdawał sobie wówczas sprawę, że oto uczynili jeszcze jeden krok w stronę jakiejś niemożliwej do określenia konfrontacji.

9

Odmierzyli trochę proszku do prania i nasypali go do pustego słoika po majonezie. Bev znalazła papierową torbę, do której wepchnęła zakrwawione szmaty, a potem cała czwórka poszła do pobliskiej pralni na rogu Main i Cony Street. Dwie przecznice dalej mogli dostrzec, jak fale kanału błyszczą niebieskawo w promieniach popołudniowego słońca.

W pralni było pusto, jeżeli nie liczyć kobiety w białym fartuchu pielęgniarki, czekającej, aż jej pranie zostanie wysuszone. Obrzuciła czwórkę dzieciaków spojrzeniem pełnym niedowierzania, a potem zagłębiła się w lekturze paperbackowego wydania *Peyton Place*.

– Zimna woda – rzucił półgłosem Ben. – Moja mama mówi, że krew należy zmywać w zimnej wodzie.

Wrzucili szmaty do pralki, podczas gdy Stan rozmienił swoje dwie ćwiartki na cztery dziesiątki i dwie piątki. Wrócił i patrzył, jak Bev wsypywała do środka proszek, a potem zamknęła drzwiczki pralki.

Następnie Stan wrzucił dwie dziesiątki do otworu na monety i przekręcił gałkę startu. Beverly wydała większość swojej wygranej na mrożone koktajle, ale w lewej kieszeni dżinsów

znalazła cztery ocalałe monety. Wyciągnęła je i podała Stanowi, który spojrzał na nią wyraźnie urażony.

– Jeezu – powiedział – zabieram dziewczynę na randkę do pralni, a ona nic nie kapuje i chce wszystko zepsuć.

Beverly roześmiała się pod nosem.

– Na pewno?

– Na pewno – odparł oschle Stan. – Wierz mi, z bolącym sercem rezygnuję z przyjęcia od ciebie tych czterech centów, ale trudno.

Cała czwórka podeszła do rzędu plastikowych krzeseł ustawionych pod ścianą pralni i zajęła miejsca. Nie odezwali się do siebie nawet słowem. Pralka z wrzuconymi do środka szmatami buczała i chlupotała. O szybę okrągłego okienka uderzały fontanny piany. Z początku piana była czerwona. Patrząc na nią, Beverly poczuła, że zbiera się jej na wymioty, ale się powstrzymała; nie mogła oderwać wzroku od pralki. Krwawa piana była na swój makabryczny sposób fascynująca. Kobieta w fartuchu pielęgniarki coraz częściej zerkała na nich znad książki. Być może obawiała się, że zaczną rozrabiać; teraz ich przeciągające się milczenie wprawiało ją w coraz większe zdenerwowanie. Kiedy suszarka się wyłączyła, czym prędzej

wyjęła z niej swoje rzeczy, poskładała je, włożyła do niebieskiej plastikowej torby i poszła; będąc już przy drzwiach, zatrzymała się i po raz ostatni obrzuciła czwórkę dzieciaków spojrzeniem pełnym zdziwienia i zakłopotania. Kiedy tylko wyszła, Ben niemal ochrypłym głosem powiedział:

– Nie jesteś jedyna.

– Co? – zapytała Beverly.

– Nie jesteś jedyna – powtórzył Ben. – Widzisz…

Przerwał i spojrzał na Eddiego, a ten skinął głową. Spojrzał na Stana, który sprawiał wrażenie nieszczęśliwego… ale również po chwili wzruszył ramionami i pokiwał głową.

– O czym wy mówicie, jak rany? – spytała Beverly. Była już dziś zmęczona ludźmi, którzy mówili zagadkami i niczego nie wyjaśniali do końca. Schwyciła Bena za przedramię. – Jeżeli coś o tym wiesz, to mi powiedz!

– Chcesz to zrobić? – Ben zwrócił się do Eddiego. Eddie pokręcił głową. Wyjął z kieszeni swój aspirator i wciągnął potężną dawkę. Mówiąc wolno i ostrożnie dobierając słowa, Ben powiedział Beverly o tym, w jaki sposób spotkał Billa Denbrough i Eddiego Kaspbraka w Barrens, w dniu zakończenia szkoły. Stało się to – aż nie

do wiary – już prawie tydzień temu. Opowiedział jej o tym, jak następnego dnia zbudowali w Barrens tamę. Opowiedział historię Billa o tym, jak szkolne zdjęcie jego brata ożyło i mrugnęło do niego. Opowiedział własną historię o mumii, która chodziła po zamarzniętym kanale w samym środku zimy z balonami płynącymi w powietrzu pod wiatr. Beverly słuchała tego z uczuciem narastającej zgrozy. Czuła, jak jej oczy rozszerzają się, a stopy i dłonie robią się coraz zimniejsze.

Ben przerwał i spojrzał na Eddiego, który znów nacisnął spust aspiratora, a potem ponownie opowiedział o przygodzie z trędowatym. W przeciwieństwie do Bena mówił szybko – wypowiadane przezeń słówka nakładały się na siebie, tak jakby pragnęły jak najszybciej ulecieć w przestrzeń. Skończył, pochlipując i pociągając nosem, ale tym razem się nie rozpłakał.

– A ty? – spytał, patrząc na Stana Urisa.

– Ja…

Nagle nastała cisza; wszyscy oczekiwali, kiedy nastąpi wybuch.

– Pranie zakończone – oznajmił Stan.

Patrzyli, jak wstał – mały, schludny, zwinny – i otworzył pralkę. Wyjął z niej szmaty, które były

zbite w jeden wielki kłąb, a potem przyjrzał im się uważnie.

– Tu została niewielka plama. Ale w sumie źle nie wygląda. Przypomina bardziej sok z żurawin.

Pokazał im i pozostali zgodnie pokiwali głowami. Beverly ponownie poczuła ulgę, tak jak wtedy, kiedy łazienka znowu była czysta. Skoro mogła znieść wyblakłą rozmazaną smugę na odłażącej tapecie, to równie dobrze zniesie słabo widoczną czerwonawą plamę na szmacie do podłogi. Najważniejsze, że sobie z tym poradzili. Zrobili coś. Może nie udało im się do końca, ale poradzili sobie na tyle, że znowu była spokojna, a co tu dużo gadać, to wystarczało Beverly – córce Ala Marsha.

Stan włożył szmaty do jednej z cylindrycznych suszarek i wrzucił dwie piątki. Suszarka zaczęła pracować, a Stan powrócił na swoje miejsce i usiadł pomiędzy Eddiem i Benem. Przez chwilę cała czwórka ponownie siedziała w milczeniu, patrząc, jak szmaty to unoszą się, to opadają. Buczenie gazowej suszarki było uspokajające, prawie usypiające.

Jakaś kobieta z wózkiem pełnym zakupów przeszła obok otwartych drzwi. Zajrzała do środka, obrzuciła szybkim spojrzeniem czwórkę

dzieciaków siedzących na krzesłach i poszła dalej.

– Widziałem coś – rzekł nagle Stan. – Nie chciałem o tym opowiadać, bo starałem się wmówić sobie, że to był tylko sen czy coś takiego. Może nawet atak choroby, taki jak te, które miewa dzieciak Stavierów. Znacie go?

Ben i Beverly zaprzeczyli.

– Ten, który ma epilepsję? – Eddie zapytał.

– Ten sam. To było prawie tak samo straszne. Wolałbym myśleć, że jestem chory na coś w tym rodzaju, niż uwierzyć, że to, co zobaczyłem, było… jak najbardziej prawdziwe.

– Co widziałeś? – zapytała Bev nie do końca przekonana, czy chce się tego dowiedzieć. To nie było siedzenie przy ognisku i słuchanie opowieści o duchach, połączone z jedzeniem pieczonych kiełbasek i smażeniem nad ogniem ślazowych cukierków, aż staną się całkiem czarne i pomarszczone. Siedzieli w niewielkiej pralni, a Beverly wychwytywała wzrokiem wielkie koty kurzu pod pralkami (ojciec nazywał je bobkami duchów), widziała jego drobinki tańczące w promieniach światła wpadającego przez brudną szybę do wnętrza pomieszczenia, a także leżące na półce czasopisma z poobrywanymi okładkami. To wszystko było

całkiem normalne. Miłe, normalne i nudne. Ale ona się bała. Była wręcz przerażona. Bo, jak czuła w głębi duszy, żadna z tych opowieści nie została zmyślona, podobnie jak występujące w niej potwory: mumia Bena, trędowaty Eddiego… Jeden z nich lub może nawet obaj mogli znaleźć się dziś po zmierzchu na ulicach Derry. Albo brat Billa Denbrough, jednoręki i bezlitosny, mógł krążyć po mrocznych podmiejskich kanałach, mając zamiast oczu dwie błyszczące srebrne monety. Ponieważ Stan nie odpowiedział, zapytała ponownie: – Co to było?

Stan, cedząc słowa, odrzekł:

– Byłem wtedy w tym małym parku, gdzie znajduje się stacja pomp.

– O Boże, nie cierpię tego miejsca – mruknął ponuro Eddie. – Jeżeli w Derry jest jakiś nawiedzony dom, to właśnie ten.

– Co? – spytał ostro Stan. – Co powiedziałeś?

– Nie słyszałeś o tym? – zapytał Eddie. – Mama nie pozwoliła mi się zbliżać do tego parku, zanim jeszcze zaczęły się te zabójstwa dzieci. Ona… naprawdę bardzo się o mnie troszczy.

Na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech. Dłoń Eddiego mocniej zacisnęła się na aspiratorze przyciskanym do podołka.

– Widzisz, utonęło tam kilkoro dzieciaków. Troje czy czworo. One… Stan, nic ci nie jest?

Twarz Stana Urisa zrobiła się nagle ołowianoszara. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie. Przewrócił oczyma tak, że pozostali widzieli tylko zarysy brzegów jego tęczówek. Jedna ręka zacisnęła się kurczowo w powietrzu, a potem ciężko opadła na udo. Eddie zrobił jedyną rzecz, jaka w tej sytuacji przyszła mu na myśl. Pochylił się, objął ramieniem przygarbionego Stana, włożył mu do ust wylot aspiratora i zaaplikował potężną dawkę.

Stan zaczął kasłać, krztusić się i dławić. Usiadł prosto, jego oczy znów były normalne. Kaszlnął w złożone dłonie. W końcu czknął i usiadł wygodnie na swoim krześle.

– Co to było? – wydusił w końcu.

– Moje lekarstwo na astmę – rzekł przepraszającym tonem Eddie.

– Boże, toż to smakuje jak stare gówno.

Wszyscy się roześmiali, ale był to bardzo nerwowy śmiech. Pozostali ukradkiem popatrywali na Stana. Jego policzki nieznacznie się zaróżowiły.

– Jest nie najlepsze, to prawda – rzekł Eddie z pewną dozą dumy.

– Tak. Ale czy jest koszerne? – rzekł Stan i wszyscy ponownie wybuchnęli śmiechem, choć żadne z nich (włącznie ze Stanem) nie wiedziało, co naprawdę oznacza słowo „koszerne”.

Stan przestał się śmiać pierwszy i spojrzał na Eddiego przenikliwym wzrokiem.

– Powiedz mi, co wiesz o stacji pomp – poprosił.

Eddie zaczął, ale Ben i Beverly również się wtrącali.

Stacja pomp znajdowała się przy Kansas Street, jakieś półtorej mili na zachód od śródmieścia w pobliżu południowego skraju Barrens. W swoim czasie, pod koniec zeszłego stulecia, zaopatrywała w wodę całe Derry, bo mieściła trzy czwarte miliona galonów. Z powodu okrągłej galeryjki na otwartym powietrzu, znajdującej się tuż poniżej dachu stacji, z której rozciągała się wspaniała panorama miasta i najbliższych okolic, aż do mniej więcej 1930 roku było to bardzo popularne i często odwiedzane miejsce. W słoneczne sobotnie i niedzielne przedpołudnia do małego Memorial Park przychodziły całe rodziny, wchodziły po stu sześćdziesięciu stopniach wewnątrz stacji na galeryjkę i radowały się

widokiem. Bardzo często urządzano tam także pikniki.

Schody znajdowały się pomiędzy zewnętrzną ścianą stacji, która była wyłożona oślepiająco białą płytą, a jej wielkim cylindrem z nierdzewnej stali mającym sto sześć stóp wysokości. Schody wiły się ku górze wąską spiralą.

Tuż poniżej poziomu galeryjki grube drewniane drzwi prowadziły na platformę nad czarnym, łagodnie pluskającym zbiornikiem wodnym oświetlonym przez nagie magnezjowe żarówki wkręcone w blaszane osłony. Kiedy zbiornik był pełny, woda miała dokładnie sto stóp głębokości.

– Skąd pochodziła ta woda? – zapytał Ben.

Bev, Eddie i Stan popatrzyli po sobie nawzajem. Żadne z nich nie wiedziało.

– No więc co z tymi dzieciakami, które się utopiły?

Na ten temat mieli nieco bardziej sprecyzowane informacje. Wyglądało na to, że w tamtym okresie (który Ben nazwał „starymi czasami") drzwi prowadzące na platformę nad wodą zawsze zostawiano otwarte. Którejś nocy kilkoro dzieciaków… trudno powiedzieć ile… jedno czy troje… odkryło, że drzwi wejściowe do

stacji również były otwarte. Odważyły się wejść do środka. Przez pomyłkę zamiast na galeryjkę wyszły na platformę nad wodą. W ciemnościach, zanim się zorientowały, gdzie się znajdują, powpadały do zbiornika.

– Słyszałam o tym od Vica Crumly'ego, a on z kolei od swego ojca – rzekła Beverly. – Więc może to prawda. Vic powiedział, że zdaniem jego taty po wpadnięciu do zbiornika ich los był przesądzony. Platforma znajdowała się poza ich zasięgiem. Pływali tam w kółko długo, może nawet przez całą noc. Nikt ich jednak nie usłyszał, a oni tracili siły coraz bardziej i bardziej, aż… – Urwała, czując, jak ją przejmuje zgroza. Oczyma duszy widziała tych chłopców – prawdziwych bądź wymyślonych – pływających w zbiorniku jak przemoknięte szczeniaki. Widziała, jak idą pod wodę i wypływają na powierzchnię, plując i prychając. Potem coraz mocniej uderzali rękoma i nogami, kiedy zaczęła ich ogarniać panika. Przemoczone trampki biły wodę. Palce bezskutecznie poszukiwały jakiegoś oparcia wzdłuż gładkich stalowych ścian rękawa. Czuła smak wody, którą musieli się zachłystywać. Słyszała głuche echo ich okrzyków. Ile to trwało? Piętnaście minut? Pół godziny? Jak długo trwało, zanim zaczęli bezwładnie unosić się na wodzie,

twarzą do dołu, jak dziwne ryby oczekujące, aby następnego dnia znalazł ich tu dozorca?

– Boże – powiedział ochrypłym tonem Stan.

– Słyszałem też o jakiejś kobiecie, która straciła tam dziecko – rzekł nagle Eddie. – To było już po tym, kiedy stację na dobre zamknięto. W każdym razie tak słyszałem. Z tego, co wiem, czasami wpuszczano na górę ludzi. Któregoś razu trafiła tam kobieta z dzieckiem. Nie wiem, ile lat miało dziecko. Co się tyczy tej platformy, ponoć wznosi się ona tuż nad samą wodą. Ta kobieta podeszła do barierki, no i wiecie, trzymała to dziecko i nie wiem, czy je upuściła czy też po prostu jakoś się jej wyślizgnęło. Słyszałem, że jakiś facet chciał je uratować. Wiecie, zgrywał bohatera. Wskoczył, tak jak stał, ale dziecko poszło na dno. Może miało na sobie kurtkę czy coś takiego. Kiedy twoje ciuchy przemokną, to wciągają cię pod wodę.

Naraz Eddie sięgnął ręką do kieszeni i wyjął z niej małą brązową buteleczkę. Otworzył ją, wyjął dwie białe pigułki i połknął je na sucho.

– Co to było? – spytała Beverly.

– Aspiryna. Głowa mnie rozbolała. – Spojrzał na nią defensywnie, ale Beverly nie powiedziała nic więcej.

Ben dokończył opowieść. Po incydencie z dzieckiem (powiedział, że ponoć to była trzyletnia dziewczynka) rada miejska przegłosowała, aby zamknąć stację pomp – zarówno dół, jak i górę, i zakazać urządzania tam wypadów i pikników na galeryjce. Od tamtej pory pozostawała zamknięta. Przychodził tam naturalnie dozorca i od czasu do czasu zjawiali się sprzątacze, a w sezonie przyprowadzano tam wycieczki. Zainteresowani obywatele miasta mogli podążać za kobietą z Towarzystwa Historycznego po spiralnych schodach na galeryjkę, gdzie przy wtórze achów i ochów towarzyszących ich zachwytom nad cudownymi widokami robili zdjęcia, aby potem móc się nimi pochwalić przed przyjaciółmi. Ale drzwi prowadzące do wewnętrznego zbiornika były stale zamknięte.

– Czy zbiornik jest nadal pełen wody? – spytał Stan.

– Chyba tak – odparł Ben. – Widziałem, jak cysterny straży napełniały go podczas letnich upałów, gdy groziło, że zapali się trawa. Podłączyli węże do rury u dołu.

Stanley ponownie patrzył na suszarkę, przyglądając się, jak szmaty wirują w kółko. Twarda gruda szmat została już rozbita

i niektóre z nich unosiły się jak małe spadochrony.

– Co ty tam widzisz? – zapytała go łagodnie Bev.

Przez chwilę wydawało się, że w ogóle nie odpowie. Ale wziął głęboki oddech i powiedział coś, co w pierwszej chwili uznali za absolutnie niezwiązane z pytaniem.

– Nazwali to Memorial Park na pamiątkę dwudziestego trzeciego pułku Maine biorącego udział w wojnie secesyjnej. Nazywali ich Niebieskie Mundury z Derry. Stał tu też pomnik, ale został zniszczony podczas burzy w latach czterdziestych. Nie mieli dość pieniędzy, aby go naprawić, toteż w jego miejsce ustawili brodzik dla ptaków. Wielki kamienny brodzik.

Wszyscy patrzyli na niego. Stan przełknął ślinę – coś strzyknęło mu głośno w gardle.

– Widzicie. Ja zajmuję się obserwacją ptaków. Mam album, lornetkę Zeiss-Ikon i wszystko, co trzeba. – Spojrzał na Eddiego. – Masz jeszcze parę aspiryn?

Eddie podał mu buteleczkę. Stan wziął dwie tabletki, zawahał się, po czym dobrał jeszcze jedną. Oddał butelkę i połknął pastylki – jedną po drugiej, krzywiąc się. Potem rozpoczął swoją opowieść.

10

Przygoda Stana zdarzyła się przed dwoma miesiącami, pewnego deszczowego kwietniowego popołudnia. Nałożył swój płaszcz przeciwdeszczowy, wrzucił atlas ptaków i lornetkę do nieprzemakalnego worka ściąganego u góry na sznurek i wyszedł do Memorial Park. Zwykle chodził razem z ojcem, ale tego dnia ojciec miał robotę i specjalnie zadzwonił do Stana, żeby z nim porozmawiać. Powiedział Stanowi, że jeden z jego klientów w agencji, kolejny obserwator ptaków, zauważył samczyka kardynała *Fringillidae richmondena*, pijącego wodę z brodziku. Lubiły jeść, pić i kąpać się w tym miejscu o zmierzchu. Spotkanie kardynała tak daleko na północ od Massachusetts było olbrzymią rzadkością. Może Stan miałby chęć przejść się tam i sprawdzić, czy uda mu się go włączyć do swojej kolekcji? Wiedział wprawdzie, że pogoda jest raczej kiepska, ale…

Stan należał do ugodowców. Matka wymusiła na nim przyrzeczenie, że nie zdejmie kaptura, ale Stan i tak by go nie zdjął. Zawsze dbał o swoje zdrowie. Nigdy nie trzeba było go zmuszać, aby nałożył kalosze czy ocieplane spodnie zimą.

Przeszedł półtorej mili do Memorial Park pośród mżawki, która bardziej niż z deszczem

kojarzyła się z wiszącą nad ziemią mgłą. Wokół panowała cisza, ale było to na swój sposób ekscytujące. Chociaż pod drzewami i kępami krzewów leżał jeszcze śnieg (Stanowi przypominał on sterty brudnych poszewek), w powietrzu unosił się zapach czegoś nowego. Patrząc na gałęzie wiązów, klonów i dębów na tle ołowianego nieba, Stan miał wrażenie, że ich sylwetki wydają się w tajemniczy sposób grubsze. Za tydzień czy dwa pąki otworzą się z trzaskiem i pojawią się delikatne zielone liście.

Dziś wieczorem powietrze pachnie zielenią, pomyślał i uśmiechnął się pod nosem. Szedł szybko, bo za godzinę czy dwie będzie już całkiem ciemno. Obserwacje prowadził bardzo skrupulatnie. Musiał być absolutnie pewny tego, co widział; jeśliby oświetlenie nie było należyte, nie włączyłby kardynała do swojej kolekcji, nawet gdyby w głębi duszy wiedział, że naprawdę go zobaczył. Przeciął na ukos Memorial Park. Po lewej stronie miał biały potężny kształt stacji pomp. Prawie na nią nie spojrzał. Stacja bynajmniej go nie interesowała.

Memorial Park był nierównym prostokątem ciągnącym się w dół zbocza wzgórza. Trawę (białą i zeschniętą o tej porze roku) latem starannie przycinano; znajdowały się tu też

okrągłe kwietniki. Nie stworzono tu jednak placu zabaw dla dzieci – park ten uważano za miejsce spacerów dorosłych. Na jego drugim końcu pochyłość stawała się łagodniejsza, by następnie opaść gwałtownie w okolicy Kansas Street i rozciągającego się za nią Barrens. Brodzik, o którym wspominał ojciec, znajdował się na tym płaskim terenie. Był to płytki kamienny półmisek, osadzony na niskim grubym kamiennym piedestale – zdecydowanie za duży, jeśli się weźmie pod uwagę, jaką skromniutką funkcję pełnił. Ojciec powiedział mu, że zamierzali ponownie postawić w tym miejscu pomnik żołnierza.

– Wolę raczej, żeby był tu brodzik, tato – rzekł Stan. Pan Uris przeczesał palcami włosy.

– Ja też, synku – stwierdził. – Więcej brodzików, a mniej kul, oto moje zdanie.

Na szczycie piedestału w kamieniu wyryto motto. Stanley przeczytał je, ale nic nie zrozumiał – jedyne łacińskie zwroty, jakie znał, to nazwy ptaków w książce.

Apparebat eidolon senex
– Pliniusz

brzmiał napis.

Stan usiadł na ławce, wyjął z worka atlas ptaków i jeszcze raz otworzył go na stronie ze zdjęciem kardynała. Przyglądał mu się z uwagą, zapoznając się z cechami charakterystycznymi ptaka. Samczyka kardynała raczej trudno byłoby pomylić z jakimś innym – był czerwony jak wóz straży pożarnej, choć niespecjalnie duży – ale Stan był wyjątkowo skrupulatny i pedantyczny, co pomagało mu się skupić i wzmacniało w nim poczucie rzeczywistości i przynależności do świata. Dlatego też przyglądał się zdjęciu przez dobre trzy minuty, po czym zamknął książkę (wilgoć w powietrzu sprawiła, że rogi stron zaczęły odwijać się ku górze) i włożył ją do worka. Wyjął lornetkę z futerału i przyłożył do oczu. Nie musiał ustawiać ostrości, bo ostatnim razem, kiedy przez nią patrzył, siedział na tej samej ławce i patrzył na ten sam brodzik.

Wymagający chłopiec. Cierpliwy chłopiec. Nie był niespokojnym duchem. Nie wstawał i nie chodził w kółko ani nie rozglądał się wokoło. Siedział nieruchomo, wpatrując się w brodzik, a mgła zbierała się grubymi kroplami na jego żółtej nieprzemakalnej kurtce.

Nie czuł znudzenia. Patrzył na brodzik, który najwyraźniej był miejscem ptasich spotkań towarzyskich. Cztery brązowe wróble przysiadły

tam na chwilę, zanurzając dziobki w wodzie i spryskując kropelkami wody skrzydła i plecy. Potem zjawiła się sójka, przedzierając się między nimi jak gliniarz przebijający się przez tłum gapiów. W lornetce Stana sójka wydawała się wielka jak dom, a jej krótkie odgłosy były absurdalnie cienkie (po dłuższym patrzeniu przez lornetkę powiększone ptaki nie wydawały się dziwne, ale wręcz normalne). Wróble odleciały. Sójka, która teraz sprawowała władzę nad tym miejscem, spacerowała, kąpała się, aż wreszcie znudzona odleciała. Wróble powróciły i ponownie wzbiły się w powietrze, kiedy zjawiła się para drozdów zamierzająca najwyraźniej wziąć kąpiel w brodziku i być może przedyskutować kilka ważnych spraw. Ojciec Stana skwitował śmiechem jego nieśmiałą sugestię, że być może ptaki rozmawiają z sobą. Dołączył do nich młody ptak. Był czerwony. Stan pospiesznie poprawił ostrość lornetki. Czy to był…? Nie. To zięba, a nie kardynał, na którego polował. Przyłączył się do niej dzięcioł, który często tu zalatywał. Stan rozpoznał go po postrzępionym prawym skrzydle. Jak zawsze, zastanawiał się, co mogło mu się przytrafić – najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem było bliskie spotkanie z jakimś kotem. Inne ptaki

przylatywały i odlatywały. Stan zobaczył szpaka (nigdy za nimi nie przepadał) i jeszcze jednego dzięcioła. Wreszcie został nagrodzony widokiem nowego ptaka – kosa, który przez szkła lornetki wyglądał marnie i głupio. Stan opuścił lornetkę na piersi i zaczął wertować książkę w nadziei, że kos nie odleci, zanim on zdoła potwierdzić obserwację. Światło stawało się coraz słabsze.

Było mu zimno i wilgotno. Sprawdził rysunek w książce, po czym ponownie spojrzał przez lornetkę. Kos wciąż tam był, stał jak głupek na kamiennym obramowaniu brodziku. Tak. To był z pewnością kos. Bez żadnych znaków szczególnych i z uwagi na szybko zapadający zmierzch nie mógł mieć stuprocentowej pewności, ale może wystarczy mu czasu i światła do dokonania ponownego sprawdzenia. Spojrzał na rysunek w książce, przyglądając mu się z wytężoną uwagą, a potem raz jeszcze uniósł lornetkę do oczu. Ledwo to zrobił, gdy rozległ się głośny, głuchy odgłos uderzenia, a kos zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze.

Stan próbował podążyć za nim wzrokiem, choć w głębi duszy wiedział, że szanse na ponowne uchwycenie go w szkłach lornetki będą raczej nikłe. Zgubił go i syknął przez zęby zawiedziony. No cóż, skoro pojawił się tu raz, na

pewno jeszcze kiedyś wróci. A poza tym to był tylko kos (prawdopodobnie kos), a nie orzeł przedni czy olbrzymia alka.

Stan włożył lornetkę do futerału i schował książkę do worka. Potem wstał i rozejrzał się wokoło, by sprawdzić, co było źródłem tego głuchego odgłosu. To nie brzmiało jak wystrzał z broni palnej czy z rury wydechowej jakiegoś samochodu. Bardziej jak otwarcie wrót w horrorze o zamkach i mrocznych lochach… z dodatkowym efektem echa dopełniającym wrażenia tajemniczości.

Nic nie zobaczył.

Wstał i ruszył w dół zbocza w stronę Kansas Street. Stację pomp miał teraz po lewej – kredowobiały cylindryczny budynek wyglądający zaiste upiornie pośród płożącej się przy ziemi mgły i nadciągającej z wolna ciemności. Wyglądało, jakby… płynął w powietrzu. To była dziwna myśl. Przypuszczał, że pochodziła z jego mózgu, no bo niby skąd? Ale jakimś sposobem ta myśl nie wydawała mu się jego.

Przyjrzał się uważniej stacji, a potem, nawet o tym nie myśląc, skręcił w jej stronę. Okna, w równych odstępach, widoczne na ścianie budynku, biegły spiralnie ku górze. Stanowi

widok ten przywiódł na myśl reklamę salonu fryzjerskiego pana Aurlette'a, do którego chodził razem z ojcem. Ponad każdym z tych ciemnych okien, jak brwi, zwieszały się kościstobiałe wywieszki. Ciekawe, jak oni to zrobili, pomyślał Stan ze sporym zainteresowaniem, choć nie takim, jakie mógłby w tej sytuacji czuć Ben Hanscom – i właśnie wtedy zobaczył o wiele większą ciemną połać u dołu budynku stacji, widoczną bardzo wyraźnie na tle jej okrągłej podstawy. Zatrzymał się, zasępił i pomyślał, że to zabawne miejsce jak na okno: absolutnie niesymetryczne względem pozostałych. Po chwili zdał sobie sprawę, że to nie było okno, tylko drzwi.

Ten hałas, który usłyszałem, pomyślał, to był dźwięk otwieranych drzwi, najwyraźniej wiatr je otworzył.

Rozejrzał się wokoło. Zapadał zmierzch. Białe niebo przybrało kolor matowej purpury, mgiełka mżawki zmieniła się w nieco gęściejszy deszcz i zapowiadało się, że będzie padało całą noc.

Zmierzch, mgła i absolutnie żadnego wiatru.

A więc… jeśli to nie wiatr, musiał to zrobić ktoś inny. Ale kto? I dlaczego? Poza tym te drzwi wydawały się dość ciężkie i aby tak trzasnęły,

potrzeba było nie lada siły. To musiała być naprawdę wielka osoba… a może…

Stan zaciekawiony zbliżył się do drzwi. Przyjrzał się im z uwagą. Drzwi były większe, niż początkowo przypuszczał – wysokie na sześć stóp i grube na dwie, zbite z desek połączonych mosiężnymi pasami. Stan przymknął je. Pomimo swoich rozmiarów poruszały się gładko na zawiasach i to całkiem bezszelestnie, bez choćby jednego skrzypnięcia. Podszedł bliżej, żeby sprawdzić, czy gwałtowne otwarcie drzwi wpłynęło w jakiś sposób na wywieszki nad oknami. Nie – żadnego znaku. „Upiorne miejsce”, powie potem Richie.

No cóż – a może to, co słyszałeś, to nie był trzask otwieranych drzwi, tylko odrzutowiec przelatujący akurat nad Derry. Albo całkiem coś innego. Drzwi były zapewne otwarte przez cały…

Stan uderzył w coś stopą. Spuścił wzrok i zobaczył kłódkę, a właściwie jej resztki. Została rozerwana. Prawdę mówiąc, wyglądała tak, jakby ktoś włożył do dziurki sporą ilość prochu strzelniczego, a potem przyłożył tam zapaloną zapałkę. Metalowe płatki kwiatu, zabójczo ostre i twarde, rozchylały się na wszystkie strony z rozerwanego pąka kłódki. Stan widział jej wnętrze i znajdujące się tam części zamka. Gruba

zasuwa zwisała ukośnie na pojedynczym sworzniu, który został w trzech czwartych wyrwany z drewna. Pozostałe trzy sworznie zasuwy leżały na wilgotnej trawie. Były powyginane jak precle.

Zasępiony Stan ponownie otworzył drzwi i zajrzał do środka. Wąskie schody prowadziły zakolem ku górze i znikały z pola widzenia. Zewnętrzna ściana schodów była zrobiona z gołego drewna wspieranego grubymi belkami, które nie tyle były zbite gwoździami, ile po prostu zachodziły jedna na drugą. Niektóre z tych belek wydawały się Stanowi grubsze niż jego ramię. Wewnętrzna ściana była stalowa, połączona olbrzymimi nitami o główkach przypominających pęcherze.

– Jest tam kto?! – zawołał Stan.

Brak odpowiedzi. Zawahał się, po czym wszedł do środka, by móc się lepiej przyjrzeć wąskiej gardzieli schodów. Nic. Tu wewnątrz było naprawdę strasznie. Miasto Strachu – tak na pewno określiłby to Richie. Odwrócił się, aby wyjść, i nagle usłyszał muzykę. Była słaba, ale słyszalna. I łatwa do rozpoznania. Dźwięk katarynki.

Przechylił głowę, nasłuchując, a wyraz zatroskania na jego twarzy zelżał nieznacznie.

Muzyka katarynek, muzyka jarmarku i wesołych miasteczek. Przywodziła na myśl wspomnienia, które były równie cudowne jak ulotne – prażonej kukurydzy, waty cukrowej, smażonych na gorącym tłuszczu pączków i szczęku huśtawek. Teraz grymas zatroskania zmienił się w szeroki uśmiech.

Stan wszedł na pierwszy stopień schodów, potem na drugi – przez cały czas przekrzywiając głowę na bok. Zatrzymał się ponownie. Zupełnie jakby myśli o wesołym miasteczku mogły tworzyć rzeczy odbierane zmysłami. Czuł zapach popcornu, waty cukrowej, pączków… i nie tylko! Pieprzu, chili dogów, papierosów i trocin. Czuł ostry zapach białego octu, którego możesz, jeśli chcesz, dodać do frytek, oraz musztardy, jasnożółtej i pikantnej, którą rozsmarowywałeś po hot dogu drewnianą łopatką. To było niesamowite… niewiarygodne… nieodparte.

Zrobił jeszcze jeden krok w górę i właśnie wtedy usłyszał szuranie. Kroki. Ktoś schodził na dół. Ponownie przekrzywił głowę. Dźwięk katarynki nagle przybrał na sile, jakby miał zamaskować odgłos kroków. Rozpoznał melodię: to było *Camptown Races*. Kroki – tak, ale czy nie przesłyszał się, jeżeli chodziło o to „szuranie”?

Słyszał coś, co przypominało pluskanie. Zupełnie jakby ktoś szedł w kaloszach pełnych wody.

Panie z Camptown piosnkę tę śpiewają dooda-dooda
(plusk, plusk)
Tory w Camptown dziewięć mil długości mają dooda-dooda
Wyścig trwa (chlap, chlap) tam na okrągło
Cały dzień
i całą noc…

Na ścianie ponad nim pojawiły się cienie. Strach ścisnął Stana za gardło, to było jak przełknięcie czegoś gorącego i obrzydliwego – paskudnego lekarstwa, którego smak powoduje, że całe ciało przechodzi dreszcz. Sprawiły to cienie.

Widział je tylko przez chwilę. W tym krótkim czasie zdołał zauważyć, że były to dwa cienie, bardzo przygarbione i jakby nienaturalne. Nie zdążył wychwycić nic więcej, bo światło zaczęło gwałtownie przygasać, zdecydowanie zbyt gwałtownie, a kiedy się odwrócił, ciężkie drzwi stacji zatrzasnęły się z głośnym hukiem. Stanley zbiegł po schodach, jakimś sposobem pokonał przeszło dwanaście stopni, choć nie pamiętał,

żeby wchodził wyżej niż na dwa czy trzy. Był przerażony. W pomieszczeniu było zbyt ciemno, aby mógł cokolwiek zobaczyć. Słyszał własny oddech i dochodzące z góry dźwięki katarynki. Co tam na górze w ciemnościach może robić katarynka? Kto na niej gra?

I wtedy usłyszał te chlupoczące kroki. Zbliżały się. Coraz bardziej i bardziej. Uderzył w drzwi wyprostowanymi rękoma, i to tak mocno, że fala bólu przeszyła całe jego dłonie i przeniknęła przez nadgarstki aż do łokci. Wcześniej tak łatwo można je było otworzyć… a teraz w ogóle nie sposób ich poruszyć.

Nie… to nie tak. W pierwszej chwili udało mu się je pchnąć na tyle, że pomiędzy framugą a drzwiami ukazał się wąziutki pionowy pasek szarego światła. Ale zaraz potem zniknął. Tak jakby ktoś stał po drugiej stronie, trzymając drzwi i nie pozwalając ich otworzyć.

Zdyszany, przerażony Stan naparł na drzwi z całej siły. Czuł, jak mosiężne okucia wpijają mu się w dłonie. Nic. Okręcił się na pięcie, przywierając do drzwi plecami i rozstawionymi szeroko rękoma. Czuł, jak pot – tłusty i ciepły – spływa mu strużkami po czole. Muzyka katarynki stała się jeszcze głośniejsza. Spływała

po wąskich, krętych schodach. Teraz nie było w niej nic radosnego.

Zmieniła się diametralnie. Stała się żałobnym lamentem. Wyła jak wiatr i woda, a Stan oczyma wyobraźni zobaczył opuszczony lunapark, chłostany jesiennymi wichurami i deszczem, kałuże wokół karuzeli, trzepoczące proporczyki, namioty zrywane wiatrem i unoszone w dal jak płócienne nietoperze. Zobaczył puste zjeżdżalnie rysujące się na tle nieba jak platformy szafotów. Słyszał jęk wichru pośród zapomnianych konstrukcji. I wtedy zrozumiał, że wraz z nim w tym miejscu była śmierć, która sunęła ku niemu, wyłaniając się z ciemności, a on nie mógł przed nią uciec.

Nagle po schodach zaczęły spływać strumienie wody. Teraz nie czuł już zapachów prażonej kukurydzy, pączków i waty cukrowej, tylko woń wilgoci i zgnilizny – smród zdechłego wieprza rozkładającego się w jakimś mrocznym miejscu i rozsadzanego przez gnieżdżące się w jego wnętrzu robaki.

– Kto tam?! – zawołał piskliwym, drżącym głosem. Odpowiedział mu cichy, bulgoczący głos, który zdawał się wypływać z ust pełnych błota i starej wody.

– Umarli, Stanley. My nie żyjemy. Utopiliśmy się, ale teraz pływamy… i ty też będziesz pływał.

Czuł, jak woda obmywa mu stopy. Przywarł plecami do drzwi, śmiertelnie przerażony. Byli już bardzo blisko. Czuł to. Czuł ich woń. Coś wbiło mu się w biodro, kiedy raz po raz uderzał w drzwi w bezmyślnych, bezskutecznych próbach wydostania się z pułapki.

– My umarliśmy, ale czasem lubimy sobie trochę pobłaznować, Stanley. Bo my lubimy występy klownów. Czasami…

To był jego atlas ptaków. Stanley sięgnął po niego bez namysłu. Książka ugrzęzła w worku i nie chciała wyjść. Jeden z nich był teraz na dole, Stan słyszał, jak szurając nogami po kamiennej posadzce sunął wolno w jego stronę. Szarpnął raz jeszcze, tym razem mocniej, i atlas ptaków znalazł się w jego dłoni. Nie myśląc o tym, co robi, wystawił książkę przed siebie jak maleńką tarczę; wiedział tylko, że postępuje właściwie.

– Drozdy! – zawołał w ciemność i przez chwilę zbliżająca się ku niemu istota (była o jakieś pięć stóp od niego) wyraźnie się zawahała. Był nieomal pewny, że prawie się zatrzymała. Poza tym, czy nie wydawało mu się, że drzwi, do których przywarł plecami, jakby trochę się uchyliły? Nie przywierał już do nich.

Wyprostował się i wpatrywał się butnie w ciemność. Kiedy to się stało? Nie było czasu, aby się nad tym zastanawiać. Stan oblizał wyschnięte wargi i zaczął wykrzykiwać: – Drozdy! Czaple siwe! Nury! Zięby! Sójki! Dzięcioły! Sikorki! Strzyżyki! Peli…

Drzwi otworzyły się z jękiem protestu, a Stan natychmiast zrobił potężny krok w panującą na zewnątrz mgłę. Upadł na zeschniętą trawę. Atlas ptaków trzymał w dłoniach, zgięty niemal na pół. Później tego wieczoru zobaczy na okładce książki wyraźne wgniecenia – ślady swoich palców – jakby miękką, a nie twardą oprawę. Nie starał się podnieść, tylko odpychał się piętami i sunął na plecach i pośladkach po wilgotnej trawie. Jego wargi rozchyliły się, ukazując zaciśnięte z całej siły zęby. W półotwartych drzwiach stacji, na granicy cienia, dostrzegł wyraźnie dwie pary nóg. Widział dżinsy, które były tak przegniłe, że wydawały się fioletowoczarne. Wzdłuż szwów widniały pomarańczowe rzędy nici, a z nogawek ściekała woda i tworzyła kałuże wokół zgniłych i dziurawych butów, z których wystawały napuchnięte jak balony fioletowe palce. Ręce istot zwisały luźno przy bokach, ale były zbyt długie i zbyt woskowe – prawie białe. Z każdego z palców zwieszał się mały pomarańczowy

pompon. Trzymając przed sobą atlas ptaków, z twarzą mokrą od mżawki, potu i łez, Stan szeptał monotonnie:

– Jastrzębie… grubodzioby… kolibry… albatrosy… kiwi…

Jedna z tych rąk odwróciła się, ukazując wnętrze dłoni, z którego woda zmyła wszystkie linie, tak że było teraz gładkie jak u sklepowego manekina. Jeden palec wyprostował się… a potem zgiął ponownie. Pompon podskoczył i znieruchomiał, podskoczył i znieruchomiał. To go przyzywało.

Stan Uris, który dwadzieścia siedem lat później umrze w wannie, podciąwszy sobie żyły, podniósł się na kolana, wstał, a potem rzucił do ucieczki. Przebiegł przez Kansas Street, nie oglądając się na boki, aby sprawdzić, czy akurat nic nie jedzie, i zatrzymał się dopiero na chodniku po drugiej stronie. Spojrzał za siebie. Z tego miejsca nie widział drzwi u podstawy stacji pomp. Dostrzegł tylko kształt stacji, grubego, choć nie pozbawionego wdzięku budynku wyłaniającego się z ciemności.

– Oni byli martwi – wyszeptał do siebie Stan. Był zszokowany. Obrócił się gwałtownie na pięcie i pognał do domu.

11

Suszarka się wyłączyła i Stan umilkł. Pozostała trójka patrzyła na niego jeszcze przez dłuższą chwilę. Jego skóra była niemal tak samo szara jak kwietniowy wieczór, o którym im opowiadał.

– Rany! – powiedział w końcu Ben. Wypuścił powietrze w urywanym, świszczącym westchnieniu.

– To prawda – rzucił cicho Stan. – Przysięgam na Boga, że tak było.

– Wierzę ci – wykrztusiła Beverly. – Po tym, co się stało u mnie w domu, gotowa jestem uwierzyć we wszystko. – Poderwała się gwałtownie, niemal przewracając przy tym krzesło, i podeszła do suszarki. Zaczęła pojedynczo wyjmować szmaty i składać je. Była odwrócona plecami, ale Ben podejrzewał, że płakała. Chciał do niej podejść, lecz brakowało mu odwagi.

– Musimy pogadać o tym z Billem – rzekł Eddie. – Będzie wiedział, co z tym zrobić.

– Zrobić? – zapytał Stan, odwracając się, aby na niego spojrzeć. – Co masz na myśli, mówiąc „zrobić”?

Eddie popatrzył na niego; był wyraźnie zakłopotany.

– No cóż…

– Ja nic nie chcę robić – oświadczył Stan. Patrzył na Eddiego, a wzrok miał tak przenikliwy i palący, że ten zaczął się skręcać na swoim krześle. – Chcę o tym zapomnieć. To jedyne, co chcę zrobić.

– To nie takie proste – powiedziała cicho Beverly, odwracając się. Ben miał rację. Gorące promienie słońca przechodzące przez brudne okna pralni oświetlały jasne linie łez na jej policzkach. – Nie chodzi tylko o nas. Słyszałam Ronnie Grogan. I tego małego chłopca… to chyba był chłopak Clementsów. Ten, który znikł, kiedy jeździł na rowerku.

– No i co z tego? – rzucił zaczepnie Stan.

– A jeżeli To znowu zabije? – spytała. – Jeśli zginą kolejne dzieci?

Jego oczy barwy rozpalonego brązu wpatrzone w szaroniebieskie oczy Beverly zawierały odpowiedź: „A jeśli nawet, to co z tego?”. Ale Beverly nie spuściła oczu ani nie odwróciła wzroku i w końcu to Stan musiał się odwrócić… być może dlatego, że ona nadal płakała, a może również dlatego, że niepokój czynił ją silniejszą.

– Eddie ma rację – powiedziała. – Powinniśmy pogadać z Billem. A potem może z szefem policji…

– Racja – rzekł Stan. Jeżeli chciał, aby jego głos brzmiał pogardliwie, to nie odniósł wymaganego skutku. Słychać w nim było jedynie potworne znużenie. – Martwe dzieci w stacji pomp. Krew, której oprócz dzieci nikt nie może zobaczyć. Klowni przechadzający się po kanale. Balony fruwające w powietrzu pod wiatr. Mumie. Trędowaci pod werandami. Szef Borton nieźle by się uśmiał… a potem odwiózłby nas do wariatkowa.

– Gdybyśmy wszyscy do niego poszli – powiedział Ben z zakłopotaniem. – Gdybyśmy poszli tam razem…

– Pewnie – rzucił Stan. – Jasne. Mów dalej, Haystack. Napisz książkę. – Wstał i podszedł do okna, trzymając ręce w kieszeniach. Wyglądał na rozwścieczonego, wyprowadzonego z równowagi i przestraszonego. Patrzył przez chwilę, a zesztywniałe ramiona wyraźnie się rysowały pod jego nieskazitelnie czystą koszulą. Nie odwracając się, powtórzył: – Napisz o tym przerażającą książkę!

– Nie – szepnął Ben. – To Bill będzie pisał książki.

Stan odwrócił się zaskoczony, a pozostali spojrzeli na niego. Na twarzy Bena Hanscoma pojawił się grymas zdziwienia, jakby nagle

i nieoczekiwanie sam wymierzył sobie policzek. Bev złożyła ostatnią szmatę.

– Ptaki – rzekł Eddie.

– Co? – spytali razem Beverly i Ben. Eddie patrzył na Stana.

– Wydostałeś się, wykrzykując do nich nazwy ptaków, tak?

– Być może – odezwał się Stan z wahaniem. – A może po prostu drzwi były zablokowane i w końcu jakoś się otworzyły?

– Same? – spytała Bev.

Stan wzruszył ramionami. To nie był zwyczajny gest – w ten sposób Stan dawał do zrozumienia, że nie wie, co się stało i dlaczego…

– Myślę, że to sprawiły te nazwy ptaków, które do nich wykrzykiwałeś – powiedział Eddie. – Ale dlaczego? W filmach zwykle posługują się krzyżem…

– …albo odmawiają Modlitwę Pańską – dorzucił Ben.

– …lub Psalm dwudziesty trzeci – wtrąciła Beverly.

– Nie znam Psalmu dwudziestego trzeciego – rzekł z wściekłością Stan. – Ale nie sądzę, aby krzyż mi cokolwiek pomógł. Jestem żydem, pamiętacie?

Odwrócili wzrok z zakłopotaniem, które było wynikiem jego przyjścia na świat w takiej, a nie innej rodzinie, bądź też dlatego, że o tym zapomnieli.

– Ptaki! – powtórzył Eddie. – Jezu! – A potem ponownie posłał Stanowi spojrzenie pełne wyrzutu. Stan jednak wpatrywał się w tym momencie w biuro Bangor Hydro po drugiej stronie ulicy.

– Bill będzie wiedział, co robić – rzucił nagle Ben, jakby w końcu zgodził się z Bev i Eddiem. – Założę się o wszystko. O całą furę pieniędzy.

– Posłuchajcie – rzekł Stan, przyglądając się im z powagą. – W porządku. Jeżeli chcecie, możecie porozmawiać o tym z Billem. Ale ja tu pasuję. Możecie mnie nazwać tchórzem czy strachajłą, nie obchodzi mnie to. Nie jestem tchórzem. W każdym razie nie sądzę, abym był. Tyle że to, co widziałem w stacji…

– Gdybyś się nie bał, musiałbyś być niespełna rozumu, Stan – powiedziała łagodnie Beverly.

– Tak. Bałem się, ale nie o to chodzi – rzucił ostro Stan. – Nie sposób tego wyrazić. Nie rozumiecie, że…

Patrzyli na niego wyczekująco, z zakłopotaniem i nadzieją, ale Stan nie potrafił im wyjaśnić tego, co czuł. Zabrakło mu słów.

Ściskało go w gardle, a on nie umiał sobie z tym poradzić. Pomimo całej swej skrupulatności, pedantyczności i pewności siebie nadal był tylko jedenastolatkiem, który dopiero co skończył czwartą klasę.

Chciał im powiedzieć, że były gorsze rzeczy niż przerażenie. Mogłeś się bać, że zostaniesz potrącony przez samochód albo zachorujesz na polio, zanim cię przed tym zaszczepią. Mogłeś się bać tego szaleńca Chruszczowa lub że się utopisz, skacząc „na główkę" do wody. Mogłeś bać się tego wszystkiego i mimo to nadal funkcjonować.

Ale te rzeczy w stacji pomp…

Chciał im powiedzieć, że ci martwi chłopcy, którzy schodząc, powłóczyli nogami po wąskich, krętych schodach stacji, nie tylko go przerazili, ale przede wszystkim mu urągali. Tak, to było najwłaściwsze słowo, i gdyby go użył, to tamci – mimo że lubili i akceptowali go jak swego – skwitowaliby to wybuchem śmiechu. Pomimo wszystko te rzeczy nie były takie, jakie być powinny. Burzyły poczucie ładu każdego normalnego człowieka, urągały głównej idei, że to Bóg wprawił w ruch kulę ziemską i że to za jego sprawą zmierzch trwa na równiku zaledwie dwanaście minut, a tam, gdzie Eskimosi budują swoje igloo, ciągnie się przez wiele długich

godzin; przeczyły samemu pojęciu „stworzenia” i późniejszej wypowiedzi. „W porządku, a teraz, skoro już wiecie, jak kręci się ten świat, szukajcie odpowiedzi na następne pytania. Bo nawet światło ma swoją masę, a kiedy gwizd syreny pociągu zaczyna słabnąć, to mamy do czynienia z efektem Dopplera, gdy zaś samolot przełamuje barierę dźwięku i towarzyszy temu huk, nie są to brawa bite przez grono aniołów ani wycie rozwścieczonych demonów, tylko odgłos powietrza powracającego na swoje miejsce. Wprawiłem ten świat w ruch, a potem usiadłem sobie z boku, aby popatrzeć, co będzie dalej. Nie mam nic więcej do powiedzenia, z wyjątkiem tego, że dwa i dwa to cztery, że światła na niebie to gwiazdy i że krew to krew; dorośli widzą ją tak samo jak dzieci, a martwe dzieci pozostają martwe”.

Myślę, że ze strachem da się żyć, powiedziałby Stan, gdyby mógł. Może nie wiecznie, ale na pewno przez długi czas. Natomiast nie da się wytrzymać z urąganiem, bo to sprawia, że w twoich myślach zaczynają pojawiać się szczeliny; patrzysz w nie i widzisz, że tam na dole znajdują się jakieś żywe istoty. Te istoty mają małe żółte ślepia, które nie mrugają, i tam na dole w mroku panuje okropny smród, a po

chwili dłuższego zastanowienia dochodzisz do wniosku, że tam na dole znajduje się cały wszechświat – wszechświat, gdzie na niebie wisi kwadratowy księżyc, gwiazdy śmieją się lodowato zimnymi głosami, a niektóre z trójkątów mają cztery, pięć, a nawet więcej boków. W tym wszechświecie mogą rosnąć śpiewające róże. Wszystkie drogi prowadzą wszędzie, powiedziałby, gdyby tylko mógł. W kościele słyszycie opowieści o tym, jak Jezus chodził po wodzie, ale powiem wam, gdybym zobaczył na własne oczy faceta robiącego to samo, zacząłbym wrzeszczeć wniebogłosy. Bo to dla mnie nie byłoby cudem. To byłoby raczej urąganiem.

Ponieważ nie zdołał powiedzieć żadnej z tych rzeczy, powtórzył po prostu:

– Bycie przerażonym to nie jest żaden problem. Nie o to mi chodzi. Nie chcę się mieszać w tę historię, bo nie mam ochoty wylądować w pokoju bez klamek.

– Ale chyba mógłbyś pójść z nami do Billa, aby z nim porozmawiać? – spytała Bev. – Posłuchać tego, co powie.

– Jasne – odparł Stan, a potem wybuchnął śmiechem. – Może powinienem zabrać swój atlas ptaków?

Kiedy to powiedział, wszyscy wybuchnęli śmiechem i atmosfera nieznacznie się rozluźniła.

12

Beverly zostawiła ich przed wejściem do pralni i sama odniosła szmaty do domu. Mieszkanie było nadal puste. Wrzuciła szmaty pod zlew w kuchni i zamknęła szafkę. Wstała i spojrzała w stronę łazienki.

Nie pójdę tam, pomyślała. Pooglądam telewizję. Zaraz zacznie się *Bandstand*.

Poszła więc do pokoju i włączyła telewizor. Jednak wyłączyła go już pięć minut później, kiedy na ekranie Dick Clark pokazywał, ile tłuszczu można zdjąć z twarzy przeciętnego nastolatka za pomocą jednego strideksa. („Jeżeli myślicie – rzekł Dick – że wystarczy wam tylko woda i mydło – tu podniósł zabrudzonego strideksa do kamery, żeby każdy nastolatek mógł się mu dokładnie przyjrzeć – to spójrzcie na to”).

Podeszła do szafki kuchennej nad zlewem, gdzie ojciec przechowywał narzędzia. Znajdowała się pośród nich kieszonkowa taśma miernicza. Wzięła ją swoją skostniałą ręką i poszła do łazienki. Wnętrze pomieszczenia było lśniące, czyste i panowała niemal całkowita cisza. Gdzieś z oddali dobiegało stłumione wołanie pani

Doyon, nakazującej swojemu synowi Jimowi, aby już, zaraz, natychmiast zszedł z ulicy na chodnik.

Podeszła do umywalki i spojrzała w mroczną czeluść otworu odpływowego. Stała tam przez chwilę, z nogami sztywnymi i zimnymi jak marmur, sutkami tak twardymi i ostrymi, że nieomal można było nimi ciąć papier, i spierzchniętymi ustami. Czekała na głosy. Bez skutku. Wzdrygnęła się i zaczęła wsuwać taśmę w głąb otworu. Wchodziła gładko niczym długie ostrze do gardła jarmarcznego połykacza noży. Sześć cali, osiem, dziesięć… Stop. Beverly podejrzewała, że taśma dotarła do kolanka pod umywalką. Zaczęła obracać ją, jednocześnie delikatnie naciskając i w końcu żółty metaliczny pasek znów zaczął posuwać się do przodu. Szesnaście cali… dwie stopy… trzy…

Patrzyła, jak żółta taśma wysuwa się z chromowanego metalowego pudełka, z którego boków poobłaziła czarna farba. Oczyma duszy widziała, jak wślizguje się w czarną czeluść rury, zdrapując z niej brud i płatki rdzy. Tam na dole, gdzie nigdy nie świeci słońce i panuje wieczna noc – pomyślała.

Wyobraziła sobie wstęgę taśmy z małą stalową końcówką nie większą niż paznokieć wsuwającą się coraz dalej i dalej w ciemność,

a jakiś głos w głębi jej mózgu krzyczał: Co ty robisz?! Nie ignorowała tego głosu… ale była bezradna. Nic nie mogła zrobić. Zobaczyła koniec taśmy sunący teraz prosto jak strzała i wsuwający się do piwnicy. Zobaczyła, jak uderza w ścianę rury… i w tej samej chwili taśma znów zaczęła się zwijać.

Ponownie poruszyła nią gwałtownie w jedną i w drugą stronę, a cienki, brzęczący metal wydał przy tym słaby, dziwny dźwięk, przypominający ten, jaki zwykle towarzyszy wyginaniu piły. Widziała czubek taśmy ocierający się o dno szerszej rury, której wnętrze było być może wyłożone ceramicznymi kafelkami. Widziała, jak się zgina… a potem znów mogła ją usunąć. Sześć stóp… siedem… dziewięć…

I nagle taśma sama zaczęła wysuwać się z pudełka, jakby ktoś znajdujący się wewnątrz rury pociągnął ją z całej siły. Nie tylko ją ciągnął. Wydawało się, jakby chwycił za koniec taśmy i zaczął z nią uciekać. Patrzyła na wysuwającą się żółtą metalową wstęgę z rozszerzonymi oczyma i ustami rozdziawionymi z przerażenia. O tak, była przerażona, ale bynajmniej nie zdziwiona. Czyż się tego nie spodziewała? Przecież w głębi duszy wiedziała, że coś się stanie.

W końcu taśma wyciągnęła się do końca. Osiemnaście stóp – równe sześć jardów. Z głębi otworu dobiegł stłumiony chichot, a po nim cichy szept, pełen wyrzutu:

– Beverly, Beverly… Nie możesz z nami walczyć… Zginiesz, jeśli spróbujesz… Jeśli spróbujesz, zginiesz… zginiesz, jeśli spróbujesz… Beverly… Beverly… Beverly… ly… ly… ly…

W mechanizmie taśmy coś szczęknęło i nagle żółta wstęga zaczęła wsuwać się z powrotem do pudełka. Cyfry i kreski zmieniły się w jedną szarą plamę. Pod koniec ostatnie pięć czy sześć stóp taśmy zmieniło kolor z żółtego na ciemnoczerwony i ociekało krwią. Beverly krzyknęła i upuściła pudełko na podłogę, jakby taśma zmieniła się nagle w żywego węża.

Świeża krew zbryzgała czystą białą porcelanę umywalki i spłynęła w mrok otworu odpływowego. Bev pochyliła się, pochlipując cichutko – na jej piersi ponownie spoczął niewidzialny ciężar – i podniosła taśmę. Ujęła pudełko dwoma palcami, kciukiem i wskazującym, a potem zaniosła do kuchni. Kiedy szła, krew skapywała z taśmy na wyblakłe linoleum w korytarzu i w kuchni.

Dodała sobie odwagi myślą, co by powiedział – i zrobił – jej ojciec, gdyby się dowiedział, że

zabrudziła krwią jego taśmę mierniczą. Oczywiście i tak nie zobaczyłby tej krwi, ale myśl o tym zmusiła ją do działania. Wyjęła jedną z czystych szmat – wciąż jeszcze ciepłą od suszarki – i wróciła do łazienki. Zanim zabrała się do zmywania, zamknęła mroczne, patrzące oko umywalki, wpychając w nie twardą gumową zatyczkę. Krew była świeża i łatwo się zmyła. Wróciła po swoich śladach, ścierając z linoleum szkarłatne kropelki wielkości dziecięciocentówek, a potem wypłukała szmatę, wyżęła ją i odłożyła na bok.

Wzięła drugą szmatę i wyczyściła nią taśmę ojca. Krew była gęsta i lepka. W dwóch miejscach do metalu przylepiło się coś czarnego i gąbczastego. Choć taśma była zakrwawiona tylko na długości pięciu czy sześciu stóp, umyła i wytarła ją całą, usuwając dokładnie ślady rdzy i brudu. Później włożyła pudełko na miejsce do szafki nad zlewem i wyniosła dwie zużyte szmaty z mieszkania. Pani Doyon ponownie krzyczała na swego syna Jima. W to gorące późne popołudnie jej głos brzmiał czysto i dźwięcznie.

W ogródku na tyłach domu, gdzie królowały naga ziemia, chwasty i sznury na bieliznę, znajdował się stary zardzewiały piec. Beverly wrzuciła doń szmaty i usiadła na schodach

domu. Łzy pojawiły się nagle z zadziwiającą brutalną siłą i tym razem nie próbowała ich powstrzymywać.

Ułożyła łokcie na kolanach, ukryła twarz w dłoniach i płakała, podczas gdy pani Doyon wołała do Jima, aby zszedł z jezdni, a może chce zostać potrącony i zabity przez jakiś samochód?

DERRY:
Drugie interludium

Quaeque ipsa miserrima vidi,
Et quorum pars magna fui
Wergiliusz

Nie igraj z nieskończonością
Mean Streets

Wtorek 14 lutego 1985
Dzień Świętego Walentego

W zeszłym tygodniu zaginęło kolejnych dwoje dzieci. A już zacząłem się nieco uspokajać. Jednym z nich był szesnastolatek Dennis Torrio, drugim pięcioletnia dziewczynka, która bawiła się na tyłach swego domu przy West Broadway. Zrozpaczona matka znalazła plastikowy talerz, na którym dziecko zjeżdżało z górki, ale dziewczynka znikła bez śladu. Poprzedniego wieczoru padał śnieg – świeża warstwa wynosiła dobre cztery cale. Szef policji Rademacher powiedział, że nie odnalazł żadnych innych śladów prócz śladów dziewczynki. Myślę, że ma mnie dość. Chyba zaczynam działać mu na nerwy. To jednak nie spędzi mi snu z powiek. Mam o wiele poważniejsze problemy, nieprawdaż?

Spytałem go, czy mogę obejrzeć policyjne zdjęcia. Odmówił. Spytałem go, czy jej ślady prowadziły w stronę kanału bądź studzienki ściekowej. Nastała wówczas długa cisza. W końcu Rademacher powiedział:

– Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinieneś zobaczyć się z lekarzem, Hanlon. Z tym, co to leczy głowy. Dzieciak został porwany przez ojca. Nie czytujesz gazet?

– Czy chłopak Torriów też został porwany przez ojca? – spytałem.

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy.

– Daj temu spokój, Hanlon – powiedział. – I mnie też. – Odłożył słuchawkę.

Oczywiście, że czytuję gazety. Czyż nie rozkładam ich każdego dnia w czytelni biblioteki publicznej?

Ta mała, Laurie Ann Winterbarger, od czasu rozwodu rodziców przeprowadzonego wiosną osiemdziesiątego drugiego, znajdowała się pod opieką matki. Policja wychodzi z założenia, że Horst Winterbarger, który pracował jako konserwator maszyn gdzieś na Florydzie, przyjechał do Maine, aby porwać córkę. Rozwijając tę teorię, sugerują, że zaparkował samochód obok domu i zawołał córkę, która przybiegła do niego – stąd brak jakichkolwiek innych śladów prócz śladów stóp dziewczynki. Nabierają wody w usta, gdy mówi się, że dziecko nie widziało ojca, odkąd skończyło dwa latka. Rozwód państwa Winterbarger nabrał gorzkiego posmaku, kiedy matka dziecka oświadczyła, że

jej mąż co najmniej dwukrotnie napastował małą seksualnie. Nalegała przy tym, aby sąd odmówił Winterbargerowi wszelkich praw do widzeń, i sąd przychylił się do jej prośby pomimo ostrych protestów ze strony ojca. Winterbarger złożył protest i w efekcie został całkowicie odseparowany od córki, co rzecz jasna mogło stać się motywem podjęcia przez niego próby porwania. Owszem, taka ewentualność istnieje, ale należy wpierw zadać podstawowe pytanie: Czy mała Laurie Ann rozpoznałaby go po trzech latach i podbiegła do niego, kiedy ją zawołał? Rademacher twierdzi, że tak, chociaż gdy widziała ojca po raz ostatni, miała zaledwie dwa latka. Ja jestem innego zdania. Jej matka mówi, że Laurie Ann była nauczona, aby nie zbliżać się do nieznajomych ani z nimi nie rozmawiać. Lekcję tę większość dzieci z Derry poznaje bardzo wcześnie i uczy się jej wyjątkowo szybko. Rademacher mówi, że powiadomił policję z Florydy, aby podjęła poszukiwania Winterbargera, i na tym zakres jego obowiązków się skończył.

Ale chłopiec Torriów… to zupełnie inna sprawa. Miał wspaniały dom. Grał w futbol w Derry Tigers. Był prymusem. Latem 1984 roku zapisał się na kurs Szkoły Przetrwania i ukończył

go z wyróżnieniem. Nie miał styczności z narkotykami. Był po uszy zakochany w swojej dziewczynie. Miał wszystko, dla czego warto jest żyć. Wszystko, by zostać w Derry przynajmniej przez najbliższe parę lat. A mimo to zniknął.

Co się z nim stało? Czyżby nagle zatęsknił za włóczęgą? A może został potrącony przez samochód i pijany kierowca zakopał go gdzieś przy drodze? Lub, być może, jest nadal gdzieś tu, w Derry, po jego mrocznej stronie, dotrzymując towarzystwa dzieciakom, takim jak Betty Ripsom, Patrick Hockstetter, Eddie Corcoran? Czy to…

(*później*)

Znowu to robię. Krążę w kółko bez celu i trzęsę się ze strachu. Nerwy mam napięte jak postronki. Chce mi się wyć. Podrywam się gwałtownie, kiedy skrzypną metalowe schodki, po których wspinam się do wyższych półek. Boję się cieni. Zastanawiam się, jak bym zareagował, gdyby któregoś razu podczas układania książek na półkach spomiędzy dwóch rzędów woluminów wysunęła się nagle ręka – szukająca po omacku ręka… Dziś po południu znowu miałem olbrzymią ochotę, aby do nich zadzwonić. Któregoś razu wykręciłem nawet kierunkowy 404 – do Atlanty, a przede mną na stoliku leżał numer Stana Urisa. I wówczas,

trzymając słuchawkę przy uchu, zacząłem się zastanawiać, czy chciałem do nich zadzwonić, bo miałem pewność – stuprocentową pewność – czy też byłem przerażony do tego stopnia, że nie mogłem już dłużej znieść samotności i miałem ochotę pomówić z kimś, kto wie (albo dowie się), co jest powodem moich okropnych lęków.

Przez chwilę słyszałem głos Richiego: „Paczki? Paczki? Nie potrzebujemy żadnych śmierrrrdzących paczek, senhorrr!", mówiącego głosem Pancho Vanilli – i to tak wyraźnie, jakby stał tuż obok mnie… i odłożyłem słuchawkę. Bo jeżeli chcesz zobaczyć się z kimś tak bardzo, jak ja chciałem wówczas zobaczyć się z Richiem – albo którymkolwiek z nich – nie możesz dłużej ufać swoim motywacjom. Najlepiej umiemy okłamywać samych siebie. Co prawda, nadal nie mam stuprocentowej pewności. Jeżeli odnajdą jeszcze jedno ciało… zadzwonię… ale teraz muszę przyjąć, że nawet taki żałosny tłuścioch jak Rademacher może mieć rację.

Ona mogła pamiętać swego ojca – mogła widzieć jego zdjęcia. Poza tym, jak sądzę, dorosły obdarzony darem przekonywania mógł nakłonić dziewczynkę, aby podeszła do wozu, niezależnie od nauk, jakie zostały jej wpojone.

Nawiedza mnie jeszcze jeden koszmar. Rademacher sugeruje, że mogę być obłąkany. Nie wierzę w to, ale gdybym teraz do nich zadzwonił, mogliby uznać, że jestem niespełna rozumu. A nawet gorzej – mogłoby się okazać, że mnie nie pamiętają. Co wtedy?

Mike Hanlon? Kto? Nie pamiętam żadnego Mike'a Hanlona. Nie pamiętam. Jaka obietnica?

Mam wrażenie, że nadejdzie właściwy moment, aby do nich zadzwonić, a kiedy to nastąpi, będę wiedział, że to, co robię, jest ze wszech miar właściwe. Ich własne obwody zostaną wówczas odblokowane. To tak, jakby dwa olbrzymie koła powoli zaczynały się rozkręcać – i jednym z nich jestem ja i Derry, a drugim wszyscy moi przyjaciele z dzieciństwa. Kiedy nadejdzie pora, usłyszą głos Żółwia.

Dlatego będę czekał i wcześniej czy później zrobię to. Nie wydaje mi się, abym miał jeszcze jakiekolwiek wątpliwości co do tego, czy powinienem do nich zadzwonić, czy też nie.

Pytanie brzmi – kiedy mam to zrobić?

20 lutego 1985

Pożar w Black Spot.

– To będzie wspaniały przykład przeinaczania historii przez Izbę Handlową, Mike – powie stary

Albert Carson, cmokając przy tym zgryźliwie. – Spróbują i, kto wie, być może poniekąd im to się uda, ale starzy ludzie pamiętają, jak to było. Zawsze będą pamiętać. I jeżeli ich w odpowiedni sposób zapytasz, opowiedzą ci o wszystkim.

Są ludzie, którzy mieszkali w Derry przez dwadzieścia lat i nie wiedzą, że kiedyś w starej bazie lotnictwa Derry stały „specjalne” baraki dla niewygodnych. Znajdowały się gdzieś o dobre pół mili od reszty bazy, a w środku lutego, kiedy panował siarczysty mróz i hulał wiatr, te dodatkowe pół mili mogło cię nieźle wyziębić, sprawić, że nabawiłeś się odmrożeń, a nawet pozbawić cię życia. Pozostałe siedem baraków miało ogrzewanie na ropę, okna burzowe i izolację. Było w nich ciepło i przytulnie. „Specjalne” baraki, w których mieszkało dwudziestu siedmiu ludzi z kompanii E, grzało się przy opalanym drewnem piecu. O zapasy drewna stale toczyły się zażarte boje. Jedyną izolacją był wysoki wał sosnowych i świerkowych gałęzi ułożony na zewnątrz; któregoś razu jeden z ludzi zamontował w barakach burzowe okna, ale jeszcze tego samego dnia cała załoga została wezwana do Bangor do pomocy przy jakichś pracach w tamtejszej bazie, a kiedy powrócili wieczorem,

zmęczeni i przemarznięci, okazało się, że wszystkie okna zostały porozbijane. Co do jednego. Działo się to w 1930 roku, kiedy połowę sił powietrznych Stanów Zjednoczonych nadal stanowiły dwupłatowce. W Waszyngtonie Billy Mitchell został postawiony przed sąd wojenny i zdegradowany, bo chciał za wszelką cenę unowocześnić samoloty wchodzące w skład sił powietrznych i przy okazji nastąpił na odciski starszym rangą od siebie, którzy w związku z tym postanowili go wysadzić z siodła. I zrobili to. Wkrótce Billy Mitchell złożył rezygnację. W bazie Derry odbywało się niewiele lotów, pomimo że znajdowały się tu aż trzy pasy startowe (z których jeden był brukowany). Większość żołnierzy albo nie robiła nic, albo po prostu udawała, że coś robi.

Jednym z żołnierzy, który wrócił do Derry, kiedy skończył swoją służbę w 1937 roku, był mój tata. To on opowiedział mi tę historię.

– Któregoś dnia wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, na jakieś sześć miesięcy przed pożarem w Black Spot, wróciłem z trzydniowej przepustki, którą spędziliśmy w Bostonie. Kiedy przeszliśmy przez bramę, zobaczyliśmy tego „dziadka” stojącego tuż przy budce, opartego na łopacie i poprawiającego

spodnie, które mu się wpijały w tyłek. Był to sierżancina z jakiegoś zadupia na Południu. Miał marchewkoworude włosy. Zepsute zęby. Pryszcze. Ot, po prostu bezwłosa małpa, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Było ich w armii sporo w okresie kryzysu.

No i wracamy sobie, czterech rozbawionych facetów, we wspaniałych nastrojach i widzimy, że ten typ tylko szuka pretekstu, by się do nas przyczepić. Dlatego też oddaliśmy mu salut, jakby to był sam generał Pershing. Wydawało mi się, że go udobruchaliśmy, ale dzień był taki piękny, że po prostu zupełnie niechcący musiałem coś palnąć.

– Dzień dobry, sierżancie Wilson – powiedziałem.

– Czy wydałem wam zezwolenie, żebyście się do mnie odezwali? – pyta.

– Nie, sir – ja na to.

On się rozgląda, patrzy na pozostałych – to byli Trevor Dawson, Carl Roone i Henry Whitsun, który później zginie w pożarze – i mówi:

– Ten cwany czarnuch śmiało sobie poczyna. Jeżeli reszta z was, dupki żołędne, nie chce do niego dołączyć i przez całe popołudnie zapierdalać jak mały samochodzik, to jazda mi natychmiast do baraków, zgarnąć sprzęt i stawić

mi się raz-dwa na placu, ale to już. Zrozumiano? – Tamci lecą do baraków, a Wilson ryczy: – Biegusiem, skurwysyny! Niech zobaczę podeszwy waszych butów!

Przyspieszyli, a Wilson zabrał mnie do jednej z szop ze sprzętem i dał do ręki łopatę. Wyprowadził mnie na olbrzymie pole, które rozciągało się tam, gdzie dzisiaj znajduje się terminal Northeast Airlines Airbus. Patrzy na mnie, uśmiecha się pod nosem, wskazuje na ziemię i mówi:

– Widzisz tam tę dziurę, czarnuchu?

Nie było tam żadnej dziury, ale doszedłem do wniosku, że zrobię najlepiej, jeżeli przyznam mu rację, toteż spojrzałem we wskazane przez niego miejsce i powiedziałem, że oczywiście widzę tam wielką dziurę. A on wtedy walnął mnie pięścią w nos tak, że aż się przewróciłem i krew zachlapała przód mojej ostatniej czystej koszuli.

– Nie widzisz jej, bo jakiś w dupę jebany czarnuch ją zasypał! – wrzasnął, a na jego policzkach pojawiły się rumieńce. Ale jednocześnie się uśmiechał i wiedziałem, że świetnie się przy tym bawił. – Waszym zadaniem, panie Dzień Dobry, jest więc natychmiastowe odkopanie tej dziury. Biegusiem!

Zabrałem się zatem do dzieła i po jakichś dwóch godzinach z dziury wystawała tylko moja głowa. Ostatnie kilka stóp to była glina i kiedy skończyłem, stałem po kostki w wodzie, a buty przemokły mi dokumentnie.

– Wyłaźcie stamtąd, Hanlon – rzekł sierżant Wilson. Siedział na trawie i popalał papierosa. Nie zaproponował mi pomocy. Byłem ubłocony i zakurzony od stóp do głów, nie mówiąc już o plamach krwi na koszuli. Wstał i podszedł do mnie. Wskazał na dziurę.

– Co tam widzisz, czarnuchu? – zapytał.

– Pańską dziurę, sierżancie Wilson – ja na to.

– Cóż, zmieniłem zdanie. Nie chcę jej – mówi. – Nie chcę dziury wykopanej przez czarnucha. Zakopcie ją, szeregowy Hanlon.

Zrobiłem to, a kiedy skończyłem, zaszło już słońce i zrobiło się dosyć zimno. On podchodzi i patrzy, podczas gdy ja uklepuję ziemię trzymaną na płask łopatą.

– I co teraz widzisz, czarnuchu? – pyta.

– Kopczyk ziemi, sir – powiedziałem i przyłożył mi ponownie. Mój Boże, Mikey, miałem już ochotę złapać za łopatę i rozwalić mu ten jego pieprzony łeb. Ale gdybym to zrobił, przyszłoby mi do końca życia patrzeć na niebo zza kratek. Mimo to czasami zastanawiam się,

czy nie należało tego zrobić. Wtedy jednak zdołałem jakoś utrzymać nerwy na wodzy.

– To nie jest kopczyk ziemi, ty głupi, niedomyty brudasie! – wrzeszczy, pryskając na wszystkie strony śliną. – To moja dziura i lepiej wybierzcie z niej tę ziemię, ale już! Biegusiem!

Wykopałem więc znowu dziurę, a potem raz jeszcze ją zasypałem, wtedy on pyta mnie, czemu to zrobiłem, skoro właśnie miał ochotę do niej nasrać. I znów wykopałem dół, a on zrzuca spodnie, wypina ten swój pieprzony pryszczaty paskudny tyłek i robiąc swoje, pyta mnie z ironicznym uśmiechem:

– Jak się macie, Hanlon?

– Wyśmienicie, sir – ja na to i w tej samej chwili doszedłem do wniosku, że ten typ nie spasuje, póki nie stracę przytomności albo nie padnę trupem. Byłem wściekły.

– No cóż, postaram się to zmienić – mówi. – Na początek lepiej zakopcie ten dół, szeregowy Hanlon. Z życiem. Ruszacie się jak mucha w smole.

Ponownie zasypałem dół, a po sposobie, w jaki sierżant się uśmiechał, wiedziałem, że dopiero się rozgrzewa. I właśnie wtedy wpadają jego kumple i mówią, że jest jakaś nieoczekiwana inspekcja i że Wilson ma przejebane, bo nie było

go na kwaterach. Moi kumple mnie kryli i nie miałem żadnych problemów, ale kumple Wilsona – jeśli tak ich nazywał – woleli nie mieć żadnych przykrości z tego powodu. Wtedy dał mi spokój, a ja spodziewałem się, że następnego dnia zobaczę jego nazwisko na liście ukaranych, ale nie doczekałem się tego. Sierżant musiał powiedzieć porucznikowi, że przeoczył inspekcję, bo chciał dać nauczkę pewnemu przemądrzałemu czarnuchowi i pokazać mu, kto jest szefem wszystkich dołów na terenie bazy – zarówno tych wykopanych, jak i nieistniejących. Pewno zamiast ziemniaków do obierania dali mu jeszcze za to medal. I tak to się rzeczy miały w kompanii E w Derry.

Mój ojciec opowiadał mi o tym około 1958 roku. Musiał mieć wtedy jakieś pięćdziesiąt lat, a matka około czterdziestki. Spytałem go, czemu – skoro w Derry było tak, jak było – zdecydował się tu powrócić?

– Widzisz, Mikey, kiedy zaciągałem się do woja, miałem ledwie szesnaście lat – odparł. – Ukryłem swój prawdziwy wiek, aby się zaciągnąć. Ale to nie był mój pomysł. Matka mi kazała. Byłem wyrośnięty i chyba tylko dlatego ten numer przeszedł. Urodziłem się i dorastałem w Burgaw w Karolinie Północnej; mięso

widywaliśmy tam tylko po zasadzeniu tytoniu albo czasami zimą, gdy ojciec ustrzelił jakiegoś szopa czy oposa. Jedyną dobrą rzeczą, jaką pamiętam z Burgaw, był pasztet z oposa z ciasteczkami kukurydzianymi, które można było jeść do oporu. Dlatego też kiedy mój ojciec umarł po wypadku przy jednej z maszyn na farmie, mama doszła do wniosku, że zabiera Philly'ego Loubirda do Corinth, do swojej rodziny. Philly Loubird był najmłodszy z nas wszystkich.

– Masz na myśli wujka Phila? – spytałem, uśmiechając się na myśl, że ktoś mógł go nazywać Philly Loubird. Był prawnikiem w Tucson, w Arizonie, i od sześciu lat członkiem rady miejskiej. Kiedy byłem mały, wydawało mi się, że wujek Phil był bogaty. Przypuszczam, że jak na czarnego, tak właśnie było. Zarabiał rocznie dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Właśnie jego – odrzekł tata. – Ale w tamtych czasach był on dwunastoletnim chłopcem w marynarskiej czapce z papieru nasadzonej na głowę. Nosił zawsze połatane spodenki i chodził na bosaka. Był najmłodszy, ja byłem drugi od końca. Wszyscy pozostali odeszli; dwóch umarło, dwóch się ożeniło. Jeden siedział w mamrze. Miał

na imię Howard. Zawsze był czarną owcą w rodzinie.

– Pójdziesz do wojska – powiedziała mi twoja babka, Shirley. – Nie wiem, czy zaczną ci płacić od razu, czy też nie, ale jak tylko zaczną, będziesz mi co miesiąc wysyłał pieniądze. Odsyłam cię z ciężkim sercem, mój synu, ale jeżeli nie zaopiekujesz się mną i Phillym, to nie mam pojęcia, co się z nami stanie. – Dała mi mój akt urodzenia, żebym go pokazał oficerowi rekrutującemu, i zobaczyłem, że przerobiła w nim rok, tak by wyglądało, że mam osiemnaście lat.

No i poszedłem do gmachu sądu, gdzie mieściło się biuro rekrutacyjne, i zgłosiłem się na ochotnika. Oficer pokazał mi dokumenty i miejsce, w którym miałem postawić krzyżyk.

– Potrafię się podpisać – powiedziałem, a on się roześmiał, jakby wcale mi nie wierzył.

– No to jazda, podpisz się tu, czarnuszku – mówi.

– Chwileczkę – ja na to. – Mam parę pytań.

– Strzelaj. Mogę odpowiedzieć na każde twoje pytanie.

– Czy w wojsku dają mięso dwa razy w tygodniu? – zapytałem. – Moja mama mówi, że

tak, ale jej bardzo zależy na tym, żebym się zaciągnął.

– Nie. Nie dają mięsa dwa razy w tygodniu.

– Tak też myślałem – mówię, myśląc sobie, że facet, choć trep, jest przynajmniej uczciwy.

A on dodaje:

– Dają je co wieczór. – Wtedy zacząłem się zastanawiać, czemu uważałem go za uczciwego faceta.

– Chyba ma mnie pan za głupca – powiadam.

– Owszem, czarnuszku – on na to.

– No cóż, jeśli się zaciągnę, muszę pomóc mojej mamie i Philly'emu Loubirdowi. Mama mówi, że dają tu jakieś pieniądze.

– Tak – odpowiada oficer i stuka palcem w formularz żołdu. – I co jeszcze?

– Bo ja wiem – mówię. – A co ze szkoleniem na oficerów?

Kiedy to powiedziałem, odrzucił głowę do tyłu i śmiał się dopóty, dopóki nie zakrztusił się własną śliną. Potem powiada:

– Synu, w dniu, kiedy w armii pojawią się oficerowie czarnuchy, nastąpi powtórne przyjście Chrystusa – możesz mi wierzyć – jak amen w pacierzu. A teraz podpisuj albo nie. Zaczynam tracić cierpliwość. Poza tym zasmradzasz mi tu powietrze.

No i podpisałem. Patrzyłem, jak wypełniał formularz żołdu i dołączył go do mojej karty poboru. Zaprzysiągł mnie i stałem się żołnierzem. Myślałem, że mnie wyślą do New Jersey, gdzie wojsko zajmuje się stawianiem mostów, ale zamiast tego trafiłem do Derry w Maine… i kompanii E.

Westchnął i poruszył się na krześle – wielki mężczyzna o siwych kręconych włosach przylepionych do czaszki. Mieliśmy wtedy jedną z większych farm w Derry i prawdopodobnie pierwsze miejsce pod względem produkcji na południe od Bangor. Cała nasza trójka harowała bardzo ciężko, a w okresie zbiorów ojciec zatrudniał dodatkowych pracowników i jakoś się nam udawało.

– Wróciłem, bo zobaczyłem zarówno Południe, jak i Północ – powiedział – a nienawiść wszędzie była jednakowa. To nie sierżant Wilson utwierdził mnie w tym przekonaniu. Był zwyczajnym dupkiem z Georgii i gdziekolwiek się pojawiał, ściągał za sobą smrodek Południa. Nie musiał być południowcem z linii Masona-Dixona, aby nienawidzić czarnych. On po prostu nienawidził. Nie, to pożar w Black Spot mnie o tym przekonał. Wiesz, Mikey, w pewnym sensie…

Spojrzał na moją matkę, która robiła na drutach. Nie uniosła wzroku, ale wiedziałem, że słucha uważnie, i ojciec chyba też o tym wiedział. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– W pewnym sensie to pożar uczynił mnie mężczyzną. Zginęło w nim sześćdziesięciu ludzi, w tym osiemnastu z kompanii E. Po pożarze kompania praktycznie przestała istnieć. Henry Whitsun… Stork Anson… Alan Snopes… Everett McCaslin… Horton Sartoris… wszyscy moi przyjaciele… zginęli podczas pożaru. W ogniu, który nie został podłożony przez tego buca sierżanta Wilsona i jego kretyńskich kolesiów. Podłożył go odłam Legionu Białej Przyzwoitości Maine w Derry. Ojcowie kilkorga dzieci, z którymi chodzisz do szkoły, synu, byli podpalaczami z Black Spot. A nie mam tu na myśli biednych dzieciaczków.

– Czemu, tato? Czemu oni to zrobili?

– Po części to było po prostu Derry – odparł mój ojciec i się zasępił. Zapalił wolno fajkę i zgasił zapałkę. – Nie wiem, czemu to stało się tutaj. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale mimo wszystko to mnie nie dziwi.

Legion Białej Przyzwoitości był tutejszą wersją Ku-Klux-Klanu. Maszerowali w identycznych białych prześcieradłach, palili

takie same krzyże i pisali równie zjadliwe listy do czarnych, o których sądzili, że żyją zbyt dobrze jak na swój status społeczny albo mają pracę, którą powinien wykonywać biały. Bywało, że w kościołach, gdzie kaznodzieje mówili o równości praw dla czarnych, podkładali ładunki dynamitu. W większości książek mówi się głośno o Ku-Klux-Klanie i praktycznie nie wspomina o Legionie, toteż wielu ludzi nie ma pojęcia, że taka organizacja w ogóle istniała. Przyczyna tkwi chyba w tym, że większość tych prac została napisana przez Amerykanów z Północy, a oni uważają Legion Białej Przyzwoitości za hańbę dla ich ojczystego regionu.

Największą popularność Legion zdobył w wielkich miastach i ośrodkach przemysłowych. Nowy Jork, New Jersey, Detroit, Baltimore, Boston, Portsmouth, w każdym z tych miast mieli swoje kapituły. Próbowali zorganizować się w Maine, ale tylko w Derry udało im się osiągnąć sukces. O tak, przez pewien czas mieli całkiem niezłą kapitułę w Lewiston, tamci jednak nie przejmowali się czarnuchami gwałcącymi białe kobiety czy podejmującymi pracę, która należała do białych, bo po prostu w ogóle nie było tam czarnych.

W Lewiston mieli problemy z włóczęgami i bezrobotnymi, a wobec tych ostatnich byli szczególnie bezwzględni. Nazywali ich „obszarpaną armią komuchów”. Legion Białej Przyzwoitości odsyłał tych typów z miasta równie szybko, jak tu przybywali. Czasami wrzucali im do spodni garście sumaka. Niekiedy podpalali na nich koszule.

Cóż, Legion po pożarze w Black Spot po prostu się rozpadł. Sprawy wymknęły się im z rąk. W tym mieście to często się zdarza.

Przerwał i przez chwilę pykał fajkę.

– To tak, jakby Legion Białej Przyzwoitości był ziarnem i znalazł odpowiednią glebę. To był klub dla bogatych. A po pożarze ci faceci po prostu zdjęli swoje stroje i ukryli się za zasłoną kłamstw.

W jego głosie pojawiła się nuta pogardy, co sprawiło, że matka uniosła wzrok i zasępiła się.

– W sumie kto został zabity? Osiemnastu czarnych żołnierzy, czternastu czy piętnastu czarnych z miasta; czterech czarnych członków jazz-bandu… i paru miłośników czarnuchów. Kogo to obchodzi?

– Will – powiedziała łagodnym tonem moja matka. – Wystarczy.

– Nie – rzuciłem. – Chcę o tym usłyszeć!

– Czas do łóżka, Mikey – oznajmił tata, gładząc mnie po włosach swoją wielką, mocną ręką. – Chcę ci powiedzieć jeszcze jedno, choć nie wiem, czy mnie zrozumiesz, bo ja sam mam czasami wątpliwości, czy dobrze to zrozumiałem. To, co stało się owej nocy w Black Spot, było okropne, ale nie sądzę, by wydarzyło się dlatego, że byliśmy czarni. Nawet nie dlatego, że Spot znajdowało się nieopodal West Broadway, gdzie mieszkali i gdzie żyją do dziś bogaci biali.

Nie sądzę, by Legion Białej Przyzwoitości rozwinął się tu tak dobrze, ponieważ jego członkowie nienawidzili czarnuchów i włóczęgów bardziej niż ich odpowiednicy z Portlandu, Lewiston czy Brunswicku. To z powodu tutejszej gleby. Wygląda na to, że ziemia, na której leży to miasto, polubiła zło, przemoc i okrucieństwo. To dobrze jej robi. Myślałem o tym przez wiele lat. Nie wiem, czemu tak się dzieje… ale tak już po prostu jest. Pomimo to do dziś żyją tu ludzie i wtedy też mieszkało tu paru porządnych facetów.

Kiedy urządzano pogrzeby, tysiące ludzi zaoferowało swą pomoc zarówno białym, jak i czarnym. Prawie na tydzień zapomniano o interesach. W szpitalach ranni byli leczeni za darmo. Wysyłano koszyki z żywnością i listy

kondolencyjne i robiono to naprawdę ze szczerego serca. We wszystkie strony wyciągane były pomocne dłonie.

Spotkałem wówczas mego przyjaciela, Deweya Conroya, który jest tak samo czarny jak lody waniliowe, a mimo to pokochałem go jak brata. Gdyby było trzeba, dałbym się za niego zabić i choć nie sposób zajrzeć w głąb ludzkiego serca, jestem pewien, że on czuł dokładnie to samo. Po pożarze armia porozsyłała niedobitki naszej kompanii, jakby wojskowi czuli się zhańbieni tym, co się stało… i myślę, że rzeczywiście tak było. Trafiłem do Fort Hood i zostałem tam przez sześć lat. Tam poznałem twoją matkę i pobraliśmy się w Galveston, w domu jej rodziców. Ale przez wszystkie te lata nigdy nie zapomniałem o Derry. A po wojnie przywiozłem tu twoją matkę. I ty się urodziłeś. Tak oto jesteśmy teraz tutaj, niecałe trzy mile od miejsca, gdzie w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku znajdowało się Black Spot. Wydaje mi się, że już czas do łóżka, mój panie.

– Chcę usłyszeć o pożarze! – wrzasnąłem. – Opowiedz mi o nim, tato!

Tata uniósł wzrok w ów niezwykły, surowy sposób, jak zawsze, kiedy chciał mnie uciszyć…

a zdarzało mu się to naprawdę bardzo rzadko. Zwykle był uśmiechnięty.

– To nie jest odpowiednia historia dla chłopca w twoim wieku, Mikey. Innym razem, synu. Za parę lat.

Okazało się, że miało to nastąpić dokładnie za cztery lata, kiedy ojciec był już na dobre przykuty do szpitalnego łóżka i wiadomo było, że nigdy go nie opuści. Opowiedział mi o pożarze w Black Spot, kiedy naszpikowany masą prochów leżał pośród białej pościeli i raz po raz odpływał w czerń nieświadomości, a rak trawił go od środka i wyżerał mu wnętrzności.

26 lutego 1985

Przeczytałem ostatnie zapiski w notatniku i dziwiąc się sobie, zacząłem opłakiwać swego nieżyjącego od dwudziestu pięciu lat ojca. Pamiętam, jak bardzo mi go brakowało – nie potrafiłem stłumić w sobie żalu przez blisko dwa lata. Potem, kiedy w 1965 roku ukończyłem liceum, a moja matka powiedziała: „Twój ojciec byłby z ciebie bardzo dumny!”, padliśmy sobie w ramiona i myślałem, że to już koniec, że pogrzebaliśmy go raz na zawsze wraz z przelanymi wtedy łzami. Ale któż wie, jak długo można kogoś opłakiwać? Czyż nie jest możliwe,

że nawet trzydzieści czy czterdzieści lat po śmierci dziecka, brata albo siostry ktoś może nagle obudzić się ze snu z uczuciem straty i przedziwnej pustki, której – kto wie – być może nawet śmierć nie zdoła zapełnić?

Opuścił armię w 1937 roku z rentą inwalidzką. W tym czasie armia ojca stała się o wiele bardziej bojowa. Każdy, nawet na wpół ślepy – powiedział mi któregoś dnia – zorientował się, że niebawem znowu zaczną wydawać całą broń z magazynu.

Do tego czasu dochrapał się stopnia sierżanta i stracił większą część lewej stopy, kiedy jakiś przerażony „kot", zamiast rzucić granatem, posłał przed siebie zawleczkę. Granat zaś, rzucony na ziemię, potoczył się mojemu ojcu pod nogi i eksplodował przy wtórze odgłosu przypominającego kaszlnięcie w środku nocy.

Wielu spośród ówczesnych żołnierzy musiało trenować ze sprzętem, który albo był uszkodzony, albo tak długo spoczywał zapomniany w magazynie, że stał się niemal całkiem bezużyteczny. Mieli na przykład naboje, które nie odpalały, i karabiny, które mogły eksplodować żołnierzowi w ręku, kiedy naciskał spust. Co się tyczy marynarki, torpedy zwykle nie

trafiały w cel, a jeśli już, to zazwyczaj nie wybuchały.

Korpusy lotnictwa wojskowego i lotnictwa marynarki wojennej miały samoloty, którym odpadały skrzydła przy ostrzejszych lądowaniach, a jak gdzieś przeczytałem, w Pensacoli w 1939 roku oficer zaopatrzeniowy odkrył, że cała seria rządowych ciężarówek jest bezużyteczna, bo karaluchy pozżerały gumowe przewody i paski klinowe.

Tak więc życie mojego ojca zostało uratowane (naturalnie włącznie z częścią, która dała początek Waszemu Pokornemu Słudze Michaelowi Hanlonowi) dzięki połączeniu bzdurnej, tępej biurokracji i wadliwego sprzętu. Granat eksplodował tylko częściowo i ojciec stracił jedynie fragment stopy.

Dzięki dobrym zarobkom tata mógł ożenić się z moją mamą rok wcześniej, niż to planowali. Nie przybyli do Derry od razu. Przeprowadzili się do Houston, gdzie pracowali dla przemysłu zbrojeniowego przez całą wojnę, aż do czterdziestego piątego. Mój ojciec był przewoźnikiem w fabryce, która robiła pancerze do bomb. Matka zajmowała się nitowaniem. Ale jak powiedział mi tata któregoś dnia, nigdy nie zapomniał o Derry. I teraz zastanawiam się, czy

złośliwy traf sprawił, że mój ojciec wrócił do Maine, abym ja mógł później zająć swoje miejsce w kręgu, w Barrens, owego sierpniowego wieczoru. Jeżeli koła wszechświata istnieją i działają, jak należy, to dobro zawsze wyrównuje wyrządzone zło – ale dobro również może być diablo paskudne.

Ojciec prenumerował „Derry News”. Szukał ogłoszeń o sprzedaży ziemi. Razem z mamą zaoszczędzili niezłą sumkę. W końcu zauważył ogłoszenie o sprzedaży farmy, które wydało mu się odpowiednie… w każdym razie na papierze. Oboje wyjechali z Teksasu autokarem linii Trailways i odnalazłszy tę farmę, nabyli ją jeszcze tego samego dnia. Handlarze nieruchomości zapewnili ojcu dziesięcioletnią hipotekę i interes został ubity.

– Z początku mieliśmy trochę problemów – powiedział innym razem mój ojciec. – Mieszkali tam ludzie, którzy nie chcieli mieć w okolicy czarnuchów. Wiedzieliśmy, że tak będzie, nie zapomniałem o Black Spot, i postanowiliśmy po prostu to przeczekać. Bywało, że dzieciaki przechodzące obok naszego domu rzucały puszkami po piwie i kamieniami. W pierwszym roku pobytu w Derry musiałem wymienić w domu dwadzieścia wybitych szyb. I to nie były

tylko dzieciaki. Któregoś dnia, gdy się obudziliśmy, okazało się, że na ścianie kurnika widnieje olbrzymia wymalowana farbą swastyka, a wszystkie kurczaki są martwe. Ktoś je otruł, dosypał trucizny do karmy. To były ostatnie kurczaki, jakie usiłowałem hodować.

Szeryf hrabstwa – wtedy Derry nie miało jeszcze szefa policji, gdyż było zbyt małą mieściną – zajął się tą sprawą i zrobił to wyjątkowo rzetelnie. Właśnie to miałem na myśli, Mikey, kiedy mówiłem, że prócz złych zdarzają się tu i dobrzy ludzie. Temu facetowi, Sullivanowi, obojętne były brązowa skóra i kędzierzawe włosy. Jeździł po okolicy, wypytywał ludzi i w końcu wykrył, kto to zrobił. Jak sądzisz? Kto to był? Strzelaj!

– Nie wiem – odparłem.

Mój ojciec śmiał się, aż łzy pociekły mu z oczu. Wyjął z kieszeni olbrzymią, białą chusteczkę i wytarł oczy.

– Jak to kto? Butch Bowers, ot co! Ojciec dzieciaka, o którym mówisz, że jest największym łobuzem w całej szkole. Jaki ojciec, taki syn. Są siebie warci.

– Niektórzy mówią, że ojciec Henry’ego jest niespełna rozumu – powiedziałem.

Byłem wtedy chyba w czwartej klasie, czyli miałem już na swoim koncie parę lań od Henry'ego Bowersa… i teraz, kiedy tak o tym myślę, najbardziej pejoratywne określenia „czarny" i „Murzyn" usłyszałem właśnie z ust Bowersa w ciągu tych czterech szkolnych lat.

– Cóż, szczerze mówiąc – rzekł tata – twierdzenie, że Butch Bowers jest niespełna rozumu, może być dość bliskie prawdy. Ludzie mówią, że odkąd wrócił z Pacyfiku, nie był całkiem normalny. Służył tam w piechocie morskiej. W każdym razie szeryf zabrał go do aresztu, a Butch przez cały czas darł się, że został wrobiony i że to sprawka pieprzonej bandy miłośników czarnuchów. Chciał zaskarżyć wszystkich. Wydaje mi się, że miał nawet własną czarną listę, która była długa jak stąd do Witcham Street. Wątpię, aby dysponował choć jednymi kalesonami, które byłyby całe na siedzeniu, ale zamierzał zaskarżyć mnie, szeryfa Sullivana, miasto Derry, hrabstwo Penobscot i Bóg wie kogo jeszcze.

A co się tyczy tego, co zdarzyło się później, cóż… nie mogę zaświadczyć, że dokładnie tak było, ale tak to właśnie usłyszałem od Deweya Conroya. Dewey powiedział, że szeryf złożył wizytę siedzącemu w celi Butchowi.

– Najwyższy czas – mówi szeryf – żebyś przestał mleć ozorem i nauczył się słuchać, Butch. Ten czarny nie chce wnosić przeciwko tobie oskarżenia. Nie chce wysyłać cię do Shawshank. Żąda tylko odszkodowania za potrute kurczaki. Twierdzi, że dwieście dolarów w zupełności mu wystarczy.

– Może sobie wsadzić te dwie stówy tam, gdzie słońce nie dochodzi.

– Widzisz, Butch, w Shank mają małą plantację cytrusów. Jak sobie na niej popracujesz przez dwa lata, twój język zrobi się zielony jak lody cytrynowe. A teraz wybieraj. Dwa lata zbierania cytrusów albo dwieście dolarów. Co o tym sądzisz?

– Żaden sąd w Maine mnie nie zapudłuje – mówi Butch. – Nie za wytrucie kurczaków jakiegoś pieprzonego czarnucha.

– Wiem o tym – odpowiada Sullivan.

– No to o czym my tu, kurde, mówimy? – pyta wtedy Butch.

– Lepiej się obudź, Butch. Oni cię nie zamkną za zabicie kurczaków. Zrobią to za wymalowanie tej wielkiej swastyki na ścianie kurnika.

Dewey mówił, że wtedy facetowi po prostu opadła szczęka, a Sullivan odszedł, aby tamten mógł sobie wszystko dokładnie przemyśleć.

Jakieś trzy dni później Butch powiedział swemu bratu, temu, który parę lat później pójdzie pijany na polowanie i zamarznie na śmierć, aby sprzedał jego nowego mercury'ego, którego nabył za zaoszczędzone pieniądze. Był nieźle wkurzony. Otrzymałem swoje dwie stówki, a Butch poprzysiągł, że mnie stąd wykurzy. Łaził po całym mieście i opowiadał o tym wszystkim swoim kumplom. Któregoś popołudnia postanowiłem się na niego zaczaić. Butch w miejsce mercury'ego kupił starego, przedwojennego forda, a ja miałem pick-up. Zajechałem mu drogę przy Witcham Street i wysiadłem z samochodu z winchesterem w dłoni.

– Jeżeli ze mną zadrzesz, rozwalę cię, koleś – powiedziałem.

– Nie odzywaj się do mnie w ten sposób, czarniawy – odparł i zaczął coś bełkotać. Był jednocześnie wściekły i przerażony. – Nie wolno ci mówić w ten sposób do białego, czarnuchu.

Miałem już dość tego wszystkiego, Mikey. I wiedziałem, że jeśli nie napędzę mu stracha, to nigdy się go nie pozbędę. W pobliżu nie było nikogo. Wyciągnąłem rękę i schwyciłem Butcha za włosy. Oparłem kolbę strzelby o klamrę mego

pasa, a lufę przytknąłem Butchowi do szyi, tuż pod brodą. Powiedziałem:

– Kiedy następnym razem nazwiesz mnie czarnuchem albo czarniawym, twój mózg rozpryśnie się na masce wozu. Wierz mi, Butch, jeżeli ze mną zadrzesz, pożałujesz. Nie zawaham się, jeżeli będę musiał cię rąbnąć. Równie dobrze mogę stuknąć twoją żonę albo tego kretyna, twojego braciszka. Mam już tego dosyć.

I wtedy on zaczął płakać – nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie okropnego.

– Do czego to dochodzi – mówi Butch – już w biały dzień czar… bru… Murzyni przykładają ludziom spluwy do głów.

– Tak. To naprawdę koniec świata – przyznałem. – Ale teraz to już nieważne. Ważne jest to, czy potrafimy się dogadać, bo w przeciwnym razie będziesz musiał się nauczyć oddychać przez dodatkową dziurę w czole. Chcesz tego?

Doszliśmy do porozumienia i to był ostatni raz, kiedy miałem kłopoty z Butchem Bowersem, może z wyjątkiem sytuacji, kiedy zdechł twój pies, Pan Chips, ale nie miałem dowodu, że była to sprawka Bowersa. Chippy mógł się gdzieś nażreć wystawionej trucizny na szczury albo czegoś w tym rodzaju. Od tej pory wiodło się nam

całkiem nieźle i kiedy wspominam dawne czasy, nie mam zbyt wielu powodów do ubolewania. Żyliśmy tu szczęśliwie i nawet jeżeli czasem śni mi się ten pożar sprzed lat, to cóż, przecież każdy człowiek miewa czasami jakieś koszmary. To część naszego istnienia.

28 lutego 1985

Minęło parę dni, odkąd usiadłem, aby napisać historię pożaru w Black Spot przekazaną mi przez ojca, i jeszcze do tego nie doszedłem. Myślę, że to tak jak we *Władcy Pierścieni*, gdzie jedna z postaci mówi: „Droga prowadzi do drogi”; innymi słowy, mogłeś wyruszyć właściwie znikąd, czyli chociażby z chodnika pod własnym domem, i dotrzeć wszędzie. Tak samo bywa z opowieściami. Pierwsza prowadzi do następnej, jeszcze jednej i tak dalej. Być może zmierzają w kierunku, w którym chcesz się udać, a może nie.

Niekiedy bardziej liczy się głos opowiadający jakąś historię niż sama opowieść. To właśnie ten głos jest dla mnie niezapomniany – głos mego ojca – cichy i powolny, czasami stłumiony, czasami przechodzący w chichot, a nawet w śmiech.

Przerwy na zapalenie fajki, wydmuchanie nosa albo pójście po puszkę narragansett (nazywał to Naści Gansett).

Ten głos, który jest dla mnie głosem wszystkich głosów – głosem wszystkich lat jedynym w swoim rodzaju – a jednak nie ma go w żadnym z wywiadów Ivesa ani na którejkolwiek z moich taśm z nagranymi opowieściami o Derry. Głos mojego ojca.

Jest już dziesiąta, biblioteka została zamknięta przed godziną, a na zewnątrz słychać warkot starego samochodu. Deszcz ze śniegiem uderza w okna i przeszklony korytarz prowadzący do biblioteki dziecięcej. Słyszę też inne odgłosy – delikatne skrzypnięcia i ukradkowe szelesty dochodzące spoza kręgu światła, w którym siedzę, zapisując te słowa na kartkach notatnika. Mówię sobie – to tylko odgłosy starego budynku… ale jednocześnie się zastanawiam, czy tej nocy, gdzieś tam na zewnątrz, jest klown sprzedający balony.

Cóż… nieważne. Myślę, że w końcu znalazłem drogę do zakończenia historii mego ojca. Usłyszałem ją w szpitalnym pokoju nie więcej niż sześć tygodni przed jego śmiercią.

Chodziłem, aby się z nim zobaczyć, każdego popołudnia, tuż po szkole razem z matką i oprócz

tego sam wieczorami. Matka zostawała w domu i zajmowała się różnymi pracami, ale zawsze nalegała, bym poszedł do szpitala. Jeździłem tam rowerem. Nie pozwalała mi jeździć autostopem, nawet cztery lata po tym, jak morderstwa ustały.

To było sześć ciężkich tygodni dla piętnastoletniego chłopca. Kochałem ojca, ale nie cierpiałem tych wieczornych wizyt, patrzenia, jak się kurczył i malał, oglądania, jak zmarszczki bólu pogłębiają się na jego twarzy. Czasami płakał, choć zawsze próbował wziąć się w garść. Kiedy wracałem do domu, było już ciemno i przychodziło mi na myśl tamto lato w pięćdziesiątym ósmym, a potem bałem się obejrzeć za siebie, bo mogłem zobaczyć klowna… wilkołaka… mumię… albo wielkiego ptaka.

Przede wszystkim jednak bałem się, że niezależnie od tego, jaki kształt przybierze, To będzie miało przeżartą rakiem twarz ojca. Dlatego zawsze w drodze powrotnej pędziłem jak szatan, pedałowałem ile sił w nogach, serce waliło mi w piersiach, pot spływał na czoło, a policzki płonęły. Kiedy docierałem do domu, mama pytała: „Czy musisz jeździć tak szybko, Mikey? Rozchorujesz się”. A ja odpowiadałem: „Chciałem wrócić jak najszybciej, żeby ci pomóc w pracy, mamo”, po czym obejmowała mnie

czule, całowała i mówiła, że dobry ze mnie chłopiec.

W miarę upływu czasu zaczęło mi brakować tematów do rozmów z ojcem. Jadąc do miasta, zastanawiałem się, o czym mógłbym z nim pogadać, i w głębi duszy obawiałem się chwili, kiedy żaden z nas nie wydusi z siebie słowa. Jego agonia przerażała mnie i rozwścieczała, ale jednocześnie wprawiała w zakłopotanie. Zawsze mi się wydawało – i chyba do dziś tak uważam – że śmierć następuje szybko, czasami nawet bardzo szybko. Rak robił coś więcej, niż tylko zabijał. Upadlał go, niszczył, poniżał. Nigdy nie rozmawialiśmy o raku i podczas niektórych okresów ciszy wydawało mi się, że kiedyś ten temat musi zostać poruszony – po prostu nie będziemy mieli wyboru, jak dzieciak, który przy grze w komórki do wynajęcia, kiedy cichnie muzyka, widzi, że wszystkie miejsca zostały zajęte. Ja z całą pewnością rozpaczliwie próbowałem wymyślić coś, cokolwiek, aby tylko nie słuchać o chorobie zabijającej mojego ojca – człowieka, który kiedyś schwycił Butcha Bowersa za włosy, przytknął mu do brody wylot strzelby i nakazał, żeby się od niego odczepił. Gdybyśmy zostali zmuszeni zacząć o tym rozmawiać, chybabym się rozpłakał. A myśl o tym, że

w wieku piętnastu lat miałbym płakać na oczach swego ojca, przerażała mnie bardziej niż cokolwiek innego.

To właśnie podczas tej niekończącej się przerażającej chwili ciszy poprosiłem go ponownie, aby opowiedział mi o pożarze w Black Spot. Tego wieczoru naszpikowali go narkotykami bardziej niż zwykle, ponieważ ból wyjątkowo dawał mu się we znaki, i co chwila odpływał w nieświadomość – a czasami bełkotał coś w dziwnym, egzotycznym języku, który w myślach określałem jako „sennomowa". Zazwyczaj zdawał sobie sprawę, do kogo mówi, ale bywało, że mylił mnie ze swoim bratem, Philem.

Spytałem go o Black Spot bez konkretnego powodu – ot, po prostu nagle o tym pomyślałem i poszedłem za ciosem.

Jego oczy nabrały ostrości i uśmiechnął się pod nosem.

– Nie zapomniałeś o tym, co, Mikey?

– Nie, tato – odparłem, choć nie myślałem o tym od dobrych trzech lat, a może i dłużej. – Nigdy o tym nie zapomniałem.

– No to teraz ci opowiem. Piętnaście lat to dostatecznie dużo, jak sądzę, a poza tym nie ma tu twojej matki, aby mogła mnie powstrzymać.

Wydaje mi się, że powinieneś wiedzieć. Sądzę, że coś takiego mogło wydarzyć się tylko tu, tylko w Derry, i to też powinieneś wiedzieć. Żeby mieć się na baczności. Warunki do tego typu wydarzeń zawsze były tu nad wyraz sprzyjające. Masz się na baczności, co nie, Mikey?

– Tak, tato – odrzekłem.

– To dobrze. – Głowa opadła mu na poduszkę. – To dobrze.

Myślałem, że wtedy znowu odpłynął, ponieważ oczy mu się zamknęły, lecz nagle usłyszałem jego głos.

– Kiedy w tysiąc dziewięćset dwudziestym i trzydziestym przebywałem tu, w bazie wojskowej – powiedział – na wzgórzu znajdował się klub dla podoficerów, tam gdzie dziś jest college. Mieścił się tuż za kantyną, w której mogłeś kupić za siedem centów paczkę zielonych lucky strike'ów. Klub znajdował się w niewielkim baraku, ale jego wnętrze zostało należycie urządzone; na podłodze leżał dywan, pod ścianami stały stoliki, a w kącie szafa grająca; w weekendy można było tam wypić jakiegoś lekkiego drinka… naturalnie, jeżeli byłeś biały. W sobotnie wieczory grywały tam różne zespoły i przychodziło sporo ludzi. W ogóle warto było tam zajrzeć. Wprawdzie obowiązywała

prohibicja, ale słyszeliśmy, że jeżeli chciałeś, mogłeś tam dostać jakieś mocniejsze trunki… rzecz jasna, jeżeli na twojej karcie wojskowej widniała mała zielona gwiazdka. To był ich tajny znak. Głównie mieli tam piwo własnej roboty, ale w weekendy trafiały się też mocniejsze rzeczy. Oczywiście, jeżeli byłeś biały.

Nam z kompanii E nie wolno było się tam zbliżać. Dlatego jeśli mieliśmy przepustkę, wypuszczaliśmy się do miasta. W tym okresie Derry wciąż jeszcze było miastem przemysłu drzewnego; znajdowało się w nim osiem czy dziesięć barów. Większość stała na tak zwanym Diabelskim Półakrze. Przychodziły tam najgorsze szumowiny. Zresztą jak ich zwał, tak zwał. W tamtych czasach wszyscy byliśmy inni. Niektórych z tych farmerów nazywano „ślepymi świniami”. I całkiem słusznie, bo zachowywali się w knajpie jak świnie i pili dopóty, dopóki nie przestali widzieć na oczy. Potem ich wynoszono. Szeryf wiedział o tym, podobnie jak inni gliniarze, ale w tych miejscach bawiono się do upadłego, dzień i noc, podobnie jak w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Myślę, że ktoś musiał tu dostać w łapę, ale na pewno nie tylu i nie tyle, ile mogłoby ci się wydawać. W Derry ludzie są przyzwyczajeni, aby nie

zwracać uwagi na pewne rzeczy. W niektórych z tych knajp podawano mocniejsze trunki na równi z piwem i jak powiadali, alkohol ten był sto razy lepszy od księżycówek serwowanych w klubie dla podoficerów w sobotnie wieczory. Wódka trafiająca do knajp w mieście była przerzucana ciężarówkami przez granicę kanadyjską i w większości butelek było to, co widniało na etykietkach. Dobry towar był drogi, ale trafiało się też sporo niezłego samogonu, który przyprawiał cię o solidnego kaca, ale cię nie zabijał ani nie pozbawiał wzroku, a to było wszak najważniejsze. Najgorsze, że w tych knajpach wieczorami musiałeś uważać, bo butelki latały w różnych kierunkach. Najbardziej znanymi barami były Nan's, Paradise, Wally's Spa, Silver Dollar i Powderhorn, gdzie czasami mogłeś zarwać jakąś dziwkę. Och, mogłeś zarwać panienkę w każdym z barów, okazji nie brakowało, ale dla dzieciaków takich jak ja, Trevor Dawson i Carl Roone, moich przyjaciół w tamtym okresie, myśl o kupnie dziwki, białej dziwki, była czymś, co należało rozważyć na siedząco, i to wyjątkowo starannie.

Jak już powiedziałem, ojciec tego wieczoru był nieźle naćpany. Nie wierzę, że mógłby

opowiadać coś takiego swemu piętnastoletniemu synowi, gdyby nie był zamroczony narkotykami.

– No cóż, niedługo potem – ciągnął ojciec – zjawił się przedstawiciel rady miejskiej i zażądał spotkania z majorem Fullerem. Twierdził, że chciał pomówić o pewnych problemach pomiędzy mieszkańcami miasta a niektórymi żołnierzami, kwestiach przyzwoitości i trosce o dobro wyborców, ale każdy z nas dobrze wiedział, o co naprawdę mu chodziło. Nie chcieli, aby czarni przychodzili do ich knajp, podrywali ich białe kobiety i stojąc przy barze, gdzie było miejsce tylko dla białych, wypijali przeznaczony dla białych samogon.

Śmiałem się z tego. O tak, śmiałem się. Kwiat białych kobiet z miasteczka był równie cnotliwy jak tania dziwka i podobnie jak ona stronił od kontaktu z mężczyznami…! To prawda, że nigdy nie widziałem członka rady miejskiej, czy to w Silver Dollar, czy też w Powderhorn. Faceci, którzy tam popijali, mieli na sobie kraciaste czarno-czerwone kurtki drwali, a na rękach blizny i strupy. Czasami brakowało im oka albo paru palców i, przeważnie, większości zębów. Każdy z nich cuchnął drewnem, trocinami i żywicą. Nosili zielone flanelowe spodnie i zielone gumowane buty. Gdy wchodzili do

knajpy, zostawiali na podłodze grudki śniegu. Śmierdzieli, chodzili ciężko i byli bardzo głośni. I bardzo duzi. Któregoś wieczoru zawitałem do Wally's i zobaczyłem, jak facetowi, który siłował się na rękę, pękła koszula na bicepsie. Ba, nie tylko się rozerwała, nawet gdybym próbował ci to wyjaśnić, i tak wątpię, abyś mnie zrozumiał. Miałem wrażenie, że koszula tego typa najnormalniej w świecie eksplodowała, została rozdarta na strzępy. Wtedy wszyscy zaczęli głośno krzyczeć i klaskać, a jeden z tych typów rąbnął mnie w plecy i powiedział: „To jest to, co nazywamy pierdnięciem bicepsa, czarna gębo".

Chcę przez to powiedzieć, że ci faceci, którzy w piątkowe i sobotnie wieczory zjawiali się w tych mordowniach, aby chlać i pieprzyć babki zamiast nasmalcowane dziury w pniach drzew, gdyby ci faceci nie życzyli sobie naszego towarzystwa, to wyrzuciliby nas z knajpy na zbity pysk. Ale, widzisz, im nasza obecność nie przeszkadzała. Któregoś wieczoru jeden z nich wziął mnie na stronę. Miał sześć stóp wzrostu, a w owym czasie było to cholernie dużo, i był pijany w sztok, cuchnął jak koszyk zgniłych brzoskwiń. Gdyby się rozebrał, jestem pewien, że mógłby postawić swoje ubranie obok siebie. Było

aż sztywne od brudu. Ten typ patrzy na mnie i mówi:

– Przepraszam pana, że spytam, czy pan jesteś może Murzynem?

– Tak – ja na to.

– *Commen' ça va!* – woła głosem z charakterystycznym akcentem cajunów i uśmiecha się tak szeroko, że widzę jego wszystkie cztery zęby. – Wiedziałem, że tak, a niech mnie! Hej! Widziałem kiedyś Murzyna w książce! Miał takie same… – I nie wiedząc, jak to powiedzieć, wyciąga rękę i dotyka moich ust.

– Wielkie usta – mówię.

– Tak! Tak! – woła, śmiejąc się jak dziecko. – Wielkie usta! *Épais lèvres!* Wielkie usta! Postawię ci piwo, a niech mnie!

– Dzięki – mówię, aby go nie rozsierdzić.

Roześmiał się i klepnął mnie w plecy, prawie mnie przy tym przewracając, i przepchnął się do baru, przy którym tłoczyło się około siedemdziesięciu facetów i jakieś piętnaście kobiet.

– Dwa piwa, zanim rozwalę tę budę! – zawył do barmana, wielkiego osiłka ze złamanym nosem, który nazywał się Romeo Dupree.

– Jedno dla mnie, a drugie dla *l'homme avec les épais lèvres!*

I wtedy wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale nie było w tym ani trochę szyderstwa czy złośliwości, Mikey. Funduje mi to piwo i mówi:

– Jak się nazywasz? Nie chcę ci mówić „Wielkie Usta”. To kiepsko brzmi.

– William Hanlon – odpowiadam.

– No to twoje zdrowie, Weeljum Anlon – powiada.

– Nie, twoje – ja na to. – Jesteś pierwszym białym, który postawił mi drinka. – To była prawda. No i wypiliśmy nasze piwo, a potem jeszcze po jednym i facet mówi do mnie:

– Ty na pewno jesteś Murzynem? Z wyjątkiem tego, że masz wielkie usta, wyglądasz jak mocno opalony biały.

Wtedy mój ojciec wybuchnął śmiechem i ja również się roześmiałem. Śmiał się tak, że aż rozbolał go brzuch. Skrzywił się, uniósł i mocno przygryzł dolną wargę.

– Mam zadzwonić po pielęgniarkę, tato? – spytałem zaalarmowany.

– Nie… nie… będzie dobrze. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie mogę się śmiać, nawet kiedy mam ochotę. A to przydarza mi się ostatnio cholernie rzadko.

Zamilkł na parę chwil i zdałem sobie sprawę, że właśnie wtedy po raz pierwszy byliśmy

bardzo bliscy podjęcia tematu choroby, która go zabijała. Może gdybyśmy wykonali jeszcze jeden krok, okazałoby się to zbawienne… dla nas obu.

Pociągnął łyk wody, a potem podjął przerwaną opowieść.

– W każdym razie to nie kobiety, które przychodziły do knajp, ani tamtejsi drwale chcieli nas stamtąd wykurzyć. To pięciu starych pryków z rady miejskiej poczuło się urażonych, oni i mniej więcej tuzin ich zauszników, dziadkowie z Derry. Żaden z nich nigdy nie przestąpił progu Paradise czy Wally's Spa. Popijali w klubie przy Derry Heights, ale chcieli mieć pewność, że pijaczkowie z ich miasta nie zostaną skażeni przez czarnych z kompanii E.

– Po pierwsze w ogóle ich tu nie chciałem. Myślałem, że to jakieś przeoczenie i że odeślą ich gdzieś dalej, na południe lub choćby do New Jersey – mówi major Fuller.

– To nie moja sprawa – odpowiada ten stary skunks. Chyba nazywał się Mueller.

– Ojciec Sally Mueller? – spytałem, zaskoczony. Sally Mueller chodziła ze mną w liceum do tej samej klasy.

Mój ojciec uśmiechnął się z goryczą.

– Nie, to był chyba jej stryj. Ojciec Sally wyjechał do college'u. Ale gdyby był wtedy

w Derry, sądzę, że też by przyszedł razem z bratem. A gdybyś miał jakieś wątpliwości co do prawdziwości tej historii, chciałbym ci tylko powiedzieć, że usłyszałem ją od Trevora Dawsona, który miał tego dnia „u oficerów” dyżur „na szczocie” i wszystko wyraźnie słyszał.

– To pana problem, nie mój, gdzie rząd wysyła czarnych chłopaków – mówi Mueller do majora. – Mój problem sprowadza się do tego, gdzie pozwala im pan chodzić w piątkowe i sobotnie wieczory. Jeżeli nadal będą się szwendać po śródmieściu, napytają sobie biedy. Wie pan, że mamy tu Legion.

– No cóż, panie Mueller, jest nam tu trochę ciasno – mówi. – Nie mogę im pozwolić pić w klubie dla podoficerów. Nie tylko dlatego, że regulamin nie zezwala, aby czarni pili razem z białymi; sprawa jest akademicka. To klub dla podoficerów, rozumie pan? A każdy z tych czarnych chłopaków jest pieprzonym szeregowcem.

– To również nie mój problem. Mniemam, że zajmie się pan tą sprawą, jak należy. Widzi pan, ranga pociąga za sobą odpowiedzialność. – I odszedł.

Fuller załatwił tę sprawę. W tamtych latach baza wojskowa Derry zajmowała spory obszar,

choć nie mogła się poszczycić dużą liczbą zabudowań. Mówiono, że zajmowała ponad sto akrów. Na północy kończyła się tuż za West Broadway, gdzie stworzono pas zieleni. Tam gdzie teraz znajduje się Memorial Park, mieściło się Black Spot.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym roku była to zwyczajna stara szopa służąca do przechowywania narzędzi, ale major Fuller rozkazał kompanii E przerobić ją na klub. To miał być „nasz” klub, powiedział. Zachowywał się jak Tatko Warbucks albo ktoś w tym stylu, a może nawet rzeczywiście tak się czuł, wyznaczając gromadce czarnych szeregowców miejsce, w którym mogliby się zbierać, nawet gdyby to miała być zwyczajna szopa. Potem jakby mimochodem dodał, że nie wolno nam chodzić do knajp w śródmieściu. Przełknęliśmy tę gorzką pigułkę z żalem, ale cóż mogliśmy począć? Byliśmy bezsilni. I wtedy ten młody chłopak, kucharzyna, Dick Hallorann, powiedział, że gdybyśmy się postarali, moglibyśmy nieźle zagospodarować sobie to miejsce. Zrobiliśmy to. Naprawdę daliśmy z siebie wszystko. I w sumie całkiem nieźle nam wyszło, zważywszy na okoliczności. Kiedy zjawiliśmy się tam po raz pierwszy, byliśmy

nieco przygnębieni. Szopa była mroczna i cuchnąca, pełna starych narzędzi i przegniłych kartonowych pudeł, z dwoma zaledwie oknami. Pomieszczenie nie miało elektryczności. Podłoga była zwykłym klepiskiem i strasznie się kurzyło. Carl Roone wybuchnął śmiechem, wyraźnie rozgoryczony, dobrze to pamiętam, i powiedział: „Prawdziwy książę z tego naszego majora, co nie? Dał nam nasz własny klub. Ale świetnie!”. A George Brannock, który także zginął w pożarze tej jesieni, dodał: „Tak. To prawdziwa Czarna Dziura[6]”. I nazwa się przyjęła.

To Hallorann zachęcił nas do pracy… Zabraliśmy się do dzieła: on, Carl i ja. Wydaje mi się, że Bóg przebaczy nam to, co zrobiliśmy, bo przecież skąd mieliśmy wiedzieć, jak to się wszystko skończy? Po jakimś czasie dołączyli do nas inni koledzy. Jako że „lokale” w Derry były dla nich zamknięte, nie mieli zbyt wielkiego wyboru. Zbijaliśmy, cięliśmy i sprzątaliśmy aż miło. Trev Dawson był całkiem niezłym cieślą amatorem i pokazał nam, jak wyciąć więcej otworów okiennych w ścianach, a potem mocno się zdziwił, kiedy Alan Snopes skombinował skądś szyby do tych okien; każda z nich była innego koloru, jak w kościelnych witrażach albo w pomieszczeniach wesołego miasteczka.

– Skąd je wytrzasnąłeś? – spytałem go. Alan był najstarszy z nas. Miał jakieś czterdzieści dwa lata, dość, by większość nas nazywała go Tatko Snopes.

Włożył do ust camela i mrugnął porozumiewawczo.

– Zarekwirowałem. Nocna inspekcja – mówi tylko.

Zagospodarowanie szopy szło nam całkiem nieźle i w samym środku lata zaczęliśmy ją użytkować. Trev Dawson i kilku innych wykonało ściankę działową i na tyłach szopy urządziło niewielką kuchnię z grillem i paroma frytkownicami, żeby każdy z przychodzących tu gości mógł w razie potrzeby zjeść hamburgera i porcję frytek. Pod ścianą stał bar, ale podawano tam tylko napoje bezalkoholowe. Wiedzieliśmy, co nam wolno. Otrzymaliśmy wszak dobrą lekcję. Jeżeli mieliśmy ochotę na coś mocniejszego, musieliśmy to robić potajemnie.

Podłoga wciąż była klepiskiem, ale wylewaliśmy na nią oliwę i już się tak nie kurzyło. Trev i Tatko Snopes doprowadzili linię elektryczną, wynik kolejnych nocnych inspekcji, jak mi się wydaje. W lipcu mogłeś tu przyjść każdego sobotniego wieczoru i wypić colę albo zjeść hamburgera czy parówkę à la niewolnik. To

było świetne. Nigdy nie zdołaliśmy tego skończyć; Black Spot spłonęło, gdy prace jeszcze trwały.

To stało się naszym hobby… a może sposobem na zagranie na nosie Fullerowi, Muellerowi i całej radzie miejskiej. Ale kiedy razem z Evem McCaslinem któregoś piątkowego wieczoru przybiliśmy tabliczkę z napisem BLACK SPOT, a nieco poniżej KOMPANIA E I GOŚCIE – wiedzieliśmy, że jesteśmy w domu. I co więcej, że staliśmy się ekskluzywnym klubem, rozumiesz, o co mi chodzi?

Szopa wyglądała tak kusząco, że biali zaczęli sarkać i zajęli się swoim klubem. Dobudowali mały hol i barek samoobsługowy. Zupełnie jakby chcieli się z nami zmierzyć. Tyle że my nie mieliśmy ochoty na uczestnictwo w tym wyścigu.

Mój tata uśmiechnął się do mnie ze szpitalnego łóżka.

– Byliśmy młodzi, z wyjątkiem Snopesa, ale nie byliśmy głupi. Wiedzieliśmy, że biali pozwoliliby nam na współzawodnictwo, ale gdyby się okazało, że choć trochę ich wyprzedzamy, ktoś połamałby nam nogi, żebyśmy nie mogli biec zbyt szybko. Mieliśmy to, co chcieliśmy, i to wystarczyło. A wtedy… coś się stało.

Zamilkł i zasępił się.

– Co to było, tato?

– Dowiedzieliśmy się, że są wśród nas byli muzycy jazzowi – powiedział wolno. – Martin Devereaux grał na perkusji. Ace Stevenson na trąbce. Tatko Snopes grał na dość rozklekotanym fortepianie. Nie był świetny, ale nie można powiedzieć, że grał marnie. Inny facet grał na klarnecie, a George Brannock na saksofonie. Zdarzali się też inni, którzy przysiadali się od czasu do czasu, przygrywając na harmonijce ustnej czy choćby na grzebieniu. To nie stało się od razu, ale pod koniec sierpnia w piątkowe i sobotnie wieczory w Black Spot odbywały się całkiem udane koncerty dixielandowe. W miarę upływu czasu byli coraz lepsi i choć nigdy nie osiągnęli doskonałego zgrania, co to, to nie, grali jakby inaczej, z większą werwą, z życiem…

– Z biglem – rzuciłem, uśmiechając się pod nosem.

– Właśnie. I wiesz co, do naszego klubu zaczęli wpadać ludzie z miasta. Nawet niektórzy żołnierze z bazy. Co weekend robiło się u nas cholernie tłoczno. Ale to naturalnie również nie stało się od razu. Z początku białe twarze wyglądały tam jak ziarenka soli w pojemniku z pieprzem, ale z czasem zaczęło ich przybywać.

Kiedy pojawili się ci biali, zapomnieliśmy o ostrożności. Przynosili własny alkohol w papierowych brązowych torbach i były to zwykle naprawdę mocne trunki, takie, przy których samogon sprzedawany w śródmiejskich knajpach przypominał wodę sodową. To były trunki dla bogaczy, Mikey: chivas, glenfiddich. Szampan z takich, jakie podawano na oceanicznych liniowcach. Nazywaliśmy tych ludzi „szampanowcami". Wydaje mi się, że należało to jakoś ukrócić, ale nie wiedzieliśmy jak. Oni byli miastem. Do diabła, oni byli biali!

A my ze swej strony, o czym już wiesz, byliśmy młodzi i dumni z naszego osiągnięcia. Nie przewidywaliśmy, co może się zdarzyć. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że Mueller i jego kolesie musieli wiedzieć, co się święci, ale nie sądzę, by ktokolwiek z nas przypuszczał, jak bardzo byli wściekli. I mówiąc to, podkreślam słowo „wściekli". Szaleli z wściekłości! Wysiadywali w swoich starych wiktoriańskich domach przy West Broadway, niecałe ćwierć mili od miejsca, w którym my się znajdowaliśmy, słuchając *Aunt Hagar's Blues* i *Diggin My Potatoes*. To było złe. A poza tym przez cały czas mieli świadomość, że w naszym klubie przebywała ich młodzież: latorośle, które

zadawały się z czarnuchami, i to chyba było jeszcze gorsze. Bo nie chodziło tu tylko o drwali czy notoryczne ćmy barowe, które odlatywały zwykle na przełomie września i października. To stało się sprawą całego miasta. Młodzi ludzie przychodzili tu, by wypić drinka i tańczyć przy muzyce zespołu, który trudno nazwać orkiestrą jazzową, aż do pierwszej rano, kiedy to zamykano lokal. Nie przyjeżdżali tylko z Derry. Przybywali również z Bangor, Newport, Haven, Cleaves Mills, Old Town i okolic. Mogłeś tu zobaczyć studentów z bractwa Uniwersytetu Maine w Orono pląsających ze swymi dziewczynami, a kiedy zespół nauczył się grać ragtime'ową wersję *The Maine Stein Song*, mało brakowało, a roznieśliby całą szopę w pył. Oczywiście formalnie rzecz biorąc, liczba gości klubu była ograniczona: przede wszystkim cywilów, którzy nie mieli stosownych zaproszeń. W rzeczywistości jednak, Mikey, bywało tak, że o siódmej otwieraliśmy podwoje klubu i pozostawialiśmy je tak aż do zamknięcia o pierwszej w nocy. W połowie października doszło do tego, że kiedy wieczorem wychodziłeś na środek sali, byłeś zaraz otoczony przez pół tuzina innych ludzi. Nie było miejsca do tańca, toteż mogłeś się tylko gibać w takt muzyki… ale

to nikomu nie przeszkadzało. W każdym razie nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się na to uskarżał. O północy szopa przypominała pusty wagon towarowy doczepiony do ekspresu, chwiejący się i kołyszący na szynach.

Przerwał, upił kolejny łyk wody, a potem zaczął mówić dalej. Jego oczy błyszczały.

– Tak, tak, Fuller i tak prędzej czy później położyłby temu kres. Gdyby to zrobił wcześniej, nie zginęłoby tylu ludzi. Wystarczyło wysłać tam żandarmów i polecić im skonfiskować wszystkie butelki alkoholu, jakie goście z sobą przynieśli. To chybaby wystarczyło. Prawdę mówiąc, właśnie tego chciał. Dzięki temu mógłby zamknąć nam lokal, i to na dobre. Paru ludzi postawiono by przed sądem wojskowym, kilku odesłano by do karceru w Rye, a reszta zostałaby rozesłana do różnych jednostek. Ale Fuller bardzo wolno myślał i jeszcze wolniej działał. Myślę, że obawiał się tego samego co wielu z nas: gniewu niektórych miastowych. Mueller nie pojawiał się u niego więcej, a mam wrażenie, że major Fuller bał się pojechać do niego, do miasta. Ten Fuller dużo mielił ozorem, ale kręgosłup miał jak z galarety.

Zamiast zakończyć w radykalny sposób prosperowanie naszej małej knajpki, dzięki

czemu uratowałby życie wielu ludziom, pozostawił tę sprawę w gestii Legionu. Przybyli w swoich białych prześcieradłach na początku listopada tamtego roku i zrobili sobie wielkie ognisko.

Ponownie zamilkł, ale tym razem nie napił się wody – patrzył tylko smutnym wzrokiem w odległy kąt pokoju, podczas gdy na zewnątrz dał się słyszeć dźwięk dzwonka i przed otwartymi drzwiami przemaszerowała pielęgniarka. Podeszwy jej butów skrzypiały na linoleum. Gdzieś tam grał telewizor, obok słychać było włączone radio. Pamiętam, że słyszałem szum wiatru na zewnątrz. I choć był dopiero sierpień, ten wiatr sprawiał, że poczułem się, jakby nadchodziła zima. Fakt, że w telewizji pokazywano właśnie *Cain's Hundred*, a z radia płynęły dźwięki *Walk Like a Man*, był absolutnie bez znaczenia.

– Niektórzy z nich przeszli przez pas zieleni pomiędzy bazą a West Broadway – odezwał się w końcu. – Musieli się tam spotkać u kogoś w domu, ba, może nawet w piwnicy, żeby się przebrać w prześcieradła i sporządzić naprędce kilka pochodni.

Słyszałem, że inni podjechali do bazy od Ridgeline Road, która wtedy była główną drogą

dojazdową do bazy. Nie pamiętam już, kto mi powiedział, że przybyli nowiutkim packardem, ubrani w swoje białe prześcieradła, ze złożonymi spiczastymi czapkami na podołkach i pochodniami ułożonymi na podłodze wozu. Pochodnie tworzyły potężne styliska, owinięte na grubszym końcu sporą porcją mocno związanego i ściągniętego czerwonymi gumowymi uszczelkami brezentu. Uszczelki były identyczne z tymi, które nakłada się na słoiki z przetworami.

W miejscu, gdzie Ridgeline Road rozgałęzia się w Witcham Road i prowadzi do bazy, znajdowała się budka strażnicza. Wartownik bez słowa przepuścił wjeżdżającego na teren bazy packarda. To był sobotni wieczór i w Black Spot bawiono się na całego. Było tam dwieście, a może nawet trzysta osób. I nagle przybywają ci faceci w zielonym packardzie, jest ich sześciu lub siedmiu, a kolejna grupka przechodzi drzwiami pomiędzy bazą a ekstrawaganckimi domkami przy West Broadway. Nie byli młodzi, w każdym razie niewielu z nich, i czasami zastanawiam się, ilu następnego dnia wylądowało w łóżkach z anginą albo krwawiącymi wrzodami. Mam nadzieję, że sporo. Te parszywe pałające żądzą mordu kanalie.

Packard zatrzymał się na wzgórzu i dwukrotnie zamrugał światłami. Z wozu wyszło czterech ludzi i dołączyło do pozostałych. Niektórzy mieli dwugalonowe kanistry z benzyną, które wtedy mogłeś kupić na stacjach obsługi samochodów, a wszyscy ściskali pochodnie. Jeden z tych typów został w packardzie. Wiesz, Mueller miał packarda. Właśnie takiego. Zielonego. Przeszli całą grupką na tył Black Spot i polali benzyną pochodnie. Może tylko chcieli nas wystraszyć. Słyszałem całkiem inną opinię, ale znam również tę wersję i raczej w nią wolę wierzyć, bo chyba nie potrafiłbym pogodzić się z tą drugą ewentualnością. Nie jestem dostatecznie zepsuty, by uwierzyć, że to mogła być prawda.

Być może zapalona benzyna pociekła na drzewce pochodni i człowiek, który ją trzymał, przestraszył się do tego stopnia, że rzucił ją na oślep gdziekolwiek, aby tylko się jej pozbyć. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, ciemności czarnej listopadowej nocy rozjaśniły nagle płomienie pochodni. Niektórzy trzymali je w górze i wymachiwali nimi nad głowami, a płonące skrawki brezentu spadały im na ramiona. Niektórzy się śmiali. Ale, jak już wspomniałem, kilku pozostałych cisnęło swoje

pochodnie tak, że wpadły przez okna na tyłach szopy do pomieszczenia, z którego zrobiono kuchnię. W półtorej minuty paliło się tam na całego. Pożar rozprzestrzeniał się szybko. W tym czasie ci, którzy byli na zewnątrz, włożyli swoje spiczaste czapki. Paru z nich krzyczało: „Wyłaźcie, czarnuchy!”.

Być może niektórzy z nich chcieli nas w ten sposób przestraszyć, ale jestem pewien, że kilku próbowało nas ostrzec, tak samo jak wierzę, że zapalone pochodnie trafiły do naszej kuchni przez przypadek. W każdym razie to nie miało znaczenia. Zespół grał głośniej niż syrena w fabryce. Wszyscy krzyczeli i bawili się w najlepsze.

Wewnątrz nikt nie wiedział, że działo się coś złego, dopóki Gerry, który był tego wieczoru pomocnikiem kucharza, nie otworzył drzwi do kuchni i o mały włos nie usmażył się żywcem. Płomienie wystrzeliły na dziesięć stóp w głąb pomieszczenia i wypaliły facetowi cały fartuch. Przy okazji Gerry stracił też większość swojej fryzury. Kiedy to się stało, siedziałem pod wschodnią ścianą z Trevem Dawsonem i w pierwszej chwili miałem wrażenie, że eksplodował piecyk gazowy. Ledwo się podniosłem, a już zostałem przewrócony przez

gromadę ludzi pędzących w stronę drzwi. Mniej więcej dwa tuziny mężczyzn i kobiet przemaszerowały mi po plecach i chyba właśnie w tym momencie po raz pierwszy i ostatni podczas całego tego zdarzenia poczułem, że ogarnia mnie przerażenie. Bałem się. Naprawdę się bałem. Słyszałem, jak ludzie krzyczą i mówią jedni przez drugich że muszą się stąd wydostać, bo szopa się pali. Ale za każdym razem kiedy próbowałem się podnieść, ktoś znowu wdeptywał mnie w ziemię. Dostałem potężnego kopniaka w tył głowy i zobaczyłem przed oczami wszystkie gwiazdy. Zaryłem twarzą w naoliwioną ziemię, kurz wpadł mi do nosa i zacząłem kasłać i kichać jednocześnie. Ktoś inny stanął mi na plecach, na wysokości nerek. Poczułem, jak obcas damskiego pantofelka wbija mi się pomiędzy pośladki i, synu, uwierz mi, nigdy więcej nie chciałbym przeżyć czegoś takiego. Gdyby siedzenie moich spodni nie wytrzymało, krwawiłbym z tyłka aż po dziś dzień.

Teraz to brzmi zabawnie, ale mało brakowało, a ten oszalały tłum zadeptałby mnie na śmierć. Byłem bity, poniewierany, deptany i miażdżony. Skopali mnie do tego stopnia, że następnego dnia nie mogłem chodzić o własnych siłach.

Krzyczałem, ale ci, którzy przetaczali się po mnie, albo mnie nie słyszeli, albo w ogóle nie zwracali na mnie uwagi.

Uratował mnie Trev. Zobaczyłem przed sobą jego brązową koszulę i schwyciłem się jej jak tonący koła ratunkowego. Złapałem go, a on zaparł się i zaczął mnie ciągnąć z całej siły. I wtedy dostałem kopniakiem w bok szyi, o tutaj…

– Zaczął rozmasowywać miejsce, gdzie szczęka przechodzi łukowato ku górze, w stronę ucha, a ja skinąłem głową.

– …i poczułem tak straszny ból, że chyba straciłem przytomność na dobrą minutę. Ale nie puściłem ręki Treva i on także nie rozluźnił uścisku. W końcu wstałem i w tej samej chwili runęła ścianka działowa pomiędzy salą a kuchnią. Usłyszałem przy tym stłumiony syk, jak odgłos towarzyszący podpaleniu kałuży benzyny. Zobaczyłem, że ściana się przewraca, a wokoło tryskają złotawe snopy iskier. Ludzie rozbiegali się na boki, żeby ich nie przygniotło. Niektórym się udało. Innym nie. Jednemu z naszych kumpli nie udało się, to był chyba Hort Sortoris. Przez krótką chwilę, sekundę, a może dwie, widziałem jego dłoń wystającą spod tych rozpalonych węgli, jak otwierała się i zamykała

kurczowo. Pewnej dziewczynie, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, tył sukienki zajął się ogniem. Była w Black Spot razem ze swoim chłopakiem i słyszałem, jak krzyczała do niego, błagając, aby jej pomógł. On jednak tylko dwa razy strzepnął ręką po materiale, a potem tak jak inni rzucił się do ucieczki. Dziewczyna została z tyłu, stojąc nieruchomo, jak wrośnięta w ziemię, podczas gdy płomienie ogarniały ją od stóp do głów. W miejscu kuchni rozpętało się istne piekło. Płomienie stały się tak jasne, że nie sposób było na nie patrzeć. Żar był potworny, Mikey, niczym w piecu. Czułeś, jak skóra zaczyna ci błyszczeć. Czułeś, jak włosy w nosie smażą się i skręcają.

– Musimy się stąd wynieść! – wrzeszczy Trev i zaczyna mnie ciągnąć wzdłuż ściany. – Chodź!

I wtedy Dick Hallorann łapie go za rękę. Miał zaledwie dziewiętnaście lat i oczy wielkie jak kule bilardowe, ale w głowie więcej oleju niż my dwaj razem wzięci. Uratował nam życie.

– Nie tędy! – woła. – Tędy! – I wskazuje w stronę podestu dla muzyków… w stronę ognia, rozumiesz.

– Chyba ci odbiło! – wrzasnął Trevor. Miał tubalny głos, ale prawie nie było go słychać przez

ryk ognia i krzyki przerażonych ludzi. – Umieraj sobie, jeśli chcesz, ale ja i Willy wychodzimy.

Nadal trzymał mnie za rękę i ponownie zaczął przepychać się w stronę drzwi, choć wtedy tłoczyło się już przy nich tylu ludzi, że w ogóle nie było widać wyjścia. Poszedłbym z nim. Byłem tak zszokowany, że nie wiedziałem, co robię. Wiedziałem tylko, że nie chcę się usmażyć jak jakiś ludzki indyk. A wtedy Dick schwycił Treva za włosy tak silnie, jak potrafił, a kiedy Trev się odwrócił, Dick wymierzył mu siarczysty policzek. Pamiętam, że zobaczyłem, jak głowa Treva odbija się od ściany, i pomyślałem, że Dickowi odbiło. A on ryknął Trevorowi prosto w twarz:

– Pójdziecie w tamtą stronę i zginiecie! Oni blokują te drzwi, czarnuchu!

– Nie wiesz tego na pewno! – wrzasnął Trev i w tej samej chwili dało się słyszeć głośny huk, jak wystrzał petardy, tyle że to pod wpływem żaru eksplodował bęben Marty'ego Devereaux. Płomienie przesuwały się po belkach nad naszymi głowami i naoliwiona podłoga też już zaczęła się palić.

– Wiem! – ryczy Dick. – Wiem!

Złapał mnie za drugą rękę i przez dobrą minutę zmagaliśmy się jak przy przeciąganiu liny. Potem Trev rozejrzał się uważniej i zmienił

zdanie. Dick doprowadził nas do okna i schwycił krzesło, aby wybić szybę, ale zanim zdążył się zamachnąć, pękła pod wpływem potwornego żaru. Potem złapał Treva Dawsona za siedzenie spodni i podsadził go w górę.

– Podciągnij się! – woła. – Podciągnij się, skurwysynu!

I chwilę potem Trev wyskoczył przez okno. Ja byłem następny. Schwyciłem się oburącz framugi okna i podciągnąłem się. Następnego dnia miałem na dłoniach niezłe pęcherze, bo drewno zaczynało się już palić. Wyskoczyłem głową naprzód i gdyby Trev mnie nie złapał, mógłbym skręcić sobie kark.

Na zewnątrz ujrzeliśmy widok jak z najgorszego koszmaru, Mikey. Okno było żółtym, buchającym ogniem prostokątem światła. W licznych miejscach płomienie strzelały w górę przez blaszany dach. Słyszeliśmy krzyk ludzi uwięzionych w szopie. Zobaczyłem dwie brązowe ręce wymachujące przed naszymi oczami pośród ognia, dłonie Dicka. Trev Dawson podsadził mnie, a ja sięgnąłem przez okno i chwyciłem je. Kiedy oparłem się brzuchem o ścianę budynku, miałem wrażenie, jakbym dotknął rozpalonego pieca. Zobaczyłem twarz Dicka i przez krótką chwilę obawiałem się, że nie

uda mi się go stamtąd wyciągnąć. Nieźle nałykał się dymu i był bliski omdlenia. Usta miał rozchylone. Koszula na plecach zaczęła mu się tlić.

Mało brakowało, a bym go puścił, gdy poczułem odór palących się żywcem ludzi. Powiadają, że ta woń przypomina smażone wieprzowe żeberka, ale to nie jest tak. Bardziej przypomina odór, jaki unosi się po kastrowaniu koni. Robią wtedy wielkie ognisko i wrzucają całe to gówno w ogień, a kiedy już się na dobre rozpali, słyszysz, jak poobrzynane jaja pękają niczym kasztany i powstaje smród identyczny z wonią palonych żywcem ludzi.

Poczułem ten odór i wiedziałem, że nie wytrzymam długo, toteż szarpnąłem z całej siły i udało mi się wyciągnąć Dicka z szopy. Zgubił jeden but. Osunąłem się na ziemię z siodełka utworzonego z rąk Trevora. Dick runął na mnie i powiadam ci, że ten czarnuch miał naprawdę twardy łeb. Straciłem oddech i przez parę sekund leżałem na ziemi, przetaczając się z boku na bok i trzymając się za brzuch.

W końcu podniosłem się, a następnie wstałem. Mijały mnie postacie biegnące w stronę pasa zieleni. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to duchy, ale nagle zobaczyłem buty. Przy

Black Spot zrobiło się od ognia jasno jak w dzień. Widząc buty, zrozumiałem, że to byli ludzie poprzebierani w prześcieradła. Jeden z nich został nieco w tyle i zobaczyłem…

Przerwał i oblizał usta.

– Co zobaczyłeś, tato? – spytałem.

– Nieważne. Daj mi wody, Mikey.

Wypił prawie wszystko i dostał ataku kaszlu. Przechodząca właśnie pielęgniarka zajrzała do sali i spytała:

– Potrzebuje pan czegoś, panie Hanlon?

– Nowego zestawu wnętrzności. Masz jakiś pod ręką, Rhoda?

Uśmiechnęła się nerwowym, pełnym powątpiewania uśmiechem i poszła dalej. Tata podał mi szklankę, by postawić ją na stoliku.

– To dłuższa historia, trudno ją zapamiętać – powiedział. – Napełnisz mi szklankę, zanim wyjdziesz?

– Oczywiście, tato.

– Będziesz miał po tej historii koszmary, co, Mikey?

Otworzyłem usta, by skłamać, i nagle zmieniłem zdanie. Myślę, że gdybym skłamał, tata nie opowiedziałby mi nic więcej. Było z nim źle, to prawda, ale nie aż tak bardzo.

– Chyba tak – odparłem.

– To nie jest takie złe – powiedział. – W koszmarach wyobrażamy sobie to, co najgorsze. Wydaje mi się, że po to właśnie są.

Wyciągnął rękę i ująłem ją; trzymaliśmy się za ręce, podczas gdy tata dokończył swoją opowieść.

– Rozejrzałem się wokoło i zobaczyłem Treva i Dicka zmierzających w stronę frontu budynku. Pobiegłem za nimi, choć wciąż jeszcze miałem trudności z oddychaniem. Na zewnątrz było jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt osób, niektórzy płakali, inni rzygali, jeszcze inni krzyczeli; kilkoro z nich robiło wszystkie te trzy rzeczy naraz. Inni leżeli na trawie nieprzytomni, bo nałykali się za dużo dymu. Drzwi były zamknięte, ale słyszeliśmy, jak ludzie po drugiej stronie krzyczą, by ich wypuścić, otworzyć drzwi, na rany Chrystusa, bo przecież spalą się tam żywcem. To były jedyne drzwi, z wyjątkiem tych, które prowadziły przez kuchnię i przez które wynoszono śmieci. Aby wejść, musiałeś pchnąć drzwi. Aby wyjść, należało je pociągnąć. Grupie ludzi udało się wydostać i od razu skupili się przy drzwiach i zaczęli pchać. Drzwi zostały zatrzaśnięte. Ci w środku ogarnięci paniką również zaczęli napierać na drzwi. Powstała sytuacja patowa. Drzwi się zablokowały. Nie

sposób było ich otworzyć, kiedy z obu stron napierały nań dwie grupy śmiertelnie przerażonych ludzi. Ci w środku byli w pułapce, a pożar rozszalał się na dobre.

Gdyby nie Trev Dawson, który pierwszy zrozumiał, co się stało, zamiast osiemdziesięciu ofiar byłoby tam sto, a może nawet i dwieście. Ile on za to wycierpiał. Zamiast medalu zarobił dwa lata w karcerze w Rye.

Bo widzisz, właśnie wtedy przed szopą zatrzymała się ciężarówka. I jak myślisz, kto siedział za kółkiem? Oczywiście mój stary przyjaciel, sierżant Wilson, facet, który był panem wszystkich dołów na terenie bazy wojskowej. Wysiada i zaczyna wykrzykiwać bezsensowne rozkazy, których i tak nikt nie słuchał. Trev chwyta mnie za ramię i podbiegamy do niego. Wtedy straciłem z oczu aż do następnego dnia Dicka Halloranna.

– Sierżancie, muszę użyć pańskiej ciężarówki! – wrzeszczy mu prosto w twarz Trev.

– Zejdź mi z drogi, czarnuchu – odpowiada Wilson i odpycha go, przewracając na ziemię. Potem znów zaczyna wykrzykiwać jakieś bezsensowne rozkazy.

Nikt i tak go nie słuchał, ale Trevor Dawson poderwał się i uciszył go w dość radykalny

sposób. Trev potrafił nieźle przywalić i po jego ciosie prawie każdy runąłby jak kłoda na ziemię i już więcej by się nie podniósł, ale ten drań miał twardy łeb. Wstał, krew lała mu się z ust i z nosa i powiedział:

– Zabiję cię za to.

A wtedy Trev rąbnął go w żołądek i kiedy sierżant zgiął się wpół, złożyłem obie ręce i z całej siły wyrżnąłem go w kark. To był tchórzliwy czyn, uderzyć człowieka od tyłu w taki sposób, ale nie miałem wyboru. Sytuacja była rozpaczliwa. I skłamałbym, Mikey, gdybym powiedział, że przyłożenie temu parszywemu draniowi nie sprawiło mi satysfakcji.

Upadł jak ścięty. Trev podbiegł do ciężarówki, zapalił ją i wykręcił, aby zatrzymać wóz na wprost szopy, ale nieco po lewej stronie od drzwi. Wrzucił jedynkę, puścił sprzęgło i jazda!

– Uwaga! – krzyknąłem do tłumu ludzi przed drzwiami. – Uważajcie! Ciężarówka! – Rozpierzchli się jak przepiórki i do dziś dziwię się, jakim cudem Trev nikogo nie przejechał. Rąbnął w bok budynku z prędkością około trzydziestu mil na godzinę i przy zderzeniu rozwalił sobie twarz o kierownicę. Widziałem krew płynącą mu z nosa, kiedy potrząsnął głową, by odzyskać ostrość widzenia. Wrzucił wsteczny,

wycofał o jakieś pięćdziesiąt jardów i ponownie wjechał na ścianę szopy. Szopa była zrobiona z blachy falistej i drugie uderzenie okazało się wystarczająco silne. Cały bok tego wielkiego pieca runął i płomienie z rykiem wydostały się na zewnątrz. Nie wiem, w jaki sposób cokolwiek mogło tam w środku przeżyć, ale wiele osób jednak przeżyło. Ludzie są o wiele twardsi, niż może ci się wydawać, Mikey, a jeśli w to nie wierzysz, to spójrz na mnie, jak kurczowo trzymam się życia. To miejsce było jednym wielkim huczącym paleniskiem, buzującym piekłem dymu i płomieni, ale ludzie wybiegali stamtąd regularnym strumieniem. Było ich tak wielu, że Trev nie odważył się ponownie wycofać ciężarówki w obawie, by nie przejechać paru z nich. Po prostu zostawił ją tam i wyskoczywszy z szoferki, podbiegł do miejsca, w którym stałem. Staliśmy tam, patrząc, jak to się skończy. Powiedziano mi, że to nie trwało dłużej niż pięć minut, ale miałem wrażenie, jakby minęły całe wieki. Ostatni wybiegający z szopy ludzie się palili. Było ich tuzin, może mniej. Inni chwytali ich i przewracali na ziemię, a później turlali po niej, aby ugasić ogień. Spoglądając do środka, widzieliśmy ludzi, którzy wciąż jeszcze usiłowali

się wydostać z ognistej pułapki, i wiedzieliśmy, że to im się nie uda.

Trev złapał mnie za rękę, a ja ścisnąłem go z dwukrotnie większą siłą. Staliśmy tam, trzymając się za ręce, tak jak teraz ty i ja, on miał złamany nos, twarz zalaną krwią i oczy zapuchnięte tak, że wyglądały jak szparki, ale ani na chwilę nie odwracaliśmy wzroku od tych ludzi. To były prawdziwe upiory, lśniące duchy o kształtach kobiet i mężczyzn, usiłujące przedostać się w stronę wybitego przez Treva otworu w ścianie. Niektórzy wyciągali przed siebie ręce, jakby błagali o ratunek. Inni po prostu szli przed siebie, ale widzieliśmy, że ich chwile są już policzone. Ubrania tych ludzi stały w ogniu. Twarze zżerały płomienie. Przewracali się jeden po drugim i już się nie podnosili.

Ostatnia była kobieta. Jej sukienka spłonęła i widzieliśmy wszystko, co miała pod spodem. Paliła się jak świeca. Pod sam koniec miałem wrażenie, że mi się przygląda, i zobaczyłem, jak jej powieki się palą. Kiedy upadła, było po wszystkim. Cała szopa zmieniła się w jeden wielki słup ognia. Zanim przyjechały wozy straży pożarnej z bazy i stacji przy Main Street, budynek spalił się doszczętnie. I to cała historia pożaru w Black Spot, Mikey.

Wypił resztkę wody i podał mi szklankę, abym ją napełnił na korytarzu.

– Chyba dziś w nocy zleję się w łóżko, Mikey.

Pocałowałem go w policzek i wyszedłem na korytarz, żeby przynieść mu wody. Kiedy wróciłem, ponownie odpłynął w niebyt – jego oczy były szkliste i zamyślone. Kiedy postawiłem szklankę na nocnym stoliku, wymamrotał:

– Dziękuję. – Ledwo go zrozumiałem. Spojrzałem na zegarek na stoliku i zobaczyłem, że była już prawie ósma. Najwyższy czas, abym wrócił do domu. Pochyliłem się, aby go pocałować… i nagle usłyszałem swój szept:

– Co zobaczyłeś?

Jego powieki uniosły się nieznacznie na dźwięk mego głosu. Być może wiedział, że to ja, a może wydawało mu się, że usłyszał głos własnych myśli.

– C-c-coo?

– Co zobaczyłeś? – wyszeptałem. Nie chciałem tego usłyszeć, ale musiałem. Było mi jednocześnie gorąco i zimno, moje oczy płonęły, a dłonie były lodowate. Jednak musiałem wiedzieć. Chyba tak samo jak żona Lota musiała się odwrócić, aby zobaczyć zagładę Sodomy.

– To był ptak – powiedział. – Tuż nad ostatnim z uciekających. Może to był jastrząb. A może

pustułka. W każdym razie był wielki. Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem. Zamknęliby mnie w pokoju bez klamek. Ten ptak miał od jednego końca skrzydła do drugiego jakieś sześćdziesiąt stóp. Był wielkości japońskiego zero. Ale widziałem… widziałem jego oczy… i chyba To też mnie widziało. – Jego głowa przechyliła się na bok, w stronę okna, za którym z wolna zapadał zmierzch. – To spikowało i schwyciło ostatniego z mężczyzn. Złapało go za prześcieradło… i usłyszałem głośny trzepot skrzydeł… Ten odgłos brzmiał jak ryk płomieni… i wtedy ptak uniósł się wyżej… a ja pomyślałem, to niemożliwe, ptaki nie mogą wzlatywać w ten sposób… ale ten mógł, mógł… bo… bo… – Zamilkł.

– Dlaczego, tato? – wyszeptałem. – Dlaczego on mógł to zrobić?

– On nie wzleciał – stwierdził ojciec.

Siedziałem w milczeniu, sądząc, że ojciec zasnął. Nigdy dotąd tak się nie bałem… bo cztery lata temu widziałem tego ptaka. Jakimś trafem, nie wiem czemu, zupełnie zapomniałem o tym koszmarze. I dopiero ojciec mi o nim przypomniał.

– To się nie uniosło – powiedział – bo To płynęło w powietrzu. Płynęło z wiatrem. Do każdego ze skrzydeł miało przywiązany

sznurkami olbrzymi pęk balonów i unosiło się w powietrzu.

Ojciec zasnął.

1 marca 1985

To powróciło. Teraz jestem już tego pewny. Teraz już wiem. Będę czekał, ale w głębi serca jestem tego pewny. Nie wiem, czy zdołam to wytrzymać. Jako dziecko byłem do tego zdolny, ale z dziećmi jest zawsze inaczej. I to pod wieloma względami. Napisałem to wszystko zeszłej nocy w stanie swoistego amoku – mimo że i tak nie mógłbym pójść do domu.

Derry zostało skute grubą warstwą lodu i choć dziś rano wyszło słońce, nic się nie porusza.

Pisałem długo – do trzeciej na ranem, dociskając pióro coraz szybciej i szybciej, próbując przelać myśli na papier. Zapomniałem o tym, że gdy miałem jedenaście lat, widziałem tego wielkiego ptaka. Opowieść ojca obudziła we mnie wspomnienia… I już nigdy tego nie zapomnę. Nigdy. Wydaje mi się, że był to jego pożegnalny podarunek dla mnie. Można by rzec – straszny podarunek, ale również na swój sposób wspaniały.

Usnąłem tak, jak siedziałem – z głową leżącą na ramionach i notatnikiem i piórem tuż przede

mną. Dziś rano obudziłem się ze zdrętwiałym tyłkiem i bolącymi plecami, ale czułem się wolny… w pewnym sensie oczyszczony z tej starej opowieści. I nagle zobaczyłem, że w nocy miałem gościa. Nieoczekiwanie ktoś złożył mi wizytę. Błotniste ślady prowadziły od drzwi wejściowych biblioteki (które zamknąłem – jak zawsze zresztą) do stołu, przy którym spałem. Nie było śladów prowadzących z powrotem.

Cokolwiek to było, przyszło do mnie nocą, zostawiło swój talizman… i po prostu zniknęło.

Do lampki przy stoliku przywiązany był balon. Napełniony helem pławił się w promieniach porannego słońca wpadających przez szybę jednego z wysokich okien.

Widniał na nim rysunek przedstawiający moją twarz – pozbawioną oczu, ze strugami krwi spływającymi z rozszarpanych oczodołów, krzyk wykrzywił usta na cienkiej i nabrzmiałej gumowej skórze balonika. Spojrzałem na ten rysunek i krzyknąłem. Krzyk przemknął pośród ścian biblioteki i powrócił wraz z echem, wibrując na krętych metalowych schodkach umożliwiających dostęp do wyższych półek. Balon pękł z głośnym hukiem.

CZĘŚĆ III
DOROŚLI

Upadek
będący wynikiem rozpaczy i braku osiągnięć
jest przyczyną nowego przebudzenia,
będącego odwrotnością rozpaczy.
Do tego, czego nie zdołaliśmy osiągnąć,
czego odmawiano nam kochać,
co utraciliśmy w przewidywaniach przyszłych
upadków nieskończonego niezniszczalnego
William Carlos Williams, *Paterson*

Czy nie chce ci się już pójść do domu?
Czy nie chce ci się już pójść do domu?
Wszystkie boże dzieci w końcu
zmęczą się wędrówką.
Czy nie chce ci się już pójść do domu?

Joe South

ROZDZIAŁ 10
Ponowne spotkanie

1

Bill Denbrough łapie taksówkę

Dzwonek telefonu wyrwał go z głębokiego, pozbawionego marzeń snu. Sięgnął ręką w stronę aparatu, nie otwierając oczu, na wpół drzemiąc. Gdyby właśnie w tej chwili dzwonek ucichł, on ponownie zjechałby w mrok snów, i to tak łatwo i zgrabnie, jak niegdyś zjeżdżał na plastikowym talerzu z pokrytych śniegiem wzgórz McCarron Park. Najpierw brałeś rozpęd, a potem wskakiwałeś na talerz albo kładłeś się na nim na płask i już za chwilę sunąłeś w dół ze – zdawałoby się – prędkością dźwięku. Jako dorosły nie zrobiłbyś tego; mógłbyś przy tym nieźle poobijać sobie narządy.

Jego palce przesunęły się po tarczy telefonu, ześlizgnęły w dół i ponownie zaczęły się wspinać. Miał niejasne przeczucie, że to będzie Mike Hanlon. Mike Hanlon dzwoniący z Derry, mówiący mu, że musi wrócić, mówiący, że musi sobie przypomnieć, mówiący, że złożyli obietnicę, Stan Uris naciął im dłonie odłamkiem butelki po coli, a potem złożyli przysięgę…

Tylko że to wszystko już się stało.

Przyjechał wczoraj późnym popołudniem, ściśle rzecz biorąc, przed szóstą. Przypuszczał, że skoro był ostatni na liście Mike'a, to pozostali musieli już przybyć – niektórzy mogli spędzić tu wczoraj już prawie cały dzień. Jak na razie nie spotkał żadnego z nich i wcale nie było mu do tego spieszno. Po prostu zameldował się w hotelu, poszedł do swojego pokoju na piętrze, zamówił posiłek w room servisie i kiedy tylko mu go przyniesiono, od razu doszedł do wniosku, że go nie tknie, a potem położył się do łóżka i nie śniąc o niczym, spał aż do tej chwili.

Bill otworzył nieznacznie jedno oko i sięgnął po słuchawkę. Spadła na stolik i kiedy wyciągnął rękę, otworzył drugie oko. Czuł w głowie kompletną pustkę, jakby był zupełnie wyłączony i pracował tylko dzięki wmontowanym w ciele bateriom. Wreszcie zdołał dosięgnąć słuchawki.

Uniósł się na jednym łokciu i przyłożył ją do ucha.

– Halo?

– Bill? – To był głos Mike’a Hanlona, przynajmniej pod tym względem się nie omylił. W zeszłym tygodniu nawet nie pamiętał Mike’a, a teraz wystarczyło jedno słowo, aby go rozpoznał. To było wspaniałe… a jednocześnie na swój sposób złowieszcze.

– Tak, Mike.

– Obudziłem cię, co?

– Owszem. Ale to nic. – Na ścianie, nad telewizorem widniał obraz przedstawiający poławiaczy w żółtych sztormiakach i kapturach, zbierających pułapki na homary. Patrząc na ten obraz, Bill przypomniał sobie, gdzie się znajdował. Derry Town House przy Upper Maine Street. Pół mili dalej w górę ulicy, po jej drugiej stronie, znajdował się Bassey Park… Most Pocałunków… kanał.

– Która godzina, Mike?

– Za kwadrans dziesiąta.

– Którego?

– Trzydziestego. – Mike sprawiał wrażenie z lekka rozbawionego.

– Tak, jasne.

– Zorganizowałem nasze ponowne spotkanie – rzekł Mike nieco nieśmiałym tonem.

– Tak? – Bill zsunął nogi z łóżka. – Wszyscy przyjechali?

– Wszyscy oprócz Stana Urisa – odparł Mike. W jego głosie brzmiało coś, czego Bill nie potrafił zidentyfikować. – Bev była ostatnia. Przyjechała po tobie, pod wieczór.

– Czemu mówisz „ostatnia”, Mike? Stan może przyjechać jeszcze dzisiaj.

– Bill, Stan nie żyje.

– Co? Jak? Czy jego samolot…

– Nic z tych rzeczy – odparł Mike. – Posłuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym opowiedzieć o tym, kiedy będziemy już wszyscy w komplecie.

– Czy To ma z tym coś wspólnego?

– Tak, chyba tak. – Mike przerwał na chwilę. – Jestem pewny, że tak.

Bill poczuł, jak znajomy strach zagnieżdża się na powrót w okolicy serca. Czy to zawsze przychodziło tak łatwo? A może po prostu stale nosił to uczucie w sobie, ukryte gdzieś głęboko w mrocznym wnętrzu, jak coś, o czym się zwykle nie myśli, jak nieunikniony fakt własnej śmiertelności? Sięgnął po papierosy, zapalił

jednego i zdmuchnął zapałkę pierwszą smugą dymu.

– Oni też jeszcze się z sobą nie spotkali?

– Nie, nie sądzę.

– I jeszcze nie widziałeś żadnego z nas.

– Nie, z tobą pierwszym rozmawiam przez telefon.

– W porządku – powiedział. – Gdzie to ma się odbyć?

– A pamiętasz, gdzie była stara fabryka?

– No pewno. Przy Pasture Road.

– Masz przestarzałe informacje, koleś, teraz to się nazywa Mall Road. Jest tam trzecie co do wielkości w tym stanie centrum handlowe. Czterdzieści Osiem Różnych Stoisk Handlowych Pod Jednym Dachem Dla Wygody Naszych Klientów.

– Brzmi n-n-naprawdę p-po amerykańsku. W porządku.

– Bill?

– Co?

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Ale jego serce biło zbyt szybko, a czubek papierosa drżał nieznacznie. Zaczął się jąkać. Mike to usłyszał. Nastała chwila ciszy, po czym Mike powiedział:

– Jak miniesz centrum handlowe, zaraz obok znajduje się restauracja. Klejnot Wschodu. Mają tam salki, które można zarezerwować na prywatne przyjęcia. Zarezerwowałem jedną wczoraj. Możemy tam przesiedzieć nawet całe popołudnie, jeżeli będziemy chcieli.

– Myślisz, że to może potrwać tak długo?

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

– Taksiarz będzie wiedział, jak tam dojechać?

– Jasne.

– No to w porządku – powiedział Bill. Zapisał nazwę restauracji na kartce, przy telefonie. – Czemu tam?

– Bo to nowa restauracja – rzekł wolno Mike. – Wydaje mi się… że to tak, jakbyśmy się spotkali…

– Na neutralnym gruncie? – zapytał Bill.

– Tak. Chyba tak.

– A mają tam dobre jedzenie?

– Nie wiem… – odparł Mike. – Jak twój apetyt?

Bill wypuścił dym i na wpół się roześmiał, na wpół zakaszlał.

– Raczej kiepsko, stary.

– Tak – mruknął Mike – słyszę.

– W samo południe?

– Raczej o pierwszej. Pozwólmy Beverly trochę się zdrzemnąć.

Bill zgasił papierosa.

– Wyszła za mąż?

Mike ponownie się zawahał.

– Wszystkiego się dowiemy – odrzekł.

– Jak na zjeździe klasowym dziesięć lat po skończeniu szkoły, co? – rzekł Bill. – Zobaczymy, kto przytył, kto wyłysiał, kto ma dz-dz-dzieci.

– Chciałbym, aby tak było – powiedział Mike.

– Tak. Ja też, Mikey. Ja też.

Odłożył słuchawkę, wziął długi prysznic i zamówił śniadanie, na które nie miał ochoty i które w końcu ledwie tknął. O tak. Z jego apetytem było naprawdę kiepsko.

Bill wykręcił numer Big Yellow Cab Company i zamówił taksówkę na za kwadrans pierwsza, sądząc, że piętnaście minut w pełni wystarczy na dotarcie na Pasture Road (nadal nie potrafił myśleć o niej jako o Mall Road pomimo zauważonych domów towarowych)… ale nie przewidział korków… i tego, jak bardzo rozrosło się Derry. W 1958 roku było to po prostu duże miasteczko – nic więcej. W jego granicach mieszkało trzydzieści tysięcy ludzi, na obrzeżach jakieś siedem tysięcy.

Teraz było to miasto w pełnym tego słowa znaczeniu – bardzo małe w porównaniu z Londynem czy Nowym Jorkiem, ale wystarczające jak na standardy Maine, gdzie

największe miasto, Portland, liczyło ledwie trzysta tysięcy mieszkańców. Kiedy taksówka sunęła wolno wzdłuż Main Street (jesteśmy teraz nad kanałem, pomyślał Bill, nie widzę go, ale on tam jest, przepływa w ciemnościach), a potem skręciła w Center, jego pierwsza myśl była łatwa do przewidzenia – jak bardzo tu się zmieniło. Ale wraz z tą myślą pojawiła się również konsternacja, której bynajmniej się nie spodziewał. Pamiętał swoje dzieciństwo jako okres strachu i nerwowości… nie tylko z powodu lata pięćdziesiątego ósmego, kiedy cała ich siódemka stanęła w obliczu koszmaru, ale z powodu śmierci George'a, głębokiego snu, w jakim pogrążyli się po tym zdarzeniu rodzice, stałych utyskiwań na jego uciążliwe jąkanie się, Bowersa, Crissa i Hugginsa, którzy polowali na nich od dnia, kiedy w Barrens doszło do wielkiej bitwy na kamienie (Bowers, Huggins i Criss, o rany! Bowers, Huggins i Criss, o rany!), i przeczucia, że Derry patrzyło na to wszystko z zimną obojętnością, bo było twarde jak kamień i wcale go nie obchodziło, czy oni wszyscy będą żyć, czy zginą, i naturalnie, czy odniosą ostateczne zwycięstwo nad klownem Pennywise'em. Mieszkańcy Derry żyli z Pennywise'em w całej gamie jego wcieleń

bardzo, bardzo długo – i być może, w jakiś szalony sposób, zdołali go nawet zrozumieć. Polubić go. Mogli go potrzebować. Ale czy go kochali? Być może. Tak, może i tak. Skąd więc ta konsternacja? Być może stąd, że obecne Derry jakby przyblakło, poszarzało pośród zmian, jakie w nim zaszły. Miał wrażenie, jakby część tego miasta umarła.

Budynku Bijou Theater nie było – zastąpiono go parkingiem (WJAZD TYLKO ZA PRZEPUSTKAMI – głosił napis nad rampą. – WOZY BEZ UPOWAŻNIENIA BĘDĄ ODHOLOWYWANE). Podobnie rzecz się miała z Shoeboat i Bailley's Lunch, które stały tuż obok. Zastąpiła je filia Northern National Bank. Elektroniczny zegar na frontonie budynku pokazywał czas i temperaturę powietrza (tę ostatnią zarówno w stopniach Fahrenheita, jak i Celsjusza). Znikł również budynek drugstore'u Keene'a, w której Eddie swego czasu zaopatrywał się w lekarstwa na astmę. (Richard's Alley stała się dziwną hybrydą o nazwie Minicentrum Handlowe). Gdy taksówka zatrzymała się na światłach, Bill zobaczył sklep z płytami, sklep ze zdrową żywnością i sklep, gdzie można było nabyć zestaw do gier fantasy

Dungeons and Dragons. Taksówka ruszyła z ostrym szarpnięciem.

– To trochę potrwa – rzucił kierowca. – Szkoda, że w tych pierdolonych sklepach nie mają przerw na lunch o różnych godzinach. Przepraszam za mój język, jeżeli jest pan człowiekiem religijnym.

– W porządku – rzekł Bill.

Zachmurzyło się i na szybie pojawiły się pierwsze kropelki deszczu. W radiu podawano komunikat o ucieczce ze szpitala psychiatrycznego człowieka, jak twierdzono, wyjątkowo niebezpiecznego, a potem spiker burknął coś o zespole Red Sox, który wręcz przeciwnie – wcale nie był groźny. Deszcz pokropił i przestał. Kiedy Barry Manilow zaczął jękliwie zawodzić o Mandy, która przychodzi i daje, nie biorąc nic w zamian, taksiarz wyłączył radio. Bill zapytał:

– Kiedy one powstały?

– Co? Banki?

– Ehe.

– Większość pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych – stwierdził taksiarz.

Kierowca taksówki był potężnym facetem o grubym karku. Nosił czerwono-czarną

kraciastą kurtkę myśliwską. Na głowie miał przekrzywioną jaskrawopomarańczową czapeczkę. Była zabrudzona olejem silnikowym.

– Zrobili to z funduszu na renowację miasta. Tak to w każdym razie nazywali. Jak już zebrali trochę szmalu, zaczęli wszystko wyburzać w cholerę. I stawiać na te miejsca banki i centra handlowe. I to chyba wszystko, na co ich było stać. Dobre, co? Renowacja miasta, niech ich gęś kopnie. Zrobili nas w wała, panie. Przepraszam za mój język, jeżeli jest pan człowiekiem religijnym. Mówiło się sporo o tym, że należy ożywić śródmieście. Tak je ożywili, że szlag może trafić na miejscu. Rozpierdolili większość starych budynków i pobudowali na ich miejscu banki i parkingi. I mimo to człowiek nadal ma kłopoty z zaparkowaniem wozu. Nie ma, kurwa, miejsca. Całą radę miejską powinno się powywieszać za jaja. Z wyjątkiem tej babki, rozumiesz pan. Ją to ja bym powiesił za cycki. Choć wątpię, aby ona cokolwiek miała pod tą swoją bluzką. Jest płaska jak pierdolona deska. Przepraszam za mój język, jeśli jest pan człowiekiem religijnym.

– Jestem – odparł Bill z uśmiechem.

– To wysiadaj pan z wozu i zapierdalaj do kościoła, ale już – rzucił taksiarz, a chwilę potem obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Długo tu mieszkasz? – spytał Bill.

– Całe życie. Urodziłem się w szpitalu w Derry, a moje pieprzone szczątki spoczną na cmentarzu Mount Hope.

– Nieźle.

– Tak. Świetnie – przyznał taksiarz. Chrząknął, opuścił szybę i posłał pokaźną porcję ohydnej, żółtozielonej flegmy w wilgotne powietrze. Jego postawa, zadziorna, lecz na swój sposób atrakcyjna, ubarwiona odrobiną pikanterii, zdradzała człowieka szczerego i o sporym poczuciu humoru. – W moim obecnym, chujowym stanie jeszcze przez dobry tydzień nie będę potrzebował pieprzonej gumy do żucia… Przepraszam za mój język, jeśli jest pan człowiekiem religijnym.

– Nie wszystko się zmieniło – powiedział Bill. Przyprawiające o depresję rzędy banków i parkingów pozostały za nimi, kiedy wjechali na Center Street. Pokonali wzgórze i przejechali obok First National, a potem nieco przyspieszyli. – Kino Aladyn wciąż stoi.

– Tak. Ale nie wiadomo jak długo jeszcze. Te skurwiele chcą je tak samo rozpieprzyć.

– Żeby postawić kolejny bank? – spytał Bill i w głębi duszy był rozbawiony, że część jego „ja” była przerażona tą perspektywą. Nie mógł

uwierzyć, że ktokolwiek w tym mieście mógł chcieć zniszczyć tę wspaniałą świątynię przyjemności z jej błyszczącym szklanym żyrandolem, schodami po prawej i lewej stronie biegnącymi kręto na balkon i mamucią kurtyną, która nie tyle rozsuwała się, ile unosiła w magicznych fałdach i zwojach, kiedy zaczynał się spektakl, kurtyną podświetlaną bajecznymi czerwonymi, niebieskimi, żółtymi i zielonymi lampami, przy której unoszeniu korbowi za kulisami pojękiwali i stękali donośnie.

Nie Aladyn! – wykrzyknęła ta zszokowana część jego „ja”. Jak oni mogli w ogóle myśleć o zburzeniu Aladyna i zbudowaniu tam banku?

– Taak, banki – rzekł taksiarz. – Trafił pan, kurwa, w dziesiątkę. Przepraszam za mój język, jeżeli jest pan człowiekiem religijnym. Faceci z Penobscot chcieli położyć na nim łapę i postawić na tym miejscu coś, co nazwali centrum bankowo-handlowym. Załatwili wszystkie dokumenty z radą miejską i los Aladyna był przesądzony. I nagle grupa ludzi stworzyła komitet, byli to ludzie, którzy mieszkali tu od lat, składali petycje, urządzali marsze protestacyjne, wznosili okrzyki i w końcu doszło do oficjalnego spotkania z radą miejską,

i Hanlon dał tym gnojom bobu. Rozpieprzył ich aż miło.

Taksiarz sprawiał wrażenie szczerze ucieszonego tym faktem.

– Hanlon? – zapytał zdziwiony Bill. – Mike Hanlon?

– Ehe – odrzekł taksiarz. Odwrócił się nieznacznie, by spojrzeć na Billa, ukazując okrągłą, przykrytą czapką twarz i okulary w rogowych oprawkach ze starymi plamkami białej farby na łukach.

– Bibliotekarz. Czarny facet. Zna go pan?

– Znałem – rzekł Bill, przypominając sobie, jak spotkał się z Mikiem w 1958 roku. To, oczywiście, znowu stało się za sprawą Bowersa, Hugginsa i Crissa… oczywiście. Bowers, Huggins i Criss. O rany!

Grali w tym wszystkim poczesną rolę, sprawiając, że ich siódemka się połączyła. To dzięki nim się spotkali i dzięki nim stali się jedną zwartą grupą. Grupą przyjaciół.

– Bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy dziećmi. Zanim stąd wyjechałem.

– No i patrz pan – rzekł taksówkarz. – Jaki ten świat mały. Kurwa, jak mały, przepraszam za mój język…

– …jeśli jest pan człowiekiem religijnym – dokończył za niego Bill.

– No i patrz pan – powtórzył z ukontentowaniem taksiarz i przez chwilę jechali w milczeniu. Wreszcie się odezwał: – Derry sporo się zmieniło, ale wiele rzeczy pozostało tak jak dawniej. Town House, skąd pana zabrałem, stacja pomp w Memorial Park. Pamięta pan to miejsce? Kiedy byliśmy dziećmi, uważaliśmy, że to miejsce jest nawiedzone.

– Pamiętam je – odparł Bill.

– Patrz pan, to jest szpital. Pamięta go pan?

Mijali teraz po prawej szpital w Derry. Za nim Penobscot płynęła w stronę miejsca, gdzie spotykała się z Kenduskeag. Pod deszczowym wiosennym niebem rzeka przybrała ołowianoszary kolor. Szpital, który pamiętał Bill – biały drewniany budynek o dwóch skrzydłach i dwóch piętrach – wciąż tam stał, ale teraz wydawał się o wiele niższy, skarlały, otoczony przez cały kompleks budynków, których było może w sumie ze dwanaście. Dostrzegł parking po lewej stronie i doszedł do wniosku, że zmieści się na nim około pięciuset samochodów.

– Mój Boże, toż to nie szpital, tylko pierdolone miasteczko akademickie! – wykrzyknął Bill.

Taksiarz zachichotał.

– Jako człowiek niezbyt religijny odpuszczam panu to wyrażenie. Tak. Szpital jest naprawdę spory. Mają tu laboratoria radiacyjne, centrum terapeutyczne, sześćset pokojów, własną pralnię i Bóg jeden wie co jeszcze. Stary szpital nadal stoi, ale teraz mieszczą się w nim jedynie biura zarządu.

Bill doznał dziwnego uczucia, podobnego do tego, jakiego doświadczył, gdy oglądał po raz pierwszy film trójwymiarowy. Próba połączenia z sobą dwóch obrazów, które nie chciały się na siebie nałożyć. Mogłeś oszukać swoje oczy i mózg, robiąc tę sztuczkę, jak sobie przypominał, ale dostawałeś przy tym zawsze potwornego bólu głowy… i czuł, że właśnie teraz zaczynała go boleć głowa. Nowe Derry – świetnie. Ale stare Derry nadal tu było – jak drewniany budynek szpitala. Stare Derry zostało w dużej mierze pogrzebane pod nowymi konstrukcjami… ale twoje oko, jakimś dziwnym sposobem, potrafiło wyławiać stare budowle i choć nic nie mogłeś na to poradzić… bezustannie ich poszukiwało.

– Torowiska, jak sądzę, już nie ma? – zapytał Bill. Taksiarz ponownie się roześmiał.

– Jak na kogoś, kto wyjechał stąd jako dziecko, ma pan świetną pamięć.

Bill pomyślał: Powinieneś był mnie spotkać w zeszłym tygodniu, mój drogi, wulgarny przyjacielu.

– Wciąż jeszcze jest, ale teraz to już tylko same ruiny i zardzewiałe tory. Pociągi już się tam nie zatrzymują. Jakiś facet chce wykupić ten teren i zabudować go, jak trzeba. Rozumiesz pan, budki, sklepiki, salony gier dla dzieciaków, minigolf, gokarty, gry wideo i takie tam. Nie znam szczegółów, ale z tego, co słyszałem, o ten teren toczy się zacięta batalia. Wydaje mi się, że ostatecznie ten typ wygra, jest cholernie uparty; ale tymczasem sprawa trafiła do sądu.

– No i kanał – wymamrotał Bill, kiedy zjechali na Pasture Road, przy której stała teraz zielona tablica z napisem „Mall Road” – kanał wciąż tu jest.

Kiedy minęli po lewej stronie budynek centrum handlowego, Bill ponownie doznał tego uczucia co wcześniej. Gdy byli dziećmi, znajdowało się tu wielkie pole porośnięte gęstą, wysoką trawą, chwastami i gigantycznymi, kiwającymi głowami słonecznikami, które oznaczały północno-wschodni skraj Barrens. Nieco dalej, na zachód, znajdowała się dzielnica domów biedoty, Old Cape. Pamiętał, jak on i jego koledzy urządzali wyprawy na to pole, uważając,

aby nie wpaść do ziejącego otworu piwnicy Zakładów Kitchenera, które wyleciały w powietrze w Niedzielę Wielkanocną 1906 roku. Na polu znajdowało się mnóstwo szczątków, a oni odkopywali je z zainteresowaniem godnym archeologów badających egipskie ruiny. Wydobywali fragmenty cegieł, metalowe pojemniki, kawałki żelaza ze zwisającymi z nich zardzewiałymi śrubami, kawałki szkła, butelki pełne nieznanych płynów, które cuchnęły jak najgorsza na świecie trucizna. Nieopodal wydarzyło się coś złego – niedaleko stąd, w żwirowym dole, znajdującym się w pobliżu wysypiska śmieci, ale jak na razie, nie mógł sobie przypomnieć co. Pamiętał tylko nazwisko, Patrick Hockstetter, i że to miało coś wspólnego z lodówką. Przypominał sobie ptaka, który ścigał Mike'a Hanlona. Co…? Pokręcił głową. Fragmenty. Źdźbła trawy na wietrze. To było wszystko. Pola już nie było, podobnie jak szczątków fabryki.

Nagle Bill przypomniał sobie wielki komin Zakładów Kitchenera. Pokryty kafelkami, brudny od sadzy na ostatnich trzech jardach długości, leżał pośród gęstych traw niczym olbrzymia rura. Jednak w jakiś sposób udawało im się wdrapać na górę i chodzili po nim tam i z powrotem

z rozłożonymi szeroko ramionami jak linoskoczkowie w cyrku, śmiejąc się…

Potrząsnął głową, jakby chciał, aby ponura wizja centrum handlowego, zestawu brzydkich budynków ozdobionych napisami „Sears”, „J.C. Penney”, „Woolworth’s”, „CVS”, „York’s Steakhouse”, „Waldenbooks” i tuzinem innych zniknęła jak zły sen. A wraz z nią drogi dojazdowe i parkingi. Centrum handlowe nie znikło, ponieważ nie było złym snem ani fatamorganą. Zakłady Kitchenera przestały istnieć, podobnie jak porastające ruiny pola. To centrum było rzeczywistością, a nie zarejestrowane przez Billa wspomnienia.

Mimo wszystko jakoś nie mógł w to uwierzyć.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł taksiarz. Zatrzymał wóz na parkingu przed budynkiem, który wyglądał jak wielka plastikowa pagoda. – Trochę spóźnienia, ale jak to mówią, lepiej późno niż wcale, no nie?

– Jasne – odparł Bill. Dał taksiarzowi piątaka. – Reszty nie trzeba.

– Kurwa, ale kurs! – wykrzyknął taksiarz. – Jak będziesz pan jeszcze kiedyś potrzebował gdzieś jechać, niech pan zadzwoni do Big Yellow i zapyta o Dave’a. Niech pan zapyta bezpośrednio o mnie.

– Po prostu zapytam o religijnego faceta – rzekł z uśmiechem Bill – który całe swoje aspiracje wiąże z Mount Hope.

– Otóż to – rzucił Dave, śmiejąc się. – Wszystkiego dobrego.

– Nawzajem, Dave.

Stał przez chwilę w słabej mżawce, patrząc, jak taksówka odjeżdża. I nagle zdał sobie sprawę, że zapomniał zadać taksiarzowi jeszcze jedno pytanie – i być może zrobił to świadomie. Chciał zapytać Dave'a, czy podoba mu się życie w Derry. Nagle Bill Denbrough odwrócił się i wszedł do restauracji Klejnot Wschodu. Mike Hanlon czekał w holu, siedząc w wiklinowym fotelu. Wstał i Bill poczuł, jak ogarnia go potężna fala niedowierzania – miał wrażenie, że ta fala przepływa przez całe jego wnętrze. Ponownie powróciło uczucie podwójnej sensacji, ale tym razem było ono o wiele gorsze. Przypomniał sobie chłopca, który był zwinny, szczupły i miał jakieś pięć stóp i trzy cale wzrostu.

Przed nim stał mężczyzna mający pięć stóp i siedem cali. Był chudy. Ubranie na nim wisiało. Zmarszczki na jego twarzy mówiły, że przekroczył już czterdziestkę, choć naprawdę miał zaledwie trzydzieści osiem lat. Na twarzy

Billa musiał się pojawić wyraz osłupienia, bo Mike powiedział cichym tonem:

– Wiem, jak wyglądam.

Bill zaczerwienił się i rzekł:

– Nie jest tak źle, Mike, po prostu pamiętałem cię jako dzieciaka. To wszystko.

– Naprawdę?

– Wyglądasz na nieco zmęczonego.

– Jestem nieco zmęczony – rzekł Mike. – Ale dam sobie radę. Tak mi się przynajmniej wydaje.

I wtedy się uśmiechnął, a uśmiech rozpromienił jego twarz. Dopiero wówczas Bill zobaczył w nim chłopca, którego znał przed dwudziestu siedmiu laty. Jak stary, drewniany budynek szpitala uległ zdominowaniu przez kompleks nowoczesnych bloków z płyt i szkła, tak chłopiec, którego przed laty znał Bill, został zagłuszony nieodwracalnymi atrybutami dorosłości. Na jego czole widniały zmarszczki, bruzdy po obu stronach ust ciągnęły się do brody, a jego włosy nad uszami pokryły się siwizną. Ale podobnie jak stary szpital, mimo że nieco przysłonięty, mały chłopiec sprzed lat, przyjaciel Billa, był nadal widoczny.

Mike wyciągnął rękę i powiedział:

– Witaj znowu w Derry, Wielki Billu. – Bill zignorował jego dłoń i uściskał Mike’a. Ten

również objął go bardzo mocno i Bill poczuł dotknięcie jego sztywnych, kręconych włosów na ramieniu i szyi.

– Cokolwiek jest nie tak, Mike, zajmiemy się tym – rzekł Bill. Głos mu się łamał, zbierało mu się na płacz, ale bynajmniej tym się nie przejmował. – Już raz to pokonaliśmy i m-m-możemy zrobić t-t-to jeszcze r-r-raz.

Mike odsunął się od niego na odległość wyciągniętego ramienia i choć nadal się uśmiechał, w jego oczach widać było łzy. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł oczy.

– Jasne, Bill – powiedział. – Idę o zakład, że tak.

– Czy panowie zechcieliby udać się za mną? – zapytała hostessa. Była to uśmiechnięta kobieta orientalnego pochodzenia, odziana w zwiewne różowe kimono z wizerunkiem wyciągniętego jak struna smoka, o długim, zwiniętym w kłębek łuskowatym ogonie. Jej długie, ciemne włosy były ułożone w kok i spięte paroma grzebieniami z kości słoniowej.

– Znam drogę, Rose – rzekł Mike.

– Wyśmienicie, panie Hanlon. – Uśmiechnęła się do nich obu. – Sądzę, że wspaniale jest spotkać się w gronie starych przyjaciół.

– Myślę, że tak – odparł Mike. – Tędy, Bill.

Poprowadził go słabo oświetlonym korytarzem, mijając główną salę, w stronę drzwi przesłoniętych zasłoną z koralików.

– A inni? – spytał Bill.

– Już tam są – rzekł Mike. – Wszyscy, którzy mogli przybyć.

Bill zawahał się przez chwilę, zanim zdecydował się wejść do środka. Nagle ogarnął go strach. Nie bał się czegoś nieznanego czy nadnaturalnego. Po prostu zdawał sobie sprawę, że był piętnaście cali wyższy niż w 1958 roku i że obecnie stracił większość swojej niegdyś bardzo bujnej czupryny. Ogarnął go niepokój, prawie przerażenie, na myśl, że za moment miał ich zobaczyć ponownie – ich dziecięce twarzyczki zmienione i pogrzebane pod nowymi warstwami skóry i ciała jak stary budynek szpitala. Bał się banków, które mogły wyrosnąć we wnętrzach ich czaszek, gdzie niegdyś piętrzyły się olbrzymie czarodziejskie pałace z bajek.

Dorośliśmy, pomyślał. Nie sądziliśmy, że to nastąpi, nie sądziliśmy, że to może się nam przytrafić. Nie wtedy. Ale to nastąpiło. I kiedy tam wejdę, to stanie się rzeczywistością; teraz wszyscy jesteśmy dorośli.

Spojrzał na Mike’a zdezorientowany i onieśmielony zarazem.

– Jak oni wyglądają? – usłyszał swój drżący głos – Mike… jak oni wyglądają?

– Wejdź i sam zobacz – rzekł Mike łagodnym tonem, a potem wprowadził Billa do niewielkiej salki.

2

Bill Denbrough się rozgląda

Być może to po prostu słabe światło spowodowało tę iluzję trwającą nie dłużej niż mgnienie oka, niemniej Bill zastanawiał się później, czy nie była to swego rodzaju wiadomość przeznaczona wyłącznie dla niego – że los również może być litościwy.

W tej krótkiej chwili miał wrażenie, że żadne z nich nie dorosło – że jego przyjaciołom udało się powtórzyć sztuczkę Piotrusia Pana i wszyscy nadal byli dziećmi.

Richie Tozier siedział na odchylonym do tyłu krześle, tak że aż opierał się o ścianę i mówił coś do Beverly Marsh, która zasłaniała dłonią usta, aby przytłumić chichot. Na twarzy Richiego widniał znajomy cwaniacki uśmiech. Po lewej stronie Beverly siedział Eddie Kaspbrak, a przed nim na stole, obok szklanki z wodą, stała

plastikowa buteleczka z zakrzywioną rewolwerową rękojeścią u góry. Pomimo niezwykłego wyglądu jej przeznaczenie było oczywiste – to był aspirator.

Na końcu stołu, obserwując tę trójkę z mieszaniną strachu, rozbawienia i głębokiego skupienia, siedział Mike Hanlon.

Bill poczuł, że jego dłoń zaczęła wędrować w stronę głowy i z nieco gorzkim rozbawieniem zdał sobie sprawę, że już za chwilę podrapałby się po łysinie, aby sprawdzić, czy w jakiś czarodziejski sposób nie odrosły mu włosy; te gęste rude włosy, które zaczął tracić, kiedy był jeszcze studentem drugiego roku.

Czar prysnął. Zobaczył, że Richie nie nosił okularów, i pomyślał: Prawdopodobnie ma teraz szkła kontaktowe. Na pewno nie cierpiał tych okularów. Podkoszulek i sztruksy, jakie zwykle nosił, zastąpił elegancki, gustowny garnitur. Bill ocenił, że patrzy na dzieło krawca, które musiało kosztować dobre dziewięćset dolarów.

Beverly Marsh (jeżeli nadal nosiła nazwisko Marsh) zmieniła się w oszałamiająco piękną kobietę. Zamiast dawnego końskiego ogona jej włosy – o takim samym odcieniu jak zawsze – opadały na ramiona białej bluzki miedzianą strugą. W przyćmionym świetle miały barwę

żarzących się węgli. W blasku dnia, nawet tak pochmurnego jak dzisiejszy, Bill wyobrażał sobie, że jej włosy to żywy ogień. I zaczął się zastanawiać, jak by się czuł, wkładając w te włosy dłonie. Najstarsza historia świata, pomyślał, krzywiąc się. Kocham moją żonę, ale… a niech to, ty dzieciaku.

Eddie – to dziwne, aczkolwiek prawdziwe – jako dorosły przypominał nieznacznie Anthony'ego Perkinsa. Jego twarz pokryły przedwcześnie zmarszczki (choć w ruchach wydawał się młodszy zarówno od Richiego, jak i od Bena), a jeszcze bardziej postarzały go okulary bez oprawek – okulary, jakie mógł nosić brytyjski adwokat, gdy podchodził do ławy sędziowskiej albo przeglądał akta powierzonej mu sprawy.

Miał krótkie włosy, ułożone w niemodnym już dziś stylu, który pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych nosił nazwę Ivy League. Jego sportowa kurtka wyglądała, jakby kupił ją na wyprzedaży w sklepie, który okres prosperity miał już dawno za sobą i obecnie znajdował się na granicy bankructwa… ale zegarek na nadgarstku był prawdziwym cackiem firmy Patek Philippe, a w sygnecie na małym palcu prawej ręki błyszczał rubin. Kamień był

wielki, wyzywający i wspaniały, ale nie prawdziwy. Tylko Ben naprawdę się zmienił i patrząc na niego, Bill powtórnie poczuł, że ogarnia go fala niepewności. Jego twarz była taka sama, podobnie jak włosy, które – choć posiwiałe i nieco dłuższe – nadal zaczesywał na prawą stronę. Ale Ben schudł. Siedział swobodnie na krześle, a jego rozpięta prosta, skórzana kurtka odsłaniała znajdującą się pod spodem niebieską roboczą bluzę.

Nosił lewisy, kowbojskie buty i pas ze srebrną klamrą. Odzienie to opinało jego szczupłe ciało o wąskich biodrach. Na jednym nadgarstku miał miedzianą bransoletę o ciężkich ogniwach. On schudł, pomyślał Bill. To cień starego Bena… Stary dobry Ben schudł. A mówią, że cudów nie ma.

Nastała chwila ciszy. Billowi wydawało się, że to jedna z najdziwniejszych chwil w jego życiu. Stana brakowało, ale pomimo to było ich siedmioro. Tu, w tej niewielkiej restauracyjnej salce, Bill poczuł wyraźnie obecność jeszcze jednej osoby – tak silną, że niemal namacalną – ale tym kimś nie był starzec w białej szacie dźwigający na jednym ramieniu długą kosę. To biała plama na mapie, rozciągająca się pomiędzy 1958 a 1985 rokiem, obszar, który badacz mógłby

określić mianem Wielkiej Niewiadomej. Bill zastanawiał się, co tam się mogło znajdować. Beverly Marsh w krótkiej spódniczce odsłaniającej większą część jej długich, smukłych nóg. Beverly Marsh w białych botkach, z ufryzowanymi włosami, z przedziałkiem pośrodku? Richie Tozier trzymający w jednej ręce tablicę z napisem: SKOŃCZYĆ WOJNĘ, a w drugiej z napisem: ZAMKNĄĆ KAMPUS? Ben Hanscom w żółtym kasku na głowie, z planem budowy pod pachą, prowadzący buldożer, osłonięty od słońca płóciennym parasolem, półnagi, odsłaniający brzuch, który coraz mniej wystawał ponad paskiem jego spodni? Czy ta siódma postać była czarna?

Zero powiązań z panem H. Rap Brownem i Grandmaster Flash – nie ten facet – ten człowiek nosił proste, białe koszule i zlewające-się-z-tłem spodnie od J.C. Penney i siedział w bibliotece Uniwersytetu Maine, pisząc prace na temat przepisów i zalet wynikających z numeracji ISBN, podczas gdy na zewnątrz maszerowali manifestanci, Phil Ochs śpiewał: „Richardzie Nixonie, znajdź sobie inny kraj, którego mógłbyś być częścią”, a gdzieś tam, w wioskach, których nazw nawet nie sposób wymówić, ludzie ginęli z wnętrznościami na wierzchu. Siedział skupiony

nad swoją pracą (Bill zobaczył go oczyma wyobraźni) z twarzą, na której widniał wyraz powagi i głębokiego zamyślenia, czując, że jego powołaniem jest właśnie praca bibliotekarza. Czy to on był siódmym? A może to był młody człowiek stojący przed lustrem, patrzący, jak jego czoło z wolna powiększa swój zasięg, patrzący na kępki rudych włosów wyciągnięte spomiędzy zębów grzebienia i odbijający się w lustrze stos notatników uniwersyteckich – notatników, na których stronach zapisał swoją pierwszą powieść *Joanna* (opublikują ją rok później)?

Nade wszystko, przede wszystkim, mimo wszystko.

Ale to w sumie nieważne. Siódma postać była tam, pośród nich, i w tej krótkiej chwili wszyscy poczuli jej obecność… i kto wie, być może zdołali pojąć przerażającą moc istoty, która doprowadziła do ich ponownego spotkania.

To żyje, pomyślał Bill, czując, jak ogarnia go przejmujące zimno. Oko trytona, ogon smoka, ręka chwały… Czymkolwiek To było, znowu jest tutaj, tu w Derry. To.

I nagle poczuł, że To było siódmą osobą, że To i czas były w jakiś sposób wymienne, że To nosiło twarze ich wszystkich równie zgrabnie, jak tysiące innych, dzięki którym mogło przerażać

i zabijać… i perspektywa, że To mogło być nimi, w sumie najbardziej przerażała.

Jaką część nas zostawiliśmy tu, w Derry, przed laty? – pomyślał, czując narastające przerażenie. Jaka część nas pozostała na zawsze w ściekach i kanałach, gdzie To żyło… i żerowało? Czy dlatego zapomnieliśmy, że każdy z nas utracił część siebie, tę część, która nie miała przyszłości, nigdy nie dorosła ani nie opuściła Derry? Czy to dlatego?

Patrząc na ich twarze, nie doszukał się odpowiedzi… widział tylko własne pytania odbijające się od nich i powracające do niego. Myśli pojawiały się i przemijały, tworząc własne ramy czasowe, i wszystko to zaistniało w umyśle Billa Denbrough w ciągu zaledwie pięciu sekund.

I wtedy Richie Tozier opierający się o ścianę uśmiechnął się ponownie i rzekł:

– O rany, spójrzcie tylko na kopułę Billa Denbrough. Od jak dawna woskujesz sobie glacę, Wielki Billu?

A Bill, zupełnie nie mając pojęcia, co powie, otworzył usta i usłyszał swój własny głos:

– Pieprz się i swego konia, na którym jeździsz, Niewyparzona Gębo!

Nastała chwila ciszy i nagle w salce nastąpiła gwałtowna eksplozja śmiechu. Bill podszedł do

nich i zaczął się z nimi witać. Pomimo że w głębi serca czuł ogarniający go potworny strach, przy nich w jego wnętrzu zagościły błogość i szczęście. Dopiero teraz czuł, że naprawdę powrócił do domu.

3

Ben Hanscom chudnie

Mike Hanlon zamówił drinki i jakby w celu zamaskowania niedawnej chwili ciszy, wszyscy jednocześnie zaczęli mówić. Beverly Marsh, jak się okazało, nazywała się teraz Beverly Rogan. Powiedziała, że w Chicago poślubiła wspaniałego mężczyznę, który odwrócił jej życie o sto osiemdziesiąt stopni i jak za sprawą czarów zdołał przemienić ją z jej skromnym talentem do szycia w znaną projektantkę mody. Eddie Kaspbrak był właścicielem firmy wypożyczającej limuzyny w Nowym Jorku.

– Najprawdopodobniej moja żona jest teraz w łóżku z Alem Pacino – rzekł półżartem i pozostali wybuchnęli śmiechem.

Wszyscy wiedzieli, jak potoczyły się losy Billa i Bena, ale Bill odnosił dziwne wrażenie, że ich

zawody miały niewiele wspólnego z przyjaciółmi sprzed lat.

Beverly miała egzemplarze *Joanny* i *Black Rapids* w torebce (wydania w miękkich oprawach) i poprosiła go, żeby je podpisał. Bill zrobił to i przy okazji zauważył, że obie książki wyglądały zbyt świeżo, jakby kupiła je w kiosku na lotnisku, po wyjściu z samolotu. W tym samym tonie Richie powiedział Benowi, jak bardzo mu się podoba centrum łączności BBC w Londynie… ale w jego oczach można było dostrzec dziwne zakłopotanie, jakby nie potrafił skojarzyć tego budynku z tym człowiekiem… albo może raczej z grubym, palącym się do dzieła chłopcem, który pokazał im, w jaki sposób zatopić połowę Barrens za pomocą paru ukradzionych desek i zardzewiałych drzwiczek od samochodu. Richie był didżejem w Kalifornii. Powiedział im, że jest znany jako Człowiek Tysiąca Głosów, i Bill jęknął:

– Boże, Richie, twoje głosy zawsze były niesamowite.

– Pochlebstwa nic ci nie dadzą, misteł – odparł z dumą Richie.

Kiedy Beverly spytała, czy nosi teraz szkła kontaktowe, Richie powiedział cicho:

– Podejdź no bliżej, dzieeecino. Spójrz mi w oczy.

Beverly zrobiła to i wydała z siebie radosny okrzyk, kiedy Richie odchylił głowę, żeby mogła dostrzec dolne krawędzie szkieł, które nosił.

– Czy biblioteka jest nadal taka sama? – Ben zwrócił się do Mike'a Hanlona. Mike wyjął z portfela zdjęcie ukazujące bibliotekę z lotu ptaka. Pokazał je pozostałym z dumą mężczyzny, który pokazuje kolegom zdjęcie swoich dzieci, kiedy padło pytanie o jego rodzinę.

– Zrobił je jeden facet z samolotu – powiedział, gdy fotka wędrowała z rąk do rąk. – Próbowałem załatwić z radą miejską, żeby wykonać powiększenie tej fotki na ścianę biblioteki dziecięcej. Szukałem sponsorów. Jak na razie bez rezultatów. Ale dobre jest to zdjęcie, no nie?

Zgodzili się z nim. Ben trzymał je najdłużej, przyglądając mu się z uwagą. W końcu postukał palcem w wizerunek szklanego korytarza łączącego dwa budynki.

– Kojarzy ci się to z czymś, Mikey?

Mike się uśmiechnął.

– Twoje centrum łączności – powiedział i cała szóstka roześmiała się w głos.

Podano drinki. Usiedli. Ponownie zapadła nagła i nieprzyjemna cisza. Patrzyli na siebie nawzajem.

– No więc? – zapytała swoim słodkim, jakby trochę zdyszanym głosem Beverly. – Za co wypijemy?

– Za nas – rzekł nagle Richie. I teraz już się nie uśmiechał. Bill napotkał jego spojrzenie, a zawarta w nim siła była niemal nie do zniesienia; nagle Bill przypomniał sobie siebie i Richiego na środku Neibolt Street po tym, jak istota, która mogła być klownem lub równie dobrze wilkołakiem, zniknęła, obejmujących się nawzajem ramionami i płaczących jak bobry. Kiedy uniósł kieliszek, jego dłoń drżała i odrobina płynu wylała się na nakrycie.

Richie podniósł się powoli i reszta zaraz podążyła jego śladem – najpierw Bill, potem Ben i Eddie, Beverly, a na końcu Mike Hanlon.

– Za nas – powiedział Richie i jego dłoń, podobnie jak Billa, drżała nieznacznie. – Za Klub Frajerów, rocznik pięćdziesiąty ósmy.

– Za Frajerów – dołączyła się z lekka rozbawiona Beverly.

– Za Frajerów – rzekł Eddie. Jego twarz za szkłami okularów bez oprawek była blada i stara.

– Za Frajerów – rzucił Ben z lekkim uśmiechem.

Stuknęli się szkłem. Wypili. Ponownie zapadła cisza i tym razem Richie jej nie przerwał. Tym razem cisza wydawała się potrzebna.

Znowu usiedli.

– No to wal, Mike – przerwał ją Bill. – Powiedz nam, co się tu dzieje i co moglibyśmy zrobić.

– Najpierw zjedzmy – odparł Mike.

Jedli więc… jedli długo, ze smakiem. Jak w tym starym dowcipie o skazańcu, pomyślał Bill, ale tym razem – już od dawna – nie uskarżał się na brak apetytu. Ba, wydawało mu się, że od dzieciństwa apetyt tak mu nie dopisywał. Jedzenie nie należało do wyśmienitych, ale nie można powiedzieć, aby było niesmaczne, a poza tym było go w bród. Cała szóstka zaczęła się wymieniać półmiskami – żeberka, moo goo gaipan, duszone skrzydełka kurczaków, jajka, kasztany w plasterkach bekonu, kawałki wołowiny nadziane na drewniane szpikulce.

Zaczęli od talerzyków pu-pu, a Richie, bawiąc się przy tym jak dziecko, opiekał wszystko, co miał na talerzu, w naczyniu z płonącym alkoholem ustawionym przed tacą, którą dzielił z Beverly – włącznie z połówką porcji jajka i czerwoną fasolą.

– Uwielbiam jadać wszystko na gorąco – powiedział Benowi. – Zjadłbym nawet najgorsze gówno, gdyby mi je podsmażyli.

– Nie wątpię – rzucił Bill. Beverly dostała tak gwałtownego ataku śmiechu, że musiała wypluć w papierową serwetkę porcję jedzenia, którą właśnie włożyła do ust.

– Boże, chyba się porzygam – rzucił Richie, dziwnie udanie imitując głos Dona Pardo, i Beverly roześmiała się jeszcze bardziej, a jej policzki poczerwieniały.

– Przestań, Richie – powiedziała. – Ostrzegam cię.

– Ostrzeżenie przyjęte – rzekł Richie. – Smacznego, kochanie.

Rose osobiście przyniosła im deser – wielki kopiec pieczonej Alaski, który postawiła u szczytu stołu, na wprost Mike'a, a następnie podpaliła.

– Znowu podsmażana potrawa! – rzekł Richie głosem człowieka, który umarł i trafił prosto do nieba. – To może być najwspanialszy posiłek w moim życiu.

– Ależ oczywiście – powiedziała z przesadną skromnością Rose.

– Czy jeżeli to zdmuchnę, spełni mi się życzenie? – spytał.

– W Klejnocie Wschodu wszystkie życzenia się spełniają, proszę pana.

Uśmiech Richiego zgasł jak zdmuchnięta świeca.

– Doceniam pani zdanie – odparł – ale wątpię, aby było ono do końca prawdziwe.

Niemal natychmiast zabrali się do pałaszowania Alaski. Kiedy w końcu Bill usiadł wygodnie, odchylając się na krześle i poluzowując pasek u spodni, jego wzrok padł na stojące przed nim szklaneczki i kieliszki. Zupełnie jakby zobaczył je po raz pierwszy. Uśmiechnął się pod nosem, kiedy zdał sobie sprawę, że przed posiłkiem wysączył dwa martini i Bóg jeden wie ile butelek piwa Kirin. Inni również nie wylewali za kołnierz. W ich obecnym stanie mogliby, jak sądził, zjeść smażone kręgle i twierdzić, że były bardzo smaczne. Mimo wszystko nie czuł się pijany.

– Nie najadłem się tak, odkąd byłem dzieckiem – rzekł Ben. Spojrzeli na niego, co wywołało na jego policzkach słabe rumieńce. – Mówię poważnie. To największy posiłek, jaki zjadłem, odkąd byłem w drugiej klasie liceum.

– Przeszedłeś na dietę? – zapytał Eddie.

– Dokładnie. Dietę Wolności Bena Hanscoma.

– Co cię do tego skłoniło? – spytał Richie.

– Nie chcecie usłyszeć tej opowieści sprzed lat… – Ben poruszył się niezgrabnie na krześle.

– Nie wiem jak reszta – powiedział Bill – ale ja chcę. No, dalej, Ben. Wal śmiało. Co sprawiło, że Haystack Calhoun zmienił się w modela, którego widzimy dziś przed sobą?

Richie prychnął.

– Haystack, racja. Zupełnie o tym zapomniałem.

– To nic takiego – rzekł Ben. – Żadna tam opowieść. Serio. Po lecie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku pozostaliśmy w Derry jeszcze przez dwa lata. Potem mama straciła pracę i musieliśmy wyjechać do Nebraski, ponieważ miała tam siostrę, która zgodziła się nas przyjąć do czasu, aż mama ponownie stanie na nogi. To było okropne. Jej siostra, moja ciotka, Jean, była paskudnym babsztylem, przez cały czas dawała nam do zrozumienia, gdzie jest nasze miejsce, jak to dobrze, że moja matka miała siostrę, która się nad nami ulitowała, jakie to szczęście, że nie wylądowaliśmy na zasiłku i takie tam rzeczy. Moja tusza budziła w niej obrzydzenie. Nie dawała mi spokoju. „Ben, powinieneś więcej ćwiczyć. Ben, dostaniesz ataku serca, zanim dobijesz czterdziestki, jeżeli nie stracisz choć

trochę na wadze. Ben, tyle dzieci na całym świecie głoduje, powinieneś się wstydzić”. – Przerwał na chwilę i upił łyk wody. – Najgorsze było to, że wchodziła na temat głodujących dzieci nawet wtedy, gdy nie zjadałem wszystkiego z talerza.

Richie roześmiał się i skinął głową.

– W każdym razie kraj wychodził właśnie z recesji, a moja matka już blisko rok była na stałej posadzie. Potem wyprowadziliśmy się od ciotki Jean z La Visty i wyjechaliśmy do Omaha. W tym czasie, wyobraźcie sobie, przytyłem prawie dziewięćdziesiąt funtów. Myślę, że głównie dlatego, aby zrobić na złość ciotce Jean.

Eddie gwizdnął przez zęby.

– No, to musiałeś ważyć jakieś…

– Jakieś dwieście dziesięć funtów – zakończył z powagą w głosie Ben. – Kiedy trafiłem do liceum, prawdziwym koszmarem stały się dla mnie lekcje WF-u. Dzieciaki przezywały mnie „Cycki”. Wyobraźcie to sobie. Przezywali mnie przez dobre siedem miesięcy, aż wreszcie któregoś dnia, kiedy przebieraliśmy się w szatni, dwóch czy trzech chłopaków zaczęło… klepać mnie po brzuchu. Nazywali to „uklepywaniem tłuszczu”. Niebawem dołączyło do nich dwóch czy trzech innych. Potem jeszcze czterech czy

pięciu. Wkrótce miałem na karku ich wszystkich, gonili mnie pomiędzy szafkami, po całym pomieszczeniu i korytarzu, okładając mnie po brzuchu, tyłku, plecach i nogach. Przestraszyłem się i zacząłem krzyczeć. Tamci, widząc to, zarykiwali się ze śmiechu. Wiecie – powiedział, spuszczając wzrok i układając z pietyzmem sztućce – wtedy po raz ostatni pomyślałem o Henrym Bowersie aż do przedwczoraj, kiedy zadzwonił do mnie Mike. Dzieciak, który to zaczął, był chłopakiem ze wsi, miał wielkie zniszczone ręce i kiedy tamci mnie gonili, pamiętam, że miałem wrażenie, jakby Henry wrócił. Myślę… nie, wiem, że właśnie wtedy wpadłem w panikę. Przegonili mnie przez korytarz, obok szafek, gdzie chłopcy uprawiający różne sporty przechowywali swoje rzeczy. Byłem nagi i czerwony jak homar. Można by rzec, że doszczętnie straciłem poczucie godności… i własnej wartości. Zapomniałem, gdzie byłem. Zacząłem wzywać pomocy. A oni biegli za mną, wołając: „Uklepać mu tłuszcz! Uklepać mu tłuszcz!”. Na korytarzu stała ławka…

– Ben, nie musisz tego opowiadać – powiedziała nagle Bev. Jej twarz była popielatobiała. Bawiła się szklaneczką z wodą, tak że niemal wylała jej zawartość.

– Daj mu skończyć – rzekł Bill.

Ben patrzył na niego przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– Ławka stała na końcu korytarza. Przewróciłem się o nią i rąbnąłem głową. W minutę czy dwie tamci obstąpili mnie ciasnym kręgiem, a potem usłyszałem: „Dobra. Wystarczy. Idźcie się przebrać". W drzwiach stał trener ubrany w niebieskie spodnie od dresu z białym pasem po bokach i biały podkoszulek. Nie mam pojęcia, jak długo tam stał. Tamci spojrzeli na niego, paru się uśmiechało, niektórzy czuli się winni i zawstydzeni, jeszcze inni sprawiali wrażenie, jakby w ogóle ich tu nie było. Odeszli. A ja wybuchnąłem płaczem. Trener stał w drzwiach sali gimnastycznej, przyglądając mi się, przyglądając się temu nagiemu, grubemu chłopakowi ze skórą całą czerwoną od mocnego poklepywania, przyglądając się temu grubemu chłopakowi, leżącemu na podłodze i płaczącemu jak bóbr. W końcu powiedział: „Czemu się, kurwa, wreszcie nie zamkniesz?". To słowo w jego ustach tak mnie zaskoczyło, że natychmiast przestałem. Uniosłem wzrok i spojrzałem na niego, a on podszedł do mnie i przysiadł na ławeczce, którą przewróciłem. Pochylił się nade mną, a gwizdek na sznurku,

który nosił na szyi, zakołysał się i uderzył mnie w czoło. Przez chwilę miałem wrażenie, że chce mnie pocałować albo coś w tym rodzaju, i odsunąłem się od niego, ale kiedy to zrobiłem, on ujął moje cycki w swoje dłonie i ścisnął je. Potem odsunął ręce i otarł je o spodnie, jakby dotknął czegoś brudnego. „Myślisz, że mam zamiar cię pocieszać? – zapytał. – Skądże. Budzisz w nich obrzydzenie. We mnie zresztą też. Z różnych wprawdzie powodów, ale to dlatego, że ja jestem dorosły, a oni są dziećmi. Oni nie wiedzą, dlaczego budzisz w nich obrzydzenie. Ja wiem. To dlatego, że grzebiesz swoje dobre, dane ci przez Boga ciało pod grubą warstwą tłuszczu. To głupota. Prawdę mówiąc, na twój widok chce mi się rzygać. A teraz posłuchaj mnie, Benny, bo powiem to tylko raz. Jestem trenerem drużyny futbolowej i zespołów koszykówki, i biegaczy. Gdzieś pomiędzy nimi plasuje się grupa pływaków. Powiem to tylko raz. Jesteś tłusty, o tu, w środku. – I postukał mnie w czoło, w miejscu, gdzie uderzył mnie ten jego cholerny gwizdek. – Tam wszyscy są tłuści. Zarządź dietę temu, co znajduje się pomiędzy uszami, i zaczniesz chudnąć. Ale takim jak ty to się nigdy nie udaje”.

– Co za drań! – rzuciła z oburzeniem Beverly.

– Tak – zgodził się Ben i się uśmiechnął. – Ale był taki głupi, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Prawdopodobnie oglądał ze sześćdziesiąt razy Jacka Webba w *The D.I.* i wydawało mu się, że wyświadcza mi przysługę. I jak się okazało, rzeczywiście tak było. Bo właśnie wtedy coś przyszło mi do głowy. Pomyślałem… – Odwrócił wzrok, zasępił się i Bill odniósł dziwne wrażenie, że wiedział, co Ben powie, zanim jeszcze te słowa zostały wyartykułowane. – Jak już mówiłem, ostatni raz pomyślałem o Henrym Bowersie, kiedy byłem ścigany i poklepywany po całym ciele przez grupkę tych rozkrzyczanych chłopaków. No cóż, kiedy trener zbierał się do odejścia, pomyślałem, jak mi się dziś wydaje, po raz ostatni o tym, co zrobiliśmy latem pięćdziesiątego ósmego. Pomyślałem…

Ponownie się zawahał i powiódł wzrokiem po ich twarzach.

– Pomyślałem o tym, jak dobrze było nam razem. Pomyślałem o tym, co zrobiliśmy i jak, i nagle doszedłem do wniosku, że gdyby trener musiał przejść przez podobny koszmar, prawie na pewno by posiwiał, a serce w jego piersi zatrzymałoby się jak zegarek z pękniętą sprężyną. Rzecz jasna to nie było fair, ale on

również nie postępował fair wobec mnie. Po prostu…

– …się wściekłeś – dokończył Bill.

Ben się uśmiechnął.

– Tak. Właśnie – powiedział. – Zawołałem: „Trenerze!”. Odwrócił się i spojrzał na mnie. „Mówi pan, że sprawuje opiekę nad biegaczami?” – spytałem. „Tak – odrzekł. – I co z tego?”. „Posłuchaj no, ty wszawy, głupi, tępy sukinsynu – powiedziałem i opadła mu dolna szczęka, a oczy wyszły z orbit. – W marcu wyzwę ludzi z twojego zespołu. Zmierzę się z nimi. Co ty na to?”. „Myślę, że będzie lepiej, jak zamkniesz dziób, zanim napytasz sobie biedy”. „Zamierzam wygrać wyścig z każdym, kogo wystawisz – powiedziałem. – Prześcignę najlepszych z drużyny. A potem, kurwa, zażądam, żebyś mnie przeprosił”. Jego pięści zacisnęły się i przez chwilę miałem wrażenie, że podejdzie do mnie i mi przyłoży. Potem znowu je rozluźnił. „Gadaj zdrów, grubasku – odezwał się łagodnie. – Mielesz ozorem jak wariat. Ale w dniu, kiedy prześcigniesz najlepszych z mojej drużyny, rzucę tę robotę i wrócę na wieś zbierać kukurydzę”. A potem odszedł.

– Zrzuciłeś wagę? – spytał Richie.

– Nooo… zrzuciłem – rzekł Ben. – Ale trener się mylił. To nie zaczęło się w mojej głowie. To zaczęło się od mojej matki. Tego wieczoru poszedłem do domu i powiedziałem jej, że chcę schudnąć. Skończyło się to straszną kłótnią, a w końcu oboje rozpłakaliśmy się na dobre. Ona stale powtarzała to samo: że nie jestem naprawdę gruby, tylko mam grube kości, a duży chłopiec musi dużo jeść, żeby stać się dużym mężczyzną. Wydaje mi się, że było to dla niej… swego rodzaju gwarantem bezpieczeństwa. Próba samodzielnego wychowania chłopca była dla niej czymś strasznym. Nie miała żadnego doświadczenia ani umiejętności, tylko żarliwą chęć do ciężkiej pracy. A kiedy mogła mi dać drugą dokładkę… albo kiedy spojrzała na mnie zza stołu i widziała, że wyglądam solidnie…

– Czuła się, jakby wygrywała walkę – rzekł Mike.

– Ehe. – Ben wypił resztkę swego piwa i starł wierzchem dłoni mały wąsik z piany nad górną wargą. – Dlatego też największym przeciwnikiem w tej bitwie nie byłem ja sam, lecz ona. Nie chciała się z tym pogodzić przez wiele miesięcy. Nie chciała kupować mi nowych ubrań i musiałem chodzić w starych ciuchach. Wtedy sporo biegałem, prawdę mówiąc, biegałem

prawie wszędzie; czasami serce waliło mi w piersi jak oszalałe i bałem się, że wykorkuję. Po pierwszej mili porzygałem się jak kot, a potem straciłem przytomność. Przez jakiś czas tylko rzygałem. A później w trakcie biegu musiałem przytrzymywać spodnie. Roznosiłem gazety i biegałem z torbą zawieszoną na szyi i obijającą się o klatkę piersiową i ciągle podciągałem spodnie. Moje koszule zaczęły wyglądać jak żagle. A wieczorami, kiedy wracałem do domu i zjadałem tylko połowę tego, co otrzymywałem na talerzu, moja matka wybuchała płaczem i mówiła, że umrę z głodu, że się zabiję, że już jej nie kocham i że nie obchodzi mnie, jak ona się dla mnie zaharowuje.

– Chryste – mruknął Richie, zapalając papierosa. – Nie wiem, jak mogłeś to wszystko wytrzymać, Ben.

– Przez cały czas miałem przed oczami twarz trenera. Przypominałem sobie, jak wyglądał po tym, gdy tego dnia w korytarzu złapał mnie za cycki. Właśnie tak, tego dokonałem. Z pieniędzy za roznoszenie gazet kupiłem sobie nowe dżinsy, a pewien stary facet, który mieszkał na parterze, wybił mi szydłem parę nowych dziurek w pasku, pięć, o ile dobrze pamiętam. Chyba przypomniałem sobie wtedy, jak poprzednim

razem musiałem kupić sobie nową parę dżinsów, po tym jak Henry zepchnął mnie do Barrens i ze starych spodni zostały tylko same strzępy.

– Tak – rzekł Eddie z uśmiechem. – Wtedy powiedziałeś mi o mleku czekoladowym. Pamiętasz?

Ben skinął głową.

– Jeżeli to sobie przypomniałem – ciągnął – to tylko przez chwilę i zaraz znowu zapomniałem. W tym samym czasie przerzuciłem się na zdrową żywność i doszedłem do wniosku, że mogę jeść tyle zieleniny, ile dusza zapragnie, a i tak od tego nie przytyję. Któregoś wieczoru matka nałożyła mi potężną porcję sałatki z sałatą, szpinakiem, kawałkiem jabłka, i do tego odrobinę szynki. Nigdy nie przepadałem za zieleniną, ale zjadłem aż trzy dokładki i przez cały czas powtarzałem mamie, że to było naprawdę pyszne. Tak oto rozpoczęła się długa droga prowadząca do rozwiązania problemu. Bo mojej matki nie obchodziło, co jadłem, żebym tylko jadł dużo. Zasypywała mnie sałatkami. Jadłem je przez następne trzy lata. Bywało, że od czasu do czasu spoglądałem w lustro, aby się upewnić, że mój nos nie zaczął się kurczyć.

– A co z trenerem? – zapytał Eddie. – Doszło do tego wyścigu? – Dotknął swego aspiratora,

jakby przypomniała mu o nim myśl o biegu.

– O tak. Doszło – rzekł Ben. – Na dwieście dwadzieścia i czterysta czterdzieści. Wtedy straciłem już siedemdziesiąt funtów i podrosłem dwa cale, tak że to, co zostało, było nieco lepiej rozłożone. Pierwszego dnia zwyciężyłem na dwieście dwadzieścia o sześć długości, a na czterysta czterdzieści o osiem. Potem podszedłem do trenera, który wyglądał tak, jakby miał ochotę zacząć żuć gwoździe i spluwać zszywkami, i powiedziałem: „Chyba już czas, żebyś wyjechał na wieś i zabrał się do zbierania kukurydzy, no nie? No to kiedy planujesz wyjazd do Kansas?”. W pierwszej chwili nic nie powiedział, a potem zamachnął się i rąbnął mnie tak, że wylądowałem na ziemi. Kazał mi zejść z bieżni. Oznajmił, że nie chce takiego wyszczekanego cwaniaczka jak ja w swojej drużynie. „Nie przyłączyłbym się do niej, nawet gdyby zaproponował mi to prezydent Kennedy – odparłem, wycierając krew z kącika ust. – Co się tyczy naszej umowy, skoro nie chcesz jej dotrzymać, to twoja sprawa, ale odtąd, kiedy będziesz siadał do talerza z kukurydzą, pomyśl o mnie”. Powiedział, że jeżeli natychmiast nie opuszczę bieżni, to tak mi dopieprzy, że popamiętam. – Ben uśmiechnął się pod nosem…

ale w tym uśmiechu nie było nic przyjemnego, a z całą pewnością nic nostalgicznego. – To jego słowa. Wszyscy na nas patrzyli, włącznie z dzieciakami, które pokonałem. Wyglądali na nieźle zakłopotanych. A ja rzuciłem tylko: „Powiem panu coś, trenerze. Puszczam to, co usłyszałem, w niepamięć, bo jest pan przegranym frajerem, ale zbyt starym, aby móc się jeszcze czegoś nauczyć. Jeśli jednak nie da mi pan spokoju i będzie się mnie czepiał, dopilnuję, aby stracił pan tę robotę. Nie jestem pewien, czy potrafię tego dokonać, ale może pan być pewien, że dam z siebie wszystko. Postaram się do tego doprowadzić. Zrzuciłem te parę funtów, więc chyba zasługuję na odrobinę szacunku i spokoju. To są rzeczy, o które warto walczyć”.

– Wszystko to brzmi cudownie, Ben… ale tkwiący we mnie pisarz nie sądzi, aby jakikolwiek dzieciak mógł przemawiać w taki sposób – wtrącił Bill.

Ben skinął głową, wciąż uśmiechając się tym szczególnym uśmiechem.

– Wątpię, aby jakikolwiek dzieciak, który nie przeszedł przez to, co my, był do tego zdolny – odrzekł. – Ale ja to powiedziałem… i rzeczywiście, tak właśnie myślałem.

Bill zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– W porządku.

– Trener cofnął się, z rękoma na biodrach – rzekł Ben. – Otworzył usta, a potem znowu je zamknął. Nikt nie odezwał się słowem. Odszedłem i to był ostatni raz, kiedy miałem cokolwiek do czynienia z trenerem Woodleigh, a kiedy moja wychowawczyni wręczyła mi cenzurkę, przy rubryce z napisem „WF". widniały jego podpis i słowo „zwolniony".

– Pokonałeś go! – wykrzyknął Richie i potrząsnął nad głową złączonymi rękoma. – Świetnie, Ben!

Ben wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że pokonałem część siebie. Trener mnie zmobilizował… ale to myśl o was sprawiła, że tego dokonałem. Uwierzyłem, że zdołam to zrobić. I zrobiłem.

Bill miał wrażenie, że na czole Bena dostrzega drobniutkie kropelki potu.

– Koniec Prawdziwych Zwierzeń. Prawdę mówiąc, mam chęć na jeszcze jedno piwo. Gadanie strasznie rozbudza pragnienie.

Mike dał znak kelnerce. Cała szóstka zamówiła jeszcze jedną kolejkę i dopóki nie przyniesiono drinków, rozmawiała o różnych

błahostkach. Bill spojrzał w głąb swego piwa i obserwował wypływające na jego powierzchnię bąbelki. Był zarazem zadowolony i przerażony, miał bowiem nadzieję, że to ktoś inny rozpocznie opowieść o minionych latach – że Beverly opowie im o wspaniałym mężczyźnie, za którego wyszła (nawet jeżeli był nudny, jak większość wspaniałych mężczyzn), albo że Richie Tozier zacznie im opowiadać Zabawne Incydenty, Jakie Zdarzały Się w Studiu Nagrań, albo że Eddie Kaspbrak zdradzi im, jaki naprawdę był Teddy Kennedy, wielkość napiwków, jakie daje Robert Redford, czy też podzieli się swoimi uwagami na temat, ile funtów więcej mógłby stracić Ben, gdyby korzystał z aspiratora.

Faktem jest, pomyślał Bill, że lada moment Mike zacznie mówić, a ja nie jestem pewny, czy chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia. To prawda, że moje serce bije nieco zbyt szybko, a moje dłonie są nieco zbyt chłodne. Mam też o dobre dwadzieścia pięć lat za dużo, aby się bać. Jesteśmy tutaj. No więc niech ktoś coś powie. Pogadajmy o karierach, małżonkach, o tym, jak dobrze jest się spotkać ze starymi przyjaciółmi i dojść do wniosku, że czas dał nam wszystkim prztyczka w nos. Pomówmy o seksie, baseballu, cenie benzyny i przyszłości narodów Układu

Warszawskiego. O czymkolwiek. Prócz tego, po co tu naprawdę przyjechaliśmy. No więc niech ktoś coś powie.

Tak też się stało. Zrobił to Eddie Kaspbrak. Ale nie mówił o Teddym Kennedym, napiwkach Roberta Redforda ani nawet o tym, czemu nadal miał przy sobie coś, co Richie w dawnych czasach nazywał „wysysaczem płuc Eddiego". Spytał, kiedy umarł Stan Uris.

– Przedwczoraj wieczorem. Kiedy do was zadzwoniłem.

– Czy to… miało związek z tym, dlaczego tu przybyliśmy?

– Mógłbym odpowiedzieć wymijająco i twierdzić, że skoro nie zostawił żadnego listu, nikt nie może wiedzieć na pewno – odparł Mike. – Ale jako że stało się to bezpośrednio po moim telefonie, myślę, że to przypuszczenie jest całkiem słuszne.

– On się zabił, prawda? – spytała ponuro Beverly. – O Boże, biedny Stan.

Pozostali patrzyli na Mike'a, który dopił swego drinka i powiedział:

– Tak. Popełnił samobójstwo. Wkrótce po moim telefonie poszedł do łazienki, napuścił wody do wanny, wszedł do niej i podciął sobie żyły.

Bill spojrzał na stół, którego nakrycie wyglądało teraz jak pokryte zszokowanymi, bladymi twarzami – nie ciałami, lecz twarzami wyglądającymi jak białe koła. Jak białe balony, księżycowe balony zebrane w jednym miejscu na mocy starej umowy, która już dawno powinna zostać anulowana.

– Jak się o tym dowiedziałeś? – spytał Richie. – Pisali o tym w tutejszych gazetach?

– Nie. Od jakiegoś czasu mam subskrybcję na gazety wydawane w rejonach waszych miejsc zamieszkania. Miałem na was oko od lat.

– Jak szpieg. – Na twarzy Richiego pojawił się wyraz goryczy. – Dzięki, Mike.

– To była moja praca – stwierdził zwyczajnie Mike.

– Biedny Stan – powtórzyła Beverly. Sprawiała wrażenie oszołomionej, jakby nie potrafiła przyjąć do wiadomości tego, co się stało. – Ale wtedy był taki… dzielny. Tak zdecydowany… zdeterminowany.

– Ludzie się zmieniają – rzekł Eddie.

– Czyżby? – spytał Bill. – Stan był… – Powiódł dłońmi po obrusie, próbując znaleźć właściwe słowa. – Był człowiekiem zdyscyplinowanym. Z rodzaju tych, którzy stawiając książki na półkach, rozdzielają wyraźnie beletrystykę

i literaturę faktu… a na dodatek w każdym z tych działów pozycje układają w porządku alfabetycznym. Pamiętam, jak kiedyś coś do mnie powiedział, nie pamiętam, kiedy to było ani gdzie, w każdym razie jeszcze nie mogę sobie tego przypomnieć, ale myślę, że to musiało się wydarzyć pod sam koniec. Powiedział, że mógł znieść to, że się bał, ale nie cierpiał być brudny. To wydawało mi się swoistą esencją naszego Stana. Może kiedy Mike zadzwonił, po prostu uznał, że tego już za wiele. Doszedł do wniosku, że ma tylko dwa wyjścia: pozostać przy życiu i upaprać się albo umrzeć czysty. Może ludzie wcale nie zmieniają się aż tak, jak się nam wydaje. Może po prostu stają się… bardziej kategoryczni.

Nastała chwila ciszy i wtedy Richie powiedział:

– W porządku, Mike. Co się dzieje w Derry? Opowiedz nam.

– Dobrze – rzekł Mike. – Opowiem wam, co ostatnio dzieje się w Derry, i dodam jeszcze parę rzeczy o was samych. Ale nie opowiem wam o wszystkim, co się stało tamtego dnia w pięćdziesiątym ósmym, i wątpię, abym kiedykolwiek musiał to zrobić. Prędzej czy później i tak wszystko sobie przypomnicie. Poza

tym wydaje mi się, że gdybym zdradził wam za dużo, zanim wasze umysły byłyby gotowe to sobie przypomnieć, to, co przydarzyło się Stanowi…

– Mogłoby przytrafić się i nam? – spytał cicho Ben.

Mike skinął głową.

– Tak. Tego się właśnie obawiam.

– A więc opowiedz nam tyle, ile możesz, Mike – powiedział Bill.

– W porządku – rzekł. – Zrobię to.

4

Frajerzy zapoznają się z sytuacją

– Morderstwa znów się zaczęły – oznajmił stanowczym tonem Mike. Uniósł głowę i powiódłszy wzrokiem ponad stołem, spojrzał Billowi prosto w oczy. – Pierwsze z „nowych morderstw”, jeżeli wolno mi to tak określić, zaczęło się na moście przy Main Street i skończyło się pod nim. Ofiarą był młody homoseksualista Adrian Mellon. Chorował na astmę.

Dłoń Eddiego przesunęła się i dotknęła ścianki aspiratora.

– Stało się to zeszłego lata, dwudziestego pierwszego lipca, w ostatni wieczór Festynu Dni Kanału, który był swego rodzaju świętem… mającym uczcić…

– Rytuał Derry – rzekł cicho Bill. Jego długie palce powoli rozmasowywały skronie i nietrudno było zauważyć, że myślał o swoim bracie, George'u… który niemal na pewno rozpoczął cykl ostatnim razem, kiedy to się stało.

– Rytuał – szepnął cicho Mike. – Tak.

Opowiedział im szybko o tym, co się przydarzyło Adrianowi Mellonowi, patrząc z niesmakiem, jak ich oczy robią się coraz większe. Powiedział im, co napisano w „News" i czego nie zamieszczono… czyli, jeżeli chodzi o to ostatnie, o zeznaniach Dona Hagarty'ego i Christophera Unwina, w którym wspominali oni o pewnym klownie, znajdującym się pod mostem, jak troll z bajki, klownie, który zdaniem Hagarty'ego wyglądał jak skrzyżowanie Ronalda McDonalda i Boza…

– To był on – oświadczył Bill ochrypłym głosem. – To był ten skurwiel Pennywise.

– Jeszcze jedno – powiedział Mike, patrząc na Billa. – Jednym z policjantów prowadzących tę sprawę, tym, który wyciągnął Adriana Mellona z kanału, był niejaki Harold Gardener.

– Jezu Chryste – rzucił Bill zmęczonym, przepełnionym smutkiem głosem.

– Bill? – Beverly spojrzała na niego, a potem położyła mu dłoń na ramieniu. W jej głosie brzmiało zdumienie i zatroskanie. – Bill, co się stało?

– Harold musiał mieć wtedy jakieś pięć lat – rzekł Bill. Jego zdumione oczy odszukały twarz Mike'a w celu uzyskania potwierdzenia.

– Tak.

– O co chodzi, Bill? – spytał Richie.

– H-h-harold Gardener był s-s-synem Dave'a Gardenera – powiedział Bill. – Dave mieszkał przy tej samej ulicy, kiedy George został z-zabity. T-to on przyniósł ciało mojego brata do domu.

Siedzieli w milczeniu. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Beverly na chwilę przyłożyła dłoń do oczu.

– Pasuje aż za dobrze, prawda? – spytał Mike.

– Tak – wyszeptał Bill. – Pasuje, nie ma co.

– Miałem namiar na całą waszą szóstkę już od lat – ciągnął Mike – ale dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego to robiłem i że to wszystko miało konkretny powód. Mimo to czekałem na dalszy rozwój wypadków. Widzicie, czułem, że muszę być stuprocentowo pewny,

zanim… zdecyduję się zakłócić wam życie. Nie dziewięćdziesiąt procent ani nawet dziewięćdziesiąt pięć. Sto procent i ani odrobiny mniej. W grudniu ubiegłego roku, w Derry Park, znaleziono ciało ośmioletniego Stevena Johnsona. Podobnie jak Adrian Mellon, on również został po śmierci zmasakrowany, a wyglądał tak, jakby umarł z przerażenia.

– Czy był napastowany seksualnie? – zapytał Eddie.

– Nie. Po prostu zmasakrowany.

– Ile w sumie było ofiar? – spytał Eddie, choć nie wyglądało na to, że naprawdę chciał uzyskać odpowiedź na to pytanie.

– Jest źle – rzekł Mike.

– Ile ofiar? – powtórzył Bill.

– Dziewięć. Jak dotąd.

– To niemożliwe! – krzyknęła Beverly. – Przeczytałabym o tym w gazecie… podawano by informacje w telewizji! Kiedy ten szalony glina zabił te wszystkie kobiety w Castle Rock, w Maine… i te dzieci, które zamordowano w Atlancie…

– Tak, wiem – odparł Mike. – Sporo na ten temat myślałem. To rzeczywiście ma ścisły związek z tym, co tu się dzieje, i Beverly ma absolutną rację. To rzeczywiście jest sprawa,

którą można by rozdmuchać. Prawdę mówiąc, najbardziej mnie przeraża porównanie z morderstwami w Atlancie. Zabójstwo dziewięciorga dzieci… powinni się tu pojawić korespondenci telewizyjni, fałszywi jasnowidze i reporterzy z „Atlantic Monthly” i „Rolling Stone’a”… innymi słowy, cały ten cyrk.

– Ale tak się nie stało – rzekł Bill.

– Nie – odpowiedział Mike. – Rzeczywiście nie. Co prawda, była na ten temat krótka wzmianka w niedzielnym portlandzkim „Telegramie”, a po ostatnich dwóch zabójstwach w bostońskim „Globie”. W bostońskim programie *Dzień dobry* wyemitowano film na temat niewyjaśnionych zabójstw i jeden z ekspertów napomknął o morderstwach w Derry, ale zrobił to niejako mimochodem, na marginesie… i rzecz jasna, nie wspomniał, że do podobnej serii zabójstw doszło tu na przełomie lat tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem i tysiąc dziewięćset dwadzieścia dziewięć, trzydzieści. Rzecz jasna, pozornie istnieją tego powody. Atlanta, Nowy Jork, Chicago, Detroit… to wszystko olbrzymie miasta, centra medialne, i kiedy coś się w nich wydarzy, jest z miejsca przedstawiane z wielkim hukiem. W Derry nie ma ani jednej stacji telewizyjnej czy radiowej,

jeżeli nie liczyć szkolnej radiostacji. Bangor to zadupie, jeśli chodzi o środki masowego przekazu.

– Z wyjątkiem „Derry News” – powiedział Eddie i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Ale wszyscy wiemy, że to za mało. Centra przekazu znajdują się w wielkich miastach i to od nich ta historia powinna była rozejść się na cały kraj. Ale się nie rozeszła. I myślę, że powód jest prosty: To tego nie chce.

– To – rzekł z zamyśleniem Bill, jakby mówił do siebie.

– To – powtórzył Mike. – Jeżeli mielibyśmy to jakoś nazwać, równie dobrze możemy je określać jako To. Tak jak dawniej. Wiecie, zacząłem się zastanawiać, że skoro To było tu od tak dawna… stało się częścią Derry, tak samo jak stacja pomp, kanał, Bassey Park czy budynek biblioteki. Tylko że Tego nie widać z zewnątrz. Może kiedyś tak było, ale teraz… To jest w środku. W jakiś sposób udało mu się wślizgnąć do wewnątrz. To jedyny sposób, jaki znam, aby móc zrozumieć wszystkie potworności, które się tu wydarzyły, zarówno te wyjaśnione, jak i niewyjaśnione. W tysiąc dziewięćset trzydziestym roku wybuchł pożar w klubie dla czarnych, znanym jako Black Spot.

Rok wcześniej grupa bandziorów została zastrzelona w biały dzień na środku Canal Street.

– Gang Bradleya – rzekł Billy. – FBI ich załatwiło, mam rację?

– Tak mówi historia, choć nie jest to w pełni zgodne z prawdą. Jak się dowiedziałem, choć w gruncie rzeczy nie chciałbym, aby to była prawda, bo kocham to miasto, wszyscy członkowie gangu Bradleya, cała siódemka, zostali zastrzeleni przez prawych obywateli miasta Derry. Opowiem wam kiedyś o tym. Podczas wielkanocnego poszukiwania jajek w tysiąc dziewięćset szóstym roku w Zakładach Kitchenera nastąpił wybuch. W tym samym roku doszło do serii straszliwych okaleczeń zwierząt; okazało się, że ich sprawcą był Andrew Rhulin – przodek faceta, który obecnie zarządza farmą Rhulinów. Został pobity na śmierć przez trzech funkcjonariuszy, którzy mieli go aresztować. Żaden z policjantów nie stanął nigdy przed sądem.

Mike Hanlon wyjął mały notes z wewnętrznej kieszeni i zaczął go kartkować, mówiąc cały czas z pochyloną głową.

– W tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku w obrębie miasta cztery razy doszło do linczu. Jednym z tych, którzy zadyndali

na sznurze, był kaznodzieja kościoła metodystów, który potopił w wannie czwórkę swoich dzieci, jakby to były kociaki, a potem wpakował żonie kulkę w łeb. Włożył jej broń do ręki, żeby to wyglądało na samobójstwo, ale nikt nie dał się oszukać. Rok wcześniej, w małym domku stojącym nad brzegiem Kenduskeag, znaleziono rozszarpane zwłoki czterech drwali. W starych dziennikach są wzmianki o zaginięciach dzieci i całych rodzin, ale nie uświadczysz ich w żadnym dokumencie publicznym. Ta lista jest jeszcze dłuższa, ale chyba to powinno wam wystarczyć.

– Aż nadto – rzekł Ben. – Coś tu się dzieje, ale jest to sprawa ściśle wewnętrzna.

Mike zamknął notes, włożył go do wewnętrznej kieszeni i spojrzał na nich z ponurym wyrazem twarzy.

– Gdybym zamiast bibliotekarzem został agentem ubezpieczeniowym, zapewne mógłbym sporządzić wam wykres obrazujący sytuację, z jaką mamy tu do czynienia. Okazałoby się, że Derry ma niezwykły wskaźnik wszelkiego rodzaju przestępstw i zbrodni, nie wyłączając gwałtów, stosunków kazirodczych, włamań, pedofilii, pobić i napadów. W Teksasie jest pewne miasto, średniej wielkości, w którym wskaźnik

przestępczości, jak na jego obecne rozmiary i możliwości zaistnienia konfliktów rasowych, jest o wiele niższy, niż można by się tego spodziewać. Mówi się, że łagodność tamtejszych mieszkańców wynika ze składu miejscowej wody, zawierającej jakiś składnik tonujący charakter. Tu mamy do czynienia z czymś zupełnie przeciwnym. Derry to miasto brutalności i przemocy. Ale co dwadzieścia siedem lat, choć cykl powtarza się nieco nieregularnie, ta przemoc urasta do niesamowitych rozmiarów i mimo to wiadomości na ten temat nigdy nie zostały podane w skali kraju.

– Mówisz więc, że mamy tu do czynienia ze swego rodzaju rakiem – powiedziała Bev.

– Niezupełnie. Nieleczony rak powoduje nieuchronnie śmierć, a Derry nie umarło, wręcz przeciwnie, zaczęło się rozwijać na swój cichy, nierzucający się w oczy sposób. To po prostu nieźle prosperujące małe miasto, w niespecjalnie mocno zaludnionym stanie, gdzie nieprzyjemne rzeczy zdarzają się nazbyt często… i gdzie mniej więcej co ćwierć wieku następuje eskalacja zbrodni i okrucieństwa.

– I dzieje się tak regularnie? – zapytał Ben.

Mike skinął głową.

– Regularnie. Lata tysiąc siedemset piętnaście, tysiąc siedemset szesnaście i tysiąc siedemset czterdzieści do tysiąc siedemset czterdziestego trzeciego i lata tysiąc siedemset sześćdziesiąt dziewięć, siedemdziesiąt, i tak dalej, i tak dalej. Aż do czasów obecnych. Mam przeczucie, że w miarę upływu czasu sytuacja się pogarsza, bo w Derry z końcem każdego cyklu jest coraz więcej ludzi. A może z jakiegoś zupełnie innego powodu. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku cykl chyba przedwcześnie dobiegł końca. My byliśmy za to odpowiedzialni.

Bill pochylił się do przodu, a jego oczy nagle się ożywiły.

– Jesteś tego pewny?

– Tak – odparł Mike. – Wszystkie pozostałe cykle osiągały kulminację około września, a potem z hukiem dobiegały końca. Do Bożego Narodzenia w mieście wszystko powracało do normy… najpóźniej do Wielkanocy. Innymi słowy, złe lata trwały co dwadzieścia siedem lat, od czternastu do dwudziestu miesięcy. Ale zły rok, jaki zaczął się wraz ze śmiercią twojego brata w październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, zakończył się dość gwałtownie w sierpniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku.

– Dlaczego? – zapytał Eddie. Jego oddech był słabszy. Bill przypomniał sobie wysoki świst inhalowanego oddechu Eddiego i wiedział, że lada chwila będzie on musiał sięgnąć po swój „wysysacz płuc”. – I co zrobimy?

Pytanie zawisło w ciszy. Zdawało się, że Mike rozważa odpowiedź… aż w końcu pokręcił głową i rzekł:

– Przypomnicie sobie – powiedział. – Kiedy nadejdzie właściwa pora, przypomnicie sobie.

– A jeśli nie? – spytał Ben.

– Wówczas niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Dziewięcioro dzieci zginęło w tym roku – powiedział Richie. – Chryste!

– Lisa Albrecht i Steve Johnson pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku – kontynuował Mike. – W lutym zniknął Dennis Torrio. Licealista. Jego ciało znaleziono w połowie marca w Barrens. Zmasakrowane. To stało się niedaleko stąd.

Z tej samej kieszeni, do której wsadził notes, wyjął fotografię. Puścił ją w obieg. Beverly i Eddie spojrzeli na nią z wyraźnym zdziwieniem, ale Richie Tozier zareagował bardzo gwałtownie. Upuścił ją, jakby była rozgrzana do czerwoności.

– Jezu! Jezu, Mike! – Uniósł wzrok, jego oczy były rozszerzone i przepełnione przerażeniem. Chwilę potem podał zdjęcie Billowi. Bill rzucił na nie okiem i poczuł, że otaczający go świat robi się szary. Przez chwilę był pewny, że lada moment zemdleje. Usłyszał jęk i wiedział, że dobył się on z jego własnych ust. Upuścił fotografię.

– Co to jest? – usłyszał głos Beverly. – Co to znaczy?

– To szkolne zdjęcie mego brata – rzekł w końcu Bill. – To G-g-george. Zdjęcie z jego albumu. To, które się poruszyło. To, które mrugnęło.

Podawali je sobie z rąk do rąk, podczas gdy Bill siedział jak skamieniały u szczytu stołu, wpatrując się w przestrzeń. To było zdjęcie zdjęcia. Ukazywało postrzępioną fotografię szkolną małego chłopca na białym tle – uśmiechające się usta, rozchylone na tyle, by można było dostrzec dwie dziury. Na marginesie, u dołu widniał napis: „Szkolni przyjaciele 1957–1958”.

– Znaleziono to w tym roku? – spytała ponownie Beverly. Gdy Mike skinął głową, zwróciła się do Billa: – Kiedy widziałeś to po raz ostatni, Bill?

Oblizał usta, próbując coś powiedzieć. Bezskutecznie. Spróbował ponownie, słysząc pod czaszką echo własnych słów, świadomy, że jąkanie powróciło, i walczył z tym, walczył z ogarniającą go zgrozą.

– Nie widziałem tego zdjęcia od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku. Tej wiosny, rok po śmierci George'a. Kiedy chciałem je pokazać Richiemu, już go nie b-b-było.

Rozległy się odgłosy zdumienia. Zaczęli popatrywać na siebie nawzajem. Eddie odstawił swój aspirator na stół i wyglądał na nieco zakłopotanego.

– Triumfalne wejście Eddiego Kaspbraka! – zawołał radośnie Richie i nagle, rzecz dziwna, z jego ust popłynął głos narratora Movie Tone: – Dziś w Derry całe miasto przyszło obejrzeć Paradę Astmatyków, a gwiazdą programu jest Wielki Eddie Dławiprzełyk, znany w całej Nowej Anglii jako… – Urwał nagle i jedna z jego rąk uniosła się do twarzy, jakby chciał osłonić oczy, a Bill pomyślał: Nie, to nie to. On nie chce osłonić oczu, tylko podsunąć na nos okulary. Okulary, których już od dawna nie nosi. O Chryste, co tu się dzieje?

– Przepraszam, Eddie – rzekł Richie. – To było okrutne. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. –

Rozejrzał się wokoło, wyraźnie zbity z tropu.

Mike Hanlon przemówił w ciszy:

– Po tym, jak odnaleziono ciało Stevena Johnsona, coś sobie przyrzekłem: jeżeli wydarzy się kolejne morderstwo, i jeżeli będę miał pewność, że To znów zaatakowało, zadzwonię do was. Czekałem całe dwa miesiące. Czułem się, jakbym był zahipnotyzowany, urzeczony świadomością i premedytacją tego, co się działo. Zdjęcie George'a zostało znalezione przy zwalonym pniu, niecałe dziesięć stóp od ciała chłopaka Torriów. Nie zostało ukryte. Wręcz przeciwnie. Zupełnie jakby zabójca chciał, aby je znaleziono. I jestem pewien, że tak właśnie było.

– Skąd masz to zdjęcie policyjne, Mike? – zapytał Ben. – Bo to zdjęcie policyjne, czyż nie?

– Tak. Masz rację. W wydziale policji pracuje jeden facet, który nie ma nic przeciwko zarobieniu na boku. Płacę mu dwadzieścia dolców miesięcznie, to wszystko, na co mnie stać. On jest moim łącznikiem. Ciało Dawna Roya znaleziono cztery dni po chłopaku Torriów. W parku McCarron. Trzynastolatek. Oderwano mu głowę. Dwudziesty trzeci kwietnia tego roku. Adam Terrault. Szesnaście lat. Jego zaginięcie zgłoszono, kiedy nie wrócił do domu po próbie zespołu. Znaleziono go następnego dnia

nieopodal ścieżki biegnącej przez pas zieleni za West Broadway. Również bez głowy. Szósty maja. Frederick Cowan. Dwa i pół roku. Znaleziony w toalecie na piętrze; utopiony w misce klozetowej.

– Och, Mike! – zawołała Beverly.

– Tak, to okropne – powiedział jakby z odrobiną złości. – Myślisz, że o tym nie wiem?

– I policja uważa, że to był zwykły wypadek? Niczego nie podejrzewają? – zapytała Beverly.

Mike pokręcił głową.

– Jego matka rozwieszała rzeczy za domem. Usłyszała odgłosy szamotaniny i krzyk syna. Przybiegła najszybciej, jak tylko mogła. Powiedziała, że wchodząc po schodach, usłyszała dźwięk kilkakrotnie spuszczanej wody i… czyjś śmiech. Twierdziła, że nie przypominał ludzkiego.

– Ale nic nie zobaczyła? – zapytał Eddie.

– Tylko swego syna – odparł Mike. – Miał złamany kręgosłup i pękniętą czaszkę. Szklane drzwi pomieszczenia prysznica zostały stłuczone. Wszędzie była krew. Matka przebywa teraz w klinice psychiatrycznej w Bangor. Mój łącznik z policji mówi, że ta kobieta postradała zmysły.

– Wcale mnie to, kurwa, nie dziwi – rzekł ochrypłym głosem Richie. – Ma ktoś papierosa?

Beverly dała mu jednego. Richie zapalił, ale ręce bardzo mu się trzęsły.

– Policja sądzi, że zabójca wszedł frontowymi drzwiami, podczas gdy pani Cowan wieszała rzeczy za domem. Potem, kiedy wbiegała po schodach, najprawdopodobniej wyskoczył przez okno łazienki i uciekł. Ale okno jest bardzo małe. Nawet siedmiolatek miałby trudności z przeciśnięciem się przez nie. Poza tym odległość do wyłożonego kamiennymi płytami patio wynosi dwadzieścia pięć stóp. Rademacher niechętnie mówił na ten temat i nikt z prasy, a już na pewno nikt z „News", nie dopytywał się o informacje z tym związane.

Mike wypił łyk wody, po czym puścił w obieg kolejne zdjęcie. To nie była fotografia policyjna. Kolejne szkolne zdjęcie. Ukazywało uśmiechniętego, może trzynastoletniego chłopca. Był odświętnie ubrany do zdjęcia, a jego dłonie, czyste i wypielęgnowane, spoczywały złożone na podołku. Pomimo to w oczach chłopca dostrzec można było maleńkie, diaboliczne iskierki. Był czarny.

– Jeffrey Holly – oznajmił Mike. – Trzynasty maja. Tydzień po zabójstwie chłopca Cowanów. Rozerwany. Znaleziono go w Bassey Park, przy kanale. Dziewięć dni po tym, dwudziestego

drugiego maja, przy Neibolt Street znaleziono zwłoki piątoklasisty, Johna Feury'ego. – Eddie wydał z siebie zduszony, drżący jęk. Sięgnął po aspirator i strącił go ze stołu. Buteleczka potoczyła się w stronę Billa, który podniósł ją z ziemi. Twarz Eddiego przybrała chorobliwy żółtawy odcień. Miał świszczący oddech.

– Dajcie mu coś do picia! – ryknął Ben. – Niech ktoś…

Ale Eddie pokręcił głową. Nacisnął spust aspiratora. Jego pierś uniosła się gwałtownie, kiedy wciągnął do płuc potężny haust powietrza. Ponownie zaaplikował sobie porcję aerozolu, a potem odchylił się na oparcie krzesła z półprzymkniętymi oczyma. Dyszał ciężko.

– Nic mi nie będzie – wydusił. – Dajcie mi chwilę. Zaraz do was dołączę.

– Jesteś pewny, Eddie? – spytała Beverly. – Może powinieneś się położyć…

– Nic mi nie będzie – powtórzył zrzędliwie. – To był… po prostu szok. Szok. Zupełnie zapomniałem o Neibolt Street.

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie musiał. Bill pomyślał: Wydaje ci się, że wiesz już wszystko, że opróżniłeś całą skarbnicę swojej wiedzy, a wtedy Mike wymienia kolejne nazwisko i jeszcze jedno,

wyjmuje je jak magik z czarodziejskiego cylindra, a ty ponownie lądujesz płasko na tyłku.

Ten koszmar był zbyt potworny, aby można mu było stawić czoło od razu, w całej jego okazałości. Nie sposób było stanąć twarzą w twarz z tymi niewyjaśnionymi przejawami przemocy, które mierzyły bezpośrednio w tę oto szóstkę ludzi – a w każdym razie tak sugerowała leżąca na stole fotografia.

– John Feury stracił obie nogi – ciągnął spokojnym tonem Mike – ale lekarz sądowy stwierdził, że oderwano je już po śmierci. Serce chłopca nie wytrzymało. Innymi słowy, po prostu umarł z przerażenia. Znalazł go listonosz, który zobaczył dłoń wystającą spod werandy.

– To był numer dwudziesty dziewiąty, tak? – rzekł Richie, a Bill natychmiast spojrzał w jego stronę. Richie odwzajemnił spojrzenie, skinął głową, a potem znowu przeniósł wzrok na Mike'a. – Neibolt Street dwadzieścia dziewięć.

– O tak – powiedział Mike tym samym spokojnym tonem. – To był numer dwudziesty dziewiąty. – Wypił więcej wody. – Naprawdę dobrze się czujesz, Eddie?

Eddie skinął głową. Jego oddech nieomal wrócił do normy.

– Następnego dnia, po odnalezieniu ciała Feury’ego Rademacher dokonał aresztowania – powiedział Mike. – Tego samego dnia na pierwszej stronie „News” pojawił się artykuł, w którym domagano się jego rezygnacji. Dziwny zbieg okoliczności.

– Po ośmiu morderstwach? – rzekł Ben. – Radykalni ci ludzie, no nie?

Beverly chciała wiedzieć, kto został aresztowany.

– Facet, który mieszka w małej chatce przy Route siedem, tuż za granicami miasta, na terenie Newport – wyjaśnił Mike. – Prawie pustelnik. Pali w piecu patykami, a dach chaty reperuje kradzionymi gontami i deklami. Nazywa się Harold Earl. Prawdopodobnie przez rok nie widzi nawet dwustu dolców gotówką. Ktoś przejeżdżał i zobaczył go stojącego w drzwiach, kiedy odnaleziono ciało Johna Feury’ego. Jego ubranie było pokryte krwią.

– A więc może… – zaczął z nadzieją w głosie Richie.

– Miał w szopie trzy oprawione ze skóry jelenie – rzekł Mike. – Kłusował w Haven. Krew na jego ubraniu była krwią jelenia. Rademacher spytał go, czy zabił Johna Feury’ego, a ponoć Earl odpowiedział: „O taa, zabiłżem wielu ludzi,

głównie podczas wojny. Zastrzeliłem ich". Powiedział również, że nocą widywał w lesie różne rzeczy. Czasami były to niebieskie światła unoszące się parę cali nad ziemią. Trupie światła, tak je nazywał. I widział też Wielką Stopę. Wysłali go do kliniki psychiatrycznej w Bangor. Zgodnie z raportem medycznym facet prawie nie ma wątroby. To drobny pijaczyna…

– O mój Boże – powiedziała Beverly.

– …i miewa halucynacje. Dobrali się do niego i Rademacher przez cały czas uważał go za głównego podejrzanego. Dopiero trzy dni temu wszystko się zmieniło. Ale do tej pory ośmiu gliniarzy szukało w chacie starego zaginionych głów, lamp z abażurami zrobionymi z ludzkiej skóry i Bóg jeden wie czego jeszcze.

Mike przerwał, pochylił głowę, po czym znów zaczął mówić. Jego głos był teraz nieco ochrypły.

– A ja przez cały czas się wstrzymywałem. Ale po ostatnim wypadku zadzwoniłem do was. Nie mogłem dłużej zwlekać. Bóg mi świadkiem, żałuję, że nie zrobiłem tego wcześniej.

– Opowiedz o tym – rzekł nagle Ben.

– Ofiarą był kolejny piątoklasista – powiedział Mike – kumpel Feury'ego z klasy. Znaleziono go przy Kansas Street nieopodal miejsca, gdzie Bill ukrywał swój rower, kiedy byliśmy w Barrens.

Nazywał się Jerry Bellwood. Został rozdarty na strzępy. To… to, co z niego zostało, znaleziono przy murku biegnącym wzdłuż Kansas Street, którym okolono niemal całą ulicę przed blisko dwudziestu laty, aby powstrzymać erozję gleby. To policyjne zdjęciu muru, gdzie znaleziono szczątki Bellwooda, zrobione niecałe pół godziny po zabraniu ciała. Spójrzcie. – Podał zdjęcie Richiemu Tozierowi, który rzucił na nie okiem i podał Beverly. Zobaczyła je, skrzywiła się i podała Eddiemu, który przyglądał mu się długo i z uwagą, nim przekazał je Benowi. Ben wręczył fotografię Billowi, prawie na nią nie spojrzawszy. Zdjęcie ukazywało fragment murku ochronnego. Widniał na nim napis:

WRÓĆCIE DO DOMU WRÓĆCIE DO DOMU
WRÓĆCIE DO DOMU

Bill uniósł wzrok i spojrzał ponuro na Mike’a. Był jednocześnie zaskoczony i przerażony. Teraz czuł, że zaczyna narastać w nim również gniew. Cieszyło go to. Gniew nie był nazbyt chlubnym uczuciem, ale z całą pewnością lepszym niż wstrząs czy bezgraniczne przerażenie.

– Czy to zostało napisane tym, czym mi się wydaje?

– Tak – odrzekł Mike. – Krwią Jerry’ego Bellwooda.

5

Richie zbiera bipy

Mike schował fotografie. Myślał, że może Bill poprosi go o szkolne zdjęcie George’a, ale tak się nie stało. Włożył je do wewnętrznej kieszeni kurtki i kiedy to uczynił, miał wrażenie, że wszyscy przyjęli to z wielką ulgą.

– Dziewięcioro dzieci – powiedziała cicho Beverly. – To niewiarygodne. To znaczy… ja w to wierzę, ale po prostu aż nie chce się w to wierzyć. Dziewięcioro dzieci i nic? Zupełnie nic?

– Niezupełnie – odparł Mike. – Ludzie są wściekli i przerażeni… w każdym razie tak może się wydawać. Naprawdę nie sposób stwierdzić, kto naprawdę to odczuwa, a kto udaje.

– Udaje?

– Beverly, czy przypominasz sobie, kiedy byliśmy dziećmi, tego mężczyznę, którego prosiłaś o pomoc, krzycząc na całe gardło, a on powoli złożył gazetę i wszedł do domu?

Przez chwilę w jej oczach pojawił się dziwny błysk. Wyglądała jednocześnie na przerażoną

i zamyśloną. Potem ten wyraz zastąpiło zakłopotanie.

– Nie… kiedy to było, Mike?

– Nieważne. W swoim czasie sobie przypomnisz. Teraz mogę ci tylko powiedzieć, że z Derry jest podobnie. Stojąc w obliczu kolejnej serii okrutnych zabójstw, ludzie robią to, co powinni w tego typu sytuacji, a większość powiela te same schematy jak w pięćdziesiątym ósmym podczas fali morderstw. Ponownie zbiera się Komitet Ochrony Naszych Dzieci, tyle że teraz spotyka się w podstawówce, a nie w liceum. W mieście przebywa szesnastu detektywów z biura generalnego prokuratora stanowego i cała grupa agentów FBI. Nie wiem, ilu ich jest, i choć Rademacher dużo gada, wątpię, aby to wiedział. Poza tym przywrócono godzinę policyjną…

– O tak. Godzina policyjna. – Ben powoli i z rozwagą pocierał bok szyi. – W pięćdziesiątym ósmym to zdziałało cuda. Pamiętam.

– …i na ulicach pojawiły się Ochotnicze Grupy Matek, których zadaniem jest dopilnowanie, żeby wszystkie dzieci przed godziną ósmą wieczorem powróciły do domów. „Derry News” przez ostatnie trzy tygodnie otrzymała ponad dwa tysiące listów z żądaniami rozwiązania tego

problemu. I rzecz jasna ponownie rozpoczęły się wyjazdy z miasta. Czasami zastanawiam się, czy to nie jest jedyny sposób na stwierdzenie, kto szczerze chciał to powstrzymać, a kto nie. Ci, którym naprawdę na tym zależało, przestraszyli się i wyjechali.

– Ludzie naprawdę wyjeżdżają? – spytał Richie.

– To się dzieje podczas każdego cyklu. Nie sposób powiedzieć, ilu ludzi wyjeżdża, gdyż spis ludności zaczął tu obowiązywać około tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku i dopiero od tamtego okresu mam dane na temat cyklu. A to dość spora liczba. Uciekają jak dzieciaki, które zorientowały się, że ich dom jest rzeczywiście nawiedzony.

– Wróćcie do domu, wróćcie do domu – powiedziała cichym tonem Beverly. Kiedy uniosła wzrok znad swoich dłoni, spojrzała nie na Mike'a, lecz na Billa. – To chciało, abyśmy wrócili. Ale dlaczego?

– To może chcieć naszego powrotu – rzekł Mike nieco tajemniczym tonem. – Jasne. To całkiem prawdopodobne. Być może łaknie zemsty. Bądź co bądź, już raz nieźle Temu dołożyliśmy.

– Zemsty… albo powrotu dawnego porządku – rzekł Bill, a Mike skinął głową.

– Sami dobrze wiecie, że wasze sprawy również nie są uporządkowane. Żadne z was nie opuściło Derry nietknięte… bez piętna Tego. Każde z was zapomniało o tym, co tu się wydarzyło, wasze wspomnienia o tym lecie są nadal tylko fragmentaryczne. A poza tym, rzecz ciekawa, wszyscy jesteście bogaci. Ale to tak zupełnie na marginesie.

– Och, dajże spokój – rzekł Richie. – Trudno to…

– Spoko, spoko – powiedział Mike, unosząc dłoń i uśmiechając się pod nosem. – O nic cię nie oskarżam, po prostu próbuję zebrać fakty. W porównaniu z małomiasteczkowym bibliotekarzem, który rocznie zarabia niecałe jedenaście tysięcy, po spłaceniu podatków, jesteś bogaty, rozumiemy się?

Richie wzruszył ramionami. Ben wydawał się pochłonięty darciem na strzępy papierowej serwetki. Nikt, z wyjątkiem Billa, nie patrzył bezpośrednio na Mike’a.

– Nikt z was nie może narzekać na standard życiowy – mówił dalej Mike – ale nawet jak na standardy amerykańskiej górnej klasy średniej, wiedzie wam się całkiem dobrze. Jesteśmy

przyjaciółmi, więc nie owijamy niczego w bawełnę. Jeżeli jest wśród was ktoś, kto zadeklarował mniej niż dziewięćset tysięcy dolarów na zeznaniu podatkowym za rok osiemdziesiąty czwarty, niech podniesie rękę.

Ukradkiem zaczęli popatrywać na siebie nawzajem – zakłopotani, jak to zwykle bywa w z Amerykanami, że osiągnęli sukces – jakby gotówka była jajkami gotowanymi na twardo, a dostatek bąkami, które zwykle towarzyszą przejedzeniu. Bill poczuł gorącą krew napływającą mu do twarzy i nie mógł temu zapobiec. Za napisanie pierwszej wersji scenariusza *Pokoju na poddaszu* dostał dziesięć tysięcy więcej, niż wynosiła suma podana przez Mike'a. Obiecano mu również dodatkowe dwadzieścia tysięcy za każdą z dwóch przeróbek, jeżeli okażą się one konieczne. Dodając do tego honoraria autorskie… i pokaźną zaliczkę za dwie objęte kontraktem powieści… jaką kwotę podał na swoim zeznaniu podatkowym? Jakieś osiemset tysięcy dolarów… Tak? Ogromna suma jak na zarobki Mike'a Hanlona, dostającego rocznie niecałe jedenaście tysięcy. A więc tyle dostajesz za opiekę nad latarnią, Mike, stary druhu, pomyślał Bill. Jezu Chryste, powinieneś kiedyś w końcu zażądać podwyżki!

– Bill Denbrough to wzięty pisarz – powiedział Mike – a ostatnio naprawdę trudno jest z tego wyżyć. Niewielu jest takich jak on. Beverly Rogan pracuje w modzie, czyli na polu, na którym panuje spora konkurencja, ale niewielu udaje się wybić. Prawdę mówiąc, obecnie jest jedną z najbardziej poszukiwanych projektantek mody w kraju.

– Och. To nie ja – odparła Beverly. Roześmiała się i zapaliła nowego papierosa, przypalając go od poprzedniego. – To Tom. To on się wybił. Bez niego nadal podszywałabym spodnie i łączyła wykroje. Nie mam za grosz zmysłu handlowego, nawet Tom tak twierdzi. To wszystko… to zasługa Toma. I odrobina szczęścia.

Zaciągnęła się raz papierosem, a potem zgasiła go w popielniczce.

– Wydaje mi się, że ta dama jest nazbyt skromna – rzucił cicho Rich.

Odwróciła się szybko na krześle i poczerwieniała na twarzy, obrzucając go miażdżącym spojrzeniem.

– Co to miało znaczyć, Richie Tozier?

– Nie bić moja, panienko Scałlett! – wrzasnął Richie piskliwym, drżącym głosem murzyńskiego dziecka i właśnie w tej chwili Bill z dziwną wyrazistością dostrzegł w nim chłopca, jakiego

kiedyś znał; to nie była obecność czająca się pod zewnętrzną, dorosłą powłoką Richiego Toziera, ale twór, który mógł wydawać się bardziej rzeczywisty niż sam mężczyzna. – Nie bić moja! Załaz przyniese panience Scałlett nowy napój. Może se go panienka wypić na zewnontrz, bo tam jezd chodniej. Nie bić biednego małego chopca!

– Jesteś niemożliwy, Richie – rzuciła chłodno Beverly. – Powinieneś dorosnąć.

Richie spojrzał na nią, a uśmiech na jego twarzy zastąpił grymas niepewności.

– Dopóki tu nie powróciłem – powiedział – wierzyłem, że tak się stało.

– Rich, możesz być najpopularniejszym didżejem w Stanach – rzekł Mike. – Z całą pewnością masz w ręku Los Angeles. Dodając do tego dwa programy konsorcjum, z których jeden jest stale na czołowym miejscu listy popularności, a drugi nosi nazwę *Freaky Forty*…

– Lepiej uważaj, głupku – powiedział Richie burkliwym głosem Pana T., ale na jego twarzy pojawił się rumieniec. – Tak ci dołożę, że twój przód i tył zamienią się miejscami. Przeprowadzę ci operację mózgu gołą pięścią…

– Eddie – ciągnął Mike, ignorując Richiego – masz wypożyczalnię limuzyn w mieście,

w którym nie możesz przejść przez ulicę, żeby nie rąbnąć łokciem w jakiś lśniący czarny wóz. W każdym tygodniu dwie firmy wynajmujące limuzyny ogłaszają upadłość, ale tobie powodzi się nad wyraz dobrze. Ben, jesteś prawdopodobnie największym szczęściarzem pośród młodych architektów i z całą pewnością nie brakuje ci talentu.

Ben otworzył usta, aby zaprotestować, ale zaraz zamknął je gwałtownie. Mike uśmiechnął się do nich, rozkładając szeroko ręce.

– Nie chcę wprawiać was w zakłopotanie, ale muszę wyłożyć karty na stół. Jest wielu młodych ludzi, którzy osiągnęli sukces, i wielu takich, którzy osiągnęli sukces w różnych, często wielce wyspecjalizowanych dziedzinach. Gdyby nie było ludzi, którzy zdołali pokonać wszelkie przeciwności i wyszli na swoje, zapewne wszyscy inni uznaliby, że nie warto w ogóle próbować. Gdyby było was dwoje czy troje, można by to, jak sądzę, złożyć na karb zbiegu okoliczności. Ale tu chodzi o was wszystkich, włącznie ze Stanem Urisem, który był najbardziej popularnym młodym księgowym w Atlancie, czyli, innymi słowy, na całym Południu. Wnioskuję z tego, że wasz sukces jest bezpośrednim wynikiem tego, co stało się tutaj przed dwudziestu siedmiu laty.

Równie dobrym i wyrazistym przykładem byłoby nabawienie się raka płuc, gdybyście w tamtym okresie mieli przez dłuższy czas styczność z azbestem. A może ktoś z was jest innego zdania?

Powiódł wzrokiem po ich twarzach. Nikt się nie odezwał.

– Wszyscy z wyjątkiem ciebie – rzekł Bill. – Co się stało z tobą, Mikey?

– Czyż to nie oczywiste? – Uśmiechnął się. – Zostałem tutaj.

– Trzymasz straż – rzekł Ben. Bill odwrócił się gwałtownie i spojrzał na niego zdziwiony, ale Ben patrzył niewzruszenie na Mike'a i tego nie widział. – Wcale mnie to nie cieszy, Mike. Wręcz przeciwnie. Czuję się okropnie.

– Amen – zakończyła Beverly. Mike cierpliwie pokiwał głową.

– Żadne z was nie powinno się czuć winne. Absolutnie. Czy wydaje się wam, że z własnej woli zdecydowałem się tu zostać albo że decyzja o wyjeździe zależała od któregokolwiek z was? Do diaska, byliśmy wtedy dziećmi! Z tego czy innego powodu wasi rodzice wyprowadzili się z Derry, a wy, że tak powiem, stanowiliście część ich bagażu. Moi rodzice zostali. Ale czy to rzeczywiście była ich decyzja? Któregokolwiek

z nich? Nie sądzę. Jak to się stało, że jednym przyszło wyjechać, a inni musieli zostać? Szczęście? Los? To? Coś innego? Nie wiem. Ale wiem jedno. To nie zależało od nas. A zatem skończmy ten temat.

– Nie jest… nie jest ci żal? – zapytał nieśmiało Eddie.

– Byłem zbyt zajęty, aby móc czegokolwiek żałować. Nie miałem na to czasu. Przez długi czas obserwowałem i czekałem… obserwowałem i czekałem, zanim jeszcze uświadomiłem sobie, co się dzieje, ale przez ostatnie pięć lat byłem w stanie, który moglibyście określić mianem stałego czerwonego alarmu. Od końca zeszłego roku zacząłem prowadzić swój dziennik. A kiedy człowiek pisze, zaczyna usilniej myśleć… a może raczej jego tok myślenia nabiera specyficznego charakteru. Podczas pisania wiele czasu poświęciłem na rozmyślanie nad naturą Tego. To się zmienia; dobrze o tym wiemy. Myślę, że To potrafi również manipulować ludźmi i odciskać na nich swoje piętno. Tak jak nawet po długiej kąpieli czujesz na swoim ciele woń skunksa, jeśli zostałeś przez niego opryskany.

Mike powoli rozpiął koszulę i rozsunął ją na boki. Wszyscy mogli wyraźnie dostrzec

różowawe blizny na gładkiej brązowej skórze jego klatki piersiowej, pomiędzy sutkami.

– Tak jak pazury pozostawiają blizny – powiedział.

– Wilkołak! – Richie prawie jęknął. – O Chryste! Wielki Billu, Wilkołak! Kiedy wróciliśmy na Neibolt Street.

– Co? – zapytał Bill. Wyglądał, jakby przed chwilą się obudził. – Co, Richie?

– Nie pamiętasz?

– Nie… a ty?

– Coś… sobie przypominam… – mruknął Richie, po czym umilkł zakłopotany i przerażony.

– Czy chcesz powiedzieć, że ta rzecz nie jest zła? – spytał Eddie, zwracając się do Mike'a. Patrzył na blizny jak zahipnotyzowany. – Że to tylko część… naturalnego porządku?

– To nie jest część naturalnego porządku, jaki moglibyśmy zrozumieć. Tego nie można przebaczyć – powiedział Mike, zapinając koszulę. – I nie widzę powodu, by działać na innej zasadzie prócz tej, którą rozumiemy: To zabija, zabija dzieci, a to jest złe. Bill zrozumiał to pierwszy. Pamiętasz, Bill?

– Pamiętam, że chciałem To zabić – odparł Bill i po raz pierwszy usłyszał, jak zaimek osiąga status rzeczownika. Od tej pory już zawsze tak

było. – Widzicie, nie zastanawiałem się nad tą sprawą w kontekście ogólnonarodowym, jeśli rozumiecie, co mam na myśli; po prostu chciałem To zabić, bo To zamordowało George'a.

– I nadal tego chcesz?

Bill zastanawiał się przez chwilę. Spuścił wzrok, patrząc na swoje leżące na stole ręce, i przypomniał sobie George'a w żółtej nieprzemakalnej kurtce z kapturem na głowie i papierową łódeczką pokrytą cienką warstewką parafiny w dłoni. Spojrzał na Mike'a.

– B-bardziej niż kiedykolwiek – oświadczył. Mike skinął głową, jakby tego właśnie się spodziewał.

– To odcisnęło na nas piętno. Oddziałuje na nas swoją wolą, tak jak oddziaływało na całe miasto, każdego dnia, nawet podczas tych długich okresów, kiedy spało, było pogrążone w hibernacji czy jakimkolwiek innym stanie… pomiędzy okresami bardziej ożywionego działania. – Mike uniósł palec. – Ale jeżeli To oddziałuje na nas swoją wolą, w jakimś stopniu my również podziałaliśmy na To naszą wolą. Zatrzymaliśmy To, zanim zakończyło swój cykl. Czy je osłabiliśmy? Zraniliśmy? Czy mało brakowało, abyśmy To zabili? Myślę, że tak.

Byliśmy tak bliscy zabicia Tego, iż wydawało nam się, że tego dokonaliśmy.

– Ale ty też nie pamiętasz tego fragmentu? – zapytał Ben.

– Nie. Pamiętam wszystko do piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku z niemal idealną wyrazistością. Ale od tego dnia, mniej więcej do czwartego września, kiedy zaczęła się szkoła, mam kompletną pustkę. Nie są to mgliste czy niewyraźne wspomnienia. Po prostu nic nie pamiętam. Z jednym wyjątkiem: zdaje się, że przypominam sobie Billa krzyczącego coś o jakimś trupim świetle.

Ręka Billa drgnęła konwulsyjnie. Uderzyła w pustą butelkę po piwie i butelka roztrzaskała się na podłodze niczym bomba.

– Skaleczyłeś się? – spytała Beverly, na wpół podnosząc się z krzesła.

– Nie – powiedział sucho. Na jego ramionach pojawiła się gęsia skórka. Wydawało mu się, jakby czaszka nieco urosła, czuł pulsowanie na skórze twarzy, powodujące wrażenie odrętwienia. Trupie światła?…

– Zaraz pozbieram…

– Nie, usiądź. – Chciał na nią spojrzeć, ale nie mógł. Nie zdołał oderwać wzroku od Mike’a.

– Pamiętasz trupie światła, Bill? – zapytał cicho Mike.

– Nie – odrzekł. Miał dziwne wrażenie, jakby jego usta zostały potraktowane przez niefrasobliwego lekarza zbyt dużą dawka nowokainy.

– Przypomnisz sobie.

– Wolałbym nie.

– Mimo to i tak sobie przypomnisz. Ale… jeszcze nie teraz. Ja też jeszcze nie pamiętam. A może ktoś z was?

Po kolei pokręcili przecząco głowami.

– Ale dokonaliśmy czegoś – ciągnął spokojnie Mike. – W którymś momencie udało się nam uzyskać pewien rodzaj grupowej woli. W którymś momencie celowo bądź nie osiągnęliśmy wyższy stopień świadomości. – Poruszył się niespokojnie. – Boże, chciałbym, aby Stan tu był. Mam przeczucie, że Stan ze swoim uporządkowanym umysłem mógłby wpaść na jakiś pomysł.

– Być może tak się właśnie stało – wtrąciła Beverly. – Może dlatego się zabił. Może zrozumiał, że jeżeli nawet magia istnieje, to nie podziała ona na dorosłych.

– To niewykluczone – przyznał Mike. – Bo jest jeszcze jedno, co łączy naszą szóstkę.

Zastanawiam się, czy ktoś z was zwrócił na to uwagę.

Teraz z kolei Bill otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

– Mów – rzekł Mike. – Ty wiesz, co mam na myśli. Widzę to po twojej minie.

– Nie jestem pewny, czy wiem – odrzekł Bill – ale chyba chodzi o to, że m-my wszyscy n-nie mamy dzi-dzieci. Prawda?

Nastała chwila ciszy. Wszyscy byli zaszokowani słowami Billa.

– Tak – powiedział Mike. – Właśnie o to mi chodziło.

– Jezu Chryste Wszechmogący! – ryknął z oburzeniem Eddie. – A co, do diaska, To ma wspólnego z ceną fasoli w Peru? Czy każdy facet od razu musi mieć dzieci? To idiotyczne!

– Czy ty i twoja żona macie dzieci? – zapytał Mike.

– Skoro obserwowałeś całą naszą grupkę od tylu lat, to dobrze wiesz, że nie mamy. Ale nadal twierdzę, że to o niczym nie świadczy.

– A próbowaliście mieć dzieci?

– Nie przestrzegaliśmy kontroli urodzin, jeżeli to masz na myśli – mruknął Eddie z wyrazem urażonej godności w głosie, ale jego policzki mocno poczerwieniały. – Tylko tak się składa, że

moja żona ma lekką… No dobra, do diabła. Moja żona ma sporą nadwagę. Poszliśmy razem do lekarza i powiedział nam, że jeśli moja żona choć trochę nie schudnie, może się zdarzyć, że nigdy nie będziemy mieli dzieci. Czy to czyni z nas przestępców?

– Tylko spokojnie, Eds – rzucił uspokajająco Richie i pochylił się w jego stronę.

– Nie mów do mnie Eds i nie waż się szczypać mnie w policzek! – wrzasnął, odwracając się w stronę Richiego. – Wiesz, że tego nie cierpię! Nigdy tego nie znosiłem!

Richie odsunął się od niego, mrugając.

– Beverly? A co z tobą i Tomem? – zapytał Mike.

– Nie mamy dzieci – odparła. – Też nie przestrzegaliśmy kontroli urodzin. Tom chce mieć dzieci… no i ja oczywiście też – dodała pospiesznie.

Bill pomyślał, że jej oczy były zbyt promienne, jak oczy aktorki odgrywającej jedną ze swoich ról.

– Tylko że jak dotąd nic z tego…

– Przeprowadzałaś testy? – spytał Ben.

– O tak, oczywiście. – Roześmiała się, a jej śmiech przeszedł w stłumiony chichot. I w tej krótkiej chwili, co się niekiedy zdarza ludziom

obdarzonym pewnym zmysłem obserwacyjnym i umiejętnością szybkiego pojmowania oraz ciekawością, Bill zrozumiał nagle całą prawdę o Beverly i jej mężu, Tomie, alias Najwspanialszym Mężczyźnie Świata. To Beverly miała robione testy płodności. Jego przekonanie, że jest Najwspanialszym Mężczyzną Świata, nie pozwoliłoby mu nawet pomyśleć, że z jego spermą produkowaną w Świętej Mosznie mogło być coś nie tak.

– A co z tobą i twoją żoną, Wielki Billu? – zapytał Richie. – Próbowaliście?

Wszyscy spojrzeli nań z zaciekawieniem… gdyż jego żona była kimś, kogo wszyscy znali. Audra nie była ani najbardziej znaną, ani najbardziej lubianą aktorką świata, ale otaczała ją aura sławy i bogactwa, które to atuty odgrywały niebagatelną rolę w przemyśle filmowym drugiej połowy XX wieku. W magazynie „People” ukazało się jej zdjęcie z krótkimi włosami, zrobione podczas nudnego, przedłużającego się pobytu w Nowym Jorku (sztuka, w której miała zagrać na Broadwayu, zrobiła klapę). Przez tydzień, wbrew zdecydowanym obiekcjom swojej agentki, grała w *Hollywood Squares*. Była kimś obcym, ale jej twarz wszyscy znali bardzo dobrze. Pomyślał, że

Beverly sprawiała wrażenie szczególnie zaciekawionej.

– Próbowaliśmy przez ostatnie sześć lat – rzekł Bill. – Zarzuciliśmy to jakieś osiem miesięcy temu z uwagi na film, który kręciliśmy. Nosił tytuł *Pokój na poddaszu*.

– Wiecie, codziennie mamy krótkie bloki reklamowe od siedemnastej piętnaście do siedemnastej trzydzieści – powiedział Richie. – Nazywało się to *Zobaczyć gwiazdy*. W zeszłym tygodniu mówili na ten temat, „Mąż i żona szczęśliwie pracują razem" czy coś takiego. Podali wasze nazwiska, ale ja w ogóle tego nie skojarzyłem. Zabawne, prawda?

– Bardzo – odparł Bill. – W każdym razie Audra powiedziała, że tylko tego by brakowało, żeby zaszła w ciążę przed rozpoczęciem zdjęć i musiała przez dziesięć tygodni stawać przed kamerą, a jednocześnie każdego ranka cierpieć z powodu dotkliwych mdłości. Ale chcieliśmy mieć dzieci, tak. I muszę przyznać, że usilnie się staraliśmy.

– Mieliście robione testy płodności? – spytał Ben.

– Cztery lata temu, w Nowym Jorku. Lekarze odkryli w łonie Audry mały, łagodny nowotwór. Ich zdaniem dobrze się stało, iż do tej pory Audra

nie zaszła w ciążę, bo mogłoby to spowodować pewne komplikacje. Ale ona i ja jesteśmy płodni.

– Ale to nadal niczego nie dowodzi – powtórzył z uporem Eddie.

– Mimo wszystko daje do myślenia – mruknął Ben.

– A na twoim froncie, Ben, obyło się bez problemu? – zapytał Bill. Z rozbawieniem, a jednocześnie ze zgrozą uświadomił sobie, że o mało nie nazwał go Haystackiem.

– Nigdy się nie ożeniłem. Zawsze byłem ostrożny i jak dotąd żadna babka nie pozwała mnie do sądu o alimenty – rzekł Ben. – Poza tym w sumie nie ma za bardzo o czym gadać.

– Chcecie usłyszeć zabawną historię? – spytał Richie. Uśmiechał się, ale w jego oczach nie było odrobiny rozbawienia.

– Jasne – powiedział Bill. – Zawsze byłeś specem od opowiadania zabawnych rzeczy.

– Twoja gęba i mój tyłek, chłopie – rzekł Richie głosem irlandzkiego gliniarza. Wyszło mu to znakomicie.

Poprawiłeś się, Richie. Bardzo. Pod każdym względem, pomyślał Bill. Jako dziecku nie udałoby ci się naśladować głosu irlandzkiego gliniarza, choćbyś nie wiem jak się starał. Z wyjątkiem jednej czy dwóch sytuacji… kiedy

(*trupie światła*) to było? „Twoja gęba i mój tyłek; zapamnientaj se to, mały”.

Nagle Ben Hanscom złapał się za nos i zawołał wysokim, piskliwym chłopięcym głosem:

– Bip-bip, Richie! Bip-bip! Bip-bip!

Po chwili, śmiejąc się, Eddie też złapał się za nos. Beverly zrobiła to samo.

– Dobra, dobra! – zawołał Richie, zaśmiewając się do łez. – Dość. Poddaję się!

– O rety! – mruknął Eddie. Rozsiadł się wygodnie na krześle i śmiał się tak mocno, że o mało nie płakał. – Tym razem przegrałeś, Niewyparzona Gębo. Świetnie, Ben.

Ben uśmiechał się, ale wyglądał na nieznacznie zakłopotanego.

– Bip-bip – powiedziała Bev i zachichotała. – Zupełnie o tym zapomniałam. Zawsze cię tak bipowaliśmy, Richie.

– Wy po prostu nie potraficie docenić prawdziwego talentu – podsumował Richie. Jak dawniej można go było wytrącić z równowagi, ale on niczym niezatapialna lalka Joe Palooka niemal natychmiast znów wypływał na powierzchnię. – To był jeden z twoich małych wkładów do Klubu Frajerów, co nie, Haystack?

– Tak, chyba tak.

– Co za facet! – zawołał Richie drżącym, pełnym przerażenia głosem, a potem zaczął bić pokłony nad stołem, o mały włos nie wkładając przy tym nosa do filiżanki z herbatą. – Jeju, co za facet!

– Bip-bip, Richie – rzucił z powagą Ben, a potem wybuchnął śmiechem, który ani trochę nie przypominał dziecięcego chichotu sprzed paru chwil. – Ten sam stary Struś Pędziwiatr.

– Chcecie usłyszeć tę historię czy nie? – zapytał Richie. – Chcecie, to dobrze, nie, to trudno. Zróbcie bip-bip, jeżeli chcecie. Wytrzymam. Macie przed sobą faceta, który kiedyś przeprowadził wywiad z Ozzym Osbourne'em.

– Opowiedz – poprosił Bill. Spojrzał na Mike'a i zobaczył, że jego twarz była pogodniejsza niż na początku spotkania. Czy to dlatego, że widział, jak na jego oczach ponownie stawali się grupą, tak jak przed laty. Zupełnie jakby wracali do starych ról, co rzadko kiedy się zdarzało podczas spotkań starych przyjaciół.

Miał wrażenie, że tak. I pomyślał, że jeżeli istnieją jakieś warunki wstępne ożywiające wiarę w magię, dzięki czemu można jej używać, to być może powstają samoistnie.

Nie była to zbyt pocieszająca myśl. Czuł się jak facet przywiązany do głowicy zdalnie sterowanego pocisku rakietowego.

Ogólne bip-bip.

– No cóż – zaczął Richie – mógłbym to przedstawić w wersji wydłużonej i wyciskającej łzy z oczu albo komiksowo-zabawnej, jak z *Blondie and Dagwood*, ale wybrałem pośrednie rozwiązanie. Rok po wyjeździe do Kalifornii spotkałem dziewczynę i zadurzyliśmy się w sobie na dobre. Zamieszkaliśmy razem. Z początku brała pigułki, ale zawsze okropnie się po nich czuła. Zastanawiała się, czy nie powinna poddać się zabiegowi, ale odwiodłem ją od tego, bo w gazetach pojawiły się właśnie pierwsze opinie na ten temat, w których twierdzono, że zabiegi te nie są do końca bezpieczne. Rozmawialiśmy sporo na temat dzieci i uznaliśmy, że ich nie chcemy, nawet gdybyśmy zdecydowali się na zalegalizowanie naszego związku. Sprowadzanie dzieci na ten przeludniony, zasrany świat jest lekkomyślne, głupie, wiecie takie tam trele-morele, nic dobrego z nich nie wyrośnie, co najwyżej terroryści, bandyci, narkomani albo pseudofilozofowie dyskutujący na temat różnic pomiędzy maoizmem a trockizmem, wiecie, o co mi chodzi. Być może trochę przesadziłem. Do

diabła, byliśmy młodzi i przepojeni ideałami. W każdym razie poprzecinałem sobie kabelki, jak to się potocznie mówi w Beverly Hills. Operacja przeszła spokojnie i bez komplikacji. Sami wiecie, że mogło się tak nie stać. Mojemu kumplowi jaja napuchły do rozmiarów opon cadillaca rocznik pięćdziesiąty dziewiąty. Miałem zamiar sprezentować mu na urodziny szelki i robiony na zamówienie pokrowiec, żeby wyglądał jak człowiek, ale do tej pory wróciły już do normy.

– Wyłożyłeś to z właściwym sobie taktem i delikatnością – zauważył Bill, a Beverly znowu zaczęła się śmiać.

Richie wyszczerzył zęby.

– Dzięki, Bill, za słowa wsparcia. W swojej ostatniej książce użyłeś słówka „pieprzyć” dwieście sześć razy. Liczyłem.

– Bip-bip, Niewyparzona Gębo – rzekł z powagą Bill i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Bill prawie nie mógł uwierzyć, że niecałe dziewięć minut temu rozmawiali o zamordowanych dzieciach.

– Nawijaj, Richie – rzucił Ben. – Robi się późno.

– Sandy i ja żyliśmy razem przez dwa i pół roku – ciągnął. – Dwa razy byliśmy już blisko

zawarcia związku małżeńskiego. Jak się okazało, żyjąc na kocią łapę, oszczędziliśmy sobie sporo bólu i żalu. Ona otrzymała propozycję podjęcia pracy w firmie prawniczej w Waszyngtonie, a ja w tym samym czasie dostałem ofertę od KLAD zostania weekendowym didżejem. Nie było to nic szczególnego, ale wystarczyło, aby nas skłócić. Zupełnie jak włożenie stopy między drzwi. Powiedziała mi, że to dla niej wielka szansa i że byłbym najbardziej nieczułym, męskim, szowinistycznym sukinsynem, gdybym starał się ją od tego odwieść. Poza tym, jak twierdziła, miała już serdecznie dosyć Kalifornii. Oświadczyłem jej, że ja również otrzymałem ofertę pracy. Od słowa do słowa wywiązała się kłótnia, która skończyła się odejściem Sandy. Zerwaliśmy. Na dobre. Jakiś rok potem postanowiłem spróbować i odwrócić efekt operacji. Nie było po temu żadnego realnego powodu, a z tego, co wyczytałem na ten temat, wiedziałem, że szanse są nikłe, ale pomyślałem sobie, niech tam, raz kozie śmierć.

– Spotykałeś się z kimś regularnie? – spytał Bill.

– Nie, i to jest właśnie najśmieszniejsze – rzekł Richie i się zasępił. – Po prostu któregoś dnia

obudziłem się z przeświadczeniem… że powinienem to wszystko odwrócić.

– Chyba ci odbiło – stwierdził Eddie. – Znieczulenie ogólne zamiast miejscowego. Operacja? I dobry tydzień po tym w szpitalu?

– Tak, lekarz uświadomił mi pewne rzeczy. A ja mu na to, że pomimo wszystko chcę się poddać tej operacji. Nie wiem, dlaczego tak się uparłem. Spytał mnie, czy zdaję sobie sprawę, że po operacji czeka mnie sporo bólu, a i tak nie wiadomo, czy przyniesie ona pozytywny rezultat. Szanse są mniej więcej pół na pół. Tak jak z rzutem monetą. Powiedziałem, że się decyduję, i to jak najwcześniej. On na to: „Spokojnie, synu, spokojnie; najpierw weźmiemy próbkę twojej spermy, żeby się upewnić, że operacja jest w ogóle konieczna”. Ja wtedy: „Przecież robiono mi już test po wazektomii. Operacja się udała”. A on wtedy powiedział, że czasami przewody ponownie się zrastają. „Mamusiu! – zawołałem. – Nikt mi tego nigdy nie mówił”. Powiedział, że prawdopodobieństwo tego jest bardzo małe, prawie zerowe, ale ponieważ operacja była tak poważna, powinniśmy to sprawdzić. No i poszedłem do toalety dla panów z katalogiem „Frederick’s of Hollywood” w jednej i szklanym

naczyniem w drugiej ręce, a potem się spuściłem…

– Bip-bip, Richie – powiedziała Beverly.

– Tak, masz rację, ta część o katalogu to kłamstwo; czegoś tak dobrego nie ma w żadnym gabinecie lekarskim. W każdym razie trzy dni później lekarz zadzwonił do mnie i powiedział, że ma dla mnie dwie wiadomości, dobrą i złą, i którą chciałbym usłyszeć najpierw? „Na początek dobrą”, poprosiłem. „Dobra wiadomość nie jest panu potrzebna. Zła to ta, że każda dziewczyna, z którą był pan w łóżku w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat, mogłaby podać pana do sądu i zaskarżyć o płacenie alimentów”. „Czy sugeruje pan to, co wydaje mi się, że pan sugeruje?”. „Mówię tylko, że od pewnego czasu nie strzela pan ślepakami. W pańskiej próbie spermy znajdowały się miliony małych plemników. Z przykrością informuję, że beztroskie i radosne noce spędzone z kobietami, bez najmniejszych obaw o ewentualne następstwa, dobiegły końca, Richardzie”. Podziękowałem mu i odłożyłem słuchawkę. Potem zadzwoniłem do Sandy, w Waszyngtonie.

Nagle głos Richiego stał się głosem dziewczyny, której żadne z nich nigdy nie spotkało. To nie było naśladownictwo, bardziej

kojarzyło się z jej słuchowym, plastycznym portretem.

– „Rich – mówi Sandy – jak to miło cię słyszeć! Wyszłam za mąż!”. „Tak. To świetnie – powiedziałem. – Powinnaś była mnie powiadomić. Zadedykowałbym ci miksa”. „Nic się nie zmieniłeś, Richie – ona na to. – Nadal tylko żarty ci w głowie”. „Pewno, że nic się nie zmieniłem. I jasne, że stale tylko żarty mi w głowie. À propos, Sandy, czy po wyjeździe z Los Angeles nie miałaś czasem dziecka? Nic takiego ci się nie przytrafiło?”. „To nie jest śmieszne, Richie”, odparła i poczułem, że ma ochotę odłożyć słuchawkę, toteż opowiedziałem jej, co się stało. Zaczęła się śmiać, tyle że tym razem naprawdę głośno; śmiała się tak, jak ja się zawsze śmiałem, kiedy przebywałem w waszym gronie, zupełnie jakby ktoś opowiedział jej najzabawniejszy kawał świata. I kiedy w końcu zaczęła się uspokajać, spytałem ją, co ją tak rozbawiło. „To naprawdę cudownie. Tym razem śmieję się z ciebie. Po tylu latach, w końcu pierwszy raz śmieję się z Richiego Toziera. Ile bękartów naprodukowałeś, odkąd wyjechałam na Wschód, Rich?”. „Przyjmuję zatem, że jak dotąd, nie doświadczyłaś jeszcze rozkoszy macierzyństwa”. „Mam termin na lipiec –

odpowiada. – Jeszcze jakieś pytania?! „Tak – dodaję – kiedy zmieniłaś zdanie co do sprowadzania dzieci na ten zasrany świat?”. „Kiedy w końcu spotkałam faceta, który nie miał tak nasrane w głowie jak ty”, odparła i odłożyła słuchawkę.

Bill zaczął się śmiać. Śmiał się tak, że łzy pociekły mu po policzkach.

– Tak – rzekł Richie. – Myślę, że przerwała rozmowę tak ostro, bo rzeczywiście udało jej się mieć ostatnie słowo, ale nie o to chodzi. Tę rozmowę mogła przerwać praktycznie w każdym momencie. Wiem, kiedy jestem na przegranej pozycji. Tydzień później poszedłem do lekarza i zapytałem go, czy mógłby mi udzielić nieco więcej informacji na temat spontanicznej regeneracji. Powiedział, że rozmawiał na ten temat z paroma przyjaciółmi. Okazało się, że w okresie od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego kalifornijski oddział Stowarzyszenia Lekarzy zarejestrował dwadzieścia trzy przypadki spontanicznej regeneracji. Sześć z nich było skutkiem niefachowo przeprowadzonych operacji. Sześć innych wyglądało dość podejrzanie, najprawdopodobniej ci faceci chcieli uszczknąć trochę grosza z kont lekarzy…

A zatem pozostaje jedenaście przypadków na trzy lata.

– Jedenaście z ilu? – spytała Beverly.

– Dwudziestu ośmiu tysięcy sześciuset osiemdziesięciu – odrzekł ze spokojem Richie.

Przy stole zapadła cisza.

– A więc okazałem się nielichym farciarzem, jak sami widzicie – mruknął Richie – ale nadal nie mam dzieci, aby móc to potwierdzić. Można by się schichrać, no nie, Eds?

– To nadal nie jest dowodem… – zaczął Eddie z uporem.

– Nie – powiedział Bill. – To rzeczywiście niczego nie dowodzi. Ale daje do myślenia. I pozwala zauważyć pewne powiązanie. Pytanie brzmi: Co teraz zrobimy? Zastanawiałeś się nad tym, Mike?

– Pewie, że nad tym myślałem – rzekł Mike. – Ale nie sposób było o niczym decydować, dopóki nie zebraliśmy się tak jak teraz i nie przedyskutowaliśmy wszystkiego. Nie można było przewidzieć, jak potoczy się to spotkanie, póki do niego nie doszło.

Przerwał na dłuższą chwilę, przyglądając się im z zamyśleniem.

– Mam pewien pomysł – powiedział – ale zanim go wam zdradzę, myślę, że powinniśmy

ustalić podstawową rzecz: Czy chcemy ponownie spróbować zrobić to, co już raz uczyniliśmy? Czy ponownie spróbujemy To zabić? Czy może po prostu rozjedziemy się każdy w swoją stronę i powrócimy do tego, co robiliśmy?

– Wygląda na to, że… – zaczęła Beverly, ale Mike spojrzał na nią i pokręcił głową. Jeszcze nie skończył.

– Musicie pojąć, że nie sposób przewidzieć, jakie mamy szanse na pomyślne przeprowadzenie naszej misji. Wiem, że nie są największe, podobnie jak zdaję sobie sprawę, że nasza sytuacja nieco by się poprawiła, gdyby był teraz z nami Stan. Na pewno nie byłaby dobra, ale choć trochę lepsza. Wraz z odejściem Stana krąg, jaki utworzyliśmy tamtego dnia, został przerwany. Szczerze mówiąc, nie sądzę, abyśmy w niepełnej grupie, a co za tym idzie przerwanym kręgu, mogli zabić To czy choćby unieszkodliwić na pewien czas, tak jak uczyniliśmy to wcześniej. Myślę, że To zabije nas jedno po drugim i prawdopodobnie w najokropniejszy z możliwych sposobów. Jako dzieci stworzyliśmy zamknięty krąg, uczyniliśmy to w sposób, jakiego do dziś nie umiem pojąć. Sądzę, że jeśli zdecydujemy się podjąć walkę z Tym, będziemy musieli spróbować stworzyć

nowy, mniejszy krąg. Nie wiem, czy się uda. Może się zdarzyć, że będziemy wierzyli, iż to się nam udało, aby kiedy już będzie za późno, przekonamy się, że się pomyliliśmy.

Mike ponownie powiódł wzrokiem po ich twarzach. Jego oczy były zapadnięte i zmęczone.

– Wydaje mi się, że powinniśmy przeprowadzić głosowanie. Czy mamy zostać i spróbować zrobić to ponownie, czy rozjechać się do domów. Tylko taki mamy wybór. Sprowadziłem was tu na mocy starej obietnicy, choć nie byłem pewny, czy w ogóle o niej pamiętacie, ale na mocy tej obietnicy nie mogę was tu zatrzymywać. Rezultaty mogłyby się okazać zgubne w skutkach.

Spojrzał na Billa i w tej samej chwili Bill zrozumiał, co się zbliżało. Bał się, ale nie potrafił tego powstrzymać i nagle ogarnęło go uczucie ulgi, które, jak sądził, musi towarzyszyć samobójcy, kiedy zdejmuje dłonie z kierownicy rozpędzonego samochodu i po prostu zakrywa sobie nimi oczy, godząc się z losem.

Mike sprowadził ich tutaj. Mike opowiedział im o wszystkim, a teraz rezygnował z roli przywódcy… Miał ją przejąć ktoś, kto przewodził ich grupie w 1958 roku.

– Co powiesz, Wielki Billu? Zadaj pytanie.

– Zanim to uczynię – rzekł Bill – czy w-wszyscy rozumieją pytanie? Chciałaś coś powiedzieć, Bev.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– W porządku.

– M-myślę, że pytanie brzmi: Czy mamy zostać i walczyć, czy też zapomnieć o wszystkim? Kto jest za tym, żeby zostać?

Przez dobre pięć sekund nikt przy stole w ogóle się nie poruszył. Bill skojarzył sobie ten zastój z paroma aukcjami, w których uczestniczył – kiedy cena przedstawionej pozycji osiągnęła nagle niebotyczny poziom i ci, którzy nie chcieli już brać udziału w licytacji, zmieniali się w żywe posągi; bano się nawet podrapać po nosie czy odgonić muchę, aby licytator nie wziął ich gestu za oznakę dołożenia do ogólnej sumy kolejnych pięciu czy dwudziestu pięciu tysięcy.

Bill pomyślał o George'u, który nie chciał nikogo skrzywdzić, który po prostu chciał wyjść z domu, gdzie kisił się od tygodnia. Myślał o George'u z rumieńcami na policzkach, z okręcikiem z gazety w jednej ręce, zapinającym drugą guziki żółtej przeciwdeszczowej kurtki. O George'u dziękującym mu… a potem pochylającym się i całującym go w ciepły od

gorączki policzek. „Dzięki, Bill. To świetny okręcik”.

Poczuł, jak narasta w nim dawny gniew, ale był teraz starszy i patrzył na wszystko z dużo szerszej perspektywy. Teraz nie chodziło już tylko o George’a. Przez jego głowę przewijał się potworny korowód nazwisk. Betty Ripsom wmarznięta w ziemię, Cheryl Lamonica wyłowiona z Kenduskeag, Matthew Clements porwany ze swego rowerku, Veronica Grogan – dziewięciolatka znaleziona w kanale, Steven Johnson, Lisa Albrecht, wszyscy inni i Bóg jeden wie ilu zaginionych. Powoli uniósł rękę i powiedział:

– Zabijmy To. Tym razem naprawdę To zabijmy.

Przez chwilę tylko on unosił dłoń, jak jedyne dziecko w klasie, które zna odpowiedź na zadane przez nauczycielkę pytanie. Dziecko znienawidzone przez wszystkie inne dzieci. Potem Richie westchnął, uniósł rękę i rzekł:

– Raz kozie śmierć. To nie może być gorsze niż przeprowadzenie wywiadu z Ozzym Osbourne’em.

Beverly uniosła dłoń. Rumieńce powróciły na jej policzki. Wyglądała na bardzo podnieconą i zarazem śmiertelnie przerażoną.

Mike podniósł rękę. Ben zrobił to samo. Eddie Kaspbrak rozsiadł się wygodnie i sprawiał wrażenie, jakby jego najgłębszym pragnieniem było stopienie się z krzesłem lub natychmiastowa dematerializacja.

Jego pociągłe i delikatne oblicze przepełniał wyraz głębokiego przerażenia, kiedy popatrzył najpierw w lewo, potem w prawo, a następnie na powrót przeniósł wzrok na Billa. Bill był przekonany, że Eddie po prostu odsunie krzesło, wstanie i wybiegnie z salki, nie oglądając się za siebie. On jednak uniósł w górę jedną rękę, a drugą ścisnął mocno aspirator.

– Świetnie, Eds – rzekł Richie. – Założę się, że i tym razem będziemy mieli okazję nieźle się pochichrać.

– Bip-bip, Richie – powiedział Eddie drżącym tonem.

6

Frajerzy dostają deser

– No więc jaki masz pomysł, Mike? – zapytał Bill. Nastrój przerwało pojawienie się Rose niosącej talerz z ciasteczkami szczęścia. Rozejrzała się dokoła, lustrując wzrokiem szóstkę

gości siedzących przy stole z uniesionymi dłońmi, ale zrobiła to bez szczególnego zaciekawienia. Pospiesznie poopuszczali ręce i nie podjęli rozmowy, dopóki Rose nie wyszła.

– To dość proste – rzekł Mike. – Ale może być również niebezpieczne.

– Zasuwaj – zachęcił Richie.

– Myślę, że na resztę dnia powinniśmy się rozdzielić. Sądzę, że każde z nas powinno wrócić w to miejsce, które pamięta najlepiej… poza Barrens, ma się rozumieć. Jak na razie, chyba nie powinniśmy tam jeszcze przychodzić. Pomyślcie o tym jako o pospolitych przechadzkach.

– Ale po co, Mike? – zapytał Ben.

– Nie jestem całkiem pewny. Musicie zrozumieć, że to w dużej mierze kwestia intuicji.

– Ale ma to swój rytm i chyba da się to tańczyć – rzekł Richie. Inni uśmiechnęli się, Mike nie; tylko pokiwał głową.

– To równie dobre wyjście jak każde inne. Działanie intuicyjne to jak dobranie rytmu i tańczenie w tym rytmie. Dorośli mogą mieć kłopoty z działaniem intuicyjnym, ale właśnie dlatego, jak sądzę, jest to dla nas teraz najwłaściwsze. Dzieci w osiemdziesięciu procentach swoich poczynań opierają się na

intuicji i robią to mniej więcej do czternastego roku życia.

– Sugerujesz, żebyśmy na własną rękę zapoznali się z sytuacją – powiedział Eddie.

– Chyba tak. W każdym razie tak się przedstawia moja propozycja. Jeżeli nie przychodzi wam do głowy żadne konkretne miejsce, to po prostu idźcie, gdzie was nogi poniosą. Wieczorem spotkamy się w bibliotece i porozmawiamy o tym, co wam się przydarzyło.

– Jeżeli cokolwiek nam się przydarzy – rzekł Ben.

– Och, myślę, że to raczej pewne.

– Ale co ma się nam przydarzyć? – spytał Bill.

Mike pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Ale, jak sądzę, nie będzie to nic przyjemnego. Bardzo możliwe nawet, że któreś z was nie zjawi się dziś wieczorem w bibliotece. Nie mam wprawdzie powodu, aby myśleć w ten sposób… po prostu znów odzywa się moja intuicja.

Jego wypowiedź skwitowano milczeniem.

– Dlaczego pojedynczo? – spytała w końcu Beverly. – Skoro mamy tworzyć grupę, czemu mielibyśmy zacząć w pojedynkę, Mike? Zwłaszcza że, jak mówisz, ryzyko jest naprawdę wielkie?

– Chyba umiem na to odpowiedzieć – wtrącił się Bill.

– No to wal, Bill – rzekł Mike.

– To zaczęło się dla każdego z nas indywidualnie – powiedział Bill, zwracając się do Beverly. – Nie pamiętam jeszcze wszystkiego, na razie, ale to sobie przypominam. Zdjęcie w pokoju George'a, które ożyło. Mumia Bena. Trędowaty, którego Eddie zobaczył pod werandą domu przy Neibolt Street. Mike odnalazł ślady krwi na trawie, w pobliżu kanału, w Bassey Park… I ten ptak… miałeś jakąś przeprawę z ptakiem, prawda, Mike?

Mike ponuro pokiwał głową.

– To był wielki ptak.

– Tak, ale nie tak przyjazny, jak ten z *Ulicy Sezamkowej*.

Richie zachichotał wściekłe.

– Odpowiedź Derry dla Jamesa Browna! A co ze zbawieniem? Ulżyjta se, ludziska…

– Bip-bip, Richie – powiedział Mike i Richie się uspokoił.

– Dla ciebie to był głos z otworu odpływowego umywalki i krew, która stamtąd wypłynęła – rzekł Bill, zwracając się do Beverly. – A dla Richiego… – Urwał zakłopotany.

– Musi być wyjątek potwierdzający regułę, Wielki Billu – rzekł Richie. – Po raz pierwszy tego lata miałem do czynienia z czymś niezwykłym u ciebie w domu, w pokoju George'a. Byliśmy tam wtedy razem. Tego dnia, kiedy przeglądaliśmy album twojego brata. Zdjęcie Center Street przy kanale ożyło. Pamiętasz?

– Tak – odparł Bill. – Ale czy jesteś pewny, że wcześniej nie przytrafiło ci się nic niezwykłego? Zupełnie nic?

– Ja… – W oczach Richiego pojawiły się dziwne błyski. Powiedział wolno: – Widziałem… któregoś dnia Henry i jego kumple ścigali mnie, to było przed końcem szkoły i uciekłem im w dziale zabawek Freese'a. Potem poszedłem do City Center, przysiadłem chwilę na ławce w parku i wydawało mi się, że widziałem… ale to z pewnością tylko mi się przyśniło.

– Co to było? – zapytała Beverly.

– Nic – odparł nieomal opryskliwie Richie. – To mi się przyśniło. Naprawdę. – Spojrzał na Mike'a. – Ale nie mam nic przeciwko małej przechadzce. Mamy przecież trochę czasu do zabicia. Obejrzę sobie stare śmieci.

– A więc zgoda? – spytał Bill. Pokiwali głowami.

– No to spotkamy się dziś wieczorem w bibliotece, o… o której proponujesz, Mike?

– O siódmej. Jeżeli się spóźnicie, naciśnijcie dzwonek przy wejściu. Do wakacji biblioteka w dni powszednie zamykana jest o siódmej.

– Niech będzie siódma – rzekł Bill i powiódł wzrokiem po ich twarzach. – I bądźcie ostrożni. Chcę wam przypomnieć, że tak naprawdę żadne z nas nie wie, co ma robić. Pomyślcie o tym jako o rekonesansie. Jeżeli cokolwiek zobaczycie, nie stawajcie do walki. Uciekajcie.

– Jestem kochankiem, nie wojownikiem – powiedział Richie rozmarzonym głosem Michaela Jacksona.

– Skoro mamy to zrobić, to ruszajmy – rzucił Ben. Słaby uśmiech wykwitł w lewym kąciku jego ust. Dominowała w nim jednak gorycz. – Choć niech mnie kule biją, jeżeli wiem, dokąd mam się udać, skoro Barrens odpada. To było moje ulubione miejsce, zwłaszcza jeżeli i wy tam byliście.

Przez chwilę przyglądał się Beverly, a potem odwrócił wzrok.

– Nie potrafię znaleźć żadnego innego miejsca, które znaczyłoby dla mnie tak wiele jak to. Prawdopodobnie po prostu pospaceruję sobie

parę godzin, przyglądając się budynkom i mocząc nogi.

– Znajdziesz takie miejsce, Haystack – powiedział Richie. – Wystarczy, że zajdziesz do paru sklepów ze słodyczami i podładujesz baterie.

Ben się roześmiał.

– Moja pojemność, od czasu kiedy miałem jedenaście lat, znacznie się zmniejszyła. Jestem tak pełny, że moglibyście mnie stąd wytaczać…

– No to jazda – zarządził Eddie.

– Poczekajcie! – zawołała Beverly, kiedy zaczęli podnosić się z krzeseł. – Ciasteczka szczęścia! Nie zapomnijcie o nich!

– Tak – rzekł Richie. – Już widzę, co jest w moim: „Wkrótce pożre cię wielki potwór. Życzymy miłego dnia”.

Wybuchnęli śmiechem, a Mike podsunął talerz z małymi, spiczastymi ciasteczkami Richiemu, który wziął jedno i puścił talerz w obieg. Bill zauważył, że żadne z nich nie otworzyło swojego ciasteczka, dopóki wszyscy nie wybrali sobie po jednym. Trzymali je w rękach albo kładli przed sobą na stole – a kiedy Beverly wzięła swoje i już miała je przełamać, Bill poczuł, jak w jego gardle rodzi się krzyk. Nie! Nie rób tego, to część Tego, odłóż to, nie otwieraj!

Ale już było za późno. Beverly przełamała swoje ciasteczko. Ben zrobił to samo ze swoim, Eddie wbił się w swoje widelcem, ale zanim jeszcze na twarzy Beverly wykwitł grymas przerażenia, Bill pomyślał: Wiedzieliśmy, jakimś sposobem wiedzieliśmy, bo nikt z nas nie ugryzł swojego ciasteczka szczęścia. A przecież zwykle tak się robi. To normalne. Ale nie tym razem. Bo jakaś część nas wciąż pamięta… wszystko.

I nagle uświadomił sobie coś naprawdę potwornego – to, co stało się przed chwilą, mówiło wyraziściej niż Mike Hanlon o piętnie, jakie To odcisnęło na każdym z nich… o piętnie, które nadal nosili w sobie.

Krew trysnęła z ciasteczka szczęścia Beverly jak z rozprutej tętnicy. Trysnęła na jej dłoń i obrus, którym nakryto stół; szkarłatna plama zaczęła rozlewać się na wszystkie strony długimi, różowawymi palcami.

Eddie Kaspbrak wydał zduszony okrzyk i tak gwałtownie odsunął się od stołu, wymachując rękoma i nogami, że o mały włos nie wywrócił się razem z krzesłem na ziemię.

Olbrzymi owad z chitynowym brunatnym pancerzykiem wydostawał się z wnętrza ciasteczka szczęścia jak z kokonu. Jego obsydianowe oczy patrzyły nieruchomo przed

siebie. Kiedy wyłaził na talerz, z jego pancerza, jak deszcz, posypały się okruchy ciasteczka. Bill widział to wyraźnie i ten obraz nawiedzi go we śnie tego popołudnia. Owad uwolnił się w końcu ze skorupy ciasteczka i potarł swymi chudymi tylnymi odnóżami, wydając przy tym suchy, piskliwy dźwięk, dzięki czemu Bill zorientował się, że ma przed sobą jakiegoś dziwnego zmutowanego świerszcza, który podreptał chwiejnie do przodu i uderzywszy o brzeg talerza, przewrócił się na grzbiet.

– O Boże! – wyszeptał zdławionym głosem Richie. – O Boże, Wielki Billu, to oko, Boże Wszechmogący, to oko, pieprzone oko…

Bill odwrócił głowę i zobaczył Richiego wpatrującego się w swoje ciasteczko. Usta Toziera wykrzywiał dziwny grymas ni to obrzydzenia, ni to strachu. W otworze ciasteczka można było dostrzec ludzką gałkę oczną, łypiącą ze szklistą intensywnością. Wokół brązowej tęczówki widniały okruchy ciasteczka. Kilka z nich wbiło się również w powierzchnię rogówki.

Ben Hanscom cisnął swoim ciasteczkiem o stół – nie był to przemyślany rzut, ale zwyczajny odruch człowieka zaskoczonego czymś niepomiernie obrzydliwym i wstrętnym.

Kiedy ciasteczko toczyło się po stole, Bill zobaczył, że w środku znajdowały się dwa zęby, których korzenie były ciemne od skrzepniętej krwi. Grzechotały jak nasiona wewnątrz pustej tykwy. Obejrzał się w stronę Beverly i zobaczył, że dziewczyna wstrzymała oddech, jakby zaraz miała krzyknąć. Jej wzrok utkwiony był w tym, co wypełzło z ciasteczka Eddiego i leżąc na plecach, powoli i niezdarnie przebierało odnóżami.

Bill zaczął działać. Nie myślał – po prostu reagował. Intuicja, przemknęła mu przez głowę myśl, kiedy zerwał się z krzesła i przyłożył dłoń do ust Beverly, zanim jeszcze zdążyła krzyknąć. Działam wedle intuicji. Mike powinien być ze mnie dumny. Z ust Beverly zamiast krzyku dobył się stłumiony jęk. Eddie wciąż miał świszczący oddech, który Bill tak dobrze pamiętał. To żaden kłopot – porządny łyk zawartości starego „wysysacza płuc” postawi Eddiego na nogi. „W porządku” powiedziałby Freddie Firestone, a Bill nie po raz pierwszy zastanawiał się, czemu człowiek w takich chwilach miewa różne dziwne myśli.

Rozejrzał się wkoło.

– Gęby na kłódkę! Wszyscy! Ani mru-mru! Gęby na kłódkę! – zarządził.

Rich zakrył usta dłonią. Twarz Mike’a zrobiła się popielatoszara, ale skinął głową do Billa. Bill nie otworzył swojego ciasteczka szczęścia, jednak dobrze widział, jak jego ścianki pulsują wolno, w regularnym rytmie – nabrzmiewają i opadają, nabrzmiewają i opadają – zupełnie jakby coś, co znajdowało się wewnątrz, usiłowało się wydostać.

– Mmm! – jęknęła ponownie Beverly i jej oddech połechtał wnętrze jego dłoni.

– Ani mru-mru, Beverly – powiedział i odsunął rękę. Zdawało się, że jej twarz składa się z samych tylko oczu. Usta wykrzywiły się w grymasie.

– Bill… Bill… widziałeś…

Wzrok ponownie padł na świerszcza i tam już pozostał. Świerszcz konał. Nie ulegało wątpliwości. Jego fasetkowe oczy wpatrywały się w Beverly. Z jej ust dobył się jęk.

– P-p-przestań – rzucił posępnym tonem Bill. – Wracamy do stołu.

– Nie mogę, Billy. Nie zbliżę się do te…

– Możesz! I musisz! – Usłyszał ciche kroki dochodzące z wąskiego korytarzyka po drugiej stronie paciorkowej kotary. Powiódł wzrokiem po pozostałych. – Wy wszyscy! Wracajcie do stołu! Rozmawiajcie i zachowujcie się naturalnie.

Beverly spojrzała na niego błagalnym wzrokiem, ale Bill pokręcił głową. Usiadł i przysunął krzesło bliżej stołu, starając się nie patrzeć na leżące na jego talerzu ciasteczko szczęścia. Nabrzmiało ono jak jakiś niewyobrażalny pęcherz wypełniony ropą. I w dalszym ciągu pulsowało. Mogłem je ugryźć, pomyślał jakby mimochodem.

Eddie ponownie zaaplikował sobie porcję sprayu z aspiratora, wciągnął do płuc orzeźwiającą mgiełkę i jęknął przeciągle.

– No to jak myślicie, kto zdobędzie mistrzostwo? – spytał Bill, zwracając się do Mike'a i uśmiechając się głupkowato. Właśnie w tej chwili do pomieszczenia weszła Rose. Na jej obliczu widniał uprzejmy, pytający wyraz. Kątem oka Bill dostrzegł, że Bev ponownie przysunęła się z krzesłem do stołu. Dzielna dziewczyna, pomyślał.

– Myślę, że Chicago Bears – rzekł Mike.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała Rose.

– Świetnie – odparł Bill. Wskazał kciukiem w stronę Eddiego. – Nasz przyjaciel miał atak astmy. Wziął właśnie lekarstwo. Już mu lepiej.

Rose spojrzała na Eddiego z zatroskaniem.

– Lepiej – wysapał Eddie.

– Czy mogę już zabrać talerze?

– Za chwilę – rzekł Mike i zaprezentował jej szeroki, fałszywy uśmiech.

– Smakowało? – Powiodła wzrokiem po stole i odrobina powątpiewania zakłóciła otaczającą ją pogodną aurę. Nie widziała świerszcza, oka, zębów ani sposobu, w jaki ciasteczko Billa oddychało. Podobnie jak nie zauważyła plamy krwi na obrusie.

– Wszystko było bardzo dobre – powiedziała Beverly z naturalnym uśmiechem.

Wyglądało na to, że Rose wreszcie się uspokoiła, przekonana, że nawet jeżeli wydarzyło się tu coś złego, to nie wynikło to z winy jej obsługi czy kuchni.

Dziewczyna jest twarda, pomyślał Bill.

– A ciastka szczęścia smakowały? – zapytała Rose.

– Cóż – zaczął Richie – nie wiem jak u innych, ale moje było z oczkami.

Bill usłyszał cichy trzask. Spuścił wzrok na swój talerz i zobaczył nogę wysuwającą się na oślep z wnętrza jego ciasteczka. Drapała po talerzu. Mogłem je ugryźć, pomyślał i zmusił się do uśmiechu.

– Bardzo dobre – powiedział.

Richie patrzył na talerz Billa. Z resztek ciasta powoli wydobywała się olbrzymia szaroczarna

mucha. Pobzykiwała cichutko. Z ciasteczka wypływała leniwie żółtawa breja, rozlewająca się kałużą na obrusie. W powietrzu pojawiła się woń – drażniący odór zainfekowanej rany.

– Skoro nie mogę wam w niczym pomóc…

– Na razie nie – rzekł Ben. – Posiłek był wyborny. Doprawdy… niezwykły.

– Wobec tego zostawiam was – powiedziała i wyszła, odgarniając zasłonę z paciorków. Koraliki na sznurkach wciąż jeszcze obijały się o siebie i stukały, kiedy cała szóstka ponownie odsunęła się od stołu.

– Co to jest? – spytał ochrypłym tonem Ben, patrząc na rzecz na talerzu Billa.

– Mucha – odparł Bill. – Mucha mutant. Wydaje mi się, że powstała dzięki uprzejmości pisarza George'a Langelaana. Napisał on opowiadanie zatytułowane *Mucha*. Na jego podstawie nakręcono film, ale nie był najlepszy. To opowiadanie napędziło mi niezłego strachu. Pasuje do sztuczek, jakich To używa. Ostatnio sporo myślałem o muchach, gdyż miałem zamiar napisać powieść *Owady szos*. Wiem, że tytuł jest trochę głupawy, ale w-w-widzicie…

– Przepraszam – powiedziała Beverly, wstając. – Niedobrze mi.

Wyszła, zanim którykolwiek z mężczyzn zdążył podnieść się z krzesła. Bill rozłożył serwetkę i przykrył nią muchę wielkości pisklęcia wróbla. Nic równie dużego nie powinno się wydostać z czegoś tak małego jak chińskie ciasteczko z wróżbą… ale tak się stało. To zabzyczało dwa razy pod serwetką i umilkło.

– Jezu – wyszeptał Eddie.

– Spierdalajmy stąd – rzucił Mike. – Możemy zaczekać na Bev w holu.

Beverly właśnie wychodziła z toalety, kiedy zebrali się przy kasie. Wyglądała blado, ale trzymała się nieźle. Mike uiścił rachunek, pocałował Rose w policzek, a potem wszyscy wyszli w deszczowe popołudnie.

– Czy po tym, co się stało, ktoś chce się wycofać? – zapytał Mike. – Ja nie… tak sądzę.

– Nie – rzekł Eddie.

– Co to znaczy „wycofać się”? – rzucił Richie. Bill pokręcił głową, a potem spojrzał na Beverly.

– Zostaję – oświadczyła. – Bill, co miałeś na myśli, mówiąc, że to pasuje do sztuczek, jakich To używa?

– Nosiłem się z zamiarem napisania powieści o owadach – powiedział. – Przyszło mi na myśl opowiadanie Langlahana. Dlatego zobaczyłem

muchę. W twoim ciastku była krew. Czemu myślałeś o krwi?

– Chyba z powodu tej krwi w umywalce – odparła natychmiast Beverly. – Krwi, która wytrysnęła z otworu umywalki w moim starym domu, kiedy miałam jedenaście lat. – Ale czy to było naprawdę To? Nie była pewna. Bo nagle przypomniała sobie krew wypływającą spomiędzy jej palców gorącymi strużkami i krwawe odciski stopy po tym, jak nastąpiła na odłamek stłuczonej buteleczki perfum. Tom i… jej ojciec. „Bevvie, czasami bardzo się o ciebie martwię”, usłyszała w myślach.

– Ty też masz owada – rzekł Bill, zwracając się do Eddiego. – Dlaczego?

– To nie jest jakiś tam owad – powiedział Eddie. – To świerszcz. Mamy świerszcze w piwnicy naszego domu. Dom za dwieście tysięcy dolarów i nie możemy pozbyć się tych okropnych świerszczy. Nocami doprowadzają nas do szału. Parę nocy przed telefonem Mike’a miałem naprawdę koszmarny sen. Śniło mi się, że obudziłem się i miałem w łóżku pełno świerszczy. Próbowałem je wykończyć za pomocą swego aspiratora, ale kiedy naciskałem spust, z wnętrza buteleczki dobywał się tylko przenikliwy trzask i tuż przed tym, jak się

obudziłem, zdałem sobie sprawę, że ona również jest wypełniona świerszczami.

– Hostessa ich nie widziała – zauważył Ben. Spojrzał na Beverly. – Tak jak twoi starzy nie widzieli krwi wypływającej z umywalki, choć była wszędzie.

– Tak – przyznała.

Stali, patrząc na siebie nawzajem, w ciepłej wiosennej mżawce. Mike spojrzał na zegarek.

– Za jakieś dwadzieścia minut przyjedzie autobus – powiedział. – Albo jak się ściśniemy, mogę zabrać czworo z was moim wozem. Lub też mogę zadzwonić po taksówki. Cokolwiek zechcecie.

– Ja chyba się przejdę – rzekł Bill. – Nie wiem, dokąd pójdę, ale wydaje mi się, że odrobina świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

– Ja zadzwonię po taksówkę – powiedział Ben.

– Pojadę z tobą, jeżeli podrzucisz mnie do śródmieścia – oznajmił Richie.

– W porządku. A dokąd się wybierasz?

Richie wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie jestem pewny.

Pozostali zdecydowali się poczekać na autobus.

– O siódmej wieczorem – przypomniał Mike. – I bądźcie ostrożni. Wszyscy.

Przyrzekli, że będą ostrożni, choć Bill nie wiedział, w jaki sposób mogą dotrzymać obietnicy, skoro żadne z nich nie wiedziało, co go czeka. Nie sposób było tego przewidzieć. Już miał to powiedzieć, kiedy rzut oka na ich twarze upewnił go, że w pełni zdawali sobie z tego sprawę. Ruszył więc w drogę, unosząc nieznacznie dłoń w pożegnalnym geście. Powiew wilgotnego powietrza omiótł mu twarz. To było przyjemne uczucie. Czekał go długi spacer, ale wcale się tym nie przejmował. Miał wiele spraw do przemyślenia.

Cieszył się, że ponowne spotkanie dobiegło końca i że wreszcie zabrali się do dzieła. Ich misja się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ 11
Przechadzki

1

Ben Hanscom wypożycza książkę

Richie Tozier wysiadł z taksówki przy zbiegu ulic Kansas, Center i Main, a Ben na szczycie Milowego Wzgórza. Kierowca był „religijnym facetem” Billa, ale ani Richie, ani Ben o tym nie wiedzieli.

Dave milczał ponuro. Ben mógł, jak sądził, wysiąść razem z Richiem, ale uznał, że najlepiej będzie, jak każdy z nich zacznie działać na własną rękę. Stał z rękami w kieszeniach na rogu Kansas Street i Daltrey Close, patrząc na odjeżdżającą taryfę i starając się zapomnieć o okropnych wnioskach, do jakich doszli przy obiedzie.

Nie potrafił tego zrobić. Powracał myślami do czarnoszarej muchy wyczołgującej się z ciasteczka szczęścia na talerzu Billa – jej pożyłkowanych skrzydełek przylepionych do grzbietu. Starał się wyrzucić z pamięci ów obraz, ale nie umiał. Już wydawało mu się, że odniósł sukces, lecz pięć minut później upiorna wizja powracała.

Próbuję to w jakiś sposób usprawiedliwić, rozważał, nie mając na myśli usprawiedliwienia w sensie moralnym, a raczej matematycznym. Budynki projektuje się dzięki obserwacji pewnych naturalnych prawideł; prawa natury można wyrazić równaniami; równania można uzasadnić. Jak można uzasadnić to, co zdarzyło się przed niecałą godziną?

Daj temu spokój, powiedział sobie nie po raz pierwszy. Nie uda ci się tego uzasadnić, więc daj sobie spokój. Bardzo dobra rada – problem w tym, że nie zamierzał z niej skorzystać. Przypomniał sobie następny dzień po tym, jak widział mumię na zamarzniętym kanale; jego życie potoczyło się normalnym torem – poszedł do szkoły, napisał test z arytmetyki, po szkole był w bibliotece i apetyt dopisywał mu jak nigdy. Po prostu włączył istotę, którą widział na kanale, do swego życia i nawet jeżeli był wówczas o krok od

śmierci… to przecież dzieciaki stale igrają ze śmiercią. Przebiegają przez ulicę, nie rozglądając się wcześniej na boki, wskakują na gumowych tratwach do jeziora i zanim się zorientują, znajdują się w głębinie, spadają z drabinek i z drzew.

Teraz, stojąc w słabnącej mżawce przed wystawą sklepu Trustworthy Hardware Store, gdzie w 1958 roku mieścił się lombard (braci Fratich, przypomniał sobie Ben, za szybą, na żyłkach, niczym egzotyczne zwierzęta wisiały pistolety, karabiny, brzytwy i gitary), doszedł do wniosku, że dzieciaki były specami w balansowaniu na krawędzi życia i śmierci, a jeszcze lepiej potrafiły włączać do swego życia wszystko to, co niewytłumaczalne. Przez implikację wierzyły w istnienie niewidzialnego świata. Cudowne zdarzenia, zarówno te dobre, jak i złe, były brane pod rozwagę, ale jakby mimochodem, świat nie stawał dzięki temu w miejscu. Dla dzieciaka cudowne bądź straszliwe zdarzenie o dziesiątej rano nie oznacza, że o dwunastej nie może zjeść jednego czy dwóch cheese dogów ekstra.

Ale kiedy dorastasz, to wszystko się zmienia. Nie leżysz już w łóżku, czuwając, przekonany, że coś czai się w szafie bądź tylko czeka, żeby

zacząć drapać w szybę… ale kiedy to już się stanie, coś, cokolwiek, wykraczające poza możliwości racjonalnego wyjaśnienia, obwody ulegają przeładowaniu. Aksony i dendryty zaczynają się przepalać. Zaczynasz szaleć. Twoje ciało ogarniają nerwowe dreszcze. Nie umiesz tego opanować. Nie potrafisz włączyć tego, co się stało, do twego życia. To nie chce zostać przetrawione. Powracasz ku temu w myślach, dotykając tego leciutko jak kociak bawiący się kłębkiem włóczki… dopóki nie popadniesz w obłęd lub nie przekroczysz granicy, poza którą nie możesz już normalnie funkcjonować. A jeśli to nastąpi, pomyślał Ben, to jesteśmy ugotowani. Wszyscy. Bez wyjątku.

Zaczął iść wzdłuż Kansas Street bez żadnego konkretnego celu. I nagle pomyślał: Co zrobiliśmy ze srebrną dolarówką?

Nadal nie mógł sobie przypomnieć.

Srebrna dolarówka, Ben… Beverly uratowała ci nią życie. Tobie… i być może wszystkim innym… a z całą pewnością Billowi. To prawie wypruło mi flaki, zanim Beverly to zrobiła… ale co? Co ona zrobiła? I jak? Odparła atak Tego, a my jej w tym pomogliśmy. Ale jak?

I nagle przypomniał sobie słowo, słowo, które nic dla niego nie znaczyło, choć sprawiło, że jego

mięśnie mimowolnie się napięły: „Chüd”. Spuścił wzrok, wpatrując się w chodnik, i przez chwilę dostrzegł na nim narysowany kredą kształt żółwia. Świat przed jego oczami zawirował. Zacisnął mocno powieki i kiedy znów je otworzył, zobaczył, że to nie był żółw, a jedynie baza gry w klasy, na wpół rozmyta deszczem. Chüd.

Co to mogło znaczyć?

– Nie wiem – powiedział na głos i kiedy szybko rozejrzał się wokoło, by sprawdzić, czy ktokolwiek widział go mówiącego do siebie, zdał sobie sprawę, że skręcił z Kansas Street w Costello Avenue. Przy obiedzie powiedział, że w dzieciństwie jedynym miejscem w Derry, gdzie czuł się szczęśliwy, było Barrens… ale to nieprawda… Istniało jeszcze jedno takie miejsce. Przypadkiem czy nieświadomie podążał właśnie ku niemu – szedł w stronę biblioteki publicznej w Derry.

Stał przed nią przez minutę czy dwie, wciąż trzymając dłonie w kieszeniach. Nic się nie zmieniła; podziwiał linię budynku, tak jak to robił jako dziecko. Jak wiele dobrze zaprojektowanych kamiennych budowli – przyjrzenie się jej z bliska powodowało zamęt wywołany przez wyraźnie widoczne

sprzeczności – solidność i twardość były równoważone przez delikatność załamań i łuków i smukłość kolumn; wyglądała nieco przysadziście i mogła się kojarzyć z bankowym sejfem, a mimo to była smukła i kształtna (to znaczy była smukła w kategoriach budynków wzniesionych zwłaszcza na przełomie wieku, których okna, przecięte na krzyż wąskimi, żelaznymi prętami, były pełne wdzięku i zaokrąglone). Te sprzeczności sprawiały, że budynek nie wydawał się brzydki, i Ben bynajmniej nie zdziwił się, czując, że w głębi duszy kochał to miejsce. Na Costello Avenue nie zmieniło się zbyt wiele. Spoglądając wzdłuż alei, dostrzegł gmach Derry Community House i zastanawiał się, czy Costello Avenue Market wciąż jeszcze znajdował się tam gdzie dawniej (czyli w miejscu, gdzie biegnąca półkoliście alejka ponownie łączyła się z Kansas Street). Przeszedł przez trawnik przy bibliotece, nieomal nie zauważając, że ma przemoczone buty, aby rzucić okiem na oszklony pasaż pomiędzy biblioteką dla dorosłych a biblioteką dziecięcą. Ten budynek również się nie zmienił i z miejsca, gdzie Ben stał, tuż przed pochylającymi się gałęziami wierzb płaczących, widział ludzi przechodzących korytarzem to w jedną, to w drugą stronę.

Ogarnęło go stare uczucie zadowolenia i po raz pierwszy naprawdę zapomniał o tym, co się stało pod koniec obiadu. Przypomniał sobie, jak przychodził tu jeszcze jako dziecko (tyle że zimą), brodził przez śnieg sięgający prawie do bioder, a potem stał przed budowlą przez dobre piętnaście minut. Zjawił się tu o zmierzchu (jak sobie przypomniał), a wraz z tym wspomnieniem powróciło uczucie odrętwienia w palcach i śniegu topiącego się wewnątrz jego zielonych kaloszy. Zmierzchało, a wokół niego zaczęły płożyć się wczesnozimowe cienie; niebo na wschodzie miało barwę popiołu, a na zachodzie – węgli żarzących się w kominku.

Było zimno, a chłód, co się często zdarzało, potęgował jeszcze wiatr wiejący od skutego lodem Barrens.

Ale tam, niecałe czterdzieści jardów od miejsca, gdzie się znajdował, przechadzali się ludzie w koszulach i bluzkach z krótkimi rękawami. O niecałe czterdzieści jardów od miejsca, gdzie stał, znajdował się korytarz zalany blaskiem białych lamp fluorescencyjnych. Dzieci chichotały, pary zakochanych licealistów trzymały się za ręce (jeśli zauważyła to bibliotekarka, zaraz zwracała im uwagę). Było w tym coś magicznego, i to w pozytywnym tego

słowa znaczeniu, a on był zbyt młody, by składać to na karb czegoś równie trywialnego jak oświetlenie czy ogrzewanie. Magia tkwiła wewnątrz tego połyskującego cylindra światła i życia łączącego te dwa mroczne budynki niczym lina ratunkowa; magia tkwiła w obserwacji ludzi przechodzących pasażem, nietkniętych przez panujący na zewnątrz mrok czy mróz. To czyniło ich cudownymi i boskimi.

W końcu odchodził (tak jak teraz) i szedł do drzwi frontowych (tak jak teraz), ale zawsze odwracał się i jeden jedyny raz spoglądał za siebie (tak jak teraz), zanim kamienny załom budynku biblioteki dla dorosłych nie przesłonił do reszty tej wspaniałej, delikatnej pępowiny. Czując pod sercem ukłucie nostalgii, które wprawiło go w radosny nastrój, Ben wszedł po schodach i podszedł do drzwi biblioteki, zatrzymał się na moment na wąskiej werandzie pod filarami, gdzie niezależnie od tego, jaki był upał, zawsze panował przyjemny chłód.

Potem pchnął obite metalem drzwi z otworem do wrzucania książek pośrodku i wszedł do budynku. Wewnątrz panowała cisza.

Kiedy znalazł się w blasku szklanych kul zwieszających się z sufitu, moc wspomnień nieomal wprawiła go w stan otępienia. Siła ta nie

była natury fizycznej – nie można jej było porównać z ciosem w szczękę czy siarczystym policzkiem. Bardziej przypominała uczucie znane powszechnie jako déjà vu. Ben doświadczył go już kiedyś, ale nigdy dotąd z tak wielką mocą, powodującą kompletną dezorientację; przez dłuższą chwilę stał w progu, czując się zagubiony w czasie; nie pamiętał, ile miał właściwie lat – trzydzieści osiem czy jedenaście?

Ciszę panującą we wnętrzu biblioteki przerywały od czasu do czasu stłumione szepty, głuche stuknięcia towarzyszące stemplowaniu książek i odnotowywaniu zwrotów przez bibliotekarkę, jak również delikatny szelest przewracanych stronic gazet i magazynów ilustrowanych. Uwielbiał panujące tu oświetlenie. Promienie światła, przechodzące przez wysokie okna, szare niczym skrzydło gołębia w owo dżdżyste popołudnie; to światło powodowało ospałość i rozleniwienie. Przeszedł po posadzce wyłożonej czerwono-czarnym linoleum, którego wzór niemal całkiem się wytarł, starając się, jak zawsze, iść możliwie najciszej; biblioteka dla dorosłych miała pośrodku kształt kopuły i wszystkie dźwięki ulegały zwielokrotnieniu.

Zauważył, że kręte metalowe schodki wiodące do górnych półek nadal były na swoim miejscu – jedne z każdej strony głównego stołu, w kształcie podkowy, ale dostrzegł również, że od jego wyjazdu wraz z mamą z Derry przed dwudziestu pięciu laty zamontowano tu także niewielką windę. Ulżyło mu; dławiące uczucie déjà vu, jakie go ogarniało, znacznie osłabło.

Czuł się jak intruz, przechodząc przez ten hol, jak szpieg jakiegoś obcego państwa. Spodziewał się, że siedząca przy stole bibliotekarka lada moment uniesie głowę, zmierzy go ponurym spojrzeniem, a potem ryknie na całe gardło, przykuwając tym samym uwagę wszystkich osób znajdujących się w czytelni – i ich wzrok skieruje się w jego stronę. „Ty! Tak, ty! Co ty tu robisz? Nic tu po tobie! Nie masz tu czego szukać! Jesteś z zewnątrz! Pochodzisz z przeszłości! Wracaj, skąd przyszedłeś! Wracaj tam, i to już, zanim wezwę policję!”

Uniosła wzrok – była to młoda, ładna dziewczyna i przez chwilę Ben miał wrażenie, że jego fantazje zostaną urzeczywistnione, a kiedy spojrzenie jej jasnoniebieskich oczu napotkało jego wzrok, serce niemal podeszło mu do gardła. Jednak nie poświęciła mu więcej uwagi, odwróciła wzrok i Ben mógł bez przeszkód pójść

dalej. Jeżeli nawet był szpiegiem, to nie został zdemaskowany.

Zmierzając w stronę korytarza prowadzącego do biblioteki dziecięcej, przeszedł pod jednymi z wąskich i niemal samobójczo stromych metalowych schodków, przy czym z rozbawieniem stwierdził (już po fakcie), że powtórzył jeszcze jedno ze swych zachowań z dzieciństwa. Spojrzał mianowicie w górę, w nadziei, zupełnie tak jak przed laty, że zobaczy schodzącą po schodach dziewczynkę w kusej spódniczce. Pamiętał (właśnie teraz sobie przypomniał), że któregoś dnia spojrzał w górę i zobaczył pod spódniczką jednej z ładniejszych licealistek jej różowe majteczki. Jak promień słońca, który zabłysł na ogniwach bransoletki noszonej przez Beverly Marsh na kostce, obudził w jego sercu owego pamiętnego dnia 1958 roku uczucie bardziej prymitywne niż miłość czy przywiązanie, tak widok bielizny ślicznej licealistki po prostu go urzekł. Pamiętał, jak przesiedział przy stoliku w bibliotece dziecięcej dobre dwadzieścia minut z rozpalonym czołem i policzkami, z otwartą książką o historii pociągów, na której absolutnie nie mógł się skupić, a w jego spodniach zesztywniała drobniutka gałązka penisa, którego korzenie

sięgały daleko w głąb brzucha. Fantazjował, że oboje wzięli ślub i zamieszkali w małym domku na przedmieściu, oddając się przyjemnościom, których nie potrafił jeszcze w pełni zrozumieć. Uczucie to przeminęło równie niespodziewanie, jak się pojawiło, ale odtąd zawsze, gdy przechodził pod schodkami, unosił wzrok. Nigdy jednak nie zdarzyło mu się zobaczyć czegoś ciekawego czy urzekającego (tylko raz zauważył schodzącą ostrożnie po schodach tłustawą kobiecinę, ale z miejsca odwrócił wzrok zawstydzony; poczuł się jak gwałciciel), mimo to nawyk pozostał – i teraz, już jako dorosły, uczynił to ponownie.

Przeszedł wolno wzdłuż oszklonego pasażu, zauważając kolejne zmiany. OPEC UWIELBIA, KIEDY MARNUJESZ PRĄD. „Oszczędzaj energię elektryczną”, brzmiał napis na plakietkach nad kontaktami. Na zdjęciach na przeciwległej ścianie, kiedy wszedł do tego świata jasnych stołów i krzeseł z jasnego drewna – świata, gdzie fontanna z wodą pitną miała zaledwie cztery stopy wysokości – nie widnieli Dwight Eisenhower i Richard Nixon, ale Ronald Reagan i George Bush. Reagan – jak Ben zdołał sobie przypomnieć – w roku, kiedy Ben skończył piątą

klasę, był gospodarzem *General Electric Theater*, a George Bush nie miał nawet trzydziestki. Ale…

Ponownie owładnęło nim déjà vu. Nie potrafił się przed nim obronić i tym razem poczuł zabójcze odrętwienie, jakie może odczuwać człowiek, który po półgodzinie bezradnego bicia rękoma i nogami w wodę uświadamia sobie, że brzeg wcale się nie przybliża i że lada moment przyjdzie mu utonąć. To była godzina opowieści i w kąciku skupiło się może z tuzin dzieci, słuchających czytanej na głos bajki.

– Kto tam tupta, tupiąc po moim mostku? – powiedziała bibliotekarka, naśladując ochrypły głos trolla, a Ben pomyślał: Kiedy uniesie głowę, zobaczę, że to panna Davies, i okaże się, że nie postarzała się ani trochę od tamtego dnia… Ale kiedy bibliotekarka uniosła głowę, zobaczył, że była to dziewczyna jeszcze młodsza niż pani Davies wówczas.

Niektóre dzieci zakryły usta i zaczęły chichotać, ale inne tylko ją obserwowały – w ich oczach odbijała się odwieczna fascynacja bajkami – czy potwór zostanie pokonany… czy też przełknie kolejny smaczny kąsek?

– To ja, mała kózka, tuptam, tupiąc po twoim mostku – ciągnęła bibliotekarka, a Ben, pobladły, przeszedł obok niej.

Jak to możliwe, że to ta sama bajka? Czy naprawdę ta sama? Mam uwierzyć, że to zwykły zbieg okoliczności? Nie potrafię… Jak rany, nie potrafię!

Pochylił się nad fontanną jak Richie, kiedy udawał, że bije pokłony. Powinienem z kimś pogadać, pomyślał, ogarnięty paniką. Z Mikiem… albo z Billem… z kimkolwiek. Czy rzeczywiście przeszłość i teraźniejszość stają się tutaj jednym, czy po prostu to sobie wyobrażam? Bo jeżeli nie, to nie wiem, czy zdołam to wytrzymać. Ja…

Spojrzał na stół biblioteczny i przez chwilę jego serce jakby zamarło, a potem zdwoiło tempo uderzeń. Plakat był prosty, surowy… znajomy:

PAMIĘTAJCIE, OD 19.OO OBOWIĄZUJE
GODZINA POLICYJNA.
DEPARTAMENT POLICJI W DERRY

W tej samej chwili zrozumiał. To było jak nagły przebłysk – zdał sobie sprawę, że głosowanie, jakie przeprowadzili, stanowiło jawny żart. Nie mieli odwrotu. Nigdy. Ich los był przesądzony, podobnie jak z góry było wiadome, że przechodząc pod metalowymi schodkami, musi unieść wzrok. Tu, w Derry, istniało coś w rodzaju echa – zabójczego echa – i jedyne, na

co jeszcze mogli liczyć, to że uda im się zmienić je na tyle, by dzięki temu zdołali ocalić życie.

– Chryste – wymamrotał, drapiąc się po policzku.

– Czym mogę panu służyć? – rozległ się głos tuż przy jego łokciu i Ben drgnął nieznacznie. To była dziewczyna, miała około siedemnastu lat, ciemnoblond włosy spięte z tyłu paroma spinkami i niebrzydką buzię.

Asystentka bibliotekarki, rzecz jasna – w 1958 roku też było ich kilka. Licealiści – pracowały tu zarówno dziewczęta, jak i chłopcy – zajmowali się układaniem książek na półkach, pokazywali dzieciakom, jak mają korzystać z kart katalogowych, rozmawiali o recenzjach książek i gazetkach szkolnych, a także pomagali zakłopotanym uczniom w sporządzaniu notek i bibliografii. Dostawali za to psie pieniądze, ale chętnych nie brakowało. Pracowali tu ci, którym naprawdę na tym zależało.

Widząc miłe i pytające spojrzenie dziewczyny, przypomniał sobie, że nie należał już do tego miejsca – był Guliwerem w krainie liliputów. Intruzem. W bibliotece dla dorosłych czuł niepokój wynikający z tego, że ktoś mógłby go zauważyć czy do niego przemówić. Tu odczuwał coś w rodzaju ulgi. W pewnym sensie

udowadniało to jego dorosłość, a fakt, że dziewczyna najwyraźniej nie nosiła stanika pod bluzką, bardziej go uspokajał, niż podniecał. Jeżeli potrzebował jakiegoś dowodu, że był teraz rok 1985, a nie 1958, były nim sutki wyraźnie rysujące się pod materiałem jej bluzki.

– Nie, dziękuję – powiedział, a potem bez żadnego konkretnego powodu dodał: – Szukałem mojego syna.

– Och! A jak on się nazywa? Może go widziałam. – Uśmiechnęła się. – Znam większość dzieci.

– Nazywa się Ben Hanscom – rzekł. – Ale nie widzę go tutaj.

– Proszę mi powiedzieć, jak wygląda, a jeżeli się pojawi, przekażę mu wiadomość.

– No cóż – zaczął Ben niepewnym tonem. W głębi duszy żałował, że w ogóle to powiedział. – Jest raczej gruby. Podobny trochę do mnie. Ale niech się pani tym nie kłopocze. Jeżeli go pani zobaczy, proszę mu powiedzieć, że ojciec wyszedł po niego.

– Zrobię to. – Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały posępne i nagle Ben uświadomił sobie, że nie podeszła do niego z czystej uprzejmości i chęci udzielenia mu pomocy. Tak się składało, że była asystentką bibliotekarki w bibliotece

dziecięcej w mieście, gdzie w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy zamordowano dziewięcioro dzieci. Zobaczyła dziwnego mężczyznę w tym zamkniętym świecie, gdzie rzadko kiedy zdarzało się, aby dorośli odprowadzali bądź przyprowadzali swoje dzieci. Jest podejrzliwa… to oczywiste.

– Dziękuję – powiedział i posłał jej uśmiech, który w jego zamyśle miał ją uspokoić, a potem wyszedł.

Przeszedł przez korytarz do biblioteki dla dorosłych i wiedziony niezrozumiałym impulsem podszedł do stołu bibliotecznego… wszakże tego popołudnia mieli działać zgodnie z impulsami, nieprawdaż? Kazano mu podążać zgodnie z impulsami i sprawdzić, dokąd uda mu się dotrzeć.

Na plakietce ustawionej na stole widniało nazwisko młodziutkiej bibliotekarki – Carole Danner. Za jej plecami Ben dostrzegł drzwi z prostokątną taflą mlecznego szkła, a na niej napis: „Michael Hanlon, główny bibliotekarz”.

– W czymś mogę pomóc? – spytała panna Danner.

– Chyba tak – rzekł Ben. – Mam nadzieję, że tak. Chciałbym założyć kartę.

– Świetnie – odparła i wyjęła formularz. – Mieszka pan w Derry?

– Obecnie nie.

– Jaki jest pański adres?

– Rival Star Route dwa, Hemmingford Home, Nebraska. – Przerwał na chwilę, nieco rozbawiony jej spojrzeniem, a potem podał numer kodu: – Pięćdziesiąt dziewięć trzysta czterdzieścci jeden.

– Czy to jakiś żart, panie Hanscom?

– Ależ skąd.

– A więc zamierza pan przeprowadzić się do Derry?

– Nie mam takich planów.

– Przejechał pan taki szmat drogi, żeby wypożyczyć parę książek? Czy w Nebrasce nie ma bibliotek?

– To kwestia sentymentu – rzekł Ben. Wydawało mu się, że powiedzenie tego komuś obcemu może być krępujące, ale nie było. – Widzi pani, ja się wychowałem w Derry. Tu dorastałem. I jestem tu pierwszy raz od czasów dzieciństwa. Łaziłem to tu, to tam, i nagle doszedłem do wniosku, że spędziłem tu dziesięć lat pomiędzy trzecim a trzynastym rokiem życia i nie mam niczego, co przypominałoby mi owe czasy. Nawet jednej pocztówki. Miałem parę

srebrnych dolarówek, ale jedna gdzieś przepadła, a resztę oddałem przyjacielowi. Sądzę, że to, czego poszukuję, to pamiątka z dzieciństwa. Jest trochę późno, ale jak to mówią, lepiej późno niż wcale, nieprawdaż?

Carole Danner uśmiechnęła się i ten uśmiech sprawił, że jej twarz stała się piękna.

– To doprawdy cudowne – powiedziała. – Jeżeli zechce pan zaczekać dziesięć, piętnaście minut, sporządzę dla pana kartę. Może pan przejrzeć książki.

Ben uśmiechnął się pod nosem.

– Sądzę, że będę musiał uiścić opłatę – rzekł. – Przyjechałem z innego miasta i w ogóle.

– Miał pan tu kartę, kiedy był pan jeszcze chłopcem?

– Oczywiście – odparł z uśmiechem Ben. – Z wyjątkiem moich przyjaciół wydaje mi się, że karta biblioteczna była najważniejszą…

– Ben, pozwól tutaj – rozległ się nagle głos dobiegający z góry, rozcinając niczym skalpel panującą w pomieszczeniu ciszę.

Odwrócił się, podrywając się gwałtownie, jak to zwykle bywa, kiedy ktoś z przebywających w bibliotece ludzi odezwie się zbyt głośno. Nie zobaczył nikogo znajomego… i nagle zdał sobie sprawę, że nikt nie uniósł wzroku znad lektury

i nie okazywał choćby odrobiny rozdrażnienia. Starsi panowie nadal przeglądali egzemplarze „News”, „Boston Globe”, „National Geographic”, „Time’a”, „Newsweeka”, „US News and World Report”. W sąsiedniej sali dwie licealistki wciąż pochylały się nad stosem papierów i kart bibliotecznych. Kilku bywalców przeglądało leniwie rzędy książek na półkach oznaczonych fiszkami: „Beletrystyka – Termin wypożyczenia – 7 dni”.

Jakiś starzec w idiotycznej czapce z daszkiem trzymający w ustach wygasłą fajkę przeglądał folio szkiców Luisa de Vargasa.

Ben odwrócił się do młodej kobiety, która patrzyła nań ze zdziwieniem i spytała:

– Czy coś się stało?

– Nie – rzekł Ben, uśmiechając się. – Wydawało mi się, że coś usłyszałem. Chyba jestem bardziej roztrzęsiony, niż myślałem. Co pani powiedziała?

– Ostatnio to pan mówił. Chciałam tylko dodać, że jeśli miał pan u nas kartę, kiedy pan tu mieszkał, to pańskie nazwisko musi nadal znajdować się w aktach. Wszystko mamy teraz na mikrofilmach. Chyba od czasów pana dzieciństwa sporo się tu zmieniło.

– Tak. To prawda… ale wydaje mi się, że wiele rzeczy pozostało bez zmian.

– W każdym razie poszukam pańskich danych i sporządzę dla pana odnowioną kartę. Bezpłatnie.

– To świetnie – rzekł Ben i zanim zdążył podziękować, ten sam głos co poprzednio ponownie rozdarł panującą w bibliotece ciszę, tylko że tym razem o wiele głośniej i z nieco bardziej złowieszczym rozbawieniem.

– Chodź tu, na górę, Ben. Chodź na górę, ty tłusty, mały gnoju! To twoje życie, Benie Hanscom!

Ben chrząknął.

– Jestem pani bardzo wdzięczny – powiedział.

– Drobiazg. – Przekrzywiła głowę. – Czy na zewnątrz się ociepliło?

– Troszkę – odparł. – Dlaczego pani pyta?

– Jest pan… (– Ben Hanscom to zrobił! – wrzasnął głos dochodzący od strony górnych półek. – Ben Hanscom zabił te dzieci! Brać go! Łapać go!) Jest pan… spocony – dokończyła.

– Naprawdę? – spytał głupawym tonem.

– Zaraz się wszystkim zajmę.

– Dziękuję.

Podeszła do starego royala stojącego na skraju stołu. Ben oddalił się powoli – jego serce zmieniło

się w dudniący nieprzerwanie werbel. Tak, był spocony, czuł zimne strużki ściekające po czole, pod pachami i pomiędzy włosami na klatce piersiowej. Uniósł wzrok i zobaczył klowna Pennywise'a stojącego na szczycie schodów po lewej i spoglądającego na niego. Jego twarz była biała od szminki. Pomalowane na czerwono usta wykrzywiał złowieszczy uśmiech mordercy. W miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy, widniały puste oczodoły. W jednej ręce trzymał pęk balonów, a w drugiej książkę. To, pomyślał Ben. Stoję pośrodku rotundy biblioteki publicznej w Derry, jest późnowiosenne popołudnie, jestem dorosły i stoję twarzą w twarz z największym koszmarem mojego dzieciństwa. Stoję twarzą w twarz z Tym.

– Chodź na górę, Ben! – zawołał Pennywise. – Nie skrzywdzę cię. Mam dla ciebie książkę. Książkę… i balonik. Wejdź na górę!

Ben otworzył usta, aby odpowiedzieć: Jesteś szalony, jeżeli myślisz, że wejdę tam, na górę – i nagle zdał sobie sprawę, że gdyby to zrobił, wszyscy spojrzeliby na niego i pomyśleli sobie: Co to za wariat?

– Och, wiem, że nie możesz odpowiedzieć! – krzyknął Pennywise i zachichotał. – Ale przyznasz, że przez moment udało mi się ciebie

zmylić! Przepraszam pana, czy ma pan księcia alberta w puszce?… Ma pan?… To lepiej niech pan wypuści stamtąd tego biedaka! Przepraszam panią, czy pani lodówka chodzi?… Tak?… To niech ją pani trzyma, bo może uciec!

Klown na podeście odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął skrzekliwym śmiechem. Dźwięk ten odbił się gromkim echem wewnątrz kopuły biblioteki, tak że Ben całą siłą woli powstrzymał się przed zatkaniem sobie uszu.

– Chodź na górę, Ben! – zawołał Pennywise. – Porozmawiamy na neutralnym gruncie. Co ty na to?

Nie wejdę tam, pomyślał Ben. Kiedy w końcu do ciebie przyjdę, nie będziesz chciał się ze mną widzieć, a w każdym razie tak mi się wydaje. Bo zamierzam cię zabić.

Klown ponownie roześmiał się chrapliwie.

– Zabić mnie? – I nagle stała się rzecz straszna: jego głos zmienił się w głos Richiego Toziera (to znaczy niezupełnie w jego głos, był to głos murzyńskiego dziecka). – Nie zabijać moja, massa. Ja być dobry Muzin, nie zabijać biedna mała chłopiec, massa Haystack!

I raz jeszcze ten okropny wrzaskliwy śmiech.

Drżący, pobladły Ben przeszedł przez środek biblioteki dla dorosłych. Czuł, że zaraz

zwymiotuje. Stanął przed regałem z książkami i wybrał jedną z nich na chybił trafił. Jego dłoń drżała jak osika. Zimne palce wertowały strony.

– To twoja jedyna szansa, Haystack! – rozległ się głos dobiegający z góry, zza niego. – Wyjedź z miasta. Wyjedź jeszcze przed zmierzchem. Bo dziś w nocy wybiorę się na polowanie. I ty będziesz moją ofiarą… ty i cała reszta. Jesteś za stary, abyś mógł mnie powstrzymać, Ben. Wszyscy jesteście. Możecie co najwyżej sami zdechnąć. Wynoś się stąd! A może dziś w nocy chcesz zobaczyć To?

Ben odwrócił się powoli, wciąż trzymając książkę w lodowatych dłoniach. Nie chciał na To patrzeć, ale miał wrażenie, że jakaś niewidzialna dłoń unosi mu brodę coraz bardziej, bardziej i bardziej. Klown zniknął. Na podeście schodów po lewej stał Drakula – ale to nie był filmowy Drakula, w którego wcielali się Bela Lugosi, Christopher Lee, Frank Langella, Francis Lederer ani Reggie Nalder. Benowi ukazał się prawdziwy nieumarły, z twarzą jak stary zeschnięty korzeń. Oblicze stwora było trupio blade, a oczy krwistoczerwone. Usta istoty rozchyliły się, ukazując rzędy pobłyskujących srebrzyście żyletek, osadzonych pionowo w dziąsłach – to było jak patrzenie w głąb zabójczego labiryntu

luster, gdzie jeden nieostrożny krok może sprawić, że zostaniesz rozcięty na pół.

– Ba-bach! – wrzasnęła istota, a jej szczęki zamknęły się z głośnym kłapnięciem.

Krew trysnęła z ust stwora czerwonoczarną strugą. Kawałki odciętych ust spadły na jedwabną białą koszulę i ześlizgnęły się po niej, zostawiając rozmazane szkarłatne smugi.

– Co zobaczył Stan Uris, zanim umarł?! – ryknął stojący na podeście wampir, śmiejąc się przez okrwawioną dziurę ziejącą w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się usta. Czy to był książę albert w puszce? A może Davy Crockett, król dzikiego pogranicza? Co on zobaczył, Ben? Co on zobaczył? – I znów rozległ się ten wrzaskliwy śmiech.

Ben wiedział, że nie zdoła powstrzymać krzyku, jaki rodził się w jego wnętrzu. To było niemożliwe. Krew ściekała z podestu czerwonym deszczem. Jedna kropla wylądowała na zniekształconej artretyzmem dłoni staruszka czytającego „Wall Street Joumal”. Spłynęła mu między palce, ale on jej nie zauważył i niczego nie poczuł.

Ben wciągnął powietrze, wiedząc, że kiedy je wypuści, z ust wyrwie mu się głośny okrzyk – coś zgoła nie do pomyślenia w tym zacisznym,

ciepłym pomieszczeniu, równie szokujące jak cięcie nożem… czy usta pełne żyletek. Jednak z jego ust dobył się jedynie cichutki szept.

– Zrobiliśmy z nich pociski, to oczywiste. Zrobiliśmy ze srebrnych dolarówek pociski.

Dżentelmen w czapce z daszkiem przeglądający szkice de Vargasa gwałtownie uniósł wzrok.

– Nonsens – powiedział. Teraz i inni zaczęli podnosić głowy. Ktoś syknął wyraźnie zagniewanym tonem.

– Przepraszam – rzekł cichym, drżącym głosem Ben. Podświadomie czuł, że jest cały mokry i że koszula lepi mu się do ciała. – Po prostu głośno myślałem…

– Nonsens – powtórzył starzec, tym razem nieco głośniej. – Z dolarówek nie można zrobić pocisków. Podstawowe błędne założenie. Błąd powtarzany w miernych książkach. Problem polega na specyficznym ciężarze…

Nagle tuż obok niego pojawiła się panna Danner.

– Panie Brockhill, proszę o ciszę – powiedziała łagodnym tonem. – Ludzie chcą czytać…

– Ten człowiek jest chory – rzekł nagle pan Brockhill i powrócił do swojej lektury. – Daj mu aspirynę, Carole.

Carole Danner spojrzała na Bena i na jej twarzy wykwitł wyraz zatroskania.

– Jest pan chory, panie Hanscom? Wiem, że to z mojej strony nieuprzejme, ale wygląda pan okropnie.

– Zjadłem… chińską potrawę na obiad… I chyba coś mi zaszkodziło…

– Jeżeli chce się pan położyć, w gabinecie pana Hanlona jest łóżko.

– Nie. Dziękuję, ale nie. – Nie miał zamiaru się kłaść, chciał po prostu jak najszybciej wynieść się z biblioteki. Spojrzał na podest schodków. Klown zniknął. Wampir również. Ale do niskiej metalowej barierki był przywiązany balon z napisem: ŻYCZĘ MIŁEGO DNIA! DZIŚ W NOCY UMRZESZ!

– Mam dla pana kartę – powiedziała, kładąc mu delikatnie dłoń na ramieniu. – Nadal pan tego chce?

– Tak. Dziękuję. – Oddech Bena był drżący i płytki. – Bardzo przepraszam za to wszystko.

– Mam nadzieję, że to nie zatrucie pokarmowe.

– Nie zadziałałoby – rzucił pan Brockhill, nie unosząc wzroku znad książki ani nie wyjmując z kącika ust wygasłej fajki. – To wytwór paru

miernych pisarzy. Pocisk po opuszczeniu lufy zaraz spadłby na ziemię.

Ponownie, zupełnie nieoczekiwanie, Ben powiedział:

– Kule, a nie pociski. Wiedzieliśmy, że nie uda się nam zrobić z nich prawdziwych pocisków. A poza tym byliśmy tylko dziećmi. To był mój pomysł, aby…

– Cśśś – rozległo się raz jeszcze.

Brockhill rzucił Benowi nieco zakłopotane spojrzenie, przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu powrócił do przerwanej lektury.

Przy stole Ben otrzymał od Carole Danner małą pomarańczową kartę z pieczątką BIBLIOTEKA PUBLICZNA DERRY u góry, przy czym z rozbawieniem uświadomił sobie, że była to pierwsza karta biblioteczna, jaką założył jako dorosły. Ta z czasów jego dzieciństwa była kanarkowożółta.

– Na pewno nie chce się pan położyć, panie Hanscom?

– Czuję się już trochę lepiej, dziękuję.

– Na pewno?

Zmusił się do uśmiechu.

– Na pewno.

– Wygląda pan nieco lepiej – powiedziała z pewnym powątpiewaniem, jakby z przymusu, bez wewnętrznego przekonania. Potem włożyła książkę do czytnika mikrofilmów, którego ostatnio używa się do rejestracji wypożyczeń.

Ben poczuł przypływ nieomal histerycznego rozbawienia. To książka, którą zdjąłem z półki, kiedy klown przemówił do mnie głosem murzyńskiego dziecka, uznała, że chcę ją pożyczyć. Po dwudziestu pięciu latach wypożyczam pierwszą książkę z tutejszej biblioteki i nawet nie wiem, co sobie wybrałem. Więcej, w ogóle mnie to nie obchodzi. Po prostu pozwól mi stąd odejść, dobrze? To mi wystarczy.

– Dziękuję – powiedział, wkładając książkę pod pachę.

– Proszę bardzo, panie Hanscom. Na pewno nie chce pan aspiryny?

– Z całą pewnością – odrzekł i nagle się zawahał. – Czy wie pani może, co się stało z panią Starrett? Barbarą Starrett? Była szefową biblioteki dziecięcej.

– Umarła – powiedziała Carole Danner. – Trzy lata temu. To był chyba zawał. Okropna strata. Była jeszcze względnie młoda… Nie miała nawet sześćdziesięciu lat. Pan Hanlon zamknął bibliotekę na cały dzień.

– Och! – Ben poczuł, jak w jego sercu zaczyna rodzić się pustka. Tak to bywa, jak w starej piosence. Na torcie z wierzchu jest lukier, a pod spodem cała masa goryczy. Ludzie zapomnieli o tobie, umarli, wyłysieli, potracili zęby. W paru wypadkach popadli w obłęd. Och, życie jest cudowne! Jak diabli, stary!

– Przykro mi – powiedziała. – Lubił ją pan, prawda?

– Wszystkie dzieci lubiły panią Starrett – odparł Ben i z przerażeniem stwierdził, że był bardzo bliski płaczu.

– Czy pan…

Jeżeli jeszcze raz spyta mnie, czy dobrze się czuję, naprawdę się rozkleję. Albo zacznę krzyczeć. Albo Bóg wie co. Spojrzał na zegarek i powiedział:

– Naprawdę muszę już zmykać. Dzięki za uprzejmość z pani strony.

– Życzę miłego dnia, panie Hanscom.

Pewno. Bo tej nocy umrę.

Ruszył w stronę wyjścia. Pan Brockhill posłał mu jedno jedyne podejrzliwe spojrzenie. Ben uniósł wzrok w stronę podestu schodków. Balon wciąż był przywiązany do barierki, ale zmieniła się treść widniejącego na nim napisu. Brzmiał on teraz następująco:

TO JA ZABIŁEM BARBARĘ STARRETT!
KLOWN PENNYWISE.

Odwrócił wzrok. Poczuł, że puls na jego szyi znowu przyspieszył tempo. Na zewnątrz zdziwiły go jasne promienie słońca po wcześniejszej mżawce, chmury przetaczały się wolno po niebie, a ciepłe późnomajowe słońce sprawiało, że trawa wyglądała niesamowicie zielono i soczyście. Ben poczuł się bardzo lekko. Miał wrażenie, jakby jakiś wielki kamień spadł mu z serca i pozostał tam, w bibliotece… a potem spuścił wzrok i gdy spojrzał na książkę, którą tak nieopatrznie wybrał, jego zęby zacisnęły się z niesamowitą siłą. To był *Bulldozer* Stephena W. Meadera – jedna z książek wypożyczonych w dniu, kiedy uciekał przed Henrym Bowersem i jego kolesiami i wylądował w Barrens. Na okładce książki wciąż jeszcze widniał ślad podeszwy roboczego buta Henry'ego.

Drżącymi palcami przewracał kartki i dotarł do tylnej okładki. Biblioteka przeszła na mikrofilmową rejestrację wypożyczeń – widział to na własne oczy. Ale z tyłu książki wciąż jeszcze znajdowała się kieszeń z włożoną do środka kartą. Przy każdej z rubryk, gdzie bibliotekarka stemplowała datę zwrotu, znajdowało się

nazwisko. Patrząc na kartę, Ben zobaczył taki oto układ:

NAZWISKO WYPOŻYCZAJĄCEGO	ZWROT ZGODNIE Z DATĄ NA STEMPLU
Charles N. Brown	14.05.1958
David Hartwell	01.06.1958
Joseph Brennan	17.06.1958

W ostatniej rubryce widniał, wypisany bardzo mocno przyciskanym ołówkiem, jego podpis:

Benjamin Hanscom	09.07.1958

Na karcie w kieszeni książki i większości stronic rozmazanym czerwonym, przypominającym krew tuszem odciśnięto pieczątką jedno jedyne słowo: „Wykreślone”.

– O Boże – wymamrotał Ben. Nie wiedział, co ma jeszcze powiedzieć; nie potrafił znaleźć słów, które były adekwatne do całej tej sytuacji. – O Boże, Boże Wszechmogący, Boże.

Stał skąpany w promieniach słońca i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zaczął się zastanawiać, co w tym czasie przytrafiło się pozostałym.

2

Eddie Kaspbrak łapie piłkę

Eddie wysiadł z autobusu na rogu Kansas Street i Kossuth Lane. Kossuth biegła ćwierć mili w dół wzgórza i kończyła się gwałtownie ślepą uliczką, stanowiącą zbocze Barrens. Nie miał absolutnie pojęcia, dlaczego zdecydował się wysiąść akurat tutaj. Kossuth Lane nic dla niego nie znaczyła i nie znał nikogo na tym odcinku Kansas Street. Jednak miał wrażenie, że jest to właściwe miejsce. To wszystko, co wiedział, ale najzupełniej mu to wystarczało. Beverly z lekkim wahaniem wysiadła z autobusu na jednym z przystanków na Lower Main Street. Mike wrócił samochodem do biblioteki.

Obserwując odjeżdżający mały i w dziwny sposób absurdalny autobus marki Mercedes, Eddie zaczął się zastanawiać, co tu właściwie robi, stojąc na mrocznym rogu ulicy w centrum mrocznego miasta, dobre pięćset mil od Myry, która bez wątpienia zamartwiała się o niego do łez. Poczuł bolesny zawrót głowy, dotknął kieszeni kurtki i przypomniał sobie, że zostawił dramaminę w hotelu wraz z całą zawartością swojej przenośnej apteki. Miał jednak przy sobie aspirynę. Wyjście z domu bez pudełka aspiryny

było jak wyjście z domu bez spodni. Łyknął parę pastylek na sucho i zaczął iść wzdłuż Kansas Street, zastanawiając się, czy nie pójść do biblioteki przy Costello Avenue. Zaczynało się przejaśniać i uznał, że mógłby sobie urządzić mały spacer wzdłuż West Broadway, by pozachwycać się starymi wiktoriańskimi domami, które znajdowały się przy jednej z dwóch godnych uwagi przecznic w Derry. Często tam przychodził jako dziecko – głównie z ciekawości – i często zbaczał z obranej już trasy. Przy rogu Witcham i West Broadway stał dom Muellerów, czerwona budowla z wieżyczkami po obu stronach i żywopłotem od frontu. Muellerowie mieli ogrodnika, który zawsze patrzył na przechodzącego przed domem Eddiego podejrzliwym wzrokiem.

Cztery budynki dalej, po tej samej stronie, stał dom Bowiech, co było, jak sądził Eddie, głównym powodem, że Greta Bowie i Sally Mueller tak się przyjaźniły w podstawówce. Gonty na domu były zielone, znajdowały się tam również wieżyczki, ale podczas gdy wieże na domu Muellerów były czworokątne, te na domu Bowiech zakończone były śmiesznymi spiczastymi stożkami, które kojarzyły się Eddiemu z błazeńskimi czapeczkami. Latem na bocznym trawniku

zawsze wystawiano stolik z parasolem ogrodowym, kilka wiklinowych foteli, a pomiędzy dwoma drzewami rozwieszony był hamak. Na tyłach domu grywano często w krykieta. Eddie wiedział o tym, choć nigdy nie został zaproszony do domu Grety, by mógł wziąć udział w grze. Czasem przechodził opodal (kiedy akurat szedł gdzieś coś załatwić) i bywało, że słyszał stukot kul, śmiech i jęki grających, gdy ich kula została akurat wybita. Raz zobaczył nawet samą Gretę – w jednej ręce trzymała szklankę z lemoniadą, a w drugiej młotek do krykieta, wyglądała tak szczupło i prześlicznie, że słowa wszystkich poetów nie mogłyby wyrazić jej piękna (nawet jej opalone ramiona wydawały się wówczas dziewięcioletniemu Eddiemu Kaspbrakowi niezwykle urocze). Biegła za swoją kulą, która została wybita i zrykoszetowała od drzewa, dzięki czemu Eddie mógł nacieszyć wzrok widokiem Grety. Tego dnia prawie się w niej zakochał – uwielbiał jej lśniące, jasne włosy opadające na ramiona jasnoniebieskiego spodnium.

Rozejrzał się wokoło i przez chwilę miał wrażenie, że go zobaczyła, ale w końcu uznał, że nie, bo kiedy uniósł dłoń w powitalnym geście, dziewczynka zamiast odpowiedzieć tym samym,

odbiła swoją kulę na trawnik na tyłach domu i czym prędzej za nią pobiegła. Poszedł dalej bynajmniej niedotknięty brakiem odzewu z jej strony (w głębi duszy uznał, że naprawdę musiała go nie zauważyć) ani tym, że nigdy nie zaproszono go na któryś z sobotnich meczów krykieta: niby czemu taka piękna dziewczynka jak Greta Bowie miałaby zapraszać kogoś takiego jak on? Miał chudą klatkę piersiową, astmę i twarz przypominającą pyszczek utopionego bobroszczura.

Tak, pomyślał, idąc bez celu wzdłuż Kansas Street, powinienem zrobić sobie spacer po West Broadway i ponownie rzucić okiem na te stare domy… Muellerów, Bowiech, doktora Hale'a, Trackerów… Przerwał nagle swoje rozmyślania przy ostatnim nazwisku, bo… o wilku mowa, a wilk tuż! – stał właśnie na wprost magazynu ciężarówek braci Trackerów.

– Nadal tu jest – odezwał się Eddie i wybuchnął śmiechem. – Niech to drzwi ścisną!

Dom przy West Broadway należący do Phila i Tony'ego Trackerów, dwóch starych kawalerów, był prawdopodobnie najwspanialszą spośród wszystkich budowli, które stały przy tej ulicy. Był to nieskazitelnie biały budynek w stylu środkowowiktoriańskim z zielonymi trawnikami

i kwietnikami (naturalnie bardzo starannie utrzymanymi), które przez całą wiosnę i lato porastało bujne kwiecie. Podjazd każdej jesieni świeżo asfaltowano, toteż zawsze był czarny jak ciemne lustro, a gonty na dachu w kolorze mięty współgrały z zielonymi trawnikami przed domem. Przechodzący tamtędy ludzie często zatrzymywali się, a niektórzy nawet robili zdjęcia oknom ze słupkami, które były bardzo stare i rzeczywiście godne uwagi.

– Dwaj starzy kawalerowie, którzy utrzymują dom w takim porządku, z całą pewnością muszą być pedałami – oświadczyła któregoś dnia, niejako mimochodem, matka Eddiego, a Eddie nie ośmielił się jej prosić, by sprecyzowała swoją wypowiedź. Ciężarówki zjeżdżały naprzeciw domu Trackerów na West Broadway do niskiego budynku, którego cegły były stare i miejscami spękane, a bliżej ziemi zatraciły swą jasnopomarańczową barwę i stały się brudnoczame. Szyby w oknach były brudne i nieprzejrzyste, z wyjątkiem małego okrągłego miejsca w dolnej części okna biura dyspozytora. Ten mały fragmencik szkła był nieodmiennie czyszczony przez dzieciaki przed Eddiem i te, które przyszły po nim, ponieważ dyspozytor miał nad swoim biurkiem kalendarz „Playboya”.

Żaden chłopak nie poszedł rozegrać partii baseballu na placu za stacją, nie przetarłszy wpierw rękawicą szyby i nie rzuciwszy okiem na „dziewczynę miesiąca”.

Z trzech stron stację otaczał szeroki pas żwirowego placu. Czasami stały tam długie ciężarówki, które na bokach miały wymalowane znaki firmy i napisy: „Tracker Bros. Derry Newton Providence Hartford Nowy Jork”. Stały różnie. Jedna obok drugiej albo z dala od siebie. Czasami na placu znajdowały się tylko same wozy bez naczep, kiedy indziej zaś same naczepy oparte na tylnych kołach i prętach wspierających. Bracia jednak najczęściej starali się nie zastawiać placu ciężarówkami, ponieważ obaj byli zagorzałymi fanami baseballu i lubili, jak dzieciaki przychodziły tam rozgrywać mecze. Phil Tracker sam był kierowcą ciężarówki, toteż chłopcy widywali go raczej rzadko, ale Tony Tracker, facet o potężnych, grubych ramionach i równie ogromnym brzuchu, zajmował się księgami i rachunkowością i Eddie (który nigdy nie grał w baseball – matka zabiłaby go, gdyby się dowiedziała, że wziął udział w grze, a co za tym idzie, biegał w kółko i wdychał kurz do swoich delikatnych płuc, ryzykował połamanie nóg, wstrząśnienie mózgu i Bóg jeden wie co

jeszcze…) często go spotykał. Był częścią lata, a jego głos stał się dla Eddiego jednym z elementów gry, podobnie jak później stanie się nim głos Mela Allena.

Tony Tracker – potężny, lecz w pewien sposób niematerialny jak duch – w białej koszuli migocącej w blasku zachodzącego słońca, otoczony rojem świetlików, wołający: „Musisz znaleźć się pod piłkom, jak chcesz ją złapać, Rudy!… Przestań się gapić na piłkie, półgłówku!… Nie trafisz w to za cholerę, jak się nie będziesz na to patrzył!… Ślizgaj się, Kopyciarzu! Nie wahaj się, niech cię nie zbije z bazy!”.

Nigdy nie zwracał się do nich po imieniu, Eddie doskonale to pamiętał. Zawsze wołał: „Ej ty, Rudy, ej, Blondas, ej, Czterooki, ej, półgłówku!”. Nigdy nie mówił „piłkę”, tylko „piłkie”. Kij określał jako „pogrzebacz”. Mawiał: „Nigdy nie trafisz w piłkie, jak tak będziesz trzymał ten pogrzebacz, Kopyciarzu!”.

Eddie, uśmiechając się, podszedł bliżej… i nagle jego uśmiech zgasł. Długi ceglany budynek, gdzie przyjmowano zamówienia, reperowano ciężarówki i składowano na krótki okres różne towary, był teraz mroczny i milczący. Pośród żwirowej nawierzchni widać było kępki traw, na placu ani śladu ciężarówek…

leżała tam tylko jedna skrzynia, a jej boki były matowe i pokryte rdzą.

Podchodząc jeszcze bliżej, zobaczył w oknie tabliczkę z napisem: „Na sprzedaż”. Trackerowie wypadli z interesu, pomyślał i zdziwił go smutek, jaki towarzyszył temu spostrzeżeniu… zupełnie jakby ktoś umarł. Był zadowolony, że nie udał się na West Broadway. Jeżeli bracia Tracker odeszli – a oni zawsze wydawali mu się wieczni – to co jeszcze mogło się zmienić na ulicy, po której tak często lubił się przechadzać jako dzieciak? Z pewnym niepokojem stwierdził, że nie chciał wiedzieć. Nie chciał zobaczyć Grety Bowie z siwizną we włosach, biodrami i nogami pogrubiałymi od zbyt długiego siedzenia, zbyt obfitych posiłków i zbyt dużej ilości alkoholu. Lepiej – bezpieczniej – było trzymać się na uboczu.

Wszyscy powinniśmy byli tak zrobić, pomyślał. Po prostu trzymać się na uboczu. Nie mamy tu czego szukać. Powrót tutaj, do miejsca, gdzie dorastaliśmy, to jak jedna z tych szalonych sztuczek jogi, kiedy wkładasz sobie stopę do ust i jakimś dziwnym sposobem połykasz sam siebie, tak że nic nie pozostaje… tego się nie da zrobić, każdy normalny człowiek byłby z tego cholernie

zadowolony… a na marginesie, jak sądzisz, co się stało z braćmi Tracker?

Tony zmarł być może na atak serca; miał z siedemdziesiąt pięć funtów nadwagi. Musisz uważać na swoje serce – nie wszystko może znieść. Poeci mogą pisać wspaniałe poematy o pękających sercach, a Barry Manilow śpiewać o nich piosenki i Eddie uznawał to za świetną sprawę (on i Myra mieli kolekcję wszystkich płyt Barry'ego Manilowa), ale on sam uważa, że nie ma to jak dobre, solidne, wykonane co roku EKG.

Tak, u Tony'ego to na pewno było serce. A Phil? Może miał wypadek gdzieś na trasie. Eddie, który również żył z kursów (być może powinien mówić o tym w czasie przeszłym – ostatnio jeździł tylko z największymi sławami, a resztę czasu spędzał za biurkiem), dobrze wiedział, co może się przydarzyć kierowcy na autostradzie. Nazywają to pechem. Stary Phil mógł wypaść z trasy gdzieś w New Hampshire albo w lasach Hainesville na północy Maine, kiedy szosa była oblodzona, lub też wysiadły mu hamulce na którymś ze wzgórz, na północnym krańcu Derry, gdy jechał do Haven w deszczowy wiosenny dzień. To albo cokolwiek innego, o czym słyszy się w dziesiątkach popularnych, niekiedy doprowadzających do pasji piosenek

country, opowiadających o kierowcach ciężarówek, którzy nosili na głowach stetsona i mieli wszystko gdzieś. Siedzenie za biurkiem wzbudzało częstokroć uczucie osamotnienia, ale Eddie, który nieraz wysiadywał za kółkiem limuzyny, z aspiratorem położonym na desce rozdzielczej i pokaźną porcją pigułek w schowku na rękawiczki, wiedział, że prawdziwa samotność miała kolor rozmazanej czerwieni: była barwy tylnych świateł jadącego przed tobą samochodu, widocznych w strugach ulewnego deszczu.

– A czas płynie, niech to szlag – rzucił Eddie Kaspbrak przypominającym westchnienie szeptem, zupełnie nieświadomy, że wypowiedział te słowa na głos.

Czując się jednocześnie wspaniale i okropnie, co przydarzało mu się częściej, niż mogło się wydawać, Eddie obszedł budynek (jego buty od Gucciego zachrzęściły na żwirze), aby rzucić okiem na plac, gdzie rozgrywano mecze baseballu w okresie kiedy, jak mu się zdawało, dziewięćdziesiąt procent populacji świata składało się z dzieciaków.

Plac nie zmienił się zbytnio, ale jeden rzut oka wystarczył, by dojść do wniosku, że gier zaprzestano – w ciągu tych dwudziestu kilku lat

z jakichś powodów tradycja została zarzucona. W 1958 roku rombu pola nie wyznaczały sypane z wapna pasy, ale wyżłobienia – dzieło stóp biegnących dzieciaków. Nie było stałych baz, chłopcy, którzy grywali tu w baseball (ci chłopcy byli teraz starsi od członków Klubu Frajerów, choć Eddie przypomniał sobie, że Stan Uris też czasami grywał; jego uderzenia były jedynie poprawne, ale poza polem biegał naprawdę szybko i miał iście diabelski refleks), mieli zawsze cztery kawałki brudnego brezentu, składowane pod rampą przeładunkową na tyłach ceglanego budynku. Kiedy zebrało się odpowiednio dużo dzieciaków, zawsze wyjmowano je i rozkładano ze szczególnym pietyzmem, a chowano na miejsce, gdy robiło się zbyt późno, by można było kontynuować grę.

Stojąc tu teraz, Eddie nie znalazł już śladu po wydeptanych stopami dzieci wyżłobieniach. Zarosły je trawa i chwasty. Tu i ówdzie pobłyskiwały kawałki potłuczonych butelek po wodzie sodowej i piwie. W dawnych czasach takie odłamki szkła były skrupulatnie usuwane. Jedyne, co pozostało niezmienione, to drewniane ogrodzenie na tyłach parkingu, wysokie na dwanaście stóp i pokryte rdzą, która przypominała zaschniętą krew. Kiedy się przez

nią patrzyło, niebo wydawało się podzielone na dziesiątki małych rombowatych fragmentów. To była nasza szansa na zdobycie punktu, pomyślał Eddie, stojąc zamyślony, z rękoma w kieszeniach w miejscu, gdzie przed dwudziestu dwu laty znajdowała się baza ich drużyny. Ponad siatką i w dół, do Barrens. Nazywali to regułą automatyczności. Roześmiał się w głos, a potem nerwowo rozejrzał wokoło jak duch, który wybucha śmiechem, a nie dorosły mężczyzna w spodniach za sześćdziesiąt dolarów, facet tak solidny jak… solidny jak… jak… Zbastuj, Eds, powiedział sobie. Nie jesteś ani trochę solidny, a przez ostatnie kilka lat praktycznie nie miałeś powodu, żeby sobie zdrowo pochichrać. Czyż nie?

– Tak. To prawda – rzekł cichym głosem Eddie i kopnął parę leżących luzem kamieni, tak że potoczyły się z grzechotem.

Prawdę mówiąc, zobaczył tylko dwie piłki przelatujące ponad ogrodzeniem na tyłach stacji braci Trackerów – obie zostały wybite przez tego samego dzieciaka, Belcha[7] Hugginsa.

Belch był niemal komicznie wielki – w wieku dwunastu lat miał już sześć stóp wzrostu i ważył prawie sto siedemdziesiąt funtów. Jego przydomek brał się z tego, że potrafił on czkać

wyjątkowo długo i głośno – wydając odgłos będący osobliwą krzyżówką skrzeku ropuchy i terkotu cykady. Czasami, kiedy mu się odbijało, zatykał usta dłonią, emitując dźwięk przypominający okrzyk wojenny zachrypniętego Indianina.

Belch był potężny, ale nie gruby – Eddie przypominał to sobie doskonale; odnosiło się wrażenie, jakby Bóg nigdy nie miał zamiaru obdarzyć dwunastolatka tak potężnym wzrostem. Gdyby nie umarł tego lata, mógłby dociągnąć do sześciu stóp i siedmiu cali, a może nawet i lepiej, jak również nauczyć się, jak manewrować swym przerośniętym cielskiem w świecie ludzi o nieco mniejszych rozmiarach. Mógłby nawet nauczyć się delikatności i złagodnieć, doszedł do wniosku Eddie. Dwunastoletni Belch – jednocześnie niezgrabny i podły – nie był jednak opóźniony w rozwoju, choć mogło się tak wydawać, ponieważ jego ciało było doszczętnie pozbawione gracji i niezdolne do wykonywania szybszych ruchów. Miał kiepską koordynację ruchów w przeciwieństwie do Stana – zupełnie jakby ciało Belcha nie reagowało na sygnały płynące z mózgu i żyło we własnym świecie, gdzie czas i wszystkie reakcje ulegały spowolnieniu.

Eddie pamiętał, jak któregoś wieczoru wolna lobowana piłka wyleciała prosto w stronę Belcha, znajdującego się poza polem. On nawet się nie poruszył. Stał, patrząc w górę, unosząc dłoń w rękawicy praktycznie na chybił trafił, a piłka zamiast wpaść do łożyska rękawicy, rąbnęła go w czubek głowy przy wtórze głuchego brzęknięcia. Odgłos ten przypominał dźwięk, jaki towarzyszy zrzuceniu piłki z drugiego piętra na dach samochodu. Piłka odbiła się na dobre cztery stopy w górę i wpadła zgrabnie do rękawicy Belcha. Owen Phillips roześmiał się, słysząc odgłos uderzenia. Belch podszedł do niego i skopał mu tyłek tak mocno, że Phillips uciekł do domu z krzykiem i dziurą na siedzeniu spodni. Nikt więcej się nie roześmiał… w każdym razie otwarcie. Eddie pomyślał, że gdyby był tam Richie Tozier, nic nie mogłoby go powstrzymać i Belch najprawdopodobniej posłałby go do szpitala. Belch był równie powolny na placu. Łatwo było go przerzucić i udawało się to zwykle nawet najgorszym graczom. Wszystko zależało od szybkości rzutu. Ale kiedy już trafiał, to uderzenie było naprawdę potężne. Piłka leciała daleko. Bardzo daleko. Lot dwóch piłek, który zakończył się po drugiej stronie ogrodzenia, był naprawdę cudowny. Pierwszej nigdy nie

znaleziono, choć ponad tuzin chłopaków kręciło się po stromym zboczu wzgórza opadającego do Barrens, próbując ją odnaleźć.

Druga została znaleziona. Piłka należała do jeszcze jednego szóstoklasisty (Eddie nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska, ale wszyscy nazywali go „Siąkacz”, bo był stale podziębiony) i grano nią przez niemal całą późną wiosnę i wczesne lato 1958 roku. W rezultacie nie była ona już nieomal idealną kulą z grubej skóry połączonej grubymi szwami czerwonych nici, jak w chwili wyjęcia z pudełka, była poobijana, brudna od trawy, a w paru miejscach porozcinana po setkach odbić od ostrego żwiru poza terenem boiska. Szwy z jednej strony popękały i Eddie, który – gdy astma mu na to pozwalała – odrzucał piłkę grającym (za każdym razem rozlegało się gromkie: „Dzięki, mały!”), wiedział, że niebawem ktoś wyjmie rolkę taśmy Black Cat i oklei piłkę, tak by mogła im jeszcze posłużyć tydzień albo dwa.

Ale nim nadszedł ten dzień, siódmoklasista Stringer Dedham rzucił Belchowi, jak to określił, „łatwą piłkę”. Belch wymierzył wprost idealnie (wolne piłki były, jak by to rzec, jego domeną) i trafił podstarzałego Spaldinga Siąkacza tak mocno, że zdarł zeń skórzaną osłonę, która

niczym wielka biała ćma wylądowała nieśmiało na ziemi parę stóp od drugiej bazy. Piłka zaś kontynuowała swój lot ku rozjaśnionemu promieniami zachodzącego słońca niebu, szpagat rozwijał się coraz dalej i dalej, a dzieciaki podążały za nią wzrokiem w niemym zdumieniu. Przeleciała nad ogrodzeniem, wciąż jeszcze wzbijając się w górę, i Eddie przypomniał sobie, jak widząc to, Tony Tracker roześmiał się obłąkańczym śmiechem, a potem zawołał:

– Tym uderzeniem wybiłbyś piłkę poza obręb stadionu Jankesów! Słyszysz? Tym uderzeniem wybiłbyś, kurwa, piłkę poza obręb samego stadionu Jankesów!

To Peter Gordon znalazł piłkę – natrafił na nią nieopodal strumienia, na którym Frajerzy niecałe trzy tygodnie później wybudują tamę. To, co zostało z piłki, miało nie więcej niż trzy cale średnicy – niezwykłą rzeczą było jednak to, że szpagat w ogóle nie został przerwany.

Zgodnie z niepisaną umową chłopcy zanieśli resztki piłki Siąkacza do Tony’ego Trackera, który przyjrzał im się bez słowa, otoczony równie milczącymi jak on młodymi graczami. Widziany z dystansu krąg chłopców otaczający wysokiego mężczyznę z pokaźnym brzuszkiem mógł komuś przypominać scenę o charakterze stricte

religijnym – na przykład adorację jakiejś świętości. Belch Huggins nawet nie obiegł baz. Stał razem z innymi, jakby niezupełnie zdawał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. To, co Tony Tracker wręczył mu tego dnia, było mniejsze od piłki tenisowej.

Eddie, pogrążony we wspomnieniach, przeszedł od miejsca, gdzie znajdowała się baza domowa, poprzez wzgórek rzucającego i wyszedł na teren pomiędzy drugą i trzecią bazą, gdzie staje zawodnik broniący. Zatrzymał się tam na chwilę wyraźnie poruszony panującą tu ciszą, a potem podszedł do drucianej siatki. Była pordzewiała bardziej niż dawniej i porośnięta jakimiś brzydkimi pnączami, ale nadal tam była. Patrząc przez nią, widział porośnięte agresywną zielenią zbocze wzgórza. Barrens bardziej niż kiedykolwiek dotąd przypominało dżunglę i po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czemu pas porośnięty tak bujną roślinnością został określony mianem Ziemi Jałowej. Można było znaleźć dlań wiele różnych nazw, ale Ziemia Jałowa wydawała się tu absolutnie nie na miejscu. Czemu nie Puszcza? Albo Dżungla? Ziemia Jałowa. W tej nazwie było coś złowieszczego, posępnego i ponurego, ale bynajmniej nie przywoływało w skojarzeniach

plątaniny krzewów i drzew tak gęstej, że ich gałęzie musiały walczyć o skrawek nasłonecznionej przestrzeni; przywodziło na myśl obrazy bezkresnych, pustynnych wydm albo połacie wyschniętych koryt rzek. Jałowe terytoria. Jałowe. Mike powiedział wcześniej, że oni wszyscy byli jałowi, i to wydawało się w pewnym sensie zgodne z prawdą. Było ich siedmioro i żadne z nich nie miało dzieci. Nawet w dni płodne ich plany spełzały na niczym. Patrzył pomiędzy ogniwami przerdzewiałej siatki, słysząc dobiegające z oddali odgłosy samochodów przejeżdżających wzdłuż Kansas Street i odległy szum strumienia daleko w dole. Widział promienie światła odbijające się w wodzie, migające niczym odłamki szkła. Kępa bambusów była tam nadal, niezdrowo biała, rzucająca się w oczy niczym plamy grzyba pośród otaczającej ją zieleni. Za nią, wzdłuż brzegów Kenduskeag, rozciągały się pasma bagien, pośród których, jak mówiono, znajdowały się też ruchome piaski.

W tej gęstwinie, tam, na dole, spędziłem najszczęśliwsze chwile mego dzieciństwa, pomyślał i wzdrygnął się. Już miał się odwrócić, kiedy jeszcze coś przykuło jego uwagę: cementowy walec z ciężką stalową pokrywą

u góry. Dziury Morloków – Ben zawsze je tak nazywał i choć zaśmiewał się przy tym do rozpuku, jego oczy pozostawały poważne i zatroskane. Kiedy do nich podchodziłeś, sięgały ci co najwyżej do pasa (to znaczy, jeżeli byłeś dzieckiem) i mogłeś odczytać wybite na ścianie cylindra słowa: „Departament Robót Publicznych Derry”.

Mogłeś również usłyszeć głośny szum dobiegający z wnętrza walca. Szum i buczenie. Odgłosy maszyn.

Dziury Morloków. To właśnie tam weszliśmy w sierpniu, pod koniec. Weszliśmy do jednej z dziur Morloków Bena w kanałach, ale już po chwili przestały być kanałami. One były… właśnie… czym one były?

Tam na dole był Patrick Hockstetter. Zanim To go zabrało, Bev zobaczyła go robiącego coś okropnego. To zmusiło ją do śmiechu, ale wiedziała, że to było złe. To miało coś wspólnego z Henrym Bowersem, nieprawdaż? Tak. Chyba tak. I…

Odwrócił się gwałtownie i zaczął iść z powrotem – nie chciał już patrzeć w stronę Barrens, nie miał ochoty na wspomnienia, jakie temu towarzyszyły. Chciał być znowu w domu z Myrą. Nie chciał być tutaj. Nie…

– Łap, dzieciaku!

Odwrócił się w stronę źródła dźwięku i nagle ponad ogrodzeniem wyprysnęła piłka i poleciała prosto w jego stronę. Uderzyła w żwirową nawierzchnię placu i podskoczyła. Eddie wyciągnął odruchowo rękę i schwycił piłkę. Zrobił to praktycznie bez namysłu i należy przyznać, że jego ruch był pełen gracji i elegancji.

Spuścił wzrok, by zobaczyć, co trzymał w dłoni, i poczuł ucisk w dołku. Kiedyś była to piłka baseballowa. Teraz była to jedynie owinięta szpagatem kulka, z której zdarto skórzaną powłokę. Widział sznurek biegnący od kuli, przerzucony nad ogrodzeniem, jak nić pajęczyny, i znikający w Barrens, na dole…

O Jezu, pomyślał. O Jezu! To jest tutaj. To jest tu ze mną teraz…

– Chodź na dół, zagramy, Eddie – rozległ się głos po drugiej stronie ogrodzenia i Eddie ze zgrozą rozpoznał głos Belcha Hugginsa, który został zamordowany w tunelach pod Derry, w sierpniu 1958 roku. A potem zobaczył samego Belcha gramolącego się w górę po zboczu, po drugiej stronie siatki. Miał na sobie pasiasty strój drużyny baseballowej nowojorskich Jankesów, upstrzony tu i ówdzie jesiennymi liśćmi i rozmazanymi zielonymi smugami. To był Belch,

ale również i trędowata, upiorna istota powstała do życia po wielu latach leżenia w wilgotnym grobie. Ciało jego opuchniętej twarzy gniło i ociekało obrzydliwym śluzem. Jeden oczodół był pusty. We włosach kłębiło się robactwo. Na ręce nosił porośniętą pleśnią rękawicę. Włożył gnijące palce prawej dłoni w otwory drucianej siatki i kiedy je zacisnął, Eddie usłyszał obrzydliwe strzyknięcie, odgłos, który mógł doprowadzić go do obłędu.

– To ta, która wyleciałaby poza obręb stadionu Jankesów – rzekł Belch i uśmiechnął się.

Chorobliwie biała ropucha wypadła z jego ust i potoczyła się po ziemi.

– Słyszysz mnie? To ta, która, kurwa, wyleciałaby poza obręb pieprzonego stadionu Jankesów! À propos, Eddie, nie chcesz, żeby ci zrobić dobrze? Zrobię ci to za dychę. A niech to, zrobię ci dobrze za darmo.

Twarz Belcha uległa przemianie. Galaretowaty wzgórek nosa zapadł się, odsłaniając dwa nagie czerwone kanaliki, które Eddie widywał w nocnych koszmarach. Jego włosy stały się bardziej szorstkie, na skroniach pojawiły się sporawe zakola. Cera zbielała. Gnijąca skóra na czole Belcha pękła, odsłaniając białą kość pokrytą gęstą, śluzowatą substancją.

Belch zniknął – jego miejsce zajął teraz stwór, który ukrywał się pod werandą domu przy Neibolt Street 29.

– Bobby robi mi za dychę – zanuciła istota, próbując pokonać siatkę. Wspinając się, zostawiała na złączach drucianych oczek siatki kawałki ciała. Ogrodzenie chwiało się i brzęczało pod ciężarem stwora. W miejscach, gdzie to dotykało porastających siatkę winorośli, pnącza stawały się czarne. – Zrobi ci to, kiedy chcesz. Jeśli potrwać ma to dłużej, dorzuć piętnastaka.

Eddie próbował krzyczeć, ale z jego ust dobył się tylko zdławiony jęk. Płuca zdawały się najstarszą w świecie okaryną. Spojrzał w dół na trzymaną w dłoni piłkę i nagle spomiędzy nitek szpagatu zaczęła wypływać krew. Szkarłatna struga bryznęła na żwir, zachlapując Eddiemu buty. Cisnął piłkę na ziemię i cofnął się chwiejnie o dwa kroki. Oczy niemal wychodziły mu z orbit. Nerwowym ruchem wytarł dłonie o przód koszuli. Trędowaty dotarł do szczytu siatki. Jego napuchnięta głowa odznaczała się wyraźnie na tle nieba jak wielka dynia, którą wydrąża się z okazji Halloween. Z ust potwora wysunął się długi język. Mógł mieć od czterech do sześciu stóp długości. Rozwinął się w dół ogrodzenia jak wąż.

W jednej chwili był tam… a w drugiej już go nie było. Nie rozmył się jak duchy w filmach – po prostu zniknął. Ale Eddie usłyszał dźwięk stanowiący niezbity dowód jego namacalnego istnienia: głuchy huk przypominający odgłos strzelającego korka szampana. To powietrze wypełniało miejsce zajmowane dotychczas przez ciało trędowatego.

Odwrócił się i zaczął biec, ale nim pokonał dystans dziesięciu stóp, z cienia pod rampą załadunkową na tyłach pustego budynku wyprysnęły cztery sztywne kształty. W pierwszej chwili pomyślał, że to może nietoperze, i krzyknął przeraźliwie, unosząc obie ręce do głowy. A potem zobaczył, że to były cztery kawałki brezentu – płachty, które tworzyły bazy dla grających tu dzieciaków.

Unosiły się i okręcały w powietrzu – musiał się uchylić, aby jedna z nich go nie trafiła. Wszystkie naraz wylądowały na swoich stałych miejscach, wzbijając małe chmurki kurzu; baza początkowa, pierwsza, druga i trzecia. Dysząc ciężko, Eddie przebiegł obok bazy domowej – jego usta były lekko rozchylone, a twarz biała jak płótno. Usłyszał odgłos kija uderzającego widmową piłkę, a potem… Eddie się zatrzymał. Jego nogi zrobiły się miękkie jak z waty,

a spomiędzy rozchylonych warg popłynął stłumiony jęk. Ziemia w linii prostej od bazy domowej do pierwszej zaczęła się unosić i wybrzuszać, jakby tuż pod nią drążył tunel jakiś gigantyczny kret.

Żwir rozsypywał się na boki. Kształt sunący jak burza pod ziemią dotarł do bazy i brezentowa płachta uniosła się w powietrze. Wzbiła się w górę tak mocno i szybko, że aż strzeliła. Odgłos ten towarzyszył zwykle wyjątkowo gwałtownemu przebiegnięciu zawodnika po płótnie. Teraz zaczęła wybrzuszać się ziemia pomiędzy pierwszą i drugą bazą – coraz szybciej i szybciej. Druga baza wyfrunęła w powietrze przy wtórze identycznego trzasku i ledwo zdążyła opaść na ziemię, kiedy kształt mknący pod powierzchnią dotarł do trzeciej i ruszył w stronę bazy domowej. Ostatnia płachta brezentu również została wyrzucona w górę, ale nim opadła, spod ziemi jak diabeł z pudełka wyłoniła się mroczna postać – Tony Tracker; jego twarz była nagą czaszką, z której zwieszało się tylko kilka pasemek poczerniałego mięsa. Biała koszula zmieniła się w przegniłe strzępy zwisającego luźno materiału. W miejscu, gdzie znajdowała się baza domowa, wystawał z ziemi,

od pasa w górę, kołysząc się w przód i w tył jak groteskowy robak.

– Niezależnie od tego, jak mocno trzymałbyś swój pogrzebacz – rzekł Tony Tracker zgrzytającym, ochrypłym głosem, odsłaniając zęby w obłąkańczym uśmiechu – to nie ma znaczenia, astmatyku. I tak cię dostaniemy. Ciebie i twoich przyjaciół. Będziemy mieli nowom piłkie!

Eddie krzyknął i cofnął się chwiejnie o parę kroków. Na jego ramieniu zacisnęła się czyjaś ręka. Szarpnął się gwałtownie. Dłoń przez chwilę nie puszczała, po czym rozluźniła uścisk. Odwrócił się. To była Greta Bowie. Martwa. Nie miała połowy twarzy. W tym, co z niej zostało, a co było już tylko poszarpanym ochłapem czerwonego mięsa, kłębiły się robaki. W jednej ręce trzymała zielony balonik.

– Wypadek samochodowy – powiedziała ta rozpoznawalna połowa jej twarzy i uśmiechnęła się. Uśmiech spowodował niemożliwy do opisania odgłos darcia i Eddie zobaczył, jak jej obnażone ścięgna poruszają się niczym upiorne rzemienie.

– Miałam osiemnaście lat, Eddie. Wypiłam za dużo i przejechałam na czerwonym świetle. Są tu twoi przyjaciele, Eddie.

Eddie zaczął się cofać, trzymając obie ręce na wysokości twarzy. Greta szła w jego stronę. Trysnęła krew i zaschła na jego spodniach w postaci długich zacieków. Martwa dziewczyna miała na nogach miękkie pantofle.

I nagle za jej plecami dostrzegł istotę rodem z najgorszego koszmaru – Patrick Hockstetter sunął w jego stronę przez boisko do baseballu, powłócząc nogami. On również miał na sobie strój drużyny Jankesów. Eddie rzucił się do ucieczki. Greta ponownie próbowała go schwycić, ale tylko rozerwała mu koszulę; parę kropel jakiegoś okropnego płynu pociekło mu za kołnierz.

Tony Tracker zaczął wyczołgiwać się ze swego olbrzymiego, podziemnego korytarza. Patrick Hockstetter potknął się i zachwiał. Eddie biegł, nie wiedząc, skąd czerpie tyle tchu potrzebnego do biegu, ale mimo to biegł nieprzerwanie. I biegnąc, zobaczył unoszące się tuż przed nim w powietrzu słowa; słowa te były wypisane na balonie, który trzymała w ręku Greta Bowie:

LEKARSTWO NA ASTMĘ POWODUJE RAKA PŁUC!
POZDROWIENIA Z DRUGSTORE'U
PRZY CENTER STREET.

Eddie biegł. Biegł, nie zatrzymując się ani na chwilę, aż wreszcie padł gdzieś w pobliżu McCarron Park i prawie stracił przytomność, zobaczyło go paru dzieciaków, ale żaden się do niego nie zbliżył, bo ten facet wyglądał jak jakiś włóczęga czy pijak i mógł być chory, a ta choroba mogła być przecież zaraźliwa, a kto wie, może to nawet był morderca i dzieciaki przez chwilę zastanawiały się, czy nie donieść o nim policji, ale w końcu postanowiły tego nie robić.

3

Beverly przychodzi z wizytą

Beverly wyszła z hotelu, gdzie przebrała się w dżinsy i żółtą plisowaną bluzkę, i zaczęła iść wzdłuż Main Street. Szła wolno. Nie myślała o tym, dokąd idzie. Myślała tylko o tym, że:

Twoje włosy
są jak ogień – zimą
Płonie w nim moje serce.

Ukryła pocztówkę w dolnej szufladzie pod bielizną. Matka mogła ją zauważyć, ale nie było w tym nic zdrożnego. Najważniejsze, że ojciec

nigdy nie zaglądał do tej szuflady. Gdyby zobaczył tę kartkę, z całą pewnością zmierzyłby Beverly żywym, niemal przyjaznym, paraliżującym spojrzeniem i zapytałby niemal przyjaznym tonem: „Robiłaś coś, czego nie powinnaś, Bev? Robiłaś coś z jakimś chłopakiem?”. I gdyby powiedziała „tak” albo gdyby odpowiedziała „nie”, zarobiłaby parę silnych ciosów tak szybkich i mocnych, że w pierwszej chwili zwykle w ogóle nie czuła bólu; ból przychodził później, po paru sekundach, jakby coś w jej ciele było odsysane i miejsce tego niewidzialnego czegoś zajmowały fale bólu. I znów rozległby się jego głos, niemal przyjazny: „Bardzo się o ciebie martwię, Beverly. Diabelnie się martwię. Musisz dorosnąć, prawda?”.

Jej ojciec mógł nadal mieszkać w Derry, jak wtedy, kiedy ostatni raz o nim słyszała – ale to było… właśnie, ile to lat temu? Dziesięć? W każdym razie na długo przed jej ślubem. Otrzymała od niego pocztówkę, nie taką jak ta, na której napisany był tekst haiku, lecz widokówkę z wizerunkiem plastikowego pomnika Paula Bunyana, stojącego przed City Center. Pomnik został wzniesiony w latach pięćdziesiątych i był jednym ze słupów

granicznych jej dzieciństwa, ale pocztówka otrzymana od ojca nie budziła w niej wspomnień czy uczucia nostalgii. Równie dobrze mogła przedstawiać Gateway Arch w Saint Louis czy most Golden Gate w San Francisco.

„Mam nadzieję, że wyślesz mi coś, jak będziesz mogła, bo mnie się nie przelewa. Kocham cię, Bevvie. Tata”.

Kochał ją i w pewnym sensie, jak przypuszczała, to właśnie dlatego tak rozpaczliwie zakochała się w Billu Denbrough tego długiego lata 1958 roku – bo spośród wszystkich tych chłopców tylko Bill miał autorytet, podobnie jak jej ojciec… ale był to autorytet innego typu, taki, jakiemu mogła się poddać. Nie dostrzegała w jego wzroku czy postępowaniu, aby sądził, że martwienie się – tak jak to robił jej ojciec – było czymś, czego autorytet potrzebuje do istnienia… tak jakby ludzie byli zwierzętami wychowywanymi w dyscyplinie.

Niezależnie od powodów pod koniec pierwszego spotkania ich grupy w pełnym składzie, w lipcu tego roku, spotkania, na którym Bill praktycznie bez większych problemów stał się ich prawdziwym przywódcą, zakochała się w nim po uszy. Bezgranicznie. Dogłębnie.

Określenie tego uczucia mianem szczenięcego zadurzenia byłoby mniej więcej tak samo adekwatne, jak nazwanie rolls-royce'a wózkiem na kółkach albo autem. Nie podśmiechiwała się dziko ani nie czerwieniła na jego widok, podobnie jak nie wypisywała kredą jego imienia na drzwiach czy ścianach Mostu Pocałunków. Po prostu stale miała przed oczyma jego twarz, a pod sercem czuła słodki, przejmujący do głębi ból. Mogłaby umrzeć za niego. Pragnęła wierzyć, że to Bill wysłał jej kartkę z wierszem… choć nigdy nie zdołała przekonać się do końca, że tak właśnie było. Sądziła, że to dosyć naturalne pragnienie. Nie wiedziała, kto napisał wiersz. A później – w którymś momencie – czy autor haiku sam się jej do tego nie przyznał? Tak, Ben powiedział jej o tym (choć nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ani w jakich okolicznościach to nastąpiło). Jego miłość do niej była niemal równie głęboko skrywana jak jej uczucie wobec Billa (ale powiedziałaś mu, Bevvie, zrobiłaś to, powiedziałaś mu, że kochałaś). To było oczywiste dla każdego, kto miał pewien zmysł obserwacji (i był dostatecznie łagodny). Zawsze starał się trzymać wobec niej na dystans, wstrzymywał oddech, kiedy dotykała jego dłoni czy ramienia, a gdy wiedział, że ma się z nią spotkać, ubierał

się w miarę możności elegancko. Dobry, słodki, gruby Ben.

To w jakiś sposób zostało zakończone – ten dziwny dziecięcy trójkąt przestał istnieć, ale odpowiedź na pytanie, jak to się skończyło, nadal pozostawała dla niej wielką niewiadomą. Nie umiała sobie tego przypomnieć. Wydawało się jej, że Ben przyznał się do napisania wiersza i wysłania pocztówki. Powiedziała też chyba Billowi, że go kocha i zawsze będzie kochać. Jakimś trafem te dwa wyznania pomogły uratować życie im wszystkim… w każdym razie odniosła takie wrażenie. Ale czy rzeczywiście? Nie mogła sobie przypomnieć. Te wspomnienia (albo raczej wspomnienia wspomnień) były niczym wyspy, które w zasadzie nie były wyspami, lecz wystającymi ponad powierzchnię wody fragmentami jednego wielkiego koralowca. Kiedy jednak próbowała zanurkować głębiej i zobaczyć resztę, przeszkadzała jej w tym obłąkańcza wizja – stada szpaków powracające każdej wiosny do Nowej Anglii, tłoczące się na drutach telefonicznych, drzewach i dachach, przepychające się między sobą i zakłócające spokój późnowiosennych dni swym ochrypłym jazgotem.

Wizja ta powracała do niej raz po raz, nieustannie jak transmisja silnej stacji radiowej zakłócającej sygnał, który chciałeś wyłapać. Nagle z przerażeniem stwierdziła, że zatrzymała się przed wejściem do pralni, gdzie ona, Stan Uris, Ben i Eddie zanieśli owego pamiętnego czerwcowego dnia szmaty pobrudzone krwią, której nikt oprócz nich nie zdołał zobaczyć.

Okna były prawie nieprzejrzyste, a do drzwi paroma kawałkami taśmy przyklejono kartkę, na której ręcznie wypisano słowa: „Na sprzedaż”. Zaglądając przez brudną szybę do środka, zauważyła, że pomieszczenie było puste, a w miejscach, gdzie stały pralki, brudnożółte ściany były o wiele jaśniejsze.

Idę do domu, pomyślała ponuro, ale mimo to się nie zatrzymała. Okolica nie zmieniła się zbytnio. Wycięto niektóre drzewa, prawdopodobnie wiązy powalone różnymi dolegliwościami. Domy były jakby bardziej zaniedbane, wybitych okien było chyba więcej niż w okresie jej dzieciństwa. Niektóre z wytłuczonych szyb zastąpiono kawałkami kartonu. Innych nie.

I nagle zatrzymała się przed domem czynszowym przy Lower Main Street numer 127. Nadal tu był. Łuszczącą się białą farbę zastąpiono

w minionym okresie brązową. Również się łuszczyła. Mimo to rozpoznała dom od razu. Widziała okno ich kuchni. Okno swojej sypialni.

Usłyszała w myślach nawoływania sąsiadki: „Jim Doyon, natychmiast zejdź z ulicy! Zejdź natychmiast z ulicy, a może chcesz, żeby przejechał cię samochód?”. Wzdrygnęła się i złożyła ręce na piersiach.

Tata wciąż mógł tu mieszkać, o tak, mógł. Nie przeprowadziłby się, chyba żeby musiał. Po prostu podejdź tu, Beverly. Spójrz na skrzynki pocztowe. Trzy skrzynki dla trzech mieszkań, jak za starych czasów. A jeżeli na jednej z nich widnieje nazwisko Marsh, możesz zadzwonić do drzwi i niebawem usłyszysz szelest pantofli w korytarzu, otworzą się drzwi, a ty spojrzysz na niego, mężczyznę, którego sperma sprawiła, że masz rude włosy, jesteś leworęczna i potrafisz świetnie rysować… Pamiętasz, jak on rysował? Potrafił narysować wszystko, co chciał. To znaczy, jeśli miał na to ochotę. Nieczęsto mu się to zdarzało. Chyba za bardzo się wszystkim przejmował. Ale kiedy już zaczął, mogłaś siedzieć godzinami i patrzeć, jak rysował koty, psy, konie i krowy, z których pysków wypływały dymki z wpisanym w nich: „muuu” – wybuchałaś śmiechem i on też się śmiał. A potem mówił:

„Teraz ty, Bevvie”. A kiedy brałaś do ręki pióro, prowadził twoją dłoń i widziałaś wyłaniające się na kartce krowy, koty czy uśmiechnięte ludziki, czując w nozdrzach zapach dezodorantu ojca i ciepło jego szorstkiej skóry. No dalej, Beverly – naciśnij dzwonek. On przyjdzie i będzie stary, z twarzą pokrytą siatką zmarszczek, a zębami, tymi które mu jeszcze zostały, żółtymi i pokrzywionymi, przyjdzie i powie: „Cóż ja widzę, to ty, Bevvie, Bevvie wróciła do domu, żeby zobaczyć się ze swoim starym ojcem, wejdź, Bevvie, tak się cieszę, że cię widzę, cieszę się, bo martwię się o ciebie, Bevvie, tak bardzo się martwię”.

Przeszła wolno wzdłuż ścieżki, a chwasty porastające szczeliny między betonowymi płytami ocierały się o nogawki jej dżinsów. Przyjrzała się uważnie oknom na parterze, ale zasłony były zaciągnięte. Spojrzała na skrzynki pocztowe. Drugie piętro – Stark-Weather. Pierwsze piętro – Burke. Parter – wstrzymała oddech – Marsh! Ale ja nie zadzwonię. Nie chcę go widzieć. Nie nacisnę dzwonka. Wreszcie podjęła decyzję! Pierwszą poważną decyzję w swoim życiu! Przeszła po ścieżce! Wróciła do miasta! Znowu jest w Derry! Mieszka w hotelu! Spakowała się! Wyjechała! Odleciała! Kazała

Tomowi się odczepić! Chce żyć własnym życiem! Przeżyć je, jak należy! I umrzeć szczęśliwa!

Nacisnęła dzwonek. Usłyszała dochodzące ze środka znajome dźwięki – ten dzwonek zawsze kojarzył się jej z jakimś chińskim nazwiskiem – czing-czong! Cisza. Bez odpowiedzi. Zaczęła przestępować z nogi na nogę. Nagle zapragnęła pójść do toalety.

Nikogo nie ma w domu, pomyślała z ulgą. Mogę już iść. Zadzwoniła jednak ponownie – czing-czong! Bez odpowiedzi. Pomyślała o wspaniałym, choć krótkim wierszu Bena i zaczęła się zastanawiać, kiedy i jak zdradził jej, że to on był jego autorem, oraz dlaczego przez krótką chwilę skojarzyło jej się to z pierwszą menstruacją. Czy dostała okres w wieku jedenastu lat? Z pewnością nie, choć właśnie tej zimy zaczęła odczuwać pierwszy ból towarzyszący kształtowaniu się piersi. Dlaczego…? I nagle w jej myślach znów pojawiła się wizja tysięcy szpaków na przewodach telefonicznych i dachach domów na tle białego wiosennego nieba; wszystkie jazgotały jak szalone.

Pójdę już. Zadzwoniłam dwa razy. To wystarczy. Ale ponownie nacisnęła dzwonek. Czing-czong!

I nagle usłyszała, jak ktoś podchodzi do drzwi – dźwięk był dokładnie taki, jak go sobie wyobrażała: zmęczony szept starych papuci. Rozejrzała się dziko wokoło i już, już miała zamiar wziąć nogi za pas. Czy mogła zdążyć przebiec po cementowym chodniku i zniknąć za rogiem, tak by jej ojciec uznał to tylko za kiepski żart jakichś rozwydrzonych dzieciaków? Hej, psze pana, ma pan księcia alberta w puszce…?

Wypuściła gwałtownie powietrze i musiała mocno zacisnąć usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Poczuła, jak ogarnia ją ulga. To wcale nie był ojciec. W drzwiach stała i przyglądała się jej wysoka kobieta, dobrze po siedemdziesiątce. Miała długie i gęste włosy – głównie siwe, ale tu i ówdzie przeświturywały jeszcze złotawe pasemka. Oczy za szkłami okularów bez oprawek były niebieskie jak woda w fiordach, skąd być może wywodzili się jej przodkowie. Nosiła fioletową jedwabną sukienkę, nieco wyświechtaną, ale wciąż jeszcze prezentującą się całkiem nieźle. Poorana zmarszczkami twarz promieniowała łagodnością.

– Słucham?

– Przepraszam – powiedziała Beverly. Chęć roześmiania się minęła równie gwałtownie, jak się pojawiła. Zauważyła, że stara kobieta nosiła

na szyi kameę. Prawdopodobnie z prawdziwej kości słoniowej, okoloną tak cienką, że nieomal niewidoczną złotą obwódką.

– Musiałam nacisnąć nie ten dzwonek. – Albo zrobiłam to celowo, wyszeptał jej głos wewnętrzny. – Chciałam zadzwonić do mieszkania Marshów.

– Marshów? – Jej czoło zmarszczyło się nieznacznie.

– Tak, widzi pani…

– Tu nie mieszkają żadni Marshowie – powiedziała stara kobieta.

– Ale…

– Chyba że… ale nie masz na myśli Alvina Marsha, prawda?

– Tak! – zawołała Beverly. – To mój ojciec!

Dłoń starej kobiety uniosła się do kamei i dotknęła jej. Przyjrzała się z uwagą Beverly, sprawiając, że poczuła się ona jak mała dziewczynka trzymająca w dłoniach pudełko ciastek albo plakietki: WSPIERAJCIE LICEALNĄ DRUŻYNĘ DERRY TIGERS. A potem stara kobieta uśmiechnęła się… łagodnym, lecz nieco smutnym uśmiechem.

– Chyba dawno tu cię nie było. Nie chciałabym być pierwsza, która ci to powie, moja droga, ale twój ojciec nie żyje od dobrych pięciu lat.

– Ale… na dzwonku…

Ponownie spojrzała w tę stronę i z jej ust dobył się dziwny dźwięk, który nieznacznie przypominał śmiech. W swoim podnieceniu i podświadomej niezłomnej pewności, że ojciec nadal tu będzie, odczytała Kersh jako Marsh.

– Pani jest panią Kersh? – zapytała. Była wstrząśnięta wiadomością o ojcu, ale czuła się zakłopotana popełnioną przez siebie pomyłką; ta kobieta z pewnością uzna ją nie tylko za analfabetkę.

– Nazywam się Kersh – powiedziała kobieta.

– Czy… znała pani mojego ojca?

– Raczej słabo – odparła pani Kersh. Jej głos przypominał głos Yody z *Imperium kontratakuje* i Beverly ponownie miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Kiedy ostatni raz miała podobną huśtawkę uczuć? Nie potrafiła sobie przypomnieć… ale na pewno było to dawno… bardzo dawno temu. – Wynajmował przede mną mieszkanie na parterze. Widywaliśmy się od czasu do czasu, ja przychodziłam, on wychodził. Potem wyprowadził się na Roward Lane. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak – odparła Beverly. Roward Lane odchodziła od Lower Main Street, cztery przecznice dalej, a znajdujące się tam budynki

były mniejsze i jeszcze bardziej zaniedbane. – Czasami widywałam go w sklepie przy Costello Avenue i w pralni, zanim ją zamknięto. Od czasu do czasu zamienialiśmy parę słów. My… dziewczyno, ale ty jesteś blada. Wejdź, napijemy się herbaty.

– Nie, nie mogłabym – zaprotestowała słabo Beverly, ale rzeczywiście czuła się fatalnie. Doszła do wniosku, że dobrze by jej zrobiło, gdyby wypiła filiżankę herbaty i przysiadła na krześle na parę minut.

– Daj spokój – powiedziała ciepłym tonem pani Kersh. – Przynajmniej to mogę dla ciebie zrobić po tych nieprzyjemnych wieściach, które ci przekazałam.

Zanim zdążyła zaprotestować, Beverly została przeprowadzona przez mroczny korytarz i weszła do swego starego mieszkania, które teraz wydawało się jej mniejsze, ale w pewien sposób bezpieczne – bezpieczne, jak przypuszczała, dlatego że wszystko w nim zostało zmienione. Zamiast stołu z różowym blatem z tworzywa i trzema krzesłami znajdował się tu mały, okrągły stolik, na którym stał gliniany wazonik z jedwabnymi kwiatami. Zamiast starej lodówki firmy Kelvinator z okrągłym bębnem u góry (jej ojciec stale musiał

majstrować, aby była na chodzie) stała tu miedzianego koloru chłodziarka. Kuchenka była niewielka, ale sprawiała wrażenie dobrej. Nad nią umieszczono mikrofalówkę. W oknach wisiały niebieskie zasłony, a na zewnątrz stały skrzynki z kwiatami. Linoleum, które pokrywało podłogę w latach jej dzieciństwa, zostało zdjęte do gołego drewna. Klepka była wypastowana i wyfroterowana do połysku. Pani Kersh uniosła głowę znad kuchenki, na której postawiła czajnik.

– Tu się wychowałaś?

– Tak – powiedziała Beverly. – Ale tu jest teraz tak… inaczej… tak czysto… schludnie… i wspaniale!

– Jesteś bardzo miła – rzekła pani Kersh, a uśmiech znacznie ją odmłodził. Zdawała się promienieć. – Widzisz… mam trochę pieniędzy. Niewiele tego, ale jakoś sobie radzę. Wychowałam się w Szwecji. Przyjechałam do Stanów w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, kiedy miałam czternaście lat i byłam bez grosza… a to najlepszy sposób na poznanie wartości pieniądza, prawda?

– Tak – potwierdziła smutno Beverly.

– Pracowałam w szpitalu – mówiła pani Kersh – wiele lat, od tysiąc dziewięćset dwudziestego

piątego roku. I w sumie nieźle się wybiłam. Zajmowałam się wszystkim. Mój mąż zupełnie dobrze zainwestował nasze pieniądze. A teraz osiadłam tu, w tej małej przystani. Póki woda się nie zagotuje, możesz się trochę rozejrzeć.

– Nie, nie mogłabym.

– Proszę… nadal mam wyrzuty sumienia. Rozejrzyj się po domu, jeżeli tylko masz ochotę!

Miała ochotę. Sypialnia jej rodziców była teraz sypialnią pani Kersh i diametralnie zmieniono jej wystrój. Pokój wydawał się jaśniejszy i przestronniejszy. Pod ścianą stała olbrzymia komoda z cedrowego drewna, z inicjałami R.G., roztaczając w powietrzu delikatny, słabo wyczuwalny aromat. Na łóżku leżała haftowana narzuta. Widać było na niej kobiety nabierające wodę, chłopców wypasających bydło, mężczyzn układających siano w stogi – cudowna narzuta.

Jej pokój zmieniono w pokój do szycia. Na metalowym stoliku, pod dwiema silnymi lampami Tensor stała czarna maszyna do szycia Singera. Na jednej ścianie wisiał obraz przedstawiający Jezusa, na drugiej zdjęcie J.F. Kennedy’ego. Pod zdjęciem stała wspaniała szafka, której półki zastawione były książkami.

Na koniec weszła do łazienki. Przemalowano ją na różowo, a kolor był zbyt jasny i miły, by można go było określić jako krzykliwy. Wszystkie sprzęty wymieniono na nowe, mimo to, kiedy podchodziła do umywalki, ponownie poczuła pod sercem ukłucie starego strachu. Koszmar sprzed lat powrócił. Bała się, że zajrzy w głąb tego czarnego, pozbawionego powiek oka i ponownie usłyszy szept, a potem tryśnie krew. Pochyliła się nad umywalką, zauważając kątem oka odbicie swojej pobladłej twarzy i ciemnych oczu w lustrze na ścianie, a potem spojrzała do czarnego jak noc otworu, czekając na głosy, śmiech, jęki i krew.

Nie wiedziała, jak długo tam stała pochylona, czekając na odgłosy i obrazy, które zostały zapomniane przed dwudziestoma dwoma laty, kiedy głos pani Kersh wyrwał ją z odrętwienia.

– Herbata, panienko!

Drgnęła gwałtownie, wyrwana ze stanu półhipnozy, i wyszła z łazienki. Jeżeli gdzieś tam w głębi otworu odpływowego czaiła się jakaś mroczna magia, to albo już opuściła to miejsce… albo była pogrążona we śnie.

– Ależ… po co pani się fatygowała!

Pani Kersh uniosła wzrok i przyglądając się jej, uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie mówiłabyś tak, moja droga, gdybyś wiedziała, jak rzadko miewa się tu gości. Dla faceta z Bangor Hydro, który przychodzi tu, aby odczytać stan licznika, przygotowuję zwykle dużo więcej! Naprawdę nieźle go utuczyłam! – Na okrągłym kuchennym stoliku stały delikatne talerzyki i filiżanki, kościstobiałe, z wąziutkimi niebieskimi paskami na obrzeżach. Na talerzyku leżały małe ciastka i ciasteczka. Obok słodkości stał cynowy czajniczek, z którego dziobka biły para i miły aromat. Bev z rozbawieniem pomyślała, że brakuje tu tylko jednej rzeczy: kanapek. „Ciotkanapek", określała je zawsze jednym słowem. Były trzy rodzaje „ciotkanapek", z serem i oliwkami, rzeżuchą i sałatką z jajkiem. – Siadaj – zapraszała pani Kersh. – Siadaj, panienko, a ja naleję herbaty.

– Nie jestem już panną – powiedziała Beverly i uniosła lewą dłoń, żeby pokazać jej obrączkę.

Pani Kersh uśmiechnęła się i machnęła ręką.

– Ja do wszystkich pięknych, młodych dziewcząt zwracam się per panienko. Z przyzwyczajenia. Proszę, nie miej mi tego za złe.

– Absolutnie nie mam. Skądże. – Ale nagle ogarnął ją dziwny, niewytłumaczalny niepokój. W uśmiechu tej kobiety było coś…

Nieprzyjemnego? Fałszywego? Chytrego? Ale to przecież idiotyczne, prawda? – Podoba mi się, w jaki sposób urządziła pani to mieszkanie.

– Naprawdę? – rzuciła pani Kersh i nalała herbatę do filiżanek. Herbata była ciemna i mętna. Beverly nie była pewna, czy chciała ją wypić… i naszły ją wątpliwości, czy w ogóle chciała się tu znaleźć. Pod dzwonkiem było napisane „Marsh”, wyszeptał nagle jej głos wewnętrzny i ogarnęło ją przerażenie.

Pani Kersh podała jej herbatę.

– Dziękuję – powiedziała Beverly. Z wyglądu herbata może i była mętna, ale aromat miała przecudowny. Spróbowała. Napar okazał się wyśmienity. Przestań się bać własnego cienia, skarciła się w duchu. – Najwspanialsza jest moim zdaniem ta komoda z cedrowego drewna.

– To prawdziwy antyk – rzekła pani Kersh i roześmiała się. Beverly zauważyła, że piękno tej starej kobiety było bardzo ulotnej natury, co często spotykało się na tym terenie. Najbardziej zaniedbane i popsute były jej zęby, chociaż wydawały się mocne. Miały żółty nalot, a dwa przednie zachodziły na siebie. Kły wydawały się bardzo długie, prawie jak u zwierząt.

Były białe… kiedy podeszła do drzwi i uśmiechnęła się, nie mogła się nadziwić ich

bieli. I nagle nie była już tylko trochę przerażona. Zapragnęła – musiała – jak najszybciej opuścić ten dom.

– Bardzo stara, o tak! – wykrzyknęła pani Kersh i wypiła jednym łykiem swoją herbatę. Towarzyszył temu ostry odgłos siorbania i przełykania.

Uśmiechnęła się do Beverly – wyszczerzyła do niej zęby – i naraz Beverly zobaczyła, że jej oczy również uległy przemianie. Rogówka była teraz żółta, stara, poprzecinana drobniutkimi czerwonymi żyłkami. Jej włosy przerzedziły się, a warkocz nie był już siwy, ze złotymi pasemkami, lecz zwyczajnie brudnoszary.

– Bardzo stara – wymamrotała ponownie pani Kersh znad swojej pustej filiżanki, przyglądając się ukradkiem Beverly pożółkłymi oczyma. Uśmiechnęła się szeroko, niemal szyderczo, ukazując przy tym pożółkłe pieńki zębów. – Przyjechała razem ze mną z mego rodzinnego kraju. Są na niej wyrzeźbione inicjały R.G. Zauważyłaś je?

– Tak – jej głos dochodził jakby z oddali, a gdzieś pod czaszką rozległo się nagle: Jeżeli ona nie wie, że zauważyłaś tę przemianę, to być może nadal jest wszystko w porządku, jeżeli ona nie wie, nie widzi…

– To był mój ojciec – powiedziała pani Kersh, wymawiając to słowo jak „łojciec”, i Beverly zobaczyła, że jej sukienka też się zmieniła. Była teraz szorstka, czarna i zdawało się, że odłazi płatami. Kamea miała kształt czaszki, której szczęki były rozwarte szeroko w upiornym grymasie. – Nazywał się Robert Gray, ale znano go również jako Boba Graya, a także jako Pennywise’a, Tańczącego Klowna. Choć to także nie było jego prawdziwe nazwisko. Ale on je uwielbiał, ten mój łojciec. Bawiło go do łez. – Ponownie się roześmiała. Niektóre zęby zrobiły się czarne, tak jak sukienka. Zmarszczki na jej obliczu się pogłębiły. Mlecznobiała skóra stała się chorobliwie żółta. Jej palce zmieniły się w zakrzywione szpony. Uśmiechnęła się do Beverly. – Musisz coś zjeść, kochanie. – Jej głos uniósł się o oktawę, ale to sprawiło, że przypominał teraz zgrzyt wrót krypty kołyszących się w przód i w tył na zawiasach oblepionych czarną ziemią.

– Nie, dziękuję. – Beverly usłyszała własny głos jak piskliwe, dziecinne „Och, muszę już iść”. Zdawało się, że słowa nie pochodzą z jej mózgu, raczej wyglądało to tak, jakby wypływały z jej ust, a dopiero potem trafiały do uszu, dzięki czemu mogła się zorientować, co powiedziała.

– Nie? – spytała wiedźma i uśmiechnęła się. Jej pazury zazgrzytały po talerzu i zaczęła wpychać sobie oburącz do ust kawałki ciasta i małe ciasteczka z melasą. Jej okropne zęby przesuwały się w przód i w tył, miażdżąc i ścierając, miażdżąc i ścierając. Jej paznokcie, długie i brudne, zagłębiły się w słodkościach, okruchy posypały się po kościstej wypukłości szczęki.

W oddechu wiedźmy czuć było odór martwych od dawna istot, rozerwanych naporem gazów powstałych podczas procesu rozkładu. Jej śmiech przeszedł teraz w martwy chichot. Włosy były coraz rzadsze. Pojawiły się płaty łuszczącej się skóry na czaszce.

– Och, on uwielbiał żarty, ten mój łojciec! Bo to jest żart, panienko, jeśli tylko potrafisz się na nim poznać! Prawdę mówiąc, to urodził mnie mój ojciec, a nie matka. Wypadłam mu spod ogona, che, che, che!

– Muszę już iść. – Beverly znów usłyszała swój piskliwy głos małej, zdezorientowanej dziewczynki podczas pierwszego przyjęcia. Nogi miała jak z gumy. Wydawało jej się, że to, co znajdowało się w filiżance, to nie była herbata, ale fekalia, płynny kał, którego brązowawe strumienie przepływają nieprzerwanie kanałami pod miastem. Ona wypiła łyk tego – jeden mały

łyk, ale mimo wszystko zrobiła to. O Boże, Boże Wszechmogący, o Boże… Proszę, proszę…

Kobieta malała na jej oczach, kurczyła się, robiła się coraz chudsza. Teraz siedziała naprzeciwko niej starucha o twarzy lalki; ta upiorna istota zaśmiewała się piskliwie i kołysała się nieprzerwanie w przód i w tył.

– Och, mój łojciec i ja jesteśmy jednym – powiedziała – tylko ja, tylko on i… kochanie, jeżeli masz choć trochę oleju w głowie, uciekniesz, wrócisz tam, skąd przyjechałaś, i to szybko, bo jeżeli tu zostaniesz, spotka cię coś o wiele gorszego niż śmierć. Nikt, kto umiera w Derry, nie umiera naprawdę. Wiedziałaś o tym już wcześniej, a teraz w to uwierz.

Beverly podniosła się jak na puszczonym wolniej filmie. Zupełnie jakby obserwowała to z zewnątrz, zobaczyła samą siebie wstającą i odsuwającą się od stolika oraz siedzącej przy nim wiedźmy z przejmującym uczuciem zgrozy i niedowierzania; niedowierzania, ponieważ zdała sobie sprawę (po raz pierwszy), że ten mały, zgrabny stolik nie był zrobiony z ciemnego dębu, lecz z piernika. Na jej oczach wiedźma, wciąż chichocząc obłąkańczo i popatrując ukradkiem w stronę rogu pokoju swymi chytrymi, pożółkłymi oczami, odłamała kawałek

blatu i wcisnęła łapczywie do czarnej przepastnej jamy, która była jej ustami. Filiżanki, jak się teraz przekonała, wykonane były z białej kory, oblanej bardzo dokładnie białawoniebieskawym lukrem. Obraz Jezusa i zdjęcie Johna Kennedy'ego sporządzono z nieomal przezroczystej warstewki cukru, a kiedy na nie patrzyła, Jezus pokazał jej język, a Kennedy puścił oko.

– Wszyscy czekaliśmy na ciebie! – wrzasnęła wiedźma i jej pazury zachrobotały na blacie piernikowego stolika, ryjąc głębokie bruzdy w jego lśniącej powierzchni.

O tak! O tak!

Lampy sufitowe były z kul kolorowych landrynek, boazeria – z wąskich, długich pasków karmelu. Spuściła wzrok i zobaczyła, że jej buty zostawiały ślady na deskach podłogi, które wcale nie były deskami, ale kostkami czekolady. Zapach cukierków drażnił nozdrza. O Boże! To zupełnie jak w *Jasiu i Małgosi*, to ta wiedźma, której zawsze tak bardzo się bałam, bo ona pożerała dzieci…

– Ty i twoi przyjaciele! – wrzasnęła wiedźma, zarykując się śmiechem. – Ty i twoi przyjaciele! W klatce! W klatce, dopóki w piecu się nie rozpali jak należy! – Ryknęła śmiechem, a Beverly rzuciła się ku drzwiom, ale miała wrażenie, jakby

biegła w zwolnionym tempie. Śmiech wiedźmy wirował wokół niej niczym chmura nietoperzy. Beverly krzyknęła. W korytarzu uniosła się dusząca woń cukru, nugatu, toffi i przyprawiających o mdłości cukierków o smaku truskawkowym. Klamka, która wyglądała, w chwili gdy Beverly tu wchodziła, na zrobioną z imitacji kryształu, była teraz olbrzymim kryształkiem cukru.

– Martwię się o ciebie, Bevvie… bardzo się martwię!

Odwróciła się, kosmyki rudych włosów omiotły jej twarz i zobaczyła, jak ojciec zmierza chwiejnym krokiem w jej stronę; miał na sobie czarną sukienkę wiedźmy i kameę w kształcie czaszki – twarz była ciastowata, skóra obwisła i pofałdowana, oczy czarne jak kawałki obsydianu; jego dłonie zaciskały się i rozluźniały na przemian, a usta wykrzywiał złowieszczy uśmieszek.

– Pobiłem cię, bo chciałem cię zerżnąć, Bevvie, to wszystko, czego chciałem, chciałem cię zerżnąć i chciałem zjeść twoją cipkę, chciałem ssać twoją łechtaczkę między zębami, o tak, o taaak, Bevvie, istne niebo w gębie, tak, tak, chciałem wsadzić cię do klatki… rozpalić w piecu… i czuć twoją cipkę… twoją tłustą cipkę…

a kiedy byłaby już dostatecznie dobra, aby ją zjeść… pożreć ją… pożreć… żreć…

Krzycząc, chwyciła za kleistą klamkę i wypadła na werandę, która miała ozdoby z pralinek i podłogę z piernika. W oddali, jak przez mgłę, widziała przejeżdżające samochody i kobietę wytaczającą ze sklepu Costello wózek z zakupami.

Muszę się stąd wydostać, pomyślała, choć trudno jej było logicznie myśleć. To, co rzeczywiste, jest tam na dole, muszę tylko dostać się na chodnik.

– Ucieczka nic ci nie da, Bevvie – rzekł jej ojciec (*mój łojciec*), śmiejąc się. – Długo na to czekaliśmy. To dopiero będzie ubaw. Istne niebo w gębie.

Ponownie się obejrzała i teraz jej nieżyjący ojciec był w stroju klowna z wielkimi pomarańczowymi pomponami. Na głowie miał czapkę z szopa, tak chętnie noszoną w 1958 roku, spopularyzowaną przez Fessa Parkera grającego rolę Davy'ego Crocketta w jednym z filmów Disneya. W jednej ręce trzymał pęk balonów. W drugiej, jak udko kurczaka, dzierżył nóżkę dziecka. Każdy z balonów nosił napis: TO PRZYBYŁO Z KOSMOSU.

– Powiedz swoim przyjaciołom, że jestem ostatnim przedstawicielem wymierającej rasy – rzekło To, uśmiechając się ponuro i schodząc chwiejnym krokiem po stopniach werandy w ślad za Beverly. – Jedynym ocalałym przybyszem z umierającej planety. Przybyłem, by obrabować wszystkie kobiety… zgwałcić wszystkich mężczyzn… i nauczyć się tańczyć Miętowego Twista!

To zaczęło pląsać w obłąkanym rytmie, dzierżąc w jednej ręce pęk balonów, a w drugiej krwawiącą nogę.

Kostium klowna trzepotał i falował, pomimo że Beverly nie czuła żadnego wiatru. Zaplątały się jej nogi i runęła na chodnik, wyciągając przed siebie obie ręce, aby złagodzić upadek; ból przeszył ją od dłoni aż do ramion. Kobieta pchająca wózek sklepowy zatrzymała się i obejrzała niepewnie, po czym przyspieszyła kroku. Klown znowu zaczął iść w jej stronę, odrzucając na bok oderwaną nóżkę dziecka. Wylądowała na trawniku z głuchym, niemożliwym do opisania odgłosem.

Beverly leżała przez chwilę rozciągnięta jak długa na chodniku, pełna wewnętrznego przekonania, że już niedługo musi się obudzić, bo to nie może być prawdziwe, to przecież musiał

być sen… Uświadomiła sobie, że to nieprawda, w ostatniej chwili, zanim zakrzywione, zakończone długimi szponami palce klowna zdołały jej dotknąć. To było prawdziwe. To mogło ją zabić! Tak jak zabiło dzieci.

– Szpaki znają twoje prawdziwe imię! – wrzasnęła na całe gardło. To cofnęło się i Bev miała wrażenie, że przez krótką chwilę uśmiech na ustach wewnątrz wielkiego, namalowanego na twarzy klowna czerwonego uśmiechu zmienił się w grymas nienawiści i bólu… a może również i strachu. To mogła być jedynie jej wyobraźnia i, rzecz jasna, nie miała pojęcia, czemu powiedziała coś równie szalonego, ale dzięki temu zyskała nieco na czasie.

Poderwała się z ziemi i zaczęła uciekać. Rozległ się pisk hamulców i ochrypły głos, pełen jednocześnie wściekłości i strachu, zawołał: „Patrz, jak leziesz, ty głupia cipo!”. Kątem oka, niewyraźnie widziała ciężarówkę piekarni, pod którą o mało nie wpadła, wybiegając na jezdnię jak dziecko goniące za piłką, i przystanęła na chodniku po drugiej stronie ulicy, dysząc ciężko; w boku czuła dotkliwe kłucie. Ciężarówka piekarni pojechała dalej wzdłuż Lower Main. Klown zniknął. Noga zniknęła. Dom nadal tam stał, ale teraz widziała tylko opustoszałą ruinę –

okna były zabite deskami, a stopnie werandy popękane i połamane.

Czy ja naprawdę tam byłam, czy to mi się tylko przyśniło?

Jej dżinsy były jednak brudne, a żółta bluzka upaprana ziemią; na palcach miała czekoladowe smugi. Wytarła je o spodnie i odeszła stamtąd szybkim krokiem; twarz paliła ją żywym ogniem, plecy były zimne jak lód, a gałki oczne pulsowały w przyspieszonym rytmie uderzeń jej serca.

Nie możemy pokonać Tego, czymkolwiek jest, nie możemy Tego pokonać. To nawet chce nas sprowokować – pragnie uregulować stare rachunki. Wydaje mi się, że remis Tego nie satysfakcjonuje. Powinniśmy się stąd wynieść… po prostu wyjechać.

Coś otarło się o jej łydkę – leciutko, jak muśnięcie łapki kota. Odskoczyła gwałtownie do tyłu ze stłumionym okrzykiem. Spuściła oczy i aż skuliła się ze strachu, przykładając rękę do ust. To był balonik – żółty jak jej bluzka. Na jego powierzchni jasnoniebieskimi literami wypisano słowa: „Łacja, kłóliku”.

Kiedy tak patrzyła, nagle zerwał się przyjemny późnowiosenny wietrzyk i balonik, odbijając się leciutko od chodnika, pofrunął w stronę drugiego końca ulicy.

4

Richie Tozier ucieka

Cóż, to było tego dnia, kiedy gonili mnie Henry i jego kumple… to było jeszcze przed końcem szkoły…

Richie szedł wzdłuż Outer Canal Street, mijając Bassey Park. Teraz zatrzymał się, włożył ręce do kieszeni i patrzył w stronę Mostu Pocałunków, choć wcale go nie zauważał.

Uciekłem im w dziale zabawek u Freese’a.

Od szaleńczej kulminacji grozy podczas ich ponownego spotkania przy obiedzie krążył bez celu, próbując się uspokoić i zapomnieć o okropnych rzeczach, jakie znajdowały się w ciasteczkach szczęścia… albo raczej wydawało się im, że się tam znajdowały. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej nic się z nich nie wydostało. To musiała być grupowa halucynacja, spowodowana koszmarnymi tematami rozmów, jakie prowadzili. Najlepszym dowodem na potwierdzenie tej tezy było to, że Rose niczego nie zauważyła. Oczywiście. Rodzice Beverly też wprawdzie nie widzieli krwi, która wytrysnęła z otworu umywalki, ale to co innego.

Dlaczego nie?

– Bo teraz jesteśmy dorośli – wymamrotał i stwierdził, że nie było w tym ani odrobiny siły czy też logiki. Równie dobrze mógł posłużyć się nonsensowną dziecinną rymowanką. Znów zaczął iść.

Dotarłem do City Center i przysiadłem na ławce parkowej, i wydawało mi się, że zobaczyłem…

Znów się zatrzymał. Zasępił się.

Co zobaczyłeś? Nie, to na pewno tylko mi się przywidziało. Czyżby? Czy na pewno?

Spojrzał w lewo i zobaczył olbrzymi budynek ze szkła, stali i cegły, który w końcu lat pięćdziesiątych wydawał się taki nowoczesny, a teraz sprawiał wrażenie staroświeckiego i obskurnego.

I oto tu jestem, pomyślał, znowu pod pieprzonym City Center. Na miejscu mojego przywidzenia lub snu, czy cokolwiek to było. Inni uważali go za klasowego błazna, szalonego jajcarza, więc bardzo gładko ponownie wślizgnął się w starą skórę. Powrócił do dawnej roli (podobnie jak wszyscy pozostali, nie zauważyłeś?), ale czyż było w tym coś niezwykłego? Uznał, że prawdopodobnie tak samo musiały się przedstawiać zjazdy uczniów z college’u po dziesięciu czy dwudziestu latach od

skończenia szkoły; klasowy komik, który odkrył w sobie powołanie do kapłaństwa, po dwóch głębszych znów wcieli się w postać bezpośredniego wesołka; wielki angielski mózg pracujący dla General Motors zacznie nagle deklamować Johna Irvinga albo Johna Cheevera; facet, który grał z Moondays w sobotnie wieczory, a który został profesorem matematyki w Cornell, znajdzie się nagle na scenie razem z zespołem i gitarą marki Fender, przewieszoną na ukos przez pierś, będzie grał *Glorię* albo *Surfin' Bird* z gorliwością człowieka, który dał sobie mocno w żyłę. Co powiedział Springsteen? „Nie cofaj się, dziecino, nie poddawaj"… jednak w płytowe starocie łatwiej było uwierzyć po kilku drinkach albo dobrym panama red. To powrót do pierwotnego stanu był halucynacją, nie obecne życie. Być może dziecko było ojcem mężczyzny, ale ojcowie i synowie często mają diametralnie inne zainteresowania i są tylko odrobinę podobni do siebie. Oni…

Ale ty mówisz „dorośli" – i to brzmi jak nonsens, istny bełkot. Czemu tak jest, Richie? Dlaczego? Bo Derry jest dziwne jak zawsze. Czemu po prostu stąd nie wyjedziemy? Bo to wszystko nie jest takie proste – oto dlaczego.

Jako dzieciak był zgrywusem – czasami zabawnym, niekiedy wulgarnym, ale był to jeden ze sposobów na nudę i osamotnienie, a także przetrwanie obok dzieciaków takich jak Henry Bowers. Doszedł do wniosku, że wiele problemów powodował jego mózg, który pracował wielokrotnie szybciej niż umysły jego szkolnych kolegów. Uznawali go za dziwaka, dzikusa, a nawet dzieciaka z manią samobójczą, w zależności od tego, co akurat wymyślił, ale być może był on zwykłym przypadkiem umysłowego przeciążenia – jeżeli jakikolwiek z tego typu przypadków można określić mianem zwykłego.

W każdym razie była to jedna z tych rzeczy, nad którą w końcu potrafisz zapanować albo znajdujesz dla nich ujście w postaci wymyślonych osób, takich jak Kinky Briefcase czy Buford Kissdrivel; Richie odkrył to wszystko po kilku miesiącach od dnia, kiedy wszedł do pomieszczenia radiostacji w college'u, ale właściwą drogę odnalazł już w czasie swego pierwszego tygodnia zasiadania przed mikrofonem. Z początku nie był zbyt dobry – za bardzo się ekscytował. Ale zdał sobie sprawę, że w tym, co robi, może być nie tylko dobry – może być doskonały – i to wewnętrzne przekonanie wprawiło go w stan takiej euforii, że niemal

zaczął lewitować. W tym samym czasie odkrył jedno z podstawowych praw rządzących światem, a w każdym razie to, które rządziło ludzkimi karierami i pozwalało na osiągnięcie życiowego sukcesu – aby tego dokonać, musiałeś odnaleźć szalonego facecika, który zasuwał w kółko wewnątrz ciebie i rozpieprzał ci życie. Potem zapędzałeś go do narożnika i klinczowałeś. Ale nie zabijałeś. O nie! Śmierć byłaby za dobra dla tego małego pieprzonego drania. Zakładałeś mu na głowę uprząż i zaczynałeś powolną orkę. Kiedy go umiejętnie prowadziłeś, ten drań zasuwał jak szatan. I od czasu do czasu dawał ci powód, żebyś mógł się choć trochę pochichrać. A to w zupełności wystarczało. Był zabawny, to prawda, śmiał się od czasu do czasu, ale w końcu i tak miał przed oczyma koszmarne wizje, które znajdowały się po mrocznej stronie każdego z tych wybuchów śmiechu. Tak mu się przynajmniej wydawało. Aż do dziś, kiedy słowo „dorosły” przestało dlań cokolwiek znaczyć. I nagle stanął przed jeszcze jednym problemem do rozwiązania, w każdym razie do dłuższego namysłu – przed City Center dostrzegł olbrzymi i idiotyczny pomnik Paula Bunyana.

„Widać jestem wyjątkiem potwierdzającym regułę, Wielki Billu”. „Na pewno nic ci się nie przytrafiło, Richie? Zupełnie nic?”. „Przy City Center… Wydawało mi się, że zobaczyłem”…

Ostry ból przeszył mu oczy po raz drugi tego dnia i Richie przyłożył do nich obie ręce. Jęknął. I nagle ból zniknął równie szybko, jak się pojawił. Ale czy nie poczuł czegoś, jakiejś dawnej woni? Czegoś, czego tam naprawdę nie było, ale czegoś, co kazało mu myśleć o… Mike’u Hanlonie. „Jestem tu z tobą, Richie. Trzymaj mnie za rękę, czy możesz złapać mnie za rękę”, usłyszał w myślach. To dym sprawił, że jego oczy zaczęły piec i łzawić. Przed dwudziestu siedmiu laty wdychali ten dym – i na końcu zostali już tylko on i Mike, i zobaczyli…

Ale To zniknęło.

Podszedł o krok w stronę plastikowego posągu Paula Bunyana, równie zdziwiony jego obecną wulgarnością, jak w dzieciństwie jego ogromem. Mityczny Paul miał dwadzieścia stóp wzrostu, a cokół dodatkowe sześć. Stał, uśmiechając się do samochodów i przechodniów idących chodnikiem wzdłuż Outer Canal Street, ze skraju trawnika przy City Center. City Center zostało wzniesione w latach 1954–1955 dla dziecięcej drużyny baseballu, której ostatecznie nigdy nie

założono. Rada miejska Derry rok później zaczęła zbierać fundusze na budowę pomnika. Gorące debaty na ten temat prowadzono zarówno na publicznych spotkaniach członków rady, jak i na łamach „News” w rubryce „Listy do redakcji”. Wielu uważało, że pomnik będzie po prostu wspaniały i stanie się jedną z atrakcji turystycznych. Inni twierdzili, że to zwyczajna, toporna plastikowa ohyda. Nauczycielka plastyki z liceum w Derry (jak sobie przypomniał Richie) napisała list do „News”, w którym oświadczyła, że jeśli to szkaradzieństwo zostanie ustawione przed budynkiem City Center, ona rozwali je na kawałki.

Richie z uśmiechem zastanawiał się, czy ponownie podpisano kontrakt na renowację posągu. Kontrowersje, które zdaniem Richiego były typową burzą w szklance wody, trwały z pełną zaciętością przez całe sześć miesięcy i, rzecz jasna, były absolutnie bez znaczenia. Posąg został zakupiony i nawet jeśli rada miejska zrobiła coś równie nienormalnego (zwłaszcza w Nowej Anglii), jak podjęcie decyzji o użyciu innego surowca niż ten, za który zapłacono, to gdzie podziały się pieniądze, które zdołano zebrać? Co się tyczy posągu, to nie był on nawet rzeźbiony, lecz po prostu odlany w jednym

z zakładów wyrobów plastikowych w Ohio i przesłany do Derry owinięty w płachtę materiału tak wielką, że mogłaby posłużyć za żagiel klipera. Odsłonięcia pomnika dokonano 13 maja 1957 roku w sto pięćdziesiątą rocznicę założenia miasta. Następnie – co było do przewidzenia – obecni przy tym mieszkańcy miasta natychmiast podzielili się na dwie grupy: tych, którzy nie posiadali się z wściekłości, i tych, którzy piali z zachwytu nad wspaniałością dzieła.

Po odsłonięciu pomnika okazało się, że Paul miał na sobie swój roboczy kombinezon i czerwono-białą kraciastą koszulę. Jego broda była kruczoczarna, gęsta i zmierzwiona – typowa broda drwala. Plastikowa siekiera, istna Godzilla pośród tego typu plastikowych narzędzi, spoczywała na jego ramieniu. Drwal uśmiechał się nieprzerwanie w stronę późnonocnego nieba, które w dniu odsłonięcia pomnika było niebieskie jak skóra słynnego towarzysza Paula (Babe'a jednak nie było na cokole – odlanie wielkiego niebieskiego wołu okazało się zbyt kosztowną inwestycją).

Setki dzieci obecne podczas tej ceremonii (pośród nich znajdował się również Richie Tozier z ojcem) były całkowicie i niemal bezkrytycznie urzeczone plastikowym gigantem. Rodzice

podsadzali swoje pociechy na kwadratowy cokół, na którym stał Paul, i cieszyli się, kiedy dzieciaki wspinały się i przeczołgiwały ze śmiechem po wielkich czarnych butach Paula. To było w marcu, rok później, kiedy Richie wyczerpany i przerażony dotarł do jednej z ławek ustawionych przed pomnikiem po wymknięciu się – z ledwością – Bowersowi, Crissowi i Hugginsowi, którzy ścigali go przez niemal całe śródmieście. Zgubił ich w końcu w dziale z zabawkami Domu Towarowego Freese'a.

Dom Towarowy Freese'a w Derry był ubogim krewnym identycznego sklepu w Bangor, ale Richie bynajmniej się tym nie interesował. Zależało mu, aby znaleźć jakąkolwiek przystań, gdzie mógłby przeczekać sztorm. Henry Bowers deptał mu po piętach, a Richie był już nieźle zmachany. Wbiegł przez obrotowe drzwi do wnętrza domu towarowego, uznawszy to za swoją ostatnią szansę. Mało brakowało, a Henry, który widocznie nie wiedział, jak działają tego typu urządzenia, straciłby końce palców, kiedy próbował schwycić Richiego, znalazłszy się bowiem w przeszklonej przegrodzie drzwi, obrócił ją gwałtownie i wpadł jak burza do sklepu. Zbiegając na dół z połami koszuli unoszącymi się za nim, usłyszał głośną serię

trzasków, przypominających telewizyjne odgłosy strzelaniny – był to dźwięk obracanych z siłą drzwi, co oznaczało, że Larry, Moe i Curly nadal deptali mu po piętach. Śmiał się, pędząc ile sił w nogach do piwnic, ale był to tylko nerwowy tik – umierał z przerażenia jak królik schwytany w sidła.

Tym razem naprawdę chcieli mu dołożyć (mniej więcej za dziesięć tygodni uwierzy, że cała ta trójka, a w szczególności Henry, byłaby zdolna popełnić morderstwo, z całą zaś pewnością posiwiałby jak gołąbek, gdyby wiedział o wielkiej bitwie na kamienie, która odbędzie się w lipcu i po której wszelkie jego wątpliwości co do powyższej kwestii zostaną ostatecznie rozwiane).

A wszystko zaczęło się od bzdury. Richie i inni chłopcy z jego piątej klasy wchodzili do sali gimnastycznej. Szóstoklasiści – Henry górował nad nimi jak wół nad krowami – akurat stamtąd wychodzili. Choć nadal w piątej klasie, Henry chodził na WF ze starszymi chłopcami. Biegnące pod sufitem rury ponownie przeciekały i pan Fazio nie zdążył jeszcze wywiesić karteczki z napisem: „Uwaga! Śliska podłoga!”. Henry poślizgnął się w kałuży i wylądował na tyłku. Zdradzieckie usta Richiego, zanim zdołał je powstrzymać, wymamrotały: „Świetnie,

łamago!”. Rozległ się ryk śmiechu zarówno kolegów Henry’ego, jak i Richiego, ale kiedy Henry podniósł się z ziemi, nie uśmiechał się – tylko jego twarz przybrała barwę świeżo wypalonej cegły.

– Później się tobą zajmę, czterooki – powiedział i odszedł. Śmiech ucichł natychmiast. Chłopcy w korytarzu popatrzyli na Richiego tak, jakby już był trupem. Henry nie zatrzymał się, by zlustrować wzrokiem ich reakcje; po prostu odszedł ze spuszczoną głową, poczerwieniałymi łokciami, które przyjęły siłę upadku, i wielkim mokrym plackiem na siedzeniu spodenek. Patrząc na ten placek, Richie poczuł, że jego nierozważne, wyraźnie cierpiące na manię samobójczą usta ponownie się otwierają, ale tym razem zamknął je natychmiast, i to tak gwałtownie, że o mały włos nie przyciął sobie koniuszka języka. Wszystko w porządku, on i tak o tym zapomni, powiedział sobie niepewnie, przebierając się na WF. Na pewno zapomni. U starego Hanka obwody pamięci nie działają najlepiej. Prawdopodobnie za każdym razem, kiedy chce się wysrać, musi przeczytać instrukcję na ten temat, cha, cha.

– Jesteś już trupem, Niewyparzona Gębo – powiedział mu Vince „Boogers” Taliendo

z pewną dozą smutku i powagi w głosie. – Nie martw się, przyniosę ci kwiaty.

– Wsadź je sobie w tyłek – odciął się ostro Richie i wszyscy się roześmiali, nawet stary „Boogers” Taliendo, bo niby czemu nie; wszyscy mają prawo do śmiechu. Czemu mieliby się martwić? Oni wszyscy będą siedzieć w domu, oglądając Jimmy’ego Dodda i Myszkieterów w Klubie Myszki Miki albo Frankiego Lymona śpiewającego *I’m not a Juvenile Delinquent* w *American Bandstand*, podczas gdy to Richie ze strugami potu ściekającymi po plecach i pomiędzy pośladkami oraz jądrami podciągniętymi tak wysoko, że miał wrażenie, jakby wisiały mu tuż pod pępkiem, będzie biegł przez działy z bielizną damską i artykułami gospodarstwa domowego Domu Towarowego Freese’a w stronę salonu z zabawkami. Pewno, że mogli się śmiać. Chłe-chłe-chłe-chłe.

Henry nie zapomniał. Richie na wszelki wypadek wybiegł przez drzwi od strony placu zabaw, ale Henry, również niejako na wszelki wypadek, postawił tam na straży Belcha Hugginsa. Chłe-chłe-chłe-chłe.

Richie pierwszy zauważył Belcha, w przeciwnym razie nie byłoby mowy o żadnym pościgu. Belch patrzył w stronę Derry Park,

trzymając w jednej ręce niezapalonego papierosa, a drugą z rozmarzeniem wyciągając materiał spodni wpijającymi mu się w tyłek. Z dudniącym mocno sercem Richie przemknął przez plac zabaw i pokonał spory odcinek Charter Street, zanim Belch odwrócił głowę i go zauważył. Zawołał Henry'ego i Victora i od tej chwili rozpoczęła się pogoń. Kiedy Richie dotarł do działu zabawek, okazało się, że (o zgrozo!) nie ma tam żywego ducha. Nie było nawet pojedynczego sprzedawcy – mile widzianego w obecnej chwili dorosłego, który mógłby opanować sytuację, zanim wszystko wymknie się spod kontroli.

Słyszał, że ścigające go trzy dinozaury apokalipsy zbliżały się coraz bardziej. A on po prostu nie mógł dłużej uciekać. Każdy kolejny oddech powodował przejmujące kłucie w lewym boku. Jego wzrok spoczął na drzwiach z napisem: WYJŚCIE AWARYJNE! OTWARCIE DRZWI SPOWODUJE WŁĄCZENIE ALARMU! Nadzieja ponownie zagościła w jego sercu. Richie przebiegł przejściem pomiędzy rzędami półek zastawionych Kaczorami Donaldami, pudełkami z niespodzianką, czołgami armii amerykańskiej japońskiej produkcji, korkowcami robionymi na

wzór rewolwerów Samotnego Jeźdźca i składanymi robotami.

Dotarł do drzwi i z całej siły pchnął metalowy drążek. Drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka powiew chłodnego marcowego powietrza. Rozległ się przenikliwy dźwięk alarmu. Richie natychmiast pochylił się i opadł na kolana w sąsiednim przejściu. Znalazł się na ziemi, zanim jeszcze drzwi zdążyły się zatrzasnąć. Henry, Belch i Victor wpadli do działu zabawek w chwili, gdy drzwi się zamknęły i alarm został wyłączony.

Podbiegli do nich – Henry, z obliczem, na którym malowały się skupienie i determinacja, przewodził pościgowi. W końcu pojawił się w sali również sprzedawca. Przybiegł pędem. Nosił niebieski nylonowy fartuch narzucony na niewiarygodnie brzydką sportową kurtkę. Oprawki jego okularów były różowe jak ślepka królika albinosa.

Richie pomyślał, że tamten wyglądał jak Wally Cox w roli pana Peepersa i musiał przygryźć zębami przedramię, aby nie wybuchnąć gromkim śmiechem.

– Wy, chłopcy! – krzyknął pan Peepers. – Nie wolno wam tamtędy wychodzić! To wyjście awaryjne! Wy! Ej, wy! Chłopaki!

Victor odwrócił się w jego stronę z lekka podenerwowany, ale Henry i Belch nawet nie zwolnili i Victor popędził za nimi. Alarm znów się rozryczał, kiedy trzech chłopaków wypadło na alejkę. Zanim przebrzmiał, Richie już wstał i lekkim truchtem pobiegł w stronę działu z damską bielizną.

– Zabrania się wam wstępu do tego sklepu! – ryknął w ślad za nim sprzedawca. Oglądając się przez ramię, Richie pisnął głosem cioteczki Grunt:

– Czy ktokolwiek mówił ci kiedyś, że wyglądasz kubek w kubek jak pan Peepers, młody człowieku?

I w ten właśnie sposób uciekł. Wreszcie znalazł się prawie milę od Domu Towarowego Freese'a przed City Center… i, jak miał nadzieję, z dala od jakichkolwiek kłopotów. Przynajmniej na pewien czas. Był wyczerpany. Usiadł na ławce przy pomniku Paula Bunyana, po jego lewej stronie, chcąc choć przez krótką chwilę odpocząć i dojść do siebie po męczącym biegu. Niedługo wstanie i uda się do domu, ale teraz po prostu wspaniale było móc tu sobie posiedzieć i rozkoszować się popołudniowym słońcem. Po chłodnym i dżdżystym ranku teraz czuło się wyraźnie nadciągającą wiosnę. Nieco dalej na

trawniku widział tablicę reklamową City Center, na której tego marcowego dnia wypisano wielkimi półprzezroczystymi literami następującą informację:

HEJ, NASTOLATKI!
ZBLIŻA SIĘ 28 MARCA!
A Z NIM WIELKI SHOW
ROCKANDROLLOWY
„WOO-WOO” GINSBERGA!
JERRY LEE LEWIS,
THE PENGUINS,
FRANKIE LYMON AND THE
TEENAGERS,
GENE VINCENT AND THE BLUE
CAPS,
FREDDY „BOOM-BOOM” CANNON.
WIECZÓR ZDROWEJ ZABAWY!

Richie bardzo chciał zobaczyć ten koncert, ale wiedział, że nie ma na co liczyć. W programie zdrowej zabawy jego matki nie mieścił się Jerry Lee Lewis mówiący młodym Amerykanom, że mamy w stodole kurczaki, w czyjej stodole, w jakiej stodole, w mojej stodole. Podobnie jak nie było tam miejsca dla Freddy’ego Cannona z jego lassie Tallahassee. Była skłonna przyznać,

że niegdyś przepadała za Frankiem Sinatrą (którego nazywała obecnie Franek Smark), ale podobnie jak matka Billa Denbrough, nienawidziła rock and rolla. Chuck Berry ją przerażał i oświadczyła, że Richard Penniman, którego nastolatki i nieco młodsi od nich obywatele znali jako Little Richarda, powodował u niej odruch wymiotny. Wyjaśnienia tych słów Richie nigdy od niej nie wymagał. Jego ojciec w sprawie rock and rolla zachowywał postawę neutralną i być może dałby się przekabacić, ale Richie w głębi serca wiedział, że pod tym względem liczyło się przede wszystkim zdanie matki, w każdym razie dopóki nie skończy on szesnastu, siedemnastu lat, a do tej pory, o czym jego matka była święcie przekonana, rockandrollowa mania przeminie bezpowrotnie.

Richie pomyślał, że pod tym względem rację mieli Danny and the Juniors, którzy twierdzili, że rock and roll nigdy nie umrze. On sam uwielbiał tę muzykę, choć miał w zasadzie możliwość korzystania tylko z dwóch źródeł – *American Bandstand* na kanale siódmym (po południu) i WMEX z Bostonu (wieczorami), kiedy był raczej kiepski odbiór, a ochrypły, rozentuzjazmowany głos Arniego Ginsberga to pojawiał się, to znów zanikał jak głos ducha na seansie

spirytystycznym. Mocny rytm nie tylko czynił go szczęśliwym. Sprawiał, że czuł się większy, silniejszy i „bardziej na miejscu”. Kiedy Frankie Ford śpiewał *Sea Cruise* albo Eddie Cochran *Summertime Blues*, Richie niemal nie posiadał się ze szczęścia. W tej muzyce była zawarta moc; zdawało się, że ta moc płynie do wszystkich tych, którzy jej pragnęli – do dzieciaków, zarówno tych grubych, jak i chudych, brzydkich i nieśmiałych, krótko mówiąc, do wszystkich frajerów świata.

Słuchając tej muzyki, miał wrażenie, jakby się podładowywał, robił się coraz weselszy, a jego radość jednocześnie miała moc niszczenia i tworzenia. Jego idolami byli Fats Domino (przy którym nawet Ben Hanscom wyglądał na smukłego i szczupłego), Buddy Holly, który podobnie jak Richie nosił okulary, Screamin’ Jay Hawkins, który wyskakiwał na swoich koncertach z trumny (w każdym razie tak Richiemu mówiono) oraz Dovellowie, którzy tańczyli tak dobrze jak czarni. No, prawie tak dobrze.

Ale przyjdzie taki dzień, że kiedy zechce, będzie mógł pójść na upragniony koncert – był pewny, że doczeka tej chwili, gdy jego matka zmięknie i zezwoli mu na to – choć z pewnością nie nastąpi to 28 marca 1958… ani w 1959 roku…

ani… Oderwał wzrok od tablicy reklamowej i wtedy… cóż… chyba wtedy musiał się zdrzemnąć. To było jedyne sensowne wyjaśnienie. Bo to, co stało się potem, mogło się wydarzyć jedynie we śnie.

I teraz był tu znowu, Richie Tozier, człowiek, który dostał w końcu upragnioną porcję rock and rolla… i któremu na szczęście stale było go mało. Jego wzrok padł na tablicę reklamową przy City Center i zarejestrował takie same jak przed laty niebieskie litery układające się w słowa:

14 CZERWCA
HEAVEY METAL MANIA!
JUDAS PRIEST,
IRON MAIDEN.
BILETY DO NABYCIA TUTAJ LUB
W KIOSKACH
BILETOWYCH.

Gdzieś w ciągu tych parunastu lat zgubili całą linijkę o dobrej zabawie, ale poza tym chyba nic się nie zmieniło, pomyślał Richie.

I nagle usłyszał odległe i ciche dźwięki muzyki Danny and the Juniors, jak głosy z długiego korytarza, słyszane przez głośnik kiepskiego radia. „Rock and roll nigdy nie umrze,

wyeksploatuję go do końca… on przejdzie do historii, patrz uważnie, przyjacielu…”. Richie obejrzał się i spojrzał na Paula Bunyana, świętego patrona Derry – Derry, które powstało, bo jak powiadają, właśnie tutaj trafiały spławiane rzeką bale drewna. Bywało, że wiosną zarówno Kenduskeag, jak i Penobscot od brzegu do brzegu wypełniały długie kłody, a ich czarna okorowana powierzchnia lśniła w promieniach wiosennego słońca. Facet, który był szybki w nogach, mógł przejść od Wally’s Spa na Diabelskim Półakrze do Ramper’s w Brewster (Ramper’s była mordownią o tak podłej reputacji, że częściej nazywano ją Kubeł Krwi), nie zmoczywszy butów powyżej trzeciego zaplotu skórzanych sznurówek. W każdym razie takie opowieści krążyły w latach młodości Richiego i jak przypuszczał, w każdej z tych historii tkwiła cząstka Paula Bunyana.

Paul, co robiłeś po moim wyjeździe, stary? – pomyślał, unosząc wzrok w stronę plastikowego pomnika. Czy stworzyłeś nowe koryta rzek, gdy wracając do domu zmęczony, ciągnąłeś siekierę za sobą? A może utworzyłeś kilka nowych jezior, kierowany pragnieniem zanurzenia się w wodzie po samą szyję? Przestraszyłeś jeszcze jakieś dzieciaki, tak jak mnie tamtego dnia?

I – ach! – nagle wszystko sobie przypomniał, tak jak czasami przypominasz sobie słowa, które masz na końcu języka. I znowu tam był, siedział skąpany w marcowych promieniach słońca, wywołujących łagodne rozleniwienie i senność, rozmyślając o pójściu do domu i złapaniu ostatniej półgodziny *Bandstand*, i nagle poczuł na twarzy ciepły podmuch powietrza. Powiew zmierzwił mu włosy. Uniósł wzrok i zobaczył tuż przed sobą wielką plastikową twarz Paula Bunyana, większą niż na ekranie kinowym, wypełniającą wszystko. Podmuch został spowodowany gwałtownym nachyleniem się Paula… choć ta kreatura nie przypominała już Paula. Jego czoło było teraz niskie i wystające – z nosa, czerwonego jak u pijaka, wystawały kępki sztywnych niczym druty włosów. Jego oczy były przekrwione, a jedno jakby trochę wyłupiaste.

Siekiera nie spoczywała już na jego ramieniu. Paul opierał się na stylisku, a drugi koniec narzędzia wyrył spore wgłębienie w betonowym chodniku. Nadal się uśmiechał, ale nie było w tym uśmiechu niczego radosnego. Spomiędzy gigantycznych żółtych zębów buchał odór przypominający woń małych stworzeń gnijących w nasłonecznionych krzakach.

– Pożrę cię – oznajmił olbrzym niskim gardłowym głosem. Był to odgłos przypominający grzechot kamieni zderzających się podczas trzęsienia ziemi. – Chyba że oddasz mi moją starą, mój sprzęt i moje worki ze złotem, bo jak nie, to zaraz cię pożrę!

Podmuch towarzyszący wypowiedzeniu tych słów sprawił, że koszula Richiego wydęła się i zatrzepotała jak pod wpływem huraganowego wichru.

Cofnął się, opierając się plecami o ławkę, oczy wyszły mu z orbit, a włosy stanęły dęba jak kolce jeża, gdy owiała ją chmura gnilnego odoru. Olbrzym zaczął się śmiać. Ujął w dłonie stylisko siekiery, tak jak Ted Williams mógłby chwycić swój ulubiony kij baseballowy (albo, jak kto woli, pogrzebacz), i wyrwał ją z jamy w chodniku. Siekiera zaczęła unosić się w powietrze. Rozległ się morderczy ostry świst. I nagle Richie zrozumiał, że olbrzym zamierzał rozpłatać go na pół.

Pomimo to nie mógł się poruszyć – ogarnęła go przypominająca paraliż apatia. Co to za różnica? Przecież to i tak był tylko sen. Lada moment jakiś kierowca zatrąbi klaksonem na dzieciaka przebiegającego przez ulicę i wyrwie go z tej drzemki.

– Racja! – ryknął olbrzym – obudzisz się w piekle! – I gdy siekiera osiągnęła najwyższy punkt, by na krótką chwilę zastygnąć nieruchomo w powietrzu, Richie zrozumiał, że to wcale nie był sen… a jeżeli nawet, to taki, w którym mogłeś umrzeć. Próbując krzyczeć, ześlizgnął się z ławki i przetoczył po żwirowanej powierzchni placyku otaczającego pomnik, który teraz składał się jedynie z cokołu i dwóch olbrzymich stalowych bolców w miejscach, gdzie znajdowały się stopy giganta.

Odgłos spadającej siekiery wypełnił świat narastającym, natarczywym szeptem – uśmiech olbrzyma zamienił się w morderczy grymas. Jego usta rozchyliły się, ukazując połyskujące zęby osadzone w krwistoczerwonych błyszczących plastikowych dziąsłach. Ostrze siekiery trafiło w ławkę w miejscu, gdzie zaledwie przed chwilą siedział Richie. Było tak ostre, że rozcięło ją gładko na dwoje. Połówki rozpadły się na boki, a drewno pod zieloną farbą skóry było tak jasne, że niemal białe; jego widok przyprawiał o mdłości.

Richie leżał na plecach. Nadal usiłując krzyczeć, odpychał się piętami. Żwir dostał mu się za koszulę i do spodni. A nad nim górował Paul spoglądający w dół, na niego, oczyma

wielkości metalowych pokryw kanału. Paul stał nad nim, małym chłopcem, kulącym się na żwirowanym placyku. Olbrzym postąpił krok w jego stronę. Richie poczuł, jak ziemia zadrżała, kiedy opadł na nią wielki czarny but. W powietrze wzbiła się chmura kurzu i żwiru. Richie przetoczył się na brzuch i chwiejnie podniósł z ziemi. Jego nogi pracowały już jak szalone, zanim jeszcze zdołał uchwycić równowagę, i w rezultacie powtórnie wylądował brzuchem na ziemi.

Usłyszał, jak powietrze ze świstem uszło z jego płuc. Włosy wpadły mu do oczu. Widział, że w oddali, po Canal i Main Street, jak co dzień jeździły samochody – zupełnie jakby nic się nie stało, jakby żaden z tych kierowców nie widział ani nie obchodziło go, że plastikowy pomnik Paula Bunyana ożył i zstąpił z cokołu, by popełnić zbrodnię za pomocą swej gigantycznej siekiery.

Światło słoneczne przygasło. Richie leżał w cieniu, który rzucał kształt olbrzymiego mężczyzny. Podniósł się na kolana, prawie upadł na bok, jednak w końcu udało mu się wstać i zaczął biec. Biegł tak szybko, jak tylko mógł – biegł, prawie dotykając kolanami klatki piersiowej, a jego łokcie pracowały niczym tłoki.

Słyszał za plecami narastający z wolna złowieszczy szept – odgłos, który zdawał się nie dźwiękiem, ale naciskiem na skórę i bębenki w uszach.

Ziemia zadrżała. Dolne i górne zęby Richiego zazgrzytały o siebie jak porcelanowe talerze podczas trzęsienia ziemi. Nie musiał się oglądać za siebie, by wiedzieć, że siekiera Paula do połowy zagłębiła się w chodniku zaledwie kilka cali od jego stóp. W jego umyśle jak szalone rozlegały się dźwięki piosenki zespołu Dovells: „Dzieciaki z Bristolu ostre są aż ha, bo z nich każdy bristolski krok ma".

Wypadł z cienia rzucanego przez olbrzyma i ponownie znalazł się w promieniach słońca. Wtedy zaczął się śmiać – był to ten sam śmiech, w którym brzmiało skrajne wyczerpanie, jak w Domu Towarowym Freese'a, kiedy udało mu się zbiec po schodach i dostać do działu z zabawkami. Oddychając ciężko i ponownie czując w boku kłucie, zaryzykował w końcu obejrzenie się przez ramię.

Plastikowy posąg Paula Bunyana stał jak zawsze na cokole – siekiera spoczywała na ramieniu olbrzyma, jego głowa była lekko uniesiona, wzrok utkwiony w niebo, a na ustach igrał uśmieszek mitycznego bohatera. Rozcięta

na dwoje ławka była cała i nienaruszona. Żwir, gdzie wysoki Paul („On jest dla mnie wszystkim”, śpiewała jak oszalała Anette Funicello głęboko pod czaszką Richiego) postawił swoją potężną stopę, był zagrabiony i nieskazitelny, z wyjątkiem miejsca, w którym wywrócił się Richie, kiedy… śnił (lub naprawdę uciekał przed olbrzymem). Nie było odcisków stóp ani żłobień od ciosów siekiery na chodniku. Nie było nic prócz małego chłopca ściganego przez starszych chłopaków, który wyśnił swój mały (ale przekonujący) sen o opętanym żądzą mordu gigancie… albo, jeśli wolicie, gigantycznej wersji Henry’ego Bowersa.

– Cholera – mruknął drżącym głosem Richie, a potem roześmiał się słabo i jakby odrobinę niepewnie. Stał tam jeszcze przez chwilę, czekając, czy pomnik ponownie się poruszy, a może mrugnie, przerzuci siekierę z jednego ramienia na drugie albo powtórnie zejdzie z cokołu i rzuci się za nim w pogoń. Ale nic takiego oczywiście się nie wydarzyło.

Czemu ja się martwię? Śmiechu warte. Drzemka. Sen. Nic więcej.

Ale, jak zauważył kiedyś Abraham Lincoln, Sokrates czy ktoś równie sławny: „Dość tego dobrego. Nadszedł czas, by pójść do domu i ochłonąć. Po prostu odpocząć”. I choć byłoby

szybciej, gdyby przeszedł obok gmachu City Center, nie zrobił tego. Nie chciał się ponownie zbliżać do pomnika. Obszedł go szerokim łukiem, a do wieczora prawie zapomniał o całym zdarzeniu. Aż do teraz.

Siedzi tu mężczyzna, pomyślał, mężczyzna ubrany w zieloną marynarkę, zakupioną w jednym z najbardziej ekskluzywnych sklepów przy Rodeo Drive; ten facet ma na nogach drogie buty, a na tyłku majtki od Calvina Kleina, na jego gałkach ocznych tkwią mięciutkie szkła kontaktowe; ten mężczyzna siedzi i przypomina sobie sen małego chłopca, który uważał, że tani podkoszulek i para obdartych trampek to szczyt mody; ten dorosły facet patrzy na ten sam stary posąg – i hej, Paul, wysoki Paulu, przyszedłem ci powiedzieć, że nic się nie zmieniłeś, nie postarzałeś się ani o jeden pieprzony dzień.

Przez cały czas w myślach kołatały mu się słowa: To był tylko sen. Potwory to w gruncie rzeczy nic takiego. Czy siedząc w studiu, nie słyszał okropności o ludziach takich jak Idi Amin Dada, Jim Jones czy ten facet, który ni z tego, ni z owego wszedł do baru McDonalda i rozwalił wszystkich znajdujących się tam gości? Tak, tak, potwory to pryszcz! Komu by się chciało wydawać pięć dolców za ich obejrzenie, kiedy za

trzydzieści centów możesz poczytać lepsze kawałki w gazecie albo za darmo posłuchać o tym w radiu?

I jak przypuszczał, skoro mógł uwierzyć w rozmaitych Jimów Jonesów, to równie dobrze mógł przyjąć wersję Mike'a Hanlona. Przynajmniej na razie. To w pewien sposób miało swój ponury urok, ponieważ To pochodziło z zewnątrz i nikt nie był za To odpowiedzialny. Wierzył, że ten potwór dysponował równie dużą liczbą masek jak sklep ze śmiesznymi rzeczami (kupisz jedną gumową maskę, to tak jakbyś miał wszystkie, choć tuzin kosztowałby cię taniej, no nie, stary?) – w każdym razie było to tak samo dobre wytłumaczenie jak każde inne – ale olbrzymi plastikowy posąg schodzący z cokołu i próbujący cię rozłupać wielką plastikową siekierą? To zajeżdża czymś nieświeżym. I tak jak powiedział Abraham Lincoln, Sokrates czy ktoś równie sławny: „Zjem rybę i zjem mięso, ale jest parę gównianych rzeczy, których nie tknę za żadne skarby świata". I czy to…

Ostry, kłujący ból ponownie przeszył jego oczy bez żadnego ostrzeżenia; Richie krzyknął przerażony. Tym razem było gorzej, trwało znacznie dłużej i napędziło mu niezłego stracha. Przyłożył dłonie do oczu, a potem instynktownie

odsunął dolne powieki palcami wskazującymi, zamierzając wyjąć szkła kontaktowe.

Może to jakaś infekcja, pomyślał nagle, ale, Jezu, jak to boli! Odsunął dolne powieki i miał już mrugnąć – czynność ta powodowała zawsze wypadnięcie szkieł (pewnie przez następne piętnaście minut musiałby ich szukać na żwirze przed ławką, ale, Jezu Chryste, kogo to obchodzi, mam wrażenie, jakby ktoś wbijał mi gwoździe do oczu) – kiedy nagle ból minął. Nie zelżał, po prostu minął. W jednej chwili był, a w drugiej już go nie było. Przez jakiś czas oczy mu łzawiły, ale nie trwało to długo. Powoli opuścił ręce – serce waliło mu w piersi jak oszalałe i był gotowy wyrzucić szkła z oczu, gdyby tylko ból powrócił. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, przypomniał sobie jedyny horror, który go naprawdę przeraził. Być może stało się tak dlatego, że jako dzieciak bardzo przejmował się okularami i dużo czasu poświęcał na myślenie o swoich oczach. Film nosił tytuł *The Crawling Eye* (Pełzające oko) i grał w nim Forrest Tucker. Nie był dobry. Inne dzieciaki, oglądając go, zaśmiewały się do rozpuku, ale Richie nawet się nie uśmiechnął. Pobladły i skostniały z przerażenia siedział nieruchomo w fotelu, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Patrzył jak zahipnotyzowany na

ekran, gdzie żelatynowate, zaopatrzone w macki oko wyłaniało się z mgły (tak typowej w ówczesnych angielskich produkcjach), wymachując przed sobą włóknistymi wypustkami.

To oko było naprawdę straszne – stanowiło ucieleśnienie setek jego nie do końca spełnionych obaw i niepokojów. Którejś nocy, niedługo potem, śniło mu się, że patrzy na siebie w lustrze i unosi w dłoni długą szpilkę, a potem wbija ją wolno w czarną tęczówkę; czuje odrętwienie i wilgoć, podczas gdy dolna część jego oka zaczyna wypełniać się krwią. Przypomniał sobie – dopiero teraz – że wtedy zmoczył się w łóżko. Najlepszym wskaźnikiem tego, jak okropny miał sen, niechaj będzie fakt, że pierwszym uczuciem towarzyszącym stwierdzeniu jego nocnej niedyspozycji było nie zawstydzenie, lecz ulga; zwinął się w kłębek wokół ciepłej, wilgotnej plamy na prześcieradle i głęboko w duszy cieszył się z realności tego widoku.

– Pieprzyć to – mruknął Richie Tozier niezbyt pewnym głosem i zaczął się podnosić. Wróci do Derry Town House i zdrzemnie się trochę. Jeżeli to miała być jego Ścieżka Wspomnień, to wolał autostradę w Los Angeles w godzinie szczytu. Ból w oczach był z całą pewnością objawem

przemęczenia i znużenia oraz stresu wynikającego ze spotkania całej ich grupy jednego popołudnia. Dość szoku. Dość badań. Nie podobał mu się sposób, w jaki przeskakiwał w myślach z jednego tematu na drugi. Jak to leciało w piosence Petera Gabriela? „Zaaplikuj wstrząsy małpie”? Cóż, ta małpa otrzymała już swoją porcję wstrząsów. Nadszedł czas, aby się trochę zdrzemnąć i może pomyśleć o przyszłości. Zastanawiał się nad swoimi perspektywami. Kiedy wstał, ponownie rzucił okiem na tablicę reklamową przed City Center. Nagle jego nogi stały się miękkie i z powrotem usiadł. Ciężko.

RICHIE TOZIER – CZŁOWIEK TYSIĄCA GŁOSÓW
WRACA DO DERRY – KRAINY TYSIĄCA TAŃCÓW.

ZASZCZYCONE POWROTEM
„NIEWYPARZONEJ GĘBY” CITY CENTER
Z DUMĄ PRZEDSTAWIA
PROGRAM RICHIEGO TOZIERA
SHOW TYCH, KTÓRZY ODESZLI:

BUDDY HOLLY, RICHIE VALENS, BIG BOPPER,
FRANKIE LYMON, GENE VINCENT, MARVIN GAYE
ORAZ ZESPÓŁ:

JIMI HENDRIX – GITARA PROWADZĄCA
JOHN LENNON – GITARA RYTMICZNA
PHIL LYNOTT – GITARA BASOWA
KEITH MOON – PERKUSJA

GOŚCINNIE WOKAL – JIM MORRISON

WITAJ W DOMU, RICHIE!
TY TEŻ JUŻ NIE ŻYJESZ!

Czuł się, jakby ktoś wyssał z niego całe powietrze… a wtedy znów usłyszał ten dźwięk – odgłos, który był na poły naciskiem na skórę i bębenki, na poły zaś zabójczym szeptem. Stoczył się z ławki na żwir, myśląc: To jest to, co określa się jako déjà vu, teraz już wiesz i nigdy nie będziesz musiał nikogo pytać.

Rąbnął ramieniem w ziemię i przetoczył się, unosząc wzrok w stronę pomnika Paula Bunyana – tyle że to już nie był Bunyan. Jego miejsce zajął klown, świecący i wyraźny, fantastycznie wytopiony z plastiku, pod szyją miał olbrzymią zabawną kryzę. Plastikowe pompony, wielkie jak piłki do koszykówki, zdobiły przód jego kostiumu. Zamiast siekiery trzymał w dłoni pęk plastikowych balonów. Na każdym z nich widniały dwa napisy: DLA MNIE TO NADAL

ROCK AND ROLL I PROGRAM RICHIEGO TOZIERA – SHOW TYCH, KTÓRZY ODESZLI. Zaczął cofać się, odpychając się dłońmi i piętami. Żwir dostał mu się do spodni. Usłyszał trzask pękającego szwu pod pachą drogiej marynarki. Ponownie się przetoczył, wstał, zachwiał się i obejrzał za siebie. Klown patrzył na niego. Wilgotne oczy Tego wywracały się w oczodołach.

– Przestraszyłem cię, stary? – zaburczało To.

I Richie usłyszał swój głos dobywający się z ust bez udziału mózgu, który wydawał się zamrożony.

– Tanie sztuczki, Bozo. To wszystko.

Klown uśmiechnął się i skinął głową, jakby dokładnie tego się spodziewał. Pomalowane na czerwono usta rozchyliły się, ukazując zęby przypominające kły ostre niczym brzytwy.

– Gdybym chciał cię teraz dostać, zrobiłbym to bez najmniejszego trudu – powiedziało To. – Ale to byłoby nazbyt zabawne.

– Rozśmieszasz mnie do łez – ciągnął Richie. – A najzabawniejsze będzie, jak złożymy ci całą grupą niezapowiedzianą wizytę i rozpieprzymy twój łeb, dziecino.

Uśmiech klowna rozszerzał się coraz bardziej. To uniosło jedną rękę w białej rękawicy i Richie poczuł, jak powstały przy tym podmuch odgarnął

mu włosy z czoła – dokładnie tak samo jak dwadzieścia siedem lat temu. Klown wymierzył w jego stronę palec wskazujący. Był wielki jak belka.

Wielki jak bel… – pomyślał Richie i nagle ból powrócił. Miał wrażenie, jakby zardzewiałe długie szpikulce wbijały się w miękką galaretę jego oczu. Krzyknął i zakrył je dłońmi.

– Zanim zaczniesz wyjmować źdźbło z oka sąsiada twego, zauważ belkę tkwiącą w twoim – zaintonował klown, przy czym słowa grzmiały i wibrowały w powietrzu, a Richie ponownie poczuł na twarzy słodkawy odór zgnilizny z jego oddechu. Uniósł wzrok i cofnął się pospiesznie kilka kroków. Klown pochylił się, opierając dłonie na ukrytych pod workowatymi spodniami kolanach.

– Chcesz jeszcze, Richie? A co byś powiedział, gdybym wskazał na twego małego i zaraził cię rakiem prostaty? Mógłbym również obdarować cię dobrym, starym rakiem mózgu, choć niektórzy powiedzieliby zapewne, że po prostu dodaję trochę więcej tego, co już się tam znajduje. Mogę wymierzyć palec w twoje usta i twój niewyparzony język zacznie ociekać ropą i śluzem. Chciałbyś to zobaczyć, Richie? Mogę to dla ciebie zrobić.

Oczy Tego rozszerzały się, rozszerzały coraz bardziej i w tych czarnych źrenicach, wielkich jak piłki do softballu, Richie dostrzegł szaloną ciemność, która musiała istnieć gdzieś hen na krańcach wszechświata; dostrzegł wariackie zadowolenie, które – czego był pewny – mogło przyprawić go o utratę zmysłów. I właśnie w tej chwili zrozumiał, że To mogło spełnić swoje groźby, a nawet posunąć się dużo dalej. Ponownie miał wrażenie, że jego usta zaczynają się otwierać, ale tym razem nie był to jego głos ani żaden ze stworzonych przez niego w przeszłości czy obecnie; był to głos, którego nigdy dotąd nie słyszał. Później, z pewnym wahaniem, powie pozostałym, że przypominał on nieco głos czarnucha Jiveassa – był donośny i dumny, przepełniony odrobiną autoparodii i mocno ochrypły.

– Zejdź ze mnie, ty wielki gupi klownie! – wrzasnął i nagle znów zaczął się śmiać. – Odwal się. Chodze, stoje, siedze, śpie i ciebie nie boje sie. Życie ułożone mam i nie pieprzysz mie sie tam! Słyszysz mnie, ty malowany błaźnie?

Richie miał wrażenie, że klown cofnął się gwałtownie, ale nie obejrzał się za siebie, aby to sprawdzić. Biegł – jego łokcie pracowały niczym tłoki, a poły marynarki trzepotały za nim na

wietrze; nie obchodziło go, że nieopodal zatrzymał się właśnie jakiś facet z małym dzieckiem i przyglądał mu się podejrzliwie, jakby uważał go za wariata.

Prawdę mówiąc, ludziska, pomyślał Richie, czuję się, jakbym tracił zmysły. O Boże, to straszne. Fakt, że się nie popisałem, ale chyba jakoś zadziałało, jakoś…

I nagle z tyłu dobiegł go grzmiący głos klowna. Ojciec małego chłopca, rzecz jasna, go nie usłyszał, ale twarz brzdąca wykrzywiła się nagle i malec zaczął płakać. Ojciec podniósł dziecko i przytulił je do piersi zakłopotany. Pomimo swego własnego koszmaru Richie uważnie przyglądał się temu zdarzeniu. Głos klowna był, być może, wściekle wesoły, a może tylko wściekły.

– Mamy tu na dole oko, Richie… słyszysz? To, które pełza. Jeżeli nie chcesz pływać, nie musisz, po prostu przyjdź tu i przywitaj się z tym wielkim okiem. Możesz to zrobić, kiedy tylko zechcesz. Słyszysz mnie, Richie? Przynieś swoje jo-jo. A Beverly niech włoży obszerną spódnicę z czterema albo nawet pięcioma halkami pod spodem. Powiedz, żeby zawiesiła sobie na szyi obrączkę ślubną. A Eddie niech włoży białe

tenisówki! Zagramy sobie parę fajnych kawałków, Richie! Same przeboje!

Dotarłszy do chodnika, Richie odważył się obejrzeć przez ramię i to, co zobaczył, bynajmniej nie było pocieszające. Paula Bunyana nadal nie było – podobnie jak klowna. Na cokole stał dwudziestostopowy, plastikowy posąg Buddy'ego Holly'ego. W klapie kraciastej sportowej marynarki nosił znaczek z napisem: PROGRAM RICHIEGO TOZIERA – SHOW TYCH, KTÓRZY ODESZLI.

Jeden z łuków okularów Buddy'ego był sklejony kawałkiem przylepca. Mały chłopiec nadal płakał histerycznie. Jego ojciec, ze szlochającym malcem na rękach, ruszył szybkim krokiem w stronę śródmieścia. Obszedł Richiego szerokim łukiem. Richie zaczął iść (żeby tylko nogi mnie nie zawiodły), próbując nie myśleć o tym („zagramy same przeboje!"), co się przed chwilą wydarzyło. Chciał myśleć tylko o potężnej dawce szkockiej, jaką łyknie w hotelowym barze, zanim uda się do swego pokoju, żeby się trochę zdrzemnąć.

Myśl o drinku, zwykłej whisky, niczym szczególnym, sprawiła, że poczuł się nieco lepiej. Jeszcze raz obejrzał się przez ramię i kiedy ponownie zobaczył na cokole Paula Bunyana

z siekierą na ramieniu, wpatrującego się z uśmiechem w niebo, jego nastrój jeszcze się poprawił. Richie przyspieszył kroku, uciekał, starając się jak najszybciej powiększyć dystans dzielący go od pomnika. Przez chwilę próbował sobie wmówić, że to wszystko było jedynie złudzeniem, ale wówczas wrócił przenikliwy i potworny ból oczu, który sprawił, że z ust Richiego dobył się ochrypły okrzyk.

Niebrzydka młoda dziewczyna, która szła przed nim, przyglądając się płynącym po niebie chmurom, obejrzała się w jego stronę, zawahała, a potem podeszła do niego.

– Nic panu nie jest?

– Moje szkła kontaktowe! – jęknął. – Te cholerne szkła… O Boże, jak to boli! – Tym razem uniósł palce wskazujące tak szybko, że mało brakowało, a wbiłby je sobie w oczy. Odciągnął dolne powieki i pomyślał: Nie uda mi się ich wyjąć, oto, co się stanie. Nie uda mi się ich wyjąć, a ten ból będzie mnie dręczył i dręczył, aż oślepnę, oślepnę, oślep…

Ale okazało się, że wystarczyło jedno mrugnięcie – tak jak zawsze. Ostry i wyraźny świat, gdzie kolory pozostawały w obrębie konturów, a oglądane tarcze miały wyraziste rysy, po prostu się rozpłynął. Ich miejsce zajęła

paleta różnokolorowych plam. I chociaż on i licealistka, która starała się mu pomóc i wyraźnie przejmowała się jego kłopotami, przeszukiwali chodnik przez blisko piętnaście minut, nie udało im się znaleźć nawet jednego szkła. Richie miał wrażenie, że gdzieś głęboko pod czaszką usłyszał śmiech klowna.

5

Bill Denbrough widzi ducha

Tego popołudnia Bill Denbrough nie zobaczył Pennywise'a, ale ujrzał ducha. Prawdziwego ducha. Bill był o tym święcie przekonany i nic nie mogło go skłonić do zmiany zdania.

Szedł wzdłuż Witcham Street i na chwilę przystanął przy kanale, gdzie owego deszczowego październikowego dnia 1957 roku George'a spotkał ponury koniec. Przykucnął i zajrzał do otworu kanału wyciętego w krawężniku. Jego serce waliło mocniej niż zwykle, ale mimo to zajrzał do środka.

– Wyłaź, czemu stamtąd nie wyjdziesz – rzekł cicho i pomyślał nie bez racji, że jego głos popłynął pośród mrocznych i ociekających wodą przejść i bynajmniej nie uciekł, ale sunął

naprzód, coraz dalej i dalej, karmiąc się własnym echem i odbijając się od pokrytych mchem ścian i części dawno nieczynnej maszynerii. Czuł, jak przemyka ponad mętnymi i nieruchomymi wodami, i kto wie, być może w tej samej chwili wypływa w postaci szeptu ze stu otworów odpływowych kanału w różnych częściach miasta. – Wyjdź stamtąd, bo jak nie, to my się do ciebie pofatygujemy i cię d-dostaniemy.

Czekał nerwowo na odpowiedź, kucając z rękoma pomiędzy udami jak łapacz w przerwach między rzutami. Odpowiedzi nie było. Już miał wstać, gdy nagle padł na niego cień. Bill odwrócił się gwałtownie i uniósł wzrok, w duchu przygotowując się na wszystko… ale okazało się, że to tylko dzieciak. Miał dziesięć, może jedenaście lat. Nosił wyblakłe spodenki skautowskie, sięgające mu prawie do obdrapanych kolan. W jednej ręce trzymał lody, a w drugiej deskorolkę z włókna szklanego, niemal tak samo poobijaną jak jego kolana. Lody były jaskrawopomarańczowe. Deska jaskrawozielona.

– Zawsze gada pan do kanałów? – spytał chłopak.

– Tylko w Derry – odparł Bill.

Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem, a potem jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

– Chciałbym ci zadać głupie pytanie – rzekł Bill.

– W porządku.

– Czy s-słyszałeś tu k-k-kiedyś jakieś głosy?

Dzieciak spojrzał na Billa jak na wariata.

– D-dobra – rzekł Bill – zapomnij, że p-pytałem.

Ruszył w stronę szczytu wzgórza i przeszedł mniej więcej dwanaście kroków – zamierzając stamtąd rzucić okiem na swój stary dom – kiedy dzieciak zawołał:

– Ej, panie!

Bill się odwrócił. Trzymał przewieszoną przez ramię marynarkę za uszko wieszaka, guzik koszuli pod szyją miał rozpięty, krawat poluzowany. Chłopiec przyglądał mu się z uwagą, jakby pożałował swoich słów. I nagle wzruszył ramionami, jakby mówił: „eee, a co mi tam”.

– Tak.

– Tak?

– Tak.

– Co powiedziało?

– Nie wiem. To mówiło w jakimś obcym języku. Słyszałem to przy jednej z tych stacji

pompujących w Barrens. Przy jednej z tych stacji, które wyglądają jak rury wychodzące z ziemi…

– Wiem, co masz na myśli. Słyszałeś jakiegoś dzieciaka?

– Na początku był to dzieciak, a potem głos dorosłego faceta. – Chłopiec przerwał. – Byłem trochę przestraszony. Pobiegłem do domu i powiedziałem o tym ojcu. Powiedział, że to może jakieś echo albo coś w tym rodzaju, które przeszło rurami z czyjegoś domu.

– Wierzysz w to?

Chłopak uśmiechnął się czarująco.

– W *Ripley's Believe It or Not* czytałem kiedyś o facecie, który odbierał muzykę przez zęby. Muzykę z radia. Plomby w jego zębach działały jak małe radyjka. I myślę, że skoro w to uwierzyłem, to mogę uwierzyć we wszystko.

– Aha – mruknął Bill. – Ale czy rzeczywiście w to wierzysz?

Chłopak z pewnym wahaniem pokręcił głową.

– Czy słyszałeś jeszcze kiedyś te głosy?

– Raz, kiedy się kąpałem – powiedział chłopiec. – To był głos dziewczynki. Płakała. Nie mówiła ani słowa. Kiedy już się wykąpałem, bałem się wyciągnąć korek, żeby, no, wie pan, się nie utopiła.

Bill ponownie skinął głową. Dzieciak patrzył teraz na Billa z pełną otwartością, a jego oczy były lśniące i przepełnione fascynacją.

– Wie pan o tych głosach?

– Słyszałem je – rzekł Bill – dawno, bardzo dawno temu. Słyszałeś o dzieciakach, które zostały tu z-zamordowane?

Lśniący poblask znikł z oczu chłopca. Zastąpiły go ostrożność i niepewność.

– Mój tata mówi, że nie powinienem rozmawiać z nieznajomymi. Mówi, że każdy może być tym zabójcą. – Cofnął się jeszcze o krok, powiększając dystans pomiędzy sobą a Billem, kryjąc się w cieniu wiązu, na którego pień Bill wjechał dwadzieścia siedem lat temu swoim rowerem. Przewrócił się i kierownica roweru się wygięła.

– Nie ja, chłopcze – powiedział. – Przez ostatnie cztery miesiące przebywałem w Anglii. Dopiero wczoraj przyjechałem do Derry.

– Mimo to nadal nie muszę z panem rozmawiać.

– Owszem – przyznał Bill. – To w-w-wolny kraj.

Dzieciak milczał chwilę, a potem powiedział:

– Kumplowałem się przez jakiś czas z Johnem Feurym. To był dobry chłopak. Płakałem – dodał

rzeczowo i skończył jeść lody. Potem, jakby po namyśle, wysunął język, który był teraz jasnopomarańczowy, i cmoknął głośno.

– Trzymaj się z dala od kanału i studzienek – powiedział cicho Bill. – Trzymaj się z dala od pustych i wyludnionych miejsc. Nie zbliżaj się do torowiska. Przede wszystkim jednak nie zbliżaj się do kanałów i studzienek.

Poblask powrócił do oczu chłopca. Dzieciak milczał przez dłuższą chwilę, a potem rzekł:

– Proszę pana, chce pan usłyszeć coś zabawnego?

– Jasne.

– Zna pan ten film o rekinie, który zżera ludzi?

– *Szczęki!* Wszyscy z-z-znają.

– Wie pan, mam kumpla, nazywa się Tommy Vicananza i nie jest zbyt bystry. Przygłupi. Wie pan, o co mi chodzi?

– Tak.

– Wydaje mu się, że widział tego rekina w kanale. Parę tygodni temu wybrał się sam do Bassey Park i powiedział, że zobaczył tę płetwę. Mówi, że miała osiem, dziewięć stóp wysokości. Sama płetwa, rozumie pan? Mówi: „To zabiło Johnny'ego i inne dzieciaki. To Szczęki, wiem, bo widziałem". Ja mu na to: „Kanał jest tak

zanieczyszczony, że nawet płotka by w nim nie przeżyła. A ty twierdzisz, że tam żyje rekin. Jesteś przygłup, Tommy". On mówił, że ten rekin podpłynął i wynurzył się z wody tak jak na końcu tego filmu i chciał go pożreć, ale on zdołał się w porę odsunąć. Zabawne, co nie?

– Bardzo – przyznał Bill.

– Przygłup, nie?

Bill się zawahał.

– Trzymaj się też z dala od kanału, kapujesz?

– A więc pan w to wierzy?

Bill się zawahał. Chciał wzruszyć ramionami, ale tylko pokiwał głową.

Dzieciak ze świstem, przeciągle wypuścił powietrze. Spuścił głowę, jakby czuł się zawstydzony.

– Tak czasami myślę, że to ja jestem głupi.

– Wiem, o co ci chodzi. – Bill podszedł do chłopca, który uniósł wzrok, by na niego spojrzeć, ale tym razem się nie wycofał. – Rozwalisz sobie do reszty kolana na tej desce, synku.

Dzieciak spojrzał na swoje poobijane kolana i się uśmiechnął.

– Tak. Chyba tak. Czasami się wywalam.

– Mogę spróbować? – zapytał Bill.

Dzieciak wpierw spojrzał na niego z rozdziawionymi ustami, a potem wybuchnął śmiechem.

– To by było zabawne – powiedział. – Nigdy nie widziałem dorosłego na desce.

– Dam ci ćwiartkę – rzucił Bill.

– Mój tata powiedział…

– Nigdy nie bierz pieniędzy ani słodyczy od obcych. Dobra rada. Mimo to nadal oferuję c-ci ćwiartkę. Co ty na to? Tylko stąd do rogu Jackson Street.

– Daj pan spokój z tą ćwiartką – rzekł chłopak. Ponownie się roześmiał. Był to świeży, ożywczy, nieskrępowany dźwięk. – Nie potrzebuję pana forsy. Mam dwa dolce. Praktycznie jestem bogaty. Po prostu chcę to zobaczyć. Tylko jeśli pan coś sobie zrobi, to nie będzie moja wina.

– Nie martw się – mruknął Bill – jestem ubezpieczony.

Obrócił palcem jedno z kółek deski; podobało mu się, jak łatwo się kręciło – zupełnie jakby w środku znajdowały się miliony łożysk kulkowych. To był dobry dźwięk. Spowodował, że w piersi Billa obudziło się jakieś stare uczucie. Pragnienie równie gorące jak tęsknota i cudowne jak miłość. Uśmiechnął się.

– I co pan myśli? – spytał dzieciak.

– Myślę, że się zabiję – rzekł Bill, a dzieciak wybuchnął śmiechem. Bill postawił deskę na chodniku i stanął na niej jedną nogą. Na próbę przesunął deskę w przód i w tył. Dzieciak patrzył. Bill oczyma duszy zobaczył siebie sunącego w dół Witcham Street, w stronę Jackson, na jaskrawozielonej desce, z połami marynarki unoszącymi się za nim na wietrze, błyszczącą w promieniach słońca łysiną i mocno ugiętymi w kolanach nogami. Była to postawa, która mówiła, że w głębi serca czujesz się tak, jakbyś już się wyłożył. Założył się, że dzieciak nie jeździł w ten sposób. Przypuszczał, że dzieciak jeździł, jakby miało nie być jutra.

Przyjemne uczucie w jego piersi wygasło. Aż nazbyt wyraźnie zobaczył deskę wylatującą mu spod nóg i mknącą jak strzała w dół ulicy; jaskrawozieloną deskę – tak, tylko dzieciakowi mógł się spodobać taki kolor. Zobaczył samego siebie lądującego na tyłku, a może nawet na plecach. Obraz zmienił się i Bill ujrzał pokój w szpitalu w Derry – jedynkę identyczną z tą, w której leżał Eddie, gdy złamał rękę. Bill Denbrough leży na łóżku, cały w gipsowym pancerzu, z jedną nogą na wyciągu. Wchodzi lekarz, patrzy na jego kartę, na niego, a potem mówi: „Popełnił pan dwa podstawowe błędy,

panie Denbrough. Po pierwsze, nie potrafi pan jeździć na deskorolce. Po drugie, zapomniał pan, że zbliża się pan do czterdziestki”.

Pochylił się, podniósł deskę i podał ją dzieciakowi.

– Chyba zrezygnuję – oznajmił.

– Kurczak[8] – rzucił dzieciak bynajmniej nie przyjaznym tonem.

Bill ugiął ręce w łokciach, przyłożył zaciśnięte dłonie do boków pod pachami i wykonał kilka trzepoczących ruchów, mówiąc:

– Ko, ko, ko.

Dzieciak się roześmiał.

– Muszę już iść do domu.

– Uważaj z tym – rzekł Bill.

– Na deskorolce nie można być ostrożnym – odparł chłopak, patrząc na Billa jak na wariata.

– To prawda. Dobra. Jak mawiamy w przemyśle filmowym, słyszę cię. Ale trzymaj się z dala od kanałów i studzienek. I zawsze przebywaj z przyjaciółmi.

Dzieciak pokiwał głową.

– Mam blisko do domu.

Tak jak mój brat, pomyślał Bill, a głośno powiedział:

– To i tak już niebawem się skończy.

– Naprawdę? – spytał dzieciak.

– Tak sądzę – rzekł Bill.

– Dobra. To na razie… kurczaku.

Dzieciak postawił jedną nogę na desce, a drugą odepchnął się mocno. Kiedy tylko deska ruszyła, postawił na niej także drugą nogę i pomknął jak strzała w dół ulicy. Ten zjazd wydawał się Billowi iście samobójczy. Dzieciak, zgodnie z przypuszczeniami Billa, zjeżdżał z pełną wdzięku leniwą nonszalancją. Bill polubił tego chłopca, cieszył się i pragnął być teraz małym chłopcem, ale uczucie to dławił potworny strach. Chłopak jechał tak, jakby śmierć czy starość w ogóle nie istniały. Wydawał się dziwnie wieczny i nietykalny w swoich krótkich spodenkach khaki i zdeptanych tenisówkach, z których wystawały gołe, brudne kostki, a wiatr rozwiewał mu włosy. Uważaj, dzieciaku, nie wyrobisz się na zakręcie! – pomyślał z trwogą Bill, ale dzieciak skręcił biodra w lewo, jak spec od breakdance, i zmienił ułożenie stóp na desce, a potem bez większych trudności pokonał ostry zakręt i wjechał w Jackson Street, zupełnie jakby nie sądził, że ktokolwiek mógłby znaleźć się na jego drodze.

Oj, dzieciaku, pomyślał Bill, nie zawsze tak będzie.

Przeszedł obok swego starego domu, ale nawet się nie zatrzymał. Po prostu nieznacznie zwolnił kroku. Na trawniku było kilkoro ludzi – matka ze śpiącym dzieckiem na ręku, siedząca w trzcinowym fotelu, przyglądała się dwójce dzieci grającej w badmintona. Trawa wciąż jeszcze była mokra od deszczu. Młodsze z dwojga dzieci, chłopiec, przerzuciło lotkę nad siatką, a kobieta zawołała:

– Świetnie, Sean!

Dom był tak jak przed laty ciemnozielony, a nad drzwiami widniał półkolisty świetlik, ale po kwietnikach jego matki nie było śladu. Podobnie jak po „małpim gaju", który ojciec zbudował z rur na trawniku za domem. Pamiętał, jak któregoś dnia George spadł z górnej belki i ukruszył sobie ząb. Ale on wtedy się darł!

Patrząc na to wszystko (tak jak to widział teraz i w przeszłości), zastanawiał się, czy nie podejść do kobiety trzymającej na ręku śpiące dziecko. Pomyślał, że powie: „Dzień dobry, nazywam się Bill Denbrough. Mieszkałem tu kiedyś". A kobieta odpowie: „To miło". Co innego mogłaby powiedzieć? Miałby zapytać ją, czy na jednej z belek na poddaszu wciąż jeszcze widnieje wyrzeźbiona przez niego głowa, do której rzucali czasem z George'em lotkami?

A może spytać, czy jej dzieciaki sypiają w gorące noce na werandzie na tyłach domu i gdy nadchodzi burza, patrzą na tańczące po niebie błyskawice i rozmawiają między sobą półgłosem?

Mógłby ją o to zapytać, ale czuł, że prawdopodobnie byłby spięty i zacząłby się diabelnie jąkać… a poza tym, czy naprawdę aż tak bardzo mu na tym zależało? Czy chciał usłyszeć odpowiedź na te pytania? Po śmierci George'a ten dom stał się bardzo zimny i czuł, że cel jego powtórnej wizyty w Derry znajdował się zupełnie gdzie indziej. Toteż dotarł do skrzyżowania i skręcił w prawo, nie oglądając się za siebie. Niebawem znalazł się na Kansas Street i zmierzał w stronę śródmieścia. Zatrzymał się na chwilę przy ogrodzeniu biegnącym wzdłuż chodnika i spojrzał w dół, na Barrens. Ogrodzenie było to samo – białe rozklekotane deski pokryte łuszczącą się farbą. Barrens również wyglądało tak jak kiedyś… może tylko bardziej zarosło. Jedyną różnicą, jaką zauważył, był brak brudnej smugi dymu unoszącej się zwykle nad miejskim wysypiskiem śmieci (na miejscu, gdzie niegdyś znajdował się dół, wybudowano nowoczesny zakład niszczenia odpadów), a przez środek skłębionej zieleni

biegła teraz długa asfaltowa odnoga – przedłużenie rogatki. Wszystko inne wyglądało prawie tak samo i Bill miał wrażenie, jakby od dnia jego wyjazdu z Derry minął zaledwie rok – po lewej stronie zbocza porośniętego chwastami i krzewami, u jego podnóża rozciągały się posępne bagna, po prawej zaś teren porośnięty był niskimi, pokrzywionymi drzewami. Widział wyraźnie kępę wysokich na dwanaście, czternaście stóp srebrzystobiałych łodyg, które przed laty nazywali bambusami. Przypomniał sobie, że Richie próbował je kiedyś palić, mówił, że to samo palą muzycy jazzowi i są wtedy na haju. Jednak Richie tylko się po tym porzygał.

Bill słyszał cichy szelest płynących w dole strumyków i widział promienie słońca odbijające się oślepiającymi refleksami od powierzchni Kenduskeag. I woń była ta sama, pomimo że dół na śmieci przestał już istnieć. Silny zapach bujnej roślinności nie mógł ukryć ostrego odoru odpadów i nieczystości. Był słaby, ale wyczuwalny. Woń rozkładu. Woń tego, co znajdowało się wewnątrz. Woń kanałów.

Właśnie tam to się skończyło przed laty i tam zakończy się tym razem, pomyślał Bill, dygocząc. Tam… pod miastem.

Stał przy ogrodzeniu jeszcze przez dłuższą chwilę, przekonany, że musi coś zobaczyć – jakąś manifestację zła, z którym miał stoczyć walkę. Po to wszak przybył do Derry. Nic się jednak nie stało. Słyszał szmer płynącej wody i odgłos ten przypomniał mu o tamie, którą kiedyś zbudowali. Widział drzewa i krzewy – wiatr poruszał łagodnie ich gałęziami. Nie było nic więcej. Ani śladu Tego. Ruszył dalej, otrzepując biały pył z farby, jaki osiadł mu na dłoniach.

Zmierzał w stronę śródmieścia, na poły wspominając, na poły pogrążając się w marzeniach, i nagle napotkał drugie dziecko – tym razem małą, mniej więcej dziesięcioletnią dziewczynkę w sztruksowych spodniach i wyblakłej czerwonej bluzce. Jedną ręką kozłowała piłkę, a drugą trzymała za blond włosy małą laleczkę.

– Cześć – powiedział Bill.

Uniosła wzrok.

– Co?

– Jaki jest najlepszy sklep w Derry?

Zamyśliła się.

– Według mnie czy innych?

– Według ciebie – powiedział Bill.

– Używana Róża, Używane Rzeczy – odparła praktycznie bez wahania.

– Że co, proszę? – zapytał Bill.

– Co pan prosi?

– Tak się nazywa ten sklep?

– Jasne – odparła, patrząc na Billa jak na przygłupa. – Używana Róża, Używane Rzeczy. Moja mama mówi, że tam sprzedają chłam, ale mnie się podoba. Mają masę staroci. Płyty, o których nigdy nie słyszałeś. I pocztówki. Pachnie tam jak na poddaszu. No, ale muszę już lecieć. Na razie. – Odeszła, nie oglądając się, kozłując piłkę i trzymając za włosy laleczkę.

– Ej! – zawołał ją.

Odwróciła się kapryśnie.

– Co tam znowu?

– Sklep. Gdzie on się mieści?

– Pan idzie dalej w tę stronę. To po drugiej stronie Milowego Wzgórza – rzuciła przez ramię.

Bill poczuł nagle, jak ogarnia go zasłona przeszłości. Miał wrażenie, jakby spowiła go od stóp do głów. Nie chciał o nic pytać tej małej dziewczynki. Pytanie wyskoczyło z jego ust jak korek z butelki szampana.

Zszedł w dół Milowego Wzgórza w stronę śródmieścia. Magazyny i przetwórnie, które pamiętał z dzieciństwa – posępne ceglane budynki o brudnych oknach, z których buchała ostra woń mięsa – przeważnie już nie istniały,

choć budynki Armour i zakłady przetwórstwa mięsnego Star Beef nadal jeszcze tu stały. Po Hemphillu nie było już śladu – znajdował się tam pawilon bankowy dla zmotoryzowanych, a na miejscu, gdzie kiedyś stały Eagle Beef i Mięsa Koszerne, wybudowano piekarnię. Na budynku Annekksu braci Tracker widniał szyld z wykonanym staromodnymi literami napisem: „Używana Róża, Używane Rzeczy". Czerwoną cegłę pomalowano na żółto, być może dziesięć, dwanaście lat temu budynek był kanarkowożółty, ale teraz farba przybrała kolor, który Audra określała jako urynowy.

Bill zbliżył się powoli do budowli, czując, że ponownie ogarnia go wrażenie déjà vu. Później powie innym, że zanim jeszcze spostrzegł tego ducha, w głębi duszy spodziewał się, co zobaczy.

Okno wystawowe sklepu było bardziej niż zakurzone – po prostu brudne. Nie był to typowy, dobrze prosperujący sklep z antykami, w którym oferowano niewielkie podstawki, szafki Hoosiera i zestawy wyrobów szklanych z okresu wielkiego kryzysu, przy czym każdy z eksponatów oświetlony był przez przemyślnie wkomponowaną w wystawę żarówkę. Ten sklep przypominał raczej lombard. Rzeczy, które się tu znajdowały, były poukładane chaotycznie, bez

koncepcji. Ubrania wisiały na wieszakach. Gitary z żyłkami na gryfach kojarzyły się z wisielcami. W kącie stało pudło z płytami na czterdzieści pięć obrotów. „Dziesięć centów sztuka”, brzmiał napis. „Dwanaście za dolara”. Siostry Andrews, Perry Como, Jimmy Rogers i inni. Były tu różne rzeczy dla dzieciaków i okropne z wyglądu buty z małą karteczką: „Używane, ale niezłe – para za dolara”. Stały tu dwa odbiorniki telewizyjne, które najwyraźniej nie działały. Na ekranie trzeciego, wystawionego w stronę ulicy, można było obejrzeć (choć obraz był diablo rozmazany) *Brady Bunch*. Pudło starych książek w miękkich oprawach, w większości bez okładek (dwie za ćwiartkę, dziesięć za dolara, wiele atrakcyjnych tytułów), stało na olbrzymim radiu o brudnobiałej plastikowej obudowie i z pokrętłem jak budzik. W brudnych flakonach, na poobijanym, pożłobionym, zakurzonym stole stały pęki plastikowych kwiatów.

Wszystkie te przedmioty stanowiły chaotyczne tło dla rzeczy, którą Bill zauważył właściwie natychmiast. Stał, patrząc na to rozszerzonymi z niedowierzania oczyma. Gęsia skórka pokryła jego ciało. Czoło zrobiło mu się gorące, dłonie zlodowaciały i nagle odniósł wrażenie, że lada moment każda z klapek w jego

mózgu zostanie otwarta, a on przypomni sobie wszystko.

W oknie wystawowym po prawej stał Silver. Nadal brakowało w nim nóżki, a przednie i tylne błotniki pokryła rdza, ale nad kierownicą wciąż wznosiła się trąbka sygnałowa, choć jej gumowa gruszka była pokryta siateczką pęknięć. Sama trąbka, którą Bill zawsze starannie polerował, była zmatowiała i pokryta wgłębieniami. Płaski bagażnik, na którym często siadywał Richie, był wygięty i przytrzymywała go tylko jedna śruba. Siodełko zostało pokryte przez kogoś imitacją skóry tygrysa, ale materiał tak się wystrzępił i wyblakł, że z trudem można było na nim wyróżnić ciemniejsze pasy.

Silver. Bill mimowolnie uniósł rękę, by otrzeć łzy, które wolno ściekały mu po policzkach. Kiedy skorzystał z chusteczki, wszedł do sklepu.

We wnętrzu lombardu unosił się zapach wilgoci i starości. Tak jak powiedziała dziewczynka, przypominał on zapach poddasza. Ale nie był przyjemny. Nie była to przyjemna woń oleju z siemienia lnianego, którym przeciera się czule blaty stołów, czy zapach starego pluszu i aksamitu. W tym wnętrzu panował zapach gnijących okładek książek, brudnych winylowych siedzeń, które w minionych latach

zostały na wpół spalone bezlitosnymi promieniami słońca, kurzu i mysich odchodów.

Na ekranie telewizora Brady Bunch cmoknął i krzyknął. Konkurował z nim głos didżeja płynący z radia znajdującego się gdzieś wewnątrz sklepu. Facet ów, nazywający siebie „waszym kumplem, Bobbym Russellem", obiecywał nowy album Prince'a każdemu, kto poda nazwisko aktora grającego Wally'ego w *Leave It to Beaver*.

Bill wiedział, że to był Tony Dow, ale nie chciał dostać nowej płyty Prince'a. Radio stało na wysokiej półce pomiędzy kilkoma dziewiętnastowiecznymi portretami. Poniżej, nieco przed nim, siedział właściciel sklepu, facet około czterdziestki, w dżinsach i siatkowym podkoszulku. Przetłuszczone włosy miał zaczesane do tyłu i był chudy jak szczapa. Stopy opierał o biurko, na którym królowały stosy ksiąg i wielka staromodna kasa rejestrująca.

Czytał paperbackowe wydanie powieści, której, zdaniem Billa, nigdy by nie nominowano do Nagrody Pulitzera. Nosiła tytuł *Construction Site Studs*. Na podłodze przed biurkiem znajdował się słupek sprzed zakładu fryzjerskiego, który zdawał się pozbawiony końca. Jego poprzecierany sznur wił się po

podłodze w stronę ściennego kontaktu jak zmęczony wąż. Na kartce z przodu było napisane: „Wymierający gatunek – 250 $”.

Kiedy zadzwonił dzwonek nad drzwiami, mężczyzna za biurkiem zaznaczył stronę wieczkiem od pudełka zapałek i uniósł wzrok.

– Mogę w czymś pomóc?

– Tak – rzekł Bill i otworzył usta, chcąc zapytać o rower w oknie wystawowym. Jednak zanim zdążył coś powiedzieć, w jego myślach pojawiła się upiorna sentencja, słowa, które odegnały wszystkie inne myśli: *Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano*. Co na Boga? (*Obie ręce).*

– Chodzi panu o coś konkretnego? – spytał właściciel. Mówił w uprzejmy sposób, ale przyglądał się Billowi z uwagą.

Patrzy na mnie, pomyślał Bill zdenerwowany, ale rozbawiony. Pewno myśli, że zaćpałem, tak jak to robią ci muzycy jazzowi.

– Tak, i-interesuje mnie… (*oparłszy o poręcz drewnianą*) p-p-pręcz…

– Chodzi panu o słupek sprzed zakładu fryzjerskiego?

Zdenerwowany Bill dostrzegł w oczach właściciela sklepu coś, co przypominał sobie z dzieciństwa i czego nienawidził – strach

mężczyzny czy kobiety, którym przyszło słuchać jąkały, nagła chęć poderwania się i dokończenia myśli, zamknięcia jadaczki tego cholernego głupka. Ale ja się nie jąkam! Zwalczyłem to! Ja się nie jąkam, do cholery! Ja… (*rzekł z uporem*). Te słowa rozbrzmiewające w jego myślach były tak wyraźne, że mogło się wydawać, iż wypowiadał je ktoś inny – w czasach biblijnych można by go uznać za opętanego – człowieka nawiedzonego przez jakąś Obecność z Zewnątrz. Mimo to jednak rozpoznał ten głos – należał do niego. Poczuł na twarzy gorące krople potu.

– Mógłbym go… (*że ducha zobaczył dziś rano*) panu opchnąć – mówił właściciel. – Powiem panu prawdę. Nie mogę go sprzedać za dwie i pół paczki. Spuszczę do stu siedemdziesięciu pięciu, co pan na to? To jedyny prawdziwy antyk w całym sklepie.

– Słupek! – Bill niemalże ryknął i właściciel cofnął się nieznacznie. – Nie interesuje mnie żaden słupek.

– Dobrze się pan czuje, proszę pana? – spytał właściciel. Pełnemu troski głosowi mężczyzny zaprzeczała niezwykła ostrożność malująca się w jego oczach i Bill zobaczył, że jego lewa dłoń zsunęła się ze stołu. W przebłysku czegoś, co było bardziej racjonalne od intuicji, zdał sobie sprawę,

że w biurku tamtego, poniżej linii wzroku Billa, znajdowała się otwarta szuflada i właściciel właśnie w tej chwili zaciskał dłoń na kolbie pistoletu albo rewolweru. Być może obawiał się napadu. A najprawdopodobniej po prostu się niepokoił. Na pierwszy rzut oka widać było, że to gej, a przecież w tym mieście paru miejscowych młodych ludzi urządziło Adrianowi Mellonowi zabójczą kąpiel.

(*Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano*). To odganiało wszystkie myśli – miał wrażenie, jakby stracił zmysły. Skąd się to wzięło? (*Obie ręce oparłszy o*). Raz po raz to samo. Bez końca.

Bill zaatakował to z iście herkulesowym wysiłkiem. Uczynił to, zmuszając swój umysł, by przełożył tę sentencję na francuski. W ten sam sposób jako nastolatek uporał się z problemem jąkania. Kiedy słowa przemaszerowały przez jego myśli, zmienił je… i nagle poczuł, że przestaje się jąkać. Nagle zdał sobie sprawę, że właściciel mówi coś do niego.

– S-s-słucham?

– Powiedziałem, że jeśli chcesz pan walnąć se szprycę, to wyjdź pan na ulicę. Nie chcę tu żadnych kłopotów.

Bill wziął głęboki wdech.

– Zacznijmy jeszcze r-r-raz – powiedział. – Udawajmy, że dopiero co wszedłem.

– Dobra – zgodził się właściciel. – Wszedł pan. No i co?

– Ten r-rower w oknie – powiedział Bill. – Ile pan za niego chce?

– Wezmę dwie dychy. – Wyglądał teraz na bardziej uspokojonego, ale jego lewa ręka nadal była niewidoczna. – Myślę, że to był kiedyś schwinn, ale teraz to po prostu kupa złomu.

Zmierzył Billa wzrokiem.

– Wielki rower. Sam byś pan mógł na nim pojeździć.

Myśląc o zielonej desce małego chłopca, Bill odparł:

– Wydaje mi się, że te czasy mam już dawno za s-sobą.

Właściciel wzruszył ramionami. Jego lewa ręka ponownie pojawiła się na blacie.

– Ma pan chłopaka?

– T-tak.

– Ile ma lat?

– J-j-jedenaście.

– Duży rower jak dla jedenastolatka.

– Przyjmie pan zapłatę czekami podróżnymi?

– To zależy, ile pan zapłaci.

– Dam dwie dychy – powiedział Bill. – Mogę zadzwonić?

– Tak, jeśli to rozmowa miejscowa.

– Miejscowa.

– Proszę bardzo.

Bill zadzwonił do biblioteki. Mike był tam.

– Gdzie jesteś, Bill? – zapytał, a potem natychmiast dodał: – Nic ci nie jest?

– Nie. Wszystko w porządku. Wrócił już ktoś?

– Jeszcze nie. Spotkamy się wieczorem. – Nastała krótka cisza. – To znaczy tak przypuszczam. Co mogę dla ciebie zrobić, Wielki Billu?

– Kupuję rower – rzekł chłodnym tonem Bill. – Zastanawiam się, czy mógłbym go przyprowadzić do ciebie. Masz garaż… jakieś miejsce, gdzie mógłbym go wstawić?

Cisza.

– Mike? Czy…

– Jestem, jestem – rzekł Mike. – Czy to Silver?

Bill spojrzał na właściciela. Ponownie zagłębił się w lekturze… albo po prostu udawał, że czyta, i uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

– Tak – odparł.

– Gdzie jesteś?

– Nazywa się to Używana Róża, Używane Rzeczy.

– W porządku. Mieszkam przy Palmer Lane sześćdziesiąt jeden. Będziesz musiał przejść w górę Main Street…

– Znajdę.

– W porządku. Tam się spotkamy. Miałbyś ochotę na kolację?

– To byłoby miłe. Możesz się urwać?

– Bez problemu, Carole będzie mnie kryła. – Mike ponownie się zawahał. – Powiedziała, że godzinę przed moim powrotem do biblioteki był tu pewien facet. Gdy wychodził, wyglądał jak duch. Poprosiłem, żeby go opisała. To był Ben.

– Jesteś pewny?

– Tak. I ten rower. To również część tego, nieprawdaż?

– Nie ma się co dziwić – powiedział Bill, spoglądając na właściciela sklepu, który wyglądał na pochłoniętego lekturą.

– Zobaczymy się u mnie – rzekł Mike. – Numer sześćdziesiąt jeden. Nie zapomnij.

– Nie zapomnę. Dzięki, Mike.

– Niech cię Bóg błogosławi, Wielki Billu.

Bill odłożył słuchawkę. Właściciel natychmiast znowu zamknął książkę.

– I co, ma pan gdzie wstawić rower, przyjacielu?

– Tak. – Bill wyjął czeki podróżne i wypisał jeden na dwadzieścia dolarów.

Właściciel przyglądał się dwóm podpisom z przenikliwą uwagą, która w mniej drażliwych okolicznościach mogłaby wydać się Billowi obraźliwa. W końcu sporządził umowę sprzedaży i wrzucił czek do starej kasy. Wstał, oparł dłonie na plecach na wysokości krzyża i przeciągnął się, a potem przeszedł na front sklepu. Wymijał znajdujące się po drodze graty i prawie graty z obojętną delikatnością, która wydawała się Billowi fascynująca. Podniósł rower, obrócił go i przetoczył na skraj powierzchni wystawowej. Bill schwycił za kierownicę, aby mu pomóc, i kiedy to zrobił, przeszedł go kolejny dreszcz. Silver. Znowu. Oparł dłonie na Silverze i… (*Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano*) z wysiłkiem odegnał od siebie tę myśl, bo ona go osłabiała i sprawiała, że czuł się dziwnie.

– Tylko opona jest trochę sflaczała – rzekł właściciel. Prawdę mówiąc, była płaska jak naleśnik.

Przednia opona była napompowana, ale łysa jak kolano.

– Nie ma sprawy – powiedział Bill.

– Poradzi pan sobie?

(*Dotąd sobie radziłem, ale nie wiem, jak będzie teraz*).

– Chyba tak – rzekł Bill. – Dzięki.

– Jasne. I niech pan wróci, jak pan zmieni zdanie co do słupka.

Właściciel przytrzymał mu drzwi. Bill wyprowadził rower, skręcił w lewo i zaczął iść w stronę Main Street. Ludzie z rozbawieniem i zaciekawieniem spoglądali na łysego mężczyznę pchającego wielki rower z flakowatą tylną oponą i wielką trąbką sygnałową wystającą nad zardzewiałym koszem, ale Bill prawie ich nie zauważał. Nie mógł się nadziwić, że jego dorosłe dłonie nadal pasowały do gumowych karbowanych uchwytów na kierownicy; pamiętał, że zawsze chciał wcisnąć w te szczeliny mocno zawiązane kawałki różnokolorowych plastikowych pasków, żeby podczas jazdy trzepotały na wietrze. Nigdy jednak tego nie zrobił.

Zatrzymał się przy rogu Center i Main, przed wejściem do Mr Paperbacka. Oparł rower o budynek i zdjął marynarkę. Pchanie roweru z flakowatą oponą stanowiło ciężkie zadanie, a popołudnie było dość upalne. Wrzucił marynarkę do kosza roweru i ruszył w dalszą

drogę. Łańcuch jest zardzewiały, pomyślał. Ktokolwiek go miał, nie dbał o niego jak na… Zatrzymał się na chwilę i zasępił, próbując sobie przypomnieć, co się stało z Silverem? Czy go sprzedał? A może oddał? Albo zgubił? Nie wiedział. Natomiast uparcie powracała (*Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł…*) ta idiotyczna sekwencja równie obca i nie na miejscu, jak bujany fotel na polu bitwy, magnetofon w kominku albo rząd ołówków wystający z cementowego chodnika.

Bill potrząsnął głową. Słowa, wypowiadane w jego myślach, rozwiały się jak dym. Ponownie zaczął pchać Silvera w stronę domu Mike'a Hanlona.

6

Mike Hanlon znajduje związek

Najpierw jednak zrobił kolację – hamburgery z grzybkami sauté, cebulą i szpinakiem. Do tego czasu skończyli zajmować się Silverem i bardzo wygłodniali. Dom był mały, ale ładny, biały z zielonymi obramowaniami. Mike właśnie przyjechał, kiedy Bill dotoczył Silvera na Palmer Lane. Siedział za kierownicą starego forda

pokrytego rdzawymi plamami i z wybitą tylną szybą. Bill przypomniał sobie słowa Mike'a – sześciu członków Klubu Frajerów wyjechało z Derry i zmieniło swój status. Mike został tu i dla niego nic się nie zmieniło. Bill wtoczył Silvera do garażu, którego podłoże stanowiło oliwione klepisko, niemniej pomieszczenie było bardzo zadbane. Narzędzia wisiały na kołkach, a żarówki miały blaszane osłony i przypominały lampy zawieszone nad stołami bilardowymi.

Bill oparł rower o ścianę. Dwaj mężczyźni spojrzeli na niego, nie mówiąc ani słowa i trzymając ręce w kieszeniach.

– To na pewno Silver – odezwał się w końcu Mike. – Myślałem, że może się mylisz. Ale to jednak on. Co masz zamiar z nim zrobić?

– Nie mam pojęcia. Masz może pompkę do roweru?

– Tak. I zestaw do klejenia opon też. Czy to opony bezdętkowe?

– Zawsze takie były. – Bill pochylił się i przyjrzał flakowatej gumie. – Tak. Bezdętkowe.

– Szykujesz się, żeby znowu wskoczyć na siodełko?

– O-o-oczywiście, że nie – odparł ostro Bill. – Po prostu nie chcę, żeby s-s-stał na p-płaskiej g-g-gumie.

– Cokolwiek powiesz, Wielki Billu, ty tu rządzisz.

Bill rozejrzał się gwałtownie wokoło, ale Mike podszedł już do tylnej ściany garażu i zdjął wiszącą na niej pompkę rowerową. Z jednej z szafek wyjął blaszane pudełko – zestaw do reperacji opon – i podał je Billowi, który przyjrzał mu się z podejrzliwością. Miał wrażenie, jakby przypominał sobie ten przedmiot z czasów dzieciństwa – małe blaszane pudełko, mniej więcej takie jak to, których używają faceci sami zwijający sobie papierosy, tyle że miało jasne i szorstkie wieczko, zanim nałożyłeś łatkę, ścierałeś nim trochę gumę wokół otworu, żeby była chropowata. Pudełko wyglądało jak nowe i była na nim jeszcze naklejka z ceną: 7,23 $. Wydawało mu się, że kiedy był dzieckiem, taki zestaw kosztował dolara dwadzieścia pięć centów.

– Masz to od niedawna – powiedział Bill. To nie było pytanie.

– Racja – zgodził się Mike. – Kupiłem je jakiś tydzień temu. Tu obok w sklepie.

– Masz własny rower?

– Nie – odparł Mike, napotykając jego spojrzenie.

– Po prostu kupiłeś ten zestaw, tak się złożyło…

– Naszła mnie chęć, żeby coś kupić. – Mike wciąż patrzył mu w oczy. – Obudziłem się z myślą, że czegoś mi potrzeba. To nie dawało mi spokoju. I… kupiłem właśnie to. A teraz ty z tego korzystasz.

– Jestem tu i korzystam z twojego zestawu – zgodził się Bill. – Ale jak to mówią w operach mydlanych, co to ma właściwie znaczyć, mój drogi?

– Zapytaj innych dziś wieczorem.

– Myślisz, że wszyscy się zjawią?

– Nie wiem, Wielki Billu, ale myślę, że nie wszyscy. Jedno czy dwoje może zdecydować się wyjechać cichcem z miasta. Albo… – Wzruszył ramionami.

– Co zrobimy, jeśli się tak stanie?

– Nie wiem. – Mike wskazał na zestaw. – Zapłaciłem za to siedem dolców. Masz zamiar coś z tym zrobić czy tylko będziesz się gapił?

Bill wyjął z kosza roweru marynarkę i powiesił ją na wolnym kołku. Potem odwrócił Silvera kołami do góry, opierając go na siodełku, i ostrożnie zaczął obracać tylne koło. Nie podobał mu się zgrzyt osi i przypomniał sobie prawie bezgłośny szczęk łożysk kulkowych w deskorolce

chłopca. Odrobina oleju i wszystko wróci do normy, pomyślał. Nie zaszkodziłoby też naoliwić trochę łańcuch. Jest zardzewiały jak diabli… I karty do gry. Przydałyby się karty na szprychach. Mike będzie miał karty, idę o zakład. Te najlepsze. Pokryte celuloidem, dzięki czemu są sztywne i zawsze, jak się chce je pierwszy raz przetasować, wypadają ci z rąk. Karty, o tak, i parę spinaczy, żeby można było je umocować. Znieruchomiał. Nagle zrobiło mu się zimno.

O czym ty myślisz, do cholery?

– Coś nie tak, Bill? – spytał cicho Mike.

– Nic, nic. – Jego palce dotknęły czegoś małego, okrągłego i twardego. Wbił pod to paznokcie i pociągnął. Mała pineska bez trudu wyszła z opony. – Tu jest w-w-winowajca – powiedział i w jego umyśle pojawiły się ponownie te słowa, dziwne, nieokiełznane i potężne. (*Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano*.) A potem usłyszał głos swojej matki mówiącej: „Spróbuj jeszcze raz, Bill. Tym razem prawie ci się udało”. I okrzyk Andy’ego Devine’a, pomocnika Guya Madisona: „Zaczekaj na mnie, Dziki Billu!”.

Wzdrygnął się, pokręcił głową. Nawet teraz nie powtórzyłbym tego bez zająknienia, pomyślał

i przez krótką chwilę był u progu zrozumienia tego wszystkiego. To wrażenie się rozwiało.

Otworzył zestaw do naprawy opon i zabrał się do pracy. Zajęło mu to sporo czasu. Mike oparł się o ścianę i stojąc w promieniach słońca z podwiniętymi rękawami koszuli i poluzowanym krawatem, pogwizdywał coś, co Bill rozpoznał jako *She Blinded Me with Science*. Czekając, aż klej zaschnie, Bill, jak sobie tłumaczył, z braku lepszego zajęcia zabrał się do oliwienia łańcucha, zębatki i osi Silvera. Rower nie wyglądał przez to ani trochę lepiej, ale kiedy Bill w końcu zakręcił kołem, stwierdził, że denerwujące zgrzytanie ustało, i to w pełni go zadowoliło. Silver i tak nigdy nie wygrałby żadnego konkursu piękności. Najważniejsze, że potrafił mknąć jak strzała. To był jego zasadniczy atut.

Do wpół do szóstej po południu praktycznie zapomniał, że Mike Hanlon znajdował się obok niego. Bez reszty pochłonęła go praca. W końcu wkręcił wylot pompki w otwór wentyla tylnej opony i patrzył, jak opona zaczyna rosnąć, oszacowując na oko i dotykiem, czy została należycie napompowana. Z zadowoleniem spostrzegł, że łatka trzymała jak należy. Kiedy uznał, że już wystarczy, wyjął pompkę z wentyla

i właśnie miał odwrócić Silvera, kiedy usłyszał za sobą jakiś szelest. Odwrócił się, o mało nie przewracając przy tym roweru.

Mike stał, trzymając w ręku talię kart o niebieskich koszulkach.

– Chcesz?

Bill westchnął przeciągle.

– Jak sądzę, masz również spinacze?

Mike wyjął cztery z kieszeni koszuli i podał mu.

– Akurat tak się złożyło, że miałeś je pod ręką, co?

– Tak, coś w tym rodzaju – odparł Mike.

Bill wziął karty i spróbował je potasować. Jego dłonie drżały. Karty wysypały mu się z rąk. Posypały się wokoło, ale tylko dwie wylądowały koszulkami do dołu. Bill spojrzał na nie, a potem na Mike'a. Wzrok Mike'a utkwiony był w rozsypanych na podłodze kartach. Jego wargi rozchyliły się, odsłaniając zaciśnięte zęby. Obie odwrócone karty były asami pik.

– To niemożliwe – rzekł Mike. – Dopiero co otworzyłem talię. Spójrz. – Wskazał na rozdartą folię leżącą opodal drzwi garażu. – Jak w jednej talii mogą być dwa asy pik?

Bill pochylił się i podniósł je.

– A jak to możliwe, że cała talia wysypuje mi się z rąk i tylko dwie karty spadają na ziemię koszulkami do dołu? – zapytał. – To jeszcze ciekawsze py… – Odwrócił asy, spojrzał, a potem pokazał je Mike'owi. Jedna z kart miała koszulkę czerwoną, a druga niebieską. – Chryste Panie, Mikey, w coś ty nas wciągnął?

– Co masz zamiar z nimi zrobić? – spytał Mike wyraźnie oszołomiony.

– Jak to co, założyć – rzekł Bill i nagle wybuchnął śmiechem. – Przecież to właśnie powinienem zrobić, no nie? Jeżeli istnieją jakieś specyficzne warunki, w których może zaistnieć magia, to z całą pewnością powstają one samoistnie. Mam rację?

Mike nie odpowiedział. Patrzył, jak Bill zaczepił na tylnym kole plastikowe karty. Dłonie wciąż mu się trzęsły i zabrało mu to trochę czasu, ale w końcu sobie poradził, wziął głęboki oddech, wstrzymał go i zakręcił kołem. W ciszy garażu odgłos kart uderzających o szprychy przypominał terkot karabinu maszynowego.

– Chodź – rzekł cicho Mike. – Chodź, Wielki Billu. Przydałoby się coś przekąsić.

Zjedli hamburgery, a teraz siedzieli i palili, patrząc na zapadający z wolna zmierzch. Ciemność ogarniała trawnik na tyłach domu

Mike’a. Bill wyjął swój portfel, znalazł czyjąś wizytówkę i napisał na niej sentencję, która nie dawała mu spokoju, od chwili gdy zobaczył Silvera w oknie wystawowym Używanej Róży, Używanych Rzeczy. Pokazał ją Mike’owi, który przeczytał zdanie i wydął wargi.

– Mówi ci to coś? – zapytał Bill.

– Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano. – Skinął głową. – Tak. Wiem, co to jest.

– To mi powiedz. A może znów poczęstujesz mnie gadką o tym, żebym się s-sam domyślił?

– Nie. W tym wypadku chyba mogę ci powiedzieć. To jedno ze zdań, które mówi się ludziom mającym trudności z wymową i tym, którzy się jąkają. Owego lata matka starała się ciebie zmusić, żebyś je wypowiedział. Latem, pięćdziesiątego ósmego. Łaziłeś całymi dniami, powtarzając to zdanie bez końca. Mamrotałeś je wciąż pod nosem.

– Naprawdę? – rzekł Bill, a potem cicho sam odpowiedział sobie na to pytanie. – Naprawdę.

– Bardzo chciałeś, żeby była z ciebie zadowolona.

Bill, który nagle poczuł się tak, jakby lada moment miał się rozpłakać, tylko pokiwał głową. Nie chciał się odzywać. Nie ufał samemu sobie.

– Nigdy ci się nie udało tego powtórzyć – powiedział mu Mike. – Pamiętam to. Próbowałeś jak wszyscy diabli, ale za każdym razem gdzieś się zająknąłeś.

– Ale ja to powiedziałem – odparł Bill. – Przynajmniej raz.

– Kiedy?

Bill rąbnął pięściami, aż do bólu, w blat ogrodowego stolika.

– Nie pamiętam! – wykrzyknął. A potem, tym razem już o wiele ciszej, dodał: – Po prostu nie pamiętam.

ROZDZIAŁ 12
Trzej nieproszeni goście

1

Dzień po tym, jak Mike Hanlon zatelefonował do swoich przyjaciół, Henry Bowers zaczął słyszeć głosy. Mówiły do niego cały dzień. Po jakimś czasie Henry zorientował się, że głosy płyną z księżyca. Późnym popołudniem, gdy pielił chwasty w ogrodzie, uniósł wzrok i zobaczył wysoko na błękitnym niebie mały blady księżyc. Księżyc-duch.

W sumie właśnie dlatego uwierzył, że to księżyc mówił do niego. Tylko księżyc-duch może mówić głosami duchów – głosami jego starych przyjaciół i głosami tych małych dzieciaków, które dawno temu bawiły się w Barrens. Te głosy… i jeszcze jeden, którego nawet nie ośmielił się nazwać.

Pierwszy z księżyca przemówił doń Victor Criss: „Oni wracają, Henry, wszyscy, stary. Wszyscy wracają do Derry”.

Potem odezwał się Belch Huggins, mówiący, być może, z ciemnej strony księżyca: „Zostałeś tylko ty, Henry. Tylko ty jeden. Musisz ich dostać. Zrobić to dla mnie i Vica. Nie możemy pozwolić, żeby tym dzieciakom uszło na sucho. Kiedyś przecież przy magazynie wybiłem piłkę i Tony Tracker powiedział, że wyleciałaby nawet poza obręb stadionu Jankesów”.

Okopywał dalej, wpatrując się w widmowy księżyc na niebie, a po chwili podszedł do niego Fogarty i rąbnąwszy go w kark, rozłożył na ziemi.

– Wykopujesz groch razem z chwastami, ty durniu.

Henry podniósł się i otarł twarz z grudek ziemi i z włosów. Stał przed nim Fogarty, wielki facet w białej marynarce i spodniach, ze sterczącym przed nim wielkim kałdunem. Strażnikom (których tu, w Juniper Hill, nazywano doradcami) nie wolno było nosić pałek, więc wielu z nich, a najgorsi byli Fogarty, Adler i Koontz, nosiło w kieszeniach woreczki z dwudziestopięciocentówkami.

Zawsze uderzali w to samo miejsce, w nasadę karku. Przepisy nic nie mówiły o monetach. W Juniper Hill ćwierćdolarówek nie uważano za zabójczą broń. W Juniper Hill – zakładzie dla obłąkanych, znajdującym się na przedmieściach Augusty nieopodal Sidney.

– Przykro mi, panie Fogarty – rzekł Henry i uśmiechnął się, ukazując nieregularną linię pożółkłych zębów. Wyglądały jak sztachety w płocie przed nawiedzonym domem. Henry'emu zaczęły wypadać zęby, gdy miał mniej więcej czternaście lat.

– Tak, przykro ci – rzekł Fogarty. – Ale uważaj, jak cię jeszcze raz na tym przyłapię, to pożałujesz. Nie zapominaj o tym, Henry.

– Tak, panie Fogarty.

Fogarty oddalił się, jego czarne buty zostawiały wielkie brązowe ślady w ziemi zachodniego ogrodu. Ponieważ Fogarty był doń odwrócony plecami, Henry wykorzystał ten moment, by ukradkiem rozejrzeć się wokoło. Wszyscy pacjenci oddziału niebieskiego od wczesnego ranka byli zapędzani do pielenia grządek. Na oddziale niebieskim znajdowali się ludzie, których niegdyś uznawano za wyjątkowo niebezpiecznych, a obecnie ich status zmieniono na względnie niebezpiecznych. W sumie teraz

w Juniper Hill byli sami względnie niebezpieczni pacjenci. Było to udogodnienie dla obłąkanych kryminalistów. Henry Bowers znalazł się tu, ponieważ późną jesienią 1958 roku został skazany za zabicie swego ojca – był to słynny rok z uwagi na sporą liczbę procesów morderców. Tak, pod tym względem był to nader obfity rok.

Tyle że tamci nie uważali go za zabójcę jednej osoby, to znaczy jego ojca. Gdyby tak było, Henry nie spędziłby dwudziestu lat w zakładzie dla psychicznie chorych w Auguście, z czego większość czasu faszerowano go środkami chemicznymi i krępowano kaftanem bezpieczeństwa. Nie, nie chodziło tylko o jego ojca – władze uważały, że zabił ich wszystkich, a przynajmniej większość z nich. Po ogłoszeniu werdyktu w „News" na pierwszej stronie pojawił się artykuł „Koniec Długiej Nocy w Derry". Przypomniano tu o rozlicznych dowodach mających świadczyć przeciwko Henry'emu – pasku znalezionym w szufladzie w domu Bowersa, należącym do zaginionego Patricka Hockstettera, stosie książek, z których część była własnością zaginionego Belcha Hugginsa, a część należała do zaginionego Victora Crissa, i na które natrafiono w jego szafie – ale najbardziej uderzającym dowodem ze wszystkich były

majteczki znalezione w rozcięciu pod materacem na łóżku Henry’ego, majteczki nieżyjącej Veroniki Grogan, które zidentyfkowano po metce pralniczej.

Henry Bowers, jak podawano w „News”, był potworem grasującym w Derry wiosną i latem 1958 roku. Szóstego grudnia na pierwszej stronie ukazał się artykuł donoszący o końcu Długiej Nocy w Derry, ale nawet taki dureń i świr jak Henry wiedział, że w tym mieście Noc nigdy się nie skończy.

Zasypywali go pytaniami, osaczali go i wytykali palcami. Szef policji dwukrotnie go spoliczkował, a raz detektyw Lottman wyrżnął go pięścią w brzuch i powiedział mu, żeby się przyznał, i to szybko.

– Tam, na zewnątrz, jest pełno ludzi i wcale nie wyglądają na zadowolonych, Henry – powiedział Lottman. – W Derry już dawno nie było linczu, ale to wcale nie znaczy, że nie może się zdarzyć.

Jak przypuszczał, obrabiali go tak długo nie dlatego, że prawi mieszkańcy Derry mogliby wziąć szturmem posterunek policji i sami wymierzyć Henry’emu sprawiedliwość, wieszając go na pierwszym nadającym się do tego celu drzewie, ale dlatego, że chcieli jak

najszybciej zakończyć tę ciągnącą się przez całe krwawe lato sprawę. Zrobiliby to, gdyby Henry się przyznał. Mieliby śledztwo z głowy. Chcieli, aby przyznał się do wszystkiego. Zdał sobie z tego sprawę po jakimś czasie. Henry nie miał nic przeciwko temu. Po koszmarze, jaki przeżył w kanałach, po tym, co się stało z Belchem Hugginsem, przejmował się raczej niewieloma rzeczami. Tak, zabił swego ojca. To prawda. Tak, zabił Victora Crissa i Belcha Hugginsa. To również prawda – przynajmniej w tym sensie, że zaprowadził ich do tuneli, gdzie zostali zamordowani. Tak, zabił Patricka. Tak, Veronicę też. Jak jednego, to i wszystkich. Nie było to prawdą, no i co z tego? Wziął winę na siebie. Może właśnie dlatego go oszczędzono. A gdyby się nie przyznał…

Przypomniał sobie o pasie Patricka. Wygrał go od niego w karty któregoś kwietniowego dnia, ale ponieważ na niego nie pasował, wrzucił go do szuflady. Co się tyczy książek, ponieważ kumplował się z Victorem i Belchem, trzymali u siebie nawzajem różne szkolne książki, a przejmowali się tym tyle, co zeszłorocznym śniegiem. Oni pewno też mieli w swoich szafach parę jego książek – i jak sądził, gliny o tym wiedziały. A majteczki… nie, nie wiedział, w jaki

sposób majtki Veroniki Grogan znalazły się w jego materacu. Ale wiedział, kto – lub co – się tym zajęło. Lepiej nie mówić o tych rzeczach. Lepiej zgrywać idiotę.

Dlatego też wysłali go do Augusty, a w 1979 roku przenieśli do Juniper Hill, a tam tylko raz napytał sobie biedy, i to dlatego, że z początku nikt nie potrafił go zrozumieć. Jeden facet chciał zgasić nocną lampkę Henry'ego. Nocna lampka była w kształcie Kaczora Donalda, zdejmującego swoją śmieszną, marynarską czapeczkę.

Donald był jego ochroną po zmierzchu. W ciemnościach do pokoju mogły się wedrzeć różne istoty. Zamki u drzwi i druty kolczaste nie zdołałyby ich zatrzymać. Przybywały jak mgła. Istoty. Mówiły i śmiały się… a czasami go dotykały. Włochate istoty, istoty o gładkiej skórze, istoty z oczami. Takie jak te, które naprawdę zabiły Vica i Belcha, kiedy we trzech ścigali tych gnojków w kanałach pod Derry w sierpniu 1958.

Rozglądając się wokoło, widział teraz pozostałych pacjentów oddziału niebieskiego. Wśród nich był George DeVille, który w zimie 1962 zamordował swoją żonę i czworo dzieci. George ma pochyloną głowę, wiatr rozwiewa jego siwe włosy, glut wycieka mu z nosa, a wielki

drewniany krzyżyk zawieszony na jego szyi kołysze się w przód i w tył, gdy mężczyzna uderza raz po raz motyką.

Był tam Jimmy Donlin, o którym pisano, że latem 1965 zamordował swoją matkę – dziennikarze jednak nie napisali, że próbował on w ten sposób sprawdzić pewną powieściową metodę pozbywania się zwłok i zanim gliny go dopadły, zjadł prawie połowę ciała swojej matki, z mózgiem włącznie.

– Zrobili ze mnie dwa razy większego cwaniaka, niż jestem w rzeczywistości – zwierzył się Jimmy Henry'emu któregoś wieczoru po zgaszeniu świateł.

W rzędzie za Jimmym, pracując fanatycznie i śpiewając raz po raz tę samą linijkę piosenki – jak zawsze – znajdował się mały Francuzik, Benny Beaulieu. Benny był podpalaczem, piromanem. Teraz przy pracy podśpiewywał wciąż tę samą linijkę z jednej z piosenek Doorsów. „Spróbuj z nocy wzniecić płomień… spróbuj z nocy wzniecić płomień… spróbuj…". Po jakimś czasie to mogło działać człowiekowi na nerwy.

Za Bennym stał Franklin D'Cruz, który zgwałcił ponad pięćdziesiąt kobiet, zanim przyłapano go z opuszczonymi spodniami

w Bangor Terrace Park. Wiek ofiar wahał się od trzech do osiemdziesięciu jeden lat. Ale też Frank D'Cruz nie był zbytnio wymagający. Za nim daleko z tyłu pracował Arlen Weston, który mniej więcej tyle samo czasu poświęcał rozmarzonemu przyglądaniu się motyce co pracy. Fogarty, Adler i John Koontz próbowali sztuczki z rulonem ćwierćdolarówek, aby zmusić Westona do szybszej pracy, i któregoś dnia Koontz przyłożył mu może trochę zbyt mocno, bo Westonowi krew poszła nie tylko z nosa, ale i z uszu, i w nocy dostał drgawek. Nic wielkiego. Praktycznie drobiazg.

Jednak od tego czasu Arlen coraz bardziej i bardziej odpływał w głąb przepełniającej go czerni i był obecnie beznadziejnym przypadkiem, prawie całkowicie odciętym od świata. Za Arlenem stał…

– Pozbieraj to albo znów ci pomogę, Henry! – ryknął Fogarty, a Henry ponownie zabrał się do pracy. Nie chciał dostać drgawek. Nie miał zamiaru skończyć jak Arlen Weston.

Wkrótce znów usłyszał głosy. Ale tym razem to były głosy innych, głosy dzieciaków, przez które się tu znalazł, szepty płynące z widmowego księżyca. „Nie potrafiłeś nawet złapać grubasa, Bowers – wyszeptał jeden z nich – a teraz jestem

bogaty, a ty pielisz chwasty. Cha, cha, cha, ty durniu! B-b-b-bowers, nie udałoby c-ci się nawet złapać g-grypy! P-p-przeczytałeś choć j-jedną dobrą książkę, odkąd c-cię tu z-zamknęli? J-ja sporo p-p-piszę! J-jestem b-bogaty, a t-t-ty siedzisz w wariatkowie! Cha, cha, cha, ty g-g-głupku!”.

– Zamknijcie się – wyszeptał Henry do widmowych głosów, przyspieszając tempo, i teraz wykopał jednocześnie świeżo zasadzony groszek i kępki chwastów. Pot ściekał po jego policzkach jak łzy. – Mogliśmy was dostać. Mogliśmy.

„Zamknęliśmy cię, ty palancie – roześmiał się kolejny głos. – Goniłeś mnie, nie mogłeś złapać i ja też się wzbogaciłem! Świetna sprawa, łamago!”.

– Stul dziób – wymamrotał Henry, uderzając motyką coraz szybciej. – Po prostu przymknij ryj.

„Chciałbyś przymierzyć moje majteczki, Henry? – kusił kolejny głos. – Szkoda, wszystkim na to pozwalam. Byłam tanią dziwką, ale teraz jestem bogata i teraz znów wszyscy jesteśmy razem i robimy to razem, ale tobie by się to nie udało, nawet gdybym ci dała, boby ci nie stanął, cha, cha, cha, ty eunuchu”.

Pracował zapamiętale, chwasty, ziemia i świeży groszek wylatywały w powietrze.

Widmowe głosy z widmowego księżyca były teraz bardzo wyraźne – odbijały się potężnym echem wewnątrz jego czaszki i powracały uparcie, a Fogarty biegł, rycząc, w jego stronę, ale Henry go nie słyszał. Z powodu głosów.

„Nawet czarnucha nie potrafiłeś złapać, co? – Kolejny, przepełniony ironią głos pod czaszką. – Pozabijaliśmy was, chłopaki, w tej bitwie na kamienie! Rozpieprzyliśmy was dokumentnie! Cha, cha, ty idioto. Mamy cię gdzieś!”.

Głosy zlały się w jeden bełkot, szydząc z niego, naigrawając się, nazywając go łamagą i pytając, jak mu się podobała kuracja wstrząsowa, którą mu zaaplikowano, gdy przybył na czerwony oddział, pytały go, jak mu się podoba szpital, pytały i śmiały się, śmiały się i pytały, a Henry upuścił motykę na ziemię i zaczął krzyczeć do widmowego księżyca wiszącego na błękitnym niebie; z początku krzyczał z wściekłością, a potem sam księżyc zmienił się i stał się obliczem klowna – twarzą białą i upstrzoną otworami jak stary ser, z czarnymi dziurami oczu i pomalowanymi na czerwono ustami wykrzywionymi w grymasie tak obscenicznej niewinności, że nie sposób było nań patrzeć – i z ust Henry’ego dobył się przeraźliwy, potworny okrzyk śmiertelnego przerażenia, podczas gdy

z widmowego księżyca dobiegł go głos klowna: „Musisz wrócić, Henry, musisz wrócić i dokończyć, co zacząłeś, musisz wrócić do Derry i zabić ich wszystkich, dla mnie, dla…”. A potem Fogarty, który stał nieopodal i wydzierał się nań od dobrych dwóch minut (podczas gdy pozostali pacjenci stali w rzędach, trzymając w dłoniach motyki jak komiczne fallusy, a na ich twarzach malował się wyraz nie zaciekawienia, ale zamyślenia, jakby zrozumieli, że to wszystko było częścią tajemnicy, za której sprawą tu się znaleźli, i że nagły atak histerycznego wrzasku Bowersa w zachodnim ogrodzie był interesujący nie tylko pod względem czysto technicznym), zmęczył się w końcu i przyłożył Henry’emu woreczkiem z ćwierćdolarówkami, tak że Bowers runął na ziemię jak sterta cegieł, ale głos klowna podążył za nim w głąb tego mrocznego wiru, który się przed nim otworzył, i powtarzane raz po raz słowa bez końca rozbrzmiewały w jego uszach: „Zabij ich wszystkich, Henry, zabij ich wszystkich…”.

2

Henry Bowers nie spał. Księżyc zaszedł i Henry był z tego powodu bardzo zadowolony. Nocą księżyc wyglądał mniej upiornie, a bardziej

prawdziwie i gdyby zobaczył na niebie tę potworną twarz klowna, unoszącą się nad polami i lasami, umarłby z przerażenia. Leżał na boku, wpatrując się z uwagą w ciemność nocy. Kaczor Donald się wypalił – zastąpiły go tańczące polkę Miki i Minnie, ich z kolei zastąpiła wielka twarz Oskara z *Ulicy Sezamkowej*, a w zeszłym roku jego miejsce zajęło oblicze Misia Fozzie. Henry zamiast filiżankami do kawy mierzył czas swego uwięzienia zużytymi lampkami.

Dokładnie o drugiej zero cztery nad ranem zgasła lampka. Z jego ust dobył się cichy jęk, nic więcej. Tej nocy na oddziale miał dyżur Koontz, najgorszy ze strażników. Gorszy niż Fogarty, który tego popołudnia tak mu przyłożył, że Henry nie mógł ruszać głową. Wokół niego spali inni pacjenci niebieskiego oddziału. Benny Beaulieu spał opięty elastycznymi pasami. Pozwolono mu oglądać powtórkę *Emergency* w telewizyjnej sali oddziałowej, po powrocie z ogrodu, i nagle, około szóstej, facet zaczął się gwałtownie onanizować, krzycząc: „Spróbuj z nocy wzniecić płomień! Spróbuj z nocy wzniecić płomień! Spróbuj z nocy wzniecić płomień!”. Dano mu środki uspokajające i to wystarczyło na cztery godziny, a kiedy elavil przestał działać, Benny znów zaczął obłąkańczo

zabawiać się swoim małym, szarpiąc go tak mocno, że aż krew pociekła mu między palcami. Wołał przy tym: „Spróbuj z nocy wzniecić płomień! Spróbuj z nocy wzniecić płomień!”. Dlatego też ponownie zaaplikowali mu prochy i zapięli w pasy. Teraz spał, a jego ospowate oblicze w słabym świetle było równie poważne jak twarz Arystotelesa.

Henry słyszał dobiegające z sąsiednich łóżek ciche i głośne pochrapywanie oraz okazjonalne pierdnięcia. Słyszał oddech Jimmy’ego Donlina – był łatwy do rozpoznania, mimo że Jimmy spał pięć łóżek dalej. Gwałtowne i ciche poświstywanie nie wiedzieć czemu kojarzyło mu się z maszyną do szycia. Spoza drzwi na korytarz dochodziły stłumione dźwięki telewizora Koontza. Henry wiedział, że Koontz ogląda program na kanale trzydziestym ósmym, je kolację i popija texas driver. Koontz uwielbiał kanapki z masłem orzechowym i cebulą. Kiedy Henry usłyszał ten dźwięk, wzdrygnął się i pomyślał: A mówią, że wszyscy wariaci są zamknięci. Tym razem głos nie popłynął z księżyca. Dobiegał spod łóżka. Henry rozpoznał go natychmiast. To był Victor Criss, któremu dwadzieścia siedem lat temu w kanałach pod Derry urwano głowę. Zrobił to potwór

Frankensteina. Henry widział, jak to się stało, a potem dostrzegł, jak spojrzenie tych okropnych, żółtych, wodnistych oczu zatrzymało się na nim. Tak, potwór Frankensteina zabił Victora, a potem zabił Belcha, ale oto Vic znowu był tutaj, zupełnie jak upiorna powtórka czarno-białego programu z dobrych lat pięćdziesiątych, kiedy to prezydent był łysy, a buicki miały szyberdachy.

Teraz, gdy pojawił się głos, Henry zdał sobie nagle sprawę, że jest spokojny i wcale się nie boi. W pewnym sensie czuł się nawet trochę rozluźniony.

– Henry – powiedział Victor.

– Vic! – wykrzyknął Henry. – Co ty tam robisz?

Benny Beaulieu chrząknął i wymamrotał coś przez sen. Odgłosy maszyny do szycia, czyli nosowe regularne wdechy i wydechy Jimmy'ego, ucichły na chwilę. Telewizor Sony w korytarzu został przyciszony i Henry Bowers czuł, jak Koontz nieruchomieje z jedną ręką na gałce fonii, a drugą na wypukłości w kieszeni spodni, gdzie spoczywał rulon ćwierćdolarówek.

– Nie musisz mówić tak głośno, Henry – powiedział Vic. – Słyszę nawet twoje myśli. A oni w ogóle mnie nie słyszą.

– Czego chcesz, Vic? – zapytał Henry.

Przez dłuższy czas nie było odpowiedzi. Henry pomyślał, że być może Vic odszedł. Dźwięki z telewizora ponownie stały się głośne. Spod łóżka dobiegł chrobot. Sprężyny łóżka brzęknęły cicho, kiedy mroczny cień wyczołgał się spod niego. Vic spojrzał na starego kumpla i uśmiechnął się. Henry odpowiedział niepewnym uśmiechem. Stary Vic sam przypominał dziś monstrum Frankensteina. Na szyi miał długą, ciemną paskudną bliznę. Henry pomyślał, że być może w tym właśnie miejscu przyszyto mu głowę do szyi. Jego oczy miały dziwną, szarozieloną barwę, a rogówki zdawały się tonąć w wodnistej, lepkiej substancji. Vic nadal miał dwanaście lat.

– Chcę tego samego co ty. Chcę im odpłacić.

– Odpłacić im – mruknął z rozmarzeniem Henry.

– Ale będziesz musiał się stąd wydostać, aby tego dokonać – powiedział Vic. – Będziesz musiał wrócić do Derry. Potrzebuję cię, Henry. Wszyscy cię potrzebujemy.

– Oni nie mogą ci nic zrobić – rzekł Henry, rozumiejąc, że rozmawia z czymś więcej niż z Vikiem.

– Nie mogą mi nic zrobić, jeżeli wierzą tylko połowicznie – odparł Vic. – Ale są pewne dość

niepokojące objawy, Henry. Wtedy również nie przypuszczaliśmy, że mogliby nas pokonać. Ale ten mały grubas uciekł ci w Barrens. A potem udało im się jeszcze raz, kiedy ten grubas, Niewyparzona Gęba i ta cipa wychodzili z kina. I walka na kamienie, kiedy uratowali czarnucha.

– Nie przypominaj mi o tym! – wrzasnął do Vica Henry i przez chwilę w jego głosie pobrzmiewały twardość i nieugiętość, dzięki którym stał się ich przywódcą. Potem skulił się w przeświadczeniu, że Vic zrobi mu coś złego, wiedział, że tamten mógłby to zrobić, był przecież duchem, ale Vic tylko się uśmiechnął.

– Mógłbym się nimi zająć, gdyby wierzyli tylko połowicznie – powiedział – ale ty żyjesz, Henry. Możesz ich dostać niezależnie od tego, jak wierzą i czy wierzą. Mógłbyś ich dostać pojedynczo albo wszystkich naraz. Mógłbyś im odpłacić.

– Odpłacić im – powtórzył Henry. Potem ponownie, z powątpiewaniem spojrzał na Vica. – Ale ja nie mogę stąd wyjść, Vic. W oknach jest siatka, a dziś wieczorem ma dyżur Koontz. On jest najgorszy. Może jutro wieczorem…

– Nie martw się Koontzem – rzekł Vic, wstając. Henry zauważył, że nadal miał na sobie te same dżinsy co wtedy, przed laty; ich nogawki były

ubabrane zaschłym błotem. – Zajmę się Koontzem – oznajmił Vic, wyciągając rękę. Po chwili Henry wyciągnął swoją. Podeszli razem do drzwi niebieskiego oddziału. Odgłos włączonego telewizora się nasilił. Byli już prawie przy nich, kiedy Jimmy Donlin, który zjadł mózg własnej matki, obudził się nagle. Jego oczy rozszerzyły się, kiedy zobaczył nocnego gościa Henry'ego. To była jego matka. Jej nocna koszula była jak zwykle odrobinę przykrótka. Brakowało jej czubka głowy. Oczy kobiety, potwornie czerwone, zwróciły się w jego stronę i Jimmy zobaczył szminkę rozmazaną na jej wielkich, pożółkłych, końskich zębach. Zaczął krzyczeć.

– Nie, mamo! Nie, mamo! Proszę! Nie! Mamo! Nie!

Telewizor natychmiast został wyłączony i zanim pozostali pacjenci zdążyli się obudzić, Koontz gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i rzekł:

– Dobra, ty durniu, przygotuj swój parszywy łeb na poprawkę! Doigrałeś się!

– Nie, mamo! Nie, mamo! Proszę! Mamo! Nie, mamo!...

Koontz wpadł do sali. Najpierw zobaczył Bowersa, a w świetle płynącym z korytarza jego ciało przypominało ciasto. Potem spojrzał w lewo

i z jego ust dobył się bezgłośny okrzyk. Poruszał ustami, jakby próbował wypluć z płuc odłamki szkła. Obok Bowersa stała istota odziana w srebrzysty strój klowna. Miała jakieś osiem stóp wzrostu. Przód kostiumu zdobiły pomarańczowe pompony. Na nogach To miało o wiele za duże buty. Ale jego głowa nie była głową klowna – w ogóle nie przypominała ludzkiej. Klown miał łeb dobermana, jedynego zwierzęcia, jakiego obawiał się John Koontz. Oczy psa były czerwone. Zmarszczył nos, odsłaniając olbrzymie białe kły. Woreczek z ćwierćdolarówkami wypadł z pozbawionych czucia palców Koontza i potoczywszy się po podłodze, zatrzymał się w kącie. Później, następnego dnia, Benny Beaulieu, który przespał całe zdarzenie, znajdzie go i schowa w swojej szafce. Za te pieniądze będzie mógł kupić sobie zapas skrętów na cały miesiąc.

Koontz wciągnął powietrze do płuc, przygotowując się do ponownego okrzyku, kiedy klown pochylił się w jego stronę.

– Czas na przedstawienie! – wrzasnął warkliwie klown i jego dłonie w wielkich białych rękawicach opadły na ramiona Koontza. Tylko że te ręce w dotyku bardziej przypominały łapy.

3

Po raz trzeci tego dnia, tego długiego dnia, Kay McCall podeszła do telefonu. Tym razem posunęła się dalej niż przy dwóch poprzednich razach – zanim odłożyła słuchawkę, odczekała, aż po drugiej stronie ktoś ją podniósł i silny głos irlandzkiego gliniarza powiedział:

– Posterunek policji. Mówi sierżant O'Bannon. Czym mogę służyć?

Świetnie ci idzie, tak. Jezu, tak. Za ósmym, dziewiątym razem weźmiesz się w garść na tyle, że przynajmniej podasz mu swoje imię.

Weszła do kuchni, zrobiła sobie słabą szkocką z wodą sodową, choć wiedziała, że po darvonie nie był to najlepszy pomysł. Przypomniała sobie fragment piosenki ze swych młodych, uczelnianych lat („Nawaliłem się whisky i naprałem ginem, lekarz stwierdził, że to mnie zabije, ale nie powiedział kiedy") i roześmiała się ochryple.

Nad barem było zamocowane lustro. Zobaczyła w nim swoje odbicie i natychmiast się uspokoiła.

Kim jest ta kobieta? Jedno jej oko był napuchnięte i zamknięte. Kim jest ta pobita kobieta? Nos w kolorze typowym dla notorycznego pijaczka, wiecznego bywalca

tanich barów, urósł do wielkości sporawego kartofla.

Kim jest ta pobita kobieta, która wygląda jak jedna z tych, co to docierają do bezpiecznej przystani w przytułku, kiedy w końcu strach, odwaga albo czyste szaleństwo zmuszą je do porzucenia facetów, którzy tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku wyżywali się na nich ile wlezie?

Powoli podrapała się po jednym policzku. Kim ona jest, Kay, kochanie? Jedna ręka na temblaku. Kim? Czy to ty? Czy to możesz być ty?

– Oto ona… miss Ameryki – zanuciła, chcąc, by jej głos zabrzmiał ostro i cynicznie. Zaczęła dobrze, ale już przy ósmej sylabie głos zaczął drżeć, a przy dziesiątej się załamał. To nie był silny głos. To był przerażony głos. Wiedziała o tym. Bała się już wcześniej i zawsze zdołała to w sobie zdusić. Tym razem wiedziała, że będzie to długotrwały proces.

Lekarz, który zajął się nią na oddziale nagłych wypadków u Sióstr Miłosierdzia, był młody i dość przystojny. W innych okolicznościach mogłaby od niechcenia (i może wcale nie nadaremnie) spróbować ściągnąć go do domu i zabrać w seksualną podróż dookoła świata. Ale nie miała nastroju. Ból był zbyt dotkliwy. I strach

równie mocno dawał się jej we znaki. Doktor nazywał się Geffin i sposób, w jaki na nią patrzył, bynajmniej jej nie obchodził. Podstawił pod kran mały, biały kartonowy kubek, napełnił go do połowy wodą, wyjął z szuflady biurka paczkę papierosów i poczęstował ją. Wzięła jednego, a on go przypalił. Dłoń jej się trzęsła i przez sekundę czy dwie musiała gonić uciekający przed nią płomyk zapałki. Zgasił zapałkę w papierowym kubku.

– Wspaniały nałóg – powiedział. – Prawda?

– Związek oralny – odparła.

Skinął głową i na chwilę zapadła cisza. Przyglądał się jej. Miała wrażenie, że czekał, aż zacznie płakać, i to doprowadzało ją do szału, bo rzeczywiście miała na to ochotę. Nie cierpiała, jak mężczyźni przewidywali, co ma ochotę zrobić.

– Chłopak? – spytał w końcu.

– Wolałabym o tym nie mówić.

– Aha. – Palił, patrząc na nią.

– Czy matka nie mówiła ci, że niełądnie się tak gapić?

Chciała, aby to zabrzmiało w miarę mocno, ale jej słowa przypominały bardziej prośbę lub błaganie. Przestań się na mnie gapić, wiem, jak wyglądam, widziałam. Ta myśl poprzedzała inną,

którą, jak przypuszczała, musiała często miewać Beverly – że miała całą masę obrażeń wewnętrznych i kto wie, może nawet krwotok wewnętrzny. Wiedziała, jak wygląda, o tak. A co gorsza, wiedziała, jak się czuła. Czuła się żółta. To było przerażające uczucie.

– Powiem to tylko raz – rzekł Geffin cichym, przyjemnym tonem. – Podczas dyżurów na oddziale nagłych wypadków tygodniowo widzę około dwóch tuzinów pobitych kobiet. Na internie opatruję kolejne dwa tuziny. Spójrz, na stole stoi telefon. Zadzwoń na mój koszt na posterunek, podaj swoje dane i adres i powiedz im, co się stało i kto ci to zrobił. Potem odłożysz słuchawkę, a ja wyjmę butelkę bourbona, którą trzymam w szafce, o tam, naturalnie do celów stricte medycznych, i wypijemy sobie po kielichu. Bo moim zdaniem, i jest to wyłącznie moja prywatna opinia, jedyną niższą formą faceta, który bije kobietę, jest szczur cierpiący na syfilis.

Kay uśmiechnęła się szeroko.

– Dziękuję za propozycję. Ale muszę odmówić. Przynajmniej na razie.

– Hm – mruknął. – Ale kiedy przyjedzie pani do domu, niech pani dobrze przyjrzy się sobie w lustrze, panno McCall. Ktokolwiek to był, zrobił dobrą robotę.

I wtedy zaczęła płakać. Nie mogła temu zaradzić.

Dzień po wyjeździe Beverly Tom zadzwonił do Kay i dopytywał się, czy jego żona nie próbowała się z nią skontaktować. Jego głos był spokojny, opanowany, ani trochę nie podniesiony. Kay powiedziała mu, że nie widziała Beverly od dobrych dwóch tygodni. Tom podziękował jej i odłożył słuchawkę. Około pierwszej ktoś zadzwonił do drzwi. Akurat była zajęta pisaniem swojej pracy. Podeszła do drzwi.

– Kto tam?

– Kwiaty, proszę pani. Cragin’s Flowers – usłyszała wysoki głos. Jakże była głupia, że nie zdołała rozpoznać głosu Toma, który niezbyt udanie zmienił się w falset; jakże była głupia, sądząc, że Tom po prostu spasował; jakże była głupia, że zdecydowała się otworzyć drzwi.

Kiedy wszedł, zdołała tylko wykrztusić: „Wynoś się, s…” zanim pięść Toma wyprysnęła znikąd, trafiając ją w prawe oko, zamykając je i przesyłając falę potwornego bólu do wnętrza jej czaszki. Zachwiała się w tył i zatoczyła na ścianę. Próbowała rozpaczliwie schwycić się czegoś, aby nie upaść. Delikatna waza z jedną różą roztrzaskała się na kafelkach, wieszak wywrócił się z trzaskiem. Zaplątała się we własne nogi

i upadła, podczas gdy Tom zamknął za sobą wejściowe drzwi i podszedł do niej.

– Wynoś się stąd! – wrzasnęła.

– Jak tylko mi powiesz, gdzie ona jest – rzekł Tom, zbliżając się. Miała mglistą świadomość, że Tom nie wyglądał zbyt dobrze (raczej należałoby powiedzieć, że wyglądał strasznie) i Kay w tej samej chwili poczuła szalone zadowolenie. Niezależnie od tego, co Tom zrobił Bev, wyglądało na to, że odpłaciła mu pięknym za nadobne. Najwyraźniej cały dzień musiał przeleżeć w łóżku i nadal sprawiał wrażenie, jakby najodpowiedniejszym dla niego miejscem była sala szpitalna. Ale jednocześnie wyglądał na rozsierdzonego i bardzo złego. Kay podniosła się i zaczęła się cofać, przez cały czas patrząc na Toma, tak jak na dzikie zwierzę, które wydostało się z klatki.

– Powiedziałam ci, że jej nie widziałam, i to prawda – rzuciła. – A teraz wynoś się stąd, zanim zadzwonię na policję.

– Widziałaś ją – powiedział Tom. Jego obrzmiałe wargi próbowały wysilić się na uśmiech. Zobaczyła, że jego zęby były dziwnie postrzępione. Kilka przednich było złamanych. – Dzwonię do ciebie i mówię, że nie wiem, gdzie jest Bev. Ty mówisz, że nie widziałaś jej od dwóch

tygodni. Nawet jednego pytania. Ani jednego zniechęcającego słowa, choć dobrze wiem, że mnie nienawidzisz z całego serca. No więc gdzie ona jest, ty głupia cipo? Powiedz mi.

Wówczas Kay odwróciła się i pobiegła w stronę końca korytarza, chcąc dostać się do salonu, zasunąć wielkie, mahoniowe drzwi, zatrzasnąć je i zablokować potężną zasuwą. Dotarła tam przed nim. Tom utykał, ale zanim zdążyła zatrzasnąć drzwi, wcisnął się pomiędzy nie. Szarpnął konwulsyjnie całym ciałem i zdołał się przecisnąć do środka. Odwróciła się i ponownie zaczęła uciekać. Złapał ją za sukienkę i szarpnął tak mocno, że oderwał cały tył, od szyi aż po pas. Ty durniu, twoja żona uszyła mi tę sukienkę, pomyślała jakby mimochodem, a potem się odwróciła.

– Gdzie ona jest?

Kay wymierzyła mu tak solidny policzek, że głowa odskoczyła mu do tyłu, a rana pod lewym okiem otworzyła się i znów zaczęła krwawić. Schwycił ją za włosy i nadział jej głowę na swoją pięść. Przez chwilę miała wrażenie, jakby jej nos eksplodował. Krzyknęła, zaczerpnęła powietrza, aby wrzasnąć powtórnie, i zaczęła dławić się własną krwią. Teraz była naprawdę przerażona.

Nie wiedziała, że można się tak bać. Ten szalony skurwiel zamierzał ją zabić.

Krzyczała, krzyczała i krzyczała i nagle pięść Toma wbiła się w jej żołądek, pozbawiając ją tchu. Z trudem zaczęła łykać powietrze. Zaczęła się krztusić i dławić, walcząc jednocześnie o oddech. Przez krótką przerażającą chwilę miała wrażenie, że się udusi.

– Gdzie ona jest?

Kay pokręciła głową.

– Nie… widziałam… jej… – wyjąkała. – Policja… pójdziesz siedzieć… ty… dupku…

Szarpnięciem zmusił ją, by wstała, i poczuła, że coś w jej ramieniu się poluzowało. Kolejna fala bólu… zebrało się jej na mdłości. Odwrócił ją gwałtownie, wciąż trzymając za ramię, i wykręcił je tak, że zagryzła z bólu wargi, ale poprzysięgła sobie, że już więcej nie krzyknie.

– Gdzie ona jest?

Kay pokręciła głową. Ponownie szarpnął jej ramię, wykręcając je tak silnie, że aż przy tym jęknął. Jego ciepły oddech omiótł jej ucho. Poczuła, jak jego zaciśnięta pięść rąbnęła ją w lewą łopatkę i kiedy jakaś kość w jej ramieniu obluzowała się jeszcze bardziej, krzyknęła ponownie.

– Gdzie ona jest?

– …wiem.

– Co?

– Nie wiem!

Puścił ją i popchnął. Upadła na podłogę, pochlipując – krew i smarki wyciekały jej z nosa. Rozległ się prawie muzykalny trzask, a kiedy się rozejrzała, Tom pochylał się nad nią. Odbił górę kolejnej wazy – z waterfordzkiego kryształu. Trzymał w dłoni podstawę. Postrzępiona szyjka znajdowała się o parę cali od jej twarzy. Patrzyła na nią jak zahipnotyzowana.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię. – Miał przyspieszony oddech i ciepły powiew powietrza dosięgał jej twarzy. – Powiesz mi, co chcę wiedzieć, albo przyjdzie ci zbierać swoją buźkę z podłogi. Masz trzy sekundy, a może mniej. Kiedy się wkurzam, czas płynie dla mnie nieco szybciej.

Moja twarz, pomyślała, i to sprawiło, że w końcu się poddała. Myśl o tym, że ten potwór użyłby postrzępionej krawędzi wazy, aby pociąć jej twarz, kompletnie ją rozbroiła.

– Wróciła do domu – wychlipała Kay. – Do swego rodzinnego miasta. Derry. Nazywa się Derry. W Maine.

– Jak tam pojechała?

– Autobusem do Milwaukee. Stamtąd samolotem.

– To pierdolona mała pinda! – wykrzyknął Tom, prostując się. Zaczął krążyć wokół niej, przeczesując dłońmi włosy, tak że po dłuższej chwili sterczały w górę niczym szalony punkowy czub. Przez cały czas mamrotał do siebie: – Ta cipa, ta pinda, ta jebana pizda!

Podniósł delikatną, drewnianą rzeźbę przedstawiającą kochającą się parę – dostała ją w wieku dwudziestu dwóch lat – i wrzucił do kominka, gdzie roztrzaskała się na kawałki. Przez chwilę patrzył na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem i stał z rozszerzonymi oczyma, jakby zobaczył ducha. Potem znów odwrócił się w jej stronę. Wyjął coś z kieszeni marynarki i zobaczyła z pewnym zdziwieniem, że była to powieść w wydaniu broszurowym. Okładka była zupełnie czarna, oprócz jaskrawoczerwonych odblaskowych liter układających się w tytuł i zdjęcia kilku młodych ludzi stojących na urwisku nad rzeką. *Black Rapids*.

– Co to za kutas?

– Hę? Co?

– Denbrough. – Machnął jej niecierpliwie parę razy książką przed twarzą, a potem nagle uderzył

ją w policzek. Poczuła palący ból, a później żar przygasł jak stygnące węgle. – Kim on jest?

Zaczęła rozumieć.

– Byli przyjaciółmi. W dzieciństwie. Oboje dorastali w Derry.

Ponownie trzasnął ją książką, tym razem z drugiej strony.

– Proszę – wyjęczała. – Proszę, Tom.

Przystawił sobie fotel, obrócił go i usiadł. Jego dyniowata, upiorna twarz spoglądała na nią znad oparcia.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – Posłuchaj wujka Tommy'ego. Potrafisz to zrobić, ty durna wiedźmo?

Skinęła głową. W gardle czuła smak gorącej krwi. Jej ramię płonęło. Modliła się, żeby było tylko przestawione, a nie złamane. Ale to nie było najgorsze. Moja twarz, on chce pociąć mi twarz.

– Jeżeli zadzwonisz na policję i powiesz, że tu byłem, zaprzeczę wszystkiemu. Nic nie możesz mi udowodnić. Oprócz nas dwojga nie ma tu nikogo. Dziewczyna ma dziś wychodne. Oczywiście mogą mnie aresztować, w sumie wszystko jest możliwe, nieprawdaż?

Zdała sobie sprawę, że ponownie skinęła głową, jakby zaczepioną na niewidzialnych sznurkach.

– Pewno, że tak. A wiesz, co ja wtedy zrobię? Zapłacę kaucję i wrócę tu do ciebie. Znajdą twoje cycki na kuchennym stole, a oczy w akwarium. Rozumiesz mnie? Chwytasz, co ci mówi wujek Tommy?

Kay ponownie wybuchnęła płaczem. Sznurki przymocowane do jej głowy nadal działały – jej głowa unosiła się i opadała.

– Dlaczego?

– Co? Ja… Ja nie…

– Obudź się, na miłość boską! Dlaczego tam wróciła?

– Nie wiem! – Kay prawie krzyknęła. Wysunął postrzępioną wazę w jej stronę i obrócił w dłoni. – Nie wiem – powiedziała, tym razem ciszej. – Proszę. Nie powiedziała mi. Proszę, nie rób mi krzywdy.

Wrzucił resztki wazy do kosza na śmieci i wyprostował się. Wyszedł, nie odwracając się, z pochyloną głową – wielki, misiowaty, pałający wściekłością facet.

Pobiegła za nim i zamknęła drzwi. Wbiegła do kuchni i zatrzasnęła drzwi. Chwilę potem, kuśtykając, weszła na piętro (tak szybko, jak tylko pozwalał jej na to obolały brzuch) i pozamykała francuskie drzwi na górną werandę – było bardzo możliwe, że ukrył się za

jednym z filarów i zdecydowałby się powrócić tą drogą. Był obolały, ale również szalony.

Po raz pierwszy podeszła do telefonu i ledwie położyła dłoń na słuchawce, przypomniała sobie jego słowa: „A wiesz, co wtedy zrobię? Zapłacę kaucję i wrócę tu do ciebie… znajdą twoje cycki na kuchennym stole, a oczy w akwarium”. Zdjęła rękę z aparatu, weszła do łazienki i spojrzała na ociekający krwią nos, wielki jak pomidor, i podsiniaczone oko. Nie płakała. Przepełniający ją wstyd i strach nie pozwalały jej na łzy.

Och, Bev, zrobiłam, co mogłam, kochanie, pomyślała, ale moja twarz… powiedział, że pokroi mi twarz…

W apteczce znajdowały się darvon i valium. Zastanawiała się, co wybrać, i w końcu wzięła po jednej pigułce z obu buteleczek. Później poszła do Sióstr Miłosierdzia i spotkała się ze słynnym doktorem Geffinem, obecnie jedynym mężczyzną, którego nagłe zejście z tego świata nie wprawiłoby jej w radosny nastrój.

I znów do domu – znowu w domu – świetnie. Podeszła do okna sypialni i wyjrzała na zewnątrz. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Na wschodnim wybrzeżu już zmierzcha – w Maine była teraz dziewiętnasta.

O glinach możesz pomyśleć później. Najważniejsze jest to, że teraz musisz ostrzec Beverly. Byłoby to dużo łatwiejsze, pomyślała Kay, gdybyś mi powiedziała, gdzie masz zamiar się zatrzymać, kochana Beverly. Pewno sama tego jeszcze nie wiedziałaś.

Choć rzuciła palenie przed laty, trzymała w szufladzie biurka paczkę pall malli – ot tak, na wszelki wypadek. Wyjęła jednego papierosa, zapaliła, zaciągnęła się i skrzywiła. Ostatni raz wypaliła papierosa z tej paczki w grudniu 1982 i fajki były, delikatnie mówiąc, zleżałe. Mimo to dopaliła go do końca; jedno oko przesłonił jej do połowy dym, drugie – napuchnięta powieka. Przez Toma Rogana.

Z trudem posługując się lewą ręką – ten sukinsyn wyłamał jej zdrową rękę – wykręciła numer informacji w Maine i poprosiła o nazwę i numery telefonów wszystkich hoteli i moteli w Derry.

– To trochę potrwa, proszę pani – powiedział dyżurny operator.

– Nawet trochę dłużej. Będę musiała je zapisać niewprawną ręką. Ta wprawiona jest chwilowo na urlopie.

– To trochę nietypowe…

– Proszę posłuchać – powiedziała niezbyt uprzejmie Kay. – Dzwonię z Chicago i próbuję odnaleźć przyjaciółkę, która właśnie odeszła od męża i wyjechała do Derry, gdzie się wychowywała. Jej mąż wie, dokąd się udała. Wyciągnął ze mnie tę informację i pobił mnie przy tym jak diabli. Ten facet to wariat. Ona musi się dowiedzieć, że on do niej pojechał.

Nastała długa cisza, a potem dyżurny operator odezwał się nieco bardziej przyjaznym głosem:

– Myślę, że jedyny numer, jaki byłby pani potrzebny w tej sytuacji, to numer posterunku policji w Derry.

– Świetnie. Też go sobie zapiszę. Ale muszę ją ostrzec. I… – Pomyślała o rozciętym policzku Toma, guzie na czole i skroni, okropnie napuchniętych ustach i o tym, jak kulał. – Myślę, że jeżeli uprzedzę ją o jego przyjeździe, to powinno wystarczyć.

Kolejna długa chwila ciszy.

– Jest tam pan? – spytała Kay.

– Arlington Motor Lodge – powiedział operator – sześćset czterdzieści trzy, osiemdziesiąt jeden, czterdzieści sześć. Bassey Park Inn, sześćset czterdzieści osiem, czterdzieści, osiemdziesiąt trzy. Bunyan Motor Court…

– Trochę wolniej mogłabym prosić? – spytała, notując zapamiętale. Szukała wzrokiem popielniczki i nie znalazłszy jej, zgasiła niedopałek na blacie. – W porządku. Proszę dalej.

– Clarendon Inn…

4

Przy piątym telefonie osiągnęła połowiczny sukces. Beverly Rogan zameldowała się w Derry Town House. Odniosła połowiczny sukces, ponieważ Beverly wyszła. Kay zostawiła swoje nazwisko, numer i wiadomość, aby Beverly zaraz po powrocie do niej zadzwoniła niezależnie od tego, jak późno by to było.

Recepcjonista powtórzył wiadomość. Kay poszła na górę i łyknęła kolejne valium. Położyła się i czekała na sen. Sen nie nadchodził. Przykro mi, Bev, pomyślała, patrząc w ciemność, oszołomiona prochami. To, co on powiedział o mojej twarzy… nie mogłam tego znieść. Zadzwoń wkrótce, Bev. Proszę, zadzwoń szybko. I uważaj na tego szalonego sukinsyna, za którego wyszłaś.

5

Szalony sukinsyn, za którego wyszła Bev, miał więcej szczęścia niż poprzedniego dnia Beverly, ponieważ odleciał do Bangor z O'Hare, centrum pasażerskiego transportu lotniczego na terenie Stanów Zjednoczonych. Podczas lotu raz po raz czytał krótką notkę o autorze na końcu książki. Było w niej napisane, że William Denbrough pochodził z Nowej Anglii i był autorem trzech innych powieści. On i jego żona, aktorka Audra Phillips, mieszkali w Kalifornii. Obecnie pracował nad nową powieścią.

Zauważywszy, że *Black Rapids* zostało wydane w 1976 roku, Tom doszedł do wniosku, że facet musiał do tej pory napisać parę innych książek. Audra Phillips – widywał ją w filmach, no nie? Rzadko zwracał uwagę na aktorki, preferował kryminały, filmy sensacyjne i horrory, ale jeśli to była ta babka, o której właśnie myślał, to rzeczywiście ją zauważył, przede wszystkim dlatego, że była trochę podobna do Beverly – miała długie rude włosy, zielone oczy i niezłe cycki.

Wyprostował się nieco na fotelu, stukając się w udo trzymanym w dłoni egzemplarzem powieści, próbując zignorować ból w głowie i ustach. Tak. Był tego pewny. Audra Phillips

miała rude włosy i niezłe cycki. Widział ją w filmie Clinta Eastwooda, a rok później w horrorze *Cmentarny księżyc*. Beverly poszła z nim na ten film, a kiedy wychodzili z kina, wspomniał, że aktorka była do niej trochę podobna.

– Nie sądzę – odparła Beverly. – Ja jestem wyższa, a ona ładniejsza. I ma rude włosy, ale ciemniejsze od moich.

To było wszystko. Nie myślał o tym aż do teraz. On i jego żona, aktorka Audra Phillips…

Tom miał raczej mgliste pojęcie na temat psychologii – ale to, co wiedział, wykorzystywał, aby manipulować swoją żoną przez lata ich małżeństwa. A teraz nieprzyjemne uczucie zaczęło go dręczyć, dokuczało mu, nie dawało spokoju, bardziej impuls niż konkretna myśl. Wypływał on z faktu, że Bev i ten Denbrough jako dzieci bawili się razem i że żona Denbrough wbrew temu, co powiedziała Beverly, bardzo przypominała żonę Toma Rogana. W co bawili się Denbrough i Beverly, gdy byli dziećmi? W pocztę? W butelkę? A może w coś zupełnie innego? Tom siedział w fotelu i stukał książką w nogę, czując uporczywe pulsowanie w skroniach.

Kiedy wylądował na lotnisku międzynarodowym w Bangor i zjawił się przy stanowiskach biur wynajmu samochodów, dziewczęta – niektóre ubrane na żółto, inne na czerwono, a jeszcze inne na zielono – popatrując ze zdenerwowaniem na jego poobijaną, niebezpieczną twarz, powiedziały mu (niepewnym głosem), że, niestety, nie mają żadnych wozów do wypożyczenia i że bardzo im przykro. Tom podszedł do stojaka z prasą i kupił gazetę z Bangor. Otworzył na ogłoszeniach i odnalazł trzy, które odpowiadały jego potrzebom. Za drugim razem ktoś podniósł słuchawkę.

– Dzwonię w sprawie ogłoszenia. Pisze pan, że ma wóz LTD rocznik siedemdziesiąty szósty. Tysiąc czterysta dolarów.

– Tak.

– Powiem coś panu – rzekł Tom, dotykając portfela w kieszeni marynarki. Był gruby od znajdującej się w nim gotówki: sześć tysięcy dolarów. – Przyprowadzi mi go pan na lotnisko i od razu sfinalizujemy tu interes. Przywiezie pan wóz, akt sprzedaży i gruby portfel. Wypłacę panu forsę gotówką.

Facet sprzedający LTD umilkł na chwilę, a potem powiedział:

– Będę musiał zdjąć moje tablice.

– Jasne. Oczywiście.

– Jak pana poznam, panie…

– Barr – rzekł Tom. Patrzył na reklamę po drugiej stronie holu terminalu; widniał na niej napis: „Liniami Bar Harbor do każdego zakątka Nowej Anglii i w świat!”. – Będę stał przy drzwiach naprzeciwko. Pozna mnie pan, bo moja twarz nie wygląda zbyt wyjściowo. Poprztykałem się wczoraj z żoną i nieźle się wywaliłem. Ale, jak sądzę, mogło być gorzej. Nic sobie nie połamałem, tylko pokiereszowałem trochę facjatę.

– Cóż, przykro mi to słyszeć, panie Barr.

– Nic takiego. Zagoi się. Po prostu przywieź mi tu ten wóz, przyjacielu. – Odwiesił słuchawkę, podszedł do drzwi i wyszedł w ciepłą, wonną majową noc. Facet z LTD pojawił się dziesięć minut później, wyłaniając się z późnowiosennej szarugi. To był jeszcze dzieciak. Ubili interes. Właściciel wozu wypisał mu akt sprzedaży, który Tom wcisnął obojętnie do kieszeni płaszcza. Stał tam i patrzył, jak dzieciak zdejmuje z LTD tablice rejestracyjne z Maine.

– Dorzucę jeszcze trzy stówy ekstra za śrubokręt – powiedział Tom, kiedy było już po wszystkim. Dzieciak przez chwilę wpatrywał się

w niego z zamyśleniem, po czym wzruszył ramionami, podał mu śrubokręt i zgarnął trzy setki podane przez Toma. To wzruszenie ramion miało oznaczać: To nie moja sprawa, a Tom pomyślał: Masz rację, stary.

Gdy tamten wsiadł do taryfy, Tom zajął miejsce za kółkiem forda. To była kupa złomu – przekładnia zgrzytała, osie jęczały, karoseria się trzęsła, a hamulce piszczały. Nieważne. Podjechał na długoterminowy parking przy lotnisku, wykupił bilet i wjechał na teren. Zaparkował wóz obok subaru, które wyglądało, jakby stało tam od niedawna. Za pomocą nabytego od chłopaka śrubokręta zdjął tablice z subaru i przykręcił do LTD. Przy pracy nucił pod nosem.

Około dwudziestej drugiej jechał już na wschód, wzdłuż Route 2, z otwartą mapą Maine na siedzeniu obok. Radio w LTD nie działało, toteż jechał w ciszy. No i w sumie dobrze. Miał wiele spraw do przemyślenia. Na przykład zastanawiał się nad wszystkimi wspaniałościami, jakimi uraczy Beverly, kiedy już ją dostanie w swoje ręce. W głębi serca był przekonany, że Beverly znajdowała się niedaleko. I paliła.

Moja droga, zadarłaś z niewłaściwym facetem. Pytanie brzmi: Co konkretnie z tobą

zrobimy? Ford przedzierał się przez noc, ścigając długie jasne promienie bijące z reflektorów i zanim Tom dojechał do Newport, już wiedział. Po drodze natrafił na otwarty nocny sklep, oferujący przeróżne rozmaitości – ot, mydło i powidło. Wszedł do środka i kupił karton cameli.

Właściciel życzył mu dobrej nocy. Tom odpowiedział mu tym samym. Cisnął karton na siedzenie i ruszył w dalszą drogę. Jechał wolno wzdłuż Route 7, wypatrując skrzyżowania, na którym powinien skręcić. Wreszcie je znalazł – Route 3 ze znakiem i napisami: „Haven 21 Derry 15”. Skręcił i ford przyspieszył. Tom spojrzał na karton papierosów i uśmiechnął się pod nosem. W zielonym blasku bijącym z deski rozdzielczej jego pokiereszowana nabrzmiała twarz wyglądała dziwnie i upiornie. Mam dla ciebie trochę papierosów, Bevvie, pomyślał Tom, kiedy ford sunął pośród rzędów sosen i świerków w stronę Derry z prędkością trochę powyżej sześćdziesiątki. O rety, tak. Cały karton. Tylko dla ciebie. I jak cię zobaczę, kochanie, zmuszę cię, żebyś zeżarła wszystkie, co do jednego. A jak ten facio, Denbrough, będzie się dopraszał nauczki, to myślę, że też da się załatwić. Nie ma sprawy, Bevvie. Nie ma sprawy, absolutnie. Po raz

pierwszy, odkąd ta parszywa dziwka go upokorzyła, pobiła i uciekła, Tom poczuł, że powraca mu dobry nastrój.

6

Audra Denbrough odleciała samolotem DC-10 linii British Airways. Samolot opuścił Heathrow o osiemnastej dziesięć i od tej pory rozpoczął wyścig ze słońcem. Słońce wygrywało – prawdę mówiąc, w końcu wygrało – ale to i tak nie miało znaczenia. Szczęście uśmiechnęło się do niej i dowiedziała się przypadkiem, że lot numer 23 z Londynu do Los Angeles ma postój w… Bangor w celu uzupełnienia zapasu paliwa.

Cały dzień był iście piekielnym koszmarem. Freddie Firestone, producent *Pokoju na poddaszu*, rzecz jasna przede wszystkim chciał spotkać się z Billem. Były jakieś problemy z kaskaderką, która w jednej ze scen miała spaść ze schodów zamiast Audry. Wyglądało na to, że kaskaderzy również mieli swój związek, a ta kobieta wykonała już limit swoich numerów na ten tydzień czy coś takiego. Związek domagał się, żeby Freddie albo wypłacił jej nadgodziny, albo wynajął inną kaskaderkę. Problem polegał na tym, że Freddie nie miał innej kaskaderki, która wyglądem przypominałaby Audrę. Powiedział

więc szefowi związku, że w tym wypadku będą musieli chyba posłużyć się kaskaderem mężczyzną. Niby cóż w tym złego? Kobieta nie miała spadać po schodach ubrana tylko w majtki i biustonosz. Charakteryzatorka dysponowała odpowiednim zestawem peruk i specjalnych poduszek mających imitować kobiece „krągłości”. Były nawet specjalne wyściółki na pośladki. „Tego się nie da zrobić – rzekł szef związku. – To wbrew regulaminowi związku, który zabrania grania przez mężczyznę »kobiecych« scen. Dyskryminacja płci”.

W przemyśle filmowym temperament Freddiego był rzeczą dość słynną i właśnie w tym momencie facet „wyszedł z siebie”. Powiedział szefowi związku, potwornemu grubasowi, wielkiemu jak szafa, żeby się odpieprzył. Szef związku odparował, żeby Freddie uważał na to, co mówi, bo może się zdarzyć, że do *Pokoju na poddaszu* nagle w ogóle zabraknie kaskaderów. Potem potarł kciuk palcem wskazującym w geście żądania łapówki, co doprowadziło Freddiego do szału. Szef związku był wielki, ale miękki. Freddie, który nadal, kiedy tylko miał okazję, grywał w futbol, a kiedyś był również zapalonym graczem w krykieta, był wielki i twardy. Wyrzucił szefa związku, wrócił do

swego biurka, aby zebrać myśli, a dwadzieścia minut potem wypadł stamtąd, wołając Billa. Chciał zmienić całą scenę, żeby wykreślić ów nieszczęsny upadek. Audra musiała powiedzieć Freddiemu, że Bill wyjechał z Anglii.

– Co? – spytał Freddie. Jego usta otwarły się szeroko. Patrzył na Audrę jak na wariatkę. – Co ty gadasz?

– Został wezwany do Stanów, ot co.

Freddie wykonał gest, jakby chciał ją schwycić, i Audra, trochę zaniepokojona, cofnęła się. Freddie spojrzał na swoje dłonie, po czym włożył je do kieszeni i skierował wzrok na nią.

– Przykro mi, Freddie – powiedziała cicho. – Naprawdę. – Wstała i nalała sobie kawy z dzbanka stojącego na kuchence, zauważyła przy tym, że jej dłonie nieznacznie drżą. Kiedy usiadła, usłyszała wzmocniony przez głośniki głos Freddiego, mówiący wszystkim, że mogą iść do domu albo do pubu, bo w tym dniu nie będzie już zdjęć. Audra się skrzywiła. Miała wrażenie, że pogrąża się w grząskich, ruchomych piaskach.

Freddie wyłączył interkom, wstał i nalał sobie filiżankę kawy. Ponownie usiadł i podstawił jej paczkę papierosów Silk Cut. Audra podziękowała ruchem głowy. Freddie wyjął papierosa, zapalił i zmrużywszy oczy, spojrzał na nią przez dym.

– To poważna sprawa, co?

– Tak – odparła Audra, starając się zachować spokój.

– Co się stało?

Ponieważ naprawdę lubiła Freddiego i szczerze mu ufała, powiedziała mu wszystko, co wiedziała. Freddie słuchał z powagą i skupieniem. Nie zajęło jej to wiele czasu. Kiedy skończyła, wciąż jeszcze słychać było trzask drzwi i warkot samochodów odjeżdżających z parkingu.

Freddie milczał przez jakiś czas, wyglądając przez okno. Potem odwrócił się w jej stronę.

– On musiał przeżyć jakieś załamanie nerwowe.

Audra pokręciła głową.

– Nie. To nie to. Niemożliwe. – Przełknęła ślinę i dodała: – Może powinieneś tam być?

Freddie uśmiechnął się ironicznie.

– Musisz zrozumieć, że dorosły facet raczej rzadko dotrzymuje obietnic składanych w dzieciństwie. Czytałaś książki Billa. Wiesz, jak dużo jest w nich o dzieciństwie, i to naprawdę świetne książki. Ostre. Bardzo wnikliwe obserwacje. Twierdzenie, że mógł zapomnieć wszystko z tamtego okresu, moim zdaniem graniczy z absurdem.

– Blizny na jego dłoniach – powiedziała Audra. – Nigdy ich tam nie było. Aż do tego ranka.

– Bzdury! Po prostu aż do tego dnia ich nie zauważyłaś.

Wzruszyła bezradnie ramionami.

– Zauważyłabym.

Zrozumiała, że on również jej nie wierzył.

– No i co mamy robić? – zapytał Freddie, a ona jedynie pokręciła głową. Freddie odpalił od niedopałka kolejnego papierosa. – Załatwię jakoś tę sprawę z szefem związku zawodowego. – Nie osobiście, ten typ obecnie prędzej skoczyłby w ogień, niż przydzieliłby mi kolejnego kaskadera ze swojej grupy. Poślę do jego biura Teddy'ego Rowlanda. To bufon, ale jak chce, to potrafi sprawić, że ptaki z pobliskich drzew zlecą się, żeby usiąść mu na ramionach. Ale co potem? Zostały jeszcze cztery tygodnie zdjęciowe, a twój mąż jest gdzieś w Massachusetts…

– Maine…

Pomachał ręką.

– Nieważne. A jak dobra będziesz bez niego?

– Ja…

Pochylił się do przodu.

– Lubię cię, Audra. Naprawdę. I lubię Billa, pomimo biedy, jakiej mi napytał. Jeżeli

scenariusz wymaga przeróbki, zajmę się tym. Zrobię, co do mnie należy, zajmowałem się tym kiedyś… A jeżeli nie spodoba mu się to, co wypichcę, to trudno, sam będzie sobie winien. Mogę to zrobić bez Billa, ale bez ciebie sobie nie poradzę. Nie mogę ci pozwolić na powrót do Stanów. Jesteś mi potrzebna tutaj. Czeka nas huk roboty. Poradzisz sobie?

– Nie wiem.

– Ja też nie. Ale chciałbym, żebyś coś sobie przemyślała. Możemy zatuszować tę aferę przez jakiś czas, kto wie, może nawet do końca zdjęć, jeżeli zrobisz to, co do ciebie należy. Ale jak stąd wyjedziesz, nie będę mógł cię kryć. Potrafię się nieźle wkurzyć, ale nie jestem mściwy z natury i nie powiem ci, że jeżeli wyjedziesz, dopilnuję, żebyś już nigdy nie mogła wrócić do biznesu. Powinnaś jednak wiedzieć, że jeżeli przylgnie do ciebie etykietka kobiety trudnej i impulsywnej, to może się tak skończyć. Mówię to jako twój przyjaciel. Zdajesz sobie z tego sprawę. Obraziłaś się?

– Nie – odparła szeptem. W sumie wcale jej to teraz nie obchodziło. Mogła myśleć tylko o Billu. Freddie był miłym facetem, ale nie potrafił jej zrozumieć. Jedyne, co go obchodziło, to film. Nie

widział tego spojrzenia w oczach Billa… ani nie słyszał, jak się zacinał.

– Świetnie – dodał. – Może wybierzesz się ze mną do Zająca i Ogara. Wypijemy sobie po jednym.

Pokręciła głową.

– To ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba. Pojadę do domu i przemyślę wszystko.

– Zadzwonię po samochód – powiedział.

– Nie. Pojadę pociągiem.

Przyjrzał się jej z uwagą – jego dłoń spoczywała na telefonie.

– Sądzę, że zdecydowałaś się pojechać za nim – rzekł Freddie. – A ja twierdzę, że popełniasz poważny błąd, moja droga. Billowi coś odwaliło, ale to facet o solidnych fundamentach. Jak mu przejdzie, to wróci. Gdyby chciał, żebyś z nim pojechała, toby ci powiedział.

– Nic nie zdecydowałam – odparła, choć w głębi serca czuła, że podjęła już decyzję, zanim jeszcze tego ranka przyjechał po nią samochód.

– Uważaj, kochanie! – ostrzegł Freddie. – Nie zrób czegoś, czego potem mogłabyś żałować.

Uświadomiła sobie, że próbował na nią wywrzeć nacisk – żądał, aby się poddała, złożyła obietnicę, robiła, co do niej należało, i czekała cierpliwie, aż Bill wróci… albo ponownie zniknie

w mrocznej aurze przeszłości, z której się wyłonił.

Podeszła do niego i pocałowała go lekko w policzek.

– Na razie, Freddie.

Dotarła do domu i zadzwoniła na lotnisko. Skontaktowała się z British Airways. Powiedziała urzędniczce, że chciałaby wiedzieć, jak najszybciej mogłaby dostać się do małego miasteczka Derry w stanie Maine. Przez chwilę panowała cisza, podczas gdy urzędniczka sprawdzała dane na komputerze… i nagle, niby znak z niebios, okazało się, że BA 23 ma postój w Bangor, niecałe pięćdziesiąt mil od miasta, które miało być jej punktem docelowym.

– Czy mam zarezerwować dla pani miejsce?

Audra zamknęła oczy i zobaczyła niedostępne, w sumie dość przystojne, przepełnione powagą oblicze Freddiego, a potem usłyszała jego głos: „Uważaj, kochanie. Nie zrób czegoś, czego potem mogłabyś żałować”.

Freddie nie chciał, aby wyjeżdżała. Bill również. Czemu więc jej serce tak gorąco namawiało ją do wyjazdu? Zamknęła oczy. Jezu. Czuję się po prostu okropnie…

– Proszę pani? Jest tam pani jeszcze?

– Proszę zarezerwować dla mnie miejsce – powiedziała Audra, a potem się zawahała. „Uważaj, kochanie…”. Może powinna przespać się z tym problemem. Zdystansować od całego tego szaleństwa. Zaczęła gmerać w torebce w poszukiwaniu karty American Express. – Na jutro. Może być pierwsza klasa, ale wezmę cokolwiek.

A jeżeli zmienię zdanie, zawsze mogę zrezygnować. Pewno tak zrobię. Rano się obudzę i wszystko będzie dla mnie jasne i normalne.

Ale tego ranka nic nie było jasne, a serce bardziej usilnie niż zwykle nakłaniało ją do wyjazdu. We śnie dręczyły ją koszmary. Zadzwoniła więc do Freddiego – nie dlatego, że chciała; po prostu uważała, że jest mu to winna. Nie zdołała powiedzieć wiele – łamiącym się głosem starała się mu wyjaśnić, jak bardzo czuła, że Bill jej potrzebuje – kiedy rozległo się głuche, jednoznaczne szczęknięcie. Freddie odwiesił słuchawkę, nie mówiąc nic prócz wstępnego powitania.

Jednak w pewnym sensie Audra czuła, że ten cichy szczęk mówił jej wszystko, co chciała wiedzieć.

7

Samolot wylądował w Bangor o siódmej zero dziewięć letniego czasu wschodnioamerykańskiego. Audra była jedyną osobą, jaka tu wysiadała, i pozostali pasażerowie popatrywali na nią z pewną dozą zadumy i zaciekawienia, najprawdopodobniej zastanawiając się, czemu ktokolwiek mógłby chcieć tu pozostać, w tym małym, zapomnianym przez Boga miejscu.

Audra chciała im powiedzieć: Szukam mojego męża, oto powód. Wrócił do małego miasta, niedaleko stąd, bo jeden z jego kumpli z dzieciństwa zadzwonił do niego i przypomniał o obietnicy złożonej wiele lat temu. Obietnicy, o której prawie nie pamiętał. Na skutek tego telefonu zupełnie nieoczekiwanie uświadomił sobie, że od ponad dwudziestu lat nie myślał o swoim zmarłym bracie. I dlatego ponownie zaczął się jąkać… a na jego dłoniach pojawiły się zabawne białe blizny.

A wówczas, pomyślała, agenci ochrony wezwaliby pielęgniarzy, którzy założyliby jej kaftan bezpieczeństwa.

Odebrała swoją jedyną torbę (wyglądała na bardzo samotną, gdy jechała po ruchomym pasie), a potem zbliżyła się do stanowisk

wypożyczalni samochodów, przy których mniej więcej godzinę później zjawił się Tom Rogan. Dopisało jej szczęście – okazało się, że w National Car Rental mieli datsuna.

Dziewczyna wypełniła formularz, a Audra go podpisała.

– Tak myślałam, że to pani – powiedziała dziewczyna, a potem nieśmiało spytała: – Czy mogę prosić o autograf?

Audra dała jej autograf, podpisując się na odwrocie formularza wypożyczalni, i pomyślała: Ciesz się tym, póki możesz, dziewczyno. Jeżeli Freddie Firestone ma rację, za pięć lat nie będzie wart funta kłaków. Z pewnym rozbawieniem zdała sobie sprawę, że po piętnastu minutach od swego powrotu do Stanów znów zaczęła myśleć jak typowa Amerykanka. Otrzymała mapę samochodową, a dziewczyna, tak onieśmielona, że z trudem mówiła, objaśniła jej, jak najlepiej dojechać do Derry.

Dziesięć minut potem Audra była już w drodze, przypominając sobie przy każdym skrzyżowaniu, że jeżeli przez zapomnienie pojedzie lewą stroną, będą ją musieli zdrapywać z asfaltu. I siedząc za kierownicą, uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy dotąd nie była równie przerażona.

8

Wskutek dziwnego zbiegu okoliczności czy kaprysu losu (które w Derry zdarzają się o wiele częściej niż gdzie indziej) Tom wynajął pokój w Koala Inn przy Outer Jackson Street, a Audra w Holiday Inn. Dwa motele stały obok siebie – parkingi przed nimi oddzielał jedynie wąski pas betonowego chodnika. Po wynajęciu pokoju Audra zaparkowała wypożyczonego datsuna dokładnie naprzeciw LTD Toma, ale po przeciwnej stronie chodnika. Oboje teraz spali – Audra cicho na boku, a Tom Rogan na plecach, chrapiąc tak, że jego nabrzmiałe wargi trzepotały donośnie.

9

Henry spędził ten dzień na ukrywaniu się. Ukrywał się w rowach przy Route 9. Czasami spał. Czasami leżał na ziemi, przyglądając się policyjnym wozom przemykającym opodal jak psy gończe. Podczas gdy Frajerzy jedli lunch, Henry nasłuchiwał głosów z księżyca. A kiedy zapadł zmrok, wyszedł na drogę i wystawił rękę z odgiętym kciukiem.

Niedługo potem jakiś przejeżdżający tamtędy dureń zatrzymał się, aby go podwieźć.

DERRY:
Trzecie interludium

Szedł sobie ptaszek chodnikiem
Z wzniesioną do góry głową
Robaka dziobkiem wpół chwycił
I połknął go na surowo
Emily Dickinson, *Szedł sobie ptaszek chodnikiem*

17 marca 1985

Pożar w Black Spot wybuchł późną jesienią 1930 roku. O ile wiem, ten pożar – z którego mój ojciec nieomal cudem się uratował – zakończył cykl zabójstw i zaginięć na przełomie 1929 i 1930 roku, podobnie jak wybuch w Zakładach Kitchenera zakończył cykl przed dwudziestu pięciu laty. Wyglądało na to, jakby potrzebna była olbrzymia ofiara, aby zakończyć cykl i uspokoić potworną siłę, która tu grasuje… a tym samym uśpić To na kolejne ćwierćwiecze.

Jeżeli jednak tego typu ofiara jest konieczna przy zakończeniu każdego cyklu, to wydaje mi się, że jednocześnie podobne wydarzenie musi rozpocząć każdy kolejny okres.

To przywodzi mi na myśl gang Bradleya. Ich egzekucji dokonano u zbiegu trzech ulic – Canal, Main i Kansas, w sumie niedaleko od miejsca widocznego na zdjęciu, które ożyło w 1958 roku, kiedy oglądali je Bill i Richie – jakieś trzynaście miesięcy przed pożarem w Black Spot w październiku 1929… na krótko przed krachem na giełdzie.

Podobnie jak w przypadku pożaru w Black Spot, wielu mieszkańców Derry udaje, że nie pamięta, co się wówczas wydarzyło. Albo wyjechali z miasta, udając się z wizytą do krewnych, albo tego popołudnia ucięli sobie dłuższą drzemkę i dowiedzieli się o całym zdarzeniu z wieczornych wiadomości w radiu, albo też po prostu patrzą na ciebie i kłamią w żywe oczy. Zgodnie z rejestrami policyjnymi tego dnia szefa Sullivana w ogóle nie było w mieście („Pewnie, że pamiętam – powiedział mi Aloysius Nell, siedząc na słonecznym tarasie domu starców w Bangor. – To był mój pierwszy rok służby w policji i powinienem pamiętać. Wyjechał do zachodniego Maine zapolować na ptaki. Zanim wrócił, tamtych zakryto już prześcieradłami i wywieziono. Jim Sullivan nielicho się wtedy wkurzył"), ale zdjęcie w książce opisującej postacie sławnych gangsterów wyraźnie ukazuje uśmiechniętego faceta stojącego w kostnicy obok posiekanego kulami trupa Ala Bradleya i jeżeli ten facet nie jest Sullivanem, to znaczy, że jest to z pewnością jego brat bliźniak. To właśnie pan Keene opowiedział mi (moim zdaniem) prawdziwą wersję tego zdarzenia – Norbert Keene, który od 1925 do 1975 roku był właścicielem

drugstore’u przy Center Street. Rozmawiał ze mną dość chętnie, ale podobnie jak ojciec Betty Ripsom nakazał mi wyłączyć magnetofon, zanim rozpoczął swoją opowieść. Zrobiłem to. Nawet teraz słyszę jego głos, dźwięczny i silny, brzmiący *a cappella* głos pojedynczego śpiewaka z chóru, który tworzy to przeklęte miasto.

– Nie widzę powodu, by ci o tym nie opowiedzieć – rzekł. – Nikt tego nie wydrukuje, a gdyby nawet, kto by w to uwierzył?

Podsunął mi stary apteczny słoik.

– Pałeczkę toffi? Pamiętam, że zawsze lubiłeś czerwone, Mikey.

Wziąłem jedną.

– Czy szef Sullivan był tam tego dnia?

Keene roześmiał się i wziął sobie jedną pałeczkę toffi.

– Zastanawiasz się nad tym, co?

– Owszem – przyznałem, żując kawałek czerwonej pałeczki. Ostatni raz zajadałem się tym jeszcze w dzieciństwie; smakowały mi teraz tak samo jak przed laty.

– Jesteś zbyt młody, aby pamiętać, jak Bobby Thomson zdobył decydujący punkt dla Gigantów w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Musiałeś mieć wtedy cztery lata. No, ale do rzeczy. Parę lat później w gazetach napisali o tym

sporo artykułów i wyglądało na to, jakby w owym dniu na tym placu było z milion osób. – Keene żuł długiego cukierka i wąska ciemnoczerwona strużka wyciekła mu z kącika ust. Otarł ją skrzętnie chusteczką. Siedzieliśmy w biurze na tyłach sklepu, bo chociaż Norbert Keene miał wówczas osiemdziesiąt pieć lat i od lat dziesięciu przebywał na emeryturze, nadal prowadził księgowość dla swego wnuka. – Ze sprawą gangu Bradleya było dokładnie na odwrót! – wykrzyknął Keene. Uśmiechnął się, ale nie był to przyjemny uśmiech, raczej, powiedziałbym, cyniczny i zimny. – Wówczas Derry liczyło około dwudziestu tysięcy mieszkańców. Main Street i Canal Street od czterech lat były wybrukowane, ale Kansas Street była wciąż bitą drogą. Latem diabelnie się tam kurzyło, a w marcu i listopadzie zamieniała się w grzęzawisko. W czerwcu każdego roku Milowe Wzgórze było polewane, a Czwartego Lipca burmistrz w swoim przemówieniu stale przyrzekał, że Kansas Street zostanie wybrukowana, ale stało się to dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Ale, ale… o czym to ja mówiłem?

– Że miasto liczyło dwadzieścia tysięcy mieszkańców – podpowiedziałem.

– Och. A, tak. Cóż, spośród tych dwudziestu tysięcy połowa, a może nawet więcej, obecnie już nie żyje. Pięćdziesiąt lat to szmat czasu, a w Derry ludzie mają dziwną tendencję do umierania w młodym wieku. Może to tutejsze powietrze. Ale spośród tych, którzy pozostali, jak sądzę, nie więcej niż tuzin przyznałoby się do tego, że byli w mieście w dniu, kiedy gang Bradleya przeniósł się na łono Abrahama. Wydaje mi się, że przyznałby się do tego Butch Rowden ze sklepu mięsnego; na ścianie, przy której kroi mięso, wisi zdjęcie jednego z samochodów tych bandziorów. Gdy patrzy się na tę fotografię, z trudem można się zorientować, że to kiedyś było auto. Charlotte Littlefield powiedziałaby ci to i owo, gdybyś trafił w jej słaby punkt; uczy w liceum i choć, jak sądzę, nie miała wtedy więcej niż dziesięć, dwanaście lat, założę się, że sporo pamięta. Carl Snow… Aubrey Stacey… Eben Stampnell… i ten stary piernik, który maluje te śmieszne obrazy i całymi wieczorami chla u Wally'ego. Pickman, tak się chyba nazywa. Oni pamiętają. Oni wszyscy tam byli… – Zawiesił głos na chwilę, patrząc na trzymany w dłoni długi cukierek. Zastanawiałem się, czy nie powinienem go zacząć nakłaniać, aby podjął przerwaną opowieść i mówił nieco

żwawiej, ale w końcu zmieniłem zdanie. Wreszcie powiedział: – Co się tyczy pozostałych, sądzę, że poczęstowaliby cię kłamstwem podobnym do tego, że widzieli, jak Bobby Thomson przesądził o wyniku meczu, ale nie o to chodzi. Na temat tego meczu ci ludzie kłamią, bo po prostu chcieliby tam być. Natomiast jeśli chodzi o ich pobyt w Derry owego dnia, kłamią, bo chcieliby być wówczas gdzie indziej. Rozumiesz mnie, synu?

Skinąłem głową.

– Na pewno chcesz usłyszeć całą tę historię? – zapytał mnie Keene. – Wygląda pan nieszczególnie, panie Mikey.

– Nie, nie – powiedziałem. – Chcę usłyszeć wszystko.

– W porządku – mruknął łagodnie Keene.

To był mój dzień na wspomnienia; kiedy podsunął mi apteczny słój z pałeczkami toffi, przypomniałem sobie nagle program radiowy, którego słuchali moi rodzice, kiedy byłem jeszcze dzieckiem – *Pan Keene, poszukiwacz zaginionych osób*.

– Tak, szef policji był tego dnia w mieście. Miał wybrać się na polowanie na ptaki, ale szybko zmienił zdanie, kiedy Lal Machen złożył

mu wizytę i powiedział, że wieczorem spodziewa się wizyty Ala Bradleya.

– Skąd Machen o tym wiedział?

– To ciekawa historia – odparł Keene i na jego obliczu znów wykwitł cyniczny uśmieszek. – Bradley nigdy nie zajmował pozycji wroga publicznego numer jeden na liście FBI, ale federalni chcieli ich dorwać mniej więcej od tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. Myślę, że chcieli po prostu się wykazać. Pokazać, co potrafią. Zawzięli się na nich. Al Bradley i jego brat George obrobili sześć czy siedem banków na Środkowym Zachodzie, a potem porwali bankiera dla okupu. Okup został wypłacony, trzydzieści tysięcy dolarów to spora suma jak na te lata, ale ci gangsterzy i tak rąbnęli bankiera. Ponieważ na Środkowym Zachodzie zrobiło się dla nich za gorąco, Al, George i reszta bandy pojechali na północny wschód, w naszą stronę. Wynajęli sobie wielką farmę na przedmieściach Newport, nieopodal miejsca, gdzie dziś stoi farma Rhulinów.

To był lipiec, sierpień, a może nawet początek września tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku… nie pamiętam dokładnie. Było ich w sumie ośmioro: Al Bradley, George Bradley, Joe Conklin i jego brat Cal, Irlandczyk Artur

Malloy, którego nazywali „Kretem”, bo był krótkowidzem, ale zakładał okulary tylko wtedy, kiedy naprawdę musiał, i Patrick Caudy, młodzik z Chicago, świr opętany manią zabijania, ale przystojny jak Adonis. Były też z nimi dwie kobiety: Kitty Donahue, konkubina George’a Bradleya, i Marie Hauser, która należała do Caudy’ego, ale zgodnie z tym, co później mówiono, od czasu do czasu zabawiała się z innymi.

Popełnili zasadniczy błąd, przyjeżdżając tutaj, synku; wychodzili z założenia, że skoro znajdują się tak daleko od Indiany, to mogą się czuć bezpieczni. Na krótki czas trochę przycichli, ale niebawem znudzili się i postanowili wyruszyć na łowy. Mieli sporo spluw, ale cienko stali z amunicją. Toteż siódmego października przyjechali dwoma samochodami do Derry. Patrick Caudy zabrał obie kobiety na zakupy, a pozostali mężczyźni wybrali się do sklepu Machena. Kitty Donahue kupiła u Freese’a sukienkę, a dwa dni później była już martwa.

Lal Machen osobiście wyszedł tym facetom na spotkanie. Umarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Był zbyt gruby. Zawsze miał sporą nadwagę. Ale dzięki dobrym

oczom od razu rozpoznał Ala Bradleya, kiedy tylko te typy weszły do sklepu. W każdym razie tak twierdził. Wydawało mu się, że rozpoznał też kilku pozostałych, ale co do Malloya nie miał pewności, dopóki ten nie nałożył okularów, aby przyjrzeć się wystawionej w gablocie kolekcji noży. Al Bradley podszedł do niego i powiedział:

– Chcielibyśmy kupić trochę amunicji.

– Cóż – mówi Lal Machen. – Trafiliście we właściwe miejsce.

Bradley podał mu kartkę i Lal przeczytał jej treść na głos. O ile wiem, kartka gdzieś się zapodziała, ale jak powiedział Lal, to, co zobaczył, sprawiło, że krew zastygła mu w żyłach. Chcieli pięćset nabojów kalibru trzydzieści osiem, osiemset kalibru czterdzieści pięć, sześćdziesiąt pocisków kalibru pięćdziesiąt, których już się nawet dziś nie produkuje, naboje do strzelb (zarówno pociski śrutowe, jak i breneki) oraz tysiąc pocisków do karabinów kalibru dwadzieścia dwa typu Long i Short Rifle. Do tego, uważaj, szesnaście tysięcy nabojów kalibru czterdzieści pięć do broni maszynowej.

– O, w mordę! – powiedziałem.

Keene znowu uśmiechnął się cynicznie i podsunął mi apteczny słoik. W pierwszej chwili podziękowałem ruchem głowy, ale

zmitygowałem się i wziąłem kolejną słodką pałeczkę.

– To dość spory zakup – rzekł Lal.

– Daj spokój, Al – mówi „Kret” Malloy. – Powiedziałem ci, że nie załatwimy tego na tym cholernym zadupiu. Jedźmy do Bangor. Tam pewno też nic nie kupimy, ale mam ochotę na tę przejażdżkę.

– Spokojnie! – odezwał się Lal. – To wspaniałe zamówienie i nie chciałbym go stracić na rzecz jakiegoś Żyda z Bangor. Naboje do dwudziestekdwójek mogę wam dać już teraz, tak samo jak pociski śrutowe i połowę brenek. Możecie też dostać po sto nabojów trzydziestekósemek i czterdziestekpiątek. Resztę załatwię wam… – Tu Lal przymyka oczy i stuka się po brodzie, jakby się zastanawiał – …na pojutrze. Co wy na to?

Bradley wyszczerzył się od ucha do ucha, jakby ktoś poszerzył mu uśmiech za pomocą brzytwy, i powiedział, że się zgadza. Cal Conklin nadal chciał jechać do Bangor, ale został przegłosowany.

– Jeżeli nie jesteś pewny, czy zdołasz załatwić dla nas to, czego chcemy, to powiedz od razu – mówi Al Bradley do Lala – bo widzisz, ja jestem

spokojny facet, ale wkurzam się, jak ktoś zaczyna robić sobie ze mnie jaja. Kapujesz?

– Kapuję – odpowiada Lal. – I załatwię całą amunicję, jaką pan sobie życzy, panie…

– Rader. Richard D. Rader, do usług.

Al Bradley wyciągnął rękę, a Lal uścisnął ją, uśmiechając się przez cały czas.

– Naprawdę bardzo mi miło, panie Rader.

I wtedy Bradley zapytał go, o której on i jego kolesie mają wpaść po zamówiony towar, a Lal Machen powiedział, żeby przyjechali pojutrze, około czternastej. Zgodzili się na to, a potem wyszli. Lal patrzył, jak odjeżdżali. Na chodniku przed sklepem czekał na nich Caudy z dwiema kobietami. Lal rozpoznał również Caudy'ego.

– No i… – rzekł Keene, przyglądając mi się błyszczącymi oczyma – jak sądzisz, co zrobił wtedy Lal Machen? Zawiadomił gliny?

– Raczej nie – odparłem – zważywszy na to, co się stało. Co się mnie tyczy, chyba połamałbym sobie nogi, pędząc do telefonu.

– Może tak, może nie – powiedział Keene z tym samym cynicznym uśmieszkiem i błyskiem w oczach, a ja aż się wzdrygnąłem, bo wiedziałem, co miał na myśli… i on wiedział, że ja wiedziałem. Kiedy coś ciężkiego zaczyna się staczać, nie sposób tego zatrzymać; to się po

prostu toczy, dopóki nie napotka dostatecznie płaskiego miejsca, gdzie może wytracić cały impet. Możesz stanąć tam na drodze i zostać zmiażdżony… ale i tak tego nie powstrzymasz. – Może nie, może tak – powtórzył Keene. – Ale powiem ci, co zrobił Lal Machen. Przez resztę dnia i cały następny, kiedy do jego sklepu zachodzili faceci, opowiadał im o niedawnej wizycie paru żądnych amunicji i spragnionych polowania podejrzanych typów. Wiedział, kto to był. Członkowie gangu Bradleya. Był tego pewny, bo ich rozpoznał. Powiedział im, że Bradley i jego ludzie wrócą nazajutrz około drugiej, aby odebrać resztę zamówienia. Powiedział im, jak przyrzekł Bradleyowi, że załatwi dla niego tyle amunicji, ile tamten chciał, i miał zamiar dotrzymać obietnicy.

– Ilu? – spytałem. Błysk w jego oczach prawie mnie zahipnotyzował. Nagle suche powietrze panujące w tym pomieszczeniu, zapach medykamentów, proszków, musterolu, vicks vaporubów i syropu na kaszel, wszystkie te zapachy zaczęły mnie dławić w gardle… ale przecież nie mogłem wstrzymywać oddechu w nieskończoność.

– Ilu ludziom Lal dał cynk? – spytał pan Keene. Skinąłem głową. – Nie wiem na pewno –

rzekł Keene. – Nie stałem tam i nie liczyłem. Chyba wszystkim, którym mógł zaufać.

– Tym, którym ufał – mruknąłem z pewnym rozbawieniem. Mój głos był nieco ochrypły.

– Aha – rzekł Keene. – Prawym obywatelom Derry. Nie byle komu. – Wybuchnął śmiechem, rozbawiony starym żartem, zanim w końcu podjął przerwaną opowieść. – Dzień po wizycie Bradleya u Lala pojawiłem się około dziesiątej w jego sklepie. Opowiedział mi o tym, co się stało, a potem zapytał, czym może służyć. Wpadłem tam tylko po to, by sprawdzić, czy ostatnia rolka moich zdjęć została wywołana, w tamtych czasach Machen zajmował się również filmami i aparatami fotograficznymi Kodaka, ale kiedy już odebrałem zdjęcia, poprosiłem też o naboje do mego winchestera.

– Masz chęć trochę postrzelać, Norb? – spytał Lal, wręczając mi paczkę z nabojami.

– Byłoby nieźle stuknąć parę szczurów – odparłem, a potem obaj wybuchnęliśmy śmiechem. Keene roześmiał się i klepnął się po chudej, patykowatej nodze, jakby to był najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek słyszał.

Pochylił się do przodu i poklepał mnie po kolanie.

– Chodzi mi o to, synu, że ta wiadomość rozeszła się w tych kręgach, w których powinna się była rozejść. Widzisz… te małe miasteczka. Jeżeli przekażesz wiadomość właściwej osobie, to możesz być pewny, że dotrze do kogo trzeba… wiesz, o co mi chodzi? Chcesz jeszcze jednego toffi? – Wziąłem czerwoną pałeczkę odrętwiałymi palcami. – Przytyjesz – rzekł Keene i cmoknął głośno.

Wyglądał wtedy staro… piekielnie staro, z dwuogniskowymi okularami zsuwającymi się z jego chudego, ostrego nosa i skórą naciągniętą na policzki tak mocno, że praktycznie nie było na nich żadnych zmarszczek.

– Następnego dnia zabrałem z sobą do sklepu strzelbę, a Bob Tanner, który pracował ciężej niż którykolwiek z moich późniejszych asystentów, przyniósł dubeltówkę ojca. Około jedenastej tego dnia wpadł do sklepu Gregory Cole, potrzebował dwuwęglanu sodu, i niech mnie drzwi ścisną, jeżeli nie miał wciśniętego za pas kolta kalibru czterdzieści pięć.

– Nie odstrzel sobie jaj, Greg – powiedziałem.

– Łeb mnie cholernie boli, bo byłem po tę spluwę aż w Milford i w powrotnej drodze słońce nieźle mi przygrzało – Greg na to. – Ale myślę, że jeszcze przed zmierzchem odstrzelę komuś jaja.

Około pierwszej trzydzieści wywiesiłem na drzwiach tabliczkę z napisem: „Zaraz wracam”, a potem wziąłem strzelbę i wyszedłem ze sklepu od tyłu na Richard’s Alley. Spytałem Boba Tannera, czy chce pójść ze mną, ale odparł, że najpierw musi skończyć sporządzanie lekarstwa dla pani Emerson i że zobaczymy się później. „Niech pan zostawi jednego dla mnie, panie Keene”, powiedział, ale rzecz jasna nie mogłem mu niczego obiecać.

Na Canal Street praktycznie nie było żadnego ruchu, zero pieszych czy samochodów. Tylko raz na jakiś czas przejeżdżała ciężarówka dostawcza i to było wszystko. Zobaczyłem przechodzącego przez ulicę Jake’a Pinnette’a. W obu dłoniach trzymał strzelby. Spotkał się z Andym Crissem, a potem podeszli do jednej z ławek stojących w miejscu, gdzie znajdował się War Memorial, wiesz, tam gdzie zaczyna się podmiejska część kanału.

Petie Vanness, Al Nell i Jimmy Gordon siedzieli na schodach gmachu sądu, jedząc kanapki i owoce wyjmowane z koszyków obiadowych i wymieniając się między sobą jak dzieciaki ze szkoły, kiedy natrafią na kanapkę z czymś, czego nie lubią. Wszyscy byli uzbrojeni. Jimmy Gordon miał springfielda z pierwszej

wojny światowej, karabin, który wydawał się większy od niego.

Zobaczyłem chłopaka idącego w stronę Milowego Wzgórza; być może był to Zack Denbrough, ojciec twojego starego kumpla, który został pisarzem, a Kenny Borton z okna czytelni woła na niego: „Wynoś się stąd, mały, zaraz będzie strzelanina”. Zack spojrzał na niego tylko raz, a potem pobiegł ile sił w nogach. Wszędzie byli uzbrojeni mężczyźni – stali w drzwiach, siedzieli na schodach i wyglądali z okien. Greg Cole siedział na progu z czterdziestkąpiątką na podołku i chyba z tuzinem nabojów ustawionych obok rzędem jak ołowiane żołnierzyki. Bruce Jagermeyer i ten Szwed Olaf Theramenius stali pod markizą kina Bijou w cieniu.

Keene spojrzał na mnie. Jego wzrok pozbawiony był ostrości – miał zamglone wspomnieniami, łagodne oczy jak człowiek, który wspomina właśnie najwspanialsze chwile swego życia: pierwszy punkt zdobyty w meczu baseballowym, pierwszego złowionego przez siebie pstrąga albo ten pierwszy raz z chętną dziewczyną.

– Pamiętam, że słyszałem szum wiatru, synku – rzekł rozmarzonym tonem. – Pamiętam, że słyszałem szum wiatru i jak zegar na gmachu

sądu wybił drugą. Bob Tanner stanął za mną, a ja byłem tak nabuzowany, że o mało nie odstrzeliłem mu głowy. On jednak tylko skinął do mnie głową i podszedł do budynku Vannock's Dry Goods, ciągnąc za sobą mroczny cień. Pewno myślisz, że skoro do dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia po drugiej nic się nie stało, tamci powinni byli rozejść się do domów, no nie? Ale tak się nie stało. Ludzie czekali na swoich pozycjach. Bo…

– Bo wiedzieli, że tamci przyjadą? – spytałem. Ale w gruncie rzeczy to nie było pytanie.

Uśmiechnął się do mnie jak nauczyciel zadowolony z odpowiedzi ucznia.

– Otóż to. Wiedzieliśmy. Nikt nie musiał nic mówić. Nikt nie rzucił: „Zaczekajmy do dwadzieścia po, a jak nie przyjadą, to ja wracam do roboty". Wszyscy czekali spokojnie i w milczeniu, a mniej więcej dwadzieścia pięć po drugiej dwa samochody, jeden czerwony, a drugi granatowy, zjechały w dół Milowego Wzgórza i dotarły do skrzyżowania. Jeden to był chevrolet, a drugi la salle.

Bracia Conklinowie, Patrick Caudy i Maria Hauser siedzieli w chevrolecie. Bradleyowie, Malloy i Kitty Donahue w la salle'u. Zaczęli przejeżdżać przez skrzyżowanie i wszystko było

w porządku, kiedy nagle Al Bradley dał po hamulcach la salle'a tak gwałtownie, że Caudy o mało nie wpakował mu się w kufer. Ulica była zbyt spokojna i Bradley o tym wiedział. Był, co prawda, tylko zwierzęciem, ale po latach ucieczki przed policją potrafił wyczuć pismo nosem. Wiedział, że coś się święci. Otworzył drzwiczki la salle'a i wyszedł na chwilę na zewnątrz. Rozejrzał się wokoło, a potem dał Caudy'emu znak ręką: „zawracaj". Caudy spytał: „Co jest, szefie?". Usłyszałem to wyraźnie i były to jedyne ich słowa. Ujrzałem słoneczny refleks. To również pamiętam. Promień słońca odbił się od małego lusterka puderniczki. Kobieta Hausera pudrowała sobie nos. Właśnie wtedy Lal Machen i jego pomocnik, Biff Marlow, wypadli ze sklepu Machena. „Poddaj się, Bradley! Jesteście otoczeni!", wrzeszczał Lal, ale nim Bradley zdążył choćby odwrócić głowę, Lal zaczął strzelać. Kilka pierwszych strzałów chybiło, ale w końcu jednym trafił Bradleya w ramię. Krew od razu trysnęła z rany. Bradley chwycił drzwiczki la salle'a i wskoczył z powrotem do wozu. Wrzucił bieg i właśnie wtedy wszyscy zaczęli strzelać. Całe zdarzenie nie trwało dłużej niż cztery, pięć minut, ale nam wydawało się, że o wiele dłużej.

Petie i Al, i Jimmy Gordon po prostu siedzieli na schodach budynku sądu i słali kulę za kulą w tył chevroleta. Zobaczyłem, jak Bob Tanner ukląkł na jedno kolano, strzelał i przeładowywał raz po raz jak szalony. Jagermeyer i Theramenius strzelali w prawy bok la salle'a spod markizy kina, a Greg Cole, stojąc w rynsztoku i dzierżąc czterdziestkępiątkę w obu dłoniach, naciskał spust tak szybko, jak tylko mógł. Naraz musiało strzelać około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu mężczyzn.

Kiedy było już po wszystkim, Lal Machen wyjął z ceglanych ścian swego sklepu trzydzieści sześć kul. To było trzy dni po całym zdarzeniu, kiedy praktycznie każdy, kto chciał, wydłubał sobie scyzorykiem ze ściany pamiątkową porcyjkę ołowiu. Kiedy trwała największa nawałnica ogniowa, odgłosy, jakie jej towarzyszyły, przypominały bitwę nad Marną. U Machena kule strzaskały wszystkie szyby.

Bradley wykręcał la salle'em półokrąg i wcale nie robił tego wolno, ale nim tego dokonał, wóz jechał już na czterech kapciach. Oba reflektory zostały wytłuczone, podobnie jak przednia szyba. „Kret" Malloy i George Bradley ostrzeliwali się z tylnego siedzenia wozu przez szybę. Widziałem, jak Malloy dostał kulę w szyję. Pocisk

rozpruł mu całe gardło. Facet wypalił jeszcze dwukrotnie, a potem osunął się bezwładnie w oknie i znieruchomiał z rękoma zwisającymi do ziemi. Caudy próbował wykręcić chevroletem, ale tylko wpakował się w kufer la salle'a Bradleya. I to był w zasadzie ich koniec, synu. Przedni zderzak chevroleta zaczepił o tylny zderzak la salle'a i praktycznie od tej chwili ich los był już przesądzony.

Joe Conklin wyskoczył z tylnego siedzenia i po prostu stanął pośrodku skrzyżowania z pistoletem w każdej ręce, a potem otworzył ogień. Strzelał do Jake'a Pinnette'a i Andy'ego Crissa. Obaj spadli z ławki, na której siedzieli, i wylądowali w trawie. Andy Criss darł się: „Zabił mnie! Jestem już martwy!" jak opętany, choć nawet nie został draśnięty. Jake zresztą też nie.

Joe Conklin zdążył opróżnić magazynki w obu swoich spluwach, zanim go dostali. Jego marynarka i spodnie zafurkotały, jakby jakaś niewidzialna szwaczka wrzuciła je nagle pod swoją maszynę. Miał na głowie słomkowy kapelusz, który naraz pofrunął w powietrze i mogłeś zobaczyć, że ten gość miał przedziałek pośrodku głowy. Jeden pistolet wcisnął pod ramię i próbował załadować drugi, kiedy go ktoś skosił. Potem Kenny Borton powiedział, że to on

go rąbnął, ale raczej trudno byłoby to udowodnić. To mógł być praktycznie każdy. Jak rąbnęli Joego, z wozu wyskoczył brat Conklina, Cal, i zaraz potem padł jak sterta cegieł na ziemię, z wielką dziurą w głowie.

Maria Hauser wysiadła. Może chciała się poddać, nie wiem. W prawej ręce nadal trzymała puderniczkę. Chyba krzyczała, ale panował taki hałas, że nie sposób było jej usłyszeć. Kule świstały wokół nich. Puderniczka wyprysnęła jej z ręki. Zaczęła wycofywać się w stronę samochodu, kiedy dostała postrzał w biodro. Mimo to jednak zdołała dotrzeć do wozu i jakoś wczołgała się z powrotem do środka.

Al Bradley wycofał trochę la salle'a, a potem ruszył do przodu. Chevrolet ciągnął się za nim przez dobre dziesięć stóp, zanim w końcu urwał się zderzak. La salle został uwolniony. Chłopaki zaczęli szpikować go ołowiem. Wszystkie szyby zostały wytłuczone. Jeden z błotników leżał na ulicy. Martwy Malloy zwisał z okna, ale obaj bracia Bradley wciąż jeszcze żyli. George strzelał z tylnego siedzenia. Jego kobieta, martwa, siedziała tuż obok niego. Kula pozbawiła ją oka. Al Bradley dojechał do wielkiego skrzyżowania i nagle auto, pokonawszy zakręt, zatrzymało się. Al wyskoczył zza kierownicy i zaczął biec wzdłuż

Canal Street. Nafaszerowali go kulami. Patrick Caudy wysiadł z chevroleta i przez chwilę wyglądało, jakby zamierzał się poddać, gdy wtem wyrwał z kabury podramiennej trzydziestkęósemkę. Wystrzelił z niej może trzy razy, i to na oślep, a potem jego koszulę pokryły strzępiaste dziury. Osunął się po boku chevroleta i usiadł na chodniku. Strzelił jeszcze raz i o ile wiem, tylko ta jedna kula kogoś trafiła. Odbiła się od czegoś i przeorała wierzch dłoni Grega Cole'a. Pozostała mu blizna, którą zwykle pokazywał, kiedy był naprany, aż któregoś dnia ktoś, może Al Nell, wziął go na stronę i powiedział, że byłoby dobrze, gdyby przestał mleć ozorem i opowiadać o tym, co się stało z gangiem Bradleya.

Kobieta Hausera wysiadła i tym razem nie było wątpliwości, że chciała się poddać: miała podniesione ręce. Być może nikt naprawdę nie chciał jej zabić, ale ona weszła w sam środek ognia krzyżowego.

George Bradley dotarł do ławki przy pomniku, kiedy ktoś odstrzelił mu cały tył głowy ze śrutówki. Facet runął na ziemię ze spodniami mokrymi od moczu…

Keene przerwał na chwilę. Prawie nie zdając sobie z tego sprawy, wyjąłem ze słoja pałeczkę toffi.

– Pruli do tych samochodów jeszcze przez dobrą minutę, zanim w końcu się opanowali – ciągnął Keene. – Kiedy ludzie poczuli krew, trudno ich było uspokoić. I właśnie wtedy rozejrzałem się wokoło i zobaczyłem szefa policji Sullivana stojącego za Nellem i innymi na schodach gmachu sądu, strzelającego raz po raz z remingtona do tego podziurawionego chevroleta.

Nie daj sobie wmówić, gdyby ktoś próbował cię przekonać, że go tam wtedy nie było. Ja, Norbert Keene, mówię ci, że go widziałem. Zanim skończyła się kanonada, te wozy nie przypominały już samochodów, tylko wraki z potłuczonym szkłem, rozsypanym wokół nich. Ludzie zaczęli do nich podchodzić. Nikt nic nie mówił. Słychać było tylko szum wiatru i chrzęst potłuczonego szkła pod butami. A potem zaczęto robić zdjęcia. I wiedz, synu, że kiedy zaczynają robić zdjęcia, jest już po sprawie.

Pan Keene zakołysał się na krześle, patrząc na mnie; podeszwy jego pantofli plasnęły o podłogę.

– W „News” nic o tym nie pisali – zdołałem tylko wykrztusić. Tego dnia nagłówek brzmiał następująco: POLICJA STANOWA I FBI STACZAJĄ WALKĘ Z GANGIEM BRADLEYA. BANDYCI GINĄ

W STRZELANINIE. Z podtytułem: – MIEJSCOWA POLICJA UDZIELA WSPARCIA.

– Oczywiście – rzekł Keene i roześmiał się z ukontentowaniem. – Widziałem, jak wydawca, Mack Laughlin, sam wpakował dwie kule Joemu Conklinowi.

– Chryste! – wymamrotałem.

– Nie chcesz już pałeczek, synu?

– Dziękuję. Już mi wystarczy – odparłem. Oblizałem usta. – Panie Keene, jak coś… tak poważnego… mogło zostać zatuszowane?

– Nic nie zostało zatuszowane – rzekł wyraźnie zdziwiony. – Tyle że nikt o tym nie mówił. A poza tym kogo to obchodziło? Nie zastrzelono prezydenta ani pani Hoover. To nie było nic więcej niż zastrzelenie paru wściekłych psów, które zabiłyby cię jednym ugryzieniem, gdybyś tylko nieopatrznie dał im taką szansę.

– A te kobiety?

– Parę dziwek – mruknął obojętnym tonem. – Poza tym to się stało w Derry, nie w Nowym Jorku czy Chicago. To miejsce decyduje o przekazywanych informacjach na temat wydarzeń, jakie w nim zachodzą, synu. To dlatego są większe nagłówki, kiedy podczas trzęsienia ziemi w Los Angeles zginie dwanaście osób, niż kiedy na jakimś zadupiu na Środkowym

Zachodzie w podobnym kataklizmie śmierć poniesie trzy tysiące ludzi. Poza tym to się stało w Derry.

Słyszałem to już wcześniej i przypuszczam, że jeżeli będę kontynuował swoje poszukiwania, jeszcze niejednokrotnie spotkam się z taką opinią.

Mówią to zupełnie spokojnie, jakby rozmawiali z osobą opóźnioną umysłowo. Mówią to tak, jakby odpowiadali na pytanie: „Dlaczego kijek wypuszczony z ręki spada na ziemię?”. „Z powodu grawitacji”. Mówią to, jakby to było całkiem naturalne prawo, które każdy normalny człowiek powinien zrozumieć. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja rozumiem.

Miałem jeszcze jedno pytanie do Norberta Keene’a.

– Czy tamtego dnia, kiedy zaczęła się strzelanina, zobaczył pan kogoś, kogo nie potrafił pan rozpoznać?

Pan Keene odpowiedział tak szybko, że temperatura mojej krwi spadła o dobre dziesięć stopni, a w każdym razie tak się właśnie poczułem.

– Chodzi ci o klowna? Skąd się o nim dowiedziałeś, synu?

– Gdzieś usłyszałem – odparłem.

– Widziałem go tylko przez moment. Kiedy zrobiło się gorąco, byłem zbyt zajęty pilnowaniem własnego tyłka. Tylko raz rozejrzałem się wokoło i zobaczyłem go po drugiej stronie ulicy, pod markizą kina Bijou. Nie miał na sobie stroju klowna czy czegoś w tym stylu. Nosił farmerskie spodnie z szelkami i bawełnianą koszulę. Ale jego twarz pokrywała ta biała szminka, której oni używają, no i miał wielki, pomalowany, czerwony błazeński uśmiech. A do tego sterczące na boki kępki sztucznych włosów, wiesz. Pomarańczowe. Dość śmieszne. Lal Machen nie widział tego gościa, ale Biff go zauważył. Tyle że Biff musiał być nieźle podekscytowany, bo powiedział, że zauważył go w jednym z okien apartamentu na piętrze po lewej stronie, a jak któregoś dnia spytałem o to Jimmy'ego Gordona, wiesz, on zginął w Pearl Harbor, poszedł na dno ze swym okrętem, chyba Californią, powiedział mi, że dostrzegł tego faceta ukrytego z tyłu za pomnikiem. – Keene pokręcił głową i uśmiechnął się pod nosem. – To zabawne, jak ludzie się zachowują podczas tego typu zdarzeń, a jeszcze śmieszniejsze jest, kiedy już po wszystkim zaczynają rozpowszechniać własną wersję tego, co się wydarzyło. Weź kilkunastu ludzi i wysłuchaj, co mają na ten temat do

powiedzenia, a okaże się, że każdy z nich opowie ci zupełnie inną historię. Na ten przykład spluwa, którą miał ten gość…

– Spluwa? – spytałem. – To on też strzelał?

– Tak – przyznał Keene. – Kiedy go dostrzegłem, wyglądało na to, że trzymał w dłoni winchestera, ale dopiero potem doszedłem do wniosku, że myślałem tak dlatego, gdyż ja miałem właśnie taki karabin. Biff Marlow myślał, że klown miał remingtona, bo to był karabin, którym on się posługiwał. A kiedy spytałem o to Jimmy'ego, powiedział, że ten facet strzelał ze springfielda, takiego jak on miał. Zabawne, co?

– Zabawne – przyznałem. – Panie Keene… czy pana albo w ogóle kogokolwiek nie dziwiło, co mógł robić w Derry klown, i to na dodatek ubrany w farmerskie spodnie?

– Pewno – odrzekł Keene. – Nie było to w sumie nic szczególnego, jak zapewne rozumiesz, ale to oczywiste, że się nad tym zastanawialiśmy. Większość nas doszła do wniosku, że to był ktoś, kto miał chęć przyłączyć się do zabawy, ale nie chciał, aby go rozpoznano. Może członek rady miejskiej, Horst Mueller, albo nawet Trace Naugler, który był wtedy burmistrzem. W sumie to mógł być ktoś z bardziej znanych obywateli Derry. Lekarz albo

prawnik. W tym przebraniu nie rozpoznałbym nawet własnego ojca.

Roześmiał się niezbyt głośno i zapytałem go, co go rozśmieszyło.

– Bardzo możliwe, że to był rzeczywiście prawdziwy klown – odrzekł. – Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych wesołe miasteczko zjawiało się w tych stronach częściej niż obecnie i przebywało w Esty już od tygodni, funkcjonując wprost znakomicie, kiedy w Derry rozprawialiśmy się z gangiem Bradleya. W wesołym miasteczku byli również klowni. Może jeden z nich wyniuchał, że zapowiada się u nas niezła strzelanina, a chciał wziąć w niej udział, więc złożył w Derry krótką, niezapowiedzianą wizytę. – Uśmiechnął się do mnie oschle. – Już prawie skończyłem, ale skoro tak się interesujesz tą sprawą, powiem ci jeszcze jedno. Słuchaj uważnie. Powiedział mi o tym Biff Marlow jakieś szesnaście lat później, kiedy siedzieliśmy w knajpie w Bangor, popijając piwo, tak zupełnie bez powodu. Jak twierdził, klown wychylał się z okna tak bardzo, że Biff po prostu nie mógł uwierzyć, jak tamten nie wypadł na zewnątrz. Nie tylko jego głowa, barki i ramiona znajdowały się za oknem; Biff mówił, że facet wychylał się aż po kolana i zawisając tak

w powietrzu, strzelał do samochodów, którymi przyjechali członkowie gangu Bradleya, a na jego białej twarzy widniał szeroki, czerwony uśmiech. „Wyglądał jak upiór”, powiedział mi wtedy Biff.

– Jakby pływał w powietrzu – dodałem.

– Tak – przyznał pan Keene. – A Biff powiedział jeszcze coś, co przez wiele tygodni po tym wydarzeniu nie dawało mi spokoju. To tak jak ze słowem, które niemal masz na końcu języka i nie potrafisz go sobie przypomnieć, albo kiedy coś cię swędzi i chociaż się drapiesz, ani trochę ci nie przechodzi. Biff twierdził, że przypomniał sobie, co go dręczyło którejś nocy, kiedy musiał wstać, żeby „odcedzić kartofelki”. Stał nad miską klozetową, odlewając się i nie myśląc o niczym konkretnym, kiedy nagle uświadomił sobie, że do strzelaniny przecież doszło o drugiej dwadzieścia pięć po południu i słońce wisiało wysoko na niebie, a mimo to klown nie rzucał cienia. Wcale. Ten klown nie miał cienia.

CZĘŚĆ IV
Lipiec 1958

Leżysz w letargu i czekasz na mnie,
czekasz na ogień,
a ja, zajmując się tobą,
jestem wstrząśnięty twoją urodą

Wstrząśnięty twoją urodą
wstrząśnięty
William Carlos Williams, *Paterson*

Kiedy w czepku przyszedłem na
świat,

Lekarz poklepał mnie z tyłu
I powiedział – będziesz kimś
szczególnym
ty słodki, mały Toot Toot.
Sidney Simien, *My Toot Toot*

ROZDZIAŁ 13
Wielka bitwa na kamienie

1

Bill dociera na miejsce pierwszy. Siada na krześle w czytelni, nieopodal drzwi, patrząc, jak Mike zajmuje się ostatnimi tego wieczoru klientami – starszą kobietą z plikiem broszurowych powieści gotyckich, facetem z olbrzymim tomiszczem traktującym o wojnie secesyjnej i chudym chłopakiem chcącym wypożyczyć książkę z naklejką siedmiodniowego terminu zwrotu na plastikowej okładce. Bill nie jest ani trochę zdziwiony, kiedy uświadamia sobie, że to jego ostatnia powieść. Odnosi wrażenie, jakby okres dziwienia się czemukolwiek miał już dawno za sobą.

Niebrzydka dziewczyna w kraciastej spódnicy zapiętej wielką złotą agrafką (Chryste, nie

widziałem takich od lat, myśli Bill, czyżby znowu były modne?) wrzuca ćwierćdolarówki do kopiarki i robi odbitki, popatrując jednym okiem na wielki zegar z wahadłem za stołem bibliotecznym. Rozlegające się tu odgłosy są ciche i przyjemne dla ucha – łagodny szelest podeszew na czarno-czerwonym linoleum; regularne tykanie zegara odmierzającego sekundy; przypominające kocie pomrukiwanie kserokopiarki.

Chłopak zabiera powieść Williama Denbrough i podchodzi do stojącej przy maszynie dziewczyny, która właśnie skończyła odbijać i zaczęła składać kartki.

– Zostaw po prostu te odbitki na stole, Mary – mówi Mike. – Ja je poskładam.

Uśmiecha się doń z wdzięcznością.

– Dziękuję, panie Hanlon.

– Dobranoc. Dobranoc, Billy. I idźcie oboje prosto do domu.

– Bo jak nie będziecie uważać, złapie was… Czarny Lud! – woła Billy, ten chudy chłopak, i obejmuje dziewczynę w talii. Dziewczyna jest bardzo szczupła.

– No cóż, nie sądzę, żeby się połaszczył na takie brzydactwa jak wy – mówi Mike – ale mimo to bądźcie ostrożni.

– Będziemy, panie Hanlon – odpowiada z pełną powagą Mary i uderza chłopaka lekko w ramię. – Chodź, brzydalu – mówi i zaczyna chichotać. W tej samej chwili zmienia się z ładnej, dość atrakcyjnej licealistki w młodziutką, trochę nieporządną jedenastolatkę, którą była Beverly Marsh… i kiedy go mijają, Bill jest wstrząśnięty jej urodą… a także odczuwa potworny strach, chce podejść do chłopaka i powiedzieć mu, że musi iść do domu dobrze oświetlonymi ulicami i nie oglądać się, jeśli ktoś się do niego odezwie.

„Na deskorolce nie można być ostrożnym, proszę pana”, rozlega się widmowy głos we wnętrzu jego czaszki, a Bill uśmiecha się ponuro.

Patrzy, jak chłopak otwiera dziewczynie drzwi. Wchodzą do westybulu, przytulając się mocniej do siebie, i Bill założyłby się, że chłopak niosący pod pachą jego książkę, zanim otworzy wewnętrzne drzwi, skradnie dziewczynie całusa. Byłbyś głupcem, gdybyś tego nie zrobił, Billy, myśli. A teraz doprowadź ją bezpiecznie do domu. Doprowadź ją do domu.

– Zaraz do ciebie przyjdę, Wielki Billu! – woła Mike. – Tylko to wypełnię.

Bill kiwa głową i krzyżuje nogi. Papierowa torba na jego podołku szeleści z cicha. Wewnątrz

jest butelka bourbona. Bill jeszcze nigdy dotąd nie miał tak wielkiej ochoty na drinka. Mike doleje mu wody (jeżeli nie ma lodu), a przy jego obecnym samopoczuciu potrzeba będzie raczej niewiele wody.

Myśli o Silverze opartym o ścianę garażu przy Palmer Lane. To sprawia, że powraca pamięcią do dnia, kiedy spotkali się w Barrens – wszyscy, oprócz Mike'a, i każdy z nich ponownie opowiedział swoją historię: trędowaci pod werandami, mumie chodzące po lodzie, krew wypływająca z umywalki, martwi chłopcy w stacji pomp, zdjęcia, które ożywały, i wilkołaki ścigające małych chłopców wzdłuż opustoszałych ulic.

W przeddzień święta Czwartego Lipca zapuścili się do Barrens – głębiej niż zazwyczaj, teraz pamięta to dokładnie. W mieście było gorąco, ale tu w cieniu przy wschodnim brzegu Kenduskeag panował przyjemny chłód. Przypomina sobie, że nieopodal nich znajdował się betonowy cylinder pomrukujący łagodnie jak przed chwilą kserokopiarka w bibliotece. Bill przypomina to sobie i pamięta, jak po zakończeniu wszystkich opowieści pozostali spojrzeli na niego.

Chcieli, aby im powiedział, co powinni teraz zrobić, jak postępować, a on najnormalniej w świecie nie wiedział. Wtedy ogarnęła go czarna rozpacz.

Teraz, patrząc na cień Mike'a na ścianie, nagle wszystko rozumie – wtedy nie wiedział, ponieważ kiedy się spotkali 3 lipca po południu, nie byli jeszcze w komplecie. To stało się później, przy opuszczonym żwirowym dole za wysypiskiem śmieci, gdzie bez trudu mogłeś wyjść z Barrens albo na Kansas Street, albo na Merit Street. Teraz przebiegało tamtędy pasmo autostrady międzystanowej. Żwirowy dół nie miał nazwy, był stary, a jego spękane ściany porastały chwasty i krzewy. I było tam dostatecznie dużo amunicji, więcej, niż potrzeba do stoczenia wielkiej bitwy na kamienie.

Wcześniej jednak, gdy znajdowali się nad brzegiem Kenduskeag, nie był pewny, co ma powiedzieć – co oni chcieli, aby powiedział. Co on chciał powiedzieć? Pamięta, jak wodził wzrokiem od jednej twarzy do drugiej – Bena, Bev, Eddiego, Stana, Richiego.

I przypomina sobie muzykę. Little Richard. Muzyka. Cicha. I świetlne refleksy rażące oczy. Pamięta te refleksy, ponieważ…

2

Richie powiesił radio na najniższej gałęzi drzewa, o które się opierał. Choć stali w cieniu, promienie słońca odbijały się od powierzchni Kenduskeag i chromowanej obudowy radia, a odblask raził oczy Billa.

– Z-z-zdejmij t-t-to, R-r-richie – rzekł Bill. – O-o-oślepia mnie.

– Jasne, Wielki Billu – powiedział natychmiast Richie i bez typowej dla siebie odzywki zdjął radio z gałęzi. Jednocześnie je wyłączył, choć Bill wolałby, aby tego nie robił; w ten sposób cisza, przerywana jedynie szumem wody i przytłumionym odgłosem pomp, wydawała się nad wyraz głośna. Przyglądali mu się, a on miał ochotę im powiedzieć, aby przestali się na niego gapić; czuł się jak dziwoląg w cyrku.

Rzecz jasna, było to niemożliwe, bo wszyscy czekali, żeby powiedział im, co mają teraz zrobić. Znali przerażającą prawdę i potrzebowali go, aby wskazał im możliwość wykorzystania owej wiedzy. Miał ochotę krzyknąć: „Dlaczego ja?!”, ale przecież w gruncie rzeczy znał odpowiedź na to pytanie. On był tu szefem. Zawsze miewał najlepsze pomysły, a poza tym To zabrało mu brata. Prócz tego – i być może to było najważniejsze – jego obecna pozycja wynikała

z faktu, że w jakiś nie do końca zrozumiały dlań sposób stał się Wielkim Billem.

Spojrzał na Beverly i szybko odwrócił wzrok, widząc ufność i spokój w jej oczach. Patrzenie na Beverly sprawiało, że czuł coś dziwnego w dołku. Jakieś dziwne podniecenie.

– N-nie m-możemy p-pójść na p-p-policję – odezwał się w końcu. Miał wrażenie, że mówi zbyt głośno, a jego głos jest nazbyt ochrypły. – I n-n-nie możemy również o-opowiedzieć o tym r-r-rodzicom. Chyba… – Spojrzał z nadzieją na Richiego. – A c-c-co z twoją m-m-mamą i twoim t-t-tatą, czterooki? Chyba s-s-są w p-p-porządku?

– Mój dobły człowieku – odparł Richie głosem kamerdynera Toodlesa. – Najwyłaźniej nie wiesz nic o moich łodzicach. Oni…

– Mów normalnie, Richie – odezwał się siedzący za Benem Eddie. Siedział tam dlatego, że Ben zapewniał mu dostatecznie dużo cienia. Na jego małej twarzy malowało się zaniepokojenie; przypominała oblicze starca. W prawej ręce ściskał aspirator.

– Pomyśleliby, że nadaję się na pacjenta Juniper Hill – rzekł Richie. Dzisiaj nosił swoje stare okulary. Dzień wcześniej kumpel Henry’ego Bowersa, Gard Jagermeyer, zaszedł Richiego od tyłu, gdy ten stał przy budce z lodami i kupował

właśnie pistacjowy rożek. „Berek. Gonisz!”, ryknął Jagermeyer, który był o dobre czterdzieści funtów cięższy od Richiego, a potem pchnął go oburącz w plecy. Richie wylądował w rynsztoku. Rożek z lodami wypadł mu z ręki, okulary potoczyły się po chodniku. Lewe szkiełko okularów roztrzaskało się, a jego matka dobrała mu się za to do skóry, łając go i nie zważając ani trochę na jego wyjaśnienia.

– Wiem tylko, że stale się gdzieś szlajasz – powiedziała. – Szczerze mówiąc, Richie, czy wydaje ci się, że gdzieś rośnie okularowe drzewo, z którego, gdy jedną parę rozbijesz, możesz sobie zerwać nową?

– Ale, mamo, ten dzieciak mnie popchnął, stanął za mną i pchnął mnie… – Richie był bliski łez. To, że matka nie chciała przyjąć jego wyjaśnień, bolało go bardziej niż wrzucenie do rynsztoka przez Garda Jagermeyera, który był tak głupi, że nawet nie zadawano sobie trudu, aby posłać go do letniej szkoły.

– Nie chcę więcej o tym słyszeć – odparła oschłym tonem Maggie Tozier. – Ale jak następnym razem zobaczysz swego ojca wyprutego, bo pracował do późna trzy noce z rzędu, zastanów się trochę, Richie. Pomyśl o tym, Richie.

– Ale, mamo…

– Dość tego, powiedziałam – ucięła bezceremonialnie, lecz w jej głosie pobrzmiewał smutek. Chyba także była bliska łez. Wyszła wówczas z pokoju, a telewizor został podkręcony bardzo głośno. Richie stał smutny i opuszczony przy kuchennym stole.

To właśnie wspomnienie sprawiło, że Richie ponownie pokręcił głową.

– Moi starzy są równi, ale nigdy nie uwierzyliby w coś takiego.

– A c-c-co z innymi dzieciakami?

Rozejrzeli się wokoło. Po latach Bill stwierdzi, że sprawiali wrażenie, jakby rozglądali się w poszukiwaniu kogoś, kogo z nimi nie było.

– Ale kto? – spytał z powątpiewaniem Stan. – Nie przychodzi mi na myśl nikt, komu mógłbym zaufać.

– A-a-a z-zatem… – zaczął Bill, z trudem formułując słowa. Na chwilę zapadła cisza, podczas gdy on zastanawiał się, co ma powiedzieć dalej.

3

Gdyby zapytać Bena Hanscoma, powiedziałby wam, że to właśnie jego Henry Bowers nienawidził najbardziej spośród wszystkich

członków Klubu Frajerów z powodu tego, co się stało owego popołudnia, kiedy on i Henry spadli z Kansas Street w głąb Barrens, tego, co się wydarzyło wówczas, gdy on, Richie i Beverly uciekli z kina Aladyn, przede wszystkim zaś jednak dlatego, że nie pozwolił Henry'emu ściągnąć podczas egzaminu, za co Henry został zmuszony do odbycia letniego kursu i naraził się na gniew ojca – powszechnie uważanego za nienormalnego – Butcha Bowersa.

Gdybyście spytali Richiego Toziera, powiedziałby wam, że to jego Henry nienawidził najbardziej. Od dnia kiedy uciekł Henry'emu i dwu jego muszkieterom w pawilonie handlowym Freese'a.

Stan Uris twierdziłby, że Henry nienawidził go najbardziej z nich wszystkich, ponieważ był Żydem (kiedy Stan chodził do trzeciej klasy, a Henry do piątej, któregoś razu Henry natarł mu twarz śniegiem aż do krwi, nie zważając na jego histeryczne wrzaski bólu i przerażenia).

Bill Denbrough wierzył, że Henry najbardziej nienawidził go dlatego, że był chudy, jąkał się i lubił się dobrze ubierać. „S-s-spójrz-cie na t-t-tego f-f-fircyka!", wrzasnął Henry podczas szkolnego Dnia Porad Zawodowych, w kwietniu, kiedy zobaczył Billa noszącego krawat; nim dzień

dobiegł końca, krawat został mu zdarty i zawieszony na drzewie w połowie Charter Street.

Nienawidził całej ich czwórki, ale chłopca, który zajmował pierwszą lokatę na Liście Nienawiści Henry'ego, nie było na spotkaniu Klubu Frajerów 3 lipca – był nim czarny chłopak Mike Hanlon, mieszkający ćwierć mili od farmy Bowersów.

Ojcem Henry'ego, dostatecznie szalonym, by w pełni zasługiwać na swoją opinię, był Oscar „Butch" Bowers. Butch Bowers za swe finansowe, fizyczne i psychiczne klęski obwiniał rodzinę Hanlonów, a w szczególności ojca Mike'a. Uwielbiał opowiadać swoim znajomym i synowi, jak Will Hanlon wtrącił go do więzienia, kiedy padły mu wszystkie kurczaki.

– Wiecie, o co mu chodziło? Żeby wyłudzić szmal z ubezpieczalni – mawiał Butch, popatrując na swoich słuchaczy, jakby chciał im dać do zrozumienia: „przerwijcie mi, jeżeli się odważycie". – Po prostu miał paru kolesiów, którzy poświadczyli jego kłamstwa, i to właśnie dlatego musiałem sprzedać swego mercury'ego.

– Kto poświadczył te kłamstwa, tato? – zapytał Henry, wówczas ośmiolatek, płonąc z żądzy zemsty za niesprawiedliwość, jaką wyrządzono

jego ojcu. Mówił sobie w duchu, że jak dorośnie, dorwie tych drani i zwiąże ich, a potem nasmaruje miodem i zostawi przywiązanych do pala nad mrowiskiem, jak to robili w westernach, które oglądał na sobotnich seansach popołudniowych w kinie Bijou.

I ponieważ jego syn był niezmordowanym słuchaczem, Bowers senior napełniał uszy syna litanią nienawiści i prześladującego go pecha. Wyjaśnił synowi, że wszystkie czarnuchy są głupie, niektórzy z nich są jednocześnie sprytni, a w głębi serca nienawidzą białych mężczyzn i tylko czyhają, żeby przelecieć jakąś białą kobietę. Może nie chodziło tylko o pieniądze z ubezpieczenia, rzekł Butch, może Hanlon zdecydował się oskarżyć go o otrucie kurczaków, ponieważ farma Butcha znajdowała się w sąsiedztwie jego farmy. W każdym razie zrobił to i co do tego nie było żadnych wątpliwości. To było równie jasne jak to, że gówno przylepia się do koca. Zrobił to, a potem paru miłośników czarnuchów z miasta wzięło jego stronę i zagroziło, że zapuszkuje Butcha, jeżeli nie zapłaci czarnemu za wyrządzone szkody.

– No i czemu nie? – spytał Butch swego zaaferowanego milczącego syna, przyglądającego mu się okrągłymi jak monety oczyma. – Dlaczego

by nie? To ja walczyłem za ten kraj z Japońcami. Było wielu takich jak my, ale on był jedynym czarnym w okolicy.

Po tym incydencie z kurczakami wypadki zaczęły się mnożyć. Pech nie odstępował Butcha na krok – zepsuł mu się traktor, brona rozwaliła na północnym polu, czyrak na szyi nie chciał się zagoić i trzeba go było przeciąć, ale ponownie wdała się infekcja i musiał usunąć czyrak chirurgicznie; poza tym zaś czarnuch zaczął wykorzystywać zdobyte w nieuczciwy sposób pieniądze i zaniżać ceny, i tym samym odbierał Butchowi klientów.

W uszach Henry'ego brzmiało to jak niekończąca się litania: czarnuch, czarnuch, czarnuch. Wszystko było winą czarnucha. Czarnuch miał miły biały dom z pięterkiem i piecem olejowym, podczas gdy Butch z żoną i synem mieszkali w czymś, co nie było lepsze od baraku krytego papą. Kiedy Butch nie zdołał wyciągnąć z farmy dostatecznie dużo pieniędzy i musiał przez jakiś czas pracować przy ścince drzew, to również było winą czarnucha. Kiedy ich studnia wyschła (w 1956 roku), winę za to także ponosił sąsiad. Później, w tym samym roku, Henry, który miał wówczas dziesięć lat, zaczął karmić psa Mike'a, Pana Chipsa, starymi kośćmi

i prażynkami. Doszło do tego, że kiedy Henry go wołał, pies podbiegał doń, machając ogonem. Gdy pies przyzwyczaił się już do Henry'ego i przyjmował od niego jedzenie, któregoś dnia Henry nakarmił go funtowym hamburgerem nafaszerowanym środkiem owadobójczym. Trutkę znalazł w szopie na farmie. Aby kupić mięso u Costella, przez trzy tygodnie oszczędzał pieniądze. Pan Chips zjadł połowę zatrutego mięsa, a potem przestał.

– No, dalej, zjedz wszystko, psie czarnuchów – powiedział Henry. Pan Chips zamachał ogonem. Ponieważ Henry nazywał go tak od samego początku, uwierzył, że było to jego drugie imię.

Kiedy zaczęły się bóle, Henry wyjął kawałek sznura od bielizny i przywiązał Pana Chipsa do brzozy, żeby nie uciekł i nie pobiegł do domu. Potem usiadł na płaskim, nagrzanym od słońca kamieniu, oparł dłonie pod brodą i patrzył, jak pies zdycha. Trochę długo to trwało, ale Henry nie uznał tego czasu za stracony. Pod koniec Pan Chips dostał drgawek i spomiędzy jego zaciśniętych szczęk pociekła gęsta, zielona piana.

– I jak ci się to podoba, psie czarnuchów? – spytał Henry, a pies na dźwięk jego głosu, choć już zdychał, uniósł wzrok i próbował jeszcze

pomachać ogonem. – Smakował ci lunch, ty kundlu?

Kiedy pies zdechł, Henry odwiązał sznur z jego szyi, poszedł do domu i powiedział ojcu o tym, co zrobił. Oscar Bowers był już wtedy wyjątkowo szalony – rok później opuści go żona, gdy w przypływie szału pobije ją niemal na śmierć. Henry, podobnie jak ona, bał się ojca, a czasami szczerze go nienawidził, ale jednocześnie go kochał. Tamtego popołudnia, po skończeniu swojej opowieści, odniósł wrażenie, jakby w końcu udało mu się odnaleźć klucz do serca ojca, bo ojciec klepnął go w plecy (tak mocno, że Henry o mało się nie przewrócił), zabrał go do pokoju i dał mu piwo. To było pierwsze piwo, jakie Henry wypił, i przez resztę życia smakowi temu będą towarzyszyły jedynie pozytywne uczucia – takie jak radość towarzysząca zwycięstwu i miłość.

– Za dobrą robotę – powiedział szalony ojciec Henry'ego. Stuknęli się brązowymi butelkami i opróżnili je. O ile Henry się orientował, czarnuchy nigdy się nie dowiedziały, kto zabił ich psa, ale, rzecz jasna, snuli swoje przypuszczenia. W każdym razie miał taką nadzieję.

Członkowie Klubu Frajerów znali Mike’a z widzenia – w mieście, gdzie jest tylko jedno czarnoskóre dziecko, byłoby raczej dziwne, gdyby go nie znali – ale Mike nie chodził do szkoły podstawowej w Derry. Jego matka była praktykującą baptystką i posłała Mike’a do szkoły wyznaniowej przy Neibolt Street. Pomiędzy geografią, czytaniem i arytmetyką znajdowały się wykłady z Pisma Świętego, lekcje dotyczące takich tematów, jak znaczenie dziesięciorga przykazań w bezbożnym świecie i dyskusje grupowe o problemach natury moralnej w życiu codziennym (na przykład: co zrobić, jeżeli zobaczysz, że twój kumpel kradnie coś ze sklepu, albo usłyszysz, jak nauczyciel używa imienia Pana Boga.

Mike uważał, że szkoła była w porządku. Czasami miał wrażenie, że coś mu umyka – na przykład możliwość nawiązania szerszych kontaktów z dzieciakami w jego wieku, ale uznał, że to może poczekać do chwili, kiedy pójdzie do liceum. Perspektywa ta nieco go denerwowała, bo miał ciemnobrązową skórę, ale o ile wiedział, zarówno jego matka, jak i ojciec cieszyli się w mieście pełnym szacunkiem i Mike wierzył, że jeśli będzie traktował innych w ten sam sposób, to i jemu podobnie odpłacą.

Rzecz jasna Henry Bowers stanowił wyjątek od reguły. Choć Mike starał się tego nie okazywać, bał się Henry'ego. Bał się go jak diabli. W 1958 roku Mike był szczupły i dobrze zbudowany, wyższy od Stana Urisa, ale niższy od Billa Denbrough. Był zarazem szybki i zręczny, co kilkakrotnie pozwoliło mu uniknąć pobicia przez Henry'ego. Poza tym chodzili do innych szkół. Z tego też względu oraz z uwagi na różnicę wieku ścieżki tych dwóch chłopców przecinały się raczej rzadko. Mike starał się za wszelką cenę, aby tak pozostało. Cóż za ironia – choć Henry nienawidził Mike'a Hanlona najbardziej spośród dzieciaków w Derry, Mike najmniej ucierpiał z nich wszystkich.

Istotnie, parę razy zarobił po głowie. Następnej wiosny po tym, jak Henry otruł Mike'owi psa, kiedy Mike szedł któregoś dnia do biblioteki, Bowers niespodziewanie wyskoczył z krzaków i zastąpił mu drogę. Był koniec marca, dzień dostatecznie ciepły na przejażdżkę rowerem, ale w tamtym okresie biegnąca tuż za farmą Bowersów Witcham Road była zwykłym ziemistym traktem, co oznaczało, że wiosną zmieniała się w grząskie błocko i była nieprzejezdna dla rowerów.

– Siemasz, czarnuchu – powiedział Henry, wyłaniając się spomiędzy krzaków z uśmiechem na twarzy.

Mike cofnął się, popatrzył bacznie w prawo i w lewo, oceniając szanse ucieczki. Wiedział, że gdyby zdołał wyminąć Henry'ego, byłby uratowany – Henry był wielki i silny, ale jednocześnie powolny.

– Jak tam, asfalcie – rzekł Henry, zbliżając się do niego. – Jesteś dziś jakoś mniej czarny, ale nie martw się, ja to załatwię.

Mike spojrzał w lewo i wykonał skręt ciałem w tę stronę. Henry dał się nabrać i rzucił się w tym kierunku, zbyt szybko i zbyt daleko, aby mógł się zatrzymać. Mike gładko wykonał skręt w prawo (w drugiej klasie liceum będzie grał w szkolnej drużynie futbolowej w ataku i tylko złamanie nogi w połowie sezonu nie pozwoli mu na przekroczenie niepobitego do tej pory rekordu zdobytych punktów).

Gdyby nie błoto, z łatwością wymknąłby się Henry'emu. Było jednak ślisko i Mike wyłożył się na kolana. Zanim zdołał się podnieść, Henry już go dopadł.

– Czarnuch! Czarnuch! Czarnuch! – wrzeszczał Henry w niemal religijnej ekstazie, turlając Mike'a w błocku. Błoto dostało się

Mike’owi za koszulę i do spodni. Czuł, jak wlewa mu się do butów. Jednak nie zaczął płakać aż do chwili, gdy Henry unurzał mu w błocie twarz i lepki muł zakleił mu obie dziurki od nosa. – Teraz jesteś czarny! – ryknął radośnie Henry, wcierając Mike’owi błoto we włosy. – Teraz naprawdę jesteś czarny! – Zadarł Mike’owi popelinową kurtkę i podkoszulek, a potem rozsmarował mu pokaźną porcję błota na brzuchu. – Teraz jesteś czarny jak noc w szybie kopalni! – zawołał triumfalnie i napakował mu po garści błota do uszu. Potem podniósł się, cofnął i podparłszy się ubłoconymi rękami, krzyknął: – To ja zabiłem twojego psa, czarniawy! – Ale Mike tego nie słyszał, bo miał uszy zatkane błotem i pochlipywał cichutko, przerażony jak nigdy dotąd.

Henry kopnięciem posłał ostatnią grudę błota w stronę Mike’a, a potem obrócił się na pięcie i odszedł, nie oglądając się za siebie. Po chwili Mike wstał i zrobił to samo, ani na chwilę nie przestając popłakiwać. Jego matka naturalnie się wściekła – chciała, aby Will Hanlon zadzwonił do szefa Bortona i żeby gliniarz jeszcze przed zachodem słońca złożył „poważną służbową wizytę” w domu Bowersów.

– Już wcześniej zawziął się na Mike’a – powiedziała. Mike usłyszał, jak to mówiła. Siedział w wannie, a jego rodzice byli w kuchni. Już po raz drugi napuszczał wody do wanny. Pierwsza zrobiła się czarna, kiedy tylko wszedł do niej i usiadł. Matka, pieniąc się z wściekłości, przeszła na ochrypły, teksaski żargon, którego Mike prawie nie mógł zrozumieć. – Zapudłuj ich, Willu Hanlonie! Obu, tego psa i szczeniaka! Zapudłuj ich, słyszysz? Wytocz im sprawę!

Will słyszał, ale nie zrobił tego, co nakazywała mu żona. Kiedy się w końcu uspokoiła (do tej pory zapadła już noc, a Mike od dwóch godzin spał), przypomniał jej o paru ważnych szczegółach. Szef Borton to nie był Sullivan. Gdyby Borton był szefem policji, kiedy zdarzyła się ta historia z otruciem kur, Will nigdy by nie dostał tych dwustu dolarów i musiałby się z tym pogodzić. Niektórzy ludzie chcą ująć się za tobą, a inni nie. Borton należał do tych drugich. W gruncie rzeczy był mięczakiem.

– Mike miał już przejścia z tym chłopakiem, to prawda – powiedział Jessice. – Ale niezbyt poważne, bo jeżeli chodzi o Henry’ego Bowersa, jest wobec niego szczególnie ostrożny. To sprawi, że będzie uważał jeszcze bardziej.

– A więc masz zamiar tak to zostawić?

– Wydaje mi się, że Bowers opowiedział synowi o swoich przejściach ze mną – rzekł Will – i z tego powodu ten chłopak nas nienawidzi; poza tym stary dał mu, jak sądzę, do zrozumienia, że każdy mężczyzna powinien nienawidzić czarnych. Wszystko się do tego sprowadza. Nie mogę nic na to poradzić, że nasz syn jest Murzynem, podobnie jak nie potrafię zapobiec temu, aby Henry Bowers go prześladował. Jego skóra jest brązowa i będzie musiał z tym się borykać przez resztę życia, podobnie jak ja czy ty. Nawet w tej podobno chrześcijańskiej szkole, do której go posłałaś, nauczycielka powiedziała im, że czarni nie są tak dobrzy jak biali, bo Cham, syn Noego, patrzył na swego ojca, gdy ten był pijany i nagi, podczas gdy jego dwaj pozostali synowie odwrócili wzrok. „To dlatego synowie Chama zostali potępieni i skazani na wieczne rąbanie drew i czerpanie wody”, powiedziała. A Mike zobaczył, że gdy opowiadała tę historię w klasie, patrzyła prosto na niego.

Jessica, milcząca i zasmucona, spoglądała na męża. Z jej oczu popłynęły dwie łzy i wolno stoczyły się po policzkach.

– Czy nie można się jakoś od tego uwolnić?

Odpowiedział łagodnie, choć nieprzejednanie. Był to czas, kiedy żony wierzyły swoim mężom, a Jessica nie miała powodu, by wątpić w słowa Willa.

– Nie. Nie można się uwolnić od słowa „czarnuch”. Nie teraz, nie w świecie, w którym przyszło nam żyć, tobie i mnie. Wiejskie czarnuchy z Maine to nadal, mimo wszystko, czarnuchy. Zasadniczym powodem mojego powrotu do Derry, jak mi się czasami wydaje, była myśl, że nie ma lepszego miejsca. Ale będę musiał pogadać z chłopakiem.

Następnego dnia wywołał Mike’a z obory. Will usiadł na jarzmie brony i poklepał miejsce obok siebie, nakazując to samo Mike’owi.

– Chcę, żebyś trzymał się z dala od Henry’ego Bowersa – powiedział.

Mike skinął głową.

– Jego ojciec ma nie po kolei pod sufitem.

Mike powtórnie skinął głową. Słyszał krążące po mieście plotki. Kilkakrotnie widział przelotnie pana Bowersa i też utwierdził się w tym przekonaniu.

– Nie jest tylko trochę pomylony – mówił Will, zapalając skręta i spoglądając na syna. – To prawdziwy świr, któremu mało brakuje, aby go zamknąć w wariatkowie. Taki już wrócił z wojny.

– Wydaje mi się, że Henry też jest nienormalny – powiedział cicho Mike. Will Hanlon przeżył niejedno i mało nie spłonął żywcem podczas pożaru w Black Spot, teraz jednak nie potrafił uwierzyć, że dzieciak taki jak Henry mógł być niespełna rozumu.

– Cóż, po prostu za dużo nasłuchał się ojca, to całkiem normalne – odparł. Tym razem jednak jego syn był bliższy prawdy. Henry Bowers bądź to z powodu stałego przebywania w towarzystwie ojca, bądź też z jakichś innych przyczyn natury wewnętrznej z wolna, ale nieubłaganie, popadał w obłęd. – Nie chcę ci mówić, że masz przez całe życie tylko uciekać. To nie jest wyjście. Ponieważ jednak jesteś Murzynem, musisz zawsze zastanawiać się uważnie nad tym, co robisz. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak, tato – rzekł Mike, myśląc o Bobie Gautierze ze szkoły, który usiłował wyjaśnić Mike'owi, że „czarnuch" wcale nie jest takim złym słowem, bo jego ojciec używał go notorycznie. Prawdę mówiąc, mówił z przekonaniem w głosie Bob, to całkiem dobre słowo. Kiedy bokser w piątkowym bloku sportowym zebrał niezłe cięgi, a mimo to utrzymywał się na nogach, ojciec Boba mawiał

zwykle: „Ten to ma łeb jak czarnuch”, a kiedy ktoś solidnie przykładał się do roboty (dla pana Gautiera przykładem był Star Beef), mówił: „Ten gość haruje jak czarnuch”. „A mój tata jest tak samo wierzący jak twój”, dokończył Bob. Mike przypomniał sobie, że patrząc na białą, ściągniętą twarz Boba, okoloną parszywym futerkiem jego ręcznie robionego kaptura, czuł nie złość, ale potworny smutek, i przez chwilę miał chęć się rozpłakać. Widział uczciwość i przejęcie malujące się na twarzy Boba, ale on czuł jedynie samotność, dystans i wielką pustkę, jaka dzieliła go od Gautiera.

– Widzę, że wiesz, o co mi chodzi – rzekł Will i zwichrzył synowi włosy. – Wszystko sprowadza się do tego, abyś był ostrożny w swoich poczynaniach. Nie szarżuj. Zadaj sobie w myślach pytanie, czy Henry Bowers jest wart tego, abyś pakował się w kłopoty. No jak, jest tego wart?

– Nie – odrzekł Mike. – Nie. Nie sądzę.

Minie jeszcze trochę czasu, zanim zmieni zdanie w tej kwestii. Ściśle rzecz biorąc, nastąpi to 3 lipca 1958 roku.

4

Podczas gdy Henry Bowers, Victor Criss, Belch Huggins, Peter Gordon i na wpół opóźniony licealista Steve Sadler (znany jako Moose na cześć jednego z bohaterów komiksów) ścigali zdyszanego Mike'a Hanlona przez torowisko i w stronę Barrens, około pół mili od tego miejsca Bill i reszta Klubu Frajerów siedzieli nad brzegiem Kenduskeag, zastanawiając się nad dręczącym ich problemem.

– M-myślę, ż-ż-że w-wiem, gdzie T-t-to jest – rzekł w końcu Bill, przerywając ciszę.

– Kanały – powiedział Stan i nagle wszyscy aż podskoczyli, słysząc ostry, przenikliwy grzechot. Eddie uśmiechnął się przepraszająco i ponownie położył swój aspirator na podołku.

Bill skinął głową.

– P-p-parę wieczorów temu p-p-pytałem m-mego ojca o k-k-kanały.

– Cały ten teren był kiedyś bagnem – powiedział Zack synowi – a dzięki ojcom miasta na miejscu najbardziej podmokłych terenów obecnie znajduje się śródmieście. Część kanałów przebiegająca pod Center i Main, a potem wypływająca w Bassey Park to w zasadzie odpływ regulujący stan Kenduskeag. Przez większą część roku te kanały odpływowe są

prawie puste, ale są ważne podczas wiosennych roztopów i powodzi… – przerwał, być może przypominając sobie, że właśnie po powodzi w zeszłym roku jesienią utracił swego młodszego syna – …z powodu pomp.

– P-p-pomp? – zapytał Bill, nieświadomie odwracając nieco głowę. Kiedy zacinał się przy wyrazach zaczynających się na „p”, pluł kropelkami śliny.

– Pompy odwadniające – wyjaśniał ojciec – znajdują się w Barrens. Betonowe rękawy wystające na trzy stopy z ziemi…

– B-b-ben H-hanscom n-n-nazywa je dziurami M-m-morloków – rzekł Bill z uśmiechem. Zack również się uśmiechnął… ale był to cień dawnego uśmiechu. Znajdowali się w warsztacie, gdzie bez zbytniego zainteresowania Zack obrabiał kołki do krzeseł.

– To pompy odciągające ścieki, chłopcze, znajdują się w tych cylindrach trzy stopy pod ziemią i odpompowują nieczystości z wyżej położonych miejsc. Maszyny są stare i miastu przydałyby się nowe, ale rada miejska nigdy nie ma na to funduszy. Gdybym dostawał ćwiartkę za każdy raz, kiedy musiałem schodzić tam na dół i brodzić po kolana w gównie, żeby naprawić któryś z tych silników… ale nie chcesz o tym

słuchać, Bill. Czemu nie obejrzysz czegoś w telewizji? Dziś dają chyba *Sugarfoot*.

– Chcę o t-t-tym u-usłyszeć – rzekł Bill nie tylko dlatego, że, jak uznał, coś strasznego musiało zagnieździć się w kanałach Derry.

– Czemu miałbyś słuchać o ściekach? – zapytał Zack.

– R-r-raport sz-sz-szkolny – odparł szybko Bill.

– Przecież są wakacje.

– N-na p-p-przyszły r-r-r-rok.

– Cóż, temat jest dość nudny. Nauczyciel da ci pałę za to, że go uśpiłeś. Spójrz, to jest Kenduskeag – narysował prostą linię na przysypanej jasnymi trocinami powierzchni stołu, w który była wmontowana piła tarczowa – a tu leży Barrens. Ponieważ śródmieście jest położone niżej od dzielnic willowych, Kansas Street, Old Cape czy West Broadway, większość nieczystości z tego obszaru wpompowuje się do rzeki. Nieczystości z domów właściwie same spływają do Barrens, rozumiesz?

– T-t-tak – rzekł Bill, przysuwając się bliżej do ojca, tak że niemal stykali się ramionami.

– Któregoś dnia przestaną wpuszczać ścieki do Kenduskeag i to będzie koniec tego wszystkiego. Na razie jednak mamy jeszcze pompy w tych… jak je nazywa ten twój przyjaciel?

– Dziury Morloków – rzekł Bill bez odrobiny zająknięcia, ale ani on, ani ojciec tego nie zauważyli.

– Tak. I po to są tam te pompy. W sumie działają całkiem nieźle, jeżeli tylko za bardzo nie pada i poziom wody w strumieniach się nie podniesie. Choć ścieki grawitacyjne i kanały z pompami miały tworzyć odrębne systemy, przecinają się one właśnie w tym miejscu. Widzisz? – Nakreślił kilka iksów w poprzek linii określającej Kenduskeag, a Bill skinął głową. – Prawdę mówiąc, jedyną rzeczą, jaką powinieneś wiedzieć na temat kanalizacji wodnej, jest to, że znajdująca się w nich woda płynie, dokądkolwiek zechce. Kiedy poziom się podniesie i dojdzie do pomp, po prostu się wyłączają. Mam przez to masę kłopotów, bo muszę je naprawiać.

– Tato, jak d-d-duże są kanały i ścieki?

– Chodzi ci o to, co nimi spływa?

Bill skinął głową.

– Główne kanały mają jakieś sześć stóp średnicy. Te drugorzędne odpływy z dzielnic willowych najwyżej cztery stopy. Niektóre, ale jest ich niewiele, mogą być ciut większe. I uwierz mi, skoro ci to mówię, Billy, i powiedz to swoim przyjaciołom, nigdy nie chciałbyś wejść do żadnej z tych rur, ani podczas którejś z waszych

zabaw, ani w formie sprawdzianu odwagi. W ogóle.

– Dlaczego?

– Kanały na przestrzeni wieku były rozbudowywane. Zaczęło się to około tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego roku. W okresie wielkiego kryzysu stworzono drugorzędną i trzeciorzędną sieć kanałów. Wtedy było sporo forsy na roboty publiczne. Jednak facet, który był szefem od tych projektów, zginął podczas drugiej wojny światowej, a jakieś pięć lat później stwierdzono, że większość planów zaginęła. Około dziewięciu funtów odbitek światłodrukowych po prostu wcięło. Stało się to w okresie między tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym a pięćdziesiątym. Moim zdaniem nikt nie wie, dokąd się ciągną te cholerne kanały i ścieki i dlaczego. Kiedy działają, nikt się nimi nie interesuje. Kiedy szwankują, trzech czy czterech smutasów z Derry Water musi zejść na dół, żeby sprawdzić, która z pomp siadła albo gdzie znajduje się zator. A tam na dole jest naprawdę nieprzyjemnie. Ciemno, smród i masa szczurów. Już samo to mogłoby cię powstrzymać od wchodzenia tam, ale najgorsze jest to, że możesz się zgubić. Takie wypadki się zdarzały.

Zagubiony pod Derry. Zagubiony w kanałach. Zaginiony w ciemności. W tych słowach było coś tak przerażającego i mrożącego krew w żyłach, że Bill na chwilę zamilkł, a potem spytał:

– Ale czy n-n-nigdy nikt nie zszedł n-na dół, żeby zrobić m-m-mapę…

– Powinienem skończyć te kołki – oznajmił nieoczekiwanie Zack, odwracając się doń plecami i odsuwając. – Idź, zobacz, co leci w tewizji…

– A-a-ale t-tato…

– Idź już, Bill – powiedział Zack i Bill ponownie poczuł chłód. Przez ten chłód kolacje były dla niego torturą; ojciec jak zawsze przeglądał czasopisma o elektryce (miał nadzieję, że w przyszłym roku dostanie awans), a matka czytała brytyjskie kryminały: Marsh, Sayers, Innes, Allingham. Jedzenie w tym chłodzie pozbawiało potrawy smaku, zupełnie jakby miał w ustach zimną przekąskę, która nigdy nie oglądała wnętrza kuchenki mikrofalowej. Czasami, już potem, wchodził na górę do swego pokoju, kładł się na łóżku i składając obie ręce na brzuchu, myślał. *Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano.*

Myślał o tym coraz częściej od śmierci George’a, choć matka nauczyła go tego zdania

przed dwoma laty. W jego myślach słowa te urosły do rangi swoistego talizmanu; w dniu, kiedy podejdzie do matki i wypowie to zdanie bez zająknięcia, patrząc jej przy tym prosto w oczy, niewidzialne okowy lodów prysną, jej oczy rozpali wewnętrzny płomień, a później obejmie go i powie: „Wspaniale, Billy! Dobry chłopiec! Dobry chłopiec!”. Naturalnie nikomu o tym nie powiedział. Nie wyciągnięto by tego zeń nawet na torturach. Nic nie mogłoby go skłonić do zdradzenia tajemnic skrywanych w najdalszych głębiach jego serca. Gdyby zdołał powiedzieć to zdanie, którego nauczyła go w pewne sobotnie popołudnie, kiedy on i George siedzieli przed telewizorem, oglądając Guya Madisona i Andy’ego Devine’a w *Przygodach dzikiego Billa Hickoka*, byłoby to niczym pocałunek księcia, który obudził Śpiącą Królewnę z lodowych objęć Morfeusza.

Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano.

Trzeciego lipca również nie powiedział o tym swoim przyjaciołom, ale streścił im to, co usłyszał od ojca na temat systemu kanałów i ścieków w Derry. Należał do chłopców, dla których zmyślanie było rzeczą łatwą i naturalną (czasami przychodziło mu to łatwiej niż mówienie

prawdy), i opisał tę scenę nieco inaczej, niż wyglądała ona w rzeczywistości – w jego wersji wraz z ojcem oglądał telewizję i popijał kawę.

– Tata pozwala ci pić kawę? – zapytał Eddie.

– P-p-pewno – rzekł Bill.

– Jej! – zdziwił się Eddie. – Mama nigdy mi nie pozwala pić kawy. Mówi, że jest w niej trucizna, kofeina. Ale sama pija jej sporo.

– Tata pozwoliłby mi pić kawę, gdybym chciała – oznajmiła Beverly – ale zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że palę!

– Czemu jesteś taki pewny, że To przebywa w kanałach? – zapytał Richie, popatrując to na Billa, to na Stana Urisa, a potem powracając wzrokiem do Billa.

– W-wszystko n-n-na to wskazuje – rzekł Bill. – G-g-głosy, jakie Bev słyszała w ł-ł-łazience, dobiegające z otworu u-u-umywalki. I k-krew. K-kiedy klown n-nas ścigał, te p-p-pomarańczowe p-pompony leżały p-przy k-kanale. I G-g-george.

– To nie był klown, Wielki Billu – rzekł Richie. – Powiedziałem ci przecież. Wiem, że to szalone, ale to był wilkołak. – Spojrzał na pozostałych w odruchu obronnym. – Przysięgam, że go widziałem.

– Dla ciebie to był wilkołak – powiedział Bill.

– Co?

– N-n-nie rozumiesz? – rzucił Bill. – T-ty widziałeś w-w-wilkołaka, bo byłeś w k-k-kinie na tym g-głupim f-f-filmie.

– Nie chwytam.

– A ja chyba tak – szepnął Ben.

– P-p-poszperałem trochę w b-b-bibliotece – oświadczył Bill – i myślę, że to g-g-g… – przerwał, zebrał się w sobie i wyrzucił to – glamour.

– Gamer? – zapytał z powątpiewaniem Eddie.

– G-g-glamour – rzekł Bill i przeliterował to słowo. Powiedział im o encyklopedycznej notce na ten temat i rozdziale z książki *Nocne prawdy*.

Glamour był gaelickim określeniem istoty nawiedzającej Derry; inne rasy, inne kultury w innych czasach nazywały ją inaczej, ale znaczenie było stale jednakowe. Indianie ze stepów nazywali ją manitu; czasami mogła przybierać kształt pumy, łosia albo orła. Ci sami Indianie wierzyli, że duch manitu może czasami wejść w ciało człowieka, a wówczas ludzie ci potrafili układać chmury w kształt zwierząt, których nazwy nosiły ich rody. Mieszkańcy Himalajów nazywali to *tallus* albo *taelus*, co oznacza złą, obdarzoną magiczną mocą istotę umiejącą czytać w ludzkich myślach i przyjmować kształty rzeczy, których najbardziej się obawiałeś.

W Europie Środkowej nazywano ją *eylak* i określano jako brata *vurderlaka* – wampira. We Francji był to *le loup-garou* albo „zmieniacz skór”, co raczej niezbyt fortunnie tłumaczy się jako „wilkołak”, ale Bill powiedział im, że *le loup-garou* (wymawiał to „le lup garu”) może być niemal wszystkim – wilkiem, jastrzębiem, owcą, a nawet robakiem.

– Czy w którymkolwiek z tych artykułów jest napisane, jak można pokonać glamoura? – spytała Beverly.

Bill skinął głową, ale nie wyglądał na zadowolonego.

– H-h-himalajczycy mieli r-r-rytuał, żeby się t-t-tego p-pozbyć, ale t-t-to dosyć m-m-makabryczne. – Spojrzeli na niego i mimo że nie chcieli, musieli to usłyszeć. – N-n-nazywają to r-r-rytuał Chüd – powiedział Bill i zaczął wyjaśniać, na czym miał on polegać. – Jeżeli byłeś świątobliwym mężem z Himalajów, odnajdywałeś *taelusa*. *Taelus* wyciągał język. Ty też wyciągałeś swój. Potem ty brałeś do ust język Tego, a To twój i przygryzaliście je z całej siły, tak że w rezultacie byliście unieruchomieni właściwie oko w oko.

– O rany, chyba się porzygam – powiedziała Beverly, tarzając się po ziemi. Ben poklepał ją

delikatnie po plecach, a potem rozejrzał się ukradkiem wokoło, by sprawdzić, czy ktoś to zauważył. Nie został przyłapany. Pozostali, jak zahipnotyzowani, wpatrywali się w Billa.

– I co potem? – zapytał Eddie.

– N-n-no – zaczął Bill – t-t-to m-może zabrzmieć i-i-idiotycznie, ale w książce jest n-napisane, że p-potem z-zaczynałeś opowiadać d-d-dowcipy i z-zagadki.

– Co?! – wykrzyknął Stan.

Bill skinął głową z wyrazem twarzy człowieka, który nie ma za zadanie wyjaśnić rozpowszechnianych informacji, a jedynie je przekazać, choć nie chciał mówić tego na głos.

– T-t-to n-najpierw potwór *t-taelus* o-opowiada k-kawał, a p-p-potem t-ty i tak d-dalej, i tak d-dalej, n-na z-z-zmianę…

Beverly znowu usiadła, podciągając kolana do piersi i splatając dłonie na goleniach.

– Nie rozumiem, jak ludzie mogą mówić ze złączonymi językami.

Richie natychmiast wystawił język, złapał go w palce i zaintonował:

– Mój ojciec ma gównianą pracę, przerzuca gówno przez cały dzień! – To prostackie, lecz dość zabawne zdanie sprawiło, że wszyscy natychmiast wybuchnęli śmiechem.

– M-m-może to miała b-być więź t-t-telepatyczna – mruknął Bill. – W k-k-każdym razie, jeżeli człowiek r-roześmiał się p-p-pierwszy, pomimo b-b-b…

– Bólu? – zapytał Stan.

Bill skinął głową.

– …*taelus* go z-zabijał, a p-potem pożerał. T-to znaczy, jak s-sądzę, jego d-d-duszę. Ale jeśli człowiekowi u-udało się sprawić, żeby t-to *taelus* r-r-roześmiał się p-p-pierwszy, To musiało odejść na sto l-l-lat.

– Czy w książce jest napisane, skąd pochodzą takie istoty? – zapytał Ben.

Bill pokręcił głową.

– Wierzycie w to? – zapytał Stan, jakby chciał powiedzieć to ironicznie, ale zabrakło mu siły psychicznej czy też moralnej.

Bill wzruszył ramionami i powiedział:

– P-p-prawie w-w-wierzę. – Wydawało się, jak gdyby chciał coś dodać, ale tylko pokręcił głową i umilkł.

– To sporo wyjaśnia – rzekł powoli Eddie – klown, trędowaty, wilkołak… – Spojrzał na Stana. – I jak sądzę, ci martwi chłopcy też.

– To mi wygląda na zadanie dla Richiego Toziera – wtrącił Richie głosem komentatora

Moviego Tone’a – człowieka tysiąca żartów i sześciu tysięcy zagadek.

– Gdybyśmy cię wysłali do Tego, wszyscy byśmy zginęli – rzekł Ben. – Powoli. W męczarniach. – I znów się roześmiali.

– I co my zrobimy? – zapytał Stan, a Bill ponownie tylko pokręcił głową. Czuł się tak, jakby prawie wiedział. Stan się podniósł. – Chodźmy gdzie indziej – powiedział. – Znudziło mi się tu.

– A mnie się tu podoba – zaoponowała Beverly. – Tu jest cień i jest tak przyjemnie. – Spojrzała na Stana. – Przypuszczam, że masz ochotę na jakąś dziecinadę w rodzaju pójścia na wysypisko śmieci i rzucania kamieniami do butelek.

– Lubię rzucać kamieniami do butelek – rzekł Richie, stając obok Stana. – Mam to we krwi. – Uniósł kołnierz i zaczął przechadzać się w kółko jak James Dean w *Buntowniku bez powodu*. – Oni mnie ranią – powiedział, spoglądając ze smutkiem i drapiąc się po klatce piersiowej. – Wiesz… Starzy. Szkoła. Towarzycho. To nacisk, dziecino. To…

– To gówno – powiedziała Beverly i westchnęła.

– Mam parę fajerwerków – rzekł Stan i wszyscy natychmiast zapomnieli o glamourach, manitu i kiepskim naśladownictwie Jamesa Deana w wykonaniu Richiego, kiedy Stan wyjął z kieszeni spodni paczuszkę black catsów. Nawet Bill był pod wrażeniem.

– Jezu Chryste, S-s-stan, skąd t-t-ty to m-masz?

– Od tego grubego chłopaka, z którym czasami chodzę do synagogi – odrzekł Stan. – Wymieniłem na parę komiksów z Supermanem i Małą Lulu.

– Odpalmy je, Stanny, nikomu już nigdy nie powiem, że ty i twój ojciec zabiliście Chrystusa, przyrzekam, co ty na to? Będę mówił, że masz mały nos, Stanny! Będę mówił, że nie jesteś obrzezany.

Słysząc te zapewnienia, Beverly wybuchnęła śmiechem i teraz ona, nim ukryła twarz w dłoniach, wyglądała na bliską apopleksji. Bill się roześmiał. Eddie również, a chwilę potem dołączył do nich Stan. Dźwięk ten przetoczył się po szerokiej płyciźnie Kenduskeag 3 lipca, letni dźwięk tak jasny jak promienie słońca odbijające się od wody, i żadne z nich nie zauważyło pomarańczowych ślepi patrzących na nich z gęstwy jeżyn i jagód po lewej. Połać krzewów zajmowała całe zbocze na długości trzydziestu

stóp, a pośrodku niego znajdowały się Dziury Morloków. To właśnie z wnętrza jednego z wystających ponad ziemię betonowych cylindrów patrzyły ślepia, z których każde miało ponad dwie stopy średnicy.

5

Mike uciekał tego dnia przed Henrym i jego niezbyt miłymi kolesiami, ponieważ nazajutrz było święto. Szkoła wyznaniowa miała zespół, w którym Mike grał na puzonie. Czwartego Lipca zespół maszerował w dorocznej świątecznej paradzie, grając *Bojowy Hymn Republiki*, *Onward Christian Soldiers* i *America the Beautiful*.

Mike czekał na to blisko miesiąc. Na ostatnią próbę poszedł pieszo, bo zepsuł mu się łańcuch w rowerze. Próba miała się odbyć o wpół do trzeciej, ale wyszedł z domu o pierwszej, gdyż chciał jeszcze wypolerować swój puzon. Choć nie grał na nim lepiej, niż Richie mówił swoimi głosami, gdy czuł się smutny, wystarczało pół godziny fałszowania marszów, hymnów czy pieśni patriotycznych, by poprawić mu nastrój. W kieszeni koszulki khaki miał pudełko pasty, a z kieszeni dżinsów wystawały dwie czy trzy szmatki do czyszczenia. Henry Bowers ani na chwilę nie zagościł w jego myślach.

Jedno spojrzenie, w momencie gdy zbliżał się do szkoły przy Neibolt Street, sprawiłoby, że szybko zmieniłby zdanie, bo Henry, Victor, Belch, Peter Gordon i Moose Sadler szli niedaleko za nim. Gdyby wyszli z domu Bowersów pięć minut później, Mike zniknąłby im z oczu za sąsiednim wzgórzem, a wielka bitwa na kamienie i wszystko, co zdarzyło się później, mogłoby mieć całkiem inny przebieg, jeżeli w ogóle by się przydarzyło.

Ale to sam Mike wiele lat później powie, że raczej nikt z nich nie miał wówczas wpływu na swój los i wydarzenia, które rozegrały się owego lata, i jeżeli szczęście czy wola miały w tym w ogóle jakiś udział, to był on bardzo nikły. Napomknie o serii podejrzanych zbiegów okoliczności podczas lunchu z okazji ich ponownego spotkania, ale była jedna rzecz, o której nie wiedział. Spotkanie w Barrens tego dnia zostało przerwane, kiedy Stan Uris wyjął black catsy i Klub Frajerów ruszył w stronę wysypiska śmieci, aby je odpalić. Victor, Belch i pozostali opuścili farmę Bowersów, ponieważ Henry miał trochę fajerwerków, petard i M-osiemdziesiątek. Starsi chłopcy zamierzali zejść do węglowego dołu przy torowisku i tam je zdetonować. Żaden z nich, nawet Belch, nie

zjawiał się zwykle u Bowersów przede wszystkim z powodu szalonego ojca Henry'ego, poza tym taka wizyta kończyła się zwykle pomaganiem Henry'emu w pracy na farmie – pieleniu, zbieraniu kamieni, noszeniu drewna, wody, zbieraniu tego, co akurat o tej porze zdążyło dojrzeć: groszku, cukinii i pomidorów, ziemniaków. Chłopcy ci nie narzekali wprawdzie na alergię na pracę, ale mieli sporo do roboty u siebie i nie przepadali za wylewaniem potu dla świrniętego ojczulka Henry'ego, który czasami potrafił dać po pysku bez żadnego wyraźnego powodu (raz rzucił się z polanem na Victora Crissa, który niechcący upuścił koszyk z pomidorami w drodze na przydrożny stragan). Manto sprawione kawałkiem drewka było rzeczą niezbyt przyjemną, ale jeszcze gorsze było to, że waląc gdzie popadnie, Butch Bowers ryczał:

– Wykończę wszystkich Japońców! Wykończę wszystkich Japońców! Wykończę wszystkich pieprzonych Japońców!

Belch Huggins wyraził się na ten temat najrozsądniej.

– Ja tam nie zadzieram z wariatami – powiedział Victorowi któregoś dnia dwa lata temu. Victor roześmiał się i przyznał mu rację.

Jednak urokliwy śpiew wydawany przez wszystkie te fajerwerki zdawał się nie do odparcia.

– Powiem ci coś – rzekł Victor, kiedy Henry zadzwonił do niego o dziewiątej i zaprosił na fetę. – Spotkamy się o pierwszej przy węglowym dole, co ty na to?

– Możesz tam przyjść o pierwszej, ale mnie nie będzie – odrzekł Henry. – Mam za dużo roboty. Gdybyś pokazał się około trzeciej, byłbym tam. A jak już tam dotrę, wsadzę ci petardę w dupsko i podpalę lont. – Vic zawahał się, a potem zgodził się przyjść i pomóc mu w pracy. Inni również przyszli i w piątkę, pracując jak szaleni, błyskawicznie uporali się z robotą. Skończyli wczesnym popołudniem. Kiedy Henry spytał ojca, czy może iść, Bowers senior machnął tylko ręką. Butch spędzał popołudnie na werandzie na tyłach domu z ćwierćlitrową butelką po mleku wypełnioną wyjątkowo mocnym „jabolem”, stojącą opodal bieguna bujanego fotela, i przenośnym radiem marki Philco, ustawionym na poręczy (później tego popołudnia Red Soksi grali z Washington Senators, co nawet u ludzi normalnych mogło wywołać lodowate ciarki). Obnażony samurajski miecz spoczywał na podołku Butcha. Butch

twierdził, że była to pamiątka z wojny odebrana umierającemu żółtkowi na wyspie Tarawa (ale naprawdę kupił go w Honolulu za sześć butelek piwa i trzy drążki sterownicze).

Później Butch, kiedy się upijał, prawie zawsze zabierał z sobą miecz. I jako że wszyscy chłopcy, włącznie z Henrym, zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później stary Bowers użyje miecza przeciwko komuś, natychmiast starali się znaleźć jak najdalej od niego.

Henry wypatrzył Mike'a Hanlona prawie natychmiast, gdy tylko z kolegami wyszedł na drogę.

– To czarnuch! – powiedział Henry, a jego oczy rozpromieniły się niczym oczy dziecka wyczekującego nieuchronnego przybycia Świętego Mikołaja w wigilijny wieczór.

– Czarnuch? – Belch Huggins sprawiał wrażenie zakłopotanego, rzadko bowiem widywał Mike'a Hanlona. I wtem w jego oczach również pojawiły się radosne iskierki. – O tak! Czarnuch! Dorwijmy go, Henry.

Belch zerwał się do biegu. Pozostali zrobili to samo, kiedy Henry gwałtownym szarpnięciem zmusił Belcha, aby się zatrzymał. Henry bardziej niż inni miał doświadczenie w ściganiu Mike'a Hanlona i wiedział, że jeżeli chodziło

o złapanie go, łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Ten czarny potrafił się ruszać.

– On nas nie widzi. Chodźmy szybciej, to zmniejszymy dystans.

Zrobili to. Ktoś, kto by na to patrzył, miałby z pewnością niezły ubaw; pięciu chłopaków sprawiało wrażenie, jakby przygotowywali się do olimpijskich zawodów w chodzie. Pokaźny kałdun Moose'a Sadlera podskakiwał pod materiałem jego licealnego podkoszulka. Po twarzy Belcha, która niebawem stała się czerwona, spływały strugi potu. Jednak zmniejszył się dystans pomiędzy nimi a Mikiem – dwieście jardów, sto pięćdziesiąt, sto – i jak dotąd Murzynek Bambo nie obejrzał się za siebie. Słyszeli, jak pogwizduje.

– Co z nim zrobisz, Henry? – zapytał cichym tonem Victor Criss.

Jego głos brzmiał obojętnie, ale w głębi duszy chłopak był poważnie zmartwiony. Ostatnimi czasy Henry coraz bardziej go niepokoił. Nie martwił się, że Henry mógł chcieć pobić tego gnoja, zedrzeć z niego ciuchy i zawiesić je gdzieś na drzewie. Czuł, że Henry'emu chodziło o coś zupełnie innego. W tym roku Bowers miał kilka niezbyt przyjemnych przejść z dzieciakami, które nazywał parszywymi gnojkami. Przywykł do

dominacji i terroryzowania tych parszywych gnojków, ale od marca tamci raz po raz robili z niego durnia. Henry i jego kolesie gonili któregoś dnia jednego z nich, tego okularnika Richiego, i zgubili go u Freese'a, kiedy już myśleli, że go mają jak na talerzu. A ostatniego dnia szkoły ten mały Hanscom…

Victorowi to się nie podobało. Nie chciał o tym myśleć. Martwił się, że któregoś dnia Henry może posunąć się za daleko. To go dręczyło, po prostu nie mógł odegnać tych powracających natrętnych myśli.

– Złapiemy go i zabierzemy do węglowego dołu – rzekł Henry. – Mam zamiar wcisnąć mu parę fajerwerków do butów i zobaczyć, czy potrafi tańczyć.

– Ale chyba nie M-osiemdziesiątki, co, Henry?

Gdyby Henry odpowiedział twierdząco, Victor natychmiast by się zmył. M-osiemdziesiątka w każdym bucie mogłaby oderwać czarnuchowi stopy, a to byłoby zdecydowanie zbyt wiele.

– Mam tylko cztery osiemdziesiątki – rzekł Henry, nie odwracając wzroku od pleców Mike'a Hanlona. Zmniejszyli obecnie dystans do siedemdziesięciu pięciu jardów i mówił przyciszonym głosem. – Myślisz, że zmarnowałbym aż dwie na głupiego czarnucha?

– Nie, Henry. Oczywiście, że nie.

– Po prostu wciśniemy w trampki ze dwa black catsy, rozbierzemy go do naga i wrzucimy ciuchy do Barrens. Może jak za nimi pogoni, trafi na sumaka.

– Możemy go też trochę sponiewierać w pyle węglowym – rzekł Belch, a jego zwykle mętne oczy wyraźnie się ożywiły. – Co ty na to, Henry? Dobry pomysł?

– Świetny – odparł bez entuzjazmu Henry. Victor nie lubił tego tonu u niego. – Sponiewieramy go w pyle węglowym, tak jak kiedyś wytaplałem go w błocie. I… – Henry uśmiechnął się, ukazując zęby, które zaczynały się już psuć, chociaż chłopak miał dopiero dwanaście lat. – I mam mu coś do powiedzenia. Chyba nie słyszał, jak do niego mówiłem ostatnim razem.

– Co takiego, Henry? – zapytał Peter. Peter Gordon był słabo zorientowany, ale podekscytowany jak i wszyscy. Pochodził z jednej z dobrych rodzin z Derry, mieszkał przy West Broadway i za dwa lata miał zostać wysłany do prywatnej szkoły w Groton, a w każdym razie w to właśnie wierzył 3 lipca 1958 roku.

Był bystrzejszy od Victora Crissa, ale przebywał z nimi zbyt krótko, by się przekonać,

jak bardzo zepsuty był Henry Bowers.

– Zobaczysz – rzekł Henry. – A teraz stul dziób. Już dochodzimy.

Znajdowali się jakieś dwadzieścia pięć jardów za Mikiem i Henry już otwierał usta, aby wydać rozkaz do ataku, kiedy Moose Sadler odpalił pierwszy tego dnia fajerwerk. Poprzedniego wieczoru Moose zjadł trzy talerze prażonej fasoli i pierdnięcie było niemal tak głośne jak wystrzał z dubeltówki.

Mike rozejrzał się wokoło. Henry zobaczył, jak jego oczy się rozszerzają.

– Brać go! – zawył Henry.

Mike zamarł na moment, ale zaraz poderwał się do biegu. Rzucił się do ucieczki, jakby stawką w tym wyścigu było jego życie.

6

Frajerzy przedzierali się przez bambusowy gąszcz w Barrens w następującej kolejności – Bill, Richie, za Richiem Beverly, szczupła i ładna, w tenisówkach, dżinsach i białej bluzce bez rękawów, potem Ben usiłujący nie dyszeć zbyt głośno (pomimo upału miał na sobie jedną z bluz od dresu), Stan i Eddie zamykający pochód z aspiratorem wystającym z prawej kieszeni spodni.

Bill wyobrażał sobie, że byli na safari, tak jak to często miał w zwyczaju, kiedy przemierzali tę część Barrens. Bambusy, wysokie i białe, ograniczały widoczność wzdłuż ścieżki, którą tu wydeptali. Ziemia była czarna i podmokła, ze sporymi kałużami, które musiałeś omijać lub przeskakiwać, jeśli nie chciałeś, żeby błoto dostało ci się do butów. Kałuże stojącej wody – rzecz niezwykła – mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. W powietrzu unosiła się woń będąca mieszanką odoru śmieci i gnijących roślin. Bill zatrzymał się o jeden zakręt przed Kenduskeag i odwrócił się do Richiego.

– T-tygrys przed nami, T-tozier.

Richie skinął głową i odwrócił się do Beverly.

– Tygrys – wyszeptał.

– Tygrys – powiedziała do Bena.

– Ludojad? – zapytał Ben, wstrzymując oddech, by nie dyszeć.

– Jest cały zakrwawiony – powiedziała Beverly.

– Ludojad – mruknął Ben do Stana i przekazał tę informację Eddiemu, na którego pociągłym obliczu malowało się podniecenie.

Ukryli się wśród bambusów, pozostawiając wijącą się czarną ścieżkę pustą. Tygrys przeszedł przed nimi i wszyscy prawie go zobaczyli –

ciężkie zwierzę, ważące około czterystu funtów, poruszające się z gracją, o potężnych mięśniach grających pod miękką pręgowaną skórą. Prawie zobaczyli jego zielone oczy i ślady krwi na pysku po ostatniej walce z małymi wojownikami, których pożarł żywcem.

Bambusy zagrzechotały z cicha, był to melodyjny i zarazem dziwny dźwięk, ale zaraz znów zapadła cisza. To mógł być gwałtowny podmuch wiatru albo przejście wielkiego afrykańskiego tygrysa zmierzającego w stronę Cape Cod, do Barrens.

– Poszedł – powiedział Bill. Wypuścił oddech i ponownie wyszedł na ścieżkę. Inni zrobili to samo. Richie jako jedyny pośród nich był uzbrojony; wyjął korkowiec z kolbą oklejoną plastrem.

– Gdybyś się przesunął, Wielki Billu, mógłbym go rąbnąć – mruknął ponuro. Lufą pistoletu podsunął okulary wyżej na nosie.

– T-t-tu się roi od W-w-watusi – rzekł Bill. – N-nie możemy r-r-ryzykować strzału. A m-może chcesz, ż-ż-żeby na nas n-n-napadli?

– Och – powiedział Richie przekonany.

Bill dał im ręką znak – „chodźcie” – i ponownie ruszyli wzdłuż ścieżki, która w miarę zbliżania się do Kenduskeag robiła się coraz

węższa. Wyszli na brzeg Kenduskeag. Na drugą stronę strumienia można było przejść po kamieniach ułożonych w jego nurcie. Ben pokazał im, jak należało to zrobić. Wrzucałeś do wody jeden kamień, stawałeś na nim i wrzucałeś drugi, potem przechodziłeś na drugi i układałeś przed sobą trzeci, i tak dalej, aż do drugiego brzegu (w tym roku poziom wody w strumieniu wynosił nie więcej niż stopę i widać było łachy piasku na jego dnie). Było to tak proste, że aż dziecinne, ale żadne z nich nie wiedziało, jak tego dokonać, dopóki Ben im nie pokazał. Był dobry w tych sprawach, a kiedy coś ci wyjaśniał, nigdy nie czułeś się jak kretyn. Zeszli pojedynczo na brzeg i zaczęli przechodzić po ułożonych w nurcie kamieniach.

– Bill! – zawołała nagle Beverly.

Zamarł natychmiast, nie oglądając się za siebie, z ramionami wystawionymi po bokach.

– Co?

– Tam są piranie! Dwa dni temu widziałam, jak pożarły całą krowę. Minutę po tym, jak wpadła do wody, zostały z niej tylko gołe kości. Nie spadnij!

– Dobra – rzekł Bill. – Uważajcie, ludzie!

Przeszli po kamieniach. Eddie był w połowie drogi na drugi brzeg, kiedy po torach w oddali

przejeżdżał akurat pociąg towarowy i nagły dźwięk sygnału sprawił, że Eddie zachwiał się i stracił równowagę. Spojrzał w jasną wodę i przez jedną krótką chwilę pomiędzy refleksami światła rażącymi jego oczy dostrzegł krążące piranie. Nie były wymyślone, jak wszystko, co towarzyszyło fantazjom Billa na temat safari, był o tym przekonany. Ryba, którą zobaczył, wyglądała jak wielka złota rybka, z olbrzymią brzydką paszczą drapieżnego zębacza czy strzępiela. Była pomarańczowa jak puchate pompony, które czasami widzisz na ubraniach klownów w cyrku. Piranie krążyły w płytkiej wodzie, zgrzytając zębami.

Eddie zamachał rękami. Wpadnę, pomyślał. Wpadnę i pożrą mnie żywcem… Wtedy Stan Uris schwycił go za nadgarstek i pomógł złapać równowagę.

– Mało brakowało – powiedział Stan. – Gdybyś wpadł, matka by cię zlała.

Eddie wcale nie myślał o matce. Był od tego daleki. Pozostali byli teraz na drugim brzegu i liczyli wagony przejeżdżającego pociągu. Eddie patrzył dziko w oczy Stana, a potem znów zerknął w wodę. Zobaczył przepływającą torebkę po chipsach i to było wszystko. Ponownie przeniósł wzrok na Stana.

– Stan, widziałem…

– Co?

Eddie pokręcił głową.

– Nic. Chyba nic. Po prostu (*ale one tam były, były tam i pożarłyby mnie żywcem*) jestem roztrzęsiony. Zdaje się, że widziałem tygrysa. Idźmy dalej.

Zachodni brzeg Kenduskeag, Old Cape, po deszczu i wylewach zmieniał się w pasmo grząskich błot, ale już od dobrych dwóch tygodni w Derry nie było potężnej ulewy i brzeg wysechł, stając się spękaną, suchą, błyszczącą nagą połacią, z której, rzucając posępne, nikłe cienie, wystawały betonowe cylindry. Jakieś dwadzieścia jardów niżej nad Kenduskeag sterczała betonowa rura i wylewał się z niej do rzeki cienki strumyk ohydnie wyglądającej brązowej wody.

Ben rzekł cicho:

– Strasznie tutaj – a pozostali skinęli głowami.

Bill poprowadził ich wzdłuż wyschniętego brzegu, w gęstwinę rozciągającą się nieopodal, gdzie królowały przeróżne owady i kleszcze. Raz po raz słychać było trzepot skrzydeł ptaka wzbijającego się do lotu. Przebiegła im drogę wiewiórka. Gdy mniej więcej pięć minut później zbliżyli się do niewielkiego wzniesienia,

okalającego od tej strony wysypisko śmieci, przed Billem przemaszerował szczur niosący w zębach kawałek celofanu. Chwilę potem znikł wraz ze swym łupem w dziczy własnego mikrokosmosu.

Woń odpadków była teraz wyraźniejsza i bardziej drażniąca.

W niebo bił słup czarnego dymu. Na ziemi, wciąż gęsto porośniętej, jeśli nie liczyć ścieżki, którą maszerowali, walały się śmieci. Bill określił to „śmietnikowym łupieżem", a Richie był wprost wniebowzięty – śmiał się do łez.

– Powinieneś to zapisać, Wielki Billu, to naprawdę świetne.

Papiery ponabijane na gałęzie falowały i trzepotały jak wyprzedawane proporczyki, letnie słońce pobłyskiwało srebrzyście na blaszanych puszkach leżących wewnątrz porośniętego zieloną trawą dołka; od czasu do czasu od potłuczonej butelki po piwie odbijał się refleks świetlny. Beverly zauważyła lalkę o tak jasnoróżowej plastikowej skórze, że wyglądała jak ugotowana. Podniosła ją i zaraz upuściła z cichym krzykiem, kiedy zobaczyła białoszare robaki wypadające spod spódniczki lalki i wijące się po jej gnijących nogach. Otarła dłonie

o dżinsy. Weszli na szczyt pagórka i spojrzeli w dół na wysypisko śmieci.

– O cholera – rzekł Richie i włożył ręce do kieszeni, podczas gdy pozostali stanęli tuż obok niego.

Tego dnia wypalano północno-wschodni kraniec wysypiska, ale tu, po ich stronie, dozorca wysypiska (Armando Fazio, dla przyjaciół Mandy, kawaler i brat dozorcy z podstawówki Derry) za pomocą starego buldożera D9 z czasów drugiej wojny światowej formował ze śmieci stosy, przygotowując je do spalenia. Nie miał na sobie koszuli, a pod płóciennym parasolem na siedzeniu buldożera stało przenośne radio, nastawione na kanał, gdzie niebawem miano rozpocząć transmisję meczu Red Soksów.

– Nie możemy tam zejść – rzekł Ben. Mandy Fazio nie był złym facetem, ale kiedy tylko zobaczył na wysypisku jakieś dzieciaki, zaraz je przeganiał, czy to z powodu szczurów, trucizny, jaką wykładano przeciwko tym gryzoniom, czy też możliwości poranienia się, nieszczęśliwego upadku, a także poparzenia.

– Jesteście grzeczni czy nie?! – wołał do dzieciaków, które przyłapał, jak przekradały się na wysypisko, kiedy chciał sobie postrzelać ze swojej dwudziestkidwójki do butelek (szczurów

czy mew) lub gdy przyciągała je tam egzotyczna fascynacja „pogmerania w śmieciach”: mogłeś znaleźć zabawkę, która nadal działała, krzesło, które mogło przydać się w waszym „klubowym domku”, a nawet stary telewizor z nieuszkodzonym kineskopem, który po celnym rzucie kamieniem mógł eksplodować z całkiem przyjemnym dla ucha hukiem. – Nie jesteście grzeczni?! – ryczał Mandy (nie wydzierał się tak dlatego, że był wściekły, tylko dlatego, że był głuchy, a nie nosił aparatu słuchowego). – Czy rodzice nie mówili wam, że powinniście być grzeczni? Grzeczne dzieciaki nie bawią się na wysypisku śmieci! Idźcie do parku! Do biblioteki! Do Community House, pograjcie se w stołowego hokieja! Bądźcie grzeczne!

– Nie – rzekł Richie. – Chyba śmietnisko odpada.

Przysiedli na chwilę, patrząc, jak Mandy radzi sobie z buldożerem, w nadziei, że facetowi się w końcu znudzi i sobie pójdzie, ale w gruncie rzeczy sami w to nie wierzyli. Obecność radia sugerowała, że Mandy zamierza spędzić tu całe popołudnie. Nawet papież by się wściekł, pomyślał Bill. W sumie nie było lepszego miejsca, gdzie można odpalić fajerwerki, niż wysypisko śmieci. Mogłeś włożyć je do pustych puszek

i patrzeć, jak w momencie eksplozji fajerwerków ulatują w powietrze. Poza tym mogłeś włożyć kilka petard do szyjek butelek, tylko że po podpaleniu lontów musiałeś uciekać co sił w nogach. Butelki zwykle pękały, choć oczywiście nie zawsze.

– Szkoda, że nie mamy paru M-osiemdziesiątek – westchnął Richie, nie wiedząc, że już niebawem pożałuje tych słów.

– Moja mama twierdzi, że ludzie powinni się cieszyć z tego, co mają – rzekł z taką powagą Eddie, że pozostali wybuchnęli śmiechem. Kiedy śmiech ucichł, wszyscy ponownie spojrzeli na Billa. Bill zamyślił się na chwilę, po czym powiedział:

– Z-z-znam t-takie miejsce. S-s-stary żwirowy d-dół na k-k-końcu B-barrens przy t-torowisku.

– Tak! – rzekł Stan, podnosząc się z ziemi. – Znam to miejsce! Jesteś geniuszem, Bill.

– Tam to dopiero będzie echo! – zgodziła się Beverly.

– No to chodźmy – rzucił Richie.

Cała szóstka, zaledwie jednej osoby brakowało do magicznej liczby, przeszła wzdłuż nawisu pagórka okalającego wysypisko śmieci. Mandy Fazio spojrzał raz w górę i zobaczył ich sylwetki rysujące się na tle błękitnego nieba,

które mogły się kojarzyć z grupą Indian wybierających się na bojowy wypad. Miał już na nich krzyknąć: „Barrens nie jest miejscem dla dzieciaków!”, ale zamiast tego ponownie zabrał się do pracy. W każdym razie nie zeszli na teren jego wysypiska śmieci.

7

Mike Hanlon przebiegł, nie zatrzymując się, obok szkoły wyznaniowej przy Neibolt Street i popędził prosto jak strzała w stronę torowiska. Rzecz jasna, wstępu pilnował tam dozorca, ale pan Gendron był bardzo stary i jeszcze bardziej głuchy niż Mandy Fazio. Poza tym lubił przesypiać letnie dni w chłodnej piwnicy przy milczącym kotle parowym, wyciągnięty na starym, zdezelowanym leżaku, z egzemplarzem „News” na podołku. Mike będzie nadal bębnił pięściami w drzwi, wołając starego, aby go wpuścił, podczas gdy Henry Bowers dopadnie go i urwie mu głowę. Toteż Mike po prostu biegł.

Ale nie uciekał na oślep – starał się złapać rytm – usiłował kontrolować oddech i jak dotąd jeszcze nie był zdyszany. Henry, Belch i Moose Sadler nie przedstawiali większych problemów – nawet względnie rześcy biegli jak ranione bawoły. Victor Criss i Peter Gordon wszakże byli

o wiele szybsi. Kiedy Mike przebiegł obok domu, gdzie Bill i Richie widzieli klowna – albo wilkołaka – obejrzał się za siebie i z niepokojem stwierdził, że Peter Gordon zmniejszył dzielący ich dystans. Peter uśmiechnął się radośnie (i głupkowato), a Mike pomyślał, czy też by się tak uśmiechał, gdyby wiedział, co się stanie, jeżeli go złapią… Czy on myśli, że tamci po prostu powiedzą: „Berek, teraz ty gonisz” i zaczną uciekać?

Kiedy dostrzegł w oddali wrota torowiska z napisem: WŁASNOŚĆ PRYWATNA. WSTĘP WZBRONIONY POD ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ SĄDOWĄ – zmusił się, by nieco zwolnić. Nie odczuwał bólu – jego oddech był przyspieszony, ale nadal go kontrolował – zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli będzie zmuszony biec dłużej, zacznie go boleć prawie wszystko.

Wrota były na wpół otwarte. Powtórnie obejrzał się za siebie i zobaczył, że ponownie udało mu się zdystansować Petera. Victor był jakieś dziesięć kroków za Peterem, a pozostali mniej więcej czterdzieści, pięćdziesiąt jardów w tyle. Nawet jeden rzut oka wystarczył Mike’owi, by dostrzec wyraz posępnej wściekłości na twarzy Henry’ego.

Wpadł do środka, obrócił się i zatrzasnął bramę. Usłyszał szczęk zamykanego zamka. Chwilę później Peter Gordon rąbnął o siatkę, a zaraz potem zjawił się przy nim Victor Criss. Uśmiech Petera zgasł. Jego miejsce zajęło nadąsane, zagniewane spojrzenie. Sięgnął dłonią do klamki, ale oczywiście znajdowała się ona tylko po jednej stronie – od wewnątrz.

– Niesłychane – powiedział Peter. – No, dalej, dzieciaku, otwórz bramę. To nieuczciwe.

– A co jest według ciebie uczciwe? – zapytał zdyszany Mike. – Pięciu na jednego?

– Otwieraj – powtórzył Peter, jakby w ogóle nie słyszał słów Mike'a. Mike spojrzał na Victora i dostrzegł wyraz zakłopotania w jego oczach. Chciał coś powiedzieć, ale do bramy podbiegli już pozostali.

– Otwieraj, czarnuchu! – ryknął Henry. Zaczął trząść siatką z taką wściekłością, że Peter spojrzał na niego zdziwiony.

– Otwieraj! Otwieraj. I to już!

– Nie otworzę – odrzekł szybko Mike.

– Otwórz! – wrzasnął Belch. – Otwieraj, ty pierdolony asfalcie!

Mike cofnął się od bramy, a serce waliło mu ciężko w piersiach.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był równie przerażony czy zdenerwowany. Stanęli jeden obok drugiego, wrzeszcząc na niego, wyzywając go od czarnuchów, czarniawych, negatywów, asfaltów, brudasów, jak również wymyślając epitety, jakich nigdy dotąd nie słyszał: Ubangi, pik, jagoda, czarna małpa i wiele innych. Prawie nie zauważył, jak Henry wyjmuje coś z kieszeni, zapala zapałkę, pocierając ją o paznokieć kciuka – a chwilę później coś czerwonego i okrągłego przeleciało nad ogrodzeniem i ledwo zdążył uskoczyć, gdy mała petarda eksplodowała na lewo od niego, wzbijając tuman kurzu.

Wybuch ogłuszył ich na moment – Mike z niedowierzaniem patrzył na nich przez siatkę, a oni przyglądali się jemu. Peter Gordon był kompletnie zszokowany. Nawet Belch sprawiał wrażenie oszołomionego. Teraz się go boją, pomyślał nagle Mike i odezwał się w nim nowy głos, głos dorosłego. Być może właśnie wtedy usłyszał go po raz pierwszy. Oni się boją, ale to ich nie powstrzyma. Musisz wiać, Mikey, bo w przeciwnym razie stanie się coś złego. Nie wszyscy będą chcieli, aby się tak stało – być może nie Victor i z pewnością nie Peter Gordon – ale to i tak się stanie, bo Henry to zrobi. Dlatego uciekaj. Uciekaj, i to szybko.

Cofnął się jeszcze dwa, trzy kroki, a wtedy Henry Bowers powiedział:

– To ja zabiłem twojego psa, czarnuchu.

Mike zamarł, czując, jakby dostał w żołądek kulą od kręgli. Patrzył w oczy Henry'ego Bowersa i zrozumiał, że tamten mówił prawdę – rzeczywiście zabił Pana Chipsa.

Chwila zrozumienia zdawała się Mike'owi wiecznością – patrząc w szalone oczy Henry'ego i na jego spoconą, poczerwieniałą z wściekłości twarz, miał wrażenie, że po raz pierwszy zrozumiał wiele spraw, a jedną z nich, w sumie dosyć pośledną, było to, że Henry jest bardziej szalony, niż się Mike'owi wydawało. Zrozumiał przede wszystkim, że świat bynajmniej nie był miłym miejscem i bardziej to niż sama treść usłyszanej wiadomości sprawiło, że krzyknął:

– Ty pieprzony, tchórzliwy draniu!

Henry wrzasnął z wściekłości i zaatakował ogrodzenie, wdrapując się na szczyt z iście małpią zręcznością i złowieszczą siłą. Mike zatrzymał się jeszcze na chwilę, chcąc zobaczyć, czy przemawiający w jego wnętrzu głos dorosłego miał rację. Tak, miał rację; po krótkim wahaniu pozostali stanęli w pewnym oddaleniu od siebie i też podjęli wspinaczkę. Mike odwrócił się i ponownie zaczął biec, pędził przez

torowisko, a krótki, gruby cień pętał mu się pod nogami. Pociąg, który widzieli Frajerzy, gdy przechodzili przez Barrens, już dawno odjechał, a jedynymi słyszalnymi odgłosami był zasapany oddech Mike'a, pobrzmiewający w jego uszach, i brzęk siatki, kiedy przechodzili po niej Henry i jego kolesie.

Mike przebiegł przez potrójne tory, a gdy przemierzał przestrzeń pomiędzy nimi, spod jego trampek wylatywały kawałki żwiru. Potknął się przy drugim zestawie torów i poczuł krótki, ostry ból, przeszywający mu kostkę. Wstał i podjął przerwany bieg. Usłyszał głuchy łomot, gdy Henry zeskoczył ze szczytu siatki, za jego plecami.

– Dorwę cię, czarnuchu! – ryknął Henry.

Rozsądna część Mike'a doszła do wniosku, że obecnie jedynym bezpiecznym dlań miejscem było Barrens. Gdyby zdołał tam dobiec, mógłby się ukryć w gęstwinie krzewów albo pośród bambusów… a w razie gdyby było naprawdę źle, wejść do którejś z rur ściekowych i tam przeczekać. Mógł tego dokonać – być może… ale w jego piersi rozpalił się płomień wściekłości, gniewu, który nie miał nic wspólnego z rozsądkiem. Mógł zrozumieć, że Henry ścigał

go, kiedy tylko miał po temu okazję, ale… żeby zabijać psa… jego Pana Chipsa.

Mój pies nie był czarnuchem, ty pieprzony draniu! – pomyślał Mike, biegnąc, a jego wściekłość narastała. I nagle usłyszał inny głos, głos swego ojca: „Nie chodzi mi o to, żebyś stale uciekał. Wszystko sprowadza się do tego, abyś był ostrożny w swoich poczynaniach. Nie szarżuj. Zadaj sobie w myślach pytanie, czy Henry Bowers jest wart tego, abyś pakował się w kłopoty…”.

Mike biegł prosto w stronę baraków magazynowych. Za nimi kolejna siatka oddzielała torowisko od Barrens. Zamierzał pokonać tę siatkę i przeskoczyć na drugą stronę. Skręcił jednak w prawo, w stronę żwirowego dołu. Żwirowy dół używany był jako dół węglowy do mniej więcej 1935 roku. Tu pociągi przejeżdżające przez Derry zaopatrywały się w paliwo. Potem pojawiły się lokomotywy z silnikami Diesla i elektryczne. W późniejszych latach węgiel został rozkradziony (przeważnie przez ludzi, którzy mieli piece na węgiel), a miejscowy przedsiębiorca budowlany wydobywał tam żwir, ale splajtował i od 1955 roku dół nie był używany.

Wstęga szyn nadal biegła szerokim łukiem w stronę dołu, a następnie zawracała do zwrotnicy, ale tory były pordzewiałe, a przerwy pomiędzy butwiejącymi podkładami porosły chwasty. Te same chwasty rosły również w dole, rywalizując o skrawek wolnej przestrzeni z kępami żółtych kwiatów i wielkimi słonecznikami. Pośród roślin było nadal sporo brył węgla, zwanych „brukowcami”.

Mike, biegnąc w tym kierunku, zdjął koszulę. Dotarł do krawędzi dołu i obejrzał się. Henry przebiegł właśnie przez tory wraz z kumplami.

Poruszając się najszybciej, jak potrafił, używając koszuli jako worka, Mike pozbierał pół tuzina ciężkich kamieni. Potem wrócił do siatki, trzymając koszulę za rękawy. Zamiast wdrapać się po siatce, stanął przy niej przodem do biegnących. Parkan miał za plecami. Wysypał bryły węgla na ziemię, pochylił się i wziął do rąk po jednym kawałku.

Henry nie widział węgla – widział tylko czarnucha zapędzonego w pułapkę przy ogrodzeniu. Podbiegł do niego, coś wykrzykując.

– To za mojego psa, ty draniu! – krzyknął Mike, nie zdając sobie sprawy, że zaczął płakać. Cisnął jednym z odłamków węgla. Pocisk pomknął do celu. Trafił Henry’ego prosto

w czoło, a potem się odbił. Henry upadł na kolana. Uniósł ręce do głowy. Natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, spomiędzy jego palców zaczęła wypływać krew.

Pozostali zatrzymali się, a na ich twarzach odmalowało się niemal identyczne niedowierzanie. Henry wrzasnął z bólu i podniósł się z ziemi, stale trzymając się za głowę. Mike cisnął drugą bryłkę, ale Henry się uchylił. Zaczął iść w stronę Mike'a, kiedy ten rzucił w niego trzecią bryłkę. Henry odjął jedną rękę od rozpłatanego, krwawiącego czoła i prawie niedbałym gestem odbił lecący w jego stronę pocisk. Uśmiechał się.

– Czeka cię niespodzianka – powiedział. – Wielka… O Boże! – Henry próbował coś dodać, ale z jego ust dobyły się tylko chrapliwe, nieartykułowane odgłosy.

Mike rzucił kolejnym kawałkiem węgla, trafiając Henry'ego w szyję. Henry znów osunął się na kolana. Peter Gordon patrzył z rozdziawionymi ustami. Czoło Moose'a Sadlera zmarszczyło się, jakby rozmyślał nad jakimś poważnym matematycznym problemem.

– Na co czekacie, chłopaki? – wykrztusił Henry. Jego głos brzmiał ochryple i obco. – Brać go! Dorwijcie tego małego chuja!

Mike nie czekał, żeby sprawdzić, czy podporządkują się temu rozkazowi. Upuścił koszulę i wskoczył na siatkę. Zaczął się wspinać, kiedy poczuł szorstkie dłonie chwytające go za stopę. Spojrzał w dół i zobaczył wykrzywioną twarz Henry'ego Bowersa, usmarowaną krwią i węglem. Mike szarpnął nogę. Jego trampek pozostał w dłoni Henry'ego. Pchnął bosą stopą w twarz Henry'ego i usłyszał, jak coś pęka. Henry ponownie wrzasnął i zachwiał się do tyłu. Tym razem trzymał się za buchający krwią nos.

Kolejna dłoń – Belcha Hugginsa – schwyciła go za dżinsy, ale udało mu się wyrwać. Przerzucił jedną nogę nad ogrodzeniem i wtem coś trafiło go z oślepiającą siłą w bok twarzy. Ciepły strumyczek pociekł mu po policzku. Coś jeszcze trafiło go w biodro, przedramię i górną część uda. Wykorzystywali przeciw niemu jego amunicję.

Na krótką chwilę zawisł na rękach, a potem skoczył i dwa razy przetoczył się po ziemi. Było tu trochę spadziście i być może to uratowało Mike'owi wzrok lub nawet życie.

Henry ponownie zbliżył się do ogrodzenia i tym razem przerzucił nad nim jedną z M-osiemdziesiątek. Wybuchnęła z głośnym trzaskiem (który odbił się gromkim echem),

wypalając przy tym szeroką połać trawy. Mike, któremu zaczęło dzwonić w uszach, stoczył się na łeb na szyję po zboczu i chwiejnie wstał. Wylądował w wysokiej trawie na skraju Barrens. Przejechał dłonią po prawym policzku, a gdy odsunął rękę, była cała zakrwawiona. Krew nie przerażała go specjalnie, nie oczekiwał, że wyjdzie z tego bez szwanku.

Henry rzucił petardę, ale Mike widział to i z łatwością się uchylił.

– Brać go! – ryknął Henry i zaczął piąć się po siatce.

– Jezu, Henry, nie wiem… – Tego było za wiele dla Petera Gordona, który nigdy dotąd nie znalazł się w równie kłopotliwej sytuacji. Sprawy wymykały się spod kontroli. Sytuacja błyskawicznie się zaogniła. Nie przypuszczał, że dojdzie do rozlewu krwi, a przynajmniej po stronie ścigających, zwłaszcza kiedy wszystko przemawiało wyłącznie na ich korzyść.

– Lepiej, żebyś wiedział – rzekł Henry, odwracając się w stronę Petera w połowie wysokości siatki. Zawisł tam jak napęczniały, jadowity pająk o ludzkich kształtach. Wpatrywał się rozszerzonymi oczyma w Petera. Gałki oczne miał okolone obwódkami krwi. Kopnięcie Mike’a złamało mu nos, choć wtedy Henry

jeszcze o tym nie wiedział. – Lepiej, żebyś wiedział, bo jak nie, to wezmę się i do ciebie, ty kutasie!

Pozostali zaczęli wchodzić na ogrodzenie. Peter i Victor z wahaniem, Belch i Moose, tak jak poprzednio, z bezmyślną żwawością. Mike nie czekał ani chwili dłużej. Odwrócił się i popędził w gąszcz.

– Znajdę cię, czarnuchu! Znajdę cię! – krzyknął za nim Henry.

8

Frajerzy dotarli do drugiego końca żwirowego dołu, który był obecnie zwyczajną zachwaszczoną jamą, jako że ostatnią partię żwiru wybrano stąd trzy lata temu. Wszyscy stali wokół Stana, wpatrując się z wyczekiwaniem w jego paczkę black catsów, kiedy nastąpił pierwszy wybuch. Eddie aż podskoczył – wciąż łamał sobie głowę nad piranią, którą zobaczył (nie był pewny, jak wygląda prawdziwa pirania, ale był całkiem pewny, że nie przypomina przerośniętej złotej rybki z zębami).

– Spokój się, Eddie-san – rzekł Richie głosem Chińczyka. – To po płostu kiś dzieciak trzela z fajełwełków.

– R-r-richie – powiedział Bill. Pozostali się roześmiali.

– Staram się, Wielki Billu – rzekł Richie. – Może któregoś dnia zdołam zasłużyć sobie na twoją miłość. – Zaczął przesyłać mu całusy. Bill strzelił do niego z palca. Ben i Eddie stali nieopodal, uśmiechając się.

– *I'm so young and you're so old* – rzucił nagle Stan Uris, naśladując, rzecz dziwna, niezwykle udanie Paula Ankę. – *This my darling I've been told*…

– On umi śpiewać! – skrzeknął Richie głosem murzyńskiego dziecka. – Spójrzcie no, ten chopiec umi śpiewać! – A potem głosem komentatora Moviego Tone'a: – Podpisz to nad tą przerywaną linią.

Richie objął Stana ramieniem i obdarzył go iście promiennym uśmiechem. Bill stuknął Richiego dwa razy w ramię – lekko i szybko. Wszyscy nie mogli się już doczekać odpalenia fajerwerków.

– Otwórz je, Stan – powiedziała Beverly. – Mam parę zapałek.

Znów zbili się w ciasną grupkę, podczas gdy Stan powoli otwierał paczuszkę fajerwerków. Na opakowaniu był jakiś chiński napis i posępne ostrzeżenie w języku angielskim, po którego

przeczytaniu Richie znów zaczął chichotać. „Nie trzymać w ręku po zapaleniu lontu”, brzmiał napis.

– To ci dopiero – rzekł Richie. – Zawsze je trzymam w dłoni, jak zapalę lont. Myślałem, że w ten sposób zrobię sobie manikiur.

Stan ostrożnie, pieczołowicie zdjął czerwony celofan i położył na dłoni pudełeczko wypełnione kolorowymi kartonowymi rurkami – czerwonymi, niebieskimi i zielonymi. Ich lonty były splecione w chiński warkoczyk.

– Rozplączę… – zaczął Stan i wtedy rozległa się głośniejsza eksplozja. Echo przetoczyło się powoli po Barrens. Stado mew wzbiło się z krzykiem nad wschodnim krańcem wysypiska. Tym razem wszyscy drgnęli. Stan upuścił fajerwerki i musiał je pozbierać.

– Czy to był dynamit? – spytała nerwowo Bev. Patrzyła na Billa, który miał głowę uniesioną wysoko i rozszerzone oczy. Pomyślała, że nigdy dotąd nie wyglądał równie przystojnie, ale w jego wyglądzie wyczuwało się wzmożone napięcie i czujność.

Przypominał jelenia, który zwietrzył pożar lasu.

– To chyba M-osiemdziesiątka – powiedział cicho Ben. – W zeszłym roku na Czwartego Lipca

byłem w parku i widziałem, jak paru licealistów odpalało kilka tych petard. Włożyli jedną do blaszanej puszki. Dźwięk był identyczny.

– Wybiło dziurę w tej puszce, Haystack? – spytał Richie.

– Nie, ale z jednej strony się wybrzuszyła. Zupełnie jakby w środku siedział jakiś mały, wkurzony facet z młotkiem. Tamci uciekli.

– Ten duży wybuch był bliżej – rzekł Eddie i spojrzał na Billa.

– Chcecie je odpalić czy nie? – zapytał Stan. Odplątał mniej więcej tuzin fajerwerków, a resztę odłożył na później na nawoskowany papier.

– Pewno – stwierdził Richie.

– O-o-odłóż je.

Spojrzeli pytająco na Billa – jego ostry ton trochę ich przeraził.

– O-o-odłóż j-j-j-je – powtórzył Bill, a jego twarz wykrzywił grymas, gdy starał się artykułować kolejne słowa. Ślina prysnęła mu z ust. – C-c-coś się s-s-s-stanie.

Eddie oblizał wargi. Richie podsunął kciukiem okulary na nosie, a Ben, nawet o tym nie myśląc, przysunął się bliżej do Beverly. Stan otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, i wtedy dała się słyszeć kolejna eksplozja – jeszcze jedna petarda.

– K-k-kamienie – rzekł Bill.

– Co, Bill? – zapytał Stan.

– K-k-kamienie. Amunicja.

Bill zaczął zbierać kamienie i wpychać je do kieszeni. Pozostali patrzyli na niego jak na wariata… gdy wtem Eddie poczuł, że jego czoło zrasza zimny pot. Nagle zrozumiał, jak musi wyglądać atak malarii. Czuł się podobnie, kiedy wraz z Billem spotkali Bena po tym, jak Henry Bowers dosunął mu w nos, ale tym razem było o wiele gorzej. To uczucie zapowiadało, że już niedługo Barrens zamieni się w Hiroszimę. Ben też zbierał kamienie, a potem przyłączył się do tego Richie. Nie mówił ani słowa. Okulary zsunęły mu się z nosa i ze stukiem spadły na żwir. Obojętnym gestem złożył je i wsunął za koszulę.

– Czemu to zrobiłeś, Richie? – zapytała Beverly. Jej głos był zbyt cichy, zbyt napięty.

– Nie wiem, mała – rzekł Richie i ponownie zabrał się do gromadzenia kamieni.

– Beverly, może wróciłabyś na jakiś czas na wysypisko? – rzucił Ben. W dłoniach miał pełno kamieni.

– Chrzanię to – rzuciła. – Chrzanię wszystko, Benie Hanscom. – Pochyliła się i sama zaczęła zbierać kamienie.

Stan patrzył na nich z zamyśleniem, jak pochylali się niczym obłąkani farmerzy, zbierając kamienie. Potem on również się do nich przyłączył, a jego usta zacisnęły się w białą, wąziutką linię.

Eddie poczuł znajome uczucie zaciskania się krtani. Nie tym razem, do diaska, pomyślał nagle. Nie wtedy, gdy potrzebują mnie przyjaciele. Jak powiedziała Bev, chrzanię to. I on również zaczął zbierać amunicję.

9

Henry Bowers urósł zbyt szybko, by mógł być w normalnych okolicznościach szybki czy zwinny, ale tym razem okoliczności nie były normalne. Zaślepiły go ból i gniew, wskutek czego zmienił się w istne żywe srebro. Nie myślał logicznie – jego umysł, praktycznie rzecz biorąc, w ogóle nie pracował. Sunął za Mikiem Hanlonem jak byk za czerwoną płachtą. Mike biegł wąską ścieżynką, która prowadziła w stronę śmietniska, ale Henry bynajmniej nie zawracał sobie głowy czymś równie trywialnym jak szukanie ścieżek. Przedzierał się na przestrzał przez gęstwiny krzewów i jeżyn, nie czując, jak ostre kolce rozdzierają mu skórę ani

jak gałęzie chłoszczą go po twarzy, szyi i ramionach.

Jedyne, co teraz widział, to kędzierzawą głowę uciekającego przed nim czarnucha. Dystans się zmniejszał. Henry w prawej ręce trzymał M-osiemdziesiątkę, a w drugiej zapałkę. Kiedy dogoni czarniawego, zapali zapałkę, przypali lont, a potem wrzuci petardę gnojowi do gaci.

Mike wiedział, że Henry jest coraz bliżej, i pozostali również deptali mu po piętach. Próbował przyspieszyć. Był teraz nieźle wystraszony i tylko resztką woli powstrzymywał się przed popadnięciem w panikę. Przebiegając przez torowisko, uszkodził sobie kostkę poważniej, niż sądził, i teraz dość mocno utykał. Odgłosy biegnącego za nimi Henry'ego kojarzyły mu się z jakimś drapieżnikiem – wściekłym psem albo niedźwiedziem zabójcą – goniącym bezlitośnie swoją ofiarę.

Ścieżka otworzyła się przed nimi. Mike bardziej wpadł, niż wbiegł, do żwirowego dołu. Stoczył się na sam dół, wstał i po przebiegnięciu mniej więcej połowy szerokości dołu zorientował się, że było tam kilkoro dzieciaków. W sumie sześcioro. Stali w rzędzie z dziwnym wyrazem twarzy. Dopiero później, kiedy miał czas zebrać

myśli, uświadomił sobie, co było dziwnego w ich spojrzeniach – zupełnie jakby na niego czekali.

– Na pomoc – wydusił Mike, kuśtykając w ich stronę. Instynktownie zwrócił się do wysokiego, rudowłosego chłopca. – Dzieciaki… starsze dzieciaki.

Właśnie wtedy Henry wpadł do żwirowego dołu. Dostrzegł szóstkę dzieciaków i zatrzymał się gwałtownie. Przez moment na jego twarzy malowała się niepewność. Obejrzał się przez ramię. Zobaczył swoich kumpli, a kiedy ponownie odwrócił się w stronę Frajerów (Mike, zdyszany, stał teraz obok Billa Denbrough), uśmiechnął się.

– Znam cię, szczeniaku – rzekł, zwracając się do Billa. Spojrzał na Richiego. – I ciebie też znam. Gdzie masz cyngle, okularniku?

Zanim Richie zdążył odpowiedzieć, Henry zobaczył Bena.

– No, no, kurwa mać! Mam tu też Żyda i grubasa! To twoja dziewczyna, spaślaku?

Ben drgnął gwałtownie. Właśnie wtedy Peter Gordon stanął obok Henry’ego. Victor zajął miejsce po drugiej stronie. Belch i Moose Sadler przybiegli na końcu. Zatrzymali się, jeden przy Peterze, drugi przy Victorze, i teraz dwie grupy stały naprzeciwko siebie w niemal równych

rzędach. Dysząc ciężko, Henry, który wciąż bardziej kojarzył się z rozjuszonym bykiem niż człowiekiem, wychrypiał:

– Wielu z was chciałbym porachować kości, ale możemy to odłożyć na inną okazję. Chcę tego czarnucha. Spadajcie stąd, szczyle.

– Racja! – mruknął służalczo Belch.

– On zabił mojego psa! – wykrzyknął Mike ochrypłym, wciąż jeszcze łamiącym się głosem. – Sam mi powiedział.

– Przyjdź tu zaraz – rozkazał Henry. – To może cię nie zabiję.

Mike zadrżał, ale nie ruszył się z miejsca.

– B-barrens jest nasze. W-wynoście się stąd – powiedział Bill powoli i wyraźnie.

Oczy Henry'ego się rozszerzyły. Zupełnie jakby ktoś niespodziewanie wymierzył mu policzek.

– A kto mnie do tego zmusi? Ty, jąkało?

– M-m-my – rzekł Bill. – Dołożymy ci, B-b-bowers. W-wy-noście się stąd!

– Ty pieprzony jąkało! – krzyknął Henry i zaatakował z pochyloną głową. Bill miał w rękach parę kamieni, w sumie prawie wszyscy mieli po kilka, prócz Mike'a i Beverly, która miała tylko jeden. Bill zaczął ciskać w Henry'ego, nie spiesząc się, ale starając się wyrównać to siłą

i dokładnością rzutu. Pierwszy kamień chybił; drugi trafił Henry’ego w ramię. Gdyby spudłował przy trzecim rzucie, Henry mógłby go dopaść i obalić na ziemię, ale tak się nie stało. Trzeci kamień trafił Henry’ego w pochyloną nisko głowę. Henry zawył z bólu, uniósł wzrok i… zarobił kolejne cztery trafienia: małe *billet-doux* od Richiego Toziera w klatkę piersiową, w łopatkę od Eddiego, w goleń od Stana i w brzuch od Beverly. Spojrzał na nich z niedowierzaniem i nagle w powietrzu zaroiło się od świszczących pocisków. Henry upadł z tym samym wyrazem zdziwienia i bólu na twarzy.

– No, dalej, chłopaki! – krzyknął. – Pomóżcie mi!

– N-n-na nich! – zakomenderował niezbyt głośnym tonem Bill i nie czekając na ich reakcję, ruszył naprzód.

Pobiegli za nim, rzucając kamieniami nie tylko w Henry’ego, ale i w pozostałych. Kumple Bowersa zaczęli zbierać amunicję, ale spadł na nich grad kamiennych pocisków. Peter Gordon krzyknął, kiedy kamień ciśnięty przez Bena odbił się od jego kości policzkowej, rozcinając skórę. Cofnął się parę kroków, z wyraźnym wahaniem rzucił kilka kamieni… a potem uciekł. Miał już

dosyć. Na West Broadway coś takiego raczej się nie zdarzało.

Henry dzikim zamaszystym gestem zagarnął do siebie trochę kamieni. Na szczęście dla Frajerów większość stanowiły kawałki żwiru. Rzucił większym kamykiem w Beverly i rozciął jej ramię. Krzyknęła. Ben z głośnym rykiem natarł na Bowersa. Henry zdążył się obejrzeć i zauważył nadbiegającego chłopca, ale nie miał czasu, aby się odsunąć. Ben ważył wówczas około stu sześćdziesięciu funtów i rezultat był łatwy do przewidzenia. Henry nie tyle runął na ziemię, ile wyprysnął w powietrze. Wylądował na plecach i poszorował nimi po ziemi. Ben ponownie ruszył na niego i poczuł tylko ostry ciepły ból w uchu, gdzie trafił go kamień wielkości piłki do golfa rzucony przez Belcha.

Henry niezdarnie podniósł się na kolana, kiedy Ben podbiegł do niego i z całej siły przykopał mu w biodro. Henry ciężko przewrócił się na plecy. Spojrzał pałającymi nienawiścią oczyma na Bena.

– Nie powinieneś rzucać kamieniami w dziewczyny! – wrzasnął Ben. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek w życiu był równie wściekły. – Nie powinieneś…

I wtedy zobaczył płomień w dłoni Henry’ego, kiedy Bowers zapalił zapałkę, przytknął ją do grubego lontu M-osiemdziesiątki i cisnął Benowi w twarz. Ben, działając bez namysłu, zamachnął się ręką i trzepnął dłonią w petardę, jak rakietką w lotkę od badmintona. Henry zobaczył przerażony, jak petarda leci w jego stronę. Oczy rozszerzyły mu się i przetoczył się na bok z krzykiem. Ułamek sekundy potem petarda eksplodowała, czerniąc tył koszuli Henry’ego i wyrywając z niej parę kawałków materiału.

Ben po chwili został trafiony przez Moose’a Sadlera i upadł na kolana. Przyciął sobie zębami język aż do krwi. Rozejrzał się wokoło oszołomiony. Moose zbliżał się do niego, ale nim zdążył doń dotrzeć, Bill zaszedł go od tyłu i poczęstował gradem kamieni. Sadler okręcił się gwałtownie, krzycząc:

– Ty tchórzu, trafiłeś mnie w plecy! Ty tchórzliwy draniu, atakujesz od tyłu!

Już miał uderzyć, kiedy do Billa dołączył Richie i też zaczął ciskać kamieniami w Moose’a. Zupełnie obojętne mu były uwagi na temat zachowań określanych powszechnie jako tchórzliwe – widział, jak w pięciu gonili jednego wystraszonego dzieciaka, a tego typu postępowanie nie przystawało do rycerskości

godnej króla Artura i rycerzy Okrągłego Stołu. Jeden z pocisków Richiego rozciął Moose'owi skórę nad lewą brwią. Moose zawył. Eddie i Stan Uris podbiegli, by dołączyć do Billa i Richiego. Beverly była tuż za nimi. Miała zakrwawione ramię, ale jej oczy pałały dzikim blaskiem. Posypały się kamienie. Belch Huggins wrzasnął, kiedy jeden z nich walnął go w najwrażliwszy punkt łokcia. Zaczął podskakiwać niezdarnie, rozcierając bolące miejsce. Henry podniósł się – tył jego koszuli zwisał w strzępach, ale widoczna pod spodem skóra jakimś cudem pozostała prawie nienaruszona. Zanim zdążył się odwrócić, Ben Hanscom trafił go kamieniem w tył głowy, ponownie powalając na kolana.

Tego dnia najwięcej szkód grupie Frajerów wyrządził Victor Criss – po części dlatego, że był niezłym baseballistą i potrafił szybko rzucać (czy to piłką, czy kamieniem), po części dlatego, że był najmniej zaangażowany emocjonalnie. Prawdę mówiąc, w ogóle nie chciał się tu znaleźć. W bitwach na kamienie dzieciaki mogą solidnie oberwać – skończyć z rozwaloną czaszką, połamanymi zębami, a nawet wybitym okiem. Jednak skoro miał już wziąć udział w tej bitwie, postanowił nie zasypiać gruszek w popiele. Miał zamiar dołożyć zdrowo Frajerom. Wewnętrzny

spokój i opanowanie sprawiły, że zyskał dodatkowo trzydzieści sekund i zdołał zebrać dostatecznie dużo amunicji. Kiedy Frajerzy przegrupowali się, tworząc nierówny szyk bojowy, cisnął pierwszy kamień w Eddiego i trafił go w szczękę. Kaspbrak upadł z krzykiem – krew pociekła mu po brodzie. Ben odwrócił się w jego stronę, ale Eddie już się podnosił; krew na jego pobladłej twarzy wydawała się dziwnie jaskrawa; miał półprzymknięte oczy. Victor posłał kolejny kamień w stronę Richiego. Richie oberwał w pierś, ale zaraz odpowiedział rzutem kamienia, na co Vic uchylił się zgrabnym ruchem i wymierzył kolejny pocisk w Billa Denbrough. Bill ostro odchylił głowę, ale zrobił to nie dość szybko i kamień rozpłatał mu policzek. Wtedy odwrócił się w stronę Victora. Ich spojrzenia spotkały się i Victor dostrzegł w oczach tego dzieciaka coś, co go przeraziło. Miał ochotę krzyknąć: „Przepraszam, już mnie tu nie ma…!”, ale nie mógł tego zrobić. Przecież stał naprzeciwko małego dzieciaka. Nie mógł i nie chciał narazić się na kpiny i szyderstwa ze strony swoich kolegów.

Bill ruszył w stronę Victora, który także zaczął iść przed siebie. W tej samej chwili jak na telepatyczny sygnał zaczęli rzucać w siebie

kamieniami, przez cały czas zmniejszając dzielący ich dystans. Walki wokół nich zaczęły wygasać, gdyż pozostali przyglądali się niezwykłemu pojedynkowi; nawet Henry odwrócił głowę. Victor uchylał się i odwracał, a Bill w ogóle nie starał się tego robić. Pociski Victora trafiały go w pierś, ramię i brzuch. Jeden świsnął mu koło ucha. Bill najwyraźniej tym niewzruszony rzucał jeden kamień za drugim, miotając nimi z iście morderczą siłą. Trzeci grzmotnął Victora w kolano przy wtórze głośnego trzasku i Victor wydał przejmujący, zdławiony jęk. Nie miał już amunicji. Billowi pozostał jeszcze jeden kamień. Gładki i biały, upstrzony drobinami kwarcu, był wielkości mniej więcej kurzego jaja. Victorowi wydawał się nad wyraz twardy. Bill był niecałe pięć stóp od niego.

– W-w-wynoś się stąd, a-a-ale j-już – powiedział. – B-bo r-rozwalę ci ł-łeb. N-n-nie żartuję.

Victor dostrzegł w oczach Billa śmiertelną powagę. Bez słowa odwrócił się i podążył w tę samą stronę co przedtem Peter Gordon. Belch i Moose rozglądali się niepewnie wokoło. Z kącika ust Sadlera ciekła krew. Krew spływała

Belchowi z pokaźnej rany na policzku, z którego zwisał strzęp skóry.

Usta Henry'ego poruszały się, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Bill zwrócił się do Henry'ego:

– W-wynoś się.

– A jeżeli nie, to co? – Henry usiłował zgrywać twardziela, ale w jego oczach widać było coś całkiem innego. Był przerażony i łamał się. To powinno obudzić w sercu Billa uczucie triumfu i radości, ale on czuł się po prostu zmęczony.

– J-j-jeżeli n-nie – rzekł Bill – t-to się t-t-tobą z-z-zajmiemy. M-myślę, że nasza szóstka zdoła p-p-posłać cię d-do szpitala.

– Siódemka – rzekł Mike Hanlon i przyłączył się do nich. W obu rękach trzymał pokaźne otoczaki. – Tylko spróbuj, Bowers. Bardzo bym tego chciał.

– Ty pieprzony czarnuchu! – Głos Henry'ego łamał się, tylko krok dzielił Bowersa od wybuchnięcia płaczem. Ten głos sprawił, że Moose i Belch na dobre stracili ochotę do walki. Wycofali się, wypuszczając trzymane w rękach kamienie. Belch rozejrzał się wokoło, jakby zastanawiał się, gdzie się znajduje.

– Wynoście się z naszego miejsca – rzuciła Beverly.

– Zamknij się, ty dziwko – syknął Henry. – Ty…

Cztery kamienie poleciały jednocześnie, trafiając Henry'ego w cztery różne miejsca. Wrzasnął i zaczął czołgać się do tyłu po porośniętej chwastami ziemi, a porwana na strzępy koszula trzepotała wokół niego na wietrze. Powiódł wzrokiem od posępnych młodostarych twarzy młodszych dzieciaków do przerażonych facjat Belcha i Moose'a. Nie znalazł w nich jednak wsparcia – wręcz przeciwnie. Moose odwrócił się zakłopotany. Henry podniósł się, pochlipując i siąkając przez złamany nos.

– Zabiję was wszystkich! – krzyknął i nagle pobiegł w stronę ścieżki. Chwilę później już go nie było.

– J-j-jazda – rzekł Bill, zwracając się do Belcha. – W-w-wynocha. I n-n-nie wracajcie tu. N-nigdy. B-b-barrens jest n-nasze.

– Pożałujesz, że zadarłeś z Henrym, gnoju – mruknął Belch. – Chodź, Moose. – Ruszyli w powrotną drogę ze spuszczonymi głowami, nie oglądając się za siebie.

Cała siódemka stała w luźnym półokręgu. Każdy z nich krwawił. Apokaliptyczna bitwa na kamienie trwała nie więcej niż cztery minuty, ale Bill miał wrażenie, jakby brał udział w całej

drugiej wojnie światowej, na obu jej teatrach, bez choćby jednej przerwy.

Ciszę przerwało dławienie się Eddiego Kaspbraka, który z trudem usiłował zaczerpnąć odrobinę powietrza. Ben podszedł do niego, poczuł, jak zjedzone w drodze do Barrens trzy batony twinkies i cztery ding dong zaczynają podchodzić mu do gardła, i minąwszy Eddiego, pobiegł w krzaki, gdzie w miarę spokojnie, na osobności mógł zwrócić to, co niedawno przełknął.

Richie i Bev podeszli do Eddiego. Beverly objęła chłopca w pasie, a Richie wyjął mu z kieszeni aspirator.

– Łyknij se – powiedział i nacisnął spust, a Eddie skwapliwie, choć jeszcze niepewnie wciągnął do płuc powietrze z odrobiną „specyfiku”.

– Dzięki – wykrztusił w końcu Eddie.

Ben wyszedł zza krzaków poczerwieniały, ocierając dłonią usta. Beverly zbliżyła się do niego i wzięła jego ręce w swoje.

– Dziękuję, że mnie broniłeś – powiedziała.

Ben skinął głową, patrząc na swoje brudne trampki.

– Kiedy tylko zechcesz, mała.

Jeden po drugim odwracali się, by spojrzeć na Mike’a. Chłopca o ciemnej skórze. Przyglądali mu się z uwagą, ostrożnie i w zamyśleniu. Mike czuł już wcześniej podobne zaciekawienie – właściwie było tak od zawsze, odkąd sięgał pamięcią, i odpowiedział im równie gorliwym spojrzeniem. Bill przeniósł wzrok z Mike’a na Richiego, Richie spojrzał mu w oczy. Bill miał wrażenie, że usłyszał szczęk, gdy ostatni element maszyny o nieznanym przeznaczeniu znalazł się na swoim miejscu. Poczuł na plecach lodowate ciarki.

Teraz jesteśmy już wszyscy. Myśl ta była tak silna, tak prawdziwa, że miał wrażenie, jakby wypowiedział ją na głos. Rzecz jasna wcale nie musiał tego robić. Widział to w oczach Richiego, Bena, Eddiego, Bev i Stana. Teraz jesteśmy wszyscy, pomyślał ponownie. O Boże, pomóż nam.

– Jak się nazywasz, dzieciaku? – zapytała Beverly.

– Mike Hanlon.

– Chcesz odpalić parę fajerwerków? – zapytał Stan, a uśmiech Mike’a był jedyną i w pełni wystarczającą odpowiedzią.

ROZDZIAŁ 14
Album

1

Jak się okazuje, nie tylko Bill przyniósł alkohol – wszyscy mieli coś mocniejszego. Bill bourbona, Beverly wódkę i karton soku pomarańczowego, Richie sześć puszek piwa, Ben Hanscom butelkę wild turkey. Mike miał piwo w lodówce. Eddie Kaspbrak zjawiał się ostatni z małą brązową torbą.

– Co tam chowasz, Eddie? – pyta Richie. – Za-rex czy kool aid?

Uśmiechając się nerwowo, Eddie wyciąga najpierw butelkę ginu, a potem butelkę soku śliwkowego.

W ciszy, która potem nastaje, Richie mówi cicho:

– Niech ktoś zadzwoni po facetów w białych kitlach. Eddiego w końcu trafiło.

– Tak się składa, że gin i sok śliwkowy są bardzo zdrowe – odcina się ostro Eddie… a potem wszyscy wybuchają gwałtownym śmiechem, ten dźwięk odbija się silnym echem we wnętrzu cichej biblioteki; przetacza się przez przeszklony korytarz pomiędzy biblioteką dla dorosłych a biblioteką dziecięcą.

– Walisz pełną parą, Eddie – mówi Ben, przecierając załzawione oczy. – I założę się, że ta mieszanka również dobrze wpływa na układ wydalniczy. – Eddie, uśmiechając się, napełnia papierowy kubek w trzech czwartych sokiem śliwkowym i skrupulatnie dodaje odrobinę ginu.

– Och, Eddie, kocham cię – mówi Beverly, a Eddie unosi wzrok i choć jest nieco zakłopotany, uśmiecha się. Bev wodzi wzrokiem po blacie stołu. – Kocham was wszystkich.

– M-my też cię k-k-kochamy, B-bev – mówi Bill.

– Tak – mówi Ben. – Kochamy cię. – Jego oczy rozszerzają się nieznacznie i wybucha śmiechem. – Myślę, że nadal nawzajem się kochamy… Wiesz, jak rzadkie musi być coś takiego?

Nastaje chwila ciszy, a Mike wcale się nie dziwi, widząc, że Richie ma na nosie okulary.

– Szkła kontaktowe zaczęły mnie piec i musiałem je wyjąć – mówi natychmiast Richie, kiedy Mike zadaje mu pytanie.

– Może powinniśmy przejść do rzeczy?

Wówczas wszyscy patrzą na Billa, tak jak wtedy w żwirowym dole, a Mike myśli: Patrzą na Billa, kiedy potrzebują przywódcy, a na Eddiego, kiedy potrzebują nawigatora. „Przejść do rzeczy” – co za sformułowanie. Czy powinienem im powiedzieć, że ciała znalezionych wtedy i teraz nie były napastowane seksualnie, nawet niespecjalnie zmasakrowane, tylko po prostu częściowo pożarte? Czy powinienem im powiedzieć, że w domu mam siedem hełmów górniczych z silnymi lampami elektrycznymi z przodu, z których jeden miał przypaść Stanowi Urisowi, ale – jak to się u nas mówiło – tym razem nie wyjdzie on na scenę? A może wystarczy, jeżeli powiem im po prostu: Idźcie do domu i wyśpijcie się, bo jutro lub raczej jutrzejszej nocy wszystko się skończy – albo dla nas, albo dla Tego.

Nic z tych rzeczy nie musi zostać wypowiedziane i powód, dla którego nie należy tego robić, został już wymieniony – oni nadal kochają się nawzajem. Przez te dwadzieścia siedem lat wiele rzeczy się zmieniło, ale to nie.

I to jest, myśli Mike, nasza jedyna prawdziwa nadzieja.

Pozostaje zrobić tylko jedno, aby zakończyć część wstępną, by przeszłość zmieniła się w teraźniejszość i koło się zamknęło. Tak, myśli Mike. To jest to. Dziś musimy zamknąć to koło. Jutro zobaczymy, czy ono nadal się obraca… tak jak wtedy, gdy wyrzuciliśmy starszych chłopaków ze żwirowego dołu i z Barrens.

– Pamiętasz resztę? – pyta Richiego Mike.

Richie przełyka piwo i kiwa głową.

– Pamiętam, jak opowiedziałeś nam o ptaku… i o dymnej jamie. – Na twarzy Richiego wykwita uśmiech. – Pamiętam, jak przyszliśmy tu nocą z Bevvie i Benem. Ależ to był, kurwa, horror…

– Bib-bip, Richie – mówi Beverly, uśmiechając się.

– No, wiecie – powiada, nadal się uśmiechając, i gestem, który tak dziwnie kojarzy się im z jego wizerunkiem sprzed lat, poprawia okulary na nosie. Mruga do Mike’a. – Ty i ja, racja, Mikey?

Mike prycha i kiwa głową.

– Panno Scałlett! Panno Scałlett! – krzyczy Richie głosem murzyńskiego dziecka. – W dymnej jamie łobi się za gołąco, panno Scałlett!

Śmiejąc się, Bill mówi:

– Kolejny inżynieryjny i architektoniczny triumf Bena Hanscoma.

Beverly potakuje ruchem głowy.

– Kopaliśmy właśnie klubową ziemiankę, kiedy przyniosłeś do Barrens album ze zdjęciami twojego ojca, Mike.

– O Chryste! – mówi Bill, siadając prosto. – I zdjęcia…

Richie ponuro kiwa głową.

– Ta sama sztuczka co w pokoju George'a. Tylko że tym razem widzieliśmy to wszyscy.

– Przypomniałem sobie, co się stało z tą dodatkową dolarówką – odzywa się Ben. Wszyscy odwracają się, by na niego spojrzeć. – Zanim tu przyjechałem, dałem trzy pozostałe mojemu zajomemu. Dla jego dzieciaków – mówi cicho Ben. – Przypominam sobie, że miałem też czwartą, ale nie pamiętałem, co się z nią stało. Teraz już wiem. – Patrzy na Billa. – Zrobiliśmy z tego srebrną kulę, prawda? Ty, ja i Richie. Z początku chcieliśmy zrobić srebrny pocisk…

– Byłeś pewien, że potrafiłbyś to zrobić – wtrąca Richie. – Ale w końcu…

– Spękaliśmy. – Bill powoli kiwa głową. Wspomnienia powracają i prawie słyszy towarzyszące temu głuche kliknięcie, kiedy

zajmują swoje miejsca. Jesteśmy coraz bliżej, myśli.

– Poszliśmy na Neibolt Street – przypomina Richie. – Wszyscy.

– Uratowałeś mi życie, Wielki Billu – mówi nagle Ben, a Bill kręci głową. – Naprawdę – potwierdza z naciskiem Ben i tym razem Bill nie zaprzecza. Podejrzewa, że być może faktycznie tak właśnie było, choć na razie nie może sobie przypomnieć, jak to się stało… i czy to rzeczywiście był on? Myśli, że może to Beverly… ale wspomnienie na razie… nie przychodzi.

– Przepraszam na chwilę – mówi Mike. – Mam na zapleczu w lodówce trochę piwa.

– Weź jedno z moich – proponuje Richie.

– Hanlon nie pija pifa białego człowieka – odcina się Mike.

– Zwłaszcza od ciebie, Niewyparzona Gębo.

– Bip-bip, Mikey – mówi z powagą Richie i Mike idzie po swoje piwo przy wtórze ich ciepłego, pełnego wesołości śmiechu. Zapala światło w małym pomieszczeniu, gdzie znajdują się stare krzesła, wyroby ze szkła kwarcowego, domagajace się wyczyszczenia, stare biuletyny ogłoszeń i parę egzemplarzy „New Yorker Cartoons”, teraz już pożółkłych i pozaginanych na brzegach.

Otwiera małą lodówkę i czuje, jak zgroza wślizguje się do jego wnętrza, przenika go do szpiku kości, tak jak zimą siarczysty mróz przeszywa cię na wskroś i wydaje ci się, że zima będzie trwała wiecznie, a wiosna nigdy nie nadejdzie. Z lodówki wypływają niebieskie i pomarańczowe balony, są ich tuziny – noworoczne pęki balonów, a on, jakby mimochodem, pośród ogarniającego go strachu, myśli: Teraz tylko brakuje nam Guya Lombardo pogwizdującego *Auld Lang Syne*. Przelatują obok jego twarzy i unoszą się do sufitu. Próbuje krzyczeć, ale nie może, gdy dostrzega to, co znajduje się za balonami, co To pozostawiło w jego lodówce, obok piwa, jakby na deser po tym, jak jego bezużyteczni przyjaciele opowiedzą już wszystkie swoje bezwartościowe historie i udadzą się do łóżek w wynajętych pokojach, w rodzinnym mieście, które nie jest już ich domem. Mike cofa się o krok, jego dłonie unoszą się do twarzy, zasłaniają oczy. Potyka się o jedno z krzeseł, prawie upada i odsuwa ręce. To jest tam nadal; oderwana głowa Stana Urisa obok sześciu puszek budweisera – nie głowa mężczyzny, lecz jedenastoletniego chłopca. Usta są otwarte w bezgłośnym okrzyku, ale Mike nie widzi zębów ani języka, bo Stan ma usta pełne

piór. Pióra są jasnobrązowe i olbrzymie. Mike wie, z jakiego ptaka pochodzą te pióra. O tak. Wie to znakomicie. Widział tego ptaka w maju pięćdziesiątego ósmego i wszyscy widzieli go na początku sierpnia tegoż roku, a potem, wiele lat później, dowiedział się (składając wizytę swojemu umierającemu ojcu), że Will Hanlon też raz go zobaczył w czasie ucieczki z pożaru w Black Spot. Krew z rozdartej szyi Stana utworzyła zastygłą kałużę na dolnej półce, połyskując czerwono jak rubin w blasku bijącym z wnętrza lodówki.

– Uch… uch… uch… – dyszy Mike, ale nie może wyartykułować zrozumiałego słowa. I wtedy głowa otwiera oczy, które są srebrzyste jak u klowna Pennywise'a.

Te oczy zwracają się w jego stronę, a usta, pełne piór, zaczynają się poruszać. To próbuje coś powiedzieć, by móc udzielić przepowiedni, jak wyrocznia w greckiej tragedii.

– Pomyślałem, że się do was przyłączę, Mike, bo beze mnie nie wygracie. Nie wygracie beze mnie i dobrze o tym wiecie, no nie? Może mielibyście szansę, gdybym zjawił się tu w pełnej okazałości, ale jak widzisz, mam urwanie głowy. Można by rzec, że nie mam do tego głowy, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi, frajerze. W szóstkę

możecie sobie co najwyżej powspominać o starych czasach, a potem dać się zabić, jedno po drugim. Pomyślałem więc sobie: zawsze miałem głowę na karku i pal diabli wszystko inne. Kapujesz, Mikey? I z głowy, no nie, stary druhu? Chwytasz, ty pieprzony czarnuchu?

– Ty nie jesteś prawdziwy! – krzyczy, ale z jego ust nie dobywa się żaden dźwięk. Jest jak telewizor z wyłączoną fonią. To niesłychane i groteskowe: głowa mruga do niego.

– Jestem prawdziwy, mogę dać za to głowę. Wiesz, o czym mówię, Mike. To, co planujecie, to jak wzbicie się w powietrze odrzutowcem bez przyrządów pomocnych przy lądowaniu. Nie ma sensu zrywać się do lotu, skoro nie można potem wrócić, no nie? I co za sens ma lądowanie, które bez wątpienia zakończy się katastrofą? Nigdy nie wymyślicie właściwych zagadek ani żartów. Nigdy nie zmusicie mnie do roześmiania się, Mikey. Wszyscy zapomnieliście, jak przenicować swój własny krzyk. Bip-bip, Mikey, no nie? Pamiętasz ptaka? Zwykły wróbel, ale za to jaki! Wielki jak stodoła, olbrzymi jak jeden z potworów z tych głupawych japońskich filmów, których bałeś się jako dziecko. Przeminęły czasy, kiedy wiedziałeś, jak sprawić, aby dręczący cię ptak zniknął na zawsze. Uwierz w to, Mikey.

Gdybyś wiedział, jak należy ruszać głową i jaki z niej robić użytek, już teraz, zaraz, wyjechałbyś z Derry. Jeżeli okaże się, że masz za mało oleju w głowie, skończysz jak ten tutaj. Idź po rozum do głowy, człowieku, i nie strać jej. Bądź mądry.

Głowa przewraca się na twarz (pióra w jej ustach wydają obrzydliwy mnący odgłos) i wypada z lodówki. Spada z hukiem na podłogę i toczy się po niej w jego stronę niczym ohydna kula do kręgli. Mike widzi na przemian to uśmiechnięte oblicze, to zmierzwione zakrwawione włosy. Głowa toczy się ku niemu, pozostawiając za sobą obrzydliwy, lepki ślad krwi i strzępy piór, a usta poruszają się nieprzerwanie.

– Bib-bip, Mikey! – krzyczy To, kiedy Mike szaleńczo cofa się przed zbliżającą się ku niemu głową, wyciągając przed siebie obie ręce w obronnym geście. – Bip-bip. Bip-bip. Bip, kurwa, bip!

Nagle rozlega się głośny dźwięk plastikowego korka wyskakującego z butelki taniego szampana. Głowa znika (prawdziwa, myśli Mike, czując, że zbiera mu się na mdłości; w tym odgłosie nie było nic nadnaturalnego, to po prostu powietrze zajmowało nagle opustoszałą przestrzeń… prawdziwa… O Boże, ta głowa była

prawdziwa). Cienka strużka kropelek krwi unosi się, aby po chwili znów opaść na ziemię. Nie ma sensu tu sprzątać, myśli. Carole i tak niczego nie zauważy, kiedy przyjdzie do pracy, nawet gdyby musiała przedzierać się przez zapory z balonów, aby dotrzeć do kuchenki i zaparzyć sobie poranną kawę. To jest mi naprawdę na rękę. Zaczyna chichotać piskliwie.

Unosi wzrok – tak – balony nadal tam są. Na niebieskim widnieje napis: CZARNUCHY Z DERRY DOSTAJĄ PTAKA. Na pomarańczowym: FRAJERZY NADAL PRZEGRYWAJĄ, ALE STANLEY URIS BIJE ICH NA GŁOWĘ.

„Nie ma sensu zrywać się do lotu, skoro nie można potem wrócić – powiedziała głowa – i co za sens ma lądowanie, które bez wątpienia zakończy się katastrofą?”. Ostatnia część zdania przypomniała mu o hełmach, które przechowywał w domu. Czy to była prawda? Nagle myśli o pierwszym dniu, kiedy przyszedł do Barrens po wielkiej bitwie na kamienie. To było 6 lipca, dwa dni po tym, jak przemaszerował w pochodzie z okazji święta Czwartego Lipca… dwa dni po tym, jak po raz pierwszy zobaczył osobiście klowna Pennywise’a. To właśnie po tym dniu w Barrens, po wysłuchaniu ich opowieści, a potem – z wahaniem – podzieleniu się z nimi

własną historią poszedł do domu i spytał ojca, czy mógłby rzucić okiem na jego album ze zdjęciami.

Czemu właściwie poszedł do Barrens 6 lipca? Czy wiedział, że ich tam spotka? Wydawało się, że tak – i miał wrażenie, że wiedział również, gdzie będą. Rozmawiali o jakimś klubowym domku, przypomina to sobie, ale miał wrażenie, że podjęli ten temat, ponieważ nie bardzo wiedzieli, jak powinni się zabrać do tego, co ich gryzło. Mike spogląda na balony, choć tak naprawdę w ogóle ich nie widzi, próbując sobie przypomnieć, jak właściwie wyglądał ów dzień – ten gorący dzień. Nagle czuje, że musi sobie to przypomnieć, bo to, co się wówczas stało, było bardzo ważne. Musi przypomnieć sobie wszystko, każdy niuans, swój stan emocjonalny… Bo właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Przedtem pozostali mówili o zgładzeniu Tego, ale nic nie zrobiono, nie istniał żaden plan. Kiedy Mike do nich dołączył, koło się zamknęło i zaczęło obracać. Później tego dnia Bill, Richie i Ben poszli do biblioteki i zaczęli poszukiwać dokładniejszych informacji na temat tego, o czym Bill opowiadał im tydzień czy miesiąc wcześniej. Wszystko zaczęło się…

– Mike?! – woła Richie z sali bibliotecznej, gdzie znajdowali się pozostali. – Umarłeś tam czy jak?

Prawie, myśli Mike, patrząc na balony, krew i pióra na półce lodówki.

– Chyba będzie lepiej, jak tu przyjdziecie! – krzyczy. Słyszy szuranie krzeseł i pomruk głosów. Richie mówi: „O Jezu, co się znowu stało?” i tym razem w głębi duszy słyszy Richiego mówiącego jakieś inne słowa, a wówczas zupełnie nieoczekiwanie przypomina sobie, czego szukał; co więcej, zdaje sobie sprawę, czemu było to tak nieuchwytne. Reakcja pozostałych, kiedy wyszedł na polanę w najmroczniejszej, najbardziej zapuszczonej i najmniej gościnnej części Barrens owego dnia… była zerowa. Żadnego zaskoczenia, żadnych pytań o to, jak ich odnalazł, nic z tych rzeczy. Ben pojadał baton, przypomina sobie, Beverly i Richie palili papierosy, Bill leżał na plecach z dłońmi splecionymi pod głową, a Eddie i Stan patrzyli z powątpiewaniem na rzędy sznurków przywiązanych do wbitych w ziemię patyków, tak że tworzyły kwadrat o boku długości mniej więcej pięciu stóp.

Żadnego zaskoczenia, żadnych pytań, nic z tych rzeczy. Po prostu się tam zjawił i został

zaakceptowany. Zupełnie jakby bezwiednie na niego czekali. I również w głębi duszy słyszy Richiego, mówiącego głosem murzyńskiego dziecka, tak jak nieco wcześniej tego wieczoru:

– Paczcie państwo, toż to przecie…

2

…snofu ten czałny dzieciak! To czego to tochodzi, w tem Bałłens! Spójrz no na ten kendzierzawy łeb, Wielki Billu!

Bill nawet się nie rozejrzał – po prostu wpatrywał się z rozmarzeniem w grube letnie chmury przesuwające się po niebie. Rozważał z pełnym skupieniem bardzo ważną kwestię. Richie jednak nie był ani trochę urażony brakiem uwagi z jego strony.

– Jetno spojrzenie spłafia, że chce mie się pić! Wypije se na wełandzie, bo tam je chodniej.

– Bib-bip, Richie – rzekł Ben z pełną buzią, a Beverly wybuchnęła śmiechem.

– Cześć – rzekł niepewnie Mike. Jego serce biło ciut za mocno, ale nic nie mógł na to poradzić. Miał wobec nich dług wdzięczności, a jego tata mówił, że należy zawsze spłacać długi, i to w miarę możliwości jak najszybciej, dopóki nie narosną procenty.

Stan rozejrzał się wokoło.

– Cześć – powiedział, a potem przeniósł wzrok z powrotem na kwadrat ze sznurków, widoczny na środku polany.

– Ben, jesteś pewny, że to zadziała?

– Zadziała – odparł Ben. – Cześć, Mike.

– Chcesz fajkę? – spytała Beverly. – Zostały mi dwie.

– Nie, dziękuję. – Mike zaczerpnął powietrza, po czym dodał: – Chciałem wam podziękować za pomoc tamtego dnia. Te chłopaki chciały mi nielicho dołożyć. Przykro mi, że przy tym oberwaliście.

Bill obojętnie machnął ręką.

– N-n-nic się n-n-nie martw. J-j-już d-d-dawno się o to p-prosili. – Usiadł i z zainteresowaniem przyjrzał się Mike'owi. – M-mogę c-c-cię o coś z-zapytać?

– Chyba tak – odparł Mike. Usiadł na ziemi. Słyszał już wcześniej podobne zagajenia. Ten Denbrough chciał zapytać go, jak to jest być Murzynem.

– Czy sądzisz, że rzut L-l-larsena z World Series d-dwa lata t-t-temu to był tylko łut szczęścia?

Richie zaciągnął się mocno dymem i zaczął kaszleć. Beverly poklepała go po plecach.

– Jesteś jeszcze początkujący, Richie. Nauczysz się.

– Myślę, że to się zapadnie, Ben – mruknął zmartwiony Eddie, patrząc na kwadrat z rozciągniętych sznurków – a nie jestem pewny, czy mam ochotę zostać pogrzebany żywcem.

– Nie zostaniesz pogrzebany żywcem – odparł Ben. – A nawet gdyby tak się stało, wystarczy, że będziesz ssał ten swój cholerny aspirator, dopóki ktoś cię nie odkopie.

To wydało się Stanowi nad wyraz zabawne. Oparł się na łokciu, uniósł twarz ku niebu i śmiał się, dopóki Eddie nie kopnął go w goleń i nie kazał mu się zamknąć.

– Szczęście – rzekł w końcu Mike. – Myślę, że przy takich rzutach liczy się bardziej szczęście niż zręczność.

– Ja t-t-też – przyznał Bill. Mike czekał na coś więcej, ale Bill wydawał się usatysfakcjonowany tym, co usłyszał. Ponownie położył się na ziemi, założył ręce pod głowę i pogrążył się w obserwacji przepływających wysoko w górze chmur.

– Co wy tu szykujecie? – spytał Mike, patrząc na kwadrat ze sznurków rozpięty tuż nad ziemią.

– To pomysł tygodnia autorstwa Haystacka – oznajmił Richie. – Ostatnim razem zrobił powódź

i to było całkiem niezłe, ale to bije wszystko na głowę. W tym miesiącu mamy hasło: Wykop własny klubowy domek. W przyszłym…

– N-nie załamuj B-b-bena – rzekł Bill, przez cały czas wpatrując się w niego. – To będzie d-d-dobre.

– Na litość boską, Bill, przecież ja tylko żartowałem.

– Czasami p-p-przesadzasz, R-r-richie.

– Nadal nie kapuję – mruknął Mike.

– Cóż, to dosyć proste – rzekł Ben. – Oni chcieli domek na drzewie i mogliśmy go zbudować, ale ludzie mają zły zwyczaj łamania sobie kości przy spadaniu z takich domków…

– Kookie… Kookie… pożycz mi swoje kości – rzekł Stan i ponownie się roześmiał, podczas gdy pozostali zmrozili go spojrzeniami. Stan nie miał specjalnie poczucia humoru, a to, które miał, było dość szczególne.

– Ma pan już miejsce, senhorrr – rzekł Richie. – Jest upał i *cucarachas*, jak mi się zdaje.

– W każdym razie – rzekł Ben – chodzi o to, że wykopiemy w oznaczonym miejscu dół głęboki na jakieś pięć stóp. Nie może być głębszy, bo dokopalibyśmy się do wody gruntowej. Na tym terenie woda znajduje się bardzo blisko powierzchni. Potem wzmocnimy boki, żeby się

nie osunęły. – Spojrzał znacząco na Eddiego, ale Eddie wyglądał na zmartwionego.

– A potem? – zapytał zaciekawiony Mike.

– Potem zakryjemy górę.

– Co?

– Zakryjemy otwór jamy deskami. Możemy zrobić odchylaną klapę, a nawet wyciąć w niej okna, jeżeli będziemy chcieli…

– Przydałyby się z-z-zawiasy – rzekł Bill, przez cały czas patrząc na chmury.

– Możemy je dostać w sklepie z artykułami żelaznymi Reynoldsa – oznajmił Ben.

– Kiepsko z f-funduszami – mruknął Bill. – Jak stoicie z f-f-forsą?

– Mam pięć dolców – powiedziała Beverly. – Zaoszczędziłam z opieki nad dziećmi.

Richie natychmiast zaczął pełznąć na czworakach w jej stronę.

– Kocham cię, Bevvie – powiedział, robiąc do niej maślane oczy. – Wyjdziesz za mnie? Będziemy mieszkać w sosnowym bungalowie…

– W czym? – spytała Beverly, podczas gdy Ben przyglądał się im z przedziwną mieszaniną lęku, rozbawienia i skupienia.

– Busnowym songalowie – rzekł Richie. – Pięć dolców starczy, skarbie. Będziemy tylko ty, ja, a potem może jakieś małe na trzeciego…

Beverly roześmiała się, zaczerwieniła i odsunęła się od niego.

– P-p-podzielimy się w-wydatkami – rzekł Bill. – Dlatego tworzymy k-klub.

– Potem, jak już zakryjemy otwór jamy deskami – ciągnął Ben – pokryjemy je warstwą superkleju, nazywają go Tangle Track, i zamaskujemy wejście darnią. Może posypiemy na to jeszcze odrobinę sosnowych igieł. Będziemy mogli siedzieć sobie tam, na dole, a ludzie, tacy jak Henry Bowers, choćby nawet chodzili nam nad głowami, i tak nie zdołają nas znaleźć!

– Ty to wymyśliłeś? – spytał Mike. – Rany, to wspaniałe!

Ben się uśmiechnął. Przyszła jego kolej, aby się zaczerwienić.

Bill usiadł gwałtownie i spojrzał na Mike'a.

– Chciałbyś n-n-nam p-pomóc?

– No… pewnie – rzekł Mike. – To ci będzie ubaw!

Pozostali wymienili między sobą spojrzenia – Mike równie dobrze to poczuł, jak zobaczył. Jest nas tu siedmioro, pomyślał Mike i wzdrygnął się zupełnie bez powodu.

– Kiedy zaczniecie?

– W-w-wkrótce – odrzekł Bill, a Mike wiedział, że Billowi nie chodziło tylko o klubowy domek.

Ben również o tym wiedział. Podobnie jak Richie, Beverly i Eddie. Stan Uris przestał się uśmiechać. – R-r-rozpoczniemy nasz p-p-projekt niebawem.

Potem nastała chwila ciszy i Mike nagle zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Chcieli coś powiedzieć – opowiedzieć mu o czymś… a on nie był całkiem pewny, czy chciałby to usłyszeć. Ben wziął do ręki patyk i z pochyloną głową, tak że włosy zakrywały mu twarz, gmerał nim w ziemi. Richie obgryzał i tak już mocno postrzępione paznokcie. Tylko Bill patrzył prosto na Mike'a.

– Coś się stało? – spytał niepewnie Mike.

– T-t-tworzymy klub. M-możesz się p-p-przyłączyć, jeśli chcesz, ale m-musisz dochować t-t-tajemnicy.

– Tak jak z klubowym domkiem? – spytał Mike obecnie zdenerwowany bardziej niż kiedykolwiek. – No pewno…

– Mamy jeszcze jeden sekret, dzieciaku – rzekł Richie, nadal nie patrząc na Mike'a. – Wielki Bill mówi, że tego lata mamy do zrobienia coś ważniejszego niż kopanie ziemianek.

– I ma rację – zgodził się Ben.

Nagle rozległ się przeciągły świst. Mike aż podskoczył. To tylko Eddie skorzystał ze swego aspiratora. Eddie spojrzał przepraszająco na

Mike’a, wzruszył ramionami, a potem pokiwał głową.

– No dobra – rzekł w końcu Mike. – Nie trzymajcie mnie dłużej w niepewności. Powiedzcie, o co chodzi.

Bill patrzył na pozostałych.

– Czy j-j-jest ktoś, kto n-n-nie chce, aby on b-b-był w naszym k-k-k-klubie? – Nikt się nie odezwał ani nie podniósł ręki. – K-kto chce p-powiedzieć? – zapytał Bill.

Nastała kolejna długa cisza i tym razem Bill jej nie przerwał. W końcu Beverly westchnęła i spojrzała na Mike’a.

– Te zamordowane dzieciaki – powiedziała. – Wiemy, kto to zrobił, i to nie jest człowiek.

3

Opowiedzieli mu wszystko – po kolei – o klownie na lodzie, trędowatym pod werandą, krwi i głosach dobywających się z otworu umywalki, martwych chłopcach w stacji pomp. Richie opowiedział o tym, co się zdarzyło, kiedy wraz z Billem udali się na Neibolt Street, a Bill na końcu podzielił się z nim historią o szkolnej fotografii, która ożyła, i o zdjęciu, w które włożył rękę. Skończył wyjaśnieniem, że To zabiło jego

brata George’a i że Klub Frajerów postanowił zabić potwora… czymkolwiek To jest.

Później, wracając do domu, Mike pomyślał, że powinien słuchać tych historii z niedowierzaniem, które w miarę upływu czasu przemieniłoby się w zgrozę, i uciec stamtąd gdzie pieprz rośnie z przeświadczeniem, że albo natrafił na grupkę białych dzieciaków, które nie przepadają za czarnymi, albo spotkał szóstkę czystej wody świrów, którzy zarażali się szaleństwem jak szczególnie złośliwą grypą i wzajemnie pogrążali się w obłędzie.

Ale nie uciekł, bo pomimo zgrozy, jaka go ogarniała, w ich towarzystwie czuł się dziwnie swojsko – jak w rodzinie. To było niezwykłe uczucie. Jest nas tu siedmioro, pomyślał ponownie, kiedy Bill skończył swój monolog. Otworzył usta, niepewny, co powie.

– Widziałem klowna – oznajmił.

– Co? – zapytali jednocześnie Richie i Stan, a Beverly tak szybko odwróciła głowę, że jej koński ogon śmignął z lewego ramienia na prawe.

– Widziałem go w święto Czwartego Lipca – rzekł powoli Mike, zwracając się w głównej mierze do Billa. Wzrok Billa, pełen skupienia i powagi, nakazywał mu kontynuować. – Tak.

Czwartego Lipca… – Urwał na chwilę… zamyślił się. – Ale ja go znałem. Znałem go, bo to nie był pierwszy raz, kiedy go zobaczyłem. I nie pierwszy raz zobaczyłem coś… co było nie tak.

A wtedy powrócił myślami do ptaka – po raz pierwszy od maja tego roku pozwolił sobie o nim pomyśleć. Do tej pory ptak powracał doń tylko w koszmarach. Myślał, że popada w obłęd. Z prawdziwą ulgą dowiedział się, że nie oszalał… ale była to nader ulotna i przerażająca ulga. Zwilżył wargi.

– No, dalej – rzuciła ze zniecierpliwieniem Bev. – Pospiesz się.

– Widzicie. Byłem na paradzie. Ja…

– Widziałem cię – rzekł Eddie. – Grałeś na saksofonie.

– To był puzon – sprostował Mike. – Gram w zespole szkoły wyznaniowej. W każdym razie widziałem klowna. Stał przy skrzyżowaniu w śródmieściu i rozdawał dzieciakom balony. Był dokładnie taki, jak go opisali Ben i Bill. Srebrny kostium, pomarańczowe guziki, biały makijaż na twarzy, wielki czerwony uśmiech. Nie wiem, czy to była szminka, czy makijaż, ale wyglądało jak krew.

Pozostali, teraz mocno podekscytowani, pokiwali głowami, ale Bill, przyglądając się

z uwagą Mike’owi, spytał:

– P-p-pomarańczowe kępy w-włosów p-po bokach g-g-głowy?

Mike skinął głową.

– Jego widok… przeraził mnie. A kiedy na niego patrzyłem, odwrócił się i zaczął mnie przywoływać, jakby czytał w moich myślach albo odczuciach; nie wiem, jak to określić. I to… przeraziło mnie jeszcze bardziej. Nie wiedziałem wtedy dlaczego, ale przez parę sekund byłem tak przerażony, że nie mogłem dalej grać. Zaschło mi w ustach i poczułem…

Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Beverly. Teraz wszystko dokładnie sobie przypomniał – słońce odbijające się od błyszczącej powierzchni puzonu i chropowatych elementów samochodów, zbyt głośną muzykę i zbyt niebieskie niebo. Klown uniósł jedną dłoń w białej rękawiczce (w drugiej trzymał za sznurki pęk balonów) i pomachał nią wolno w przód i w tył – jego krwisty uśmiech był zdecydowanie nazbyt czerwony i szeroki, jak odwrócony grymas krzyku. Przypomniał sobie, jak poczuł nagły ucisk w żołądku i zaczął się bać, że lada moment sfajda się w spodnie.

Nie mógł jednak tego powiedzieć przy Beverly. Nie mówi się takich rzeczy przy

dziewczynach, nawet jeżeli mają one w zwyczaju używać niezbyt cenzuralnych słów na „k” i „p”.

– …Przeraził mnie – dokończył, czując, że było to za mało, ale nie wiedział, jak powiedzieć coś więcej. Tamci jednak tylko pokiwali głowami, zupełnie jakby zrozumieli, i poczuł, że ogarnia go uczucie nieprzepartej ulgi. Jakimś sposobem ten klown patrzący na niego, uśmiechający się czerwonym uśmiechem i machający wolno w tył i w przód dłonią w białej rękawiczce… wydał mu się bardziej przerażający niż Henry Bowers i wszyscy jego kolesie razem wzięci. O wiele, wiele bardziej przerażający. – Przeszliśmy dalej – ciągnął Mike. – Maszerowaliśmy wzdłuż Main Street Hill. I wtedy zobaczyłem go znowu, jak dawał dzieciakom balony. Nie wszystkie chciały je brać. Niektóre (te mniejsze) płakały. Nie mam pojęcia, jak dotarł tam tak szybko. Pomyślałem, że widać musiało ich być dwóch, no, wiecie, dwóch identycznie ubranych klownów. Zespół. Ale jak się odwrócił w moją stronę i pomachał, wiedziałem, że to był on. To był ten sam człowiek.

– To nie jest człowiek – rzekł Richie, a Beverly się wzdrygnęła. Bill objął ją na chwilę ramieniem i spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Pomachał do mnie… a potem mrugnął. Jakbyśmy dzielili jakąś tajemnicę. Albo jakby… wiedział, że go rozpoznałem.

Bill zdjął rękę z ramienia Beverly.

– R-r-rozpoznałeś go?

– Chyba tak – odparł Mike. – Muszę coś sprawdzić, zanim będę tego pewny. Mój ojciec ma sporo zdjęć. Zbiera je… Słuchajcie, często się tu bawicie, co?

– Pewnie – rzekł Ben. – Po to budujemy ten domek klubowy.

Mike skinął głową.

– Sprawdzę i zobaczę, czy mam rację. Jeżeli tak, przyniosę zdjęcia.

– Stare f-f-fotografie? – zapytał Bill.

– Tak.

– C-c-co j-j-jeszcze? – spytał Bill.

Mike otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Rozejrzał się niepewnie wokoło,

– Pomyślicie, że oszalałem, zwariowałem albo kłamię.

– A uważasz n-n-nas za w-w-wariatów?

Mike pokręcił przecząco głową.

– Bo nimi nie jesteśmy. Możesz się założyć – wtrącił Eddie. – Nie jestem może okazem zdrowia, ale mam wszystkie klepki w porządku. Tak mi się zdaje.

– Nie – rzekł Mike. – Nie uważam was za świrów.

– M-m-my też n-n-nie p-potraktujemy cię jak w-w-wariata – oświadczył Bill.

Mike przyjrzał im się z uwagą; chrząknął, a potem rzekł:

– Widziałem ptaka. Jakieś trzy miesiące temu. Widziałem ptaka.

Stan Uris spojrzał na Mike'a.

– Jakiego?

Z większym niż zwykle wahaniem Mike odparł:

– Wyglądał jak zwyczajny wróbel, ale trochę też jak drozd. Miał pomarańczową pierś.

– I co w tym takiego niezwykłego? – zapytał Ben. – W Derry jest wiele ptaków. – Nagle poczuł niepokój i spojrzał na Stana. Był pewny, że Stan przypomniał sobie, co mu się przydarzyło w stacji pomp i jak zdołał się uratować, wykrzykując na głos nazwy ptaków. Jednak zapomniał o tym wszystkim, kiedy Mike odezwał się ponownie.

– Ten ptak był większy niż przyczepa kempingowa – oznajmił. Spojrzał na ich przepełnione zdziwieniem, oszołomione twarze. Oczekiwał wybuchu śmiechu, ale na próżno. Stan wyglądał, jakby ktoś przyrżnął mu w głowę

cegłą. Był blady jak ściana. – Przysięgam, że to prawda – rzekł Mike. – To był ptak olbrzym, jak jeden z tych ptaków z filmów o prehistorycznych potworach.

– Tak jak w *Szponie* – rzekł Richie. Pomyślał, że ptak nie wyglądał zbyt naturalnie, ale w kulminacyjnej scenie był do tego stopnia podekscytowany, że wysypał popcorn przez balustradę na balkonie kina Aladyn. Foxy Foxworth pewno by go wyrzucił, ale nie zdążył, bo film się skończył. Jak to mówił Wielki Bill: „Czasami coś daje ci w kość, a czasami pozwala na drobne przyjemności”.

– Ale on nie wyglądał jak prehistoryczny – odparł Mike. – Ani nie wyglądał na jedną z tych greckich czy rzymskich, jak im tam…

– H-h-harpii? – zapytał Bill.

– Chyba tak. To też nie było to. Po prostu kombinacja wróbla i drozda. Dwa najbardziej popularne ptaki, jakie znacie. – Roześmiał się trochę jakby zbyt nerwowo.

– G-g-gdzie go widziałeś? – zaczął Bill.

– Opowiedz nam – powiedziała prosto z mostu Beverly i Mike, odczekawszy chwilę, aby zebrać myśli, uczynił to. I widząc, że w miarę upływu czasu ich twarze poważnieją i napełniają się przerażeniem, bez odrobiny niedowierzania czy

powątpiewania, poczuł, jak wielki ciężar spada mu z serca. Podobnie jak Ben ze swoją mumią, Eddie z trędowatym czy Stan z utopionymi chłopcami, widział coś, co dorosłego niemal z całą pewnością doprowadziłoby wskutek przerażenia i zachwiania poczucia rzeczywistości do obłędu lub też, z uwagi na brak racjonalnego wyjaśnienia, zostałoby przezeń zignorowane. Twarz Eliasza została spalona przez płomień bożej miłości (Mike czytał o tym kiedyś), ale gdy to się stało, Eliasz był już stary i może na tym polegała cała różnica. A co z innym biblijnym bohaterem, który zmagał się z aniołem i doprowadził do remisu?

Widział to, ale żył nadal tak jak dotychczas. Zintegrował to wspomnienie i wchłonął je. Wciąż jeszcze był dostatecznie młody i miał chłonny umysł. Mimo to koszmar powracał i zdarzało się, że w snach uciekał przed groteskowym ptakiem, który rzucał nań z góry olbrzymi cień. Niektóre z tych snów pamiętał, innych nie, ale wiedział, że w każdym z nich nieodłącznym elementem były poruszające się samorzutnie cienie.

Jak niewiele z tego zapomniał i jak bardzo go to dręczyło (w miarę powrotu do swych codziennych zajęć – pomocy ojcu, chodzenia do szkoły, jazdy na rowerze, robienia zakupów dla

matki i czekania na występy murzyńskich grup w *American Bandstand* po szkole), można było stwierdzić tylko poprzez ulgę, jaką odczuł, gdy podzielił się tą opowieścią z innymi. Kiedy to zrobił, zdał sobie sprawę, że właściwie pomyślał o tym po raz pierwszy od owego poranka przy kanale, kiedy zauważył dziwne bruzdy wyryte w ziemi… i ślady krwi.

4

Mike opowiedział historię o ptaku w starej fabryce i o tym, jak ukrył się przed nim w rurze. Później tego popołudnia Ben, Richie i Bill wybrali się do biblioteki. Ben i Richie rozglądali się w poszukiwaniu Bowersa i spółki, ale Bill tylko wpatrywał się w chodnik, zasępiony i pogrążony w rozmyślaniach. Jakąś godzinę po zakończeniu swojej opowieści Mike zostawił ich, mówiąc, że musi pomóc ojcu w zbieraniu grochu. Miał wrócić do domu przed czwartą. Beverly z kolei musiała jeszcze zrobić zakupy i przyrządzić ojcu kolację.

Stan i Eddie również mieli jakieś sprawy do załatwienia. Nim się jednak rozstali, zaczęli kopać coś, co – jeśli Ben miał rację – niebawem powinno stać się ich klubowym domkiem. Dla Billa był to akt niemal symboliczny. Zaczęli.

Cokolwiek mieli zrobić jako grupa, jako zespół, to właśnie się zaczęło.

Ben spytał Billa, czy uwierzył w historię Mike'a Hanlona. Mijali właśnie budynek Derry Community House i biblioteka znajdowała się dokładnie przed nimi. Kamienny gmach, stojący w cieniu stuletnich wiązów, starych, ale jak dotąd nietkniętych chorobą, która później je wysuszy i przerzedzi.

– Tak – odparł Bill. – M-m-myślę, że m-m-mówił p-pra-wdę. T-t-to szalone, a-a-ale p-prawdziwe. A co ty o tym sądzisz, R-r-richie?

Richie skinął głową.

– Tak. Nie chce mi się w to wierzyć, jeśli wiesz, co mam na myśli, ale mimo wszystko chyba wierzę. Pamiętacie, co powiedział o języku tego ptaka?

Bill i Ben pokiwali głowami. Pomarańczowe pióra.

– Otóż to – rzekł Richie. – To tak jak u komiksowych czarnych charakterów. Lex Luthor czy Joker. To zawsze zostawia swój znak rozpoznawczy.

Bill pokiwał głową w zamyśleniu. To było jak komiksowy czarny charakter. Może właśnie dlatego tak to postrzegali? Tak o tym myśleli?

Tak. Być może tak. Dziecinne, ale To właśnie bazowało na wszystkim, co dziecinne.

Przeszli przez ulicę w stronę budynku biblioteki.

– Spytałem S-s-stana, czy k-kiedykolwiek słyszał o t-t-takim ptaku – rzekł Bill. – N-n-niekoniecznie tak d-dużym, ale…

– Prawdziwym? – zasugerował Richie.

Bill pokiwał głową.

– P-p-powiedział, ż-że takie p-ptaki m-mogą żyć gdzieś w Ameryce P-p-południowej albo w A-a-afryce, ale nie t-t-tutaj.

– A więc w to nie uwierzył? – zapytał Ben.

– U-u-uwierzył – odparł Bill. A potem powiedział im o czymś, co usłyszał od Stana, kiedy wracał wraz z nim do miejsca, gdzie Stan zostawił swój rower. Stan zasugerował, że nikt inny nie mógł zobaczyć tego ptaka, dopóki Mike nie opowiedział im swojej historii. Mogli zobaczyć coś innego, ale nie tego ptaka, ponieważ ptak był osobistym potworem Mike'a. Ale teraz… ptak należał chyba do całego Klubu Frajerów, nieprawdaż? Każdy z nich mógł go zobaczyć. Mógł wyglądać nieco inaczej, dla Billa to mogła być wrona, dla Richiego jastrząb, dla Beverly orzeł, ale zdaniem Stana teraz każdy z nich mógł postrzegać To w formie ptaka. Bill powiedział

Stanowi, że jeżeli to była prawda, to obecnie każdy z nich mógł zobaczyć trędowatego, mumię czy martwych utopionych chłopców.

– Co oznacza, że jeżeli mamy cokolwiek zrobić, to lepiej, abyśmy to zrobili jak najszybciej – odrzekł Stan. – To wie…

– C-c-co? – spytał ostro Bill. – Wszystko t-t-to, co m-my?

– Stary, jeżeli To wie, co sugerujesz, to jesteśmy ugotowani – odparł Stan. – Ale z całą pewnością To wie, że o nim wiemy. Sądzę, że spróbuje nas dostać. Nadal myślisz o tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj.

– Tak.

– Chciałbym móc pójść z wami.

– B-b-ben i R-r-richie pójdą. B-b-ben jest naprawdę sprytny i R-r-richie też, n-naturalnie jak się nie w-wygłupia.

Teraz, stojąc przed biblioteką, Richie zapytał Billa, co zamierza zrobić. Bill powiedział im, mówiąc powoli, żeby zanadto się nie jąkać. Ten pomysł świtał mu w głowie już od dwóch tygodni, ale potrzebował opowieści Mike’a, aby go ostatecznie skrystalizować.

Co byś zrobił, gdybyś chciał pozbyć się ptaka? Zastrzeliłbym.

A co byś zrobił, żeby pozbyć się potwora?

W filmach pokazują, że aby zabić potwora, należy użyć srebrnej kuli. To zwykle wystarcza, aby go uśmiercić.

Ben i Richie przysłuchiwali się temu w skupieniu.

– A skąd wziąć srebrną kulę, Wielki Billu? – zapytał nagle Richie. – Posłać po nią?

– B-b-bardzo zabawne. B-b-będziemy musieli ją zrobić.

– Jak?

– Wydaje mi się, że po to przyszliśmy do biblioteki – rzekł Ben. Richie skinął głową i poprawił okulary na nosie. Jego wzrok za szkłami był zamyślony, lecz przenikliwy… choć, pomyślał Bill, czaiło się w nim powątpiewanie. On sam też trochę wątpił. W każdym razie Richie nie był skory do żartów, a najprawdopodobniej oznaczało to krok we właściwym kierunku.

– Myślisz o waltherze twojego taty? – spytał Richie. – Pistolecie, który zabraliśmy na Neibolt Street?

– Tak – rzekł Bill.

– Nawet gdybyśmy mogli zrobić srebrną kulę – rzekł Richie – skąd mielibyśmy wziąć srebro?

– Ja się o to będę martwił – rzucił cicho Ben.

– No to… dobrze – mruknął Richie. – Niech się o to martwi Haystack. A co potem? Znowu na

Neibolt Street?

Bill skinął głową.

– Znowu n-n-na N-neibolt S-street. A potem r-r-rozwalimy T-t-temu łeb.

Cała trójka jeszcze przez chwilę stała przed budynkiem, przyglądając się sobie ponurym wzrokiem, a potem weszła do biblioteki.

5

– To pefne jak f banku, że to znofu ten czarny chłopak! – wykrzyknął Richie głosem irlandzkiego gliniarza.

Minął tydzień – była już prawie połowa lipca i budowa podziemnego domku dobiegła końca.

– Spaniały poranek, o tak, spaniały poranek, panie O'Hanlon, sor! Śfietny, śfietny dzień siem zapofiada, kartofle obrodzom jak nigdy…

– Wydaje mi się, że południe to już nie poranek, Richie – rzekł Ben, prostując się w dole. – A południe było dwie godziny temu.

Wraz z Richiem zajmował się zabezpieczaniem ścian dołu. Ben zdjął bluzę od dresu, bo dzień był upalny, i pracowali bez wytchnienia. Jego podkoszulek był szary od potu i przylepił mu się do piersi i wypukłości brzucha. Wydawało się, że absolutnie nie zwraca uwagi na swój wygląd, ale Mike przypuszczał, że gdyby

zbliżała się Beverly, Ben w mgnieniu oka włożyłby swoją grubą bluzę.

– Nie bądź taki skrupulatny, nie jesteś Stanem – rzekł Richie. Wyszedł z dołu przed pięcioma minutami, ponieważ, jak powiedział Benowi, nadeszła pora na papierosa.

– Przecież mówiłeś, że nie masz fajek – zauważył Ben.

– Nie mam – odparł Richie. – Ale to niczego nie zmienia.

Mike trzymał pod pachą album ze zdjęciami ojca.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał. Wiedział, że Bill musiał być gdzieś w pobliżu, bo zostawił swój rower pod mostem tuż obok Silvera.

– Bill i Eddie jakieś pół godziny temu poszli na wysypisko śmieci po nową partię desek – rzekł Richie. – Stanley i Bev wybrali się do sklepu z artykułami żelaznymi po zawiasy. Nie wiem, co tam teraz robi Haystack, ale z całą pewnością nic dobrego. Przydałoby się, żeby ktoś miał go na oku, wiesz. À propos, jeśli nadal chcesz być członkiem naszego klubu, wisisz dwadzieścia trzy centy. To twoja działka na zawiasy.

Mike przerzucił album spod prawego ramienia pod lewe i sięgnął do kieszeni. Odliczył dwadzieścia trzy centy (zostało mu całe dziesięć

centów) i podał je Richiemu. Następnie podszedł do jamy i zajrzał w głąb.

Tyle że to już nie była jama. Boki układały się w równy kwadrat. Ściany zostały zabezpieczone. Deski były, delikatnie mówiąc, różne i w różnym stanie, ale Ben, Bill i Stan wyrównali je, korzystając z narzędzi z warsztatu Zacka Denbrough (Bill miał sporo problemów z dopilnowaniem, żeby każde z narzędzi zostało wieczorem zwrócone w takim samym stanie, w jakim było, kiedy je wydawał).

Ben i Beverly przybili do desek wspierających po dwie deski na krzyż dla wzmocnienia konstrukcji. Jama wciąż wprawiała Eddiego w pewne zdenerwowanie, ale to leżało już w jego naturze. Z jednej strony zostały ułożone starannie kawałki darni, którą zamierzano później przykleić do klapy na szczycie dla zamaskowania klubowego domku.

– Wydaje mi się, chłopaki, że wiecie, co robicie – rzekł Mike.

– Pewnie – mruknął Ben i wskazał na album. – Co masz?

– Album ojca ze zdjęciami z Derry. Zbiera stare fotki i wycinki na temat miasta. To jego hobby. Przeglądałem go parę dni temu. Tak jak wam mówiłem, wydawało mi się, wcześniej

widziałem tego klowna. I rzeczywiście widziałem. Tutaj. Dlatego to tu przyniosłem. – Za bardzo się wstydził, aby im powiedzieć, że nie spytał ojca o pozwolenie. Bał się pytań, które mogłyby temu towarzyszyć, więc wyniósł album niczym złodziej, podczas gdy ojciec sadził ziemniaki na zachodnim polu, a matka rozwieszała pranie na tyłach domu. – Wydaje mi się, że wy również powinniście rzucić na to okiem.

– Zobaczmy – rzekł Richie.

– Chciałbym poczekać, aż wszyscy się tu zjawią. Chyba tak będzie lepiej.

– W porządku. – Prawdę mówiąc, Richiemu wcale się nie spieszyło do oglądania zdjęć Derry czy to w tym, czy jakimkolwiek innym albumie. Nie po tym, co stało się w pokoju George'a.

– Pomożesz mnie i Billowi w dokończeniu zabezpieczenia ścian?

– Nie ma sprawy – rzekł Mike, odkładając album dostatecznie daleko, by nie pobrudzić go wybieraną z dołu ziemią, i wziął od Bena łopatę.

– Kop tutaj – powiedział Ben, wskazując Mike'owi miejsce. – Mniej więcej na stopę. Potem osadzę tam deski i przytrzymam, a ty przysypiesz je ziemią.

– Świetny plan, stary – rzekł z powagą w głosie Richie, siedząc na brzegu dołu i kiwając wolno nogami.

– Co ci się stało?

– Nic takiego – odparł Richie.

– Coś ci się nie podoba w projekcie Billa? – Mike przerwał na chwilę, aby zdjąć koszulę, a potem zaczął kopać. Tu na dole było bardzo gorąco, pomimo że znajdowali się w Barrens. Świerszcze cykały usypiająco, leniwie, jak ukryte gdzieś pośród krzewów zegarki.

– Cóż… nie jest źle – rzekł Richie, a Mike miał wrażenie, że rzucił Benowi coś w rodzaju ostrzegawczego spojrzenia. – Chyba.

– Czemu nie włączysz radia, Richie? – zapytał Ben. Włożył deskę do rowka wykopanego przez Mike'a i przytrzymał ją. Tranzystor Richiego wisiał tam, gdzie zwykle, zaczepiony paskiem na grubszej gałęzi pobliskiego krzaka.

– Baterie się wyczerpały. Wydałem ostatnie dwadzieścia pięć centów na zawiasy, pamiętasz? To okrutne, Haystack, bardzo okrutne. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. A poza tym jedyne, co mogę na nim złapać, to WABI, a tam nadają tylko jakiś bzdurny rock.

– Co? – spytał Mike.

– Haystack myśli, że Tommy Sands i Pat Boone śpiewają rock and rolla – oznajmił Richie – ale to dlatego, że on jest chory. To Elvis śpiewa rock and rolla. Elvis, Ernie K. Doe, Carl Perkins, Bobby Darin, Buddy Holly… „Ach, o Peggy Sue, moja Peggy Sue…”.

– Proszę, Richie – rzekł Ben.

– Poza tym – rzekł Mike, opierając się na łopacie – są jeszcze Fats Domino, Chuck Berry, Little Richard, Shep and the Limelights, LaVerne Baker, Frankie Lymon and the Teenagers, Hank Ballard and the Midnighters, Coasters, Isley Brothers, Crests, Chords, Stick McGhee… – Patrzyli na niego z takim osłupieniem, że Mike wybuchnął śmiechem.

– Zgubiłem się po Little Richardzie – rzekł Richie. Lubił Little Richarda, ale jeśli tego lata miał swojego sekretnego rockowego idola, to był nim Jerry Lee Lewis. Któregoś dnia jego matka weszła do pokoju, kiedy Richie oglądał właśnie *American Bandstand* i występ Jerry’ego Lee Lewisa. Było to akurat w momencie, kiedy Jerry Lee wszedł na fortepian i grał na nim pochylony nad klawiaturą, z włosami opadającymi na twarz. Śpiewał *High School Confidential*. Przez chwilę Richie miał wrażenie, że matka zemdleje. Nie zemdlała, ale była jak w szoku, a przy kolacji

tego wieczoru poruszyła temat wysłania Richiego na resztę lata do jednego z tych pseudowojskowych obozów. Teraz Richie zaczesał sobie włosy na oczy i zaczął śpiewać.

– *Come on over baby all the cats are at the high school…*

Ben zaczął przechadzać się po dole, zataczając się i chwytając za brzuch, udawał, że wymiotuje. Mike trzymał się za nos, ale śmiał się tak bardzo, że łzy ciekły mu z oczu.

– Co jest z wami? – zapytał ostro Richie. – Chorzy jesteście czy jak? To było dobre. To było naprawdę dobre!

– Stary!… – rzekł Mike, który zaśmiewał się teraz tak, że prawie nie mógł mówić. – To było bezcenne. Naprawdę bezcenne.

– Murzyni nie mają za grosz gustu – skwitował Richie. – Myślę, że nawet w Biblii to jest napisane.

– Jo, mamusiu – powiedział Mike, śmiejąc się głośniej niż dotychczas.

Kiedy Richie, ze szczerym zdziwieniem, spytał, co to miało znaczyć, Mike usiadł z głośnym plaśnięciem na ziemi i trzymając się za brzuch i wyjąc ze śmiechu, kołysał się w przód i w tył.

– Prawdopodobnie myślisz, że jestem zazdrosny – rzekł Richie. – Pewnie sądzisz, że chciałbym być Murzynem.

Teraz również Ben wylądował na ziemi, zaśmiewając się do rozpuku. Całe jego ciało się trzęsło. Oczy wyszły mu z orbit.

– Dość tego, Richie – wykrztusił. – Bo się sfajdam. Padnę, jak nie przestaniesz…

– Nie chcę być Murzynem – oświadczył Richie. – Kto chciałby nosić różowe pantalony, mieszkać w Bostonie i kupować pizzę na kawałki? Chciałbym być Żydem, tak jak Stan. Chciałbym mieć lombard i sprzedawać ludziom sprężynowce, sztuczne psie rzygi i używane gitary.

Ben i Mike ryczeli ze śmiechu. Ich śmiech odbił się gromkim echem pośród porośniętego gęstą zielenią zakątka błędnie nazywanego Ziemią Jałową, powodując, że ptaki obłąkańczo wzbiły się w powietrze, a wiewiórki na moment stanęły słupka. To był dźwięk młodości, przenikliwy, pełen życia, witalności, szczery i wolny. Prawie każda żywa istota znajdująca się w jego zasięgu zareagowałaby nań w pewien sposób, ale istota, która wypłynęła z szerokiej betonowej rury odpływowej i wpadła do Kenduskeag, nie była żywa. Poprzedniego

popołudnia rozpętała się dość gwałtowna burza (na szczęście przyszły klubowy domek nie został uszkodzony od dnia, kiedy rozpoczęto kopanie jamy, każdego wieczoru Bev starannie zakrywała otwór kawałkiem brezentu, który znalazła na tyłach Wally's Spa i czym prędzej podprowadziła) i w kanałach pod Derry przez dwie czy trzy godziny woda waliła, aż huczało. To właśnie podniesienie poziomu wody sprawiło, że ten nieprzyjemny bagaż wypłynął z mroków kanału na słońce, aby mógł zostać odnaleziony przez muchy.

Było to ciało dziewięciolatka Jimmy'ego Culluma. Z wyjątkiem nosa prawie nie miał już twarzy. W jej miejscu widniała teraz bezkształtna krwawa miazga. Żywe mięso poznaczone było głębokimi czarnymi śladami, które być może tylko Stan Uris zdołałby właściwie zidentyfikować jako rany zadane przez jakiś olbrzymi dziób. Woda przelewała się po ubłoconych spodniach Jimmy'ego Culluma. Jego białe dłonie unosiły się na powierzchni jak martwe ryby. One również nosiły ślady dziobnięć, ale już nie tak wielkie. Koszula chłopca to wydymała się, to znowu zapadała, wydymała się i zapadała, niczym pęcherz. Bill i Eddie, niosąc naręcza desek wygrzebanych na

wysypisku śmieci, przekroczyli Kenduskeag, przechodząc po ułożonych w nurcie kamieniach niecałe czterdzieści jardów od ciała. Usłyszeli śmiech Richiego, Bena i Mike'a, uśmiechnęli się do siebie i nie zauważywszy zmasakrowanych zwłok Jimmy'ego Culluma, pospieszyli, by sprawdzić, co tak bardzo rozbawiło ich przyjaciół.

6

Wciąż jeszcze się śmiali, kiedy Bill i Eddie wyszli na polanę, spoceni, dźwigając stertę desek. Nawet Eddie, zwykle blady jak ściana, miał kolory na twarzy. Dołożyli nową porcję desek do kilku, które zostały z ich ostatniego wypadu. Ben wyszedł z dołu, aby je obejrzeć.

– Świetnie! – powiedział. – Doskonale! Ekstra!

Bill upadł na ziemię.

– Czy m-mogę d-dostać ataku s-s-serca już t-teraz, czy m-mam j-j-jeszcze trochę p-p-poczekać?

– Później – mruknął obojętnie Ben. Przyniósł do Barrens trochę nowych narzędzi, a teraz pochylił się skrzętnie nad deskami i zaczął wybijać z nich gwoździe i wykręcać śruby. Odrzucił jedną na bok, bo była pęknięta. Postukawszy w drugą i usłyszawszy w co najmniej trzech miejscach głuchy pogłos, ją

również odłożył. Eddie usiadł na kopczyku ziemi, przyglądając mu się z uwagą. Pociągnął z aspiratora, podczas gdy Ben wyjął zardzewiały gwóźdź z deski za pomocą rozwidlonej części młotka. Gwóźdź zaskrzypiał jak małe, nieprzyjemne zwierzątko, na które przypadkiem ktoś nadepnął, i nie był to miły dla ucha dźwięk.

– Jeżeli zranisz się zardzewiałym gwoździem, możesz nabawić się tężca – poinformował Bena Eddie.

– Tężyca? Dziwna nazwa jak na chorobę – rzekł Richie.

– Głupek z ciebie – powiedział Eddie. – Tężec, nie tężyca, a to oznacza szczękościsk. Widzisz, są takie małe mikroby, które żyją w rdzy, i jak się zatniesz, dostają się do twojego ciała i… ze… rozpieprzają ci nerwy – ciągnął Eddie poczerwieniały na twarzy i czym prędzej ponownie wstrzyknął sobie dawkę preparatu z aspiratora.

– Szczękościsk, Jezu – powiedział wyraźnie poruszony Richie. – To brzmi okropnie.

– Pewnie, że tak. Najpierw twoje szczęki zaciskają się tak bardzo, że nie możesz otworzyć ust nawet po to, żeby coś zjeść. Muszą wycinać ci otwór w policzku i karmić cię płynami przez rurkę.

– O rany – jęknął Mike, prostując się w dole. Oczy miał rozszerzone, a rogówki zdawały się niezwykle białe w jego brązowej twarzy. – Na pewno?

– Mama mi powiedziała – rzekł Eddie. – Później zaciska ci się gardło i nie możesz już nic zjeść, a potem umierasz z głodu.

Rozmyślali na ten temat w pełnym grozy milczeniu.

– Nie ma na to lekarstwa – oznajmił Eddie. Znowu cisza. – Dlatego – dorzucił Eddie skwapliwie – zawsze uważam na zardzewiałe gwoździe i różne takie. Miałem raz zastrzyk przeciwtężcowy i bolało jak diabli.

– To dlaczego poszedłeś z Billem na wysypisko i przyniosłeś tu to wszystko? – zapytał Richie.

Eddie rzucił szybkie spojrzenie Billowi, który zaglądał w głąb dołu, i w tym spojrzeniu kryło się tak wiele miłości i uwielbienia, że żadna odpowiedź nie była w tym wypadku konieczna, ale mimo to Eddie rzucił cicho:

– Czasami trzeba coś zrobić, nawet pomimo wiążącego się z tym ryzyka. To pierwsza ważna rzecz, do jakiej doszedłem sam, bez mojej matki. Ona zawsze mówi mi wszystko, ale tego mi nie powiedziała.

Po tym nastała kolejna, równie długa i nieprzyjemna jak poprzednio chwila ciszy. Później Ben powrócił do wybijania z deski zardzewiałych gwoździ i niebawem przyłączył się do niego Mike Hanlon. Milczący tranzystor Richiego (przynajmniej do chwili, kiedy poprawi się stan jego funduszy albo trafi się jakiś trawnik do przycięcia) kołysał się na gałęzi poruszany lekkim wietrzykiem. Bill miał chwilę na zastanowienie się, jak dziwne było to wszystko – jak dziwne i jak wspaniałe, że byli tu wszyscy razem tego lata. Niektóre ze znanych mu dzieciaków wyjechały do krewnych. Inne były na wakacjach w Disneylandzie, w Kalifornii, na Cape Cod, a jeden chłopak udał się do dziwnie obco brzmiącego miejsca o nazwie Gstaad. Część przebywała na obozie religijnym, obozie harcerskim albo na obozach dla dzieciaków z bogatych rodzin, gdzie mogłeś nauczyć się pływać, grać w golfa, gdzie zamiast „o kurwa!” mówiłeś „hej, świetnie”, kiedy twój przeciwnik w tenisa załatwił cię asem serwisowym. Dzieciaki, które rodzice po prostu stąd zabrali. Które wyjechały. Bill potrafił to zrozumieć. Znał kilkoro dzieciaków, które chciały stąd wyjechać, przerażone wizją Czarnego Luda grasującego tego lata po Derry, ale przypuszczał, że liczba

przerażonych tym tajemniczym mordercą rodziców była znacznie większa. Ludzie, którzy wybrali się na wakacje w rodzinne strony i nagle zdecydowali się opuścić Derry (Gstaad? Gdzie to było – w Szwecji? Argentynie? Hiszpanii?) na stałe. To było trochę jak z polio w 1956 roku, kiedy to czwórka dzieciaków pływająca w basenie O'Briana zaraziła się tą chorobą. Dorośli – dla Billa synonim matek i ojców – uznali wówczas, że wyjazd jest najwłaściwszym rozwiązaniem. Najbezpieczniejszym. Każdy, kto mógł i chciał wyjechać, zrobił to. Bill rozumiał pragnienie wyjazdu i tajemnicze Gstaad również go kusiło, ale było to niczym w porównaniu z czekającym tu wyzwaniem. Gstaad oznaczało wyjazd. Derry oznaczało wyzwanie i pragnienia.

I żadne z nas nie spasowało, pomyślał, patrząc, jak Ben i Mike wybijali gwoździe ze starych desek, a Eddie szedł w krzaki, żeby opróżnić pęcherz („Należy chodzić natychmiast, jak tylko zacznie się parcie – powiedział kiedyś Billowi – bo możesz sobie nadwerężyć pęcherz, a poza tym musisz uważać na sumak jadowity, bo po co miałbyś sobie oparzyć nim ptaszka"). Wszyscy jesteśmy tutaj, w Derry; żadnych obozów, wyjazdów do rodziny, wakacji, nic

z tych rzeczy. W porządku. Jesteśmy tu. Obecni i gotowi.

– Tam na dole są drzwi – powiedział Eddie, zapinając w drodze powrotnej rozporek.

– Mam nadzieję, że otrząsnąłeś, Eddie – rzekł Richie. – Jeżeli nie zrobisz tego za każdym razem, możesz nabawić się raka. Mama mi tak powiedziała.

Eddie zasępił się, zmartwił i wtedy zobaczył uśmiech na twarzy Richiego. Eddie skarcił go spojrzeniem, a potem dorzucił:

– Były za duże dla nas dwóch. Ale Bill powiedział, że gdybyśmy poszli tam wszyscy razem, moglibyśmy je tu przytargać.

– Oczywiście, nigdy nie otrząsasz do końca – ciągnął Richie. – Chcesz wiedzieć, co kiedyś powiedział mi jeden mądry facet, Eds?

– Nie – odparł Eddie. – I nie mów do mnie Eds, Richie. Mówię serio. Ja do ciebie nie mówię: Dick[9]. Masz jakąś gumę, Dick? Więc nie rozumiem, czemu…

– Ten mądry facet powiedział mi tak: „Choćbyś strząsał nawet dwa tygodnie, i tak ostatnia kropla spadnie ci na spodnie”. I dlatego na świecie jest tyle zachorowań na raka, mój drogi Eddie.

– Powodem tylu zachorowań na raka jest to, że gnojki takie jak ty i Beverly Marsh palą papierosy – rzekł Eddie.

– Beverly nie jest gnojkiem – mruknął groźnie Ben. – Uważaj na to, co mówisz, Niewyparzona Gębo.

– Bip-bip, chłopaki – wtrącił obojętnie Bill. – À propos Beverly, o-o-ona jest dość s-s-silna. Mogłaby nam p-pomóc przy tych drzwiach.

Ben spytał, jakie to drzwi.

– Ch-chyba m-m-mahoniowe.

– Ktoś wyrzucił mahoniowe drzwi? – zapytał Ben zdziwiony, ale bez odrobiny powątpiewania w głosie.

– Ludzie wyrzucają wszystko – odparł Mike. – To wysypisko? Schodzenie tam po prostu mnie zabija. Serio.

– Tak – przyznał Ben. – Wiele tych rzeczy można by spokojnie naprawić. A są ludzie w Chinach czy Ameryce Południowej, którzy nie mają niczego. Tak mówi moja matka.

– Tu, w Maine, też są ludzie, którzy nic nie mają, tępaki – rzucił ponuro Richie.

– Co t-t-to jest? – spytał Bill, zauważając album, który przyniósł Mike.

Mike powiedział mu, dodając, że pokaże im zdjęcia klowna, kiedy Stan i Beverly wrócą

z zawiasami.

Bill i Richie wymienili spojrzenia.

– Co się stało? – spytał Mike. – Chodzi o to, co się wydarzyło w pokoju twojego brata, Bill?

– T-t-tak – rzekł Bill i nie musiał dodawać nic więcej. Pracowali przy dole na zmianę, aż Stan i Beverly wrócili, oboje z wielkimi, brązowymi torbami, w których znajdowały się zawiasy. Podczas gdy Mike mówił, Ben siedział ze skrzyżowanymi nogami i z dwóch dłuższych desek zrobił odchylane okna bez szyb.

Być może tylko Bill zauważył, jak szybko i zręcznie poruszały się jego palce – poruszały się zwinnie i ze znawstwem, jak palce chirurga. Bill to podziwiał.

– Mój tata powiedział, że niektóre z tych fotografii mają ponad sto lat – poinformował ich Mike, trzymając album na podołku. – Kupuje je od ludzi podczas wyprzedaży i w sklepach ze starociami. Czasami wymienia je ze zbieraczami, a także od nich kupuje. Niektóre są stereoskopowe, na jednej karcie znajdują się dwie fotografie i jak się na nie spojrzy przez specjalne okulary, wyglądają jak jedna, ale trójwymiarowa. Jak w *Gabinecie figur woskowych* albo *Potworze z Czarnej Laguny*.

– Czemu on lubi te rzeczy? – spytała Beverly. Miała na sobie zwyczajne lewisy, ale zrobiła coś zabawnego z mankietami, doszywając na ostatnich czterech, pięciu calach długości kawałki jasnego wełnianego materiału i nadając im w ten sposób wygląd fantazyjnych spodni marynarskich.

– Tak – rzekł Eddie – na dłuższą metę Derry jest nudne.

– Cóż, nie wiem na pewno, ale chyba dlatego, że tu się nie urodził – powiedział nieśmiało Mike. – To tak, jakby to wszystko było dla niego czymś nowym albo jakbyśmy weszli do kina w połowie filmu…

– P-p-pewno chciałbyś z-z-zacząć od p-p-początku.

– Tak. Derry ma dość bogatą historię. I sporo ma ona wspólnego z Tym, skoro chcecie tak to nazwać. – Spojrzał na Billa, a ten z zamyśleniem pokiwał głową. – Dlatego po Czwartym Lipca przejrzałem ten album, bo wiedziałem, że już wcześniej widziałem tego klowna. Wiedziałem to. I spójrzcie.

Otworzył album, zaczął go kartkować, a następnie podał go siedzącemu z prawej strony Benowi.

– N-n-nie dotykaj s-s-stron! – ostrzegł Bill z takim naciskiem w głosie, że wszyscy aż podskoczyli. Zacisnął w pięść dłoń, którą rozciął sobie podczas oglądania albumu George'a. Richie zauważył to. Dłoń zacisnęła się mocno, bardzo mocno.

– Bill ma rację – powiedział Richie i ten głos, zupełnie nieprzypominający jego zwykłego głosu, był argumentem, który przekonał wszystkich – Bądź ostrożny. To tak, jak powiedział Stan. Jeśli my coś zobaczymy, to i wy również.

– I poczujemy – dorzucił posępnie Bill.

Album przechodził z rąk do rąk, każde z nich trzymało go delikatnie za brzegi, jakby to były stare laski dynamitu, z którego wycieka nitrogliceryna. Po chwili wrócił do Mike'a. Otworzył go na jednej z pierwszych stron.

– Tata mówi, że nie sposób określić, kiedy to zrobiono, ale prawdopodobnie musi pochodzić z początku lub połowy osiemnastego wieku – rzekł Mike. – Naprawił gościowi piłę taśmową i dostał za to pudło starych książek i zdjęć. To było na jednym z nich. Mówi, że może być warte ze czterdzieści dolców, a nawet więcej.

Na zdjęciu uwieczniono drzeworyt nieco większy od pocztówki. Kiedy przyszła kolej na Billa, aby na nie spojrzeć, z ulgą stwierdził, że

ojciec Mike’a miał album, w którym zdjęcia były wkładane do plastikowych kieszonek. Spojrzał na drzeworyt z fascynacją i pomyślał: Tam. Widzę Go… albo raczej To. Naprawdę To widzę. To oblicze wroga.

Zdjęcie ukazywało zabawnego faceta żonglującego nadmiernie dużymi kręglami pośrodku błotnistej ulicy. Po obu jej stronach znajdowało się parę domów i magazynów, które były sklepami albo punktami handlowymi czy jak je tam wtedy nazywano. To w ogóle nie przypominało Derry, gdyby nie kanał. Był tam, obłożony z obu stron kamieniami. W tle, u góry, Bill widział muły ciągnące w zaprzęgu barkę. Wokół zabawnego faceta stała gromadka dzieciaków – pół tuzina, nie więcej. Jeden z nich miał na głowie słomkowy kapelusz pastucha. Inny miał kółko i patyk do toczenia go. Nie taki patyk, jaki kupujesz wraz z kółkiem u Woolwortha. To była gałąź.

Bill widział nagie guzy w miejscach, gdzie mniejsze gałęzie zostały odcięte nożem lub siekierą. Nie ma na tym napisu: „Made in Taiwan” albo „Korea”, pomyślał, patrząc z fascynacją na chłopca, którym mógł być on sam, gdyby urodził się cztery czy pięć pokoleń wcześniej…

Zabawny człowiek się uśmiechał. Nie miał makijażu (tyle że dla Billa całe jego oblicze było makijażem) i był łysy, z wyjątkiem dwóch kępek włosów sterczących nad uszami jak rogi – Bill bez trudu rozpoznał klowna. Dwieście lat temu albo i więcej, pomyślał i poczuł falę zgrozy, wściekłości i podniecenia.

Dwadzieścia siedem lat później, siedząc w bibliotece i wspominając, jak po raz pierwszy zajrzał do albumu ojca Mike'a, zdał sobie sprawę, że czuł się wtedy jak myśliwy, który natrafił właśnie na świeży ślad tygrysa ludojada.

Dwieście lat temu… tak dawno temu, a może jeszcze dawniej. Zaczął się zastanawiać, od jak dawna duch Pennywise'a zamieszkiwał w Derry, ale doszedł do wniosku, że nie chce dalej nad tym rozmyślać.

– Daj mi, Bill – rzekł Richie, ale Bill jeszcze przez chwilę trzymał album, wpatrując się w skupieniu w zdjęcie drzeworytu, przekonany, że to, co na nim widzi, zaraz zacznie się poruszać: kręgle, którymi żonglował zabawny facet, wzlecą i opadną, wzlecą i opadną, dzieci zaczną bić brawo i pokrzykiwać z radości, a muły ciągnące barkę znikną za ramką zdjęcia.

To się nie stało i Bill podał album Richiemu. Kiedy album powrócił do Mike'a, ten zaczął go

kartkować, jakby czegoś szukał.

– Tutaj – powiedział. – To zdjęcie z tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku, cztery lata przed wyborem Lincolna na prezydenta.

Album znowu zaczął krążyć. To było kolorowe zdjęcie – coś w rodzaju rysunku czy kreskówki – przedstawiające grupkę pijaków stojących przed wejściem do baru, podczas gdy gruby polityk z gęstymi bokobrodami przemawiał z deski ułożonej na dwóch pojemnikach. W jednej ręce trzymał kufel piwa. Deska, na której stał, uginała się wyraźnie pod jego ciężarem. Stojąca w pewnym oddaleniu grupka kobiet w czepkach patrzyła z dezaprobatą na tę scenę stanowiącą mieszaninę bufonerii i braku umiaru. Podpis pod zdjęciem głosił: POLITYKA W DERRY TO ZAJĘCIE POBUDZAJĄCE PRAGNIENIE. WYBIERZ SENATORA GARNERA!

– Tata mówi, że tego typu zdjęcia były bardzo popularne dwadzieścia lat przed wojną secesyjną – rzekł Mike. – Nazywano je „głupawymi pocztówkami” i ludzie wysyłali je znajomym czy przyjaciołom. Sądzę, że przypominały dowcipne rysunki z „Mad”.

– S-s-satyra – rzekł Bill.

– Tak – zgodził się Mike. – Ale spójrzcie na to. W rogu.

Zdjęcie przypominało rysunki z „Mad”, ale pod innym względem; było mianowicie bardzo szczegółowe. Widniał na nim grubas wlewający piwo z kufla do gardła łaciatego psa. Była tu też kobieta, która poślizgnęła się i siedziała na tyłku w błotnistej kałuży. Na fotografii uwieczniono również dwóch łobuziaków, wkładających po cichu zapałki do butów nobliwie wyglądającego dżentelmena, i dziewczynę zwieszającą się głową w dół z gałęzi wiązu, tak że widać było jej bieliznę. Jednakże pomimo tego wielkiego nagromadzenia szczegółów żadne z nich nie potrzebowało pomocy Mike’a w odnalezieniu klowna. Ubrany w krzykliwej barwy kostium dobosza grał w trzy orzechy z grupką pijanych drwali. Mrugał do jednego z drwali, który z wyrazem zdziwienia na twarzy i rozdziawionymi ustami wybrał niewłaściwą połówkę łupiny orzecha. Dobosz-klown zabierał mu pieniądze.

– To znowu on – stwierdził Ben. – Co… sto lat później?

– Mniej więcej – mruknął Mike. – A to zdjęcie z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

Był to wycinek z frontowej strony „News”. HURRA! – brzmiał radośnie wielki nagłówek: DZIŚ OTWARCIE ZAKŁADÓW KITCHENERA! A tuż poniżej – MIASTO SZYKUJE SIĘ DO HUCZNEGO PIKNIKU. Zdjęcie ukazywało drzeworyt, na którym zarejestrowano ceremonię przecięcia wstęgi Zakładów Kitchenera. Ten styl przypominał Billowi prace Curriera i Ivesa, jakie matka miała w pokoju jadalnym, choć to zdjęcie w ogóle się do nich nie umywało. Facet ubrany w surdut i cylinder trzymał w dłoni, nad wstęgą wielkie otwarte nożyce, podczas gdy mniej więcej pięciusetosobowy tłum przyglądał się temu z uwagą. Nieco po lewej stronie znajdował się klown – ich klown; robił gwiazdkę ku uciesze grupki dzieci. Artysta uchwycił go w pozycji bocznej – zmieniając jego uśmiech w krzyk.

Podał szybko album Richiemu. Pod następną fotografią Will Hanlon umieścił podpis: „1933 – zniesienie ustawy”. Choć żaden z chłopców nie wiedział zbyt wiele na temat ustawy Volsteada ani jej zniesienia, fakty mówiły same za siebie. Fotografia ukazywała Wally’s Spa na Diabelskim Półakrze. To miejsce pękało w szwach od ludzi ubranych w białe, rozpięte pod szyją koszule, bezrękawniki, bluzy drwali, podkoszulki i garnitury typowe dla bankierów. Wszyscy

zwycięskim gestem trzymali uniesione szklanki i butelki. W oknie wystawiono dwie plansze z napisami: WITAJ, JOHNIE BARLEYCORN! i DZIŚ PIWO ZA DARMO! Klown ubrany jak największy na świecie dandys (białe buty, sztylpy, gangsterskie spodnie) opierał nogę o platformę i pił szampana z pantofelka jakiejś damy.

– Tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty rok – rzekł Mike.

Znowu „News”. Nagłówek: JAPONIA KAPITULUJE – JUŻ PO WSZYSTKIM! DZIĘKI BOGU, KONIEC WOJNY! Wzdłuż Main Street, w stronę Milowego Wzgórza kroczył kręty pochód. W tle można było dostrzec klowna – miał na sobie srebrny kostium z pomarańczowymi guzikami. Widok klowna uwiecznionego w matrycy kropek, na jaką składało się gazetowe zdjęcie, sugerował (w każdym razie Billowi), że nic się nie skończyło, że nikt nie skapitulował, niczego nie wygrano, nic się nie zmieniło i tak jak do tej pory, wszyscy jedynie przegrywali.

Billowi było zimno, miał sucho w ustach i bał się. Nagle kropki na zdjęciu zniknęły i obraz zaczął się poruszać.

– Właśnie to… – zaczął Mike.

– P-p-patrzcie – rzekł Bill. To słowo wyprysło z jego ust jak na wpół stopiona kostka lodu. – P-p-

patrzcie na to w-wszyscy.

Stłoczyli się wokół niego.

– Mój Boże – wyszeptała strwożona Beverly.

– To To! – prawie wykrzyknął Richie, podniecony tak bardzo, że z całej siły klepnął Billa w plecy. Rozejrzał się wokoło i zobaczył, że twarz Eddiego zrobiła się biała jak śnieg, a oblicze Stana zastygło niczym kamienna maska. – To jest to, co zobaczyliśmy w pokoju George'a. To dokładnie to samo co…

– Ciii – powiedział Ben. – Posłuchajcie. – I prawie pochlipując, dodał: – Słychać ich, Chryste, można ich usłyszeć.

W ciszy przerywanej tylko poszumem łagodnego wiatru zdali sobie sprawę, że rzeczywiście mogli to usłyszeć. Orkiestra grała jakiś wojskowy marsz (dźwięk z uwagi na dystans… a może upływ czasu był przytłumiony i słaby). Zdawało się, że radosne okrzyki tłumów płyną ze starego, rozstrojonego radia. Słychać też było ciche trzaski jak pstryknięcia palcami albo coś w tym rodzaju.

– Fajerwerki – wyszeptała Beverly i przetarła oczy drżącymi rękoma. – To fajerwerki, prawda?

Nikt nie odpowiedział. Patrzyli na zdjęcie, pożerając twarze wzrokiem. Pochód zmierzał w ich stronę, ale nim idący ludzie dotarli na

pierwszy plan – do miejsca, gdzie, jak się zdawało, musieliby wymaszerować z wnętrza fotografii do świata starszego o trzynaście lat – zniknęli z widoku, jakby skręcili w jakąś niewidzialną boczną drogę. Najpierw żołnierze z pierwszej wojny światowej o dziwnie starych twarzach pod płaskimi, naleśnikowatymi hełmami, niosący transparent z napisem: WETERANI PIERWSZEJ WOJNY ŚWIATOWEJ WITAJĄ W DERRY NASZYCH DZIELNYCH CHŁOPCÓW, potem skauci, Kiwanianie[10], Korpus Pielęgniarek, Chrześcijańska Orkiestra Marszowa, a następnie weterani drugiej wojny światowej i zespół licealny. Tłum poruszał się i falował. Z okien budynków biur okalających ulicę sypały się konfetti i wstęgi serpentyn.

Klown szedł z boku, robiąc salta, przewrotki i szpagaty, na przemian to naśladując strzelanie, to znowu salutując. Bill po raz pierwszy zauważył, że ludzie odwracali się od niego – ale nie tak, jakby go widzieli, raczej jakby czuli zimny, nieprzyjemny prąd powietrza albo drażliwy odór. Tylko dzieci go widziały i uciekały w popłochu.

Ben wyciągnął rękę w stronę zdjęcia, tak jak Bill w pokoju George’a.

– N-n-nie! – krzyknął Bill.

– Chyba wszystko w porządku, Bill – rzekł Ben. – Spójrz. – I położył rękę na plastikowej kieszonce. Po chwili odsunął dłoń. – Ale gdyby wyjąć zdjęcie z oprawki…

Beverly krzyknęła. Klown przestał wydziwiać, w momencie gdy Ben cofnął rękę. To ruszyło w ich stronę, zaśmiewając się do rozpuku. Czerwone usta otwarły się szeroko. Bill skrzywił się i cofnął, ale przez cały czas trzymał album, sądząc, że To zniknie za rogiem, jak maszerujący w pochodzie, orkiestra, skauci i cadillac convertible wiozący miss Derry roku 1945.

Ale klown nie skręcił w boczną drogę, która stanowiła coś w rodzaju niewidzialnej granicy dla tego, co przeminęło. Zamiast tego z przerażającą gracją i zwinnością wskoczył na latarnię, widoczną na pierwszym planie zdjęcia, w rogu po lewej stronie. Wspiął się na nią z iście małpią zwinnością i nagle jego twarz przylgnęła do twardej plastikowej osłony, w której Will Hanlon umieścił każde zdjęcie w swoim albumie. Beverly krzyknęła raz jeszcze i tym razem dołączył do niej Eddie, ale jego okrzyk był cichy i przyduszony. Plastik wybrzuszył się – później wszyscy zgodzą się, że to zobaczyli. Bill widział, jak gruszka czerwonego nosa klowna spłaszcza się tak jak wtedy, gdy przyciskasz nos do szyby.

– Zabiję was wszystkich! – krzyczał i śmiał się klown. – Spróbujcie mnie powstrzymać, a wszystkich was zabiję! Doprowadzę was do obłędu, a potem zabiję was wszystkich! Nie możecie mnie powstrzymać. Jestem Chlebowym Człowiekiem! Jestem Nastoletnim Wilkołakiem!

I przez moment To było Nastoletnim Wilkołakiem, nad kołnierzem srebrnego kostiumu pojawił się kudłaty, złowieszczy pysk i błysnęły białe kły.

– Nie możecie mnie powstrzymać, jestem trędowaty!

Teraz mieli przed sobą oblicze trędowatego, upiorne i gnijące, pokryte ropiejącymi ranami, przyglądające się im oczyma żywego trupa.

– Nie możecie mnie powstrzymać, jestem mumią!

Twarz trędowatego postarzała się i pokryła siateczką pęknięć. Ze skóry wysunęły się strzępy starych bandaży. Ben odwrócił się blady jak ściana, opierając jedną dłoń na karku, przy uchu.

– Nie możecie mnie powstrzymać, jestem martwymi chłopcami!

– Nie! – krzyknął Stan Uris. Oczy nieomal wyszły mu z orbit, ponad nabrzmiałymi półksiężycami skóry wyglądającej jak opuchlizna.

Ciałoszok, pomyślał Bill i dwanaście lat później użyje tego słowa w jednej ze swoich książek. Nie wiedział, skąd to się wzięło, po prostu nagle to słowo przyszło mu do głowy, jak to czasami dzieje się u niektórych pisarzy – niczym dar z kosmosu (z innej przestrzeni), z którego czasami przybywają ciekawe zwroty.

Stan wyrwał mu z rąk album i zatrzasnął. Trzymał go mocno, oburącz, a na jego nadgarstkach i przedramionach pojawiły się żyły. Potoczył wokoło wzrokiem szaleńca.

– Nie – rzucił gwałtownie. – Nie, nie, nie!

I nagle Bill doszedł do wniosku, że bardziej martwiła go reakcja Stana niż zachowanie klowna, i zrozumiał, że klown miał zamiar doprowadzić do takiego wybuchu, ponieważ… być może To się nas boi… naprawdę… po raz pierwszy w swoim niesłychanie długim życiu.

Złapał Stana za ramiona i potrząsnął nim z całej siły. Zęby Stana szczęknęły głucho. Album wypadł mu z rąk. Mike podniósł go i natychmiast odłożył na bok, nie chcąc go dotykać po tym, co przed chwilą zobaczył. Ale album nadal należał do jego ojca i Mike zrozumiał instynktownie, że ojciec nie zobaczyłby tego samego co on przed chwilą.

– Nie – powiedział cicho Stan.

– Tak – rzekł Mike.

– Nie – powtórzył Stan.

– Tak. My w-wszyscy.

– Nie.

– …wszyscy t-t-to w-widzieliśmy, Stan – rzekł Bill i spojrzał na pozostałych.

– Tak – przytaknął Ben, a pozostali potwierdzili.

Bill spojrzał na Stana i czekał, aż ten na niego spojrzy.

– N-n-nie pozwól, ż-ż-żeby t-t-to cię dostało, s-stary – rzekł Bill. – T-t-ty też t-to w-w-widziałeś.

– Ja nie chciałem! – jęknął Stan. Pot perliście wystąpił mu na czoło.

– Ale zobaczyłeś.

Stan powiódł wzrokiem po ich twarzach. Przesunął dłońmi po swych krótkich włosach i wydał z siebie przeciągłe, drżące westchnienie. Wyraz obłędu, który tak bardzo zaniepokoił Billa, prawie znikł już z jego oczu.

– Tak – powiedział. – Tak. W porządku. Tak. Tego chcecie? Tak.

Bill myślał: Wciąż jesteśmy razem. Temu nie udało się nas powstrzymać. Nadal możemy To zabić. Możemy To zabić… jeżeli będziemy dostatecznie odważni.

Bill rozejrzał się wokoło i w oczach pozostałych dostrzegł ten sam wyraz histerii co przedtem w spojrzeniu Stana, tylko że tamci okazali się nieco bardziej wytrzymali. Nie byli aż tak przerażeni, ale bali się, to nie ulegało wątpliwości.

– T-t-tak – powiedział i uśmiechnął się do Stana. Po chwili Stan odpowiedział uśmiechem i przeraźliwy grymas prawie całkowicie znikł z jego oblicza. – T-t-tego właśnie chciałem, f-f-frajerze.

– Bip-bip, Dumbo – rzekł Stan i wszyscy wybuchnęli śmiechem. To był histeryczny, wrzaskliwy śmiech, ale, jak zauważył Bill, lepsze to niż grobowa cisza.

– Chodźcie – powiedział, bo ktoś przecież musiał się w końcu odezwać. – S-s-skończymy nasz k-k-klubowy domek. C-c-co wy n-na to?

Dostrzegł wdzięczność w ich oczach i poczuł ogarniającą go radość… ale to nie mogło stłumić tkwiącej w nim zgrozy. Prawdę mówiąc, było w tej wdzięczności coś, co nakazywało mu ich znienawidzić. Czy nigdy nie zdoła wyrazić dręczących go lęków, ujawnić tego, co skrywa gdzieś głęboko w mrocznym wnętrzu? Swoich słabych punktów? Ale chyba nawet nie powinien tak myśleć, prawda? Bo w pewien sposób ich

wykorzystywał – wykorzystywał swoich przyjaciół, ryzykując ich życie, aby pomścić śmierć brata.

Ale czy rzeczywiście chodziło tylko o to? Czy to było sednem wszystkiego? Nie, ponieważ George nie żył, a mścić się można było (zdaniem Billa) tylko w imieniu żyjących. I kim się w ten sposób stawał? Egoistycznym gnojem, wymachującym blaszanym mieczykiem i próbującym udawać króla Artura?

O Chryste, jęknął w duchu, jeżeli właśnie nad takimi rzeczami muszą się głowić dorośli, to nigdy nie chcę dorosnąć. Był zdecydowany, ale oprócz stanowczości w jego sercu tkwiło jeszcze jedno, równie mocne uczucie.

Gorycz.

ROZDZIAŁ 15
Dymna jama

1

Richie Tozier podsuwa okulary na nosie (znajomym gestem – choć już od dwudziestu lat nosi szkła kontaktowe) i z pewnym zdziwieniem zauważa, że odkąd Mike opowiedział o incydencie z ptakiem w Zakładach Kitchenera i przypomniał im o albumie ojca i zdjęciu, które ożyło, atmosfera w pomieszczeniu się zmieniła.

Richie poczuł narastającą w pokoju szaleńczą, rozweselającą energię. Przez ostatnie parę lat dziewięć czy dziesięć razy zażywał kokainę; głównie na przyjęciach – koka nie jest najlepszym towarzyszem słynnego didżeja – i to uczucie przypominało tamten odlot, ale nie do końca. Było czystsze i znacznie głębsze. Pomyślał, że przypominało mu uczucie z dzieciństwa,

którego doświadczał każdego dnia i które uważał za coś całkiem normalnego.

Przypuszczał, że gdyby kiedykolwiek jako dziecko zaczął się zastanawiać nad tym źródłem energii (choć nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek to zrobił), po prostu przeszedłby nad tym do porządku dziennego, uznał za coś, co zawsze tam było, jak kolor oczu czy cięty język. Ale to nie była prawda. Energia, z której tak hojnie czerpałeś jako dziecko, energia, której zasoby uznawałeś za niewyczerpane, zanikała gdzieś pomiędzy osiemnastym a dwudziestym czwartym rokiem twego życia i bywała zastąpiona przez coś mętnego i tak fałszywego jak kokainowy haj – cele, mety czy jak to się nazywało w uczelnianym żargonie. Nie było w tym nic szczególnego, to nie przemijało w jednej chwili z wielkim hukiem. I, jak sądził Richie, być może właśnie to było najstraszniejsze. Dzieckiem nie przestawało się być w jednej chwili przy wtórze huku, jak gdyby pękł balon. Dzieciństwo wyciekało z ciebie jak powietrze z dziurawej opony.

A któregoś dnia spoglądałeś w lustro i patrzył z niego na ciebie dorosły. Mogłeś nosić dżinsy, chodzić na koncerty Springsteena i Segera, tlenić

włosy, ale w lustrze wciąż widziałeś twarz dorosłego.

To wszystko działo się, gdy spałeś – jak wizyta Wróżki Zębuszki. Nie, myśli. To nie Czas Wróżki Zębuszki. To Czas Magii. Śmieje się w głos z tego porównania, a kiedy Beverly spogląda nań pytająco, macha do niej ręką.

– Nic, maleńka – mówi. – Tak sobie tylko rozmyślam.

Teraz ta energia powraca. Nie, nie do końca, jeszcze nie, a jednak powraca. I nie chodzi tylko o niego – czuje, jak ta moc przepełnia cały pokój. Mike wydaje się Richiemu po raz pierwszy w porządku od ich ponownego spotkania przy tym okropnym lunchu.

Kiedy Richie wszedł do holu i zobaczył Mike'a siedzącego tam z Beverly i Eddiem, pomyślał zszokowany: To facet, który jest bliski obłędu, i kto wie, być może przygotowuje się do popełnienia samobójstwa. Ale teraz wygląda inaczej. Całkiem inaczej. Tamto wrażenie odeszło. Richie patrzy, jak twarz Mike'a zmienia się w miarę trwania opowieści o ptaku i albumie. Przepełnia go energia. Podładowuje się nią. Tak samo jak pozostali. To widać w ich twarzach, głosach i gestach.

Eddie nalewa sobie kolejną szklaneczkę ginu z sokiem śliwkowym. Bill nalewa sobie bourbona, a Mike otwiera następne piwo. Beverly unosi wzrok i spojrzawszy na balony, które Bill przywiązał do przeglądarki mikrofilmów przy głównym biurku, wychyla kolejnego drinka. Wszyscy piją dość sporo, ale żadne z nich nie jest pijane. Richie nie wie, skąd pochodzi ta energia, ale z całą pewnością nie z wnętrza butelki.

„Czarnuchy z Derry dostają ptaka”: balon niebieski. „Frajerzy nadal przegrywają, ale Stanley Uris bije ich na głowę”: balon pomarańczowy.

Chryste, myśli Richie, otwierając sobie nowe piwo. Jakby nie dość, że To może się stać każdym pieprzonym potworem, jakim zechce, i karmić się naszymi lękami, to jeszcze sprawia, że człowiek czuje się jak naćpany.

Wreszcie ciszę przerywa Eddie.

– Jak sądzicie, ile To wie na temat tego, co teraz robimy?

– To tu było, prawda? – mówi Ben.

– Nie jestem pewny, że to cokolwiek znaczy – wtrąca Eddie.

Bill kiwa głową.

– To tylko iluzje – mówi. – Nie wydaje mi się, aby to oznaczało, że To może nas obserwować albo że wie, co zamierzamy zrobić. Oglądasz spikera w telewizji, mimo że on cię nie widzi.

– Te balony nie są tylko iluzją – mówi Beverly i wystawia ponad ramieniem kciuk w ich stronę. – One są realne.

– To nieprawda – mówi Richie i wszyscy spoglądają na niego. – Iluzje są prawdziwe. Na pewno. One…

I nagle coś jeszcze trafia na swoje miejsce, coś nowego, zajmuje swoje miejsce z taką potężną siłą, że Richie unosi teraz obie ręce do oczu. Jego oczy rozszerzają się za szkłami okularów.

– O mój Boże! – wykrzykuje nagle. Opiera dłoń na stole, podnosi się i z powrotem siada na krześle przy wtórze głuchego odgłosu. Sięgając po piwo, przewraca puszkę, podnosi ją i wypija to, co w niej zostało. – Ogień! – prawie krzyczy. – Ogień w moich oczach! One płoną! Mike! Moje oczy płoną! Ten ból!

Mike kiwa głową i uśmiecha się pod nosem.

– R-richie? – pyta Bill. – C-co jest?

Ale Richie prawie go nie słyszy. Wspomnienia zalewają go niczym potężna fala – jest mu na przemian to gorąco, to zimno i nagle zaczyna rozumieć, czemu te wspomnienia pojawiają się

stopniowo, jedno po drugim. Gdyby przypomniał sobie wszystko naraz, ich siłę można by porównać do naciśnięcia spustu nabitej dubeltówki, której lufa jest przyłożona do twojej skroni. Rozwaliłoby mu głowę.

– Zobaczyliśmy przybycie Tego – mówi do Mike'a. – Widzieliśmy przybycie Tego, prawda? Ty i ja… a może to byłem tylko ja? – Chwyta Mike'a za rękę. – Widziałeś to, Mikey, czy to byłem tylko ja? Widziałeś to? Pożar lasu? Krater?

– Widziałem – odpowiada cicho Mike i ściska dłoń Richiego. Richie na chwilę zamyka oczy, myśląc, że nigdy dotąd nie czuł równie silnej ulgi, nawet w odrzutowcu lecącym z Los Angeles do San Francisco, kiedy samolot zjechał z pasa i zatrzymał się daleko za nim; na szczęście obyło się bez ofiar śmiertelnych. Niektóre z walizek powypadały z pomieszczeń bagażowych ponad siedzeniami, ale to wszystko. Zeskoczył na żółtą awaryjną zjeżdżalnię i pomógł kobiecie wysiąść z samolotu. Kobieta skręciła sobie nogę w kostce na ukrytym pośród wysokiej trawy kopczyku ziemi, ale śmiała się, mówiąc: „Nie mogę uwierzyć w to, że nie zginęłam! Po prostu nie mogę w to uwierzyć".

Richie, jedną ręką podtrzymując utykającą kobietę, a drugą machając do strażaków, którzy

gwałtownymi gestami przywoływali wychodzących z maszyny pasażerów, rzekł: „W porządku, nie żyjesz. Nie żyjesz. Teraz już lepiej…?”. I oboje wybuchnęli śmiechem. Wtedy oboje czuli wielką ulgę, ale ta obecna ulga była o wiele większa.

– O czym wy mówicie? – pyta Eddie, wodząc wzrokiem po ich twarzach. Richie spogląda na Mike’a, ale Mike kręci głową.

– Wal, Richie. Ja już wyczerpałem swój limit na ten wieczór.

– Reszta z was nie wie albo może nie pamięta, bo wyszliście – zaczyna Richie – ale ja i Mikey byliśmy dwoma ostatnimi Indianami w dymnej jamie.

– Dymna jama – mówi Bill. Jego wzrok błądzi gdzieś w oddali.

– Uczucie pieczenia w oczach – mówi Richie – pieczenie pod szkłami kontaktowymi. Poczułem je po raz pierwszy, kiedy Mike zadzwonił do mnie do Kalifornii. Wtedy nie wiedziałem, co to było, ale teraz już wiem. To był dym. Dym sprzed dwudziestu siedmiu lat. – Patrzy na Mike’a. – Powiedzielibyście: kwestia psychologiczna? Psychosomatyczna? A może to ma jakiś związek z podświadomością?

– Nie powiedziałbym – odpowiada cicho Mike. – Sądzę, że to, co czułeś, było równie realne jak te balony albo głowa, którą zobaczyłem w lodówce, albo trup Tony'ego Trackera, którego widział Eddie. Powiedz im, Richie.

– To było cztery, pięć dni po tym, jak Mike przyniósł do Barrens album taty. W drugiej połowie lipca, jak sądzę. Klubowy domek został już ukończony. Ale… sprawa z dymną jamą to był twój pomysł, Haystack. Zaczerpnąłeś go z jednej ze swoich książek.

Uśmiechając się z lekka, Ben kiwa głową.

Richie myśli: Tego dnia było pochmurnie. Zero wiatru. Grzmiało. Jak mniej więcej miesiąc później, kiedy stanęliśmy kręgiem w strumieniu, a Stan naciął wszystkim dłonie odłamkiem butelki po coli. Panowała typowa cisza przed burzą, jakby powietrze czekało, aż coś się stanie, a później Bill powiedział, że w środku tak szybko zrobiło się nie do wytrzymania, ponieważ nie było przeciągu. Siedemnasty lipca. Tak, to było to, dzień dymnej jamy. Siedemnasty lipca 1958 roku, prawie miesiąc po rozpoczęciu letnich wakacji i powstaniu w Barrens zaczątku Klubu Frajerów, które nastąpiło po spotkaniu Billa, Eddiego i Bena.

Daj mi rzucić okiem na kartkę z prognozą pogody na ten dzień, dwadzieścia siedem lat temu, myśli Richie, a powiem ci, co jest na niej napisane, zanim jeszcze to przeczytam. Richard Tozier alias Wielki Telepata: gorąco, parno, możliwość burz. I uważajcie na wizje, jakie możecie mieć, siedząc we wnętrzu dymnej jamy…

To było dwa dni po odnalezieniu ciała Jimmy'ego Culluma, dzień po tym, jak pan Nell ponownie zszedł do Barrens i przysiadł na klubowym domku, nie wiedząc, co ma pod nogami, bo do tego czasu został on należycie zamaskowany, a Ben osobiście doglądał ceremoniału układania na klapie pomieszczenia gałęzi i kawałków darni. Jeżeli nie zacząłeś chodzić na czworakach, nie miałeś pojęcia, co znajdowało się tam, pod ziemią. Podobnie jak tama, klubowy domek Bena okazał się jego wielkim sukcesem, ale pan Nell nie zdawał sobie z tego sprawy. Wypytywał ich skrupulatnie, oficjalnie zapisując ich odpowiedzi w czarnym notesie, lecz nie mieli mu zbyt wiele do powiedzenia – w każdym razie na temat Jimmy'ego Culluma – i pan Nell odszedł, upomniawszy ich ponownie, by nigdy przenigdy nie bawili się w Barrens pojedynczo.

Richie sądził, że gdyby ktoś z policji w Derry przypuszczał, że mały Cullum (lub ktokolwiek spośród pozostałych ofiar) został zabity w Barrens, pan Nell nie tyle by ich ostrzegał, ile po prostu kazałby się im stąd wynosić. Ale gliniarze mieli na ten temat swoją teorię – zwłoki trafiały tutaj, ponieważ właśnie tu znajdowały się odpływy miejskich kanałów i ścieków. Pan Nell pojawił się 16 lipca, był to również gorący i parny dzień, ale słoneczny. Następnego dnia było pochmurno.

– Powiesz nam coś, Richie, czy nie? – pyta Beverly. Uśmiecha się nieśmiało, jej usta są pełne i bladoróżowe, a oczy rozpalone.

– Właśnie się zastanawiałem, od czego zacząć. – Richie zdejmuje okulary, przeciera o koszulę i nagle wie, od czego ma zacząć: od tego, jak pod jego i Billa stopami otwarła się ziemia. Oczywiście wiedział o klubowym domku, podobnie jak Bill i cała reszta, ale widok mrocznej ziemi otwierającej się przed nim nadal wprawiał go w dziwny nastrój. Przypomina sobie, jak Bill podwiózł go na bagażniku Silvera w stałe miejsce przy Kansas Street i jak potem ukrył swój rower pod mostkiem. Przypomina sobie, jak we dwóch szli ścieżką w stronę polany. Przypomina sobie, jak wymachiwał ręką, aby

odgonić komary, które bzyczały jak oszalałe tuż przy jego uszach – przypomina sobie nawet Billa mówiącego (och, ta wizja jest tak wyrazista, zupełnie jakby to wszystko działo się teraz, a nie przed laty):

– P-p-poczekaj chwi…

2

…i-i-ilę, R-richie. M-m-masz n-na szyi w-wielkiego k-k-ko-mara.

– O Chryste – rzucił Richie. Nie cierpiał komarów. Małe latające wampiry. – Zabij go, Wielki Billu.

Bill wyrżnął ręką na płask w kark Richiego.

– Auu!

– W-w-widzisz?

Bill pokazał Richiemu rękę. Pośrodku niej leżał rozgnieciony komar, okolony plamą krwi. Mojej krwi, pomyślał Richie. Która za was i za wielu została przelana.

– Jejciu – powiedział.

– N-n-nie martw się. T-t-ten mały s-skurwiel już n-nigdy nie zatańczy t-t-tanga.

Poszli dalej, oganiając się od komarów i much przyciąganych czymś, co było w zapachu ich potu – czymś, co wiele lat później zostanie nazwane feromonami. Czymkolwiek one były.

– Bill, kiedy opowiesz reszcie o srebrnych kulach? – spytał Richie, kiedy zbliżyli się do polany. W tym wypadku „reszta” oznaczała Bev, Eddiego, Mike’a i Stana, choć Richie przypuszczał, że Stan już się domyślał, w jakim celu udali się do biblioteki. Stan miał przenikliwy umysł, może nawet trochę zbyt przenikliwy, doszedł do wniosku Richie. W dniu, kiedy Mike przyniósł do Barrens album ojca, Stan o mało nie zwariował. W gruncie rzeczy Richie sądził, że Stan już więcej się nie pojawi. Klub Frajerów stanie się sekstetem (Richie lubił to słowo i zawsze akcentował w nim pierwszą sylabę). Ale Stan powrócił następnego dnia i Richie szanował go za to jeszcze bardziej.

– Powiesz im dzisiaj?

– N-n-nie dziś – rzekł Bill.

– N-n-nie sądzisz, ż-że zareagują, c-co?

Bill wzruszył ramionami, a Richie, który być może rozumiał Billa Denbrough lepiej niż ktokolwiek – aż do czasu, gdy w jego życiu pojawi się Audra Phillips – podejrzewał, że gdyby nie trudności z wysławianiem się, Bill mógłby im o wszystkim opowiedzieć. Historie o dzieciakach robiących srebrne kule były jak żywcem wyjęte z komiksów. Komiksowe opowiastki… Innymi słowy, to były bzdury. Niebezpieczne bzdury.

Owszem, mogli spróbować, tak, Ben Hanscom też by się postarał… W filmach to zdałoby egzamin. Ale…

– A więc?

– M-m-mam pewien p-p-pomysł. Prostszy. Ale tylko jeżeli B-b-beverly…

– Jeżeli Beverly co…?

– N-nieważne.

I Bill nie powiedział więcej ani słowa na ten temat. Wyszli na polanę. Gdybyś przyjrzał się uważnie, mógłbyś stwierdzić, że trawa tutaj była nieco bardziej zmierzwiona, wyglądała na bardziej używaną. Mógłbyś nawet pomyśleć, że było coś sztucznego – jakby zaaranżowanego w liściach i igłach, pokrywających w tym miejscu darń. Bill podniósł opakowanie po ring-ding (zapewne rzucone przez Bena) i obojętnym gestem włożył do kieszeni. Chłopcy wyszli na środek polany… i fragment gruntu, długości jakichś dziesięciu cali i szerokości trzech, uniósł się przy wtórze zgrzytliwego jęku zawiasów, ukazując czarne wnętrze. W tej ciemności rozbłysły białka oczu i Richie przez chwilę czuł na plecach lodowate ciarki. Ale to były tylko oczy Eddiego Kaspbraka i to Eddie, który tydzień później znajdzie się w szpitalu, zaintonował upiornym głosem:

– Kto tam tupta, tupiąc po moim mostku?

Z dołu dobiegł chichot i błysnęła zapalona latarka.

– Trzech… eee… *rurales*, senhorrr… – odrzekł Richie, przykucając, podkręcając niewidzialnego wąsa i mówiąc głosem Pancho Vanilli.

– Tak? – rzuciła z dołu Beverly. – Właź, nie?

– Łaźnie? – ryknął Richie. – My nie trzebować żadne łaźnie!

– Idź do diabła, Pancho – odparł Eddie i zatrzasnął klapę. Z dołu dobiegły kolejne chichoty.

– Wyłazić z rękami do góry! – zawołał Bill rozkazującym tonem dorosłego mężczyzny. Zaczął chodzić tam i z powrotem po klapie na szczycie klubowego domku. Widział, jak deski uginają się pod jego ciężarem, ale bardzo nieznacznie. Wykonali dobrą robotę. – Nie macie szans! – ryknął, naśladując Joego Frideya z policji w Los Angeles. – Wyłazić stamtąd, śmiecie! Bo zaczniemy strzelać! – Podskoczył raz, aby zaakcentować swoje słowa. Krzyki i chichot doszły z dołu. Bill uśmiechnął się, nie widząc, że Richie przygląda mu się z uwagą; nie patrzył na niego jak dzieciak na dzieciaka, ale jak dorosły na dzieciaka.

On nie wie, że nie zawsze tak będzie, pomyślał Richie.

– Wpuść ich, Ben, zanim zawalą dach – powiedziała Bev. Chwilę potem klapa uniosła się jak właz okrętu podwodnego.

Ben wyjrzał na zewnątrz. Był zaczerwieniony. Richie od razu wiedział, że siedział obok Beverly.

Bill i Richie weszli do środka, po czym Ben ponownie zamknął klapę. Usiedli, podkulając nogi i opierając się o wyłożone deskami ściany; ich twarze oświetlał blady promień latarki Bena.

– C-c-co się dzieje? – zapytał Bill.

– Niewiele – odparł Ben. Rzeczywiście siedział obok Beverly i jego oblicze było przepełnione szczęściem i zarumienione. – Po prostu…

– Powiedz im, Ben – przerwał Eddie. – Powiedz im o tym. Zobaczymy, co sądzą na ten temat.

– To nie wpłynie dobrze na twoją astmę – rzekł Stan do Eddiego tonem ktoś-musi-działać-praktycznie.

Richie usiadł pomiędzy Mikiem i Benem, obejmując ramionami kolana. Tu na dole było wspaniale – chłodno i tajemniczo. Podążając za promieniem latarki oświetlającym ich twarze, na chwilę zapomniał o tym, o czym rozmyślał, gdy był na zewnątrz.

– O czym wy mówicie?

– Och, Ben opowiadał nam o pewnej indiańskiej ceremonii – odparła Bev. – Ale Stan ma rację – to mogłoby źle wpłynąć na twoją astmę, Eddie.

– Może nie – odparł Eddie jakby trochę niepewnym głosem. – Zwykle dostaję ataku, kiedy się zdenerwuję. W każdym razie chciałbym spróbować.

– Cz-cz-czego? – zapytał Bill.

– Ceremonii dymnej jamy – rzekł Eddie.

– C-c-co to t-takiego?

Promień latarki Bena powędrował ku górze, a Richie podążył za nim wzrokiem. Błądził po drewnianym suficie ich klubowego domku, podczas gdy Ben udzielał im wyjaśnień. Przebiegł po wypaczonych i rozszczepionych płytach mahoniowych drzwi, które całą siódemką przynieśli trzy dni temu z wysypiska – dzień przed odnalezieniem ciała Jimmy'ego Culluma. Jedyne, co sobie przypomniał Richie na temat Jimmy'ego Culluma, to to, że ten chłopiec również nosił okulary i że w deszczowe dni lubił grywać w scrabble. Już nigdy nie zagra w scrabble, pomyślał Richie i wzdrygnął się nieznacznie. W półmroku nikt nie zauważył jego

drżenia, ale Mike Hanlon, który siedział tuż obok, spojrzał na niego podejrzliwie.

– W zeszłym tygodniu wziąłem z biblioteki książkę – zaczął Ben. – Nosi tytuł *Ghosts of the Great Plains* i opowiada o plemionach, które żyły na Zachodzie półtora wieku temu. Pajuci, Paunisi, Kiowa, Otoe, Komancze. To była naprawdę świetna książka. Chciałbym kiedyś pojechać do miejsc, gdzie oni mieszkali. Iowa, Nebraska, Kolorado, Utah.

– Streszczaj się i opowiedz im o ceremonii dymnej jamy – powiedziała Beverly, trącając go łokciem.

– Jasne – mruknął. – Oczywiście. – I Richie pomyślał, że Beverly równie dobrze mogłaby stuknąć go łokciem i powiedzieć: A teraz wypij tę truciznę, Ben, dobrze?

– Widzicie, prawie wszyscy Indianie mieli specjalną ceremonię i nasz klubowy domek przywiódł mi ją na myśl. Kiedy mieli podjąć jakąś ważną decyzję, na przykład: w którą stronę wyruszyć, by odnaleźć stada bizonów czy źródła świeżej wody, albo czy podjąć walkę z wrogami, czy też nie, wykopywali w ziemi wielki dół i przykrywali go gałęziami, pozostawiając tylko mały otwór wentylacyjny u góry.

– D-d-dymny o-o-otwór – rzekł Bill.

– Twój bystry umysł nie przestaje mnie ani trochę zadziwiać, Wielki Billu – mruknął posępnie Richie. – Powinieneś zagrać w *Dwadzieścia jeden*. Założę się, że mógłbyś pokonać nawet starego, dobrego Charliego Van Dorena. – Bill zamierzył się, jakby chciał go uderzyć, a Richie odsunął się gwałtownie i wyrżnął głową w deskę.

– Aau!

– Z-zasłużyłeś na to – rzucił Bill.

– Zabiję cię, grrringo – syknął Richie. – Nie potrzebujemy żadnych śmierrrdzących…

– Moglibyście przestać, chłopaki? – spytała Beverly. – To interesujące. – I obdarzyła Bena ciepłym spojrzeniem; Richie sądził, że lada moment z uszu Haystacka buchną kłęby pary.

– W p-p-porządku, B-B-Ben – rzekł Bill. – Mów.

– Jasne – odparł Ben. To słowo zabrzmiało jak skrzek. Chrząknął i zaczął od nowa. – Po ukończeniu budowy dołu zapalali tam ogień. Używali świeżego drewna, żeby było dużo dymu. Potem wszyscy dzielni wojownicy wchodzili do środka i siadali wokół ogniska. W książce jest napisane, że to była ceremonia religijna, ale również swego rodzaju test, wiecie? Po paru godzinach większość wojowników opuszczała dół, nie mogąc znieść dłużej dymu, i zostawało

w nim zaledwie dwóch, trzech najdzielniejszych. Oni mieli dostąpić wizji.

– Gdybym przez cztery czy pięć godzin wdychał dym, na pewno też miałbym wizje – mruknął Mike i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Wizje miały ukazać wojownikom odpowiedź na ich pytania i służyć dobrą radą w ich poczynaniach – kontynuował Ben. – Nie wiem, co jest w tym wszystkim prawdziwe, a co nie, ale w książce napisano, że większość tych wizji się sprawdziła.

Zapadła cisza i Richie spojrzał na Billa. Wiedział, że wszyscy patrzyli na Billa, i znowu miał przeczucie, że opowieść Bena o dymnej jamie była czymś więcej niż tylko zwyczajną historyjką, o której czyta się w książce, by ją potem sprawdzić w rzeczywistości – jak eksperyment chemiczny czy magiczną sztuczkę.

Wiedział o tym, podobnie jak pozostali! Może Ben wiedział o tym najlepiej z nich wszystkich. Po prostu mieli to zrobić. Mieli dostąpić wizji… większość tych wizji się sprawdziła. Richie pomyślał: Założę się, że gdybyśmy go zapytali, Haystack powiedziałby nam, że książka prawie sama wpadła mu do ręki. Jakby coś chciało, aby ją przeczytał – właśnie tę książkę – a potem opowiedział nam o ceremonii dymnej jamy. Bo

jesteśmy swego rodzaju plemieniem, nieprawdaż? Tak. My. I chyba przydałoby się, abyśmy się dowiedzieli, co nas czeka. Ta myśl przywiodła go do następnej – czy tak miało być?

Czy tak miało się stać od momentu, gdy Ben wpadł na pomysł, abyśmy zamiast domku na drzewie wybudowali tę ziemiankę? Ile z tego wszystkiego jest naszym dziełem, a ile dzieje się niezależnie od nas?

W pewien sposób, jak przypuszczał, był to uspokajający wniosek. Miło było sobie wyobrazić, że coś większego i mądrzejszego od ciebie myślało za ciebie, tak jak dorośli, którzy przygotowują ci posiłki, kupują ubrania i planują twój rozkład dnia. Richie był przekonany, że to właśnie ta siła spowodowała ich spotkanie i to właśnie ona wykorzystała Bena w formie swego wysłannika, aby podsunąć im pomysł dymnej jamy – siła będąca czymś odmiennym od tej, która zabijała dzieci… To było coś w rodzaju kontrsiły względem… Tego, po prostu Tego.

Tego. Pomimo wszystko nie podobało mu się, że wszelkie jego czynności były kontrolowane – że sterowano nim, manipulowano jak marionetką.

Wszyscy spoglądali na Billa. Czekali na to, co powie.

– W-wiecie – odezwał się w końcu. – T-t-to brzmi n-naprawdę c-c-ciekawie.

Beverly westchnęła, a Stan zmienił nieznacznie pozycję… i to było wszystko.

– N-n-naprawdę ciekawie – powtórzył Bill, patrząc na swoje dłonie i może sprawił to tylko słaby promień z trzymanej przez Bena latarki albo jego wyobraźnia, ale wydawało mu się, że Bill nagle pobladł i wyglądał na odrobinę zalęknionego, chociaż przez cały czas się uśmiechał. – M-może p-potrzebujemy w-w-wizji, aby p-p-powiedziała nam, c-c-co robić, by r-r-rozwiązać nasz p-p-p-problem.

Jeżeli ktokolwiek z nas będzie miał wizję, pomyślał Richie, to właśnie Bill.

Pomylił się.

– Cóż – wtrącił Ben. – Może to działało tylko na Indian; kto wie, czy nam się uda.

– Tak. Najprawdopodobniej siedząc w tym dymie, wszyscy potracimy przytomność i podusimy się – rzekł posępnie Stan. – I wtedy rzeczywiście uda nam się to znakomicie.

– Nie chcesz tego robić, Stan? – spytał Eddie.

– I tak, i nie. – Westchnął. – Wiecie, myślę, że czasami robicie ze mnie wariata. – Spojrzał na Billa. – Kiedy?

– A c-co byście p-p-powiedzieli, gdybyśmy zrobili t-t-to zaraz, t-t-teraz? – odparł Bill.

Nastała długa chwila ciszy. W końcu Richie wstał, uniósł klapę klubowego domku i wpuścił do środka mętnawozłote promienie słońca.

– Mam siekierkę – rzekł Ben, wychodząc wraz z Richiem. – Kto pomoże mi naciąć trochę zielonych gałęzi?

Wszyscy zabrali się do roboty.

3

Przygotowania zabrały im około godziny. Nacięli cztery czy pięć naręczy małych zielonych gałązek, z których Ben usunął liście i grubsze gałęzie.

– Będzie się dymiło, że ho, ho – powiedział. – Tylko nie wiem, czy uda nam się to zapalić.

Beverly i Richie zeszli na brzeg Kenduskeag i w kurtce Eddiego (jego matka zawsze kazała mu ją wkładać, nawet w upalne dni; „Może padać – mawiała pani Kaspbrak – a jeżeli włożysz kurkę, deszcz cię nie zmoczy”) znosili kamienie do klubowego domku.

– Nie możesz tego zrobić, jesteś dziewczyną – powiedział Richie do Bev. – Ben wyjaśnił, że tylko wojownicy schodzili do dymnych jam, a nie ich squaw.

Beverly zatrzymała się, patrząc na Richiego z mieszaniną rozbawienia i irytacji. Kosmyk włosów wyślizgnął się z jej końskiego ogona. Wysunęła dolną wargę i zdmuchnęła włosy z czoła.

– Mogę cię pokonać, kiedy tylko zechcę, Richie. I dobrze o tym wiesz.

– To niewaszne, panienko Scałlett! – rzekł Richie, przewracając oczami. – Jezdeś dziewczynom i zawsze niom będziesz! Ni jezdeś wojofnikiem.

– To będę wojowniczką – odparła Beverly. – A teraz, czy zaniesiemy te kamienie do naszego domku, czy mam zacząć cię nimi okładać po tej twojej zasranej łepetynie?

– Pani sie spokoi, panienko Scałlett. Ja nie mam zasłanej łepetyny! – skrzeknął Richie, a Beverly zaczęła się śmiać tak mocno, że wypuściła z rąk skrawek kurtki Eddiego i kamienie wysypały się na ziemię. Kiedy je zbierali, Bev nadal ochrzaniała Richiego, a on odpowiadał jej wszystkimi głosami, jakie znał, i podziwiał jej urodę.

Choć Richie nie mówił poważnie, kiedy twierdził, że z uwagi na jej płeć powinno się ją wykluczyć z udziału w ceremonii, Bill był niewzruszony. Stała na wprost niego, z dłońmi

opartymi na biodrach i poczerwieniałymi policzkami.

– Ani mi się śni, Wielki Billu! Albo zrobię to z wami, albo rezygnuję z członkostwa w waszym klubie!

Bill odrzekł spokojnie:

– T-t-to nie tak, B-b-beverly, i d-dobrze o tym wiesz. Ktoś m-m-musi zostać n-na górze.

– Dlaczego?

Bill chciał odpowiedzieć, ale znowu się zaciął. Spojrzał na Eddiego, oczekując jego pomocy.

– Chodzi o to, co powiedział Stan – odezwał się Eddie. – O dymie. Bill mówi, że to naprawdę może się stać, możemy potracić przytomność w dole. A potem umrzeć. Bill mówi, że wielu ludzi ginie w ten sposób w czasie pożarów. Nie umierają wskutek spalenia, tylko duszą się dymem. Oni…

Teraz Bev zwróciła się do Eddiego:

– No dobra. On chce, żeby ktoś został na górze na wypadek jakichś kłopotów?

Eddie ponuro pokiwał głową.

– A czemu to nie ty miałbyś zostać? Masz przecież astmę.

Eddie nie odpowiedział. Ponownie odwróciła się do Billa. Inni stanęli obok nich z rękoma

w kieszeniach i wzrokiem wbitym w czubki butów.

– To dlatego, że jestem dziewczyną, tak? O to chodzi?

– B-b-b-b…

– Nie musisz mówić – ucięła. – Po prostu pokiwaj głową albo potrząśnij przecząco. Twoja głowa się nie zacina, no nie? Czy to dlatego, że jestem dziewczyną?

Bill z wahaniem pokiwał głową. Patrzyła na niego przez chwilę, jej usta drżały i Richie sądził, że Bev zaraz się rozpłacze, ale wybuchnęła:

– Jeśli tak, to ja cię pieprzę! – Okręciła się na pięcie, by popatrzeć na pozostałych, lecz oni odwrócili głowy przed jej palącym niczym radioaktywny promień spojrzeniem. – Jeżeli tak uważacie, to pieprzę was wszystkich! – Ponownie odwróciła się do Billa i zaczęła mówić szybko, zasypując go gradem słów: – To nie jest jakaś cholerna głupia gra, jak w policjantów i złodziei, ciuciubabkę czy chowanego, i wiesz o tym, Bill. Mamy to zrobić. To część tego. I nie zabronisz mi wziąć w tym udziału dlatego, że jestem dziewczyną. Rozumiesz? Lepiej, żebyś zrozumiał, bo jak nie, to odchodzę. Nie żartuję. Jak odejdę, to na dobre. Już nie wrócę. Jasne?

Umilkła. Bill patrzył na nią. Wyglądało na to, że odzyskał wewnętrzny spokój, ale Richie był nadal zaniepokojony. Czuł, że jeżeli mieli jakąkolwiek szansę na zwycięstwo, znalezienie sposobów na pokonanie istoty, która zabiła George'a Denbrough i inne dzieciaki, dotarcie do niej i zabicie jej, to teraz wszystko zawisło na włosku.

Siódemka, pomyślał Richie, to magiczna liczba. Musi być nas siedmioro. Tak właśnie powinno być.

Gdzieś zaśpiewał ptak, ucichł i zaczął śpiewać ponownie.

– W p-p-porządku – odparł Bill, a Richie odetchnął z ulgą. – A-a-ale ktoś m-m-musi zostać na g-g-górze. K-kto chce t-t-to zrobić?

Richie pomyślał, że zgłoszą się do tego Eddie albo Stan, ale Eddie się nie odezwał. Stan stał pobladły, zamyślony i milczący. Mike założył kciuk za pas jak Steve McQueen w *Poszukiwanym żywym lub martwym* i tylko jego oczy poruszały się to w jedną, to w drugą stronę.

– N-n-no, dalej – ponaglił ich Bill i Richie zdał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane; zrozumiał to po pełnej energii przemowie Bev i dostrzegł to w posępnej, zamyślonej, jakby nieco postarzałej twarzy Billa.

To była część tego, być może równie niebezpieczna jak wyprawa, którą podjął wraz z Billem do domu przy Neibolt Street 29. Wiedzieli o tym… i żadne z nich się nie wycofało. Nagle poczuł się bardzo dumny – z nich i tego, że mógł być z nimi. Po tylu latach, kiedy czuł się odrzucany, miał nareszcie prawdziwych przyjaciół. Nareszcie. Nie wiedział, czy nadal byli Frajerami, ale wiedział, że byli razem. Byli przyjaciółmi. Cholernie dobrymi przyjaciółmi. Richie zdjął okulary i z werwą przetarł je koszulą.

– Wiem, co zrobić – powiedziała Bev i wyjęła z kamieni pudełko zapałek. Na wieczku widniały zdjęcia kandydatek do tegorocznego tytułu miss Rheingold, tak małe, że potrzeba by szkła powiększającego, aby móc się im przyjrzeć. Beverly zapaliła jedną zapałkę i zaraz ją zgasiła. Wzięła sześć następnych zapałek i dodała tę zużytą. Odwróciła się do chłopców plecami, a kiedy znów znalazła się twarzą do nich, z jej zaciśniętej pięści wystawało siedem końcówek zapałek.

– Wybieraj – powiedziała, podsuwając dłoń do Billa. – Kto wybierze tę ze spaloną główką, zostaje tutaj i pilnuje, żeby pozostałym nic się nie przytrafiło.

Bill zmierzył ją wzrokiem.

– T-t-tak chcesz t-to zrobić, B-B-Beverly?

Uśmiechnęła się do niego i ten uśmiech rozpromienił jej oblicze.

– Tak, głupku, właśnie tak. No i co?

– K-k-kocham cię, B-b-beverly – powiedział i jego policzki poczerwieniały, ale on nie zdawał sobie z tego sprawy. Przez chwilę przyglądał się końcówkom zapałek i w końcu wybrał jedną na chybił trafił. Główka była niebieska i niewypalona. Bev podsunęła dłoń w stronę Bena. Pozostało jeszcze sześć zapałek.

– Ja też cię kocham – rzekł ochrypłym tonem Ben. Jego oblicze miało barwę oliwki. Wyglądało, jakby Ben lada moment miał dostać zawału. Jednak nikt się nie roześmiał. Gdzieś, nieco głębiej w Barrens, ponownie rozśpiewał się ptak.

Stan wiedziałby, co to za ptak, pomyślał mimochodem Richie.

– Dziękuję – powiedziała, uśmiechając się, a Ben wybrał zapałkę. Była nietknięta. Niebieska.

Potem podsunęła dłoń Eddiemu. Eddie uśmiechnął się nieśmiało. To był słodki, szczery, chwytający za serce uśmiech.

– Ja chyba też cię kocham, Bev – wyznał, a potem nie patrząc, wybrał zapałkę. Niebieska.

Beverly wysunęła dłoń z czterema zapałkami w kierunku Richiego.

– Ach, kocham paniom, panienko Scałlett! – wykrzyknął Richie na całe gardło i zaczął cmokać głośno, z wyraźną przesadą. Beverly tylko na niego spojrzała, uśmiechnęła się pod nosem, a Richie poczuł się zawstydzony. – Kocham cię, Bev – oznajmił i dotknął jej włosów. – Jesteś ekstra.

– Dziękuję.

Wybrał zapałkę i spojrzał na nią, pewny, że wyjął tę spaloną. Omylił się. Przesunęła dłoń w stronę Stana.

– Kocham cię – rzekł Stan i wyjął zapałkę z jej dłoni. Nie była spalona.

– Ty i ja, Mike – powiedziała. – Zostały tylko dwie zapałki.

Postąpił do przodu.

– Nie znam cię zbyt dobrze, by móc cię kochać – rzekł – ale i tak cię kocham. Wydaje mi się, że mogłabyś dawać mojej matce lekcje krzyków.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Mike wyjął dla siebie zapałkę. Ta główka również była niebieska.

– W-w-wygląda na to, że t-t-to jednak t-ty, B-b-bev – rzekł Bill.

Wyraźnie zdegustowana, że cały jej wybuch poszedł na marne, Beverly otworzyła dłoń. Główka ostatniej zapałki również była niebieska i nietknięta.

– P-p-podmieniłaś ją – rzucił oskarżająco Bill.

– Nie. Skąd. Nie zrobiłam tego – odparła, a w jej głosie nie było śladu gniewu i protestu, że ktoś mógł podejrzewać ją o coś takiego, a jedynie szczere zdziwienie. – Przysięgam na Boga, że tego nie zrobiłam.

Pokazała im otwartą dłoń – wszyscy zobaczyli na niej słabe, ale wyraźne ślady sadzy od główki spalonej zapałki.

– Bill, przysięgam na imię mojej matki!

Bill przyglądał się jej przez chwilę, po czym pokiwał głową. Zgodnie z jakąś niewypowiedzianą umową wszyscy oddali zapałki Billowi. Siedem zapałek o nietkniętych główkach. Stan i Eddie, poruszając się na czworakach, zaczęli szukać spalonej zapałki, ale na ziemi jej nie było.

– Nie zrobiłam tego – powtórzyła Bev, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– I co teraz? – zapytał Richie.

– Z-z-zejdziemy w-wszyscy na dół – odrzekł Bill. – B-bo tak właśnie mamy zrobić.

– A jeżeli wszyscy się potrujemy? – spytał Eddie.

Bill ponownie spojrzał na Beverly.

– J-j-jeśli B-b-beverly mówi p-p-prawdę, a chyba t-t-tak, to się nie p-p-potrujemy.

– Skąd wiesz? – rzucił Stan.

– P-p-po prostu w-wiem.

Ponownie rozległ się śpiew ptaka.

4

Ben i Richie zeszli na dół pierwsi, a pozostali wręczali im kamienie, jeden po drugim. Richie podawał je Benowi, który ułożył z nich pośrodku klubowego domku niewielki krąg.

– W porządku – powiedział. – Wystarczy.

Pozostali zeszli na dół – każdy z naręczem zielonych gałązek ściętych siekierką Bena. Bill zjawił się na dole ostatni. Zamknął klapę i otworzył wąskie, zamocowane na zawiasach okienko.

– J-j-już. O-o-oto n-n-nasz d-dymny otwór. M-mamy coś n-na p-p-podpałkę?

– Jeśli chcesz, możesz użyć tego – rzekł Mike, wyjmując z kieszeni spodni pognieciony, stary komiks „Archie”. – Już to czytałem.

Bill wyrywał jedną po drugiej kartki z komiksu, pracując powoli i z powagą. Inni

siedzieli pod ścianami, kolano przy kolanie, ramię przy ramieniu, obserwując i nie odzywając się słowem. Napięcie rosło.

Bill ułożył na papierze mały stosik zielonych gałązek, a potem spojrzał na Beverly.

– T-t-ty masz z-zapałki.

Zapaliła jedną – mały żółty płomyk rozjarzył się w półmroku.

– Wilgotne, nie wiem, czy w ogóle się rozpali – powiedziała z lekka drżącym głosem i przytknęła zapałkę do papieru w kilku miejscach. Kiedy płomień zapałki zbliżył się do jej palców, rzuciła ją na ognisko. Płomień buchnął w górę, trzaskając głośno, na twarzach siedzących wokół ogniska dzieciaków pojawił się wyraz ulgi, i właśnie w tej chwili Richie bez trudu uwierzył w indiańską opowieść Bena. Doszedł do wniosku, że tak właśnie musiało być w dawnych czasach, kiedy dla Indian biały był postacią na wpół mityczną, a dzielni wojownicy ścigali stada bizonów tak liczne, że pokrywały ziemię od horyzontu po horyzont; kiedy pędziły przed siebie, grunt drżał pod nogami jak podczas trzęsienia ziemi.

W tym momencie Richie wyobrażał sobie tych Indian – Kiowa, Paunisów czy wojowników z jakiegoś innego plemienia – siedzących na dnie

dymnej jamy, kolano przy kolanie, ramię przy ramieniu, patrzących, jak żółtawe, głodne płomienie wgryzają się w zielone gałęzie niczym olbrzymie zęby, nasłuchujących słabego, lecz regularnego syczenia soków wyciekających z wilgotnego drewna i czekających na pojawienie się wizji.

Tak. Siedząc tu, mógł uwierzyć w to wszystko… a mając przed oczyma ich skupione twarze, wpatrzone w płomienie zwęglające stronice komiksu Mike'a, zdawał sobie sprawę, że oni również w to uwierzyli.

Gałęzie się zajęły. Wnętrze klubowego domku powoli zapełniało się dymem. Przez dymny otwór w klapie zaczęły wypływać na zewnątrz białe kłęby, przypominające sygnały w sobotnich wieczornych seansach filmowych z Randolphem Scottem czy Audiem Murphym. Ponieważ prawie nie było wiatru, a co za tym idzie ruchu powietrza, większość dymu została wewnątrz dołu. Jego kwaśne ukąszenia powodowały pieczenie oczu i drapanie w gardle. Richie słyszał, jak Eddie kaszlnął dwa razy – suchy dźwięk przypominający odgłos uderzających o siebie dwóch desek – a potem znów zapadła cisza.

Nie powinien być tu na dole, pomyślał… ale jednocześnie coś kazało mu myśleć na odwrót. Czuł, że wszystko jest w porządku. Dokładnie tak, jak być powinno.

Bill dołożył do ognia nową porcję zielonych gałązek i cicho, zmienionym głosem, zapytał:

– Czy ktoś z w-was ma jakieś wi-wi-wizje?

– Mam wizję, aby się stąd wynieść – odrzekł Stan Uris. Beverly, słysząc to, roześmiała się, ale jej śmiech przemienił się w serię chrząknięć i pokasływań.

Richie oparł się głową o ścianę i uniósł wzrok, wpatrując się w dymny otwór – cienki prostokąt mdławobiałego światła. Pomyślał o posągu Paula Bunyana, owego marcowego dnia… ale to było tylko złudzenie, halucynacja… wizja.

– Mam już dość tego dymu – rzekł Ben. – Bueee!

– To wyjdź – mruknął Richie, nie odrywając wzroku od dymnego otworu. Miał wrażenie, że może do tego przywyknąć. Czuł się tak, jakby stracił dziesięć funtów. I niech to szlag, był pewny, że wnętrze klubowego domku zrobiło się większe. Mógł się o to założyć. Siedział, mając lewą nogę przygniecioną prawą nogą Bena Hanscoma, a lewy łokieć Billa Denbrough boleśnie wpijający się w swoje prawe ramię.

Teraz nie czuł dotyku ich ciał. Spojrzał leniwie w prawo i w lewo, aby potwierdzić swoje przypuszczenia, i okazało się, że miał rację. Ben znajdował się o dobrą stopę po jego lewej stronie. Bill siedział jeszcze dalej.

– To miejsce jest większe, moi drodzy – powiedział. Wziął głęboki oddech i kaszlnął mocno. Czuł głęboki ból w piersiach, jak to czasami bywa, kiedy masz ciężką grypę, anginę czy coś w tym rodzaju.

Przez chwilę odniósł wrażenie, że to w ogóle mu nie przejdzie – będzie kaszlał bez końca i będą musieli go wyciągnąć na zewnątrz. Jeżeli dadzą radę, pomyślał, ale myśl była zbyt mętna, by mogła go przerazić. A wtedy Bill uderzył go parę razy dłonią w plecy i Richie przestał kaszleć.

– Nawet nie wiesz, że nie zawsze to robisz – rzekł Richie. Zamiast na Billa patrzył na dymny otwór. Jakże wydawał się jasny! Kiedy zamknął oczy, nadal widział przed sobą unoszący się w powietrzu prostokąt, tyle że nie biały, lecz jasnozielony.

– C-c-co miałeś na m-m-myśli? – spytał Bill.

– Jąkanie. – Przerwał, uświadomiwszy sobie, że ktoś jeszcze kaszlał, ale nie wiedział kto. – To ty powinieneś przemawiać głosami, a nie ja, Wielki Billu. Ty…

Kaszel się nasilił. Nagle wnętrze klubowego domku zalała fala słonecznego światła tak nagła i jaskrawa, że Richie musiał zmrużyć powieki. Z trudem dostrzegł Stana Urisa wspinającego się na górę i opuszczającego wnętrze dołu.

– Przepraszam – wykrztusił Stan pośród spazmatycznego kaszlu. – Przykro mi, ale nie mogę…

– Nie ma sprawy. – Richie usłyszał swój głos. Miał wrażenie, jakby jego głos dochodził z jakiegoś innego ciała.

Klapa zatrzasnęła się chwilę później, ale do środka zdążyło napłynąć dostatecznie dużo świeżego powietrza, aby przejaśniło mu się w głowie. Zanim Ben przesunął się nieznacznie, by zająć miejsce zwolnione przez Stana, Richie przez chwilę czuł na swoim udzie dotyk nogi Bena. Skąd mu przyszło do głowy, że wnętrze klubowego domku zrobiło się większe?

Mike Hanlon wrzucił trochę nowych gałązek do buchającego ogniska. Oddech Richiego znowu stał się płytki i nieco przyspieszony, a jego wzrok powrócił do prostokąta dymnego otworu. Zatracił poczucie czasu, ale czuł, że pomimo dymu wewnątrz klubowego domku zrobiło się przyjemnie i gorąco. Rozejrzał się wokoło, by spojrzeć na swoich przyjaciół. Trudno ich było

dostrzec, na wpół pożartych przez gęsty dym i promienie białego, letniego światła. Beverly miała głowę odchyloną mocno do tyłu, opartą o ścianę z desek – dłonie trzymała na kolanach, a spod jej przymkniętych powiek spływały strużki łez, ściekając w stronę uszu. Bill siedział ze skrzyżowanymi nogami, opierając brodę na piersi. Ben… Nagle Ben podniósł się i gwałtownym ruchem uniósł klapę.

– Ben wychodzi – rzekł Mike. Siedział po indiańsku naprzeciwko Richiego, a jego oczy były czerwone jak ślepia łasicy.

Ponownie omiotła ich fala względnie chłodnego powietrza. Kłęby dymu wypłynęły na zewnątrz. Ben kaszlał i krztusił się. Prawie wymiotował. Z pomocą Stana wydostał się na zewnątrz, ale zanim którykolwiek z nich zdążył zatrzasnąć klapę, Eddie podniósł się chwiejnie; jego twarz była blada, jeśli nie liczyć pokaźnych sińców pod oczami, sięgających nieco poniżej kości policzkowych. Jego chuda klatka piersiowa unosiła się i opadała szybkimi, płytkimi spazmami. Bezsilnie sięgnął dłońmi w stronę krawędzi dołu i gdyby Ben nie złapał go za jedną, a Stan za drugą rękę, prawdopodobnie by upadł.

– Przepraszam – bąknął Eddie ochrypłym szeptem, a chwilę potem już go nie było w dole.

Klapa ponownie opadła z głuchym trzaskiem. Nastała długa, spokojna przerwa. Wewnątrz klubowego domku nazbierało się tyle dymu, że wyglądał jak mgła.

Gęsta jak mleko, Watsonie, pomyślał Richie i przez chwilę miał wrażenie, że jest Sherlockiem Holmesem (Holmesem, który wyglądał jak Basil Rathbone i był całkowicie czarno-biały) idącym wolno, z rozmysłem, wzdłuż Baker Street; gdzieś w pobliżu czaił się Moriarty, opodal czekała dwukółka – śmiertelna gra właśnie się rozpoczęła.

Ta myśl była niesłychanie przejrzysta – i zadziwiająco solidna. Nie przypominała zwyczajnych, codziennych wyobrażeń czy marzeń (i home run, proszę państwa, co za home run, ten bieg, tak, Richie bije rekord Bebbe'a Rutha!), zupełnie jakby była czymś realnym. Mędrek, który w nim tkwił aż do tej chwili, podpowiedział mu, że jeżeli jedyną wizją, jakiej miał tu doświadczyć, było utożsamienie się z Sherlockiem Holmesem, to cała ta gadka o ważności tak zwanych widzeń była mocno przesadzona. Tyle że tam gdzieś nie czai się Moriarty, tylko To… jakieś To… To jest prawdziwe. To…

A potem klapa otwarła się ponownie i Bev z trudem wydostała się na górę. Pokasływała, przykładając dłoń do ust. Ben schwycił ją za jedną rękę, a Stan ujął ją pod ramię. Na wpół ją wyciągnęli, na wpół wygramoliła się z dołu o własnych siłach, znalazła się na górze i znikła im z oczu.

– T-t-to jest w-w-większe – rzekł Bill.

Richie rozejrzał się wokoło. Zobaczył krąg kamieni, wewnątrz którego płonęły buchające dymem zielone gałązki. Naprzeciw siebie miał Mike'a, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami niczym totem wyrzeźbiony z mahoniu, przyglądającego mu się poprzez ogień zaczerwienionymi od dymu oczyma.

Tylko że Mike siedział o dobre dwadzieścia stóp od niego, a Bill nawet jeszcze dalej, po prawej stronie. Ziemianka miała teraz rozmiary pokaźnej sali balowej.

– Nieważne – rzekł Mike. – Już niedługo. Niebawem coś się stanie.

– T-t-tak – rzekł Bill. – Ale ja… ja… ja… – Zaczął kaszleć. Starał się to opanować, ale kaszel nasilił się, przechodząc w ochrypły grzechot. Jak przez mgłę Richie zobaczył Billa podnoszącego się niemrawo, sięgającego w stronę klapy i unoszącego ją gwałtownie. – P-p-powodze…

A potem zniknął wyciągnięty przez pozostałych.

– Wygląda na to, że zostaliśmy tylko my dwaj, Mikey – odezwał się Richie, a potem sam zaczął kaszleć. – Byłem prawie pewny, że to będzie Bill… – Richie skulił się, krztusząc się i nie mogąc zaczerpnąć tchu.

Pod czaszką czuł uporczywe walenie – krew pulsowała mu w skroniach. Jego oczy za szkłami okularów łzawiły. Z oddali dobiegł go głos Mike'a.

– Wyjdź, jeżeli musisz, Richie. Nie zemdlej tutaj. Nie daj się zabić.

Uniósł dłoń w stronę Mike'a uspokajającym gestem. Nie ma problemu. Z wolna zaczął go opanowywać dręczący kaszel. Mike miał rację. Już niedługo. Niebawem coś się stanie. Chciał być przy tym, kiedy to nastąpi. Odchylił głowę do tyłu i ponownie spojrzał na dymny otwór. Kaszel sprawił, że czuł się lekki, zupełnie jakby unosił się w powietrzu. To było przyjemne uczucie. Zaczerpnął parę płytkich oddechów i pomyślał: Któregoś dnia będę gwiazdą rock and rolla. Otóż to. Tak. Będę sławny. Będę nagrywał płyty i grywał w filmach. Będę miał czarne drogie ciuchy, białe buty i żółtego cadillaca. A kiedy wrócę do Derry, wszystkim gały wyjdą na

wierzch. Nawet Bowersowi. Noszę okulary, no i co z tego? Buddy Holly też je nosi. Śpiewam, bo mi smutno, i tańczę, bo jestem czarny. Będę pierwszą gwiazdą rocka z Maine. Będę…

Myśl odpłynęła. To nieistotne. Spostrzegł, że teraz nie musi już oddychać płytko jak do tej pory. Jego płuca się przystosowały. Mógł oddychać dymem tak głęboko, jak tylko miał ochotę. Może pochodził z Wenus.

Mike dorzucił kilka gałązek do ognia. Richie, nie chcąc być gorszy, zrobił to samo.

– Jak się czujesz, Rich? – spytał Mike. Richie się uśmiechnął.

– Lepiej. Prawie dobrze. A ty?

Mike skinął głową i odpowiedział uśmiechem.

– Czuję się świetnie. Miałeś jakieś zabawne myśli?

– Tak. Wydawało mi się, że byłem Sherlockiem Holmesem. Potem miałem wrażenie, że potrafię tańczyć jak Dovellsi. Masz niewiarygodnie czerwone oczy, wiesz?

– Ty też. Dwie łasice w ciemnej jamie.

– Tak?

– Tak.

– Ale wszystko w porządku?

– Tak. Wszystko w porządku. Myślisz, że będziemy mieli wizje?

– Chyba tak.

– No to dobrze.

Uśmiechnęli się do siebie, a potem Richie ponownie oparł głowę o ścianę i uniósł wzrok, wpatrując się w dymny otwór. Niebawem poczuł, że odpływa. Nie… nie odpływał. Unosił się. Płynął. Jak… (*tu na dole wszyscy pływamy*) balon.

– N-n-nic w-wam n-n-nie jest, chłopaki? – Głos Billa wpływał do środka przez dymny otwór. Napływał z Wenus. Zatroskany. Bill, pozwól nam mieć wizje, chcemy mieć (*świat*) wizje.

Klubowy domek był większy niż kiedykolwiek, część jego podłogi pokrywało polerowane drewno. Dym był gęsty jak mgła i trudno było dostrzec ogień. Ta podłoga! Jezu! Była wielka jak parkiet taneczny w jednym z musicali wytwórni MGM. Mike spoglądał nań z przeciwka, prawie niewidoczny we mgle.

Idziesz, Mikey?

Jestem tu z tobą, Mikey.

Nadal twierdzisz, że jest ci dobrze?

Tak… ale złap mnie za rękę… możesz?

Chyba tak.

Richie wyciągnął rękę i choć Mike znajdował się po przeciwnej stronie tej ogromnej sali, poczuł, jak te silne, brązowe palce zamykają się wokół jego nadgarstka. Och, to było świetne – ten

dotyk był cudowny, tak wspaniale było odnaleźć pragnienie w pocieszeniu i pocieszenie w pragnieniu, odnaleźć coś trwałego w dymie i coś ulotnego w czymś trwałym.

Odchylił głowę do tyłu i patrzył na mały, biały prostokąt dymnego otworu. Wydawał się odległy. Bardzo odległy. Wiele mil nad nimi. Wenusjański świetlik. To się zaczęło. Poczuł, że się unosi. No to jazda, pomyślał i zaczął wznosić się coraz wyżej, pośród dymu, mgły, pary, czymkolwiek to było.

5

Nie znajdowali się już w jamie. Stali obok siebie pośrodku Barrens. Zapadał zmierzch. To było Barrens, wiedział o tym, ale wszystko wyglądało tu inaczej. Listowie było gęściejsze, aromatyczne i dzikie. Rosły tu rośliny, jakich nigdy dotąd nie widział, i Richie zdał sobie nagle sprawę, że niektóre spośród domniemanych drzew były w rzeczywistości gigantycznymi paprociami. Z oddali dobiegał odgłos płynącej wody, ale dużo głośniejszy, niż powinien być – nie przypominał leniwego poszumu Kenduskeag, a raczej dźwięk towarzyszący rzece Kolorado przepływającej przez Wielki Kanion.

Było też bardzo gorąco. Owszem, w Maine bywały upalne i parne lata, kiedy to budziłeś się

nocą mokry jak szczur, ale jeszcze nigdy dotąd nie było aż tak gorąco i parno. Nisko zwieszająca się mgiełka, gęsta i lepka, wypełniała zagłębienia w ziemi i owijała się wokół nóg chłopców. Miała kwaśną woń jak palone zielone gałązki.

Richie i Mike zaczęli iść przyciągani odgłosem płynącej wody. Nie odzywając się do siebie, ruszyli poprzez gąszcz. Grube włókniste liany rozwieszone pomiędzy drzewami przypominały pajęcze sieci, a w którymś momencie Richie usłyszał szelest w pobliskich chaszczach. Stworzenie, które go spowodowało, musiało być dużo większe od jelenia. Zatrzymał się na dłuższą chwilę, aby się rozejrzeć, i zatoczył krąg, spoglądając na linię horyzontu. Wiedział, gdzie powinien się znajdować gruby biały cylinder stacji pomp, ale tam go nie było. Podobnie jak szyn biegnących w stronę krzyżówki na torowisku przy końcu Neibolt Street ani Old Cape ze swymi tanimi domkami; ich miejsce zajmowały wyłaniające się spośród olbrzymich paproci i sosen niskie skałki i czerwone bryły piaskowca.

Nad nimi dał się słyszeć głośny trzepot skrzydeł. Chłopcy pochylili się, gdy nad ich głowami przeleciało stado nietoperzy. Były to największe nietoperze, jakie Richie widział

w życiu, i przez chwilę był jeszcze bardziej przerażony niż w momencie, gdy Bill starał się rozpędzić Silvera, a za nimi słychać było tupot kroków zbliżającego się wilkołaka. Panująca tu cisza i obcość budziły przerażenie, ale gorzej, że to miejsce wyglądało tak potwornie znajomo.

Nie musisz się bać, powiedział do siebie w myślach. Pamiętaj, że to tylko sen, wizja czy jak to tam zwą. Ja i dobry stary Mikey siedzimy w klubowym domku i wąchamy dym z ogniska. Niedługo Wielki Bill zacznie się denerwować, że nie odpowiadamy na jego wołanie, i wyciągnie nas stąd. To – tak jak mówi Conway Twitty – tylko udawanie. Ale widział wyraźnie, że jedno ze skrzydeł nietoperza było postrzępione i przeświytywało przez nie słońce, a kiedy przechodzili pod olbrzymią paprocią, zauważył ogromną żółtą gąsienicę prześlizgującą się po szerokim zielonym liściu, która zostawiała za sobą szarawy cień. Na ciele gąsienicy baraszkowały czarne, drobniutkie młode. Jeżeli to był sen, to doprawdy diabelnie realistyczny. Jeszcze nigdy nie miał równie wyrazistego snu.

Szli za odgłosem płynącej wody, brodząc po kolana we mgle, Richie nie wiedział, czy jego stopy dotykają ziemi, czy nie. Chłopiec spojrzał z niedowierzaniem. To nie był Kenduskeag –

a mimo to był. Strumień zmienił się w białą oszalałą kipiel, przepływając pomiędzy stromymi, kamienistymi brzegami. Kiedy spoglądało się na drugą stronę rzeki, można było dostrzec ślady minionych epok, widoczne w ścianach skalnych warstwy – czerwonych, pomarańczowych i ponownie czerwonych. Przez ten strumień nie dałoby się przejść po ułożonych w jego nurcie kamieniach – potrzebowałbyś do tego wiszącego mostu, a gdybyś wpadł do wody, prąd od razu by cię zmył. Rzeka ryczała wściekle. Nagle na oczach Richiego z wody wyskoczyła zgrabnym szerokim łukiem wielka różowosrebrna ryba, kłapnęła szczękami, próbując pochwycić którąś z muszek krążących nad powierzchnią strumienia, i zaraz znów zniknęła w głębinie. Richie, który patrzył na to z rozdziawionymi ustami, zdał sobie sprawę, że nigdy dotąd nie widział takiej ryby, w żadnej z książek. Po niebie przeleciała chmara skrzeczących ochryple ptaków. Nie tuzin czy dwa; przez chwilę całe niebo było od nich czarne; stada ptaków przesłoniły słońce. Coś z trzaskiem przedarło się przez gąszcz; kolejne stworzenie. Chłopiec obrócił się na pięcie – serce waliło mu w piersiach jak oszalałe – i zobaczył

kątem oka zwierzę przypominające antylopę, które kierowało się na południowy wschód.

Coś się stanie. I one o tym wiedzą.

Ptaki odleciały, prawdopodobnie zmierzając *en masse* gdzieś dalej, na południe. Jeszcze jedno zwierzę przemknęło obok nich… i następne. Potem nastała cisza, przerywana tylko odgłosem rwącego nurtu Kenduskeag. Ciszy tej towarzyszyła aura wyczekiwania, jak przed narodzinami czegoś nieznanego – i Richiemu wcale się to nie podobało. Poczuł, że włosy zaczynają jeżyć mu się na karku, i ponownie wyciągnął dłoń po rękę Mike'a.

– Wiesz, gdzie jesteśmy?! – wrzasnął do Mike'a. – Masz wizję?

– Jezu, tak! – odkrzyknął Mike. – Mam! To przeszłość, Richie! Przeszłość!

Richie skinął głową. Przeszłość, odległe czasy, kiedy wszyscy ludzie żyjący na ziemi mieszkali w lasach. Znajdowali się w Barrens takim, jakie było przed Bóg wie iloma tysiącami lat. Znajdowali się w jakiejś niewyobrażalnej przeszłości przed erą lodowcową, kiedy w Nowej Anglii panowały warunki tropikalne, tak jak obecnie na terytorium Ameryki Południowej – jeżeli teraz można było jeszcze operować terminem „obecnie".

Ponownie rozejrzał się nerwowo, jakby oczekiwał, że lada moment ponad drzewami pojawi się osadzony na długiej szyi łeb brontozaura, trzymającego w pysku pęk ociekających wodą i błotem wyrwanych z korzeniami roślin, albo z krzaków wyłoni się wielki, groźny tygrys szablastozębny. Ale wokół niezmiennie panowała cisza jak przed burzą, na pięć, sześć minut przed uderzeniem pierwszego gromu, kiedy niebo pokrywa się czarnymi chmurami, światło nabiera dziwnego, fioletowożółtego odcienia, wiatr cichnie, a w powietrzu czuć woń przypominającą odór przeładowanego akumulatora samochodowego.

Jesteśmy w przeszłości, jakieś milion lat wstecz, a może dziesięć albo nawet osiemdziesiąt milionów lat, ale jesteśmy tu, niebawem coś się stanie, nie wiem co, ale coś na pewno, boję się. Nie chcę czekać do końca, chcę wrócić, Bill, proszę, Bill, wyciągnij nas. Zupełnie jakbyśmy byli wewnątrz tej fotografii, proszę, proszę, wyciągnij nas stąd, pomóż nam…

Dłoń Mike’a zacisnęła się na jego ręce i nagle zdał sobie sprawę, że cisza została zakłócona. Słychać było cichą wibrację. W sumie bardziej ją było czuć, niż słychać – ten dźwięk docierał do czułego miejsca jego bębenków, pobudzając je.

To narastało regularnie i niezmiennie. Nie było jakimś konkretnym dźwiękiem – po prostu było jak tak („na początku było Słowo i Słowo było…”) niemelodyjnym, bezdusznym odgłosem.

Sięgnął ręką w stronę pobliskiego drzewa i gdy go dotknął, zacisnąwszy palce na wygięciu pnia, poczuł uwięzioną wewnątrz wibrację. W tej samej chwili uświadomił sobie, że czuł to również w stopach – delikatne mrowienie sięgające ku górze, przez kostki, łydki, aż do kolan, zmieniające jego ścięgna w kamertony. To narastało. I narastało.

To przybyło z nieba. Richie uniósł twarz ku górze, choć wcale tego nie chciał, ale nic nie mógł na to poradzić. Słońce było ognistą monetą, wypalającą otwór pośród nisko zwieszających się chmur, okoloną czarodziejską otoczką wilgoci. Poniżej rozciągał się tryskający bujną zielenią spokojny i cichy zakątek Barrens. Richie zrozumiał, czym była ta wizja – mieli być świadkami przybycia Tego.

Wibracja przybrała na sile – ryk narastał do ogłuszającego crescendo. Przyłożył obie dłonie do uszu i krzyknął przejmująco, ale nie słyszał własnego głosu. Obok niego Mike Hanlon robił to samo, przy czym Richie zauważył, że Mike nieznacznie krwawił z nosa.

Chmury na zachodzie rozjaśniły pąki czerwonych płomieni. To sunęło w ich stronę, rozszerzając się ze strużki w strumień, a następnie rzekę złowieszczych barw. Potem, kiedy płonący spadający obiekt przebił się przez zasłonę chmur, pojawił się wiatr. Był gorący i niszczący, cuchnący i duszący. Obiekt na niebie miał iście gigantyczne rozmiary i przypominał wielką płonącą zapałkę – tak jaskrawą, że nie sposób było na nią patrzeć. Tryskały zeń niebieskie pioruny, którym towarzyszyły potężne odgłosy wyładowań.

– Statek kosmiczny! – krzyknął Richie, padając na kolana i zakrywając oczy. – Mój Boże, to statek kosmiczny!

Najlepiej jak potrafi, wyjaśni później pozostałym, że to nie był statek kosmiczny, choć mógł przemierzyć kosmos, aby tutaj dotrzeć. Cokolwiek spadło na ziemię tamtego dnia w zamierzchłej przeszłości, pochodziło z o wiele odleglejszego miejsca aniżeli jakaś inna gwiazda czy inna galaktyka – i jeżeli statek kosmiczny był pierwszym określeniem, jakie przyszło mu wówczas na myśl, to tylko dlatego, że nie potrafił znaleźć żadnego innego na obraz, jaki rejestrowały jego oczy. Potem nastąpiła eksplozja – potężny ryk, a po nim fala uderzeniowa tak

silna, że zbiła ich obu z nóg. Tym razem to Mike sięgnął po dłoń Richiego. Jeszcze jedna eksplozja. Richie otworzył oczy i zobaczył bijący w niebo słup dymu i płomieni.

– To! – krzyknął do Mike'a ogarnięty śmiertelnym przerażeniem. Nigdy w życiu przedtem ani potem żadne uczucie nie wydawało mu się równie głębokie i wszechogarniające. – To! To! To!

Mike pomógł mu się podnieść i ruszyli pędem wzdłuż brzegu młodego wówczas Kenduskeag, nie zważając na to, jak blisko zbocza się znajdowali. W którymś momencie Mike potknął się i poszorował kolanami po ziemi. Potem upadł Richie, zdzierając sobie skórę na goleni i rozrywając spodnie. Wiatr się wzmógł i wraz z jego podmuchem do ich nozdrzy dotarł odór palącego się lasu. Dym stał się gęsty, a Richie miał świadomość, że on i Mike nie uciekali samotnie. Zwierzęta przebiegały wokół nich, starając się umknąć przed rozszalałym żywiołem, duszącymi oparami dymu i niechybną śmiercią w płomieniach. A może również starały się uciec przed Tym. Przed nowym przybyszem, który zawitał do ich świata.

Richie zaczął kaszleć. Słyszał, że Mike obok niego również się krztusi. Dym był coraz gęstszy,

barwy dnia – zielenie, szarości i czerwienie – rozpływały się w jego oparach.

Mike ponownie upadł i Richie stracił z nim kontakt. Sięgnął po jego rękę, ale nie mógł jej odnaleźć.

– Mike! – krzyknął ogarnięty paniką i szaleńczym kaszlem. – Mike! Gdzie jesteś, Mike!? Mike!

Ale Mike zniknął. Nigdzie go nie było.

– Richie, Richie! Wszystko…

6

…w porządku?

Otworzył oczy i zobaczył klęczącą obok niego Beverly, przecierającą mu usta chusteczką. Inni – Bill, Eddie, Stan i Ben stali tuż za nią z posępnymi, przerażonymi minami. Bok twarzy Richiego piekł jak wszyscy diabli. Próbował powiedzieć coś do Beverly, ale jego głos brzmiał jak skrzek. Chrząknął i o mało nie zwymiotował. Miał wrażenie, jakby jego krtań i płuca wypełniał dym.

– Uderzyłaś mnie w twarz, Beverly – wykrztusił wreszcie.

– To jedyne, co mi przyszło do głowy.

– Świetnie – wymamrotał Richie.

– Bałam się o ciebie, to wszystko – powiedziała Beverly i nagle wybuchnęła płaczem. Richie poklepał ją niezdarnie po ramieniu, a Bill położył jej rękę na karku. Odwróciła się natychmiast, schwyciła go za rękę i ścisnęła ją mocno.

Richie zdołał usiąść. Świat zafalował mu przed oczami. Kiedy troszkę doszedł do siebie, zobaczył Mike'a opierającego się o pobliskie drzewo. Jego twarz była szara jak popiół.

– Rzygałem? – spytał Richie, zwracając się do Bev. Skinęła głową, przez cały czas płacząc.

Ochrypłym, łamiącym się głosem irlandzkiego gliniarza zapytał:

– Zachlapałem ciem może, kochanie?

Bev roześmiała się przez łzy i pokręciła głową.

– Odwróciłam cię na bok. Bałam się… b-b-bałam się, że się t-t-tym u-u-udławisz. – Znowu zaczęła płakać.

– T-t-to nie f-f-fair – rzekł Bill, trzymając ją za rękę. – T-t-to ja się j-jąkam w tym t-t-towarzystwie.

– Nieźle, Wielki Billu – rzekł Richie. Świat wciąż wirował. Richie zaczął kaszleć i odwrócił głowę na moment przed tym, jak zorientował się, że mdłości podchodzą mu do gardła. Zwymiotował strumieniem zielonej flegmy

i gęstej śliny, rozciągającej się w długie lepkie pasma. Zamknął oczy i wychrypiał: – Czy ktoś ma ochotę na małą przekąskę?

– O, gówno! – wykrzyknął zdegustowany Ben, jednocześnie chichocząc pod nosem.

– Mnie to bardziej przypomina rzygi – odparł Richie, choć nadal miał zamknięte oczy. – Gówno zwykle wychodzi drugim końcem, przynajmniej u mnie. Nie wiem, jak tam z tobą, Haystack.

Kiedy w końcu otworzył oczy, zobaczył odległy o dwadzieścia jardów klubowy domek. Zarówno okienko, jak i klapa były podniesione. Dym, teraz już dużo rzadszy, wypływał przez oba otwory. Tym razem Richie zdołał się podnieść. Przez chwilę miał wrażenie, że znowu zwymiotuje albo zemdleje – a może nawet jedno i drugie.

– Świetnie – mruknął, patrząc, jak świat faluje i marszczy się przed jego oczyma. Kiedy to uczucie minęło, Richie podszedł do Mike’a. Oczy Mike’a były nadal zaczerwienione, a po wilgotnych plamach na mankietach spodni Richie domyślił się, że Mike najprawdopodobniej przeżył jeszcze dodatkową podróż „żołądkową”.

– Jak na białego chłopaka, spisałeś się całkiem nieźle – wymamrotał Mike i lekko stuknął Richiego w ramię. Richiemu, co u niego było

rzadkością, zabrakło słów. Bill podszedł do nich. Tuż za nim pozostali.

– Ty nas wyciągnąłeś? – zapytał Richie.

– J-ja i B-b-ben. K-krzyczeliście. O-o-obaj. Ale… – Spojrzał na Bena.

– To na pewno przez ten dym, Bill – powiedział Ben. W jego głosie jednak wyraźnie brakowało przekonania.

– Czy myślicie o tym, o czym wydaje mi się, że myślicie? – odezwał się cicho Richie.

Bill wzruszył ramionami.

– O czym, R-R-Richie?

– W pierwszej chwili nie było nas tam, tak? – odpowiedział Mike. – Zeszliście na dół, bo usłyszeliście nasze krzyki, ale w pierwszej chwili nie było nas w dole.

– Tam była naprawdę masa dymu – rzekł Ben. – Już samo słuchanie waszych wrzasków przyprawiało o gęsią skórkę. Ale te krzyki… wydawały się… hmm…

– B-b-bardzo odległe… J-jakby d-d-dobiegały z d-d-daleka – dokończył Bill.

Okropnie się jąkając, opowiedział im, że gdy wraz z Benem zeszli na dół, nie mogli odnaleźć Richiego ani Mike’a. Przerażeni, spanikowani, przemierzali tam i z powrotem zadymione wnętrze klubowego domku, obawiając się, że

jeżeli nie będą działać dostatecznie szybko, obaj chłopcy mogą umrzeć wskutek zatrucia dymem. W końcu Bill schwycił dłoń – dłoń Richiego. Szarpnął z całej siły i Richie, na wpół przytomny, wyłonił się z mroku i oparów dymu. Kiedy Bill się odwrócił, zobaczył Bena obejmującego oburącz Mike'a – obaj okropnie kasłali. Ben podsadził Mike'a i pomógł mu wydostać się na zewnątrz.

Ben słuchał tego wszystkiego, kiwając głową.

– Po prostu sięgałem ręką, wiecie? Nie robiłem nic więcej prócz tego, że wyciągałem rękę, jak na przywitanie. Ty ją schwyciłeś, Mike. Świetnie się spisałeś. Myślałem, że już po tobie.

– Mówicie tak, jakby nasz klubowy domek był większy, niż jest w rzeczywistości – rzekł Richie. – Łaziliście tam i z powrotem, a przecież bok domku ma zaledwie pięć stóp długości.

Nastała chwila ciszy, podczas gdy pozostali przyglądali się zasępionemu, pogrążonemu w rozmyślaniach Billowi.

– B-b-był większy – odezwał się w końcu. – N-no nie, B-b-ben?

Ben wzruszył ramionami.

– Tak wyglądało. Chyba że to przez ten dym.

– To nie był dym – odparł Richie. – Na chwilę przed tym, jak to się stało, zanim zniknęliśmy, pamiętam, że wnętrze domku wydawało mi się

olbrzymie jak sala balowa w jakimś filmie. To znaczy w musicalu. Na przykład w *Siedmiu narzeczonych dla siedmiu braci*. Prawie nie widziałem Mike'a siedzącego pod przeciwległą ścianą.

– Zanim zniknęliście? – spytała Beverly.

– No… chodzi mi o to, że… jak…

Schwyciła Richiego za ramię.

– To się stało, prawda? To naprawdę się stało! Mieliście wizje, tak jak w książce Bena! – Jej twarz płonęła wewnętrznym blaskiem. – To się stało! Naprawdę!

Richie spojrzał najpierw na siebie, a potem na Mike'a. Mike miał sztruksy z dziurą na jednym, a Richie dżinsy z dziurą na obu kolanach. Przez postrzępione włókna widać było zdartą skórę i krew.

– Jeżeli to była wizja, to nigdy nie chcę przeżyć drugi raz czegoś takiego. Nie wiem, jak stojący tam Ważniak, ale kiedy schodziłem na dół, nie miałem dziurawych spodni. Były prawie nowe, słowo daję. Ale mi się dostanie od mamy.

– Co się stało? – spytali jednocześnie Ben i Eddie.

Richie i Mike wymienili spojrzenia.

– Bevvie, masz papierosa? – spytał Richie.

Miała dwa, owinięte w kawałek szmatki. Richie włożył jednego do ust, a kiedy mu przypaliła, już po pierwszym sztachnięciu dostał gwałtownego ataku kaszlu.

– Nie mogę – powiedział. – Przepraszam.

– To była przeszłość – rzekł Mike.

– Gówno prawda – wtrącił Richie. – Przeszłość to mało powiedziane. To była prehistoria.

– Tak. Racja. Kenduskeag płynął z prędkością mili na minutę. Był cholernie głęboki. A do tego kurewsko dziki. Przepraszam, Bevvie, ale tak właśnie było. I pływały w nim ryby, chyba pstrągi. W każdym razie tak mi się wydaje.

– M-m-mój tata m-m-mówi, że w K-k-kenduskeag już od d-d-dawna nie było żadnych r-r-ryb. Z p-p-powodu ścieków.

– To było dawno, racja – zgodził się Richie. Przyglądał im się niepewnym wzrokiem. – Myślę, że to było co najmniej milion lat temu.

Wypowiedź tę powitała iście grobowa cisza. W końcu przerwała ją Beverly:

– Ale co się stało?

Richie czuł podchodzące mu do gardła słowa, lecz nie potrafił ich stamtąd wydobyć. Zupełnie jakby znowu zwymiotował.

– Widzieliśmy przybycie Tego – wykrztusił wreszcie. – Myślę, że to było To.

– Chryste – mruknął Stan. – O Chryste!

Rozległ się głośny ryk, gdy Eddie zrobił użytek ze swego aspiratora.

– To przybyło z nieba – powiedział Mike. – Nigdy więcej nie chciałbym zobaczyć czegoś takiego. Było rozpalone do tego stopnia, że nie dało się na to patrzeć. I tryskało wyładowaniami elektrycznymi przy wtórze odgłosów przypominających grzmoty. Ten dźwięk… – potrząsnął głową i spojrzał na Richiego – brzmiał tak, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata. A kiedy uderzyło w ziemię, wznieciło pożar lasu. I to był już koniec.

– Czy to był statek kosmiczny? – zapytał Ben.

– Tak – odrzekł Richie.

– Nie – odparł Mike.

Spojrzeli na siebie.

– Cóż, myślę, że tak – powiedział Mike, ale Richie się upierał.

– Nie, tak naprawdę to nie był statek kosmiczny, bo widzicie…

Umilkli, podczas gdy pozostali przyglądali się im z zakłopotaniem.

– Ty powiedz – rzekł Richie do Mike’a. – Myślę, że chodzi nam o to samo, ale oni nic z tego nie kapują.

Mike kaszlnął w zaciśniętą dłoń, a potem, prawie przepraszająco, uniósł wzrok i spojrzał na pozostałych.

– Nie wiem, jak mam wam to wyjaśnić.

– P-p-postaraj się – rzekł ponaglającym tonem Bill.

– To przybyło z nieba – powtórzył Mike – ale to nie był właściwie statek kosmiczny. Ani meteoryt. To wyglądało bardziej jak… jak… biblijna Arka Przymierza, wewnątrz której miał się znajdować Duch Boży, tylko że to nie był Bóg. Wystarczyło, że To poczułeś, obserwowałeś przybycie Tego, a wiedziałeś, że To jest złe. Bardzo złe. – Spojrzał na nich.

Richie skinął głową.

– To przybyło z… zewnątrz. Mam takie przeczucie. Z zewnątrz.

– Spoza czego, Richie? – zapytał Eddie.

– Spoza wszystkiego. A kiedy To spadło na ziemię… wybiło w niej największą pieprzoną dziurę, jaką mógłbyś zobaczyć w życiu. To zmieniło całe olbrzymie wzgórze w coś w rodzaju ciastka z dziurką. Wylądowało dokładnie tu, gdzie dziś znajduje się śródmieście Derry. – Spojrzał na nich. – Chwytacie, o co mi chodzi?

Beverly wypuściła z ręki na wpół wypalonego papierosa i zgniotła go butem.

– To było tu od zawsze – podjął Mike – od zarania dziejów, zanim jeszcze na świecie pojawili się ludzie, chyba że może żyły już gdzieś w Afryce pierwsze nieliczne plemiona, mieszkające w lasach albo gnieżdżące się w jaskiniach. Krateru dziś już nie ma… Prawdopodobnie w okresie epoki lodowcowej dolina pogłębiła się, okoliczne tereny zmieniły swój wygląd, a krater został zasypany… ale To było tu wtedy i być może spało, a może czekało, aż lód stopnieje, a potem pojawią się ludzie. Dlatego To korzysta z kanałów i ścieków – wtrącił Richie. – Muszą być dla Tego czymś w rodzaju regularnych autostrad.

– Nie widzieliście, jak To wyglądało? – zapytał nagle Stan Uris odrobinę ochrypłym głosem.

Pokręcili przecząco głowami.

– Czy możemy pokonać To? – zadał pytanie Eddie, gdy na chwilę zapadła ponura cisza. – Czy zdołamy pokonać taką istotę?

Żadne z nich nie odpowiedziało.

ROZDZIAŁ 16
Kryzys Eddiego

1

Zanim Richie dokończył swoją opowieść, wszyscy zaczynają zgodnie kiwać głowami. Eddie również kiwa głową wraz z nimi i tak jak oni przypomina sobie, gdy wtem gwałtowny ból przeszywa jego ramię. Przeszywa? Nie. Wgryza się w nie, rozcina je, jakby ktoś usiłował przepiłować tkwiącą w nim kość za pomocą zardzewiałej piły. Krzywi się i sięga do kieszeni kurtki, wyczuwa pod palcami kształty znajdujących się tam buteleczek i w końcu wyciąga pojemniczek z excedryną. Łyka dwie tabletki i popija ginem z sokiem śliwkowym. Ramię doskwiera mu przez cały dzień. Ból to pojawia się, to znika. Z początku myśli o tym jako o zapaleniu stawów, które czasami daje mu się

we znaki w dżdżyste dni. Jednak w połowie opowieści Richiego zaczyna sobie przypominać kolejne szczegóły wydarzeń sprzed lat i wie już, co oznacza ów ból.

To już nie jest ścieżka wspomnień, myśli, teraz raczej przypomina autostradę.

Pięć lat temu podczas rutynowego badania (Eddie co sześć tygodni poddaje się rutynowej kontroli) doktor powiedział rzeczowo: „Masz tu ślad po starym złamaniu, Ed… Spadłeś z drzewa, kiedyś byłeś dzieckiem?”. „Coś w tym guście”, przyznał Eddie, nie zadając sobie trudu, by poinformować doktora Robbinsa, że gdyby jego matka zobaczyła, jak jej ukochany Eddie wspina się na drzewa, lub o tym usłyszała, padłaby natychmiast trupem, doznawszy udaru mózgu. Prawda była taka, że nie pamięta, w jaki sposób złamał rękę. To nie było ważne (choć, myśli Eddie, było to raczej dość dziwne u kogoś, kto przejmował się byle katarem czy najdrobniejszą zmianą zabarwienia stolca).

To było stare złamanie, nic szczególnego. Coś zdarzyło się w dzieciństwie, okresie, którego prawie nie pamiętał, i nie obchodziło go, czy to sobie przypomni. Ból nie był zbyt uciążliwy i dawał o sobie znać jedynie podczas długich jazd

w deszczowe dni. Parę aspiryn w zupełności wystarczało, by się z nim uporać. Pestka.

Ale teraz to już nie jest zwyczajne ćmienie – obecnie Eddie ma wrażenie, jakby pod skórą siedział jakiś szaleniec i z zapałem próbował przepiłować mu kość starą przerdzewiałą piłą. I przypomina sobie ból, który odczuwał, gdy leżał w szpitalu przez pierwsze trzy lub cztery dni po tym zdarzeniu. Najgorzej było nocami. Leżąc w łóżku, spocony wskutek panujących upałów, czekał na pielęgniarkę, która miała mu przynieść pigułki, i czuł, jak łzy ściekają mu po policzkach. Myślał: Zupełnie jakby jakiś wariat ostrzył sobie na moim ręku piłę.

Jeżeli to ścieżka wspomnień, wymieniłbym to za jedną wielką, ale zdrową lewatywę mózgu – olbrzymia umysłowa okrężnica.

– To Henry Bowers złamał mi rękę. Pamiętacie to? – odzywa się zupełnie nieświadomie.

Mike kiwa głową.

– To było tuż przed zniknięciem Patricka Hockstettera. Nie pamiętam dokładnej daty.

– Ja pamiętam – odpowiada cicho Eddie. – Dwudziestego lipca. O zaginięciu Hockstettera doniesiono chyba… dwudziestego trzeciego?

– Dwudziestego drugiego – mówi Beverly Rogan, choć nie powie im, czemu jest tak pewna tej daty; stało się tak dlatego, że widziała, jak To zabrało Hockstettera. Nie powie im również, że zarówno wtedy, jak i teraz miała wrażenie, jakby Hockstetter nie był normalny, a kto wie, być może nawet miał większego świra niż Henry Bowers. Powie im to, ale tym razem przychodzi kolej na Eddiego. Ona będzie mówiła następna, a potem, jak przypuszcza, Bill opowie o kulminacyjnym wydarzeniu, do jakiego doszło w lipcu tamtego roku… i o srebrnej kuli, której nigdy nie ośmielili się zrobić.

Grafik koszmaru, jeżeli coś takiego w ogóle istnieje, myśli, ale szaleńcze rozbawienie w jej wnętrzu narasta. Kiedy ostatni raz czuła się równie młodo? Z trudem może usiedzieć na miejscu.

– Dwudziestego lipca – mówi z zamyśleniem Eddie, przetaczając aspirator po stole z jednej ręki do drugiej – trzy czy cztery dni po wydarzeniach, jakie rozegrały się w dymnej jamie. Przez resztę lata miałem rękę w gipsie, pamiętacie?

Richie uderza się dłonią w czoło w geście, który wszyscy pamiętają ze starych czasów, a Bill, z mieszaniną niepewności i rozbawienia,

myśli, że przez tę krótką chwilę Richie wygląda jak wykapany Beaver Cleaver[11].

– Jasne! No pewnie! Miałeś rękę w gipsie, kiedy poszliśmy do domu przy Neibolt Street, no nie? A później… w ciemnościach… – Richie zaczyna kręcić głową z zakłopotaniem.

– C-co, R-r-richie? – pyta Bill.

– Nie potrafę sobie jeszcze tego przypomnieć – odpowiada Richie. – A ty?

Bill wolno kręci głową.

– Tego dnia był z nimi Hockstetter – mówi Eddie. – To był ostatni raz, kiedy widziałem go żywego. Może zastąpił Petera Gordona. Sądzę, że Bowers nie chciał mieć w swojej grupie Gordona po tym, jak się zachował tamtego dnia w czasie bitwy na kamienie.

– Oni wszyscy zginęli, prawda? – pyta cicho Beverly. – Po Jimmym Cullumie jedynymi, którzy zginęli, byli kumple… albo raczej ekskumple Henry'ego Bowersa.

– Wszyscy oprócz Bowersa – potwierdza Mike, spoglądając w stronę balonów przywiązanych do czytnika mikrofilmów. – A on trafił do Juniper Hill. To zakład dla obłąkanych.

– A j-j-jak to b-było z t-t-twoją ręką, E-e-eddie?

– Coraz gorzej się jąkasz, Wielki Billu – mówi z powagą Eddie i kończy swego drinka jednym

haustem.

– Nieważne – odpowiada Bill. – O-opowiedz nam.

– Opowiedz nam – prosi Beverly i delikatnie kładzie mu dłoń na ramieniu. Ból powraca.

– W porządku – godzi się Eddie. Nalewa sobie kolejnego drinka, patrzy na szklaneczkę i mówi: – Parę dni po moim wyjściu ze szpitala przyszliście do mnie do domu i pokazaliście mi te srebrne kule. Pamiętasz, Bill.

Bill kiwa potakująco głową. Eddie patrzy na Beverly.

– Bill zapytał cię, czy gdyby było trzeba, zgodziłabyś się je wystrzelić, bo miałaś najlepsze oko z nas wszystkich. Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałaś, że nie… mówiłaś, że za bardzo byś się bała, i powiedziałaś coś jeszcze, ale nie mogę sobie przypomnieć co. Zupełnie jak… – Eddie wysuwa język i dotyka go energicznie, jakby coś niewidzialnego przylepiło się do jego koniuszka. Richie i Ben się uśmiechają.

– Chodzi o Hockstettera?

– Tak – mówi Beverly. – Opowiem o tym, jak skończysz. Mów.

– To było po tym, później, jak już sobie poszliście, miałem z matką okropną sprzeczkę. Nie chciała, żebym się więcej z wami spotykał.

I być może bym się zgodził, ona, wiecie, miała na mnie wielki wpływ…

Bill ponownie kiwa głową. Przypomina sobie panią Kaspbrak, olbrzymią kobietę o dziwnie schizofrenicznym obliczu, które wyglądało jak wyciosane z kamienia i wściekłe – zarazem nieszczęśliwe i przepełnione przerażeniem.

– Tak, mogła mnie do tego skłonić – mówi Eddie. – Ale tego dnia, kiedy Bowers złamał mi rękę, wydarzyło się jeszcze coś, co naprawdę mną wstrząsnęło. – Wybucha stłumionym śmiechem i myśli: To mną wstrząsnęło, o tak, nie ulega wątpliwości. Ale czy to wystarczy? Czy słowa zdołają oddać w pełni głębię przeżywanych uczuć? W książce albo filmie to, czego dowiedziałem się, zanim Bowers złamał mi rękę, sprawiłoby, że moje życie uległoby diametralnej zmianie i wszystko potoczyłoby się inaczej… w książce czy filmie nic by mi się nie stało. W książce czy filmie nie miałbym w swoim hotelowym pokoju walizki pełnej medykamentów, nie ożeniłbym się z Myrą i nie nosiłbym wszędzie z sobą tego idiotycznego aspiratora. W książce czy filmie. Bo…

Nagle na oczach wszystkich aspirator Eddiego samorzutnie zaczyna toczyć się po stole. Tocząc się, wydaje dziwny, grzechotliwy dźwięk,

przypominający nieco marakasy albo kości… a także śmiech. Kiedy dociera do końca stołu, pomiędzy Richiem a Benem, wylatuje w powietrze i spada na podłogę. Richie chce go podnieść, ale Bill powstrzymuje go, krzycząc na całe gardło:

– N-n-nie dotykaj t-t-tego!

– Balony! – woła Ben i wszyscy odwracają głowy.

Na obu balonach przywiązanych do czytnika mikrofilmów widnieją teraz napisy: LEKARSTWO NA ASTMĘ POWODUJE RAKA PŁUC! Pod hasłami znajdują się uśmiechnięte trupie czaszki. Balony eksplodują z głuchym hukiem. Eddie patrzy na to, czując suchość w ustach i znajomy ucisk w krtani i klatce piersiowej. Bill odwraca się w jego stronę.

– K-kto ci p-p-powiedział i c-c-co?

Eddie oblizał wargi, zamierzając sięgnąć po swój aspirator, ale nie odważył się tego zrobić. Kto wie, co mogło znajdować się wewnątrz? Myśli o tamtym dniu, 20 lipca, o tym, jak było wtedy gorąco i jak matka dała mu receptę – wypisaną, oprócz jednego pustego miejsca, gdzie trzeba było wpisać należność – i dolara na wydatki.

– Pan Keene – mówi, a głos nawet jemu wydaje się odległy i pozbawiony siły. – To był pan Keene.

– Niezbyt przyjemny facet – stwierdza Mike, ale Eddie pogrążony w rozmyślaniach prawie go nie słyszy.

Tak, tego dnia było gorąco, ale w drugstorze przy Center Street panował przyjemny chłód – wielkie drewniane wentylatory pod sufitem z blachy falistej obracały się leniwie, a w pomieszczeniu unosił się zapach lekarstw. To właśnie tu, w tym miejscu, sprzedawano zdrowie, o czym jego matka była nieomal święcie przekonana, a gdy jego zegar biologiczny wskazywał wpół do dwunastej, Eddie w pełni podzielał jej zdanie. Cóż, to pan Keene zakończył to wszystko, myśli z pewną dozą słodkiej wściekłości. Przypomina sobie, jak stał przez chwilę przy stoisku z komiksami, przeglądając druciane stojaki w poszukiwaniu nowych „Batmanów", „Superboyów" czy „Plasticmanów", przy czym ten ostatni był jego ulubionym bohaterem. Wziął listę sporządzoną przez matkę (wysyłała go do drugstore'u tak samo, jak inne matki posyłały swoich synów do sklepu spożywczego) i udał się do sklepu pana Keene'a. On wypełniał zamówienie i wpisywał należność

na recepcie, którą później oddawał Eddiemu, aby matka mogła wypisać na tę sumę czek i uregulować rachunek. Dla Eddiego to wszystko było czarną magią. Trzy różne recepty dla matki i do tego butelka geritolu, bo jak powiedziała tajemniczo, zawiera dużo żelaza, a kobieta potrzebuje dużo więcej żelaza niż mężczyźni. Do tego jeszcze trochę witamin, butelka eliksiru dla dzieci doktora Sweeta… i, naturalnie, lekarstwo na astmę.

Zawsze było tak samo. Później ze swoją dolarówką zachodził do sklepu przy Costello Avenue i kupował dwa batoniki i colę. W drodze do domu zajadał batony, popijał colą i pobrzękiwał drobniakami. Ale ten dzień był zupełnie inny – po południu tego dnia Eddie trafi do szpitala, a to już będzie swoista kulminacja owej inności. Wszystko jednak zaczęło się od tego, że pan Keene poprosił go do siebie. Zamiast wręczyć mu wielką białą torbę pełną lekarstw i receptę, upominając przy tym, by włożył receptę do kieszeni, dzięki czemu jej nie zgubi, pan Keene spojrzał nań z zamyśleniem i powiedział: – Wejdź…

2

…na chwilę do mojego gabinetu, Eddie. Chciałbym zamienić z tobą słówko.

Eddie tylko patrzył na niego przez chwilę, mrugając odrobinę zaniepokojony. Przez moment przyszło mu do głowy, że być może pan Keene podejrzewał go o kradzież. Przy drzwiach znajdowała się wywieszka, której treść zawsze czytał. Litery były duże i czarne, tak że Richie mógł je przeczytać nawet bez okularów: KRADZIEŻ W SKLEPIE TO NIE „ZGRYWA”, „ZBYT” CZY „SZPAN”. KRADZIEŻE SĄ POWAŻNYM PRZESTĘPSTWEM I BĘDZIEMY JE KARAĆ Z PEŁNĄ SUROWOŚCIĄ.

Eddie nigdy w życiu niczego nie ukradł, ale ta wywieszka zawsze wzbudzała w nim poczucie winy – czuł się tak, jakby pan Keene wiedział o nim coś, z czego on sam nie zdawał sobie sprawy.

Pan Keene wprawił go w jeszcze większe zakłopotanie, pytając:

– Co byś powiedział na mrożony koktajl?

– No…

– Na koszt firmy. Zawsze o tej porze wypijam jeden w moim gabinecie. To dodaje sił, chyba że dbasz o linię, ale w przypadku nas dwóch to nie wchodzi w rachubę. Moja żona mówi, że

wyglądam jak szczapa. Ten twój koleś, Hanscom, powinien przejmować się swoją wagą. Jaki smak, Eddie?

– No… moja mama mówi, żebym zaraz wracał do domu, jak tylko…

– Wydaje mi się, że lubisz czekoladowe. Co ty na to? – W oczach pana Keene'a rozbłysły iskierki, ale to były suche iskierki, jak błysk promieni słońca odbitych od ziarenek miki na pustyni. A w każdym razie tak o tym pomyślał Eddie, miłośnik westernowych powieści Maksa Branda i Archiego Joceylena.

– Jasne – zgodził się Eddie. Jednak zaniepokoiło go coś w sposobie, w jaki pan Keene poprawił okulary w złotych oprawkach na swoim chudym nosie. Było w tym coś niepokojącego i dziwnie przyjemnego. Nie chciał wchodzić do gabinetu pana Keene'a. Nie chodziło o koktajl. Skądże. Ale Eddie czuł, że cokolwiek chciał mu powiedzieć pan Keene, to nie będzie nic miłego.

Może mi powie, że mam raka albo coś w tym rodzaju, pomyślał nagle Eddie. Dzieciak chory na raka. Albo na białaczkę. Jezu! Nie wygłupiaj się, odpowiedział sobie w myślach, starając się naśladować ton głosu Billa Jąkały. Billa Jąkałę zastąpił Jock Mahoney, odtwórca roli Range Ridera w sobotnim serialu – i ulubiony bohater

Eddiego. Chociaż Bill miał kłopoty z wymową, zawsze mówił z sensem. Ten facet jest farmaceutą, a nie lekarzem, jak rany. Ale Eddie nadal czuł się nieswojo.

Keene uniósł blat kontuaru i skinął na Eddiego kościstym palcem. Eddie, choć z wahaniem, podążył za nim. Ruby, sprzedawczyni, siedziała przy kasie i czytała „Silver Screen".

– Mogłabyś podać dwa koktajle, Ruby?! – zawołał do niej pan Keene. – Jeden czekoladowy, a drugi kawowy?

– Jasne – odparła Ruby i wstała, zaznaczywszy stronę w magazynie kawałkiem folii z opakowania gumy do żucia.

– Przynieś je do mojego gabinetu.

– Jasne.

– Chodź, synu. Nie ugryzę cię. – I doszczętnie dobijając Eddiego, pan Keene mrugnął do niego porozumiewawczo.

Nigdy dotąd nie był na zapleczu sklepu i z prawdziwym zainteresowaniem przyglądał się stojącym tam butelkom i słojom z pigułkami. Gdyby był sam, prawdopodobnie podszedłby do nich i obejrzał wszystko dokładniej. Jednak pan Keene zaprowadził go prosto do swego gabinetu i zamknął drzwi. Kiedy rozległ się szczęk

zatrzaskiwanych drzwi, Eddie poczuł ostrzegawczy ucisk w piersiach, ale zdołał przemóc to w sobie. Wraz z lekarstwami dla matki dostanie nowy aspirator i jak tylko stąd wyjdzie, zaaplikuje sobie pokaźną dawkę medykamentu.

Na rogu biurka pana Keene'a stał słoik z pałeczkami toffi. Aptekarz podsunął słoik Eddiemu.

– Nie, dziękuję – odpowiedział grzecznie Eddie.

Keene usiadł w obrotowym fotelu za biurkiem i wziął sobie jedną pałeczkę. Potem otworzył szufladę i wyjął z niej coś. Postawił to coś tuż obok wysokiego słoika z toffi. Eddie poczuł kolejną falę zaniepokojenia. Tak. Sprawa była poważna. To był aspirator. Keene odchylił się na swoim fotelu, aż głową prawie dotykał kalendarza na ścianie za jego plecami. Zdjęcie w kalendarzu przedstawiało stosik jakichś pigułek. Podpis brzmiał: „Squibb" i… przez krótką, pełną niepewności okropną chwilę, kiedy pan Keene otworzył usta, aby coś powiedzieć, Eddie przypomniał sobie, co się stało w sklepie obuwniczym, gdy był jeszcze dzieckiem, kiedy to matka skrzyczała go, bo włożył stopę do aparatu rentgenowskiego. Pan Keene powie: Eddie,

dziewięciu na dziesięciu lekarzy zgodzi się z prognozą, że lekarstwo na astmę przyprawi cię o raka, tak jak możesz nabawić się raka, wsadzając nogę do aparatów rentgenowskich w sklepach z obuwiem. Prawdopodobnie już jesteś chory. Po prostu sądziłem, że powinieneś to wiedzieć.

Ale pan Keene powiedział coś tak dziwnego, że Eddie w ogóle w pierwszej chwili nie potrafił odpowiedzieć. Po prostu siedział na krześle, jakby kij połknął, wpatrując się w znajdującego się naprzeciw niego pana Keene'a.

– To trwa już zbyt długo.

Eddie otworzył usta i niemal natychmiast je zamknął.

– Ile masz lat, Eddie? Jedenaście, no nie?

– Tak, proszę pana – rzekł cicho Eddie. Jego oddech stawał się coraz płytszy. Nie był jeszcze świszczący jak gwizdek w czajniku (na co zwykle Richie wołał głośno: „Niech ktoś wyłączy Eddiego, bo się zaraz zagotuje!"), ale to było już tylko kwestią czasu. Z utęsknieniem spojrzał na aspirator na biurku pana Keene'a i ponieważ nie wyglądało, aby tamten oczekiwał czegoś więcej, odparł: – W listopadzie skończę dwanaście.

Keene pokiwał głową, a potem pochylił się do przodu jak farmaceuta w telewizyjnych

reklamówkach i splótł dłonie przed sobą. Jego okulary lśniły w silnym świetle zawieszonych pod sufitem lamp fluorescencyjnych.

– Wiesz, co to jest placebo, Eddie?

Eddie powoli, z zamyśleniem, odrzekł:

– To jest to, co mają krowy i z czego wypływa mleko, tak?

Pan Keene roześmiał się i odchylił na krześle, do tyłu.

– Nie – odparł, a Eddie zapłonił się aż po cebulki włosów. Słyszał, jak drobniutki świst wdziera się do jego oddechu.

– Placebo to… – Przerwało mu energiczne stukanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, Ruby weszła do pokoju ze szklaneczkami mrożonego koktajlu w dłoniach.

– Dla ciebie, jak sądzę, o smaku czekoladowym – powiedziała do Eddiego i uśmiechnęła się.

Odpowiedział jej najwspanialszym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć, ale w obecnej chwili koktajl czekoladowy był jedną z najmniej ważnych rzeczy zaprzątających jego myśli. Jeszcze nigdy w życiu nie był równie przerażony i zaaferowany. Bał się tak jak wówczas, gdy siedział na stole do badań w gabinecie doktora Handora, ubrany jedynie

w slipki, czekając na przybycie lekarza i przez cały czas mając świadomość, że jego matka na sofie w poczekalni czytała książkę (zwykle były to *Moc pozytywnego myślenia* Normana Vincenta Peale'a albo *Medycyna ludowa z Vermont* doktora Jarvisa) niczym modlitewnik. Rozebrany do slipek i bezbronny czuł się jak uwięziony pomiędzy nimi.

Upił koktajlu, gdy Ruby wyszła – ale prawie nie poczuł smaku. Pan Keene odczekał, aż drzwi się zamkną, a potem znów się uśmiechnął (ponownie błysk promieni słońca odbitych od kawałków miki na pustyni).

– Rozluźnij się, Eddie. Nie ugryzę cię ani nie zrobię ci krzywdy.

Eddie skinął głową, bo pan Keene był dorosły, a dorosłym należy przytakiwać (tak nauczyła go matka), ale w głębi duszy myślał: Och, słyszałem już wcześniej te bzdury. Tak samo mówił lekarz, kiedy otwierał sterylizator, z którego wydostawał się drażniący nozdrza odór alkoholu. To był zapach zastrzyków i zapach kłamstwa. Obie te rzeczy sprowadzały się do jednego – kiedy ci mówili, że to będzie tylko maleńkie ukłucie, że w ogóle tego nie poczujesz, znaczyło to, że ból będzie naprawdę okropny.

Spróbował pociągnąć przez słomkę kolejny łyk koktajlu, ale z marnym skutkiem – potrzebował całej swej zaciskającej się krtani, aby wciągać przez nią powietrze. Spojrzał na aspirator stojący pośrodku bibularza pana Keene'a i chciał poprosić, żeby aptekarz podał mu aparat, ale nie mógł zdobyć się na odwagę. Dziwna myśl przyszła mu do głowy: może pan Keene wiedział, że on tego chciał, i wiedział, że nie odważy się poprosić, a zatem, być może, pan Keene (*torturował go*) prowokował go… Głupia myśl, nieprawdaż? Dorosły – zwłaszcza taki, który zajmował się sprzedażą lekarstw – raczej nie mógłby prowokować małego chłopca, drażnić się z nim, no bo i po co? Oczywiście, że to odpada. Nie powinien w ogóle brać tego typu rozwiązań pod uwagę, bo mogłyby one spowodować przerażające zmiany w pojmowaniu świata przez Eddiego. W jego rozumieniu rzeczywistości.

Ale to tam było, na wyciągnięcie ręki, jak jezioro znajdujące się tuż poza zasięgiem wyczerpanego, konającego z pragnienia człowieka na pustyni. Stało tam, poniżej oblicza pana Keene'a rozjaśnionego uśmiechem kojarzącym się z błyskiem promieni słońca na kawałkach miki pośród bezkresnej pustyni.

Eddie bardziej niż czegokolwiek innego pragnął móc znaleźć się teraz w Barrens ze swoimi przyjaciółmi. Myśl o potworze, jakimś wielkim potworze czyhającym pod miastem, w którym się urodził i gdzie dorastał, wykorzystującym ścieki i kanały w celu przemieszczania się, była diablo przerażająca, a jeszcze bardziej przerażała go perspektywa walki z tym monstrum, podjęcia próby zniszczenia go… ale to, czego doświadczał obecnie, przerastało jego najgorsze koszmary. Jak mógł zmierzyć się z dorosłym, który twierdził, że nie chce zrobić mu krzywdy, a mimo to czynił to z pełną premedytacją? Jak mógł stawić czoło dorosłemu, który zadawał dziwne pytania i wygłaszał dziwne kwestie w rodzaju: „To trwa już zbyt długo…”?

I niejako mimochodem Eddie odkrył jedną z wielkich prawd dzieciństwa. Dorośli są prawdziwymi potworami.

Nie było to nic szczególnego, żadna rewelacja, której mogłyby towarzyszyć fanfary i werble. Pojawiło się i znikło, nieomal zmiażdżone doniosłością kolejnej myśli: Chcę dostać swój aspirator i chcę się stąd wynieść.

– Rozluźnij się – powtórzył pan Keene. – Większość twoich problemów bierze się z tego, że

jesteś spięty i sztywny. Weźmy na ten przykład twoją astmę. Spójrz tutaj.

Pan Keene otworzył szufladę, przez chwilę gmerał w niej i wreszcie wyjął z niej balonik. Wyciągając szyję do przodu (jego krawat zakołysał się jak żagiel na wietrze), pan Keene wydął policzki. DRUGSTORE PRZY CENTER STREET – brzmiał napis na baloniku – LEKI GOTOWE I NA ZAMÓWIENIE. ROZMAITOŚCI. WITAMINY. Pan Keene ścisnął w dłoni balon i wyciągnął rękę przed siebie.

– A teraz przez chwilę wyobraź sobie, że to jest płuco – powiedział. – Twoje płuco. Naturalnie powinienem był nadmuchać dwa balony, ale został mi tylko jeden od świąt Bożego Narodzenia.

– Panie Keene, czy mogę dostać swój aspirator? – Eddiemu zaczęło dudnić w głowie. Czuł, jak jego krtań powoli się zamyka. Serce waliło coraz szybciej i pot wystąpił mu na czoło. Szklanka z jego koktajlem stała na skraju biurka, a na jego powierzchni tonęła z wolna pojedyncza wisienka.

– Za moment – powiedział pan Keene. – Posłuchaj, Eddie. Chcę ci pomóc. Już najwyższy czas, aby ktoś to zrobił. Jeżeli Russ Handor nie ma na to ochoty, to ja będę musiał. Twoje płuco

jest jak ten balon, tyle że otacza go powłoka mięśniowa. Te mięśnie są jak ręce człowieka operującego miechem kowalskim, rozumiesz? U zdrowego człowieka mięśnie te ułatwiają płucom kurczenie się i rozszerzanie. Jednak jeśli właściciel tych zdrowych płuc zawsze jest sztywny i spięty, mięśnie zamiast pomagać, zaczynają pracować przeciwko płucom. Spójrz!

Keene położył wielką, upstrzoną plamami wątrobowymi dłoń na balonie i zacisnął palce. Balon wybrzuszył się pod naciskiem, a Eddie skrzywił się, oczekując na huk pękającej gumowej powłoki. Jednocześnie wstrzymał oddech. Pochylił się nad stołem i sięgnął po stojący na bibularzu aspirator. Ramieniem trącił ciężką szklankę z koktajlem. Spadła z biurka i roztrzaskała się z hukiem przypominającym eksplozję bomby; Eddie prawie tego nie słyszał. Zacisnął dłoń na aspiratorze, włożył dziobek urządzenia do ust i nacisnął przycisk. Z trudem zaczerpnął oddech, a pod jego czaszką, jak zawsze w takich chwilach, przewijał się chaotyczny potok myśli.

Proszę, mamo, duszę się, nie mogę oddychać, o Boże, o Boże, Jezu litościwy i dobry, nie mogę oddychać, proszę, nie chcę umrzeć, nie chcę umrzeć, o Boże, proszę… A potem mgiełka

z aspiratora omiotła wnętrze jego nabrzmiałej krtani i ponownie mógł oddychać.

– Przepraszam – rzekł bliski płaczu – przepraszam za tę szklankę. Zaraz tu posprzątam i zapłacę za nią… tylko proszę, niech pan nic nie mówi mojej matce, dobrze? Przepraszam pana, ale nie mogę oddychać…

Znów rozległo się pukanie do drzwi i Ruby zajrzała do pokoju.

– Czy wszystko…

– Wszystko w porządku – odrzekł ostro pan Keene. – Zostaw nas samych.

– Przepraszam – powiedziała Ruby. Przewróciła oczyma i zamknęła drzwi. Oddech Eddiego znów stał się odrobinę świszczący.

Zaaplikował sobie kolejną porcję zawartości aspiratora, a potem ponownie zaczął przepraszać. Przestał dopiero, gdy zobaczył, że pan Keene uśmiecha się do niego tym samym, szczególnym, suchym uśmieszkiem. Dłonie pana Keene’a były splecione na podołku. Balonik leżał na biurku. Nagle Eddiemu zaświtała w głowie pewna myśl – starał się ją odegnać, ale nie mógł. Pan Keene sprawiał wrażenie, jakby atak astmy Eddiego smakował mu bardziej niż koktajl kawowy.

– Nie przejmuj się – oznajmił. – Ruby później tu posprząta, a jeśli chcesz znać prawdę, powiem ci, że w sumie cieszę się, że stłukłeś tę szklankę. Bo przyrzeknę, że o niczym nie powiem twojej matce, jeśli ty przyrzekniesz mi, że nie powiesz jej o naszej dzisiejszej rozmowie.

– Oczywiście, przyrzekam – rzekł Eddie z zapałem.

– Świetnie – powiedział pan Keene. – A więc doszliśmy do porozumienia. Czujesz się teraz lepiej, prawda?

Eddie skinął głową.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo… zaaplikowałem sobie lekarstwo. – Spojrzał na pana Keene'a tak, jak patrzył czasami na panią Casey w szkole, kiedy nie był pewny swojej odpowiedzi.

– Ale ty nie zaaplikowałeś sobie żadnego lekarstwa – powiedział pan Keene. – Łyknąłeś odrobinę placebo. Placebo, Eddie, to coś, co wygląda jak lekarstwo i smakuje jak lekarstwo, ale nie jest lekarstwem. Placebo nie jest lekarstwem, bo nie ma aktywnych składników. Albo inaczej, jeżeli jest lekarstwem, to powiedziałbym, że bardzo specyficznym. Lekarstwem na głowę. – Pan Keene się

uśmiechnął. – Rozumiesz to, Eddie? Lekarstwem na głowę.

Eddie pojął to w lot. Pan Keene uświadamiał mu, że jest nienormalny. Ale przez zdrętwiałe wargi powiedział:

– Nie, nie rozumiem.

– Pozwól, że ci coś opowiem – rzekł pan Keene. – W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku na Uniwersytecie DePaul przeprowadzono serię testów na pacjentach cierpiących na choroby wrzodowe. Stu pacjentom dano pigułki. Powiedziano im, że pigułki powinny pomóc, ale pięćdziesięciu spośród tych pacjentów podano placebo… były to, prawdę mówiąc, pokryte pomarańczową polewą drażetki czekoladowe. – Pan Keene zachichotał; to był dziwny, piskliwy śmiech, zupełnie jakby opowiadał o jakimś zabawnym wydarzeniu, a nie o poważnym eksperymencie. – Spośród tych stu pacjentów dziewięćdziesięciu trzech uznało, że ich stan znacznie się poprawił, a u osiemdziesięciu jeden stwierdzono poprawę. Co o tym sądzisz? Jaki wyciągasz z tego wniosek, Eddie?

– Nie wiem – odparł słabym głosem Eddie.

Pan Keene z powagą postukał się w głowę.

– Najwięcej chorób zaczyna się tutaj. W każdym razie takie jest moje zdanie. Siedzę w tym interesie już od dawna i wiedziałem o placebo na wiele lat przedtem, zanim zainteresowali się nim ci spece z uniwersytetu. Zwykle placebo dostają ludzie starsi. Starszy mężczyzna czy starsza kobieta idą do lekarza przekonani, że mają chore serce, raka, cukrzycę, Bóg jeden wie co jeszcze. Jednak na ogół to nie jest prawda. Czują się źle z powodu podeszłego wieku. A co robią lekarze? Mówią im, że są jak zegarki z nadwerężoną sprężyną? Ha! Ależ skąd! Lekarzom za bardzo zależy na szmalu. – Na twarzy pana Keene'a pojawił się dziwny, odrobinę ironiczny uśmieszek.

Eddie po prostu siedział, czekając, aż to się skończy. „Nie zaaplikowałeś sobie żadnego lekarstwa" – te słowa raz po raz rozbrzmiewały w jego umyśle.

– Lekarze nie chcą im tego mówić i ja też im tego nie mówię. Bo niby po co? Czasami taki stary pryk przyjdzie tu z receptą, a tam czarno na białym: placebo albo dwadzieścia pięć gramów blue skies, jak to zwykle określa doktor Pearson. – Pan Keene cmoknął, a potem dopił swój koktajl. – I co w tym złego? – zwrócił się do Eddiego, a gdy ten nie odpowiedział, zrobił to za niego: –

Nic. Otóż to. Zupełnie nic! W każdym razie zazwyczaj. Placebo jest błogosławieństwem dla starszych ludzi. A poza tym są jeszcze inne przypadki, ludzie chorzy na raka, serce i masę innych okropnych przypadłości, których nawet niekiedy nie rozumiemy, a wśród tych ludzi bywają także dzieci, choćby ty, Eddie! W takich sytuacjach jeżeli placebo sprawia, że pacjenci czują się lepiej, cóż w tym złego? Uważasz, że jest w tym coś złego, Eddie?

– Nie, proszę pana – odrzekł Eddie i spojrzał na plamę rozlanego mrożonego koktajlu czekoladowego na podłodze. Błyszczały w niej odłamki stłuczonej szklanki. Pośrodku tej kałuży dostrzegł wisienkę maraschino, oskarżającą jak plamka krwi na miejscu zbrodni. Patrząc na tę plamę, poczuł, że jego klatka piersiowa znowu zaczyna się zaciskać.

– Otóż to! A więc myślimy podobnie! Pięć lat temu, kiedy Vernon Maitland chorował na raka przełyku, to bardzo bolesny nowotwór, a lekarze, chociaż robili, co mogli, nie dali rady złagodzić dręczącego go bólu, zaszedłem do jego szpitalnego pokoju z butelką pigułek cukrowych. Wiesz, on był dla mnie kimś szczególnym. Był moim serdecznym przyjacielem. I powiedziałem: „Vern, to eksperymentalne pigułki

przeciwbólowe. Lekarz nie wie, że ci je daję, więc, na miłość boską, nie zakabluj mnie. Może nie zadziałają, ale mam nadzieję, że tak. Bierz nie więcej niż jedną dziennie i tylko wtedy, gdy naprawdę nie zdołasz już dłużej znieść bólu". Podziękował mi ze łzami w oczach. Ze łzami, Eddie! I okazało się, że poskutkowały! Tak! To były zwykłe pigułki cukrowe, ale złagodziły ból, jaki go dręczył… bo ból… tkwi tutaj.

Keene z powagą ponownie postukał się w głowę.

– Moje lekarstwo skutkuje.

– Wiem – odrzekł Keene i uśmiechnął się typowym uśmiechem dorosłego. – To wpływa na twoją klatkę piersiową, ponieważ wpływa na twoją głowę. Hydrox, Eddie, to woda z dodatkiem kamfory, która nadaje „preparatowi" posmak lekarstwa.

– Nie – rzekł Eddie. Jego oddech znów stał się świszczący. Keene upił koktajlu i starannie wytarł usta chusteczką, podczas gdy Eddie ponownie zrobił użytek ze swego aspiratora.

– Chcę już iść – rzekł Eddie.

– Daj mi skończyć, proszę.

– Nie! Chcę już iść, dostał pan swoje pieniądze, a ja chcę już iść!

– Daj mi skończyć – rzekł Keene tak groźnym tonem, że Eddie na powrót usiadł na krześle. Dorośli ze swoją władzą mogą być czasami okropni. Naprawdę okropni. – Twój problem polega po części na tym, że twój lekarz, Russ Handor, jest słaby. A po części na tym, że twoja matka wierzy w twoją chorobę. Ty, Eddie, utkwiłeś dokładnie pośrodku.

– Nie jestem szalony – wyszeptał Eddie, a słowa wydobyły się z jego ust z lekkim poświstem.

Fotel Keene'a skrzypnął niczym monstrualny świerszcz.

– Co?

– Powiedziałem, że nie jestem szalony! – wykrzyknął Eddie. A potem nagle na jego twarzy pojawiły się rumieńce.

Keene się uśmiechnął. Ten uśmiech zdawał się mówić: Myśl sobie, co chcesz. Myśl sobie, co chcesz, ja i tak wiem swoje.

– Chcę ci tylko powiedzieć – rzekł – że nie jesteś chory fizycznie. To nie twoje płuca chorują na astmę. To twój umysł.

– Chce pan powiedzieć, że jestem szalony.

Keene pochylił się do przodu i przypatrywał mu się z uwagą ponad splecionymi dłońmi

– Nie wiem – powiedział łagodnie. – A tak uważasz?

– To nieprawda! – ryknął Eddie zdziwiony, że z jego ściśniętej klatki piersiowej dobył się równie głośny krzyk.

Myślał o Billu, o tym, jak on zareagowałby na podobną insynuację. Bill, niezależnie od tego, czy się jąkał, czy nie, wiedziałby, co powiedzieć. Wiedziałby, jak być dzielnym.

– To wszystko stek kłamstw! Ja mam astmę! Mam!

– Tak – odparł Keene i teraz suchy uśmiech zmienił się w dziwny grymas kościotrupa. – Ale skąd ją masz, Eddie?

Eddie czuł w głowie mętlik. Było mu niedobrze. Bardzo niedobrze.

– Cztery lata temu, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku, w tym samym, kiedy na Uniwersytecie DePaul przeprowadzono testy, doktor Handor, rzecz dziwna, zaczął przepisywać ci preparat pod nazwą hydrox. Nazwa ta wzięła się od dwóch podstawowych składników, wodoru i tlenu, głównych komponentów wody. Mam już dość grania w tej ponurej komedii. Pasuję. Twoje lekarstwo na astmę wywiera wpływ nie na twoje ciało, lecz na umysł. Twoja astma jest rezultatem nerwowego

zaciskania się krtani pod wpływem impulsów płynących z mózgu… albo wskutek poleceń wydawanych przez twoją matkę. Nie jesteś chory.

Zapadła przerażająca cisza. Eddie usiadł na krześle – w jego myślach panował chaos. Przez chwilę zastanawiał się nad ewentualnością, że pan Keene jednak mówił prawdę, ale w głębi duszy nie mógł się z tym pogodzić. Mimo to czemu pan Keene miałby kłamać, zwłaszcza w równie poważnej sprawie?

Keene usiadł i uśmiechnął się suchym, beznamiętnym, skrzącym się uśmiechem.

Mam astmę, właśnie że mam. Tego dnia, kiedy Henry Bowers walnął mnie w nos, tego dnia, kiedy Bill i ja próbowaliśmy zrobić tamę w Barrens, o mało nie umarłem. Czy mam sądzić, że to wszystko było tylko… wytworem mojego umysłu? Ale dlaczego miałby kłamać? Dopiero wiele lat później, w bibliotece, Eddie zadał sobie jeszcze bardziej przerażające pytanie: Dlaczego miałby powiedzieć mi prawdę?

Jak przez mgłę usłyszał słowa pana Keene’a:

– Miałem cię na oku, Eddie. Powiedziałem ci to wszystko, ponieważ jesteś dostatecznie duży, aby to zrozumieć, i ponieważ zauważyłem, że

ostatnio znalazłeś sobie paru przyjaciół. To dobrzy przyjaciele, prawda?

– Tak.

Keene odchylił się w fotelu (znowu ten dźwięk przypominający cykanie świerszcza) i zamknął jedno oko w geście, który mógł, choć niekoniecznie, być mrugnięciem.

– I założę się, że twoja matka za nimi nie przepada. Prawda?

– Ona ich lubi – odrzekł Eddie, myśląc o słowach swojej matki dotyczących Richiego Toziera („Ma niewyparzoną gębę… i cuchnący oddech… poczułam… Eddie… myślę, że on pali”), jej uszczypliwej uwadze, by nigdy nie pożyczał pieniędzy Stanowi Urisowi, ponieważ on był Żydem, oraz jej otwartej niechęci do Billa Denbrough i „tego obrzydliwego grubasa”. – Ona ich trochę lubi.

– Naprawdę? – spytał pan Keene, nadal się uśmiechając. – Cóż, może ma rację, a może nie, ale w każdym razie masz przyjaciół. Może powinieneś z nimi porozmawiać o swoim problemie… tej umysłowej słabości. Posłuchaj, co mają na ten temat do powiedzenia.

Eddie nie odpowiedział. Uznał, że milczenie będzie w jego sytuacji bezpieczniejsze. A poza

tym bał się, że jeżeli nie opuści tego miejsca jak najszybciej, to się rozbeczy.

– Dobra – rzekł pan Keene. – Myślę, że na tym skończymy. Przepraszam, jeżeli cię zdenerwowałem, Eddie. Po prostu starałem się wypełnić swoje obowiązki, tak jak je rozumiem. Ja… – Ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, Eddie zgarnął białą torbę z lekarstwami, swój aspirator i uciekł.

Poślizgnął się na rozlanym koktajlu i o mało nie upadł. Jednak już chwilę potem pomimo przyspieszonego, świszczącego oddechu wybiegł. Ruby spojrzała na niego znad czasopisma i rozdziawiła usta. Eddie czuł, że pan Keene stał teraz w drzwiach swojego gabinetu i przyglądał się jego niechlubnemu odwrotowi – wychudły, starannie ubrany, zamyślony i uśmiechnięty. Na jego twarzy widniał ten sam suchy, pustynny uśmiech.

Eddie zatrzymał się przy skrzyżowaniu Kansas, Center i Main. Zaaplikował sobie kolejną porcję zawartości aspiratora, usiadłszy na niskim kamiennym murku obok przystanku autobusowego; czuł wyraźnie w gardle charakterystyczny smak lekarstwa (*to tylko woda z odrobiną kamfory*) i pomyślał, że gdyby dziś

jeszcze raz musiał skorzystać z aspiratora, prawdopodobnie by się porzygał.

Włożył aspirator do kieszeni i patrzył na samochody przejeżdżające wzdłuż Maine Street i zjeżdżające z Milowego Wzgórza. Starał się o niczym nie myśleć. Słońce prażyło go w głowę. Było diabelnie gorąco. Każdy z przejeżdżających samochodów rzucał oślepiające świetlne refleksy i Eddie poczuł w skroniach pierwsze objawy bólu głowy. Nie mógł mieć żalu do pana Keene'a, ale jednocześnie w jego sercu pojawił się smutek. Przejmował się sobą. Przypuszczał, że Bill Denbrough nie tracił ani chwili na użalanie się nad sobą. Chciał, bardziej niż czegokolwiek innego, zrobić teraz to, co zasugerował mu pan Keene – pójść do Barrens i opowiedzieć o wszystkim swoim przyjaciołom, zobaczyć, co powiedzą, jakich udzielą mu rad. Teraz jednak nie mógł tego zrobić; matka spodziewała się, że lada moment wróci do domu z lekarstwami (*pod wpływem impulsów… albo wskutek poleceń wydawanych przez twoją matkę*), a gdyby się nie pojawił (*twoja matka wbiła sobie do głowy, że jesteś chory*), napytałby sobie biedy. Pomyśli, że znów się szlajał z Billem, Richiem albo „tym Żydziochem", jak nazywała Stana (twierdząc przy tym, że nie mówiła tego w sensie

pejoratywnym, tylko po prostu wykładała karty na stół, nazywając w ten sposób mówienie prawdy w wyjątkowo trudnych sytuacjach).

Stojąc tak na rogu ulicy i próbując bezradnie poukładać chaotyczne myśli, wiedział, co by powiedziała, gdyby dowiedziała się, że do jego przyjaciół zaliczali się również Murzyn i dziewczynka dostatecznie duża, by zaczęły już kształtować się jej piersi.

Ruszył wolnym krokiem w stronę Milowego Wzgórza, co w tak potwornym upale było naprawdę uciążliwą czynnością. Miał wrażenie, że tego dnia na chodniku można było smażyć jajecznicę. Po raz pierwszy znowu zapragnął znaleźć się w szkole, w nowej klasie, pod opieką nowego nauczyciela obdarzonego zupełnie nowymi dziwactwami. Chciał, żeby to potworne lato wreszcie dobiegło końca.

Zatrzymał się w połowie wzgórza, nieopodal miejsca, gdzie Bill Denbrough dwadzieścia siedem lat później odnajdzie swój stary rower, Silvera, i wyjął z kieszeni aspirator. PREPARAT HYDROX, brzmiał napis na plakietce. UŻYWAĆ W RAZIE POTRZEBY.

Kolejny fragment układanki znalazł się na swoim miejscu. Używać w razie potrzeby. Był zaledwie dzieckiem, gołowąsem (jak czasami

nazywała go matka, kiedy wykładała karty na stół), ale nawet jedenastolatek wiedział, że nie przepisuje się ludziom prawdziwych lekarstw, które na plakietce mają napisane: UŻYWAĆ W RAZIE POTRZEBY. Gdyby to było prawdziwe lekarstwo, bez trudności mógłbyś się zabić, jeślibyś ot tak, praktycznie dla zabawy, bezmyślnie używał swego aspiratora, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota. Przypuszczał, że w ten sposób można by się otruć nawet starą, dobrą aspiryną.

Przyjrzał się z uwagą aspiratorowi, nie zauważając, że pewna stara dama, schodząca ze wzgórza z koszykiem na zakupy w ręce, mijając go, spojrzała nań podejrzliwie. Czuł się zdradzony. Przez chwilę miał nawet chęć wrzucić plastikową buteleczkę do rynsztoku. Ba, lepiej cisnąć ją w głąb otworu kanału, pomyślał. No jasne! Czemu nie?

Niech To weźmie sobie jego aspirator. To, które zamieszkuje w swoich mrocznych tunelach i ociekających wilgocią kanałach. Masz pla-cee-boo, ty potworze o stu twarzach! Roześmiał się wściekle i mało brakowało, a zrealizowałby swoje zamierzenie. Jednak ostatecznie stary nawyk okazał się silniejszy. Włożył aspirator do prawej przedniej kieszeni spodni i ruszył

w dalszą drogę; prawie nie słyszał rozlegających się raz po raz dźwięków klaksonu ani ryku potężnego silnika mijającego go autobusu. Podobnie jak nie zdawał sobie sprawy, że już niedługo dowie się, czym jest ból. Prawdziwy ból.

3

Kiedy wyszedł ze sklepu przy Costello Avenue dwadzieścia pięć minut później, z pepsi w jednej i dwoma batonikami Payday w drugiej ręce, był niemile zdziwiony, zobaczywszy Henry'ego Bowersa, Victora Crissa, Moose'a Sadlera i Patricka Hockstettera klęczących na żwirze, po lewej stronie, przy małym sklepiku. W pierwszej chwili Eddie pomyślał, że zabawiali się rzucaniem monet, ale zaraz dostrzegł, że tamci zamiast grać, liczyli pieniądze, tworząc „wspólną kasę" na rozłożonej baseballowej bluzie Vica. Obok nich leżała bezładna sterta szkolnych książek.

W normalny dzień Eddie mógłby po prostu wślizgnąć się na powrót do sklepu i spytać pana Gedreau, czy może wyjść tylnym wyjściem – ale ten dzień nie należał do normalnych. Eddie zamarł w progu oparty jedną ręką o zaopatrzone w żaluzje drzwi, na których wisiały reklamy papierosów (WINSTON SMAKUJE TAK, JAK

POWINIEN SMAKOWAĆ DOBRY PAPIEROS, WSPANIAŁY TYTOŃ ZAPEWNI CI 20 CUDOWNYCH CHWIL. Boy hotelowy krzyczał: ŻĄDAJ PHILLIP MORRISÓW), a drugą obejmując brązową torbę ze sklepu spożywczego i białą torbę z drugstore'u.

Victor Criss zauważył go i szturchnął Henry'ego łokciem. Henry uniósł wzrok. Patrick Hockstetter zrobił to samo. Moose, który miał spowolnione reakcje, jeszcze przez jakieś pięć sekund przeliczał drobniaki, aż w końcu zaniepokojony nagłą ciszą uniósł głowę, Henry podniósł się i otrzepał drobne kamyki żwiru z kolan roboczych spodni, które miał na sobie.

Jego obandażowany nos po obu stronach obejmowały łubki, więc głos Henry'ego był przytłumiony i niewyraźny.

– Niech mnie kule biją – powiedział. – To jeden z tych kamieniarzy. Gdzie posłałeś kumpli, gnojku? Są w środku?

Eddie otępiałym ruchem pokręcił przecząco głową i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

Uśmiech Henry'ego się poszerzył.

– To świetnie – oznajmił. – Nie mam nic przeciwko temu, by zająć się wami pojedynczo. Chodź no tu, dupku.

Victor stanął obok Henry’ego. Tuż za nimi znajdował się Patrick Hockstetter, który uśmiechał się głupkowato. Eddie znał ten uśmiech ze szkoły. Moose wciąż jeszcze się podnosił.

– Chodź no tu, dupku – powtórzył Henry. – Pogadajmy o rzucaniu kamieniami. Pogadajmy o tym, chcesz?

Teraz, kiedy było już za późno, Eddie doszedł do wniosku, że powinien natychmiast wrócić do sklepu. Do wnętrza sklepu, gdzie znajdował się dorosły. Jednak kiedy się cofał, Henry wyprysnął do przodu i schwycił go. Złapał Eddiego za ramię, pociągnął mocno i uśmiech na jego twarzy zmienił się w zajadły grymas. Dłoń Eddiego ześlizgnęła się z drzwi. Został ściągnięty ze schodów i poleciałby na łeb na szyję na żwir, gdyby Victor niezgrabnie nie chwycił go pod ramiona. Victor popchnął go. Eddie z trudem utrzymał równowagę, ale tylko dlatego, że dwukrotnie obrócił się wokół osi. Czterej chłopcy przyglądali mu się teraz z odległości dziesięciu stóp. Henry stał nieco przed pozostałymi, uśmiechając się. Włosy miał przylizane i zaczesane do tyłu. Za Henrym po lewej stronie stał Patrick Hockstetter, naprawdę przerażający dzieciak. Aż do dzisiaj Eddie nie widział, żeby on

pokazywał się z kimkolwiek. Miał sporą nadwagę i wielki kałdun zwisał mu nad pasem z olbrzymią klamrą. Jego twarz była doskonale okrągła i zazwyczaj biała jak śmietanka. Teraz był opalony. Aż za bardzo. Najgorzej było z nosem, z którego skóra złaziła płatami na podobieństwo wielkich, składających się ku policzkom skrzydeł. W szkole Patrick lubił zabijać muchy zieloną plastikową linijką i wkładać je do piórnika. Czasami podczas przerwy na boisku pokazywał swoją kolekcję jakiemuś nowemu dzieciakowi, a wówczas jego wielkie usta rozchylały się w uśmiechu, a szarozielone oczy patrzyły spokojnie i z zamyśleniem. Kiedy pokazywał zbiór zabitych przez siebie much, nigdy się nie odzywał, niezależnie od tego, co do niego mówił nowy dzieciak. Właśnie teraz na jego twarzy widniał identyczny wyraz.

– Jak ci leci, kamieniarzu? – spytał Henry, zmniejszając dzielący ich dystans. – Masz przy sobie jakieś kamienie?

– Daj mi spokój – powiedział drżącym głosem Eddie.

– Daj mi spokój – przedrzeźniał go Henry, wymachując rękoma w udawanym przerażeniu.

Victor wybuchnął śmiechem.

– A jak nie, to co, kamieniarzu? Co? – Jego pięść wyprysnęła do przodu z nieprawdopodobną szybkością i przy wtórze odgłosu przypominającego wystrzał rąbnęła Eddiego w policzek. Głowa Eddiego odskoczyła do tyłu. Z jego lewego oka pociekły łzy.

– Moi przyjaciele są w środku – rzekł Eddie.

– Moi przyjaciele są w środku – pisnął Patrick Hockstetter. – Ho, ho, ho! – ironizował, okrążając Eddiego z prawej.

Eddie zaczął przesuwać się w tę stronę. Dłoń Henry'ego ponownie śmignęła do przodu i tym razem drugi policzek Eddiego zapłonął przejmującym bólem.

Nie płacz, pomyślał. Oni właśnie tego chcą, ale ty tego nie zrobisz, Bill też by tego nie zrobił, on by nie zapłakał i ty też nie płacz…

Victor postąpił naprzód i pchnął oburącz Eddiego w pierś. Eddie zatoczył się pół kroku do tyłu i potknął się o Patricka, który przykucnął dokładnie za jego plecami. Eddie runął na żwir, rozdrapując sobie do krwi skórę na ramionach. Z jego płuc gwałtownie uszło powietrze. Chwilę później Henry Bowers usiadł na nim i opierając tyłek na jego klatce piersiowej, kolanami przyszpilił mu ręce do ziemi.

– Masz przy sobie jakieś kamienie, kamieniarzu?! – ryknął Henry, a Eddie był bardziej przerażony obłędem w oczach Henry'ego niż bólem w przygniecionych rękach czy niezdolnością do zaczerpnięcia głębszego oddechu. Henry był świrem.

Stojący gdzieś nieopodal Patrick zachichotał.

– Chcesz porzucać se kamieniami? Co? Dam ci kamienie! Masz!

Henry nabrał garść żwiru i posypał nim twarz Eddiego. Zaczął wcierać kamyki w jego skórę, rozcinając mu policzki, powieki i wargi. Eddie otworzył usta i krzyknął.

– Chcesz kamieni? Dam ci! Masz trochę kamieni, kamieniarzu! Chcesz kamieni? No to masz! Masz! Masz!

Kamyki wpadały Eddiemu do ust, rozcinając mu dziąsła i zgrzytając o zęby. Poczuł, jak z plomb w jego zębach tryskają iskry. Ponownie krzyknął i wypluł żwir z ust.

– Chcesz jeszcze trochę kamieni? No jak? Co powiesz na jeszcze trochę? Co…

– Przestań! Dość tego! Przestań. Ej, ty! Puść go! Natychmiast! Słyszysz? Puść go!

Przez na wpół przymknięte, załzawione oczy Eddie zobaczył, jak wielka dłoń opada i chwyta Henry'ego za kołnierz i szelkę roboczych spodni.

Dłoń szarpnęła z całej siły i Henry został ściągnięty z Eddiego. Wylądował na żwirze i wstał. Eddie wstawał nieco wolniej. Próbował się podnieść, ale wyglądało na to, że przynajmniej przez chwilę nie uda mu się tego dokonać. Łapczywie zaczerpnął powietrza, a potem wypluł z ust parę zmieszanych z krwią kawałków żwiru.

Przed nimi stał pan Gedreau ubrany w swój biały fartuch. Wyglądał na rozwścieczonego. Na jego obliczu nie było oznak strachu, pomimo że Henry był o trzy cale wyższy i dobre pięćdziesiąt funtów cięższy od niego. Ale on był dorosłym, a Henry zaledwie wyrostkiem. Tyle że, pomyślał Eddie, teraz to nic nie znaczyło. Pan Gedreau nie potrafił tego pojąć. Nie rozumiał, że Henry jest obłąkany.

– Wynocha stąd – rzucił pan Gedreau, zbliżając się do Henry'ego, tak że stał tuż koło niego. Twarz chłopaka była posępna i szara. – Wynocha stąd i ani mi się waż wracać. Nie lubię tego. Nie znoszę, jak czterech wielkich łobuzów atakuje jednego małego chłopca. Co by sobie pomyślały wasze matki?

Powiódł pełnym wściekłości wzrokiem po twarzach pozostałych. Moose i Victor spuścili głowy i wpatrywali się w czubki butów. Patrick

patrzył gdzieś w przestrzeń mętnym, nieobecnym spojrzeniem. Pan Gedreau spojrzał na Henry'ego i zdołał powiedzieć tylko „zabierajcie swoje rowery", kiedy Bowers popchnął go z całej siły.

Na twarzy pana Gedreau pojawił się wyraz kompletnego zdziwienia, który w innej sytuacji mógłby być zabawny. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, a spod obcasów jego butów wyprysła fontanna żwiru. Uderzył w stopnie prowadzące do drzwi sklepu i usiadł na nich ciężko.

– Dlaczego… – zaczął.

Padł nań cień Henry'ego.

– Wejdź do środka!

– Ty… – powiedział pan Gedreau i nagle umilkł. W końcu zrozumiał, zauważył Eddie, co oznaczają iskierki w oczach Henry'ego. Podniósł się gwałtownie, a jego fartuch zatrzepotał. Szybko wszedł po schodach, potykając się na drugim stopniu od góry i przyklękając na moment na jedno kolano. Wstał błyskawicznie, ale to potknięcie, pomimo że trwało zaledwie chwilę, obdarło go z resztek autorytetu, jakie jeszcze mu pozostały. Stanął na najwyższym stopniu, obrócił się i zawołał: – Dzwonię po gliny!

Henry wykonał gest, jakby chciał się na niego rzucić, a pan Gedreau cofnął się gwałtownie. To

koniec, powiedział sobie Eddie. Choć to było nieprawdopodobne i zdawało się zgoła nie do pomyślenia, nic nie mogło go już ochronić. Najwyższy czas, by zmykać. Podczas gdy Henry stał u podnóża schodów i patrzył na pana Gedreau, a pozostali obserwowali jak urzeczeni (i, z wyjątkiem Patricka Hockstettera, odrobinę zdumieni) ten jedyny w swoim rodzaju spektakl, w którym uległa zszarganiu świętość, jaką stanowiły dla nich do tej pory władza i autorytet osoby dorosłej, Eddie postanowił zaryzykować. Obrócił się na pięcie i popędził ile sił w nogach.

Był już w połowie ulicy, zanim Henry się odwrócił z oczami pałającymi wściekłością.

– Łapcie go! – ryknął.

Niezależnie od tego, czy miał astmę, czy nie, tego dnia Eddie pędził jak strzała. Podczas niektórych odcinków biegu (kilkakrotnie nawet na dystansie pięćdziesięciu stóp) nie pamiętał, czy podeszwy jego trampek dotykały chodnika, czy też nie. Przez parę chwil miał nawet wrażenie, że uda mu się wymknąć ścigającym go chłopakom.

I nagle tuż przed Kansas Street (która mogła dlań oznaczać bezpieczeństwo) Eddiemu zajechał drogę mały chłopiec na trzykołowym rowerku. Eddie chciał go wyminąć, ale biegnąc tak jak

w tej chwili, na pełnym gazie, zrobiłby lepiej, przeskakując nad rowerem (jadący na nim dzieciak nazywał się Richard Cowan; kiedy dorośnie, ożeni się i spłodzi syna Fredericka; dzieciak zostanie utopiony w muszli klozetowej, następnie częściowo pożarty przez istotę, która wyłoni się z toalety jak słup czarnego dymu, a później przybierze niemożliwy do wyobrażenia kształt) albo przynajmniej próbując to zrobić. Jedna ze stóp Eddiego rąbnęła w tylną platformę rowerka, gdzie znajdowało się miejsce dla żądnego przygód odważnego gnojka, który mógł na niej stanąć i tym samym podjąć próbę brawurowej przejażdżki. Richard Cowan, którego syn dwadzieścia siedem lat później zostanie zamordowany przez To, ledwie zakołysał się na swoim trzykołowcu. Eddie zaś runął na ziemię jak ścięty. Rąbnął ramieniem o chodnik, odbił się i ponownie upadł, pokonując ślizgiem dobre dziesięć stóp i zdzierając sobie skórę na łokciach i kolanach. Starał się podnieść, kiedy Henry Bowers trafił go niczym pocisk bazooki i rozciągnął na ziemi. Nos Eddiego rozpłaszczył się na jednej z płyt chodnikowych. Bryznęła krew. Henry wykonał szybki przewrót przez ramię jak spadochroniarz i ponownie się podniósł. Jego oddech, sapiący z powodu

napuchniętego i obłożonego łubkami nosa, był ciepły i wilgotny.

– Chcesz kamieni, kamieniarzu? Pewnie! Ty gnoju! – Wykręcił Eddiemu rękę w nadgarstku. Eddie krzyknął. – Kamienie dla kamieniarza, mam rację, kamieniarzu? – Szarpnął nadgarstek Eddiego jeszcze wyżej do tyłu i Eddie wrzasnął.

Z tyłu, co prawda niewyraźnie, słyszał odgłosy zbliżających się kumpli Bowersa. Dzieciak na rowerku wybuchnął płaczem. Przyłącz się do klubu, mały, pomyślał i pomimo bólu, łez i strachu wybuchnął ochrypłym, szaleńczym śmiechem.

– Uważasz, że to zabawne? – zapytał Henry, a w jego głosie zamiast wściekłości wyczuwało się raczej zdumienie. – Uważasz, że to jest zabawne?

Czy Henry nie sprawiał wrażenia przestraszonego? Wiele lat później Eddie pomyśli, że tak. Sprawiał wrażenie przestraszonego.

Eddie wykręcił nadgarstek w uścisku Henry’ego. Miał rękę mokrą od potu i prawie mu się to udało. Może to dlatego Henry szarpnął nadgarstek Eddiego mocniej niż dotychczas. Eddie usłyszał trzask, jak odgłos gałęzi drzewa w zimie, pękającej pod naporem lodowego

brzemienia. Ból, jaki przeszył jego złamane ramię, był potężny. Zawył, ale ten dźwięk wydawał się odległy. Świat stał się wyprany z kolorów, a kiedy Henry puścił go i popchnął, miał wrażenie, jakby płynął w powietrzu, opadając w stronę chodnika. Minęła dłuższa chwila, zanim zdołał usiąść na ziemi. Kiedy to się stało, widział dokładnie każdą szczelinę pomiędzy płytami chodnika. Podziwiał, w jaki sposób promienie słońca odbijały się w tkwiących w kamieniu kawałkach miki. Zauważył też na wpół zamazany zarys siatki do gry w klasy, narysowanej na chodniku różową kredą. Nagle przez moment linie zafalowały i Eddie miał wrażenie, jakby zmieniły się w coś innego. To wyglądało jak żółw.

Mógł wtedy zemdleć, ale uderzył w chodnik swoim dopiero co złamanym ramieniem i ten świeży ból był ostry, przenikliwy, palący, potworny. Poczuł, jak rozłupane końce kości ze zgrzytem ocierają się o siebie. Przygryzł język aż do krwi. Przetoczył się na plecy i zobaczył stojących nad nim Henry’ego, Victora, Moose’a i Patricka. Wyglądali na niezwykle wysokich i miał wrażenie, jakby stali na jakimś podwyższeniu albo nad grobem, do którego

włożyli go właśnie przed chwilą w otwartej trumnie.

– Podoba ci się to, kamieniarzu? – zapytał Henry, a jego głos to przypływał, to znowu odpływał poprzez kolejne fale bólu. – Podoba ci się? Lubisz takie zabawy?

Patrick Hockstetter zachichotał.

– Twój ojciec jest szalony. – Eddie usłyszał swój własny głos. – Podobnie jak ty.

Uśmiech Henry'ego zgasł równie szybko, jak się pojawił – zupełnie jakby ktoś wymierzył Bowersowi policzek. Cofnął stopę przymierzając się do kopnięcia… i nagle ciszę upalnego popołudnia przeszył jękliwy ryk syren. Henry znieruchomiał. Victor i Moose rozejrzeli się niepewnie wokoło.

– Henry, chyba powinniśmy się stąd wynosić – rzekł Moose.

– Ja się wynoszę! – oświadczył Victor.

Jakże odległe wydawały się ich głosy! Zdawało się, że płyną w powietrzu jak balony klowna. Victor odszedł w stronę biblioteki i aby nie iść ulicą, skręcił do McCarron Park. Henry wahał się jeszcze przez chwilę – być może miał nadzieję, że gliny pojadą gdzie indziej, a on będzie mógł dokończyć dzieła. Jednak odgłos syreny wyraźnie się przybliżał.

– Masz szczęście, dupku – wysyczał i ruszył z Moose'em w ślad za Victorem.

Patrick Hockstetter odczekał jeszcze chwilę.

– Mam dla ciebie coś ekstra – wyszeptał ochrypłym, nieco zdyszanym głosem. Chrząknął, a potem splunął zieloną flegmą prosto w uniesioną, zakrwawioną twarz Eddiego. – Tfu! Nie musisz zeżreć wszystkiego naraz, jeżeli nie chcesz – powiedział Patrick, uśmiechając się głupkowato. – Zostaw sobie trochę na później. – To rzekłszy, odwrócił się powoli i chwilę potem już go nie było. Eddie próbował zetrzeć flegmę zdrową ręką, ale nawet tak nieznaczny ruch spowodował kolejną falę bólu.

Po ucieczce z drugstore'u nigdy byś nie przypuszczał, że skończysz na chodniku przy Costello Avenue, ze złamaną ręką i smarkami Patricka Hockstettera rozmazanymi po całej twarzy, no nie? Nawet nie zdążyłeś wypić swojej pepsi. Życie jest pełne niespodzianek, nieprawdaż?

Nagle Eddie wybuchnął śmiechem. To był słaby śmiech i spowodował ponowny napływ bólu do uszkodzonego ramienia, ale jednocześnie czuł się wspaniale. No i było coś jeszcze – jego astma zniknęła. Oddychał swobodnie, przynajmniej na razie. To dobrze. W obecnym

stanie nijak nie zdołałby sięgnąć po swój aspirator.

Odgłos syren brzmiał teraz bardzo blisko, zawodząc jękliwie. Eddie zamknął oczy i zobaczył czerwień pod powiekami. Potem, kiedy padł na niego cień, czerwień zmieniła się w czerń. To był mały dzieciak z rowerkiem.

– Dobrze się czujesz? – spytał dzieciak.

– A wyglądam, jakbym się dobrze czuł?

– Nie. Wyglądasz okropnie – rzekł dzieciak, po czym odjechał, podśpiewując pod nosem *The Farmer in the Dell*.

Eddie zaczął chichotać. Wóz policyjny zatrzymał się; słyszał zgrzyt hamulców. Miał nadzieję, że w wozie będzie się znajdował pan Nell, chociaż wiedział, że Irlandczyk chodził na patrole, nie jeździł.

Czego ty, u diabła, się śmiejesz? Nie wiedział, podobnie jak nie miał pojęcia, czemu, pomimo potwornego bólu, odczuwał wprost niewysłowioną ulgę. Może to dlatego, że nadal żył, a najgorsze, co mu się przytrafiło, to złamana ręka i w zasadzie wciąż jeszcze był w jednym kawałku.

Odpowiedzi na to pytanie udzielił sobie dopiero po latach, kiedy siedział w bibliotece ze szklaneczką ginu z sokiem śliwkowym, stojącą na

stole tuż przed nim, i aspiratorem znajdującym się stale pod ręką, mówiąc pozostałym, że to chodziło o coś więcej – był dostatecznie duży, aby poczuć coś więcej, ale wówczas nie potrafił tego pojąć ani tym bardziej zdefiniować.

– Wydaje mi się, że to był pierwszy prawdziwy ból, jaki poczułem w życiu – powie. – To nie było tak, jak sobie wyobrażałem. Wcale mnie to nie zabiło. Myślę… że dzięki temu uzyskałem podstawę do porównań… Dowiedziałem się, że można żyć w bólu i pomimo bólu.

Eddie powoli odwrócił głowę i zobaczył wielkie opony firmy Firestone, błyszczące chromowane dekle i pulsujące niebieskie światła. A potem usłyszał charakterystyczny głos pana Nella, głos irlandzkiego gliniarza, bardziej przypominający głos Richiego, kiedy próbował go naśladować… ale może stało się tak z powodu odległości, jaka ich dzieliła.

– Jejzu świenty, toż to chopak Kaspbraków!

I w tej samej chwili Eddie odpłynął w czerń.

4

I przebywał w niej z jednym wyjątkiem przez dłuższy czas. Kiedy jechał ambulansem, na krótką chwilę odzyskał świadomość. Zobaczył

pana Nella, który siedział naprzeciw niego, popijał z małej brązowej buteleczki i czytał jakąś powieść w broszurowym wydaniu. Książka nosiła tytuł *I the Jury*.

Dziewczyna na okładce miała największe cycki, jakie Eddie widział w życiu. Przesunął wzrok w stronę kierowcy siedzącego z przodu. Kierowca obejrzał się przez ramię i spojrzał na Eddiego z wielkim ironicznym uśmiechem; jego skóra były pokryta białą szminką i talkiem, a oczy lśniły niczym nowe ćwierćdolarówki. To był Pennywise.

– Panie Nell – wyszeptał Eddie. Pan Nell uniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Jak się czujesz, chłopcze? Zaraz będziemy na miejscu – rzekł i podał mu małą brązową butelkę. – Łyknij se. Poczujesz siem lepi.

Eddie wypił łyk czegoś, co smakowało jak płynny ogień. Kaszlnął i ponownie uraził się w rękę. Spojrzał na przód samochodu i znowu zobaczył kierowcę. To był zwykły przeciętny facet, ostrzyżony na jeża. Na pewno nie klown.

Ponownie odpłynął w mrok.

Dużo później znalazł się na oddziale nagłych wypadków i pielęgniarka wytarła krew, kurz, smarki i żwir wilgotną, chłodną szmatką. To bolało, ale jednocześnie było cudowne. Słyszał,

jak jego matka ryczy i wyje na korytarzu, i próbował powiedzieć pielęgniarce, żeby jej tu nie wpuszczała, ale pomimo że się bardzo starał, z jego ust nie dobyły się żadne słowa.

– …jeżeli on umiera, to chcę to wiedzieć! – wrzeszczała. – Słyszy mnie pan? Mam prawo to wiedzieć i mam prawo go zobaczyć! Mogę pozwać pana do sądu! Znam prawników. Wielu prawników! Kilku z moich najlepszych przyjaciół jest prawnikami!

– Nic nie mów – powiedziała pielęgniarka do Eddiego. Była młoda i czuł na ramieniu nacisk jej piersi. Na moment przez głowę przemknęła mu myśl, że tą pielęgniarką była Beverly Marsh, a potem znowu odpłynął.

Kiedy powrócił, w pokoju była jego matka i zasypywała doktora Handora lawiną słów. Wypluwała je z prędkością karabinu maszynowego.

Sonia Kaspbrak była wielką kobietą. Jej nogi opięte pończochami były grube jak stołowe nogi, ale dziwnie gładkie. Miała bladą twarz, z wyjątkiem dwóch nierówno nałożonych placków różu na policzkach.

– Mamo… – wykrztusił Eddie… – w porządku… nic mi nie jest.

– Wcale nie, wcale nie – jęknęła pani Kaspbrak. Załamała ręce. Eddie usłyszał trzask kostek jej palców i chrzęst stawów. Poczuł, że oddech robi mu się coraz płytszy, kiedy dostrzegł, w jakim była stanie, jaki ból sprawiła jej jego ostatnia eskapada.

Chciał jej powiedzieć, żeby się uspokoiła, bo dostanie ataku serca, ale nie mógł. Gardło miał zbyt suche.

– Wcale nie jest w porządku. Jest z tobą źle. Miałeś poważny wypadek, bardzo poważny wypadek, ale wyzdrowiejesz, przyrzekam ci to, Eddie, wyzdrowiejesz, nawet gdybym musiała załatwić ci najlepszego lekarza specjalistę, och, Eddie… mój biedny Eddie… twoje biedne ramię. – Zaczęła płakać. Eddie zobaczył, że pielęgniarka, która umyła mu twarz, przyglądała się jej bez odrobiny sympatii.

Przez całą tę arię doktor Handor, jąkając się, mówił:

– Soniu… proszę, Soniu… Soniu.

Był chudym, z wyglądu słabym mężczyzną z małym, nierówno przyciętym wąsikiem, który po lewej stronie był dłuższy niż po prawej. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Eddie przypomniał sobie, co pan Keene powiedział mu tego ranka, i zrobiło mu się żal doktora Handora.

W końcu Russ Handor wziął się w garść i powiedział:

– Jeżeli się nie uspokoisz, Soniu, będziesz musiała opuścić pokój.

Odwróciła się do niego tak gwałtownie, że aż się cofnął.

– Nie ma mowy. Niech pan nawet nie próbuje mi tego sugerować! Mój syn leży tu w agonii! Mój syn spoczywa na łożu boleści!

Eddie zadziwił ich wszystkich, odzywając się nieoczekiwanie:

– Chcę, żebyś wyszła, mamo. Jeżeli oni mają zrobić coś, co sprawi, że będę krzyczał, a chyba na to się zanosi, poczujesz się lepiej, kiedy cię tu nie będzie.

Odwróciła się do niego zaskoczona… i urażona. Gdy zobaczył wyraz bólu, jaki odmalował się na jej twarzy, poczuł, że jego klatka piersiowa nieubłaganie zaczęła się zaciskać.

– Nic z tego! – krzyknęła. – To okropne, co mówisz, Eddie! Ty majaczysz! Nie zdajesz sobie sprawy, co mówisz! To jedyne wyjaśnienie!

– Nie wiem, jakie jest wyjaśnienie, i wcale mnie to nie obchodzi – wtrąciła się pielęgniarka. – Wiem tylko, że stoimy tu bezczynnie, podczas gdy powinniśmy nastawić ramię pani synowi.

– Czy sugeruje pani… – zaczęła Sonia, a jej głos przybrał charakterystyczny wysoki ton, jak to zwykle się działo, gdy była wyjątkowo zdenerwowana.

– Proszę, Soniu – rzekł doktor Handor. – Nie kłóćmy się tutaj. Pomóżmy Eddiemu.

Sonia cofnęła się, ale jej płonące oczy – oczy niedźwiedzicy, której małe były zagrożone – obiecywał pielęgniarce, że prawdziwe kłopoty czekają ją później. Kłopoty, a kto wie, może nawet proces sądowy.

I nagle jej oczy zamgliły się, a widniejąca w nich poświata wygasła, a przynajmniej została dobrze zakamuflowana. Ujęła Eddiego za zdrową rękę i ścisnęła ją tak mocno, że aż się skrzywił.

– Jesteś bardzo chory, ale już wkrótce wyzdrowiejesz – powiedziała. – Niebawem. Przyrzekam ci to.

– Tak, mamo – wyszeptał Eddie. – Czy mogę dostać aspirator?

– Oczywiście – odparła. Sonia Kaspbrak spojrzała triumfalnie na pielęgniarkę, jak oczyszczona z irracjonalnego zarzutu oskarżona przy wyjściu z sali sądowej. – Mój syn ma astmę – oznajmiła. – To dość poważne, ale doskonale sobie z tym radzi.

– To świetnie – odparła beznamiętnie pielęgniarka.

Matka potrzymała mu aspirator, aby mógł wciągnąć do płuc odrobinę jego zawartości. Chwilę później doktor Handor zaczął obmacywać palcami złamaną rękę Eddiego. Robił to jak najdelikatniej, ale i tak ból był ogromny. Eddie miał chęć wrzeszczeć i z całej siły zacisnął zęby. Bał się, że jeżeli zacznie wyć, matka również będzie krzyczeć. Wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło.

– Sprawia mu pan ból – powiedziała pani Kaspbrak. – Wiem, że tak jest. To zupełnie niepotrzebne! Nie musi pan sprawiać mu bólu! On jest bardzo delikatny, nie zniesie takiego bólu!

Eddie zauważył, jak przepełnione gniewem oczy pielęgniarki odszukały spojrzeniem zmęczone, zatroskane oczy Russa Handora. Dostrzegł niemą wymianę zdań pomiędzy nimi.

„Niech pan wyprosi stąd tę kobietę, doktorze”. W jego smętnym spojrzeniu wyczytał odpowiedź: „Nie mogę. Nie odważę się”. Ból sprawiał, że jego umysł był wyjątkowo przejrzysty (choć Eddie nie miał ochoty doświadczać tego uczucia zbyt często – cena była zbyt wysoka) i podczas tej milczącej rozmowy Eddie uwierzył we wszystko, co

powiedział mu tego dnia pan Keene. Jego aspirator nie był wypełniony niczym więcej prócz wody z odrobiną kamfory. Astma nie ulokowała się w jego gardle, klatce piersiowej czy płucach – tylko w głowie.

Będziesz musiał jakoś pogodzie się z tym faktem. Spojrzał na matkę; teraz, nękany bólem, widział ją wyjątkowo wyraźnie – dostrzegał każdy kwiatek na jej sukience, plamy potu pod pachami i zagniecenia na butach. Widział, jak małe były jej oczy ukryte pośród zwałów ciała, i nagle potworna myśl przyszła mu do głowy – te oczy przypominały ślepia drapieżnika albo oczy trędowatego, który wyczołgał się z piwnicy domu na Neibolt Street 29.

To ci nic nie da… Nie możesz uciec, Eddie… Doktor Handor łagodnie położył dłonie na złamanej ręce Eddiego i zacisnął palce. Nastąpiła eksplozja bólu. Eddie odpłynął.

5

Dali mu trochę płynu do picia, a doktor Handor nastawił złamane ramię. Usłyszał, jak mówił jego mamie, że kość jest jeszcze młoda, szybko się zrośnie i w sumie uszkodzenie nie jest poważne.

– Tego typu złamań dzieciaki nabawiają się, spadając z drzew.

Eddie usłyszał, jak jego matka odparowała z wściekłością:

– Eddie nie łazi po drzewach! A teraz chcę znać prawdę! Jak źle z nim jest?

Potem pielęgniarka dała mu pigułkę. Ponownie poczuł nacisk jej piersi na swoim ramieniu i z wdzięcznością powitał to uczucie. Nawet przez mgiełkę widział, że pielęgniarka była wściekła, i wydawało mu się, że powiedział: „Ona nie jest trędowata, proszę, niech pani tak o niej nie myśli, ona pożera mnie z miłości”. Ale być może w ogóle nic nie powiedział, bo wściekły grymas na twarzy pielęgniarki nie zmienił się ani trochę.

Słabo, ale przypominał sobie, jak przewożono go na wózku przez długi korytarz i gdzieś z tyłu za plecami rozległ się cichy, prawie niesłyszalny głos matki:

– Co pan ma na myśli, mówiąc „godziny odwiedzin”? Niech mi pan nie mówi o żadnych godzinach odwiedzin, przecież to mój syn!

Cichł. Cieszył się, że jej głos cichł, i cieszył się, że odpływał. Ból zniknął, a wraz z nim jasność umysłu. Nie chciał myśleć. Chciał odpłynąć. Wiedział, że jego prawe ramię było bardzo

ciężkie. Zastanawiał się, czy już włożyli mu rękę w gips. Nie mógł obrócić głowy, aby to sprawdzić. Słyszał na wpół przytłumione dźwięki radia dochodzące z pokojów, dostrzegał pacjentów, przechodzących tam i z powrotem korytarzem, wyglądających jak duchy w długich szpitalnych szlafrokach, i czuł, że było gorąco… bardzo gorąco.

Kiedy wtoczono go do pokoju, zobaczył zachodzące słońce, jak wielki wściekły pomarańczowy pęcherz pełen krwi, i nagle spośród chaosu wyłoniła się błędna myśl – jak wielki guzik olbrzymiego klowna.

– Wstań, Eddie, możesz chodzić – usłyszał głos, ale okazało się, że zdołał zrobić tylko parę kroków. Wślizgnął się pomiędzy świeże, szorstkie prześcieradła. Dalej usłyszał, że nocą ból może mu trochę doskwierać, ale żeby nie wzywał pielęgniarki ze środkami przeciwbólowymi, chyba że będzie naprawdę źle. Eddie spytał, czy mógłby napić się wody. Przyniesiono mu szklankę z wodą i rurkę uformowaną pośrodku w harmonijkę, żeby można ją było zgiąć. Woda była chłodna i dobra. Wypił całą szklankę.

W nocy pojawił się ból. I naprawdę ostro dał mu się we znaki. Leżał w łóżku, nie śpiąc, trzymając w lewej ręce aparat do przywołania

pielęgniarki, ale nie naciskał guzika. Na zewnątrz szalała burza, a kiedy niebo rozświetlały błękitnobiałe błyskawice, odwracał głowę od okna w obawie, że mógłby zobaczyć tam monstrualną, uśmiechniętą twarz klowna. W końcu usnął ponownie i przyśnił mu się sen. Zobaczył w nim Billa, Bena, Richiego, Stana, Mike'a i Bev – swoich przyjaciół – którzy przyjeżdżali do szpitala na rowerach (Bill podwoził Richiego na swoim Silverze). Z prawdziwym zdumieniem ujrzał, że Beverly miała na sobie sukienkę – cudowną zieloną sukienkę o barwie Karaibów na mapie w „National Geographic". Nie mógł sobie przypomnieć, czy już kiedyś widział ją w sukience – pamiętał, że nosiła dżinsy, szorty i coś, co dziewczyny nazywają „szkolnym wdziankiem", to jest spódniczki i bluzki, zazwyczaj białe, z okrągłymi kołnierzykami, albo spódniczki brązowe, plisowane i długie, żeby zasłaniały kolana.

We śnie zobaczył ich, jak pojawili się w szpitalu o drugiej, kiedy to rozpoczynały się godziny odwiedzin, a matka, która czekała cierpliwie od jedenastej, krzyczała na nich tak głośno, że wszyscy spuścili nosy na kwintę i odwrócili wzrok.

– Jeśli wydaje się wam, że tam wejdziecie, to się grubo mylicie! – krzyczała matka Eddiego, a klown, który przez cały czas siedział w poczekalni (w rogu pod ścianą, ale aż do teraz zasłaniał twarz rozłożonym egzemplarzem pisma „Look”), podskoczył i bezgłośnie, lecz entuzjastycznie zaczął bić brawo wielkimi dłońmi w olbrzymich białych rękawicach. Pląsał i tańczył, okręcił się na pięcie i zrobił zgrabne salto w tył, podczas gdy pani Kaspbrak wygłaszała tyradę do grupki przyjaciół Eddiego, a Frajerzy, jeden po drugim, wycofywali się za Billa, który stał nieruchomo pobladły, ale spokojny, wcisnąwszy obie ręce w kieszenie dżinsów (może robił to po to, aby nikt łącznie z nim samym nie zauważył, czy te dłonie drżały). Nikt nie widział klowna oprócz Eddiego… chociaż dziecko, które do tej pory spało spokojnie w ramionach matki, obudziło się i zaczęło przejmująco szlochać. – Dość już narobiliście złego! – wykrzyknęła matka Eddiego. – Wiem, kim byli ci chłopcy! Mieli problemy w szkole, a nawet mieli już kłopoty z policją! I tylko dlatego, że ci chłopcy mają coś przeciwko wam, nie ma powodu, aby mieli coś przeciwko niemu. Powiedziałam mu to, a on przyznał mi rację. Mam wam przekazać, abyście odeszli i już nigdy

więcej się z wami nie spotka. Nie życzy sobie waszej tak zwanej przyjaźni. Nie chce was widzieć. Żadnego z was! Wiedziałam, że przez was napyta sobie biedy, i spójrzcie tylko! Mój Eddie w szpitalu! Chłopiec tak delikatny jak on…

Klown pląsał, podskakiwał, robił szpagaty i stójki na jednej ręce. Jego uśmiech był obecnie bardzo realny i w swoim śnie Eddie uświadomił sobie, że to było dokładnie to, do czego klown dążył – aby rozbić trwałą strukturę ich grupy, rozdzielić ich i zniweczyć wszelkie szanse na jakiekolwiek zjednoczone działanie.

W iście plugawej ekstazie klown zrobił podwójnego koziołka i karykaturalnym gestem pocałował jego matkę w policzek.

– C-c-ci chłopcy, k-k-którzy t-to z-z-zrobili… – zaczął Bill.

– Ani się waż do mnie odzywać! – ryknęła pani Kaspbrak. – Ani się waż do mnie odzywać! Powiedziałam, że on już z wami skończył! To koniec!

I wtedy internistka wbiegła do poczekalni i powiedziała matce Eddiego, żeby zachowywała się ciszej, bo w przeciwnym razie będzie musiała opuścić szpital. Klown zaczął się rozmywać, bladł i jednocześnie zmieniał swe oblicze. Eddie zobaczył trędowatego, mumię, ptaka, wilkołaka

i wampira, którego zęby były ostrzami żyletek wbitymi w dziąsła pod najdziwniejszymi kątami, jak zwierciadła w lustrzanym labiryncie wesołego miasteczka; zobaczył potwora Frankensteina i coś cielisto-skorupowatego, co otwierało się i zamykało niczym olbrzymie usta. Zobaczył tuzin innych potwornych istot, setkę. Jednak zanim klown zniknął zupełnie, zobaczył najpotworniejsze ze wszystkich jego wcieleń – To miało twarz jego matki.

Chciał krzyczeć: Nie! Nie ona! Nie moja matka!

Ale nikt się nie obejrzał. Nikt go nie usłyszał. I kiedy sen zaczął przemijać, w tej krótkiej, zatrważającej chwili zrozumiał ze zgrozą, że obecnie nikt nie mógł go usłyszeć. Bo Eddie nie żył. To go zabiło i teraz Eddie był martwy. Był duchem.

6

Uczucie gorzko-słodkiego triumfu, jakie ogarnęło Sonię Kaspbrak z powodu wyrzucenia ze szpitala grupki tak zwanych przyjaciół Eddiego, przeminęło równie szybko, jak się pojawiło – w momencie kiedy po południu następnego dnia, to jest 21 lipca, weszła do pokoju, gdzie leżał jej syn. Nie potrafiła

powiedzieć, czemu to uczucie triumfu wygasło ani, tym bardziej, dlaczego zastąpił je bliżej niesprecyzowany lęk. W twarzy syna dostrzegła coś, czego nigdy dotąd tam nie widziała, coś, co nie było ani strachem, ani niepokojem – nieznany grymas. Wyraz czujności, determinacji i opanowania. Konfrontacja pomiędzy przyjaciółmi Eddiego a jego matką nie rozegrała się w poczekalni – jak w jego śnie; wiedziała, że się zjawią „przyjaciele" Eddiego, gnojki, które najprawdopodobniej, pomimo że miał astmę, uczyły go palić papierosy, pętaki, które miały na niego taki wielki wpływ, że kiedy przychodził do domu wieczorami, przez cały czas mówił tylko o nich, łobuzy, przez których miał teraz złamaną rękę. Opowiedziała o tym wszystkim swojej sąsiadce, pani Van Prett.

– Nadszedł czas – rzekła pani Kaspbrak – aby wyłożyć parę kart na stół.

Pani Van Prett, która miała potworne problemy ze skórą i prawie zawsze, niemal żałośnie, zgadzała się ze wszystkim, co mówiła Sonia Kaspbrak, tym razem odważyła się mieć odmienne zdanie.

– Ja bym się cieszyła, wiedząc, że ma kilkoro przyjaciół – powiedziała, kiedy wczesnym rankiem przed pracą obie wieszały pranie (było

to w pierwszym tygodniu lipca). – Poza tym gdy przebywa z innymi dzieciakami, jest bezpieczniejszy. Nie sądzi pani, pani Kaspbrak? Biorąc pod uwagę to, co się dzieje w naszym mieście, po tym jak zamordowano te wszystkie dzieciaki?

Pani Kaspbrak odpowiedziała tylko wściekłym sapnięciem (dopiero później zdołała wymyślić kilka właściwych odpowiedzi – niektóre zresztą nad wyraz cięte), a kiedy pani Van Prett zadzwoniła do niej wieczorem (odrobinę zaniepokojona) i spytała, czy pani Kaspbrak pójdzie z nią jak zwykle do Beano, w St. Mary's, ta odparła chłodno, że woli mimo wszystko zostać w domu i dać trochę odpocząć nogom.

Tak, miała nadzieję, że teraz pani Van Prett była w pełni usatysfakcjonowana. I liczyła, że sąsiadka obecnie nie będzie uważała za jedyne zagrożenie czającego się gdzieś w Derry lubieżnego zboczeńca, który mordował małe dzieci i nastolatki.

Przecież jej syn leżał w tej chwili w szpitalu na łożu boleści i kto wie, może już nigdy nie będzie władał złamaną ręką – słyszała o takich przypadkach – albo też, uchowaj Boże, odłamki kości mogły dostać się do jego krwiobiegu,

dotrzeć do serca, przebić je i zabić go. Och, oczywiście Bóg nigdy by na coś takiego nie pozwolił, ale ona słyszała o takich przypadkach, a więc jednak czasami Bóg pozwalał, aby coś takiego się wydarzyło. Czasami.

Dlatego też siedziała na długiej zacienionej werandzie szpitala, wiedząc, że tamci się pokażą, i z pełną determinacją zamierzała odpłacić tej pożałowania godnej bandzie za to, co przydarzyło się jej synowi, za jego złamaną rękę, ból, jaki niewątpliwie musiał teraz cierpieć; odechce im się tej tak zwanej przyjaźni – i to raz na zawsze!

W końcu się pojawili, dokładnie tak jak przypuszczała, i ku swemu przerażeniu zobaczyła, że był wśród nich czarnuch. Nie żeby miała cokolwiek przeciwko czarnuchom, uważała, że każdy człowiek, nawet na Południu, ma prawo wsiąść do autobusu i jechać, dokąd mu się żywnie podoba, jeść w restauracjach dla białych, podobnie jak nie należy sadzać czarnuchów w kinie w odrębnych sektorach – przynajmniej dopóty, dopóki nie napastują białych (*kobiet*) ludzi, jednak w swoich wywodach opierała się na czymś, co określała mianem ptasiej teorii: kosy trzymały się z innymi kosami, a nie z drozdami. Kawki skrzeczały

między sobą, nie mieszając się z wróblami czy słowikami. „Trzymaj się ze swoimi” – było podstawowym mottem, więc gdy zobaczyła Mike’a Hanlona pedałującego wraz z pozostałymi, zupełnie jakby do nich przynależał, widok ten dodał jej odwagi, a jednocześnie wzbudził w niej gniew i konsternację. Nigdy mi nie mówiłeś, że jeden z twoich „przyjaciół” jest czarnuchem, pomyślała.

Tak też pomyślała dwadzieścia minut później, gdy wchodziła do pokoju szpitalnego, w którym z ręką w gipsie leżał jej cierpiący syn (bolało ją serce, kiedy na niego patrzyła), i odesłała ich stąd raz-dwa. Nie sądziła, że to jej pójdzie tak łatwo. Żaden z nich, z wyjątkiem małego Denbrough, tego, który tak strasznie się jąkał, nie odważył się do niej odezwać. Dziewczyna, kimkolwiek była, łypnęła tylko oczyma na Sonię (miała spojrzenie dziwki, jak zauważyła pani Kaspbrak, musi pochodzić z Lower Main Street albo jakiegoś jeszcze gorszego miejsca), ale przynajmniej trzymała buzię na kłódkę. Gdyby odważyła się choć pisnąć, Sonia dałaby jej solidną lekcję. Powiedziałaby jej, jakie dziewczyny trzymają się towarzystwa chłopców. Istniały określenia na takie dziewczęta, a ona nie życzyła sobie, żeby jej

syn przebywał w towarzystwie nazywanej takim mianem „panienki”.

Inni po prostu spuścili wzrok, wpatrując się w końce własnych butów i przestępując z nogi na nogę. Dokładnie tego się spodziewała. Powiedziała, co miała do powiedzenia, a tamci wsiedli na swoje rowery i odjechali. Ten młody Denbrough zabrał na swój wielki, niezgrabny rower małego Toziera, a pani Kaspbrak poczuła naraz gdzieś pod sercem ukłucie niepokoju i zaczęła się zastanawiać, ile razy Eddie jechał z nim na tym niebezpiecznym rowerze, naturalnie ryzykując upadek, a co za tym idzie, uszkodzenie rąk, nóg, a nawet skręcenie karku i śmierć. Zrobiłam to dla ciebie, Eddie, pomyślała i weszła do szpitala z podniesioną głową. Wiem, że z początku możesz być rozczarowany – to całkiem normalne. Ale rodzice wiedzą lepiej, co jest dobre dla ich dzieci; to dlatego Bóg stworzył najpierw rodziców, aby doradzali, instruowali… i chronili. Po wstępnym rozczarowaniu przyjdzie zrozumienie. A jeśli ona odczuwała teraz ulgę, to znaczy, że zrobiła to wszystko dla dobra Eddiego, a nie dla siebie. Ulgi można się było spodziewać tylko wówczas, gdy próbowało się wydostać własnego syna spod wpływu złego towarzystwa.

Tyle że teraz, kiedy wpatrywała się w oblicze Eddiego, ulgę w jej wnętrzu zaczynał z wolna zastępować niepokój. Jej syn nie spał, tak jak początkowo przypuszczała. Zamiast obudzić się z narkotycznego snu otępiały, zdezorientowany i uległy, Eddie sprawiał wrażenie czujnego, zdeterminowanego i opanowanego – a jego spojrzenie nie było jak zawsze łagodne i potulne. Podobnie jak Ben Hanscom (choć Sonia o tym nie wiedziała), Eddie należał do dzieci, które nigdy nikomu długo się nie przyglądały – ot, jedno krótkie spojrzenie, jakby w celu sprawdzenia emocjonalnej „pogody" danej osoby, a potem błyskawicznie odwracały wzrok. Ale teraz on wpatrywał się w nią bez zmrużenia powiek (Może to przez te lekarstwa, pomyślała. Oczywiście że tak; będę musiała porozmawiać na temat jego lekarstw z doktorem Handorem) i to ona w końcu musiała odwrócić wzrok.

Wygląda, jakby na mnie czekał, pomyślała i ta myśl wprawiła ją w radosny nastrój – chłopiec czekający na swoją matkę z całą pewnością musi być jednym z najulubieńszych tworów Boga…

– Odesłałaś moich przyjaciół. – To nie było pytanie, raczej stwierdzenie faktu.

Cofnęła się jakby pod wpływem poczucia winy i rzeczywiście poczuła się winna; potok

myśli przetoczył się pod jej czaszką. Skąd on to wiedział? – zapytała samą siebie w duchu. On nie mógł o tym wiedzieć! I natychmiast poczuła wściekłość. Była wściekła na siebie (i na niego) za swoje wewnętrzne odczucia. A potem się uśmiechnęła.

– Jak się dziś czujemy, Eddie?

To była właśnie odpowiedź. Ktoś – jakiś głupi sprzątacz albo może nawet ta niekompetentna, wrogo do niej nastawiona pielęgniarka, którą spotkała poprzedniego dnia – doniósł mu o tym. Ktoś musiał mu donieść.

– No to jak się czujemy, Eddie? – powtórzyła, kiedy nie odpowiedział. Pomyślała, że jej nie usłyszał. Nigdy dotąd nie czytała, aby złamanie kości w ręku mogło wpłynąć negatywnie na zmysł słuchu, ale przypuszczała, iż to możliwe. Wszystko było możliwe. Eddie w dalszym ciągu nie odpowiadał. Weszła dalej do pomieszczenia i poczuła niepokój i niepewność. Nienawidziła tego, bo nigdy dotąd, gdy przebywała w pobliżu Eddiego, nie czuła się równie nieswojo. Wraz z niepokojem i niepewnością pojawił się gniew albo raczej zarzewie gniewu. Jakie on miał prawo traktować ją w ten sposób, sprawiać, aby się tak czuła? Po tym wszystkim, co dla niego zrobiła, po tym wszystkim, co dla niego poświęciła?

– Rozmawiałam z doktorem Handorem i zapewnił mnie, że w pełni wrócisz do zdrowia – powiedziała energicznie Sonia Kaspbrak, siadając na krześle przy łóżku. – Oczywiście gdyby były choćby najdrobniejsze komplikacje, pojedziemy do specjalisty w Portlandzie. Jeżeli będzie trzeba, to nawet do Bostonu. – Uśmiechnęła się, jakby ukontentowana wielką łaską, którą mu wyświadczyła.

Eddie nie odpowiedział jej uśmiechem. I nadal nic nie mówił.

– Eddie, słyszysz mnie?

– Odesłałaś moich przyjaciół – powtórzył.

– Tak – odparła bezceremonialnie i umilkła. Mogli oboje grać w tę samą grę. Po prostu na niego patrzyła.

Ale nagle stała się rzecz dziwna – naprawdę okropna, przerażająca – miała wrażenie, że oczy Eddiego zaczęły się… powiększać. Widoczne w nich szare płatki poczęły się poruszać niczym chmury burzowe. Nagle zdała sobie sprawę, że on już nie był tym samym, potulnym, spokojnym dzieckiem. Był na nią wściekły… i nieoczekiwanie Sonia poczuła strach, bo w tym pomieszczeniu oprócz jej syna jak gdyby znajdowało się coś jeszcze. Spuściła wzrok i zaczęła niezdarnie

otwierać torebkę. Potem przez chwilę grzebała w niej, szukając chusteczki.

– Tak, odesłałam ich – odparła i zrozumiała, że dopóki na niego nie patrzy, jej głos jest w miarę spokojny i silny. – Doznałeś poważnych uszkodzeń ciała, Eddie. Nie potrzebujesz teraz żadnych gości, z wyjątkiem swojej mamy, a tacy goście jak twoi „koledzy” są ci w ogóle niepotrzebni. Gdyby nie oni, oglądałbyś teraz w domu telewizję albo budowałbyś w garażu swój pudełkowy ścigacz.

Marzeniem Eddiego było zrobienie pudełkowego ścigacza i przewiezienie go do Bangor. Gdyby wygrał tamtejszy konkurs, mógłby w nagrodę pojechać do Akron w Ohio na Ogólnokrajowe Derby Ścigaczy Pudełkowych. Sonia pozwalała mu mieć nadzieję dopóty, dopóki była pewna, że wykonanie ścigacza – do którego budowy miały zostać użyte skrzynie po pomarańczach i kółka od starej lokomotywki – pozostawało jedynie w sferze marzeń. Nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić Eddiemu, aby ryzykował życie w tak niebezpiecznym pojeździe, czy to w Derry, czy w Bangor, czy tym bardziej w Akron, do którego (jak ją poinformował Eddie) organizowano przelot samolotem, a już na pewno nie dałaby mu

zjechać ze stromego wzgórza w pudle po pomarańczach zaopatrzonym w niewielkie kółka i rzecz jasna niemającym hamulców. Ale jak mawiała jego matka, czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal (często używała także powiedzenia „Powiedz prawdę i zawstydź diabła”; kiedy przychodziło do przypominania sobie aforyzmów, Sonia robiła to nad wyraz selektywnie).

– To nie moi przyjaciele złamali mi rękę – rzekł Eddie tym samym cichym głosem. – Powiedziałem to doktorowi Handorowi zeszłego wieczoru i panu Nellowi, kiedy zjawił się tu dziś rano. To Henry Bowers złamał mi rękę. Byli z nim inni chłopcy, ale zrobił to właśnie Henry. Gdybym był wtedy z przyjaciółmi, nigdy by do tego nie doszło. Byłem jednak sam.

To przypomniało Soni słowa pani Van Pratt, że bezpieczniej jest mieć przyjaciół, i ponownie wezbrał w niej gniew. Uniosła gwałtownie głowę.

– To nie ma znaczenia i dobrze o tym wiesz. Co ty sobie myślisz, Eddie? Że ja się urodziłam wczoraj? Tak sobie myślisz? Dobrze wiem, dlaczego ten Bowers złamał ci rękę. Ten irlandzki glina był również w naszym domu. Bowers uszkodził ci rękę, bo ty i twoi „koledzy” w jakiś sposób go rozwścieczyliście. A teraz się zastanów,

czy to by się wydarzyło, gdybyś mnie posłuchał i tak jak ci kazałam, trzymał się z dala od tych dzieciaków?

– Nie, myślę, że mogłoby się stać coś o wiele gorszego – oznajmił Eddie.

– Eddie, chyba nie mówisz tego poważnie.

– Jak najbardziej – odparł i poczuł moc wypływającą z niego falami. – Bill i reszta moich przyjaciół wrócą, mamo. Wiem o tym. I kiedy powrócą, nie zdołasz ich powstrzymać. Nic im nie powiesz. To moi przyjaciele i nie odbierzesz mi ich tylko dlatego, że boisz się samotności.

Spojrzała na niego zdumiona i przerażona. Łzy napłynęły jej do oczu i spłynęły po policzkach, zraszając znajdujący się na nich puder.

– I jak ty teraz do mnie mówisz… – powiedziała przez łzy. – Może to właśnie tak ci twoi „koledzy” odzywają się do swoich rodziców. Sądzę, że właśnie od nich się tego nauczyłeś.

Płacząc, czuła się bezpieczniejsza. Zwykle kiedy płakała, Eddie również się rozklejał. Ktoś mógłby powiedzieć, że to perfidna broń, ale kiedy w grę wchodziło dobro jej syna, czyż cel nie uświęcał środków? Uznała, że w obecnej sytuacji może sobie na to pozwolić. Uniosła wzrok, łzy spływały strużkami z jej oczu; czuła

się zasmucona, przygnębiona, zdradzona – ale pomimo to bezpieczna. Eddie nie wytrzyma takiej dawki łez i smutku. To okropne, lodowate spojrzenie zniknie z jego oblicza. Może zacznie się dusić i z trudem chwytać powietrze, a to będzie oznaką – jak zawsze zresztą – że walka została zakończona, że odniosła kolejne zwycięstwo… dla niego, ma się rozumieć. Bo ona zawsze robiła to tylko dla niego.

Była zszokowana, widząc, że ten okropny wyraz jego twarzy nie zniknął, a wręcz przeciwnie, chyba jeszcze się pogłębił – zszokowana do tego stopnia, że jej szloch urwał się nagle jak ucięty nożem. Dostrzegła grymas smutku na jego obliczu, ale nawet to wprawiało ją w przerażenie. Ten smutek wydawał się tak dojrzały, prawie dorosły, a myśl o Eddiem jako o dorosłym zawsze wzbudzała w niej uczucie bezbrzeżnej paniki. Tak właśnie się czuła (choć były to raczej sporadyczne przypadki), kiedy wyobrażała sobie, co by się z nią stało, gdyby Eddie nie chciał pójść do Derry Business College, na uniwersytet Maine w Orono albo do Husson w Bangor, żeby zawsze po wykładach mógł wracać do domu; co by się z nią stało, gdyby Eddie poznał jakąś dziewczynę, zakochał się i postanowił się z nią ożenić. Gdzie wtedy

znalazłoby się miejsce dla mnie? – słyszała przepełniony paniką widmowy głos, kiedy przychodziły jej do głowy dziwne, czasami naprawdę okropne myśli. Istny koszmar. Gdzie w takim ułożonym życiu znalazłoby się miejsce dla mnie? Kocham cię, Eddie! Kocham cię! Opiekuję się tobą i kocham cię! Nie umiesz gotować, zmieniać pościeli ani prać bielizny. Niby czemu miałbyś to robić? Ja umiem to za ciebie! Umiem to robić dla ciebie, bo cię kocham!

I teraz on sam to powiedział:

– Kocham cię, mamo. Ale kocham również moich przyjaciół. Myślę… myślę, że udajesz płacz.

– Eddie, tak bardzo mnie ranisz – wyszeptała i świeże łzy zrosiły jej twarz. Jeśli jeszcze przed paroma minutami łzy zostały wymuszone, obecnie były szczere. Na swój szczególny sposób była twarda; bez zmrużenia oka pochowała męża, dostała pracę w okresie, kiedy nie było o nią łatwo, zajmowała się wychowywaniem syna i gdy zachodziła taka potrzeba, walczyła o niego. Po jej policzkach spływały teraz pierwsze od wielu lat szczere, nieudawane łzy; ostatni raz płakała w ten sposób, gdy pięcioletni Eddie zachorował na bronchit i leżał w łóżku trawiony bólem i rozpalony gorączką, jęcząc, kaszląc i z trudem walcząc o każdy oddech.

Teraz płakała z powodu tego dziwnego, obcego wyrazu jego twarzy. Bała się o niego, ale również w pewien sposób bała się jego – tej aury, która go otaczała… i która, jak się zdawało, czegoś od niej żądała.

– Nie każ mi wybierać między tobą a moimi przyjaciółmi, mamo. – Jego głos był niepewny, napięty, ale nadal kontrolowany. – Bo to nie fair.

– To źli przyjaciele, Eddie! – wykrzyknęła niemal jak obłąkana. – Wiesz o tym, czuję to całym sercem, oni mogą ci przysporzyć jedynie bólu i cierpień!

I najgorsze, najpotworniejsze w tym wszystkim było to, że tak naprawdę uważała – zrozumiała to, wpatrując się głęboko w oczy Billa Denbrough, który stał przed nią z rękoma w kieszeniach i rudymi włosami płonącymi w blasku letniego słońca. Jego oczy były tak posępne, tak dziwne i odległe… jak teraz oczy Eddiego.

A czy nie otaczała go wówczas ta sama aura co teraz Eddiego? Ta sama, ale jeszcze silniejsza? Pomyślała, że tak.

– Mamo…

Podniosła się tak gwałtownie, że mało nie przewróciła krzesła.

– Wrócę wieczorem – powiedziała. – To szok, ten wypadek, ten ból i wszystko… to dlatego mówisz te rzeczy. Wiem. Wiem. Ty… ty… – Spośród chaosu myśli wybrała najwłaściwszy tekst, jaki pasował do obecnej sytuacji. – Miałeś bardzo ciężki wypadek, ale wyzdrowiejesz. Zobaczysz, że mam rację, Eddie. To źli przyjaciele. Nie dla nas. I nie dla ciebie. Przemyśl to i zapytaj sam siebie, czy kiedykolwiek mama źle ci poradziła. Zastanów się… Przemyśl to sobie i… i… i…

Uciekam, pomyślała z przerażeniem. To było okropne, bolesne uczucie. Uciekam od własnego syna! O Boże, proszę, nie pozwól, aby tak się stało!

– Mamo…

Przez chwilę mało brakowało, a rzeczywiście wybiegłaby z pokoju – bała się go, o tak, teraz wyczuwała w nim innych, jego przyjaciół, i jeszcze coś, coś, co było poza nimi wszystkimi, i bała się, że to mogłoby ją zaatakować. Miała wrażenie, jakby znajdował się pod jakimś wpływem – nie był sobą, tak jak przed laty, kiedy chory na bronchit leżał z gorączką i o mało nie wyzionął ducha.

Zatrzymała się z jedną ręką na klamce, nie chcąc słyszeć, co miał jej do powiedzenia…

a kiedy to zrobił, w pierwszej chwili w ogóle go nie zrozumiała. Nie spodziewała się tego. Zupełnie jakby jej nogi znalazły się w morzu płynnego cementu. Przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje.

– Pan Keene mówi, że moje lekarstwo na astmę to zwykła woda.

– Co? Co? – Odwróciła się do niego. Jej oczy płonęły.

– Zwykła woda. Z odrobiną czegoś, co nadaje jej posmak lekarstwa. Powiedział, że to się nazywa placebo.

– To kłamstwo! Obrzydliwe, paskudne kłamstwo! Czemu pan Keene miałby cię częstować takim bezczelnym kłamstwem? No cóż, jak sądzę, w Derry są jeszcze inne drugstore'y… To nic…

– Miałem czas, aby się nad tym zastanowić – powiedział cichym, lecz nieubłaganym tonem Eddie, ani na chwilę nie spuszczając z niej wzroku – i wydaje mi się, że on mówi prawdę.

– A ja ci mówię, że nie! – Panika powróciła jak spłoszony ptak.

– Myślę – rzekł Eddie – że to musi być prawda, bo w przeciwnym razie na buteleczce powinno być jakieś ostrzeżenie, na przykład, żeby nie używać aspiratora zbyt często, bo przez to można

się zabić, a przynajmniej nieźle pochorować. Nawet…

– Eddie, nie chcę tego słyszeć! – krzyknęła i przyłożyła dłonie do uszu. – Ty… ty po prostu nie jesteś sobą, ot co!

– Nawet jeżeli to jest coś, co możesz kupić bez specjalnej recepty, na każdej z buteleczek znajduje się instrukcja – ciągnął, nie podnosząc głosu. Wpatrywał się w nią beznamiętnie szarymi oczyma, a ona nie mogła odwrócić wzroku ani nawet choć trochę go przesunąć. – Nawet jeżeli jest to syrop na kaszel… czy choćby twój geritol. – Przerwał na chwilę. Opuściła ręce. Utrzymywanie ich w górze okazało się wysiłkiem znacznie przekraczającym jej możliwości. Ręce wydawały się potwornie ciężkie. – I wydaje mi się… że musiałaś o tym wiedzieć, mamo.

– Eddie… – To był prawie jęk.

– Ponieważ – ciągnął, jakby w ogóle się nie odezwała; był teraz zamyślony, skoncentrowany wyłącznie na nurtującym go problemie – ponieważ rodzice powinni się znać na lekarstwach. A ja używam tego aspiratora pięć, a czasami nawet sześć razy dziennie. I wiem, że nie pozwoliłabyś mi na to, gdybym mógł zrobić sobie w ten sposób krzywdę. Bo twoim zadaniem jest mnie chronić. Wiem o tym, gdyż zawsze mi

to powtarzasz. A więc odpowiedz mi, mamo: wiedziałaś? Wiedziałaś, że moje lekarstwo to zwykła woda?

Nic nie powiedziała. Jej wargi drżały. Wyglądało, jakby cała jej twarz się trzęsła. Już nie płakała. Była zbyt przerażona, aby mogła płakać.

– Bo jeżeli tak – dorzucił nadal zasępiony Eddie – jeżeli wiedziałaś, to chciałbym, żebyś mi powiedziała dlaczego. Umiem odpowiedzieć sobie na wiele pytań, ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego moja mama mogłaby chcieć, żebym uważał wodę za lekarstwo i był przekonany, że mam astmę tutaj – wskazał na klatkę piersiową – skoro pan Keene twierdzi, że ona zagnieździła się tu – i pokazał na swoją głowę.

I wtedy pomyślała, że wszystko mu wyjaśni. Powie mu wszystko szybko i logicznie. Opowie mu, jak myślała, że umrze, kiedy miał pięć lat, i jak odejście Franka dwa lata wcześniej o mało nie doprowadziło jej do obłędu. Jak uświadomiła sobie, że może chronić swoje dziecko tylko dzięki czujności, opiekuńczości i miłości – że dzieckiem należy się opiekować jak ogrodem, pielęgnować je, użyźniać, plewić chwasty i od czasu do czasu, choć naturalnie było to bolesne, przycinać i przerzedzać znajdujące się w nim rośliny.

Powie mu, że niekiedy było lepiej dla dziecka – zwłaszcza dla tak delikatnego dziecka jak Eddie – żeby myślało, że jest chore, niż miałoby naprawdę chorować. I skończy, mówiąc mu o zabójczej głupocie lekarzy i czyniącej cuda potędze miłości; powie, że wiedziała o jego astmie, i nieważne, co na ten temat mówią lekarze ani jakie przepisują mu lekarstwa. Powie mu, że lekarstwo to nie tylko specyfik rodzący się w moździerzu pod uderzeniami tłuczka farmaceuty; Eddie, oświadczy, to jest lekarstwo, bo staje się nim przez miłość twojej matki i będzie tak dopóty, dopóki będziesz tego chciał. Dopóki będziesz na to pozwalał. To moc Boga, jaką obdarza on wszystkie troskliwe i kochające matki. Proszę, Eddie, proszę, jedyna miłości mego serca, musisz mi uwierzyć.

Ale w końcu nic nie powiedziała. Jej strach był zbyt silny.

– A może w ogóle nie musimy o tym mówić – ciągnął Eddie. – Pan Keene mógł równie dobrze stroić sobie ze mnie żarty. Czasami, wiesz, dorośli lubią naigrawać się z dzieciaków, bo dzieciaki mogą uwierzyć prawie we wszystko. To podłe ze strony dorosłych, ale, niestety, czasami tak bywa.

– Tak – powiedziała szybko Sonia Kaspbrak. – Oni lubią naigrawać się z dzieci i czasami są głupi… i podli… i… i…

– A więc umówmy się, że będę nadal spotykał się z Billym i moimi przyjaciółmi – dokończył Eddie – i jednocześnie w dalszym ciągu korzystał ze swego aspiratora. To chyba najlepsze wyjście, nie uważasz?

Dopiero teraz, kiedy już było za późno, zorientowała się, z jaką łatwością – i okrucieństwem – została wciągnięta w pułapkę. To, co jej proponował, było swoistym szantażem, ale czy miała jakiś wybór? Chciała go zapytać, jak może być taki wyrachowany, taki okrutny i bezwzględny… Otworzyła usta, aby zadać mu to pytanie… ale zaraz znowu je zamknęła. W jego obecnym nastroju było aż nazbyt prawdopodobne, że zdobyłby się na odpowiedź. Wiedziała jedno. Tak. Jednego była pewna – już nigdy, przenigdy jej noga nie postanie w sklepie tego obrzydliwego, wścibskiego Keene'a. Jej rozmyślania przerwał nagle dziwne nieśmiały głos Eddiego:

– Mamo?

Uniosła wzrok i zobaczyła, że to był znowu Eddie, jej Eddie, i podeszła do niego, uśmiechając się radośnie.

– Obejmiesz mnie, mamo?

Objęła go, ale ostrożnie, żeby nie urazić jego złamanej ręki (ani nie poruszyć luźnych odłamków kości, które mogłyby dostać się do krwiobiegu i dotrzeć do serca – jakaż matka uśmierciłaby miłością własne dziecko?), a Eddie odwzajemnił jej uścisk.

7

Eddie miał wrażenie, że matka wyszła we właściwym momencie. Podczas tej potwornej konfrontacji z nią czuł, jak powietrze zbiera mu się w płucach i gardle, niezmącone i nieruchome, stęchłe i słonawe, grożąc mu lada moment uduszeniem.

Odczekał, aż drzwi zamkną się za nią, a potem łapczywie zaczął łykać powietrze. Miał wrażenie, że z każdym zaczerpnięciem tchu w jego gardle przesuwa się w górę i w dół gorący pogrzebacz. Sięgnął po aspirator – ten ruch obudził falę bólu w ramieniu, ale bynajmniej się tym nie przejął.

Wciągnął głęboko do płuc powietrze nasączone kamforowym posmakiem i pomyślał: Nawet jeżeli to rzeczywiście placebo, to nieważne. Grunt, że działa. Słowa nic nie znaczą.

Oparł się na powrót na poduszkach, zamknął oczy i po raz pierwszy, odkąd matka weszła do

pokoju, oddychał naprawdę swobodnie. Ogarnęło go przerażenie przez to, co jej powiedział, sposób, w jaki się zachowywał. Był, a zarazem nie był sobą. Coś sterowało nim i poprzez niego – jakaś siła… i jego matka również ją odczuła. Widział to w jej oczach i drgających wargach. Nie wyczuwał, żeby ta siła była zła, ale jej moc wydawała się zatrważająca. Kojarzyło mu się to z przejażdżką kolejką górską, kiedy nagle zdajesz sobie sprawę, że nie możesz wysiąść z wagonika, póki kurs się nie skończy – a kto wie, co jeszcze może wydarzyć się w trakcie.

Nie ma odwrotu, pomyślał Eddie, czując ciepły, swędzący ciężar gipsu, w który włożono mu złamaną rękę. Nikt nie pójdzie do domu, póki to się nie skończy. Ale, Boże, ja się boję – tak bardzo się boję.

I wiedział, że nigdy nie potrafiłby zdradzić matce jedynego prawdziwego powodu, dla którego przeciwstawił się jej żądaniom i tak usilnie walczył, by nie zdołała odebrać mu przyjaciół – nie potrafił stawić temu czoła w pojedynkę. Potem przez jakiś czas płakał, a następnie pogrążył się w niespokojnym śnie. Śnił o ciemności, w której nieprzerwanie pracowały olbrzymie maszyny – wielkie pompy.

8

Tego wieczoru, kiedy Bill i reszta Frajerów wrócili do szpitala, znowu zanosiło się na deszcz. Eddie nie zdziwił się, widząc ich wchodzących do pokoju. Wiedział, że wrócą.

Przez cały dzień było bardzo gorąco; wszyscy zgodnie przyznają później, że trzeci tydzień lipca był najupalniejszym tygodniem całego, wyjątkowo gorącego lata. Około czwartej na niebie zaczęły się zbierać pierwsze chmury burzowe – fioletowoczarne, wielkie, nabrzmiałe od deszczu i naładowane błyskawicami. Ludzie załatwiali swoje sprawy szybko i z pewnym niepokojem, popatrując ukradkiem w niebo. Większość uważała, że pod wieczór lunie jak z cebra i powietrze stanie się orzeźwiające. Przed szóstą parki i place zabaw w Derry, które tego lata praktycznie pękały w szwach, nagle się wyludniły. Deszcz nadal nie padał, lecz huśtawki zwisały nieruchomo, nie rzucając cienia, w dziwnym bladożółtym świetle.

Nagle rozległ się ryk gromu – ten dźwięk i przytłumiony pomruk ruchu ulicznego na Outer Main Street były jedynymi odgłosami, jakie wpływały przez okno do pokoju Eddiego, aż do przybycia Frajerów.

Bill zjawił się pierwszy, a zaraz po nim Richie. Potem Beverly, Stan i Mike. Ben przybył ostatni. Sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieswojo w białym grubym swetrze z golfem. Podeszli z powagą do jego łóżka. Teraz nawet Richie się nie uśmiechał.

Ich twarze! – pomyślał z fascynacją Eddie. Rany koguta, ich twarze! Dostrzegł w nich to, co matka zauważyła u niego tego popołudnia, tę niezwykłą kombinację potęgi i bezradności. Żółte burzowe światło sprawiało, że ich oblicza nabrały upiornego wyglądu. Wydawały się odległe i mroczne.

To przejście, pomyślał Eddie. Przechodzimy do czegoś nowego, jesteśmy na granicy. Ale co jest po drugiej stronie? Dokąd zmierzamy?

– Cześć, E-e-e-eddie – rzekł Bill. – J-j-jak się czujesz?

– Dobrze, Wielki Billu – odparł Eddie i spróbował się uśmiechnąć.

– Chyba miałeś ciężki dzień – odezwał się Mike. Jego głos utonął w huku gromu. W pokoju Eddiego nia paliło się żadne światło i cała grupka na przemian to wyłaniała się z półmroku, to znów w nim tonęła.

Eddie pomyślał o tym, jak musiało teraz wyglądać Derry w promieniach światła

kładących się wzdłuż McCarron Park, wpadających przez otwory w dachu Mostu Pocałunków wąskimi sentymentalnymi smugami, sprawiających, że powierzchnia Kenduskeag wyglądała jak wykonana z przydymionego szkła, kiedy strumień przepływał swym szerokim, płytkim korytem poprzez Barrens; pomyślał o huśtawkach zastygłych nieruchomo na tyłach szkoły podstawowej w Derry, podczas gdy chmury burzowe kłębiły się coraz bardziej i bardziej; pomyślał o tym dziwnym, żółtym, burzowym świetle i spokoju – zupełnie jakby całe miasto zapadło w sen… albo umarło.

– Tak – powiedział. – To był wielki dzień.

– P-p-pojutrze moi starzy idą do k-k-k-kina – rzekł Bill. – K-kiedy zmieniają p-p-program. W-wtedy je z-z-zrobimy. S-s-s…

– Srebrne kule – pomógł Richie.

– Myślałem…

– Tak będzie lepiej – rzekł szybko Ben. – Nadal myślę, że powinniśmy zrobić pociski, ale samo myślenie to za mało. Gdybyśmy byli dorośli…

– Tak, wtedy wszystko byłoby ekstra – rzuciła Beverly. – Dorośli mogą zrobić wszystko, co chcą, prawda? Mogą robić wszystko, co chcą, i zawsze im się udaje. – Wybuchnęła odrobinę nerwowym

śmiechem. – Bill chce, żebym to ja strzelała do Tego. Wyobrażasz to sobie, Eddie? Mów mi Beverly Oakley.

– Nie wiem, o czym mówicie – rzekł Eddie, ale chyba w gruncie rzeczy wiedział, w każdym razie powoli zaczynał rozumieć.

Ben mu wyjaśnił. Stopią jedną z jego srebrnych dolarówek i zrobią dwie srebrne kule, nieco mniejsze niż kulki do łożysk. A potem, jeżeli przy Neibolt Street 29 rzeczywiście mieszka wilkołak, Beverly wpakuje mu w łeb srebrną kulę, używając do tego bullseye'a – procy Billa. I żegnaj, wilkołaku. A jeżeli mieli rację co do tego, że jest to jeden stwór o wielu twarzach – wówczas… żegnaj, To.

Na twarzy Eddiego musiał pojawić się jakiś grymas, bo Richie wybuchnął śmiechem i pokiwał głową.

– Wiem, jak się czujesz, stary. Kiedy Bill zaczął mówić o tym, żeby zamiast spluwy jego starego użyć procy, pomyślałem, że do reszty mu odbiło. Ale dziś po południu…

Przerwał i chrząknął. Chciał powiedzieć: po tym, jak twoja mama nas spławiła – ale w ostatniej chwili się zmitygował.

– Dziś po południu… poszliśmy na wysypisko śmieci. Bill przyniósł bullseye'a. Spójrz. – Richie

wyjął z tylnej kieszeni spłaszczoną puszkę, w której niegdyś znajdowały się plasterki ananasów. Pośrodku niej widniała wielka, strzępiasta dziura. – Beverly to zrobiła. Kamieniem. Z dwudziestu stóp. Wygląda to, przynajmniej dla mnie, jak po trafieniu z trzydziestkiósemki. Lord Niewyparzona Gęba dał się przekonać. A kiedy Lord Niewyparzona Gęba daje się przekonać, to rzeczywiście musi być coś.

– Strzelanie do puszek to jedno – oznajmiła Beverly. – Ale jeśli chodzi o strzelanie do… czegoś innego… czegoś żywego… ty to powinieneś zrobić, Bill. Naprawdę.

– N-nie – odparł Bill. – W-w-wszyscy p-p-próbowali-śmy. W-w-w-widziałaś, jak n-nam p-p-poszło.

– Jak wam poszło? – zapytał Eddie.

Bill wolno i z przerwami wyjaśnił mu to, podczas gdy Beverly wyglądała przez okno. Wargi miała zaciśnięte tak mocno, że aż pobielały. Z jakichś niewiadomych nawet dla niej przyczyn była nie tyle zaniepokojona, ile zakłopotana tym, co się dziś wydarzyło. W drodze do szpitala jeszcze raz próbowała ich przekonać, żeby pomimo wszystko spróbowali zrobić pociski… i nie dlatego, że gdyby przyszło

do ostatecznej rozprawy, Bill lub Richie mieliby pewniejszą rękę czy strzelali celniej – ale dlatego, że broń znajdowałaby się w rękach kogoś innego (Billa). Jednak fakty przemawiały same za siebie. Każde z nich miało dziesięć kamieni i strzelało z procy z odległości dwudziestu stóp do dziesięciu puszek. Richie miał jeden celny strzał na dziesięć (a i to było zaledwie muśnięcie), Ben dwa, Bill cztery, a Mike pięć.

Beverly, strzelając jakby od niechcenia i praktycznie nie celując, trafiła w sam środek dziewięciu spośród dziesięciu puszek. Dziesiąta przewróciła się, kiedy wystrzelony przez nią pocisk odbił się od jej brzegu.

– A-a-ale n-n-najpierw m-musimy zrobić a-a-amunicję.

– Pojutrze wieczorem? Powinienem do tej pory opuścić szpital – rzekł Eddie. Jego matka będzie się zapewne temu sprzeciwiać, ale jak sądził, niezbyt ostro. Nie po tym, co się zdarzyło tego popołudnia.

– Boli cię ręka? – spytała Beverly. Miała na sobie różową sukienkę (nie taką jak w jego śnie; może tamtą miała na sobie tego popołudnia, kiedy matka Eddiego kazała im się wynosić) z naszytymi maleńkimi kwiatkami. I jedwabne albo nylonowe pończochy. Wyglądała bardzo

dorośle, a zarazem bardzo dziecinnie, jak mała dziewczynka, która przebrała się w rzeczy mamy. Miała rozmarzony wyraz twarzy, jakby błądziła myślami gdzieś daleko. Założę się, że tak właśnie wygląda, kiedy śpi, pomyślał Eddie.

– Nie za bardzo – odparł.

Rozmawiali przez chwilę, ale ich dyskusję przerywał odgłos grzmotów. Eddie nie zapytał ich, co się stało, kiedy wcześniej tego dnia przyszli do szpitala, i żadne z nich nie wspomniało słowem na ten temat. Richie wyjął swoje jo-jo, uśpił je raz czy dwa, a potem włożył do kieszeni.

Rozmowa nie kleiła się i podczas jednej z przerw Eddie nagle usłyszał cichy trzask. Natychmiast odwrócił głowę. Bill trzymał coś w ręce i przez moment Eddie poczuł, że jego serce zaczyna walić jak oszalałe. W tej krótkiej chwili wydawało mu się, że to był nóż. Właśnie wtedy Stan włączył światło, rozpraszając panujący w pokoju półmrok, i Eddie zobaczył w ręku Billa zwyczajny długopis. W blasku sufitowej lampy wszyscy znów wyglądali normalnie, realnie i byli jedynie jego przyjaciółmi.

– Myślę, że powinniśmy ci się podpisać na gipsie – rzekł Bill i spojrzał Eddiemu prosto

w oczy.

Ale to nie o to chodzi, pomyślał Eddie z nagłą i zatrważającą przejrzystością, to kontrakt. To kontrakt, Wielki Billu, prawda, albo coś bardzo zbliżonego.

Był przerażony… i wściekły na samego siebie. Wstydził się. Gdyby złamał rękę przed latem tego roku, kto wtedy podpisałby mu się na gipsie? Czy prócz jego matki i doktora Handora znalazłby się ktoś taki? Ciotki z Haven? To byli przyjaciele, a matka się myliła. Nie byli złymi przyjaciółmi. Może, pomyślał, nie ma czegoś takiego jak dobrzy i źli przyjaciele. Może są po prostu tylko przyjaciele, ludzie, którzy będą przy tobie, kiedy ci coś dolega, i pomogą ci, byś nie czuł się zbyt samotny. Może to ludzie, dla których warto przeżywać strach, mieć nadzieję… i żyć. Być może także są to ludzie, za których warto umrzeć, kiedy trzeba. Nie ma dobrych przyjaciół. Nie ma złych przyjaciół. Są jedynie ludzie, których pragniesz i z którymi chciałbyś być – ludzie, którzy mają swoje miejsca w twoim sercu.

– W porządku – rzekł Eddie nieco ochryple. – To świetny pomysł, Wielki Billu.

A potem Bill pochylił się z powagą i złożył swój podpis na gipsie. Litery były duże i splatały się z sobą. Podpis Richiego kończył się

fantazyjnym zakrętasem. Litery nakreślone przez Bena były wąskie i nieco odchylone do tyłu. Wyglądały tak, jakby miały się przewrócić przy lada popchnięciu. Autograf Mike'a Hanlona był duży i niezgrabny, ponieważ Mike był leworęczny i musiał pisać pod niewygodnym kątem. Złożył swój podpis nad łokciem Eddiego i zakończył, biorąc swoje nazwisko w kółko. Kiedy Beverly pochyliła się nad nim, Eddie poczuł delikatny zapach jej perfum. Litery w jej podpisie były zaokrąglone i bardzo staranne. Stan był ostatni i napisał swoje nazwisko zbitymi ciasno, maleńkimi literami tuż przy nadgarstku Eddiego.

Potem wszyscy cofnęli się o parę kroków, jakby nagle zdali sobie sprawę z tego, co właśnie zrobili. Na zewnątrz znów rozległ się grzmot. Błyskawica na krótką chwilę skąpała zewnętrzną drewnianą ścianę szpitala w upiornej bladożółtej poświacie.

– To wszystko? – spytał Eddie.

Bill pokiwał głową.

– J-j-jak b-b-będziesz mógł, p-p-przyjdź d-do mnie d-do d-d-domu p-p-pojutrze w-wieczorem, d-d-dobra?

Eddie skinął głową i temat został zamknięty.

Jeszcze przez dłuższy czas prowadzili chaotyczną, prawie bezcelową dyskusję. Między innymi rozmawiali o wydarzeniu, które w lipcu tego roku było na ustach wszystkich mieszkańców Derry – chodziło o proces Richarda Macklina oskarżonego o brutalne zamordowanie swego pasierba, Dorseya, i podejrzanego w sprawie zniknięcia starszego brata Dorseya, Eddiego Corcorana. Macklin zeznający jeszcze przez dwa dni nie załamie się i nie przyzna z płaczem do popełnienia okrutnej zbrodni, ale Frajerzy zgodnie twierdzili, że ojczym najprawdopodobniej nie miał nic wspólnego z zaginięciem Eddiego. Chłopak albo uciekł… albo padł ofiarą Tego.

Wyszli mniej więcej za kwadrans siódma, a deszcz wciąż nie padał. Na ulewę zanosiło się jeszcze długo po tym, jak matka Eddiego zjawiła się w szpitalu, posiedziała przez jakiś czas w pokoju chłopca i wróciła do domu (była przerażona, widząc podpisy na gipsie Eddiego, a jeszcze większego szoku doznała, gdy Eddie z determinacją w głosie oznajmił, że nazajutrz opuszcza szpital – była przekonana, że zostanie tu jeszcze przez tydzień, a może i dłużej, aby mógł choć trochę ochłonąć, a końce jego złamanej kości, jak powiedziała, „należycie się

dopasowały”). W końcu rozwiały się chmury burzowe. W Derry nie spadła nawet jedna kropla deszczu. Nadal było parno i tej nocy wielu ludzi spało na werandach, trawnikach za domami i na polach, w śpiworach. Deszcz lunął dopiero następnego dnia, niedługo po tym, jak Beverly była świadkiem okropnej śmierci Patricka Hockstettera.

ROZDZIAŁ 17

Kolejny zaginiony: śmierć Patricka Hockstettera

1

Eddie, kończąc, nalewa sobie kolejnego drinka trochę drżącą dłonią. Patrzy na Beverly i mówi:

– Widziałaś To, prawda? Widziałaś, jak To zabrało Patricka Hockstettera dzień po tym, gdy podpisaliście się na moim gipsie.

Pozostali pochylają się do przodu. Beverly odgarnia rude włosy. Jej twarz jest wyjątkowo blada. Niezdarnie wyjmuje z paczki papierosa – to już ostatni – i zapala starego bica. Wydaje się, że nie zdoła doprowadzić płomienia do koniuszka papierosa. Po chwili Bill delikatnie przytrzymuje jej nadgarstek i płomień

zapalniczki dociera do końca papierosa. Beverly rzuca Billowi spojrzenie pełne wdzięczności i wydmuchuje chmurę niebieskawoszarego dymu.

– Tak – mówi. – Widziałam, jak to się stało. – Wzdryga się.

– On b-b-był sz-szalony – mówi Bill i myśli: Już samo to, że Henry pozwolił takiemu świrowi jak Patrick Hockstetter przyłączyć się do swojej grupy, coś mówi, no nie?

Albo Henry tracił z wolna swój urok i przestawał być atrakcyjny, albo też zupełnie mu odbiło i doszedł do wniosku, że ten Hockstetter to w gruncie rzeczy równy gość. To wszystko sprowadza się do jednego – stale rosnącej… (jak to określić?) degeneracji Henry'ego. Czy to właściwe słowo? Tak. W świetle tego, co się z nim stało i gdzie skończył, wydaje mi się, że tak.

Jest coś jeszcze na poparcie tego twierdzenia, myśli Bill, ale na razie przypomina to sobie bardzo mgliście. Na początku sierpnia razem z Richiem i Beverly byli u braci Trackerów i mieli wówczas z głowy uziemionego na letnim kursie Bowersa, jednak okres ten dobiegał już końca – czy wtedy nie przyszedł do nich Victor Criss? Tak. Tak właśnie było. Wtedy wszystko zbliżało się do końca i Bill myśli, że każdy dzieciak

w Derry wyraźnie to wyczuwał, a najbardziej Frajerzy i grupka Bowersa. Ale to będzie później.

– O tak, masz rację – zgadza się Beverly. – Patrick Hockstetter był nienormalny. W szkole żadna dziewczyna nie usiadłaby przed nim w ławce. Wyobraź sobie, że jesteś dziewczyną i siedzisz, robisz jakieś zadanie z arytmetyki czy piszesz opowiadanie, aż tu nagle czujesz na sobie dotknięcie jego ręki… delikatnej jak piórko, ale ciepłej i wilgotnej od potu. Mięsistej. – Przełknęła głośno ślinę. Inni przyglądają się jej z powagą, siedząc wokoło stołu. – Mógł dotknąć twojego boku albo twojej piersi. Choć wtedy żadna z nas praktycznie jeszcze nie miała piersi. Mimo to najwyraźniej Patrickowi to nie przeszkadzało. Czując te dotknięcia… obracasz się na krześle, a ten typ uśmiecha się do ciebie wielkimi, mięsistymi, czerwonymi ustami. Miał piórnik…

– Pełen much – mówi nagle Richie. – Pewnie. Zabijał je zieloną plastikową linijką i wkładał do piórnika. Nawet pamiętam, jak wyglądał ten piórnik: czerwony z białym, falistym, plastikowym wieczkiem, które się rozsuwało i zasuwało.

Eddie kiwa głową.

– Odsuwasz się wtedy, a on uśmiecha się do ciebie lub otwiera piórnik, żeby ci pokazać swoją

kolekcję martwych much – mówi Beverly. – A naprawdę najgorsze było to, że on się zawsze tylko uśmiechał i nic nie mówił. Pani Douglas o tym wiedziała. Greta Bowie doniosła na niego i Sally Mueller chyba też. Ale… wydaje mi się, że pani Douglas trochę się go bała.

Ben kołysze się na tylnych nogach krzesła z dłońmi splecionymi na karku. Bill nadal nie może uwierzyć, jak on wyszczuplał.

– Na pewno – mówi Ben.

– C-c-co się z n-n-nim stało, Beverly?

Ponownie przełyka ślinę, próbując przemóc koszmarną siłę tego, co zobaczyła w Barrens tamtego dnia, gdy szła z przewieszonymi przez ramię, związanymi razem wrotkami, a kolano piekło ją po upadku, który zaliczyła na środku Saint Crispin’s Lane, jeszcze jednej małej alejki, okolonej drzewami, kończącej się stromym zboczem opadającym do Barrens. Przypomina sobie (och, te wspomnienia, kiedy się pojawiają, są takie jasne i wyraziste), że miała na sobie płócienne szorty, naprawdę krótkie – ledwo zasłaniały brzegi jej majteczek. W zeszłym roku na serio zainteresowała się swoim ciałem – przez ostatnie sześć miesięcy zaczęło ono nabierać typowo kobiecych krągłości. Naturalnie przekonywało ją o tym lustro, ale nie tylko.

Ojciec ostatnio był wobec niej o wiele bardziej surowy i chętny do używania zarówno otwartych dłoni, jak i pięści. Sprawiał wrażenie niespokojnego, niczym zamknięte w klatce drapieżne zwierzę, a kiedy znajdował się w pobliżu Bev, ogarniały go coraz większy niepokój i zdenerwowanie! Zupełnie jakby każde z nich wytwarzało jakiś zapach, woń, której nie było, gdy przebywała sama w mieszkaniu, i której aż do tego lata nie wyczuwała, nawet kiedy znajdowali się tam we dwoje. Sprawy przybrały gorszy obrót po odejściu mamy. I jeżeli rzeczywiście istniała woń, jakakolwiek woń, to on również musiał ją wyczuwać, bo w miarę jak robiło się coraz goręcej, Beverly widziała go coraz rzadziej – po części dlatego, że sporo czasu spędzał w kręgielni z kolegami, po części zaś dlatego, że zaofiarował się pomóc swemu przyjacielowi Joemu Tammerly'emu w naprawianiu samochodów… Bev jednak sądziła, że kolejną z przyczyn była właśnie ta woń, woń, którą oboje roztaczali i na której emanację nie mieli najmniejszego wpływu, tak jak człowiek nie może zapobiec poceniu się ciała w upalne lato. Ponownie wizja ptaków; są ich setki, a nawet tysiące – przysiadują na dachach

domów, drutach telefonicznych i antenach telewizyjnych.

– Sumak jadowity – mówi na głos.

– C-c-co? – pyta Bill.

– Coś jak sumak jadowity – mówi powoli, patrząc na niego. – Ale to nie było to. Po prostu przypominało sumak. Mike?…

– Nieważne – mówi Mike. – To przyjdzie z czasem. Powiedz nam, co pamiętasz, Bev.

Pamiętam niebieskie szorty – powie – i jak bardzo były wyblakłe; zaczynały być przyciasne na biodrach i pośladkach. Miałam w jednej kieszeni paczkę lucky strike'ów, a w drugiej bullseye'a.

– Pamiętasz bullseye'a? – zwraca się do Richiego, ale wszyscy odpowiadają jej skinieniem głowy. – Bill mi dał swoją procę – mówi. – Nie chciałam, ale… on… – Uśmiecha się lekko do Billa. – Po prostu Billowi nie sposób odmówić. No i wzięłam procę i w sumie właśnie dlatego wybrałam się wtedy do Barrens. Chciałam potrenować. W dalszym ciągu nie uważałam, że mogłabym jej użyć, gdyby przyszła taka potrzeba. Tylko że… użyłam jej tego dnia. Zabiłam jedno z nich… jedno z wcieleń Tego. To było straszne. Nawet teraz trudno mi o tym

myśleć. A inne wcielenie Tego zdołało mnie zranić. Spójrzcie.

Unosi rękę i odwraca ją, żeby wszyscy mogli zobaczyć pofałdowaną bliznę na górnej części przedramienia. Wygląda tak, jakby do jej ciała przytknięto jakiś rozpalony, okrągły przedmiot wielkości cygara. Blizna jest nieznacznie wklęsła i patrzenie na nią sprawia, że Mike Hanlon czuje na plecach lodowate ciarki. To jedna z opowieści, której, tak jak w wypadku spotkania „w cztery oczy” Eddiego z panem Keene’em, Mike mógł się tylko domyślać, ale nigdy dotąd nie słyszał.

– Miałeś rację pod jednym względem, Richie – mówi Bev. – Ta proca to była prawdziwa maszyna do zabijania. Bałam się jej, ale jednocześnie ją kochałam.

Richie śmieje się, a potem klepie ją po plecach.

– Cholera, wiedziałem, wiedziałem, niech to szlag!

– Wiedziałeś? Naprawdę?

– Tak, naprawdę – mówi. – Miałaś coś w oczach, Bevvie.

– Chodzi mi o to, że ta proca wyglądała jak zabawka, ale w gruncie rzeczy była prawdziwą bronią. Mogłeś za jej pomocą wywalać wielkie dziury w różnych rzeczach.

– I tego dnia wywaliłaś nią w czymś dziurę – mówi Ben z zamyśleniem. Kiwa głową. – Czy to był Patrick…

– Nie. Na Boga, nie! To było coś… poczekaj. – Zgniata papierosa, wypija drinka. Znów próbuje się opanować. Wreszcie jej się udaje. To znaczy… niezupełnie. Ale ma wrażenie, że tego wieczoru nie stać jej na nic więcej. – Widzicie, tego dnia jeździłam na wrotkach, upadłam i nieźle się poharatałam. Potem przyszło mi na myśl, żeby wybrać się do Barrens i trochę potrenować. Najpierw przeszłam obok klubowego domku, żeby sprawdzić, czy was tam nie ma. Okazało się, że nie. Tylko ten zapach. Pamiętacie, jak długo czuć tam było swąd dymu?

Wszyscy, uśmiechając się, pokiwali głowami.

– Chyba nigdy nie udało nam się pozbyć tego dymu, no nie? – mówi Ben.

– A potem ruszyłam na wysypisko śmieci, bo właśnie tam urządzaliśmy nasze… jak to nazywaliśmy? Próbne strzelania. No i naturalnie było tam do czego postrzelać. A poza tym tam były… szczury. – Przerywa na chwilę. Na jej czole widnieją kropelki potu. – Prawdę mówiąc, wybrałam się tam właśnie po to, żeby postrzelać do szczurów – oznajmia w końcu. – Do czegoś żywego. Nie do mewy, nie mogłabym strzelić do

mewy, ale do szczura… Chciałam sprawdzić, czy byłabym do tego zdolna. Dobrze się stało, że nadeszłam od strony Kansas Street zamiast od Old Cape, bo od strony nasypu kolejowego nie miałabym za bardzo gdzie się schować. Zauważyliby mnie, a wtedy Bóg jeden wie, co by się mogło stać.

– K-k-kto by cię z-z-zauważył?

– Oni – mówi Beverly. – Henry Bowers, Victor Criss, Belch Huggins i Patrick Hockstetter. Byli na wysypisku śmieci i…

Nagle, ku zdziwieniu ich wszystkich, zaczyna chichotać jak dziecko, a jej policzki nabiegają czerwienią. Chichocze, aż łzy napływają jej do oczu.

– Co, do diaska, Bev – mówi Richie. – Jeżeli to coś śmiesznego, to chyba mogłabyś nam powiedzieć…

– Racja, to było śmieszne – odpowiada Bev. – Kretyńsko śmieszne, ale myślę, że ci czterej zabiliby mnie, gdyby wiedzieli, że ich widziałam.

– Teraz już pamiętam! – wykrzykuje Ben i on również zaczyna się śmiać. – Mówiłaś nam o tym. Pamiętam!

Chichocząc opętańczo, Beverly mówi:

– Mieli spuszczone spodnie i podpalali bąki.

Nagle nastała chwila ciszy, po czym wszyscy jak na komendę wybuchnęli śmiechem – dźwięk ten omiótł gromkim echem wnętrze biblioteki.

Zastanawiając się, jak właściwie powinna im opowiedzieć o śmierci Patricka Hockstettera, koncentruje się w pierwszej chwili na tym, jak zbliżyła się do wysypiska od strony Kansas Street. Kojarzyło się to jej z wejściem w pas planetoid. Od Kansas Street do wysypiska biegła niezbyt szeroka, zarośnięta droga (obecnie jest to prawdziwa miejska droga i nosi nazwę Old Lyme Street), z której korzystały wywożące odpadki śmieciarki. Beverly szła obok Old Lyme Street, nie wychodząc na drogę – od dnia, kiedy Eddiemu złamano rękę, stała się wyjątkowo ostrożna (podobnie jak wszyscy członkowie Klubu Frajerów). Zwłaszcza gdy była sama.

Przedzierała się przez gęstwinę krzewów, omijając starannie krzaki sumaka z ich czerwonawymi, oleistymi liśćmi, czując w nozdrzach dym i woń zgnilizny bijącą ze śmietnika i słysząc głośne skrzeczenie mew. Po lewej, przez pojawiające się raz po raz przerwy w listowiu, widziała Old Lyme Street.

Inni patrzą na nią i czekają w milczeniu. Bev sięga po papierosy, ale paczka jest pusta. Richie bez słowa podaje jej papierosa ze swojej paczki.

Beverly zapala papierosa, przesuwa wzrokiem po twarzach siedzących wokół niej przyjaciół i mówi:

– Dotarcie na wysypisko śmieci od strony Kansas Street było trochę jak…

2

…wejście w dziwaczny pas planetoid. Pas śmiecioid. Z początku wokoło były tylko krzaki wyrastające z wilgotnego, gąbczastego podłoża, ale wkrótce natrafiało się na pierwszy pas śmiecioid, zardzewiałą puszkę po sosie do spaghetti, butelkę po coli, wewnątrz której pełzały robaki przyciągnięte słodkimi resztkami napojów chłodzących czy piwa, gdzieniegdzie promienie słońca odbijały się od skrawka folii wbitego na ostro zakończoną gałąź. Mogłeś zobaczyć sprężynę z łóżka (albo potknąć się o nią, jeśli byłeś nieostrożny) albo na wpół ogryzioną kość przyniesioną tu i porzuconą przez jakiegoś psa…

Samo wysypisko nie było takie złe, a nawet w pewnym sensie interesujące, pomyślała Beverly. Obrzydliwe (i trochę straszne) było tempo, w jakim rozszerzał się jego zasięg. Innymi słowy, jak tworzył się pas śmiecioid.

Była coraz bliżej, drzewa rosły tu większe, głównie jodły, krzaki znacznie się przerzedziły. Mewy skrzeczały i zawodziły piskliwymi, ochrypłymi głosami, a w powietrzu unosił się nieprzyjemny odór spalenizny. Po prawej stronie od Beverly, oparta pod kątem o pień świerku, stała stara, zardzewiała lodówka Amano. Beverly spojrzała na nią i przypomniała sobie, aczkolwiek mgliście, policjanta, który zjawił się kiedyś w szkole. Bev była jeszcze wtedy w trzeciej klasie. Powiedział, że takie rzeczy jak stare wyrzucone lodówki bywają niebezpieczne – dzieciak może wejść do środka, choćby podczas zwykłej zabawy w chowanego, i udusić się, kiedy drzwiczki się zatrzasną.

Choć czemu ktoś miałby wchodzić do starej, zardzewiałej…

Usłyszała krzyk; dobiegł z tak bliska, że niemal podskoczyła – a potem rozległ się śmiech. Beverly się uśmiechnęła. A więc oni tam byli. Opuścili klubowy domek, ponieważ cuchnął dymem, i zeszli na dół. Może tłukli kamieniami butelki albo grzebali w śmieciach. Przyspieszyła kroku i na dobre zapomniała o zadrapaniach na nodze – tak bardzo chciała się z nimi zobaczyć… tak bardzo chciała zobaczyć jego, z jego rudą czupryną, tak bardzo przypominającą barwą jej

włosy, i zobaczyć, czy uśmiechnie się do niej, tak jak to miał w zwyczaju, półgębkiem. To był dziwny uśmiech. Ale naprawdę cudowny.

Wiedziała, że była zbyt młoda, aby kochać chłopaka, i zbyt młoda, aby pozwalać sobie na więcej niż tylko „uściski”, ale kochała Billa. I szła żwawszym krokiem. Wrotki zawieszone na ramieniu kołysały się miarowo, a wystająca z tylnej kieszeni guma procy uderzała ją w pośladek.

Już miała zejść na wysypisko, gdy wtem uświadomiła sobie, że to nie byli jej przyjaciele, tylko Henry Bowers z kolegami. Wyszła spomiędzy gęstwiny krzewów i siedemdziesiąt jardów przed nią znajdowało się najbardziej strome zbocze wysypiska. Wzdłuż ścian żwirowego dołu wznosiła się góra połyskujących śmieci. Buldożer Mandy’ego stał trochę bardziej z lewej strony. Nieco bliżej przed nią znajdowała się cała masa zdezelowanych samochodów. Z końcem każdego miesiąca były one wrzucane do zgniatarki i wywożone do Portlandu, ale teraz było ich tu tuzin, a może nawet więcej, ustawionych na gołych obręczach kół, leżących na boku, a niekiedy również i na dachach, jak zdechłe psy. Ustawiono je w dwóch rzędach i Beverly przeszła wąskim, usłanym śmieciami

przesmykiem niczym śmieciowa panna młoda z przyszłości, zastanawiając się leniwie, czy mogłaby z procy przebić szybę któregoś z tych wozów. Jedna z kieszeni jej szortów była wypchana małymi kulkami do łożysk. To była jej amunicja ćwiczebna. Głosy i śmiech dochodziły spoza wraków samochodów, nieco po lewej stronie, na skraju śmietniska. Beverly okrążyła ostatni z samochodów – studebakera, któremu brakowało całej przedniej połowy. Już miała się z nimi przywitać, gdy głos uwiązł jej w gardle. Dłoń, którą uniosła w powitalnym geście, nie tyle opadła, ile raczej zwiędła.

Jej pierwszą, wściekłą i pełną zakłopotania myślą było: O Boże, czemu oni wszyscy są nadzy? Dopiero potem ze zgrozą zdała sobie sprawę, kogo miała przed sobą. Zamarła przed połową studebakera, a jej cień przywarował u pięt trampek. W tym momencie była całkiem odsłonięta. Gdyby któryś z czterech kucających chłopaków uniósł wzrok, musiałby ją zauważyć. Miała otwarte usta, a jej policzki pokrywał rumieniec. Zanim skryła się za studebakerem, zobaczyła, że w sumie tamci nie byli całkiem nadzy – mieli na sobie koszule i tylko ich spodnie i slipki były opuszczone do kostek – jakby zamierzali Zrobić To Drugie (Beverly ogarnięta

swoistym szokiem użyła eufemizmu, którego nauczyła się jeszcze jako szkrab), tylko kto kiedykolwiek słyszał, żeby czterech chłopaków Robiło To Drugie jednocześnie?

Kiedy ponownie się ukryła, jej pierwszą myślą było uciec – i to jak najszybciej. Serce waliło jej zawzięcie, a mięśnie były napompowane adrenaliną. Rozejrzała się wokoło i dopiero teraz zauważyła coś, na co nie zwróciła uwagi, podchodząc tu w przekonaniu, że zasłyszane głosy należały do jej przyjaciół. Rząd złomowanych samochodów po lewej był bardzo luźny – nie stały drzwi w drzwi, tak będzie dopiero parę dni przed przyjazdem maszyny, która zmieni je w pogięte kostki błyszczącego metalu. Podchodząc do miejsca, w którym się obecnie znajdowała, parokrotnie była całkiem odsłonięta; jeżeli zacznie się wycofywać, znów znajdzie się na otwartym terenie i tym razem może zostać zauważona. Poza tym czuła coś w rodzaju haniebnej ciekawości – co oni tam właściwie robili?

Ostrożnie wyjrzała zza studebakera. Henry i Victor Criss byli odwróceni mniej więcej w jej stronę. Patrick Hockstetter stał obok Henry'ego po lewej. Belch Huggins był odwrócony do niej plecami. Zauważyła, że Belch miał wielki,

wyjątkowo owłosiony tyłek, i nagle obłąkańczy chichot zaczął podchodzić jej do gardła. Musiała przycisnąć dłonie do ust, aby go stłumić. Ponownie ukryła się za studebakerem. Musisz stąd zmykać, Beverly. Gdyby cię złapali… Spojrzała pomiędzy dwoma rzędami zdezelowanych wozów, przez cały czas zatykając usta dłońmi. Przesmyk miał może dziesięć stóp szerokości, był usłany puszkami, małymi, błyszczącymi odłamkami szkła i porośnięty chwastami. Gdyby narobiła hałasu, mogliby ją usłyszeć… zwłaszcza jeżeli ich zainteresowanie wykonywaną czynnością (czymkolwiek ona była) choć trochę osłabnie.

Kiedy pomyślała, jak beztrosko się zachowywała, idąc w tę stronę, poczuła, że krew ścina się jej w żyłach. Co oni mogą tam robić? Ponownie wyjrzała zza samochodu i tym razem wychwyciła więcej szczegółów. W pobliżu nich leżała sterta książek – podręczniki szkolne. Wracali z letnich zajęć. Ponieważ Henry i Victor byli odwróceni do niej przodem, widziała ich „rzeczy”. To były pierwsze „rzeczy”, jakie widziała w życiu, inne niż na zdjęciach w brudnej małej książce, którą rok wcześniej pokazywała jej Brenda Arrowsmith. Na tych zdjęciach prawie nic nie było widać. Bev

zauważyła, że ich „rzeczy” były małymi, rurkowatymi przedmiotami, zwisającymi pomiędzy nogami. Henry miał małą „rzecz” i nieowłosioną, ale „rzecz” Victora była dość duża i okolona gąszczem czarnych włosów. Bill też ma coś takiego, pomyślała i nagle jakby całe jej ciało oblało się rumieńcem; zrobiło się jej gorąco; w pierwszej chwili miała wrażenie, że zemdleje, a potem poczuła dziwny ucisk w żołądku. W tym momencie czuła się prawie identycznie jak Ben Hanscom ostatniego dnia szkoły, kiedy spojrzał na bransoletkę na jej kostce i dostrzegł refleks słońca na jednym z jej ogniw… ale to uczucie nie było zmieszane ze strachem, tak jak u Bev. Jeszcze raz spojrzała za siebie. Teraz ścieżka pomiędzy samochodami prowadząca do Barrens wydawała się jej dłuższa. Bała się poruszyć. Gdyby wiedzieli, że widziała ich „rzeczy”, prawdopodobnie zrobiliby jej krzywdę. I to niemałą. Na pewno dobrze daliby jej popalić.

Nagle Belch Huggins wrzasnął głośno i tak nieoczekiwanie, że aż podskoczyła, a Henry krzyknął:

– Trzy stopy! Bez kitu, Belch! Trzy stopy! No nie, Vic?

Vic przyznał, że tak, i wszyscy wybuchnęli upiornym śmiechem. Beverly spróbowała

ponownie wyjrzeć zza studebakera. Patrick Hockstetter odwrócił się i uniósł nieznacznie, a jego tyłek znajdował się teraz na wysokości twarzy Henry'ego. W dłoni Henry'ego tkwił srebrzysty, błyszczący przedmiot. Po chwili domyśliła się, że to była zapalniczka.

– Chyba mówiłeś, że zaraz będzie – rzekł Henry.

– Bo tak było – rzekł Patrick. – Powiem ci kiedy! Przygotuj się!… Przygotuj się, już nadchodzi! Już… Teraz!

Henry zapalił zapalniczkę. W tej samej chwili dał się słyszeć odgłos zdrowego pierdnięcia. Nie sposób było nie rozpoznać tego dźwięku. Beverly słyszała go dość często, zwłaszcza w sobotnie wieczory, gdy na kolację były fasola i kiełbaski. Jej ojciec przepadał za fasolą. Kiedy Patrick puścił bąka, a Henry zapalił zapalniczkę, zobaczyła coś, co sprawiło, że opadła jej szczęka. Z otworu w tyłku Patricka trysnął jasnoniebieski strumień ognia. Bev kojarzył się on z płomieniem palnika na kuchence gazowej.

Chłopcy znów wybuchnęli upiornym śmiechem, a Bev ukryta za samochodem ponownie uniosła dłonie do ust, by stłumić chichot. Śmiała się, choć wcale nie było jej do śmiechu. W pewnym sensie to było zabawne,

niewątpliwie, ale śmiała się głównie dlatego, że przepełniało ją uczucie wstrętu, któremu towarzyszyło skrajne przerażenie. Śmiała się, ponieważ nie potrafiła w żaden inny sposób stawić czoła temu, co przed chwilą zaobserwowała. To miało coś wspólnego z zobaczeniem „rzeczy” tych chłopców, ale nie o to w sumie chodziło. Bev wiedziała, że chłopcy mają „rzeczy”, tak samo jak zdawała sobie sprawę, że dziewczynki mają inne „rzeczy”; to, co tu nastąpiło, było – rzec by można – obserwacją potwierdzającą. Ale reszta tego, co tamci robili, była tak dziwna, tak absurdalna i jednocześnie tak tępo prymitywna, że pomimo wzbierającej w niej fali śmiechu zmusiła się, aby wziąć się w garść. Gest ten był odrobinę rozpaczliwy. Przestań, pomyślała, jakby to była odpowiedź, przestań, bo cię usłyszą, przestań, Bevvie! Ale to było niemożliwe. Jedyne, co mogła zrobić, to śmiać się bez udziału strun głosowych, tak by dobywające się z jej ust dźwięki stanowiły jedynie serię prawie niesłyszalnych zachłyśnięć; trzymała dłonie przy ustach, jej policzki były czerwone niczym makintosze, a w oczach kręciły się łzy.

– Rany, ale to boli! – ryknął Victor.

– Dwanaście stóp! – wykrzyknął Henry. – Przysięgam na Boga, Vic. Dwanaście pieprzonych stóp! Przysięgam na imię mojej matki!

– Nie obchodzi mnie, czy to było dwanaście pieprzonych stóp. Przypaliłeś mi dupę! – zawył Victor i znów dał się słyszeć ten obłąkańczy śmiech. Beverly, nadal usiłując śmiać się bezgłośnie, pomyślała o filmie, który oglądała w telewizji. Grał w nim Jon Hall. Film opowiadał o plemieniu żyjącym w dżungli, które składało ofiary swojemu bogowi, wielkiemu, kamiennemu bożkowi. To nie tylko nie powstrzymało jej chichotu, ale jeszcze go wzmogło. Bezgłośny śmiech coraz bardziej zmieniał się w krzyk. Bolał ją brzuch. Po policzkach spływały łzy.

3

Henry, Victor, Belch i Patrick Hockstetter znaleźli się tego upalnego lipcowego popołudnia na wysypisku śmieci i zabawiali się w podpalanie pierdnięć z powodu Reny Davenport.

Henry wiedział, jakie są skutki spożycia dużej ilości prażonej fasoli. Najlepiej wyjaśnił mu to jego ojciec, kiedy Henry, podówczas mały brzdąc, usiadł mu na kolanach. Fasola, fasola, muzykalny owoc! Im więcej jesz, tym więcej trąbisz! Im

więcej trąbisz, tym lepiej się czujesz! A potem jesteś gotów na następny posiłek!

Rena Davenport i jego ojciec spotykali się od blisko ośmiu lat. Ona była gruba, miała czterdzieści lat i zwykle była brudna. Henry przypuszczał, że Rena i jego ojciec czasami się pieprzyli, choć nie potrafił sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby chcieć pieprzyć kogoś takiego jak Rena Davenport.

Fasola Reny stanowiła powód do chwały. W sobotnie wieczory moczyła ją, a potem przez niedzielę prażyła na wolnym ogniu. Henry musiał przyznać, że fasola była rzeczywiście niezła – smakowała wyśmienicie, ale po ośmiu latach wszystko może się przejeść. Poza tym Rena nie zadowalała się małymi porcjami – przygotowywała fasolę hurtowo. Kiedy w niedzielny wieczór podjeżdżała swoim starym zielonym de soto (z lusterka wstecznego zwisała naga gumowa laleczka niczym najmłodsza ofiara linczu) pod dom Bowersów, na siedzeniu obok niej znajdowało się dwunastogalonowe wiadro z galwanizowanej stali. Tego wieczoru cała trójka zajadała się fasolą (Rena zachwycała się przez jakiś czas jakością swojej potrawy, podczas gdy Butch Bowers chrząkał i oczyszczał talerz pajdą chleba lub jeśli akurat nadawano w radiu

transmisję z meczu, po prostu mówił jej, żeby się zamknęła. Henry jadł bez słowa, popatrując przez okno i rozmyślając o swoich sprawach – to właśnie podczas jednej z niedzielnych kolacji przyszedł mu do głowy pomysł otrucia psa Mike'a Hanlona, Pana Chipsa), a następnego wieczoru Butch odgrzewał kolejną porcję. We wtorki i środy Henry brał do szkoły menażkę pełną prażonej fasoli. We czwartek i w piątek ani Henry, ani jego ojciec nie mieli już ochoty na fasolę.

W obu sypialniach, pomimo stale otwartych okien, unosił się smród starych pierdnięć. Resztą fasoli, której nie zjedli, Butch karmił dwie świnie. Bipa i Bopa. A w niedzielę Rena przyjeżdżała z nowym wiadrem fasoli i cykl się powtarzał.

Tego ranka Henry zjadł wielki talerz odgrzewanej fasoli, a potem w południe, już we czwórkę siedzieli w cieniu wielkiego starego wiązu na boisku szkolnym, napychali się fasolą po same uszy. Jedli, aż mało nie pękli.

To właśnie Patrick zaproponował, żeby poszli na wysypisko, gdzie w to upalne popołudnie roboczego dnia nie powinno być żywej duszy. Zanim dotarli na miejsce, porcje zjedzonej przez nich fasoli na dobre zaczęły dawać znać o sobie.

4

Beverly z wolna odzyskała panowanie nad sobą. Wiedziała, że musi stąd pryskać – ucieczka była o wiele mniej niebezpieczna niż dalsze pozostawanie tutaj. Byli zaabsorbowani tym, co robili, a gdyby ją odkryli, mogłaby rzucić się do ucieczki (w tej sytuacji, pomyślała, parę kulek z bullseye'a skutecznie odstraszyłoby nawet najbardziej zaciętego prześladowcę).

Już miała zacząć ruszać chyłkiem w powrotną drogę, kiedy Victor powiedział:

– Muszę już iść, Henry. Tata chce, żebym mu pomógł dziś po południu zbierać kukurydzę.

– Och, kurczę – mruknął Henry. – Kukurydza nie zając…

– Nie. Stary jest na mnie wściekły za to, co się stało tamtego dnia.

– Pieprz go, skoro nie zna się na żartach.

Beverly nasłuchiwała teraz uważniej, podejrzewając, że chodziło być może o awanturę, która zakończyła się złamaniem ręki Eddiemu.

– Nie. Muszę już iść.

– Myślę, że boli go tyłek – rzucił Patrick.

– Zważaj na to, co mówisz, kutasie – powiedział Victor. – Bo oberwiesz.

– Ja też muszę już iść – rzekł Belch.

– Twój ojciec też chce, żebyś mu pomógł w zbieraniu kukurydzy? – zapytał gniewnie Henry. W jego mniemaniu mogło to uchodzić za żart; ojciec Belcha umarł.

– Nie. Ale muszę jeszcze dostarczyć „Weekly Shopper”. I to dziś wieczorem.

– A co to znowu za gówno z tym „Weekly Shopper”? – spytał Henry obecnie nie tylko rozgniewany, ale i zakłopotany.

– To praca – odrzekł ze spokojem Belch. – Zarabiam forsę.

Henry skrzywił się z obrzydzeniem, a Beverly zaryzykowała ponowne wyjrzenie zza samochodu. Victor i Belch stali i zapinali paski. Henry i Patrick nadal kucali ze spuszczonymi spodniami. W dłoni Henry’ego błyszczała zapalniczka.

– Ty nie tchórzysz, co? – Henry spytał Patricka.

– Nie – odrzekł Patrick.

– Nie musisz zbierać kukurydzy ani nie masz żadnych innych pedalskich zajęć?

– Nie – powtórzył Patrick.

– No to – zaczął niepewnie Belch – na razie, Henry.

– Pewnie, na razie – mruknął Henry i splunął tuż obok wielkiego, roboczego buta Belcha.

Vic i Belch ruszyli razem w stronę dwóch rzędów starych samochodów… w stronę studebakera, za którym kucała Beverly. W pierwszej chwili, jak przerażony królik, mogła tylko skulić się ze strachu. Potem prześlizgnęła się wzdłuż lewego boku samochodu i wycofała przez szczelinę między studebakerem a stojącym obok pozbawionym drzwiczek fordem. Znieruchomiała na chwilę, rozejrzała się na boki, słysząc, jak się zbliżają. Zawahała się. Miała sucho w ustach, a plecy swędziały ją od potu; w głębi duszy, mgliście, zastanawiała się, jak by wyglądała z gipsem, na którym, jak u Eddiego, widniałyby podpisy członków Klubu Frajerów. Potem zanurkowała do wnętrza forda, od strony pasażera. Skuliła się na brudnej wykładzinie, starając się być jak najmniej widoczna. Wewnątrz zdezelowanego forda było gorąco jak w piecu i cuchnęło brudem, gnijącą tapicerką i zleżałymi szczurzymi odchodami. Z trudem powstrzymywała się, by nie zacząć kichać czy kaszleć.

Usłyszała, jak Belch i Victor przechodzą tuż obok, rozmawiając przyciszonymi głosami. Chwilę potem się oddalili. Kichnęła trzy razy cicho i szybko w złożone ręce. Przypuszczała, że teraz mogłaby się stąd wymknąć – naturalnie

jeżeli zachowa ostrożność. Najlepszym na to sposobem byłoby przejście wewnątrz forda, wyślizgnięcie się na zewnątrz i błyskawiczny odwrót.

Przypuszczała, że mogłaby tego dokonać, ale przerażenie, że niemal została wykryta, pozbawiło ją resztek odwagi, przynajmniej na jakiś czas. Tu, w fordzie, czuła się bezpieczniejsza. A teraz, kiedy Belch i Victor odeszli, tamci dwaj być może też niebawem się zmyją. Potem może wrócić do klubowego domku. Odeszła jej ochota na strzelanie do celu. Poza tym chciało się jej siusiu.

No, jazda! – pomyślała. Wynoście się, pospieszcie się, jazda, idźcie już sobie, proooooszę!

Chwilę potem usłyszała ryk, będący mieszaniną śmiechu i okrzyku bólu.

– Sześć stóp! – wykrzyknął Henry. – Jak pieprzony miotacz ognia! Na serio!

Na chwilę zapanowała cisza. Pot ściekał jej strużkami po plecach. Promienie słońca wpadające przez potrzaskaną szybę prażyły ją w kark. Pęcherz przez cały czas o sobie przypominał.

Henry ryknął tak głośno, że Beverly, będąca pomimo doskwierających jej niewygód bliska

ucięcia sobie drzemki, o mało sama nie krzyknęła.

– Niech cię szlag, Hockstetter! Przypaliłeś mi dupsko! Co ty robisz z tą zapalniczką?

– Dziesięć stóp – zachichotał Patrick (na ten dźwięk Bev poczuła nagłe ciarki i obrzydzenie, zupełnie jakby zobaczyła robaka wypełzającego z sałatki na talerzu).

– Dziesięć stóp, ni mniej, ni więcej, Henry. Jasnoniebieski. Dziesięć stóp, jak mi Bóg miły, nie kłamię.

– Daj mi to – mruknął Henry.

No jazda, jazda, tumany, wynosić się stąd!

Kiedy Patrick przemówił ponownie, zrobił to tak cicho, że Beverly prawie go nie słyszała. Gdyby tego dnia wiał choć lekki wietrzyk, toby się jej nie udało.

– Pokażę ci coś – rzekł Patrick.

– Co?

– Coś – Patrick przerwał. – To jest przyjemne.

– Co? – spytał powtórnie Henry. Ponownie zapadła cisza.

Nie chcę patrzeć, nie chcę widzieć, co oni tam teraz robią, a poza tym mogą mnie zobaczyć i w końcu na pewno mnie zobaczą, bo wyczerpałaś już na dziś swój limit szczęścia, dziewczyno. A więc zostań tam, gdzie jesteś. Nie

wychylaj się… Jednak ciekawość przeważyła nad zdrowym rozsądkiem. W tej ciszy było coś dziwnego i jakby odrobinę przerażającego.

Uniosła głowę, cal po calu, aż mogła wyjrzeć na zewnątrz przez potrzaskaną szybę forda. Nie musiała się martwić o to, że ją zobaczą. Byli zbyt pochłonięci tym, co robił Patrick. Nie rozumiała tego, co zobaczyła, ale wiedziała, że to coś obrzydliwego. W sumie jednak nie mogła się spodziewać po Patricku niczego innego. Patrick był po prostu dziwny. Trzymał jedną dłoń między udami Henry'ego, a drugą między swoimi. Jedną ręką delikatnie miętosił „rzecz" Henry'ego, a drugą swoją. Tyle że on niezupełnie to miętosił – raczej… pociągał i popuszczał, jakby to wyciskał.

Co on robi? – zastanawiała się przerażona Beverly.

Nie wiedziała, nie była pewna, ale to ją przerażało. Nie była tak przerażona od dnia, gdy z otworu umywalki w łazience bryzgnęła krew i zachlapała wszystko wokoło. Coś wewnątrz niej krzyczało, że gdyby odkryli, jak im się przygląda, czymkolwiek była ta czynność, mogli ją nie tylko skrzywdzić. Mogli ją nawet zabić. Mimo to nie mogła odwrócić wzroku.

Zobaczyła, że „rzecz” Patricka zrobiła się nieco dłuższa, ale nie za bardzo – nadal zwisała pomiędzy jego nogami jak wąż pozbawiony kręgosłupa. „Rzecz” Henry’ego wszakże urosła w zadziwiający sposób. Zrobiła się sztywna i prawie dotykała jego pępka. Dłoń Patricka przesuwała się to w górę, to w dół, w górę i w dół, czasami zatrzymując się i zaciskając leciutko, czasami dotykając delikatnie tego dziwnego, ciężkiego woreczka pod rzeczą Henry’ego. To są jego jaja, pomyślała Beverly. Czy chłopcy muszą stale się z nimi obnosić? Boże, ja bym chyba oszalała!

I nagle jakiś głos w jej wnętrzu wyszeptał: Bill też ma takie. A potem zaczęła sobie wyobrażać, jak bierze je do ręki, dotyka delikatnie, badając opuszkami palców ich budowę… i powtórnie poczuła, jak ogarnia ją fala gorąca, a policzki pokrywają się rumieńcem. Henry patrzył na dłoń Patricka jak zahipnotyzowany. Jego zapalniczka leżała na kamiennym osypisku tuż obok, odbijając promienie słońca.

– Chcesz, żebym wziął do ust? – spytał Patrick. Jego wielkie, mięsiste wargi uśmiechnęły się z zadowoleniem.

– Co? – spytał Henry, jakby coś nagle wyrwało go ze snu.

– Włożę go do ust, jeżeli chcesz. Nie mam nic prze…

Na wpół zaciśnięta dłoń Henry’ego wystrzeliła do przodu i Patrick runął na ziemię. Uderzył głową w żwirowe podłoże. Beverly ponownie się skuliła, serce tłukło się jej w piersi, a zęby tłumiły dobywający się z ust jęk. Po rozłożeniu Patricka na łopatki Henry odwrócił się i przez chwilę, nim Bev ponownie zwinęła się w kłębek na podłodze zdezelowanego wozu, wydawało jej się, że spojrzenia jej i Henry’ego się spotkały.

Proszę, Boże, żeby mu słońce świeciło w oczy, modliła się w duchu. Proszę, Boże, przepraszam, że podglądałam. Proszę, Boże. Nastała długa, pełna nerwów chwila ciszy. Bluzka Beverly, przesiąknięta potem, przylepiała się do ciała. Krople potu błyszczały niczym perełki na jej opalonych ramionach. Pęcherz pulsował przejmującym bólem. Czuła, że niebawem się zleje. Czekała, że lada moment w otworze, gdzie niegdyś znajdowały się drzwiczki forda, pojawi się twarz Henry’ego – była pewna, że tak się stanie. Jak mógł jej nie zauważyć? Wyciągnie ją z samochodu i skrzywdzi. Zrobi jej… I nagle przyszła jej do głowy nowa i jeszcze bardziej przerażająca myśl i ponownie musiała wytężyć wszystkie siły, by nie zmoczyć szortów. Był to

żmudny i bolesny proces. A gdyby tak zechciał użyć tej swojej „rzeczy” do skrzywdzenia jej? Przypuśćmy, że chciałby to jej gdzieś włożyć? Wiedziała, gdzie to powinno się wkładać, ale to nie zmieniało podstawowego faktu. Gdyby Henry próbował jej to włożyć, oszalałaby.

Proszę, nie, proszę, Boże, nie pozwól, by mnie zobaczył, proszę, dobrze?

A potem dał się słyszeć głos Henry’ego i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że dochodził z niedaleka.

– Nie lubię pedalskich numerków.

– Spodobało ci się – dobiegł z oddali głos Patricka.

– Nie spodobało! – krzyknął Henry. – A jeśli powiesz komuś, że mnie się podobało, zabiję cię, ty w dupę jebana cioto!

– Stanął ci – rzekł Patrick. Wydawało się, jakby się uśmiechał. Fakt ten wcale nie zdziwił Beverly. Patrick był nienormalny, jeszcze bardziej szalony niż Henry, a tacy wariaci nie bali się niczego. – Widziałem.

Beverly słyszała odgłos kroków na żwirze, coraz bliżej i bliżej. Uniosła wzrok – oczy prawie wychodziły jej z orbit. Teraz przez starą szybę forda widziała tył głowy Henry’ego. Patrzył w stronę Patricka, ale gdyby się odwrócił…

– Jeżeli komuś powiesz, ja powiem, że lubisz obciągać – rzucił Henry. – A potem cię zabiję.

– Nie przestraszysz mnie, Henry – rzekł Patrick i zachichotał. – Ale może nikomu nic nie powiem, jeżeli dasz mi dolara.

Henry poruszył się niespokojnie. Odwrócił się nieznacznie. Zamiast tyłu jego głowy Beverly widziała teraz jedną czwartą jego profilu. Proszę, Boże. Proszę, Boże, błagała w myślach, a jej pęcherz pulsował coraz boleśniej.

– Jeżeli powiesz – odparł Henry cicho, spokojnym tonem – ja powiem wszystkim, co robiłeś z kotami. I z psami też. Powiem im o twojej lodówce. I wiesz, co się stanie? Zamkną cię w wariatkowie jak nic.

Patrick nie odzywał się słowem. Henry zabębnił palcami w maskę forda, w którym ukrywała się Beverly.

– Słyszysz mnie?

– Słyszę – przyznał ponuro Patrick. Sprawiał obecnie wrażenie posępnego i odrobinę przestraszonego. Nagle wybuchnął: – Spodobało ci się to! Stanął ci! Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby komuś tak stanął!

– Ale założę się, że zobaczysz, ty mała, pierdolona, pedalska cioto. Tylko pamiętaj o tym, co powiedziałem na temat lodówki. Twojej

lodówki. I jak cię tu jeszcze kiedyś zobaczę, to ci przetrącę wała.

Patrick nie odpowiedział. Henry odszedł. Beverly odwróciła głowę i zobaczyła go, jak przechodzi obok forda od strony kierowcy. Gdyby wówczas nieznacznie spojrzał w lewo, z pewnością by ją zauważył. Ale nie zrobił tego. Chwilę potem usłyszała, jak szedł w tę samą stronę, w którą wcześniej poszli Victor i Belch. Pozostał już tylko Patrick.

Beverly czekała, ale nic się nie stało. Minęło pięć minut. Musiała się wysikać. Potrzeba była nazbyt silna. Wiedziała, że nie wytrzyma dłużej niż dwie, trzy minuty. Jej niepewność wzrastała wraz z niewiedzą, gdzie obecnie znajdował się Patrick.

Ponownie wyjrzała przez szybę i zobaczyła go siedzącego na ziemi. Henry zapomniał zapalniczki. Patrick włożył książki do małej płóciennej torby i przewiesił ją sobie przez szyję jak gazeciarz, ale spodnie i slipki miał nadal opuszczone do kostek. Bawił się zapalniczką. Kręcił kółkiem i wywoływał płomyk, który w ten jasny i słoneczny dzień był prawie niewidoczny, po czym zamykał zapalniczkę i zaczynał wszystko od początku. Wyglądał jak zahipnotyzowany.

Strużka krwi spływała z kącika jego ust aż na brodę, a jego usta po prawej stronie były napuchnięte. Zdawał się na to nie zwracać uwagi i Bev ponownie poczuła ogarniającą ją falę obrzydzenia. Patrick był szalony – to było bardziej niż pewne. Nigdy w życiu nie pragnęła tak przed nikim uciec, jak właśnie w tej chwili.

Poruszając się bardzo ostrożnie, przeczołgała się tyłem ponad dźwignią zmiany biegów starego forda i przecisnęła się pod kierownicą. Opuściła nogi na ziemię i wypełznąwszy na zewnątrz, dotarła do tyłu forda. Potem pobiegła ile sił w nogach tą samą drogą, którą tu przyszła. Kiedy dotarła do sosen poza rzędami zniszczonych samochodów, obejrzała się przez ramię. Nikogo tam nie było. Wysypisko śmieci pławiło się w promieniach słońca. Czuła, jak pod wpływem ulgi pasma mięśni wokół jej klatki piersiowej i żołądka rozluźniają się i teraz naprawdę pragnęła tylko jedynego – wysikać się. Pragnęła tego tak bardzo, że niemal zbierało się jej na wymioty.

Przebiegła jeszcze kawałek wzdłuż ścieżki, a potem skręciła w prawo. Miała rozpięte spodnie niemal w tej samej chwili, gdy za jej plecami zamknęła się ponownie ściana krzewów. Szybko rozejrzała się wokoło, by sprawdzić, że

w pobliżu nie ma sumaka, po czym przykucnęła, przytrzymując się dla równowagi chropowatego pnia krzewu. Właśnie podciągała spodnie, gdy usłyszała kroki kogoś nadchodzącego od strony wysypiska. Pomiędzy krzewami dostrzegła błysk niebieskich spodni i wyblakłej szkolnej bluzy. To był Patrick. Przykucnęła, czekając, aż ją minie i pójdzie dalej w stronę Kansas Street. W obecnej sytuacji była nieco spokojniejsza. Miała dobrą kryjówkę, już nie chciało jej się siusiu, a Patrick był jedną nogą w swoim wyimaginowanym wariackim świecie. Kiedy ten świr odejdzie, Bev zawróci i ruszy w stronę klubowego domku.

Ale Patrick nie minął jej. Zatrzymał się na ścieżce prawie dokładnie naprzeciwko niej i stał, wpatrując się w zardzewiałą lodówkę.

Beverly mogła praktycznie bez trudu obserwować Patricka przez szczeliny pomiędzy gałązkami krzewów – sama pozostając niezauważona.

Teraz, gdy sobie ulżyła, ponownie ogarnęło ją zaciekawienie – a poza tym była pewna, że nawet gdyby Patrick ją dostrzegł, z łatwością zdołałaby go prześcignąć. Nie był tak gruby jak Ben, ale był pękaty. Na wszelki wypadek wyjęła z tylnej kieszeni bullseye'a i włożyła pół tuzina kulek do kieszeni starej bluzki. Szalony czy nie, jeden

strzał w kolano mógł błyskawicznie pozbawić Patricka Hockstettera zapału.

Teraz już przypominała sobie tę lodówkę. Na wysypisku było sporo lodówek, ale tylko tej jednej pan Fazio obcęgami nie pozbawił mechanizmu zatrzaskowego ani nie zdjął z niej drzwiczek. Patrick zaczął coś mruczeć pod nosem i kiwać się w przód i w tył przed zardzewiałą lodówką, a Beverly poczuła, że ciarki przebiegają jej po plecach. Przypominał jej faceta z filmu grozy szykującego się do wyjęcia zwłok z wnętrza starej krypty.

Co on zamierza zrobić?

Ale gdyby znała odpowiedź na to pytanie lub gdyby wiedziała, co się stanie, kiedy Patrick zakończy swój prywatny rytuał i otworzy drzwiczki starej, przeżartej rdzą lodówki, uciekłaby stamtąd ile sił w nogach, nie czekając ani chwili dłużej.

5

Nikt, nawet Mike Hanlon, nie wiedział, jak szalony był naprawdę Patrick Hockstetter. Miał dwanaście lat. Był synem sprzedawcy pracującego w sklepie z farbami. Jego matka umrze na raka piersi w 1962, cztery lata po pożarciu Patricka przez mroczną istotę

mieszkającą w Derry i labiryncie kanałów. Choć wynik jego testów na inteligencję wskazywał „poziom nieco niższy od normalnego”, Patrick już dwa razy repetował – w pierwszej i trzeciej klasie. W tym roku skierowano go na kurs letni, toteż nie będzie musiał powtarzać również piątej. Nauczyciele określali go jako apatycznego ucznia (tę opinię zawarto na sześciu linijkach, gdzie znajdowało się miejsce na uwagi nauczyciela), a także dość niepokojącego (czego nie zanotował żaden z nauczycieli – ich odczucia były zbyt mętne, zbyt rozproszone, aby można je wyrazić w sześćdziesięciu linijkach, a co dopiero w sześciu). Gdyby urodził się dziesięć lat później, pracownik poradni szkolnej prawdopodobnie skierowałby go do psychologa, który mógł (choć niekoniecznie, bo Patrick był o wiele sprytniejszy, niż wynikałoby to z jego testów na inteligencję) zauważyć przerażające głębie ukryte za tą leniwą, bladą jak tarcza księżyca facjatą.

Był socjopatą i być może do owego upalnego lipca 1958 roku stał się nim w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie pamiętał czasów, kiedy wierzył, że inni ludzie (i – co za tym idzie – również inne żywe istoty) byli prawdziwi! Wierzył, że on sam istniał naprawdę, być może jako jedyny w całym

wszechświecie, ale to wcale go nie przekonywało, że był „prawdziwy”. Nie orientował się, że sprawia ból, także go nie czuł (najlepszym tego przykładem była jego obojętność, kiedy zarobił w twarz od Henry’ego).

Pomimo że uważał rzeczywistość za coś znaczącego, wyśmienicie pojmował pojęcie zasad. Większość nauczycielek uważała go za dziwaka (zarówno pani Douglas prowadząca piątą klasę, jak i pani Weems, opiekunka trzeciej klasy, wiedziały o jego piórniku z muchami) i chociaż nie ignorowały wynikających z tego faktu implikacji (każda z nich miała jeszcze od dwudziestu do dwudziestu ośmiu innych uczniów borykających się z różnego rodzaju problemami), nie miały większych kłopotów z narzuceniem dyscypliny. Czasami oddawał zupełnie czyste testy, a niekiedy tylko kreślił na nich wielki znak zapytania i pani Douglas stwierdziła, że z powodu jego niesfornych rąk o niespokojnych palcach należy trzymać go z dala od dziewcząt, ale poza tym był cichy, tak cichy, że czasami można go było wziąć za bryłę gliny uformowaną, z grubsza, w podobiznę chłopca. Łatwo było zignorować Patricka, który apatycznie pogrążał się w milczeniu, kiedy miał do czynienia z chłopakami takimi jak Henry

Bowers i Victor Criss, zwykle nadpobudliwymi i bezczelnymi, lubiącymi niszczyć, kraść pieniądze przeznaczone na mleko lub – gdy mieli po temu okazję – z lubością dewastować szkolną własność czy też wyśmiewać się z dziewcząt takich, jak nosząca niefortunne nazwisko Elizabeth Taylor epileptyczka, której nieliczne żałosne komórki mózgowe pracowały dość sporadycznie i którą na boisku trzeba było powstrzymywać przed podnoszeniem spódniczki i pokazywaniem wszystkim dookoła, jakie włożyła tego dnia majteczki. Inni słowy, podstawówka w Derry była typowym edukacyjnym, pomieszanym wesołym miasteczkiem, cyrkiem z taką mnogością występujących postaci, że nawet Pennywise mógł zostać pośród nich niezauważony. Z całą pewnością żadna z nauczycielek Patricka (jak również, nawiasem mówiąc, jego rodzice) nie podejrzewała, że w wieku pięciu lat Patrick zamordował swojego młodszego braciszka, Avery'ego. Patrickowi nie przypadło do gustu, kiedy jego matka przywiozła Avery'ego ze szpitala do domu. Nie obchodziło go (a przynajmniej tak sobie początkowo wmawiał), czy jego rodzice mieli dwoje, pięcioro czy pięć

tuzinów dzieci, dopóki te dzieciaki nie zmieniają pozycji w jego stałym grafiku.

Jednak jak się okazało, Avery dokonał takiej zmiany. Posiłki się opóźniały. Dziecko w nocy płakało i budziło go. Miał wrażenie, że jego rodzice stale wisieli nad kołyską i często, kiedy starał się zwrócić ich uwagę, okazywało się to niemożliwe.

Po raz pierwszy w życiu Patrick był przerażony. Przyszło mu na myśl, że skoro rodzice przynieśli jego, Patricka, ze szpitala i on był „prawdziwy", to tak samo może być również z Averym. Kto wie, może nawet zdarzy się tak, że kiedy Avery zacznie chodzić i mówić, przynosić ojcu z kiosku gazety i podawać matce naczynia, kiedy wypiekała chleb, starzy zechcą się pozbyć jego – Patricka. Nie obawiał się tego, że rodzice kochali Avery'ego bardziej (choć to było dlań niemal oczywiste i najprawdopodobniej pod tym względem jego przeczucia były słuszne). Chodziło mu o to, że: po pierwsze, od momentu przybycia Avery'ego zasady były notorycznie łamane bądź zmieniane; po drugie, Avery mógł być równie „prawdziwy" jak on; po trzecie, z powodu Avery'ego rodzice mogli zechcieć się go pozbyć. Któregoś dnia Patrick wszedł do pokoju Avery'ego; to było około wpół do trzeciej,

niedługo po tym, jak szkolny autobus przywiózł go z przedszkola. Był styczeń. Zaczął padać śnieg. Wiatr świszczał pośród alejek McCarron Park i chłostał pokryte szronem okna na piętrze domu Hockstetterów. Matka Patricka zdrzemnęła się w sypialni. Avery przez całą poprzednią noc grymasił i płakał.

Jego ojciec był w pracy. Avery spał na brzuchu z głową odwróconą na bok. Patrick, z twarzą pozbawioną wyrazu, odwrócił głowę Avery'ego, tak że jego twarz była wciśnięta dokładnie w miękką poduszkę. Avery zaczął sapać i ponownie obrócił głowę w bok. Patrick zauważył to i zastanawiał się przez chwilę, podczas gdy topiący się śnieg z jego butów formował na podłodze niewielką kałużę. Minęło może pięć minut (szybkie rozumowanie nie było domeną Patricka), a potem ponownie wcisnął Avery'emu twarz w poduszkę i przytrzymał tak przez chwilę. Avery drgnął i zaczął się szamotać, jednak jego wysiłki były dość słabe. Patrick puścił go. Avery znów odwrócił głowę na bok, zapłakał z cicha, a potem znowu przysnął. Wiatr się wzmógł. Jego podmuchy chłostały szyby okien. Patrick czekał, czy krzyki malca obudziły matkę. Okazało się, że nie. Ogarnęło go ogromne podniecenie. Miał wrażenie, że po raz pierwszy

otaczający go świat stał się naprawdę przejrzysty. System odbioru emocji Patricka był, delikatnie mówiąc, poważnie uszkodzony i przez te parę chwil czuł się jak daltonista po zastrzyku, dzięki któremu może on, niezbyt długo, odbierać kolory… albo jak ćpun, który dopiero co dał sobie w żyłę – rozpoczynając najwspanialszy w swoim życiu odjazd. To było coś nowego. Nie przypuszczał, że coś takiego w ogóle istniało.

Bardzo delikatnie znowu wcisnął Avery'emu twarz w poduszkę. Tym razem, kiedy Avery zaczął się szamotać, Patrick go nie puścił. Dociskał twarz dziecka coraz silniej. Niemowlę zaczęło teraz wydawać stłumione, płaczliwe dźwięki i Patrick wiedział, że Avery się obudził. Miał mgliste przeczucie, że gdyby teraz go puścił, gnojek wykablowałby później wszystko matce. Nie rozluźnił ucisku. Dziecko się szamotało. Patrick je dociskał. Dziecko puściło bąka. Jego wysiłki osłabły. W końcu znieruchomiało. Patrick przytrzymywał brata jeszcze przez pięć minut i ogarniające go uczucie podniecenia, narosłe do kulminacji, z wolna zaczęło się rozpływać; zastrzyk przestawał działać, świat znów stał się szary, odjazd dobiegał końca.

Patrick zszedł na dół, nałożył sobie talerz ciasteczek i nalał szklankę mleka. Matka pojawiła

się na dole pół godziny później i powiedziała, że nie słyszała, jak wchodził – była tak bardzo zmęczona (Już nie będziesz, mamo, pomyślał Patrick. Nie martw się, zająłem się tym). Usiadła obok niego, zjadła jedno z ciasteczek i spytała, jak mu poszło na zajęciach. Patrick odparł, że dobrze, i pokazał jej wykonany przez siebie rysunek mający przedstawiać dom i drzewo. Kartka papieru pokryta była masą nieprzypominających niczego bazgrołów, zrobionych brązową i czarną kredką. Mama powiedziała, że rysunek jest bardzo ładny. Patrick przynosił codziennie ten sam bohomaz. Czasami mówił, że ma on przedstawiać indyka, czasami choinkę, innym razem chłopca. Matka zawsze twierdziła, że rysunek jej się podoba… choć nieraz w głębi duszy, tak głęboko, że prawie tego nie czuła, martwiła się. W chaotycznej plątaninie czarno-brązowych kresek było coś mrocznego – coś niepokojącego.

Dopiero około piątej odkryła, że Avery nie żyje. Do tej pory przypuszczała, że dziecko po prostu ucięło sobie dłuższą drzemkę. W tym czasie Patrick oglądał w telewizji *Crusader Rabbit* i nawet później ani na chwilę nie wstał od telewizora. Leciało właśnie *Whirlybirds*, kiedy zjawiła się sąsiadka, pani Henley (jego krzycząca

matka trzymała zwłoki dziecka w otwartych kuchennych drzwiach, wierząc, że jakimś cudem zimne powietrze może je ożywić. Patrickowi zrobiło się zimno i nałożył wyjęty z szafy sweter).

Kiedy pan Hockstetter wrócił z pracy, zaczął się właśnie ulubiony serial Bena Hanscoma *Highway Patrol*. Zanim przybył lekarz, Truman Bradley, gospodarz programu, rozpoczął *Science Fiction Theater*.

– Kto wie, jakie istoty mogą zamieszkiwać we wszechświecie? – zastanawiał się Truman Bradley, podczas gdy matka Patricka krzyczała i szarpała się z mężem w kuchni. Doktor zauważył niezwykły spokój Patricka i jego obojętne spojrzenie, po czym doszedł do wniosku, że chłopiec musi być w szoku. Chciał, aby Patrick wziął pigułkę. Patrick nie miał nic przeciwko temu.

Śmierć Avery'ego przypisano przyczynom naturalnym. Takie wypadki się zdarzają. Parę lat później mogłyby paść pytania dotyczące pewnych szczegółów odbiegających od typowych przypadków syndromu śmierci łóżeczkowej. Jednak jeśli chodzi o Avery'ego, śmierć po prostu zwyczajnie odnotowano, a ciało pochowano. Patrick cieszył się, że w końcu wszystko wróciło

do normy, a posiłki znów były podawane o czasie.

W szaleństwie tamtego popołudnia i wieczoru – ludzie wpadali do mieszkania i wypadali z niego, czerwone światła ambulansu rzucały pulsujący krwawy blask na ściany domu, pani Hockstetter krzyczała, wyła i nie dała się uspokoić – tylko ojciec Patricka był o krok od wykrycia prawdy. Stał jak otępiały przy pustej kołysce Avery'ego, niespełna dwadzieścia minut po zabraniu ciała, nie mogąc pogodzić się z tym, co się stało. Był w szoku. Spuścił wzrok i nagle dostrzegł ślady na klepce podłogowej. To były ślady stopionego śniegu z żółtych gumiaków Patricka. Przyjrzał się im i potworna myśl przyszła mu do głowy, niczym trujący gaz z głębin kopalnianego szybu. Jego dłoń uniosła się do ust, a oczy rozszerzyły. W myślach poczęła mu się rodzić wizja. Nim jednak zdołała się skrystalizować, ojciec Patricka wybiegł z pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi tak silnie, że rozszczepiła się framuga u góry.

Nigdy nie zadał Patrickowi choćby jednego pytania. Patrick już nigdy nie zrobił czegoś podobnego, choć gdyby miał po temu okazję, zapewne by się nie zawahał. Nie miał poczucia winy ani nie dręczyły go koszmary, jednak

w miarę upływu czasu coraz bardziej zdawał sobie sprawę, co by się stało, gdyby go przyłapano. Istniały pewne zasady. Jeżeli je łamiesz albo ich nie przestrzegasz, może cię to drogo kosztować. Mogą cię zamknąć u czubków albo nawet posłać na krzesło elektryczne.

Ale to uczucie podniecenia – uczucie świadomości barw i wrażeń – było zbyt silne i zbyt cudowne, by mógł ot tak, po prostu z niego zrezygnować. Patrick zabijał muchy. Z początku wykańczał je zwyczajną packą, później uświadomił sobie, że równie dobrze nadaje się do tego jego zielona plastikowa linijka. Poza tym odkrył radość z czegoś tak prozaicznego jak lep na muchy. Długi lepki pasek, który można było kupić za dwa centy w sklepie przy Costello Avenue, a Patrick mógł czasami stać w garażu nawet i przez dwie godziny, patrząc z szeroko otwartymi ustami i rozszerzonymi oczyma, jak muchy siadają na lepie, a później bezskutecznie próbują wyrwać się z pułapki. W takich chwilach jego ciemne oczy rozjaśniał błysk podniecenia, a strużki potu ściekały po okrągłej twarzy i korpulentnym ciele. Patrick zabijał owady, ale jeśli to było możliwe, najpierw się nad nimi pastwił. Czasami wykradał z domu długą igłę (wyjętą z poduszeczki na igły należącej do jego

matki), przebijał żuka na wylot i usiadłszy na ziemi w ogrodzie, patrzył, jak owad zdycha.

Na jego obliczu malował się wówczas taki sam wyraz jak u wielu chłopców podczas czytania ciekawej książki. Raz natknął się na przejechanego kota, leżącego w rynsztoku przy Lower Main Street, i siedział, przyglądając mu się, póki jakaś kobieta nie zauważyła, że od czasu do czasu kopał i trącał zdychające zwierzę stopą. Przyłożyła mu parę razy miotłą do zamiatania przed domem. „Do domu! – wrzasnęła do niego. – Odbiło ci, gnojku?”. Patrick poszedł do domu. Nie był zły na starą kobietę. Po prostu został przyłapany na łamaniu zasad – to wszystko.

I nagle w zeszłym roku (zarówno Mike’a Hanlona, jak i pozostałych nie zdziwiłoby, gdyby wiedzieli, że stało się to tego samego dnia, gdy został zamordowany George Denbrough) Patrick odkrył zardzewiałą lodówkę firmy Amana – jedną z większych śmiecioid w pasie okalającym wysypisko.

Podobnie jak Bev, słyszał ostrzeżenie na temat tego typu porzuconych przedmiotów, o tym, jak każdego roku wewnątrz takich urządzeń ginie okrutną śmiercią cała masa beztroskich, głupich dzieciaków. Patrick stał, wpatrując się w lodówkę przez dłuższy czas, trzymając dłoń w kieszeni

i leniwie zabawiając się z sobą. Podniecenie wróciło, silniejsze niż kiedykolwiek, w momencie gdy zwrócił uwagę na amanę. Podniecenie powróciło, bo kiedy Patrick patrzył na lodówkę, w jego głowie zaświtał pewien pomysł. Tydzień później Luce'om mieszkającym trzy domy dalej zginął kot – Bobby. Dzieciaki Luce'ów, przywiązane do zwierzaka, szukały go w całej okolicy przez wiele godzin. Rodzice wysupłali nawet trochę grosza i dali ogłoszenie w „News", w kolumnie o zaginionych. Bezskutecznie. Nawet gdyby ktokolwiek zauważył tego dnia Patricka (ubranego cieplej niż zwykle w grubą kurtkę, bo po obniżeniu stanu wód jesienią 1957 roku prawie natychmiast zrobiło się chłodniej) niosącego kartonowe pudło, nie powiązałby go z zaginięciem Bobby'ego. Jakieś dziesięć dni przed Świętem Dziękczynienia Engstromom mieszkającym przy sąsiedniej ulicy zginął szczeniak – cocker-spaniel. Przez kolejne sześć, osiem miesięcy wiele rodzin potraciło swoje psy i koty i naturalnie to Patrick porwał je wszystkie, nie wspominając już o tuzinie wałęsających się po Diabelskim Półakrze bezdomnych psiaków i kotów.

Wsadzał zwierzęta jedno po drugim do starej, zardzewiałej lodówki. Za każdym razem, gdy

przynosił nowy „eksponat”, serce waliło mu w piersi, a jego oczy zaczynały szczypać i łzawić z podniecenia. Spodziewał się, że któregoś dnia Mandy Fazio zerwie obcęgami zatrzask lodówki i za pomocą młota kowalskiego odbije zawiasy drzwiczek. Jednak Mandy nigdy nie tknął tej jednej jedynej lodówki. Być może w ogóle nie wiedział o jej istnieniu lub też trzymał się na dystans odpychany siłą woli Patricka… bądź jakąś inną mocą.

Najdłużej wytrzymał cocker Engstromów. Pomimo upiornego zimna nadal żył, kiedy Patrick wrócił na wysypisko po raz trzeci w ciągu trzech dni. Stracił tylko swą poprzednią werwę (kiedy Patrick wyjął go z pudełka i pierwszy raz zamknął w lodówce, machnął radośnie ogonem i lizał chłopca po rękach); gdy Patrick wrócił tam dzień później, szczeniak o mało mu nie uciekł. Patrick gonił go prawie przez całe wysypisko, nim w końcu zdołał dopaść go długim susem i nastąpić mu z całej siły na tylną łapę. Szczeniak dziabnął go zębami.

Patrick w ogóle nie zwracał na to uwagi. Pomimo ukąszeń zaniósł spaniela z powrotem i zamknął psa w lodówce. Przez cały ten czas miał wzwód. Nie było to dlań niczym niezwykłym.

Na drugi dzień szczeniak znów próbował ucieczki, ale był powolny. Patrick zapędził go do środka, zatrzasnął zardzewiałe drzwiczki lodówki i oparł się o nie całym ciałem. Słyszał, jak szczeniak drapie w drzwi pazurami. Słyszał jego stłumiony pisk.

– Dobry psiak – rzekł Patrick Hockstetter. Miał zamknięte oczy i przyspieszony oddech. – Dobry psiak.

Na trzeci dzień, gdy Patrick otworzył drzwi lodówki, pies mógł już tylko wodzić za nim wzrokiem. Jego boki unosiły się i opadały szybko, ale płytko. Kiedy Patrick powrócił następnego dnia, spaniel był martwy, a wokół jego nosa i pyska zastygła gęsta piana. Patrickowi kojarzyła się z lodami o smaku orzechowym i śmiał się w głos, wyjmując zewłok z lodówki i ciskając w pobliskie krzaki.

Tego lata liczba ofiar (Patrick nazywał je „zwierzętami doświadczalnymi”) znacznie się zmniejszyła. Pomijając kwestie „prawdziwości”, miał on bardzo silny instynkt samozachowawczy i wyjątkowo rozwiniętą intuicję. Przypuszczał, że go podejrzewano. Nie był pewny, kto go podejrzewał. Pan Engstrom? Być może. Któregoś dnia tej wiosny w sklepie obrzucił go długim, podejrzliwym spojrzeniem. Pan Engstrom

kupował papierosy, a Patricka posłano po chleb. Pani Josephs? Być może. Czasami siadała w oknie swego pokoju z teleskopem i, zdaniem pani Hockstetter, była „wstrętną, wścibską babą”. Pan Jacubois, który miał na zderzaku swego wozu nalepkę ASPCA? Ktoś inny? Patrick nie wiedział na pewno, ale intuicja mu podpowiadała, że ktoś go podejrzewał, a on nigdy nie spierał się z głosem swego instynktu. Zadowolił się paroma bezdomnymi zwierzakami wałęsającymi się wśród gnijących budynków Diabelskiego Półakra, wybierając tylko te, które wyglądały na wychudzone albo chore. Nic więcej.

Odkrył poza tym, że znajdująca się w pobliżu wysypiska lodówka wywiera nań dziwny, niemal magnetyczny wpływ. Miała nad nim władzę. W szkole, kiedy się nudził, zaczynał rysować jej kształt. Czasami śnił o niej całymi nocami i w tych snach amana miała dobre siedemdziesiąt stóp wysokości, białą kopułę, a jej wnętrze było mroczną, posępną kryptą skrzącą się lodowymi iskierkami w zimnym blasku księżyca.

W tym śnie wielkie drzwiczki otwierały się i widział olbrzymie oczy patrzące w jego kierunku. Budził się zlany zimnym potem, ale zorientował się, że nie potrafi zrezygnować

zupełnie z uciech zapewnianych mu przez lodówkę.

W końcu dziś dowiedział się, kto go podejrzewał. Bowers. Świadomość, że Bowers znał prawdę o jego „morderczej lodówce”, wprawiła go w stan bliski paniki. Prawdę mówiąc, Patrick nigdy nie zdołałby naprawdę wpaść w panikę, ale strach, a właściwie duchowy niepokój, jaki odczuwał, nie były przyjemnymi i pożądanymi odczuciami. Henry wiedział. Wiedział, że Patrick czasami łamał zasady. Jego ostatnią ofiarą był gołąb, którego znalazł przy Jackson Street przed dwoma dniami. Gołąb został potrącony przez samochód i nie mógł latać. Patrick poszedł do domu, wziął z garażu swoje pudełko i włożył doń gołębia. Gołąb parę razy dziobnął Patricka w rękę, pozostawiając na niej długie, płytkie bruzdy. Patrick bynajmniej się tym nie przejął. Kiedy następnego dnia zajrzał do lodówki, gołąb już nie żył. Ale Patrick wówczas nie pozbył się zwłok. Teraz, poruszony groźbą Henry’ego, że opowie o zawartości jego lodówki, postanowił jak najszybciej wyrzucić truchło gołębia. Może przyniesie kubeł z wodą i parę szmat i umyje całe wnętrze lodówki, bo wyjątkowo cuchnęła. Gdyby Henry go przykablował i pan Nell przyszedłby tu, żeby

sprawdzić, mógłby stwierdzić, że coś – jakieś stworzenie, a może nawet kilka stworzeń – dokonało żywota w jej wnętrzu.

Jeżeli podkabluje, pomyślał Patrick, stojąc pomiędzy sosnami i patrząc na zardzewiałą amanę, ja powiem, że on złamał rękę Eddiemu Kaspbrakowi. Oczywiście już prawdopodobnie to wiadomo, ale nie można niczego udowodnić, bo oni wszyscy powiedzieli, że tego dnia przebywali w domu Bowersów, i szalony ojciec Henry'ego potwierdził ich zeznania. Jak on mnie sypnie, to ja jego też. Wet za wet. To teraz nieważne. Teraz musi tylko pozbyć się ptaka. Zostawi drzwi lodówki otwarte, a potem wróci ze szmatami i kubłem wody i umyje wszystko, jak trzeba. Świetnie.

Patrick otworzył drzwiczki lodówki na swą zgubę. W pierwszej chwili był po prostu zakłopotany, gdyż nie potrafił stawić czoła temu, co właśnie zobaczył. Nic z tego nie pojmował. To nie miało żadnego sensu. Po prostu patrzył z rozszerzonymi oczyma i głową przekrzywioną na bok.

Z gołębia nie zostało nic prócz szkieletu i resztki postrzępionych piór. Ciało ptaka zostało dokładnie obrane z mięsa. Wokół niego, we wnętrzu lodówki, znajdowały się tuziny czegoś,

co przypominało wielkie kawałki makaronu typu „muszelki”. Przywierały do ścian wewnątrz lodówki, zwisały pod zamrażalnikiem i poniżej drucianych półek. Patrick zauważył, że poruszały się nieznacznie, jak pod wpływem podmuchów wiatru. Tylko że w ogóle nie było wiatru. Zasępił się. Nagle jedno z muszelkowatych stworzeń rozwinęło owadzie skrzydła. Zanim Patrick zdążył zrobić coś więcej prócz zwyczajnego zarejestrowania tego faktu, stwór przeleciał dzielący ich dystans i wylądował na jego lewym ramieniu. Uderzył w nie z głośnym plaśnięciem. Patrick poczuł gwałtowne ciepło. Wrażenie to prysło błyskawicznie i Patrickowi wydawało się, że z jego ręką jest wszystko w porządku – ale blade ciało muszelkowatego stwora z szokującą gwałtownością zmieniło barwę z różowej w jasnoczerwoną. To stało się błyskawicznie.

Choć Patrick nie bał się praktycznie niczego w ogólnie rozumianym znaczeniu tego słowa (trudno jest bać się czegoś, co nie jest „prawdziwe”), istniała jedna rzecz, która napawała go obrzydzeniem. Któregoś ciepłego sierpniowego dnia wyszedł z jeziora i zobaczył, że do jego brzucha i nóg przyczepiło się kilka pijawek. Było ich w sumie cztery czy pięć.

Wrzeszczał tak zawzięcie, że niemal zachrypł, dopóki ojciec nie zdjął ich z niego.

Teraz, w przypływie zabójczego natchnienia, zdał sobie sprawę, że to musi być jakiś dziwny gatunek latających pijawek. Zagnieździły się w jego lodówce. Patrick zaczął krzyczeć i bić ręką stwora wczepionego w jego ramię. To nabrzmiało niemal do rozmiarów piłki tenisowej. Przy trzecim ciosie stwór rozpękł się z głuchym obrzydliwym plaśnięciem. Krew, jego krew, zbryzgała rękę od łokcia do nadgarstka, ale galaretowata, bezoka głowa nie puściła. W pewien sposób przypominała główkę ptaka – kończyła się czymś na kształt dzioba, ale dziób ten nie był ani spłaszczony, ani ostro zakończony, lecz okrągły i tępy jak trąbka komara. Ta właśnie trąbka tkwiła w ramieniu Patricka.

Nadal krzycząc, zacisnął palce na zmiażdżonym ciele stwora i zerwał go z ręki. Trąbka wysunęła się bez trudu, a zaraz potem z rany trysnęła rozwodniona krew zmieszana z jakimś żółtawobiałym, przypominającym ropę płynem. W ramieniu Patricka pozostała okrągła ranka wielkości dziesięciocentówki, ale chłopak w ogóle nie czuł bólu.

A stwór, choć zmasakrowany, nadal wił się i miotał pomiędzy jego palcami. Patrick cisnął go precz, odwrócił się… i nim jego dłoń zacisnęła się na klamce lodówki, z jej wnętrza wyleciało i obsiadło go kilka kolejnych stworów. Wylądowały na jego dłoniach, ramionach i szyi. Jeden z plaśnięciem przywarł do jego czoła. Kiedy Patrick uniósł rękę, aby go zerwać, zobaczył na swojej ręce cztery inne – drgające delikatnie, zmieniające barwę z bladej na różową, a potem czerwoną. Nie czuł bólu… miał jedynie dziwne, okropne wrażenie, że jest opróżniany. Krzycząc, obracając się w kółko i chłoszcząc pokrytymi „pijawkami” dłońmi po twarzy, głowie i szyi, Patrick Hockstetter słyszał w myślach swój głos, powtarzający bez końca: To nie dzieje się naprawdę, one nie są prawdziwe, to tylko zły sen, nie martw się, one nie są prawdziwe, nic nie jest prawdziwe.

Ale krew bryzgająca z rozdzieranych „pijawek” wydawała się bardzo prawdziwa, podobnie jak brzęczenie ich skrzydeł… i jego własny strach.

Jedna z nich wpadła mu za koszulę i usiadła na klatce piersiowej. Kiedy tłukł w nią rękoma jak oszalały i patrzył na rozszerzającą się plamę krwi nad miejscem, w którym przywarła, inna

wylądowała na jego prawym oku. Patrick zamknął je, ale to nie pomogło. Pieczenie trwało nie dłużej niż chwilę, podczas gdy trąbka stwora przebiła mu powiekę i zaczęła wysysać płyn z gałki ocznej. Patrick poczuł, jak jego oko zapada się w oczodole, i ponownie wrzasnął. W tej samej chwili „pijawka” wleciała mu do ust i przywarła do języka.

Nadal wszystko to działo się nieomal bezboleśnie. Patrick, wymachując opętańczo rękoma i zataczając się, przeszedł wzdłuż ścieżki w stronę dwóch rzędów złomowanych samochodów. Pasożyty obsiadły go całego. Niektóre wysysały zeń krew aż do granic swej pojemności, a potem pękały niczym balony; gdy rozpadły się te największe, z ciała Patricka ubyło blisko ćwierć litra krwi. Czuł, jak „pijawka” na języku zaczyna nabrzmiewać i otworzył szeroko usta, bo chociaż nie mógł już logicznie myśleć, nie chciał pozwolić, aby to pękło mu w ustach – nie zamierzał na to pozwolić… Ale tak się stało. Z ust Patricka, jak struga wymiocin, buchnął strumień krwi i rozerwanych szczątków ciała pasożyta. Patrick upadł na wysypaną żwirem ziemię i zaczął przetaczać się po niej z boku na bok. Przez cały czas krzyczał. Jednak z wolna jego krzyki zaczęły cichnąć. Tuż przed tym, jak

stracił przytomność, zobaczył postać wyłaniającą się spoza wraku ostatniego z samochodów. W pierwszej chwili Patrick pomyślał, że to może Mandy Fazio i że zostanie uratowany. Gdy postać zbliżyła się, zauważył, że jej twarz zmieniała się, topniała niczym rozgrzany wosk. Czasami jej rysy twardniały i wyglądała jak ktoś – lub coś – ale zaraz znów się zmieniała; wydawało się, że nie mogło się zdecydować, kim lub czym chciało być.

– Cześć i do widzenia – mruknął gardłowy głos z wnętrza topiącej się stale twarzy i Patrick ponownie spróbował krzyknąć. Nie chciał umrzeć; jako jedyny „prawdziwy" człowiek nie powinien umrzeć. Przecież gdyby umarł, wraz z nim umrą wszyscy ludzie na całym świecie.

Człekokształtny stwór złapał Patricka za pokryte „pijawkami" ręce i zaczął ciągnąć w stronę Barrens. Okrwawiona torba odbijała się od ziemi i uderzała o jego bok. Pas torby chłopak nadal miał przewieszony przez szyję. Patrick, który ciągle próbował krzyczeć, wreszcie stracił przytomność.

Ocknął się tylko raz: kiedy w jakimś mrocznym, cuchnącym, piekielnie wilgotnym miejscu, gdzie nie docierało żadne, absolutnie żadne światło, To zaczęło się pożywiać.

6

W pierwszej chwili Beverly nie była całkiem pewna, co widziała ani co się stało… wiedziała tylko, że Patrick Hockstetter zaczął się gwałtownie rzucać, tańczyć i krzyczeć. Wstała powoli, trzymając w jednej ręce procę, a w drugiej dwie małe stalowe kulki. Słyszała, jak Patrick oddala się wzdłuż ścieżki, wrzeszcząc wniebogłosy. W tym momencie Beverly wyglądała kubek w kubek jak piękna kobieta, którą się kiedyś stanie, i gdyby Ben Hanscom mógł ją wówczas zobaczyć, jego serce chybaby tego nie wytrzymało.

Wyprostowała się i przekrzywiła głowę w lewo – jej oczy były rozszerzone, a włosy splecione w dwa warkocze przewiązane kawałkami wstążki kupionej za dziesięć centów. Wyglądała na całkowicie skupioną i skoncentrowaną jak dziki kot szykujący się do ataku. Wysunęła do przodu lewą stopę, obróciła się nieznacznie, jakby zamierzała pójść za Patrickiem, i nogawki jej wyblakłych szortów podsunęły się tak wysoko, że widać było wystające spod nich brzegi bawełnianych majteczek. Poniżej jej nogi były gładko umięśnione i piękne pomimo zadrapań, siniaków i plamek brudu.

To tylko sztuczka. Zobaczył cię i wie, że prawdopodobnie nie da rady cię dogonić, więc próbuje cię wywabić. Nie idź, Bevvie!

Ale inny głos w jej myślach twierdził, że krzyk Patricka był za bardzo przesycony bólem i strachem. Chciała zobaczyć, co mu się stało. Jednocześnie żałowała, że nie poszła do Barrens inną drogą, dzięki czemu ominąłby ją cały ten szaleńczy spektakl. Krzyki Patricka ucichły. Chwilę potem Beverly usłyszała czyjś głos, ale wiedziała, że to musiał być jedynie wytwór jej wyobraźni. Usłyszała, jak jej ojciec mówi: „Cześć i do widzenia". Tego dnia jednak ojca w ogóle nie było w Derry – o ósmej wyjechał do Brunswicku. On i Joe Tammerly mieli przywieźć z Brunswicku ciężarówkę Chevroleta. Potrząsnęła głową, jakby chciała oczyścić umysł. Nie usłyszała głosu powtórnie. Tak, to z pewnością jej wyobraźnia. Wyszła z krzaków na ścieżkę, gotowa rzucić się do ucieczki, kiedy tylko zobaczy Patricka szarżującego w jej stronę – była czujna jak kot. Spojrzała na ścieżkę i jej oczy się rozszerzyły. Tam była krew. Cała masa krwi.

To sztuczna krew – znowu dobiegł wewnętrzny głos. W sklepie Dahlie's możesz kupić całą butelkę tego za czterdzieści dziewięć centów. Bądź ostrożna, Bevvie! Przyklękła

i szybko dotknęła krwi palcami. Przyjrzała się im uważnie. To nie była sztuczna krew. Nagle poczuła palące ciepło w lewej ręce, tuż poniżej łokcia, spojrzała w dół i zobaczyła coś, co przypominało osełkę. Nie, to nie była osełka. Osełki nie poruszają się i nie wiją. To coś żyło. Chwilę potem zdała sobie sprawę, że to ją ugryzło. Uderzyła w to mocno wierzchem dłoni i stwór pękł, zbryzgując ją krwią. Cofnęła się o krok, gotowa zacząć krzyczeć, teraz, kiedy było już po wszystkim… tyle że wcale nie było po wszystkim. Głowa stwora wpijała się w jej ramię, tępy pysk pogrążał się w ciele.

Ze stłumionym krzykiem obrzydzenia i strachu zerwała stwora i zobaczyła, jak jego trąbka ociekająca krwią wysuwa się z ramienia. Teraz zrozumiała już, skąd wzięła się krew na ścieżce. Powiodła wzrokiem w stronę lodówki. Drzwiczki znów były zatrzaśnięte, ale na zewnątrz pozostało trochę pasożytów. Robaki pełzły leniwie po rdzawobiałej lodówce. Na oczach Beverly jeden ze stworów rozwinął przezroczyste, niemal musze skrzydła i brzęcząc, pomknął w jej stronę.

Zareagowała bez namysłu, włożyła stalową kulkę do łożyska procy i odciągnęła gumkę. Kiedy mięśnie jej lewej ręki napięły się,

zobaczyła krew wypływającą z rany zadanej ssawką stwora. Nie zrobiła nic, by ją zatamować, namierzając beznamiętnie lecącą w jej stronę „pijawkę”.

Cholera! Chybiłam! – pomyślała, kiedy spuściła gumę i stalowa kulka, błyszcząca iskierka światła, w której odbijały się promienie słońca, pomknęła w dal. Jak powie później swoim przyjaciołom, wiedziała, że chybiła, tak jak gracz w kręgle czuje, że źle cisnął kulę. Jednak w tej samej chwili zobaczyła, że kula skręciła. To wydarzyło się w ułamku sekundy, ale wrażenie było niezaprzeczalne – pocisk skręcił. Kulka trafiła w latającą „pijawkę” i rozdarła ją na strzępy.

Po stworze został tylko deszcz żółtawych kropel, który zbryzgał ścieżkę. Beverly zaczęła się cofać – z początku wolno – jej oczy były powiększone, usta drżały, twarz była popielatobiała. Wpatrywała się w drzwiczki starej lodówki, chcąc się przekonać, czy któryś z tych pijawkowatych stworów zobaczy ją albo wyczuje. Jednak pasożyty tylko pełzały tam i z powrotem jak jesienne muchy otępiałe chłodem.

W końcu odwróciła się na pięcie i zaczęła biec. Czuła, jak ogarnia ją panika, ale nie dała się

ponieść emocjom. W lewej ręce trzymała bullseye'a i od czasu do czasu oglądała się przez ramię. Na liściach krzewów i ścieżce widniały krople krwi, zupełnie jakby Patrick biegł zakosami. Beverly znów znalazła się przy zdezelowanych samochodach. Przed nią widniała olbrzymia plama krwi, która właśnie zaczęła wsiąkać w ziemię. Powierzchnia w tym miejscu była naruszona, pośród popielatobiałych spłachetków ziemi można było dostrzec szare i czarne pasma. Zupełnie jakby stoczono tu walkę. Od tego miejsca wiodły głębokie bruzdy w ziemi, oddalone od siebie o dwie i pół stopy. Beverly zatrzymała się, dysząc. Spojrzała na rękę – krew wreszcie przestała płynąć, choć część jej przedramienia i dłoni umazana była strużkami lepkiego szkarłatu. Dopiero teraz poczuła ból – delikatne, regularne pulsowanie. Tak samo się czuła godzinę po opuszczeniu gabinetu dentystycznego, kiedy nowokaina przestawała działać.

Ponownie obejrzała się za siebie, ale nic nie zobaczyła, po czym znów spojrzała w stronę bruzd ciągnących się pośród rzędów zdezelowanych samochodów, w kierunku Barrens.

Te stwory były w lodówce. Opadły go całego, to stąd ta krew. Dotarł aż tutaj, a potem… (*cześć i do widzenia*) stało się jeszcze coś. Co? Z przerażeniem stwierdziła, że zna odpowiedź. Pijawki były częścią Tego i nakierowały Patricka na inną część Tej Istoty, tak jak ogarnięty szaleństwem wół, przywódca, sprowadza stado po pochylni do zagrody, gdzie się je zarzyna.

Wynoś się stąd! Wynoś się stąd, Bevvie!

Ale ona poszła wzdłuż śladów w ziemi, trzymając mocno bullseye'a w spoconej dłoni.

Przynajmniej sprowadź pozostałych!

Zrobię to… niedługo.

Szła wzdłuż bruzd w ziemi, podczas gdy grunt stawał się coraz bardziej stromy i miękki. Podążając za nimi, znów weszła w gąszcz krzewów. Gdzieś w oddali rozległ się głośny terkot cykady, a potem ucichł. Komary przysiadły na jej okrwawionej ręce. Odegnała je ruchem dłoni. Przygryzła dolną wargę. Na ziemi, parę stóp przed nią, coś leżało. Podniosła to i obejrzała dokładnie. Portfel ręcznej roboty – jak te, które robi się na zajęciach praktyczno-technicznych. Zdaniem Bev dzieciak, który go wykonał, nie miał zbyt wielkich uzdolnień w tej dziedzinie. Luźny ścieg puścił i jedna z przegródek, gdzie wkładało się pieniądze, zwisała jak wysunięty

język. W przegródce na drobniaki znalazła ćwierć dolara. Prócz monety jedynym przedmiotem w portfelu była karta biblioteczna na nazwisko Patricka Hockstettera. Wyrzuciła portfel razem z kartą i całą resztą. Otarła palce w materiał spodni.

Pięćdziesiąt stóp dalej znalazła trampek. Podłoże było tu zbyt gęsto porośnięte, aby mogły odcisnąć się w nim bruzdy, ale żeby dostrzec ślady krwi na krzewach, nie trzeba było tropiciela. Ślad prowadzi w dół, po stromym zboczu.

Bev raz straciła równowagę, ześlizgnęła się parę stóp i poharatała się o ostre kolce. Na jej udach pojawiły się świeże, krwawiące zadrapania. Oddychała teraz szybko, włosy wilgotne od potu przylepiały jej się do głowy. Ślady krwi prowadziły na jedną z mniej uczęszczanych ścieżek wiodących w głąb Barrens. Kenduskeag znajdował się nieopodal. Na ścieżce leżał drugi kasztanowaty trampek. Sznurówki buta były czerwone od krwi. Zbliżała się do rzeki, trzymając w dłoni procę z na wpół naciągniętą gumą. Bruzdy w ziemi znowu się pojawiły. Teraz były płytkie. To dlatego, że zgubił trampki, pomyślała.

Pokonała ostatni zakręt i znalazła się na brzegu rzeki. Bruzdy prowadziły w dół zbocza i ciągnęły się równolegle w stronę jednego z tych betonowych cylindrów – jednej z pompowni. Tam ślady się kończyły. Stalowa pokrywa cylindra była lekko uchylona. Zatrzymała się przy nim, spojrzała w głąb i nagle z wnętrza cylindra dobiegł ochrypły, upiorny chichot.

Tego było już za wiele. Panika, którą Beverly tak długo w sobie tłumiła, wzięła wreszcie górę. Beverly odwróciła się i pobiegła w stronę polany i klubowego domku, osłaniając zakrwawioną ręką twarz przed chłoszczącymi i muskającymi ją gałęziami.

Czasami ja też się martwię, tatusiu, pomyślała z entuzjazmem. Czasami bardzo się martwię. Bardzo.

7

Cztery godziny później wszyscy Frajerzy, oprócz Eddiego, przycupnęli w zaroślach nieopodal miejsca, skąd Beverly obserwowała, jak Patrick Hockstetter podchodzi i otwiera drzwiczki lodówki.

Na niebie pojawiły się chmury burzowe. Znowu zanosiło się na deszcz. Bill trzymał w dłoniach długi kawałek sznura do bielizny.

Cała szóstka zrobiła zrzutkę i z zebranych pieniędzy kupili sznurek i zestaw opatrunkowy dla Beverly. Bill skrzętnie przyłożył złożoną gazę na zranione ramię.

– P-p-powiedz r-r-rodzicom, że się p-p-podrapałaś, jeżdżąc na wrotkach – rzekł Bill.

– Moje wrotki! – wykrzyknęła z przerażeniem Beverly. Zupełnie o nich zapomniała.

– Tam – powiedział Ben i wskazał ręką. Leżały nieopodal niedbale ciśnięte i Bev podbiegła po nie, nim Ben czy Bill zdążyli ją uprzedzić. Przypomniała sobie, że rzuciła je na ziemię, zanim zrobiła siusiu. Nie chciała, by ktokolwiek prócz niej zbliżał się do tego miejsca.

Bill przywiązał jeden koniec sznurka do klamki amany, choć zbliżyli się do niej wszyscy razem. Podchodzili ostrożnie, gotowi natychmiast odskoczyć w tył, gdyby tylko w pobliżu lodówki coś się poruszyło. Bev chciała oddać procę Billowi, ale nalegał, aby ją zatrzymała. Jak się okazało, nic się nie poruszało. Choć na ścieżce przed lodówką nadal widniały ślady krwi, pasożyty zniknęły. Może odleciały.

– Nawet gdybyśmy sprowadzili tu Bortona, pana Nella i setkę glin, i tak nic by to nie dało – mruknął z goryczą Stan.

– Nie. Nic by nie zobaczyli – przyznał Richie. – Jak twoje ramię, Bev?

– Boli – przerwała, przenosząc wzrok z Billa na Richiego i z powrotem na Billa. – Czy moja mama i mój tata zobaczyliby tę ranę?

– N-nie sądzę – odparł Bill. – P-p-przygotujcie się. P-p-przywiązuję linę. – Owinął sznurek wokół pokrytej plamkami rdzy klamki lodówki, robiąc to tak delikatnie, jakby miał do czynienia z włączoną bombą. Zawiązał babciny węzeł, a potem cofnął się, rozciągając sznurek. Uśmiechnął się pod nosem, kiedy wreszcie dołączył do pozostałych. Nie był to jednak w pełni radosny uśmiech. – Uff – mruknął. – D-dobrze, że już p-p-po wszystkim.

Teraz kiedy znajdowali się w bezpiecznej (jak miał nadzieję) odległości od lodówki, powiedział im, żeby byli gotowi do ucieczki. Tuż nad ich głowami rozległ się grzmot i wszyscy aż podskoczyli. Zaczęło padać.

Bill tak mocno, jak tylko mógł, pociągnął za sznurek. Węzeł puścił, ale drzwiczki lodówki zdążyły się otworzyć. Z wnętrza posypała się lawina pomarańczowych pomponów. Stan Uris jęknął zbolałym głosem. Inni tylko patrzyli z otwartymi ustami. Deszcz się wzmógł. Skulili się, gdy grzmot przetoczył się nad ich głowami,

a drzwiczki lodówki otwarły się na oścież oświetlone bladoniebieskim, upiornym blaskiem pioruna. Richie zobaczył to pierwszy i krzyknął. To był wysoki dźwięk, pełen bólu. Z ust Billa dobył się stłumiony krzyk pełen gniewu i przerażenia. Pozostali milczeli.

Na drzwiczkach lodówki, od wewnątrz, nakreślone krzepnącą krwią widniały słowa:

ZATRZYMAJCIE SIĘ TERAZ ZANIM WAS
WSZYSTKICH POZABIJAM
SŁOWA PRZESTROGI OD WASZEGO
PRZYJACIELA
PENNYWISE'A

Z padającym deszczem zmieszał się grad. Drzwiczki lodówki przesuwały się to w przód, to w tył pod wpływem silnej wichury, a widniejące na nich litery zaczęły ociekać i rozmazywać się – był to obraz jakby żywcem wyjęty z reklamy filmu grozy.

Bev nie zdawała sobie sprawy, że Bill wstał, dopóki nie zobaczyła, jak zbliża się do lodówki. Wymachiwał pięściami. Strugi deszczu ściekały mu po twarzy i przylepiały koszulę do pleców.

– Z-z-zabijemy c-c-cię! – wykrzyknął Bill.

Znów rozległ się huk gromu. Strzeliła błyskawica. Była tak jasna, że niemal czuło się w nozdrzach woń ozonu, a gdzieś niedaleko dał się słyszeć trzask rozłupywanego drzewa.

– Bill, wracaj! – wrzeszczał Richie. – Wracaj, stary!

Zaczął się podnosić, ale Ben zmusił go, żeby ponownie ukucnął.

– Zabiłeś mojego brata, George'a! Ty sukinsynu! Ty draniu! Ty skurwielu! No, pokaż się! Pokaż się!

Grad siekł coraz gęstszy, żądląc ich nawet przez gęste zarośla. Beverly musiała unieść rękę, żeby osłonić twarz. Widziała czerwone ślady na ociekającej kroplami deszczu twarzy Bena.

– Bill, wracaj! – krzyknęła rozpaczliwie, lecz jej głos utonął w kolejnym ryku grzmotu. Huk gromu przetoczył się nad Barrens poniżej czarnej zasłony chmur.

– No, wyjdź, pokaż się, skurwysynu!

Bill kopnął wściekle w stertę pomponów, które wysypały się z wnętrza lodówki. Odwrócił się i zaczął iść z powrotem w stronę przyjaciół. Miał spuszczoną głowę i zdawało się, że w ogóle nie zauważa gradu, choć wielkie białe grudy, niczym śnieg, pokrywały ziemię wokoło. Wszedł

w gąszcz krzewów i Stan musiał schwycić go za rękę, aby nie wpakował się w jeżyny. Płakał.

– Już dobrze, Bill – rzekł Ben, obejmując go niezdarnie ramieniem.

– Tak – powiedział Richie. – Nie martw się. Nie stchórzymy. – Powiódł wzrokiem po ich twarzach. – Czy ktoś chce spasować?

Pokręcili przecząco głowami. Bill uniósł wzrok i otarł załzawione oczy. Wszyscy byli przemoczeni do suchej nitki jak gromadka psiaków, która dopiero co sforsowała rzekę.

– W-w-wiecie, T-t-to się nas b-b-boi. Czuję to. P-p-przysięgam na B-b-boga.

Bev posępnie pokiwała głową.

– Myślę, że masz rację.

– P-p-pomóżcie mi, p-p-p-proszę – rzekł Bill. – P-p-proszę. P-p-pomóżcie mi.

– Pomożemy – powiedziała Beverly. Objęła Billa ramionami. Nie zdawała sobie sprawy, z jaką łatwością jej to przyszło ani jak bardzo Bill był szczupły. Czuła bicie jego serca pod przemoczoną koszulą. Był tak blisko niej. Pomyślała, że jeszcze nigdy żaden dotyk nie wydawał się jej równie słodki i przejmujący.

Richie objął ramionami ich oboje i złożył głowę na ramieniu Beverly. Ben zrobił to samo z drugiej strony. Stan Uris objął ramionami

Richiego i Bena. Mike wahał się przez chwilę, po czym jedną ręką objął Bev w pasie, a drugą oparł na drżących barkach Billa.

I stali tak objęci, a w tym czasie grad przestał padać, lecz ulewa, jaka się wówczas rozpętała, była iście diabelska. Mogło się wydawać, że strugi deszczu zupełnie zmieniły klimat tego rejonu. Lało jak z cebra. Raz po raz niebo przecinała wstęga błyskawicy i co jakiś czas rozlegał się huk gromu. Wszyscy milczeli. Beverly z całych sił zaciskała powieki. Stali w deszczu, zbici w ciasną gromadkę, objęci mocno ramionami, nasłuchując, jak strugi ulewy z sykiem chłoszczą listowie. Właśnie to pamiętała najlepiej – odgłosy deszczu, ich milczenie i mgliste uczucie smutku, że nie było wtedy z nimi Eddiego. Pamiętała to wszystko.

Pamięta również, że czuła się wtedy bardzo młoda i bardzo silna.

ROZDZIAŁ 18
Strzał w dziesiątkę

1

– W porządku – mówi Richie. – Twoja kolej. Ruda wypaliła wszystkie swoje fajki i większość moich. Robi się późno.

Ben spogląda na zegarek. Tak, jest już późno – zbliża się północ. Czas na jeszcze jedną opowieść, myśli. Tylko jedną. Ostatnia opowieść przed północą. Na rozgrzewkę. Co to ma być?

Ale to, rzecz jasna, żart, i to pośledniejszy. Została już tylko jedna opowieść – w każdym razie pamięta tylko tę jedną – i dotyczy ona srebrnych kul, tego, jak je zrobili w warsztacie Zacka Denbrough, wieczorem 23 lipca, i jak ich użyli dwa dni później, 25 lipca.

– Ja też mam blizny. Pamiętacie?

Beverly i Eddie kręcą przecząco głowami. Bill i Richie potakują. Mike siedzi w milczeniu, jego oczy w zmęczonej twarzy są czujne. Ben wstaje, rozpina guziki i rozchyla koszulę. Oczom wszystkich ukazuje się stara blizna w kształcie litery H. Jej linie są przerywane – kiedy blizna pojawiła się na jego ciele, Ben miał dużo większy brzuch – jednak kształt litery jest łatwy do rozpoznania. Wyraźniej widoczna jest blizna przecinająca środkową kreskę litery H. Wygląda jak szubieniczny powróz, od którego odcięto pętlę. Beverly unosi dłoń do ust.

– Wilkołak! W tym domu! O Chryste! – I obraca się do okna, jakby spodziewała się zobaczyć To czające się w ciemnościach.

– Racja – potwierdził Ben. – I chcecie usłyszeć coś zabawnego? Jeszcze dwie noce temu blizny wcale nie było. Autograf Henry'ego, owszem. Wiem, bo pokazywałem tę bliznę mojemu kumplowi, barmanowi z Hemingford Home, Ricky'emu Lee. Ale ta… – Śmieje się, bez odrobiny rozbawienia w głosie, i ponownie zaczyna zapinać koszulę. – Ta dopiero co wróciła.

– Jak blizny na naszych dłoniach.

– Tak – mówi Mike, kiedy Ben zapiął już wszystkie guziki. – Wilkołak. Wtedy wszyscy widzieliśmy To pod postacią wilkołaka.

– B-b-bo właśnie t-tak R-r-richie widział T-to wcześniej – mruczy Bill. – Dlatego, n-n-no nie?

– Tak – potwierdza Mike.

– Byliśmy blisko, prawda? – szepcze Beverly. W jej głosie pobrzmiewa zdziwienie. – Prawie mogliśmy czytać sobie nawzajem w myślach.

– Mało brakowało, a stary Wielki Włochacz wyprułby ci flaki i użył ich zamiast szelek, Ben – mówi Richie, ale się nie uśmiecha. Poprawia wyżej na nosie swoje poklejone, stare okulary, a za ich szkłami jego twarz wydaje się bardzo blada i wynędzniała.

– Bill ocalił twój kałdun – mówi nagle Eddie. – To znaczy Bev uratowała nas wszystkich, ale dzięki tobie, Wielki Billu. Ja byłem po prostu zagubiony jak dzieciak w lunaparku.

Bill wskazuje na puste krzesło.

– Pomógł mi trochę Stan Uris. I zapłacił za to. Może właśnie dlatego umarł.

Ben Hanscom kręci głową.

– Nie mów tak, Bill.

– Ale to p-prawda. I jeżeli t-t-to twoja w-wina, to r-r-również i m-m-moja, i w-w-wszystkich innych, b-bo r-robiliśmy to dalej. N-nawet po tym, co się stało z P-patrickiem, i po t-tym, jak z-z-zo-baczyliśmy napis na drzwiczkach l-l-lodówki, n-nie wycofaliśmy się. W-wydaje mi się, że to p-p-

przede wszystkim m-moja wina, b-bo chciałem, ż-żebyśmy to k-k-kontynuowali. Z powodu G-g-george'a. Może nawet myślałem, że j-jeżeli z-zabiję T-to, co z-zamordowało G-g-george'a, m-moi r-r-rodzice znów zaczną mnie k-k-k…

– Kochać? – spytała łagodnie Beverly.

– Tak. Oczywiście. Ale, Ben, nie sądzę, aby t-to była czyjakolwiek w-w-wina. P-p-po prostu S-stan taki już b-był.

– Nie umiał stawić temu czoła – mówi Eddie. Myśli o tym, co usłyszał od Keene'a na temat lekarstwa na astmę i że pomimo wszystko nie potrafił się uwolnić od aspiratora. Myśli o tym, że zdołałby porzucić nawyk bycia chorym. Nie potrafił zwalczyć w sobie wiary w tę chorobę. Jak się okazało, być może właśnie to ocaliło mu życie.

– Był świetny tego dnia – mówi Ben. – Stan i jego ptaki. – Zaczynają chichotać, a potem spoglądają na krzesło, na którym powinien siedzieć Stan, gdyby wszyscy pozytywni bohaterowie tego świata wygrywali każdą potyczkę ze złem.

Tak mi go brakuje, myśli Ben. Boże, jak bardzo mi go brakuje!

– Pamiętasz ten dzień, Richie, kiedy powiedziałeś mu, że ponoć to on zabił Chrystusa,

a on na to z kamienną twarzą: „Wydaje mi się, że to musiał być mój ojciec”…

– Pamiętam – mówi Richie prawie niesłyszalnie. Wyjmuje z tylnej kieszeni chusteczkę, zdejmuje okulary, przeciera oczy, po czym na powrót wkłada okulary. – Czemu po prostu o tym nie opowiesz, Ben?

– To boli, prawda?

– Tak – mówi Richie tak ochrypłym głosem, że aż trudno go zrozumieć. – Jasne, że tak. Boli.

Ben wodzi wzrokiem po ich twarzach, a potem kiwa głową.

– A więc dobrze. Jeszcze jedna historia przed północą. Na rozgrzewkę. Bill i Richie wpadli na pomysł zrobienia kuli…

– Nie – wtrąca Richie. – Najpierw Bill wpadł na ten pomysł, ale potem zaczął się denerwować.

– Z-z-zacząłem się m-m-martwić…

– To chyba nieistotne – mówi Ben. – W lipcu tamtego roku cała nasza trójka spędziła sporo czasu w bibliotece. Chcieliśmy się dowiedzieć, jak zrobić srebrne kule. Miałem srebro, cztery srebrne dolarówki po moim ojcu. Potem Bill zaczął się martwić, co by się stało, gdyby pocisku nie udało się wystrzelić, w momencie gdy To w jakimś potwornym wcieleniu rzuciłoby się nam do gardeł. A kiedy zobaczyliśmy, jak Bev

radzi sobie z jego procą, uzgodniliśmy, że zamiast pocisków do pistoletu zrobimy zwyczajne srebrne kulki. Złożyliśmy się, a potem poszliśmy wszyscy do domu Billa… Eddie, ty też tam byłeś…

– Powiedziałem matce, że będziemy grać w monopol. Ręka naprawdę mnie bolała, ale musiałem przyjść. Matka się wściekła. A za każdym razem, kiedy tylko usłyszałem, że ktoś za mną idzie, odwracałem się gwałtownie, myśląc, że to może Bowers. To bynajmniej nie wpływało pomyślnie na moje obolałe ramię.

Bill się uśmiecha.

– A potem tylko staliśmy i patrzyliśmy, jak Ben robi amunicję. M-myślę, że B-ben naprawdę mógł odlać srebrny pocisk do pistoletu.

– Och, wcale nie jestem tego pewny – mówi Ben, choć w rzeczywistości myśli dokładnie na odwrót. Pamięta, że na zewnątrz zaczął właśnie zapadać zmierzch (pan Denbrough obiecał, że odwiezie ich wszystkich do domów), pamięta cykanie świerszczy w trawie i pierwsze robaczki świętojańskie unoszące się w powietrzu za oknem. Bill rozłożył w pokoju planszę do gry w monopol, tak jakby gra trwała co najmniej od godziny.

Przypomina to sobie i pamięta dokładnie krąg żółtego światła na blacie roboczego stołu Zacka

Denbrough. Przypomina sobie Billa mówiącego:

– M-m-musimy być o-o-o…

2

…ostrożni. Nie chcę, żeby t-tu został b-b-bałagan. Ojciec byłby wk-wk-wk… – zaciął się, ale po chwili zdołał wykrztusić – wkurzony.

Richie przesadnym gestem przejechał dłonią po policzku, ocierając go.

– Czy oprócz prysznica służysz jeszcze ręcznikami, Wielki Billu?

Bill wykonał gest, jakby chciał go uderzyć. Richie zakrył twarz dłońmi i zaczął krzyczeć, naśladując głos murzyńskiego dziecka. Ben prawie ich nie zauważał. Patrzył, jak Bill wykłada w krąg światła potrzebny im sprzęt i narzędzia. W głębi duszy pragnął, aby kiedyś też mógł mieć taki stół roboczy. Głównie jednak koncentrował się na czekającym go zadaniu. Nie będzie to tak trudne jak zrobienie srebrnych pocisków do pistoletu, ale pomimo to musi zachować pełne skupienie. Sknocenie roboty byłoby niewybaczalne. Nie mógł sobie na to pozwolić. Tego się nie nauczył ani od nikogo nie usłyszał – po prostu to wiedział. Bill nalegał, aby to Ben zrobił srebrne kule, podobnie jak nalegał, aby Beverly zatrzymała bullseye’a. Dopiero

dwadzieścia siedem lat później, podczas ich ponownego spotkania, pojawi się – i zostanie rozważona – kwestia (stanie się to w czasie monologu Bena opowiadającego tę historię), że żadne z nich nigdy nie zastanawiało się nad tym, co by było, gdyby srebrna kula lub pocisk nie powstrzymały potwora. Na ich korzyść jednak przemawiała cała masa filmowych horrorów.

– W porządku – rzekł Ben. Strzelił kostkami palców, a potem spojrzał na Billa. – Masz formy?

– Och! – Bill drgnął nieznacznie. – Mam je tutaj. – Sięgnął do kieszeni i wyjął chusteczkę. Rozłożył ją na stole. Wewnątrz znajdowały się dwie matowe, stalowe kulki z małymi otworkami. To były formy do odlewu kulek łożyskowych.

Podjąwszy decyzję o wytopieniu kul zamiast pocisków, Bill i Richie ponownie wybrali się do biblioteki, aby zasięgnąć informacji na temat wyrobu kulek.

– Wy, chłopcy, jesteście zawsze tacy zajęci – powiedziała pani Starrett. – Pociski w jednym tygodniu, kulki w następnym! A przecież są wakacje.

– My nie znosimy bezczynności – rzekł Richie. – No nie, Bill?

– R-r-racja.

Okazało się, że zrobienie kulek, kiedy tylko miało się formy, było dziecinnie łatwe. Problem polegał na tym, skąd wziąć formy. W tym celu Bill zadał Zackowi parę dyskretnych pytań i żaden z Frajerów nie zdziwił się, kiedy się okazało, że jedynym sklepem w Derry, gdzie można było je nabyć, był Kitchener Precision Tool & Die. Właściciel sklepu pan Kitchener był prapraprabratankiem braci, którzy byli szefami Zakładów Kitchenera. Bill i Richie udali się tam, zebrawszy całą gotówkę, jaką dysponowali Frajerzy – czyli dziesięć dolarów i pięćdziesiąt jeden centów. Kiedy Bill spytał, ile mogą kosztować dwie formy do odlewu kulek, Carl Kitchener, który wyglądał jak weteran potyczek z zawartością butelki i cuchnął jak stara końska derka, zapytał, po co dzieciakom tego typu rzeczy. Richie pozwolił Billowi mówić, wiedząc, że to prawdopodobnie ułatwi im zadanie. Podczas gdy dzieciaki wyśmiewały się z jąkania Billa, dorosłych wprawiało ono w zakłopotanie. Czasami mogło to być wyjątkowo pomocne.

Bill przebrnął przez połowę wyjaśnienia, powiedział, że potrzebują kulek do modelu wiatraka, który mają zrobić na przyszłoroczną wystawę szkolnych modeli naukowych, kiedy Kitchener machnął ręką, nakazując mu, by

zamilkł, i podał im niewiarygodną cenę pięćdziesiąt centów za jedną formę. Nie wierząc we własne szczęście, Bill wyjął z kieszeni dolarowy banknot.

– Nie spodziewajcie się, że dodam wam torbę – rzekł Kitchener, przyglądając się im pełnymi pogardy przekrwionymi oczyma człowieka, który widział już w swoim życiu wszystko, a niektóre rzeczy nawet i po dwa razy. – Nie dostaniecie torby, chyba że kupicie u mnie towaru za piątaka.

– W p-p-porządku, p-proszę p-pana – rzekł Bill.

– I nie kręcić mi się przed sklepem – mruknął Kitchener. – Wam obu przydałaby się wizyta u fryzjera. Macie już za długie włosy.

Po wyjściu ze sklepu Bill powiedział:

– Z-z-zauważyłeś, R-richie, że d-d-dorośli n-nie chcą ci sprzedać n-nic p-poza k-komiksami, cukierkami i niekiedy b-b-biletami do k-kina, jeśli wpierw n-n-nie zapytają, d-do czego jest c-ci to p-p-potrzebne?

– Jasne – odparł Richie.

– D-d-dlaczego? Czemu t-tak się dzieje?

– Bo uważają, że jesteśmy niebezpieczni.

– T-tak? N-naprawdę t-t-tak sądzisz?

– Tak – rzekł Richie, a potem zachichotał. – Pokręćmy się trochę przed tym sklepem, co ty na to? Postawimy kołnierze, będziemy przyglądać się ludziom szyderczo i zapuścimy jeszcze dłuższe włosy.

– P-p-pieprzę cię – rzekł Bill.

3

– W porządku – rzekł Ben, przyglądając się uważnie formom, a potem odkładając je na stół. – Dobrze. A teraz…

Odsunęli się nieznacznie, aby miał więcej miejsca, i patrzyli na niego z nadzieją, jak facet, który nie ma zielonego pojęcia o samochodach, mógłby spoglądać na mechanika. Ben nie zwracał uwagi na ich spojrzenia. Był pochłonięty swoją pracą.

– Daj mi tę łuskę – powiedział. – I palnik.

Bill wręczył mu przyciętą łuskę pocisku moździerzowego. To była pamiątka z wojny. Zack znalazł ją pięć dni po tym, jak on i reszta armii generała Pattona przekroczyli rzekę w Niemczech. W czasach kiedy Bill był jeszcze mały, a George nadal nosił pieluszki, ojciec używał tej łuski jako zapalniczki. Później rzucił palenie i łuska gdzieś zniknęła. Bill znalazł ją na tyłach garażu zaledwie przed tygodniem.

Ben włożył łuskę do imadła przymocowanego na krawędzi stołu i dokręcił śrubę, a potem wziął od Beverly palnik. Sięgnął do kieszeni, wyjął srebrną dolarówkę i wrzucił ją do prowizorycznego tygla. Dał się słyszeć pusty dźwięk.

– Dostałeś je od ojca? – spytała Beverly.

– Tak – odparł Ben. – Ale prawie go już nie pamiętam.

– Jesteś pewny, że chcesz to zrobić?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Tak.

Odpowiedziała uśmiechem. To mu wystarczyło. Gdyby uśmiechnęła się dwukrotnie, Ben ucieszyłby się tak bardzo, że wytopiłby dostatecznie dużo kulek, by wystrzelać cały pluton wilkołaków. Gwałtownie odwrócił wzrok.

– W porządku. Do roboty. To proste. Bułka z masłem, no nie? – Pokiwali głowami z wahaniem.

Wiele lat później, przypominając sobie to wszystko, Ben pomyśli: W dzisiejszych czasach dzieciak po prostu wyskoczyłby do sklepu i kupił propanowy palnik… albo ojciec miałby taki palnik w swoim warsztacie.

W 1958 roku jednak nie było takich rzeczy; Zack Denbrough miał palnik acetylenowy – i to

wprawiało Beverly w nerwowy nastrój. Ben czuł, że była zdenerwowana, chciał jej jakoś pomóc, bał się jednak, że jego głos mógłby niechcący zadrżeć.

– Nie martw się – powiedział do Stana, stojącego tuż obok niej.

– Co? – rzekł Stan, spoglądając na niego i mrugając powiekami.

– Nie martw się.

– Nie martwię się.

– Tak mi się zdawało. I chciałem ci powiedzieć, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Tak na wszelki wypadek, gdybyś jednak się martwił.

– Wszystko w porządku, Ben?

– Świetnie – wymamrotał Ben. – Daj mi zapałki, Richie.

Richie podał mu pudełko. Ben przekręcił zawór palnika i przystawił zapałkę do wylotu rurki. Rozległ się syk i pojawił się niebiesko-pomarańczowy jęzor ognia. Ben zmniejszył płomień i zaczął podgrzewać podstawę łuski.

– Masz lejek? – zapytał Billa.

– T-t-tutaj. – Bill podał mu sporządzony wcześniej przez Bena lejek. Mały otwór na jego końcu pasował prawie idealnie do dziurek w formach odlewniczych. Ben zrobił to bez

żadnej „przymiarki”. Bill był zdziwiony, prawie zdumiony, ale nie wiedział, jak ma to powiedzieć, nie wprawiając jednocześnie Bena w zakłopotanie.

Zaabsorbowany tym, co robi, Ben zwracał się do Beverly – mówił z oschłą precyzją chirurga przemawiającego do pielęgniarki:

– Bev, masz najpewniejsze ręce. Włóż koniec lejka do otworu. Nałóż jedną z tych rękawic, żebyś się nie poparzyła.

Bill podał jej jedną z roboczych rękawic ojca. Beverly wsunęła koniec lejka do otworu w formie odlewniczej. Nikt nie odezwał się ani słowem. Syk płomienia palnika wydawał się bardzo głośny. Patrzyli nań spod półprzymkniętych, prawie zaciśniętych powiek.

– P-p-poczekaj – rzekł nagle Bill i pognał do domu. Wrócił minutę później z parą tanich letnich okularów przeciwsłonecznych, które od roku, a może i dłużej spoczywały w szufladzie, w kuchni. – L-l-lepiej je nałóż, Haystack.

Ben wziął okulary, nałożył i uśmiechnął się.

– Kurde, to Fabian! – rzucił Richie. – Albo Frankie Avalon czy jakiś inny typ z *Bandstand*!

– Pieprz się, Niewyparzona Gębo! – rzekł Ben, ale wbrew sobie zaczął chichotać. Pomysł, że mógłby być Fabianem albo kimś innym,

wydawał mu się nazbyt dziwny. Płomień wygasł i Ben przestał chichotać. Ponownie skupił się na pracy.

Dwie minuty później podał palnik Eddiemu. Kaspbrak trzymał palnik mocno w zdrowej ręce.

– Gotowe – powiedział do Billa. – Daj mi drugą rękawicę. Szybko! Szybko! – Bill podał mu rękawicę. Ben nałożył ją i przytrzymał łuskę moździerza, podczas gdy drugą ręką przekręcił dźwignię imadła. – Trzymaj mocno, Bev.

– Jestem gotowa, nie czekaj na mnie – odparła ostro.

Ben pochylił łuskę nad lejkiem. Pozostali patrzyli z uwagą, jak srebrna strużka sunie z jednego naczynia do drugiego – nie uronił ani kropli. Przez chwilę miał wrażenie, że prąd przepływa przez jego ciało, a wszystko, na co patrzy, spowija silna biała poświata. W tej krótkiej chwili nie był starym Benem Hanscomem, noszącym grube dresy, by zasłonić pokaźny kałdun i cycki – ale Thorem wytwarzającym w kuźni bogów gromy i błyskawice. A potem to wrażenie prysło.

– W porządku – powiedział. – Będę musiał ponownie podgrzać srebro. Niech ktoś przytka gwoździem czy czymś takim otwór w lejku,

dopóki nie zastygną w nim resztki roztopionego srebra.

Stan się tym zajął. Ben znów włożył łuskę w szczęki imadła i wziął palnik od Eddiego.

– W porządku – rzekł. – Numer dwa. – I ponownie zabrał się do pracy.

4

Dziesięć minut potem było po wszystkim.

– I co teraz? – zapytał Mike.

– Teraz przez godzinę pogramy w monopol – rzekł Ben – podczas gdy kulki będą twardnieć w formach. Potem otworzę formy dłutem wzdłuż zaznaczonych nacięć, i tyle.

Richie spojrzał na pokryte siateczką pęknięć szkiełko swego starego, ale jarego timeksa.

– Kiedy wracają twoi starzy?

– N-n-nie wcześniej niż o dz-dz-dziesiątej albo o wpół do j-j-jedenastej. To p-p-podwójny seans w A-a-a…

– Aladynie – mruknął Stan.

– Tak. A potem p-pewnie wpadną jeszcze gdzieś na p-pizzę. P-prawie zawsze tak r-r-robią.

– To mamy mnóstwo czasu – podsumował Ben. Bill skinął głową.

– Wejdźmy więc – powiedziała Bev. – Chciałabym zadzwonić do domu. Obiecałam.

I niech żaden z was się nie odzywa. Ojciec myśli, że jestem w Community House i ktoś stamtąd odwiezie mnie do domu.

– A jeśli zechce sam po ciebie przyjechać? Wcześniej? – spytał Ben.

– Wtedy – powiedziała Beverly – będę w poważnych tarapatach.

Ja cię ochronię, Beverly, pomyślał Ben. I przed oczyma przewinęła mu się wizja, której zakończenie było tak słodkie i wspaniałe, że aż zadygotał. Ojciec Bev wkurza się na nią i chce ją bić (nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie, jak paskudnym facetem mógł być w rzeczywistości Al Marsh). Ben zasłania ją własnym ciałem i mówi staremu Marshowi, żeby dał córce spokój.

– Jeżeli chcesz kłopotów, grubasie, to rób tak dalej, ochraniaj moją córkę, to się doigrasz.

Hanscom, spokojny, łagodny chłopiec, zmieniał się w rozjuszonego tygrysa, gdy doprowadziło się go do ostateczności. Z powagą w głosie mówi do Ala Marsha:

– Jeśli chcesz ją dostać, to musisz najpierw przejść przeze mnie.

Marsh robi krok naprzód… i wtedy stalowy błysk w oku Bena zatrzymuje go gwałtownie.

– Pożałujesz – mruczy, ale widać wyraźnie, że wola walki opuściła go na dobre. To w sumie tylko papierowy tygrys.

– Jakoś w to wątpię – mówi Hanscom z uśmiechem Gary'ego Coopera, a ojciec Beverly oddala się chyłkiem.

– Co się z tobą stało, Ben?! – krzyczy Beverly, ale jej oczy lśnią i są pełne gwiazd. – Wyglądałeś tak, jakbyś naprawdę mógł go zabić!

– Zabić go? – mówi Hanscom, a na jego zaciśniętych ustach nadal gości uśmieszek Gary'ego Coopera. – Nie ma mowy, mała. Może to i szumowina, ale to nadal twój ojciec. Mogłem go trochę naruszyć, ale tylko dlatego, że gdy słyszę, jak ktoś cię obraża i chce skrzywdzić, od razu robi mi się gorąco i krew mnie zalewa. Wiesz?

Zarzuca mu ramiona na szyję i całuje (w usta!).

– Kocham cię, Ben! – szlocha. Ben czuje jej małe piersi przywierające mocno do jego torsu i…

Zadygotał, z wysiłkiem odganiając od siebie tę wyrazistą, niezwykle sugestywną wizję. Richie stał w drzwiach, pytając go, czy idzie, i Ben zorientował się, że tylko on pozostał w warsztacie.

– Tak – odparł z pewnym zakłopotaniem. – Jasne, że tak.

– Starzejesz się, Haystack – rzekł Richie, a kiedy Ben podszedł do niego, klepnął go w ramię. Hanscom uśmiechnął się i na krótką chwilę objął Richiego.

5

Z ojcem Bev nie było żadnych problemów. Matka powiedziała jej przez telefon, że ojciec późno wrócił z pracy, zasnął przed telewizorem i obudził się tylko na chwilę, żeby zawlec się do łóżka.

– Podwiozą cię do domu, Bevvie?

– Tak. Ojciec Billa Denbrough odwiezie nas wszystkich.

Pani Marsh nagle się zdenerwowała.

– Ale chyba nie jesteś na randce, co, Bevvie?

– Nie. Oczywiście, że nie – odparła Bev, patrząc przez łukowate przejście pomiędzy spowitym mrokiem korytarzem, w którym się znajdowała, a pokojem, gdzie wokół stołu z rozłożoną planszą do gry w monopol siedzieli jej przyjaciele.

Ale chciałabym być.

– Chłopcy są beznadziejni. Ale mają tu specjalny grafik i co wieczór inny rodzic odwozi

dzieciaki do domów.

To była prawda. Reszta stanowiła tak obrzydliwe kłamstwo, że pomimo ciemności czuła, jak się czerwieni.

– W porządku – ciągnęła mama. – Po prostu chciałam się upewnić. Bo gdyby twój tata dowiedział się, że w tym wieku chodzisz na randki, byłby na ciebie zły. Bardzo zły. – Prawie po namyśle dodała: – Ja zresztą też.

– Tak, wiem – powiedziała Bev, nadal patrząc w stronę pokoju. Wiedziała. A mimo to była teraz tutaj i to nie z jednym, lecz z sześcioma chłopcami, w domu jednego z nich, pod nieobecność jego rodziców. Zobaczyła, że Ben przygląda się jej z niepokojem i uśmiechnęła się, a potem pomachała do niego radośnie. Zaczerwienił się, ale również machnął do niej.

– Są tam jakieś twoje koleżanki?

Jakie koleżanki, mamo?

– Tak, Patty O'Hara. I Ellie Geiger chyba też. Teraz chyba jest na dole i gra w *shuffleboard*.

Łatwość, z jaką kłamstwa płynęły z jej ust, zawstydzała ją. Pragnęła rozmawiać teraz z ojcem. Byłaby bardziej przerażona, ale mniej by się wstydziła. Przypuszczała, że ogólnie rzecz biorąc, wcale nie była dobrą dziewczynką.

– Kocham cię, mamo – powiedziała.

– Ja ciebie też, Bev. – Matka przerwała na moment, po czym dodała: – I uważaj na siebie. W gazetach napisali, że chyba znowu ktoś zaginął. Patrick Hockstetter. Zniknął. Znałaś go, Bevvie?

Na chwilę przymknęła oczy.

– Nie, mamo.

– No to… do zobaczenia.

– Na razie. – Przysiadła się do stołu i przez godzinę wszyscy grali w monopol. Stan miał doskonałą passę.

– Żydzi są znakomici w robieniu szmalu – rzekł Stan, stawiając hotel przy Atlantic Avenue i dwie kolejne cieplarnie przy Ventnor Avenue. – Wszyscy to wiedzą.

– Jezu, uczyń mnie Żydem – mruknął cicho Ben i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ben przegrał prawie wszystko.

Beverly od czasu do czasu spoglądała na Billa siedzącego naprzeciwko niej – wodziła wzrokiem po jego czystych dłoniach, rudej czuprynie i wpatrywała się w niebieskie oczy chłopca. Kiedy Bill przesunął mały srebrny bucik, którego używali jako pionka poruszającego się po planszy, pomyślała: Gdyby wziął mnie za rękę, chyba umarłabym ze szczęścia. Fala ciepła spłynęła w głąb jej piersi. Beverly spuściła wzrok

i wpatrując się w swoje dłonie, uśmiechnęła się tajemniczo.

6

Finał wieczoru był nieomal rozczarowujący. Ben wziął z półki jedno z dłut Zacka i za pomocą młotka rozbił formy wzdłuż linii nacięć. Otwarły się z łatwością. Ze środka wypadły dwie małe srebrne kulki. Na jednej z nich widać było część daty: 925. Beverly miała wrażenie, że dostrzega na drugiej faliste linie stanowiące pozostałości włosów Lady Liberty.

Przyglądali się im przez chwilę bez słowa, po czym Stan wziął jedną z kulek do ręki.

– Raczej małe – ocenił.

– Tak samo jak kamyk w procy Dawida, kiedy stanął do pojedynku z Goliatem – powiedział Mike. – Ja uważam, że mają moc.

Ben pokiwał głową. On również tak sądził.

– T-to wszystko? – spytał Bill.

– Wszystko – rzekł Ben. – Masz. – Podał mu drugą kulkę. Bill był tak zaskoczony, że prawie wypuścił ją z ręki. Podawali sobie kulki z rąk do rąk. Każdy z nich przyglądał się uważnie srebrnym pociskom, dziwiąc się ich krągłości, wadze i realności.

Kiedy kulki powróciły do Bena, zważył je w dłoni, a potem zwrócił się do Billa:

– I co teraz z nimi zrobimy?

– D-d-daj je B-b-beverly.

– Nie!

Spojrzał na nią życzliwie, ale i nieco groźnie.

– B-b-bev, już to przerabialiśmy i…

– Zrobię to – powiedziała. – Kiedy będzie trzeba, poślę parę kulek tym cholernym stworom. Jeśli będzie trzeba. Prawdopodobnie wszyscy zginiemy, ale i tak to zrobię. Tylko że nie mogę brać ich do domu. Któreś z moich rodziców (*ojciec*) może je znaleźć. I narobiłabym sobie kłopotów.

– A nie masz jakiegoś schowka? – spytał Richie. – Ja mam ze cztery czy pięć.

– Mam – przyznała Beverly. W materacu jej łóżka była szczelina, gdzie od czasu do czasu wkładała papierosy, komiksy, a ostatnio czasopisma z modą i filmowe. – Ale nie ufam takim kryjówkom. Ty je zatrzymaj, Bill. Zatrzymaj je i dasz mi, kiedy nadejdzie właściwa pora.

– W porządku – rzekł łagodnie Bill i właśnie wtedy mrok na podjeździe rozcięły reflektory samochodu. – O r-r-rany. P-p-przyjechali wcześniej. W-w-wynośmy się stąd.

Ponownie zasiedli przy stole z planszą do gry w monopol, kiedy Sharon Denbrough otworzyła kuchenne drzwi.

Richie przewrócił oczami i wykonał gest, jakby ocierał dłonią spocone czoło. Pozostali wybuchnęli radosnym śmiechem. Richie sobie ulżył. Chwilę potem matka Billa weszła do środka.

– Ojciec czeka w wozie na twoich przyjaciół, Bill.

– D-d-dobrze, m-m-mamo. W z-zasadzie już s-s-skończyliśmy.

– Kto wygrał? – spytała Sharon, uśmiechając się radośnie do przyjaciół Billa. Miała rozpłomienione oczy. Spojrzała na Bev. Ta dziewczyna wyrośnie na śliczną pannicę, pomyślała. Przypuszczała, że za rok lub dwa trzeba będzie baczniej zwracać uwagę na płeć przebywających razem dzieciaków. Na razie jednak sprawy seksu pozostawały, dzięki Bogu, na marginesie. Za wcześnie, by się tym przejmować.

– Stan – odparł Bill. – Ż-żydzi są w-w-wyśmienici w r-robieniu szmalu.

– Bill! – krzyknęła przerażona i poczerwieniała na twarzy… i nagle ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że oni wszyscy,

włącznie ze Stanem, zareagowali na te słowa gromkim śmiechem.

Zdumienie zmieniło się w coś, co było zbliżone do strachu (choć później, gdy leżała z mężem w łóżku, nie wspomniała mu o tym ani słowem). Powietrze było czymś przesycone, czymś, co mogło się kojarzyć z elektrycznością, ale to coś było o wiele potężniejsze i o wiele bardziej przerażające. Miała wrażenie, że gdyby dotknęła któregoś z tych dzieciaków, poraziłby ją, tak jakby dotknęła nieizolowanego przewodu pod napięciem. Co się z nimi stało? – pomyślała z przerażeniem i nawet otworzyła usta, aby powiedzieć coś w tym rodzaju.

Potem Bill rzekł, że jest mu przykro (choć w jego oku nadal widniał ten diabelski błysk), a Stan odparł, że wszystko w porządku, nic się nie stało, to był tylko taki żart, nie pierwszy i nie ostatni – od czasu do czasu robią sobie nawzajem takie dowcipy, i to wprawiło ją w takie zakłopotanie, że po prostu nie mogła wykrztusić słowa. Poczuła ulgę dopiero wtedy, gdy przyjaciele Billa odeszli, a jej syn jąkała wszedł do swego pokoju i chwilę potem zgasił światło.

7

Dniem, kiedy Klub Frajerów w końcu spotkał się z Tym twarzą w twarz i kiedy o mały włos To nie wypruło Benowi Hanscomowi wnętrzności, był 25 lipca 1958 roku. Było gorąco, parno i bezwietrznie. Ben pamiętał dokładnie ten ostatni upalny dzień tamtego lata. Potem rozpoczął się długi, chmurny i chłodny okres. Dotarli pod dom przy Neibolt Street 29 o dziesiątej rano. Bill podwoził Richiego na swoim Silverze. Ben przyjechał na raleighu. Jego olbrzymie pośladki przelewały się ze wszystkich stron nad zapadniętym siodełkiem roweru. Beverly zjawiła się na swoim damskim schwinnie. Rude włosy miała sczesane z czoła i przewiązane zieloną opaską. Falowały za nią rdzawoczerwoną strugą. Mike przyszedł na piechotę, a pięć minut potem na miejsce dotarli również Stan i Eddie.

– J-j-jak twoja r-r-ręka, E-e-eddie?

– Ee, nie jest tak źle. Boli tylko, jak podczas snu przewrócę się na ten bok. Przynieśliście sprzęt?

Na bagażniku Silvera spoczywało owinięte w materiał zawiniątko. Bill wyjął je i rozwinął. Podał Beverly procę. Wzięła ją z lekkim grymasem, ale nie powiedziała ani słowa.

W zawiniątku znajdowało się też blaszane pudełko po sucretsach. Bill otworzył je i pokazał im dwie srebrne kulki. Spojrzeli na nie bez słowa, stojąc niemal zwartą grupką na mocno przerzedzonym trawniku przed domem przy Neibolt Street. Bill, Richie i Eddie widzieli już wcześniej ten dom – pozostali nie, i teraz przyglądali się z uwagą budynkowi.

Okna wyglądają jak oczy, pomyślał Stan i jego dłoń powędrowała w stronę książki w miękkiej oprawie, znajdującej się w tylnej kieszeni. Dotknął jej na szczęście. Zabierał tę książkę prawie wszędzie – był to *Atlas ptaków Ameryki Północnej* M.K. Handeya. Wyglądają jak brudne, ślepe oczy.

Ten smród, pomyślała Beverly, czuję to, ale nie przez nos, a w każdym razie niezupełnie.

Tak jak wtedy w ruinach fabryki – pomyślał Mike. – Tu czuje się dokładnie to samo… Zupełnie jakby To zapraszało nas do środka.

To jedna z kryjówek Tego, pomyślał Ben. Jedno z takich miejsc jak otwory Dziury Morloków, skąd To się wyłania i gdzie znika. I To wie, że my tu jesteśmy. Czeka, abyśmy weszli do środka.

– N-n-nadal t-tego chcecie? – spytał Bill.

Wszyscy spojrzeli na niego. Ich twarze były pobladłe i poważne. Nikt nie powiedział „nie”. Eddie wyjął z kieszeni aspirator i pociągnął zeń sporą dawkę.

– Daj trochę – rzekł Richie.

Eddie spojrzał na niego, zdziwiony, oczekując puenty.

Richie wyciągnął rękę.

– Bez kitu. No, daj! Mogę?

Eddie wzruszył zdrowym ramieniem – był to dziwny gest – i podał Richiemu aspirator. Richie zaaplikował sobie pokaźną porcję zawartości plastikowego pojemniczka.

– Tego mi było trzeba – powiedział i oddał pojemnik Eddiemu. Pokasływał z cicha, ale jego spojrzenie było wyraziste.

– Ja też – rzekł Stan. – Mogę?

Jedno po drugim użyli aspiratora Eddiego. Kiedy mu go zwrócono, Eddie włożył aspirator do tylnej kieszeni. Potem wszyscy odwrócili się, by ponownie spojrzeć na dom.

– Czy ktokolwiek mieszka na tej ulicy? – spytała cicho Beverly.

– Nie na tym końcu – rzekł Mike. – Już nie. Od czasu do czasu zatrzymują się tu włóczędzy, którzy potem odjeżdżają pociągami towarowymi.

– I tak niczego by nie zobaczyli – mruknął Stan. – Są bezpieczni. W każdym razie większość z nich. – Spojrzał na Billa. – Jak sądzisz, Bill, czy dorośli mogą To zobaczyć?

– N-n-nie wiem – rzekł Bill. – B-b-być może n-n-niektórzy.

– Chciałbym spotkać choć jednego z nich – rzucił posępnym tonem Richie. – To naprawdę nie jest zadanie dla dzieciaków, wiecie, co mam na myśli?

Bill wiedział. Kiedy tylko chłopcy Hardy'ego wplątywali się w jakąś kabałę, Fenton Hardy zaraz spieszył im na ratunek. Tak samo było z ojcem Ricka Branta, Hartsonem, w serii „Science Adventure Stories". Do diaska, nawet Nancy Drew miała ojca, który pokazywał się, kiedy jakiś czarny charakter ją związał i wrzucił do szybu opuszczonej kopalni albo przytrafiło się jej coś równie nieprzyjemnego.

– Powinien być z nami dorosły – rzekł Richie, patrząc na obłażące z farby ściany domu, brudne okna i skąpaną w cieniu werandę. Westchnął ze znużeniem. Przez chwilę Ben miał wrażenie, że ich zdecydowanie zaczyna słabnąć.

A potem Bill powiedział:

– P-p-podejdźcie tu. P-p-popatrzcie.

Podeszli do werandy od lewej strony, gdzie leżała oderwana drewniana krata. Krzewy, dzikie róże i winorośl nadal tam rosły… a te, których trędowaty Eddie dotknął, wyczołgując się z piwnicy, były w dalszym ciągu czarne i obumarłe.

– To po prostu ich dotknęło i wtedy stały się takie jak teraz? – spytała Beverly.

Bill skinął głową.

– J-j-jesteście p-p-p-pewni?

Przez chwilę żadne z nich nie odpowiedziało. Nie byli pewni. Nawet gdyby teraz spasowali, a Bill w pojedynkę stawiłby Temu czoło, nie mieliby pewności. Na twarzy Billa oprócz zaciętości pojawiło się zawstydzenie. Tak jak im wcześniej powiedział, George nie był ich bratem.

Ale inne dzieciaki… pomyślał Ben, Betty Ripsom, Cheryl Lamonica, mały Clements, Eddie Corcoran (być może), Ronnie Grogan… a nawet Patrick Hockstetter. To zabija dzieci, dzieci, na miłość boską!

– Ja pójdę, Wielki Billu – powiedział.

– A niech to, ja też – dołączyła się Beverly.

– Jasne – rzucił Richie. – Myślicie, że tylko wy weźmiecie udział w najlepszej części tej zabawy?

Bill spojrzał na nich, chciał coś powiedzieć, ale w końcu tylko skinął głową. Podał blaszane

pudełko Beverly.

– Jesteś pewny, Bill?

– O-o-oczywiście.

Skinęła głową, jednocześnie przerażona odpowiedzialnością, jaka na nią spadła, i oczarowana zaufaniem, jakim ją obdarzał. Otworzyła pudełko, wyjęła kule i wrzuciła jedną do przedniej kieszeni dżinsów. Drugą ułożyła w procy i ścisnęła w dłoni bullseye'a. Czuła kształt kulki, która z początku była zimna, a potem z wolna zaczęła się nagrzewać.

– Chodźmy – powiedziała niezbyt pewnym tonem. – Chodźmy, zanim nas tchórz obleci.

Bill pokiwał głową, po czym spojrzał z ukosa na Eddiego.

– M-m-możesz to zrobić, E-e-eddie?

Eddie skinął głową.

– Jasne, że mogę. Ostatnim razem byłem sam. Tym razem jestem z przyjaciółmi. No nie? – Spojrzał na nich i uśmiechnął się pod nosem. Jego twarz miała cudowny wyraz, trochę nieśmiały, a trochę jakby kruchy. To było wspaniałe.

Richie klepnął go w plecy.

– To ekstrrra, senhorrr… Zabijemy każdego, kto prróbowałby ukrrraść twój aspirrrratorrr, Eddie. I zrobimy to powoli.

– To strraszne, Richie – dorzuciła Bev, chichocząc.

– Schodzimy pod w-w-werandę – rzucił Bill. – W-wszyscy za mną. A p-p-potem do p-piwnicy.

– Jeżeli zejdziesz pierwszy i To rzuci się na ciebie, co wtedy? – zapytała Beverly. – Mam strzelać przez ciebie?

– J-jeśli będziesz m-m-musiała – odparł Bill. – A-ale p-p-proponuję, żebyś n-n-najpierw spróbowała m-mnie ominąć.

Riche, słysząc to, wybuchnął dzikim śmiechem.

– O-o-obejrzymy tu w-w-wszystko, jeżeli będzie trzeba. – Wzruszył ramionami. – M-może n-n-niczego nie znajdziemy.

– Wierzysz w to? – zapytał Mike.

– Nie – rzekł szybko Bill. – T-t-to tu jest.

Ben mu wierzył. Dom przy Neibolt Street 29 zdawał się otoczony jakąś trującą powłoką. Nie było jej widać, ale bez trudu dało się to wyczuć. Oblizał wargi.

– J-j-jesteście g-g-gotowi? – spytał Bill. Spojrzeli na niego.

– Gotowi, Bill – rzekł Richie.

– N-n-no to… idziemy. T-t-trzymaj się t-tuż za mną, Beverly. – Opadł na kolana i przeszedłszy

na czworakach przez pasmo obumarłych róż, wczołgał się pod werandę.

8

Posuwali się w następującej kolejności: Bill, Beverly, Ben, Eddie, Richie, Stan i Mike. Liście pod werandą szeleściły i wydzielały dziwną starą woń taniny. Ben zmarszczył nos. Czy kiedykolwiek stare liście śmierdziały w ten sposób? Wydawało mu się, że nie. I nagle przyszło mu do głowy pewne porównanie. Te liście cuchnęły tak, jak – jego zdaniem – powinna cuchnąć mumia tuż po odnalezieniu jej przez ekspedycję archeologów i otwarciu sarkofagu.To była woń ziemi, kurzu i starych kwasów.

Bill dotarł do rozbitego okna piwnicy i zajrzał do środka. Beverly podczołgała się do niego.

– Widzisz coś?

Bill pokręcił głową.

– A-ale t-to nie znaczy, że t-t-tam nic nie ma. S-spójrz, tam jest ta hałda w-w-węgla, p-po której w-wychodziliśmy stąd z R-r-richiem.

Ben, który patrzył w głąb piwnicy, pomiędzy ich głowami, zobaczył ją. Był teraz jednocześnie podniecony i zaniepokojony, ale kiedy tylko poczuł podniecenie, powitał je z radością jak nowe siły napływające do zmęczonego ciała.

Zauważenie hałdy węgla przypominało w pewnym sensie zobaczenie wielkiego znaku orientacyjnego, o którym tylko czytałeś lub słyszałeś od innych.

Bill obrócił się i wślizgnął przez okno do piwnicy. Beverly podała bullseye'a Benowi, zaciskając jego dłoń na procy i znajdującej się w niej kuli.

– Daj mi to natychmiast, jak tylko znajdę się na dole – powiedziała. – Natychmiast.

– W porządku.

Zsunęła się na dół zwinnie i zgrabnie. W krótkim i przynajmniej dla Bena zapierającym dech w piersiach momencie bluzka wysunęła się jej z dżinsów i zobaczył jej płaski, biały brzuch. Potem przeszył go dreszcz, kiedy poczuł na swoich dłoniach dotyk palców Bev i oddał jej procę.

– Dobra. Mam. Złaź.

Ben odwrócił się i zaczął przeciskać się przez okno. Powinien był przewidzieć to, co stało się potem; było to nieomal nieuniknione. Ugrzązł. Jego tyłek wpasował się w prostokąt otworu okna i Ben, choć się starał, nie mógł przepchnąć go dalej. Próbował się wydostać, ale z przerażeniem zdał sobie sprawę, że owszem, zrobiłby to, ale ściągnie przy tym do kolan spodnie i,

najprawdopodobniej, również gatki. A tym samym wielki tyłek Bena znalazłby się prawie naprzeciwko twarzyczki jego ukochanej.

– Pospiesz się – rzucił Eddie.

Ben odepchnął się oburącz. Jeszcze przez chwilę nie mógł się poruszyć, a potem jego tyłek znalazł się wewnątrz piwnicy. Spodnie wpiły mu się w krocze, gniotąc boleśnie jądra. Górna rama okna podciągnęła mu koszulę na plecach, aż do łopatek. Teraz jego brzuch się zaklinował.

– Wciągnij powietrze, Haystack – rzekł Richie, chichocząc histerycznie. – Lepiej to zrób, bo jak nie, to będziemy musieli posłać Mike'a do domu po łańcuchy holownicze, żeby cię stąd wyciągnąć.

– Bip-bip, Richie – powiedział Ben przez zaciśnięte zęby, starając się wciągnąć brzuch. Przesunął się nieco głębiej, po czym znowu utknął. Obrócił głowę na tyle, na ile mógł, walcząc z uczuciem paniki i klaustrofobii. Jego twarz była cała czerwona i zlana potem. W nozdrzach czuł duszący, kwaśny fetor liści.

– Bill! Możecie mnie wciągnąć?

Poczuł, jak Bill chwyta go za jedną, a Bev za drugą kostkę. Ponownie wciągnął brzuch i chwilę potem wpadł przez okno do środka piwnicy. Bill go złapał. Mało brakowało, a obaj by się

przewrócili. Ben nie mógł spojrzeć na Bev. Nigdy w życiu nie był równie zakłopotany jak w tej chwili.

– W-w-wszystko w p-p-porządku, s-stary?

– Taa.

Bill rozejrzał się, drżąc. Beverly dołączyła do niego, a chwilę potem Ben również zachichotał pod nosem, choć minie wiele lat, zanim w tym, co się zdarzyło, zdoła dopatrzyć się czegokolwiek zabawnego.

– Hej! – zawołał Richie. – Eddie potrzebuje pomocy, dobra?

– D-d-dobra.

Bill i Ben zajęli pozycje pod oknem. Eddie wsuwał się do środka na plecach. Bill schwycił go za nogi tuż nad kolanami.

– Uważaj, co robisz – rzekł Eddie zrzędliwie, podenerwowany. – Mam łaskotki.

– Ramon cierrpi na łaskotki, senhorrr – rozległ się głos Richiego.

Ben złapał Eddiego w pasie, próbując nie dotknąć gipsu ani temblaka. Obaj z Billem wciągnęli Eddiego do piwnicy, jakby mieli do czynienia z trupem. Eddie krzyknął tylko raz i to było wszystko.

– E-e-eddie?

– W porządku. Nic się nie stało. – Ale na jego czoło wystąpiły wielkie krople potu, a oddech stał się przyspieszony i bardzo płytki. Szybko przebiegł wzrokiem po wnętrzu piwnicy.

Bill ponownie się cofnął. Beverly stała tuż obok niego, trzymając w pogotowiu procę, aby w razie potrzeby zrobić z niej użytek. Rozglądała się na wszystkie strony. Richie wszedł do środka następny, a tuż po nim Stan i Mike – wszyscy trzej zrobili to z pełną gracji zręcznością, której Ben głęboko im zazdrościł. Teraz byli już w komplecie w piwnicy, gdzie zaledwie miesiąc temu Bill i Richie zobaczyli To.

Wewnątrz nie było zbyt ciemno. Panował tu lekki półmrok. Promienie światła przechodziły przez okna, kreśląc kręgi na klepisku. Piwnica wydawała się Benowi duża, zbyt duża, jakby doświadczał swego rodzaju złudzenia optycznego. Nad jego głową krzyżowały się zakurzone drewniane belki. Rury pieca były przerdzewiałe. Z rur doprowadzających wodę zwieszały się brudnymi pasmami i strąkami płachty niegdyś białego, a dziś zakurzonego płótna. I ta woń też tu była. Brudnożółta woń. Ben pomyślał: To jest tutaj. O tak. Jest.

Bill ruszył w stronę schodów. Pozostali podążyli jego śladem. Zatrzymał się u podnóża

schodów i zajrzał pod spód. Sięgnął w głąb niszy jedną nogą i wykopnął coś stamtąd. Spojrzeli na to bez słowa. To była biała rękawica klowna, obecnie brudna i zakurzona.

– N-n-na g-górę – zakomenderował.

Weszli na górę i znaleźli się w zapuszczonej kuchni. Pośrodku starego, pokrytego wypukłościami ani linoleum stało pojedyncze krzesło. I to by było wszystko, jeśli chodzi o sprzęty. W rogu stały puste butelki po wódce. Ben dostrzegł dalsze w spiżarni. Czuł woń alkoholu – głównie wina – i swąd starych papierosów. Te zapachy były dominujące, ale dało się wyczuć coś jeszcze. Ten fetor z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy.

Beverly podeszła do kredensu i otworzyła jedną z szuflad. Wrzasnęła przejmująco, gdy czarnobrązowy szczur wędrowny wyskoczył ze środka, prawie prosto na jej twarz. Z plaśnięciem wylądował na blacie szafki i rozejrzał się wokoło. Przez chwilę swymi czarnymi oczkami wpatrywał się w stojącą przed nim grupkę. Nadal krzycząc, Beverly uniosła procę i odciągnęła gumę.

– Nie! – ryknął Bill.

Odwróciła się w jego stronę blada i przerażona. Potem pokiwała głową i zwolniła

gumę bullseye’a, nie wystrzeliwując srebrnej kuli. Ben pomyślał, że była tego bardzo, naprawdę bardzo bliska. Cofnęła się wolno, wpadła na Bena i aż podskoczyła. Objął ją mocno ramieniem.

Szczur przebiegł po blacie szafki, zeskoczył na podłogę, wbiegł do spiżarni i zniknął.

– To chciało, żebym strzeliła do tego szczura – szepnęła Beverly. – Żebym zmarnowała połowę naszej amunicji.

– Tak – rzekł Bill. – To w p-p-pewnym stopniu p-p-przypo-mina trening FBI w Q-q-quantico. W-wysyłają cię na t-taką specjalną l-l-lipną ulicę i w-włączają cele. J-jeżeli strzelisz do k-któregoś z c-c-cywili zamiast do b-b-bandziora, tracisz p-p-punkty.

– Nie mogę tego zrobić, Bill – powiedziała. – Schrzanię wszystko. Masz. Weź to. – Podała mu bullseye’a, ale Bill pokręcił przecząco głową.

– M-m-musisz, B-b-beverly.

Z innej z szuflad dobiegły piski. Richie podszedł do kredensu.

– Nie zbliżaj się! – warknął Stan. – To może…

Richie zajrzał do środka i na jego twarzy wykwitł grymas obrzydzenia. Zatrzasnął szufladę tak głośno, że echo tego huku przetoczyło się po wnętrzu pustego domu.

– Młode. – Richie wyglądał, jakby było mu niedobrze. – Największy miot, jaki widziałem, i chyba nikt nigdy nie widział równie wielkiego. Są ich tam setki. – Otarł usta dłonią. Spojrzał na nich i skrzywił się półgębkiem. – Ich ogony… były splątane, Bill. Powiązane. – Skrzywił się. – Jak węże.

Spojrzeli na drzwiczki kredensu. Piski były przytłumione, ale słyszalne. Szczury, pomyślał Ben, patrząc na białe oblicze Billa i na popielatoszarą twarz Mike'a. Wszyscy boją się szczurów. To zdaje sobie z tego sprawę.

– I-i-idziemy – rzekł Bill. – T-tu, na N-n-neibolt Street zabawa n-nigdy się nie k-k-kończy.

Przeszli przez frontowy korytarz. Unosiła się tu woń murszejącego gipsu i starego moczu. Przez zabrudzone szyby widzieli pozostawione na zewnątrz rowery. Pojazdy Bev i Bena stały na nóżkach. Silver Billa był oparty o pień klonu. Ben miał wrażenie, że rowery znajdują się o tysiąc mil od nich, jak przedmioty oglądane przez niewłaściwy koniec teleskopu. Opustoszała ulica z niechlujnie nałożonymi łatami asfaltu, wyblakłe, przesycone wilgocią niebo, regularne dudnienie lokomotywy na bocznym torze… wszystko to wydawało mu się snem, prawie

halucynacją. Rzeczywistością był tylko ten plugawy korytarz, cuchnący i mroczny.

W jednym rogu leżały potłuczone resztki brązowych butelek po rheingoldzie. W innym, zawilgotniały i napęczniały, leżał sporych rozmiarów świerszczyk. Kobieta na okładce pochylała się nad krzesłem; spódnicę z tyłu miała zadartą, by pokazać znajdujące się pod nią siatkowe pończochy i czarne majteczki. Benowi to zdjęcie nie wydawało się specjalnie seksowne, podobnie jak to, że Beverly na nie spojrzała, nie wydało mu się krępujące. Pod wpływem wilgoci twarz kobiety na zdjęciu pożółkła, a pomięta okładka sprawiła, że jej oblicze mogło wydać się pomarszczone i stare. Jej lubieżne spojrzenie stało się ironicznym uśmiechem martwej prostytutki. Wiele lat później, kiedy Ben opowiadał tę historię, Bev, ku zdziwieniu ich wszystkich – bo oni nie tyle słuchali, ile przeżywali powtórnie całe zdarzenie – krzyknęła przejmująco: „To była ona! To była pani Kersh!”. Kiedy Ben patrzył, młoda, a może stara ladacznica na okładce świerszczyka mrugnęła do niego. I zakręciła tyłeczkiem w obscenicznym, zapraszającym geście. Benowi, pomimo że był cały spocony, nagle zrobiło się zimno. Odwrócił wzrok.

Bill otworzył drzwi po lewej i wszyscy weszli do przypominającego grobowiec pomieszczenia, które niegdyś mogło być salonikiem. Z żyrandola zwisającego z sufitu zwieszały się zielone spodnie. Podobnie jak piwnica, również ten pokój wydawał się Benowi za duży. Był długi, bardzo długi – prawie jak wnętrze wagonu towarowego. O wiele za duży jak na dom, który z zewnątrz wydawał się raczej niewielki.

Och, ale to było na zewnątrz – usłyszał w myślach nowy głos. To był wesoły, piskliwy głos i Ben nagle zdał sobie sprawę, że należy on do samego Pennywise'a. Pennywise przemawiał doń, jakby używał mentalnej radiostacji.

Z zewnątrz rzeczy zawsze wydają się mniejsze, niż są w rzeczywistości, no nie, Ben?

– Odejdź – wyszeptał.

Richie odwrócił się, by na niego spojrzeć, a rysy jego pobladłej twarzy były napięte.

– Mówiłeś coś?

Ben pokręcił głową. Teraz zaległa cisza. To było ważne. To dobrze. Mimo to zrozumiał. Ten dom był szczególnym miejscem, swego rodzaju stacją, być może jedną z wielu podobnych miejsc w Derry, przez które To mogło przedostawać się do naszego świata. Ten cuchnący, gnijący dom, gdzie wszystko było w pewien sposób nie tak.

Nie chodziło tylko o to, że wnętrze budynku wydawało się zbyt duże; kąty były tu niewłaściwe, podobnie zresztą jak perspektywa. Ben stał w drzwiach pomiędzy salonikiem i korytarzem, a reszta jego grupy znajdowała się w takiej odległości, jakby byli teraz na drugim końcu Bassey Park… ale kiedy się oddalali, zamiast maleć, coraz bardziej się powiększali. Podłoga zaczynała robić się pochyła i…

Mike się odwrócił.

– Ben! – zawołał i Ben zobaczył wyraz trwogi na twarzy tamtego. – Goń nas! Szybko! Bo cię stracimy! – Ledwo usłyszał ostatnie słowo. Umknęło mu, jakby tamci oddalali się od niego z prędkością ekspresu. Nagle ogarnęło go przerażenie i zaczął biec. Drzwi tuż za nim zatrzasnęły się ze stłumionym szczękiem. Krzyknął… i miał wrażenie, że coś przemknęło tuż za nim, muskając materiał jego koszuli. Obejrzał się, ale niczego tam nie dostrzegł. Mimo wszystko to nie zmieniło jego przekonania, że coś tam jednak było.

Dogonił pozostałych. Był zdyszany, zmęczony i mógłby przysiąc, że przebiegł co najmniej pół mili… ale kiedy się odwrócił, przeciwległa ściana salonu znajdowała się nie więcej niż dziesięć stóp za nim.

Mike złapał go za ramię tak mocno, że Ben poczuł silny ból.

– Przestraszyłeś mnie, stary – powiedział. Richie, Stan i Eddie spoglądali na Mike'a pytająco.

– Wydawał się mały – odparł Mike. – Jakby był z milę za nami.

– Bill!

Bill się obejrzał.

– Musimy trzymać się blisko siebie – wysapał Ben. – To miejsce jest jak lunapark czy coś w tym rodzaju. Pogubimy się. To znaczy, wydaje mi się, że To chce, żebyśmy się pogubili. Abyśmy się rozdzielili.

Bill patrzył na niego przez chwilę. Miał zaciśnięte usta.

– W porządku – odezwał się w końcu. – N-n-niech wszyscy trzymają się b-b-blisko. N-n-n-nikt nie oddala się od g-g-grupy.

Pokiwali głowami przerażeni i zbili się w ciasną gromadkę przy drzwiach na końcu korytarza. Dłoń Stana zacisnęła się na atlasie ptaków tkwiącym w jego tylnej kieszeni. Eddie miętosił w ręku aspirator, jak ważący dziewięćdziesiąt osiem funtów słabeusz próbujący wyrobić sobie mięśnie przez uciskanie w dłoni piłki tenisowej. Ben otworzył drzwi

i zobaczyli następny, nieco węższy korytarz. Tapeta w różyczki i elfy w zielonych czapkach odpadała płatkami od ścian. Na suficie, nad ich głowami, widniały stare plamy pożółkłych zacieków. Mętne światło przechodziło przez taflę brudnego okna na końcu korytarza.

Nagle korytarz jakby zaczął się rozciągać. Sufit uniósł się i zaczął się od nich oddalać niczym dziwna startująca rakieta. Drzwi rosły podobnie jak sufit, wyciągając się ku górze niczym guma do żucia. Twarze elfów wydłużyły się i stały się obce, ich oczy zmieniły się w krwawiące czarne jamy. Stan wrzasnął i zasłonił dłońmi oczy.

– T-t-to n-n-nie jest p-p-prawdziwe! – krzyknął Bill.

– Jest! – odkrzyknął Stan, a jego małe piąstki wbijały się w oczodoły. – To jest prawdziwe i dobrze o tym wiesz, o Boże, ja oszaleję, to szalone, to obłęd, to…

– P-p-patrz! – krzyknął Bill do Stana i do nich wszystkich; Ben, kręcąc głową, zobaczył, jak Bill pochylił się, skulił, a potem gwałtownie odskoczył. Jego zaciśnięta lewa pięść w nic nie uderzyła, a mimo to dał się słyszeć głośny trzask. Z miejsca, gdzie nie było już sufitu, posypał się gipsowy pył… i nagle sufit powrócił na swoje

miejsce. Korytarz znów był tylko korytarzem, wąskim, o niskim, brudnym sklepieniu, ale jego ściany nie rozciągały się już w nieskończoność. Był też Bill patrzący na nich i rozcierający krwawiącą dłoń, pokrytą gipsowym pyłem i kurzem. Na suficie widniał wyraźny ślad jego pięści.

– T-t-to n-n-nie jest p-p-prawdziwe – powiedział do Stana i do nich wszystkich. – T-t-to tylko f-f-fałszywe o-oblicze. Jak m-m-maska n-na Halloween.

– Może dla ciebie – mruknął posępnym tonem Stan. Na jego twarzy malowały się szok i przerażenie. Był zlany potem. Rozejrzał się wokoło, jakby nie miał już pewności, gdzie się znajduje.

Bena, który ucieszył się zwycięstwem Billa, znowu ogarnęło przerażenie. Stan był bliski załamania. Niebawem popadnie w histerię, być może zacznie krzyczeć, a co stanie się potem?

– Dla ciebie – powtórzył Stan. – Ale gdybym ja tego spróbował, nic by się nie stało. Bo… ty miałeś brata, Bill, a ja nie mam nic.

Rozejrzał się wokoło – najpierw spojrzał w stronę saloniku, zasnutego brązową mgiełką tak gęstą i nieprzejrzystą, że ledwo widzieli drzwi, przez które weszli do tego korytarza. Sam

korytarz zresztą, choć oświetlony, wydawał się dziwnie mroczny, plugawy i kompletnie szalony. Na gnijącej tapecie elfy pląsały pośród rzędów róż.

Słońce przeświecało przez tafle szyb na drugim końcu korytarza i Ben wiedział, że kiedy tam dotrą, zobaczą martwe muchy… jeszcze więcej potłuczonego szkła… i co potem? Deski podłogi rozsuną się i cała ich grupka runie w mroczną czeluść, gdzie szukające po omacku palce tylko czekają, aby ich pochwycić? Stan miał rację; Boże, czemu udali się do kryjówki Tego, nie mając nic więcej prócz zwyczajnej procy i dwóch głupich srebrnych kulek?

Zauważył, że uczucie paniki przenika od Stana do kolejnych członków ich zespołu – rozprzestrzeniało się niczym pożar traw podsycany gwałtownym wiatrem; oczy Eddiego rozszerzyły się, usta Bev otwarły się w niemym jęknięciu. Richie poprawił okulary na nosie i rozejrzał się wkoło, jakby gdzieś niedaleko, może nawet tuż za nim, czaił się Zły.

Byli bliscy ucieczki. Prawie zapomnieli o ostrzeżeniu Billa, aby trzymać się w zwartej grupie. Panika wzbierała w nich z siłą huraganu. I nagle, jak we śnie, Ben usłyszał głos panny Davies, asystentki bibliotekarki, czytającej

maluchom: „Kto tam tupta, tupiąc po moim mostku?”. I zobaczył te dzieci, te małe dzieci pochylone do przodu, zasłuchane, z twarzyczkami przepełnionymi skupieniem i powagą oraz z odwiecznym wyrazem fascynacji bajkami w oczach. Czy zło zostanie pokonane, czy też uda mu się pożreć trzy małe kózki? Czy potwór zginie, czy też naje się do syta?

– Ja nic nie mam! – jęknął Stan Uris i nagle mogło się wydawać, że jest bardzo mały, zupełnie maleńki: mógłby prześlizgnąć się przez szczelinę pomiędzy deskami, jak list przez otwór w skrzynce pocztowej. – Ty masz swojego brata, stary, a ja nie mam niczego!

– M-m-masz! – odkrzyknął Bill. Schwycił Stana i Ben był przekonany, że lada moment Denbrough wymierzy mu parę ciosów. Nie, Bill, proszę, to sposób Henry’ego. Jeśli to zrobisz, To nas pozabija – zabije nas wszystkich, i to zaraz!, pomyślał.

Bill jednak nie uderzył Stana. Obrócił go bezceremonialnie i wyrwał książkę z tylnej kieszeni jego dżinsów.

– Oddaj to! – wrzasnął Stan, na wpół płacząc. Inni, oszołomieni, zaczęli odsuwać się od Billa, którego oczy w tej właśnie chwili płonęły żywym ogniem. Jego czoło lśniło niczym lampa. Książkę

Stana trzymał przed sobą w obu dłoniach, jak ksiądz próbujący odegnać krzyżem zbliżającego się doń wampira.

– M-m-masz s-swoje p-p-p…

Uniósł głowę, żyły wystąpiły mu na szyi, grdyka wyglądała jak grot strzały pogrążony w jego gardle. Ben jednocześnie bał się i żałował Billa Denbrough, ale przepełniało go również uczucie cudownej ulgi. Czy wątpił w Billa? Czy ktokolwiek z nich wątpił? Och, Bill, powiedz to, proszę, nie powiesz tego?

I jakimś cudem Bill dokonał tego. Powiedział.

– Masz swoje p-p-ptaki! Swoje p-p-ptaki!

Cisnął książką w Stana, który złapał ją i przez chwilę, jak otępiały, patrzył na Billa. Na jego policzkach błyszczały łzy. Trzymał książkę tak mocno, że zbielały mu palce. Bill spojrzał najpierw na niego, a potem na pozostałych.

– I-i-i-idziemy – powiedział.

– Czy ptaki zadziałają? – spytał Stan cichym, nieco ochrypłym głosem.

– W stacji pomp to zadziałało, no nie? – rzuciła Bev.

Stan spojrzał na nią niepewnie. Richie klepnął go po ramieniu.

– Chodź, Stanny. Jesteś facet czy mysz?

– Muszę być facetem – odparł drżącym tonem Stan i brzegiem dłoni otarł załzawione oczy. – O ile wiem, myszy nie fajdają w spodnie.

Roześmiali się, a Ben mógłby przysiąc, że poczuł, jak dom zaczyna się od nich odsuwać. Od nich i od tego dźwięku.

Mike się obrócił.

– Ten wielki pokój. Ten, przez który tu weszliśmy. Spójrzcie.

Odwrócili się w tamtą stronę. Salonik był teraz prawie cały czarny. To nie był dym czy jakiś inny gaz, ale po prostu czerń – niemal namacalna czerń. Zdawać by się mogło, że powietrze jest ograbiane z resztek światła. Mieli wrażenie, jakby ta czerń zbliżała się do nich. Przesuwała się w ich stronę, by wreszcie dosięgnąć ich twarzy.

– I-i-idziemy.

Odwrócili się od ściany czerni i ruszyli wzdłuż korytarza. Przed nimi pojawiło się troje drzwi. Dwoje drzwi miało brudnobiałe porcelanowe klamki, trzecie jedynie otwór w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się bolec klamki. Bill nacisnął pierwszą klamkę, obrócił ją i pchnięciem otworzył drzwi. Bev stanęła tuż obok niego, unosząc bullseye’a.

Ben cofnął się, wiedząc, że inni robią to samo. Stłoczyli się tuż za Billem jak stadko wylęknionych przepiórek. To była sypialnia – pusta, jeśli nie liczyć jednego zaplamionego materaca z odciśniętymi na nim głęboko śladami sprężyn, których dawno już nie było. Za jedynym oknem pochylały się i kołysały miarowo główki słoneczników.

– Tam nic nie… – zdążył powiedzieć Bill i w tej samej chwili materac zaczął pulsować rytmicznie. Nagle jego powłoka pękła dokładnie przez środek. Z wnętrza zaczął się wylewać czarny, lepki płyn, plamiąc podłogę i ściekając gęstą strugą w stronę drzwi. Maź spływała w ich stronę długimi kleistymi strumyczkami przypominającymi wici.

– Zamknij drzwi, Bill! – krzyknął Richie. – Zamknij te pieprzone drzwi!

Bill zatrzasnął je z hukiem, powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych i skinął głową.

– Idziemy.

Ledwie dotknął klamki następnych drzwi – po drugiej stronie wąskiego korytarzyka – kiedy zza płyty z taniego drewna dobiegło hałaśliwe brzęczenie.

9

Nawet Bill cofnął się, słysząc ten narastający, nieludzki skrzek. Ben poczuł, że ten dźwięk może doprowadzić go do obłędu; w jego myślach pojawiła się wizja znajdującego się za drzwiami wielkiego świerszcza – jakby wyjętego żywcem z jednego z filmów science fiction, w których pod wpływem radiacji owady urastają do gigantycznych rozmiarów – jak w *Beginning of the End* czy *Czarnym skorpionie* albo tym obrazie o wielkich mrówkach gnieżdżących się w kanałach burzowych Los Angeles. Nie zdołałby uciec, nawet gdyby ten brzęczący koszmar rozbił płytę drzwi i zaczął dotykać go jednym ze swych wielkich, owłosionych odnóży. Prawie nie zdawał sobie sprawy, że stojący obok niego Eddie z trudem łyka powietrze.

Skrzek narastał, ani na chwilę nie tracąc tego upiornego brzęczącego pogłosu. Bill cofnął się jeszcze o krok – jego twarz była blada, jakby odsączono z niej całą krew, oczy wychodziły mu z orbit, a usta przypominały cienką purpurową bliznę pod wzgórkiem nosa.

– Zastrzel to, Beverly! – Ben usłyszał swój krzyk. – Zastrzel to przez drzwi, zanim zdoła nas dopaść! – Promienie słońca wpadały przez brudne okno na końcu korytarza, nadając

słowom rozpaczliwe brzmienie. Beverly jak we śnie uniosła procę, podczas gdy brzęczenie narastało, narastało i narastało… Jednak nim zdążyła odciągnąć gumę, Mike krzyknął:

– Nie! Nie! Nie, Beverly! O rany, ale ze mnie kretyn! – I nagle, rzecz niesłychana, Mike zaczął się śmiać. Pochylił się do przodu, zacisnął dłoń na klamce i otworzył drzwi. Uchyliły się na oścież z przejmującym jękiem. – To brzękacz! To tylko brzękacz! Do odstraszania wron!

Pokój był pusty. Na podłodze leżała mała puszka z obciętymi końcami i przełożonym przez jej środek nawoskowanym sznurkiem. Choć nie było wiatru – jedno okno w pokoju było zamknięte, a na dodatek zabite deskami (przepuszczało tylko rozproszone promienie słońca) – nie ulegało wątpliwości, że dźwięk ten dochodził z puszki.

Mike podszedł do niej i kopnął ją z całej siły. Puszka potoczyła się po ziemi i znieruchomiała w rogu pokoju.

– To tylko brzękacz – powiedział do pozostałych jakby przepraszającym tonem. – Wywieszaliśmy je na polu, żeby odstraszać wrony. To nic takiego. Tania sztuczka. Ale ja nie jestem wroną. – Spojrzał na Billa. Nie śmiał się już, ale nadal się uśmiechał. – Nadal boję się Tego

chyba tak samo jak i cała reszta, ale To także obawia się nas. Wydaje mi się, że nieźle się przestraszyło.

– Tak, raczej tak – zgodził się Bill.

Podeszli do drzwi na końcu korytarza i podczas gdy Ben patrzył, Bill włożył palec do otworu, gdzie znajdował się sztyft klamki. Zdał sobie sprawę, że to właśnie tu się skończy; za tymi drzwiami nie będzie żadnych sztuczek. Fetor był teraz mocniejszy, a uczucie dwóch przeciwstawnych sił otaczających ich niewidzialnymi wirami wyraźnie przybrało na sile.

Spojrzał na Eddiego z jedną ręką na temblaku, a drugą ściskającego gruszkę aspiratora. Spojrzał na Bev po drugiej stronie, pobladłą i trzymającą oburącz procę. Pomyślał: Gdybyśmy musieli uciekać, spróbuję cię chronić, Bev. Przysięgam, że spróbuję.

Być może wyczuła jego myśl, ponieważ odwróciła się do niego i uśmiechnęła, lecz z pewnym skrępowaniem. Ben odpowiedział jej uśmiechem. Bill otworzył drzwi. Zawiasy wydały zduszony jęk, a potem umilkły.

To była łazienka… ale coś w niej było nie tak.

Ktoś coś tu rozbił, pomyślał w pierwszej chwili Ben. Nie butelkę z alkoholem, ale co?

Białe odłamki i szczątki połyskujące złowieszczo leżały rozsypane na całej podłodze. A później zrozumiał. To tylko ukoronowanie szaleństwa. Roześmiał się. Richie mu zawtórował.

– Ktoś musiał tu nieźle pierdnąć – rzekł Eddie, a Mike zachichotał i pokiwał głową. Stan uśmiechał się pod nosem. Tylko Bill i Beverly mieli posępne oblicza. Białe kawałki rozsypane na podłodze były resztkami porcelany. Miska klozetowa przestała istnieć, jakby rozniesiona potężną eksplozją. Rezerwuar stał krzywo, pod kątem, w kałuży wody, oparty o ścianę, tyle że toaleta znajdowała się w jednym rogu łazienki, a rezerwuar wylądował w kącie naprzeciwko. Stłoczyli się za plecami Billa i Beverly, a ich stopy chrzęściły na szczątkach porcelanowego naczynia.

Cokolwiek to było, pomyślał Ben, rozwaliło kibel w drobiazgi. Miał wizję Henry'ego Bowersa, wrzucającego do środka dwie lub trzy M-80, zamykającego klapę, a potem uciekającego w popłochu. Nie potrafił wymyślić niczego mniej groźnego od dynamitu, co dokonałoby podobnych zniszczeń. Na podłodze leżały szczątki, ale w sumie niewiele – przeważnie były

to tylko ostre, małe odłamki, cienkie jak strzałki do dmuchawek.

Na tapecie (w elfy i różyczki, tak jak w korytarzu) widniała cała masa dziur. Przypominały efekt wystrzału ze śrutówki, ale Ben wiedział, że uczyniły je odłamki porcelany, wbite w ściany siłą wybuchu. Stała tu też wanna oparta na szponiastych, pokrytych warstwą brudu łapkach. Ben zajrzał do środka i zobaczył na dnie wanny grube pasmo szlamu i piasku. Z góry popatrywała na nich zardzewiała główka prysznica. Znajdowała się tu też umywalka, a nad nią otwarta szafka apteczna, w której można było dostrzec puste półki. Na tych półkach, w miejscach gdzie niegdyś stały butelki, widniały rdzawe krążki.

– Nie podchodziłbym do tego zbyt blisko. Wielki Billu! – rzucił ostro Richie, a Ben obejrzał się wokoło.

Bill podszedł do otworu odpływowego, nad którym wznosiła się niegdyś muszla klozetowa. Pochylił się nad otworem, a potem odwrócił do pozostałych.

– S-s-słyszę d-dudnienie p-p-pomp… tak jak w B-barrens!

Bev przysunęła się bliżej Billa. Ben zrobił to samo i rzeczywiście usłyszał regularne

dudnienie, ale odbijający się echem w rurach dźwięk nie przypominał wcale odgłosów wydawanych przez maszyny. To brzmiało jak coś żywego.

– T-t-to p-p-przyszło stamtąd – rzekł Bill. Jego twarz nadal była śmiertelnie blada, ale oczy skrzyły się z podniecenia. – T-to w-w-wtedy p-przyszło stamtąd i z-zawsze stamtąd p-przybywa! Z k-k-kanałów!

Richie pokiwał głową.

– Byliśmy w piwnicy, ale tam Tego nie było. To zeszło z góry, po schodach. Mogło wyjść tylko tutaj.

– I to robota Tego?

– T-t-to bardzo się spieszyło, j-jak sądzę – mruknął posępnie Bill.

Ben spojrzał w głąb rury. Miała jakieś trzy stopy średnicy i była mroczna jak szyb kopalni. Wewnętrzne ściany wyłożone kafelkami pokrywała jakaś maź i nie chciał się dowiedzieć, czym ona była. Brzęczący dźwięk pulsował hipnotycznym rytmem… i nagle Ben coś zobaczył. Nie tyle naprawdę, ile raczej okiem umysłu. To sunęło w ich stronę, poruszając się z prędkością pociągu ekspresowego, wypełniając mroczną gardziel rury od ściany do ściany; miało teraz własną formę, czymkolwiek ona była,

mogło przybrać inny kształt, wybierając go z ich umysłów, kiedy już dotrze na miejsce. To się zbliżało, nadciągało z mrocznych cuchnących kanałów i czarnych katakumb pod ziemią, oczy Tego błyszczały zabójczą zielonkawą poświatą; To się zbliżało, nadchodziło. A potem zobaczył iskierki oczu Tego, głęboko w dole, pośród posępnej ciemności. Przyjęły kształt migotliwy i złowieszczy. Poprzez dudnienie maszyn Ben usłyszał jeszcze jeden odgłos: *Whooooooo*… Z otworu rury buchnął obrzydliwy fetor i Ben cofnął się, kaszląc i krztusząc się.

– To nadchodzi! – krzyknął. – Bill. Widziałem To! Nadchodzi!

Beverly uniosła bullseye'a.

– To dobrze – powiedziała.

Coś wystrzeliło z rury. Ben, próbując później przypomnieć sobie przebieg tego starcia, pamiętał tylko srebrzystopomarańczowy, zmieniający się kształt. Nie był widmowy… raczej bardzo solidny. I wyczuł jeszcze jakiś kształt – realny i estetyczny, poza Tym… ale nie potrafił dokładnie uchwycić wzrokiem tego, co zobaczył. A potem Richie cofnął się chwiejnie w tył, jego twarz przepełniało przerażenie, gdy wykrzykiwał raz po raz:

– Wilkołak! Bill! To wilkołak! Nastoletni wilkołak!

I nagle kształt stał się rzeczywisty zarówno dla Bena, jak i dla pozostałych. Wilkołak stanął nad otworem odpływowym z rozstawionymi szeroko nogami. Zielone ślepia pałały żądzą mordu. To zmarszczyło nos i spomiędzy zaciśniętych mocno kłów wypłynęła strużka żółtobiałej piany. Wydawało z siebie rozdzierający warkot. Jego ramiona wystrzeliły w stronę Beverly, mankiety szkolnej kurtki podciągnęły się na owłosionych łapskach. Cuchnęło przeraźliwie.

Beverly krzyknęła. Ben złapał ją za bluzkę na plecach i szarpnął tak mocno, że szwy pod pachami puściły. Opatrzona pazurami łapa przecięła powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się dziewczynka. Srebrna kulka wypadła z łożyska bullseye'a i przez moment zabłysła w powietrzu, lecz Mike błyskawicznie schwycił ją i oddał Beverly.

– Zastrzel To, dziecino – powiedział. Jego głos był absolutnie spokojny, prawie pogodny. – Zastrzel To wreszcie.

Przeraźliwy ryk wilkołaka zmienił się w mrożący krew w żyłach skowyt. To uniosło

pysk ku sufitowi. Skowyt zmienił się w śmiech. To rzuciło się na Billa, kiedy ten odwrócił się, by spojrzeć na Beverly. Ben odepchnął go na bok i Bill runął na ziemię jak długi.

– Zastrzel To, Bev! – wrzasnął Richie. – Na miłość boską, zabij To!

Wilkołak rzucił się naprzód i Bev ani wtedy, ani potem nie miała wątpliwości, że To dokładnie wiedziało, kto był przywódcą w ich grupie. To chciało dopaść Billa. Beverly odciągnęła gumę procy i wystrzeliła. Kulka pomknęła w powietrze i ponownie chybiła celu, ale tym razem nie wykonała zbawczego skrętu. Przeleciała o dobrą stopę od potwora i wybiła dziurę w tapecie nad wanną. Bill, z rękoma upstrzonymi kawałkami porcelany, krwawiący z tuzina miejsc, zaklął siarczyście. Wilkołak odwrócił łeb. Zielone ślepia wpatrywały się w Beverly. Ben, nie zastanawiając się ani chwili, stanął przed nią, podczas gdy Bev gmerała w kieszeni w poszukiwaniu drugiej srebrnej kulki. Dżinsy były zbyt ciasne. Włożyła je bez najmniejszej prowokacyjnej myśli – po prostu tak jak szorty, które miała na sobie w dniu śmierci Patricka Hockstettera; był to zeszłoroczny model. Jej palce zacisnęły się na kulce, ale srebrny pocisk wyślizgnął się z dłoni. Sięgnęła ponownie

i złapała kulkę. Wyjęła ją, wywracając kieszeń i rozsypując po podłodze drobne (czternaście centów), dwa przedarte bilety do kina Aladyn i kilka dżinsowych nitek.

Wilkołak rzucił się na Bena, który stał przed nią, chroniąc ją własnym ciałem… i blokując pole strzału. Łeb Tego był przekrzywiony pod drapieżnym, morderczym kątem – szczęki wilkołaka kłapały. Ben na oślep wyciągnął ręce w stronę Tego. Wydawało się, że w obecnej sytuacji nie było miejsca na strach – zamiast niego czuł nieprzeparty gniew zmieszany z zakłopotaniem i wrażeniem, że czas nieoczekiwanie się zatrzymał. Wbił obie ręce w twarde, zmierzwione futro. Sierść, pomyślał, to jest sierść – i głęboko wyczuł pod palcami ciężką kość czaszki stwora. Uderzył w ten wilczy łeb z całej siły, ale choć był dużym chłopcem, to absolutnie nie poskutkowało. Gdyby nie runął w tył i nie uderzył w ścianę, stwór rozdarłby mu gardło ostrymi, pożółkłymi kłami. To rzuciło się na niego. Zielonożółte ślepia pałały nienawiścią, z każdym oddechem z paszczy stwora dobiegał warkot. To śmierdziało ściekami i czymś jeszcze, jakimś dziwnym odorem kojarzącym się z gnijącymi orzechami laskowymi.

Jedna z łap stwora uniosła się, a Ben jak najdalej odsunął się na bok. Łapa zakończona wielkimi pazurami wyrwała bezkrwawą ranę w ścianie, rozpruwając tapetę i miękką gipsową powierzchnię pod nią. Jak przez mgłę słyszał, że Richie coś krzyczy, Eddie woła do Beverly, aby To zastrzeliła, żeby wreszcie To zabiła. Ale Beverly tego nie zrobiła. To była jej jedyna szansa. Ostatnia. A zresztą nieważne. I tak zakładała, że będzie potrzebowała tylko jednego strzału. Jej wzrok stał się ostry. Nigdy potem nie doświadczyła czegoś podobnego. Ogarnęło ją uczucie lodowatego spokoju. Wszystko wokół niej było takie wyraźne i wyeksponowane. Już nigdy potem nie będzie oglądać trzech wymiarów rzeczywistości w równie wyrazisty sposób. Odbierała każdą barwę, rejestrowała każdy kąt, każdą odległość.

Strach prysnął. Poczuła typową dla myśliwych pewność siebie i żądzę. Jej puls zwolnił. Histeryczny drżący uścisk dłoni, w których dzierżyła bullseye'a, rozluźnił się, po czym wzmocnił się i stał się naturalny. Wzięła głęboki wdech. Miała wrażenie, że jej płuca nigdy się nie wypełnią. Gdzieś jakby z oddali dobiegł ją cichy, przytłumiony trzask. Nieważne, co to było. Ustawiła się lewym bokiem, czekając, aż

nieprawdopodobny łeb wilkołaka znajdzie się dokładnie na wysokości środka litery V utworzonej przez odciągniętą ku tyłowi gumę procy.

Pazury wilkołaka opadły raz jeszcze. Ben próbował się uchylić, ale nagle znalazł się w uścisku Tego. Stwór pociągnął go naprzód jak szmacianą lalkę. Szczęki się rozwarły.

– Draniu…

Wbił bark w jedno ze ślepi Tego. Stwór zawył z bólu i jego zakończona szponami łapa przesunęła się po koszuli chłopca. Ben wciągnął brzuch, ale jeden z pazurów nakreślił palącą linię bólu na jego torsie. Trysnęła krew, zachlapując spodnie i trampki Bena oraz podłogę. Wilkołak wrzucił go do wanny. Ben uderzył głową w ściankę, zobaczył gwiazdy, przez chwilę starał się podnieść, a potem dostrzegł, że jest cały zalany krwią.

Stwór obrócił się na pięcie. Ben zauważył z tą samą co przedtem szaloną wyrazistością, że To miało na sobie wyblakłe lewisy. Szwy były porozrywane. Z tylnej kieszeni dżinsów wystawała czerwona chustka, sztywna od zaschniętych smarków. Na plecach szkolnej czarno-pomarańczowej kurtki widniał napis: ZABÓJCZA DRUŻYNA LICEUM Z DERRY. Poniżej

widniało nazwisko: PENNYWISE. A w środku numer: 13.

To znów rzuciło się w stronę Billa. Denbrough zdołał się już podnieść i stał teraz plecami do ściany, wpatrując się w To niewzruszonym wzrokiem.

– Zastrzel to, Beverly! – krzyknął ponownie Richie.

– Bip-bip, Richie – usłyszała swój ochrypły głos, jakby płynął z miejsca oddalonego o tysiąc mil stąd. I nagle głowa wilkołaka znalazła się dokładnie pomiędzy widełkami procy. Wycelowała w jedno z zielonych ślepi wilkołaka i puściła gumę. Jej dłonie ani odrobinę nie drżały. Posłała pocisk tak gładko i naturalnie jak tamtego dnia na wysypisku, kiedy strzelając do puszek, sprawdzali, kto z nich ma najlepsze oko. Ben zdążył tylko pomyśleć: och, Beverly, jeśli i tym razem chybisz, to już po nas, a ja nie chcę umrzeć w tej brudnej wannie, ale nie mogę się wydostać.

Nie chybiła. Okrągłe oko, tyle że nie zielone, lecz czarne, pojawiło się nagle, wysoko, pośrodku pyska stwora. Mierzyła w prawe oko i chybiła zaledwie o pół cala. Krzyk Tego, nieomal ludzki krzyk zdziwienia, bólu, strachu i wściekłości był prawie ogłuszający. Benowi aż zadźwięczało w uszach. A potem okrągły otwór w pysku Tego

zniknął, zastąpiony przez strugi krwi. Krew nie płynęła – chlustała z rany, jak strumień wody pod wysokim ciśnieniem. Posoka zbryzgała twarz i włosy Billa.

Nieważne, pomyślał Ben histerycznie, nie martw się, Bill. Kiedy się stąd wydostaniemy i tak nikt nie zdoła tego zobaczyć. Jeżeli się wydostaniemy.

Bill i Beverly zbliżyli się do wilkołaka, a zza ich pleców dobiegł histeryczny krzyk Richiego:

– Strzelaj w To jeszcze raz, Bev! Zabij To!

– Zabij To! – wrzasnął Mike.

– Tak! Zabij To! – zawtórował Eddie.

– Zabij To! – zawołał Bill, a jego usta wygięły się ku dołowi. We włosach miał białożółte pasma gipsowego pyłu ze ścian. – Zabij To, Beverly, nie pozwól, żeby się wydostało!

Nie ma już amunicji, pomyślał niejako mimochodem Ben. Wyprztykaliśmy się. O czym wy mówicie, zabić To? Ale spojrzał na Beverly i zrozumiał. Jeżeli do tej pory jego serce nie należało do niej, w tym momencie na pewno tak się stało. Ponownie odciągnęła gumę procy. Jej palce zacisnęły się wokół łożyska, zasłaniając jego puste wnętrze.

– Zabij To! – krzyknął Ben i zaczął gramolić się niezdarnie z wnętrza wanny. Jego dżinsy

i spodenki przesiąknięte krwią przylepiały się do ciała. Nie wiedział, czy został ciężko ranny, czy też nie. Palący ból nie doskwierał mu już zbytnio, niemniej krwawił obficie.

Wilkołak powiódł po ich twarzach spojrzeniem swych zielonych ślepi. W jego oczach widać było niepewność i ból. Krew spływała strugami z pyska stwora, zalewając przód jego kurtki.

Bill Denbrough się uśmiechnął. To był łagodny, raczej przyjemny uśmiech… ale jego zasięg nie objął oczu chłopca.

– Nie powinieneś był zaczynać od mojego brata – powiedział. – Wyślij tego skurwiela do piekła, Beverly.

Niepewność znikła ze ślepi stwora – To uwierzyło. Zwinnie i z gracją obróciło się i zanurkowało do otworu odpływowego, zmieniając swój kształt. Kurtka szkolna wtopiła się w futro i zarówno jedno, jak i drugie utraciło barwę. Czaszka stwora wydłużyła się, jakby To było zrobione z wosku, który właśnie zaczął się topić i ściekać. Przez krótką chwilę Benowi wydawało się, że prawie widział prawdziwy wygląd Tego, i serce zamarło mu w piersi. Stracił oddech.

– Zabiję was wszystkich! – ryknął jeszcze z rury odpływowej. Był ochrypły, dziki i zdecydowanie nieludzki. – Zabiję was wszystkich… – Słowa cichły, rozpływały się w miarę oddalania się stwora… a w końcu zlały się z cichym pulsującym mruczeniem pomp.

Dom, zdawałoby się, powrócił do poprzedniego stanu przy wtórze ciężkiego, na wpół słyszalnego łoskotu. Ale on niedokładnie powrócił do poprzedniego stanu, pomyślał Ben, raczej kurczył się, powracał do swych normalnych rozmiarów. Jakiejkolwiek magii używało To, by sprawić, że dom przy Neibolt Street 29 wydawał się większy, moc tę właśnie odbierano temu miejscu. Dom kurczył się, jakby zrobiono go z jakiegoś elastycznego materiału. Teraz był to już tylko zwykły zapuszczony budynek, cuchnący wilgocią i zgnilizną, bez mebli, gdzie czasami przychodzili włóczędzy i alkoholicy, aby sobie popić, pogadać i ewentualnie schronić się przed deszczem.

To odeszło. I cisza, jaka temu towarzyszyła, wydawała się nad wyraz głośna.

10

– M-m-musimy się stąd w-w-w-wynosić – rzekł Bill. Podszedł do Bena usiłującego wyjść z wanny

i schwycił go za rękę. Beverly stała tuż obok otworu odpływowego toalety. Spojrzała na siebie i jej opanowanie rozpłynęło się wraz z rumieńcem, jaki oblał ją niemal od stóp do głów. Tak, to musiał być naprawdę głęboki wdech. Odległy, przytłumiony odgłos, jaki usłyszała, oznajmiał pękanie odrywających się guzików u jej bluzki. Odpadły wszystkie co do jednego. Poły bluzki rozchyliły się i widać było wyraźnie drobne piersi dziewczyny. Błyskawicznym ruchem zgarnęła poły bluzki do wewnątrz.

– R-r-richie, p-p-pomóż mi z B-benem. O-o-on j-j-jest…

Richie podszedł do niego. Chwilę potem dołączyli do nich Stan i Mike. We czwórkę postawili Bena na nogi. Eddie zbliżył się do Beverly i niezgrabnie położył zdrową rękę na jej ramionach.

– Świetnie się spisałaś – powiedział, a Beverly wybuchnęła płaczem. Ben zrobił dwa chwiejne kroki w stronę ściany i oparł się o nią, nim zdążył upaść ponownie. Miał wrażenie, że jego głowa jest bardzo lekka. Świat wydawał mu się czarno-biały. Kolory to pojawiały się, to znowu odpływały. Miał chęć zwymiotować. I nagle Bill

objął go ramieniem. To był silny, dodający otuchy uścisk.

– J-jak z tobą, H-h-haystack?

Ben zmusił się, by spojrzeć na swój brzuch. Stwierdził przy tym, że wykonanie dwóch czynności, pochylenie głowy i rozsunięcie dziury w koszuli, wymagało odeń więcej odwagi niż samo wejście do wnętrza tego dziwnego domu. Spodziewał się, że zobaczy połowę swoich wnętrzności, zwisających przed nim niczym groteskowe wymiona. Ale dostrzegł tylko krew, która wypływała z długiego rozcięcia leniwą cienką strużką. Rana zadana przez wilkołaka była dość pokaźna i głęboka, ale najwyraźniej nie śmiertelna.

Richie przyłączył się do nich. Spojrzał na rozcięcie biegnące w dół klatki piersiowej Bena i zachodzące na wzgórek jego potężnego brzucha, a potem przeniósł wzrok na twarz Bena.

– Mało brakowało, a wyprułby ci flaki, Haystack, i zrobiłby sobie z nich szelki. Wiesz o tym?

– Nie żartuj – rzekł Ben.

On i Richie patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, a potem jednocześnie wybuchnęli histerycznym chichotem, obryzgując się

nawzajem kropelkami śliny. Richie objął Bena i poklepał go po plecach.

– Pokonaliśmy To, Haystack! Pokonaliśmy To!

– N-n-nie p-p-p-pokonaliśmy – mruknął ponuro Bill.

– M-mieliśmy szczęście. W-w-wynośmy się, zanim zdecyduje się wrócić.

– Gdzie? – zapytał Mike.

– Do B-b-barrens – odrzekł Bill.

Beverly podeszła do nich, wciąż przytrzymując ręką bluzkę. Jej policzki były jasnoczerwone.

– Klubowy domek?

Bill pokiwał głową.

– Czy ktoś mógłby mi dać koszulę? – zapytała Beverly, czerwieniąc się bardziej niż kiedykolwiek.

Bill spojrzał w dół na nią i w jednej chwili krew uderzyła mu do twarzy. Odwrócił natychmiast wzrok, podczas gdy Ben poczuł pod sercem ukłucie zrozumienia i zazdrości. Bill po raz pierwszy spojrzał na Beverly tak, jak wcześniej przydarzyło się to tylko Benowi. Inni również spojrzeli na nią i podobnie jak Bill odwracali głowy. Richie kaszlnął w wierzch dłoni. Stan się zaczerwienił. Mike Hanlon zaś cofnął się o krok czy dwa, przerażony widokiem

krągłości jednej z jej małych piersi, którą niedokładnie zakryła ręką. Beverly gwałtownie uniosła głowę, strząsając włosy do tyłu. Wciąż była zarumieniona, ale jej oblicze było przecudowne.

– Nic na to nie poradzę, że jestem dziewczyną. Albo że zaczynam nabierać krągłości… A teraz czy ktoś mógłby mi dać koszulę?

– P-p-pewno – rzekł Bill. Zdjął przez głowę swój biały podkoszulek, odsłaniając wąską klatkę piersiową z widocznymi łukami żeber i opalone, piegowate ramiona. – P-p-proszę.

– Dziękuję, Bill – powiedziała i ich spojrzenia spotkały się na jedną jedyną gorącą chwilę. Tym razem Bill nie odwrócił wzroku. Jego spojrzenie było pewne, dorosłe.

– Nie ma za co – odrzekł.

Życzę szczęścia, Wielki Billu, pomyślał Ben i odwrócił się. To go zabolało, zraniło go bardziej, niż mógłby tego dokonać jakikolwiek wilkołak czy wampir. Pomimo to jednak istniało coś takiego jak zasady dobrego wychowania.

Patrzenie na nich, kiedy spoglądali na siebie w ten sposób, byłoby równie niestosowne, jak przyglądanie się jej piersiom, kiedy puściła poły bluzki, żeby nałożyć przez głowę podkoszulek Billa.

Jeżeli to rzeczywiście to… Ale nigdy nie będziesz jej kochał tak jak ja. Nigdy.

Podkoszulek Billa sięgał jej prawie do kolan. Gdyby nie dżinsy wystające spod brzegów podkoszulka, mogłoby się wydawać, że ma na sobie przykrótką halkę.

– I-i-idziemy – powtórzył Bill. – N-nie wiem, j-jak wy, ale ja m-m-mam już dość na dzisiaj.

Okazało się, że wszyscy podzielają jego zdanie.

11

Po upływie godziny znaleźli się w swoim klubowym domku, którego zarówno klapa, jak i okienko były otwarte na oścież. Wewnątrz panował przyjemny chłód, a w Barrens zapadła błogosławiona cisza. Siedzieli, nie rozmawiając zbyt wiele, pogrążeni we własnych myślach. Richie i Bev przekazywali sobie na zmianę papierosa. Eddie zaaplikował sobie małą dawkę zawartości aspiratora. Mike parę razy kichnął i przeprosiwszy, powiedział, że chyba złapał grypę.

– To jedyna rzecz, senhorrr, któррą mógłby pan złapać – rzekł Richie i to było wszystko.

Ben spodziewał się, że szalone interludium na Neibolt Street zmieni się w upiorny sen. Będzie

tak jak ze wszystkimi koszmarami… Odchodzą i rozpływają się w nicości, budzisz się zdyszany i mokry od potu, ale piętnaście minut potem nie pamiętasz już, co ci się śniło.

Tak się jednak nie stało. Pamiętał dokładnie, co się wydarzyło od momentu, gdy z pomocą przyjaciół przedostał się przez wybite okno do wnętrza piwnicy, aż do chwili, kiedy Bill krzesłem wytłukł szybę, żeby mogli bez przeszkód wydostać się z domu. To nie był sen. Zasklepiona rana na jego piersi i brzuchu nie była snem, niezależnie od tego, czy jego mama mogła ją zobaczyć czy też nie. W końcu Beverly wstała.

– Muszę już iść do domu – powiedziała. – Chcę się przebrać, zanim mama wróci. Gdyby zobaczyła, że mam na sobie chłopięcy podkoszulek, zabiłaby mnie.

– Zabiłaby panią, senhorrrita – przytaknął Richie. – Ale na pewno zrrrobiłaby to barrrdzo wolno.

– Bip-bip, Richie.

Bill spojrzał na nią ponuro.

– Oddam ci koszulkę, Bill.

Skinął głową i machnął ręką, żeby dać jej do zrozumienia, że to nieistotne.

– Będziesz miał kłopoty, jak wrócisz bez niej?

– N-nie. O-oni i tak p-prawie mnie n-n-nie zauważają.

Skinęła głową, przygryzła dolną wargę – dziewczynka, licząca sobie jedenaście lat, wysoka jak na swój wiek i niezwykle urocza.

– I co dalej, Bill?

– N-n-nie w-wiem.

– To nie koniec, prawda?

Bill pokręcił przecząco głową.

– Teraz To chce nas dostać bardziej niż kiedykolwiek – powiedział Ben.

– Nowe srebrne kule? – spytała. Ben z trudem wytrzymywał jej spojrzenie. Kocham cię, Beverly… Nie odbieraj mi tego. Możesz mieć Billa albo cały świat czy cokolwiek tylko zechcesz, ale pozwól mi cię kochać, nie wzbraniaj mi tego i myślę, że to mi wystarczy.

– Nie wiem – powiedział. – Moglibyśmy, ale… – Urwał i wzruszył ramionami. Nie potrafił powiedzieć, co czuł, nie umiał w żaden sposób tego wyrazić; czuł się, jakby był (i nie był jednocześnie) aktorem w filmie grozy. Mumia wyglądała jak potwór z filmu, a zarazem inaczej… dzięki czemu wydawała się prawdziwa. Podobnie rzecz się miała z wilkołakiem; mógł to zaświadczyć, bo widział go w paraliżującym zbliżeniu, które nie było fragmentem zwykłego

czy nawet trójwymiarowego filmu: wbił dłonie w twardą szczecinę pokrywającą ciało Tego, widział mały, ognistopomarańczowy punkcik (jak pompon) w głębi jednego z zielonych ślepi. To wszystko było jak sen, który stał się jawą. A kiedy sny stawały się jawą, wymykały się spod władzy śniącego i nabierały mocy do niezależnego działania, mocy, która mogła być zabójcza.

Srebrne kule poskutkowały, bo cała siódemka zgodnie wierzyła, że tak się stanie. Ale nie zabili Tego. A następnym razem To ukaże się im pod inną postacią, na którą srebrne kule nie będą miały wpływu. Ich moc nie zadziała.

Moc, pomyślał Ben, patrząc na Beverly. Teraz wszystko było w porządku. Spojrzenia jej i Billa ponownie się spotkały i patrzyli na siebie tak, jakby się zgubili. To trwało zaledwie chwilę, ale Benowi wydawało się, że ciągnęło się bardzo długo.

Moc. Zawsze w końcu wszystko sprowadza się do mocy. Kocham Beverly Marsh i ona ma moc nade mną. Ona kocha Billa Denbrough i on ma moc nad nią. Ale, jak sądzę, on jest bliski zakochania się w niej. Może to ta jej twarz, kiedy powiedziała, że jest tylko dziewczyną i nic na to nie poradzi. Może to obraz jednej z jej piersi,

choć widział ją zaledwie przez moment. Może to sposób, w jaki ona czasami patrzy, kiedy światło jest odpowiednie, albo może jej oczy. Nieważne. Jeśli jednak on zacznie się w niej zakochiwać, to znajdzie się w jej mocy. Superman ma moc, rzecz jasna, jeżeli w pobliżu nie ma kryptonitu, Batman ma moc, mimo że nie umie latać ani widzieć przez ściany. Moja mama ma moc nade mną, a jej szef z zakładu nad nią. Każdy ma jakąś moc… Może z wyjątkiem małych dzieci i niemowlaków. A potem pomyślał, że nawet małe dzieci i niemowlęta mają moc; mogły płakać dopóty, dopóki nie zrobiłeś czegoś, aby je uciszyć.

– Ben? – odezwała się Beverly, odwracając wzrok w jego stronę. – Kot odgryzł ci język?

– Eee? Nie. Zastanawiałem się nad mocą. Mocą pocisków. – Bill przyjrzał mu się z uwagą. – Zastanawiałem się, skąd się bierze ta moc.

– T-t-to… – zaczął Bill i umilkł. Na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

– Naprawdę muszę już iść – oświadczyła Beverly. – Zobaczymy się znowu, no nie?

– Pewnie. Jutro – rzekł Stan. – Złamiemy Eddiemu drugą rękę. – Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Eddie udał, że rzuca w Stana aspiratorem.

– No to na razie – powiedziała Beverly, a potem wstała i wyszła. Ben spojrzał na Billa i zobaczył, że tamten się nie roześmiał. Na jego twarzy nadal malował się wyraz zamyślenia i Ben wiedział, że będzie musiał wołać go po imieniu dwa albo i trzy razy, zanim zareaguje i odpowie. Sam również będzie zastanawiał się nad tym w najbliższym czasie. Nie przez cały czas, o nie. Czekało go rozwieszanie i zbieranie prania dla matki, wspólne zabawy z przyjaciółmi w Barrens, a w pierwszych czterech dniach sierpnia całą siódemką wybiorą się do domu Richiego Toziera na szaloną partyjkę *parcheesi*, podczas której robiąc blokady, z wielką niechęcią odsyłając nawzajem jedno drugiego o kilka pól do tyłu i nasłuchując odgłosów deszczu za oknem, będą zastanawiać się, jak najlepiej rzucić kostką, żeby uzyskać maksymalną liczbę oczek. Jego matka powie, że jej zdaniem najpiękniejszą kobietą Ameryki jest Pat Nixon, i będzie przerażona, gdy Ben oznajmi, że woli Marilyn Monroe (gdyby nie kolor włosów, pomyślał Ben, Bev wyglądałaby jak Marilyn Monroe). W tym czasie zje tyle twinkies, ring-dingów i devil dogów, ile tylko wpadnie mu w ręce, a prócz tego będzie przesiadywał na werandzie na tyłach domu, czytając *Lucky Starr and the Moons of*

Mercury. Będzie miał czas na to wszystko, podczas gdy rana na jego piersi zagoi się, zmieni w wąską, długą bliznę i zacznie go swędzieć, ponieważ życie toczy się dalej, a jedenastolatek, nawet bystry i zdolny, nie potrafi myśleć perspektywicznie.

Mógł żyć z tym, co się stało w domu przy Neibolt Street. Świat wszakże pełen był przeróżnych cudowności. Bywały jednak takie dziwne chwile, kiedy ponownie stawiał sobie te pytania i zastanawiał się nad nimi.

Moc kul. Moc pocisków – skąd się bierze ta moc? Skąd się bierze jakakolwiek moc? Jak ją uzyskać? Jak ją wykorzystać?

Miał wrażenie, że od tych pytań może zależeć ich życie. Którejś nocy, kiedy przysypiał, a krople deszczu wystukiwały usypiająco melodię o dach i szyby w oknach, przyszło mu na myśl, że istniało jeszcze jedno pytanie – kto wie, może nawet to pytanie było najważniejsze. To miało jakiś rzeczywisty kształt. Prawie go widział. Zobaczyć kształt oznaczało poznać tajemnicę. Czy tak samo było z prawdą o mocy? Być może. Bo czyż nie było prawdą, że ta moc, podobnie jak To, zmieniała kształty? To było dziecko płaczące w środku nocy, bomba atomowa, srebrna kula

czy choćby sposób, w jaki Beverly patrzyła na Billa, a on na nie.

Czym zatem była moc? Czym ona była konkretnie?

12

Przez następne dwa tygodnie nie wydarzyło się nic szczególnego.

DERRY:
Czwarte interludium

Musisz przegrać
Nie możesz stale wygrywać
Musisz przegrać
Nie możesz stale wygrywać, no nie?
Wiem, dziecino
Widzę, że zbliżają się kłopoty
John Lee Hooker, *Musisz przegrać*

6 kwietnia

Powiem wam coś, przyjaciele i sąsiedzi – dziś wieczorem jestem pijany. Zalany w sztok. Żytnią whiskey. Poszedłem do Wally'ego i tam zacząłem kurs, a potem na pół godziny przed zamknięciem wstąpiłem na Center Street i kupiłem żytnią whiskey. Wiem, co robię. Dziś zaleję pałę, a jutro będę tego żałował. I oto w bibliotece siedzi teraz pijany czarnuch (biblioteka jest już zamknięta), ma przed sobą otwartą tę książkę, a po lewej stronie stoi butelka old kentucky.

– Powiedz prawdę i zawstydź diabła – mawiała moja mama, ale zapomniała mnie poinformować, że czasami nie sposób zawstydzić Starego Kuternogi na trzeźwo. Irlandczycy to wiedzą, lecz oni są białymi Murzynami Boga i kto wie, być może znajdują się o krok przed nami.

Chcę napisać o piciu i diable. Pamiętacie *Wyspę Skarbów?* Starego wilka morskiego w *Admirale Benbow*.

– Jeszcze ich dostaniemy, Jacky!

Założę się, że ten zgorzkniały stary kutas naprawdę w to wierzył. Pełny rumu – czy żytniej

whiskey – możesz uwierzyć we wszystko. Picie i diabeł. W porządku.

Czasami zastanawiam się, ile czasu zajęłoby mi opublikowanie choć części tego, co tak piszę po nocach. Aby rzucić odrobinę światła na tajemnice Derry. Istnieje coś takiego jak zarząd dyrektorów. Jest ich jedenastka. Jeden to siedemdziesięcioletni pisarz, który dwa lata temu przebył atak serca, a teraz często potrzebuje pomocy, by odnaleźć własne nazwisko na każdym z formularzy spotkań (i który czasami wydłubuje sobie z nosa zaschnięte smarki i wkłada je do uszu, jakby chciał je zachować).

Drugą jest energiczna kobieta, która przybyła tu z Nowego Jorku wraz ze swym mężem lekarzem i która prowadzi nieustannie jękliwy monolog na temat prowincjonalności Derry i tego, że nikt tutaj nie rozumie doświadczeń Żydów, a poza tym ona przecież musi pojechać do Bostonu i kupić sobie jakieś nowe ciuchy, no bo w czym się pokaże na kolejnym zebraniu. Ostatnim razem ta anorektyczna baba odezwała się do mnie bez pośrednika podczas przyjęcia z okazji Gwiazdki półtora roku temu. Wypiła sporą dawkę ginu i zapytała mnie, czy ktokolwiek w Derry zrozumiał doświadczenia

czarnych. Ja też wypiłem wtedy sporo ginu i odpowiedziałem:

– Pani Gladry, Żydzi mogą być wielką niewiadomą, ale co się tyczy czarnych, rozumie ich cały świat.

Zaczęła krztusić się swoim drinkiem i odwróciła się tak szybko, że przez chwilę pod unoszącą się spódnicą widać jej było majtki (niezbyt ciekawy widok – szkoda, że to nie była Carole Danner!), i na tym skończyła się moja ostatnia nieformalna pogawędka z panią Ruth Gladry. Niewielka strata. Pozostali członkowie zarządu są potomkami potentatów przemysłu drzewnego. Ich wsparcie dla biblioteki jest aktem swoistej pokuty za grzechy przodków. Zgwałcili lasy, a teraz zajmują się książkami, tak jak przed wiekami libertyn w średnim wieku mógł nagle zapałać miłością do bękartów, owoców jego młodzieńczych uciech.

To ich dziadowie i pradziadowie rozłożyli szeroko nogi lasów na północy Derry i Bangor, a potem zgwałcili te spowite w zieleń dziewice toporami i piłami. Cięli, piłowali i rżnęli pnie na deski bez odrobiny zastanowienia. Rozerwali błonę dziewiczą tych wielkich lasów, kiedy prezydentem był Grover Cleveland, i zakończyli pracę, zanim jeszcze Woodrow Wilson dostał

ataku serca. Ci bezwzględni łotrzy zgwałcili olbrzymią puszczę, zapładniając ją stosami zwalonych drzew, przemieniając Derry z małego stoczniowego miasteczka w hałaśliwą dziurę, gdzie knajpy były otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, a dziwki pracowały praktycznie na okrągło. Jeden stary pracownik kompanii, Egbert Thoroughgood – obecnie liczący sobie dziewięćdziesiąt trzy lata – poderwał kiedyś na Baker Street (ta ulica już nie istnieje, w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się tętniąca życiem Baker Street, stoi osiedle domków dla ludzi z klasy średniej) prostytutkę tak młodą, jak mi powiedział, że praktycznie jeszcze dziecko. Była chuda i płaska jak deska.

– Dopiero jak się spuściłem, zdałem sobie sprawę, że leżę w wielkiej kałuży spermy, głębokiej na mniej więcej cal. To świństwo zmieniło się już w galaretę. „Dziewczyno, czy ty w ogóle nie dbasz o siebie?”, pytam. Ona patrzy na mnie i mówi: „Jeżeli chcesz jeszcze raz, mogę zmienić prześcieradło. Mam dwa świeże w kredensie. Do dziewiątej, dziesiątej wiem, na czym leżę, ale około północy moja cipka robi się tak odrętwiała, że równie dobrze mogłaby się znajdować w Ellsworth”.

I tak właśnie było w Derry w pierwszych dwudziestu latach dwudziestego stulecia – praca, picie i pieprzenie – niekoniecznie w tej kolejności. Od kwietnia, kiedy następowała odwilż, do listopada, kiedy to rzeki skuwał lód, Penobscot i Kenduskeag były pełne spławianych kłód drewna. W latach dwudziestych interes zaczął nieco podupadać, a w czasie wielkiego kryzysu kompletnie zamarł.

Potentaci przemysłu drzewnego wpłacili swoje pieniądze do banków w Nowym Jorku i Bostonie (tych, które przetrwały kryzys) i pozostawili gospodarkę Derry na pastwę losu. Wycofali się do swych wspaniałych domów przy West Broadway i wysłali swoje dzieci do prywatnych szkół w New Hampshire, Massachusetts i Nowym Jorku.

Żyli, czerpiąc zysk ze swoich interesów i politycznych koneksji. To, co pozostało z ich supremacji jakieś siedemdziesiąt lat po tym, jak Egbert Thoroughgood wylądował w łóżku taniej dziwki na zaplamionym spermą materacu obskurnego mieszkania przy Baker Street, to wycięte połacie lasu w hrabstwach Penobscot i Aroostook oraz wielkie wiktoriańskie domy, których rząd ciągnie się przez dwie przecznice wzdłuż West Broadway… no i naturalnie moja

biblioteka. Tyle że ci dobrzy ludzie z West Broadway odebraliby mi bibliotekę błyskawicznie, gdybym opublikował cokolwiek na temat Legionu Białej Przyzwoitości, pożaru w Black Spot, egzekucji gangu Bradleya… albo sprawy Claude'a Heroux i baru Silver Dollar, w którym we wrześniu 1905 roku doszło do najdziwniejszego masowego morderstwa w całej historii Ameryki. W Derry wciąż jeszcze jest paru staruszków, którzy twierdzą, że pamiętają to zdarzenie, ale w tej kwestii wierzę tylko Thoroughgoodowi. Miał wtedy osiemnaście lat. Thoroughgood mieszka obecnie w domu starców w Paulson. Jest bezzębny i ma tak diabelny akcent, że można go zrozumieć tylko wtedy, gdy wypowiedziane przezeń kwestie są zapisywane fonetycznie. Sandy Ives, badacz folkloru z uniwersytetu w Maine, o którym wspomniałem już w swoich zapiskach, pomógł mi przełożyć jego wypowiedzi nagrywane na taśmie.

Według Thoroughgooda Claude Heroux był tym kanudzkiem z kurwyzynem z łogiem chtórym tybał na ciem jag gładź wew gzienżecowem blazgu. (Tłumaczenie – był tym kanuckim[12] skurwysynem z okiem, którym łypał na ciebie jak klacz w księżycowym blasku).

Thoroughgood powiedział, że on, tak jak i wszyscy, którzy z nim pracowali, porównywał Heroux do tchórzliwego psa, który podkrada kurczaki… co sprawiało, że jego wtargnięcie z siekierą do Silver Dollar było jeszcze bardziej zagadkowe. Aż do tej pory drwale z Derry wierzyli, że talenty Heroux ograniczają się co najwyżej do wzniecania pożarów w lasach.

Lato 1905 było długie i upalne – a w lasach wybuchało wiele pożarów. Do największego z nich (Heroux przyznał później, że wzniecił go najprostszym sposobem, wkładając zapaloną świeczkę do środka stosu suchych gałązek i papierów) doszło w Haven's Big Injun Woods. Spłonęło wówczas dwadzieścia tysięcy akrów świetnego twardego drewna, a dym czuć było w obrębie trzydziestu pięciu mil nawet na szczycie Milowego Wzgórza, kiedy dojechałeś tam konnym tramwajem.

Wiosną tego roku zaczęto tu i ówdzie mówić na temat związków. W organizowanie ich (choć nie było raczej specjalnie wiele do organizowania, gdyż robotnicy z Maine mieli nastawienie antyzwiązkowe i praktycznie biorąc, ten stan do dzisiaj się nie zmienił) zaangażowało się czterech drwali; wśród nich znalazł się właśnie Claude Heroux, który

najprawdopodobniej pojmował swoją związkową aktywność jako okazję do pogadania i spędzenia nieco więcej czasu w knajpach na Baker i Exchange Street. Heroux i trzej pozostali określali siebie mianem organizatorów, choć potentaci przemysłu drzewnego uważali ich za prowodyrów. Zgodnie z obwieszczeniem przybitym na barakach, w których mieściły się kuchnie, od Monroe po Haven Village, od plantacji Summera do Millinocket, informowano drwali, że każdy, kto w swojej rozmowie poruszał temat związków, zostanie natychmiast zwolniony z pracy.

W maju tego roku w pobliżu Trapham Notch zorganizowano niewielki strajk i mimo że szybko został przerwany zarówno przez łamistrajków, jak i przez miejskich konstabli – choć, jak zapewne rozumiecie, rzeczą dziwną jest, że w mieście, gdzie przed owym dniem w maju nie było ani jednego konstabla (liczba mieszkańców zgodnie z wynikami spisu ludności z 1900 roku wynosiła siedemdziesiąt dziewięć), pojawiło się nagle prawie trzydziestu konstablów wymachujących styliskami siekier i bezceremonialnie rozłupujących czaszki protestującym – Heroux i jego kumple organizatorzy uznali to za wielkie zwycięstwo

dla ich sprawy. Z tej okazji wybrali się do Derry, aby sobie popić i trochę podyskutować „między nami organizatorami” – albo raczej „między nami prowodyrami” w zależności od punktu widzenia.

Cokolwiek by mówić, musiała to być praca nadmiernie wysuszająca gardło. Zahaczyli o większość barów na terenie Diabelskiego Półakra i skończyli w zaspanym Silver Dollar, objęci ramionami, pijani w sztok, zataczający się i śpiewający na zmianę z piosenkami związkowymi ckliwe kawałki w rodzaju *Moja matka patrzy na mnie z nieba*, choć osobiście sądzę, że jeśli jakakolwiek patrząca z góry matka zobaczyłaby ich w tym stanie, byłaby w pełni usprawiedliwiona, gdyby postanowiła się odwrócić.

Wedle Egberta Thoroughgooda jedynym powodem, dla którego Heroux zdecydował przyłączyć się do związkowców, był niejaki David Hartwell – główny „organizator” albo „prowodyr”. Heroux się w nim zakochał. Zresztą nie tylko on; większość związkowców pałała do Hartwella głęboką i żarliwą miłością, które to uczucie mężczyźni zachowują niekiedy dla przedstawicieli tej samej płci obdarzonych

specyficznym, nieomal boskim w swej naturze magnetyzmem.

– Davvey Ardwell był adzeckem, chtóry sprafiał wradżenie, jagby był banem bołowy dego żwiata, a druka bołowa była łod nieko usaleszniona. (Tłumaczenie – Davey Hartwell był facetem, który sprawiał wrażenie, jakby był panem połowy tego świata, a druga połowa była od niego uzależniona). Heroux rzucił się za Hartwellem w wir pracy organizacyjnej, tak jak zrobiłby, gdyby tamten postanowił podjąć pracę w stoczni w Brewer albo Bath, wziąć udział w budowie Seven Trestles w Vermoncie lub przywrócić do życia Pony Express. Heroux był podstępny i podły i jak sądzę, w powieści pozbawiono by go jakichkolwiek pozytywnych cech. Czasami jednak, kiedy facetowi przez całe życie się nie wierzy i nie ufa, i praktycznie stale jest samotnikiem (przegranym na całej linii frajerem), pomimo negatywnej opinii u ludzi, jacy go otaczają, zdarza się, że znajduje on sobie przyjaciela lub kochankę – osobę, dla której pragnąłby żyć, tak jak pies żyjący dla swego pana. I chyba właśnie tak przedstawiał się układ pomiędzy Heroux a Hartwellem.

W każdym razie było ich czterech spędzających noc w Brentwood Arms Hotel,

który drwale nazywali „Pod Pływającym Psem” (choć nie sposób dziś dojść, skąd wzięła się owa nazwa – przepadła gdzieś w przeszłości, podobnie jak cały hotel). Do hotelu wprowadziło się ich czterech. Żaden się nie wypisał. Jednego z nich, Andy’ego DeLessepsa, nigdy więcej nie widziano. Jak głoszą plotki, być może spędził resztę swoich dni w jakimś miłym, zacisznym zakątku w Portsmouth, ale co do mnie, raczej w to wątpię. Dwóch innych „prowodyrów”, Amsela Bickforda i samego Daveya Hartwella, znaleziono pływających twarzami do dołu w Kenduskeag. Bickford nie miał głowy – ktoś odrąbał mu ją jednym ciosem potężnej dwuręcznej siekiery. Hartwellowi brakowało nóg, a ci, którzy go znaleźli, zarzekali się, że jeszcze nigdy nie widzieli podobnego wyrazu bólu i przerażenia malującego się na ludzkiej twarzy. Miał coś w ustach, coś, co wypychało mu policzki, i kiedy ci, którzy go odnaleźli, odwrócili go na brzuch i rozwarli mu szczęki, na błotnistą ziemię wypadło siedem odciętych palców od stóp. Ktoś przypuszczał, że być może trzy pozostałe stracił podczas lat pracy w lesie w zawodzie drwala. Inni jednak byli przekonani, że po prostu zdążył je połknąć, zanim umarł.

Do koszul na plecach obu mężczyzn były przyczepione kartki z napisem: „Związki”.

Claude Heroux nigdy nie stanął przed sądem za to, co się stało w Silver Dollar tej nocy, 9 września 1905 roku, i nikt dokładnie nie wie, w jaki sposób uniknął owego dnia w maju losu trzech pozostałych związkowców. Możemy jedynie snuć przypuszczenia – przez dłuższy czas przebywał samotnie, zachował czujność i kto wie, być może zdołał w sobie wyrobić instynkt przetrwania, dzięki któremu właściwie w ostatniej chwili uratował skórę. Ale dlaczego nie zabrał z sobą Hartwella? A może został zabrany do lasu wraz z innymi „agitatorami”? Może zostawili go na koniec i udało mu się uciec, podczas gdy krzyki Hartwella (które zostały stłumione, kiedy wciśnięto mu do ust ucięte palce stóp) odbijały się echem w mroku, płosząc siedzące na gałęziach drzew ptaki.

Nie sposób się o tym przekonać, ale moim zdaniem tak właśnie musiało być. Claude Heroux zmienił się w żywego upiora. Przychodził jak śnięty do obozu w Saint John’s Valley, stawał w kolejce do kuchni polowej, odbierał swoją miskę gulaszu, spożywał posiłek i nim ktokolwiek zdążył się pokapować, że nie należał do ich zespołu, już go tam nie było. Parę tygodni

później pokazał się w knajpie w Winterport, rozmawiając o związkach i poprzysięgając zemstę ludziom, którzy zamordowali jego przyjaciół – najczęściej padały tu nazwiska Hamiltona Trackera, Williama Muellera i Richarda Bowiego. Wszyscy oni mieszkali w Derry, a ich wytworne domy stoją po dziś dzień na West Broadway (wiele lat później oni i ich potomkowie spalą Black Spot). Nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie chcieli pozbyć się definitywnie Claude'a Heroux, zwłaszcza po serii pożarów w czerwcu tamtego roku. Widywano go dość często, ale był bardzo szybki i miał niemal zwierzęcy instynkt, ostrzegający go przed niebezpieczeństwem. O ile wiem, nigdy nie sporządzono przeciw niemu oficjalnego nakazu aresztowania i gliny nie zatruwały mu życia. Być może obawiali się tego, co mógłby powiedzieć postawiony przed sądem pod zarzutem podpaleń lasu. Niezależnie od tego, co było przyczyną, lasy wokół Derry i Haven płonęły przez całe lato. Dzieci znikały, liczba bójek i morderstw wzrosła, a całe miasto pokrył niewidzialny, ulotny jak dym całun grozy.

Wreszcie 1 września zaczęło padać i lało praktycznie przez cały tydzień. Śródmieście Derry zostało zalane, ale to nie było nic

niezwykłego – olbrzymie domy na West Broadway znajdowały się na wzniesieniu, a ich mieszkańcy musieli w tym momencie odetchnąć z ulgą. Niech ten szalony Kanuk ukrywa się w lasach przez całą zimę, skoro tego chce, mogliby powiedzieć. W tym roku zrobił już, co miał do zrobienia, a do następnych letnich upałów na pewno go dorwiemy.

A potem nadszedł dzień 9 września. Nie potrafię wyjaśnić tego, co się stało. Thoroughgood również nie zdoła tego dokonać. I wydaje mi się, że nikt nie dałby rady. Mogę jedynie zrelacjonować przebieg wypadków owego feralnego wieczoru.

W Silver Dollar znajdowała się cała masa popijających piwo drwali. Na zewnątrz zapadał mglisty zmierzch. Poziom Kenduskeag był podwyższony do maksymalnej wysokości i zgodnie z tym, co powiedział Egbert Thoroughgood, „degowiedżoru zerwał siem wiater, taki, co to przeniga brzez maderiał zpodni i wdziera ci siem prozdo do dupy”. Ulice były rozmokłe, pokryte błotnistymi kałużami. Przy jednym ze stolików na tyłach lokalu grano w karty. To byli ludzie Williama Muellera. Mueller był współwłaścicielem linii kolejowej GS & WM oraz potentatem przemysłu drzewnego –

właścicielem milionów akrów pierwszorzędnych lasów – natomiast ludzie, którzy tego wieczoru grali w pokera, pracowali po połowie na kolei i przy wyrębie lasów, a w gruncie rzeczy stanowili jedną wielką masę kłopotów. Dwaj z nich, Tinker McCutcheon i Floyd Calderwood, siedzieli kiedyś w mamrze. Byli z nimi Lathrop Rounds (nazywany „El Katook", ale wyjaśnienie, skąd wzięła się ta ksywka, tak jak w przypadku hotelu Pod Pływającym Psem, przepadło w pomroce dziejów), David „Stugley" Grenier i Eddie King – brodacz, którego okulary były niemal tak samo grube jak warstwa sadła na jego kałdunie. Jest wielce prawdopodobne, że ci faceci przez parę ostatnich miesięcy czyhali na Claude'a Heroux. Jest również wielce prawdopodobne – choć naturalnie nie istnieją żadne dowody – że brali oni udział w wypadzie, podczas którego za pomocą paru ciosów siekierami, czyli wyjątkowo radykalnie, położono kres działalności związkowej Hartwella i Bickforda.

W barze było tłoczno, opowiadał Thoroughgood, znajdowały się tam tuziny ściśniętych jak sardynki ludzi, popijających piwo, zajadających barowe przekąski, a woda, jaką

przesiąkły ich ubrania, ociekała na wysypane trocinami klepisko stanowiące podłogę knajpy.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Claude Heroux. W ręce trzymał olbrzymią siekierę o dwóch ostrzach. Rozpychając się łokciami, utorował sobie drogę do baru i stanął przy kontuarze. Egbert Thoroughgood stał po lewej. Powiedział, że Heroux cuchnął jak cap. Barman podał mu kufel piwa, dwa jajka na twardo w miseczce i solniczkę.

Heroux zapłacił banknotem dwudolarowym i włożył otrzymaną resztę – dolara osiemdziesiąt pięć centów – do kieszeni kurtki. Posolił jajka i zjadł je. Posolił piwo, wypił i czknął.

– Niewiele tu miejsca w porównaniu z tym, co na zewnątrz – rzekł Thoroughgood, zupełnie jakby tego lata Heroux nie był ścigany przez połowę samozwańczych stróżów prawa z Maine.

– Wiesz, że tak – odrzekł Heroux, tyle że jako Kanuk wypowiedział to mniej więcej: „Wieź sze dag”.

Zamówił drugie piwo, wypił i ponownie czknął. Rozmowa przy barze trwała. Paru ludzi odezwało się do Claude’a, a on kiwał głową i machał ręką, ale się nie uśmiechał. Thoroughgood powiedział, że Claude wyglądał jak facet na wpół pogrążony we śnie. Przy stoliku

na tyłach lokalu nadal grano w karty. El Katook rozdawał. Nikt nie pofatygował się ich powiadomić, że Claude Heroux jest w barze… Skoro jednak ich stolik znajdował się niecałe dwadzieścia stóp od kontuaru, a imię Claude'a było wykrzykiwane niejednokrotnie, naprawdę trudno pojąć, jak ci ludzie mogli kontynuować grę nieświadomi jego obecności, a przecież stanowił on dla nich potencjalne śmiertelne zagrożenie. Mimo to tak właśnie było.

Dopiwszy drugie piwo, Heroux przeprosił Thoroughgooda, wziął do ręki swoją wielką siekierę i podszedł do stolika, gdzie Mueller i jego ludzie rżnęli w pokera. A potem zaczął rąbać.

Floyd Calderwood nalewał sobie szklaneczkę żytniej whiskey i odstawiał flaszkę, kiedy Heroux zbliżył się i odciął Calderwoodowi dłoń przy nadgarstku. Calderwood spojrzał na swoją rękę i krzyknął; palce wciąż obejmowały butelkę, ale dłoń kończyła się krwawym kikutem, z którego wystawały wilgotne chrząstki i długie żyły. Przez chwilę ucisk palców na szkło wzmógł się, a potem ucięta dłoń spadła na stół i znieruchomiała niczym wielki, martwy pająk. Z nadgarstka bryzgała krew.

Przy barze ktoś zażądał kolejnego piwa, a ktoś inny zapytał barmana (o nazwisku Jonesy), czy

nadal farbuje sobie włosy.

– Nigdy ich nie farbowałem – mruknął obcesowym tonem Jonesy, dumny ze swoich włosów.

– U mamy Courtney spotkałem się z jedną kurwą, która powiedziała, że włosy wokół małego masz białe jak śnieg – rzekł ten typ.

– Kłamała – odparł Jonesy.

– Spuść gacie i pokaż – powiedział drwal o nazwisku Falkland, z którym popijał Egbert Thoroughgood, zanim do knajpy wszedł Heroux. To spowodowało gwałtowny wybuch śmiechu.

Z tyłu za nimi Floyd Calderwood wrzeszczał jak opętany. Paru gości opartych o bar odwróciło się nieznacznie, by zobaczyć, jak Claude Heroux zatopił ostrze swojej siekiery w czaszce Tinkera McCutcheona. Tinker był wielkim facetem, a w jego czarnej brodzie widniały już nitki siwizny. Podniósł się nieco i ponownie opadł na krzesło z zalaną krwią twarzą. Heroux ostrym szarpnięciem wyrwał siekierę z jego głowy. Tinker znów zaczął się podnosić, a Heroux machnął siekierą na ukos, trafiając tamtego w plecy. Thoroughgood powiedział, że odgłos był taki, jakby na dywan rzucono cały stos bielizny do prania. Tinker runął na stół, a karty wypadły mu z ręki.

Pozostali gracze wrzeszczeli i krzyczeli. Calderwood, wciąż wyjąc, starał się zacisnąć lewą rękę na kikucie prawej, z którego buchał szkarłatny strumień, a wraz z nim uchodziło życie.

Stugley Grenier miał przy sobie (jak to określał Thoroughgood) podręcznego gnata, czyli pistolet w podramiennej kaburze, i sięgnął po niego, lecz bez powodzenia. Eddie King próbował wstać i przewrócił się wraz z krzesłem. Upadł na plecy. Zanim zdążył się podnieść, Heroux stanął nad nim okrakiem i zamachnął się mocno, unosząc siekierę ponad głową. King krzyknął i uniósł obie ręce w obronnym geście.

– Proszę, Claude, dopiero co w zeszłym miesiącu wziąłem ślub! – krzyknął King.

Siekiera opadła, a jej ostrze prawie zniknęło w olbrzymich zwałach brzuszyska Kinga. Krew bryznęła aż pod belkowany dach knajpy. Eddie zaczął się czołgać po podłodze. Claude wyrwał siekierę z jego ciała zręcznym gestem, jak drwal wyszarpujący topór z pnia miękkiego drzewa – przesuwając ją na przemian do przodu i do tyłu, aby zmniejszyć nacisk soczystego drewna na ostrze. Kiedy wydobył siekierę, ponownie uniósł ją ponad głowę. Zamaszyście ciął ku dołowi i tym razem Eddie przestał krzyczeć. Jednakże Claude

Heroux jeszcze z nim nie skończył; zaczął rąbać ciało Kinga jak drewno na podpałkę. Rozmowa przy barze zeszła na tematy związane z nadchodzącą zimą. Vernon Stanchfield, farmer z Palmyry, oświadczył, że będzie łagodna, uważał, że deszczowa jesień zapowiada lekką zimę. Alfie Naugler, który miał w Derry farmę przy Naugler Road (teraz już jej nie ma – tam gdzie kiedyś Alfie Naugler uprawiał groch, fasolę i buraki, rozciąga się dziś sześciopasmowa autostrada międzystanowa), był odmiennego zdania. Alfie twierdził, że nadchodząca zima będzie wyjątkowo sroga. Powiedział, że widział włochate gąsienice o ośmiu pierścieniach, co jest rzeczą raczej niespotykaną. Również kolejny z rozmówców optował za zimą srogą i mroźną, a następny za deszczową i błotnistą. Przypominano o śnieżycy z 1901 roku. Jonesy przesuwał po barze kufle piwa i miseczki z jajkami na twardo. Za ich plecami bez przerwy rozlegały się krzyki, a krew lała się strumieniami.

W tym momencie nagrywania opowieści Egberta Thoroughgooda wyłączyłem magnetofon i spytałem:

– Jak to możliwe… Chce pan powiedzieć, że nie wiedzieliście, co się dzieje, czy wiedzieliście, ale pozwoliliście, aby to się stało? Jak to było?

Broda Thoroughgooda osunęła się na wysokość górnego guzika jego zaplamionego jedzeniem podkoszulka. Brwi mężczyzny się ściągnęły. Cisza w małym, ciasnym, cuchnącym lekarstwami pokoiku Thoroughgooda się przeciągała; już myślałem, że będę musiał powtórzyć pytanie, kiedy nagle odpowiedział:

– Wiedzieliśmy. Ale dla nas to nie miało znaczenia. W pewnym sensie to było jak z polityką. Tak. Właśnie tak. Albo jak ze sprawami miasta. Niech politycy zajmują się polityką, a spece od spraw miejskich sprawami miasta. Takie rzeczy załatwia się najlepiej, kiedy nie mieszają się w to ludzie pracy.

– Czy tak naprawdę ma pan na myśli przeznaczenie, tylko nie chce pan tego powiedzieć głośno? – spytałem nagle. To pytanie po prostu wypłynęło ze mnie i w gruncie rzeczy nie spodziewałem się, że Thoroughgood, stary, powolny i niepiśmienny, w ogóle na nie odpowie… ale zrobił to bez odrobiny zdziwienia.

– Tak – odparł. – Może i tak.

Podczas gdy ludzie przy barze rozmawiali o pogodzie, Claude Heroux kontynuował jatkę. Stugley Grenier zdołał w końcu wyjąć swój pistolet. Siekiera po raz kolejny spadała na rozczłonkowane zwłoki Eddiego Kinga. Kula

wystrzelona przez Greniera trafiła w ostrze topora i zrykoszetowała z brzękliwym jękiem.

El Katook podniósł się i zaczął się wycofywać. Wciąż jeszcze trzymał w dłoni talię kart. Kiedy je wypuścił, posypały się na podłogę. Claude ruszył za nim. Katook wyciągnął ręce. Stugley Grenier ponownie nacisnął spust, ale kula wbiła się w ziemię o dobre dziesięć stóp od Heroux.

– Stój, Claude! – zawołał Katook.

Thoroughgood powiedział, że wyglądało, jakby Katook próbował się uśmiechnąć.

– Nie byłem z nimi. W ogóle nie brałem w tym udziału.

Heroux tylko się skrzywił.

– Byłem w Millinocket – kontynuował El Katook, a jego głos począł przechodzić w krzyk. – Byłem w Millinocket, przysięgam na imię mojej matki! Spytaj, kogo chcesz. Jeżeli mi nie wierzyyyyy…

Claude uniósł ociekającą krwią siekierę, a reszta kart posypała się Katookowi na twarz. Siekiera opadła ze świstem, ale El Katook się uchylił. Ostrze wbiło się w deski stanowiące tylną ścianę knajpy. El Katook starał się uciec. Claude wyrwał siekierę ze ściany i wbił mu ją pod nogi. El Katook potknął się i runął na ziemię. Stugley Grenier ponownie strzelił do Heroux i tym razem

miał więcej szczęścia. Mierzył w głowę szalonego drwala. Kula trafiła Claude'a Heroux w udo.

Tymczasem Katook pracowicie czołgał się w kierunku drzwi. Włosy wpadały mu do oczu. Heroux ponownie zamachnął się siekierą, mamrocząc coś pod nosem i wykrzywiając usta w okropnym grymasie, a chwilę potem odrąbana głowa Katooka potoczyła się po zasłanym trocinami klepisku; spomiędzy zębów wystawał koniuszek języka. To był okropny widok. Głowa zatrzymała się u stóp drwala o nazwisku Varney, który spędził w knajpie prawie cały dzień i do tej pory zdążył się schlać jak bela. W ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo. Kopnął głowę w bok, nie patrząc, co uderzyło go w kostkę, i zawołał, żeby Jonesy podrzucił mu jeszcze jedno piwo.

El Katook przeczołgał się jeszcze trzy stopy, rozbryzgując wokoło strugę krwi tryskującą z rozrąbanej szyi, zanim wreszcie uświadomił sobie, że jest martwy, i ostatecznie znieruchomiał. Pozostał tylko Stugley. Heroux rzucił się w jego stronę, ale Stugley zdążył wpaść do wygódki i zamknąć za sobą drzwi.

Heroux paroma ciosami siekiery bez trudu utorował sobie drogę. Przez cały czas pokrzykiwał i mamrotał coś niezrozumiale,

a gęsta ślina ściekała mu z ust. Kiedy wpadł do wygódki, Stugleya tam nie było, choć zimne, wilgotne pomieszczenie było pozbawione okien. Heroux stał przez chwilę w bezruchu, z pochyloną głową i silnymi ramionami zachlapanymi lepką, szkarłatną posoką, a potem z przeciągłym rykiem uniósł drewnianą pokrywę z trzema wyciętymi w niej otworami. Zdążył tylko zobaczyć końce butów Stugleya znikające pod postrzępioną deską zewnętrznej ściany wygódki.

Stugley Grenier z krzykiem popędził wzdłuż Exchange Street; biegł w potokach deszczu, ubabrany w gównie od stóp do głów, wrzeszcząc, że go mordują. Jako jedyny przeżył masakrę w Silver Dollar, ale po trzech miesiącach wysłuchiwania żartów i docinków na temat sposobu ucieczki z knajpy spakował manatki i na zawsze opuścił Derry.

Heroux wyszedł z toalety i stanął przed nią jak byk po wykonanym ataku – z pochyloną głową, trzymając siekierę oburącz przed sobą. Był cały mokry, od stóp do głów umazany posoką i sapał jak lokomotywa.

– Zamknij drzwi, bo śmierdzi z kibla – rzekł Thoroughgood.

Claude upuścił siekierę na ziemię i zrobił, jak mu kazano. Potem podszedł do stolika, przy którym siedziały jego ofiary, odrzucając kopniakiem leżącą na jego drodze odrąbaną nogę Eddiego Kinga. Potem po prostu usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach. Przy barze nadal pito i rozmawiano. Pięć minut potem do baru weszli kolejni ludzie, a wśród nich trzech czy czterech zastępców szeryfa (ich przełożonym był ojciec Lala Machena, który na widok tej jatki doznał ataku serca i musiano go przewieźć do gabinetu doktora Shratta). Claude Heroux został przewieziony na posterunek. Kiedy go wyprowadzali, nie stawiał żadnego oporu – znajdował się bardziej po stronie snu niż jawy.

Tego wieczoru w barach przy Baker i Exchange zawrzało; informacje na temat rzezi rozeszły się piorunem. Wkrótce u przebywających tam ludzi zaczął wzbierać typowo pijacki, słuszny gniew, a kiedy zamknięto knajpy, ponad siedemdziesięciu facetów ruszyło w kierunku śródmieścia, gdzie znajdowały się budynki więzienia i sądu. Mieli pochodnie i latarnie. Jedni trzymali karabiny, inni siekiery, niektórzy bosaki. Szeryf nie przybył jeszcze z Bangor i miał się zjawić dopiero nazajutrz w południe, czyli tak jakby go nie było, a Lal

Machen po ataku serca leżał w izbie chorych u doktora Shratta. Dwaj zastępcy siedzieli w biurze i grali w karty, a gdy usłyszeli odgłosy zbliżającego się tłumu, czym prędzej dali nogę.

Pijana horda wdarła się do więzienia i wyciągnęła Claude'a Heroux z celi. Na ramionach, niczym gwiazda futbolu, został przeniesiony na Canal Street i powieszony na gałęzi wiązu rosnącego nad brzegiem kanału.

– Był tak oszołomiony, że wierzgnął tylko ze dwa razy – powiedział Egbert Thoroughgood. Zgodnie z tym, co widnieje w miejskich raportach, był to jedyny lincz, do jakiego doszło w tej części Maine. I chyba nie muszę dodawać, że na łamach „News" nie wspomniano o tym ani słowa.

Wielu z tych, którzy beztrosko zaglądali do kieliszków i kufli, kiedy Claude Heroux załatwiał swoje sprawy w Silver Dollar, brało udział w późniejszej egzekucji. Przed północą ich nastroje skrajnie się odmieniły.

Zadałem Thoroughgoodowi ostatnie pytanie: Czy tego dnia, pełnego okrutnych wydarzeń, widział kogoś, kogo nie znał? Jakąś dziwną osobę, wydającą się zgoła nie na miejscu, zabawną, a może nawet odrobinę… błazeńską? Kogoś, kto był w barze tego wieczoru, a kiedy

popijawa rozkręciła się na dobre, zaczął, być może, dyskutować z na wpół zalanymi, żądnymi swoiście pojmowanej „sprawiedliwości” demagogami i ni stąd, ni z owąd rozmowy zeszły na temat linczu?

– Może i tak – odparł Thoroughgood. Był już wtedy zmęczony i szykował się do popołudniowej drzemki. – To było dawno temu. Bardzo, bardzo dawno.

– Ale pamięta pan coś – powiedziałem.

– Pamiętam, jak pomyślałem, że najwyraźniej w Bangor musiało wówczas obozować wesołe miasteczko – odrzekł Thoroughgood. – Pewnego wieczoru poszedłem na piwo do Kubła Krwi, oddalonego o sześć budynków od Silver Dollar. Był tam taki gość… zabawny typ… robił salta i przewroty… żonglował szklaneczkami… wyczyniał różne sztuczki… kładł sobie cztery dziesięciocentówki na czole i monety wcale nie spadały na ziemię… zabawne, rozumiesz…

Broda ponownie opadła mu na piersi. Zamierzał usnąć, siedząc na wprost mnie. W kącikach jego ust pomarszczonych jak damska portmonetka zbierały się bąbelki śliny.

– Od tego czasu widziałem go jeszcze parokrotnie – rzekł Thoroughgood. – Widocznie

tamtego wieczoru spodobało mu się i postanowił tu zostać.

– Tak. Jest tu już od dość dawna – odparłem.

Jedyną odpowiedzią z jego strony było ciche pochrapywanie. Thoroughgood usnął na krześle przy oknie, z pigułkami i buteleczkami ustawionymi obok niego na parapecie jak żołnierze podczas apelu. Wyłączyłem magnetofon i jeszcze przez chwilę siedziałem nieruchomo, przyglądając się śpiącemu starcowi. Patrzyłem na niego, na tego dziwnego podróżnika w czasie z roku 1890, kiedy nie było jeszcze samochodów, światła elektrycznego, samolotów ani stanu Arizona. Pennywise był tam, prowadząc ich gorliwie ku kolejnej krwawej ceremonii ofiarnej – jeszcze jednej w usłanej krwawymi ceremoniami ofiarnymi historii Derry. Ta, która odbyła się we wrześniu 1905 roku, rozpoczęła następny cykl eskalacji zbrodni i grozy, który zakończy się dopiero wraz z eksplozją w Zakładach Kitchenera podczas Wielkanocny następnego roku.

W tym miejscu pojawiają się interesujące (i, o ile mi wiadomo, kluczowe) pytania. Na przykład, czym naprawdę To się żywi? Wiem, że niektóre z dzieci zostały częściowo pożarte – w każdym razie miały na swoich ciałach ślady

ugryzień – ale być może to my zmuszamy To do takiego postępowania. Już od wczesnego dzieciństwa wpaja się nam, że kiedy w głębokim, mrocznym lesie napada cię potwór, to, rzecz jasna, po to, aby cię pożreć. Być może to ostatnia rzecz, jaką potrafimy sobie wyobrazić. Ale czyż potwory nie żywią się tak naprawdę naszą wiarą? Zdaje się, że wszystko potwierdza moją teorię – pożywienie może oznaczać życie, ale źródłem mocy jest wiara, a nie jedzenie. A któż wierzy bardziej niezachwianie aniżeli małe dziecko? Tu jednak pojawia się pewien problem – dzieciaki dorastają. W kościele również moc uwiecznia się i odnawia poprzez okresowe rytualne ceremonie. Czy jest możliwe, by To broniło się dzięki temu, że dzieci dorastają i albo tracą wiarę, albo padają ofiarą jakiegoś dziwnego artretyzmu, który poraża ich ducha i wyobraźnię? Tak. Wydaje mi się, że właśnie w tym tkwi cały sekret. Jeżeli do nich zadzwonię, ile zdołają sobie przypomnieć? Jak silna będzie ich wiara? Czy wystarczy jej, aby raz na zawsze położyć kres temu koszmarowi, czy też może ich przyjazd tutaj będzie się równał wyrokowi śmierci?

To ich wzywa – jestem o tym przekonany. Każde kolejne morderstwo w tym nowym cyklu

jest dla nich wezwaniem. Dwukrotnie prawie udało nam się To zabić, a w końcu zagnaliśmy To w głąb mrocznego labiryntu cuchnących tuneli pod Derry. Mimo wszystko wydaje mi się, że To zna jeszcze jedną tajemnicę. To jest nieśmiertelne (w każdym razie długowieczne), podczas gdy z nami rzecz ma się dokładnie na odwrót. Musiało po prostu odczekać, aż okres głębokiej wiary, która uczyniła z nas potencjalnych zabójców potworów, przeminie. Dwadzieścia siedem lat. Być może tyle właśnie trwa okres snu Tego i jest dla niego tym samym, czym dla nas krótka, pokrzepiająca popołudniowa drzemka. A kiedy To się budzi, jest takie samo jak dawniej, podczas gdy my w tym czasie mamy za sobą jedną trzecią życia.

Nasze horyzonty się zawęziły, a wiara w magię, która sprawia, że owa magia może się pojawić, została starta jak połysk z nowych butów po całym dniu długiego, forsownego marszu.

Dlaczego To nas przyzywa? Czemu po prostu nie pozwoli nam umrzeć? Chyba dlatego, jak sądzę, że o mało Tego nie zabiliśmy i z całą pewnością nieźle To wystraszyliśmy. Dlatego że pała żądzą zemsty.

A teraz, kiedy już wierzymy w Świętego Mikołaja, Wróżkę Zębuszkę, Jasia i Małgosię czy trolla pod mostem, To jest gotowe na nasz powrót. Wróćcie, mówi, wróćcie, najwyższy czas, żebyśmy wyrównali stare rachunki. Przywieźcie swoje zabawki! Zabawimy się! Powróćcie do Derry, zobaczymy, czy pamiętacie najprostszą rzecz: jak to jest być dzieckiem, pokładać ufność w wierze i jednocześnie bać się ciemności.

Co się tyczy ostatniego, jestem tego pewien już nie na sto, ale na tysiąc procent. Jestem przerażony. Śmiertelnie przerażony.

CZĘŚĆ V
Rytuał Chüd

Tego nie da się zrobić.
Kurtyna nasiąkła zgnilizną
Więzy przegniły.
Ciało oderwane od maszyny nie
utworzy więcej mostów.
Przez jakie powietrze lecieć będziesz,
by połączyć kontynenty?
Niechaj słowa padają jakkolwiek,
aniżeli uczucia jakoweś miałyby
urazić.
To będzie nadzwyczajna wizyta.
Zbyt wiele chcą uratować, powódź
dokonała dzieła zniszczenia.

William Carlos Williams, *Paterson*

Spójrz i zapamiętaj.
Spójrz na ten kraj.
Wódź wzrokiem po owych farmach
i polach porośniętych trawą.
Niewątpliwie, o tak, niewątpliwie
pozwolą ci na to bez przeszkód.
A potem przemów i zapytaj lasu
i ziemi.
Co słyszysz?
Co mówi ci ta kraina?
Ziemia została zdobyta – to nie jest
już twój dom

Karl Shapiro, *Traveloque for Exiles*

ROZDZIAŁ 19
Nocne czuwanie

1

Biblioteka Publiczna w Derry – 1.15

Kiedy Ben Hanscom skończył opowieść o srebrnych kulach, chcieli jeszcze rozmawiać, ale powiedział, że powinni już iść do siebie i trochę się zdrzemnąć.

– Wystarczy na teraz – rzekł, ale to właśnie Mike wyglądał, jakby miał już dosyć. Jego oblicze było zmęczone, rysy ściągnięte. Beverly pomyślała, że Mike wygląda, jakby był chory.

– Jeszcze nie koniec – rzekł Eddie. – A co z resztą? Nadal nie pamiętam…

– Mike ma r-r-rację – odezwał się Bill. – Albo sobie przypomnimy, albo nie. Na razie przypomnieliśmy sobie wszystko, co trzeba.

– Może tak jest dla nas najlepiej? – zasugerował Richie.

Mike skinął głową.

– Spotkamy się jutro. – A potem spojrzał na zegar. – To znaczy dziś, nieco później.

– Tutaj? – zapytała Beverly.

Mike wolno pokręcił głową.

– Proponuję, żebyśmy się spotkali przy Kansas Street, tam gdzie Bill ukrywał swój rower.

– Pójdziemy do Barrens – rzekł Eddie i nagle zadygotał.

Mike ponownie skinął głową. Nastała chwila ciszy, podczas gdy wszyscy popatrywali jeden na drugiego. Wreszcie Bill podniósł się i pozostali zrobili to samo.

– Uważajcie na siebie przez resztę wieczoru – powiedział Mike. – To będzie tutaj. Może być wszędzie tam, gdzie i wy. Ale to spotkanie wprawia mnie w radośniejszy nastrój. – Spojrzał na Billa. – Powiedziałbym, że nadal możemy to zrobić, nie uważasz?

Bill wolno pokiwał głową.

– Tak. Myślę, że tak.

– To również będzie o tym wiedziało – rzekł Mike. – I zrobi wszystko, żeby zdobyć jak najwięcej punktów.

– Co zrobimy, jeśli się pokaże? – spytał Richie. – Schwycimy się za nosy, zamkniemy oczy, obrócimy trzy razy i będziemy myśleć o czymś dobrym? Dmuchniemy Temu w twarz magicznym proszkiem? Zaśpiewamy stare piosenki Presleya? Co?

Mike pokręcił głową.

– Gdybym mógł ci to powiedzieć, nie byłoby problemu, no nie? Wiem tylko, że istnieje jeszcze inna siła, a w każdym razie istniała, kiedy byliśmy dziećmi, która chciała, abyśmy pozostali przy życiu i wykonali naszą robotę. – Wzruszył ramionami. To był gest pełen znużenia. – Myślałem, że do czasu naszego wieczornego spotkania dwoje, a może nawet troje spośród was zginie. Zaginie albo umrze. Już samo to, że tu dotarliście, napawa mnie nadzieją.

Richie spojrzał na zegarek.

– Kwadrans po pierwszej. Jak ten czas szybko mija przy milutkiej pogawędce, no nie, Haystack?

– Bip-bip, Richie – rzekł Ben i uśmiechnął się pod nosem.

– Chciałabyś wrócić do hotelu ze mną, Beverly? – spytał Bill.

– W porządku.

Włożyła płaszcz. Biblioteka wydawała się teraz bardzo milcząca, mroczna, przerażająca.

Bill czuł przygniatające go brzemię zdarzeń ostatnich dwóch dni. Gdyby to było tylko zmęczenie, to w porządku, ale to było coś więcej, czuł, że jest rozbity, że znajduje się w jakimś śnie i ma paranoiczne zwidy. Odniósł wrażenie, że jest obserwowany. Może wcale mnie tu nie ma, pomyślał, może trafiłem do zakładu psychiatrycznego doktora Sewarda, naprzeciwko stoi rozpadający się dom hrabiego Drakuli, a po drugiej stronie korytarza w pokoju znajduje się Renfield – on ze swymi muchami i ja z moimi potworami, przy czym obaj wiemy, że zabawa trwa na całego, jesteśmy do niej odpowiednio ubrani, tylko że nie w smokingi, lecz w kaftany bezpieczeństwa.

– Co z t-tobą, R-richie?

Richie pokręcił głową.

– Chyba pozwolę, aby Haystack i Kaspbrak odprowadzili mnie do domu – powiedział. – No nie, chłopaki?

– Jasne – rzekł Ben. Zauważył przelotne spojrzenie Beverly stojącej blisko Billa i poczuł ból, o którym już prawie zapomniał. Nowe wspomnienie zadrżało, prawie schwytane w jego sieci, a potem odpłynęło.

– A t-t-ty, Mike? – zapytał Bill. – Chcesz pójść z B-beverly i ze mną?

Mike pokręcił głową.

– Muszę…

I właśnie wtedy Beverly krzyknęła – to był wysoki, piskliwy dźwięk rozcinający panującą w bibliotece ciszę. Kopuła znajdująca się nad ich głowami przechwyciła jej krzyk, a odbite echo przypominało śmiech hieny. Minęła dłuższa chwila, nim echo w końcu ucichło.

Bill odwrócił się w stronę Bev. Richie cisnął swoją marynarkę, którą zdjął z oparcia krzesła – rozległ się brzęk tłuczonego szkła, kiedy Eddie strącił na podłogę pustą butelkę po ginie.

Beverly cofała się, wyciągając obie ręce przed siebie. Jej twarz była biała jak dobry gatunek papieru maszynowego. Oczy niemal wychodziły jej z orbit.

– Moje ręce! – krzyknęła. – Moje ręce!

– Co – zaczął Bill i wtedy zobaczył krew wyciekającą wolno spomiędzy jej drżących palców. Ruszył naprzód i nagle poczuł, że na jego dłoniach wykwitają linie palącego żaru. Ból nie był zbyt mocny – bardziej jak kłucie zaleczonej rany, która od czasu do czasu daje o sobie znać. Stare blizny na dłoniach, te, które ponownie pojawiły się podczas pobytu w Anglii, otworzyły się i zaczęły krwawić. Rozejrzał się na boki i zobaczył, że Eddie Kaspbrak również

wpatrywał się jak otępiały w swoje dłonie. Jego ręce także krwawiły. Podobnie jak dłonie Mike'a, Richiego i Bena.

– Jesteśmy w tym do końca, no nie? – powiedziała Beverly. Zaczęła płakać. Ten dźwięk również był wzmocniony echem odbitym od kopuły biblioteki. Zupełnie jakby budynek szlochał wraz z nią. Bill pomyślał, że gdyby miał słuchać dłużej tego dźwięku, chybaby oszalał. Boże, dopomóż nam, tkwimy w tym aż do końca.

Płakała, a z jednej dziurki od nosa wypłynęła jej wąska nitka smarków. Otarła ją wierzchem dłoni i jeszcze więcej krwi pociekło na podłogę.

– Sz-sz-szybko – rzekł Bill i schwycił Eddiego za rękę.

– Co…

– Szybko!

Wyciągnął drugą rękę i po chwili Beverly zacisnęła na niej swoją dłoń. Nadal płakała.

– Tak – powiedział Mike. Sprawiał wrażenie oszołomionego, jakby naćpanego. – Tak, to jest właśnie to, no nie? To znowu się zaczyna, prawda, Bill? To znowu się zacznie.

– T-t-tak. M-myślę, że t-t-tak…

Mike wziął za rękę Eddiego, a Richie ujął drugą dłoń Beverly. Przez chwilę Ben tylko się im przyglądał, a potem, jakby we śnie, uniósł

zakrwawione dłonie i stanął pomiędzy Mikiem i Richiem. Wziął ich za ręce. Krąg został zamknięty.

(Ach, Chüd, to jest rytuał Chüd i Żółw nie może nam pomóc).

Bill próbował krzyknąć, ale nie mógł. Zobaczył, jak Eddie odchyla głowę do tyłu, a na jego szyi pojawiają się żyły. Biodra Bev wystrzeliły dwa razy do przodu, jak podczas orgazmu, krótko i ostro. Usta Mike'a poruszały się dziwnie – wydawało się, jakby Mike jednocześnie się uśmiechał i krzywił. W ciszy biblioteki drzwi otwarły się i zamknęły z hukiem – ten dźwięk przypominał turkot kul w kręgielni. W czytelni czasopism magazyny uniosły się w powietrze targane podmuchem niewidzialnego huraganu. W gabinecie Carole Danner drukarka IBM ożyła i zaczęła wystukiwać: OBIERĘCEOPARŁSZYOPORĘCZDREWNIANĄRZEK ŁZUPOREMŻEDUCHAZOBACZYŁDZIŚRANO.

Drukarka się zacięła. Ze środka maszyny dobiegło skwierczenie i głośne elektroniczne czknięcie, jakby w jej wnętrzu nastąpiło gwałtowne przeciążenie. Z półki numer 2 (okultyzm i magia) zaczęły nagle spadać książki. Książki o Edgarze Caysie, Nostradamusie,

Charlesie Forcie i apokryfach posypały się na podłogę.

Bill poczuł pokrzepiającą moc. Jak przez mgłę zdawał sobie sprawę, że miał erekcję i wszystkie włosy na jego głowie stanęły dęba. Wrażenie mocy, gdy tak stali w zamkniętym kręgu, było niewiarygodne. Wszystkie drzwi w całej bibliotece zamknęły się jednocześnie. Dziadkowy zegar za kontuarem zabrzęczał jeden jedyny raz. A potem wszystko prysło, jakby ktoś przekręcił przełącznik. Przestali się trzymać za ręce i, jakby trochę oszołomieni, popatrzyli na siebie nawzajem. Nikt nie odezwał się choćby słowem. Kiedy moc zelżała, Bill poczuł, że ogarnia go przerażające wrażenie nieuchronności i przeznaczenia. Spojrzał na ich blade, pełne napięcia twarze, a potem na swoje ręce. Były uwalane krwią, ale rany, które zrobił na nich Stan Uris obtłuczoną butelką po coli, w sierpniu 1958 roku, znowu się zamknęły, pozostawiając jedynie zakrzywione, białe kreski, przypominające kawałek szpagatu z zawiązanymi na nim węzłami. Pomyślał: To był ostatni raz, kiedy byliśmy razem, całą siódemką… W dniu, kiedy Stan zrobił te nacięcia na dłoniach. W Barrens. Stana tu nie ma. Stan Uris nie żyje.

I to już ostatni raz, kiedy jesteśmy razem, w szóstkę, wiem to. Czuję to.

Beverly przywierała do niego, dygocząc. Bill objął ją ramieniem. Wszyscy spojrzeli na niego – ich oczy były wielkie i lśniły w półmroku; długi stół, przy którym siedzieli, zapełniony pustymi butelkami, szklaneczkami, kieliszkami i popielniczkami, z których wysypywały się niedopałki papierosów, był maleńką wysepką światła.

– Wystarczy – rzekł ochryple Bill. – Dość wrażeń jak na jeden wieczór. Tańce odkładamy na potem.

– Przypomniałam sobie – powiedziała Beverly. Uniosła wzrok i spojrzała na Billa. Jej oczy były olbrzymie, a policzki mokre od łez. – Przypomniałam sobie wszystko. O tym, jak mój ojciec dowiedział się o was, chłopaki. Jak uciekałam. O Bowersie, Crissie i Hugginsie. Tunel… ptaki… To… Pamiętam wszystko.

– Tak – mruknął Richie. – Ja też.

Eddie pokiwał głową.

– Stacja pomp…

– I jak Eddie… – rzekł Bill.

– Idźcie już – powiedział Mike. – Odpocznijcie. Już późno…

– Chodź z nami, Mike – zaproponowała Beverly.

– Nie. Muszę tu pozamykać. I jeszcze napisać parę rzeczy… muszę napisać… powiedzmy, sprawozdanie z naszego spotkania. To nie potrwa długo. A wy już idźcie.

Podeszli do drzwi, prawie nie rozmawiając. Bill i Beverly szli obok siebie, za nimi Eddie, Richie i Ben. Bill przytrzymał jej drzwi; podziękowała mu półgłosem. Kiedy wyszli na szerokie granitowe schody, Bill pomyślał, że wyglądała bardzo młodo, niewinnie i bezbronnie… Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że znów mógłby się w niej zakochać. Próbował myśleć o Audrze, ale Audra wydawała się bardzo odległa. Teraz zapewne śpi w ich domu, we Fleet, podczas gdy słońce z wolna wznosi się nad horyzontem, a mleczarz zaczyna roznosić mleko.

Na niebie znów pojawiły się chmury, a na pustych ulicach płożyły się grube pasma białej, gęstej mgły. Nieco dalej, przy końcu ulicy, Derry Community House, wąski, wysoki wiktoriański budynek tonął pośród ciemności.

A ktokolwiek wkracza do tego domu, wchodzi tam samotnie, pomyślał Bill. Stłumił cisnący mu się na usta dziki chichot. Ich kroki wydawały się

niezwykle głośne. Dłoń Beverly dotknęła jego ręki i Bill przyjął ten gest z wdzięcznością.

– To się zaczęło, zanim zdążyliśmy się przygotować – powiedziała.

– Czy k-k-kiedykolwiek bylibyśmy g-g-gotowi?

– Ty tak, Wielki Billu.

Dotyk jej dłoni był jednocześnie cudowny i potrzebny. Zastanawiał się, jak by było, gdyby po raz drugi w swoim życiu dotknął jej piersi, i podejrzewał, że nim ta długa noc dobiegnie końca, otrzyma odpowiedź na swoje pytanie. Teraz był pełniejszy, dojrzalszy… i jego dłoń natrafi na włosy, kiedy odnajdzie wypukłość jej wzgórka Wenery. Kochałem cię, Beverly… kocham cię, pomyślał. Ben kochał cię… i nadal kocha. Kochaliśmy cię wtedy… i teraz też cię kochamy. Lepiej, aby tak było, bo to się właśnie zaczyna. Nie mamy wyjścia. Obejrzał się przez ramię i zobaczył budynek biblioteki o pół przecznicy za sobą. Na najwyższym stopniu schodów stali Eddie i Richie. Przygarbiony Ben stał u podnóża schodów i gdy patrzyło się nań przez delikatną zasłonę mgiełki, mogło się wydawać, że znowu ma jedenaście lat. Gdyby Bill umiał mu przesłać w myślach jakąś wiadomość, brzmiałaby ona następująco: To nieważne, Ben. Najważniejsza jest miłość… i troska… niezależnie

od wszystkiego, to zawsze tylko pragnienie. Być może każdy z nas zabiera ze sobą tę świadomość, kiedy wkraczamy z błękitu w czerń… to dość kiepskie pocieszenie, ale lepsze takie niż żadne.

– Mój ojciec wiedział – powiedziała nagle Beverly. – Kiedyś przyszłam do domu z Barrens i on po prostu wiedział. Czy kiedykolwiek mówiłam ci, jak do mnie mówił, kiedy był wkurzony?

– Jak?

– „Martwię się o ciebie”, Bevvie, tak właśnie mawiał, „bardzo się martwię”. – Roześmiała się i zadrżała jednocześnie. – Myślę, że chciał mi zrobić krzywdę, Bill… To znaczy robił to już wcześniej, ale… tym razem było całkiem inaczej. On był… pod wieloma względami dziwnym facetem. Kochałam go. Bardzo go kochałam, ale… – Spojrzała na niego i być może chciała, aby powiedział to za nią… Ale nie zrobił tego. Prędzej czy później musiała powiedzieć to sama. Nie mogli sobie pozwolić na balast w postaci kłamstw i obłudy. – Ale jednocześnie go nienawidziłam – dokończyła i jej dłoń przez długą sekundę zaciskała się konwulsyjnie na ręku Billa. – Nigdy w życiu nikomu tego nie powiedziałam. Miałam wrażenie, że jak to zrobię, Bóg sprawi, że natychmiast padnę trupem. Nie, ja…

– No, dalej. To będzie bolało, ale być może zbyt długo to już w sobie tłumiłaś. Powiedz to – rzucił Bill.

– Nienawidziłam mojego ojca – powiedziała i zaczęła popłakiwać. – Nienawidziłam go. Bałam się go. Nigdy nie mogłam sprostać jego wymaganiom i nienawidziłam go, ale jednocześnie kochałam.

Zatrzymał się i objął ją mocno. Uścisnęła go z całej siły, zarzucając mu ramiona na szyję. Poczuł na karku jej łzy. Czuł jej ciało, przywierające do niego z całej siły. Jej mocne, dojrzałe ciało. Odsunął się od niej delikatnie, nie chcąc, by poczuła jego erekcję, ale ponownie przytuliła się do niego.

– Spędziliśmy tam cały ranek – mówiła. – Graliśmy w coś… Nie robiliśmy nic złego. Tego dnia nawet nie rozmawialiśmy o Tym, w każdym razie nie wtedy… zwykle to był podstawowy temat naszych dyskusji. Rozmawialiśmy o Tym codziennie. A przynajmniej w pewnym okresie. Pamiętasz?

– Tak – odparł. – W p-p-pewnym okresie. Pamiętam.

– Było pochmurno… parno. Przez cały ranek bawiliśmy się w Barrens. Poszłam do domu około jedenastej trzydzieści. Myślałam, że jak wezmę

prysznic, zdążę jeszcze zjeść trochę zupy i kanapkę. Potem chciałam do was wrócić. Moi rodzice powinni być w pracy. Ale on był tam. Był w domu. Mój ojciec…

2

Lower Main Street – 11.30

Cisnął ją przez pokój, ledwo zdążyła wejść do mieszkania. Wrzasnęła i jej krzyk urwał się, gdy uderzyła w ścianę z taką siłą, że poczuła, jak drętwieją jej ramiona. Runęła na oklapłą sofę, rozglądając się dziko wokoło. Drzwi do przedpokoju zatrzasnęły się z hukiem. Przed nią stał ojciec.

– Martwię się o ciebie, Bevvie – powiedział. – Czasami bardzo się o ciebie martwię. Wiesz o tym. Mówię ci prawdę. Na pewno.

– Tatusiu, co…

Zbliżał się do niej powoli. Jego twarz miała zamyślony, smutny i morderczy wyraz. Nie chciała dostrzec tego ostatniego, ale to było tam, jak warstewka szlamu widoczna na powierzchni ustałej wody. Skubał knykieć prawej ręki. Miał na sobie strój khaki i kiedy spuściła wzrok,

zobaczyła, że jego wysokie buty pozostawiły ślady na dywanie matki.

Będę musiała to wyczyścić, pomyślała niejako mimochodem. Jeżeli jeszcze zdołam. Jeżeli on…

To było błoto. Czarne błoto. W jej umyśle rozbrzmiał sygnał alarmowy. Znowu była w Barrens, razem z Billem, Richiem, Eddiem i innymi. W Barrens było takie samo błocko, jakie widniało na butach jej ojca… Takie błoto było w wilgotnym zakątku porośniętym przez białe, szkieletowate rośliny, które Richie nazywał bambusami. Kiedy wiał wiatr, ich łodygi grzechotały donośnie, a dźwięk ten mógł się skojarzyć z odgłosami bębnów wyznawców wudu; czy więc ojciec był w Barrens? Czy jej ojciec… Łup!

Jego ręka zatoczyła szeroki łuk i wyrżnęła ją w twarz. Bev uderzyła głową w ścianę. Ojciec założył kciuki za pas i przez chwilę przyglądał się jej z iście morderczym zaciekawieniem. Poczuła strużkę krwi spływającą z lewego kącika dolnej wargi.

– Widziałem, że nabierasz krągłości – oznajmił i pomyślała, że powie coś więcej, ale wyglądało na to, że przynajmniej na jakiś czas skończył swój monolog.

– Tatusiu, o czym ty mówisz? – spytała cichym, drżącym głosem.

– Jeżeli skłamiesz, spiorę cię tak, że popamiętasz mnie do końca życia, Bevvie – powiedział i z przerażeniem spostrzegła, że zamiast na nią, patrzy na wiszący na ścianie obraz. W myślach znów dokonała przeraźliwego przeskoku w czasie: miała teraz cztery latka i siedziała w wannie, ze swoją plastikową łódeczką i mydłem w kształcie Popeye'a. Jej ojciec, taki wielki i kochany, klęczał obok niej, ubrany w szare spodnie z diagonalu i pasiasty podkoszulek. W jednej ręce trzymał gąbkę, a w drugiej szklaneczkę z oranżadą. Mył jej plecy i mówił: „Pokaż no uszka, Bevvie. Mama potrzebuje dziś trochę miodku na kolację". Nagle usłyszała własny stłumiony chichot, kiedy uniosła wzrok i spojrzała na jego z lekka posiwiałą już głowę; wtedy wierzyła jeszcze, że jej ojciec musi być wieczny.

– Ja… nie kłamię, tato – powiedziała. – Co się stało?

Jego obraz rozmazał się, kiedy poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Byłaś w Bar'ns z tą bandą chłopaków?

Serce nieomal podskoczyło jej w piersi, spuściła wzrok i ponownie spojrzała na jego

ubłocone buciory. Ten czarny, lepki szlam. Jeżeli przez nieuwagę wpakowałeś nogę w to błoto, mogłeś stracić but… a zarówno Richie, jak i Bill wierzyli, że gdybyś w nie wpadł, mogło cię wciągnąć jak bagno albo ruchome piaski.

– Bawiliśmy się tyl…

Dłoń pokryta twardymi zgrubieniami trafiła ją ponownie. Bev krzyknęła z bólu i przerażenia. Obezwładniał ją wyraz jego twarzy i niepokoiło ją to, że na nią nie patrzył. Coś było z nim nie tak. Jego stan się pogarszał… A gdyby zdecydował się ją zabić? Co, jeśli… (*och, daj spokój, Beverly, to twój ojciec, a ojcowie nie zabijają córek*) …stracił nad sobą panowanie? Co wtedy? Co, jeśli…

– Co pozwoliłaś im ze sobą zrobić?

– Zrobić? Co… – Nie miała pojęcia, o co mu chodziło.

– Zdejmij majtki.

Jej zakłopotanie wzrosło. Wszystko nie miało żadnego związku. Próby zrozumienia go przyprawiały ją o mdłości… prawie chciało się jej wymiotować. Uniósł dłoń, a Bev się cofnęła.

– Zdejmij je, Bevvie. Chcę zobaczyć, czy jesteś nietknięta.

I nagle doświadczyła kolejnej wizji, bardziej szalonej niż wszystkie pozostałe: zobaczyła siebie, jak ściąga dżinsy i nagle jedna jej noga,

oderwana, zostaje w nogawce. Ojciec leje Bev paskiem, goniąc ją po całym pokoju, a Bev próbuje uciekać, podskakując na jedynej nodze. Tata krzyczy: „Wiedziałem, że nie jesteś nietknięta! Wiedziałem!”.

– Tatusiu, nie wiem, co…

Jego dłoń opadła; tym razem nie uderzył jej, ale schwycił ją z całej siły. Palce zacisnęły się na jej ramieniu jak szpony. Krzyknęła. Podniósł ją i po raz pierwszy spojrzał jej prosto w oczy. Krzyknęła ponownie, kiedy zobaczyła, co znajdowało się głęboko w ich wnętrzu. To była… pustka. Nicość. Jej ojciec zniknął gdzieś. I nagle Beverly zrozumiała, że jest sam na sam z Tym – w ów sierpniowy poranek, w swoim mieszkaniu. Nie wyczuwała otwartej emanacji zła, jak w domu przy Neibolt Street półtora tygodnia temu. To zostało w jakiś sposób rozrzedzone przez ludzką otoczkę jej ojca, niemniej To było tutaj i działało przez niego.

Cisnął ją w bok. Rąbnęła w stolik do kawy i przewróciła się na podłogę z głośnym krzykiem. To właśnie tak się dzieje, pomyślała, powiem o tym Billowi. On to zrozumie. To jest wszędzie… W całym Derry. To po prostu… wypełnia puste miejsca, nic więcej.

Przetoczyła się po ziemi. Ojciec podchodził do niej. Odczołgała się od niego tyłem. Włosy wpadały jej do oczu.

– Wiedziałem, że tam byłaś. Powiedziano mi. Nie uwierzyłem w to. Nie wierzyłem, że moja Bevvie może się szlajać z jakąś bandą chłopaków. Nie masz nawet dwunastu lat, a już się włóczysz z chłopakami! – Ta ostatnia myśl rozpaliła w jego wnętrzu nowy płomień wściekłości. Wyglądało tak, jakby fale gniewu przenikały przez jego chude ciało jak prąd. – Nie masz nawet dwunastu lat! – wrzasnął i kopnął ją w udo tak mocno, że aż krzyknęła. Jego szczęki rozwarły się niczym szczęki dzikiego psa, odgryzającego kawał mięsa. – Nie masz nawet dwunastu lat!

Wymierzył jej kopniaka. Beverly odpełzła w tył. Dotarli właśnie do kuchni. Jego ciężki but trafił w szafkę pod kuchenką i wszystkie znajdujące się wewnątrz garnki i patelnie zagrzechotały metalicznie.

– Nie uciekaj przede mną, Bevvie – powiedział. – Nie rób tego dla własnego dobra. Uwierz mi. Uwierz swemu tacie. Bóg mi świadkiem, że w twoim wieku szlajanie się z chłopakami to poważna sprawa. – Schwycił ją za ramię i szarpnięciem zmusił, aby podniosła się

z ziemi. – Jesteś śliczną dziewczynką – mówił. – Wielu by cię chciało. Dałaś im, Bevvie?

I wreszcie zrozumiała, co To wmówiło jej ojcu… choć w głębi duszy czuła, że być może ta myśl przez cały czas kołatała mu się po głowie. To mogło po prostu użyć narzędzi, które przez cały czas leżały porozrzucane, czekając, aby je pozbierano.

– Nie, tatusiu. Nie, tatusiu…

– Widziałem, jak paliłaś – ryknął. Tym razem uderzył ją otwartą dłonią, na tyle mocno jednak, że zatoczyła się na kuchenny stół i runęła bezwładnie na ziemię, czując palący ból w dolnej części pleców. Solniczka i pieprzniczka spadły na podłogę. Pieprzniczka pękła. Przed jej oczami rozkwitły czarne kwiaty, ale zaraz potem zniknęły. Dźwięki wydawały się zbyt głębokie. Zobaczyła jego twarz. Coś w jego twarzy. Patrzył na jej piersi. Nagle zdała sobie sprawę, że jej bluzka rozchyliła się, odsłaniając nagie piersi. Nie nosiła stanika. W ogóle miała tylko jeden i nosiła go do szkoły, kiedy był WF.

Powróciła myślami do tego dnia, w domu przy Neibolt Street, kiedy Bill dał jej swój podkoszulek. Zdawała sobie sprawę, że jej piersi były wyraźnie zarysowane pod materiałem, ale ich przypadkowe, sporadyczne spojrzenia

bynajmniej jej nie peszyły – wydawały się naturalne. A spojrzenie Billa było wręcz bardziej niż naturalne – ciepłe, szczere i pełne miłości.

Teraz czuła się winna i przerażona. Czy z jej ojcem było aż tak źle? Czy on na pewno się mylił? A może miała (*Dałaś im*) jakieś myśli. Złe myśli? Myśli o tym, co jej sugerował.

To nie to samo! To nie to samo, tak jak z jego (*Dałaś im*) spojrzeniem, kiedy na mnie patrzy! To nie to samo!

Obciągnęła bluzkę i włożyła do spodni.

– Bevvie?

– Tatusiu, my się tylko bawiliśmy. Nic więcej. Nie… robiliśmy nic złego. My…

– Widziałem, jak paliłaś – powtórzył, podchodząc do niej. Powiódł wzrokiem po jej klatce piersiowej i wąskich, niezaokrąglonych biodrach. I nagle, głosem licealisty, który przeraził ją bardziej niż cokolwiek innego, zaintonował: – Dziewczyna, która będzie żuć gumę, będzie paliła! Dziewczyna, która będzie paliła, będzie piła! Dziewczyna, która będzie piła… wszyscy wiedzą, co będzie robiła taka dziewczyna!

– Nic nie zrobiłam! – krzyknęła, kiedy jego dłonie spoczęły na jej ramionach. Tym razem jej nie uszczypnął ani nie uraził. Jego dłonie były

delikatne i łagodne. I to było jeszcze bardziej przerażające.

– Beverly – powiedział z nieugiętą, szaloną logiką człowieka całkowicie obłąkanego. – Widziałem cię z chłopakami. I ty chcesz mi wmówić, że dziewczyna z bandą gnojków może robić coś innego niż tylko to, co się robi, leżąc na plecach?

– Daj mi spokój! – krzyknęła. Poczuła w sobie gniew, którego istnienia w ogóle nie podejrzewała. Wściekłość rozpaliła pod jej czaszką potężny, błękitnożółty płomień. To zagrażało jej myślom. Przez cały czas bała się go, przez cały czas ją zawstydzał, przez cały czas sprawiał jej ból. – Daj mi wreszcie święty spokój!

– Nie mów tak do taty – rzekł tonem, w którym pobrzmiewało zdziwienie.

– Nie zrobiłam tego, co mi wmawiasz! Nigdy tego nie robiłam!

– Może nie, a może tak. Mam zamiar sprawdzić i upewnić się. Wiem jak. Zdejmij majtki.

– Nie!

Jego oczy rozszerzyły się, ukazując pożółkłe rogówki wokół ciemnoniebieskich tęczówek.

– Coś ty powiedziała?

– Powiedziałam „nie”.

Świdrował ją wzrokiem i być może dostrzegał ogniki gniewu w jej oczach – dowód jej buntu.

– Kto ci doniósł?

– Bevvie…

– Kto ci doniósł, że tam się bawimy? Czy to był ktoś obcy? Czy ten ktoś miał na sobie srebrno-pomarańczowy strój? Nosił rękawice? Wyglądał jak klown, mimo że nie był klownem? Jak się nazywał?

– Bevvie, przestań…

– Nie. To ty przestań – oznajmiła.

Ponownie się zamachnął, ale tym razem zacisnął pięść, jakby chciał coś rozbić. Beverly się uchyliła. Jego pięść przemknęła tuż obok jej głowy i grzmotnęła w ścianę. Zawył z bólu i puścił ją, przytykając pięść do ust. Odsunęła się od niego paroma drobnymi kroczkami.

– Wracaj tutaj!

– Nie – powiedziała. – Chcesz mi zrobić krzywdę. Kocham cię, tato, ale nienawidzę, kiedy się tak zachowujesz. Nie pozwolę ci na to. To sprawia, że tak postępujesz, ale sam pozwoliłeś, aby To w ciebie weszło.

– Nie wiem, o czym mówisz. Ale lepiej, żebyś tu zaraz podeszła. Nie będę cię więcej prosił.

– Nie – odparła i znów zaczęła płakać.

– Nie prowokuj mnie, bo dam ci nauczkę, Bevvie – zagroził. – Jeżeli zmusisz mnie do tego, pożałujesz. Chodź do mnie.

– Zdradź mi, kto ci o tym doniósł – odparła – to przyjdę.

Skoczył na nią z iście kocią zwinnością; choć spodziewała się, że może się na nią rzucić, mało brakowało, by ją złapał. Szukając na oślep, odnalazła klamkę kuchennych drzwi, otworzyła je na tyle, by przecisnąć się na zewnątrz, a potem pobiegła w stronę drzwi frontowych, ogarnięta potworną paniką, niemal tak samo jak dwadzieścia siedem lat później, gdy ścigała ją pani Kersh. Al Marsh rąbnął w drzwi; zatrzasnął je swoim ciałem tak mocno, że pośrodku nich pojawiło się pęknięcie.

– Wracaj tu natychmiast, Bevvie! – zawył, otwierając drzwi na oścież i ruszając w pościg.

Drzwi frontowe były zamknięte na zasuwę; weszła do domu tylnymi drzwiami. Jedną drżącą ręką odblokowała zasuwę, a drugą bezowocnie szarpała za klamkę; z oddali ponownie dobiegł skowyt jej ojca. Skowyt (*zdejmij majtki; dałaś im*) zwierzęcia. Przekręciła zatrzask zasuwy i w końcu drzwi frontowe stanęły przed nią otworem. Gorący oddech to wydostawał się z jej gardła, to w nim niknął. Obejrzała się przez

ramię i zobaczyła, że ojciec był tuż za nią, wyciągał ręce w jej stronę, uśmiechał się i krzywił, a jego usta pełne pożółkłych zębów przypominały pułapkę na niedźwiedzie.

Beverly wypadła na zewnątrz i poczuła jeszcze, jak jego palce ześlizgują się po materiale jej bluzki, nie zdoławszy go uchwycić. Jednym susem pokonała schody, straciła równowagę i przeszorowała po chodniku, zdzierając sobie skórę z obu kolan.

– Wracaj tu, ale już, Bevvie, bo jak mi Bóg miły, będę darł z ciebie pasy!

Zbiegł po schodach, a ona podniosła się z ziemi. Na nogawkach jej dżinsów ziały postrzępione dziury. Kolana były czerwone od krwi, a obnażone końcówki nerwów śpiewały hymn *Onward Christian Soldiers*. Obejrzała się za siebie i znów go zobaczyła – Ala Marsha, dozorcę i sprzątacza, zwykłego mężczyznę, ubranego w spodnie i bluzę khaki z dwoma kieszeniami, z pękiem kluczy przypiętym do paska łańcuszkiem. Włosy miał rozwiane. Ale on nie był sobą – w jego oczach czegoś brakowało, nie był już tym samym mężczyzną, który mył jej plecy i bił ją po brzuchu, bo martwił się o nią, bardzo się o nią martwił, a raz, kiedy miała jeszcze siedem lat, próbował spleść jej

warkoczyki, ale spartaczył robotę, a potem oboje, przypominając sobie, jak jej włosy sterczały na wszystkie strony, chichotali radośnie; to nie był człowiek, który w niedzielę robił jej kogel-mogel lepszy niż taki, jaki sprzedawano w Derry Ice Cream Bar za ćwierć dolca. Ojciec, mężczyzna jej życia, stanowiący zaporę oddzielającą ją od przedstawicieli innej płci. To już nie był ten sam człowiek. Zmienił się wyraz jego oczu. Dostrzegła w nich żądzę mordu. I To. To było w nim. Uciekała. Uciekała przed Tym.

Pan Pasquale, zdziwiony, uniósł wzrok i przerwał podlewanie trawnika i przysłuchiwanie się transmisji radiowej z meczu Red Soksów. Przenośne radio stało na poręczy werandy. Dzieciaki Zinnermanów odsunęły się od starego hudsona horneta, którego kupiły za dwadzieścia pięć dolców i myły niemal codziennie. Jeden z nich trzymał wąż, a drugi – kubeł z mydlinami. Obu chłopcom opadły szczęki. Pani Denton uniosła wzrok znad spoczywającej na podołku sukienki jednej z jej sześciu córek. W koszyku na podłodze leżały następne rzeczy do zszycia i pocerowania. Pani Denton trzymała w ustach kilka szpilek. Mały Lars Theramenius szybko zepchnął swój wagonik Red Ball Flyer z popękanego chodnika i stanął na

usychającym trawniku Bucky'ego Pasquale'a. Wybuchnął płaczem, gdy Bevvie – która pewnego dnia tej wiosny przez cały ranek cierpliwie tłumaczyła mu, jak należy zawiązywać sznurówki, żeby się nie rozsupłały – przebiegła obok niego; miała rozszerzone oczy i głośno krzyczała. Chwilę potem minął go jej ojciec, wrzeszcząc na nią. Lars, który miał wtedy trzy latka, a dwanaście lat później zginie w wypadku motocyklowym, zobaczył w obliczu pana Marsha coś potwornego i nieludzkiego.

Przez trzy tygodnie po tym zdarzeniu dręczyły go koszmary. Widział w nich pana Marsha, który pod ubraniem, jakie miał na sobie, zmieniał się w pająka.

Beverly biegła. Zdawała sobie sprawę, że w tej grze stawką może być jej życie. Gdyby ojciec złapał ją teraz, mógłby nie zwracać uwagi na to, że znajdują się na ulicy. Ludzie czasami robią w Derry szalone rzeczy – nie musiała czytać gazet ani znać szczegółów z historii miasta, aby to wiedzieć. Gdyby ją złapał, mógłby zacząć ją dusić, bić albo kopać. A potem, już po wszystkim, ktoś po prostu by go aresztował i odprowadził do sali, w której siedział już oszołomiony, na wpół odcięty od świata ojczym Eddiego Corcorana.

Biegła w stronę śródmieścia, mijając po drodze coraz więcej osób. Ludzie patrzyli najpierw na nią, a potem na goniącego ją ojca – i sprawiali wrażenie zdziwionych, a nawet oszołomionych. Ale to było wszystko. Patrzyli, a potem odwracali się i szli dalej w swoją stronę. Beverly z coraz większym trudem chwytała oddech. Przebiegła przez kanał, jej stopy stukały o cement, podczas gdy po prawej stronie samochody przetaczały się z łoskotem po ciężkich drewnianych belkach mostu. Po lewej stronie widziała kamienny półokrąg, gdzie kanał wpływał pod powierzchnię miasta. Pędem przebiegła na drugą stronę Main Street, nie zważając na pisk hamulców i głośne dźwięki klaksonów. Skierowała się w prawo, ponieważ tam znajdowało się Barrens. Od Ziemi Jałowej dzieliła ją prawie mila i jeżeli ma tam dotrzeć, musi zdystansować goniącego ją ojca podczas pokonywania okropnej stromizny zbocza Milowego Wzgórza (albo na jednej z jeszcze bardziej stromych bocznych uliczek). Ale to było wszystko.

– Wracaj, ty mała dziwko, ostrzegam cię!

Kiedy dotarła do chodnika po drugiej stronie ulicy, ponownie się obejrzała. Gęste rude włosy opadły na ramię delikatnym muśnięciem. Ojciec

przebiegał ulicę tak samo jak ona, nie zwracając uwagi na samochody. Twarz Ala Marsha była czerwona z wysiłku i mokra. Bev skręciła w alejkę biegnącą za rzędem domów towarowych. To było zaplecze budynków ustawionych frontem do Milowego Wzgórza: Star Beef, Armour – paczkownia mięsa, Hemphill – magazyny i sprzedaż towarów mięsnych. Eagle Beef – mięsa koszerne. Alejka była wąska i brukowana. Jeszcze węższą czyniły ją rzędy ustawionych tu koszy na śmieci i skrzyń. Kostka bruku była śliska od Bóg wie jakich odpadków, które tu wysypywano i wylewano. W powietrzu unosiła się mieszanina zapachów – niektóre były łagodne, inne ostre, jeszcze inne obrzydliwe i duszące… ale wszystkie kojarzyły się nieodparcie z mięsem i rzeźnią.

Krążyły tu chmury bzyczących much. Z wnętrza jednego z budynków dobiegł mrożący krew w żyłach jęk pił do cięcia kości. Jej stopa poślizgnęła się na mokrym bruku. Bev rąbnęła biodrem w kosz na śmieci i owinięte w gazetę flaki spadły na nią niczym wielkie, mięsiste, tropikalne kwiaty.

– Wracaj tu, do cholery, ale to już, Bevvie! Mówię serio! Nie żartuję! Nie pogarszaj swojej i tak kiepskiej sytuacji, dziewczyno!

Dwaj mężczyźni siedzieli w drzwiach pakowni Kirshnera, na zapleczu, gdzie przeładowywano towary, i zajadali grube kanapki. Tuż obok nich stały pudełka śniadaniowe.

– Kiepsko z tobą, dziewczyno – rzekł łagodnym tonem jeden z nich. – Wygląda na to, że poprztykałaś się ze starym. – Drugi wybuchnął śmiechem.

Doganiał ją. Słyszała tupot jego stóp i zdyszany oddech, jakby był tuż za nią. Patrząc w prawo, widziała czarne skrzydło jego cienia na deskach ciągnącego się z tamtej strony drewnianego płotu. A potem krzyknął za zdziwienia i wściekłości, kiedy się poślizgnął i runął z hukiem na kocie łby. Chwilę potem znów był na nogach, tylko że już nie krzyczał, lecz mamrotał coś niezrozumiale, z wściekłością, podczas gdy siedzący w drzwiach magazynu dwaj mężczyźni zarykiwali się śmiechem i poklepywali nawzajem po plecach. Alejka skręcała ostro w lewo… i Beverly zatrzymała się gwałtownie. Jej usta otwarły się w grymasie przerażenia. Wylot alejki blokowała wielka śmieciarka. Po obu jej stronach przesmyk miał nie więcej niż dziewięć cali szerokości. Silnik śmieciarki pomrukiwał na jałowym biegu.

Poprzez ten dźwięk słyszała dochodzące z szoferki głosy dwóch mężczyzn. Kolejnych dwóch facetów ucięło sobie przerwę na lunch. Do dwunastej brakowało zaledwie trzech, czterech minut. Niedługo zegar na wieży sądu zacznie wybijać godzinę.

Słyszała za sobą kroki biegnącego ojca. Był coraz bliżej. Rzuciła się na ziemię i wpełzła pod śmieciarkę, posuwając się naprzód na łokciach i okrwawionych kolanach. Woń spalin mieszała się z odorem gnijącego mięsa, przyprawiając ją o mdłości. W pewien sposób czynnik mający ułatwić jej położenie okazał się swoistym utrudnieniem. Czołgała się po kocich łbach, pokrytych grubą, obrzydliwą warstwą szlamu i śmieci. Brnęła naprzód, a raz podniosła się zbyt mocno i dotknęła plecami rozgrzanej rury wydechowej śmieciarki. Musiała przygryźć wargi, aby stłumić okrzyk.

– Beverly? Jesteś tam? – Wypowiadał każde ze słów pojedynczo, a w przerwach między nimi łapczywie chwytał oddech.

Obejrzała się za siebie i napotkała jego spojrzenie, kiedy pochylił się i zajrzał pod ciężarówkę.

– Zostaw… mnie w spokoju! – wykrztusiła.

– Ty dziwko! – wysapał ochrypłym głosem. Runął na ziemię, klucze przy jego pasku brzęknęły i zaczął czołgać się jej śladem, używając groteskowych, pływackich ruchów, by posuwać się naprzód.

Beverly przeczołgała się pod ciężarówką, zacisnęła palce na krawędzi jednej z wielkich opon i podciągnęła się z całej siły. Uderzyła kością ogonową o przedni zderzak śmieciarki, a potem znów zerwała się do biegu, zmierzając w stronę Milowego Wzgórza. Jej bluzka i dżinsy były usmarowane błotem i mazią i cuchnęły jak sto diabłów. Obejrzała się za siebie i zobaczyła, jak spod ciężarówki wyłaniają się dłonie i brudne ramiona jej ojca. Kojarzyły się jej ze szponami i łapami jakiegoś potwora z dziecięcych koszmarów, wypełzającego spod łóżka.

Szybko, właściwie bez namysłu, przebiegła pomiędzy magazynami Feldmana i braci Trackerów. Ten zaułek, zbyt wąski, by można było nazwać go alejką, wypełniały potrzaskane skrzynie, chwasty, słoneczniki i, naturalnie, wszechobecne śmieci. Beverly zanurkowała za stos skrzyń i przykucnęła. Po dłuższej chwili zobaczyła, jak ojciec przebiega obok wylotu zaułka i biegnie dalej w górę zbocza.

Beverly podniosła się i podbiegła do drugiego końca zaułka. Znajdowała się tam siatka. Wspięła się po niej z małpią zręcznością i przeskoczyła na drugą stronę. Znajdowała się teraz na terenie seminarium teologicznego. Przebiegła przez starannie wypielęgnowany trawnik i obiegła budynek. Słyszała, jak ktoś wewnątrz gra jakąś klasyczną melodię na organach. Przyjemne dla ucha dźwięki wtapiały się w panującą wokoło ciszę.

Pomiędzy seminarium a Kansas Street znajdował się wysoki żywopłot. Wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła ojca stojącego przy drugim końcu ulicy. Dyszał ciężko, a pod pachami jego roboczej bluzy widniały ciemne plamy potu. Opierając dłonie na biodrach, rozejrzał się wokoło. Jego kółko z kluczami pobłyskiwało w słońcu.

Beverly przyglądała mu się, również mocno zdyszana, a serce bijące przyspieszonym rytmem niemal podchodziło jej do gardła. Była bardzo spragniona, a cuchnący fetor, jaki roztaczała, budził w niej obrzydzenie. Gdybym znalazła się w komiksie, pomyślała, z całego mojego ciała biłyby w górę faliste linie: dymki smrodu.

Ojciec podszedł wolno do budynku seminarium. Beverly wstrzymała oddech. Proszę,

Boże, już nie mogę dłużej uciekać. Pomóż mi, Boże. Nie pozwól mu mnie znaleźć.

Al Marsh szedł wolno wzdłuż chodnika, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie po drugiej stronie żywopłotu kuliła się jego córka. Boże drogi, nie pozwól mu mnie wyczuć!

Nie wyczuł jej – może dlatego, że po upadku w alejce oraz przeprawie pod śmieciarką sam cuchnął niczym kosz na śmieci. Szedł dalej. Patrzyła, jak oddala się, idąc w stronę szczytu Milowego Wzgórza, dopóki całkiem nie znikł jej z oczu.

Beverly podniosła się powoli. Jej ubranie pokrywały kawałki śmieci, twarz miała brudną i zakurzoną, a plecy w miejscu, gdzie dotknęła rozgrzanej rury wydechowej ciężarówki, pulsowały palącym bólem. Te fizyczne doznania bladły w obliczu natłoku myśli, czuła się tak, jakby dotarła na koniec świata, gdzie nie obowiązywały już typowe, utarte reguły zachowań. Nie umiała sobie wyobrazić powrotu do domu, ale nie przyszło jej do głowy, że mogłaby tam nie powrócić.

Przeciwstawiła się ojcu. Przeciwstawiła mu się.

Odegnała od siebie tę myśl, która czyniła ją słabą, bezbronną i drżącą, która sprawiała, że

zbierało się jej na mdłości. Kochała swego ojca. Czyż jedno z dziesięciorga przykazań nie mówi: „Czcij ojca swego i matkę swoją?”. Tak. Ale on nie był sobą. Nie był jej ojcem. To był ktoś zupełnie inny. Oszust. To. Nagle poczuła zimne ciarki, a do głowy przyszło jej straszliwe pytanie. Czy to samo spotka pozostałych? A w każdym razie coś w tym rodzaju?

Powinna ich ostrzec. Zranili To i być może teraz To postara się zrobić wszystko, aby już więcej mu nie zagrozili. A poza tym do kogo mogła się zwrócić w tej sytuacji? Byli jej jedynymi przyjaciółmi. Bill powinien wiedzieć, co robić. Bill powie jej, co ma robić, Bill będzie wiedział, co dalej. Zatrzymała się na chodniku przy seminarium, gdzie zaczynała się Kansas Street prowadząca w stronę Barrens. Prawdopodobnie żadnego z nich tam nie zastanie. Zapewne wszyscy są teraz w domach i jedzą lunch. Ale wrócą. Na razie mogła zejść do chłodnego wnętrza klubowego domku i spróbować choć odrobinę wziąć się w garść. Zostawi małe okienko otwarte na oścież, żeby wpuścić do środka odrobinę słońca, i może nawet trochę się zdrzemnie. Jej zmęczone ciało i przeciążony umysł przyjęły tę propozycję z wdzięcznością.

Zdrzemnąć się – tak, to dobry pomysł. Mijając kilka ostatnich domów na odcinku przed stromizną i zboczem Barrens, przyspieszyła i pochyliła głowę. Przed nią znajdowało się Barrens – zakątek, gdzie, co niesłychane, czaił się i obserwował ją ojciec.

To pewne, że nie usłyszała odgłosu kroków za swoimi plecami. Starsi chłopcy ponieśli ostatnio zbyt wiele porażek, aby nie zachowywać stosownej ostrożności. Już wcześniej zostali wystrychnięci na dudka. Zmniejszali dystans powoli i stopniowo, bezszelestnie, z kocią miękkością. Belch i Victor uśmiechali się, ale twarz Henry'ego była poważna i jakby zamyślona. Jego włosy były w nieładzie. Wzrok miał błędny, jak Al Marsh, gdy rzucił się na Bev w mieszkaniu. Trzymał brudny palec przy ustach w geście nakazującym ciszę, podczas gdy zmniejszali odległość dzielącą ich od dziewczyny, z siedemdziesięciu na pięćdziesiąt, a potem trzydzieści stóp.

Tego lata Henry stopniowo coraz bardziej kołysał się nad mentalną przepaścią, w której głębi czaił się obłęd, krocząc ponad nią po moście, a szerokość tego mostu regularnie się zmniejszała. W dniu gdy pozwolił Patrickowi Hockstetterowi, aby go pieścił, most zawęził się

do rozmiarów liny. Tego ranka ta lina pękła. Henry wyszedł na trawnik nagi, mając na sobie tylko żółte slipki, i spojrzał w górę. Na niebie wciąż wisiał widmowy księżyc, a kiedy Henry wpatrywał się w jego tarczę, zmieniła się ona w upiorne oblicze uśmiechniętego kościotrupa. Henry upadł na kolana przed tą twarzą. Był jednocześnie przerażony i uradowany. Z księżyca dobiegły go widmowe głosy, które zmieniały się, a czasami zlewały w cichy, ledwie zrozumiały bełkot… ale on czuł, że wszystkie te głosy są głosem jednej istoty, jednej inteligencji, która powiedziała mu, żeby razem z Belchem i Victorem czekali około południa u zbiegu Kansas Street i Costello Avenue. Henry będzie wiedział, co ma zrobić. I rzeczywiście – o określonej porze pojawiła się tu ta głupia cipa. Czekał na dalsze polecenia. Odpowiedź pojawiła się, kiedy zaczęli skracać dzielący ich dystans. Głos nie pochodził tym razem z księżyca, ale z mijanego przez nich otworu kanału. Był cichy, ale wyraźny. Belch i Victor spojrzeli w stronę kraty kanału, odwracając głowy wolnym, nieomal hipnotycznym ruchem, a potem przenieśli wzrok z powrotem na Beverly.

– *Zabij ją* – usłyszeli głos z kanału.

Henry Bowers sięgnął do kieszeni dżinsów i wyjął z niej wąski, dziewięciocalowy przedmiot oprawiony w imitację kości słoniowej. Na jednym końcu tego wątpliwego *objet d'art* błyszczał mały chromowany guzik. Henry nacisnął go. Ze szczeliny na końcu rękojeści wyskoczyło sześciocalowe ostrze. Podrzucił nóż w dłoni. Przyspieszył kroku. Victor i Belch, w dalszym ciągu oszołomieni, jak w transie zrobili to samo, by się z nim zrównać.

Beverly nie usłyszała, jak nadchodzą. To nie dlatego odwróciła głowę, kiedy Henry Bowers zaczął zmniejszać dystans pomiędzy nimi. Henry, idąc miękko, na ugiętych nogach, poruszał się bezszelestnie jak Indianin. Nie, to było po prostu przeczucie – zbyt wyraźne, bezpośrednie i silne, by mu się oprzeć. Wrażenie, że ktoś ją…

3

Biblioteka publiczna w Derry – 1.55

…obserwował.

Mike Hanlon odłożył pióro i rozejrzał się po spowitym półmrokiem wnętrzu głównego pomieszczenia biblioteki. Dostrzegł wysepki światła rzucanego przez okrągłe sufitowe lampy

i rzędy książek niknące pośród cieni. Zobaczył żelazne kręte schodki pnące się spiralą ku górze. Nie zauważył nic podejrzanego.

Mimo to nie wierzył, że był tu teraz sam. Już nie. Gdy pozostali wyszli, Mike – jak to miał w zwyczaju – zabrał się do sprzątania. Działał na włączonym autopilocie, nie zastanawiając się, co robi, i błądząc myślami o milion mil stąd, a może cofając się w myślach o dwadzieścia siedem lat. Opróżnił popielniczki, wyrzucił do kosza puste butelki po alkoholu (przykrywając je stertą papierów, żeby Carole nie doznała szoku), a zwrotne puszki umieścił w pudle za biurkiem. Potem wziął szczotkę i zmiótł odłamki rozbitej przez Eddiego butelki po ginie. Kiedy na stole zrobiło się czysto, udał się do czytelni czasopism i pozbierał rozsypane pisma. Podczas wykonywania tych prostych czynności rozpamiętywał opowiedziane tu historie, koncentrując się najbardziej na tym, co jeszcze nie zostało wyjawione. Wydawało się im, że przypomnieli sobie wszystko – Bill i Beverly na pewno. A reszta? Przypomną sobie… jeżeli To da im dostatecznie dużo czasu. W 1958 roku nie mieli szans na przygotowanie się. Rozmawiali bez końca – z przerwami na walkę na kamienie oraz jedyny akt zespołowego heroizmu w domu

przy Neibolt Street 29 – i kto wie, czy nie skończyłoby się tylko na gadce. A potem nadszedł 14 sierpnia i Henry z kolesiami po prostu zagonili ich do kanałów.

Może powinienem był im powiedzieć, pomyślał, odkładając ostatnie czasopismo na miejsce. Ale coś przemawiało silnie przeciwko temu – przypuszczał, że to był głos Żółwia. Być może To było częścią tego wszystkiego, podobnie jak wrażenie, że historia kołem się toczy. Może ten ostatni akt powtórzy się samorzutnie w jakiś staroświecki sposób. Ułożył starannie latarki i górnicze kaski. W tej samej szafce trzymał również zwinięte w rulony i przewiązane gumkami schematy systemu kanałów Derry.

Kiedy byli dziećmi, wszystkie ich rozmowy i plany – sformułowane bardziej i mniej wyraźnie – w końcu i tak spełzły na niczym. Po prostu zagnano ich do kanałów, bezceremonialnie zmuszono do konfrontacji z Tym. Czy teraz będzie tak samo? Wiara i moc, jak przypuszczał, były pojęciami wymiennymi. Czy ostatecznie prawda była jeszcze prostsza? Czy brzmiała ona: żaden akt wiary nie jest możliwy, dopóki nie zostaniesz wepchnięty siłą w sam środek działań, tak jak noworodek, który kiedyś musi w końcu opuścić bezpieczne łono

matki? Kiedy zaczynałeś spadać, musiałeś zacząć wierzyć, że twój lot skończy się szczęśliwie, musiałeś zacząć wierzyć w istnienie, prawda?

Pociągnięcie za rączkę podczas lotu w ten czy inny sposób stawało się twoim ostatecznym wypowiedzeniem się na dany temat. Jezu Chryste, toż to Fulton Sheen w negatywie, pomyślał Mike i roześmiał się pod nosem. Sprzątał, czyścił i zastanawiał się, podczas gdy inna część jego umysłu oczekiwała, że skończy i będzie zmęczony, a potem po prostu pójdzie do domu i prześpi się kilka godzin. Okazało się jednak, że jest rześki jak nigdy. Podszedł do zamkniętych, wykonanych z siatki drzwi pomieszczenia za jego gabinetem, otworzył je jednym ze swoich kluczy i wszedł do środka. W pomieszczeniu (najprawdopodobniej ognioodpornym, kiedy się zatrzasnęło i zamknęło na klucz wielkie drzwi, przypominające wrota bankowego skarbca) znajdowały się najcenniejsze egzemplarze bibliotecznych zbiorów, białe kruki, pierwsze wydania, książki z autografami nieżyjących już pisarzy (pośród nich egzemplarz *Moby Dicka* i *Źdźbeł trawy* – Whitmana), historyczne zapiski dotyczące miasta oraz manuskrypty kilku twórców, którzy mieszkali i pisali w Derry.

Mike miał nadzieję, że jeśli to wszystko dobrze się skończy, zdoła przekonać Billa, aby przekazał swoje rękopisy bibliotece publicznej w Derry. Krocząc pomiędzy rzędami regałów zastawionych książkami, w świetle niewielkich żarówek, czując w nozdrzach znajomą woń moszczu, kurzu i cynamonu, zapach starego papieru, pomyślał: Wydaje mi się, że kiedy umrę, pochowają mnie z kartą biblioteczną w jednej ręce i pieczątką z napisem: „Spóźniony zwrot” w drugiej. Cóż, mogłoby mi się trafić coś gorszego. Zatrzymał się w połowie trzeciego przejścia. Jego pognieciony notes z kartkami o pogiętych rogach, w którym zapisywał zebrane opowieści z Derry i swoje pełne kłopotów wędrówki, był wciśnięty pomiędzy *Stare Derry Town* Frickego i *Historię Derry* Michauda. Wcisnął notes tak głęboko, że aż nie było go widać. Nikt by go nie znalazł, chyba że wiedziałby, gdzie szukać.

Mike wyjął go i powrócił do stołu, przy którym siedzieli podczas spotkania, zatrzymując się tylko na chwilę, by zgasić światło w przyległym do jego gabinetu pomieszczeniu i ponownie zamknąć siatkowe drzwi. Usiadł, a potem zaczął przeglądać zapisane przez siebie stronice. Tak, to naprawdę było dziwne dziełko –

po części zapisy historyczne, po części skandale, po części diariusz, po części jedna wielka spowiedź. Od 6 kwietnia nie napisał ani słowa. Niedługo będę musiał kupić nowy notatnik, przemknęła mu przez głowę myśl, gdy wertował kilka ostatnich, niezapisanych stron. Przez chwilę pomyślał z rozbawieniem o tym, jak Margaret Mitchell stworzyła pierwotną wersję *Przeminęło z wiatrem*, pisząc ją ręcznie na kartach szkolnych zeszytów do wypracowań.

A potem zdjął nasadkę z pióra i napisał „31 maja” dwie linijki pod ostatnim zapiskiem. Przerwał, rozejrzał się niepewnie wkoło, a następnie zaczął opisywać wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich trzech dni, począwszy od telefonu do Stana Urisa.

Pisał szybko przez dobre piętnaście minut i nagle zaczął się rozpraszać. Coraz częściej robił przerwy. W jego myślach pojawiała się natarczywa wizja, wizja głowy Stana, uciętej głowy Stana w lodówce, zakrwawionej głowy z ustami pełnymi piór, wypadającej z lodówki i toczącej się po podłodze w jego kierunku. Z wysiłkiem zdołał odegnać od siebie tę wizję, a potem znów zabrał się do pisania. Pięć minut później wyprostował się gwałtownie i rozejrzał wkoło, przekonany, że zobaczy głowę toczącą się

po czarno-czerwonych płytkach podłogi, a oczy Staną będą szkliste i chciwe, jak oczy wypchanego, zawieszonego na ścianie łba jelenia. Nic się nie wydarzyło. Nie było żadnej głowy, żadnego dźwięku, jeśli nie liczyć stłumionego bicia jego serca.

Musisz wziąć się w garść, Mikey, to tylko kiepskie sztuczki, nic więcej.

Bez skutku. Słowa zaczęły mu się wymykać, myśli uciekały, jakby coś je spłoszyło. Czuł ucisk na karku i ten ciężar narastał. Miał wrażenie, jakby ktoś go obserwował.

Odłożył pióro i wstał od stołu.

– Jest tam kto?! – zawołał, a jego głos odbity echem wewnątrz rotundy sprawił, że aż zadygotał. Oblizał wargi i spróbował ponownie. – Bill?… Ben?

Bii-illl… Beee-eee-eeen…

Nagle Mike zapragnął wrócić do domu. Po prostu zabierze notes z sobą. Sięgnął po niego… i usłyszał cichy szelest. Szuranie. Odgłos kroków. Ponownie uniósł wzrok. Kręgi światła otoczone pogłębiającymi się lagunami cieni. Nic więcej… a w każdym razie nic, co zdołałby dostrzec. Czekał. Jego serce waliło jak młot.

Kroki znów się rozległy i tym razem zdołał wychwycić, z której strony dochodziły. Od

przeszklonego korytarza łączącego bibliotekę dla dorosłych z biblioteką dziecięcą. Stamtąd. Ktoś. Coś. Poruszając się szybko, Mike podszedł do kontuaru. Podwójne drzwi prowadzące na korytarz były uchylone i unieruchomione małymi drewnianymi klinami. Zobaczył coś, co przypominało stopę, i nagle w przerażeniu przyszło mu na myśl, że być może Stan jednak w końcu się zjawił i lada moment wyłoni się spoza granicy cienia, trzymając w dłoni atlas ptaków – Stan z twarzą białą jak płótno, fioletowymi ustami i otwartymi ranami ciętymi na nadgarstkach. „Wreszcie przyszedłem – powie. – Zajęło mi to trochę czasu, bo musiałem się wygrzebać z tej dziury w ziemi, ale wreszcie tu dotarłem…”.

Kolejny krok i teraz Mike widział już wyraźnie – buty i postrzępione nogawki spodni. Wyblakłe, niebieskawe nitki zakrywały gołe kostki. A potem, w ciemności, prawie sześć stóp nad tymi kostkami, Mike zobaczył błyszczące oczy. Przejechał dłonią na oślep po blacie kontuaru, nie odrywając wzroku od tych oczu. Poczuł pod palcami róg drewnianego pudełka – karty zalegających ze zwrotami. Mniejsze pudełko – spinacze i gumki. A potem natrafił na coś metalowego i zacisnął na tym dłoń. To był

nożyk do otwierania listów ze słowami „Jezus zbawia” na rączce. Otrzymał go w przesyłce od kościoła baptystów jako podziękowanie za wsparcie finansowe. Wprawdzie nie chodził do kościoła (do którego należała jego matka) od dobrych piętnastu lat i nie śmierdział groszem, wysyłał im regularnie po pięć dolarów.

Chciał wyrzucić ten nożyk, ale jakoś nigdy się na to nie zdobył, i tak ten leżał sobie na kontuarze pośród całej masy innych rzeczy (strona Carole zawsze była wysprzątana) aż do teraz. Zacisnął dłoń na rękojeści i spojrzał w stronę tonącego w mroku korytarza.

Kolejny krok… i jeszcze jeden. Teraz widział już postrzępione spodnie aż do wysokości kolan. Ten, kto je nosił, musiał być wysoki i dobrze zbudowany. Ramiona postaci były zaokrąglone. Zauważył zarys zmierzwionych włosów. Postać przypominała wielką małpę.

– Kim jesteś?

Postać po prostu stała nieruchomo, lustrując go wzrokiem. Choć nadal przerażony Mike wykluczył w końcu możliwość, że mógł to być Stan Uris powstały z grobu, przywiedziony tu mocą wezwania, które sprawiło, że na jego dłoniach ponownie pojawiły się blizny, i zmusiło go, by niczym zombi z jednego ze starych filmów

wytwórni Hammer zjawił się w celu wypełnienia złożonej przed laty obietnicy.

Kimkolwiek był ten człowiek, nie był Stanem Urisem, który jako dorosły miał nie więcej niż pięć stóp i siedem cali wzrostu. Postać zrobiła jeszcze jeden krok i teraz światło lampy ukazało Mike'owi błyszczącą klamrę paska tajemniczego przybysza.

I nagle Mike wiedział. Zanim jeszcze postać przemówiła, wiedział.

– Cześć, czarnuchu – rzekł przybysz. – Rzucałeś w kogoś ostatnio kamieniami? Chcesz wiedzieć, kto otruł twojego pierdolonego psa? – Postać zrobiła jeszcze jeden krok i blask lampy oświetlił twarz Henry'ego Bowersa. Oblicze było obwisłe i nieco nalane. Skóra przybrała niezdrową, woskową barwę. Na policzkach widniał szczeciniasty, szpakowaty zarost. Czoło Henry'ego nad gęstymi brwiami przecinały trzy głębokie bruzdy. Inne zmarszczki pojawiły się w kącikach jego ust. Oczy miał małe i podłe, okolone opuchlizną bezbarwnego ciała. Gałki były przekrwione i głęboko w ich wnętrzu można było dostrzec wyraz zamyślenia.

To była twarz człowieka przedwcześnie postarzałego, człowieka, który w wieku trzydziestu czterech lat był staruszkiem. Ale było

to zarazem oblicze dwunastoletniego chłopca. Na ubraniu Henry'ego widniały zielone smugi od krzewów, w których ukrywał się przez cały dzień.

– Nie przywitasz się, czarnuchu? – spytał Henry.

– Cześć, Henry. – Nagle uświadomił sobie, że przez ostatnie dwa dni nie słuchał radia ani, co było dlań swoistym rytuałem, nie czytał gazet. Zbyt wiele się działo. Był zbyt zajęty. Źle. Bardzo źle.

Henry wyszedł z korytarza i zatrzymał się, spoglądając na Mike'a swoimi świńskimi oczkami. Jego usta wykrzywiły się w dziwnym uśmiechu, odsłaniając przegniłe pieńki zębów.

– Głosy – powiedział. – Słyszałeś kiedyś głosy, czarnuchu?

– Jakie głosy, Henry?

Splótł dłonie jak uczniak mający wyrecytować jakiś utwór i przełożył nożyk z lewej ręki do prawej. Dziadkowy zegar, podarowany przez Horsta Muellera w 1923 roku, odliczał sekundy w ciszy panującej wewnątrz biblioteki.

– Z księżyca – odparł sennym głosem. Włożył rękę do kieszeni. – Dochodzą z księżyca. Wiele głosów. – Przerwał, zasępił się i pokręcił głową. –

Jest ich wiele, ale w sumie to jeden głos. Głos Tego.

– Widziałeś To, Henry?

– Tak – odrzekł Henry. – Potwora Frankensteina. Oderwał Victorowi głowę. Powinieneś był to słyszeć. Zupełnie jakby ktoś rozdarł wielki suwak. A potem To zaatakowało Belcha. Belch walczył.

– Naprawdę?

– Tak. I dlatego udało mi się uciec.

– Zostawiłeś go, żeby zginął.

– Nie mów tak!

Henry się zarumienił. Zrobił dwa kroki do przodu. Im bardziej się oddalał od pępowiny łączącej bibliotekę dla dorosłych z biblioteką dziecięcą, tym młodszy wydawał się Mike'owi. W obliczu Henry'ego dostrzegł tę samą podłość i okrucieństwo co przed laty, ale było tam coś jeszcze – dostrzegł w nim dzieciaka, wychowywanego przez szalonego Butcha Bowersa na dobrej farmie, która przez lata zupełnie się zmarnowała.

– Nie mów tak! To zabiłoby również i mnie!

– Nas nie zabiło.

W oczach Henry'ego błysnęło rozbawienie.

– Jeszcze nie. Ale zrobi to. Chyba że ja To uprzedzę. – Wyjął rękę z kieszeni. Tkwił w niej

wąski dziewięciocalowy przedmiot ozdobiony po bokach imitacją kości słoniowej. Na jednym końcu tego wątpliwego *objet d'art* błyszczał mały chromowany guzik. Henry nacisnął go. Ze szczeliny na końcu rękojeści wyskoczyło sześciocalowe ostrze. Podrzucił nóż w dłoni, a potem żwawo ruszył w stronę kontuaru.

– Spójrz, co znalazłem – powiedział. – Wiedziałem, gdzie szukać. – Jedna z powiek jego zaczerwienionych oczu mrugnęła obscenicznie. – Człowiek z księżyca mi to powiedział. – Henry znów pokazał Mike'owi zęby. – Dziś cały dzień się ukrywałem. Wieczorem złapałem autostop. Staruszek. Przyłożyłem mu. Chyba go zabiłem. Wóz porzuciłem w Newport. I wtedy, jak tylko przekroczyłem granicę Derry, usłyszałem ten głos. Spojrzałem do kanału. Tam były te ciuchy. I nóż. Mój stary nóż.

– Zapomniałeś o czymś, Henry.

Henry uśmiechnął się i tylko pokręcił głową.

– My uciekliśmy, ale ty też uciekłeś. Jeżeli To chce dostać nas, to również i ciebie.

– Nie.

– A ja myślę, że tak. Może i działasz na rzecz Tego, ale nie zapominaj, że To nie faworyzuje nikogo. Dorwało obu twoich kumpli, a podczas gdy Belch walczył z Tym, tobie udało się uciec.

Ale teraz znów jesteś tutaj. Mam wrażenie, że To ma z tobą rachunki do wyrównania, Henry. Naprawdę tak sądzę.

– Nie!

– Być może zobaczysz potwora Frankensteina. A może wilkołaka? Wampira? Klowna? Albo, Henry, kto wie, może zobaczysz, jak To wygląda naprawdę. My zobaczyliśmy. Chcesz, żebym ci opowiedział? Chcesz…

– Zamknij się! – wrzasnął Henry i rzucił się na Mike'a. Mike odskoczył w bok i wystawił nogę. Henry potknął się o nią i przejechał po wyfroterowanych płytkach jak krążek do gry w *shuffleboard*. Uderzył głową w nogę od stołu, przy którym wcześniej tego wieczoru siedzieli Frajerzy i opowiadali swoje historie. Przez moment był oszołomiony. Nóż wysunął się luźno z jego dłoni.

Mike rzucił się w stronę Henry'ego – w tym momencie mógł go zabić – wystarczyłoby, żeby wbił ostrze nożyka z napisem „Jezus zbawia" na rękojeści w obnażony kark Henry'ego, a potem musiałby już tylko zadzwonić po gliny. Rzecz jasna, sprawa nabrałaby rozgłosu, ale nie za bardzo – tu w Derry podobne krwawe wydarzenia nie należały do rzadkości i nie były niczym szczególnym.

Powstrzymała go przed tym świadomość (która spadła nań prawie jak grom z jasnego nieba), że gdyby zabił Henry'ego, wykonałby część planu Tego, tak samo jak Henry poprzez zamordowanie Mike'a. I coś jeszcze – ten drugi wyraz na twarzy Henry'ego, zmęczone, zakłopotane spojrzenia sponiewieranego, bitego bez pamięci dziecka, któremu z nieznanych powodów nakazano iść zatrutą ścieżką. Henry dorastał w atmosferze obłędu roztaczanej przez szalonego Butcha Bowersa i z całą pewnością należał do Tego, zanim jeszcze w ogóle zaczął podejrzewać, że To istnieje.

Dlatego też zamiast wbić nożyk w odsłonięty kark Henry'ego, opadł na kolana i sięgnął po sprężynowiec. Nóż obrócił się w jego dłoni jakby samorzutnie i palce zaczęły się zaciskać na ostrzu. Nie poczuł bólu od razu – najpierw była tylko krew, szkarłat plamiący trzy palce i bliznowate wnętrze jego prawej dłoni. Odsunął się w tył. Henry przetoczył się w bok i ponownie zacisnął palce na nożu. Mike podniósł się na kolana i przez dłuższą chwilę nawzajem mierzyli się wzrokiem. Obaj krwawili – Mike z palców, Henry z nosa. Bowers potrząsnął głową i kilka czerwonych kropel pomknęło w mrok.

– Myślałem, że jesteś mądrzejszy! – wykrzyknął ochryple. – Ale wy wszyscy jesteście mięczakami. Mogliśmy was natłuc w uczciwej walce!

– Odłóż nóż, Henry – rzekł spokojnie Mike. – Wezwę policję. Przyjadą, zabiorą cię stąd i odwiozą z powrotem do Juniper Hill. Wyjedziesz z Derry. Będziesz bezpieczny.

Henry chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Nie potrafił powiedzieć temu znienawidzonemu czarnuchowi, że nie będzie bezpieczny w Juniper Hill ani w Los Angeles, ani nawet pośród lasów równikowych w Timbuktu. Prędzej czy później wstanie księżyc – biały jak kość i zimny jak lód – i rozlegną się głosy, a tarcza księżyca zmieni się w oblicze Tego, bełkoczące, śmiejące się i rozkazujące. Przełknął lepką, śliską krew, napływającą mu do ust.

– Nigdy nie walczyłeś uczciwie!

– A ty? – zapytał Mike.

– Ty pieprzony czarnuchu, Murzynie, czarna małpo, negatywie, bambusie! – wykrzyknął Henry i powtórnie rzucił się na Mike’a. Mike odchylił się do tyłu, aby uniknąć jego gwałtownego ataku, stracił równowagę i runął ciężko na plecy. Henry znów wyrżnął w stół, odbił się od niego, odwrócił i złapał Mike’a za

ramię. Mike zamachnął się i wbił nożyk w rękę Henry'ego. Bowers krzyknął i jeszcze bardziej ścisnął Mike'a. Podciągnął się w jego stronę, a strumienie krwi z rozbitego nosa ściekały po jego mięsistych wargach.

Mike próbował kopnąć Henry'ego w bok i odepchnąć od siebie. Henry się zamachnął. Nóż w jego dłoni zatoczył szeroki łuk. Ostrze błysnęło srebrzyście. Całe sześć cali wbiło się w udo Mike'a. Weszło w nie bez trudu, jak w ciepłe masło. Henry wyszarpnął ociekający krwią nóż z rany, a Mike, krzycząc z bólu, z wysiłkiem odepchnął napastnika. Podniósł się z trudem, ale Henry był szybszy i Mike z ledwością zdołał uniknąć jego ponownego szaleńczego ataku. Czuł, jak krew ścieka mu strumieniem po nodze i spływa do buta. To było niepokojące. Pewnie trafił w tętnicę udową. Tak mi się wydaje. Jezu, ale mnie trafił. Źle ze mną. Wszędzie krew. Krew na podłodze. Buty będą do wyrzucenia. Kurwa, a kupiłem je ledwie dwa miesiące temu.

Henry, dysząc i sapiąc jak rozjuszony byk, natarł ponownie. Mike chwiejnie usunął się w bok i raz jeszcze dźgnął trzymanym w dłoni nożykiem. Ostrze przebiło postrzępioną koszulę Henry'ego i zagłębiło się pomiędzy jego żebrami.

Henry stęknął, gdy Mike znów odepchnął go od siebie.

– Ty pieprzony, nieuczciwie walczący czarnuchu! – zawył. – Spójrz, co zrobiłeś!

– Rzuć nóż, Henry – rzekł Mike.

Za ich plecami rozległ się chichot. Henry spojrzał w tamtą stronę, a potem wrzasnął przeraźliwie i przyłożył obie dłonie do policzków jak zgorszona stara panna. Mike również odwrócił głowę, by spojrzeć w stronę owalnego kontuaru. Rozległo się głośne, wibrujące brzęczenie i spoza stołu wyprysnęła głowa Stana Urisa. Z krwawiącego kikuta jego szyi wystawała długa sprężyna. Twarz Stana pokryta była warstwą białej szminki. Na obu policzkach widniały nierówne plamy różu. W miejscu oczu znajdowały się wielkie pomarańczowe pompony. Groteskowa głowa kołysała się na sprężynie w przód i w tył, niczym jeden z olbrzymich słoneczników przy domu przy Neibolt Street 29. Usta Tego otwarły się i piskliwy, rozbawiony głos zaintonował: „Zabij go, Henry, zabij go. Zabij czarnucha, zabij świnię, zabij go!”.

Mike odwrócił się błyskawicznie w stronę Henry’ego, z przerażeniem zdając sobie sprawę, że został oszukany; zastanawiał się przez moment, czyją głowę widział Henry na końcu tej

sprężyny – głowę Stana? Victora Crissa? A może swego ojca!

Henry krzyknął ochryple i skoczył na Mike’a, dźgając sprężynowcem w dół raz po raz, na podobieństwo maszyny do szycia.

– Giiiń, czarnuchu! – krzyczał Henry. – Giiiń, czarnuchu! Giiiiń, czarnuchu!

Mike odskoczył w tył i niemal natychmiast noga, w którą dźgnął go Henry, ugięła się pod nim; runął na ziemię. Prawie w ogóle nie czuł już tej nogi. Wydawała mu się bardzo zimna i odległa. Patrząc w dół, dostrzegł, że nogawka jego kremowych spodni była teraz całkiem czerwona.

Ostrze sprężynowca błysnęło mu tuż przed nosem. Mike pchnął nożykiem do papieru, w momencie gdy Henry zamierzał się do kolejnego uderzenia. Bovers nadział się na sterczące ostrze jak owad na szpilkę. Ciepła krew zbryzgała dłoń Mike’a. Rozległ się trzask i kiedy odsunął rękę, trzymał w niej tylko rękojeść nożyka. Reszta utkwiła w brzuchu Henry’ego.

– Giiiiń! Czarnuchu! – krzyknął, przykładając dłoń do wystającego z ciała ułamanego końca noża. Krew wyciekała mu między palcami. Spojrzał na swoją dłoń z niedowierzaniem. Głowa na końcu sprężyny, upiorny „diabełek

z pudełka”, skrzeczała i śmiała się rechotliwie. Mike, który czuł wzbierające w gardle mdłości i wirowanie pod czaszką, spojrzał w tę stronę i zobaczył głowę Belcha Hugginsa, wielki ludzki korek do szampana z odwróconą tył na przód czapeczką baseballową nowojorskich Jankesów. Jęknął głośno, a dźwięk ten był bardzo odległy; echo odbiło się gdzieś w głębi jego uszu. Jak przez mgłę docierało do niego, że siedzi w kałuży własnej krwi i jeżeli nie zrobi sobie opaski uciskowej, to umrze.

– Giiiń! Czarnuchuuuuu! – wrzasnął Henry. W dalszym ciągu przyciskając jedną dłoń do okrwawionego brzucha, a drugą ściskając nóż sprężynowy, chwiejnym krokiem oddalił się od Mike’a i podreptał w stronę drzwi. Kołysał się z boku na bok jak pijany. Szedł naprzód, zakosami, jak kulka elektronicznego bilardu, a każdy jego krok odbijał się głośnym echem we wnętrzu akustycznie czułego pomieszczenia biblioteki.

Zahaczył o jeden z foteli i wywrócił go. Jego szukająca na oślep dłoń przewróciła na ziemię stos gazet. Sięgnął ręką do drzwi, otworzył je i zniknął w mrokach nocy. Mike zaczął tracić przytomność. Palcami, których prawie nie czuł, gmerał przy sprzączce pasa. Wreszcie zdołał ją

rozpiąć i wyjąć pasek ze szlufek. Owinął nim krwawiącą nogę tuż poniżej krocza i zacisnął z całej siły. Trzymając pasek jedną ręką, zaczął się czołgać w stronę kontuaru. Na blacie stał telefon. Nie był pewny, w jaki sposób tam dotrze, ale to nie było ważne. Najważniejsze, aby się tam dostał. Świat falował, odpływał i wirował za zasłoną mglistej szarości. Wszystko się rozmazywało. Wystawił język i przygryzł go z całej siły. Ból był natychmiastowy i przeszywający. Świat znów nabrał ostrości. Uświadomił sobie, że nadal ściska w dłoni rękojeść nożyka do otwierania listów, i cisnął go precz.

Kontuar znajdował się tuż przed nim – wielki niczym Mount Everest. Mike podkulił pod siebie zdrową nogę i dźwignął się, trzymając się jedną ręką krawędzi stołu, a drugą ciągnąc z całej siły za koniec uciskającego udo paska. Jego usta drżały, a oczy utworzyły szparki. W końcu zdołał się podnieść. Wyprostował się. Stanął na jednej nodze jak bocian i przyciągnął do siebie telefon. Do obudowy aparatu była przyklejona karteczka z trzema numerami – straży pożarnej, policji i szpitala.

Jednym drżącym palcem, który wydawał się odległy o jakieś dziesięć mil, Mike wykręcił

numer szpitala: 555-3711. Zamknął oczy, podczas gdy telefon zaczął dzwonić, a potem otworzył je szeroko, gdy usłyszał w słuchawce głos klowna Pennywise'a.

– Siemasz, czarnuchu! – krzyknął Pennywise i wybuchnął śmiechem, ostrym niczym odłamki szkła, prosto w ucho Mike'a. – Co powiesz? Jak ci leci? Myślę, że już nie żyjesz, a ty co o tym sądzisz? Wydaje mi się, że Henry sprawił się, jak należy! Chcesz balonik, Mikey? Chcesz balonik? Jak ci leeeci? Siemasz!

Mike odwrócił wzrok, by spojrzeć na tarczę dziadkowego zegara Muellerów i wcale się nie zdziwił, widząc, że zmieniła się ona w oblicze jego ojca – oblicze szare i wychudzone przez raka. Oczy były wywrócone i widać było tylko wyłupiaste białka.

Nagle ojciec pokazał mu język, a zegar zaczął bić. Mike puścił blat stołu. Przez chwilę chwiał się na zdrowej nodze, a potem znów runął na ziemię. Słuchawka kołysała się przed nim na przewodzie niczym przedmiot, za którego pomocą hipnotyzer wpada w trans. Tak trudno mu było teraz przytrzymywać pasek.

– Siemasz, Amos. – Ze słuchawki dobiegł go krzyk Pennywise'a. – A to jest nasz władca! Ja być

władca w Derry i to być prawda. Ty się z tym zgadzać, moja chłopiec?

– Jeżeli tam ktoś jest – jęknął ochryple Mike – prawdziwy głos poza tym, który ja słyszę, proszę, pomóż mi. Nazywam się Mike Hanlon i znajduję się w bibliotece publicznej w Derry. Wykrwawiam się na śmierć. Jeżeli tam jesteś, ja nie mogę cię usłyszeć. Nie pozwalają mi nikogo usłyszeć. Jeżeli tam jesteś, proszę, pomóż mi. Pospiesz się.

Leżał na boku, podciągając nogi, tak że przybrał nieomal pozycję embrionalną. Owinął sobie pasek dwa razy wokół dłoni i skupił się na trzymaniu go, podczas gdy świat wokół niego odpływał w przypominających balony wełnistych chmurach szarości.

– Siemasz, jak ci leci? – dobiegł go raz jeszcze wrzaskliwy głos Pennywise'a ze zwisającej słuchawki telefonu. – Jak ci leci, ty brudny, parszywy bambusie?

– Jak się…

4

Kansas Street – 12.20

…masz? – spytał Henry Bowers. – Jak ci leci, ty mała cipo?

Beverly zareagowała natychmiast, rzucając się do ucieczki. Zareagowała szybciej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Być może miałaby całkiem niezły start… gdyby nie włosy. Henry złapał ją za włosy i z całej siły pociągnął do tyłu. Uśmiechnął się jej w twarz. Jego oddech był gęsty, ciepły i cuchnący.

– Siemasz! – rzucił Henry Bowers. – Dokąd się wybierasz? Znowu masz ochotę na zabawę ze swoimi kolesiami? A ja mam chęć obciąć ci nos i zmusić cię, żebyś go zjadła. Co ty na to?

Szamotała się, próbując się uwolnić. Henry roześmiał się i trzymając ją za włosy, szarpnął jej głową w przód i w tył. W promieniach słońca błysnęło groźne ostrze sprężynowca. Nagle dał się słyszeć długi, ostry dźwięk klaksonu.

– Ejże, ejże! Co wy robicie, chłopcy? Puśćcie tę dziewczynę!

Za kierownicą dobrze utrzymanego forda rocznik pięćdziesiąty siedziała stara kobieta. Podjechała do chodnika i pochyliwszy się nad

wyłożonym kocem siedzeniem pasażera, wystawiła głowę przez okno.

Na widok jej rozgniewanej twarzy wyraz oszołomienia opuścił oblicze Victora Crissa. Spojrzał ze zdenerwowaniem na Henry'ego.

– Co…

– Proszę! – krzyknęła przejmująco Bev. – On ma nóż!

Gniew starej kobiety ustąpił miejsca konsternacji, zdziwieniu, a potem strachowi.

– Co wy wyrabiacie, chłopcy? Puśćcie ją!

Po drugiej stronie ulicy – Beverly widziała to dokładnie – Herbert Ross wstał z fotela na werandzie, podszedł do poręczy i rozejrzał się. Jego oblicze było obojętne i tępe jak twarz Belcha Hugginsa. Złożył gazetę, odwrócił się i spokojnie wszedł do domu.

– Puść ją! – krzyknęła stara kobieta.

Henry obnażył zęby i nagle podbiegł do jej samochodu, ciągnąc za sobą Beverly. Potknęła się, upadła na jedno kolano, ale on nadal ją ciągnął. Ból w czaszce był potworny, rozdzierający. Poczuła, że Henry wyrywa jej pęk włosów. Stara kobieta krzyknęła i jak szalona zakręciła szybę w oknie od strony pasażera. Bowers dźgnął nożem i ostrze zgrzytnęło po szkle. Kobieta puściła sprzęgło i wóz potoczył się

przez Kansas Street, trzykrotnie zahaczając o krawężnik, przy którym się zatrzymał. Henry pobiegł za nim, nadal ciągnąc za sobą Beverly. Victor oblizał usta i rozejrzał się wokoło. Belch nasunął baseballową czapeczkę na czoło, a potem podrapał się za uchem w geście zakłopotania.

Bev zobaczyła przez moment pobladłe oblicze starej kobiety, a potem zauważyła, jak gorączkowo blokowała drzwi najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Silnik forda zagrał wreszcie równym rytmem. Henry kopnął z całej siły i roztrzaskał jedno z tylnych świateł wozu.

– Wynoś się stąd, ty zasuszona stara ździro!

Opony jęknęły, kiedy stara kobieta wyprowadziła wóz na jezdnię. Nadjeżdżająca ciężarówka wyminęła forda szerokim łukiem. Henry odwrócił się na powrót w stronę Bev i na jego twarzy znów pojawił się uśmiech, i wtedy Bev kopnęła go z całej siły w krocze. Uśmiech na jego twarzy przemienił się w grymas agonii. Sprężynowiec wypadł mu z ręki i z brzękiem spadł na chodnik. Puścił jej włosy (z jeszcze jednym strasznym szarpnięciem), a potem osunął się na kolana i włożywszy ręce między nogi, otworzył usta do krzyku. Widziała pasemko swych rudych włosów między jego zaciśniętymi

palcami i uczucie strachu w jej sercu zmieniło się w nienawiść. Wciągnęła głęboko powietrze do płuc, a następnie z całej siły walnęła Henry'ego w głowę. Potem obróciła się i zaczęła uciekać.

Belch zrobił niezdarnie trzy kroki i się zatrzymał. Obaj z Victorem podeszli do Henry'ego, który odepchnął ich na bok i podniósł się chwiejnie, nadal przyciskając obie ręce do obolałego przyrodzenia. Nie po raz pierwszy tego lata zarobił kopniaka w to intymne miejsce. Pochylił się i podniósł swój nóż.

– …zda – wychrypiał.

– Co, Henry? – spytał trwożliwie Belch.

Henry odwrócił się w jego stronę. Na jego spoconym obliczu malował się grymas tak potężnego bólu, cierpienia i palącej nienawiści, że Belch cofnął się o krok.

– Powiedziałem… jazda… – wydusił i kołysząc się na boki, chwiejnym krokiem, z dłońmi w kroczu pomaszerował w stronę, gdzie pobiegła Beverly.

– Nie złapiemy jej już, Henry – rzucił niepewnym tonem Victor. – Człowieku, ty ledwo chodzisz.

– Złapiemy – wysapał Henry.

Jego górna warga unosiła się i opadała w drapieżnym, wilczym grymasie. Na czole

pojawiły się kropelki potu. Wąziutkie, błyszczące strużki spływały mu po rozpalonych policzkach.

– Złapiemy ją, na pewno. Bo ja wiem, dokąd ona zwiała. Uciekła do Barrens, żeby znów być z tymi swoimi cholernymi…

5

Derry Town House – 2.00

…przyjaciółmi – powiedziała Beverly.

– Hmm? – Bill spojrzał na nią. Błądził myślami daleko. Szli obok siebie w błogosławionej ciszy, nieznacznie naładowanej poczuciem obustronnej atrakcyjności. Usłyszał jedynie ostatnie słowo z tego, co powiedziała. Przecznicę przed nimi we mgle płożącej się przy ziemi widniały światła hotelu.

– Powiedziałam, że byliście moimi najlepszymi przyjaciółmi. Jedynymi przyjaciółmi, jakich wtedy miałam. – Uśmiechnęła się. – Wydaje mi się, że zdobywanie przyjaciół nigdy nie było moją mocną stroną, ale w Chicago mam jedną serdeczną przyjaciółkę. Nazywa się Kay McCall. Myślę, że polubiłbyś ją, Bill.

– Prawdopodobnie tak. Ja też nigdy nie potrafiłem szybko zawierać przyjaźni. –

Uśmiechnął się. – Wtedy n-nie potrzebowaliśmy nikogo więcej p-prócz siebie n-n-nawzajem.

Zobaczył pasemka wilgoci w jej włosach, podkreślone przez światła, tworzące swoiste aureole wokół jej głowy. Spojrzała mu w oczy.

– Potrzebuję czegoś, teraz – powiedziała.

– Cz-czego?

– Chciałabym, żebyś mnie pocałował.

Pomyślał o Audrze i po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że jego żona była podobna do Beverly. Zastanawiał się, czy to nie dlatego tak go pociągała i czy to było głównym powodem, że zdobył się na odwagę, by wyciągnąć Audrę z przyjęcia w Hollywood, na którym się poznali. Ogarnął go niepokój i poczucie winy… a potem wziął w ramiona Beverly, swoją przyjaciółkę z dzieciństwa.

Jej pocałunek był delikatny, ciepły i słodki. Poczuł na sobie dotknięcie jej piersi i bioder… wypychała je, ocierała się o niego, odsuwała się… a potem znów przywierała. Kiedy po raz drugi odsunęła biodra, wplótł obie dłonie w jej włosy i przylgnął do niej całym ciałem. Gdy wyczuła jego erekcję, jęknęła delikatnie i przytuliła twarz do boku jego szyi. Poczuł łzy na swojej skórze – ciepłe i tajemnicze.

– Chodź – powiedziała. – Szybko.

Wziął ją za rękę i przeszli ostatni odcinek drogi do hotelu. Hol był stary, ozdobiony roślinami, ale w dalszym ciągu miał swoisty, choć słabnący urok. O tej porze w holu było pusto, jeśli nie liczyć recepcjonisty, który, słabo widoczny, siedział w swoim pomieszczeniu z nogami na biurku i oglądał telewizję.

Bill wcisnął przycisk drugiego piętra lekko drżącym palcem. Czuł podniecenie? Zdenerwowanie? Poczucie winy? A może wszystko razem. O tak, z pewnością, a prócz tego odczuwał jeszcze radość i strach. Te uczucia tworzyły niezbyt przyjemną mieszankę, ale wydawały się konieczne.

Poprowadził ją korytarzem w stronę swego pokoju, uznawszy z zakłopotaniem, że jeżeli miał się okazać niewierny i dokonać aktu cudzołóstwa, to powinien to zrobić w swoim, a nie w jej pokoju. Zdał sobie sprawę, że myślał o Susan Brown, swojej agentce i pierwszej kochance. Nie miał wtedy nawet dwudziestu lat.

Zdradzam. Zdradzam swoją żonę.

Próbował pogodzić się z tą myślą, ale wydawała mu się ona jednocześnie realna i nierealna. Silniejsze było nieprzyjemne uczucie tęsknoty za domem – staroświeckie uczucie odpadania. Audra pewnie już wstała, robi kawę

i ubrana w szlafrok siedzi przy kuchennym stole; może przegląda swoje kwestie, a może czyta powieść Dicka Francisa.

Jego klucz zagrzechotał w zamku pokoju numer 311. Gdyby pojechali do pokoju Beverly na czwartym piętrze, zobaczyliby błysk lampki na telefonie – oglądający telewizję recepcjonista chciał przekazać jej wiadomość, aby zadzwoniła do swojej przyjaciółki, Kay (po trzecim szalonym telefonie Kay w końcu zdołał wbić to sobie do głowy), i być może sprawy potoczyłyby się innym torem, a pod koniec dnia cała piątka nie byłaby ścigana przez policję w Derry. Ale udali się do jego apartamentu – i być może tak właśnie miało się stać.

Drzwi się otworzyły. Weszli do środka. Spojrzała na niego błyszczącymi oczyma. Miała poczerwieniałe policzki, a jej piersi unosiły się i opadały gwałtownie. Wziął ją w ramiona i ogarnęło go przejmujące uczucie, że postępuje słusznie – miał wrażenie, że kręgi przeszłości i teraźniejszości zamykają się bez najmniejszego śladu złączenia. Niezgrabnie zatrzasnął drzwi stopą i roześmiała się, a jej gorący oddech musnął jego ucho.

– Moje serce – powiedziała i położył dłoń na jej lewej piersi. Czuł bicie serca pod miękką,

nieomal doprowadzającą do szaleństwa skórą.

– T-t-twoje s-serce.

– Moje serce.

Nadal w ubraniach leżeli na łóżku i całowali się. Jej dłoń wślizgnęła się za jego koszulę, a potem znowu się wysunęła. Powiodła palcem po rzędzie guzików, zatrzymała się na wysokości pępka… a potem zjechała niżej, odnajdując kamienną twardość jego członka. Mięśnie, z których istnienia w ogóle nie zdawał sobie sprawy, zadrgały i podskoczyły w jego pachwinie. Przerwał pocałunek i odsunął się od niej.

– Bill?

– P-p-przestań na ch-chwilę – powiedział. – Bo jak n-nie, to s-s-spuszczę się w spodnie j-jak dz-dzieciak.

Ponownie się roześmiała i spojrzała na niego.

– Naprawdę? A może się wahasz?

– Waham się – odrzekł Bill. – Jak zawsze.

– Ja nie. Nie cierpię go – odparła. Spojrzał na nią, jej uśmiech przygasł. – Dopiero dwie noce temu zdałam sobie z tego sprawę – powiedziała. – To znaczy wiedziałam to przez cały czas, ale… jakoś… On… bije i sprawia ból. Wyszłam za mąż, bo… bo mój ojciec zawsze się o mnie martwił. Niezależnie od tego, jak się starałam, ciągle się

martwił. I jak sądzę, zaaprobowałby Toma. Tom też stale się martwi. Bardzo się martwi. A dopóki ktoś się o mnie martwi, jestem bezpieczna. Bardziej niż bezpieczna. Realna.

Spojrzała na niego z powagą. Bluzka wysunęła się jej ze spodni, odsłaniając biały pasek brzucha. Chciał ją tam pocałować.

– Ale to nie była rzeczywistość. To był koszmar. Wyjście za mąż za Toma było niczym powrót do koszmaru. Czemu człowiek miałby robić coś takiego, Bill? Czemu ktoś miałby na własną prośbę powracać do koszmaru?

– J-j-jedyny p-powód, jaki p-potrafię w-wymyślić, to to, że l-ludzie starają się w t-t-ten sposób odnaleźć s-siebie.

– Koszmar tkwi tutaj – odparła Bev. – Derry jest koszmarem. Tom w porównaniu z tym to małe piwo. Teraz wreszcie przejrzałam na oczy. Nienawidzę samej siebie za lata, które z nim spędziłam… Ty nawet nie wiesz, do czego on mnie zmuszał, a ja robiłam to z radością, bo, wiesz, on się o mnie martwił. Płakałam… ale czasami wstyd jest zbyt duży. Wiesz?

– Nie – powiedział cicho i wziął jej ręce w swoje. Ścisnęła je mocno. Jej oczy błyszczały, ale jak na razie nie popłynęła z nich ani jedna łza. – W-wszyscy t-to zbywają. A-ale to nie jest e-

e-egzamin. Robisz, co możesz, a-a-aby przez to p-przebrnąć.

– Chodzi mi o to – wtrąciła – że dla mnie to nie jest zdradą ani próbą zastąpienia go tobą czy coś w tym rodzaju. Dla mnie to będzie coś… normalnego, zwykłego i słodkiego. Ale nie chcę cię zrazić, Bill. Ani wplątywać cię w coś, czego później mógłbyś żałować.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, z pełną powagą i skupieniem. Ale w jego myśli wdarła się stara, dziwna fraza: „Obie ręce oparłszy…” i rozproszyła je. To był długi dzień. Telefon Mike’a i zaproszenie na lunch w Klejnocie Wschodu zdawały się odległe o sto lat. Tyle wydarzyło się od tego czasu. Tyle zostało opowiedziane. Tyle zostało przypomniane. Wspomnienia, jak zdjęcia z albumu George’a.

– Przyjaciele nie oszukują się nawzajem – powiedział i pochylił się na łóżku w jej stronę. Ich wargi zetknęły się, a potem zaczął rozpinać jej bluzkę. Jedna z jej dłoni dotknęła jego barku i przyciągnęła go bliżej, podczas gdy druga rozpinała suwak w spodniach, a potem zsunęła je z bioder. Przez chwilę dłoń Billa spoczywała na ciepłym brzuchu Bev, która z cichym szeptem zdjęła majteczki, a gdy przysunął się bliżej, wprowadziła go w siebie.

Wszedł w nią i w tej samej chwili wyprężyła całe ciało w łuk, i wyszeptała:

– Bądź moim przyjacielem… Kocham cię, Bill.

– Ja też cię kocham – rzekł, uśmiechając się, z twarzą wtłoczoną w jej nagie ramię.

Zaczęli powoli, a kiedy przyspieszyła pod nim, poczuł, jak pot zaczyna wypływać z porów całego ciała. Bill starał się skupić na ich zespoleniu. Jej pory również się otworzyły, uwalniając cudowny, piżmowy zapach.

Beverly poczuła, że dochodzi. Zaczęła pracować coraz mocniej, aby osiągnąć szczyt, bo nie wątpiła, że to w końcu nastąpi. Nagle jej ciało zaczęło „się jąkać” i podrywać gwałtownymi skurczami ku górze – nie osiągnęła orgazmu, ale plateau, daleko ponad nim, coś, do czego nigdy nie doszła z Tomem czy dwoma kochankami, jakich miała przed nim. Zorientowała się, że to nie będzie zwykły orgazm, ale coś w rodzaju eksplozji bomby atomowej. Trochę ją to zaniepokoiło, ale jej ciało ponownie uchwyciło rytm. Czuła sztywny członek Billa głęboko w sobie i nagle całe jej ciało zrobiło się równie twarde jak jego penis; zaraz potem osiągnęła szczyt, a raczej zaczęła szczytować. Była to tak wielka rozkosz, że nieomal graniczącą z agonią – śluzy jej wnętrza, których istnienia nigdy w sobie

nie podejrzewała, otwarły się równocześnie, i aby stłumić cisnący się jej na usta krzyk, ugryzła go w ramię.

– O Boże – jęknął Bill i choć potem nigdy nie była pewna, wydawało się jej, że zapłakał.

Odsunął się nieznacznie i już myślała, że się z niej wysunie. Próbowała przygotować się na tę chwilę, w której zawsze ogarniało ją ulotne, niewyjaśnione wrażenie straty i pustki – ale w tym samym momencie Bill wszedł w nią jeszcze mocniej. Zaraz potem miała drugi orgazm – coś, do czego, jak dotąd sądziła, w ogóle nie była zdolna – i jej okno wspomnień otworzyło się raz jeszcze, i zobaczyła ptaki, tysiące ptaków lądujących na wszystkich dachach, drutach telefonicznych i skrzynkach pocztowych, wiosenne ptaki na tle białego, kwietniowego nieba, a wraz z nimi pojawiło się mieszane uczucie bólu i rozkoszy, ale równie delikatne jak wrażenie, że niebo znajduje się tuż nad jej głową. Łagodny fizyczny ból, zmieszany z fizyczną rozkoszą i jakimś szaleńczym wrażeniem zatwierdzenia.

Krwawiła… ona miała… miała…

– Z wami wszystkimi?! – krzyknęła nagle, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Odsunął się i tym razem rzeczywiście z niej wyszedł, ale była tak zszokowana, że prawie tego nie poczuła.

– Z wami wszystkimi? Kochałam się z wami wszystkimi?

Zobaczyła wyraz zupełnego oszołomienia i zdumienia na twarzy Billa, widziała, jak otworzył szeroko usta… a potem dostrzegła błysk zrozumienia w jego oczach.

Ale to nie było jej odkrycie. Zdawała sobie sprawę, że on zrobił to samorzutnie.

– My…

– Bill? Co to jest?

– To był t-twój sposób, aby n-nas wydostać – powiedział, a jego oczy były tak rozpalone, że Beverly po raz pierwszy patrzyła nań z niepokojem. – B-beverly, n-n-nie r-rozumiesz? T-to był t-t-twój sposób, aby n-nas w-w-wydostać. My wszyscy… ale my byliśmy… – Nagle zaczął sprawiać wrażenie przerażonego, niepewnego.

– Czy teraz pamiętasz już resztę? – zapytała.

Pokręcił powoli głową.

– J-j-jeżeli chodzi o sz-szczegóły, n-nie. A-ale… – Spojrzał na nią i zobaczyła, że naprawdę był przerażony. – A-ale t-t-tak n-naprawdę t-to w-wydostaliśmy się dz-dzięki ż-ż-życzeniom i n-nie

jestem p-p-pewny… Beverly, czy d-dorośli p-potrafią t-t-tego d-dokonać?

Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się bez słowa, a potem przysiadła otępiała na skraju łóżka. Miała smukłe, wspaniałe ciało, a w półmroku ledwie można było dostrzec linię jej kręgosłupa, kiedy pochyliła się, by zdjąć nylonowe podkolanówki. Włosy miała zaczesane tak, że opadały jej na jedno ramię. Pomyślał, że nim nadejdzie ranek, zapragnie posiąść ją jeszcze raz, i poczucie winy powróciło, choć nieznacznie złagodzone przeświadczeniem, że Audra znajdowała się teraz za oceanem.

Wrzuć jeszcze jedną monetę do szafy grającej, pomyślał. Ta piosenka nazywa się *Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal*. Ale żal pozostaje. Być może zalega gdzieś w przestrzeniach pomiędzy ludźmi.

Beverly wstała i posłała łóżko.

– Chodź do łóżka. Potrzebujemy snu. Oboje.

– W p-p-porządku.

I to rzeczywiście było w porządku, bo bardziej niż czegokolwiek innego chciało mu się spać… ale nie samotnie. Nie tej nocy. Ostatni szok mijał – być może nieco zbyt szybko – ale czuł się teraz bardzo zmęczony. Pomimo dręczącego go stale poczucia winy miał wrażenie, że to miejsce, jak

ze snu, było bezpieczne. Miał ochotę położyć się przy niej i choć przez chwilę zdrzemnąć się w jej ramionach. Potrzebował jej ciepła i towarzystwa. Oboje mieli partnerów życiowych, ale teraz wspólny seks nie budził w nich żadnych negatywnych odczuć.

Zdjął skarpetki i koszulę, a potem położył się obok niej. Przylgnęła do niego, miała gorące piersi i chłodne nogi. Bill, objąwszy ją, zdał sobie sprawę z różnic pomiędzy nią a swoją żoną – była wyższa od Audry, pełniejsza w biuście i w biodrach. Niemniej jej ciało było wyjątkowo ponętne.

Teraz powinnaś być z Benem, kochanie, pomyślał, przysypiając. A w każdym razie tak mi się wydaje. Czemu ja tu jestem, a nie Ben?

Bo wtedy to byłeś ty i teraz też jesteś ty, ot co. Bo wszystko się powtarza i to, co było, zawsze będzie takie samo. Wydaje mi się, że to powiedział Bob Dylan… a może Ronald Reagan. A może jestem tu teraz, bo Ben miał zobaczyć naszą damę wracającą do domu. Beverly poruszyła się, ale nie zrobiła tego w prowokujący sposób (choć nawet kiedy przysypiał, muśnięcie jej ciała o jego udo sprawiało mu przyjemność) – pragnęła teraz jedynie jego ciepła.

Na wpół drzemała. Była szczęśliwa, leżąc teraz tu, obok niego. Czuła to nawet pomimo delikatnego posmaku goryczy, jaki temu towarzyszył. Ta noc należała do nich i kto wie, być może rano znów będą się kochać. A potem zejdą do kanałów, tak jak wiele lat temu, i każde z nich znajdzie swoje To. Krąg się zacieśni, ich teraźniejszość połączy się gładko z czasami dzieciństwa. Będą niczym podróżnicy poruszający się po jakiejś szalonej wstędze Möbiusa. Albo to, albo po prostu umrą tam na dole.

Odwróciła się. Wsunął dłoń pomiędzy jej bok a ramię i delikatnie pogładził krągłość piersi. Beverly nie musiała leżeć, czuwając i zastanawiając się, czy palce na jej piersi nie zacisną się nagle w bolesnym uszczypnięciu. Kiedy sen zaczął ją morzyć, myśli coraz bardziej się rozpływały. Zapadając w sen, zobaczyła jak zawsze jaskrawe, kwieciste mozaiki; były ich całe masy – morze kwiatów kiwających główkami, a wysoko nad nimi bezkresny błękit jasnego nieba. Potem te obrazy zniknęły i pojawiło się uczucie spadania – kiedy przydarzało się jej to w dzieciństwie, często budziła się gwałtownie zlana zimnym potem, z ustami otwartymi w niemym krzyku. Jak czytała w szkolnym

podręczniku z zakresu psychologii, w dzieciństwie sny o spadaniu nie były niczym niezwykłym.

Tym razem jednak się nie obudziła. Czuła na sobie ciepły, krzepiący ciężar ramienia Billa i jego dłoń obejmującą jej pierś. Pomyślała, że nawet gdyby spadła, to przynajmniej nie sama. A potem wylądowała i zaczęła uciekać. Ten sen miał naprawdę oszołamiające tempo. Biegła za nim, ścigając sen, ciszę, a może czas. Lata mijały błyskawicznie. Uciekały. Jeżeli chciała dopędzić swoje dzieciństwo, musiała naprawdę nieźle się wysilić. Musiała dać z siebie wszystko. Dwadzieścia dziewięć – wiek, w którym zrobiła sobie pasemka (szybciej), dwadzieścia dwa – w tym roku zakochała się w baseballiście Gregu Mallorym, który o mało jej nie zgwałcił po przyjęciu w bractwie (szybciej, szybciej), szesnaście – upiła się wraz z dwiema koleżankami na Bluebird Hill Overlook w Portlandzie… dwanaście… szybciej, szybciej, szybciej…

Wbiegła w sen, ścigając dwanaście lat, dogoniła je i pokonała barierę wspomnień, którą To nałożyło im wszystkim (w jej zmęczonych we śnie płucach smakowała ona jak zimna mgła) i wbiegła w jedenasty rok swego życia, biegła,

biegła ile sił w nogach, uciekała, uciekała, jakby gonił ją sam diabeł, obejrzała się, odwróciła się nieznacznie i…

6

Barrens – 12.40

…spojrzała przez ramię, szukając za sobą ich sylwetek, ześlizgując się po stromym zboczu. Nie zauważyła ich – a przynajmniej na razie. Naprawdę „mu przywaliła”, jak mawiał niekiedy jej ojciec i… myśl o ojcu sprawiła, że ponownie ogarnęło ją głębokie poczucie winy i przygnębienie.

Spojrzała pod rozklekotany mostek w nadziei, że zobaczy tam Silvera leżącego na boku, ale roweru nie było. Nie było tam nic prócz stosiku pistoletów zabawek, których nie chciało się im już zanosić do domu. Ruszyła w dół ścieżki, obejrzała się za siebie i… zobaczyła ich. Belch i Victor, podtrzymując z dwóch stron Henry’ego, stali na skraju zbocza jak indiańscy zwiadowcy w filmie Randolpha Scotta. Henry był przeraźliwie blady. Wskazał na nią. Victor i Belch pomogli mu zejść po nasypie. Spod ich butów sypały się fontanny żwiru i ziemi. Beverly

patrzyła na nich przez dłuższą chwilę, prawie jak zahipnotyzowana. Potem odwróciła się i przebiegła przez strumień pod mostkiem, ignorując ułożone w nurcie przez Bena kamienie. Spod butów Bev chlustały strugi wody. Przebiegła wzdłuż ścieżki. W całkiem wyschniętej krtani oddech był palący. Czuła, jak drżą jej mięśnie nóg. Nie miała teraz zbyt dużego wyboru. Klubowy domek. Gdyby udało się jej tam dostać, byłaby zapewne bezpieczna.

Biegła ścieżką, a chłoszczące ją gałęzie nadały jej twarzy jeszcze większych rumieńców. Jedna trafiła ją w oko, które zaczęło łzawić. Skręciła ostro w prawo, przedarła się przez gęstwinę zarośli i wybiegła na polanę. Zarówno górna klapa, jak i okienko klubowego domku były otwarte. Z wnętrza płynęły dźwięki rock and rolla. Na odgłos jej kroków z wnętrza wychylił głowę Ben Hanscom. W jednej ręce trzymał paczuszkę junior mints, a w drugiej komiks „Archie”.

Przyjrzał się Bev i aż rozdziawił usta. W innych okolicznościach to nawet mogłoby być zabawne.

– Bev, co, do diabła…

Nawet nie zadała sobie trudu, aby mu odpowiedzieć. Słyszała, jak w oddali, niezbyt

daleko za nią, trzaskają i szeleszczą gałęzie; od czasu do czasu dało się słyszeć zduszone przekleństwo. Wyglądało na to, że Henry dochodził do siebie. Dlatego też po prostu podbiegła do prostokątnego otworu ziemianki, a włosy, zmierzwione i brudne od czołgania się pod śmieciarką, pełne drobnych zielonych gałązek i liści, unosiły się za nią jak welon.

Ben zobaczył ją, nadciągającą jak 101 airborne, i znikł w otworze tak szybko, jak się pojawił. Beverly skoczyła, a on złapał ją niezdarnie.

– Pozamykaj wszystko – wysapała. – Pospiesz się, Ben, na litość boską! Oni nadchodzą!

– Kto?

– Henry i jego kumple! Henry oszalał, ma nóż…

Tego było dla Bena aż nadto. Cisnął na ziemię komiks i junior mints. Z chrząknięciem zatrzasnął klapę. Jej powierzchnia była pokryta darnią – klej jak na razie trzymał całkiem nieźle. Parę kępek tu i ówdzie się poluzowało, ale to było wszystko. Beverly stanęła na palcach i zamknęła okienko. Znaleźli się w ciemności. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu Bena, odnalazła go i objęła panicznie mocno. Chwilę potem odwzajemnił jej uścisk. Oboje klęczeli na ziemi. Nagle Beverly

z przerażeniem uświadomiła sobie, że gdzieś w tej czerni nadal rozlegały się dźwięki melodii płynące z radia Richiego. Little Richard śpiewał: „Dziewczyna nic na to nie poradzi…”.

– Ben… radio… usłyszą.

– O Boże!

Stuknął ją jednym ze swych mięsistych bioder, tak że o mały włos nie runęła na ziemię pośród ciemności. Usłyszała, jak radio ląduje z trzaskiem na klepisku.

„Dziewczyna nic na to nie poradzi, podczas gdy faceci będą tylko stać i patrzeć”, poinformował ich z tradycyjnie ochrypłym entuzjazmem Little Richard. „Nie może na to nic poradzić!”, potwierdził chórek w tle. Dziewczyna nie może nic poradzić!”.

Ben teraz też był zdyszany. Ich oddechy przypominały szum silników parowych. Nagle rozległ się trzask – a potem nastała cisza.

– O cholera – rzekł Ben. – Po prostu je rozgniotłem. Richie się wkurzy.

W mroku wyciągnął rękę w jej stronę. Dłoń Bena musnęła jej pierś, a potem cofnęła się gwałtownie, jak oparzona. Ona również wysunęła dłoń, schwyciła go za koszulę i przyciągnęła do siebie.

– Beverly, co…

– Ciii…

Umilkł. Usiedli razem, objęci ramionami, spoglądając ku górze. Ciemność nie była absolutna – z jednej strony klapy widać było wąziutką kreskę światła, a trzy inne okalały maleńkie okienko. Jedna z tych trzech była dostatecznie szeroka, by mógł przez nią wpaść do wnętrza klubowego domku promyczek światła. Mogła się tylko modlić, żeby tamci tego nie zauważyli. Słyszała, jak się zbliżali. Z początku nie potrafiła zrozumieć słów… ale potem już mogła. Przycisnęła się mocniej do Bena.

– Jeżeli pobiegła w bambusy, łatwo odnajdziemy jej ślad – mówił Victor.

– Oni tu się bawią – dodał Henry. Jego głos był napięty, słowa dobywały się z ust małymi sapnięciami, jakby z wielkim wysiłkiem. – Boogers Taliendo tak mówi. W dniu, kiedy tłukliśmy się na kamienie, nadeszli właśnie stąd.

– Tak. Bawią się tu w strzelaniny i inne takie – rzucił Belch. Nagle tuż nad domkiem rozległ się tupot kroków. Pokryta darnią klapa wibrowała. Na uniesioną twarz Beverly posypały się grudki ziemi. Teraz jeden, dwaj, a może nawet wszyscy trzej stali na klapie ziemianki. Poczuła na brzuchu dreszcze. Musiała zagryźć zęby, aby stłumić krzyk. Ben dotknął swą wielką dłonią

twarzy Beverly i przycisnął ją do ramienia, czekając z uniesionym wzrokiem. Czy tamci zdołają się domyślić… a może po prostu już wiedzą i tylko się z nimi bawią.

– Oni mają gdzieś swoje miejsce – mówił Henry. – Tak mi powiedział Boogers. Domek na drzewie albo coś w tym rodzaju. Nazywają to swoim klubem.

– Dam ja im klub, że im w pięty pójdzie. Damy im bobu, niech się pożrą – rzekł Victor.

Belch roześmiał się chrapliwie.

Dudnienie nad głowami. Tak. Na pewno zwrócą na to uwagę. Zwykła ziemia nie ugina się w ten sposób.

– Zobaczymy nad rzeką – rzucił Henry. – Założę się, że gdzieś tam się kryje.

– Dobra – mruknął Victor.

Dudnienie ucichło – oddalali się! Bev westchnęła cichutko, z ulgą, przez zaciśnięte zęby… a potem Henry powiedział:

– Zostań tu i pilnuj ścieżki, Belch.

– Dobra – mruknął Belch i zaczął się przechadzać tam i z powrotem, czasami idąc po klapie, a czasami obok niej. Kolejne grudy ziemi posypały się na dół. Ben i Beverly patrzyli na siebie, ich pełne napięcia twarze były brudne i zakurzone. Bev uświadomiła sobie nagle, że

w klubowym domku prócz woni dymu unosiło się coś jeszcze – smród potu i ciężki śmietnikowy fetor. To ja, pomyślała z przerażeniem. Pomimo tego smrodu objęła Bena jeszcze mocniej. Nagle jego potężne ciało stało się bardzo pożądane i cieszyła się, że ma go aż tyle do obejmowania. Kiedy zaczynały się wakacje, był tylko przerażonym grubaskiem, ale teraz dokonała się w nim zmiana. Był kimś więcej, podobnie jak wszyscy z ich grupy. Gdyby Belch domyślił się, że siedzą tam w dole, Ben mógłby mu sprawić niespodziankę.

– Dam ja im klub, że aż im w pięty pójdzie – powiedział Belch i zachichotał. Jego śmiech był cichy, upiorny. – Damy im bobu, niech się nażrą. Świetnie. Po prostu booooomba.

Nagle zdała sobie sprawę, że górna część ciała Bena unosiła się i opadała krótkimi, gwałtownymi ruchami – wciągał powietrze do płuc i wypuszczał je małymi wydechami. Przez jedną niepokojącą chwilę miała wrażenie, że Ben się rozpłacze, gdy wtem zrozumiała, że chłopiec tłumił śmiech. Spojrzała na jego twarz. Ben przeniósł spojrzenie swoich zaczerwienionych, załzawionych oczu na jej twarz, a potem odwrócił wzrok. W słabym świetle przebijającym przez szczeliny wokół zamkniętej klapy i okienka

zobaczyła, że jego twarz była nieomal fioletowa z wysiłku. Z najwyższym trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Dajcie im bobu, niech się pożrą – rzekł Belch i usiadł ciężko na środku klapy. Tym razem dach zadrżał bardziej alarmująco i Bev usłyszała ciche, złowieszcze trzaski z jednego ze wsporników. Klapa miała utrzymać płaty maskującej darni, które do niej przyklejono… a nie dodatkowe sto sześćdziesiąt funtów żywej wagi Belcha Hugginsa.

Jeżeli zaraz nie wstanie, to zwali się na nas, pomyślała Bev i zaczął się jej udzielać histeryczny nastrój Bena. Uczucie to kipiało w niej i wrzało niczym gotująca się woda. Nagle oczyma wyobraźni zobaczyła siebie, unoszącą nieznacznie klapę okienka i wysuwającą rękę, aby dostarczyć Belchowi porcyjkę solidnych dreszczy, kiedy tak siedział skąpany w leniwych promykach popołudniowego słońca, mrucząc i chichocząc pod nosem. Aby nie wybuchnąć śmiechem, ukryła twarz na piersi Bena.

– Ciii – wyszeptał Ben. – Na miłość boską, Bev…

Trzask. Tym razem głośniej.

– Wytrzyma? – wyszeptała.

– Może, jeżeli się nie spierdzi – rzekł Ben, ale chwilę potem Belch zrobił to, puścił bąka, czystego i głośnego, jak dźwięk trąbki. Trwało to dobre trzy sekundy.

Objęli się jeszcze mocniej, tłumiąc wzajemnie obłąkańczy chichot. Beverly bolała głowa, myślała, że lada moment dostanie udaru mózgu. A potem słabo usłyszała, jak Henry woła Belcha po imieniu.

– Co?! – ryknął Belch, wstając z głuchym łomotem i w tej samej chwili na twarze Bena i Beverly posypały się kolejne grudki ziemi. – Co, Henry?

Henry odkrzyknął coś – Beverly wyłapała tylko słowa „brzeg” i „krzaki”.

– Dobra! – ryknął Belch i po raz ostatni przeszedł po klapie. Rozległ się ostatni trzask, tym razem dużo głośniejszy, i na podołku Bev wylądował odłupany kawałek drewna. Podniosła go z zastanowieniem.

– Jeszcze pięć minut – wyszeptał Ben. – To powinno wystarczyć.

– Słyszałeś, jak odchodził? – spytała Beverly i znów zaczęła chichotać.

– Brzmiało jak trzecia wojna światowa – rzucił Ben i też się roześmiał. Powiedzenie tego sprawiło ulgę im obojgu i śmiali się jak szaleni,

starając się robić to cicho. W końcu Bev, wcale nie wiedząc, że to powie (i na pewno nie wynikało to z ich obecnej sytuacji), wykrztusiła:

– Dziękuję za wiersz, Ben.

Ben natychmiast przestał się śmiać i zmierzył ją poważnym spojrzeniem. Wyjął z tylnej kieszeni brudną chusteczkę i wolno otarł nią twarz.

– Wiersz?

– Haiku. Haiku na pocztówce. To ty ją wysłałeś, prawda?

– Nie – odrzekł Ben. – To nie ja. Bo gdyby dzieciak taki jak ja, taki gruby jak ja, zrobił coś takiego, dziewczyna prawdopodobnie by go wyśmiała.

– Ja się nie śmiałam. Moim zdaniem wiersz był cudowny.

– Ja nigdy nie napisałbym niczego cudownego. Bill, może. Ale nie ja.

– Bill będzie pisał – przyznała. – Ale nigdy nie napisze niczego równie wspaniałego. Mogę skorzystać z twojej chusteczki?

Podał jej i zaczęła bardzo dokładnie wycierać twarz.

– Skąd wiedziałaś, że to ja? – zapytał w końcu.

– Nie wiem – odparła. – Po prostu wiedziałam.

Krtań Bena pracowała konwulsyjnie. Spojrzał na swoje ręce.

– Nie miałem nic na myśli.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Lepiej, aby to nie była prawda. Bo jeżeli tak, to do reszty popsujesz mi dzień, a muszę ci powiedzieć, że dzisiaj naprawdę mam przechlapane.

Patrzył w dalszym ciągu na swoje dłonie i w końcu prawie niesłyszalnym głosem powiedział:

– No cóż, chciałem przez to wyrazić, że cię kocham, Beverly, ale nie chcę niczego zepsuć.

– Nie zepsujesz – odparła i objęła go. – W obecnej chwili potrzebuję miłości bardziej, niż to sobie wyobrażasz.

– Ale szczególnie lubisz Billa.

– Możliwe, ale to nie ma znaczenia. Pewnie gdybyśmy byli dorośli, byłoby trochę inaczej. Wszystkich was lubię w szczególny sposób. Jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi. I ciebie też kocham, Ben.

– Dziękuję – powiedział i nawet na nią spojrzał. Trwało to chwilę, ale wreszcie się przemógł. – To ja napisałem ten wiersz.

Przez moment siedzieli obok siebie bez słowa. Beverly czuła się bezpieczna. Chroniona. Kiedy

była tak blisko niego, wizje twarzy jej ojca i noża Henry'ego wydawały się jej mniej żywe i groźne. To uczucie bezpieczeństwa było raczej trudne do zdefiniowania i nie próbowała tego robić, choć dużo później zdoła określić źródło owej mocy – była w ramionach mężczyzny, który bez wahania oddałby za nią życie. Wiedziała o tym. Była o tym przekonana. To był ten zapach emanujący z porów jego ciała, na który jej gruczoły odpowiadały w taki sposób.

– Reszta wróci – rzekł nagle Ben. – A jeśli się na nich natkną?

Wyprostowała się i naraz uświadomiła sobie, że prawie przysypiała. Bill, jak sobie przypomniała, zaprosił Mike'a Hanlona do domu na lunch. Richie miał pójść do domu ze Stanem i przekąsić tam parę kanapek. Eddie zaś powiedział, że przyniesie tu planszę do *parcheesi*. Niedługo się tu zjawią, nieświadomi, że Henry i jego kolesie przebywali w Barrens.

– Musimy do nich dotrzeć – powiedziała Beverly. – Henry nie zawziął się tylko na mnie.

– Jeżeli wyjdziemy, a tamci wrócą…

– Tak, ale my przynajmniej wiemy, że oni tu są, a Bill i pozostali nie. Eddie nawet nie może biegać, tamci przecież już złamali mu rękę.

– Rany koguta – rzekł Ben. – Chyba będziemy musieli zaryzykować.

– Tak. – Przełknęła ślinę i spojrzała na swego timeksa. W półmroku trudno było coś zobaczyć, ale wydawało się jej, że było parę minut po pierwszej. – Ben…

– Co?

– Henry naprawdę ma świra. Jest jak ten dzieciak w *Szkolnej Dżungli*. Miał zamiar mnie zabić, a tamci dwaj by mu w tym pomogli.

– Ee, nie – uciął Ben. – Henry jest szalony, ale nie do tego stopnia. On po prostu…

– Co po prostu? – zapytała Beverly. Pomyślała o Henrym i Patricku na skąpanym w słońcu cmentarzysku samochodów. O tępym spojrzeniu Henry'ego.

Ben nie odpowiedział. Myślał. Wiele się zmieniło, nieprawdaż? Kiedy tkwiło się w centrum zmian, trudniej je było zauważyć. Należało się nieco wycofać, aby je dostrzec… a w każdym razie trzeba było spróbować. Pod koniec roku szkolnego bał się Henry'ego, bo tamten był większy i masywniejszy, a poza tym był rozrabiaką, jednym z tych, co to zawsze wyżywają się na słabszych; dorwawszy na przykład jakiegoś pierwszoklasistę, robią mu „syfona" i odsyłają do domu z płaczem. I wtedy to

było wszystko. A potem Henry wyciął Benowi początek „autografu” na brzuchu. Później z kolei doszło do wielkiej bitwy na kamienie i Henry ciskał petardami w głowy swoich przeciwników. W ten sposób łatwo było kogoś zabić. Zaczął wyglądać inaczej… sprawiał wrażenie niemal nawiedzonego i zawsze trzeba było na niego uważać jak na tygrysa czy jadowitego węża w sercu mrocznej dżungli. Ale do tego można było przywyknąć i to tak dalece, że przestawało ci się to wydawać czymś niezwykłym, podobnie jak wszystko inne. Henry był szalony, prawda? Tak. Ben wiedział, że pod koniec roku szkolnego zmuszał się, by o tym nie pamiętać ani w to nie wierzyć. W tego typu rzeczy raczej nie chciało się wierzyć ani o tym pamiętać. I nagle myśl, myśl tak silna, że niemal granicząca z przekonaniem, wślizgnęła się brutalnie w jego umysł, wdarła się w głąb niego, zimna jak październikowe błoto: To wykorzystuje Henry’ego. Może i innych też. Ale To używa ich poprzez Henry’ego. I jeśli to jest prawda, być może Bev ma rację. To już nie tylko „syfony” czy „karczycha”, jak to czasami bywało w szkole. To nie popychanie na boisku, które mogło się skończyć podrapaniem kolan. Jeżeli To go wykorzystuje, Henry zrobi użytek ze swego noża.

– Stara kobieta zobaczyła ich, jak chcieli mi zrobić krzywdę – mówiła Beverly – a Henry ją zaatakował. Rozbił kopniakiem tylne światło w jej wozie.

To zaniepokoiło Bena bardziej niż cokolwiek innego. Instynktownie – jak większość dzieciaków – zrozumiał, że żyli poniżej linii wzroku, a tym samym większość dorosłych nie zaprzątała sobie nimi głowy. Kiedy dorosły maszerował ulicą, pogrążony w rozmyślaniach na temat pracy, randki, zakupu samochodu czy tego wszystkiego, o czym może myśleć dorosły, nigdy nie zwracał uwagi na dzieci grające w gumę, bawiące się w strzelaninę, kopanie puszki, ciuciubabkę czy chowanego. Tacy jak Henry mogli bez trudu wyżywać się na słabszych, jeżeli tylko byli dostatecznie ostrożni, by nie rzucać się w oczy. W najgorszym razie przechodzący opodal dorosły mógł rzucić: „Przestań, natychmiast masz przestać”, a potem, nawet nie spojrzawszy, czy jego zlecenie zostało wykonane, oddalić się niespiesznym krokiem. A wystarczyło, żeby dorosły znikł za rogiem, by rozrabiaka… powrócił do przerwanej czynności. Jak zwykle. Zupełnie jakby dorośli myśleli, że prawdziwe życie zaczyna się dopiero wtedy, gdy masz pięć stóp wzrostu. Jeżeli Henry zaatakował

starszą kobietę, oznaczało to, że pokonał barierę widoczności. I bardziej niż cokolwiek innego było to dla Bena dowodem, że Henry rzeczywiście postradał zmysły.

Beverly zobaczyła, że Ben uwierzył w jej słowa – to było widoczne w jego twarzy i przyniosło jej to ulgę. Nie musiała mu mówić o tym, jak pan Ross po prostu złożył gazetę i wszedł do swego domu. Nie chciała mu o tym mówić. To było zbyt przerażające.

– Chodźmy w stronę Kansas Street – rzekł Ben i gwałtownym ruchem uniósł klapę. – Przygotuj się do ucieczki.

Wstał i wychyliwszy głowę na zewnątrz, rozejrzał się wokoło. Polanę spowijała cisza. Słyszał dochodzący z niedaleka szum i szemranie Kenduskeag, śpiew ptaków i sapanie dieslowskiego silnika lokomotywy wtaczającej się na torowisko. Nie słyszał nic więcej i to go niepokoiło. Poczułby się dużo lepiej, gdyby dobiegły go zduszone przekleństwa Henry'ego, Victora i Belcha, przedzierających się przez zarośla przy strumieniu. Ale nie słyszał żadnego z nich.

– Chodź – powiedział i pomógł Beverly wstać. Ona również rozejrzała się niepewnie wkoło, zgarnęła oburącz włosy do tyłu i skrzywiła się,

czując pod palcami, jakie są lepkie i tłuste. Wziął ją za rękę i przeszli przez zarośla w stronę Kenduskeag. – Lepiej trzymajmy się z dala od ścieżki.

– Nie, musimy się pospieszyć.

Skinął głową.

– W porządku.

Wyszli na ścieżkę i zaczęli iść w kierunku Kansas Street. Raz potknął się na kamieniu i…

7

Teren Seminarium – 2.17

…upadł ciężko na skąpany w księżycowej poświacie chodnik. Z jego ust dobyło się stęknięcie, a zaraz potem struga krwi zbryzgała spękane płyty. W księżycowym blasku była czarna jak krew żuków. Henry przyglądał się jej przez długą chwilę, a potem uniósł wzrok, aby rozejrzeć się wokoło. Kansas Street była milcząca o tak wczesnej porze, domy pozamykane i mroczne i tylko świetliki rozjaśniały ciemność. Ach. Nieopodal znajdowała się krata kanału. Do jednego z metalowych prętów był przywiązany balonik z „uśmiechniętą buźką”. Balon to unosił się, to opadał, kołysany łagodnymi podmuchami

wiatru. Henry ponownie się podniósł, przyciskając lepką dłoń do brzucha. Czarnuch dobrze mu dołożył, ale Henry załatwił tamtego na cacy. W porównaniu z nim Henry czuł się wręcz doskonale.

– Dzieciak dostał nauczkę – wymamrotał Henry i trzęsąc się i zataczając, przeszedł obok szarpanego przez wiatr balonu. Świeża krew wypływająca z trzewi zalśniła na jego dłoni. – Dzieciaki są już załatwione. Rozwaliłem tego drania. Załatwię też pozostałych. Nauczę ich, jak się rzuca kamieniami.

Świat przypływał doń powoli, falami, wielkimi grzywaczami, jak te, które pokazywano w czołówce każdego odcinka *Hawaii Five-O*.

Podświadomie przez cały czas słyszy ten dźwięk, wyobraża sobie głowę Victora na końcu tej sprężyny – powieki, policzki i czoło pokryte są kropelkami krwi. Henry spojrzał mętnym wzrokiem w lewo i zobaczył, że domy zostały zastąpione przez wysoką, czarną ścianę żywopłotu. Ponad nią majaczył wąski, wysoki słup wiktoriańskiej budowli seminarium teologicznego. W żadnym z okien nie paliło się światło. Ostatnia klasa absolwentów odeszła z seminarium w 1974 roku. Tego lata jego podwoje zostały zamknięte i ktokolwiek tam

wchodził, wchodził samotnie i wyłącznie za zezwoleniem klubu gderliwych kobiet, określających się mianem Towarzystwa Historycznego Derry.

Przeszedł w stronę chodnika prowadzącego do drzwi frontowych. Był zablokowany ciężkim łańcuchem, do którego przyczepiono metalową wywieszkę z napisem: WSTĘP WZBRONIONY NA MOCY ZAKAZU DEPARTAMENTU POLICJI W DERRY.

Henry'emu poplątały się nogi i ponownie runął ciężko na chodnik. W oddali z Hawthorne w Kansas wjechał jakiś samochód. Promienie jego reflektorów omiotły ulicę. Henry zdołał wysilić wzrok na tyle, by dostrzec światła na górze – suka!

Przepełznął pod łańcuchem i w lewo, by ukryć się za żywopłotem. Nocna rosa, w której skąpał swą rozpaloną twarz, była przecudowna. Leżał twarzą do dołu, chłodząc wilgocią policzki i pijąc tyle, ile zdołał. Wóz policyjny minął go, nie zwalniając. A potem nagle włączył się kogut na dachu, rozjaśniając ciemność szaleńczą kaskadą błękitnego, pulsującego światła. Na tych opustoszałych ulicach syrena była zbędna, ale Henry wyraźnie usłyszał jej przeciągły jęk. Rozległ się pisk opon na asfalcie.

Wpadłem, już po mnie, pomyślał… i nagle zdał sobie sprawę, że wóz policyjny oddalał się od niego, jechał w przeciwną stronę Kansas Street. Chwilę później inny piekielny dźwięk wypełnił noc, nadciągając w jego stronę od południa. Wyobraził sobie jakiegoś wielkiego, jedwabistego, czarnego kota przemykającego poprzez mrok; zielone oczy, gładkie futro – nowe wcielenie Tego, nadchodzące, aby go pożreć. Powoli, i to wtedy, gdy sygnał zaczął cichnąć, zrozumiał, że to była karetka jadąca w tę samą stronę co wóz policyjny. Leżał drżący na wilgotnej trawie – było mu teraz zbyt zimno, walczył („…niechaj gra, niechaj gra, mamy kurczaki w stodole, w jakiej stodole, czyjej stodole, mojej stodole…”), aby nie zwymiotować. Bał się, że jak zwymiotuje, to wypluje wszystkie flaki… a przecież musiał dostać jeszcze tę piątkę. Karetka i wóz policyjny – dokąd one jadą? Do biblioteki, naturalnie. Czarnuch. Ale już jest za późno. Rozwaliłem go. Możecie dać sobie spokój z tą syreną, chłopaki. On jej nie usłyszy. Jest już sztywny. On…

Ale czy na pewno? Henry oblizał spękane usta wyschniętym językiem. Jeżeli tamten nie żył, nie włączaliby syreny. Chyba że to czarnuch ich

wezwał. A więc może – ale tylko może – czarnuch nie umarł.

– Nie – wydyszał Henry. Przetoczył się na plecy i spojrzał w górę, na niebo i widoczne tam miliony gwiazd. Wiedział, że To przybyło właśnie stamtąd. Z nieba. Skądś… To… („…przybyło z kosmosu, pragnąc ziemskich kobiet, przybyło, aby obrabować wszystkie kobiety i zgwałcić wszystkich mężczyzn, a może na odwrót, zresztą kto to wie, i szczerze mówiąc, czy to ważne, więc nie zastanawiaj się nad tym, no nie?", tak zawsze mawiał Victor) przybyło z przestrzeni międzygwiezdnej. Już od samego patrzenia na gwiazdy przechodziły go lodowate ciarki. Niebo było zbyt ogromne, zbyt czarne. Zbyt łatwo byłoby wyobrazić je sobie, nabiegające krwistą czerwienią, wyobrazić sobie twarz formującą się w ognistych liniach…

Zamknął oczy, drżąc, i skrzyżowawszy ręce na brzuchu, pomyślał: Czarnuch nie żyje. Ktoś słyszał, jak walczyliśmy, i wezwał gliny, ot co. A zatem skąd ta karetka?

– Zamknij się, zamknij się – jęknął Henry. Ponownie poczuł stary, narastający gniew. Przypominał sobie, jak w dawnych czasach za każdym razem udawało im się go pobić i wystrychnąć na dudka. Te stare czasy

wydawały mu się teraz tak bliskie i żywe. Zawsze, gdy odnosił wrażenie, że już ich ma, wyślizgiwali mu się z rąk. Tak samo było tego ostatniego dnia, po tym jak Belch zobaczył tę cipę biegnącą wzdłuż Kansas Street w stronę Barrens. Pamiętał to. O tak. Pamiętał to doskonale. Takie rzeczy jak kop w jaja zawsze długo się pamięta. Tego lata przydarzało mu się to raz po raz.

Henry podniósł się i usiadł; syknął, gdy sztylet bólu przeszył mu wnętrzności. Victor i Belch pomogli mu zejść do Barrens. Szedł tak szybko, jak mógł, pomimo bólu, który ściskał jego krocze, dosięgając najdalszych krańców podbrzusza. Nadszedł czas, aby to skończyć. Dotarli ścieżką do polany, od której odchodziło pięć czy sześć dróżek, jak rozciągnięte we wszystkie strony nitki pajęczyny. Tak, te dzieciaki bawiły się tam, nie musiałeś być Tonto[13], aby się tego domyślić. Na ziemi leżały papierki po cukierkach i puste opakowania po petardach. Leżało też parę desek i sterta trocin, jakby te gnoje coś tam budowały. Pamiętał, jak stał tam na środku polany i lustrował wzrokiem drzewa w poszukiwaniu ich dziecinnego domku wśród gałęzi. Gdyby go odnalazł, wspiąłby się na górę i zobaczywszy ukrywającą się tam dziewczynę, poderżnąłby jej nożem gardło, a potem pobawiłby się jej

cyckami, dopóki by nie ostygła. Ale nie mógł odnaleźć domku na drzewie. Podobnie jak Belch i Victor. W jego krtani pojawiło się ponownie znajome uczucie frustracji. On i Victor zostawili Belcha, aby pilnował polany, a potem poszli poszukać śladów Bev na brzegu rzeki. Ale tam również jej nie było. Zupełnie jakby rozpłynęła się w powietrzu. Przypomniał sobie, jak się pochylił i podniósłszy kamień…

8

Barrens – 12.55

…wściekły i zakłopotany cisnął go z całej siły do strumienia.

– Dokąd ona, kurwa, pobiegła? – zastanawiał się, kuśtykając w stronę Victora. Ten wolno pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł. – Ty krwawisz.

Henry spuścił wzrok i zobaczył ciemną plamę wielkości ćwierćdolarówki w kroczu dżinsów. Ból zmienił się w lekkie, ćmiące pulsowanie; miał wrażenie, że jego slipki były zbyt małe i zbyt ciasne. Jądra miał obrzmiałe. Ponownie poczuł w swoim wnętrzu gniew, coś jak sznur zaciśnięty w węzeł w okolicy serca. Ona to zrobiła.

– Gdzie ona jest? – syknął do Victora.

– Nie wiem – powtórzył Victor tym samym pozbawionym wyrazu głosem. Wydawał się zahipnotyzowany, w pewnym sensie nieobecny, jak po porażeniu słonecznym. – Chyba uciekła. Teraz równie dobrze może być w Old Cape.

– A skąd – rzucił Henry. – Ona się ukrywa. Mają tu gdzieś swoją kryjówkę i ona tam jest. Może to nie domek na drzewie. Może to coś innego.

– Co?

– Nie… wiem!… – wykrzyknął Henry, a Victor cofnął się o krok. Henry stał w Kenduskeag i rozglądał się wokoło; zimna woda obmywała jego trampki. Zatrzymał wzrok na walcu wystającym z brzegu, jakieś dwadzieścia stóp dalej w dół strumienia; była to stacja pomp. Wyszedł z wody i podszedł do rury, czując, że gdzieś w głębi niego zaczyna się budzić strach. Skóra na ciele mu cierpła, a oczy rozszerzały się, by ogarnąć coraz więcej i więcej. Miał wrażenie, że maleńkie włoski w uszach zaczynają drgać i wiją się niczym wodorosty poruszane falą przypływu. Ze stacji pompującej dochodził cichy poszum, a nieco dalej dostrzegł rurę wystającą z brzegu, ponad Kenduskeag. Z jej wnętrza wypływał pulsujący strumień szlamu i wlewał

się do rzeki. Pochylił się nad okrągłą pokrywą walca.

– Henry?! – zawołał nerwowym głosem Victor. – Henry? Co ty robisz?!

Ten jednak nie zwracał na niego uwagi. Przyłożył oko do jednej z okrągłych dziur w pokrywie, lecz nie zobaczył nic prócz czerni. Teraz przystawił ucho.

– Czekaj… – z czerni walca dobiegł go głos i Henry poczuł, jak wewnętrzna temperatura jego ciała spada do zera. Jego żyły i tętnice zamarzły, zmieniając się w kryształowe przewody z lodu. Ale wraz z tymi odczuciami pojawiło się coś, czego prawie nigdy nie zaznał: miłość. Jego oczy rozszerzyły się, a błazeński uśmiech rozchylił usta w szerokim, bezsilnym łuku. To był głos z księżyca. W głębi stacji pomp było To. Było tam, w kanałach. – Czekaj… obserwuj…

Czekał, ale się nie doczekał. Słyszał tylko rytmiczne, usypiające odgłosy pracujących maszyn. Podszedł do stojącego na brzegu Victora, który przyglądał mu się podejrzliwie. Henry zignorował go i zawołał Belcha. Belcha, który zjawił się chwilę później.

– Idziemy – powiedział.

– Co zrobimy, Henry? – zapytał Belch.

– Poczekamy. Będziemy obserwować.

Podeszli chyłkiem w stronę polany i usiedli. Henry próbował obciągnąć slipki z obolałych jąder, ale ból był zbyt silny.

– Henry, co… – zaczął Belch.

– Ciii…

Belch posłusznie umilkł. Henry miał camele, ale ich nie wyciągnął. Nie chciał, żeby ta dziwka, jeśli była w pobliżu, poczuła dym papierosów. Mógł im to wyjaśnić, ale nie było potrzeby. Usłyszał tylko dwa słowa, ale wydawało się, że zrozumiał wszystko. Tamci bawili się tutaj. Prędzej czy później wrócą. Czemu miałby ścigać tylko tę małą cipę, skoro mógł dostać całą siódemkę tych małych gnojków?

Czekali i obserwowali. Victor i Belch sprawiali wrażenie, jakby spali z otwartymi oczyma. Oczekiwanie nie trwało długo, ale Henry zdołał przypomnieć sobie wiele różnych rzeczy. Na przykład to, jak rano znalazł swój sprężynowiec. To nie był ten sam nóż, który miał pod koniec roku szkolnego, tamten musiał zgubić dawno temu. Ten wyglądał na lepszy. Otrzymał go pocztą. Tak to można określić.

Stał na werandzie, patrząc na skrzynkę pocztową, do której umocowano balony. Dwa do metalowego haka, na którym listonosz niekiedy

zawieszał paczki. Inne przywiązano do chorągiewki. Czerwone, żółte, niebieskie, zielone. Zupełnie jakby nocą przez Witcham Road przejechał jakiś dziwny cyrk i zostawił po sobie te pamiątki. Kiedy podchodził do skrzynki, zobaczył, że na balonach widniały twarze – twarze dzieciaków, które przez całe lato robiły go w konia i które tyle razy zdołały wystrychnąć go na dudka.

Patrzył na nie z rozdziawionymi ustami i wtedy balony, jeden po drugim, zaczęły pękać. To świetnie, zupełnie jakby pękały pod wpływem samych jego myśli – jakby zabijał tych gnojków swymi myślami. Nagle klapka skrzynki pocztowej otwarła się samorzutnie. Henry podszedł do niej i zajrzał do środka. Choć listonosz miał się pojawić nie wcześniej niż po południu, Henry wcale się nie zdziwił, widząc wewnątrz płaską, prostokątną paczuszkę. Wyjął ją. P. Henry Bowers, Derry 2, Maine. Był nawet swego rodzaju adres zwrotny: P. Robert Gray, Derry, Maine.

Rozpakował przesyłkę, upuszczając brązowy papier na ziemię. Wewnątrz znajdowało się białe pudełko. Otworzył je. Na wyściółce z waty leżał nóż sprężynowy. Zabrał go do domu. W ich wspólnej sypialni ojciec leżał na sienniku,

otoczony pustymi puszkami po piwie, a wielki kałdun wylewał się zza gumki żółtych spodenek. Henry ukląkł obok, nasłuchując jego pochrapywania i poszumu oddechu, patrząc, jak końskie wargi ojca wydymają się i trzepoczą przy każdym wydechu. Przyłożył zaopatrzony w otwór koniec sprężynowca do grubego karku ojca, który poruszył się nieznacznie, a potem znów zapadł w pijacki sen. Henry trzymał tak nóż około pięciu minut; jego wzrok był tępy i nieobecny. Opuszką palca gładził pieszczotliwie srebrny guzik w rękojeści sprężynowca.

Coś z księżyca przemówiło do niego… szeptało niczym wiosenny wiatr, który jest gorący, ale gdzieś w jego wnętrzu tkwi lodowate ostrze, brzęczał jak gniazdo pełne rozjuszonych szerszeni, wykrzykiwał niczym zachrypnięty polityk.

To, co usłyszał, było w gruncie rzeczy w porządku i Henry nacisnął srebrny guzik. Wewnątrz rozległ się szczęk i sprężyna została poluzowana, a potem sześć cali stalowego ostrza przeszyło szyję Butcha Bowersa. Weszło łatwo, jak zęby widelca w pierś dobrze wysmażonego kurczęcia. Czubek ostrza, ociekający krwią, wyszedł z drugiej strony gardła. Butch otworzył oczy. Spojrzał w sufit. Jego usta się otwarły. Krew

pociekła mu z kącików i spłynęła w stronę uszu. Zaczął się dławić. Pomiędzy wargami pojawił się i pękł wielki, krwisty pęcherz. Jedna z jego dłoni przesunęła się w stronę kolana Henry'ego i ścisnęła je z całej siły. Henry'ego to nie obchodziło. W końcu dłoń spadła. Chwilę potem ustał również charkot. Butch Bowers wyzionął ducha.

Henry wyjął nóż, wytarł go w brudne prześcieradło, którym był nakryty siennik ojca, i ponownie wsunął ostrze w rękojeść, dopóki nie usłyszał charakterystycznego szczęku. Spojrzał na ojca bez zbytniego zainteresowania. Wiedział, co ma robić, kiedy klęczał obok Butcha, przytykając nóż do jego szyi. Słyszał polecenie. Dlatego też Henry poszedł do drugiego pokoju, by zadzwonić do Belcha i Victora. I teraz byli tu we trzech. Pomimo upiornego bólu jąder, który nie dawał mu spokoju, wybrzuszenie w kieszeni spodni, gdzie tkwił nóż, dodawało mu otuchy.

Czuł, że już niebawem zacznie się jatka. Pozostali wrócą tu, żeby znów bawić się w te idiotyczne zabawy, a wtedy zacznie się jatka. Wiedział to od chwili, kiedy klęczał obok ojca i kiedy idąc ulicą, nie mógł oderwać wzroku od bladego, widmowego dysku na niebie. Zobaczył, że na księżycu rzeczywiście był jakiś człowiek…

dostrzegł przerażające, świecące upiorne oblicze z kraterami zamiast oczu i gładkim uśmiechem, który sięgał niemal do kości policzkowych. To mówiło do niego przez całą drogę do miasta. „Pływamy tu, Henry, wszyscy pływamy i ty też będziesz pływał. Zabij ich wszystkich, Henry", usłyszał głos z księżyca i Henry zrozumiał wszystko, jak należy. Henry podzielał tę emocję. Zabije ich wszystkich, swoich dręczycieli, a potem te uczucia – że tracił władzę, był wciągany do większego świata, nad którym nie potrafił już zapanować, tak jak dominował na boisku w szkole podstawowej w Derry, i że w tym rozleglejszym świecie grubas, czarnuch i jąkała mogliby coś osiągnąć i stać się lepsi od niego, podczas gdy jego czekała jedynie starość – znikły.

Zabije ich wszystkich i głosy, te wewnątrz i ten, który słyszał z księżyca, dadzą mu spokój. Zabije ich, a potem wróci do domu i będzie siedział na tylnej werandzie domu, z samurajskim pamiątkowym mieczem ojca na podołku. Wypije piwo. Będzie też słuchał radia, ale nie transmisji z meczu baseballu. Baseball powodował otępienie. Posłucha raczej trochę rocka. Choć Henry o tym nie wiedział (a nawet gdyby wiedział, i tak by się tym nie przejął), zgadzał się z Frajerami w jednym – że rock and

roll był wdechowy. „Mamy kurczaki w stodole, czyjej stodole, jakiej stodole, mojej stodole”. Wtedy wszystko będzie, och, wszystko będzie w dechę, ekstra i super, a to, co potem, nie będzie miało znaczenia. Głos zajmie się nim, wyczuwał to. Jeżeli zajmowałeś się Tym, To zajmowało się w zamian tobą. W Derry zawsze tak było.

Trzeba tylko powstrzymać te dzieciaki i należało to zrobić jak najszybciej, zaraz, teraz, dziś. Henry wyjął z kieszeni nóż, obejrzał go, obrócił w jedną, potem w drugą stronę, podziwiając promienie słońca pobłyskujące na chromowanych elementach rękojeści. A potem Belch złapał go za rękę i syknął.

– Patrzaj no, Henry! Rany kooota! Patrzaj no!

Henry spojrzał i nagle zrozumiał. Prostokątny fragment murawy pośrodku uniósł się jak pod wpływem czarów, odsłaniając powiększający się prostokąt czerni pod spodem.

Przez chwilę poczuł pod sercem ukłucie przerażenia, kiedy przyszło mu na myśl, że to mógł być właściciel głosu… bo był pewny, że To żyło gdzieś pod miastem. A potem usłyszał zgrzyt grudek ziemi w zawiasach i zrozumiał. Nie mogli zobaczyć domku na drzewie, bo po prostu nie istniał.

– Na Boga, my na nich staliśmy! – mruknął Victor, a kiedy w otworze pośrodku polany pojawiły się głowa i ramiona Bena, zrobił gwałtowny ruch, jakby chciał rzucić się w jego stronę.

Henry schwycił go mocno i przytrzymał.

– Nie złapiemy ich, Henry? – zapytał Victor, kiedy Ben wydostał się z ziemianki.

– Dostaniemy ich – rzekł Henry, nie spuszczając wzroku ze znienawidzonego grubasa.

Jeszcze jeden z tych, co to lubią kopać po jajach. Jak ci nakopię, to jaja ci się tak podniosą, że będziesz mógł je nosić zamiast kolczyków, ty gruby chuju. Poczekaj tylko, zobaczysz, że tak będzie. Nie martw się.

Grubas pomagał dziwce wydostać się z jamy. Rozejrzała się z powątpiewaniem i przez moment Henry miał wrażenie, że patrzy prosto na niego. Potem odwróciła wzrok. Mamrotali coś przez chwilę między sobą, a potem weszli w gęste zarośla i znikli.

– Idziemy – rzekł Henry, kiedy trzask pękających gałęzi i szelest liści stał się prawie niesłyszalny. – Pójdziemy za nimi. Ale miejcie się na baczności i bądźcie cicho. Chcę dostać ich wszystkich, razem. – Cała trójka przeszła przez

polanę, jak żołnierze na patrolu. Szli pochyleni, z rozszerzonymi, czujnymi oczyma. Belch zatrzymał się, by zajrzeć w głąb klubowego domku, i z podziwem pokręcił głową.

– Siedziałem dokładnie nad ich głowami – powiedział.

Henry niecierpliwie nakazał mu, by szedł za nim. Ruszyli ścieżką, żeby robić mniej hałasu. Znajdowali się w połowie drogi do Kansas Street, kiedy nieomal dokładnie przed nimi pojawili się trzymający się za ręce (cóż za słodki, cudowny obrazek, nieprawdaż?) grubas i ruda dziwka. Na szczęście byli odwróceni plecami do Henry'ego i jego kolesiów i żadne z nich się nie obejrzało. Henry, Victor i Belch zamarli, a potem ukryli się w mrocznych zakolach na skraju ścieżki. Niebawem Ben i Beverly byli tylko dwiema koszulkami widocznymi pośród gęstwy krzewów. Trzej chłopcy ponownie podjęli pościg… ale poruszali się bardzo ostrożnie. Henry znów wyjął z kieszeni nóż i…

9

Henry na stopie – 2.30

…nacisnął chromowany guzik w rękojeści. Ostrze wyskoczyło ze szczękiem. Spojrzał na nie z rozmarzeniem w księżycowym blasku. Lubił błysk światła księżyca na srebrzystym ostrzu. Nie miał pojęcia, która może być godzina. Na przemian to odpływał, to znów powracał do rzeczywistości.

Nagle jakiś dźwięk wdarł się do jego świadomości i zaczął narastać. To był dźwięk silnika samochodu. Zbliżał się. Oczy Henry'ego rozszerzyły się w ciemności. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści noża, czekając, aż samochód go minie. Nie minął. Wóz zatrzymał się na rogu ulicy za żywopłotem okalającym budynek seminarium i po prostu stał tam na jałowym biegu. Krzywiąc się (jego brzuch zrobił się teraz sztywny, twardy niczym deska, a krew wypływająca leniwie spomiędzy palców miała konsystencję soku, który wybiera się z klonów pod koniec marca lub na początku kwietnia), podniósł się na kolana i rozsunął sztywne gałęzie żywopłotu. Widział sylwetkę samochodu i światło bijące z reflektorów. Gliny. Jego dłoń

zacisnęła się na nożu i rozluźniła, zacisnęła i rozluźniła.

– *Podesłałem ci samochód, Henry* – usłyszał – *coś w rodzaju taksówki, kapujesz. Musimy jak najszybciej dowieźć cię do Town House. Robi się późno*.

Rozległ się rechot i zapadła cisza. Teraz słychać było tylko świerszcze i regularne pomrukiwanie silnika samochodu.

Dźwiękiem przypomina tłumiki cherry-bomb, pomyślał Henry ni stąd, ni zowąd. Podniósł się niezgrabnie i ruszył w stronę chodnika przy seminarium. Spojrzał na samochód. To nie był radiowóz. Brakowało koguta i w ogóle kształt miał inny. Kształt był… stary. Henry ponownie usłyszał chichot… a może to tylko wiatr. Wyłonił się z cienia żywopłotu, przepełznął pod łańcuchem, ponownie wstał i zaczął iść w stronę samochodu, który istniał w czarno-białym, pocztówkowym, polaroidowym świecie jasnego blasku księżyca i nieprzeniknionego cienia.

Henry był w fatalnym stanie. Jego koszula poczerniała od krwi, która przesiąkła również przez spodnie aż do wysokości kolan. Twarz pod przyciętymi na modłę szpitalną krótkimi włosami była białą, ciastowatą plamą. Dotarł do skrzyżowania ścieżki biegnącej z seminarium

i chodnika i spojrzał na samochód, próbując rozpoznać postać siedzącą za kółkiem. Najpierw jednak rozpoznał wóz – właśnie taki zawsze chciał mieć jego ojciec, zarzekał się, że kiedyś taki kupi – plymouth fury rocznik pięćdziesiąty ósmy. Czerwono-biały, a Henry wiedział (czy jego ojciec nie powtarzał mu tego w nieskończoność?), że pod maską pracuje silnik V-8 327. Dwieście pięćdziesiąt pięć koni mechanicznych, zdolny osiągnąć prędkość rzędu siedemdziesięciu mil w dziewięć sekund. „Będę miał ten wóz, a kiedy umrę, to mnie w nim pochowają”, mawiał z dumą Butch… tyle że naturalnie nigdy nie kupił takiego wozu, a co się tyczy pogrzebu, został pochowany na koszt państwa, po tym jak Henry’ego, szalejącego i wrzeszczącego o jakichś potworach, odwieziono do czubków.

Nie wiem, czy to zniosę, jeśli to on jest tam w środku, pomyślał Henry; zaciskając dłoń na nożu i kołysząc się po pijacku w przód i w tył, przypatrywał się postaci za kierownicą. A potem otworzyly się drzwi od strony pasażera starego plymoutha fury; zabłysła sufitowa lampka i kierowca odwrócił się, by na niego spojrzeć. To był Belch Huggins. Jego twarz znajdowała się w stanie daleko posuniętego rozkładu. Nie miał

jednego oka, a gnijąca dziura w jednym pergaminowym policzku ukazywała poczerniałe zęby. Belch miał na głowie czapkę baseballową Jankesów, tak jak w dniu, kiedy zginął. Była odwrócona daszkiem do tyłu i pokryta szarozieloną pleśnią.

– Belch! – zawołał Henry i potworny ból przeszył jego żołądek, wyrywając z jego ust przeciągły, bezgłośny okrzyk.

Martwe usta Belcha rozciągnęły się w uśmiechu, rozchylając szarobiałe, pozbawione krwi fałdy. Wyciągnął zapraszającym gestem jedną pokrzywioną dłoń w stronę otwartych drzwiczek. Henry zawahał się, po czym przeczłapał obok lśniącego pyska fury, muskając jedną ręką sterczący na masce emblemat w kształcie litery V, tak jak zawsze to robił, jeszcze jako dziecko, gdy ojciec zabierał go do salonu samochodowego w Bangor, aby obejrzeć identyczny samochód.

Kiedy dotarł do boku wozu, ogarnęła go łagodna fala słabości i musiał złapać się drzwiczek, aby utrzymać się na nogach. Stał z pochyloną głową, oddychając płytko i gwałtownie. Wreszcie świat powrócił – a w każdym razie częściowo – i Henry zdołał ominąć drzwiczki i wgramolić się na siedzenie.

Ból ponownie zaczął wżerać mu się w trzewia i świeża krew splamiła jego dłoń. Przypominała ciepłą galaretkę. Odchylił nieco głowę do tyłu i zagryzł zęby. Żyły wystąpiły mu na szyi. Wreszcie ból z wolna zaczął ustępować.

Drzwi zamknęły się same. Henry zobaczył, jak jedna z gnijących dłoni Belcha zaciska się na drążku zmiany biegów i wrzuca jedynkę. Poprzez gnijące ciało na palcach Belcha przeświywały białe kości. Fury zaczął jechać wzdłuż Kansas Street w stronę Milowego Wzgórza.

– Jak się masz, Belch? – Henry usłyszał własny głos. Ale to przecież było idiotyczne. Belch nie odpowiedział. Jedynym, zapadłym w głąb oczodołu okiem lustrował drogę. Jego zęby pobłyskiwały upiornie do Henry'ego przez strzępiastą dziurę w policzku. Henry bardzo niewyraźnie uświadomił sobie, że stary Belch cuchnął zgnilizną. Prawdę mówiąc, śmierdział jak skrzynka starych, dawno zgniłych pomidorów. Schowek na rękawiczki otworzył się, klapa uderzyła Henry'ego w kolana i w świetle małej żaróweczki zobaczył wewnątrz napoczętą butelkę texas driver. Wyjął ją, otworzył i pociągnął tęgi łyk. Płyn spłynął w głąb jego przełyku gładko i bez przeszkód, a potem zaczął palić w żołądku niczym lawa. Wzdrygnął się,

jęknął… a potem poczuł się jakby trochę lepiej, nieco bardziej złączony ze światem. – Dzięki – powiedział.

Belch odwrócił głowę w jego stronę. Henry słyszał skrzypienie ścięgien w szyi tamtego. Przypominało to zgrzyt starych, nienaoliwionych zawiasów. Belch przyglądał mu się przez chwilę swym martwym okiem i Henry po raz pierwszy uświadomił sobie, że Belch nie miał większej części nosa. Wyglądało na to, że coś mu go wyżarło. Może pies. A może szczury. Najprawdopodobniej szczury. W tunelach, gdzie zagonili tamtego dnia te dzieciaki, roiło się od szczurów.

Teraz równie wolno jak poprzednio odwrócił głowę, by powrócić do obserwacji drogi. Henry ucieszył się z tego. Nie wytrzymałby zbyt długo tego upiornego wzroku. W mętnym spojrzeniu jedynego oka Belcha było coś… Wymówka? Gniew? Co?

Za kierownicą tego samochodu siedzi martwy chłopak.

Henry spojrzał na swoją rękę i zobaczył, że ciało ma pokryte gęsią skórką. Szybko pociągnął kolejny łyk z butelki. Tym razem efekt był nieco łagodniejszy, a ciepło rozeszło się szybciej po jego wnętrzu.

Plymouth zjechał ze zbocza Milowego Wzgórza i objechał skrzyżowanie w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara… tylko że teraz na skrzyżowaniu nie było żadnych innych samochodów, a światła przy skrzyżowaniu były wyłączone. Migały jedynie żółte – ostrzegawcze, regularnie zalewające puste ulice i najbliższe budynki miodowym blaskiem. Było tak cicho, że Henry słyszał trzask przekaźników w sygnalizatorach… a może tylko mu się to wydawało?

– Nie chciałem cię zostawić tamtego dnia, Belch – rzekł Henry. – To znaczy nie chcę, żebyś tak myślał…

Znów skrzypienie starych, wysuszonych ścięgien. Belch raz jeszcze spojrzał nań swym jedynym, zapadniętym okiem. I jego usta rozciągnęły się w makabrycznym uśmiechu, odsłaniając szaroczarne dziąsła.

Co ma znaczyć ten uśmiech? – zapytał sam siebie Henry, podczas gdy wóz sunął gładko w górę Main Street, mijając po jednej stronie sklep Freese’a i bar Nan’s, a po drugiej kino Aladyn. Czy ma oznaczać przebaczenie? Uśmiech starego kumpla? A może ten uśmiech oznacza: „Mam zamiar cię załatwić, załatwię cię, Henry, za

to, że uciekłeś i zostawiłeś mnie i Vica na pewną śmierć”? Jakiego typu jest ten uśmiech?

– Musisz zrozumieć, jak było – powiedział Henry, a potem umilkł. Jak to było? W jego umyśle panował chaos, poszczególne elementy wirowały w obłędnym tańcu niczym części układanki zrzuconej z blatu stolika w sali wypoczynkowej zakładu Juniper Hill. Właśnie, jak to było? Śledzili grubasa i tę małą gnojówę aż do Kansas Street i zaczaili się w krzakach; obserwowali, jak tamci wchodzą po zboczu nasypu na samą górę. Gdyby zniknęli im z oczu, on, Victor i Belch po prostu zarzuciliby czekanie i ukrywanie się i ruszyliby za nimi w pogoń – lepiej dostać choć dwójkę zamiast żadnego, a co się tyczy reszty, rozprawią się z nimi w swoim czasie. Ale tamci nie znikli im z oczu. Stali, oparci o płot, rozmawiając i obserwując ulicę. Raz po raz popatrywali w dół zbocza w stronę Barrens, ale Henry i jego dwaj kumple byli dobrze ukryci. Henry przypomniał sobie, że się zachmurzyło, ze wschodu nadciągnęły chmury deszczowe, powietrze zrobiło się gęste. Zanosiło się na niezłą ulewę.

Ale co się stało potem? Co?

Koścista, skórzasta dłoń zacisnęła się na jego przedramieniu i Henry krzyknął. Znów pogrążał

się w szarości, ale potworne dotknięcie ręki Belcha i sztylet bólu w żołądku sprowadziły go z powrotem. Obejrzał się wkoło i okazało się, że twarz Belcha jest oddalona o nie więcej niż dwa cale od jego twarzy. Wciągnął powietrze do płuc i zaraz tego pożałował. Stary, dobry Belch naprawdę się rozkładał. Henry ponownie skojarzył ten smród z fetorem pomidorów gnijących gdzieś w ciemnym kącie starej szopy. Żołądek podszedł mu do gardła. I nagle przypomniał sobie zakończenie, a w każdym razie to, co było końcem dla Belcha i Vica. Jak stali w kanale, mając wysoko nad głowami stalową kratownicę, i zastanawiali się, co robić dalej, i jak wtedy z ciemności coś się wyłoniło. Coś… Henry nie potrafił określić, co to było. A potem Victor krzyknął:

– Frankenstein! To Frankenstein!

Rzeczywiście było to monstrum Frankensteina, z bolcami wystającymi z szyi i głęboką, poprzecinaną szwami blizną na czole – na stopach miało wielkie buty i szło, powłócząc nogami.

– Frankenstein! – wrzasnął Vic. – Fr…

A w następnej chwili Vic nie miał już głowy. Jego głowa poleciała przez tunel kanału, by przy wtórze mokrego, obrzydliwego plaśnięcia rąbnąć

w przeciwległą ścianę. Spojrzenie wodnistych, żółtawych oczu potwora padło na Henry'ego i Bowers znieruchomiał. Pęcherz odmówił mu posłuszeństwa i Henry poczuł ciepły strumień ściekający mu po nogach. Stwór ruszył wolno w jego stronę i wtedy Belch… Belch…

– Posłuchaj, wiem, że uciekłem – rzekł Henry. – Nie powinienem był tego robić. Ale… ale…

Belch tylko patrzył.

– Zgubiłem się – wyszeptał Henry, jakby chciał powiedzieć Belchowi, że on też zapłacił słoną cenę. Brzmiało to co nieco trywialnie. „Tak, wiem, Belch, że zginąłeś, ale nie wyobrażasz sobie, jaka wielka drzazga utkwiła mi pod paznokciem". To było okropne… naprawdę okropne. Przez wiele godzin krążył po świecie cuchnącego mroku, a potem, jak sobie przypominał, zaczął krzyczeć. W którymś momencie upadł; leżał tak długo, otępiały, nie mogąc się poruszyć i myślał: O Boże, za minutę umrę i nareszcie się stąd wydostanę, a potem znalazł się w nurcie bystro płynącej wody. Pod kanałem, jak przypuszczał. Wypłynął na powierzchnię (powoli zaczynało już zmierzchać) dotarł do brzegu i w końcu wygramolił się z Kenduskeag niecałe pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie dwadzieścia sześć lat później

utonie Adrian Mellon. Poślizgnął się, zarył głową w ziemię i stracił przytomność. Kiedy się ocknął, było już ciemno. Jakimś trafem dotarł do Route 2 i złapał autostop, aby dotrzeć do domu. A tam już czekali na niego gliniarze. Ale to było dawno. Belch stanął przed monstrum Frankensteina i To obdarło mu lewą stronę głowy do gołej czaszki – tyle zdołał zobaczyć Henry, zanim rzucił się do ucieczki. A teraz Belch wrócił i zamierzał mu coś zrobić.

Henry zobaczył, że zatrzymali się przed Derry Town House, i nagle wszystko zrozumiał. Town House był jedynym hotelem z prawdziwego zdarzenia, jaki pozostał w Derry. W 1958 roku były jeszcze Eastern Star na końcu Exchange Street i Traveller's Rest przy Torrault Street. Oba zniknęły podczas przebudowy miasta (Henry wiedział o tym, bo codziennie w Juniper Hill czytał „Derry News").

Został tylko Town House i kilka marnych motelików przy autostradzie międzynarodowej. Tam właśnie będą, pomyślał, właśnie tam. Wszyscy, którzy jeszcze pozostali. Śpią w łóżkach, a w ich myślach pojawiają się wizje słodkości… a może kanałów. I dostanę ich. Dostanę ich wszystkich. Jednego po drugim.

Ponownie pociągnął z butelki. Świeża krew spłynęła mu na podołek, a siedzenie pod nim było wilgotne i lepkie, lecz wino sprawiało, że nie zwracał na to uwagi. Wolałby wprawdzie bourbon, ale lepsze to niż nic.

– Posłuchaj – rzekł do Belcha. – Przepraszam, że uciekłem. Nie wiem, dlaczego uciekłem. Proszę… nie wściekaj się.

Belch przemówił po raz pierwszy i ostatni, ale głos nie był jego. Płynął z gnijących ust Belcha i był głęboki i mocny – budzący grozę. To był głos z księżyca, głos klowna, ten sam, który słyszał w snach o kanałach i ściekach.

– Po prostu stul dziób i dorwij ich – rzekł.

– Jasne – wysapał Henry. – Jasne. Chcę tego. Nie ma sprawy. Włożył butelkę na powrót do schowka. Jej szyjka zagrzechotała niczym zęby. W schowku zauważył kartkę. Wyjął ją i rozłożył, zostawiając na rogach ślady krwi. Na kartce, pośrodku, widniało szkarłatne logo z następującym napisem:

PREZENT OD PENNYWISE'A

Poniżej drukowanymi literami napisano:

BILL DENBROUGH 311
BEN HANSCOM 404
EDDIE KASPBRAK 609
BEVERLY MARSH 518
RICHIE TOZIER 217

Numery ich pokojów. To było dobre. W ten sposób oszczędzi czasu.

– Dzięki, Be…

Ale Belch zniknął. Fotel kierowcy był pusty. Leżała tam tylko pokryta pleśnią czapka baseballowa, gałkę dźwigni skrzyni biegów pokrywała śliska breja. Henry patrzył… serce podeszło mu do gardła. I nagle usłyszał, jak coś porusza się i przesuwa na tylnym siedzeniu. Wysiadł, szybko otwierając drzwiczki i w pośpiechu prawie wypadając na chodnik.

Ominął samochód (który wciąż pomrukiwał cichutko przez tłumiki cherry-bomb, zakazane w Maine od sześćdziesiątego drugiego) szerokim łukiem.

Miał trudności z chodzeniem. Każdy krok rozdzierał mu żołądek. W końcu dotarł do chodnika i stał tam, patrząc na siedmiopiętrowy ceglany budynek, który obok biblioteki, kina Aladyn i seminarium był jednym z niewielu, jakie dobrze pamiętał z dawnych lat. W oknach

górnych pięter było ciemno, ale kuliste lampy po bokach wejścia błyszczały łagodnie w ciemności, okolone otoczką wilgoci z płożącej się nad ziemią mgiełki.

Henry z trudem podszedł do nich i minąwszy je, otworzył jedno skrzydło drzwi. W holu panowała cisza. Podłogę pokrywał wyblakły turecki dywan. Na suficie widniały freski przedstawiające sceny z okresu, gdy Derry było miastem drwali i żyło ze spławiania drewna. Znajdowały się tu wielkie, nieco zbyt pękate sofy i fotele oraz potężny kominek, obecnie wygasły i milczący – z jedną jedyną kłodą drewna opałowego rzuconą niedbale na stalowy ruszt, bo to był prawdziwy kominek, opalany drewnem, a nie gazem. Kominek w Derry Town House był autentyczny. Z niskich doniczek wylewały się bujne rośliny. Podwójne szklane drzwi prowadzące do baru i restauracji były zamknięte. Henry słyszał dochodzące z wewnętrznego biura dźwięki przygaszonego telewizora.

Przeczłapał przez hol; spodnie i koszulę miał przesiąknięte krwią. Krew plamiła wnętrze jego dłoni, spływała po policzkach, a szkarłatne smugi na czole Henry’ego mogły się kojarzyć z indiańskimi barwami wojennymi. Oczy wychodziły mu z orbit. Gdyby teraz, w holu, ktoś

go zobaczył, z pewnością uciekłby z krzykiem. Ale nie było tu żywego ducha. Drzwi windy otworzyły się, gdy tylko nacisnął guzik z napisem: „Góra”. Spojrzał na trzymaną w dłoni kartkę, a potem na przyciski w ścianie windy. Po chwili namysłu nacisnął szóstkę i drzwi się zamknęły. Rozległ się cichy szum maszyn, kiedy winda zaczęła sunąć w górę.

Pomyślał, że równie dobrze mógłby zacząć od góry i potem stopniowo schodzić na dół. Oparł się o tylną ścianę kabiny, miał półprzymknięte oczy. Szum windy go uspokajał. Kojarzył mu się z odgłosem pomp systemu kanałowego. Ten dzień – wspomnienie powracało raz po raz. To wszystko wydawało mu się z góry zaplanowane – zupełnie jakby oni wszyscy odgrywali tylko swoje role. Przypomniał sobie, że Vic i stary Belch sprawiali wrażenie… naćpanych. Przypomniał sobie…

Kabina zatrzymała się gwałtownie; zatoczył się, a co za tym idzie, kolejna fala bólu przeszyła jego żołądek. Drzwi otworzyły się i Henry wyszedł na spowity ciszą korytarz (było tu więcej roślin, roślin pnących się jak pajęczyny – nie chciał dotknąć żadnej z nich, nie chciał poczuć pod palcami tych lepkich, zielonych pnączy; kojarzyły mu się one aż za bardzo z rzeczami,

które widział, zwisającymi w ciemnościach). Ponownie zerknął na kartkę. Kaspbrak mieszkał w 609. Henry ruszył w tę stronę, opierając się jedną ręką o ścianę i zostawiając za sobą krwawą, rozmazaną smugę na tapecie (naturalnie kiedy mijał rośliny, odsuwał się na bok – nie chciał Tego dotykać). Jego oddech był ochrypły i suchy. Dotarł na miejsce. Henry wyjął z kieszeni nóż sprężynowy, oblizał językiem spierzchnięte wargi i zapukał do drzwi. Nic. Zapukał powtórnie – tym razem głośniej.

– Gdo dam?

Zaspany głos. To dobrze. Będzie na wpół przytomny, łatwy do zlikwidowania. A kiedy otworzy drzwi, Henry wbije mu nóż prosto w szyję, w zagłębienie pod jabłkiem Adama, najbardziej nadające się do tego miejsce.

– Boy, psze pana – rzekł Henry. – Mam wiadomość od pana żony.

Czy Kaspbrak miał żonę? Może popełnił błąd, mówiąc to. Czekał czujny i pełen niepokoju. Usłyszał kroki… szuranie stóp w pantoflach.

– Od Myry?

Głos był zaniepokojony. To dobrze. Lada moment zaniepokoi się jeszcze bardziej. Henry czuł pulsowanie w prawej skroni.

– Chyba tak, psze pana. Nie ma imienia. Powiedziano mi tylko, że to od pana żony.

Nastała chwila ciszy, a potem rozległ się metaliczny brzęk, gdy Kaspbrak mocował się z łańcuchem, Henry z uśmiechem nacisnął przycisk rękojeści noża. Uniósł nóż tak, że ostrze znajdowało się na wysokości jego policzka, gotowe do zadania ciosu. Usłyszał szczęk przekręcanej zasuwy. Za moment wbije ostrze sprężynowca w gardło tego małego, chudego gnoja. Czekał. Drzwi otworzyły się i Eddie…

10

Frajerzy wszyscy razem – 13.20

…zobaczył Stana i Richiego wychodzących akurat ze sklepu na Costello Avenue; obaj jedli rockety na patykach.

– Hej! – zawołał. – Zaczekajcie!

Odwrócili się i Stan pomachał ręką. Eddie podbiegł, by jak najszybciej do nich dołączyć – ale, rzecz jasna, wcale nie biegł szybko. Jedną rękę miał obłożoną gipsowym opatrunkiem, a pod drugą ściskał planszę do gry w *parcheesi*.

– Co powisz, Eddie, co nam powisz? – spytał Richie głosem dżentelmena południowca (choć

bardziej przypominał on głos Kuraka Leghorna z kreskówek Warner Bros). – Ech, powim… ech, powim… tyn chłopak ma złamanom renke! Powim, bądź dobrym kumplym i weź łod niego *parcheesi*.

– Poniosę… – rzekł Eddie nieco zdyszany. – A dasz liznąć rocketa?

– Twojej mamie to by się nie spodobało – rzucił ze smutkiem Richie i zaczął jeść szybciej. Właśnie dotarł do czekoladowego nadzienia, które lubił najbardziej. – Zarazki, chłopcze! Jak jesz z kimś, możesz się nażreć zarazków!

– Zaryzykuję – powiedział Eddie.

Richie z wahaniem podsunął rocketa do ust Eddiego… i zaraz mu go zabrał. Eddie zdążył liznąć zaledwie kilka razy.

– Możesz zjeść mojego do końca, jeśli chcesz – powiedział Stan. – Ja jestem już pełny. Zjadłem za duży obiad.

– Żydzi dużo nie jedzą – poinformował Richie. – To część ich religii.

Cała trójka żwawszym krokiem szła teraz w stronę Kansas Street i Barrens. Całe Derry zdawało się pogrążone w popołudniowej drzemce. Żaluzje w większości okien domów, które mijali, były opuszczone. Na trawnikach stały porzucone zabawki, jakby ich właściciele

zostali pospiesznie oderwani od zabawy albo zawołano ich do domów na popołudniową drzemkę.

– Naprawdę? – spytał Eddie Stana.

– Nie, Richie robi sobie z ciebie jaja – rzekł Stan. – Żydzi jedzą tyle samo co inni. – Wskazał na Richiego. – Tak jak i on.

– Wiesz, jesteś podły, mówiąc tak o Stanie – powiedział Eddie Richiemu. – Jak byś się czuł, gdyby ktoś zaczął opowiadać podobne bzdury o tobie tylko dlatego, że jesteś katolikiem?

– Och, katolicy robią wiele takich rzeczy – rzekł Richie. – Tata powiedział mi kiedyś, że Hitler był katolikiem, a przecież Hitler zabił miliony Żydów. No nie, Stan?

– Tak, chyba tak – odparł Stan. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Moja mama była wściekła, kiedy ojciec mi to powiedział – ciągnął Richie. Na jego twarzy pojawił się drobniutki uśmieszek towarzyszący wspomnieniom. – Wściekła jak diabli. Absolutnie. My, katolicy, mieliśmy również inkwizycję, która kojarzy się z dybami, śrubami do zgniatania palców i innymi tego typu rzeczami. Wydaje mi się, że wszystkie religie są trochę dziwne.

– Mnie też – rzekł cicho Stan. – Nie jesteśmy ortodoksami czy kimś takim. To znaczy jemy

szynkę i bekon. Prawdę mówiąc, nie wiem dokładnie, co to naprawdę znaczy być Żydem. Urodziłem się w Derry i czasami, na przykład w Jom Kippur, jeździmy do Bangor, żeby pomodlić się w synagodze, ale… – Wzruszył ramionami.

– Szynkę? Bekon? – Eddie zastanawiał się głośno. On i matka byli metodystami.

– Ortodoksi tego nie jedzą – wyjaśnił Stan. – W Torze napisano, aby nie jeść niczego, co tarza się w błocie albo kroczy po dnie oceanu. Nie wiem, jak to brzmi konkretnie, ale właśnie o to chodzi. I dlatego ortodoksom nie wolno jeść mięsa świń i homarów. Ale moi rodzice je jedzą. I ja też.

– To dziwne – rzucił Eddie i wybuchnął śmiechem. – Nigdy nie słyszałem o religii, która mówiłaby ci, co masz jeść. Następną rzeczą będzie powiedzenie ci, jaką benzynę masz kupować.

– Koszerną – rzekł Stan i wybuchnął śmiechem. Ani Richie, ani Eddie nie zrozumieli, z czego się śmiał.

– Musisz przyznać, Stanny, że to dość dziwne – rzekł Richie. – To znaczy… nie jeść parówek tylko dlatego, że się jest Żydem.

– Tak? – spytał Stan. – A ty jesz mięso w piątki?

– A skąd? Nie! – rzucił Richie wyraźnie poruszony. – W piątek nie je się mięsa, bo… bo… – Zaczął się uśmiechać. – No dobra, już wiem, o co ci chodzi.

– Czy katolicy rzeczywiście idą do piekła, jeżeli jedzą mięso w piątki? – spytał zafascynowany Eddie, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że jeszcze dwa pokolenia temu jego przodkowie byli praktykującymi polskimi katolikami i zjedzenie mięsa w piątek byłoby dla nich tym samym, czym wyjście nago na ulicę.

– Dobrze, powiem ci coś, Eddie – rzekł Richie. – Nie przypuszczam, żeby Bóg naprawdę mógł mnie wysłać do piekła tylko za to, że zjadłem w piątek kanapkę z mięsem, ale po co ryzykować. Racja?

– Bo ja wiem. Chyba nie warto – zastanawiał się Eddie. – Ale to wydaje się takie… takie głupie. – Właśnie tak miał zamiar powiedzieć, kiedy przypomniał sobie historię, którą opowiadała pani Portleigh w szkółce niedzielnej, gdy był jeszcze w pierwszej klasie. Bohaterem tej historii był zły mały chłopiec, który podczas rozdawania komunii ukradł parę opłatków hostii i włożył do kieszeni. Po powrocie do domu wrzucił je do

muszli klozetowej, bo chciał wiedzieć, co się wówczas stanie. Natychmiast, przynajmniej tak twierdziła pani Portleigh, woda w muszli zrobiła się jasnoczerwona. „To była krew Chrystusa – powiedziała – i przydarzyło się to temu małemu chłopcu, ponieważ popełnił on bardzo zły czyn, zwany bluźnierstwem. To miało być dla niego ostrzeżeniem, że wrzucając ciało Chrystusa do ubikacji, postawił swoją nieśmiertelną duszę przed groźbą wiecznych mąk piekielnych”. Aż do tej pory Eddie raczej się cieszył z uczestnictwa w komunii, do której został dopuszczony zaledwie w ubiegłym roku. Metodyści zamiast wina używali soku z winogron, a ciało Chrystusa przedstawiały pocięte kostki świeżego cudownego chleba. Podobała mu się idea jedzenia i picia jako rytuału religijnego. Jednakże po usłyszeniu opowieści pani Portleigh jego obawa przed rytuałem zmieniła się w coś o wiele bardziej mrocznego i potężnego. Już samo sięgnięcie po kawałek chleba było aktem wymagającym nie lada odwagi. Zawsze się bał, że kiedy dotknie podsuwanej mu kostki, porazi go prąd… albo, co gorsza, chleb w jego dłoni stanie się czerwony jak krew, a bezcielesna postać powie w kościele: „Niegodny! Niegodny! Bądź przeklęty! Niech cię piekło pochłonie!”. Często po

komunii jego krtań zaciskała się, zaczynał oddychać ze świstem i tylko czekał na błogosławieństwo, by móc wyjść z kościoła i zrobić użytek z aspiratora.

Nie bądź głupi, mawiał do siebie, gdy nieco podrósł. To była tylko opowieść, a pani Portleigh z całą pewnością nie jest święta – mama powiedziała, że ona jest rozwódką i często jeździ do Bangor, aby tam grać w bingo, a przecież prawdziwi chrześcijanie nie uprawiają hazardu, ludzie głęboko wierzący pozostawiają hazard poganom i katolikom.

Wszystko to było jak najbardziej sensowne, niemniej nie przyniosło mu ulgi. Opowieść o hostiach, które sprawiły, że woda w muszli klozetowej zmieniła się w krew, nie dawała mu spokoju, dręczyła, dokuczała, a niekiedy przyprawiała o bezsenność. Doszedł do wniosku, że aby się od tego uwolnić, powinien sam wrzucić do muszli kawałek chleba i przekonać się, co się wówczas stanie.

Jednak przeprowadzenie takiego eksperymentu było ponad jego siły. Wymagało zbyt dużej odwagi. Jego racjonalny umysł nie mógł znieść posępnej, złowieszczej wizji krwi rozlewającej się w oskarżycielskiej strudze wody i ewentualnego potępienia, jakie się z tym

wiązało. Nie mógł tego zrobić. Słowa magicznego obrzędu okazały się zbyt silne: „Oto ciało moje, bierzcie i jedzcie z niego wszyscy. Oto krew moja, która za was i za wielu została przelana”. Nie. Nigdy nie zrobił tego eksperymentu. I nie zrobi.

– Wydaje się, że wszystkie religie są dziwne – powiedział Eddie. Ale potężne, dodał jego umysł, prawie magiczne… a może to było bluźnierstwo? Zaczął się zastanawiać nad tym, co widzieli na Neibolt Street, i po raz pierwszy dostrzegł szaleńcze podobieństwo: wszak wilkołak wyszedł z otworu odpływowego toalety.

– Chłopie, wydaje mi się, że wszyscy śpią – rzekł Richie, wyrzucając nonszalancko opakowanie po rocketach do rynsztoka. – Czy ktokolwiek z was widział kiedyś coś takiego? Czy kiedykolwiek było tu tak cicho? Co jest? Czy wszyscy pojechali na cały dzień do Bar Harbor?

– H-h-hej, chłopaki! – dobiegł ich z tyłu głos Billa Denbrough. – P-p-poczekajcie!

Eddie odwrócił się, zadowolony jak zawsze, gdy słyszał głos Wielkiego Billa. Bill wyjeżdżał właśnie na Silverze zza zakrętu na Costello Avenue – przeganiając Mike’a, choć schwinn Hanlona był niemal całkiem nowy.

– Hej-ho, Silver, naprzóód! – zawołał Bill.

Mknął na Silverze z prędkością blisko dwudziestu mil na godzinę, a karty zaczepione do szprych terkotały głośno. Po chwili zahamował, zostawiając z tyłu na ulicy długi ślad.

– Bill Jąkała! – rzekł Richie. – Jak sie ma? Powidz no, chłopcze, co u ciebie?

– W p-p-porządku – rzekł Bill. – Widzieliście B-b-bena albo B-beverly?

Mike podjechał do nich. Na jego twarzy widniały drobniutkie kropelki potu.

– A tak nawiasem mówiąc, jak szybko jeździ ten rower?

Bill się roześmiał.

– N-nie wiem d-d-dokładnie. D-dość szybko.

– Nie widziałem ich – odrzekł Richie. – Pewno są w Barrens i szlajają się tam. Śpiewają na dwa głosy pieśń o harmonii, o miła ma, kochanie, wyglądasz niby seeeeen, ja ba da ba dum!

Stan Uris wydał z siebie odgłos jak przy wymiotowaniu.

– On po prostu jest zazdrosny – powiedział Richie do Mike'a. – Żydzi nie potrafią śpiewać.

– B-b-b…

– Bip-bip, Richie – rzekł za niego Richie i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Znów zaczęli iść w stronę Barrens; Mike i Bill pchali swoje

rowery. Z początku trochę rozmawiali, ale potem rozmowa przestała się kleić. Patrząc na Billa, Eddie dostrzegł wyraz niepewności na jego twarzy i pomyślał, że cisza udzieliła się również jemu. To, co powiedział Richie, miało być żartem, ale rzeczywiście mogło się wydawać, że wszyscy mieszkańcy Derry udali się tego dnia do Bar Harbor… czy gdziekolwiek. Ulicą nie przejechał ani jeden samochód, ba, nie było widać choćby jednej kobiety idącej do domu i pchającej wózek z zakupami.

– Ale tu cicho, nie? – zagadnął Eddie, ale Richie tylko pokiwał głową. Dotarli do Kansas Street na skraju Barrens i właśnie wtedy zobaczyli biegnących w ich stronę Bena i Beverly. Oboje krzyczeli, Eddie był zaszokowany, widząc, w jakim stanie była Beverly: jej włosy, zawsze umyte i zawiązane schludnie w koński ogon, były roztrzepane i pokryte jakąś brudną, tłustą mazią i błotem. Oczy miała rozszerzone i dzikie. Na jednym z policzków widniało długie zadrapanie. Jej dżinsy były brudne, a bluzka rozerwana. Ben biegł tuż za nią. Brzuch chłopca telepał się na boki.

– Nie możemy zejść do Barrens – wysapała Beverly. – Chłopcy… Henry… Victor… są gdzieś tam… nóż… on ma nóż…

– P-p-powoli – rzekł Bill bez najmniejszego wysiłku, jakby mimochodem obejmując nad nimi dowództwo. Spojrzał na Bena, który czerwony, spocony i zdyszany właśnie do nich dobiegał.

– Ona mówi, że Henry oszalał, Wielki Billu – oznajmił Ben.

– Chryste, a czy on kiedykolwiek był normalny? – zapytał Richie i splunął przez zęby.

– Z-z-zamknij się, R-richie – powiedział Bill, a potem spojrzał na Beverly. – M-m-mów – rzucił.

Dłoń Eddiego wślizgnęła się do kieszeni i dotknęła aspiratora. Nie wiedział, o co w tym wszystkim chodziło, ale czuł, że kroiło się coś złego.

Zmuszając się, by mówić na tyle spokojnie, na ile to możliwe, Beverly zdołała opowiedzieć im okrojoną wersję tego, co się wydarzyło – poczynając od tego, jak Henry, Victor i Belch zaczęli ją gonić, a kompletnie pominąwszy fragment dotyczący jej ojca. Wstydziła się tego, co się stało. Kiedy skończyła, Bill przez chwilę milczał. Miał spuszczoną głowę i trzymał ręce w kieszeniach. Kierownica roweru opierała się o jego klatkę piersiową. Pozostali czekali, popatrując od czasu do czasu na ogrodzenie biegnące wzdłuż skraju stromizny. Bill zastanawiał się dłuższą chwilę i nikt mu w tym

nie przeszkodził. Nagle Eddie uświadomił sobie, że być może teraz dotarli do ostatniego aktu. Przecież właśnie tak odbierał ciszę panującą w miasteczku, nieprawdaż? Miał uczucie, jakby wszyscy mieszkańcy Derry wyjechali, pozostawiając jedynie puste skorupy domów, które zamieszkiwali. Richie myślał o zdjęciu w albumie George'a, zdjęciu, które nagle ożyło, Beverly o swoim ojcu, o tym, jak blade wydawały się jego oczy, a Mike o ptaku. Ben przypomniał sobie mumię i zapach starego cynamonu. Stan Uris myślał o dżinsach, czarnych i ociekających, i dłoniach, również ociekających wodą i białych jak marszczony papier.

– I-i-idziemy – rzekł w końcu Bill. – S-schodzimy tam.

– Bill – powiedział Ben. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie. – Beverly powiedziała, że Henry'emu naprawdę odbiło. I że chciał zabić…

– To nie należy do nich – rzucił Bill, wskazując zieloną połać Barrens rozciągającą się w dole na prawo od nich, gęstwiny krzewów, drzewa, bambusy i refleksy słońca na wodzie. – To n-nie jest ich w-własnością. – Powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół. Sposępniał. – M-m-mam już dość uciekania przed n-n-nimi. P-pokonaliśmy

ich w walce na k-k-kamienie i j-jeśli zajdzie potrzeba, d-dołożymy im p-p-ponownie.

– Ale, Bill – wtrącił Eddie. – A jeśli to nie tylko oni?

Bill odwrócił się do Eddiego, a ten z przerażeniem zobaczył, jak znużone i ściągnięte było jego oblicze. W tej twarzy dostrzegł coś przerażającego, ale dopiero później, jako dorosły, kiedy kładł się spać po spotkaniu w bibliotece, zrozumiał, co go przeraziło – to była twarz chłopca balansującego na granicy szaleństwa, chłopca, który miał trudności z zachowaniem zdrowych zmysłów i podobnie jak Henry nie kierował swoimi posunięciami.

Mimo to Bill był tam nadal, wyglądając spoza tych nawiedzonych, przerażonych oczu… gniewny, pewny siebie, zdeterminowany Bill.

– No cóż – rzekł. – C-c-co, jeśli n-n-nie?

Nikt mu nie odpowiedział. Rozległ się huk grzmotu – tym razem bliżej. Eddie spojrzał w niebo i zobaczył wielkie, czarne, kłębiaste chmury burzowe sunące z zachodu. Będzie lało, aż świnie będą kwiczeć, jak czasami mawiała jego matka.

– A teraz coś w-w-wam powiem – rzekł Bill, patrząc na nich. – Ż-żadne z was n-n-nie musi iść z-ze mną, jeżeli n-nie chce. T-to zależy od w-was.

– Ja idę, Wielki Billu – rzekł cicho Richie.

– Ja też – powiedział Ben.

– Pewno – mruknął Mike, wzruszając ramionami. Beverly i Stan również oznajmili, że idą, Eddie zrobił to ostatni.

– Lepiej, żebyś nie szedł z nami, Eddie – zasugerował Richie. – Twoja ręka jest w nie najlepszym stanie.

Eddie spojrzał na Billa.

– Chcę g-g-go – powiedział Bill. – Ch-chodź ze mną, Eddie. B-będę cię p-p-pilnował.

– Dzięki, Bill – odrzekł Eddie. Nagle zmęczona, na wpół szalona twarz Billa wydała mu się cudowna i kochana; podziwiał go. Gdyby mnie o to poprosił, umarłbym za niego, a przynajmniej tak mi się wydaje. Co to za moc? Jeżeli ona sprawia, że wyglądasz dzięki niej tak jak Bill teraz, to może posiadanie mocy wcale nie jest taką dobrą rzeczą.

– Tak. Bill ma ostateczną broń – rzekł Richie. – Zapachy spod pachy. – Uniósł lewe ramię i przesunął parę razy prawą ręką pod pachą. Ben i Mike roześmiali się z cicha, a Eddie też się uśmiechnął.

Grom strzelił raz jeszcze i tym razem tak głośno, że wszyscy aż podskoczyli i zbili się w ciasną gromadkę. Wiatr się wzmógł, ciskając

śmieciami wzdłuż ulicy. Pierwsze czarne chmury przesłoniły zamglony dysk słońca i ich cienie stopniały. Lodowaty wiatr chłodził pot na odsłoniętej ręce Eddiego. Chłopiec się wzdrygnął.

Bill spojrzał na Stana i powiedział coś dziwnego.

– M-masz swój atlas p-ptaków, Stan?

Stan poklepał się po kieszeni na biodrze. Bill znów na nich popatrzył.

– S-schodzimy – oświadczył.

Zeszli pojedynczo w dół zbocza, z wyjątkiem Billa, który zgodnie z obietnicą został z tyłu z Eddiem. Pozwolił Richiemu sprowadzić na dół Silvera, a kiedy znaleźli się w Barrens, Bill jak zwykle ukrył rower pod mostkiem. Potem, zbici w gromadkę, stali przez chwilę, rozglądając się wokoło.

Nadciągająca burza nie tworzyła ciemności, ba, nie tworzyła nawet półmroku. Jednak oświetlenie wyraźnie się zmieniło – wszystko było jakby dziwnie wyeksponowane, pozbawione cieni, wyraziste, jak wyciosane z kamienia. Eddie poczuł, że ogarnia go przerażenie, kiedy zdał sobie sprawę, dlaczego to oświetlenie wydało mu się dziwnie znajome – pamiętał, że takie samo światło towarzyszyło im podczas wyprawy do domu przy Neibolt Street 29. Błyskawica rozcięła

niebo i Eddie aż się skrzywił. Uniósł dłoń do twarzy i nagle zdał sobie sprawę, że liczy – jeden… dwa… trzy… – a potem rozległo się pojedyncze kaszlnięcie grzmotu, odgłos przypominający wybuch M-osiemdziesiątki, i wszyscy jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie.

– Dziś rano nie zapowiadali deszczu – rzucił niepewnie Ben. – Miało być gorąco i parno… tak napisali w gazecie.

Mike lustrował wzrokiem niebo. Chmury płynące w górze, czarne, napęczniałe i ciężkie, w błyskawicznym tempie spowijały niebo od horyzontu po horyzont, kiedy on i Bill wyszli po lunchu z domu państwa Denbrough.

– Zbliża się bardzo szybko – powiedział. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby burza zbliżała się tak szybko… – Jak na potwierdzenie jego słów rozległ się ryk gromu.

– Ch-ch-chodźmy – rzekł Bill. – W-włożymy p-p-planszę do *p-p-parcheesi* E-eddiego do n-naszego klubowego domku.

Ruszyli wzdłuż ścieżki, którą wydeptali przez tygodnie od dnia incydentu przy tamie. Bill i Eddie szli pierwsi, ich ręce odgarniały szerokie zielone liście krzewów; pozostali podążali tuż za nimi. Znowu zerwał się wiatr; liście drzew i krzewów ponownie zaczęły szeptać pospołu.

Z oddali dobiegło dziwne grzechotanie bambusów, które mogło się kojarzyć z odgłosem bębnów z jednej z książek o Afryce.

– Bill – odezwał się cicho Eddie.

– Co?

– Myślałem, że tak bywa tylko w filmach, ale… – Eddie roześmiał się pod nosem. – Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

– O-o-oni tam są, n-na pewno. M-masz rację – rzekł Bill. Eddie rozejrzał się nerwowo wokoło, ścisnął mocniej pod pachą planszę do *parcheesi* i…

11

Pokój Eddiego – 3.05

…otworzył drzwi potworowi jakby żywcem wyjętemu z komiksu grozy. Stała tam ubabrana posoką postać, która nie mogła być nikim innym, jak tylko Henrym Bowersem. Henry wyglądał jak trup, który właśnie powrócił z grobu. Jego oblicze było upiorną maską, zastygłą w grymasie nienawiści i żądzy mordu. Prawą dłoń trzymał na wysokości policzka i w chwili gdy oczy Eddiego rozszerzyły się, a on sam po raz pierwszy od dłuższej chwili zaczerpnął

powietrza, jego ręka wyprysnęła naprzód; sprężynowiec błysnął niczym jedwab. Bez namysłu – nie było na to czasu, gdyby się zawahał, zginąłby – Eddie zatrzasnął drzwi. Ich krawędź rąbnęła Henry'ego w przedramię, tak że nóż zatoczył dziki łuk z boku na bok, chybiając gardła Eddiego zaledwie o cal.

Rozległ się trzask, gdy drzwi przyszpiliły rękę Henry'ego do framugi. Bowers jęknął. Jego dłoń się otwarła. Nóż z brzękiem spadł na podłogę, Eddie kopnął go. Sprężynowiec poleciał pod telewizor.

Henry naparł całym ciałem na drzwi. Był cięższy od Eddiego o ponad sto funtów i Eddie poleciał do tyłu jak szmaciana lalka. Rąbnął kolanami w łóżko i runął na nie. Henry wpadł do pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi. Przekręcił zasuwkę, podczas gdy Eddie usiadł na łóżku; jego oczy były rozszerzone, a z gardła zaczął się dobywać przeciągły świst.

– Dobra, cioto – rzucił Henry. Na moment spuścił wzrok, próbując odnaleźć swój nóż, ale go nie zobaczył. Eddie sięgnął ręką do nocnego stolika i odnalazł jedną z dwóch butelek wody Perrier, które zamówił wcześniej tego dnia. Ta była pełna. Drugą wypił przed pójściem do biblioteki, bo jego nerwy były napięte jak

postronki i kwas żołądkowy znów zaczynał dawać znać o sobie. Perrier była bardzo dobra na trawienie. Podczas gdy Henry dał sobie spokój z nożem i zaczął podchodzić w stronę łóżka, Eddie ujął zieloną, gruszkowatą butelkę za szyjkę i roztrzaskał ją o brzeg szafki. Woda spieniła się i rozlała wokoło, zalewając większość buteleczek z pigułkami, które się tam znajdowały.

Kurtka i spodnie Henry'ego były ciężkie od krwi, zarówno tej zakrzepłej, jak i świeżej. Jego prawa ręka zwisała teraz pod dziwnym kątem.

– Ciota – rzekł Henry. – Nauczę cię, jak się rzuca kamieniami. – Podszedł do łóżka i wyciągnął rękę w stronę Eddiego, który nadal nie potrafił zrozumieć tego, co się działo. Minęło ledwie czterdzieści sekund od chwili, gdy otworzył drzwi. Henry próbował go schwycić. Eddie dźgnął go trzymanym w dłoni „tulipanem". Rozbita butelka rozpłatała Henry'emu twarz, rozszarpując mu prawy policzek, zdzierając pokaźny płat skóry i przebijając prawe oko.

Henry wrzasnął bezgłośnie i cofnął się chwiejnie. Jego spłaszczone oko ociekające białożółtym śluzem wypłynęło z oczodołu i zwisało luźno poniżej. Z policzka trysnęła fontanna krwi. Krzyk Eddiego był głośniejszy. Poderwał się z łóżka i zbliżył do Henry'ego – być

może po to, by mu pomóc; nie był tego do końca pewny – gdy ten ponownie rzucił się na niego. Eddie pchnął butelkę, jakby wykonywał sztych mieczem i tym razem ostre krawędzie butelki wbiły się głęboko w lewą dłoń Henry'ego i niczym zęby piły rozcięły mu palce. Popłynęła świeża krew. Bowers wydał z siebie ochrypły dźwięk przypominający chrząknięcie i odepchnął Eddiego prawą ręką. Eddie poleciał do tyłu i rąbnął w stolik do pisania. Jego lewa dłoń wykręciła się dziwnym sposobem za jego plecami i upadł na nią całym ciężarem. Przeszył go gwałtowny ból, palący niczym płomień. Poczuł, jak kości w miejscu starego złamania rozszczepiają się i zagryzł zęby, aby nie wrzasnąć z bólu. Cień przesłonił światło.

Bowers stał nad nim, kołysząc się w przód i w tył. Krew z jego lewej ręki ściekała na przód koszuli nocnej Eddiego, który trzymał przed sobą „tulipana" z butelki po perrierze i w momencie gdy Henry osuwał się w dół, ostre krawędzie wymierzone były ku górze i na wysokości jego mostka. Po chwili nadział się na stłuczoną butelkę jak na zaostrzony bambus. Eddie poczuł, jak butelka zadrżała w jego dłoni i świeża fala bólu przeszyła jego lewą rękę, nadal przyciśniętą całym ciężarem ciała. Zalała go nowa kaskada

ciepłej wilgoci. Nie wiedział, czy była to jego krew, czy Henry'ego.

Henry wił się jak pstrąg wyrzucony na rozpalony słońcem brzeg. Jego stopy tłukły o wyścielający podłogę dywan. Eddie czuł jego nieświeży oddech. A potem Henry zesztywniał i stoczył się na bok. Butelka sterczała groteskowo z jego brzucha, a jej szyjka z zakrętką na końcu mierzyła w sufit, zupełnie jakby wrosła w jego wnętrzności.

– Ghh – wyjęczał Henry i nie powiedział już nic więcej. Wbił wzrok w sufit. Eddie pomyślał, że Henry, być może, wyzionął ducha. Zwalczał w sobie falę słabości, która chciała go zalać i pochłonąć bez reszty. Podniósł się na kolana, a potem zdołał wstać. Poczuł świeży ból, gdy jego złamane ramię zwisło przed nim bezwładnie, ale ten sam ból zdołał go nieznacznie otrzeźwić. W głowie mu pojaśniało. Dysząc ciężko, zdołał dotrzeć do nocnego stolika. Wyjął swój aspirator z kałuży wody gazowanej, włożył dziobek w usta i nacisnął spust. Wzdrygnął się, kiedy poczuł smak, ale zaaplikował sobie drugą porcję. Spojrzał na ciało na dywanie. Czy to mógł być Henry? Czy to możliwe? Ależ tak. To był on. Postarzał się, jego krótko obcięte włosy były bardziej siwe niż czarne, a całe ciało, pokryte

grubą warstwą tkanki tłuszczowej, przywodziło na myśl wielkiego, tłustego, oślizgłego ślimaka, nadal jednak pozostał Henrym. I był martwy. Wreszcie…

– Ghh – wyjęczał ponownie Henry i usiadł. Smagał dłońmi powietrze, jakby w poszukiwaniu jakichś niewidzialnych uchwytów, które tylko on mógł dostrzec. Jego uszkodzone oko ociekało śluzem, a dolna połowa gałki przyklejała się do policzka. Rozejrzał się wokoło, zobaczył Eddiego przywierającego plecami do ściany i spróbował się podnieść. Otworzył usta i buchnął z nich strumień krwi. Henry ponownie osunął się na ziemię. Z sercem walącym jak młot Eddie sięgnął po telefon, ale udało mu się tylko zrzucić aparat ze stolika na łóżko. Podniósł go gwałtownie i wykręcił zero. Telefon zadzwonił raz, drugi i trzeci.

No, dalej, pomyślał Eddie. Co ty tam, kurwa, robisz, walisz konia czy jak? No, dalej, odbierz, do cholery!

Telefon dzwonił i dzwonił. Eddie nie spuszczał wzroku z Henry’ego, spodziewając się, że tamten lada moment znów zacznie się podnosić. Krew. Wielki Boże, tyle tu krwi.

– Recepcja – rozległ się pełen oburzenia, zagniewany głos w słuchawce.

– Proszę zadzwonić natychmiast do pokoju pana Denbrough – rzekł Eddie. – Tak szybko, jak to tylko możliwe. – Drugim uchem nasłuchiwał odgłosów w pokoju. Jak głośno się zachowywali? Czy ktoś zapuka do drzwi, by zapytać, czy wszystko u niego w porządku?

– Na pewno chce pan, abym do niego zadzwonił? – zapytał recepcjonista. – Jest dziesięć po trzeciej.

– Tak. Proszę to zrobić! – Eddie prawie wrzasnął. Dłoń trzymająca słuchawkę drżała drobnymi konwulsyjnymi skurczami. Druga była gniazdem os brzęczących monotonną, nieprzerwaną pieśń. Czy Henry znów się poruszył? Nie. Na pewno nie.

– Dobra, dobra – rzucił recepcjonista. – Spokojnie, przyjacielu, bez nerw. – Rozległo się szczęknięcie, a potem ochrypły dzwonek telefonu.

No, dalej, Bill, dalej, dalej… I nagle przyszła mu do głowy upiorna, posępna myśl. A jeśli Henry odwiedził najpierw pokój Billa? Albo Richiego? Bena? Bev? A może Henry złożył również wizytę w bibliotece? Na pewno był już gdzieś wcześniej i gdyby ktoś nie zmiękczył Henry’ego, Eddie leżałby teraz martwy na podłodze z nożem sterczącym z piersi jak butelka

perriera wystająca z brzucha Bowersa. A może Henry odwiedził ich wszystkich, zaskakując zmęczonych i na wpół zaspanych, podobnie jak i jego? A jeśli się okaże, że oni wszyscy nie żyją? Ta myśl była nie do zniesienia i Eddie czuł, że jeśli lada moment w pokoju Billa nie zostanie podniesiona słuchawka telefonu, po prostu zacznie krzyczeć.

– Proszę, Wielki Billu – wyszeptał. – Proszę, bądź tam, chłopie.

Podniesiono słuchawkę i rozległ się, rzecz niezwykła, nad wyraz ostrożny głos Billa.

– S-s-słucham?

– Bill – rzekł Eddie prawie niezrozumiałym głosem. – Bill, Bogu dzięki…

– Eddie? – Bill przez chwilę wyjaśniał komuś szeptem, z kim rozmawiał… Potem znów jego głos nabrał mocy. – C-co się stało, E-e-eddie?

– To Henry Bowers – rzekł Eddie. Ponownie spojrzał na ciało leżące na podłodze. Czy zmieniło pozycję? Tym razem trudno mu było przekonać samego siebie, że tak się nie stało. – Bill, on tu przyszedł… i ja go zabiłem. Miał nóż. Myślę… – Zniżył głos. – Myślę, że to był ten sam nóż co wtedy. Tego dnia, gdy weszliśmy do kanałów. Pamiętasz?

– P-p-pamiętam – rzekł posępnym tonem Bill. – Eddie, posłuchaj mnie, chcę, żebyś…

12

Barrens – 13.55

…w-w-wrócił i p-powiedział B-Benowi, że ma tu p-p-przyjść.

– Dobra – rzekł Eddie i natychmiast zawrócił. Zbliżali się teraz do polany. Po zachmurzonym niebie przetoczył się grzmot, a krzewy westchnęły pod wpływem gwałtowniejszego podmuchu wiatru.

Ben przyłączył się do niego, kiedy weszli na polanę. Klapa klubowego domku była podniesiona – niesamowity prostokąt czerni pośród zieleni. Szum rzeki był bardzo wyraźny i naraz Bill nabrał pewności, że słyszy ten dźwięk i ogląda to miejsce po raz ostatni w okresie swego dzieciństwa. Ponownie zaczerpnął oddechu, czując zapach ziemi, powietrza i dochodzący z oddali fetor śmietniska buchającego dymem, jak senny wulkan, który nie ma odwagi wybuchnąć. Zobaczył stado ptaków odlatujących znad torowiska w kierunku Old Cape. Uniósł wzrok i spojrzał na kłębiące się chmury.

– Co jest? – spytał Ben.

– Czemu n-n-nie próbowali n-nas d-d-dopaść? Oni t-t-tam przecież są. E-Eddie miał r-r-rację. Czuję ich.

– Tak – powiedział Ben. – Może są na tyle głupi, by sądzić, że wrócimy do naszego domku. A wtedy mieliby nas w pułapce.

– M-może – mruknął Bill i nagle zaczął wściekać się, że się jąka i nie potrafi mówić dostatecznie szybko. Niewykluczone, że niektórych rzeczy i tak nie potrafiłby wyrazić, na przykład tego, że niekiedy czuł się, jakby patrzył oczyma Henry'ego Bowersa, przenikał go na wskroś i chociaż stali po przeciwnych stronach i byli kontrolowani przez przeciwstawne siły, on i Henry mieli ze sobą wiele wspólnego.

Henry oczekiwał, że tamci nie zawahają się i staną do walki. To oczekiwało, że tamci nie zawahają się i staną do walki. I zostaną zabici. Miał wrażenie, że jasne światło eksplodowało nagle pod jego czaszką. Staną się ofiarami zabójcy, który krążył po Derry od dnia śmierci George'a – cała siódemka. Być może ich ciała zostaną odnalezione, a może nie, zależnie od tego, czy To będzie mogło i chciało ochraniać Henry'ego, a także, już w mniejszym stopniu, Victora i Belcha.

Tak. Dla wszystkich pozostałych, dla reszty miasta, będziemy ofiarami zabójcy. I to prawda, w pewnym sensie to rzeczywiście prawda, To chce, żebyśmy umarli. Henry ma być narzędziem, aby To nie musiało się angażować osobiście. Wydaje mi się, że najpierw będzie chciało dostać mnie, Beverly i Richiemu być może uda się powstrzymać pozostałych, może Mike'owi – ale Stan się boi, podobnie jak Ben, choć wydaje mi się, że on jest silniejszy od Stana. A Eddie ma złamaną rękę. Czemu ich tu przyprowadziłem? Chryste! Dlaczego?

– Bill? – odezwał się trwożliwie Ben. Pozostali zbliżyli się do nich, stojąc przy wejściu do klubowego domku. Ponownie huknął piorun, a zarośla zaczęły szeleścić jeszcze gwałtowniej. Bambusy grzechotały w blednącym, przedburzowym świetle.

– Bill. – Tym razem był to Richie.

– Ciii… – Pozostali zamilkli, widząc nawiedzony błysk w jego oczach. Patrzył na zarośla i krętą ścieżkę biegnącą w stronę Kansas Street i naraz poczuł, jakby jego umysł przeskoczył o jeden ząbek wyżej, na wyższy poziom. Jego umysł nie jąkał się; miał wrażenie, że myśli zalewają go w szaleńczym, rwącym

strumieniu intuicji, to wszystko po prostu napływało do niego.

George na jednym końcu, a ja i moi przyjaciele na drugim. A potem to się skończy.

(Znowu)

Znowu, tak, znowu, bo tak już było w przeszłości i pod koniec zawsze musi być jakaś ofiara, zdarzyć się coś potwornego, i wówczas to wszystko się zamknie, nie wiem, skąd to wiem, ale wiem…

A oni… oni…

– Oni pozwolą, aby to się stało – mruknął Bill, patrząc rozszerzonymi oczyma na krętą, wydeptaną ścieżkę. – To p-p-p-pewne.

– Bill? – odezwała się błagalnym tonem Beverly. Stan stał obok niej, niski, schludny, w swojej niebieskiej koszulce polo i trampkach. Mike stał z drugiej strony, wpatrując się w Billa z przejęciem, jakby chciał odczytać jego myśli.

Oni pozwolą, aby to się stało, zawsze tak robią; a potem wszystko przycicha, życie toczy się dalej, a To… To… (zasypia)

Wpadło w stan hibernacji albo snu, takiego jak sen zimowy u niedźwiedzi… a potem wszystko zaczyna się od nowa… a oni wiedzą… Ludzie wiedzą… wiedzą, że tak musi być… żeby To mogło istnieć.

– S-s-s-s…

O Boże proszę Boże proszę proszę obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą proszę Boże o poręcz drewnianą rzekł Boże uwolnij mnie od tego z uporem że ducha o Boże Chryste proszę spraw abym mógł mówić!

– S-s-sprowadziłem was t-t-tutaj, bo n-n-nigdzie nie jesteśmy b-b-bezpieczni – rzekł Bill. Ślina prysnęła mu z ust. Otarł je wierzchem dłoni. – D-d-derry jest T-t-tym. R-r-rozumiecie? – Spojrzał na nich.

Odsunęli się od niego nieznacznie, ich oczy były błyszczące z przerażenia.

– D-d-derry jest T-t-tym! D-d-dokądkolwiek byśmy p-p-po-szli… kiedy T-t-to nas dostanie, l-l-ludzie niczego nie z-zobaczą, nie usłyszą ani n-n-nie będą w-wiedzieć. – Spojrzał na nich błagalnie. – N-nie zdajecie s-s-sobie z tego sprawy? J-jedyne, co m-m-możemy zrobić, to s-spróbować z-z-zakończyć to, co z-z-zaczęliśmy.

Beverly zobaczyła pana Rossa wstającego, patrzącego na nią, składającego gazetę i spokojnie wchodzącego do domu. Oni niczego nie zobaczą, nie usłyszą ani nie będą wiedzieć. A ojciec (*zdejmij majtki, ty mała dziwko*) chciał ją zabić.

Mike przypomniał sobie lunch z Billem. Matka Billa błądziła gdzieś w swoim wyimaginowanym świecie, jakby ich w ogóle nie zauważała, i podczas gdy chłopcy robili kanapki i zjadali je przy kontuarze, czytała powieść Henry'ego Jamesa.

Richie pomyślał o schludnym, czystym, ale kompletnie pustym domu Stana. Stan był odrobinę zdziwiony. Jego matka w porze lunchu zwykle była w domu, a jeśli nie, to zawsze zostawiała karteczkę z informacją, gdzie można ją znaleźć. Dziś jednak nie było żadnej karteczki. Samochodu zresztą też. Cóż więcej można dodać.

– Prawdopodobnie pojechała po zakupy ze swoją przyjaciółką Debbie – rzekł Stan, zasępił się odrobinę, a potem zaczął robić kanapki z pastą jajeczną. Richie nie pamiętał o tym. Aż do teraz.

Eddie pomyślał o swojej matce. Kiedy wychodził, trzymając pod pachą planszę do gry, nie usłyszał zwyczajowych pouczeń: „Uważaj na siebie, Eddie. Jeżeli zacznie padać, schowaj się pod jakimś dachem i nie bierz udziału w żadnych brutalnych zabawach, Eddie". Nie spytała go, czy miał swój aspirator, nie powiedziała, o której ma wrócić do domu, i nie ostrzegała go przed tymi „okropnymi chłopakami, z którymi się bawił". Po

prostu oglądała w telewizji kolejny odcinek jednej z oper mydlanych, zupełnie jakby Eddie nie istniał. Jakby w ogóle nie istniał.

Ta sama myśl nawiedziła ich wszystkich. Po prostu w którymś momencie, pomiędzy wczesnym rankiem a południem, stali się duchami. Duchami.

– Bill – rzekł ochryple Stan – a gdybyśmy przeszli na drugą stronę? Przez Old Cape?

Bill pokręcił przecząco głową.

– N-n-nie sądzę. U-u-ugrzęźlibyśmy w b-bambusach… w r-ruchomych piaskach… albo okazałoby się, że w K-k-kenduskeag są p-prawdziwe piranie lub c-coś w tym r-r-rodzaju.

Każde z nich zobaczyło własną wizję tego samego końca. Ben ujrzał zarośla, które nagle stały się roślinami jedzącymi ludzi, Beverly latające pijawki, jak te, które wyleciały ze starej lodówki, a Stan błotnistą ziemię pośród bambusów, wypluwającą ze swych trzewi żywe trupy dzieci pochłoniętych przez mityczne ruchome piaski. Mike Hanlon wyobraził sobie małe jurajskie gady z okropnymi, ostrymi jak zęby piły kłami, wypryskujące gwałtownie ze szczeliny przegniłego drzewa, atakujące ich i rozrywające na strzępy. Richie widział Pełzające Oko spływające na nich, kiedy

przebiegali pod kolejowym mostkiem przy torowisku. Eddie zaś zobaczył ich wchodzących po zboczu nasypu, od strony Old Cape, tylko po to, by znaleźć się twarzą w twarz z czekającym tam na nich trędowatym, o gnijącym ciele pokrytym masą pełzających robaków i żuków.

– Gdyby udało się nam jakoś wydostać z miasta… – mruknął Eddie i zaraz się skrzywił, gdy w tej samej chwili rozległ się gniewny, pełen sprzeciwu ryk gromu. Nadal tylko mżyło, ale lada moment zacznie padać na dobre i będzie lało jak z cebra.

Panujący tego dnia spokój należał do przeszłości.

– Bylibyśmy bezpieczni, gdyby udało się nam wydostać z tego pieprzonego miasta.

– Bip-b… – zaczęła Beverly, gdy wtem z zarośli wyprysnął kamień, trafiając Mike’a w bok głowy. Zachwiał się do tyłu, spomiędzy jego kędzierzawych włosów wypłynęła strużka krwi i najprawdopodobniej by upadł, gdyby Bill go nie podtrzymał.

– Nauczę was, jak się rzuca kamieniami! – dobiegł ich pełen ironii głos Henry’ego.

Bill widział, jak pozostali rozglądają się wokoło, gotowi rozbiec się w sześciu różnych

kierunkach. I gdyby tak się stało, to rzeczywiście byłby już koniec.

– B-b-ben! – powiedział ostro.

Ben spojrzał na niego.

– Bill, musimy wiać. Oni…

Kolejne dwa kamienie wyprysnęły zza krzaków. Jeden trafił Stana w górną część uda. Wrzasnął bardziej ze zdziwienia niż z bólu. Beverly odskoczyła w bok przed drugim. Kamień rąbnął o ziemię i wpadł do wnętrza klubowego domku.

– P-p-pamiętasz pierwszy dzień, kiedy t-t-tu p-p-przyszedłeś?! – ryknął Bill, próbując przekrzyczeć huk grzmotu. – O-o-ostatni dzień sz-szkoły?

– Bill! – krzyknął Richie.

Bill uciszył go gestem dłoni, nie spuszczając wzroku z Bena, który stał jak wrośnięty w ziemię.

– Jasne – odrzekł Ben, żałośnie próbując patrzeć we wszystkich kierunkach naraz. Krzewy kołysały się i tańczyły dziko. Ich ruch przypominał falowanie.

– K-k-kanał! – zdecydował Bill. – S-s-stacja p-p-pomp. T-tam właśnie m-m-musimy pójść. Zaprowadź nas t-tam!

– Ale…

– Z-z-zaprowadź nas t-t-t-tam!

Spoza krzewów posypał się grad kamieni i Bill przez moment zobaczył twarz Victora Crissa. Jego oblicze przepełniała mieszanina strachu, otępienia i chciwości. A zaraz potem jeden z kamieni trafił Denbrough w kość policzkową i tym razem to Mike musiał podtrzymać Billa, aby nie upadł. Przez moment miał kłopoty ze wzrokiem. W policzku czuł dziwne odrętwienie. Potem pojawiło się bolesne, ćmiące pulsowanie i poczuł krew spływającą mu po twarzy. Otarł policzek i skrzywił się, czując wzbierający tam ból, a kiedy zobaczył krew na swojej dłoni, otarł ją o dżinsy. Świeży podmuch wiatru tarmosił mu włosy.

– Nauczę cię, jak się rzuca kamieniami, ty durny jąkało! – ryknął, zaśmiewając się do łez, Henry Bowers.

– Z-z-zaprowadź nas! – wrzasnął Bill. Teraz już zrozumiał, czemu wysłał Eddiego, aby sprowadził tu Bena. Mieli udać się do stacji pomp, do tej szczególnej stacji, i tylko Ben wiedział, o którą chodziło; były one usytuowane wzdłuż obu brzegów Kenduskeag w nierównych odstępach.

– T-t-to jest t-to m-miejsce! W-w-wejście! D-droga do T-t-tego!

– Bill, nie możesz tego wiedzieć! – zawołała Beverly.

– Wiem! – ryknął z wściekłością zarówno do niej, jak i do pozostałych. Ben stał przez chwilę w bezruchu, zwilżając wargi językiem i patrząc na Billa. A potem ruszył pędem przez polanę, kierując się w stronę rzeki. Błyskawica rozcięła sine niebo, a tuż po niej rozległ się ryk gromu, który sprawił, że Bill zachwiał się na nogach. Kamień wielkości pięści przeleciał mu tuż koło nosa i trafił Bena w pośladek. Ben jęknął z bólu i dotknął dłonią zranionego miejsca.

– A maaasz, grubasie! – krzyknął Henry pełnym rozbawienia głosem. Zarośla zaszeleściły, dał się słyszeć trzask pękających gałęzi i Henry pojawił się na polanie. W tej samej chwili deszcz przestał się bawić w podchody i lunęło jak z cebra. Strugi wody zmoczyły Henry'emu fryzurę oraz brwi i spływały po jego policzkach. Uśmiechnął się, ukazując wszystkie zęby. – Nauczę was, jak…

Mike znalazł jedną z desek, której nie wykorzystali przy budowie domku, i cisnął nią z całej siły. Okręciła się dwa razy w powietrzu i trafiła Henry'ego w czoło. Wrzasnął, przyłożył dłoń do głowy jak człowiek, który właśnie wpadł

na świetny pomysł, a potem klapnął ciężko na ziemię.

– B-b-biegiem! – zawołał Bill. – Za B-b-benem!

Podczas gdy reszta Klubu Frajerów pobiegła w ślad za Benem, na polanę wyszli Victor i Belch. Henry podniósł się chwilę później i wraz z nimi natychmiast ruszył w pościg. Nawet później, gdy Ben przypomniał sobie dalsze zdarzenia, do których doszło tego dnia, szczegóły dotyczące ucieczki pozostały jedynie chaotyczną zbitką obrazów i doznań. Pamiętał gałęzie obwieszone ciężkimi, ociekającymi deszczem liśćmi, chłoszczące go po twarzy i zlewające strugami lodowatej wody, pamiętał, że wydawało mu się, jakby błyskawice i grzmoty przetaczały się po niebie nieprzerwanie, i przypomniał sobie, że okrzyki Henry'ego, aby wrócili i stanęli do walki, zlewały się z szumem Kenduskeag, w miarę jak zbliżali się do strumienia. Za każdym razem, gdy zwalniał, Bill walił go w plecy, zmuszając do przyspieszenia tempa biegu.

A jeśli nie znajdę tej rury? Co będzie, jeśli nie zdołam odnaleźć tej jedynej w swoim rodzaju stacji pomp? Oddychał ciężko, gardło go paliło, a w ustach czuł metaliczny posmak krwi. Bok przeszywała mu kolka. Pośladek pulsował ostrym bólem w miejscu, gdzie dostał

kamieniem. Beverly powiedziała, że Henry i jego kolesie zamierzali ich zabić, i teraz Ben doszedł do wniosku, że nie było w tym ani odrobiny przesady.

Dotarł do brzegu Kenduskeag w takim pędzie, że o mało nie stoczył się z nasypu. Zdołał utrzymać równowagę i w tej samej chwili fragment brzegu, naruszony wiosennymi roztopami, osunął się i Ben runął w dół na brzeg płynącego wartko strumienia. Koszula zadarła mu się na plecach, a gliniasta ziemia grubą warstwą oblepiła skórę. Bill zszedł do niego i bezceremonialnie pomógł mu wstać. Pozostali, jeden po drugim, wyłonili się spośród porastających brzeg Kenduskeag zarośli. Richie i Eddie biegli ostatni. Richie jedną ręką obejmował Eddiego w pasie. Ociekające wodą okulary zatrzymały się ryzykownie na samym końcu nosa Richiego.

– G-g-gdzie?! – krzyknął Bill.

Ben spojrzał najpierw w lewo, a potem w prawo. Wiedział, że czasu jest bardzo mało. Poziom rzeki już się podniósł, a posępne niebo pokryte kłębiastymi chmurami przybrało ciemnoszarą barwę. Krzewy i drzewa porastające brzegi Kenduskeag tańczyły w rytm

podmuchów wiatru. Słyszał, jak Eddie z trudem łapie oddech.

– G-g-gdzie?

– Nie wie… – zaczął i wtedy zobaczył pochyłe drzewo oraz powstałą wskutek erozji pod jego korzeniami jaskinię. To właśnie tam ukrył się owego dnia. Zdrzemnął się, a gdy się obudził, usłyszał kręcących się w pobliżu Billa i Eddiego. Potem zjawili się starsi chłopcy… zobaczyli… i zdobyli. „Pa, pa, chłopcy, to była naprawdę dziecinna tama, chłopcy, nic niewarta. Bez niej będzie lepiej, uwierzcie mi”.

– Tam! – krzyknął. – Tędy!

Ponownie strzeliła błyskawica i tym razem Ben usłyszał brzęczący dźwięk, jak odgłos przeładowanego transformatora kolejowego. Piorun trafił w drzewo i niebieskawy elektryczny płomień rozszczepił jego powyginany pień na drzazgi i wykałaczki, jakby na użytek jakiegoś baśniowego olbrzyma. Drzewo runęło z łoskotem w stronę rzeki, a wysoko w powietrze poleciała chmura kropelek deszczu.

Ben, przerażony, wciągnął mocno powietrze do płuc i poczuł jakiś dziwny, gorący, drażniący i dziki zapach. Piorun przetoczył się w górę po pniu zwalonego drzewa, zdawało się, że zapłonął jeszcze jaśniej, a potem wygasł. Ryknął grzmot,

nie nad nimi, ale wokół nich, jakby znajdowali się w samym sercu gromu. Deszcz lał nieprzerwanie. Bill klepnął go w plecy, wyrywając z chwilowego zamyślenia.

– J-j-jazda!

Ben zaczął biec, rozchlapując wodę z kałuż i z trudem utrzymując równowagę na błotnistym brzegu rzeki. Włosy wpadały mu do oczu. Dotarł do drzewa – jaskinia pod jego korzeniami przestała istnieć – i przeszedł ponad nim, wbijając palce w mokrą korę, zdrapując sobie skórę z dłoni i przedramion.

Bill i Richie pomogli Eddiemu przedostać się na drugą stronę, a kiedy zachwiał się i już miał runąć na ziemię, Ben go złapał. Obaj się przewrócili. Eddie krzyknął.

– Nic ci nie jest? – spytał Bill.

– Chyba nie! – odparł Eddie, wstając. Sięgnął po swój aspirator i prawie go upuścił. Ben złapał go w ostatniej chwili, a Eddie, włożywszy do ust dziobek aspiratora i aplikując sobie dawkę specyfiku, uśmiechnął się do przyjaciela z wdzięcznością.

Richie przeszedł ponad drzewem, potem Stan i Mike. Bill podsadził Beverly, a Ben i Richie złapali ją po drugiej stronie. Włosy dziewczyny były pozlepiane, dżinsy – niegdyś niebieskie –

teraz były przemoczone i czarne. Bill pokonał pień ostatni, wciągnął się na górę i spuścił nogi z drugiej strony. Zobaczył Henry'ego i dwóch pozostałych biegnących wzdłuż rzeki w ich stronę i ześlizgując się z pnia, wrzasnął:

– K-k-kamienie! Rzucajcie k-k-kamienie!

Na brzegu było ich sporo, a zwalone przez piorun drzewo stanowiło idealną barykadę. Po chwili cała siódemka zaczęła ciskać kamieniami w Henry'ego i jego kumpli, którym prawie udało się dopaść drzewa. Odległość była minimalna. Wycofali się z okrzykami bólu i wściekłości, gdy grad kamieni trafił ich w klatki piersiowe, głowy, ramiona i nogi.

– Nauczcie nas, jak się rzuca kamieniami! – wykrzyknął Richie i posłał otoczaka wielkości kurzego jaja w stronę Victora. Trafił go w ramię i niemal pionowo odbił się w górę. Victor zawył.

– No, chłopaki, no, dalej, nauczcie nas… My się szybko uczymy!

– Taaaaaa! – krzyknął Mike. – I jak to wam się podoba? Jak wam się podoba?

Nie doczekał się odpowiedzi. Tamci wycofali się poza zasięg pocisków i zbili w gromadkę. Chwilę później wyszli na brzeg, ślizgając się na rozmytej ziemi pokrytej drobnymi strumyczkami

i kałużami. Aby utrzymać równowagę, musieli się chwycić gałęzi krzewów.

Zniknęli w zaroślach.

– Chcą nas okrążyć, Wielki Billu – rzekł Richie, poprawiając okulary.

– N-no i d-d-dobrze. I-i-idź, Ben. M-my za t-t-tobą.

Ben podreptał wzdłuż brzegu, zatrzymał się (w obawie, że lada moment Henry, Victor i Belch wyskoczą z zarośli tuż przed jego nosem) i zobaczył odległą o dwadzieścia jardów w dole strumienia stację pomp. Pozostali szli tuż za nim. Widzieli inne walce po przeciwnej stronie – jeden dość blisko, drugi prawie czterdzieści jardów dalej w górę strumienia. Z obydwu do Kenduskeag wylewały się strugi brudnej, błotnistej wody, ale z rury wystającej z nasypu poniżej tej stacji, do której zdążali, wypływał zaledwie wąziutki, nieśmiały strumyczek. Ben również zauważył, że z wnętrza rury nie dobiegało charakterystyczne pomrukiwanie maszyn. Urządzenia były uszkodzone. Popatrzył na Billa z namysłem… i przerażeniem zarazem. Bill spojrzał na Richiego, Stana i Mike’a.

– M-m-musimy unieść p-p-pokrywę – powiedział. – P-p-po-móżcie mi. – W ścianę wmontowane były stalowe szczeble, ale deszcz

sprawił, że były mokre, a sama pokrywa zdawała się niewiarygodnie ciężka. Ben stanął obok Billa, który przesunął nieco ręce, żeby zrobić mu miejsce. Ze środka dobiegał nieprzyjemny odgłos kapiącej wody.

– T-t-teraz! – krzyknął Bill i cała piątka wytężyła siły. Pokrywa uniosła się z posępnym zgrzytnięciem.

Beverly złapała za pokrywę tuż obok Richiego, a Eddie popchnął ją zdrową ręką.

– Raz, dwa, trzy, pchać! – zaintonował Richie. Pokrywa zsunęła się nieco dalej z rury walca. W szczelinie ukazała się czarna czeluść. – Raz, dwa, trzy, pchać! – Szczelina się powiększyła. – Raz, dwa, trzy, pchać!

Ben napierał tak bardzo, że przed oczyma zatańczyły mu czerwone plamy.

– Cofnąć się! – krzyknął Mike. – Spada! Spada!

Odsunęli się i patrzyli, jak wielka, okrągła płyta przechyla się na bok, a potem spada. Z plaśnięciem rąbnęła w mokrą ziemię, wybijając w niej głęboką bruzdę, a potem wylądowała wewnętrzną częścią do góry.

Robaki i owady opuściły pospiesznie jej powierzchnię i zniknęły pośród gęstej, zmierzwionej trawy.

– Fu – powiedział Eddie.

Bill zajrzał do środka. Żelazna drabinka prowadziła na dół, do okrągłego, zalanego wodą pomieszczenia. Czarną powierzchnię wody pstrzyły siekące kropelki deszczu. Pośrodku znajdowała się milcząca, na wpół pogrążona w wodzie, nieczynna pompa. Widział wodę wlewającą się do wnętrza stacji z rury przepływowej i czując dziwne ssanie w żołądku, pomyślał: Właśnie tam musimy zejść. Na dół.

– E-e-eddie. Z-złap się mnie. – Eddie spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc. – W-w-właź mi na b-barana. Z-złap się zdrową r-r-ręką.

Pokazał mu. Eddie zrozumiał, ale mimo to się wahał.

– Szybko! – uciął Bill. – Z-zaraz tu bę-bę-będą.

Eddie objął Billa jedną ręką za szyję. Stan i Mike podsadzili go, żeby mógł schwycić Billa nogami w pasie. Kiedy Bill niezgrabnie przerzucił jedną nogę ponad cembrowiną walca, Ben zobaczył, że Eddie z całych sił zaciska powieki. Poprzez deszcz usłyszał inne odgłosy – szelest krzewów, trzask pękających gałęzi, krzyki. Henry, Victor i Belch. Nadciągała najobrzydliwsza kawaleria świata.

Bill schwycił jedną ręką chropowatą krawędź walca i ostrożnie, krok po kroku zaczął schodzić w dół. Stalowe stopnie drabinki były śliskie.

Eddie trzymał go za szyję tak mocno, jakby chciał go udusić, i Bill właśnie w tej chwili mógł się przekonać na własnej skórze, co znaczy astma. Teraz miał już porównanie, i to aż nadto wyraziste.

– Boję się, Bill – rzekł Eddie.

– Ja t-t-t-też.

Puścił betonową cembrowinę i schwycił górny szczebel. Choć Eddie prawie go dusił i czuł się, jakby nagle przybrał dodatkowe czterdzieści funtów, Bill zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Barrens, Kenduskeag, a potem na płynące po niebie chmury. Wewnętrzny głos – nie pozbawiony rozsądku, ale pewny i mocny – powiedział mu, aby dobrze się przyjrzał, bo kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał okazję to zobaczyć.

Dlatego też patrzył, a zaraz z Eddiem na plecach zaczął schodzić w głąb kanału.

– Nie wytrzymam dłużej – powiedział Eddie.

– N-nie m-m-musisz – rzekł Bill. – J-jesteśmy prawie na m-m-miejscu.

Jedna jego stopa zagłębiła się w chłodnawej wodzie. Szukał nogą kolejnego szczebla i w końcu go odnalazł. Poniżej znajdował się jeszcze jeden i to był już koniec drabinki. Stał po kolana w wodzie obok pompy.

Przykucnął, krzywiąc się, gdy lodowata woda przesiąkła mu przez spodnie, i pomógł Eddiemu zejść. Wziął głęboki oddech. Fetor nie był zbyt przyjemny, ale czuł się świetnie, gdy ramię Eddiego nie opasywało już jego szyi. Uniósł wzrok w stronę otworu zejścia. Znajdowało się jakieś dziesięć stóp nad jego głową. Pozostali, stojąc nad cembrowiną, spoglądali w dół.

– Schodźcie! – krzyknął. – P-p-pojedynczo! P-pospieszcie się!

Beverly zeszła pierwsza, gładko wślizgując się w głąb kanału i schodząc po szczeblach drabinki. Stan był następny. Pozostali zrobili to samo. Richie znalazł się na dole ostatni, bo zatrzymał się na moment na powierzchni i nasłuchiwał odgłosów poczynań Henry'ego i jego kolesiów. Po tym, co zdołał wychwycić, sądził, że cała trójka minie stację pomp z lewej strony, w nieznacznym oddaleniu, ale zdawało się, że to nie ma żadnego znaczenia.

– Henry! Tam! Tozier! – ryknął w tej samej chwili Victor.

Richie rozejrzał się wokoło i zobaczył, jak biegną w jego stronę. Victor biegł pierwszy… a potem Henry odepchnął go na bok tak mocno, że Victor upadł, szorując kolanami po ziemi. Henry rzeczywiście miał nóż – to była wielka,

paskudnie wyglądająca kosa. Z ostrza skapywały kropelki wody. Richie zajrzał w głąb cylindra, zobaczył, jak Ben i Stan pomagają Mike'owi zejść z drabinki, i sam wślizgnął się do otworu. Henry zrozumiał, co Tozier zamierzał zrobić, i ryknął na niego. Richie, śmiejąc się obłąkańczo, wyprostował prawą rękę, oparł lewą pięść w zagłębieniu łokcia prawej i uniósł rękę w najstarszym geście świata. Aby się upewnić, że Henry wszystko należycie zrozumiał, wyprostował środkowy palec uniesionej prawej ręki.

– Zdechniecie tam na dole! – krzyknął Henry.

– Udowodnij to! – wrzasnął Richie, śmiejąc się. Wejście do tej betonowej gardzieli napełniało go przerażeniem, ale mimo to nie potrafił przestać się śmiać. I głosem irlandzkiego gliniarza wykrztusił: – To jazne jak złońce, że Jirlantczykom zawsze spszyja żdżńście.

Henry poślizgnął się na wilgotnej trawie i wylądował na tyłku niecałe dwadzieścia stóp od miejsca, gdzie znajdował się betonowy cylinder i gdzie na wpół wychylony, opierając nogi na najwyższym szczeblu stalowej drabinki, stał Richie Tozier.

– Hej, niezdaro! – wrzasnął Richie, upajając się triumfem, a potem czmychnął w głąb kanału.

Żelazne szczeble były śliskie i raz o mało nie spadł. Później Bill i Mike schwycili go z dwóch stron i znalazł się po kolana w wodzie. Stali całą grupką, w luźnym kręgu, wokół pompy. Richie cały się trząsł, było mu na przemian to zimno, to gorąco, ale w dalszym ciągu nie potrafił stłumić śmiechu.

– Powinieneś go widzieć, Wielki Billu. Niezdarny jak zawsze, nie potrafi zrobić jednego kroku, żeby się nie wywalić…

W okrągłym otworze u szczytu rury pojawiła się głowa Henry'ego. Na policzkach widniały świeże zadrapania od gałęzi i kolców. Jego usta poruszały się, a oczy pałały nienawiścią.

– W porządku! – krzyknął do nich. Jego słowom towarzyszył wewnątrz walca niezbyt głośny rezonans, który jednak nie zasługiwał na miano echa. – Schodzę. Teraz was dostanę. – Przerzucił jedną nogę, odnalazł stopą najwyższy szczebel i stanął na nim drugą nogą.

– K-k-kiedy z-zejdzie d-d-dostatecznie n-n-nisko, rz-rzucimy się na niego w-wszyscy. Ś-ściągniemy g-g-go na dół. Z-z-zaatakujemy jednocześnie. J-jasne? – głośno Bill powiedział.

– Oczywizda, szefie – rzekł Richie i zasalutował drżącą dłonią.

– Jasne – powiedział Ben.

Stan mrugnął do Eddiego, który nie rozumiał, co się działo – z wyjątkiem tego, że najprawdopodobniej Richie popadł w obłęd. Śmiał się jak wariat, podczas gdy Henry Bowers zamierzał zejść na dół i zamordować ich wszystkich jak szczury w pułapce.

– Wszyscy gotowi do ataku, Bill! – ryknął Stan.

Henry zszedł o trzy szczeble i zamarł. Spojrzał przez ramię w dół, na stojących poniżej Frajerów. Na jego twarzy po raz pierwszy pojawiło się powątpiewanie.

Gdyby mieli schodzić, musieliby to robić pojedynczo. Na skok było za wysoko, zwłaszcza że istniało ryzyko wylądowania na pompie, a poza tym były tam te gnoje – cała siódemka, czekająca zwartym kręgiem.

– Ch-ch-chodź, H-henry – rzekł zachęcająco Bill. – N-n-na co czekasz?

– Racja – wtrącił Richie. – Lubisz bić młodszych i słabszych, co? No to chodź, Henry.

– Czekamy, Henry – powiedziała słodko Bev. – Nie sądzę wprawdzie, aby ci się to spodobało, ale zejdź tu do nas, jeśli tego chcesz.

– Chyba że jesteś kurczak… i pękasz – dorzucił Ben i zaczął naśladować gdakanie. Po chwili przyłączył się do niego Richie i niebawem wszyscy gdakali chórem.

Pośród wilgotnych, ociekających wodą ścian cylindra rozległy się ironiczne, szydercze odgłosy. Henry spojrzał w dół na czekającą grupkę. Przez cały czas ściskał w ręku nóż. Jego twarz była czerwona jak cegła. Odczekał jeszcze około trzydziestu sekund, a potem zaczął się piąć z powrotem ku górze. Decyzję tę Frajerzy przyjęli lawiną obelg i szaleńczych okrzyków.

– D-d-dobra – powiedział cicho Bill. – M-m-musimy w-w-wejść do k-k-kanału. Sz-szybko.

– Dlaczego? – rzuciła Beverly, ale oszczędzono Billowi trudu udzielenia odpowiedzi na jej pytanie. W otworze wejściowym ponownie zjawił się Henry Bowers i wrzucił w głąb rury kamień wielkości piłki futbolowej. Beverly krzyknęła, a Stan z ochrypłym okrzykiem przyciągnął Eddiego do ściany. Kamień trafił w zardzewiałe urządzenia pompy przy wtórze dźwięcznego łoskotu. Odbił się rykoszetem w lewo i rąbnął w betonową ścianę, omijając Eddiego o niecałe pół stopy. Odłamek betonu boleśnie trafił chłopca w policzek. Kamień z pluskiem wpadł do wody.

– Sz-sz-szybko! – krzyknął ponownie Bill i stłoczyli się przy otworze rury dopływowej stacji pomp. Mierzyła około pięciu stóp średnicy. Bill posyłał ich, jedno po drugim (przyszło mu nagle na myśl skojarzenie z cyrkową sztuczką,

w której cała grupa wielkich klownów wychodzi z wnętrza małego samochodu – parę lat później wykorzysta tę wizję w swojej książce zatytułowanej *Black Rapids*), i sam wszedł ostatni do środka, uchyliwszy się uprzednio przed ciśniętym w jego stronę kamieniem.

Gdy znaleźli się w rurze, w głąb cylindra posypał się istny grad kamieni – większość trafiła w urządzenia pompy i odbiła się od nich pod najróżniejszymi kątami. Kiedy lawina kamieni ustała, Bill wyjrzał na zewnątrz i zobaczył Henry'ego, który ponownie zaczął schodzić po drabince. Starał się to zrobić jak najszybciej.

– B-brać go! – krzyknął do pozostałych Bill. Richie, Ben i Mike wypadli za Billem z rury. Richie podskoczył wysoko i schwycił Henry'ego za kostkę. Ten zaklął i potrząsnął nogą, jakby chciał odrzucić od siebie małego psiaka o wielkich zębiskach: teriera, a może pekińczyka. Richie schwycił za szczebel, wspiął się jeszcze wyżej i jednocześnie wbił zęby w kostkę Henry'ego. Henry krzyknął i błyskawicznie zawrócił na górę. Stracił przy tym jeden but. Trampek wpadł do wody i natychmiast poszedł na dno.

– Ugryzł mnie! – wrzeszczał Henry. – Ugryzł mnie! Ten sukinsyn mnie ugryzł!

– Ciesz się, że w tym roku robili mi zastrzyk przeciwko wściekliźnie! – krzyknął Richie.

– Zmiażdżyć ich! – Henry szalał z wściekłości. – Rozwalić ich, zbombardować kamieniami, roztłuc na miazgę!

Posypały się kolejne kamienie. Chłopcy ponownie szybko wycofali się w głąb kanału. Mały kamień trafił Mike'a w ramię. Hanlon zacisnął palce na ramieniu i krzywiąc się, trzymał z całej siły, aż wreszcie ból zaczął mijać.

– Mamy sytuację patową – powiedział Ben. – Oni nie mogą wejść, a my nie możemy wyjść.

– My nie mamy stąd w-w-wyjść – rzekł cicho Bill – i d-dobrze o tym wiecie. W ogóle n-nie mamy stąd w-w-wyjść. Już n-n-nigdy.

Spojrzeli na niego oczyma przepełnionymi bólem i niepokojem. Nikt nic nie powiedział. I wtedy usłyszeli głos Henry'ego, który starał się ukryć swą wściekłość pod płaszczykiem ironii.

– Możemy tu czekać na was cały dzień, gnojki!

Beverly odwróciła się i zajrzała w głąb rury kanału. Światło nie sięgało tu zbyt głęboko. Zobaczyła jedynie betonowy tunel, wypełniony w jednej trzeciej płynącą wodą. Jej poziom był wyższy niż w chwili, gdy wcisnęli się tu po raz pierwszy; zapewne dlatego, że ta pompa była nieczynna i tylko część wody wpływała do

Kenduskeag. Uczucie klaustrofobii powodowało dławienie w gardle. Jeżeli poziom wody podniesie się jeszcze bardziej, potopimy się, pomyślała.

– Bill, musimy?

Wzruszył ramionami. To mówiło wszystko. Tak, musieli – a jaki mieli wybór? Dać się zabić Henry'emu, Victorowi i Belchowi w Barrens albo czemuś innemu – być może o wiele gorszemu – w mieście? Teraz zrozumiała. O tak. Pojęła to aż za dobrze. W jego geście nie było zająknięcia, tak jak w słowach. Lepszym wyjściem dla nich było spotkanie z Tym. Zmuszenie Tego, by stanęło do walki, jak rewolwerowca z westernu. To było czystsze rozwiązanie. Bardziej honorowe.

– Jak się nazywał ten rytuał, o którym nam opowiadałeś, Wielki Billu? – zapytał Richie. – Ten, o którym przeczytałeś w tej książce?

– Ch-ch-chüd – rzekł Bill i uśmiechnął się pod nosem.

– Chüd. – Richie skinął głową. – Przygryzasz język Tego, a To przygryza twój, tak?

– W-właśnie.

– A potem opowiadasz dowcipy.

Bill pokiwał głową.

– Zabawne – rzekł Richie, zaglądając w głąb mrocznego tunelu. – Nie potrafię sobie żadnego

przypomnieć.

– Ja też – powiedział Ben. Czuł niewidoczne brzemię strachu, które go dławiło. Miał wrażenie, że jedyną rzeczą, która nie pozwalała mu usiąść po prostu w wodzie i zacząć mamrotać coś niezrozumiale jak niemowlę lub też popaść w obłęd, była obecność Billa… i Beverly, pewnych siebie i spokojnych. Miał wrażenie, że wolałby umrzeć, niż okazać Beverly, jak bardzo był przerażony.

– Wiesz, dokąd prowadzi ten kanał? – zapytał Stan, zwracając się do Billa.

Bill pokręcił głową.

– Wiesz, jak odnaleźć To?

Bill ponownie pokręcił głową.

– Kiedy będziemy dostatecznie blisko, wpadniemy na właściwy sposób – rzekł nagle Richie. Drżąc na całym ciele, niepewnie zaczerpnął powietrza. – Jeśli mamy to zrobić, to chodźmy.

Bill skinął głową.

– J-ja p-p-pierwszy. P-potem E-e-eddie, B-b-ben, Bev, S-stan, M-m-mike. T-ty ostatni, Richie. N-niech każdy p-p-położy rękę na r-ramieniu osoby idącej p-przed nim. W t-t-tunelu będzie c-c-ciemno.

– Wyłazicie?! – zawołał ochryple Henry Bowers.

– Gdzieś na pewno wyjdziemy – wymamrotał Richie. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

Szli rzędem jak ślepcy, trzymając się jedno drugiego. Bill jeden jedyny raz obejrzał się za siebie, aby się upewnić, że każde z nich trzyma rękę na ramieniu osoby idącej przed sobą. Potem, pochyliwszy się nieznacznie do przodu, by nie poddać się dość silnemu prądowi płynącej wartko wody, Bill Denbrough poprowadził swoich przyjaciół w ciemność, gdzie nieomal rok temu zniknął okręcik, zrobiony przez niego dla młodszego brata, George’a.

ROZDZIAŁ 20
Krąg się zamyka

1

Tom

Tom Rogan miał cholernie szalony, niemal obłąkany sen. W tym śnie zabijał swego ojca. Część jego umysłu natychmiast zorientowała się w absurdzie tego wszystkiego – jego ojciec umarł, kiedy Tom był jeszcze w trzeciej klasie podstawówki. No, w zasadzie… może słowo „umarł” nie było tu zbyt na miejscu. Bardziej adekwatne byłoby użycie zwrotu „popełnił samobójstwo”. Ralph Rogan zrobił sobie koktajl – mieszankę ginu z ługiem. Można by rzec, że wypił strzemiennego. Tom musiał zacząć się opiekować swoim bratem i siostrami i gdy któreś z nich coś zbroiło, obrywał lanie. A więc nie mógł

zabić swojego ojca… mimo to w tym przerażającym śnie trzymał coś, co wyglądało prawie jak niegroźna rękojeść, i przytykał ów przedmiot do szyi swego ojca… choć tak naprawdę ta rzecz wcale nie była niegroźna, prawda? Na końcu rękojeści znajdował się obły guzik i gdyby go nacisnął, z wnętrza rękojeści wyskoczyłoby ostrze, przeszywając na wylot gardło jego ojca. Nie zrobię niczego takiego, tatusiu, nie martw się, pomyślał jego senny umysł na moment przed tym, jak kciuk wcisnął guzik i ostrze gwałtownie wysunęło się z otworu.

Oczy śpiącego ojca otworzyły się – mężczyzna spojrzał w sufit. Z otwartych ust wydobył się krwawy charkot. Tatusiu, ja tego nie zrobiłem, wrzasnął jego umysł. To ktoś inny! Próbował się obudzić, ale nie mógł. Najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić (choć, jak się okazało, to wcale nie było mądrym wyjściem), było przejście do innego snu. W tym nowym śnie brodził po kolana w wodzie w czeluściach długiego, mrocznego tunelu. Bolały go jądra, a twarz, pokryta licznymi zadrapaniami, piekła jak diabli. Byli z nim inni, ale widział jedynie rozmazane zarysy ich sylwetek. A zresztą to i tak nie miało znaczenia. Najważniejsze było to, że gdzieś tam w oddali,

przed nim, znajdowały się te dzieciaki. Musiały zapłacić.

Należało (*sprawić im lanie*) ich ukarać.

Czymkolwiek był ów czyściec, cuchnęło tu jak w sraczu. Woda ściekała i ten odgłos odbijał się głośnym echem. Jego buty i spodnie były przemoczone. Te parszywe małe gnojki były gdzieś tam, przed nim, pośród labiryntu tuneli i być może myślały, że (*Henry*) Tom i jego przyjaciele się zgubią, ale jeżeli tak uważają, to się omylą (*Ch, cha, i to jak się omylą!*), bo miał jeszcze jednego przyjaciela, o tak, szczególnego przyjaciela, a ten przyjaciel znaczył drogę, którą mieli podążać, za pomocą (*księżyców-balonów*)… to znaczy balonów sygnalizacyjnych, dużych, okrągłych i w jakiś sposób oświetlonych od wewnątrz, tak że rzucały blask jak stare latarnie uliczne. Na każdym ze skrzyżowań znajdował się jeden taki pływający w powietrzu balon, a na jego powłoce była narysowana strzałka wskazująca właściwą odnogę tunelu, w którą on i (*Belch i Victor*) jego niewidzialni towarzysze powinni skręcić. I to była właściwa droga, o tak, słyszał tamtych w oddali przed sobą, ich pluskające kroki, odbijające się głośnym echem od ścian kanału, i odległy, przytłumiony szmer głosów.

Zbliżali się do nich. Zmniejszali dzielący ich dystans. A kiedy już ich dogonią… Tom spuścił wzrok i zobaczył, że nadal trzyma w dłoni sprężynowiec. Przez chwilę był przerażony… to było jak jedno z tych obłąkańczych astralnych doświadczeń, o których czasami czytał w tygodnikach, kiedy to twoja dusza opuszcza twoje ciało i wchodzi w inne. To ciało było mu zupełnie obce, zupełnie jakby nie był Tomem, tylko (*Henrym*) kimś innym, młodszym. Próbował wyrwać się z tego snu, ogarnięty gwałtowną falą paniki, i wtedy jakiś głos, miękki, łagodny, kojący wyszeptał mu prosto do ucha: „Nieważne, kiedy to się dzieje, i nieważne, kim jesteś. Ważne jest to, że jest tam Beverly. Jest z nimi, mój dobry przyjacielu, i wiesz co? Ona robiła coś dużo gorszego niż popalanie papierosów bez pozwolenia. Wiesz, co robiła? Pieprzyła się ze swoim starym kumplem, Billem Denbrough! O tak! Właśnie! Ona i ten dziwoląg, jąkała, pieprzyli się. Oni…”.

To kłamstwo! – próbował krzyknąć. Nie ośmieliłaby się! Ale wiedział, że to nie było kłamstwem. Wyrżnęła go pasem (kopnęła mnie) w jaja i uciekła, a teraz jeszcze do tego się rżnęła, ta mała dziwka, ta pierdolona kurwa puszczała się na prawo i lewo i zaręczam wam, przyjaciele

i sąsiedzi, że dostanie takie lanie, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Lanie wszystkich lań, najpierw ona, a potem ten Denbrough, jej koleś pisarzyna. I gdyby ktoś próbował wejść mu w paradę, może być pewny, że tak samo dostanie za swoje.

Zaczął iść jeszcze szybciej, choć i tak z jego ust dobywał się już przyspieszony, świszczący oddech. W oddali dostrzegł kolejny wiszący w powietrzu, pałający blaskiem krąg – jeszcze jeden księżyc-balon. Słyszał głosy ludzi znajdujących się w oddali, przed nim, i nie przejmował się już tym, że były to głosy dzieci. Tak jak powiedział mu ów szepczący głos – to nieważne gdzie, kiedy czy kto. Beverly była tam, przed nim, i zaręczam wam, przyjaciele i sąsiedzi…

– No, dalej, chłopcy, ruszcie się – powiedział i nie przejął się tym, że głos, który usłyszał, nie był jego własnym, lecz głosem chłopca.

A potem, kiedy zbliżyli się do księżyca-balonu, rozejrzał się wokoło i po raz pierwszy zobaczył swoich towarzyszy. Obaj byli martwi. Jeden z nich nie miał głowy. Twarz drugiego była rozpłatana jakby wielkim szponem.

– Idziemy tak szybko, jak możemy, Henry – powiedział chłopiec z rozszczepioną czaszką,

a jego rozpłatane usta poruszały się nierytmicznie. Wrażenie było na tyle groteskowe, że właśnie wtedy Tom krzyknął przeraźliwie i sen prysnął jak bańka mydlana, a on sam obudził się z wrażeniem, że jest zawieszony w bezkresnej, pustej przestrzeni. Usiłował jeszcze zachować równowagę, lecz stracił ją i zleciał na podłogę. Podłoga była wyłożona dywanem, ale upadek sprawił, że jego uszkodzone kolano zaczęło pulsować świeżym bólem i aby stłumić kolejny krzyk, musiał zasłonić usta przedramieniem.

Gdzie ja jestem? Gdzie ja, kurwa, jestem? Uświadomił sobie obecność słabego, ale czystego białego światła i przez jedną przerażającą chwilę pomyślał, że ponownie usnął, a światło płynie z wnętrza jednego z tych szalonych balonów. Potem przypomniał sobie niedomknięte drzwi do łazienki i zapaloną wewnątrz neonówkę. Zawsze zostawiał włączone światło, kiedy spędzał noc w obcym miejscu. W ten sposób, wstając w nocy, żeby się wysikać, nie obijał sobie goleni.

Dopiero teraz przypomniał sobie, gdzie się znajdował. Był w hotelu Holiday Inn. To było Derry, w Maine. Ścigał swoją żonę i w samym środku szaleńczego koszmaru wypadł z łóżka. To wszystko, ni mniej, ni więcej.

„Ale to nie był zwykły koszmar”. Aż podskoczył, gdy usłyszał słowa wypowiedziane wprost do jego ucha. Ba, ten głos w ogóle nie przypominał jego wewnętrznego głosu – był zimny, obcy… a mimo to dziwnie hipnotyczny i wiarygodny.

Podniósł się powoli, wziął niezgrabnie szklankę ze stolika przy łóżku i wypił całą jej zawartość. Przeczesał włosy drżącymi rękoma. Spojrzał na zegarek. Było dziesięć minut po trzeciej. Zaśnij. Poczekaj do rana.

Znowu ten obcy głos. „Ale rano tam będzie masa ludzi. Zbyt wielu ludzi. A poza tym teraz mógłbyś ich dopaść na dole i zrobić to, na co sobie zasłużyli. Tym razem możesz być pierwszy”. Tam na dole?

Pomyślał o swoim śnie. Woda, ociekające ściany, mrok. Nagle światło stało się jaśniejsze. Obrócił głowę, choć wcale tego nie chciał, ale nie mógł się powstrzymać. Z jego ust dobył się jęk. Do klamki w drzwiach łazienki był przywiązany balon. Unosił się w powietrzu na końcu sznurka długości około trzech stóp… Balon rozjarzył się upiornym białym światłem. Przypominało to błędne ognie widoczne często na bagnach, unoszące się smętnie pomiędzy drzewami porośniętymi szarymi sznurami mchów. Na

napęczniałej skórze balonu była narysowana strzałka, strzałka krwistoczerwona, która wskazywała na drzwi wiodące na korytarz.

„To naprawdę nieważne, kim jestem – usłyszał kojący głos i zdał sobie nagle sprawę, że ten głos nie płynął z wnętrza jego głowy czy znad jego ucha; dochodził z balonu, z jądra tego dziwnego, cudownego źródła światła. – Liczy się tylko to, że zobaczę, jak uregulujesz z nią rachunki. Tom, chcę zobaczyć, jak sprawiasz jej lanie; chcę zobaczyć, jak sprawiasz lanie im wszystkim. Zbyt często wchodzili mi w drogę… I ich czas już dawno dobiegł końca. A więc posłuchaj, Tom. Słuchaj bardzo uważnie. Teraz są wszyscy razem… Idź za piłką…”.

Tom słuchał. Głos z balonu udzielał mu wyjaśnień. To wyjaśniało wszystko. Kiedy skończyło, balon błysnął po raz ostatni, a potem Tom zaczął się ubierać.

2

Audra

Audra również przeżywała koszmary.

Obudziła się gwałtownie, usiadła na łóżku – prześcieradło miała ciasno owinięte wokół talii –

a jej piersi poruszały się w rytm przyspieszonego oddechu. Podobnie jak u Toma jej sen również był pogmatwanym i niepokojącym przeżyciem. Podobnie jak Tom miała wrażenie, że jest kimś innym – lub raczej że złożyła swoją świadomość (a przynajmniej jej część) w ciele i umyśle kogoś innego. Znajdowała się w mrocznym miejscu z jakąś grupką ludzi i miała wrażenie, że wszyscy oni są w niebezpieczeństwie – zmierzali ku zagrożeniu celowo i z rozmysłem. Chciała krzyknąć do nich, by się zatrzymali, by wyjaśnili jej, co się dzieje – ale osoba, z którą się utożsamiała, wiedziała i wierzyła, że to konieczne. Zdawała sobie również sprawę, że byli ścigani, a prześladowcy doganiali ich, z każdą chwilą zmniejszając dzielący ich dystans.

W tym śnie był również Bill, ale musiała chyba myśleć o tym, jak opowiadał jej, że zapomniał całe swoje dzieciństwo, bo w jej śnie Bill był chłopcem, zaledwie dziesięcio-, dwunastolatkiem, i wciąż jeszcze miał bujną czuprynę! Trzymała go za rękę i – co prawda, mgliście – czuła, że bardzo go kocha, a jej chęć do kontynuowania wędrówki była niewzruszoną pewnością, że Bill będzie chronić zarówno ją, jak i ich wszystkich, i że Bill, Wielki Bill, w jakiś sposób pomoże im przez to przebrnąć

i ponownie wyprowadzi ich na powierzchnię. To prawda, ale ona tak bardzo się bała.

Dotarli do rozgałęzienia tuneli i Bill zatrzymał się, popatrując to w jedną, to w drugą stronę, gdy wtem chłopiec z ręką w gipsowym opatrunku, błyszczącym upiornym, bladym blaskiem w ciemności tunelu, powiedział:

– Tędy, Bill. Musimy skręcić w tę odnogę.

– J-j-jesteś p-p-pewny?

– Tak.

Skręcili we wskazany korytarz i okazało się, że są tam drzwi – drewniane drzwi, jak z bajki, mające nie więcej niż trzy stopy wysokości. Widniał na nich jakiś symbol. Nie potrafiła sobie przypomnieć, co to był za znak czy run. Jednak w chwili, gdy go zobaczyła, poczuła tak potworny strach, że wyrwała się z tego drugiego ciała, ciała dziewczyny, kimkolwiek (*Beverly?*) ona była.

Obudziła się i usiadła sztywno na obcym łóżku, spocona, z rozszerzonymi oczyma, gwałtownie chwytając powietrze, jak po długim, forsownym biegu. Sięgnęła dłońmi do nóg, spodziewając się, że będą wilgotne i zimne od wody, w której brodziła w tym dziwnym śnie. Ale były suche.

Potem nadszedł okres dezorientacji – to nie był ich dom w Topanga Canyon ani wynajęty

domek we Fleet. To była… otchłań z wyposażeniem składającym się z łóżka, toaletki, dwóch krzeseł i telewizora.

– O Boże, daj spokój, Audro…

Przetarła mocno twarz obiema dłońmi i to przyprawiające o mdłości uczucie zawrotów głowy odrobinę zelżało. Znajdowała się w Derry. W Derry w Maine, gdzie jej mąż przeżył dzieciństwo, którego, jak twierdził, nie potrafił sobie przypomnieć. Nie znała tego miejsca, nie czuła też, aby było szczególnie dobre, ale przynajmniej wiedziała już, gdzie jest. Przyjechała tu za Billem i zobaczy się z nim jutro w Derry Town House; cokolwiek złego się tu działo, cokolwiek miały oznaczać te świeże blizny na jego dłoniach, powie mu, że przyjechała, a potem się z nim zobaczy. Później zaś… no cóż…

Tymczasem nie miała pojęcia, co się potem stanie. Czuła zawroty głowy, powracało to dziwne wrażenie przebywania w miejscu, które naprawdę nie istniało. Kiedy miała dziewiętnaście lat, wraz z trupą objazdową przebywała przez czterdzieści siedem niezbyt przyjemnych dni w trasie, z przedstawieniem niezbyt udanej wersji *Arszeniku i starych koronek*. Odbyło się czterdzieści niezbyt dobrych

przedstawień tej sztuki w czterdziestu niezbyt malowniczych miasteczkach Stanów Zjednoczonych. Zaczęli od Peabody Dinner Theater w Massachusetts i skończyli w Play It Again Sam w Sausalito. A gdzieś pomiędzy tymi miejscami, w niewielkich miasteczkach, jak Ames w stanie Iowa, Grand Isle w Nebrasce lub może Jubilee w Dakocie Północnej, budziła się tak jak dziś, w środku nocy, zdezorientowana i ogarnięta paniką, nie wiedząc, gdzie była, jaki jest dzień ani dlaczego znajdowała się właśnie tu. Nawet własne nazwisko wydawało jej się nierzeczywiste.

Teraz to uczucie powróciło. Koszmary wdarły się w obszar jawy i poczuła, że z wolna zaczyna ją ogarniać przerażenie. Miasto owijało się wokół niej jak olbrzymi pyton. Czuła to i towarzyszące temu wrażenia bynajmniej nie były przyjemne. Żałowała, że nie usłuchała rady Freddiego i nie została w Anglii. Skoncentrowała swoje myśli na osobie Billa, rozpaczliwie, jak tonąca kobieta, która kurczowo chwyta się koła ratunkowego lub czegokolwiek, co (*Wszyscy tu pływamy, Audro*) pływa.

Przeszedł ją dreszcz i skrzyżowała ramiona na nagich piersiach. Wzdrygnęła się i zobaczyła, że ma gęsią skórkę. Przez moment wydawało jej się,

że ten głos rzeczywiście się rozległ, tyle że gdzieś we wnętrzu jej głowy. Zupełnie jakby zagnieździła się tam jakaś obca obecność.

Czy ja popadam w obłęd? Boże, czy ja naprawdę wariuję? Nie, odpowiedział jej umysł. To tylko dezorientacja… za bardzo martwisz się o swego męża. Nikt nie mówi wewnątrz twojej głowy. Nikt…

– *Wszyscy tu pływamy, Audro* – usłyszała głos z łazienki. To był rzeczywisty głos, realny jak domy. I chytry. Szelmowski, brudny i zły. – *I ty też będziesz pływać*.

Głos przeszedł w chichot, który zakończył się bulgotem przypominającym odgłos płynący z zatkanej rury odpływowej.

Audra krzyknęła… a potem przyłożyła dłonie do ust.

– Nie słyszałam tego – powiedziała to głośno, chcąc zmusić głos, by temu zaprzeczył. Tak się jednak nie stało. W pokoju panowała cisza. Gdzieś w oddali rozległa się syrena przejeżdżającego pociągu.

Nagle tak bardzo zapragnęła spotkać się z Billem, że niemal nie mogła zaczekać do rana. Znajdowała się w standardowym pokoju w motelu, jednym z trzydziestu dziewięciu identycznych pokoi, ale czuła, że tego już za

wiele. Miała dość. Wszystkiego. Kiedy zaczynasz słyszeć głosy, zdajesz sobie sprawę, że tego już za wiele. To było zbyt przerażające. Miała wrażenie, że ponownie znalazła się w koszmarze, z którego dopiero co się wyrwała. Była przerażona i czuła się przeraźliwie samotna. To nie wszystko, pomyślała. To nie jest najgorsze. Czuję się, jakbym była martwa. Nagle serce w jej piersi podskoczyło dwukrotnie, co sprawiło, że gwałtownie zaczerpnęła powietrza, a potem, jakby odrobinę zaskoczona, kaszlnęła głośno. Ogarnęła ją panika, ciało miała napięte do granic możliwości; czuła się jak więźniarka w ciasnej więziennej celi i zaczęła się zastanawiać, czy cały ten strach nie miał całkiem przyziemnych, fizycznych podstaw. Może lada moment dozna ataku serca. A może właśnie przed chwilą go doznała. Jej serce wróciło do normalnego rytmu, ale nadal była niespokojna.

Audra włączyła lampkę na nocnym stoliku i spojrzała na zegarek. Dwanaście po trzeciej. On na pewno będzie spał, ale to teraz nie miało znaczenia. Nic się nie liczyło prócz tego, że chciała usłyszeć jego głos. Chciała spędzić resztę tej nocy u jego boku. Gdyby Bill był przy niej, jej zegar wewnętrzny zgrałby się z jego rytmem i być może zdołałaby się wreszcie uspokoić. Te

piekielne koszmary stałyby się przeszłością. Bill żył ze sprzedaży koszmarów innym ludziom – taki miał zawód – ona otrzymywała od niego wyłącznie spokój. Pomimo obłędnych i posępnych wizji tworzonych przez jego wyobraźnię sprawiał wrażenie, jakby jego główną domeną było przekazywanie ludziom spokoju, który emanował z jego wnętrza.

Sięgnęła po książkę telefoniczną, znalazła numer Derry Town House i wykręciła go.

– Derry Town House.

– Czy zechciałby pan zadzwonić do pokoju pana Denbrough? Pana Williama Denbrough?

– Czy do tego faceta dzwoni się tylko w nocy? – zapytał recepcjonista, ale zanim zdążyła zapytać, co to miało znaczyć, przełączył ją na numer pokoju Billa. Telefon zabrzęczał raz, drugi, trzeci. Wyobrażała go sobie, jak leży w łóżku przykryty po sam czubek głowy i wyciąga dłoń spod koca, by sięgnąć po telefon. Widziała wcześniej, jak to robił, i leciutki, kochający uśmieszek pojawił się na jej ustach. Uśmiech przygasł, gdy telefon zadzwonił po raz czwarty… piąty… i szósty… W połowie siódmego sygnału połączenie zostało przerwane.

– Nikt nie odpowiada…

– Co ty powiesz, Holmesie – mruknęła do siebie Audra, bardziej zdenerwowana i przerażona niż kiedykolwiek. – Jest pan pewny, że połączył mnie pan z właściwym pokojem?

– Tak – odparł recepcjonista. – Niecałe pięć minut temu pan Denbrough miał jeszcze jedną rozmowę, dzwoniono z innego pokoju. Wiem, że odebrał, bo lampka na centralce paliła się minutę, a może nawet dwie. Najwyraźniej musiał pójść do tego kogoś…

– Z którego pokoju dzwoniono?

– Nie pamiętam. Chyba z szóstego piętra. Ale…

Rzuciła słuchawką. Ogarnęło ją uczucie dziwnej, przygnębiającej pewności. To była kochanka. Jakaś kobieta zadzwoniła do niego… poszedł do jej pokoju. No i co teraz, Audro? Co zrobisz w tej sytuacji? Była bliska łez. Czuła, jak napływają jej do oczu, podrażniają nos, a w gardle utkwiła jej niewidzialna, lecz uciążliwa gula. Nie był to gniew – w każdym razie jeszcze nie… tylko przybijające uczucie straty i osamotnienia. Trzymaj się, Audro. Pochopnie wyciągasz wnioski. Jest środek nocy. Miałaś zły sen, a teraz wyobrażasz sobie, że Bill jest z jakąś kobietą. To niekoniecznie musi być prawda. Wiesz, co powinnaś teraz zrobić? Usiąść. I tak już przecież nie uśniesz. Włącz światło

i dokończ książkę, którą zaczęłaś czytać w samolocie. Przypomnij sobie, co mówi Bill – książka to najlepsze valium. Najlepsze lekarstwo. Koniec z nerwówką. Koniec z głosami. Dorothy Sayers i Lord Peter to najlepsze wyjście dla ciebie. *The Nine Tailors*, doczytanie do końca zajmie ci trochę czasu. Aby do świtu. To…

Nagle zapaliło się światło w łazience. Widziała pasemko światła pod drzwiami. Potem szczęknęła klamka i drzwi otwarły się na oścież. Patrzyła na to rozszerzonymi oczyma i po raz drugi instynktownie skrzyżowała ramiona na piersiach. Serce zaczęło walić jak oszalałe i poczuła w ustach kwaśny smak adrenaliny. Cichy, przeciągający słowa głos powiedział: „Wszyscy tutaj pływamy, Audro”. Ostatnie słowo zmieniło się w długi, cichy, gasnący krzyk „Audroo-ooo” i zakończyło tym samym, przypominającym śmiech bulgotem, który jakby dobiegał z wnętrza zatkanej rury odpływowej.

– Kto tam?! – krzyknęła, cofając się.

To nie była moja wyobraźnia, nic z tego, nie wmówisz mi…

Nagle włączył się telewizor. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła harcującego na ekranie klowna w srebrzystym kostiumie z wielkimi pomarańczowymi guzikami. W miejscu, gdzie

powinien mieć oczy, widniały puste, czarne jamy, a kiedy czerwone, uśmiechnięte usta rozchyliły się jeszcze bardziej, zobaczyła zęby przypominające brzytwy. To uniosło odciętą, ociekającą posoką głowę. Oczy były wywrócone, tak że widać było jedynie białka, a usta otwarte szeroko w bezgłośnym okrzyku, ale bez trudu rozpoznała, że była to głowa Freddiego Firestone'a. Klown śmiał się i tańczył. Wymachiwał głową na wszystkie strony i parę kropli krwi zbryzgało od wewnątrz ekran telewizora. Słyszała, jak skwierczały.

Audra próbowała krzyczeć, ale z jej ust dobył się jedynie zduszony jęk. Sięgnęła ręką na oślep po sukienkę wiszącą na oparciu krzesła i po torebkę. Wbiegła do korytarzyka i zatrzasnęła za sobą drzwi, łapczywie chwytając powietrze. Jej twarz była biała jak płótno. Postawiła torebkę na podłodze między nogami i włożyła sukienkę przez głowę.

– Będziesz pływać – rozległ się z tyłu za nią cichy, szyderczy głos i poczuła, jak zimny palec pieszczotliwie przesunął się po jej gołej pięcie. Raz jeszcze wydała z siebie bezgłośny okrzyk i pospiesznym krokiem oddaliła się od drzwi. Białe, trupie palce przesuwały się pod nimi tam i z powrotem. Paznokcie były zdarte. Widać było

prostokątne, sine, bezkrwiste kawałki żywego mięsa. Palce szurały po dywanie.

Audra schwyciła torebkę i boso podbiegła do drzwi na końcu korytarzyka. Teraz ogarniała ją ślepa panika, myślała tylko o tym, że musi odnaleźć Derry Town House i dotrzeć do Billa. Nawet jeżeli był teraz w łóżku z całym haremem kobiet, i tak by się tym nie przejęła. Odnajdzie go i przekona, aby zabrał ją z tego miasta, w którym gnieździła się jakaś niemożliwa do nazwania istota.

Przebiegła po deptaku i wypadła na parking, rozglądając się dziko w poszukiwaniu swego samochodu. Przez moment jej umysł w ogóle nie pracował, nie mogła sobie przypomnieć, jakim samochodem przyjechała. Po chwili już wiedziała – brązowym datsunem. Zauważyła go pogrążonego po dekle w płożącej się nad ziemią mgle i żwawym krokiem podeszła do niego. Nie mogła znaleźć kluczyków w torebce. Gmerała w niej, czując narastające z każdą chwilą uczucie paniki, przerzucając chaotycznie chusteczki do nosa, kosmetyki, monety, okulary przeciwsłoneczne i opakowania z gumą do żucia. Nie zwróciła uwagi na stojącą tuż obok jej datsuna starą półciężarówkę LTD ani na mężczyznę siedzącego za kierownicą. Nie

zauważyła, kiedy drzwiczki LTD otworzyły się i mężczyzna wysiadł. Próbowała pogodzić się z coraz bardziej prawdopodobnym przeświadczeniem, że musiała zostawić kluczyki w pokoju. Ale nie mogła tam wrócić. Nie mogła. Dotknęła palcami twardego, ząbkowanego metalu pod pudełkiem miętówek i uchwyciła ów przedmiot z cichym okrzykiem triumfu. Przez jedną chwilę przyszła jej do głowy przerażająca myśl, że to może być kluczyk do ich rovera, znajdującego się teraz na parkingu przy stacji we Fleet, trzy tysiące mil stąd, a potem wyczuła pod palcami plakietkę z wypożyczalni samochodów. Włożyła niezdarnie kluczyk do otworu zamka w drzwiczkach datsuna i przekręciła go gwałtownie. Oddech miała przyspieszony i płytki. W tej samej chwili czyjaś dłoń spadła na jej ramię i Audra krzyknęła… tym razem krzyknęła naprawdę głośno. Gdzieś w odpowiedzi rozległo się ujadanie psa, ale to było wszystko. Dłoń, twarda jak stal, odwróciła ją brutalnie. Palce silne niczym szpony boleśnie wpijały się jej w ramię. Twarz, którą zobaczyła nad sobą, była nabrzmiała i poobijana. W oczach błyszczały iskierki. Kiedy napuchnięte wargi rozchyliły się w groteskowym uśmiechu, zobaczyła, że kilka przednich zębów mężczyzna miał złamanych.

Pieńki były postrzępione i wyglądały okropnie. Próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła. Dłoń zacisnęła się mocniej. Palce głębiej wpiły się w jej ramię.

– Czy ja ciebie nie widziałem w jakimś filmie? – wyszeptał Tom Rogan.

3

Pokój Eddiego

Beverly i Bill ubrali się szybko, nie odzywając się do siebie, i czym prędzej poszli do pokoju Eddiego. W drodze do windy usłyszeli gdzieś za sobą dzwonek telefonu. To był stłumiony dźwięk, jakby dobiegał z jakiegoś odległego miejsca.

– Bill, czy to z twojego pokoju?

– B-b-być może – odparł. – M-może dzwoni k-któryś z n-n-na-szych. – Nacisnął przycisk oznaczony podpisem: „Góra”.

Drzwi otworzył im Eddie – jego twarz była blada i ściągnięta bólem. Lewa ręka Eddiego sterczała pod dziwnym kątem, który to widok, rzecz dziwna, przypominał im stare czasy.

– Nic mi nie jest – oznajmił. – Wziąłem dwa darvony. Teraz już mnie tak nie boli. – Jednak Bill i Beverly od razu dostrzegli, że to nie do końca

prawda. Wargi miał zaciśnięte tak mocno, że prawie nie było ich widać: tworzyły dwie fioletowe kreski.

Bill zajrzał ponad jego ramieniem w głąb pokoju i zobaczył leżące na podłodze ciało. Jedno spojrzenie wystarczyło, by upewnił się w dwóch kwestiach – to był na pewno Henry Bowers i nie ulegało wątpliwości, że martwy. Bill wyminął Eddiego i ukląkł przy ciele. Wraz z ostrymi krawędziami butelki we wnętrzności Henry'ego wbiły się strzępy podartej koszuli. Oczy Henry'ego były na wpół otwarte i szkliste. Jego usta wypełnione krzepnącą krwią wykrzywiał zwierzęcy grymas. Palce dłoni przypominały szpony drapieżnika. Cień padł na niego i Bill uniósł wzrok. To była Beverly. Spojrzała na ciało Henry'ego bez wyrazu.

– P-p-przez cały czas n-n-nas ścigał – powiedział Bill.

Skinęła głową.

– Nie wygląda staro, wiesz, Bill? Jakby w ogóle się nie postarzał.

Nagle odwróciła się i spojrzała na Eddiego, który usiadł na łóżku. To on wyglądał staro. Sprawiał wrażenie starego i wymizerowanego. Jego ręka bezwładnie spoczywała na podołku.

– Musimy wezwać lekarza do Eddiego.

– Nie – odezwali się jednocześnie Bill i Eddie.

– Ale on jest ranny! Jego ręka…

– Jest t-t-tak samo j-jak ostatnim razem – powiedział Bill. Podniósł się i ująwszy ją za ramiona, spojrzał jej prosto w twarz. – J-jeżeli spróbujemy w-wyjść n-n-na zewnątrz, j-j-jeżeli włączymy w to m-m-miasto…

– Zaaresztują mnie za morderstwo – dokończył bezbarwnym głosem Eddie – lub nawet aresztują nas wszystkich. Wtrącą nas do więzienia, a potem… wydarzy się wypadek. Jeden ze szczególnych wypadków, jakie zdarzają się tylko w Derry. Może, jak już będziemy za kratkami, miejscowy szef policji dostanie ataku szału i wystrzela nas wszystkich. Może zostaniemy otruci albo powiesimy się z niewiadomych przyczyn.

– Eddie, to szalone! To…

– Czyżby? Pamiętajcie, że to jest Derry.

– Ale my przecież jesteśmy dorośli! Chyba nie sądzisz… że on zjawił się tu w środku nocy… zaatakował cię…

– Czym? – spytał Bill. – G-g-gdzie jest n-n-nóż?

Rozejrzała się wokoło, ale nigdzie nie zauważyła noża i uklękła, aby zajrzeć pod łóżko.

– Nie trudź się – rzekł Eddie tym samym cichym, świszczącym głosem. – Przytrzasnąłem

mu rękę drzwiami, kiedy próbował mnie dźgnąć. Upuścił nóż, a ja kopnąłem go pod telewizor. Teraz już go tam nie ma. Sprawdzałem.

– B-b-beverly, zadzwoń do r-r-reszty. M-myślę, że p-potrafię opatrzyć E-eddiemu rękę.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem ponownie spojrzała na leżące na podłodze ciało. Przyszło jej na myśl, że każdy, nawet najgłupszy glina musiałby się natychmiast zorientować, co zdarzyło się w tym pokoju. To było aż nazbyt oczywiste. Panował tu okropny bałagan. Eddie miał złamaną rękę. Mężczyzna leżący na podłodze był martwy. Typowy przypadek zabójstwa w samoobronie. I wtedy przypomniała sobie pana Rossa. Pana Rossa wstającego, składającego spokojnym ruchem gazetę i wchodzącego do domu.

„Jeżeli spróbujemy wyjść na zewnątrz… jeśli włączymy w to miasto…”. To sprawiło, że przypomniała sobie oblicze Billa z czasów dzieciństwa – jego twarz zmęczoną i na wpół obłąkaną. Billa mówiącego: „Derry jest Tym. Rozumiecie?… Dokądkolwiek byśmy poszli… kiedy To nas dostanie, ludzie niczego nie zobaczą, nie usłyszą ani nie będą wiedzieć. Nie zdajecie sobie z tego sprawy? Jedyne, co możemy

zrobić, to spróbować zakończyć to, co zaczęliśmy”.

Stojąc teraz w pokoju Eddiego i patrząc na zwłoki Henry’ego, Beverly pomyślała, że według nich obu ponownie stali się duchami. To znowu się zaczyna. Sytuacja się powtarza. Wszystko. Jako dziecko mogłam się z tym pogodzić, bo dzieci są prawie jak duchy. Ale…

– Jesteś pewny? – spytała z rozpaczą w głosie. – Bill, czy jesteś pewny?

Siedział na łóżku obok Eddiego, delikatnie dotykając jego ręki.

– A t-t-ty n-nie? – zapytał. – P-po tym wszystkim, co się dziś w-w-wydarzyło?

Tak. Tyle się wydarzyło. Okropny finał ich powtórnego spotkania przy uroczystym obiedzie. Piękna, starsza kobieta, która na jej oczach zmieniła się w ohydną wiedźmę (Beverly wciąż pamiętała ten ohydny skrzek: „Mój łojciec był również moją matkom”), historie, które opowiadali w bibliotece przy wtórze towarzyszących im nadprzyrodzonych zjawisk. Wszystkie te rzeczy. A mimo to… wewnętrzny głos nakazywał jej, aby położyła temu kres, aby podeszła do tego racjonalnie, bo jeżeli nie, to jeszcze tej nocy całą grupą wyruszą do Barrens, aby odnaleźć tam pewną stację pomp i…

– Nie wiem – odrzekła. – Po prostu… nie wiem. Nawet po tym wszystkim, co się stało, Bill, sądzę, że powinniśmy zadzwonić na policję. Może.

– Zadzwoń do p-p-pozostałych – powtórzył. – Z-z-zobaczy-my, co o tym m-m-myślą.

– W porządku.

Najpierw zadzwoniła do Richiego, a potem do Bena. Obaj powiedzieli, że zaraz przyjdą. Żaden z nich nie zapytał, co się stało. Odnalazła w książce telefonicznej numer Mike'a Hanlona i wykręciła go. Nikt nie podniósł słuchawki. Po tuzinie sygnałów przerwała połączenie.

– Spróbuj do b-b-biblioteki – rzekł Bill. Zdjął dwa karnisze z mniejszych okien w pokoju i przywiązał je mocno do ręki Eddiego za pomocą paska od szlafroka i sznurka od spodni piżamy. Zanim odnalazła numer, rozległo się pukanie do drzwi. Ben i Richie zjawili się razem. Ben miał na sobie dżinsy i koszulę wypuszczoną ze spodni, a Richie szare, bawełniane spodenki i bluzę od piżamy. Jego oczy za szkłami okularów rozglądały się trwożliwie po pokoju.

– O Chryste, co się stało z…

– Boże! – krzyknął Ben na widok ciała Henry'ego.

– C-c-cicho! – uciął Bill. – I z-z-zamknijcie drzwi!

Richie zrobił to, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z ciała.

– Henry?

Ben zrobił trzy kroki w stronę zwłok, a potem się zatrzymał, jakby w obawie, że trup może go ugryźć. Spojrzał na Billa bezradnie.

– T-t-ty opowiedz – zwrócił się do Eddiego. – C-c-coraz bardziej się jąkam.

Eddie streścił im pokrótce przebieg zdarzenia, podczas gdy Beverly odnalazła w książce telefonicznej numer biblioteki w Derry i zadzwoniła tam. Przypuszczała, że Mike czasami tam sypiał – być może miał nawet łóżko w swoim gabinecie. To, co stało się później, wykraczało poza sferę jej najśmielszych przypuszczeń. Słuchawka telefonu została podniesiona po drugim sygnale i usłyszała głos, którego nie znała:

– Słucham?

– Halo – powiedziała i gestem ręki dała pozostałym znak, aby się uciszyli. – Czy zastałam pana Hanlona?

– A kto mówi? – spytał ktoś.

Zwilżyła wargi językiem. Bill świdrował ją wzrokiem. Ben i Richie rozglądali się niespokojnie. W jej wnętrzu rozbrzmiał sygnał alarmowy.

– Kim pan jest? – odparowała. – Nie jest pan panem Hanlonem.

– Mówi szef policji miasta Derry, Andrew Rademacher – powiedział głos. – Pan Hanlon znajduje się obecnie w szpitalu. Został napadnięty i ciężko ranny. To się stało niedawno. A teraz proszę mi powiedzieć, z kim rozmawiam. Jak się pani nazywa?

Bev prawie nie słyszała jego ostatnich słów. Zalała ją fala szoku, unosiła się na grzywaczach otępienia, coraz wyżej, w górę, wychodząc poza obręb własnego „ja”. Mięśnie jej brzucha, nóg i krocza jednocześnie rozluźniły się i zrobiły odrętwiałe; niejako mimochodem pomyślała: Chyba tak właśnie jest, kiedy ludzie są tak bardzo przerażeni, że moczą się w majtki. Tak. Na pewno. Po prostu tracisz kontrolę nad mięśniami…

– Jak ciężko został ranny? – usłyszała swój głos, a chwilę potem Bill stanął obok niej, położył dłoń na jej ramieniu i natychmiast dołączyli do niego Ben i Richie. Poczuła, że zaczyna ją ogarniać wdzięczność. Wyciągnęła wolną rękę i Bill ujął jej dłoń. Richie ujął za rękę Billa, a Ben Richiego. Potem podszedł Eddie i położył swoją zdrową rękę na ich splecionych dłoniach.

– Proszę mi podać swoje nazwisko – rzekł ostro Rademacher i przez chwilę ten bojaźliwy mały tchórz gnieżdżący się w jej wnętrzu, ten sam, który został zrodzony przez jej ojca, a potem dorastał pod czujną opieką jej męża, nieomal odpowiedział: „Nazywam się Beverly Marsh. Dzwonię z Derry Town House. Proszę tu przysłać pana Nella. Mamy trupa mężczyzny, który jest na wpół chłopcem, i wszyscy bardzo się boimy”.

– Obawiam się… obawiam się, że nie mogę powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

– Co pani wie o tej sprawie?

– Nic – odparła wyraźnie zszokowana. – A niby czemu pan tak sądzi? Jezu Chryste!

– A więc chce mi pani wmówić, że dzwoni pani do biblioteki o wpół do czwartej nad ranem, jest to rzecz całkiem normalna i wręcz oczywista? – rzekł Rademacher. – Zawsze tak pani robi? Raczy pani żartować, młoda damo. Chodzi o napaść z zamiarem popełnienia morderstwa, a sądząc po stanie, w jakim znajduje się ten facet, do rana możemy mieć sprawę o zabójstwo. Pytam więc jeszcze raz: kim pani jest i co pani wiadomo o tej sprawie?

Zamykając oczy i ściskając mocno dłoń Billa, zapytała ponownie:

– On może umrzeć? Nie mówi pan tego tylko po to, aby napędzić mi stracha? On naprawdę może umrzeć? Proszę, niech mi pan powie.

– Jest w bardzo ciężkim stanie. A teraz chciałbym się wreszcie dowiedzieć, kim pani jest i dlaczego…

Jak we śnie czuła, że jej dłoń płynie w powietrzu i odkłada słuchawkę telefonu na widełki. Przeniosła wzrok na leżące zwłoki i nagle przeszedł ją dreszcz, jakby jakaś niewidzialna, lodowata dłoń wymierzyła jej policzek. Jedno z oczu Henry'ego się zamknęło. Drugie, to uszkodzone, pozostało nadal nieruchome. Miała wrażenie, że Henry do niej mrugnął.

4

Richie zadzwonił do szpitala. Bill podprowadził Beverly do łóżka, gdzie usiadła, wpatrując się w przestrzeń. Wydawało jej się, że zacznie płakać, ale łzy nie napływały. Jedyne, co teraz odczuwała, to silne, nieodparte pragnienie, żeby ktoś przykrył zwłoki Henry'ego. To mrugnięcie bynajmniej nie było przyjemne. Richie w jednej chwili przeistoczył się w reportera „Derry News". Jak twierdził, wiadomo mu, że główny bibliotekarz miejski

padł ofiarą napaści, gdy pracował późnym wieczorem w swoim biurze. Czy można już coś konkretnie powiedzieć na temat stanu zdrowia pana Hanlona? Richie nasłuchiwał i kiwał głową.

– Rozumiem, panie Kerpaskian. Czy to się pisze przez dwa k? Tak, oczywiście. Jasne. A pan jest…

Richie do tego stopnia wczuł się w rolę, że nasłuchując, wykonywał jednym palcem szybkie ruchy, jakby coś zapisywał w notesie.

– Ehe… taa… ehe… Tak. Rozumiem. W tego typu przypadkach, cytując podobne wypowiedzi, używamy zwykle słów „informacje zaczerpnięte z pewnego źródła”. Potem, naturalnie, moglibyśmy… ehe… właśnie! Otóż to! – Richie wybuchnął serdecznym śmiechem i otarł ręką warstewkę potu z czoła. Ponownie nasłuchiwał. – Dobrze, panie Kerpaskian. Tak. Zapiszę… tak. Mam. Kerpaskian, właśnie! Czeski Żyd, racja? Naprawdę! To doprawdy niezwykłe! Tak. Naturalnie, że tak. Dobranoc. Dziękuję bardzo.

Odłożył słuchawkę i zamknął oczy.

– Jezu! – krzyknął ochryple. – O Jezu! Jezu! Jezu! – Wykonał ruch ręką, jakby chciał strącić telefon ze stolika, ale w końcu jego dłoń tylko opadła ciężko na blat. Zdjął okulary i otarł je o bluzę piżamy. – Żyje, ale jego stan jest

krytyczny – powiedział do pozostałych. – Henry porżnął go jak świątecznego indyka. Jedno cięcie rozpłatało jego tętnicę udową i stracił mnóstwo krwi. Mike musiał jakimś cudem zrobić sobie prowizoryczną opaskę uciskową, bo w przeciwnym razie nie dożyłby przyjazdu karetki.

Beverly zaczęła płakać. Robiła to jak dziecko, przykładając obie dłonie do twarzy. Przez chwilę jej szloch i przyspieszony, świszczący oddech Eddiego były jedynymi słyszalnymi w pokoju odgłosami.

– Nie tylko Mike został tej nocy porżnięty jak świąteczny indyk – powiedział w końcu Eddie. – Henry wyglądał, jakby przetrwał całe dwanaście rund z Rockym Balboa w Cuisinart.

– N-n-nadal chcesz zadzwonić na p-p-policję, B-b-beverly?

Na nocnym stoliku leżały chusteczki higieniczne, ale zalane perrierem zmieniły się obecnie w gąbczastą, wilgotną masę. Weszła do sypialni, obeszła ciało szerokim łukiem, wzięła ręcznik i zmoczyła go zimną wodą. Gdy dotknęła nim swojej rozpalonej, nabrzmiałej twarzy, poczuła się naprawdę cudownie. Miała wrażenie, że nareszcie znowu może trzeźwo myśleć – nie tyle rozsądnie, ile właśnie trzeźwo. Ogarnęło ją

przekonanie, że gdyby starali się teraz postępować racjonalnie, nie pożyliby długo. To by ich zabiło. Ten gliniarz Rademacher. Był podejrzliwy. Niby dlaczego nie? Ludzie nie dzwonią do biblioteki o wpół do czwartej nad ranem. Przypuszczał, że miała coś wspólnego z tą napaścią. Kto wie, może nawet była współwinna? Co by pomyślał, gdyby wiedział, że dzwoniła z pokoju, gdzie na podłodze leżał trup mężczyzny z rozprutym brzuchem i wbitą weń szyjką butelki po wodzie Perrier? Co by powiedział, gdyby się okazało, że ona i czterech innych facetów przybyli do miasta zaledwie dzień wcześniej na małe spotkanko po latach i dziwnym trafem ten gość wziął udział we wspomnianym spotkaniu? Czy kupiłaby tę historię, gdyby była na jego miejscu? Czy ktokolwiek by w to uwierzył? Naturalnie mogłaby jeszcze dodać, że prawdziwym celem ich przybycia do Derry było ostateczne zniszczenie potwora gnieżdżącego się w kanałach pod miastem. To z pewnością dodałoby całej historii wymaganej odrobiny realności i prawdopodobieństwa. Wyszła z łazienki i spojrzała na Billa.

– Nie – powiedziała. – Nie chcę powiadamiać policji. Myślę, że Eddie ma rację, coś mogłoby się

nam przydarzyć. Jakiś śmiertelny wypadek. Ale to nie jest ostateczny powód. – Spojrzała na czterech przyjaciół. – Złożyliśmy przysięgę – przypomniała. – Przyrzekliśmy to. Bratu Billa… Stanowi… i wszystkim innym… a teraz również Mike'owi. Jestem gotowa, Bill.

Bill spojrzał na pozostałych. Richie skinął głową.

– W porządku, Wielki Billu. Spróbujemy.

– Nasze szanse przedstawiają się gorzej niż kiedykolwiek – rzekł Ben. – Dwóch z naszej grupki odpadło.

Bill nie odezwał się ani słowem.

– Dobra. – Ben skinął głową. – Ona ma rację. Przysięgaliśmy.

– E-e-eddie?

Eddie uśmiechnął się nieśmiało.

– Wydaje mi się, że znów będziesz musiał znieść mnie na barana, no nie? Jeżeli ta drabinka jeszcze tam jest.

– Tym razem nikt nie będzie w nas ciskał kamieniami – wtrąciła Beverly. – Oni nie żyją. Wszyscy trzej.

– Idziemy już teraz, Bill? – zapytał Richie.

– T-t-tak. W-w-wydaje mi się, że j-już czas.

– Czy mogę coś powiedzieć? – spytał nagle Ben.

Bill spojrzał na niego i uśmiechnął się pod nosem.

– P-p-proszę bardzo.

– Jesteście najlepszymi przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek miałem – rzekł Ben. – Niezależnie od tego, jak się wszystko skończy… Po prostu… no, wiecie, chciałem wam to powiedzieć.

Rozejrzał się wokoło, wodząc wzrokiem po ich twarzach. Odpowiedzieli mu spojrzeniami pełnymi powagi i zamyślenia.

– Cieszę się, że was sobie przypomniałem – dorzucił. Richie prychnął. Beverly zachichotała. A potem wszyscy wybuchnęli śmiechem i pomimo że Mike był w szpitalu, balansując na krawędzi życia i śmierci, i być może właśnie dogorywał, mimo że Eddie miał (znowu) złamaną rękę i choć było cholernie wcześnie, patrzyli na siebie nawzajem i czuli się tak, jak przed laty, za starych dobrych czasów.

– Haystack, ty umiesz się tak ładnie wyrażać? – zdziwił się Richie, śmiejąc się i ocierając oczy. – To on powinien być pisarzem, Wielki Billu.

Bill, wciąż się uśmiechając, powiedział:

– I t-t-tą u-uwagą…

5

Pojechali pożyczoną limuzyną Eddiego. Prowadził Richie. Mgła była coraz gęstsza, sunęła ulicami niczym kłęby papierowego dymu, choć nie obejmowała swoim zasięgiem zapalonych latarni ulicznych. Gwiazdy na niebie były drobniutkimi okruchami lodu – wiosenne gwiazdy… ale odwracając głowę ku na wpół otwartemu oknu po stronie pasażera, Bill miał wrażenie, że słyszy dobiegający z oddali huk gromu letniej burzy. Gdzieś, za linią horyzontu, zanosiło się na burzę. Richie włączył radio i usłyszeli Gene'a Vincenta śpiewającego *Be-Bop-A-Lula*. Wcisnął inny guzik i złapał Buddy'ego Holly. Po trzecim przełączeniu kanału rozległy się dźwięki *Summertime Blues* Eddiego Cochrana.

– Chciałbym ci pomóc, synu, ale jesteś zbyt młody, aby głosować – rzekł basowy głos.

– Wyłącz to, Richie – powiedziała cicho Beverly. Wyciągnął rękę i nagle jego dłoń znieruchomiała.

– Posłuchajcie dalszego ciągu koncertu Richiego Toziera, show wszystkich tych, którzy odeszli! – rozległ się pełen rozbawienia, wrzaskliwy głos klowna dobiegający pośród dźwięków piosenki Eddiego Cochrana. – Nie dotykaj wyłącznika, niech gra, najwyżej podkręć

głos, podkręć głos na cały regulator, o tak, tak, słuchajcie tych piosenek z najwyższych miejsc list przebojów sprzed lat i jedźcie dalej, tak, tak, przyjedźcie tu, przyjedźcie wszyscy! Kiedy już znajdziecie się tu na dole, usłyszycie prawdziwy koncert! Zagramy same hity! Saaame przeboje! A jeśli mi nie wierzycie, posłuchajcie naszego gościa, didżeja podczas tej cmentarnej zmiany, George'a Denbrough. Powiedz im, George!

I nagle przez radio dobiegł ich piskliwy głos George'a.

– *Wysłałeś mnie tamtego dnia i To mnie zabiło! Myślałem, że To było w piwnicy, Wielki Billu, a To było w kanale, To było w kanale i To mnie zabiło, pozwoliłeś, aby To mnie zabiło, pozwoliłeś, aby To…*

Richie wyłączył radio, robiąc to tak gwałtownie, że aż urwał gałkę. Potoczyła się na wycieraczkę.

– Mam już po dziurki w nosie tego starego rock and rolla – powiedział. Jego głos drżał nieznacznie. – Bev ma rację. Dajmy sobie teraz spokój z muzyką, dobra? Co wy na to?

Nikt mu nie odpowiedział. Twarz Billa, widoczna w blasku latarni ulicznych, była nieruchoma i zamyślona, a kiedy gdzieś daleko

na zachodzie rozległ się przeciągły huk grzmotu, wszyscy go usłyszeli.

6

W Barrens

Ten sam stary most. Richie zaparkował wóz obok niego, a potem wszyscy wysiedli. Podeszli do balustrady – tej samej starej balustrady – i spojrzeli w dół. To samo stare Barrens.

Wydawało się, że przez dwadzieścia siedem lat nic się nie zmieniło. W oczach Billa biegnące górą pasmo autostrady, jedyny nowy akcent na tym terenie, wyglądało zgoła nierealnie i ulotnie, jak malowane tło nakładane pod filmową scenę – jeden z efektów stosowanych przed laty w kinematografii. Poskręcane małe drzewka i krzewy błyszczały pośród kłębiącej się mgły, a Bill pomyślał: Wydaje mi się, że właśnie to mieliśmy na myśli, mówiąc o trwałości wspomnień lub o czymś w tym rodzaju, co widzisz we właściwym czasie i pod właściwym kątem, co rozpala twoje emocje jak potężny silnik odrzutowca. Widzisz to tak wyraźnie, że wszystko to, co się wydarzyło pomiędzy przeszłością a teraźniejszością, po prostu znika.

Jeżeli pragnienie jest tym, co zamyka krąg pomiędzy światem a potrzebami, to krąg właśnie został zamknięty.

– Cho-o-odźcie – powiedział i przeszedł przez barierkę. Zeszli jego śladem w dół zbocza, wywołując niewielką lawinę kamieni i grud ziemi. Kiedy znaleźli się na dole, Bill automatycznie odwrócił głowę w poszukiwaniu Silvera, a potem roześmiał się do siebie. Silver stał oparty o ścianę garażu Mike'a. Wyglądało na to, że Silver nie miał odgrywać w tym żadnej roli, choć było to raczej dziwne, zważywszy na sposób, w jaki Bill go odnalazł.

– Z-z-zaprowadź nas t-t-tam – rzekł Bill do Bena.

Ben spojrzał na niego i Bill wyczytał z jego oczu: Wolne żarty, przecież minęło dwadzieścia siedem lat, Bill, ale zaraz potem skinął głową i wszedł w gęstwinę krzewów. Ścieżka – ich ścieżka – zarosła już dawno temu i musieli torować sobie drogę przez krzaki jeżyn, ciernistych krzewów, tarniny i dzikiej hortensji, roztaczających tak silny, że aż duszący aromat. Wokół nich zewsząd dochodziło granie świerszczy i w ciemnościach można było dostrzec kilka unoszących się leniwie świetlików, które chyba zbyt wcześnie zjawiły się na letnią

słodką wyżerkę. Bill przypuszczał, że dzieciaki w dalszym ciągu przychodziły tu, by się bawić, ale z pewnością miały własne kryjówki i sekretne ścieżki.

Dotarli do miejsca, w którym znajdował się ich klubowy domek. Polany już nie było; krzaki i młode sosny porosły cały jej obszar.

– Spójrzcie – wyszeptał Ben i przeszedł przez polanę (w ich wspomnieniach ona nadal tam była, tyle że obecnie nakładano na nią namalowane tło, jak w filmach). Szarpnął coś z całej siły. To były mahoniowe drzwi, które znaleźli na skraju wysypiska i którymi wykończyli dach swego domku. Leżały na boku i wyglądały, jakby nikt ich nie tknął przez co najmniej dwanaście lat. Były pokryte warstewką brudu i ziemi i ze wszystkich stron obrośnięte gęstwiną pnączy.

– Zostaw je, Haystack – mruknął Richie. – To przeszłość.

– Z-z-zaprowadź nas t-tam, B-ben – powtórzył stojący za nimi Bill. Chwilę potem, idąc za nim, dotarli na brzeg Kenduskeag, opuszczając nieistniejącą już polanę. Plusk płynącej wody narastał miarowo, ale mało brakowało i powpadaliby do strumienia, zanim w ogóle zdołali go zobaczyć. Liście na krzewach

utworzyły splątaną ścianę zieleni na brzegu. Nasyp zarwał się pod obcasami kowbojskich butów Bena i Bill w ostatniej chwili schwycił go z tyłu za kołnierz koszuli.

– Dzięki – powiedział Ben.

– *Dé nada*. Przed laty p-p-pociągnąłbyś mnie za s-s-sobą. T-t-tędy?

Ben skinął głową i poprowadził ich wzdłuż zarośniętego brzegu. Przedzierając się przez gęste zarośla jeżyn i innych krzewów, myślał o tym, że taka wędrówka była o wiele łatwiejsza, gdy się miało cztery stopy i pięć cali wzrostu; wówczas omijało się nonszalanckim, swobodnym ruchem większość gałęzi (zarówno tych prawdziwych, jak i wyimaginowanych), które znalazły się na twojej drodze. No cóż, wszystko się zmieniło. Oto lekcja na dziś. Chłopcy i dziewczęta – pamiętajcie, im więcej się zmienia, tym więcej się zmienia. Ktokolwiek powiedział, że im więcej się zmienia, tym więcej rzeczy pozostaje niezmienionych, musiał być najprawdopodobniej ociężały umysłowo. Ponieważ…

Zahaczył o coś stopą i rąbnął na ziemię z głuchym łoskotem; niewiele brakowało, a uderzyłby głową w betonowy walec otworu zejściowego stacji pomp. Był on niemal

całkowicie zarośnięty gęstą ścianą krzaków jeżyn. Kiedy ponownie się podniósł, uświadomił sobie, że jego twarz, ramiona i dłonie w dwóch tuzinach miejsc zostały pocięte przez kolce jeżyn.

– To razem będą już trzy tuziny – powiedział, czując wąskie strumyczki krwi ściekające mu po policzkach.

– Co? – spytał Eddie.

– Nic. – Pochylił się, aby zobaczyć, o co się potknął. Prawdopodobnie o korzeń. Ale to nie był korzeń, tylko pokrywa cylindra. Ktoś ją musiał zdjąć. Oczywiście, pomyślał Ben. My, dwadzieścia siedem lat temu.

Zrozumiał jednak, że jego przypuszczenia były absurdalne, zanim jeszcze dostrzegł błysk świeżego metalu i równoległe bruzdy wyryte w zardzewiałej pokrywie. Tamtego dnia pompa była nieczynna. Prędzej czy później ktoś musiał się tu zjawić, aby naprawić uszkodzenie, a co za tym idzie, założył pokrywę na swoje miejsce. Wyprostował się i cała piątka zebrała się wokół cylindra i zajrzała w głąb. Usłyszeli cichy odgłos cieknącej wody. Tylko tyle. Richie przyniósł wszystkie zapałki z pokoju Eddiego. Teraz zapalił całe jedno pudełko i wrzucił je do środka. Przez chwilę widzieli wilgotne wnętrze walca

i milczący korpus nieczynnej pompy. To było wszystko.

– Mogła być nieczynna od dłuższego czasu – rzucił niepewnym tonem Richie. – To niekoniecznie musiało się stać nie…

– To się stało całkiem niedawno – rzekł Ben. – W każdym razie po ostatniej ulewie. – Wziął kolejne pudełko zapałek od Richiego, zapalił jedną i wskazał na świeże ślady wyryte w pokrywie.

– Coś jest p-p-pod p-p-pokrywą – oznajmił Bill, kiedy Ben zgasił zapałkę.

– Co? – zapytał Ben.

– N-n-nie p-p-potrafę p-p-powiedzieć. W-wygląda jak p-p-pasek. P-p-pomóż mi i t-ty, R-r-richie, to ją p-p-przewrócimy.

Podźwignęli pokrywę i przewrócili ją jak olbrzymią monetę. Tym razem Beverly zapaliła zapałkę, a Ben ostrożnie podniósł torebkę, która znajdowała się pod pokrywą. Uniósł ją, trzymając za pasek. Beverly zaczęła poruszać dłonią, by zgasić zapałkę, a potem spojrzała na twarz Billa. Zamarła, a gdy ogień dotarł do opuszków jej palców, z cichym jękiem upuściła zapałkę na ziemię.

– Bill? Co ci jest? Co się stało?

Bill wyglądał jak zahipnotyzowany. Nie mógł oderwać wzroku od skórzanej torebki na długim pasku. I nagle przypomniał sobie tytuł piosenki, której dźwięk dobiegał z zaplecza sklepu kaletniczego, kiedy kupował tę torebkę dla Audry. *Sausalito Summer Nights*. Niezwykłe. W ustach nagle zabrakło mu śliny; miał wrażenie, że jego język i wewnętrzne ścianki policzków są gładkie i suche jak chromowany metal. Słyszał świerszcze, widział świetliki, czuł zapach otaczającej go ze wszystkich stron bujnej zieleni. I pomyślał: Jeszcze jedna sztuczka Tego. Ona jest w Anglii, a to jedynie tania sztuczka, którą To chce mnie zbić z tropu, bo To jest przerażone, o tak, być może wcale nie jest już tak bardzo pewne siebie jak wówczas, kiedy nas tu wzywało, a poza tym, Bill, zastanów się, ile jest na świecie skórzanych torebek na długich paskach? Milion? Dziesięć milionów?

Prawdopodobnie więcej. Ale jest tylko jedna taka, kupił ją dla Audry w sklepie kaletniczym w Burbank, podczas gdy z zaplecza płynęły dźwięki *Sausalito Summer Nights*.

– Bill? – Beverly położyła dłoń na jego ramieniu i potrząsnęła nim energicznie. Był daleko. Dwadzieścia siedem mil pod powierzchnią morza. Jak się nazywała grupa,

która śpiewała *Sausalito Summer Nights*? Richie będzie wiedział.

– Ja wiem – rzekł Bill, patrząc prosto w przepełnione przerażeniem, rozszerzone oczy Richiego. – To był diesel. Czy to wystarczy?

– Bill, co się stało? – wyszeptał Richie.

Bill krzyknął. Wyrwał Beverly z ręki zapałki, zapalił jedną, a potem wyszarpnął Benowi torebkę.

– Bill, Jezu, co ty…

Otworzył suwak torebki i obrócił ją do góry dnem. Rzeczy, które wysypały się ze środka, należały bez wątpienia do Audry i ten fakt, stanowiący potwierdzenie jego najgorszych przypuszczeń, sprawił, że kolejny krzyk, jaki cisnął mu się na usta, po prostu uwiązł w gardle. Pośród chusteczek do nosa, pasków gumy do żucia i kosmetyków zobaczył pudełeczko miętówek… i ozdobioną drogimi kamieniami puderniczkę, którą otrzymała od Freddiego Firestone'a, kiedy podpisała kontrakt na *Pokój na poddaszu*.

– M-m-moja żona jest na d-dole – powiedział i ukląkł, a potem zaczął zbierać rozrzucone rzeczy i wkładać je z powrotem do torebki. Nawet o tym nie myśląc, jedną ręką odgarnął z oczu kosmyk nieistniejących już włosów.

– Twoja żona? Audra? – Beverly była wyraźnie wstrząśnięta. Oczy miała rozszerzone.

– T-to jej t-t-torebka. J-j-jej rzeczy.

– Jezu, Bill – mruknął Richie. – To niemożliwe. Wiesz, że…

Znalazł jej portfel ze skóry aligatora. Otworzył go i podniósł. Richie zapalił kolejną zapałkę i spojrzał na twarz, którą oglądał w półtuzinie filmów. Zdjęcie w prawie jazdy Audry być może nie było rewelacyjne, ale nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości co do jej tożsamości.

– A-ale H-h-henry nie żyje, p-p-podobnie jak V-victor i B-b-belch, a więc kto ją ma? – Podniósł się i powiódł wzrokiem po ich twarzach. Jego spojrzenie było przenikliwe. – Kto ją ma?

Ben położył mu rękę na ramieniu.

– Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak zejdziemy na dół i sami to sprawdzimy, no nie?

Bill odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, jakby nie był pewny, kim jest człowiek, który wypowiedział te słowa, a potem mętny wyraz w jego oczach zniknął.

– T-tak – powiedział. – E-e-eddie?

– Bill, tak mi przykro.

– M-możesz wejść mi na b-barana?

– Raz już to zrobiłem.

Bill pochylił się, a Eddie objął go jedną ręką za szyję. Ben i Richie podsadzili go, żeby mógł otoczyć Billa nogami w pasie. Kiedy Bill niezgrabnie przerzucił jedną nogę ponad cembrowiną walca, Ben zobaczył, że Eddie z całych sił zaciska powieki… i przez chwilę miał wrażenie, że lada moment spomiędzy krzewów wyłoni się najobrzydliwsza kawaleria świata. Odwrócił się, spodziewając się zobaczyć całą trójkę wypadającą z gęstych tumanów mgły i krzaków jeżyn, ale jedyne, co usłyszał, to suchy trzask bambusów, oddalonych jakieś ćwierć mili i poruszonych gwałtowniejszym podmuchem wiatru. Ich starzy wrogowie odeszli z tego świata. Bill schwycił chropowatą krawędź walca i szczebel po szczeblu, krok po kroku zaczął schodzić. Eddie trzymał go za szyję tak mocno, jakby chciał go udusić, i Bill prawie nie mógł oddychać.

Jej torebka, Boże święty, skąd się tu wzięła jej torebka? To nieważne. Ale jeśli tam jesteś, Boże, i jeśli masz chęć wyrównać ze mną rachunki, to proszę, oszczędź ją, nie każ jej cierpieć za to, co ja i Bev zrobiliśmy tej nocy, ani za to, co zrobiłem tego lata, kiedy byłem jeszcze chłopcem… Czy to był klown? Czy to Bob Gray ją dopadł? Bo jeśli tak, to nie wiem, czy nawet Bóg zdoła mi pomóc.

– Boję się, Bill – wyszeptał Eddie.

Bill dotknął stopą powierzchni lodowatej, stojącej wody. Wszedł do niej, przypominając sobie to uczucie i ten stęchły zapach, a także wrażenie klaustrofobii, jakie ogarniało go w tych ciasnych ścianach… A właściwie co się z nimi stało? Jak im poszła przeprawa w tunelach i kanałach? Dokąd konkretnie dotarli i jak właściwie udało im się stamtąd wydostać? W dalszym ciągu nie potrafił sobie tego przypomnieć – mógł myśleć jedynie o Audrze.

– Ja t-t-też. – Zmrużył oczy i skrzywił się, kiedy lodowata woda przemoczyła mu spodnie, a chwilę potem Eddie zsunął się z jego pleców. Stali prawie po kolana w wodzie i patrzyli, jak pozostali schodzą po drabince do wnętrza stacji pomp.

ROZDZIAŁ 21
Pod miastem

1

To – sierpień 1958

Wydarzyło się coś nowego. Po raz pierwszy w całej wieczności wydarzyło się coś nowego. Zanim powstał wszechświat, istniały tylko dwa stworzenia – jednym było To, a drugim Żółw. Żółw był głupim, starym stworzeniem, które nigdy nie wyłaniało się ze swej skorupy. To sądziło, że być może Żółw umarł, że wyzionął ducha miliard lat temu, a może nawet wcześniej.

Nawet jeżeli tak się nie stało, był on w dalszym ciągu tylko starym, durnym stworzeniem i to, że Żółw wyrzygał cały wszechświat, w niczym nie umniejszało jego głupoty. To przybyło na ziemię długo po tym, jak

Żółw wślizgnął się do wnętrza swojej skorupy, i właśnie tu odkryło głębię wyobraźni, która okazała się prawie nowa i niemal interesująca. Ta zaleta wyobraźni sprawiała, że pożywienia było w bród. Zęby Tego rozdzierały ciała zesztywniałe od egzotycznych lęków i lubieżnych obaw; ci ludzie śnili o nocnych drapieżnikach i poruszających się piaskach – wbrew swojej woli rozmyślali o bezdennych otchłaniach. Mając obfitość pożywienia, To egzystowało na zasadzie prostego cyklu budzenia się, aby się nasycić, i spania, aby przeżywać sny. To stworzyło sobie właściwe miejsce, tak jak je sobie wyobrażało, i doglądało tego miejsca dzięki dobrodziejstwu trupich świateł, które były oczyma Tego. Derry było rzeźnią Tego, a mieszkańcy miasteczka bezbronnymi owieczkami. Życie toczyło się ustalonym rytmem.

A potem… te dzieciaki. Coś nowego. Po raz pierwszy w całej wieczności.

Kiedy To z hukiem wyłoniło się we wnętrzu domu przy Neibolt Street, mając zamiar pozabijać ich wszystkich, czując, bardzo niewyraźnie, niepokój, że nie zdołało tego dokonać do tej pory (i z całą pewnością ów niepokój był pierwszą całkiem nową rzeczą), wydarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego, coś

absolutnie nie do pomyślenia, a potem pojawił się ból, wielki, rozdzierający ból, przenikający cały kształt, jaki To zdołało przybrać, i przez jedną krótką chwilę był również strach, bo jedyną rzeczą, jaką To miało wspólną z głupim starym Żółwiem i całą kosmologią makrowersum znajdującego się poza maleńką skorupką jajka tego wszechświata, było to, że wszystkie istoty żyjące muszą podlegać prawom kształtu, jaki przybierają. Po raz pierwszy To uświadomiło sobie, że umiejętność zmieniania postaci może zadziałać zarówno na jego korzyść, jak i przeciwko niemu. Nigdy dotąd nie czuło bólu, nigdy dotąd nie czuło strachu i przez krótką chwilę wydawało mu się, że może umrzeć; głowę Tego przeszywał – och! – potężny, srebrzysty ból i To ryczało, wyło i jęczało, a w tym czasie dzieciaki uciekły.

Ale teraz znów się zbliżały. Wkroczyły na terytorium Tego znajdujące się pod miastem – siódemka dzieci błądząca w ciemnościach bez światła czy broni. To z całą pewnością tym razem ich pozabija. Dokonało zdumiewającego odkrycia na własny temat. Nie chciało przemian czy niespodzianek. To – już nigdy – nie chciało żadnych nowych rzeczy. Chciało tylko żreć i spać, i znowu żreć, i spać.

Po bólu i krótkim okresie przejmującego strachu pojawiło się nowe odczucie (podobnie jak wszystkie prawdziwe odczucia było dla Tego czymś nowym, choć naturalnie To było specjalistą od naśladowania odczuć) – gniew. To zabije te dzieci, bo jakimś trafem je zraniły. Ale najpierw będą jeszcze długo cierpieć, bo przez jedną krótką chwilę zdołały sprawić, że To się ich przestraszyło. A zatem chodźcie do mnie, pomyślało, nasłuchując odgłosów towarzyszących ich zbliżaniu się, chodźcie do mnie, dzieci, i zobaczcie, jak ładnie tu wszyscy pływamy. Jak wszyscy tu pływamy.

Jednak była jeszcze jedna myśl, powracająca natrętnie i nieubłaganie, niezależnie od tego, jak bardzo To próbowało ją od siebie odegnać. Brzmiała następująco: Wszystkie rzeczy wypływały z Tego (niewątpliwie od chwili, gdy Żółw wyrzygał wszechświat, po czym zasłabł we wnętrzu swojej skorupy), a zatem jakim sposobem jakiekolwiek stworzenia tego czy innego świata mogły oszukać lub zranić To? Jak to możliwe?

A gdyby założyć, że To nie było samo, w co zawsze wierzyło? Gdyby przyjąć, że był jeszcze Inny? I posuwając się dalej w tych przypuszczeniach, gdyby te dzieci były agentami

Innego? Przypuśćmy… Załóżmy… To zaczęło drżeć.

Nienawiść stanowiła coś nowego. Ból stanowił coś nowego. Podobnie jak wrażenie, że ktoś ośmieli się wejść Temu w drogę. Ale najpotworniejszym z nowych doznań był ów strach. Nie strach przed dziećmi, który minął, ale strach, że To nie jest samo.

Nie. Nie istnieje żaden Inny. To oczywiste. Być może dlatego, że były dziećmi, miały pewną surową, nieobrobioną jeszcze moc, której To po prostu nie doceniło. Teraz, kiedy nadchodziły, pozwoli im tu dotrzeć. Przyjdą tu i wyśle ich, jedno po drugim, w głąb makrowersum… w trupie światła będące oczyma Tego. Tak. Kiedy już się tu zjawią, ciśnie ich, wrzeszczących i oszalałych, w głąb trupich świateł.

2

W tunelach – 14.15

Bev i Richie mieli może dziesięć zapałek, ale Bill nie pozwolił im ich zużyć. Przynajmniej na razie. Jak dotąd w kanale panował lekki półmrok. Zasięg widoczności wynosił około czterech stóp i dopóki tak było, Bill uważał, że powinni

oszczędzać zapałki. Domyślał się, że światło musiało dochodzić przez otwory wentylacyjne w chodnikach nad ich głowami, a być może również przez otwory w pokrywach włazów przy studzienkach kanałowych. Z trudem pogodzili się z tym, że znajdowali się pod miastem, choć niewątpliwie tak właśnie było.

Poziom wody znacznie się teraz podniósł. Obok nich przepłynęły trzy nieżywe zwierzęta – szczur, kot i nabrzmiała, lśniąca rzecz, która musiała być świszczem. Usłyszał, jak ktoś z tyłu, widząc przepływającego trupa świszcza, mruknął coś z obrzydzeniem. Woda, przez którą brnęli, była względnie spokojna, ale to już niebawem miało się zmienić. Gdzieś, niezbyt daleko przed nimi, słychać było regularny, głuchy łoskot. Dźwięk ten się nasilał, zmieniając się w jednostajny ryk. Tunel skręcał w prawo. Pokonali zakręt i zobaczyli trzy inne rury, z których lała się woda. Były umieszczone jedna nad drugą jak lampy w sygnalizatorze ulicznym. Kanał kończył się tutaj.

Oświetlenie było odrobinę lepsze. Bill uniósł wzrok i zobaczył, że znajdowali się w prostokątnym kamiennym szybie, wysokości co najmniej piętnastu stóp. Na szczycie znajdowała się kratowana pokrywa i wylewały

się stamtąd na nich potoki wody. To przypominało jakiś prymitywny prysznic.

Bill bezradnie spojrzał na trzy rury. Z górnej wypływała prawie czysta woda, choć znajdowały się w niej liście, patyki i drobne śmieci, takie jak opakowania po gumie do żucia czy niedopałki papierosów. Ze środkowej buchała szara woda. Z niższej zaś wylewał się szarobrązowy potok gęstej, grudowatej mazi.

– E-e-eddie!

Eddie, potykając się, podszedł do niego. Włosy miał poprzylepiane do głowy. Jego gipsowy opatrunek przemókł i ociekał wodą.

– K-k-którą?

Jeżeli chciałeś wiedzieć, jak należy coś zbudować, pytałeś Bena; jeżeli chciałeś wiedzieć, w którą stronę należało iść, pytałeś Eddiego. Nie rozmawiali o tym między sobą, ale wszyscy to wiedzieli. Gdybyś znalazł się na nieznanym terenie i chciał wrócić w jakieś konkretne miejsce, Eddie mógł cię tam doprowadzić, skręcając to w lewo, to w prawo z niezachwianą pewnością, aż w końcu porzucałeś wszelkie wątpliwości i szedłeś za nim w nadziei, że ten chłopak mimo wszystko się nie pomyli… I jak dotąd nigdy mu się to nie zdarzyło. Zawsze trafiał do celu. Bill któregoś razu powiedział Richiemu,

że kiedy on i Eddie zaczęli przychodzić do Barrens, Bill często bał się, że się zgubi. Eddie nie podzielał jego obaw i zawsze wyprowadzał ich obu dokładnie tam, gdzie zamierzał.

– G-g-gdybym zgubił się w Hainesville Woods i byłby ze mną E-e-eddie, w ogóle bym się nie p-p-przejmował – powiedział kiedyś Bill do Richiego.

– O-o-on wie. M-mój t-t-tata mówi o t-t-takich ludziach jak on, że m-m-mają w głowie k-k-kompas. E-eddie jest właśnie t-t-taki.

– Nie słyszę cię! – wykrzyknął Eddie.

– S-spytałem: „którą?”!

– Co którą? – Eddie ściskał w zdrowej ręce swój aspirator i Bill pomyślał, że bardziej przypomina on teraz utopionego szczura niż dzieciaka.

– K-k-którą mamy p-p-pójść?

– To zależy, dokąd chcemy iść – rzekł Eddie, a Bill z prawdziwą ochotą skręciłby mu teraz kark, choć zdawał sobie sprawę, że odpowiedź Eddiego była sensowna. Eddie przyglądał się z uwagą trzem rurom. Bez trudu zdołaliby wejść do każdej z nich, choć ta na samym dole sprawiała niezbyt przyjemne wrażenie.

Bill skinął do pozostałych, aby utworzyli krąg.

– Gdzie, do cholery, u-u-ukrywa się To? – spytał.

– W centrum miasta – odrzekł bez wahania Richie. – Dokładnie pod centrum. W pobliżu kanału.

Beverly skinęła głową. Podobnie jak Ben i Stan.

– M-m-mike?

– Tak – powiedział. – Właśnie tam To się ukrywa. W pobliżu kanału. Albo pod nim.

Bill spojrzał na Eddiego.

– K-k-która?

Eddie z pewnym wahaniem wskazał na najniższą z rur… i choć Bill poczuł pod sercem dziwne, nieprzyjemne ukłucie, wcale go to nie zdziwiło.

– Ta.

– O kurde – mruknął Stan. – Rura odprowadzająca gówno.

– Nie… – zaczął Mike, a potem przerwał. Przechylił głowę, nasłuchując. W jego oczach pojawił się wyraz czujności.

– Co… – odezwał się Bill, a Mike przyłożył palec do ust.

– Cii…

Teraz również Bill to usłyszał. Głośny plusk. Odgłosy się zbliżały. Pomruki i stłumione słowa. Henry w dalszym ciągu nie dawał za wygraną.

– Szybko – rzucił Ben. – Chodźmy.

Stan obejrzał się w stronę, z której przyszli, a potem przeniósł wzrok na najniższą z trzech rur. Zacisnął wargi i pokiwał głową.

– Chodźmy – powiedział. – Przecież gówno się zmywa.

– Nasz Stanny sobie ulżył! – zawołał Richie. – Hip, łup, hur…

– Richie, zamknij się, dobra? – syknęła Beverly.

Bill zaprowadził ich do wylotu rury, krzywiąc się od bijącego z jej wnętrza fetoru, a potem wczołgał się do środka. Ta woń – ścieków, fekaliów i… jeszcze czegoś. Ale czego? Woń przenikająca wszystko, znajdująca się jakby na obrzeżach, ledwo wyczuwalna. Jeżeli zwierzęce pierdnięcie miało jakąś woń (a Bill przypuszczał, że tak, zależało to tylko od tego, co dane zwierzę zjadło), to musiała być ona właśnie taka. Zmierzamy we właściwym kierunku, o tak. To tu bywało… i to raczej dość często.

Zanim przebył dwadzieścia stóp, powietrze stało się zjełczałe i trujące. Brnął przy wtórze głośnych pluśnięć przez breję, która nie była błotem. Obejrzał się przez ramię i powiedział:

– T-t-trzymaj się tuż za mną, E-e-eddie. B-będę cię p-p-potrze-bował.

Światło przybrało najbardziej rozmyty odcień szarości, trwało tak jeszcze przez chwilę, a potem znikło i przeszli (*z błękitu*) w czerń. Bill posuwał się naprzód przez cuchnącą maź, odnosząc wrażenie, jakby musiał ją fizycznie rozrywać – trzymał rękę wyciągniętą przed siebie, spodziewając się, że lada moment poczuje pod palcami dotknięcie szorstkiego futra, a potem w ciemności rozjarzą się wielkie, przypominające lampy, zielone ślepia. Koniec będzie szybki – krótka chwila palącego bólu, kiedy To strąci mu głowę z karku.

Ciemność wypełniały odgłosy. Każdy z nich był wzmocniony i odbijał się echem. Bill słyszał, jak za nim jego przyjaciele przedzierają się przez mrok. Czasem któreś z nich mruknęło coś do siebie. Wokoło rozlegały się również głośne bulgotanie i dziwne, brzęczące jęki. W pewnej chwili kaskada obrzydliwie ciepłej wody bryznęła skądś i przepłynęła mu wokół nóg z taką siłą, że aż się zachwiał. Poczuł, jak Eddie schwycił go kurczowo za tył koszuli i zaraz potem mała powódź dobiegła końca. Richie zamykający szereg zawołał w przypływie dobrego humoru: „Wydaje mi się, że właśnie odlał się na nas Zielony Olbrzym!”. Bill słyszał szum ścieków przepływających siecią mniejszych

rur odprowadzających, biegnących nad ich głowami. Przypomniał sobie rozmowę z ojcem na temat kanałów w Derry i przyszło mu do głowy, że chyba wie, co to była za rura – miała ona kontrolować nadmierny poziom wody, jaki pojawiał się po ulewnych deszczach oraz w okresach zagrożenia powodziowego. Przepływające tędy nieczystości trafiały do strumienia Torrault i rzeki Penobscot. Miasto nie lubiło wylewać fekaliów do Kenduskeag, bo potem kanał strasznie cuchnął. Jednak cała tak zwana szara woda wpływała do Kenduskeag, a jeżeli kanały nie potrafiły sobie poradzić z jej nadmiarem, następowały wybicia… tak jak ostatnio. Jeśli zdarzyło się to raz, zawsze może się zdarzyć i drugi. Spojrzał niepewnie w górę i choć nie mógł niczego dostrzec, wiedział, że w górnym łuku rury muszą się znajdować kratowane pokrywy – i kto wie, może wmontowano je również w ściany tunelu, a przecież w każdej chwili może nastąpić…

Nie zdawał sobie sprawy, że dotarł do końca rury, dopóki z niej nie wypadł i nie runął chwiejnie do przodu, wymachując rękoma w bezskutecznej próbie utrzymania równowagi. Wylądował na brzuchu w półpłynnej brei, dwie stopy poniżej wylotu rury, z której wypadł. Coś

z piskiem przebiegło mu po ręce. Krzyknął i usiadł, przyciskając mrowiącą upiornie dłoń do piersi; wiedział, że właśnie przebiegł po niej szczur, czuł jeszcze na skórze obrzydliwe dotknięcie długiego, bezwłosego ogona gryzonia.

Próbował się podnieść i wyrżnął głową w niski strop rury. To było dość mocne uderzenie i Bill osunął się na kolana, a w mroku przed jego oczyma eksplodowały olbrzymie czerwone kwiaty.

– U-u-uważajcie! – Usłyszał swój krzyk. Jego słowa odbiły się słabym echem. – T-tu jest s-spadek! E-e-eddie! G-gdzie j-jesteś?

– Tutaj! – Eddie, wymachując jedną ręką, dotknął końca nosa Billa. – Pomóż mi stąd wyjść, Bill. Nic nie widzę. To…

Nagle rozległ się głośny plusk. Beverly, Mike i Richie wrzasnęli jednocześnie. W dziennym świetle ich idealne zgranie mogłoby być nawet zabawne – tu, w ciemnościach kanałów, budziło ono jednak zgrozę. Nagle wszyscy wypadli na zewnątrz. Bill schwycił Eddiego w ramiona, usiłując ochronić jego rękę.

– Chryste, myślałem, że się utopię – jęknął Richie. – Gorący prysznic, wędrówka przez zwały gówna… chłopie, musimy tu kiedyś urządzić

wycieczkę całą klasą. Wiesz co, Bill, powinien ją poprowadzić pan Carson…

– A potem panna Jimmison powinna zrobić wykład na temat zdrowia – dodał drżącym głosem Ben i nagle wszyscy wybuchnęli piskliwym śmiechem. Kiedy śmiech ucichł, Stan nieoczekiwanie wybuchnął płaczem.

– Przestań, stary – rzekł Richie, obejmując go jedną ręką – bo się wszyscy rozbeczymy.

– Nic mi nie jest! – wykrzyknął Stan, przez cały czas płacząc. – Zniosę strach, ale nie cierpię być brudny, tak jak teraz, nienawidzę, kiedy nie wiem, gdzie jestem…

– M-m-masz jeszcze j-j-jakieś s-suche z-z-zapałki? – Bill zwrócił się do Richiego.

– Oddałem swoje Beverly.

Bill poczuł dłoń wciskającą mu paczkę zapałek. Wyglądały na suche.

– Trzymałam je pod pachą – powiedziała. – Może będą dobre. W każdym razie spróbuj.

Bill wyrwał zapałkę z pudełeczka i zapalił. Kiedy pojawił się płomyk, uniósł rękę. Jego przyjaciele zbili się w gromadkę, mrużąc oczy. Byli cali mokrzy i ubabrani w ekskrementach. Wszyscy sprawiali wrażenie przerażonych. Za nimi dostrzegał wylot rury, którą właśnie opuścili. Ta, w której znajdowali się obecnie,

wyglądała na jeszcze mniejszą. Biegła w dwóch kierunkach i pokrywała ją gruba warstwa brudu.

Syknął przeciągle i upuścił zapałkę, która sparzyła mu palce. Nasłuchiwał przez chwilę. Usłyszał odgłos wody płynącej wartkim nurtem i głośny ryk dobiegający z przepełnionych rur odprowadzających ścieki do Kenduskeag, który był teraz Bóg wie jak daleko za nimi. Nie słyszał Henry'ego i pozostałych – jeszcze nie.

– P-p-po mojej p-prawej leży t-trup – powiedział cicho. – W-wydaje mi się, że to może być P-P-P…

– Patrick? – spytała Beverly drżącym głosem, w którym dało się wyczuć wstępne stadium histerii. – Czy to Patrick Hockstetter?

– T-t-tak. Chcecie, żebym z-zapalił n-n-następną z-zapałkę?

– Musisz to zrobić, Bill – odezwał się Eddie: – Jeżeli nie zobaczę, w którą stronę biegnie ta rura, nie dam rady określić, jak powinniśmy iść dalej.

Bill zapalił zapałkę. W jej blasku zobaczyli zielone, nabrzmiałe jak balon zwłoki Patricka Hockstettera. Trup uśmiechał się do nich w ciemności z upiorną życzliwością, ale uśmiechał się jedynie połową twarzy. Drugą zajęły się kanałowe szczury. Wokół trupa leżały

porozrzucane podręczniki, napęczniałe od wilgoci do rozmiarów słowników.

– Chryste – rzekł ochryple Mike. Miał rozszerzone oczy.

– Znowu ich słyszę – powiedziała Beverly – Henry'ego i pozostałych.

Echo musiało donieść jej głos do Bowersa i jego kolesiów, Henry bowiem ryknął w głąb rury, tak że przez chwilę mieli wrażenie, jakby stał tuż obok nich.

– Dostaniemy waaaaas…

– No to chodźcie tu! – krzyknął Richie. Jego oczy były rozbiegane, rozpalone gorączką. – Chodź tu, ty niezdaro! Tu na dole mamy coś w rodzaju basenu. Chodźcie tu, popły…

W tej samej chwili z głębi rury dobiegł tak potworny wrzask, okrzyk szaleńczego strachu zmieszanego z bólem, że gasnąca zapałka wypadła Billowi spomiędzy palców i zgasła. Eddie objął go ramieniem i Bill odwzajemnił uścisk; czuł, że całe jego ciało drży jak osika. Stan przywarł do niego z drugiej strony. Wrzask narastał… a potem dało się słyszeć ohydne, głośne trzepotanie, plusk – i krzyk ucichł jak ucięty nożem.

– Coś dostało jednego z nich – wykrztusił Mike w ciemność. Był przerażony. – Coś… jakiś

potwór… Bill, musimy się stąd wydostać… proszę…

Bill słyszał, jak prześladowcy (z uwagi na akustykę nie potrafił określić, czy było ich dwóch, czy też tylko jeden), potykając się i gramoląc niezdarnie, przedzierają się przez rurę w ich kierunku.

– K-k-którędy, E-e-eddie? – zapytał z naciskiem. – W-w-wiesz?

– W stronę kanału? – spytał, dygocząc w ramionach Billa.

– Tak!

– W prawo. Musimy minąć Patricka… albo przejść po nim. – Głos Eddiego nagle nabrał mocy. – Nie obchodzi mnie, jak to zrobimy. On był jednym z tych, którzy złamali mi rękę. I na dodatek napluł mi w twarz.

– I-i-idziemy – rzekł Bill, raz jeszcze spoglądając w stronę rury, którą niedawno opuścili. – P-p-pojedynczo. T-t-trzymajcie się j-jeden drugiego, t-t-tak jak p-p-poprzednio! – Wyciągnął rękę do przodu, szorując prawym ramieniem po oślizgłej, wyłożonej porcelanowymi płytkami, brudnej ścianie rury, i zacisnął mocno zęby. Nie chciał nadepnąć na Patricka; bał się… że jego noga mogłaby ugrzęznąć w nabrzmiałych zwłokach.

Ruszyli powoli w ciemność. Wokół nich przepływały strumienie wody, a tymczasem na zewnątrz burza rozszalała się na dobre, sprowadzając do Derry przedwczesny zmierzch – ciemność, która krzyczała jękami wichru, jąkała się jazgotliwymi wyładowaniami elektrycznymi i hałasowała łoskotem zwalanych drzew, a odgłosy te przypominały ostatnie przedśmiertne porykiwania olbrzymich prehistorycznych stworzeń.

3

To – maj 1985

A teraz znowu nadchodzili i podczas gdy wszystko szło zgodnie z przewidywaniami Tego, nieoczekiwanie pojawiło się coś, czego To się nie spodziewało… ten szaleńczy, narastający strach… wrażenie obecności Innego. To nienawidziło tego strachu i gdyby tylko mogło, pochłonęłoby go natychmiast… ale strach, drwiąc i szydząc, znajdował się bezpieczny poza jego zasięgiem i jedynym sposobem, aby To mogło odzyskać spokój, było zabicie ich wszystkich. Oczywiście wcale nie musiało się już ich tak bardzo obawiać – obecnie byli dużo starsi, no i ich liczba została

zredukowana z siedmiu osób do pięciu. Piątka była liczbą mocy, ale nie dorównywała magii siódemki. To prawda, że sługa Tego nie zdołał zabić bibliotekarza, ale bibliotekarz i tak umrze w szpitalu. Później, tuż przed świtem, To wyśle pielęgniarza cierpiącego na chroniczne zamiłowanie do niezdrowych pigułek, aby raz na zawsze skończył z bibliotekarzem.

Kobieta pisarza była teraz z Tym i żyła, a jednocześnie nie żyła. Jej umysł został całkowicie zniszczony, kiedy jeden jedyny raz spojrzała na prawdziwe oblicze Tego, pozbawione wszelkich masek i fałszywych twarzy – a rzecz jasna, wszystkie maski i fałszywe oblicza były jedynie lustrami odbijającymi wizje najgorszych koszmarów skrywanych w najdalszych zakamarkach umysłu patrzącego, heliograficzne obrazy, jak odbicie promienia słońca od tafli lustra, trafiające w niespodziewające się tego rozszerzone oko i oślepiające je w ułamku sekundy.

A teraz umysł żony pisarza był z Tym, w Tym, poza krańcami makrowersum; w ciemnościach, poza Żółwiem, na bezkresach poza wszelkimi wyobrażalnymi krainami. Była w oku Tego. Była w umyśle Tego. Była w trupich światłach.

Och, ale zmiana postaci była taka zabawna. Na przykład Hanlon. Nie mógł pamiętać – chyba że podświadomie – lecz jego matka mogłaby mu powiedzieć, skąd się wziął ptak, którego widział w gruzach Zakładów Kitchenerów. Kiedy był zaledwie sześciomiesięcznym niemowlęciem, jego matka pozostawiła go śpiącego w kołysce, podczas gdy sama poszła rozwieszać prześcieradła i pieluszki na sznurze rozpiętym nad trawnikiem za domem. Gdy usłyszała krzyki dziecka, natychmiast do niego przybiegła. Wielka wrona przysiadła na skraju kołyski i zaczęła dziobać Mike'a jak zła istota z baśni. Dzieciak krzyczał z bólu i przerażenia, nie mogąc odegnać ptaka, który wyczuwał w nim słabą ofiarę. Matka Mike'a uderzyła wronę pięścią i ptak odleciał, a potem zobaczyła dwa czy trzy ślady dziobnięć na ramionkach niemowlęcia i czym prędzej zaniosła je do doktora Stillwagona, aby dał dziecku zastrzyk przeciwtężcowy. Mike podświadomie przez cały czas pamiętał o tym zdarzeniu – i kiedy To przyszło do niego, ponownie zobaczył wielkiego ptaka.

Ale gdy sługa będący mężem tamtej dziewczyny sprzed lat przyniósł tu żonę pisarza, To nie miało na sobie żadnej maski – nigdy się nie przebierało, kiedy było u siebie. Mąż-sługa

zdążył tylko raz zobaczyć prawdziwe oblicze Tego i padł martwy wskutek przeżytego szoku – jego twarz zrobiła się szara, a oczy wypełniła krew, która w tuzinie miejsc wytrysnęła z mózgu. Żona pisarza pomyślała tylko z przerażeniem – „O Jezu, To jest rodzaju żeńskiego", a potem jej umysł przestał pracować. Wpłynęła w trupie światła. To wyszło ze swej siedziby i zajęło się jej fizycznymi szczątkami, przygotowując je do późniejszego spożycia. Teraz Audra Denbrough zwisała wysoko, pośrodku całej masy podobnych przedmiotów, owinięta w jedwabny kokon – z głową przechyloną i opartą w zagłębieniu ramienia, rozwartymi szeroko szklistymi oczyma i palcami stóp skierowanymi ku dołowi.

Nadal jednak była w nich moc. Zmniejszona, ale nadal tam była. Przybyli tu jako dzieci i w jakiś sposób, wbrew wszystkiemu, choć zdawać by się mogło, że nie mieli żadnych szans, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu udało im się zranić To, i to ciężko. Prawie je zabili. Zmusili do ucieczki, sprawili, że musiało ukryć się głęboko w ziemi i tam, zwinięte w kłębek, dygotało przepełnione bólem i nienawiścią, leżąc w powiększającej się kałuży własnej dziwnej krwi.

Tak więc mamy jeszcze jedno nowe doznanie. Po raz pierwszy w niekończącej się historii Tego musiało ono sporządzić plan – po raz pierwszy obawiało się ot tak, po prostu, wziąć to, co chciało, z Derry, odgrywającego dla niego rolę prywatnej spiżarni. To zawsze żywiło się dziećmi. Wielu dorosłych można było wykorzystać, tak że nawet nie zdawali sobie z tego sprawy, i podczas minionych lat już kilkakrotnie nasyciło się paroma starszymi osobnikami; dorośli mieli własne lęki, a do ich gruczołów nietrudno było się dostać – otworzyć je tak, by wszystkie chemikalia składające się na strach zalały ciało danego człowieka i osoliły jego mięso. Ale w większości ich lęki były zbyt skomplikowane. Lęki dzieci były prostsze i zazwyczaj dużo silniejsze. Obawy dzieci często dało się zebrać pod jedną jedyną postacią – a jeśli potrzebna była przynęta… cóż… które z dzieci nie lubi klownów? To, bardzo niewyraźnie, zdało sobie jednak sprawę, że te dzieci jakimś sposobem zdołały obrócić metody działania Tego przeciwko niemu samemu i wskutek niezwykłego zbiegu okoliczności (bo z pewnością nie stało się to celowo, za sprawą jakiegoś Innego) połączona siódemka obdarzonych niezwykłą wyobraźnią umysłów zaczęła

stanowić poważne zagrożenie dla dalszej egzystencji Tego. W pojedynkę każdy z tej siódemki stałby się łatwym łupem i gdyby przypadkiem się z sobą nie zetknęli, To dostałoby ich wszystkich, jednego po drugim, zwabiane zawartością ich umysłów, podobnie jak lew może być przyciągany zapachem zebry do konkretnego wodopoju. Kiedy jednak stworzyli grupę, udało im się odkryć alarmujący sekret, o którym To nawet nie miało pojęcia – a mianowicie, że wiara jest bronią obosieczną. Jeżeli istnieje dziesięć tysięcy średniowiecznych wieśniaków, stwarzających wampiry, dzięki swojej wierze w ich istnienie może trafić się jeden – prawdopodobnie dziecko – który wyobrazi sobie, że najlepszym środkiem do ich zabicia będzie osikowy kołek. Ale kołek to tylko zwykły kawałek drewna. To umysł jest młotkiem, który wbija kołek w serce potwora. Ostatecznie więc Temu udało się uciec. Ukryło się głęboko w ziemi, a wyczerpane, przerażone dzieciaki nie podjęły pościgu w momencie, gdy było najbardziej osłabione i bezradne. Uwierzyli, że To umarło albo właśnie dogorywało, i wycofali się.

To wiedziało o ich przysiędze i o tym, że wrócą, podobnie jak lew się orientuje, że zebra wkrótce znów pojawi się u wodopoju. Zanim

jeszcze zapadło w sen, zaczęło przygotowywać plan. Kiedy się obudzi, będzie wypoczęte i uleczone, a dzieciństwo tamtych dawno przeminie, wypali się jak stara świeca. Moc ich dawnej wyobraźni będzie o wiele słabsza i wytłumiona. Nie będą już wierzyć, że w Kenduskeag żyją piranie, że zabicie pająka powoduje deszcz ani że kiedy zgnieciesz świetlika na swojej koszuli, to jeszcze tej samej nocy twój dom stanie w płomieniach. Będą natomiast wierzyć w moc polisy ubezpieczeniowej, wino do obiadu – coś dobrego, choć niezbyt pretensjonalnego, jak pouilly-fuissé rocznik osiemdziesiąty trzeci i niech trochę sobie pooddycha, dobrze, panie kelner? Będą wierzyć w telewizję, Gary'ego Harta, biegi mające zapobiec zawałowi i zaprzestanie jedzenia czerwonego mięsa, dzięki czemu można uniknąć raka okrężnicy. W zależności od sytuacji dadzą wiarę słowom doktora Rutha i doktora Jerry'ego Falwella, a z każdym rokiem ich marzenia będą coraz bardziej zanikać. A kiedy To się obudzi, zawezwie ich do siebie, tak, zawezwie ich do siebie – bo strach był płodnym odczuciem, a jego dzieckiem był gniew i ten gniew domagał się zemsty. To zawezwie ich z powrotem do Derry, a potem zabije. Tylko że teraz, kiedy już tu byli,

wraz z nimi pojawiło się również uczucie strachu.

Oni dorośli, a ich wyobraźnia znacznie się osłabiła – ale nie w takim stopniu, w jakim To się spodziewało. Poczuło złowieszczy, niepokojący wzrost mocy, kiedy doszło do ich ponownego spotkania, i po raz pierwszy zaczęło się zastanawiać, czy przyzywając ich tu, nie popełniło aby kolosalnego błędu. Ale po cóż się przejmować na wyrost. Klamka zapadła i nie wszystkie znaki świadczyły na niekorzyść Tego. Pisarz był na wpół oszalały, bo obawiał się o los żony, i to chyba najpotężniejszy atut. Pisarz był najsilniejszy z nich wszystkich, był tym, który w jakiś sposób przez wszystkie te lata przygotowywał swój umysł do obecnej konfrontacji, a kiedy pisarz umrze, z wyprutymi flakami, kiedy ich ukochany Wielki Bill umrze, To bez trudu błyskawicznie poradzi sobie z pozostałymi. Nasyci się, zaspokoi głód… a potem, być może, znowu zaszyje się w głębi ziemi. I zaśnie. Na pewien czas.

4

W tunelach – 4.30

– Bill! – krzyknął Richie w głąb odbijającej echo rury. Poruszał się najszybciej, jak mógł, a jednak nie dość szybko. Przypomniał sobie, że jako dzieci szli lekko pochyleni w głąb tej rury wiodącej od stacji pomp w Barrens. Teraz musiał się czołgać, a rura wydawała się niewiarygodnie wąska. Okulary ponownie zsunęły mu się na czubek nosa i znowu podsunął je wyżej. Słyszał za sobą Bev i Bena. – Bill! – wrzasnął ponownie. – Eddie!

– Jestem tutaj! – odkrzyknął Eddie.

– Gdzie jest Bill?! – zawołał Richie.

– Z przodu! – rozległ się głos Eddiego. Był teraz bardzo blisko i Richie bardziej go wyczuł, niż dostrzegł nieco dalej przed sobą. – Pędzi jak wariat! Nie chce zaczekać!

Richie wyrżnął głową w nogę Eddiego. Chwilę później głowa Beverly uderzyła Richiego w pośladek.

– Bill! – ryknął na całe gardło Richie. Rura odbiła jego głos i przyniosła go z powrotem tak donośnym echem, że aż zadzwoniło mu w uszach. – Bill, zaczekaj na nas! Mamy iść razem, nie zdajesz sobie z tego sprawy?

Z oddali dobiegł słaby głos Billa:

– Audro! Audro! Gdzie jesteś?

– Niech cię szlag, Wielki Billu! – zawołał niezbyt głośno Richie. Spadły mu okulary. Zaklął, sięgnął po nie i nałożył ociekające na czubek nosa. Wciągnął powietrze do płuc i wykrzyknął ponownie: – Bez Eddiego się zgubisz. Ty cholerny durniu! Zaczekaj! Poczekaj na nas! Słyszysz mnie, Bill? Poczekaj na nas, do cholery!

Nastała długa, denerwująca chwila ciszy. Wydawało się, że nikt nie oddychał. Richie słyszał tylko kapanie wody gdzieś w oddali. Tutaj kanał był suchy, tylko czasem natrafiali na niewielkie kałuże stojącej wody.

– Bill! – Przesunął drżącą dłonią po włosach, tłumiąc cisnące mu się do oczu łzy. – No, dalej… stary! Zaczekaj! Proszę!

Odpowiedział mu cichy, przytłumiony głos Billa:

– Czekam.

– Dzięki Bogu – mruknął pod nosem Richie. Klepnął Eddiego w pośladek. – Ruszaj.

– Nie wiem, jak długo jeszcze podołam z jedną sprawną ręką – powiedział przepraszającym tonem Eddie.

– Mimo to zasuwaj – rzekł Richie i Eddie znów zaczął się czołgać.

Bill, sprawiający wrażenie wymizerowanego, zmęczonego i jakby wypalonego, czekał na nich przy studzience kanałowej, gdzie ze ściany wystawały, jedna nad drugą, trzy rury. Było tu dość miejsca, aby mogli stać.

– T-tam – powiedział Bill. – C-c-criss. I B-b-belch.

Spojrzeli w tamtą stronę. Beverly jęknęła, a Ben objął ją ramieniem. Szkielet Belcha Hugginsa, mający na sobie gnijące strzępy ubrania, wydawał się mniej więcej nienaruszony. To, co pozostało z Victora, nie miało głowy. Bill przeniósł wzrok na przeciwległą ścianę studzienki i zobaczył uśmiechniętą czaszkę. Leżała tam. Reszta Victora Crissa. Powinniście byli spasować, chłopcy, pomyślał Bill i wzdrygnął się.

Ta część systemu odprowadzającego ścieki przestała być wykorzystywana. Richie stwierdził, że powód tego był całkiem jasny. Zajęły się tym nowoczesne zakłady do niszczenia odpadów. W którymś momencie, w latach, kiedy oni uczyli się dorosłego życia – czyli golić się, prowadzić wóz, palić, uprawiać seks i całej masy innych wynikających z tego tytułu przyjemności – powstała Agencja Ochrony Środowiska i podjęła decyzję, że zabrania się wlewania do rzeki

i strumieni nieprzetworzonych ścieków, a nawet tak zwanej szarej wody. Dlatego też ta część systemu kanalizacyjnego po prostu porosła mchem, podobnie jak ciała Victora Crissa i Belcha Hugginsa. Jak Dzicy Chłopcy z *Piotrusia Pana* Victor i Belch nigdy nie dorośli. Oto spoczywały tu szkielety dwóch chłopców, odziane w strzępy podkoszulków i przegniłe resztki dżinsów. Mech porósł wykrzywioną klatkę piersiową Victora i orła zdobiącego sprzączkę jego pasa.

– Potwór ich dostał – powiedział cicho Ben. – Pamiętacie? Słyszeliśmy to.

– A-Audra n-nie żyje – powiedział Bill bezbarwnym głosem. – Wiem.

– Wcale nie wiesz! – wypaliła Beverly z taką wściekłością, że Bill aż się wzdrygnął i spojrzał na nią. – Wiesz tylko, że zginęło wielu innych ludzi, głównie dzieci. – Stanęła przed nim, opierając dłonie na biodrach. Jej twarz i ręce były pokryte pasmami brudu, we włosach miała grudki ziemi. Richie pomyślał, że wyglądała po prostu oszałamiająco. – I wiesz, co popełniło te zbrodnie.

– N-nie p-p-powinienem był jej w ogóle m-mówić, dokąd jadę – rzekł Bill. – Czemu to zrobiłem? Czemu…

Jej dłonie wystrzeliły do przodu i schwyciły go za koszulę. Richie jak urzeczony patrzył na Bev, potrząsającą Billem.

– Dość tego! Wiesz, po co tu przyszliśmy! Złożyliśmy przysięgę i wypełnimy ją! Rozumiesz, Bill? Jeżeli ona umarła, to umarła… ale To nadal żyje! A teraz jesteś nam potrzebny. Rozumiesz? Potrzebujemy cię! – Płakała. – Musisz nam pomóc. Musisz być z nami. Musisz nam pomóc tak jak wtedy, bo jak nie, to nikt z nas nie wyjdzie stąd żywy! – Patrzył na nią przez długą chwilę, nie odzywając się ani słowem, podczas gdy Richie myślał gorączkowo: No, dalej, Wielki Billu, dalej… dalej…

Bill rozejrzał się wokoło, popatrzył na nich i skinął głową.

– E-e-eddie.

– Jestem tutaj, Bill.

– N-nadal p-p-pamiętasz, która t-to była rura?

Eddie wskazał ręką obok Victora.

– Ta dolna. Wydaje się raczej mała, no nie?

Bill ponownie skinął głową.

– M-możesz to zrobić? Ze z-z-złamaną ręką?

– Zrobię to dla ciebie, Bill.

Bill uśmiechnął się i był to najbardziej przerażający uśmiech, jaki Richie kiedykolwiek widział.

– Z-z-zaprowadź nas tam, E-Eddie. Z-zróbmy t-t-to.

5

W tunelach – 4.55

Czołgając się, Bill przypomniał sobie o spadku na końcu rury, ale i tak go to zaskoczyło. W jednej chwili wodził dłońmi po zaskorupiałej powierzchni starej rury, w następnej jego ręce znalazły się w próżni. Wysunął się do przodu, instynktownie przekoziołkował i z bolesnym chrupnięciem wylądował na ramieniu.

– U-u-uważajcie! – Usłyszał swój własny krzyk. – T-tu jest s-s-spadek! E-e-eddie?

– Tutaj! – Eddie, wymachując jedną ręką, musnął czoło Billa. – Możesz pomóc mi stąd wyjść?

Bill objął Eddiego ramieniem i wyciągnął go z otworu, starając się uważać, by nie urazić jego uszkodzonej ręki. Ben zszedł na dół następny, potem Bev, a na końcu Richie.

– M-m-masz jakieś z-zapałki, R-r-richie?

– Ja mam – powiedziała Beverly. Bill poczuł dłoń dotykającą w mroku jego ręki i wciskającą

mu paczkę zapałek. – Zostało tylko osiem czy dziesięć, ale Ben ma więcej.

– T-t-trzymałaś je pod p-p-pachą, Beverly? – spytał Bill.

– Nie tym razem – odparła i w ciemności objęła go ramieniem. Uścisnął ją mocno i przez moment nie otwierał oczu, starając się wchłonąć maksimum otuchy, którą tak usilnie próbowała mu przekazać. Puścił ją delikatnie i zapalił zapałkę. Moc wspomnień była potężna, wszyscy jednocześnie spojrzeli w prawo. To, co pozostało z ciała Patricka Hockstettera, nadal tam było; leżało pośród kilku bryłowatych, nadmiernie rozrośniętych przedmiotów, które kiedyś mogły być podręcznikami. Jedynym rozpoznawalnym elementem było wystające półkole zębów, spośród których dwa czy trzy miały plomby. W pobliżu leżało coś jeszcze. Błyszczący krąg, ledwie widoczny w migotliwym blasku zapałki.

Bill zgasił ją i zapalił następną. Podniósł ten przedmiot.

– Ślubna obrączka Audry – powiedział. Jego głos był dudniący, pozbawiony wyrazu. Zapałka w jego palcach zgasła. W ciemnościach włożył obrączkę.

– Bill? – odezwał się z wyraźnym wahaniem Richie. – Czy wiesz…

6

W tunelach – 14.20

…jak długo wędrowali tunelami pod Derry, odkąd opuścili miejsce, gdzie znajdowało się ciało Patricka Hockstettera?

Bill był pewny, że nie zdołałby odnaleźć powrotnej drogi. Myślał o tym, co usłyszał od ojca. „Mógłbyś tu błądzić tygodniami”. Gdyby wyczucie kierunku Eddiego zawiodło, nie potrzeba byłoby Tego, aby zginęli. Krążyliby w tunelach do śmierci… albo gdyby weszli nie w tę rurę, co trzeba, potopiliby się jak szczury. Eddie bynajmniej nie wyglądał na zmartwionego. Co pewien czas prosił Billa, aby ten zapalił kolejną zapałkę, rozglądał się w zamyśleniu wokoło, a potem znów ruszał w drogę. Skręcał to w lewo, to w prawo, wydawało się, że na chybił trafił. Czasami rura była tak wielka, że nie mogli dosięgnąć jej szczytu wyprostowanymi rękoma. Niekiedy musieli się czołgać, a raz, przez pięć upiornych minut (które zdawały się pięcioma godzinami) pełzli jak robaki, na brzuchach (teraz Eddie ich prowadził), niemal dotykając nosami pięt tych, którzy byli przed nim.

Bill był pewien tylko jednego – że znajdowali się teraz w nieczynnej części systemu

odprowadzania ścieków z Derry. Pozostawili wszystkie wciąż używane rury daleko za lub nad sobą. Ryk płynącej wody zmienił się w odległy grzmot. Te rury były starsze, nie z wypalanej porcelany, ale z chropowatego materiału przypominającego glinę, z którego od czasu do czasu wyciekały strumyczki smrodliwego płynu. Woni ludzkich odchodów, tego fetoru, przez który o mało się nie podusili, prawie nie było już czuć, ale zastąpił go inny – żółty i stary, chyba jeszcze gorszy niż tamten.

Benowi przypominało to smród mumii. Dla Eddiego był to zapach trędowatego. Richie pomyślał, że kojarzy mu się on z najstarszą na świecie flanelową kurtką – teraz pokrytą pleśnią i gnijącą – kurtką drwala, i do tego bardzo dużą, pasującą być może na kogoś takiego jak Paul Bunyan. Beverly woń ta przypominała szufladę ze skarpetkami jej ojca. U Stana Urisa przywołała ona okropne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa – dziwne żydowskie wspomnienie, jak na chłopca, który prawie nie rozumiał, co znaczy być Żydem. Ta woń przypominała glinę zmieszaną z oliwą i przywiodła mu na myśl bezokiego, bezustego demona zwanego Golemem – człowieka z gliny ulepionego w średniowieczu przez renegatów żydowskich, aby uchronił ich

przed gojami, którzy obrabowali ich ze wszystkiego, zgwałcili kobiety, a na dodatek chcieli przepędzić z własnej ziemi. Mike pomyślał o suchym zapachu piór w opuszczonym gnieździe.

Kiedy w końcu dotarli do końca wąskiej rury, ześlizgnęli się jak węgorze po pochyłości do kolejnego tunelu, biegnącego ukośnie względem tego, w którym znajdowali się przed chwilą. Okazało się, że znowu mogą wstać. Bill wyczuł opuszkami palców, ile jeszcze zostało mu zapałek – cztery. Zacisnął wargi, nie chcąc powiadamiać o tym reszty… powie im dopiero, kiedy będzie musiał – nie wcześniej.

– C-c-co tam u w-was?

Odpowiedzieli mu stłumionymi mruknięciami, a on skinął głową w ciemności. Od wybuchu Stana nikt nie popadł w panikę ani się nie rozpłakał. To dobrze. Sięgnął po ich dłonie i przez chwilę stali w ciemnościach, trzymając się za ręce. Tym dotknięciem przekazywali sobie nawzajem moc. Dawali i jednocześnie brali. Bill czuł w tym czystą, niezmąconą radość, miał wrażenie, że w jakiś sposób byli czymś więcej niż tylko siedmioosobową grupką – dzięki temu stawali się jednością dysponującą prawdziwą mocą. Zapalił jedną z pozostałych zapałek

i zobaczyli przed sobą długi, opadający ukośnie tunel. Sufit tunelu był pokryty zwieszającymi się pajęczynami – niektóre poszarpała woda i pozostały z nich jedynie strzępy. Bill, patrząc na nie, poczuł, jak przechodzą mu po plecach atawistyczne ciarki. Podłoże było suche, ale pokryte grubą warstwą starej pleśni i czegoś, co mogło być liśćmi, grzybami… albo jakimiś niewyobrażalnymi odchodami. Nieco dalej dostrzegł stos kości i pokryte zielenią resztki ubrania. Niegdyś mógł to być kombinezon roboczy. Bill wyobraził sobie jakiegoś pracownika wydziału kanalizacji, który zgubił się, dotarł aż tutaj i nie został odnaleziony…

Zapałka zaczęła przygasać. Przechylił ją ku dołowi, aby ogienek palił się nieco dłużej.

– W-w-wiesz, gdzie j-j-jesteśmy? – zwrócił się do Eddiego. Eddie wskazał na nieco zakrzywioną odnogę tunelu.

– Kanał jest tam – powiedział. – Niecałe pół mili stąd, chyba że ta rura skręca gdzieś po drodze. Teraz, jak sądzę, jesteśmy dokładnie pod Milowym Wzgórzem. Ale… Bill…

Zapałka oparzyła Billowi palce i upuścił ją. Znowu znaleźli się w ciemności. Ktoś westchnął. Bill pomyślał, że to mogła być Beverly. Jednak

zanim zapałka zgasła, dostrzegł wyraz zmartwienia na twarzy Eddiego.

– C-c-co jest? C-co się stało?

– Kiedy mówię, że jesteśmy pod Milowym Wzgórzem, to myślę, że naprawdę jesteśmy pod nim. Już od dłuższego czasu schodziliśmy coraz niżej. Nikt nigdy nie buduje kanałów na takiej głębokości. To nie kanał. To raczej szyb kopalniany.

– Jak sądzisz, na jakiej głębokości jesteśmy, Eddie? – spytał Richie.

– Ćwierć mili – odparł Eddie. – Może głębiej.

– O Jezu – szepnęła Beverly.

– To rzeczywiście już nie jest kanał – odezwał się Stan stojący za nimi.

– Można to poznać po zapachu. Fetor jest obrzydliwy, ale to nie woń ścieków.

– A moim zdaniem to ścieki – rzekł Ben. – To cuchnie jak…

Nagle z otworu rury, którą właśnie opuścili, dobiegł ich głośny okrzyk. Ten dźwięk sprawił, że Bill poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Cała siódemka zbiła się w gromadkę. Objęli się nawzajem ramionami.

– Dostaniemy was, sukinsyny. Dostaniemy waaaaas…

– Henry – wysapał Eddie. – O mój Boże, on nadal nas ściga.

– Wcale mnie to nie dziwi – powiedział Richie. – Niektórzy ludzie po prostu są za głupi, żeby przestać.

Słyszeli słabe echo oddechu, szuranie butów i szelest materiału.

– Waaaaaaas…

– I-i-idziemy – zadecydował Bill.

Ruszyli w dół tunelu. Szli teraz dwójkami, z wyjątkiem Mike'a, który zamykał kolumnę. Bill i Eddie, Richie i Bev, Ben i Stan.

– J-jak sądzisz, j-jak daleko za nami jest t-t-teraz H-henry?

– Nie potrafię określić, Wielki Billu – rzekł Eddie. – Echo jest zwodnicze. – Zniżył głos. – Widzisz tę kupkę kości?

– T-tak – odparł Bill i również zaczął mówić ciszej.

– Przy ubraniu miał pas z narzędziami. Myślę, że to był facet z departamentu wodnego.

– J-j-ja t-t-też.

– Jak myślisz, jak dawno…

– N-n-nie wiem. – Eddie w ciemności zacisnął zdrową dłoń na ramieniu Billa. Mniej więcej piętnaście minut potem usłyszeli, jak z mroku coś zbliża się w ich stronę. Richie zamarł. Nagle

znów miał tylko trzy lata. Nasłuchiwał tych chlupoczących odgłosów, które nieprzerwanie się zbliżały, i towarzyszącego im szelestu, kojarzącego się z dźwiękiem poruszanych wiatrem gałęzi, i zanim jeszcze Bill zdążył zapalić zapałkę, wiedział, co to było.

– Oko! – wrzasnął. – Chryste, to Pełzające Oko!

Przez chwilę pozostali nie byli pewni tego, co zobaczyli (Beverly wydawało się, że jej ojciec zdołał ją odnaleźć nawet tu, na dole, a Eddie miał przed oczyma wizję ożywionego Patricka Hockstettera, zupełnie jakby Patrick zdołał ich jakoś wyprzedzić i teraz zbliżał się do nich), ale okrzyk Richiego i jego pewność sprawiły, że To przyjęło kształt jednakowy dla wszystkich. Zobaczyli to samo co Richie.

Tunel wypełniało gigantyczne Oko – szklista, czarna źrenica mająca dwie stopy średnicy, okolona tęczówką rdzawobrunatnego koloru. Twardówka była wybrzuszona, błoniasta, poprzecinana czerwonymi, pulsującymi rytmicznie żyłkami. Ten pozbawiony powiek i rzęs koszmar poruszał się na podłożu z macek, które krwawiły. Wiły się niezdarnie po spękanym podłożu tunelu, niektóre jak palce wślizgiwały się w szczeliny, a w świetle gasnącej zapałki Bill, obserwując to wszystko, miał

wrażenie, jakby To było popychane wyrastającymi z podłoża upiornymi paluchami. To przyglądało im się nieruchomo z gorączkową zawiścią. Zapałka zgasła. W ciemności Bill poczuł, jak macki dotykają pieszczotliwie jego kostki, goleni… ale nie mógł się poruszyć. Jego ciało stało się kamienną bryłą. Czuł, jak To zbliża się ku niemu, czuł bijące od Tego ciepło i słyszał wilgotne pulsowanie krwi w żyłach Tego. Wyobrażał sobie lepkość, którą poczuje, kiedy To go dotknie, ale nadal nie mógł krzyczeć. Nawet kiedy kolejne macki owinęły się wokół jego talii, wślizgnęły się w szlufki dżinsów i zaczęły ciągnąć go do przodu, nie potrafił stawić oporu ani w żaden sposób się bronić. Całe jego ciało ogarnęła dziwna, niewytłumaczalna senność. Beverly poczuła, jak jedna z macek owija się wokół jej ucha – i zacieśnia uścisk. Pojawił się palący ból, a potem jęcząca i wijąca się Beverly została gwałtownie szarpnięta naprzód, jakby jakaś stara nauczycielka zdenerwowała się na nią i zaczęła ciągnąć ją za ucho na środek klasy, gdzie zamierzała włożyć jej oślą czapkę i posadzić na stołku pozostałym uczniom ku przestrodze. Stan i Richie próbowali się cofnąć, ale wokół nich rozszumiał się las mackowatych gałęzi. Ben objął Beverly ramieniem i próbował

odciągnąć ją do tyłu. Schwyciła go kurczowo za ręce.

– Ben… To mnie dostało…

– Nie… wcale nie… Poczekaj… Pociągnę…

Ciągnął z całej siły, lecz Beverly krzyknęła, kiedy jej ucho przeszył palący ból i pociekła krew. Sucha i twarda macka przeszorowała po koszuli Bena, zatrzymała się, a potem zacisnęła w mocną pętlę wokół jego ramienia.

Bill wyciągnął rękę i uderzył z całej siły w kleistą, miękką, wilgotną masę.

Oko! – wykrzyknął jego umysł. O Boże, wbiłem rękę w Oko! O Boże! Boże Miłościwy! Oko! Wbiłem rękę w Oko!

Zaczął stawiać opór, ale macki nieubłaganie ciągnęły go do przodu. Jego dłoń pogrążyła się w tym wilgotnym, złowieszczym cieple. Potem całe przedramię, aż po łokieć. Lada chwila reszta jego ciała znajdzie się we wnętrzu tej kleistej istoty i czuł, że kiedy to się stanie, po prostu straci zmysły. Walczył jak oszalały, smagając drugą ręką wijące się macki. Eddie stał jak pogrążony we śnie, wsłuchując się w stłumione okrzyki i odgłosy walki, kiedy Oko próbowało wchłonąć jego przyjaciół. Czuł wokół siebie macki, ale żadna z nich nie owinęła się wokół niego.

Uciekaj do domu! – rozkazał mu całkiem głośno jego umysł. Uciekaj do domu, do mamy, Eddie! Znajdziesz drogę!

W mroku rozległ się krzyk Billa – przejmujący dźwięk pełen rozpaczy, po którym nastąpiła seria okropnych plaśnięć i chlupotów. Eddie ocknął się z chwilowego odrętwienia. To próbowało dostać Wielkiego Billa!

– Nie! – zawołał Eddie i był to naprawdę głośny okrzyk. Aż trudno pojąć, że równie potężny okrzyk bojowy mógł się wydobyć z tak chudej klatki piersiowej i płuc, które jak powszechnie wiadomo, były dotknięte wyjątkowo ciężką astmą. Rzucił się do przodu, przeskoczył ponad szukającymi gorączkowo mackami, w ogóle ich nie zauważając, a jego ręka, obłożona przemoczonym gipsowym opatrunkiem, bujając się to w przód, to w tył, uderzała go raz po raz w pierś. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej aspirator. Kwas, pomyślał, właśnie tak to smakuje, jak kwas, akumulatorowy kwas. Wyrżnął w plecy Billa Denbrough i odepchnął go na bok. Rozległ się trzask, dał się słyszeć ohydny, cieknący odgłos, a po nim przejmujący ryk, który Eddie nie tyle usłyszał, ile odebrał w myślach. Uniósł aspirator.

Kwas, to jest kwas, chcę, żeby to był kwas, a masz, masz, nażryj się.

– Spróbuj kwasu, ty draniu! – wrzasnął Eddie i nacisnął spust. Jednocześnie wymierzył Oku solidnego kopniaka. Jego stopa pogrążyła się głęboko w galaretowatej powierzchni rogówki. Struga gorącego płynu zalała mu nogę. Cofnął stopę i prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, że stracił but. – Spadaj stąd. Zjeżdżaj! Won! Wynocha! Odwal się! Spierdalaj!

Poczuł, jak macki dotykają go delikatnie i jakby nieco trwożliwie. Ponownie wymierzył aspirator w Oko, nacisnął spust – i powtórnie poczuł (usłyszał) ten ryk… ale teraz brzmiała w nim również nuta zdziwienia i bólu.

– Walczcie z tym! – ryknął Eddie do pozostałych. – To tylko pieprzone Oko! Walczcie z tym! Słyszycie? Walcz z tym, Bill! Rozpieprz to draństwo! Jezu Chryste, przecież ja rozwalam to w drobiazgi, a mam sprawną tylko jedną rękę!

Bill poczuł, że powracają mu siły. Wyrwał ociekającą rękę z Oka… a potem uderzył w nie jeszcze raz zaciśniętą pięścią. Chwilę później zjawił się przy nim Ben. Całym ciałem rąbnął w Oko, jęknął ze zdziwienia i obrzydzenia, po czym zaczął zasypywać miękką, galaretowatą powierzchnię gradem ciosów.

– Puść ją! – ryknął. – Słyszysz? Puść ją! Wynoś się stąd! Wynoś się! To tylko Oko! Tylko pieprzone Oko! – krzyczał jak obłąkany Eddie. Ponownie nacisnął spust aspiratora i poczuł, że To zaczęło się cofać. Macki, które go oplotły, opadły.

– Richie! Richie! Bierz się do tego! To tylko Oko!

Richie chwiejnie postąpił naprzód, nie mogąc uwierzyć, że to prawda – że zbliża się do najgorszego, najbardziej przerażającego monstrum na świecie. Ale tak właśnie było.

Zadał jedno jedyne słabe uderzenie i poczuł, jak jego pięść pogrąża się w Oku – było gęste, wilgotne i jakby chrząstkowate; żołądek podszedł mu do gardła i Richie zwymiotował. Kiedy było po wszystkim, poczuł nieodpartą ochotę zrobienia tego ponownie. To było tylko jedno uderzenie, ale ponieważ to on stworzył tego potwora, okazało się ono w pełni wystarczające. Nagle macki zniknęły. Słyszeli, jak To się wycofywało… a potem w ciemności słychać było tylko zdyszany oddech Eddiego i cichy płacz Beverly, przyciskającej dłoń do krwawiącego ucha. Bill zapalił jedną z trzech zapałek, jakie im pozostały, i w jej świetle popatrzyli po sobie. Na twarzach wszystkich malował się wyraz

głębokiego szoku i oszołomienia. Lewa ręka Billa ociekała gęstym, mętnawym śluzem kojarzącym się z mieszaniną smarków i na wpół ściętego białka. Strużka krwi ściekała po szyi Beverly, a na policzku Bena widniało świeże zadrapanie. Richie powoli poprawił okulary na nosie.

– N-n-nic w-wam n-n-nie jest? – spytał ochrypłym głosem Bill.

– A tobie, Bill? – zapytał Richie.

– N-nic – Odwrócił się do Eddiego i uściskał gorąco małego chłopca. – U-u-uratowałeś mi życie, s-s-stary.

– To pożarło twój but – powiedziała Beverly i roześmiała się głośno. – Ale to nic takiego.

– Kiedy już stąd wyjdziemy, kupię ci nową parę trampek – rzekł Richie. W ciemności poklepał Eddiego po plecach.

– Jak to zrobiłeś, Eddie?

– Strzeliłem w To z aspiratora. Udawałem, że to kwas. Wiesz, że to tak smakuje, zwłaszcza gdy mam wyjątkowo kiepski dzień. Jak widać, zadziałało.

– „Ja to rozwalam w drobiazgi, a mam sprawną tylko jedną rękę” – powiedział Richie i zachichotał. – Nieźle, Eds. Można się pochichrać, wiesz…

– Nie cierpię, kiedy mówisz do mnie „Eds”.

– Wiem – rzekł Richie i objął go z całej siły – ale musisz zrobić się twardy, Eds. Ktoś musi się tym zająć. Widzisz, będziesz musiał kiedyś przestać wieść infantylny żywot dziecka i dorosnąć, a wtedy, mój drogi, przekonasz się, że życie nie zawsze jest usłane różami. O tak… Życie jest ciężkie, stary!

Eddie wybuchnął śmiechem.

– To najgorszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem, Richie.

– Miej swój aspirator pod ręką – powiedziała Beverly. – Możemy go jeszcze potrzebować.

– Nie widać nigdzie Tego? – spytał Mike. – Nawet jak się zapali zapałkę?

– O-o-odeszło – powiedział Bill, a potem dorzucił ponuro: – Ale jesteśmy już blisko. D-d-dochodzimy do s-siedziby T-t-tego. I myślę, że t-tym razem je zraniliśmy.

– Henry wciąż nas ściga – oświadczył Stan. Głos miał cichy i zachrypnięty. – Słyszałem go znowu przed chwilą.

– No to wynośmy się stąd – rzucił Ben.

Ruszyli w drogę. Tunel w dalszym ciągu prowadził ukośnie w dół, a woń, ta dzika, charakterystyczna woń stawała się coraz intensywniejsza. Od czasu do czasu słyszeli odgłosy idącego ich tropem Henry’ego Bowersa,

ale teraz jego krzyki wydawały się cichsze i jakby nieważne. Ogarnęło ich uczucie podobne do uczucia staczania się po równi pochyłej i rozdzielenia, które odczuwali w domu przy Neibolt Street – jakby przekroczyli właśnie granicę pomiędzy światem rzeczywistym a jakąś dziwaczną pustką. Bill czuł (choć nie potrafiłby wyrazić tego słowami), że dochodzili do mrocznego i zranionego serca Derry.

Mike Hanlon miał wrażenie, że odbiera arytmiczne, chore pulsowanie tego serca. Beverly czuła narastającą wokół niej złą siłę, która spowijała ją ze wszystkich stron, jakby chciała oddzielić ją od pozostałych i sprawić, aby pozostała sama. Odruchowo wyciągnęła ręce i schwyciła nerwowo dłonie Billa i Bena. Wydawało się jej, że musiała sięgać zbyt daleko, toteż krzyknęła głośno:

– Złapcie się za ręce! Wydaje mi się, że oddalamy się od siebie!

Stan pierwszy się zorientował, że znów dostrzega w ciemności różne rzeczy. Czerń zmieniła się w półmrok. Z początku widział jedynie swoje ręce i z jednej strony Bena, a z drugiej Mike’a. Potem zorientował się, że dostrzega guziki na ubłoconej koszuli Richiego i pierścień kapitana Midnight – taki, jaki znajduje

się w formie nagrody w pudełkach z płatkami owsianymi – który Eddie lubił nosić na małym palcu.

– Widzicie? – spytał Stan, stając. Pozostali również się zatrzymali. Bill rozejrzał się wokoło i najpierw uświadomił sobie, że rzeczywiście widzi, a potem zorientował się, że tunel rozszerzał się przed nimi do zdumiewających rozmiarów. Znajdowali się teraz w pomieszczeniu o łukowato sklepionych ścianach, dorównujących wielkością Sumner Tunnel w Bostonie. A może nawet jest większe, poprawił się po chwili, patrząc wokoło z narastającym przerażeniem. Odchylili głowy do tyłu, by spojrzeć na sklepienie tunelu, znajdujące się dobre pięćdziesiąt stóp nad nimi i podparte przypominającymi żebra kamiennymi przyporami. Pomiędzy nimi zwisały zakurzone pajęczyny. Podłoże było tu wyłożone kamiennymi płytami, ale zalegający od niepamiętnych czasów kurz sprawiał, że odgłos ich kroków nie zmienił się ani trochę. Zakrzywione, łukowate ściany wznosiły się po obu ich stronach na wysokość minimum pięćdziesięciu stóp.

– Wodociągi musiały tu na dole naprawdę dostać kręćka – rzekł Richie i roześmiał się

niepewnie.

– Wygląda jak katedra – powiedziała cicho Beverly.

– Skąd dochodzi światło? – zainteresował się Ben.

– W-w-wygląda na to, że w-wprost ze ścian – odparł Bill.

– Nie podoba mi się to – rzekł Stan.

– Ch-chodźmy. H-henry depcze nam po p-p-piętach.

Głośny, dźwięczny krzyk rozciął półmrok, a potem rozległ się potężny, przypominający grzmot trzepot skrzydeł. Z ciemności wyprysnął jakiś kształt – jedno oko błyszczało, drugie było mroczną, pustą jamą.

– Ptak! – krzyknął Stan. – Spójrzcie, to ptak!

Spikował na nich niczym obrzydliwy myśliwiec. Wielki, złoty dziób ptaka otwierał się i zamykał, ukazując różowe podniebienie, miękkie niczym satynowa poduszka w trumnie.

To zaatakowało Eddiego. Dziób ptaka zahaczył o jego ramię i Eddie poczuł, jak ból wlewa się w nie niczym kwas. Krew zalała mu klatkę piersiową. Krzyknął, kiedy trzepoczące skrzydła owiały jego twarz falą trującego powietrza. To zawróciło – oko Tego obracające się w oczodole spoglądało złowieszczo i nie było

go widać tylko przez moment, kiedy przysłoniła je opadająca, cienka, błoniasta powieka. Szpony szukały Eddiego, który uchylił się, krzycząc przeraźliwie. Rozerwały na strzępy tył jego koszuli, żłobiąc płytkie, szkarłatne linie wzdłuż łopatek chłopca. Eddie krzyknął i próbował odczołgać się na bok, ale ptak znów ruszył w jego stronę.

Mike wyrwał się do przodu. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej scyzoryk z jednym ostrzem. Kiedy ptak ponownie pikował na Eddiego, ciachnął nożem po jednym ze szponów ptaka. Ostrze pogrążyło się dość głęboko. Popłynęła krew. Ptak zakołował i nadleciał raz jeszcze, składając skrzydła i mknąc ku swemu celowi niczym pocisk. Mike upadł na bok, w ostatniej chwili mierząc ku górze trzymanym w ręku scyzorykiem. Chybił, a pazur ptaka rozpruł mu nadgarstek z taką siłą, że momentalnie stracił czucie w dłoni – blizna, która się później pojawiła, sięgała od nadgarstka aż po zgięcie łokcia. Scyzoryk poleciał w mrok. Ptak zawrócił, skrzecząc triumfalnie, a Mike nakrył Eddiego swoim ciałem i oczekiwał najgorszego.

Kiedy ptak powrócił, Stan wystąpił przed dwóch skulonych na podłodze chłopców. Stał

tam, mały i dziwnie schludny, pomimo smug brudu na dłoniach, ramionach, spodniach i koszuli – i nagle w dziwnym geście wyciągnął przed siebie obie dłonie, unosząc je wnętrzami do góry i kierując palce ku dołowi. Ptak wydusił z siebie jeszcze jedno skrzeknięcie i spikował w dół, mijając Stana zaledwie o parę cali. Podmuch, jaki powstał w momencie jego przelotu, zmierzwił włosy chłopca. Stan odwrócił się szybko, aby stawić czoło powracającemu ptakowi.

– Wierzę w zięby, choć nigdy żadnej nie widziałem – powiedział wyraźnie. Ptak wrzasnął i zakołował w bok, jakby go to zraniło. – Podobnie w sępy, czaple i flamingi. – Ptak krzyknął i ze skrzekiem wzbił się w górę. – Wierzę w bielika amerykańskiego! – krzyknął Stan w stronę Tego. – I sądzę, że gdzieś rzeczywiście mogą żyć feniksy! Ale w ciebie nie wierzę, więc spierdalaj stąd! Wynoś się! Już cię tu nie ma! – A potem umilkł i zdawało się, że cisza trwa bardzo długo. Bill, Ben i Beverly podeszli do Mike'a i Eddiego, pomogli Eddiemu wstać, a potem Bill przyjrzał się ranie Bena.

– N-n-nie jest g-g-głęboka – powiedział. – Ale z-założę się, że boli jak diabli.

– To rozerwało mi całą koszulę, Wielki Billu.

Policzki Eddiego zrosiły łzy. Znów miał świszczący oddech. Ryczący ton głosu, godny normańskich barbarzyńców, zniknął. Trudno było w ogóle uwierzyć, że ten chłopiec mógł krzyczeć tak donośnie.

– Co ja powiem mamie?

Bill uśmiechnął się pod nosem.

– B-b-będziesz się o to martwił, jak j-j-już stąd w-w-wyjdziemy, d-d-dobra? A na razie walnij se ł-łyka, E-e-eddie.

Eddie zaaplikował sobie porcję zawartości aspiratora, wciągnął głęboko powietrze, a potem wypuścił je ze świstem.

– To było świetne, stary – rzekł Richie, zwracając się do Stana. – Po prostu, kurde, genialne!

Stan cały się trząsł.

– Po prostu nie ma takich ptaków. Nigdy nie było i nigdy nie będzie.

– Nadchodzimy! – Rozległ się z tyłu głos Henry'ego. Brzmiał jak głos człowieka obłąkanego. Bowers śmiał się i ryczał jak zwierzę. Odgłosy, które wydawał, kojarzyły się z jakimś stworem z piekła rodem. – Ja i Belch! Idziemy i dostaniemy was, parszywe gnoje! Nie uciekniecie!

– W-w-wynoś się, H-henry! – krzyknął Bill. – Z-zrób to, póki czas.

Henry w odpowiedzi wydał z siebie głuchy, nieartykułowany wrzask. Usłyszeli tupot kroków, a chwilę potem Bill zrozumiał, jaką odegrał w tym wszystkim rolę Henry – on był prawdziwy, śmiertelny, nie można go zatrzymać za pomocą aspiratora czy atlasu ptaków. Magia nie miała nań żadnego wpływu. Był na to zbyt głuchy.

– Ch-chodźcie. M-m-musimy mu uciec.

Ruszyli dalej, trzymając się za ręce. Porwana na strzępy koszula Eddiego trzepotała za nim. Światło stało się nieco jaśniejsze, a tunel większy. W miarę jak schodzili w dół, sklepienie wznosiło się coraz bardziej – prawie go już nie widzieli. Obecnie mieli wrażenie, jakby wcale nie byli w tunelu, lecz zbliżali się podziemnym dziedzińcem do jakiegoś ogromnego zamczyska. Światło bijące ze ścian zmieniło się w ociekające, zielonożółte płomienie. Woń się nasiliła i zaczęli odbierać wibrację, która równie dobrze jak w rzeczywistości mogła być przekazywana tylko do ich umysłów. Ta wibracja była miarowa i rytmiczna. To było bicie serca.

– Przed nami koniec tunelu! – krzyknęła Beverly. – Spójrzcie! To ślepa ściana!

Ale kiedy podeszli bliżej – mali niczym mrówki na olbrzymiej połaci złożonej z pokrytych kurzem kamiennych płyt, z których każda była większa od Bassey Park – okazało się, że nie jest całkiem ślepa. Widniały w niej pojedyncze drzwiczki. I choć ściana wznosiła się nad nimi na setki stóp, drzwi były bardzo maleńkie. Miały nie więcej niż trzy stopy wysokości i wyglądały jak żywcem wyjęte z bajki – zbite z dębowych desek, przecięte na kształt litery X dwoma szerokimi pasami metalu. Natychmiast zdali sobie sprawę, że to drzwi przeznaczone wyłącznie dla dzieci.

Ben usłyszał w myślach upiorny głos, głos bibliotekarki czytającej dzieciom bajkę: „Kto tam tupta, tupiąc po moim mostku?”. Dzieci pochyliły się do przodu, w ich oczach błyszczały iskierki odwiecznej fascynacji – czy zło zostanie pokonane… czy też może zaspokoi swój głód? Na drzwiach widniał jakiś znak, a pod drzwiami leżał stos kości. Małych kości. Kości Bóg wie ilu dzieci.

A ten wizerunek na drzwiach – co on miał oznaczać?

Billowi wydał się papierowym okręcikiem.

Stan zobaczył go w postaci ptaka wzbijającego się do lotu; może był to feniks. Mike dostrzegł w nim twarz ukrytą pod kapturem – tym człowiekiem mógł być Butch Bowers, ale Mike naturalnie nie miał żadnej pewności. Richie zobaczył oczy za szkłami okularów, Beverly dłoń zaciskającą się w pięść. Eddie widział niby twarz trędowatego, zapadnięte oczy, usta rozchylone w złowieszczym grymasie, zaciśnięte zęby – na tym obliczu odcisnęły piętno wszystkie możliwe choroby świata. Ben Hanscom zobaczył postrzępiony stos bandaży i miał wrażenie, że poczuł zapach kojarzący mu się ze starymi, skwaśniałymi przyprawami. Później, gdy do tych samych drzwi dotrze w końcu samotny Henry Bowers (przez cały czas mając w uszach przedśmiertne okrzyki Belcha Hugginsa), ujrzy to w formie księżyca, nabrzmiałego, czarnego księżyca w pełni.

– Boję się, Bill – powiedział drżącym głosem Ben. – Musimy?

Bill dotknął stopą stosu kości, co wystarczyło, by rozsypały się, grzechocząc i wzbijając fontannę kurzu. On też się bał… ale przecież nie mógł zapomnieć o George'u. To wyrwało ramię jego bratu. Czy jego małe, drobne kości znajdowały się pośród tego stosu? Tak. Oczywiście, że tak.

Przybyli tu dla tych, których kości spoczywały na tym stosie. Dla tych, których tu przyniesiono, i dla tych, którzy mogli zostać tu przyniesieni, a których ciała pozostawiono gdzie indziej, aby zgniły.

– Musimy – odparł Bill.

– A jeśli te drzwi są zamknięte? – spytała cicho Beverly.

– N-nie są – odparł Bill, a potem powiedział im to, co czuł. – M-m-miejsc t-t-takich jak to n-n-nigdy się nie z-zamyka.

Położył rozpostarte palce prawej dłoni na drzwiach i popchnął. Otworzyły się, a z wnętrza buchnął potok obrzydliwego, żółtozielonego światła. Ponownie poczuli ten ohydny fetor – tym razem jednak woń była znacznie silniejsza. Pojedynczo przeszli przez bajkowe drzwi i weszli do kryjówki Tego. Bill…

7

W tunelach – 4.59

…zatrzymał się tak gwałtownie, że pozostali powpadali na siebie jak wagony pociągu pospiesznego, gdy ktoś nagle pociągnie za hamulec bezpieczeństwa.

– Co jest?! – zawołał Ben.

– T-t-to było t-t-tutaj. O-o-oko. P-p-pamiętasz?

– Pamiętam – odrzekł Richie. – Eddie powstrzymał je swoim aspiratorem. Udał, że ma tam kwas. Powiedział coś fajnego. To było naprawdę śmieszne, ale nie potrafię sobie przypomnieć, co to właściwie było.

– N-n-nieważne. I t-t-tak nie z-zobaczymy t-t-tego samego co p-poprzednio – rzekł Bill.

Zapalił zapałkę i powiódł wzrokiem po pozostałych. Ich twarze były jasne w blasku zapałki – jasne i mistyczne. I wszyscy wydawali się tacy młodzi.

– C-c-co tam u w-was?

– Dobrze, Wielki Billu – powiedział Eddie, ale jego twarz była wykrzywiona bólem. Prowizoryczne łubki sporządzone przez Billa poluzowały się. – A u ciebie?

– W p-p-porządku – rzekł Bill i zgasił zapałkę, zanim jego twarz mogłaby im powiedzieć coś

innego.

– Jak to się stało? – spytała go Beverly, dotykając w ciemnościach jego ramienia. – Bill, skąd ona…

– B-bo p-powiedziałem jej n-n-nazwę miasta. P-p-przyjechała tu za mną. J-już k-k-kiedy to robiłem, c-coś wewnątrz mnie ch-chyba radziło, abym się z-z-zamknął. A-ale ja nie usłuchałem. – Bezradnie pokręcił głową w ciemności. – Ale n-nawet j-jeżeli zjawiła się w D-d-derry, nie pojmuję, skąd wzięła się tu, na d-d-dole. Jeśli to nie H-henry ją tu p-p-przywiódł, to kto?

– To – powiedział Ben. – Wiem, że To wcale nie musiało wyglądać okropnie. Mogło jej się pokazać i powiedzieć, że mamy jakieś kłopoty. Sprowadziło ją tu, aby… pomieszać ci szyki, a przynajmniej tak mi się wydaje. Aby złamać kręgosłup naszej grupy. Bo ty zawsze byłeś kręgosłupem naszej grupy, Wielki Billu.

– Tom? – odezwała się cicho Beverly.

– K-k-kto? – Bill zapalił kolejną zapałkę. Patrzyła na niego z rozpaczliwą szczerością.

– Tom. Mój mąż. On również wiedział. Wspomniałam przy nim nazwę miasta, tak jak ty Audrze. Nie wiem, czy ją zapamiętał, czy nie. Był wtedy na mnie nielicho wkurzony.

– Jezu, czy to jest jakaś cholerna opera mydlana, w której prędzej czy później wszyscy muszą się pojawić? – spytał Richie.

– To nie opera mydlana – rzekł Bill zduszonym głosem. – To przedstawienie. Jak w cyrku. Bev wyszła za mąż za Henry'ego Bowersa. Kiedy stąd wyjechała, zapragnął, by wróciła. Przecież tak właśnie zrobił prawdziwy Henry.

– Nie – wtrąciła Beverly. – Nie wyszłam za Henry'ego. Poślubiłam mojego ojca.

– Co to za różnica, skoro i tak cię lał? – spytał Eddie.

– Chodźcie tu – powiedział Bill. – P-podejdźcie do mnie.

Zrobili to. Okrążyli go. Bill rozłożył ręce i odnalazł po jednej stronie zdrową dłoń Eddiego, a po drugiej dłoń Richiego. Niebawem utworzyli krąg, tak jak przed laty, kiedy było ich jeszcze siedmioro. Eddie poczuł, jak ktoś obejmuje go ramieniem. To uczucie było ciepłe, przyjemne, dodające otuchy i znajome. Bill czuł ogarniającą ich moc, tak jak wiele lat temu, ale z rozpaczą zauważył, że rzeczy naprawdę się zmieniły. Moc nie była już tak potężna jak kiedyś, jej płomień był nikły i migotał jak płomyk świecy na silnym wietrze. Ciemność zdawała się gęściejsza

i przybliżała się do nich triumfalnie. Czuł także woń Tego.

Idąc dalej tym korytarzem, pomyślał, niespecjalnie daleko, dotrzemy do drzwi oznakowanych pewnym symbolem. Co było za tymi drzwiami? To jedyna rzecz, której nadal nie potrafię sobie przypomnieć. Pamiętam, jak wyprężyłem palce, żeby nie zadrżały, i jak popchnąłem drzwi, aby je otworzyć. Pamiętam nawet powódź światła, które nas wtedy zalało, i wydawało mi się, jakby to światło żyło. Jakby to nie było tylko światło, ale fluoryzujące węże, i pamiętam tę woń, jak fetor w zoo bijący z pomieszczenia, gdzie trzyma się małpy, ale jeszcze silniejszy. A potem… nic.

– Cz-czy k-k-ktoś z was p-p-pamięta, czym T-to naprawdę było?

– Nie – odparł Eddie.

– Myślę… – zaczął Richie, a potem Bill prawie poczuł w ciemności, jak tamten kręci przecząco głową. – Nie.

– Nie – rzekła Beverly.

– Eee… – To był Ben. – To jedyna rzecz, której w dalszym ciągu nie potrafię sobie przypomnieć. Nie pamiętam, czym To było… ani jak z tym walczyliśmy.

– Chüd – powiedziała Beverly. – Właśnie tak z Tym walczyliśmy. Ale nie pamiętam, co to znaczy.

– B-b-bądźcie przy mnie – rzekł Bill – a j-ja b-b-będę przy was.

– Bill – odezwał się Ben. Miał spokojny głos. – Coś nadchodzi.

Bill zaczął nasłuchiwać. Usłyszał odgłos szurania, powłóczenia nogami, coś zbliżało się ku nim w ciemności… i zaczął się bać.

– A-a-audro?! – zawołał, ale w głębi duszy wiedział już, że to nie była ona.

Cokolwiek zbliżało się do nich, powłócząc nogami, było coraz bliżej. Bill zapalił zapałkę.

8

Derry – 5.00

Tego późnowiosennego dnia 1985 roku pierwsza zła rzecz wydarzyła się dwie minuty przed oficjalnym nadejściem świtu. Aby zrozumieć jego znaczenie, należy wiedzieć o dwóch faktach znanych Mike’owi Hanlonowi (który leżał nieprzytomny w jednej z sal szpitala w Derry) – obu związanych z kościołem baptystów, stojącym na rogu Witcham i Jackson

od 1897 roku. Kościół był zwieńczony strzelistą, wyłożoną białymi dachówkami wieżyczką, jak wszystkie protestanckie kościoły w Nowej Anglii. W podstawie iglicy wmontowany był z czterech stron wielki zegar, skonstruowany i przewieziony ze Szwajcarii w 1898 roku. Drugi taki zegar znajdował się na rynku w Haven Village, czterdzieści mil dalej.

Stephen Bowie, potentat drzewny mieszkający przy West Broadway, ufundował miastu ów zegar za sumę siedemnastu tysięcy dolarów. Bowie mógł sobie na to pozwolić. Był od czterdziestu lat gorliwym wyznawcą religijnym, diakonem, i regularnie chodził do kościoła (sprawował również funkcję prezesa oddziału Legionu Białej Przyzwoitości w Derry). Znane były również jego żarliwe świeckie kazania z okazji Dnia Matki, który zawsze określał mianem Matczynej Niedzieli. Od dnia zainstalowania do 31 maja 1985 roku zegar wybijał regularnie pełne godziny i połowy – z jednym godnym zapamiętania wyjątkiem. W dniu eksplozji w Zakładach Kitchenera zegar nie wybił dwunastej w południe. Mieszkańcy wierzyli, że wielebny Jollyn wyciszył zegar na znak żałoby po śmierci dzieci, a Jollyn nigdy nie

wyprowadził ich z błędu, choć nie była to prawda. Zegar po prostu nie wybił dwunastej.

Podobnie jak nie wybił piątej rano 31 maja 1985 roku. W tej samej chwili w całym Derry starzy ludzie otworzyli oczy i usiedli na swoich łóżkach zaniepokojeni bez żadnego konkretnego powodu. Połknęli swoje lekarstwa, włożyli sztuczne szczęki, zapalili papierosy i fajki. Starzy ludzie wstali i zaczęli obserwować.

Jednym z nich był Norbert Keene – obecnie dobrze po dziewięćdziesiątce. Pokuśtykał do okna i wyjrzał na zewnątrz. Spojrzał w ciemniejące niebo. Prognoza pogody poprzedniego wieczoru zapowiadała czyste niebo, ale ten facet czuł w kościach, że już niebawem na dobre się rozpada. W głębi serca był przerażony. Czuł ogarniający go niemożliwy do określenia niepokój, przypominający truciznę rozlewającą się nieubłaganie w kierunku jego serca. Nagle przypomniał sobie dzień, kiedy gang Bradleya wjechał nierozważnie do Derry prosto pod lufy siedemdziesięciu pięciu pistoletów i karabinów. Tego typu czyn pozostawia w człowieku uczucie ciepła i rozleniwienia… jakby wszystko zostało w jakiś sposób zatwierdzone. Nie potrafił określić tego w lepszy sposób. Po dokonaniu czegoś takiego facet czuje

się tak, jakby mógł żyć wiecznie, a Norbert Keene przeżył sporo wiosen. Dwudziestego czwartego czerwca kończył dziewięćdziesiąt sześć lat i nadal każdego dnia pokonywał spacerkiem trzy mile. Ale teraz był przerażony.

– Te dzieciaki – powiedział, wyglądając przez okno, nieświadomy, że mówi do siebie. – Co jest z tymi cholernymi dzieciakami? Co one kombinują tym razem?

Egbert Thoroughgood, lat dziewięćdziesiąt dziewięć, który był w Silver Dollar, kiedy Claude Heroux nastroił swoją siekierę i zagrał na niej marsza śmierci dla czterech mężczyzn, obudził się w tej samej chwili, usiadł, a potem wydał z siebie zgrzytliwy jęk, którego nikt nie mógł usłyszeć. Śnił mu się Claude, tyle że Claude go ścigał, a potem siekiera opadła i Thoroughgood zobaczył, jak palce jego odciętej od nadgarstka dłoni wiją się i zaciskają kurczowo na kontuarze. Szykuje się coś złego, pomyślał, siedząc przerażony i drżący w swoich pokrytych plamami od moczu kalesonach. Szykuje się coś bardzo złego.

Dave Gardener, który znalazł zmasakrowane ciało George’a Denbrough w październiku 1957 i którego syn odnalazł pierwszą ofiarę nowego cyklu wiosną tego roku, otworzył oczy

punktualnie o piątej i zanim jeszcze spojrzał na stojący na szafce zegarek, pomyślał: Zegar na kościele nie wybił piątej… Co się stało?

Poczuł dziwne, nieokreślone przerażenie. Dave'owi dobrze się powiodło w minionym okresie. W 1965 roku wykupił The Shoeboat, a teraz drugi salon obuwniczy znajdował się w Derry Mall i trzeci w Bangor. Nagle wszystkie te rzeczy, rzeczy, na które pracował przez całe swoje życie, zostały zagrożone. Co im groziło? – zastanawiał się w duchu, patrząc na śpiącą żonę. Co im zagraża, czemu tak się przejmujesz taką błahostką? Tylko dlatego, że zegar nie wybił godziny, masz zachowywać się jak głupek?

Ale odpowiedzi nie było. Wstał i podszedł do okna, szarpiąc gumkę spodni od piżamy. Niebo było niespokojne, z zachodu nadciągały chmury, a jednocześnie narastał niepokój Dave'a. Po raz pierwszy od bardzo dawna zdał sobie sprawę, że myśli o krzykach, które dwadzieścia siedem lat temu przywiodły go na werandę domu, o tym, jak wtedy zobaczył wijącą się postać w żółtej, nieprzemakalnej kurtce. Spojrzał na płynące po niebie chmury i pomyślał: Jesteśmy w niebezpieczeństwie. My wszyscy. Całe Derry.

Szef policji Andrew Rademacher, który naprawdę wierzył, że robi, co tylko może, aby

rozwikłać sprawę nowej fali zabójstw dzieci w Derry, stanął na werandzie swego domu i wsadziwszy kciuki za szeroki pas, wpatrywał się w chmury i odczuwał ten sam niepokój. Coś się zdarzy. Przede wszystkim zapowiada się, że będzie lało. Ale to nie wszystko. Wzdrygnął się… i gdy tak stał na werandzie, a przez rozsuwane drzwi napływał doń zapach smażonego przez jego żonę bekonu, pierwsze krople deszczu wielkości dziesięciocentówek skropiły chodnik przed domem, a gdzieś w oddali, w okolicach Bassey Park, rozległ się łoskot grzmotu. Rademacher wzdrygnął się po raz drugi.

9

George – 5.01

Bill uniósł zapaloną zapałkę… i wydał z siebie długi, rozpaczliwy ni to jęk, ni krzyk. W jego stronę zmierzał chwiejnym krokiem George, w dalszym ciągu ubrany w zbryzganą krwią żółtą kurtkę przeciwdeszczową. Jeden rękaw zwisał pusty i bezużyteczny. Twarz George’a była biała jak papier, a oczy – lśniące i srebrne. Ich spojrzenia się spotkały.

– Mój okręcik. – Rozległ się w tunelu drżący głos George'a. – Nie mogę go znaleźć, Bill. Szukałem wszędzie i nie mogę go znaleźć, a teraz umarłem i to twoja wina, to twoja wina, to twoja wina!

– G-g-georgie! – wykrzyknął Bill. Miał wrażenie, że jego umysł wyrywa się z przytrzymujących go oków.

George podszedł do niego chwiejnie i jego jedyne ramię uniosło się w kierunku Billa – palce białej dłoni zaciskały się jak szpony. Paznokcie były długie i szukały chciwie.

– To twoja wina – wyszeptał George i uśmiechnął się. Jego zęby były kłami, unosiły się i opadały jak szczęki pułapki na niedźwiedzie. – Wysłałeś mnie! To… wszystko… twoja… wina.

– N-n-nie, G-g-georgie! – wykrzyknął Bill. – N-n-nie wiedziałem…

– Zabiję cię! – krzyknął George i z jego ust dobiegła mieszanka psich odgłosów: skowyty, jęki, popiskiwania. Coś, co przypominało śmiech. Bill czuł go, czuł woń gnijącego ciała George'a. To była woń piwnicy, robactwa, woń jakiegoś bezimiennego żółtookiego monstrum, czającego się w kącie i czekającego na sposobny moment, by wypruć wnętrzności nieostrożnemu dzieciakowi, który odważył się tu zejść.

George zgrzytnął zębami. Ten dźwięk przypominał szczęk zderzających się z sobą kul bilardowych. Z jego oczu zaczęła wyciekać żółtawa ropa. Spływała mu po policzkach… a potem zapałka zgasła. Bill czuł, że jego przyjaciele znikają… uciekali… to jasne, zostawiali go samego. Odcinali się od niego, tak jak jego rodzice, bo George miał rację, to była jego wina. Niebawem poczuje, jak te kły rozrywają go na strzępy, i to będzie ze wszech miar właściwe. Tak być powinno. Wysłał George'a na śmierć i spędził całe swoje dorosłe życie, opisując koszmar owej zdrady – o tak, przydawał temu inne oblicze, tak samo jak To, ale pod całą tą przykrywką był jedynie George, wybiegający z domu, trzymający w jednej ręce pokryty warstewką parafiny papierowy okręcik. Nadszedł czas, by za to odpokutował.

– Zasłużyłeś na śmierć za zabicie mnie – wyszeptał George. Był teraz bardzo blisko. Bill zamknął oczy. A wtedy światło zalało wnętrze tunelu i ponownie je otworzył. Richie trzymał zapałkę w uniesionej dłoni.

– Walcz z Tym, Bill! – krzyknął Richie. – Na miłość boską, walcz z Tym!

Co oni tu robią? Patrzył na nich, nie ukrywając zdziwienia. A więc mimo wszystko nie

uciekli. Jak to możliwe? Przecież wiedzieli, że był odpowiedzialny za śmierć brata…

– Walcz z Tym! – krzyczała Beverly. – Och, Bill, walcz z Tym! Tylko ty możesz tego dokonać! Proszę…

George był teraz niecałe pięć stóp od niego. Nagle pokazał Billowi język, pokryty białymi, grzybiastymi naroślami. Bill ponownie krzyknął.

– Zabij To, Bill! – zawołał Eddie. – To nie jest twój brat! Zabij To, póki jest małe! Zabij To teraz!

George spojrzał na Eddiego swymi srebrzystymi oczami, a Eddie cofnął się gwałtownie, jakby został popchnięty. Bill stał jak zahipnotyzowany, patrząc na zbliżającego się ku niemu brata. Znowu widział George'a, po tylu latach. George był końcem, tak samo jak początkiem, słyszał skrzypienie jego żółtej kurtki, był coraz bliżej, słyszał szczęk sprzączek przy gumiakach i czuł coś jakby woń gnijących, mokrych liści – zupełnie jakby całe ciało George'a pod kurtką było z nich ulepione, jakby jego stopy w kaloszach były zlepkiem liści, a sam George był jedynie kukłą, korpusem z gnijących, mokrych liści i głową z nadmuchanego balonu. Liście… takie same jak te, którymi czasem po powodzi zapychają się rury kanalizacyjne.

Jak przez mgłę usłyszał krzyk Beverly. W głowie dudniła znana sentencja: „Obie ręce oparłszy…”.

– Bill, proszę, Bill…

– Razem poszukamy mojego okręcika – rzekł George. Gęsta, żółta ropa, szydercza imitacja łez, ściekała mu po policzkach. Wyciągnął rękę w stronę Billa i przechylił głowę na bok, a jego usta rozchyliły się, ukazując zakrzywione kły. – Znajdziemy go – powiedział George, a Bill poczuł oddech Tego, smród zwierząt rozjechanych na autostradzie w środku nocy. Kiedy George ziewnął, Bill zobaczył kłębiące się w jego ustach robaki. – To jest nadal tu na dole… To pływa tu razem z nami… bo tu wszyscy pływamy, Bill… wszyscy pływamy…

Biała jak brzuch ryby dłoń George’a zacisnęła się na szyi Billa. Wykrzywiona ohydnym grymasem twarz George’a przysunęła się do szyi Billa.

– Pływamy…

– Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą! – krzyknął Bill. Jego głos był silniejszy, bardziej basowy, zupełnie jakby nie należał do niego, i w krótkim przebłysku wspomnień Richie przypomniał sobie, że Bill jąkał się tylko wtedy,

gdy mówił własnym głosem. Kiedy udawał kogoś innego, nigdy mu się to nie zdarzało.

A wówczas istota-George cofnęła się z rykiem. Dłoń Tego uniosła się do twarzy w obronnym geście.

– To jest To! – krzyknął uradowany Richie. – Dostałeś To, Bill! Dawaj dalej! Załatw To! Załatw To! Załatw To!

– Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano! – zagrzmiał Bill. Podszedł do istoty-George'a. – Ty nie jesteś duchem! George wie, że nie chciałem, aby umarł! Moi starzy się mylą! Zwalili to na mnie, i to był błąd! Słyszysz?

Istota-George odwróciła się gwałtownie, popiskując jak szczur. To zaczęło się topić i marszczyć pod materiałem żółtej kurtki. Sam płaszcz przeciwdeszczowy ociekał, spływał długimi, żółtymi pasmami. To stawało się amorficzne.

– Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, ty sukinsynu! – wrzasnął Bill Denbrough. – Rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano!

Rzucił się na To i jego palce wpiły się w przeciwdeszczową kurtkę, która nie była już żółta. To, co poczuł, przypominało dziwne, ciepłe toffi, roztapiające się pod jego palcami, kiedy

tylko zdołał zacisnąć dłonie w pięści. Upadł na kolana. A potem Richie krzyknął, kiedy zapałka sparzyła mu palce, i ponownie pogrążyli się w ciemnościach. Bill poczuł, że coś zaczyna wzbierać w jego piersi, coś gorącego, dławiącego i bolesnego jak oparzenia pokrzywą. Objął kolana ramionami i podciągnął je do brody, mając nadzieję, że w ten sposób powstrzyma lub przynajmniej złagodzi ból. W głębi duszy cieszył się, że było ciemno – że pozostali nie mogli oglądać jego cierpienia. Z jego ust dobył się przeciągły jęk. Potem drugi i trzeci.

– George! – zaszlochał. – George, tak mi przykro! N-n-nigdy nie chciałem, żeby coś ci się stało! – Być może mógł powiedzieć coś więcej, ale nie zdołał. A potem płakał, leżąc na plecach i zakrywając jedną ręką oczy, przypominał sobie okręcik, jednostajne bębnienie deszczu o szyby okna w sypialni, chusteczki jednorazowe i pigułki leżące na nocnym stoliku, ćmienie w głowie i reszcie ciała, pozostałości przemijającej gorączki, jednak przede wszystkim przypominał sobie George’a w nieprzemakalnej żółtej kurtce z kapturem. – George, tak mi przykro! – wykrzyknął przez łzy. – Przepraszam, tak mi przykro, przepraszam, wybacz mi, proszę.

A potem pozostali znaleźli się nagle obok niego, bo byli jego przyjaciółmi, i nikt nie zapalił zapałki, ale ktoś objął go delikatnie; nie wiedział, kto to był – może Beverly, a może Richie. Byli przy nim i przez tę krótką chwilę ciemność wydawała się ukojeniem.

10

Derry – 5.30

Do piątej trzydzieści rozpadało się na dobre. Meteorologowie ze stacji radiowych w Bangor wyrażali nieznaczne zaskoczenie i przepraszali wszystkich tych, którzy na podstawie zapowiedzi z dnia poprzedniego zaplanowali na dzisiaj piknik lub mały wypad za miasto.

Tak już bywa, ludziska – pogoda czasami płata figle, a w Penobscot Valley zdarza się to wyjątkowo gwałtownie i nieoczekiwanie. Meteorolog ze stacji WZON, Jim Witt, zrobił wykład na temat, jak to określał, „niezwykle zdyscyplinowanego" frontu niżu. To zaczęło się łagodnie. Warunki atmosferyczne zmieniały się z zachmurzenia w Bangor, poprzez przelotne deszcze w Hampden, mżawkę w Haven po umiarkowane opady w Newport. Ale w Derry,

zaledwie trzydzieści mil od śródmieścia Bangor, lało.

Przejeżdżający Route 7 musieli pokonywać odcinki, gdzie poziom wody wynosił siedem cali, a za farmą Rhulinów przy zapchanym przepuście droga była w ogóle nieprzejezdna. Przed szóstą rano policja ustawiła tam po obu stronach pomarańczowe znaki z napisem: „Objazd”.

Ci, którzy czekali pod wiatą na Main Street na pierwszy tego dnia autobus, aby dojechać do pracy, spoglądali ponad barierką na kanał, w którego betonowych obrzeżach złowieszczo wzbierała woda. Rzecz jasna powodzi nie będzie – wszyscy się z tym zgadzali. Poziom wody znajdował się cztery stopy poniżej oznacznika z 1972 roku, a przecież w tamtym roku nie było powodzi. Deszcz lał jednak nieprzerwanie, a z niskich chmur dobywały się grzmoty. Strugi wody spływały z Milowego Wzgórza i z rykiem wpadały do kanałów burzowych i otworów ściekowych. Nie będzie powodzi, przyznawali, ale na każdej twarzy pojawiła się niepewność.

O piątej czterdzieści pięć transformator słupowy stojący obok magazynu braci Trackerów eksplodował w błysku fioletowego światła, rozbryzgując poskręcane odłamki metalu na pokryty gontami dach. Jeden z odłamków

uszkodził przewód wysokiego napięcia, który również spadł na dach, skręcając się i wijąc jak wąż, i strzelając niemal płynnym strumieniem iskier. Pomimo ulewy dach się zapalił i niebawem cały magazyn stanął w ogniu. Przewód elektryczny spadł z dachu na porośnięty chwastami trawnik, prowadzący na placyk za budynkiem, gdzie mali chłopcy niegdyś grywali w baseball. Wóz strażacki wyjechał tego dnia z bazy po raz pierwszy o szóstej zero dwie i znalazł się obok magazynu braci Trackerów o szóstej zero dziewięć. Jednym z pierwszych strażaków, którzy wysiedli z wozu, był Calvin Clark, jeden z bliźniaków, z którymi Ben, Beverly, Richie i Bill chodzili do szkoły. Zdążył zrobić zaledwie trzy kroki, gdy podeszwa jego skórzanego buta natrafiła na leżący w trawie przewód elektryczny. Calvin umarł prawie natychmiast. Język wysunął mu się z ust, a strażacka kurtka zaczęła się tlić. Cuchnął jak opony palone na wysypisku śmieci. Niemal w tym samym czasie mieszkańcy Merit Street w Old Cape poczuli coś, co mogło być podziemną eksplozją. Talerze powypadały z półek, obrazy pospadały ze ścian; wszystkie toalety przy Merit Street eksplodowały gejzerami fekaliów, jakby w rurach doprowadzających nieczystości do

zbiorników oczyszczalni nastąpiła jakaś niewyobrażalna zmiana kierunku przepływu ścieków. Niekiedy te eksplozje były na tyle mocne, że w sufitach łazienek powstały olbrzymie dziury. Anne Stuart została zabita, kiedy z jej toalety, wraz ze strugą odchodów, wyleciało małe zębate kółko. Przebiło ono matową szybę w drzwiach prysznica i niczym pocisk przeszyło szyję kobiety, która akurat spłukiwała szampon z włosów. Zębate kółko było reliktem z Zakładów Kitchenera i znalazło się w kanale blisko trzy ćwierćwiecza temu. Inna kobieta poniosła śmierć, kiedy strumień płynących w przeciwnym kierunku nieczystości, wspomagany falą rozprzestrzeniającego się metanu, sprawił, że jej toaleta wyleciała w powietrze jak po wybuchu bomby. Nieszczęsna osoba, która siedziała wówczas na sedesie i czytała jeden z katalogów Banana Republic[14], została rozerwana na strzępy. Kilka minut później piorun trafił w Most Pocałunków, rozciągnięty nad kanałem – pomiędzy Bassey Park a liceum w Derry. Pozostały zeń jedynie drzazgi; najpierw uniosły się w powietrze, a następnie opadły do kanału i wartki nurt porwał je z sobą.

Wiatr przybrał na sile. O szóstej trzydzieści wskaźnik w holu gmachu sądu rejestrował, że prędkość wiatru wynosiła ponad piętnaście mil na godzinę. Kwadrans później były już dwadzieścia cztery mile na godzinę.

Mike Hanlon obudził się w swoim pokoju w szpitalu. Powracał do świadomości powoli, niespiesznie; przez długi czas miał wrażenie, że to wszystko tylko mu się śniło. Jeżeli tak, to był to raczej dziwny sen – jego stary profesor psycholog nazwałby to snem lękowym. Rzecz jasna nie istniał żaden konkretny powód, którym można by wytłumaczyć te lęki, niemniej one istniały.

Nieskazitelnie biały pokój budził grozę samym swoim wyglądem. Stopniowo Mike uświadomił sobie, że się obudził. Nieskazitelnie biały pokój był salą szpitalną. Nad jego głową zwisały butelki – jedna z przezroczystym, a druga z ciemnoczerwonym płynem. Krew. Zobaczył ciemny ekran telewizora zamocowanego na ścianie i po chwili usłyszał również bębnienie deszczu o szybę. Mike spróbował poruszyć nogami. Jedną ruszał bez trudu, ale druga – prawa – ani drgnęła. Prawie jej nie czuł i zdał sobie sprawę, że była bardzo mocno obandażowana.

Powoli wracał do siebie. Przypominał sobie, jak robił notatki i jak w bibliotece pojawił się Henry Bowers. Upiór z przeszłości. Walczyli i…

Henry! Dokąd udał się Henry? W pościg za pozostałymi? Mike sięgnął po przycisk do wzywania pielęgniarek. Znajdował się nad wezgłowiem łóżka i trzymał go w obu dłoniach, kiedy otworzyły się drzwi. Stanął w nich pielęgniarz. Dwa guziki białego fartucha miał rozpięte, a jego włosy były brudne i zmierzwione, nadając mu wygląd Bena Caseya. Nosił na szyi medalik z wizerunkiem świętego Krzysztofa. Nawet teraz, oszołomiony i nadal tylko na wpół przytomny, Mike rozpoznał go natychmiast. W 1958 roku To zabiło w Derry szesnastoletnią Cheryl Lamonica. Dziewczyna miała czternastoletniego brata Marka i to był właśnie on.

– Mark? – powiedział słabym głosem. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Ci… – mruknął Mark. Trzymał jedną rękę w kieszeni. – Nic nie mów. – Wszedł do pokoju i kiedy stanął w nogach łóżka, Mike zobaczył, że oczy Marka były mętne. Bez wyrazu. Dreszcz przeszedł mu po plecach. Mark miał głowę przechyloną na bok, jakby wsłuchiwał się

w jakąś muzykę. Wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej strzykawkę.

– Po tym zaśniesz – rzekł Mark i zaczął podchodzić do łóżka.

11

Pod miastem – 6.49

– Cii! – wykrzyknął nagle Bill, choć prócz ich kroków nie było słychać nic więcej. Richie zapalił zapałkę. Ściany tunelu rozchodziły się i ich piątka zdawała się mikroskopijnie mała w tej przestrzeni pod miastem. Stłoczyli się w ciasną grupkę, a Beverly, obserwując olbrzymie płyty pokrywające podłoże i zwisające z sufitu sieci pajęczyny poczuła senne wrażenie déjà vu.

Byli teraz bardzo blisko.

– Co usłyszałeś? – spytała Billa, próbując patrzeć we wszystkie strony jednocześnie, podczas gdy zapałka w ręku Richiego się dopalała. Beverly oczekiwała, że zobaczy jakąś nową niespodziankę wyłaniającą się bądź wylatującą z ciemności. To mógł być Rodan lub cokolwiek innego. Może Obcy z tego strasznego filmu z Sigourney Weaver? Wielki włochaty szczur z pomarańczowymi ślepiami i srebrnymi

zębami? Ale niczego nie zauważyła. W ciemności unosiła się jedynie silna, mdląca woń, a z oddali dobiegał grzmot płynącej wody, jakby kanały powoli się wypełniały.

– C-c-coś się dzieje. C-c-coś jest n-nie tak – rzekł Bill. – Mike…

– Mike? – spytał Eddie. – Co z nim?

– Ja też to czuję – rzekł Ben. – On… Bill, czy on umiera?

– Nie – odparł Bill. Jego oczy były zamglone i odległe, całe jego napięcie odzwierciedlało się w tonie głosu i obronnej postawie ciała. – On… On… – Przełknął ślinę. Coś strzyknęło mu w gardle. Jego oczy się rozszerzyły. – Och… Och… Nie!

– Bill! – krzyknęła zaniepokojona Beverly. – Bill, co się dzieje? Co…

– Z-złapcie mnie za r-r-ręce! – zawołał Bill. – Sz-sz-szyybko!

Richie upuścił zapałkę i schwycił Billa za jedną rękę. Beverly złapała go za drugą. Wyciągnęła wolną dłoń i Eddie uścisnął ją chorą ręką. Ben ujął jego drugą dłoń i zamknął krąg, biorąc za rękę Richiego.

– Prześlij mu naszą moc! – zawołał Richie tym samym dziwnym, tubalnym głosem. – Prześlij mu

naszą moc, czymkolwiek jesteś, prześlij mu naszą moc! Teraz!

Beverly poczuła, jak coś wypływa z nich wszystkich i zmierza w stronę Mike'a. Jej głowa zakołysała się na końcu szyi niby w ekstazie, a ochrypły, świszczący oddech Eddiego zlał się w jedno z niekończącym się rykiem wody w kanałach.

12

– Teraz – rzekł cichym głosem Mark Lamonica. Westchnął jak mężczyzna przed zbliżającym się orgazmem.

Mike raz po raz naciskał guzik aparatu do przywoływania pielęgniarek. Słyszał brzęczyk rozlegający się w pomieszczeniu dla pielęgniarek na korytarzu, ale żadna się nie zjawiła. Przed jego oczyma pojawiła się wizja – nieomal prorocza wizja pielęgniarek siedzących przy stoliku, czytających poranną prasę, popijających kawę, słyszących brzęczyk, a jednocześnie niesłyszących, słyszących, ale niereagujących nań. Zjawią się tu później, kiedy będzie już po wszystkim, ale w Derry było to normalne. W Derry lepiej było nie widzieć ani nie słyszeć różnych rzeczy… dopóki nie było po wszystkim.

Mike wypuścił z rąk aparat. Mark pochylił się nad nim – czubek jego strzykawki błyszczał. Medalik ze świętym Krzysztofem kołysał się hipnotycznie w przód i w tył, podczas gdy Mark zsuwał koc z ciała Mike’a.

– O, właśnie tu – wyszeptał. – W mostek. – I ponownie westchnął.

Nagle Mike poczuł moc wlewającą się do jego ciała – jakąś prymitywną moc, która przeszyła go niczym prąd elektryczny. Zesztywniał i rozłożył palce szeroko, jakby doznał konwulsyjnego skurczu. Jego oczy się rozszerzyły. Z ust dobyło się stęknięcie i to okropne uczucie paraliżu w jednej chwili opuściło całe jego ciało. Prawa dłoń Mike’a wystrzeliła w stronę blatu nocnego stolika. Znajdowały się na nim plastikowy dzbanek i ciężka szklanka z grubego szkła. Zacisnął na niej palce. Lamonica wyczuł zmianę – iskierki zadowolenia i rozmarzenia w jego oczach wygasły i zastąpił je błysk zaniepokojenia i zakłopotania. Cofnął się odrobinę i w tej samej chwili Mike z całej siły przyrżnął mu szklanką, roztrzaskując ją na jego twarzy.

Lamonica krzyknął i chwiejnie zrobił parę kroków do tyłu. Strzykawka wypadła mu z ręki. Uniósł obie dłonie do ociekającej szkarłatem twarzy; krew ściekała mu po nadgarstkach,

zachlapując biały fartuch. Moc odeszła równie gwałtownie, jak się pojawiła. Mike spojrzał mętnym wzrokiem na odłamki potłuczonej szklanki leżące na łóżku i jego szpitalnej koszuli oraz na swoją rozkrwawioną dłoń. Usłyszał dobiegający z korytarza odgłos zbliżających się kroków – szelest butów na miękkiej podeszwie.

Teraz tu idą, pomyślał. O tak. Teraz. A kiedy sobie pójdą, zjawi się ktoś następny.

Kto to będzie tym razem?

Kiedy pielęgniarki, wcześniej gorączkowo przyzywane przez Mike'a przyciskiem alarmu, wpadły do pokoju, Mike zamknął oczy i zaczął się modlić, aby to się wreszcie skończyło. Modlił się, żeby jego przyjaciele byli teraz w tunelach pod miastem, modlił się, aby nie stało się im nic złego i aby to wszystko wreszcie dobiegło końca.

Nie wiedział dokładnie, do kogo się modlił, ale mimo wszystko to robił. Modlił się żarliwie.

13

Pod miastem – 6.54

– N-n-nic mu n-nie jest – oznajmił Bill. Ben nie wiedział, jak długo stali w ciemności, trzymając się za ręce. Miał wrażenie, że coś poczuł, jakby

coś wypłynęło z ich kręgu, a potem powróciło. Nie wiedział wszakże, co to było, naturalnie jeśli to w ogóle istniało, dokąd poszło ani czego dokonało.

– Jesteś pewny, Wielki Billu? – spytał Richie.

– T-t-tak. – Bill puścił dłonie Richiego i Beverly. – Ale m-musimy to skończyć t-t-tak szybko, jak to m-możliwe. I-i-idziemy.

Ruszyli w dalszą drogę. Od czasu do czasu Richie albo Bill zapalali zapałki.

Nie mamy nawet pistoletu na groch, pomyślał Ben, ale to część Tego, prawda? Chüd. Co to oznacza? I czym To było naprawdę? Jak wyglądało ostatnie oblicze Tego? Nawet jeżeli Tego nie zabiliśmy, to przynajmniej udało się nam je zranić. Jak tego dokonaliśmy?

Komnata, przez którą szli – bo nie był to już tunel – robiła się coraz większa. Ich kroki odbijało echo. Ben przypomniał sobie fetor, zwierzęcy fetor, jak w zoo. Wiedział, że już niedługo nie będą potrzebowali zapałek, bo było tu światło – pewnego rodzaju światło – upiorny blask, który z każdą chwilą stawał się jaśniejszy. W tym makabrycznym świetle wszyscy wyglądali jak żywe trupy.

– Ściana przed nami, Bill – rzekł Eddie.

– W-w-wiem.

Ben poczuł, jak jego serce zaczyna bić coraz szybciej. Czuł w ustach kwaśny smak i zaczęła go boleć głowa.

– Drzwi – wyszeptała Beverly.

Tak. Były tam. Przed dwudziestu siedmiu laty zdołali przez nie przejść, nieznacznie pochylając głowy. Teraz musieli ukucnąć albo przejść na drugą stronę na czworakach. Dorośli. To był ostateczny dowód, jeżeli w ogóle był on potrzebny. Pulsujące żyły na szyi i nadgarstkach Bena były rozpalone i nabrzmiałe. Jego serce kołatało się w piersi, niemal bliskie popadnięcia w arytmię. Puls gołębia, pomyślał niejako mimochodem i zwilżył wargi.

Spod drzwi wylewało się zielonkawożółte światło. Strzelało przez otwór ozdobnej dziurki od klucza promieniem, który wydawał się dostatecznie gruby, by można go było przeciąć. Na drzwiach widniał symbol i ponownie każde z nich postrzegało go inaczej. Beverly zobaczyła twarz Toma, Bill odciętą głowę Audry ze szklistymi oczyma wpatrującymi się weń oskarżycielsko, Eddie zaś uśmiechniętą trupią czaszkę wspartą na dwóch skrzyżowanych piszczelach – symbol trucizny. Richie dostrzegł brodate oblicze Paula Bunyana, w którego oczach

– zmrużonych w szparki – tliła się żądza mordu. Ben natomiast ujrzał Henry'ego Bowersa.

– Bill, czy jesteśmy dostatecznie silni? – zapytał. – Czy możemy tego dokonać?

– N-n-nie wiem – odparł.

– A jeśli są zamknięte? – spytała cicho Beverly.

– N-n-nie są – odparł Bill. – T-takie miejsca n-nigdy nie są z-zamykane. – Położył naprężone palce prawej dłoni na drzwiach (musiał się pochylić), aby tego dokonać – a potem popchnął. Otworzyły się i zalała ich fala ohydnego żółtozielonego światła.

Z wnętrza doszedł ich ten obrzydliwy fetor – woń przeszłości stała się teraźniejszością, potwornie żywą i obrzydliwie witalną. Tocz się, kręć, pomyślał Bill i rozejrzał wokoło, by spojrzeć na pozostałych. Potem opadł na kolana. Beverly przeszła tuż za nim na drugą stronę, a zaraz po niej Richie i Eddie. Ben jako ostatni, a gdy przez nieuwagę otarł się o pokrytą grubą warstwą brudu framugę drzwi, poczuł na plecach lodowate ciarki. Przeszedłszy na drugą stronę, wyprostował się, gdy spowił go dziwny blask ogni pełgających to w górę, to w dół, ociekających kamiennych ścian, ogni przypominających węże światła. Ostatnia partia wspomnień wdarła się w głąb jego umysłu z siłą średniowiecznego

tarana. Krzyknął, zachwiał się do tyłu, unosząc jedną rękę do głowy, i od razu naszła go myśl: Nic dziwnego, że Stan popełnił samobójstwo! O Boże, jak bardzo żałuję, że też tego nie zrobiłem! Zauważył ten sam wyraz otępienia, zgrozy i rodzącego się zrozumienia na twarzach pozostałych, kiedy ostatni z kluczy był przekręcany w ostatnim z zamków.

A potem Beverly krzyknęła, przywierając z całej siły do Billa, podczas gdy To ześlizgnęło się w dół po grubych niciach uplecionej przez siebie pajęczyny. To Pająk spoza czasu i przestrzeni, Pająk wykraczający poza najohydniejsze wyobrażenia najobrzydliwszych mieszkańców najgłębszych zakamarków piekła.

Nie, pomyślał chłodno Bill. To nie jest również Pająkiem. Niezupełnie, ale To nie wyjęło tego kształtu z głębin naszych umysłów – to po prostu najbliższa forma tego, czym To jest naprawdę.

To miało około piętnastu stóp wysokości i było czarne jak bezksiężycowa noc. Każde z jego odnóży zdawało się grube niczym udo kulturysty. Ślepia były jasnymi, złowieszczymi rubinami, wybrzuszającymi się z oczodołów wypełnionych jakimś ociekającym płynem o barwie chromu. Strzępiaste żuwaczki otwierały się i zamykały na przemian. Wypływały z nich gęste strugi piany.

Zamarły z przerażenia Ben, balansujący na granicy obłędu, zauważył z pełnym spokojem, typowym dla wszystkiego, co znajduje się w oku cyklonu, że ta piana żyła – spadała na cuchnące, brudne płyty podłoża, a potem rozpełzała się na wszystkie strony, by jak pierwotniaki wcisnąć się w znajdujące się tam szczeliny. Ale To jest czymś innym – istnieje jeszcze jeden, ostateczny kształt. Ten, który prawie dostrzegam, tak jak w kinie, kiedy podczas seansu jakiś człowiek przechodzi za ekranem i wszyscy widzą jego sylwetkę, jakiś inny kształt, ale nie chcę go zobaczyć, proszę, Boże, nie pozwól mi zobaczyć Tego… To nie miało znaczenia, prawda? Widzieli to, co widzieli, i Ben zrozumiał, że w jakiś sposób To było uwięzione w tym ostatnim kształcie, kształcie Pająka, dzięki ich wspólnej, nienarodzonej i niedostrzeżonej wizji. I musieli walczyć z Tym pod tą właśnie postacią. Walczyć na śmierć i życie.

Stwór ryczał i wrzeszczał, a Ben upewnił się, że słyszał wydawane przez To odgłosy dwukrotnie – w głowie, a ułamek sekundy potem w uszach. Telepatia, pomyślał. Czytam w myślach Tego. Cień stwora był zawieszonym nisko jajem przesuwającym się wzdłuż starego muru tej twierdzy, która stanowiła jego kryjówkę. Ciało

Pająka pokrywała gęsta, twarda szczecina. To było również zaopatrzone w kolec, dostatecznie długi, by mógł przebić na wylot dorosłego człowieka. Z jego końca ściekał przezroczysty płyn. Ben dostrzegł, że ten płyn także był żywy – podobnie jak ślina, trucizna wślizgiwała się w szczeliny w posadzce. To miało kolec, żądło, rzeczywiście… ale kiedy się poruszało, potężny, groteskowo nabrzmiały brzuch Tego nieomal szorował po podłodze. Teraz Pająk zmienił nieznacznie kierunek i zaczął zbliżać się ku ich przywódcy – zmierzał w stronę Wielkiego Billa.

To jest worek z jajkami, pomyślał Bill i miał wrażenie, jakby na to odkrycie jego umysł zareagował przeraźliwym okrzykiem. Czymkolwiek To jest, poza formą, jaką postrzegamy, teraz nie ma już wątpliwości co do rodzaju, jaki reprezentuje. To jest samicą, w dodatku ciężarną… To już wtedy było ciężarne i nikt z nas, z wyjątkiem Stana, nie zdawał sobie z tego sprawy; o Chryste, tak, to był Stan, to Stan, a nie Mike, zrozumiał… To Stan nam powiedział… i dlatego musieliśmy wrócić, niezależnie od wszystkiego, bo To jest samicą i już niebawem wyda na świat swoje niewyobrażalne młode… a nie ulega wątpliwości, że ta chwila jest bardzo bliska.

Nagle, zgoła nieoczekiwanie, Bill Denbrough postąpił do przodu, wychodząc Temu na spotkanie.

– Bill, nie! – krzyknęła Beverly.

– C-c-cofnijcie się! – krzyknął Bill, nie rozglądając się, a potem Richie pobiegł za nim, nawołując go po imieniu. Ben w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że jego nogi też zaczęły pracować. Miał wrażenie, że czuje widmowy brzuch kołyszący się przed nim na boki i z radością przywitał to uczucie. Muszę znowu stać się dzieckiem, pomyślał. To jedyny sposób, w jaki mogę zachować zdrowe zmysły, muszę znów stać się dzieckiem… muszę to przyjąć. Jakoś. Biegł. Nawoływał Billa po imieniu. Prawie nie zdawał sobie sprawy, że Eddie biegnie obok niego, jego uszkodzone ramię trzepocze jak złamane skrzydło, a rozwiązany pasek od szlafroka, którym Bill umocował mu łubki, wije się za nim po ziemi. Eddie wydobył swój aspirator. Przypominał oszalałego, wychudłego rewolwerowca, dzierżącego w dłoni dziwacznie wyglądającą spluwę. Ben usłyszał krzyk Billa.

– Z-z-zabiłaś mojego b-b-brata, ty suko!

To stanęło na tylnych odnóżach, pogrążając Billa w swoim cieniu – przednie się uniosły. Ben usłyszał wściekły ryk Tego i spojrzał

w odwieczne, złowieszcze, czerwone ślepia Pajęczycy… Przez moment widział kształt ukryty pod oglądaną przez nich postacią, zobaczył światła, zobaczył niezliczone, pełzające włochate istoty utworzone jedynie ze światła, pomarańczowego światła, trupiego światła będącego szyderczą imitacją życia.

Rytuał rozpoczął się po raz drugi.

ROZDZIAŁ 22
Rytuał Chüd

1

W kryjówce Tego – 1958

To Bill ich zjednoczył, kiedy wielki czarny Pająk zsunął się po pajęczynie, tworząc trującą bryzę, która zmierzwiła im włosy. Stan krzyknął jak dziecko, brązowe oczy niemal wyszły mu z orbit, a palce rwały policzki. Ben cofał się powoli, aż jego tłuste pośladki natrafiły na ścianę po lewej stronie drzwi. Poczuł zimny ogień przepalający mu na wylot spodnie i ponownie się odsunął, ale sprawiał wrażenie, jakby był zahipnotyzowany. To z całą pewnością nie mogło się dziać. To po prostu był najgorszy koszmar, jaki można sobie wyobrazić. Nie dawał rady unieść rąk. Miał wrażenie, jakby przyczepiono

mu do nich zbyt ciężkie odważniki. Richie nie odrywał wzroku od pajęczyny. Tu i ówdzie z sufitu zwisały częściowo pokryte pasmami jedwabiu, zgniłe, na wpół pożarte ciała, które się poruszały, jakby były żywe. Miał wrażenie, że rozpoznał jedno z nich, znajdujące się pod samym sklepieniem, i że to był Eddie Corcoran, choć brakowało mu obu nóg i jednej ręki. Beverly i Mike przywarli do siebie jak Jaś i Małgosia w środku lasu i stojąc nieruchomo niczym posągi, wpatrywali się w Pająka, który dotarł do posadzki i zaczął pełznąć w ich stronę. Zniekształcony cień Tego przesuwał się w ślad za Pająkiem wzdłuż ściany.

Bill obejrzał się na nich – wysoki, chudy chłopiec w szarym podkoszulku, który niegdyś był biały, zaplamionych odchodami dżinsach i pokrytych warstwą błota trampkach. Włosy opadały mu na czoło, a w oczach miał ogień. Zmierzył ich wzrokiem, jakby pozwalał im się rozejść, a potem znów odwrócił się w stronę Pająka. I, rzecz niesłychana, zaczął iść w kierunku Tego – nie biegł, po prostu szedł szybkim krokiem, jego łokcie pracowały jak tłoki, mięśnie napięły się, dłonie zacisnęły w pięści.

– Z-z-zabiłaś mojego b-b-brata!

– Nie, Bill! – krzyknęła Beverly, uwalniając się z uścisku Mike'a i z rozwianymi włosami zaczęła biec w stronę Billa.

– Zostaw go! – wrzasnęła na Pająka. – Nie dotykaj go!

Cholera, Beverly! – pomyślał Ben i chwilę potem również zaczął biec. Brzuch kołysał się przed nim na boki, nogi pracowały z całych sił. Mgliście zdawał sobie sprawę, że Eddie Kaspbrak biegł obok niego z lewej strony, trzymając w zdrowej ręce aspirator niczym pistolet. I wtedy To stanęło na tylnych odnóżach, wznosząc się ponad Billem, który był nieuzbrojony; To pogrążyło Billa w swym cieniu; przednie odnóża Pajęczycy uniosły się w powietrze. Ben złapał Beverly za ramię. Jego dłoń opadła i ześlizgnęła się po ramieniu dziewczynki. Odwróciła się ku niemu; miała dzikie spojrzenie, a rozchylone wargi odsłaniały zaciśnięte zęby.

– Pomóż mu! – krzyknęła.

– Jak?! – odkrzyknął Ben. Pędził w stronę Pająka, usłyszał wściekły ryk Tego, spojrzał w odwieczne, złowieszcze ślepia i zobaczył coś poza tym kształtem, coś dużo gorszego od Pająka. Coś, co było samym szaleńczym światłem. Jego odwaga przygasła, ale przecież to Bev go prosiła, Bev, a on ją kochał.

– Do diabła, zostaw Billa w spokoju! – wrzasnął.

Chwilę potem czyjaś dłoń rąbnęła go w plecy tak mocno, że o mało się nie przewrócił. To był Richie i choć łzy spływały mu po policzkach, Richie śmiał się jak oszalały.

– Bierz się do niej, Haystack! – wrzasnął Richie. – Chüd! Chüd!

Do niej? – pomyślał głupawo Ben. Czy on powiedział: „Do niej?” A głośno zapytał:

– Dobra, ale co to jest? Co to jest Chüd?

– A skąd mam wiedzieć?! – zawołał Richie, po czym podbiegł do Billa i znalazł się w cieniu Tego.

To zdołało jakimś sposobem przysiąść na tylnych odnóżach. Przednie odnóża unosiły się w powietrzu tuż nad głową Billa. Stan Uris, który został zmuszony do zbliżenia się do Pająka, Stan, którego zmuszono, aby to zrobił wbrew temu, co nakazywały mu zarówno jego umysł, jak i ciało, zobaczył, że Bill patrzył w górę, w oblicze Tego – a spojrzenie jego niebieskich oczu świdrowało nieludzkie pomarańczowe ślepia Pająka, z których wypływało to okropne trupie światło. Stan zatrzymał się i zrozumiał, że Rytuał Chüd, czymkolwiek był, właśnie się rozpoczął.

2

Bill w pustce (wcześniej)

– Kim jesteś i dlaczego do mnie przybywasz?

Jestem Bill Denbrough. Wiesz, kim jestem i dlaczego tu jestem: zabiłaś mojego brata i przybyłem tu, by cię zabić. Wybrałaś niewłaściwego dzieciaka, ty suko.

– Jestem wieczna. Jestem Pożeraczką Światów.

Tak? Naprawdę ? No to chyba to był twój ostatni posiłek, siostruniu.

– Brakuje ci mocy, tu jest moc, poczuj ją, gnojku, a potem powtórz to, co powiedziałeś o przybyciu w celu zabicia Odwiecznej. Wydaje ci się, że mnie widzisz? Widzisz tylko to, na co pozwala ci twój umysł. Chcesz mnie zobaczyć? A więc chodź! Chodź tu, gnojku! Chodź!

Został rzucony.

Obie…

Nie, nie rzucony, wystrzelony jak żywy pocisk, jak ludzka kula armatnia w Cyrku Shrine, który co roku w maju przybywał do Derry. Został uniesiony i ciśnięty na przeciwległą ścianę.

To dzieje się tylko w mojej wyobraźni! – wrzasnął do siebie. Moje ciało nadal stoi tam, gdzie stało, oko w oko z Tym. Bądź dzielny, to tylko iluzja; bądź wierny, wytrzymaj, wytrzymaj.

(…*ręce oparłszy*…)

Z rykiem poleciał naprzód, wpadając w czerń ociekającego tunelu, którego ściany pokrywały spękane, zniszczone, rozkładające się płytki – mogły mieć pięćdziesiąt, sto, a równie dobrze tysiąc lub milion lat. Pędził w ciszy poprzez gmatwaninę korytarzy, z których jedne były oświetlone wijącymi się zielonożółtymi ognikami, w innych znajdowały się napęczniałe balony emanujące upiorny, biały jak kość blask, w pozostałych panował mrok. Został ciśnięty i mknął z prędkością tysiąca mil na godzinę pośród stosów kości – niektóre z nich były ludzkie, inne nie, a teraz ukośnie kierował się ku górze, ale nie w stronę światła, lecz w stronę ciemności, jakiejś nieprzeniknionej ciemności.

(…*o poręcz drewnianą*…)

Eksplodował na zewnątrz, trafiając w kompletną czerń, która była wszystkim – kosmosem i wszechświatem, a podłoże tej czerni było twarde, twarde i lśniące jak polerowany ebonit i poszorował po tej podłodze na klatce piersiowej, udach i brzuchu niczym krążek do gry w *shuffleboard*. Znajdował się na parkiecie wieczności, a wieczność była CZERNIĄ.

(…*rzekł*…)

– Przestań, czemu to mówisz? to ci nie pomoże, głupi chłopcze.

(…z uporem, że ducha zobaczył dziś rano!)

– Przestań!

Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano!

– Przestań, przestań! Ja żądam! Ja rozkazuję, żebyś przestał!

Nie podoba ci się, co? Gdybym tylko zdołał powiedzieć to na głos, bez zająknięcia, mógłbym przełamać tę iluzję.

– To nie jest iluzja, ty mały, głupi chłopcze, to wieczność. Moja wieczność i właśnie się w niej gubisz, zgubisz się w niej na zawsze, nigdy nie odnajdziesz powrotnej drogi, teraz jesteś wieczny i skazany na tułaczkę w tej czerni… to znaczy po tym, jak już spotkasz się ze mną twarzą w twarz.

Było tam jeszcze coś. Bill wyczuł to, poczuł – i w pewnym sensie odebrał nawet zapach tego czegoś. Przed nim w ciemności znajdowała się jakaś obecność. Kształt. Nie odczuwał strachu, tylko przejmujące przerażenie. Oto znajdował się w obliczu istoty, przy której moc Tego wydawała się wręcz banalna, i zdążył jedynie pomyśleć: Proszę, proszę, czymkolwiek jesteś, pamiętaj, że jestem bardzo mały. Pomknął w stronę tego i zobaczył, że był to ogromny Żółw, którego

skorupa mieniła się kolorami. Żółw powoli wychylił głowę ze swej skorupy i Bill miał wrażenie, jakby istota, która go tu przywiodła, zareagowała na to zdziwieniem. Oczy Żółwia promieniały łagodnością.

Bill pomyślał, że to musi być najstarsza istota, jaką ktokolwiek mógł sobie wyobrazić, o wiele starsza niż To, które mówiło o sobie, że jest odwieczne.

Czym jesteś?

– Jestem Żółwiem, synu. Stworzyłem wszechświat, ale proszę, nie wiń mnie za to. Bolał mnie brzuch.

Pomóż mi! Proszę, pomóż mi!

– Nie zajmuję stanowiska w tego typu sprawach.

Mój brat.

– Ma własne miejsce w makrowersum; energia jest wieczna i nawet dziecko takie jak ty musi to pojąć.

Przelatywał teraz obok Żółwia i pomimo że mknął ze sporą prędkością, znajdująca się po jego prawej stronie skorupa Żółwia zdawała się pozbawiona końca. W jego umyśle pojawiło się mgliste skojarzenie jazdy pociągiem, podczas gdy w oknie widać pociąg mknący w przeciwnym kierunku. Masz wówczas wrażenie, jakby twój

pociąg stał w miejscu lub nawet jechał do tyłu. Nadal słyszał To, awanturujące się i hałasujące – głos Tego był piskliwy i wściekły, nieludzki, przepełniony zajadłą nienawiścią.

Ale kiedy Żółw przemówił, głos Tego umilkł zupełnie. Głos Żółwia rozlegał się w głowie Billa i dzięki temu Bill w jakiś sposób zrozumiał, że gdzieś tam znajdował się jeszcze Inny i ten Ostateczny zamieszkiwał poza granicami tej pustki. Ostateczny był, być może, Stwórcą Żółwia, który jedynie obserwował, i Tego, który jedynie jadł. Ten Inny był mocą pozawszechświatową, mocą wykraczającą poza wszelkie istniejące potęgi, twórcą wszystkiego, co istniało.

I nagle wydało mu się, że zrozumiał – To chciało, aby przebił się przez jakąś ścianę na krańcu wszechświata i dostał się do jakiegoś innego miejsca (*które Żółw nazywał makrowersum*), gdzie To żyło naprawdę. Gdzie To istniało jako gigantyczne, pulsujące blaskiem serce, które w umyśle Innego mogło być niczym więcej niż tylko drobnym pyłkiem. Zobaczy To nagie, istotę z nieukształtowanego, niszczącego światła i albo miłosiernie ulegnie całkowitej zagładzie, albo będzie żył wiecznie, obłąkany, a mimo to świadomy we wnętrzu morderczej,

odwiecznej, pozbawionej formy, wygłodniałej Istoty znanej jako To.

Proszę, pomóż mi! Dla innych!

– Sam musisz sobie pomóc, synu.

Ale jak? Proszę, pomóż mi! Jak? Jak?

Znajdował się teraz na wysokości pokrytych łuską tylnych odnóży Żółwia, zdążył jeszcze obrzucić spojrzeniem jego stare, gigantyczne cielsko i urzekły go potężne, ciężkie pazury stwora – były ciemnożółte, gdzieniegdzie z odcieniem niebieskiego, a w każdym z nich wirowały całe galaktyki.

Proszę, jesteś dobry, czuję i wierzę, że jesteś dobry, i błagam cię… nie pomożesz mi?

– Ty już wiesz, jest tylko Chüd. I twoi przyjaciele.

Proszę, och, proszę…

– Synu, musisz oprzeć obie ręce o poręcz drewnianą i z uporem rzec, że ducha zobaczyłeś rano… to wszystko, co mogę ci powiedzieć. Kiedy już wdepniesz w kosmologiczne gówno, takie jak to, musisz dać sobie spokój z instrukcją obsługi i brnąć, żeby czym prędzej z niego wyjść.

Zdał sobie sprawę, że głos Żółwia słabnie. Minął go już, pogrążając się w ciemności, która była najgłębszą czeluścią. Głos Żółwia został zagłuszony przez rechotliwy, mamroczący głos

Istoty, która wtrąciła go w tę czarną pustkę – głos Pajęczycy, głos Tego.

– I jak ci się tam podoba, mały przyjacielu? Podoba ci się? Lubisz to, w to ci graj, w dechę, ekstra, morowo? Spodobało ci się spotkanie z moim przyjacielem Żółwiem? Myślałam, że ten stary, głupi frajer zdechł już setki lat temu, i w sumie dobrze by było, gdyby tak się stało, bo co z tego, że żyje, skoro i tak nie może ci pomóc, no nie?

nie nie nie obie ręce opar… nie oparłszy obie r-r-r-ręce

– Przestań mamrotać! Mamy mało czasu, pogadajmy, póki jeszcze możemy; opowiedz mi o sobie, mały przyjacielu… powiedz mi, jak ci się podoba cała ta lodowata czerń tam na dole? Czy mała wędrówka po nicości rozciągającej się Na Zewnątrz przypadła ci do gustu? Poczekaj, aż przejdziesz Na Drugą Stronę, do miejsca, gdzie jestem! Poczekaj tylko! Poczekaj na trupie światła! Spojrzysz w nie i oszalejesz… ale będziesz żył… i żył… i żył… wewnątrz nich… i wewnątrz mnie…

To wybuchnęło zjadliwym śmiechem i Bill odniósł wrażenie, że głos Tego jednocześnie słabnie i narasta, jakby zarazem przybliżał się i oddalał od Tego. Czy tak właśnie było?

Oczywiście, że tak. Bo głos, ku któremu zmierzał, był absolutnie obcy, wymawiał sylaby, których nie zdołałby wyartykułować żaden człowiek. To głos trupich świateł, pomyślał.

– Mamy mało czasu, pogadajmy, póki jeszcze możemy.

Ludzki głos Tego słabł, tak jak słabnie moc stacji radiowych z Bangor, kiedy oddalasz się samochodem coraz bardziej na południe. Przepełniła go czysta, nieskrępowana zgroza. Wkrótce nie zdoła już porozumieć się normalnie z Tym… i jakaś część jego samego, słysząc śmiech Tego i okropną, obcą paplaninę, jaka po nim nastąpiła, czuła, że To właśnie tego chciało. Nie tylko odesłać go do miejsca, w którym naprawdę się znajdowało, ale przerwać ich myślowy kontakt. Gdyby to nastąpiło, zostałby całkowicie zmiażdżony. Utrata łączności oznaczała utratę szansy ocalenia – pojął to po sposobie, w jaki odnosili się do niego rodzice od dnia śmierci George'a. To było jedyne, czego się nauczył z ich chłodu i obojętności. Oddalał się od Tego… i przybliżał. Jednak oddalanie wydawało się ważniejsze. Jeżeli chciało pożreć wszystkie dzieci, które się tu znajdowały, wchłonąć je czy cokolwiek z nimi robiło, czemu nie odesłało ich wszystkich w ten sposób? Czemu tylko jego?

Bo To wraz z nim chciało się pozbyć swej pajęczej powłoki – ot co. W jakiś sposób To-Pajęczyca i trupie światła były z sobą powiązane. Cokolwiek zamieszkiwało tę czerń, mogło być nieśmiertelne, kiedy było tutaj i nigdzie indziej, ale To znajdowało się również na ziemi pod Derry i miało fizyczną formę… a to, co jest materialne, może zostać zabite.

Bill sunął przez mrok z coraz większą prędkością. Czemu mam wrażenie, jakby wszystko, co To do mnie mówi, było tylko czczą gadaniną, zwyczajnym blefem i niczym więcej? Czemu tak się dzieje? Jak to możliwe?

I być może zrozumiał… ale tylko być może.

„Jest tylko Chüd”, powiedział Żółw. I przypuśćmy, że to było właśnie to? Przypuśćmy, że wgryźli się sobie nawzajem w języki, tylko że nie fizycznie, ale duchowo? A jeżeli okaże się, że gdy To ciśnie Billa dostatecznie głęboko w tę mroczną pustkę, dostatecznie daleko, by zbliżył się do odwiecznego bezcielesnego „ja” istoty egzystującej pod postacią Pajęczycy, rytuał dobiegnie końca? To pozbawiłoby go zmysłów, zabiło i jednocześnie wygrało całą tę rozgrywkę.

– Świetnie ci idzie, synu, ale już niebawem będzie za późno.

To się boi! Boi się mnie! Boi się nas wszystkich!

Ślizgał się, ślizgał się, a w oddali przed nim znajdowała się ściana; wyczuł ją, wyczuł ją w ciemnościach, ścianę na granicy kontinuum, a tuż za nią czaił się kształt – trupie światła.

– Nie mów do mnie, synu, i nie mów do siebie, bo rozluźniasz uścisk, wgryź się mocniej, jeśli ci na tym zależy, jeżeli się odważysz, jeżeli jesteś dość silny, jeżeli wytrzymasz… zrób to, synu!

Bill wgryzł się, ale nie fizycznymi zębami, lecz zębami swego umysłu. Zaczerpnął powietrza i donośnym głosem (naśladował głos swego ojca, choć, rzecz jasna, do śmierci nie zdawał sobie z tego sprawy – w sumie chyba czasami lepiej, że niektóre tajemnice pozostają nierozwikłane) zawołał:

– Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł z uporem, że ducha zobaczył dziś rano! A teraz wypuść mnie stąd!

Poczuł, jak To krzyczy wewnątrz jego umysłu i był to krzyk wściekłości… ale był to również krzyk pełen strachu i bólu. To nie było przyzwyczajone, że coś szło nie po jego myśli – takie rzeczy nigdy się nie przydarzały i do niedawna To w ogóle nie przypuszczało, że mogłoby się tak stać. Bill poczuł, jak To skręca się

z bólu i gniewu i nie ciągnąc, lecz pchając, stara się zmusić go do przejścia na drugą stronę.

– Powiedziałem, że obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą, rzekł…!

– Przestań!

– Sprowadź mnie z powrotem! Musisz! Rozkazuję ci! Żądam tego!

To ponownie krzyknęło; ból, jaki musiało odczuwać, był obecnie dużo silniejszy – po części, być może, dlatego, że przez całą swą nieskończenie długą egzystencję zadawało ból i karmiło się nim, nigdy dotąd nie doświadczając bólu będącego częścią Tego. To starało się Billa przepchać mimo wszystko, pozbyć się go, ślepo i uparcie usiłowało wygrać ten pojedynek, bo do tej pory nie przegrało ani jednego. Pchało… ale Bill czuł, że jego prędkość zdecydowanie maleje, i w myślach pojawiła się groteskowa wizja – język Tego, pokryty żywą śliną, rozciągnięty jak długa guma, popękany, krwawiący. Zobaczył siebie wczepionego zębami w ten język, odgryzający go wolniutko, kawałek po kawałku – widział swoją twarz zalaną ohydną posoką, która była krwią Tego, skąpaną w oparach smrodliwego, trupiego oddechu stwora, a mimo to nierozluźniającego uścisku. Zaciskał zęby, podczas gdy To miotało się w ślepej furii, targane

konwulsyjnym bólem i narastającą wściekłością, by nie wciągnąć języka z powrotem.

Chüd, to jest Chüd, wytrzymaj, bądź dzielny, bądź wierny, walcz za swojego brata, za swoich przyjaciół – uwierz, uwierz we wszystko to, w co wierzyłeś. Uwierz, że gdybyś powiedział o tym policjantowi, przegrałbyś, bo on najwyżej może cię odprowadzić do domu i nic poza tym, uwierz, że istnieje Wróżka Zębuszka, która mieszka w olbrzymim zamku ze szkliwa, w Świętego Mikołaja pod biegunem północnym, który wraz z elfami wytwarza dla dzieci zabawki, i w kapitana Midnighta. On też może być prawdziwy, tak, oczywiście, że tak, wbrew temu, co mówi Carlton, starszy brat Calvina i Cissy Clarków – on mówi, że to wszystko dziecinada. Uwierz, że twoi rodzice znowu cię pokochają, że można zdobyć się na odwagę i słowa za każdym razem płyną z ust gładkim strumieniem. Nigdy więcej Frajerów, nigdy więcej chowania się pod ziemią, w dziurze nazywanej klubowym domkiem, nigdy więcej popłakiwania w pokoju George'a i robienia sobie wyrzutów, że nie mogłeś go uratować i nie wiedziałeś. Uwierz w siebie, uwierz w żar tego pragnienia.

I nagle roześmiał się w mrok, ale nie był to histeryczny śmiech. Brzmiało w nim autentyczne

rozbawienie. A niech to! Ja naprawdę wierzę w to wszystko! – wykrzyknął w myślach i to była prawda, nawet jako jedenastolatek zauważył, że natychmiast wokół niego nastąpiły kolosalne zmiany. Rozbłysło światło. Podniósł obie ręce ponad głowę. Uniósł twarz i poczuł przepływającą moc. Ponownie usłyszał krzyk Tego… i nagle zaczął wracać tą samą drogą, którą tu przybył, przez cały czas miał przed oczyma wizję swoich zębów wbitych głęboko w dziwny język Tego – zęby zaciśnięte mocno jak szczęki samej śmierci. Sunął poprzez mrok, z nogami unoszącymi się z tyłu, za nim końcówki sznurówek przy jego trampkach trzepotały jak proporczyki, a w uszach szumiał mu wiatr przenikający owo puste miejsce.

Ponownie przemknął obok Żółwia i zobaczył, że zdążył on już wsunąć głowę do swej skorupy – płynący z jej wnętrza głos był głuchy i przytłumiony, jakby rozpościerała się tam niekończąca się głębia.

– Nieźle, synu, ale ja skończyłbym to teraz. Nie pozwól, by To zdołało uciec. Energia ma tendencję do rozpraszania się, wiesz o tym. Często nie da się powtórzyć tego, czego można dokonać w wieku jedenastu lat.

Głos Żółwia cichł, cichł coraz bardziej. Wokoło niego była tylko przesuwająca się w błyskawicznym tempie ciemność… a potem pojawił się wylot gigantycznego tunelu… fetor starości i rozkładu… pajęczyny omiatające jego twarz jak gnijące motki przędzy w nawiedzonym domu… pokryte pleśnią płytki przemykały obok, tworząc rozmazaną, niewyraźną plamę… skrzyżowanie tuneli… teraz panował w nich mrok – świecące upiornym blaskiem balony zniknęły, a To krzyczało, krzyczało bez końca

– Puść mnie. Zostaw mnie, pozwól mi odejść, odejdę i już nigdy nie wrócę, zostaw mnie, to boli!

– Obie ręce oparłszy o poręcz drewnianą! – wykrzyknął jak w transie Bill Denbrough. W oddali przed sobą widział światło, ale jego blask przygasał niczym dopalająca się świeca… i przez moment zobaczył siebie i pozostałych stojących w szeregu i trzymających się za ręce; Eddie stał obok niego z jednej, a Richie z drugiej strony. Jego ciało było przechylone, głowa odchylona do tyłu, patrzył w górę na Pajęczycę, która obracała się i tańczyła niczym derwisz: czarne, owłosione odnóża Tego waliły w podłogę, z długiego kolca ściekały wielkie krople trucizny. To wyło w przedśmiertnej agonii.

Przynajmniej Bill był o tym przekonany.

Później zaś wyrżnął we własne ciało z siłą piłki baseballowej, ciśniętej prosto w rękawicę łapacza, a siła uderzenia była tak potężna, że wyrwał dłonie z uścisku Richiego i Eddiego, upadł na kolana i przejechał po podłodze aż do skraju pajęczyny. Bez namysłu wyciągnął jedną rękę w jej stronę, a kiedy dotknął pierwszego pasma, jego dłoń natychmiast zdrętwiała jak po zastrzyku z nowokainy. Nić pajęczyny była gruba niczym przewód telefoniczny.

– Nie dotykaj tego, Bill! – zawołał Ben i Bill gwałtownym szarpnięciem oderwał dłoń od pajęczyny. Na wewnętrznej stronie jego dłoni, tuż poniżej palców, widniała świeża rana. Popłynęła krew. Bill podniósł się chwiejnie i przeniósł wzrok na Pajęczycę. To oddalało się od nich, zmierzając w stronę przeciwległego końca komnaty, gdzie w miarę jak gasły światła, panowały coraz głębsze ciemności. Po drodze zostawiało za sobą mniejsze i większe kałuże czarnej krwi. Wyglądało na to, że wskutek ich konfrontacji doznało rozległych uszkodzeń wewnętrznych. Bill nie wiedział, ile to otrzymało ran… tuzin, a może sto…

– Bill, pajęczyna! – wrzasnął Mike. – Uważaj!

Cofnął się, unosząc głowę, gdy grube pasma sieci niczym mięsiste białe węże opadły na kamienną posadzkę po obu jego stronach. Potem natychmiast zaczęły zatracać swój kształt i wlewać się w szczeliny pomiędzy płytami. Pajęczyna rozpadała się, jej pasma wyrywały się z zamocowań. Jedno ciało owinięte od stóp do głów, niczym mucha, wylądowało na kamieniach z obrzydliwym plaśnięciem, kojarzącym się ze starą, przegniłą tykwą.

– Pajęczyca! – krzyknął Bill. – Gdzie jest To?

Nadal słyszał To w swojej głowie – ryk bólu i cierpienia Pająka – i bardzo niewyraźnie zrozumiał, że To odeszło tym samym tunelem, do którego wtrąciło Billa… ale czy zamierzało uciec z powrotem do miejsca, gdzie chciało przepchnąć Billa… czy też po prostu miało zamiar przeczekać tam do ich odejścia? Było śmiertelnie ranne czy uciekało?

– Chryste, światła! – krzyknął Richie. – Światła gasną! Co się stało, Bill? Gdzieś ty był? Myśleliśmy, że umarłeś!

Bill, pomimo że miał w głowie zamęt, wiedział, że to nieprawda – gdyby naprawdę sądzili, że umarł, uciekliby w popłochu, a To bez trudu wyłapałoby ich jednego po drugim. Być może bardziej odpowiednie byłoby twierdzenie,

że nie byli pewni, czy nadal żyje, ale głęboko w to wierzyli. Musimy mieć pewność! Jeżeli To umiera albo wraca do miejsca, skąd przybyło, tam gdzie znajduje się jego reszta, to w porządku. A jeżeli To jest tylko ranne? Jeżeli wyzdrowieje? Co…

Krzyk Stana wyrwał go z zamyślenia jak brzęk tłuczonego szkła. W gasnącym świetle Bill zobaczył, że jedno z pasm pajęczyny spadło na ramię Stana. Zanim Bill zdołał tam dotrzeć, Mike jednym skokiem rzucił się na mniejszego od siebie chłopca. Odepchnął go na bok, a sieć wraz z wyrwanym kawałkiem koszulki Stana plasnęła na ziemię.

– Cofnijcie się! – krzyknął do nich Ben. – Cofnijcie się, bo to wszystko się rozsypuje! – Wziął Beverly za rękę i pociągnął ją w stronę maleńkich drzwi, podczas gdy Stan, jeszcze nieco oszołomiony, podniósł się z ziemi, rozejrzał niepewnie wokoło, a następnie ujął dłoń Eddiego. Obaj, pomagając sobie nawzajem, zaczęli iść w stronę Beverly; w gasnącym świetle bardziej przypominali duchy niż ludzi.

Zawieszona pod sufitem pajęczyna rozpadała się, jej pasma pękały i cała konstrukcja traciła swą przerażającą symetrię. Ciała okręcały się leniwie w powietrzu niczym koszmarne cukierki na choince. Przecinające się pasma opadały

płatami jak przegniłe szczeble jakiegoś dziwnego systemu połączonych drabin. Rozerwane części pajęczyn spadały na kamienne płyty, wydawały syk przypominający syczenie kota – a potem zatracały swój kształt i rozpływały się na wszystkie strony. Mike Hanlon przedzierał się pomiędzy nimi, tak jak później będzie pokonywał linie obrony przeciwnika jako gracz futbolu: biegnąc z pochyloną głową, to odskakując na boki, to znów uchylając się jednym płynnym ruchem. Richie dołączył do niego i – co niezwykłe – śmiał się, pomimo że wszystkie włosy na głowie stały mu dęba. Światło przygasało, blask bijący za ścian słabł coraz bardziej.

– Bill! – krzyknął Mike. – Chodź! Co ty tam jeszcze robisz?

– A jeśli To nie umarło?! – odkrzyknął Bill. – Musimy za tym pójść, Mike! Musimy mieć pewność!

Fragment sieci, opadając, rozłożył się jak czasza spadochronu, a potem wylądował na posadzce przy wtórze ostrego trzasku kojarzącego się z odgłosem rozrywanej skóry. Mike schwycił Billa za rękę i odciągnął go, całkiem oszołomionego, poza zasięg niebezpiecznych pasm.

– To nie żyje! – krzyknął Eddie, stając obok nich. Miał rozgorączkowane spojrzenie i przyspieszony, świszczący oddech. Opadające nici pajęczyny wyryły szereg bruzd na powierzchni jego gipsowego opatrunku. – Słyszałem, jak To umierało, takie odgłosy wydaje się tylko wtedy, gdy jest się blisko kopnięcia w kalendarz! To umierało, jestem o tym przekonany!

Z ciemności wyłoniły się ramiona Richiego i zamknęły się w silnym uścisku wokół Billa. Zaczął ekstatycznie walić go po plecach.

– Ja też To słyszałem, To umierało, Wielki Billu! To umierało… A ty się nie jąkasz! Ani trochę. Jakżeś to zrobił? Jak…?

Bill miał w głowie zamęt. Czuł na sobie grube i niezdarne dłonie wyczerpania. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek był równie zmęczony… ale w myślach wciąż pobrzmiewał mu przeciągły, niemal znużony głos Żółwia: „Ja skończyłbym to teraz. Nie pozwól, by To zdołało uciec… często nie da się powtórzyć tego, czego można dokonać w wieku jedenastu lat”.

– Ale musimy być pewni…

Cienie zespoliły się i ogarnęły ich niemal zupełne ciemności. Nim jednak zapanował mrok, Bill miał wrażenie, że dostrzega ten sam wyraz

powątpiewania na twarzy Beverly… i w oczach Stana.

I nadal, podczas gdy gasły ostatnie promyki światła, słyszeli głuche trzaski, po których następowały szelest i łoskot tak potężne, że cała sala niemal drżała w posadach – to rozpadały się resztki potężnej, niewyobrażalnej pajęczyny Tego.

3

Bill w pustce (później)

– A więc znów tu jesteś, mój mały przyjacielu! ale co się stało z twoimi włosami? jesteś łysy jak kolano! szkoda! co za szkoda, że życie ludzkie jest tak krótkie! każde życie jest krótkim pamfletem stworzonym przez idiotę! trzask-prask i po wszystkim.

Nadal jestem Billem Denbrough. Zabiłaś mojego brata i zabiłaś Stana. Próbowałaś zabić Mike’a. I powiem ci coś. Tym razem nie przerwę, dopóki z Tobą nie skończę.

– Żółw był głupi, zbyt głupi, aby kłamać, powiedział ci prawdę, mały przyjacielu… czas robi tylko jedną rundkę dokoła. Zraniłeś mnie…

zaskoczyłeś. Już ci się to nie uda. To ja cię wezwałam. Ja.

Wezwałaś mnie, w porządku, ale nie Ty jedna.

– Twój przyjaciel Żółw… umarł parę lat temu. Ten stary kretyn porzygał się we wnętrzu swojej skorupy i udławił się na śmierć jedną czy dwoma galaktykami, bardzo smutne, nie uważasz? Ale również dość dziwne. Wydaje mi się, że zasługuje na miejsce w *Ripley's Believe It or Not*. To się stało mniej więcej w tym czasie, kiedy miałeś swój kryzys twórczy. Musiałeś odczuwać, że odchodzi, mały przyjacielu.

W to również nie wierzę.

– Och, ależ uwierzysz… zobaczysz. Tym razem, mały przyjacielu, zamierzam pokazać ci wszystko, łącznie z trupimi światłami.

Wyczuł, że głos Tego przybiera na sile, staje się hałaśliwy, brzęczący, a wreszcie po raz pierwszy odebrał pełnię wściekłości Tego i poczuł, jak ogarnia go przerażenie. Sięgnął po język umysłu Tego, skoncentrował się, próbując ponownie uchwycić pełnię dziecięcej wiary i jednocześnie uświadamiając sobie, że w słowach Tego brzmiała zabójcza, lecz w pełni trafna prawda – ostatnim razem To nie było przygotowane. Teraz… cóż, nawet jeśli To nie

było jedyną istotą, jaka ich wezwała, nie ulegało wątpliwości, że oczekiwało ich powrotu.

Mimo to… poczuł swój gniew, czysty i dźwięczny, gdy spotkały się spojrzenia jego i stwora. Czuł stare blizny Tego, czuł, że naprawdę udało mu się To zranić i że w dalszym ciągu odczuwało ból. I kiedy To nim rzucało, poczuł, jak jego umysł wydostaje się z ciała, a wtedy skoncentrował wszystkie siły, aby schwycić To za język… ale ten po prostu mu się wyślizgnął.

4

Richie

Pozostała czwórka patrzyła jak zahipnotyzowana. Była to dokładnie powtórka tego, co się stało wcześniej – przynajmniej na początku. Pająk, który już miał rzucić się na Billa i pożreć go, nagle znieruchomiał. Oczy Billa spoglądały w rubinowe ślepia Tego. Czuli, że kontakt został nawiązany – kontakt na tyle przekraczający ich zdolności pojmowania, że niemal graniczący z boskością. Czuli również, że na ich oczach rozgrywa się pojedynek: walka umysłów i woli. A potem Richie spojrzał w górę

na nową sieć i zobaczył pierwszą różnicę. Znajdowały się tam ciała i wyglądały tak samo… ale wysoko w jednym rogu zwisało inne ciało i Richie nie miał wątpliwości, że było ono świeże, a kto wie, może nawet jeszcze żyło. Beverly nie uniosła wzroku – wpatrywała się w Billa i Pajęczycę – ale nawet teraz, pomimo przerażenia, Richie dostrzegł podobieństwo pomiędzy Beverly a kobietą w pajęczynie. Miała długie rude włosy. Jej oczy były otwarte, szkliste i nieruchome. Z lewego kącika ust wyciekł strumyczek śliny i spływał po brodzie. Była przymocowana do jednego z głównych pasm pajęczyny czymś w rodzaju jedwabnej uprzęży obejmującej ją w pasie i pod ramionami, tak że wisiała pochylona lekko do przodu, a jej ramiona i nogi zwieszały się bezwładnie. Miała bose stopy. Richie zobaczył jeszcze jedno skulone ciało leżące na ziemi u stóp pajęczyny – był to mężczyzna, którego nigdy dotąd nie widział, a mimo to jego umysł zarejestrował niemal podświadomie podobieństwo do niedawno zmarłego, nieopłakiwanego przez nikogo Henry'ego Bowersa. Z obu oczodołów nieznajomego wyciekły strużki krwi. Spieniona krew zastygła wokół jego ust i na brodzie. On…

A potem Beverly zaczęła krzyczeć:

– Coś jest nie tak! Coś poszło nie tak, zróbcie coś, na litość boską, czy nikt nic nie zrobi?

Richie przeniósł spojrzenie na Billa i Pająka – i wyczuł (usłyszał) monstrualny śmiech. Skóra na twarzy Billa była delikatnie naciągnięta; zrobiła się ziemista i lśniąca jak skóra bardzo starego człowieka. Spojrzenie miał utkwione w górze i widać było tylko same białka. Och, Bill, gdzie jesteś?

Nagle na oczach Richiego z nosa Billa buchnęła krwawa piana. Jego usta poruszały się, jakby próbował krzyknąć… i w tej samej chwili Pajęczyca ponownie ruszyła do ataku. Odwracała się, odsłaniając swój kolec jadowy. To zamierza go zabić… a w każdym razie zabić ciało… podczas gdy jego umysł błądzi gdzieś indziej. To ma zamiar uciszyć go na zawsze. To zwycięża… Bill, gdzie jesteś? Na litość boską, gdzie jesteś?

I nagle usłyszał słaby, prawie niesłyszalny okrzyk Billa – wydawało się, jakby dochodził z jakiejś niewyobrażalnej odległości… a słowa, choć bezsensowne, były bardzo wyraźne i przepełnione bezdenną (*Żółw nie żyje, och, Boże, Żółw naprawdę nie żyje*) rozpaczą.

Bev krzyknęła raz jeszcze i przyłożyła dłonie do uszu, jakby chciała zagłuszyć ten cichnący głos. Kolec Pajęczycy uniósł się i w tej samej

chwili Richie rzucił się na To, i uśmiechając się od ucha do ucha, wykrzyknął głosem irlandzkiego gliniarza:

– Ejże, ejże, panieneczko! Co ty se, kurde, myślisz? Co ty kombinujesz? Przestań, bo jak mie Bóg miły, wezmem cie na kolano i tak ciem zlejem, że popamnientasz!

Pajęczyca przestała się śmiać i Richie poczuł narastający skowyt gniewu i bólu we wnętrzu głowy Tego. Zraniłem To! – pomyślał triumfalnie. Zraniłem To, zraniłem, i wiecie co? Złapałem to za język! Myślę, że Billowi w jakiś sposób musiał się wyślizgnąć, ale podczas gdy To było skupione na czymś innym, ja…

I nagle, czując, jak To wypełnia jego głowę wściekłym brzęczeniem, kojarzącym się z odgłosami wydawanymi przez rój rozjuszonych pszczół, Richie opuścił gwałtownie swoje ciało i runął w ciemność – mając mglistą świadomość, że To stara się od niego uwolnić. To naprawdę nieźle się starało. Ogarnęło go przerażenie, które zastąpiło później uczucie kosmicznej absurdalności. Przypomniał sobie Beverly bawiącą się jego jo-jo, pokazującą mu, jak należy je „usypiać”, prowadzić „na pieska” przy nodze i wykonywać numer znany jako „dookoła świata”. I oto on, Richie Tozier – żywe jo-jo na

sznurku z języka Tego. Tego, co robił, nie można było określić mianem „na pasku”, lecz raczej „na pająku”, zabawne, co nie?

Richie się roześmiał. Rzecz jasna nieładnie jest śmiać się z pełnymi ustami, ale wątpił, czy w tym miejscu znajdował się ktoś znający podstawowe zasady dobrego wychowania. Ta myśl ponownie przyprawiła go o atak śmiechu i wgryzł się mocniej. Pajęczyca wrzasnęła i potrząsnęła nim wściekle, wyjąc z wściekłości, że ponownie została zaskoczona. To wierzyło, że jedynie pisarz ośmieli się stawić mu czoło i nagle ten facet, który śmiał się jak oszalały chłopiec, schwycił To, kiedy było najmniej przygotowane.

Richie poczuł, że się wyślizguje.

Czekaj no, senhorrrrita, pobędziemy jeszcze trroszkę razem, bo w przeciwnym razie nie sprzedam ci biletów na loterię, a tam wszyscy wygrrywają, przysięgam na imię mojej mamusi!

Jego zęby znów zagłębiły się w dziwnym ciele i tym razem uchwyt był dużo pewniejszy. Poczuł również ćmiący ból, gdy To wbiło kły w jego język, ale uznał, że było to całkiem zabawne. Nawet tu, w ciemności, gdy trujące kły Tego zasnuwały jego umysł czerwoną mgiełką, a on sam pędził z niesamowitą szybkością w mrok, ku miejscu, gdzie znajdował się Bill, i obecnie jego

jedynym łącznikiem ze światem była wstęga języka tego niewyobrażalnego monstrum, uważał to wszystko, co się działo, za bardzo zabawne.

Patrzta, ludziska! Można by pomyśleć, że ten didżej umie latać.

Leciał. Naprawdę. Tak właśnie było.

Richie znajdował się w ciemności – głębszej niż jakakolwiek znana mu ciemność, ba, nigdy nie przypuszczał, że taki mrok w ogóle może istnieć – podróżując przez przestrzeń z prędkością, jak sądził, równą prędkości światła, potrząsany przez To jak szczur przez teriera. Czuł, że w oddali przed nim znajdowało się coś ogromnego – jakiś gigantyczny kształt. Martwy kształt. Czy to był Żółw, którego opłakiwał Bill cichnącym głosem? To musiał być on. Tyle że teraz była to jedynie martwa skorupa. A potem przemknął obok niej, podążając dalej w ciemność.

Teraz naprawdę daję po garach, pomyślał i znów poczuł dziką ochotę, by wybuchnąć śmiechem.

Bill? Bill? Słyszysz mnie?

– On odszedł, jest już w trupich światłach, puść mnie! Zostaw mnie!

(*Richie?*)

Zdawało się, że głos dobiega z bardzo daleka, z niesamowitej oddali, gdzieś z samego serca tej czerni.

Bill! Bill! Jestem tutaj! Złap mnie! Złap mnie! Na miłość boską, łap!

– On nie żyje, wy wszyscy już nie żyjecie, jesteście za starzy, nie rozumiecie? A teraz puść mnie!

Hej, ty dziwko, nie wiesz, że na rock and rolla nigdy nie jest się za starym?

– Puść mnie!

Zabierz mnie do niego, to może cię puszczę!

Richie…

Bliżej, był już bliżej, dzięki Bogu…

Jestem, Wielki Billu! Richie przybywa na ratunek! Uratuję twój stary, śmierdzący tyłek! Jestem ci to winien po tym, co się stało tamtego dnia w domu przy Neibolt Street. Pamiętasz?

– Puszczaaaaaaj!

To było teraz poważnie ranne i Richie zdał sobie sprawę, że udało mu się je schwycić przez zaskoczenie – Pajęczyca wierzyła, że będzie musiała walczyć jedynie z Billem. Cóż, dobrze. Świetnie. Richiemu nie zależało w obecnej chwili na zabiciu Tego; prawdę mówiąc, nie był już całkiem pewny, czy To w ogóle można zabić. Ale Bill mógł umrzeć, a Richie czuł, że Billowi nie

pozostało już wiele czasu. Znajdował się gdzieś tam, zbliżając się do jakiejś ohydnej, nieprzyjemnej niespodzianki – czegoś, o czym lepiej nie myśleć.

Richie, nie! Wracaj! To jest już kraniec wszystkiego! Trupie światła!

Słabo ciem słyszem, ale już dochodzem, senhorrrr… a gdzie ty właściwie jesteś, słodziutka? Uśmiechnij siem, cobym cie mógł zobaczyć!

I nagle Bill był tam, ślizgał się to (*w lewo?, w prawo? Tu nie istniało pojęcie kierunków*) w jedną stronę, to w drugą. A za nim Richie zobaczył (wyczuł) coś zbliżającego się w szybkim tempie i to sprawiło, że śmiech uwiązł mu w gardle. To była bariera, dziwny, niegeometryczny kształt, którego nie obejmował umysłem. Zamiast tego jego umysł przetransponował ów kształt najlepiej, jak potrafił – podobnie jak przedstawił kształt Tego w formie Pajęczycy – i Richie zobaczył go jako olbrzymią szarą ścianę ze skamieniałych drewnianych pali.

Pale ciągnęły się bez końca, zarówno w górę, jak i w dół, jak pręty klatki. Spomiędzy nich biło potężne, oślepiające światło. To światło lśniło i poruszało się, uśmiechało się i wykrzywiało

w drapieżnym grymasie. To światło żyło, bardziej niż żyło, było przepełnione mocą – magnetyzmem, siłą grawitacji, a może jeszcze czymś innym. Trupie światła. Richie miał wrażenie, że na przemian to unosi się, to znów opada, jest ciągnięty do przodu, aby później okręcić się wokół osi. Był zdyszany, jakby właśnie skończył pompować oponę. Czuł światło przesuwające się łapczywie po jego twarzy… i to światło myślało.

To jest To. To jest To. To reszta Tego.

– Puść mnie, obiecałeś, że mnie puścisz.

Skłamałem, słodziutka, wiem, że to brzydki nawyk i mama czasami łoi mi za to skórę, ale tata już się chyba przyzwyczaił.

Wyczuł, że Bill potyka się i wymachując rękoma, sunie w kierunku jednej z przerw w ścianie, wyczuł złe palce światła wysuwające się po niego i ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem wyciągnął rękę w stronę przyjaciela.

Bill! Ręka! Daj mi rękę! Ręka! Podaj mi rękę, do cholery!

Dłoń Billa wystrzeliła ku niemu, palce otwierały się i zamykały, a żywe ogniki pełzały po obrączce Audry, układając się na jej powierzchni w runiczne mauretańskie znaki –

koła, półksiężyce, swastyki, gwiazdy, połączone ogniwa tworzące ruchome łańcuchy.

To samo światło padało na twarz Billa, która wyglądała, jakby wytatuowano na niej identyczne symbole. Richie wyciągnął rękę tak daleko, jak tylko mógł, przez cały czas słysząc, jak To wrzeszczy i jazgocze (*nie złapałem go, o Boże, nie złapałem go – zaraz znajdzie się po drugiej stronie*). A potem palce Billa zamknęły się wokół palców Richiego, który natychmiast zacisnął dłoń w pięść. Nogi Billa przeszły przez szczelinę w ścianie zamarzniętego drewna i przez jedną szaleńczą chwilę Richie zdał sobie sprawę, że widzi wszystkie kości, żyły i naczynia włoskowate, jakie się w nich znajdowały, zupełnie jakby Bill znalazł się połową ciała w paszczy największego na świecie aparatu rentgenowskiego. Richie poczuł, jak mięśnie ręki rozciągają się niczym toffi, miał wrażenie, że lada moment ramię wyskoczy mu ze stawu. Nacisk na jego rękę wzmagał się nieprzerwanie, mięśnie ramienia napięły się jak struna. Słyszał ich jęk i trzask protestujących stawów.

Wytężył wszystkie siły i ryknął:

– Zabierz nas z powrotem! Zabierz nas z powrotem albo cię zabiję, zagłosuję cię na śmierć!

Pajęczyca ponownie zaskrzeczała i nagle Richie poczuł gwałtowne szarpnięcie. Jego ramię piekło żywym ogniem. Uchwyt na dłoni Billa zaczął się rozluźniać.

– Trzymaj się, Wielki Billu!

– Mam cię, Richie! Mam cię!

Lepiej, aby tak było, pomyślał ponuro Richie. Bo myślę, że mogłabyś przejść tu dziesięć miliardów mil i nie znaleźć ani jednej płatnej toalety.

Pomknęli w powrotną drogę i to obłędne światło zaczęło słabnąć. Najpierw zmieniło się w serię jaskrawych, lśniących punkcików, a potem zgasło zupełnie. Pędzili przez ciemność niczym torpedy – Richie schwycił zębami język Tego, a obolałą dłoń zaciskał bez przerwy na nadgarstku Billa. Dotarli do Żółwia i minęli go w ułamku sekundy, Richie czuł, że zbliżają się coraz bardziej do czegoś, co określa się mianem „realnego świata” (choć przypuszczał, że już nigdy nie będzie o nim myślał jako o istniejącym realnie, a raczej jako o ekranie kinowym z plątaniną kabli wspierających – kabli przypominających pasma pajęczyny). Wszystko będzie w porządku, pomyślał. Dzięki Bogu. Wracamy. My…

I w tej samej chwili ponownie poczuł serię gwałtownych wstrząsów, grzmotnięć, szarpnięć i potrząśnięć z boku na bok, kiedy To podjęło ostatnią próbę uwolnienia się i pozostawienia ich Na Zewnątrz.

Richie zdał sobie sprawę, że jego uchwyt się rozluźnia. Usłyszał gardłowy okrzyk triumfu Tego i skoncentrował się na zachowaniu kontaktu, ale w dalszym ciągu się ześlizgiwał. Wgryzał się jak opętany, podczas gdy język Tego się rozpływał – zatracał swoją realność i stałość, zmieniając się w coś, co przypominało pajęczynę.

– Na pomoc! – zawołał Richie. – Tracę To! Na pomoc! Niech ktoś nam pomoże!

5

Eddie

Eddie był na wpół świadomy tego, co się działo – czuł i widział to wszystko, ale jakby przez delikatną, zwiewną mgiełkę. Gdzieś tam Bill i Richie walczyli, starając się tu powrócić. Ich ciała znajdowały się tutaj, ale reszta – ich „ja” – była teraz daleko. Widział, jak Pajęczyca odwraca się, by przebić Billa kolcem, i wtedy Richie rzucił się naprzód, krzycząc na To tym idiotycznym

głosem irlandzkiego gliniarza, którego czasami używał… Richie musiał przez te lata nieźle się napracować, bo należało przyznać, że naprawdę trafnie naśladował głos pana Nella ze starych czasów. Pajęczyca odwróciła się w stronę Richiego i Eddie dostrzegł, jak ohydne, czerwone ślepia zaczynają nabrzmiewać w oczodołach. Richie krzyknął raz jeszcze, tym razem głosem Pancho Vanilli, i Eddie poczuł, jak Pajęczyca wrzasnęła z bólu. Ben krzyknął ochryple, kiedy jedna ze starych blizn na boku Tego ponownie się otworzyła. Buchnął z niej strumień czarnej posoki. Richie znowu zaczął coś mówić… i wtedy głos począł cichnąć, przypominało to trochę wyciszanie piosenki przy końcu utworu. Jego głowa zakołysała się, spojrzenia Richiego i Pajęczycy spotkały się i To ponownie ucichło.

Minęło trochę czasu – Eddie nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Richie i Pajęczyca wpatrywali się w siebie. Eddie czuł łączącą ich więź, odczuwał wir rozmów i emocji napływający z oddali. Nie wychwytywał szczegółów, ale wyczuwał wszystko w formie barw i ich odcieni. Bill leżał bezwładnie na podłodze; krwawił z nosa i uszu, palce drgały mu nieznacznie. Miał zamknięte oczy, a jego twarz była blada jak płótno. Pajęczyca krwawiła teraz

z czterech czy pięciu miejsc i znowu była ciężko ranna, ale w dalszym ciągu zabójczo żywotna. Eddie pomyślał: Czemu my tu jeszcze stoimy? Powinniśmy To zranić, póki jest zajęte Richiem! Czemu nikt się nie ruszy, na miłość boską? Odebrał uczucie dzikiego triumfu. Było ono czystsze i wyraźniejsze. Bliższe. Oni wracają! – chciał krzyknąć, ale miał zbyt sucho w ustach, a jego krtań była za bardzo zaciśnięta. Oni wracają!

A potem głowa Richiego zaczęła obracać się wolno z boku na bok. Jego ciało pod ubraniem jakby się marszczyło. Okulary przez chwilę wisiały na czubku nosa… a potem spadły i roztrzaskały się na kamiennej posadzce. Pajęczyca poruszyła się, a jej długie, grube odnóża zagrzechotały sucho po podłodze. Eddie usłyszał, jak To krzyknęło w dzikim triumfie, a chwilę później w jego głowie rozbrzmiał wyraźny, czysty głos Richiego: (*Na pomoc! Tracę To! Niech mi ktoś pomoże!*)

Eddie natychmiast rzucił się do przodu, wyrywając zdrową ręką aspirator z kieszeni. Jego wargi rozchyliły się w grymasie wściekłości, świszczący oddech z bolesnym trudem wydobywał się z krtani, która kurczyła się do rozmiarów łebka od szpilki. Nagle zobaczył przed

sobą matkę krzyczącą: „Nie zbliżaj się do tej istoty, Eddie! Nie podchodź do niej! Ta rzecz zarazi cię rakiem!”.

– Zamknij się, mamo! – wrzasnął Eddie skrzeczącym, chrapliwym głosem. To było wszystko, na co obecnie mógł się zdobyć.

Na ten dźwięk odwrócił się łeb Pajęczycy. To oderwało wzrok od oczu Richiego.

– A masz! – ryknął Eddie słabnącym głosem. – Skosztuj tego! – Rzucił się na To, jednocześnie naciskając spust aspiratora, i na moment odzyskał wiarę w moc tego lekarstwa, przekonanie z czasów dzieciństwa, które pozwalało mu wierzyć, że zdoła ono uzdrowić wszystkie jego dolegliwości, sprawić, by poczuł się lepiej, kiedy starsi chłopcy sprawili mu lanie, kiedy wychodząc ze szkoły, został gwałtownie popchnięty i wylądował na podłodze albo kiedy podczas meczu baseballowego na placu za magazynem braci Trackerów musiał siedzieć z boku, bo matka nie pozwalała mu brać udziału w grze. To było dobre lekarstwo. Silne lekarstwo. Kiedy rzucił się na Pajęczycę, mając w nozdrzach jej ohydny, żółty smród, czując się przytłoczony furią i determinacją Tego, które pragnęło za wszelką cenę zmieść ich wszystkich

z powierzchni ziemi – wymierzył aspirator w jedno z olbrzymich, rubinowych ślepi.

Usłyszał (poczuł) krzyk Tego – tym razem nie było w nim jednak gniewu, tylko ból, odrażająca, wrzaskliwa agonia. Zobaczył mgiełkę kropelek opadającą na krwistoczerwoną wypukłość, zobaczył, jak te kropelki po opadnięciu stają się białe, jak pogrążają się w ciele niczym krople kwasu karbolowego, a potem to wielkie oko zaczęło się robić płaskie – jak szkarłatne żółtko jajka – i wypłynął zeń upiorny strumień żyjącej krwi i wypełnionej robakami ropy.

– Wracaj do nas, Bill! – wrzasnął resztką tchu, a potem zderzył się z Tym. Okropny żar ciała Tego ogarnął go od stóp do głów, poczuł przerażającą, gorącą wilgoć i zdał sobie sprawę, że jego zdrowa ręka znalazła się w paszczy.

Ponownie nacisnął spust aspiratora, posyłając sporą porcję jego zawartości w głąb gardła Tego, w głąb gnijącego, złowieszczego, cuchnącego przełyku stwora, a potem nagle pojawił się potworny ból, tak czysty jak cięcie ostrego rzeźnickiego noża, kiedy szczęki Tego zamknęły się i jednym kłapnięciem oderwały mu ramię. Eddie upadł na podłogę – krew buchnęła z postrzępionego kikuta ramienia. Jak przez mgłę widział Billa podnoszącego się chwiejnie z ziemi

i Richiego, który zbliżał się do niego, powłócząc nogami niczym pijak po długiej, szalonej nocy.

– Eds. – Odległy dźwięk. Nieważny. Czuł, jak wraz z krwią wszystko opuszcza jego ciało, cały gniew, cały ból, całe zmieszanie i całe cierpienie.

Przeczuwał, że umiera, ale czuł… och, Boże, czuł się taki przejrzysty i czysty – jak świeżo umyta szyba, w której odbijają się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Światło – o Boże, to doskonałe, racjonalne światło, które w każdej sekundzie gdzieś na świecie zalewa horyzont.

– Eds, o mój Boże, Bill, Ben, ktokolwiek, on stracił rękę, on…

Spojrzał w górę na Beverly i zobaczył, że płakała – strużki łez spływały po jej zabrudzonych policzkach, kiedy podłożyła mu rękę pod plecy; prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, że zdjęła bluzkę i zgniótłszy ją, próbowała powstrzymać upływ krwi, jednocześnie wzywając pomocy. Potem przeniósł wzrok na Richiego i oblizał wargi. Gasł. Gasł coraz bardziej. Stawał się bardziej czysty i jasny – wszystkie nieczystości uchodziły, aby mógł się stać naprawdę czysty i by mogło przejść przezeń światło, a gdyby miał jeszcze dostatecznie dużo czasu, mógłby przeprowadzić krótki wykład,

powiedzieć choć kilka zdań na ten temat. „Nie jest tak źle – zacząłby. – To w sumie nie jest takie złe”. Ale najpierw musiał powiedzieć coś innego.

– Richie? – wyszeptał.

– Co? – Richie klęczał na czworakach, wpatrując się w niego rozpaczliwie.

– Nie mów do mnie „Eds” – powiedział i się uśmiechnął. Uniósł wolno lewą rękę i dotknął policzka Richiego. Richie płakał. – Wiesz… że… ja… ja… – Eddie zamknął oczy, rozmyślając, jak zakończyć tę kwestię, i zastanawiając się nad tym, umarł.

6

Derry 7.00–9.00

Do siódmej rano prędkość wiatru w Derry wzrosła do blisko trzydziestu siedmiu mil na godzinę – osiągając w porywach czterdzieści pięć. Harry Brooks, meteorolog z bazy National Weather Service na lotnisku w Bangor, zaniepokojony zadzwonił do głównego wydziału NWS w Auguście. Powiedział, że wiatr wieje z zachodu, przyjmując dziwną, półkulistą formę – jakiej nigdy dotąd nie widział… ale wydaje mu się, że z każdą chwilą coraz bardziej wichura ta

przypomina „kieszonkowy huragan” i że najwyraźniej huragan ów ma zamiar rozszaleć się tylko w granicach Derry.

Dziesięć minut później stacje radiowe w Bangor podały pierwsze ostrzeżenia pogodowe. Eksplozja transformatora przy magazynie Trackerów sprawiła, że cała część Barrens od strony Kansas Street w Derry została pozbawiona prądu. Po kilku minutach sędziwy klon, znajdujący się w Barrens po stronie Old Cape, zwalił się z potwornym trzaskiem, miażdżąc sklep Nite-Owl, stojący na rogu Merit Street i Cape Avenue. Właściciel sklepu, staruszek Raymond Fogarty, zginął przygnieciony kartonami z piwem. Był to ten sam Raymond Fogarty, który jako duszpasterz kościoła metodystów w Derry prowadził pogrzeb George’a Denbrough w październiku 1957 roku.

Klon zwalił również na tyle długi odcinek linii elektrycznej, aby pozbawić prądu zarówno Old Cape, jak i znajdujące się za nim nieco bogatsze Sherburn Woods. Zegar na wieżyczce kościoła baptystów nie wybił ani szóstej, ani siódmej. O siódmej dwadzieścia, trzy minuty po upadku klonu w Old Cape i jakąś godzinę i kwadrans po tym, jak wszystkie toalety i rury kanalizacyjne na tym terenie eksplodowały strugami ścieków

i nieczystości – zegar wybił trzynaście razy. Minutę później w wieżę uderzył piorun. Heather Libby, żona pastora, która akurat wyglądała przez okno w kuchni budynku plebanii, powiedziała, że wieżyczka eksplodowała, jakby ktoś podłożył pod nią dynamit. Pomalowane na biało deski, kawałki belek i zegar ze Szwajcarii posypały się na ulicę. Postrzępione resztki wieżyczki paliły się krótko i zostały ugaszone deszczem, który obecnie przypominał iście tropikalną ulewę. Ulice prowadzące w dół wzgórza, ku śródmieściu, były zalane spienioną wodą. Odgłos Kenduskeag przepływającego pod Main Street brzmiał teraz niczym jednostajny grzmot i słysząc go, ludzie z niepokojem spoglądali w stronę kanału. O siódmej dwadzieścia pięć, podczas gdy ludzie wciąż jeszcze mieli w uszach huk rozpadającej się wieży kościelnej, dozorca, który co rano zjawiał się w Wally's Spa, aby tam posprzątać, zobaczył coś, co sprawiło, że z krzykiem wybiegł na ulicę. Ten gość, który był alkoholikiem, jeszcze gdy rozpoczął pierwszy semestr nauki na uniwersytecie w Maine, przed jedenastu laty, dostawał grosze za swoją pracę – przypuszczano, że właściwą zapłatę stanowiły dla niego zlewki pozostawione pod barem z poprzedniej nocy.

Richie Tozier mógł go pamiętać, choć niekoniecznie. Był to Vincent Caruso Taliendo, znany swoim rówieśnikom, piątoklasistom, jako Boogers Taliendo. Sprzątał w barze owego apokaliptycznego poranka, zbliżał się stopniowo ku kontuarowi i zobaczył nagle, jak szpunty wszystkich siedmiu beczek przekręcają się do przodu, jakby popchnięte niewidzialnymi dłońmi. Były tam trzy beczki buda, dwie narragansett, jedna schlitza (który stali bywalcy knajpy określali jako „sztyc") i jedna millera lite. Z każdej z nich wypłynęły strugi złotawobiałej piany. Vince rzucił się naprzód, nie myśląc bynajmniej o duchach, ale o tym właśnie, że przepada jego poranna dywidenda. I nagle zatrzymał się jak skamieniały – otworzył szeroko oczy, a wnętrze Wally's Spa rozbrzmiało jego przeraźliwym krzykiem. Piwo zmieniło się w gęste strugi tętniczej krwi. Szkarłatne strumienie wpływały do chromowanych otworów odpływowych, a gdy je wypełniły, zaczęły ściekać drobnymi strużkami po ściance baru. Teraz z beczek zaczęły wypływać włosy i kawałki ciała. Boogers Taliendo patrzył na to jak urzeczony, nie mając dość siły na powtórny krzyk. Chwilę potem rozległ się głuchy, atonalny huk, kiedy eksplodowała jedna z beczek

znajdująca się pod kontuarem. Wszystkie drzwiczki kredensu pod barem otwarły się na oścież, ze środka buchnęły kłęby zielonkawego dymu, jak po występie prestidigitatora. Tego dla Boogersa było już za dużo.

Krzycząc na całe gardło, wybiegł na ulicę, która obecnie zmieniła się w płytki kanałek. Upadł na tyłek, wstał i trwożliwie obejrzał się przez ramię. Jedno z okien baru eksplodowało z hukiem przypominającym odgłos wystrzału karabinowego. Odłamki szkła przemknęły obok głowy Vince'a. Chwilę później rozleciała się druga szyba. I tym razem jakimś cudem wyszedł z tego nawet niedraśnięty – ale w tym samym momencie zdecydował się złożyć wizytę swojej siostrze mieszkającej w Eastport. Niezwłocznie wyruszył w drogę i jego podróż do granic Derry, i dalej, sama w sobie mogłaby stać się tematem sagi, my jednak poprzestańmy jedynie na informacji, że ostatecznie Boogers Taliendo wydostał się z miasta.

Inni nie mieli tyle szczęścia. Aloysius Nell, który niedawno skończył siedemdziesiąt siedem lat, doznał śmiertelnego ataku serca, gdy siedział wraz z żoną w saloniku przy Strapham Street. Jego żona powiedziała bratu tydzień później, że Aloysius upuścił na dywan swoją filiżankę

z kawą, usiadł sztywno wyprostowany, z rozszerzonymi, wpatrzonymi w przestrzeń oczyma i zawołał: „Ejże, ejże, panieneczko, co ty se, kurde, myślisz? Przestań, bo jak mie Bóg miły…”. A potem spadł z krzesła, miażdżąc filiżankę swoim ciałem. Maureen Nell, która wiedziała, że jego serce jest w marnym stanie, natychmiast zorientowała się, że już po nim i poluzowawszy mu kołnierzyk, pobiegła do telefonu, aby zadzwonić po ojca McDowella. Okazało się jednak, że telefon nie działa. Ze słuchawki dobiegło jedynie zabawne buczenie, które przypominało odgłos policyjnej syreny. Dlatego też, choć wiedziała, że jest to prawdopodobnie bluźnierstwo i że zapewne przyjdzie jej odpowiedzieć za to przed świętym Piotrem, sama spróbowała udzielić mu ostatniej posługi. Powiedziała bratu, że jej zdaniem Bóg by zrozumiał, nawet gdyby święty Piotr miał po temu opory. Aloysius był dobrym mężem i prawym człowiekiem, nawet jeśli pił zbyt wiele – ale tak właśnie się objawiała jego irlandzka natura. Przed ósmą seria wybuchów wstrząsnęła budynkiem Derry Mail, stojącym na miejscu zniszczonych Zakładów Kitchenera. Nikt nie został zabity – pawilony otwierano o dziesiątej, a pięcioosobowy zespół sprzątaczy zjawiał się

o ósmej (tego dnia i tak nie wszyscy przyjdą do pracy). Później zespół prowadzący dochodzenie odrzucił hipotezę o sabotażu. Zasugerowali – bardzo niejasno – że eksplozja została spowodowana przez wodę, która przedostała się do systemu elektrycznego pawilonów. Cokolwiek było przyczyną, nie ulegało wątpliwości, że jeszcze długo nikt nie pójdzie do Derry Mail po zakupy. Jeden z wybuchów doszczętnie zniszczył salon jubilerski Zale'a. Pierścionki z diamentami, ozdobne bransoletki identyfikacyjne, sznury pereł, tace z obrączkami i zegarki elektroniczne Seiko posypały się na wszystkie strony skrzącym się lodowatymi iskierkami, drogocennym deszczem. Szafa grająca przeleciała przez cały wschodni korytarz i wylądowała w fontannie przed wejściem do J.C. Penney, gdzie, zanim umilkła, odegrała jeszcze z głuchym bulgotem fragment tematu do filmu *Love Story*. Ten sam wybuch wyrwał dziurę w drzwiach znajdującego się po sąsiedzku Baskin-Robbins, zmieniając lody o trzydziestu jeden smakach w mrożoną zupę, która zalała gęstymi strugami całą podłogę. Eksplozja, która rozniosła salon Searsa, oderwała kawał dachu, a porywisty wiatr porwał go w dal niczym latawiec. Wylądował milę dalej, rozcinając czyściutko silos farmera Brenta

Kilgallona. Szesnastoletni syn Kilgallona wybiegł na zewnątrz z aparatem fotograficznym matki i natychmiast zrobił zdjęcie. Wykupił je za sześćdziesiąt dolarów „National Enquirer”, a chłopiec nabył za tę sumę dwie nowe opony do swojej yamahy. Trzecia eksplozja rozerwała Hit or Miss, rozrzucając płonące spodnie, dżinsy i bieliznę po zalanym wodą parkingu. Ostatni wybuch zniszczył oddział banku Derry Farmer’s Trust jak pudełko starych fajerwerków. Wyrwało przy tym również spory kawał dachu. Alarmy antywłamaniowe włączyły się i wyły dopóty, dopóki cztery godziny potem nie wyłączono ich przez niezależny system zabezpieczający. Dokumenty kredytowe, dowody wpłaty, formularze, kwity i rachunki wzleciały w powietrze i zostały porwane przez wiatr. Wraz z nimi pieniądze, głównie dziesiątki i dwudziestki, sporo piątek, ale również pięćdziesiątki i setki. Zgodnie z zeznaniem pracowników bankowych wyfrunęło ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Później, po dokonaniu solidnej inspekcji i gruntownym wypytaniu pracowników bankowych, niektórzy z nich – rzecz jasna nieoficjalnie – twierdzili, że wyparowało ponad dwieście tysięcy dolarów. Pewna kobieta, Rebecca Paulson, mieszkająca

w Haven Village, znalazła pięćdziesięciodolarowy banknot na słomiance pod drzwiami, dwie dwudziestki w budce dla ptaków i setkę przylepioną do pnia dębu na tyłach domu. Wraz z mężem wykorzystali te pieniądze na dwie dodatkowe wpłaty na skuter śnieżny. Doktor Hale, emerytowany lekarz, który blisko pięćdziesiąt lat mieszkał przy West Broadway, został zabity punktualnie o ósmej. Doktor Hale szczycił się tym, że przez dwadzieścia pięć spośród tych pięćdziesięciu lat każdego dnia odbywał dwumilowy spacer wokół Derry Park i terenów, na których stał budynek szkoły podstawowej. Nic nie mogło go powstrzymać – deszcz, śnieg, gradobicie, wichry ani nawet siarczyste mrozy. Rankiem 31 maja wyszedł z domu wbrew gderliwym komentarzom zaniepokojonej gospodyni. Ostatnie słowa, jakimi pożegnał się z tym światem, rzucone przez ramię, gdy wychodził z domu i naciągał gorączkowo kapelusz na uszy, brzmiały: „Nie marudź, Hildo. Ależ ty jesteś głupia! Toż to zaledwie marna mżawka. Szkoda, że cię tu nie było w pięćdziesiątym siódmym. Wtedy to była burza!”.

I kiedy doktor Hale odwrócił się, by spojrzeć w stronę ulicy, pokrywa włazu kanału,

znajdującego się tuż przed jego domem, wyprysnęła w powietrze, jakby ktoś podłożył pod nią ładunek wybuchowy. Ucięła dobremu doktorowi głowę tak szybko i gładko, że zdążył jeszcze przejść trzy kroki, zanim wreszcie osunął się martwy na chodnik.

A wiatr przez cały czas się wzmagał.

7

Pod miastem – 16.15

Eddie prowadził ich przez mroczne tunele przez godzinę, może półtorej, zanim przyznał tonem, w którym bardziej dało się wyczuć zdziwienie niż strach, że po prostu się zgubił. Nadal słyszeli odległy grzmot wody w kanałach, ale akustyka w każdym z tych tuneli była tak zniekształcona, że nie sposób było powiedzieć, czy te dźwięki dobiegały z przodu czy z tyłu, z lewej czy prawej, z góry czy z dołu. Nie mieli zapałek. Zgubili się w ciemnościach. Bill był przerażony… całkowicie przerażony. Przypominał sobie rozmowę z ojcem. „W tym okresie zaginęło dziewięć funtów odbitek planów, chodzi mi o to, że nikt nie wie, dokąd biegną te cholerne kanały i dlaczego. Kiedy

działają, nikogo nie interesują. Nikt nie wie, kiedy coś się chrzani, trzech czy czterech gości z departamentu wodnego musi zejść tam i sprawdzić, która z pomp szwankuje albo gdzie coś się zapchało. Tam jest ciemno. Panuje potworny smród i są szczury. To wystarczające powody, by nie chcieć się tam znaleźć, ale najgorsze jest to, iż możesz się tam zgubić. To zdarzało się już wcześniej".

To zdarzało się już wcześniej, to się zdarzało już wcześniej. Oczywiście. Przecież kiedy szli do kryjówki Tego, widzieli kości i strzępy ubrań. To aż nadto obrazowy przykład tego, co tu się działo. Bill poczuł, że zaczyna go ogarniać panika, i próbował ją stłumić. Udało mu się to, choć nie bez trudności. Czuł, jak gnieździ się w jego wnętrzu niczym żywa istota, walcząc i szamocząc się, próbując się uwolnić. A na dodatek przez cały czas nie dawała mu spokoju niepewność, czy udało mu się To zabić, czy też nie. Richie powiedział, że tak, Mike również – podobnie jak Eddie. Ale nie podobało mu się przerażone, pełne powątpiewania spojrzenie na twarzach Bena i Stana, kiedy zgasł płomyk zapałki. Potem przeszli przez małe drzwiczki, oddalając się od opadającej na kamienną posadzkę pajęczyny.

– I co teraz zrobimy? – spytał Stan drżącym ze strachu głosem. Bill wiedział, że to pytanie było skierowane właśnie do niego.

– Tak – mruknął Ben. – Co? Do diabła, chciałbym mieć teraz latarkę… albo przy… przynajmniej świeczkę.

Bill miał wrażenie, że usłyszał, jak tamten pochlipuje pod nosem. To przeraziło go bardziej niż cokolwiek innego. Ben zdziwiłby się, gdyby się o tym dowiedział, ale Bill uważał go za twardszego, bardziej zaradnego i poważniejszego od Richiego i mniej podatnego na gwałtowne załamania niż Stan. Jeżeli Ben był bliski rozpaczy, to znaczyło, że znajdowali się na progu poważnych kłopotów. Umysł Billa zamiast wizji szkieletu faceta z departamentu wodnego raz po raz podsuwał skojarzenia z Tomkiem Sawyerem i Becky Thatcher zagubionymi w Jaskini McDougala. Odsuwał od siebie te myśli, ale one uparcie powracały. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju, ale było to zbyt szerokie i zbyt skomplikowane pojęcie, aby mógł je objąć zmęczony umysł małego chłopca. Być może również było to dla niego nieuchwytne z uwagi na swoją prostotę – oddalali się od siebie. Rozluźniała się więź, jaka łączyła ich przez całe lato. Stanęli twarzą w twarz z Tym i zwyciężyli.

To mogło nie żyć, jak przypuszczali Richie i Eddie, lub mogło być tak ciężko ranne, że prześpi następne sto, tysiąc albo nawet dziesięć tysięcy lat. Stanęli twarzą w twarz z Tym, zobaczyli je, kiedy odrzuciło ostatnią ze swych masek, i nie ulega wątpliwości, że wyglądało naprawdę przerażająco, ale raz zobaczone utraciło swą najpotężniejszą broń – bo fizyczny kształt Tego nie był dla nich dostatecznie straszny. Wszak każdy z nich widział już wcześniej pająka.

Owszem, pająki wyglądały obco i strasznie, tak że skóra cierpła na plecach – i jak przypuszczał, żadne z nich, gdy zobaczy pająka, nie zdoła

(*jeżeli się stąd wydostaniemy*)

powstrzymać dreszczu obrzydzenia. Jednak pająk w gruncie rzeczy był jedynie pająkiem. Może, koniec końców, kiedy wszystkie maski grozy zostały zdjęte, nie istniało nic, z czym ludzki umysł nie zdołałby się uporać. Ta myśl dodawała mu otuchy. Wszystko, z wyjątkiem

(*trupich świateł*)

tego, co było Na Zewnątrz, ale być może nawet te niewiarygodne, żyjące światła, czyhające przy wrotach do makrowersum, umarły albo właśnie dogorywały. Trupie światła

i reminiscencje z podróży przez mrok w ich umysłach zaczęła już spowijać mgiełka zapomnienia. Ale nie o to wszakże chodziło. Najważniejsze było to, że miał uczucie, co prawda, nie do końca sprecyzowane, jakby ich przyjaźń się kończyła… ich przyjaźń dobiegała końca, a oni nadal przebywali w ciemnościach. Inny poprzez połączenie ich więzami przyjaźni zdołał uczynić ich kimś więcej niż dziećmi, którymi byli. Ale ponownie stali się dziećmi. Bill czuł to tak samo mocno jak pozostali.

– Co teraz, Bill? – zapytał w końcu Richie.

– N-n-nie w-wiem – odparł Bill.

Znowu zaczął się jąkać. Słyszał to podobnie jak pozostali i stojąc w ciemnościach, czuł narastający w nich strach. Zastanawiał się, ile czasu potrzeba, aż ktoś z nich – prawdopodobnie będzie to Stan – wpadnie w panikę i krzyknie: „Jak to nie wiesz? Przecież to ty nas w to wpakowałeś!”.

– A co z Henrym? – spytał niepewnie Mike. – Nadal tam jest, czy jak?

– O Jezu – rzekł Eddie. To był prawie jęk. – Zapomniałem o nim. Jasne, że tam jest; to oczywiste i prawdopodobnie zgubił się tak samo jak my, i lada moment możemy się na niego natknąć. Jezu, Bill, nie masz żadnych pomysłów?

Przecież twój tata tu pracuje… Nie masz żadnych pomysłów? W ogóle?

Bill nasłuchiwał dochodzącego z oddali ryku wody i próbował wpaść na pomysł, którego mieli prawo domagać się od niego zarówno Eddie, jak i cała reszta. Bo rzeczywiście to on wciągnął ich w tę rozgrywkę i to on ponosił odpowiedzialność za wydostanie ich z labiryntu tuneli. Nic nie przychodziło mu do głowy. Zupełnie nic.

– Mam pewien pomysł – powiedziała cicho Beverly.

W ciemności Bill usłyszał dźwięk, którego w pierwszej chwili nie potrafił określić. Szepczący, cichy dźwięk, ale bynajmniej nie przerażający. Dopiero po chwili zorientował się, co to było: suwak. Co? – zastanowił się i nagle zrozumiał. Ona się rozbierała. Z jakiegoś powodu Beverly zaczęła się rozbierać.

– Co ty robisz? – zapytał Richie i przy ostatnim słowie głos wyraźnie mu zadrżał.

– Wiem o czymś – powiedziała w ciemności Beverly i Billowi jej głos wydawał się starszy. – Wiem, bo dowiedziałam się tego od ojca. Wiem, jak nas znowu połączyć. A jeżeli nie będziemy połączeni, nigdy się stąd nie wydostaniemy.

– Co? – zapytał Ben, jednocześnie zdezorientowany i przerażony.

– O czym ty mówisz?

– O czymś, co nas ponownie zjednoczy. O czymś, co uświadomi wam…

– N-n-nie, B-b-beverly! – rzekł Bill, który nagle wszystko zrozumiał.

– …jak bardzo kocham was wszystkich – dokończyła Beverly. – I że wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi.

– O czym ona mó… – zaczął Mike. Beverly ucięła mu w pół słowa.

– Który pierwszy? – spytała. – Myślę, że…

8

W kryjówce Tego – 1985

…on umiera – szlochała Beverly. – Jego ręka. To odgryzło mu rękę.

Wyciągnęła ręce do Billa, przywarła doń, a Bill odsunął ją od siebie.

– To z-z-znowu się oddala! – zawołał. Krew pokrywała jego usta i brodę. – Ch-ch-chodźcie! Richie! B-b-ben! T-tym razem ją w-w-wykończymy!

Richie odwrócił się do Billa i spojrzał na niego, jakby tamten bredził.

– Bill, musimy zająć się Eddiem. Musimy założyć mu opaskę uciskową, wynieść go stąd.

Beverly siedziała, trzymając głowę Eddiego na podołku i kołysała go. Zamknęła mu oczy.

– Idźcie z Billem – powiedziała. – Jeżeli pozwolisz, aby on umarł za nic… jeżeli To powróci, nieważne, czy za dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt, czy nawet tysiąc lat, przysięgam, będę nawiedzała wasze duchy… Nie dam wam spokoju. Idźcie!

Richie przez chwilę przyglądał się jej niezdecydowany. A potem nagle zdał sobie sprawę, że jej twarz zaczynała tracić rysy – stawała się bladym owalem w narastających ciemnościach. Światło gasło. To sprawiło, że podjął decyzję.

– W porządku – powiedział do Billa. – Tym razem udamy się w pościg.

Ben stał z tyłu, za pajęczyną, która ponownie zaczęła się rozpadać. Widział również kształt kołyszący się wysoko pośród grubych pasm i modlił się, aby Bill nie spojrzał w górę. Ale kiedy pajęczyna zaczęła się rozsypywać, a jej nici pękać z głośnym trzaskiem, Bill uniósł wzrok.

Zobaczył Audrę opadającą niczym bardzo stara skrzypiąca winda. Zjechała o dziesięć stóp, zatrzymała się, zakołysała z boku na bok,

a potem pokonała dalsze piętnaście. Jej twarz nie zmieniła się ani odrobinę. Oczy, jak z chińskiej porcelany, były szeroko otwarte. Nagie stopy kołysały się w przód i w tył niczym wahadła. Włosy opadały jej gładko na ramiona. Usta miała rozchylone.

– Audra! – krzyknął.

– Chodź, Bill! – zawołał Ben.

Pasma pajęczyny spadały teraz wokół nich i uderzywszy głucho o posadzkę, rozpierzchały się na wszystkie strony. Nagle Richie objął Billa wpół i zmusił go, by dobiegł wraz z nim do dziesięciostopowej szczeliny pomiędzy podłogą a zwisającymi najniżej pasmami podporowymi konstrukcji pajęczyny.

– Dalej, Bill! Dalej! Biegnij!

– To Audra! – wykrzyknął z rozpaczą w głosie Bill. – T-t-to A-audra!

– Nie obchodziłoby mnie, nawet gdyby tam był papież – odparł posępnie Richie. – Eddie nie żyje i jeśli Pajęczyca nadal dycha, to tym razem ją zabijemy. Musimy to skończyć. Przykro mi, Bill, musimy się upewnić, czy To jeszcze żyje. Co się tyczy twojej żony, zatroszczysz się o nią później. Jeżeli żyje, to poczeka. A teraz chodź już!

Bill wahał się jeszcze przez chwilę, a potem przed jego oczyma zaczęły się pojawiać zdjęcia

wszystkich zamordowanych dzieci – miał wrażenie, że ogląda zaginione fotografie z albumu George'a. Szkolni przyjaciele.

– W p-p-porządku. Cho-o-odźmy. I niech mi Bóg w-wybaczy.

Wraz z Richiem przebiegli pod pasmami pajęczyny parę sekund przed tym, jak zwaliły się na podłogę, i dołączyli do Bena po drugiej stronie. Biegli śladami Tego, podczas gdy Audra zwisała, kołysząc się, pięćdziesiąt stóp nad podłogą, owinięta w paraliżujący kokon przymocowany do pasm rozlatującej się pajęczyny.

9

Ben

Podążali śladami krwi, jakie To pozostawiało – oleistymi kałużami posoki, która rozpływała się na wszystkie strony i wnikała w szczeliny pomiędzy kamiennymi płytami. Kiedy podłoże zaczęło wznosić się stromo ku półkulistemu, czarnemu otworowi na drugim końcu komnaty, Ben zobaczył coś nowego – leżące na ziemi jaja. Każde z nich było czarne i chropowate, wielkości ostrygi. Z ich wnętrza bił woskowy blask. Ben

zdał sobie sprawę, że były półprzezroczyste – dostrzegał poruszające się w środku czarne kształty. Dzieci Tego, pomyślał i poczuł wzbierające mdłości, dzieci Tego! Za wcześnie złożyła jaja! O Boże! Boże! Richie i Ben zatrzymali się i wpatrywali się ze zdumieniem w leżące przed nimi jaja.

– Idźcie! Idźcie! – wykrzyknął Ben. – Ja się nimi zajmę! Wy załatwcie To!

– Masz! – krzyknął Richie, rzucając Benowi paczkę zapałek. Ben złapał je. Bill i Richie pobiegli dalej. Ben przyglądał się im przez chwilę w gwałtownie gasnącym świetle. Wbiegli w mrok tunelu ewakuacyjnego Tego i zniknęli mu z oczu, a wtedy on spojrzał w dół na jedno z półprzezroczystych jaj. W środku wił się czarny, przypominający płaszczkę kształt. Ben poczuł, że jego determinacja maleje. Tego… tego po prostu było już za wiele. To było nazbyt okropne. A poza tym one i tak na pewno umrą bez jego pomocy – zostały nie tyle złożone, ile raczej poupuszczane. Czas rozwiązania był bliski… i jeżeli chociaż jedno z nich zdoła przeżyć… nawet jedno…

Zbierając całą odwagę, przypominając sobie bladą twarz umierającego Eddiego, Ben opuścił stopę w ciężkim bucie na pierwsze z jajek. Pękło

z mokrym plaśnięciem, a wokół buta przepłynęło coś, co przypominało cuchnące łożysko. Potem z jaja wygramolił się niezdarnie pająk wielkości szczura i natychmiast zaczął uciekać; Ben słyszał go w głowie – jego ochrypły skrzek przypominał odgłosy gry na pile. To był upiorny dźwięk. Ben miał wrażenie, że jego nogi zmieniły się w drewniane szczudła, mimo to pobiegł za pająkiem i nadepnął go. Czuł, jak ciało stwora jest miażdżone i rozpłaszcza się pod obcasem. Znów ogarnęły go mdłości i tym razem już nie zdołał ich powstrzymać. Obrócił się na pięcie, jednocześnie wgniatając pająka w ziemię, i zwymiotował. Odgłosy w jego głowie zaczęły słabnąć, aż wreszcie nastała cisza.

Ile ich jest! Ile jest tych jajek? Czy nie czytałem gdzieś, że pająki mogą znosić ich tysiące… a może nawet miliony? Nie wytrzymam tego. Oszaleję. Musisz. Musisz. No, dalej, Ben. Weź się w garść!

Podszedł do następnego jaja i powtórzył czynność w świetle gasnącej zapałki. Wszystko odbyło się dokładnie tak samo – trzask pękającej skorupy, chlupot wypływającego płynu i ostateczne *coup de grâce*. Potem podszedł do następnego. I jeszcze jednego. I kolejnego. Powoli zbliżał się do czarnego łuku, gdzie zniknęli jego przyjaciele. Ciemność była obecnie

nieprzenikniona. Beverly i rozsypująca się pajęczyna zostały gdzieś z tyłu, za nim. Nadal słyszał szelest rozlatujących się pasm sieci. Jaja przypominały w ciemności blade kamienie. Kiedy przechodził do następnego, wyrywał zapałkę z pudełka i deptał jaja. Za każdym razem musiał się z nimi uporać przed zgaśnięciem zapałki. Nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby zabrakło mu zapałek, zanim zdoła zniszczyć ostatnie jajo i zabić tkwiące w nim ohydne brzemię.

10

To – 1985

Nadal nadchodzili. To wyczuło, że nadchodzą, zbliżają się, i strach, jaki odczuwało, narastał. A więc być może To wcale nie było wieczne – nadszedł czas, aby wziąć pod uwagę to, co do tej pory było dla niego nie do pomyślenia. Co gorsza, To wyczuwało śmierć swoich młodych. Trójka tych znienawidzonych mężczyzn-chłopców podążała nieubłaganie jego śladem, miażdżąc butami pozostawione jaja. Nawet potworne, doprowadzające do obłędu obrzydzenie

towarzyszące tej czynności nie mogło ich powstrzymać.

– Nie! – wrzasnęło To, kołysząc się z boku na bok i czując, jak siły życiowe wypływają z setek ran widniejących na jego ciele. Żadna z nich nie była śmiertelna, każda jednak pulsowała przejmującym bólem i spowalniała tempo ucieczki Tego. Jedno z odnóży Pajęczycy trzymało się zaledwie na pojedynczym strzępku skóry i mięśni. To widziało już tylko na jedno oko. Czuło, że doznało poważnych obrażeń wewnętrznych, co było wynikiem działania nieznanej trucizny, jaką jeden z tych znienawidzonych mężczyzn-chłopców rozpylił mu do gardła.

A oni zbliżali się, bez przerwy zmniejszali dzielący ich dystans – jak do tego mogło w ogóle dojść? To zaskomlało, zakwiliło, a gdy wyczuło, że są niemal tuż za nim, zrobiło jedyną rzecz, jaka jeszcze mu pozostała – odwróciło się, by stanąć do walki.

11

Beverly

Zanim zgasły resztki światła i zapanowała kompletna ciemność, zobaczyła, jak żona Billa opada kolejne dwadzieścia stóp i ponownie się zatrzymuje. Zaczęła się obracać – jej długie, rude włosy rozłożyły się na kształt wachlarza.

Jego żona, pomyślała. Ale ja byłam jego pierwszą miłością i jeżeli myślał, że była nią jakaś inna kobieta, to tylko dlatego, że zapomniał… zapomniał Derry.

A potem znalazła się w ciemności sama, słyszała jedynie szelest opadającej pajęczyny i czuła bezwładny ciężar ciała Eddiego. Nie chciała go puścić, nie chciała, aby jego twarz spoczęła na tej ohydnej posadzce. Dlatego też trzymała jego głowę w zgięciu łokcia, pomimo że prawie nie czuła już ręki, i palcami sczesywała mu włosy z wilgotnego czoła. Pomyślała o ptakach… przypuszczała, że przejęła to w jakiś sposób od Stana Urisa. Biedny Stan, który nie potrafił stawić temu czoła.

Oni wszyscy… byłam ich pierwszą dziewczyną.

Próbowała to sobie przypomnieć – dobrze było myśleć o tym w ciemnościach, w których od

czasu do czasu rozlegały się dziwne szmery i szelesty. Dzięki temu czuła się mniej samotna. Z początku nie mogła sobie przypomnieć – przeszkodziła jej w tym wizja ptaków: wron, gawronów i szpaków, wiosennych ptaków, które powróciły skądś, podczas gdy na ulicach wciąż jeszcze widniały grudy brudnego śniegu i świeżo powstałe błotniste kałuże. Miała wrażenie, że powracały zawsze w pochmurny dzień, a gdy je wpierw usłyszałeś, a potem zobaczyłeś, zawsze zastanawiałeś się, skąd one właściwie się wzięły. Po prostu nagle pojawiały się w Derry, wypełniając białe powietrze ochrypłym wrzaskiem. Siadały na drutach telefonicznych i dachach wiktoriańskich budynków przy West Broadway; przepychały się, by zająć miejsce na aluminiowych żerdziach wielkiej anteny na dachu Wally's Spa, gęstą chmarą pokrywały wilgotne, czarne gałęzie wiązów przy Lower Main Street. Przysiadały, rozmawiały z sobą wrzaskliwymi głosami starych wiejskich hazardzistek podczas cotygodniowego Grange Bingo, a potem, jak na sygnał niewidoczny dla człowieka, jednocześnie wzbijały się w powietrze, sprawiając, że niebo w jednej chwili stawało się czarne od ich sylwetek… i lądowały w jakimś innym miejscu.

Tak, ptaki. Myślałam o nich, bo się wstydziłam. To ojciec obudził we mnie to poczucie winy, a przynajmniej tak mi się wydaje. I To chyba też próbowało do tego doprowadzić. Być może.

Wspomnienie powróciło – wspomnienie poza ptakami – ale było ono mgliste i niewyraźne. Być może zawsze takie było. Ona… Jej myśli pierzchły, kiedy zdała sobie sprawę, że Eddie…

12

Miłość i pożądanie – 10 sierpnia 1958

…przychodzi do niej pierwszy, ponieważ najbardziej się boi. Przychodzi do niej nie jak do przyjaciółki, pierwszej w życiu kochanki, ale raczej tak, jak jeszcze trzy czy cztery lata temu przychodził do swojej matki, aby go pocieszyła. W pierwszej chwili nie cofa się przed jej nagością i Bev z początku wątpi, czy on ją w ogóle czuje. On drży i choć obejmuje go mocno, ciemność jest tak nieprzenikniona, że nie może go dostrzec. Czuje tylko jego ciało pod swoimi dłońmi.

– Czego chcesz? – zwraca się do niej.

– Musisz włożyć we mnie swoją rzecz – odpowiada. Próbuje się odsunąć, ale ona

przytrzymuje go i po chwili przestaje się szamotać. Słyszy, jak ktoś, być może Ben, głęboko nabiera powietrza.

– Bevvie, nie mogę tego zrobić. Nie wiem jak…

– Myślę, że to łatwe. Ale będziesz musiał się rozebrać. – Zastanawia się, że z powodu gipsu będzie mu trudno zdjąć koszulę. – W każdym razie spodnie.

– Nie! Nie mogę!

Ale ona sądzi, że jakaś jego część może i chce tego, bo drżenie jego ciała ustaje i nagle coś twardego i małego dotyka prawej strony jej brzucha.

– Możesz – mówi i zmusza go, aby się położył. Powierzchnia pod jej nagimi plecami i nogami jest twarda, sucha i gliniasta. Odległy ryk wody działa uspokajająco i kojąco. Sięga w jego stronę. W pewnej chwili widzi twarz swojego ojca, który stara się jej przeszkodzić i zabronić (*chcę zobaczyć, czy jesteś nietknięta*), a potem Bev obejmuje Eddiego ramionami za szyję, jej gładki policzek ociera się o jego gładki policzek, a kiedy on delikatnie i jakby trwożliwie dotyka jej małej piersi, wzdycha i po raz pierwszy myśli: To Eddie. A potem przypomina sobie ów lipcowy dzień (zaledwie miesiąc temu, czy to możliwe?), kiedy w Barrens byli tylko we dwoje i większość

popołudnia spędzili na lekturze komiksów o Małej Lulu, które Eddie przyniósł z sobą. To było zabawne. Myśli o ptakach, w szczególności o gawronach, szpakach i wronach powracających wiosną, a potem jej dłonie dotykają jego paska i rozpinają go, a gdy on znów powtarza, że nie może tego zrobić – mówi mu, że może i doskonale o tym wie, a to, co teraz sama odczuwa, nie jest wstydem czy strachem, ale czymś w rodzaju triumfu.

– Gdzie? – pyta i ta twarda rzecz napiera ponaglająco na wewnętrzną część jej uda.

– Tutaj – odpowiada.

– Bevvie, ale ja będę leżał na tobie – szepcze i Bev słyszy, jak jego oddech zaczyna być świszczący.

– Myślę, że tak właśnie powinno być – mówi do niego i przytrzymuje go delikatnie, a potem wprowadza w siebie. On robi to trochę zbyt szybko i kiedy napiera do przodu, pojawia się ból.

– Ssss! – Wciąga głęboko oddech, przygryzając dolną wargę i ponownie myśli o ptakach, wiosennych ptakach siedzących rzędem na dachach domów i jednocześnie wzbijających się w zachmurzone marcowe niebo.

– Beverly? – mówi niepewnie. – Nic ci nie jest?

– Wolniej – odpowiada. – Będzie ci łatwiej oddychać.

Zwalnia i po chwili jego oddech przyspiesza, ale to nie dlatego, że jest z nim coś nie w porządku, Beverly to rozumie. Ból wygasa. I nagle on przyspiesza, nieruchomieje, sztywnieje i wydaje z siebie dźwięk – jakiś dźwięk. Czuje, że dla niego jest to coś szczególnego, coś niezwykłego, coś, co można przyrównać do… latania. Czuje się potężna… uczucie triumfu w jej wnętrzu narasta. Czy właśnie tego obawiał się jej ojciec? No i słusznie. W tym akcie tkwiła moc, moc, mogąca rozrywać okowy, sięgająca do wnętrza człowieka. Ta moc była nawet we krwi. Nie odczuwa żadnej fizycznej przyjemności, ale osiąga coś w rodzaju umysłowej ekstazy. Czuje ich wzajemną bliskość. On wtula twarz w jej szyję, a ona obejmuje go ramionami. Jednocześnie ich więź zaczyna maleć. Nie opuszcza jej, w dosłownym tego słowa znaczeniu – po prostu maleje, jakby jej ubywało. Kiedy przestaje czuć na sobie jego ciężar, siada i w ciemności dotyka jego twarzy.

– Zrobiłeś to?

– Co?

– Cokolwiek to miało być. Nie wiem dokładnie.

Kręci głową – czuje ten ruch, kiedy jej palce muskają jego policzek.

– Nie sądzę, aby to było właśnie to… o czym mówią starsi chłopcy. Ale… to było rzeczywiście coś. – Mówi cicho, żeby inni go nie słyszeli. – Kocham cię, Bevvie.

I wtedy na moment pogrąża się w niepamięci. Wie tylko, że znowu rozmawia – raz głośno, innym razem szeptem – i nie pamięta, co zostało powiedziane. To nieważne. Czy musi namawiać do tego każdego z nich? Tak. Prawdopodobnie. Ale to nieważne. Ich po prostu trzeba do tego przekonać, stworzyć to podstawowe ludzkie ogniwo pomiędzy światem a nieskończonością, jedyne miejsce, gdzie strumień krwi dotyka wieczności. To nieważne. Ważne są tylko miłość i pragnienie. Pożądanie. To miejsce w ciemności jest równie dobre jak każde inne. A może nawet lepsze.

Mike podchodzi do niej, a zaraz po nim Richie i akt powtarza się od początku. Teraz odczuwa pewną przyjemność, słabe ciepło w głębi dziewczęcego, niedojrzałego ciała, i zamyka oczy, kiedy Stan zbliża się do niej – a potem myśli o ptakach, o wiośnie i ptakach, widzi je raz po raz, olbrzymie stada ptaków siedzące na nagich gałęziach drzew, a potem wzbijające się do lotu,

trzepot ich skrzydeł kojarzy się jej z trzepotem wielu zawieszonych na linie prześcieradeł i myśli: Za miesiąc od dziś w Derry park zaroi się od dzieciaków z latawcami; będą musiały biegać, żeby sznurki ich latawców się nie poplątały.

Ponownie się zastanawia. Właśnie tym jest latanie. Przy Stanie, tak jak z pozostałymi, odczuwa coś w rodzaju wygasania, odchodzenia i nie potrafi wydobyć z przeżytego aktu tego, czego się po nim spodziewała – była tego bliska, ale raz jeszcze poniosła porażkę.

– Zrobiłeś to? – pyta ponownie i choć nie wie dokładnie, czym to jest, wie, że nie zdołał tego osiągnąć.

Po dłuższym wyczekiwaniu zbliża się do niej Ben. Drży na całym ciele, ale nie jest to drżenie strachu, jak u Stana.

– Beverly, nie mogę – mówi tonem, który miał brzmieć racjonalnie, ale brzmiał różnie, tylko nie tak, jak powinien.

– Ty również możesz. Czuję to.

Była pewna, że może. Znów pojawia się twardość – jest jej teraz więcej. Czuje to poniżej wypukłości brzucha. Rozmiar napawa ją ciekawością i delikatnie dotyka nabrzmienia w jego spodniach. Ben jęczy, wtulając twarz w jej szyję i podmuch jego oddechu sprawia, że jej

ciało pokrywa gęsia skórka. Czuje w sobie pierwsze płomyki prawdziwego żaru – nagle to wrażenie narasta, Beverly zdaje sobie sprawę, że on jest zbyt duży (*a skoro jest tak duży, jak go w siebie wprowadzę?*) dla niej i za stary. To uczucie wydaje się nieodparte. Ma wrażenie, jakby dotykała petardy Henry'ego, czegoś, co nie jest przeznaczone dla dzieci, czegoś, co może wybuchnąć i rozerwać cię na kawałki. Ale nie były to czas ani miejsce na zamartwianie się – tu panowały miłość, pożądanie i ciemność. Gdyby zabrakło w nich dwóch pierwszych, pozostałoby im wyłącznie to trzecie.

– Beverly, nie…

– Tak.

– Ja…

– Pokaż mi, jak wzbić się w powietrze – mówi ze spokojem, którego nie odczuwa. Jej policzek jest wilgotny i zdaje sobie sprawę, że Ben płacze. – Pokaż mi, Ben.

– Nie…

– Pokaż mi, jeżeli to ty napisałeś ten wiersz. Dotknij moich włosów, jeżeli chcesz. Możesz to zrobić.

– Beverly… Ja… Ja…

On już nie drży – jego ciałem wstrząsają regularne dreszcze. Ona wszakże czuje, że nie są

one spowodowane jedynie strachem; po części dygotał z powodu potwornego bólu, jaki poprzedzał cały ten akt. Myśli o (*ptakach*) jego twarzy, jego słodkim, poważnym obliczu i wie, że to nie jest strach. On czuje pragnienie, głębokie, namiętne pragnienie, które ledwo powstrzymuje, a ona znów czuje moc, ma wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu, jakby patrzyła na dół, z góry widzi całe masy ptaków na dachach domów, na antenie telewizyjnej na Wally's Spa, patrzy na ulice rozciągające się przed nią jak na mapie, och, to pożądanie, tak, to było coś, to miłość i pożądanie pozwalały ci odczuć, czym jest naprawdę latanie.

– Ben! Tak! – woła nagle i więzy zostają zerwane.

Znów czuje ból i przez moment ogarnia ją przejmujące przerażenie, że zostanie zmiażdżona. A potem on opiera się na dłoniach i ciężar znika. On jest duży – o tak – ból powraca i sięga dużo głębiej, niż kiedy Eddie wszedł w nią jako pierwszy. Znów musi przygryźć wargę i myśli o ptakach, dopóki pieczenie nie ustaje. W końcu palący ból przemija, a ona może wreszcie unieść dłoń i dotknąć jednym palcem jego warg. Ben jęczy. Żar powraca, a ona czuje, jak jej moc wpływa do jego wnętrza. Oddaje mu

ją z radością i bez żalu. Z początku ma wrażenie, jakby była kołysana, a potem przenikają ją spirale cudownej słodyczy, które sprawiają, że zaczyna bezradnie kręcić głową z boku na bok, a spomiędzy jej zaciśniętych warg wypływa jednostajne mruczenie – to jest lot, to jest, och, miłość, och, pożądanie, och, temu po prostu nie sposób się oprzeć, to połączenie, dawanie, tworzenie silnego kręgu, połączenie, dawanie… lot.

– Och, Ben, kochany, tak – szepcze, czując pot występujący na jej twarzy, czując ich więź, coś niezniszczalnego, stałego, wiecznego, pętlę nieskończoności. – Tak bardzo cię kocham, kochanie.

I wtedy czuje, jak coś zaczyna się dziać – coś, o czym dziewczęta szepczące i chichoczące na temat seksu w przebieralni nie miały zielonego pojęcia; one po prostu fantazjowały, jak okropny musi być seks, a teraz Bev zdaje sobie sprawę, że dla wielu z nich seks musi być jakimś niepojętym, nieokreślonym potworem – określały cały akt jako „to”. Czy „to” robiłaś, czy twoja siostra i jej chłopak „to” robią, czy twoi rodzice nadal „to” robią i zarzekały się, że same nigdy przenigdy nie będą „tego” robić – można przypuszczać, że wszystkie dziewczęta w piątej

klasie stanowiły materiał na stare panny i Beverly nie wątpiła, że żadna z nich nie mogła podejrzewać czegoś takiego: zakończenia pełnego niesamowitych doznań, kiedy od krzyku powstrzymywało ją jedynie wewnętrzne przekonanie, że pozostali mogliby się zacząć niepokoić, czy nie przydarzyło się jej coś złego. Przysuwa bok dłoni do ust i z całej siły zaciska zęby. Teraz nieco lepiej rozumie nerwowy śmiech, jakim reagowały Greta Bowie i Sally Mueller. Czy oni również, cała siódemka, przez większą część tego najdłuższego i najbardziej przerażającego lata w ich życiu, nie śmiali się jak szaleni? Śmiałeś się, gdyż to, co przerażające i nieznane, jest jednocześnie zabawne. Śmiałeś się jak dziecko, które jednocześnie śmieje się i płacze, kiedy klown w podskokach zbliża się ku niemu, bo wie, że to powinno być zabawne… ale „to” jest jednocześnie nieznane, pełne nieskończonej, odwiecznej siły.

Przygryzanie dłoni nie może stłumić okrzyku i zapewne uspokoi ich wszystkich – w tym także Bena – ale Beverly wydaje w ciemność okrzyk pełen aprobaty.

– Tak! Tak! Tak! – Wnętrze jej głowy wypełniły cudowne wizje lotu mieszające się

z ochrypłym skrzeczeniem gawronów i szpaków; te dźwięki stały się najsłodszą muzyką świata.

I wzbija się, wzbija się coraz wyżej, a moc nie tkwi już w niej czy w nim, ale gdzieś pomiędzy ich ciałami – a potem on krzyczy. Bev czuje drżenie jego ramion, więc wygina całe ciało w łuk, wchłaniając go jeszcze głębiej, rozkoszując się jego spazmami, jego dotykiem i intymnością, jaką zapewnił im mrok. Razem przebijają się w głąb Świateł Życia. Potem to się kończy i jeszcze przez chwilę obejmują się ramionami, a kiedy on stara się coś powiedzieć – być może chce przeprosić ją za to, że sprawił jej ból – Bev zamyka mu usta pocałunkiem i odsyła na miejsce.

Bill zbliża się do niej. Próbuje coś powiedzieć, ale jąka się tak bardzo, że właściwie nie daje rady wykrztusić ani słowa.

– Nic nie mów – prosi Bev umocniona nowym doświadczeniem, ale czuje się teraz zmęczona. Zmęczona i diabelnie poobcierana. Wnętrza i tył jej ud są lepkie. Zastanawia się, czy to dlatego, że Ben doszedł do końca, czy też może była to jej krew.

– Wszystko będzie w porządku.

– J-j-j-jesteś p-p-p-pewna?

– Tak – odpowiada i splata dłonie na karku, czując pod palcami gęste włosy. – Możesz być pewny.

– Cz-cz-cz-czy j-j-ja…

– Ciii…

Nie jest tak samo jak z Benem. Oczywiście teraz również odczuwa namiętność, ale jest to namiętność innego rodzaju. Bycie z Billem stanowi najlepszy możliwy finał tego, co się stało. Jest łagodny, czuły i niemal emanuje spokojem. Wyczuwa jego pożądanie, ale jest ono pohamowane przez strach, jaki odczuwa – strach o nią i zapewne również przez świadomość powagi tego, co właśnie robili. Być może tylko ona i Bill zdawali sobie sprawę z tego, jak ważny jest ów akt, i wiedzieli, że nigdy nie będą mogli rozmawiać na ten temat – czy to między sobą, czy z kimkolwiek innym.

Pod koniec ogarnia ją zaskakujące uczucie gwałtownego wznoszenia i ma jeszcze czas, aby pomyśleć: Och, to znowu się stanie, nie wiem, czy zdołam to znieść…

Ale jej myśli odpływają, w miarę jak ogarnia ją słodycz tego, co się dzieje – i ledwie słyszy jego szept: „Kocham cię, Bev, kocham cię i zawsze będę cię kochał”. Bill powtarza te słowa raz po raz bez zająknięcia. Przyciąga go do siebie i przez

chwilę tak pozostają, dotykając się policzkami. Potem on wysuwa się z niej bez słowa. Zostaje sama i zaczyna się ubierać; nakłada wolno swoje rzeczy, czując pulsujący ból, którego tamci, mężczyźni, nigdy nie zaznają, i z jednej strony wciąż jeszcze przeżywa niesamowitą, przejmującą rozkosz, z drugiej zaś cieszy się, że jest już po wszystkim.

Teraz czuje pustkę tam na dole i choć jest zadowolona, że jej ciało ponownie należy tylko do niej, pustka ustępuje miejsca melancholii, której nigdy nie zdoła wyrazić… chyba że pod postacią nagiego drzewa pod białym, zimowym niebem – pustego drzewa, czekającego na przylot pierwszych wiosennych ptaków, które zjawią się tu pod koniec marca, aby wziąć udział w ceremonii pogrzebowej śniegu. Odnajduje ich, wyciągając ręce w ich stronę. Przez chwilę nikt nic nie mówi, a kiedy to wreszcie następuje, wcale nie jest zdziwiona, gdy okazuje się, że mówiącym jest Eddie.

– Myślę, że kiedy wcześniej dwukrotnie skręciliśmy w prawo, popełniliśmy błąd, powinniśmy byli pójść w lewo. Jezu, wiedziałem to, ale byłem zbyt spocony i podekscytowany…

– Jak zawsze, Eds – mówi Richie. Jego głos był miły, pozbawiony wcześniejszej paniki.

– Pomyliliśmy się też w paru innych drobiazgach – mówi Eddie, ignorując go. – Ale ten ostatni był najgorszy. Jeżeli uda nam się tam wrócić, to może zdołamy się stąd wydostać.

Uformowali niezdarny szereg. Eddie szedł pierwszy, a za nim Beverly, która trzymała dłoń na jego ramieniu i czuła na swoim delikatny nacisk ręki idącego za nią Bena. Ruszyli w drogę. Tym razem Eddiego opuściło całe jego poprzednie zdenerwowanie.

Wracamy do domu, myśli Beverly i drży pod wpływem przejmującej ją ulgi i radości, do domu. Tak. I to będzie wspaniałe.

Kiedy tak idą poprzez mrok, zdaje sobie sprawę, że odgłos płynącej wody jest coraz bliższy.

ROZDZIAŁ 23
Wyjście

1

Derry: 9.00–10.00

Do dziewiątej dziesięć prędkość wiatru w Derry osiągała przeciętnie pięćdziesiąt pięć mil na godzinę, w porywach do siedemdziesięciu. Anemometr na gmachu sądu zarejestrował jeden raz podmuch o prędkości osiemdziesięciu jeden mil, a potem igła opadła do zera, kiedy obracające się łyżeczkowate urządzenie zostało zdarte z dachu i poleciało gdzieś w szary, deszczowy bezmiar poranka. Podobnie jak okręcika George'a, nigdy więcej go już nie widziano. Dwadzieścia minut później to, co jeszcze niedawno, zdaniem meteorologów, było nieprawdopodobne, stało się nie tylko

prawdopodobne, ale wręcz nieuniknione. Wyglądało na to, że Derry po raz pierwszy od sierpnia 1958 roku przeżyje prawdziwą powódź. W pięćdziesiątym ósmym wiele ze starych studzienek zostało zapchanych albo zapadło się podczas wyjątkowo dziwnej burzy. Za kwadrans dziesiąta po obu stronach kanału zatrzymały się rzędy samochodów osobowych i półciężarówek. Za ich kierownicami siedzieli mężczyźni o posępnych twarzach. Złowieszczy, porywisty wiatr szarpał sprzęt, który z sobą przywieźli. Po raz pierwszy od października 1957 roku wzdłuż betonowych brzegów kanału zaczęto układać worki z piaskiem. Woda sięgała niemal do łukowatego sklepienia, gdzie kanał wpływał pod skrzyżowanie trzech ulic stanowiące serce śródmieścia Derry; Main Street, Canal Street i podnóże Milowego Wzgórza były nieprzejezdne. Można było przedostać się tamtędy jedynie pieszo i ci, którzy spiesznie podążali w stronę kanału, aby pomóc w układaniu worków z piaskiem, czuli, jak ulice pod ich stopami drżą, wstrząsane impetem rwącej wody, tak jak biegnące górą pasmo autostrady trzęsie się, kiedy przejeżdża nim potężna ciężarówka. To była jednak regularna, jednostajna wibracja i mężczyźni cieszyli się, że

znajdują się po północnej stronie miasta, z dala od monotonnego dudnienia, które było bardziej wyczuwalne niż słyszalne. Harold Gardener zawołał Alfreda Zitnera, prowadzącego biuro handlu nieruchomościami w zachodniej części miasta, i spytał go, czy ulice się zapadną. Zitner odparł, że prędzej piekło zamarznie, niż wydarzy się coś równie absurdalnego. Haroldowi przez krótką chwilę wydawało się, że widzi Adolfa Hitlera i Judasza Iskariotę rozdających łyżwy, a potem pomagających w układaniu worków z piaskiem. Poziom wody był teraz o trzy cale niższy od betonowych nabrzeży kanału. W Barrens Kenduskeag wystąpił już z brzegów i do południa bujna roślinność porastająca ten teren będzie wystawać spod powierzchni płytkiego, cuchnącego jeziorka. Mężczyźni kontynuowali pracę i przerwali ją dopiero, kiedy skończył się zapas worków… a potem – za dziesięć dziewiąta – wszyscy zamarli, usłyszawszy potworny odgłos czegoś pękającego. Harold Gardener powiedział później żonie, że wydawało mu się, jakby nastąpił koniec świata. Ale to nie był odgłos zapadającego się pod ziemię śródmieścia Derry – jeszcze nie wtedy – to była stacja pomp. Tylko Andrew Keene, wnuk Norberta Keene’a, widział, jak to się stało, ale

tego ranka wypalił tyle trawki, że w pierwszej chwili uznał to za halucynacje. Krążył po zalanych uliczkach Derry mniej więcej od ósmej rano, a więc od chwili, gdy doktor Hale porzucił swoją ziemską praktykę i rozpoczął pełnić zaszczytne obowiązki w służbie u świętego Piotra. Był przemoczony do suchej nitki (ma się rozumieć, że woreczek z trawką, który ściskał pod pachą, był nadal suchy), ale w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. Jego oczy rozszerzyły się w wyrazie niedowierzania. Dotarł do Memorial Park, znajdującego się na obrzeżach wzgórza stacji pomp. I – chyba że się mylił – stacja pomp właśnie zaczęła się przechylać, jak ta popierdolona krzywa wieża w Pizie, którą widział na opakowaniach włoskiego makaronu. „Ojejku!”, wykrzyknął Andrew Keene, a oczy jeszcze bardziej wyszły mu z orbit (wyglądały tak, jakby z tyłu miały podczepione małe sprężynki), kiedy rozległy się pierwsze głuche trzaski. Przechył stacji się zwiększał, podczas gdy on stał w bezruchu, z dżinsami przylepiającymi się do chudych nóg i przemoczoną opaską na głowie, z której woda spływała mu wąskimi strużkami do oczu. Z wymierzonej w stronę śródmieścia ściany stacji odpadały białe płytki… nie, niezupełnie odpadały – raczej odpryskiwały.

Chwilę potem dwadzieścia stóp nad kamiennymi fundamentami stacji pojawiło się pęknięcie. Nagle przez tę szczelinę zaczęła się wylewać woda i teraz płytki już nie odpryskiwały, ale najnormalniej w świecie były zmywane ze ścian i porywane w dal przez potężną wichurę. Z wnętrza budowli dobiegł odgłos darcia i Andrew zobaczył, jak stacja przechyla się niczym nakładające się wskazówki zegarka, z godziny dwunastej przesuwające się na drugą. Woreczek z trawką wypadł mu spod pachy i wylądował w fałdach koszuli nad paskiem spodni. Nie zwrócił na to uwagi. Był zbyt pochłonięty tym, co się działo. Ze środka stacji dobiegły głuche brzęknięcia, jakby jedna po drugiej pękały struny największej gitary świata. Wewnątrz walca znajdowały się kable zapewniające właściwe rozłożenie ciśnienia wody na ściany stacji. Potężna budowla zaczęła pochylać się coraz szybciej i szybciej – deski i belki pękały z trzaskiem, drzazgi unosiły się i wirowały w powietrzu. „Ożeż kurwaaaaa!”, wrzasnął Andrew Keene, ale jego głos utonął w łoskocie przewracającej się stacji pomp i narastającym ryku prawie dwóch milionów galonów wody – siedmiuset tysięcy ton wody chlustającej ze szczelin w uszkodzonej ścianie

budowli. Powstała przy tym regularna szara fala pływowa i rzecz jasna, gdyby Andrew Keene znajdował się teraz u stóp wzgórza pod stacją, w mgnieniu oka zostałby zmyty z powierzchni ziemi. Jednak Bóg chyba darzy swymi łaskami pijaków, małe dzieci i naćpanych po uszy narkomanów; Andrew znajdował się w miejscu, skąd mógł wszystko dokładnie obserwować, a jednocześnie nie dosięgła go tam ani jedna kropla wody ze zbiornika. „Ale, kurwa, efekty specjalne!”, wrzasnął Andrew, kiedy ściana wody przetoczyła się przez Memorial Park niczym ciało stałe, zabierając z sobą zegar słoneczny, obok którego zatrzymywał się często mały Stan Uris i skąd przez lornetkę ojca obserwował ptaki.

Niech się schowa Steven Spielberg! Kamienny brodzik również został zmyty. Andrew widział go przez moment – wielki talerz obracający się raz po raz do góry dnem, a potem znikający pośród spienionej kąpieli. Rząd klonów i brzóz, który oddzielał Memorial Park od Kansas Street, runął niczym przewrócone kulą kręgle. Wraz z nimi fala powaliła kilkanaście słupów wysokiego napięcia. Woda zalała ulice i zaczęła rozszerzać swój zasięg. Dopiero teraz przestała wyglądać jak solidna, twarda ściana, która pochłonęła zegar słoneczny, brodzik dla ptaków i drzewa, ale

nadal miała dość siły, by zmyć prawie tuzin domów znajdujących się na skraju Kansas Street i strącić je do Barrens. Andrew Keene rozpoznał jeden z nich jako należący do rodziny Karla Massensika. Pan Massensik był jego nauczycielem w szóstej klasie i prawdziwą świnią; kiedy jego dom był znoszony w dół ulicy i osuwał się po zboczu w głąb Barrens, Andrew zdał sobie sprawę, że nadal widzi, jak w jednym z okien pali się jasno pojedyncza świeczka, i przez chwilę zastanawiał się, czy siłą umysłu zdołałby rozpalić ją jeszcze bardziej – jeżeli rozumiecie, o co mu w danej chwili chodziło. W Barrens nastąpił wybuch i w niebo buchnął potężny, żółty jęzor płomieni, kiedy czyjaś lampa Colemana zapaliła benzynę z uszkodzonego zbiornika. Andrew patrzył na przeciwległą stronę Kansas Street, gdzie jeszcze czterdzieści sekund temu stał równy rząd schludnych willowych domków. Teraz znajdowało się tam Przeniesione Miasto i nie było w tym ani cienia przesady. Ich miejsce zajmowało obecnie dziesięć otworów piwnicznych, które wyglądały jak baseny. Andrew chciał podzielić się ze wszystkimi wrażeniami na ten temat, ale nie miał już sił krzyczeć. Wyglądało na to, że jego krtań została chwilowo zużyta, a przepona

wydawała się słaba i bezużyteczna. Słyszał serię głuchych trzasków, zupełnie jakby gdzieś wysoko po niebie przechadzał się olbrzym w butach wypełnionych petardami. To stacja pomp staczała się w dół wzgórza – olbrzymi biały zbiornik, z którego nadal tryskała woda – a przymocowane doń grube kable strzelały w powietrze niczym stalowe bicze i ryły w miękkiej ziemi głębokie bruzdy, które natychmiast wypełniały się strugami deszczowej wody. Kiedy Andrew przyglądał się temu, stojąc z pochyloną głową, niemal dotykając brodą klatki piersiowej, stacja, tocząca się teraz pionowo, mająca ponad sto dwadzieścia stóp długości, nagle wyprysnęła w powietrze. Wydawało się, że znieruchomiała tam na chwilę – surrealistyczna wizja, jakby wyjęta wprost z umysłu szaleńca – z kropelkami wody błyszczącymi na potrzaskanych bokach, resztkami wytłuczonych okien, otwartymi okiennicami i wciąż błyskającą lampą na szczycie (której zadaniem było ostrzeganie nisko przelatujących samolotów), a potem runęła na ulicę przy wtórze ostatniego, rozdzierającego uszy trzasku. Poziom wody na Kansas Street znacznie się podniósł i obecnie fala zmierzała

w dół zbocza Milowego Wzgórza ku rozciągającemu się w oddali śródmieściu.

Tam są domy, pomyślał Andrew Keene i nagle jego nogi zrobiły się miękkie jak z waty. Usiadł z głośnym plaśnięciem na tyłku. Spojrzał na zniszczone kamienne fundamenty w miejscu, gdzie przez całe jego życie wznosił się potężny zbiornik stacji pomp. Zastanawiał się, czy ktokolwiek mu uwierzy. I zastanawiał się, czy zdoła uwierzyć samemu sobie.

2

Zabicie – 10.02
31 maja 1985

Bill i Richie zobaczyli, jak To odwraca się w ich stronę, żuwaczki otwierają się i zamykają na przemian, jedyne zdrowe ślepie spogląda na nich i naraz Bill uświadomił sobie, że z wnętrza oka płynął blask niczym z ohydnego robaczka świętojańskiego. Tylko że to światło było słabe i migoczące. Niepewne. To było ciężko ranne. Myśli Tego brzęczały i hulały („zostawcie mnie! zostawcie mnie, a dam wam wszystko, czego kiedykolwiek pragnęliście, pieniądze, sławę,

szczęście, władzę, mogę wam to dać”) we wnętrzu jego głowy.

Bill podszedł bliżej; wpatrując się w jedyne ślepie Tego. Czuł, jak narasta w nim moc – to go pochłaniało, sprawiało, że mięśnie ramion napinały się, a pięści zaciskały samorzutnie; Richie szedł obok niego, jego wargi rozchyliły się, ukazując zaciśnięte zęby. („Mogę zwrócić ci żonę – mogę to zrobić, tylko ja mogę tego dokonać, a ona nie będzie niczego pamiętać, tak jak cała wasza siódemka”).

Byli już blisko – bardzo blisko. Bill czuł fetor Tego i nagle uświadomił sobie ze zgrozą, że to była woń Barrens, odór, który brali do tej pory za smród ścieków, zanieczyszczonych strumieni i płonącego śmietniska… ale czy kiedykolwiek rzeczywiście w to wierzyli? To była woń Tego i być może w Barrens jej moc była silniejsza, ale przecież ten fetor unosił się jak chmura nad całym Derry, tylko że ludzie go nie czuli – tak jak dozorcy w zoo po jakimś czasie przestają czuć odór zwierząt, a nawet dziwią się, dlaczego zwiedzający marszczą nosy z obrzydzeniem.

– Obaj – mruknął do Richiego, a Richie, nie odrywając wzroku od Pajęczycy, która teraz cofała się przed nimi, pokiwał głową. Przerażające, owłosione odnóża osaczonej

Pajęczycy klekotały o podłogę („Nie mogę was obdarzyć wiecznym życiem, ale mogę was dotknąć i będziecie żyć długo, naprawdę długo – dwieście, trzysta, a może nawet pięćset lat; mogę was uczynić bogami ziemi, jeżeli tylko pozwolicie mi odejść, jeśli tylko pozwolicie mi odejść, jeśli tylko mi pozwolicie").

– Bill? – odezwał się ochrypłym głosem Richie.

Czując narastający w sobie okrzyk, Bill zaatakował. Richie biegł tuż obok niego. Uderzyli obaj prawymi pięściami, ale Bill zdał sobie sprawę, że ran tych naprawdę nie zadawali dłońmi – to była ich połączona moc, wzmocniona mocą Innego, to była moc wspomnień i pożądania; przede wszystkim główną siłą napędową była tu moc miłości i niezapomnianego dzieciństwa.

Wrzask Pajęczycy wypełnił wnętrze głowy Billa, rozsadzając jego umysł. Czuł, jak jego pięść pogrąża się głęboko w wijącą się wilgotność. Jego ręka zagłębiła się aż po ramię. Wyszarpnął ją, ociekającą czarną krwią Pajęczycy. Z zadanej przez niego rany buchnął strumień posoki. Zobaczył Richiego, który niemal całkowicie tonął pod napęczniałym, pokrytym ciemną, migotliwą krwią ciałem Tego i przyjąwszy postawę

bokserską, wymierzał cios za ciosem. Jego pięści również ociekały czarną posoką.

Pajęczyca zaatakowała ich swymi odnóżami. Bill poczuł, jak jedno z nich go dosięga i rozrywając koszulę, rozdziera mu również skórę na boku. Kolec jadowy Tego bezużytecznie uderzał w podłogę. Krzyki stwora brzmiały w jego głowie niczym dzwony na trwogę. To niezdarnie rzuciło się do przodu, próbując go ugryźć, ale Bill, zamiast się cofnąć, zaatakował i tym razem nie uderzał już pięściami, ale całym ciałem, jak żywa torpeda. Wbił się w żołądek Tego niczym zawodnik drużyny futbolowej, który skuliwszy głowę w ramionach, pędzi przed siebie i zmiata wszystko, co stanie mu na drodze. Przez chwilę miał wrażenie, że cuchnące ciało Tego po prostu zamortyzuje uderzenie, a on odbije się od niego i poleci w bok. Z nieartykułowanym okrzykiem naparł mocniej do przodu, dźgając uniesionymi dłońmi; kiedy przebił się przez skórę Tego, zalała go struga gorących płynów. Spłynęły mu po twarzy, wlały się do uszu. Wciągnął wąskie, wijące się strużki płynów do nosa. Znów znalazł się w czerni, pogrążając się po ramiona we wstrząsanym konwulsjami ciele Tego. W zatkanych uszach pobrzmiewało mu jednostajne „ba-bach, ba-

bach”, jak odgłos bębna, który otwiera paradę, kiedy cyrk ze swym gabinetem osobliwości i zespołem pląsających klownów wjeżdżał do miasta. Bicie serca Tego. Usłyszał, jak Richie wydał z siebie gwałtowny okrzyk bólu, dźwięk, który zmienił się w krótki, łapczywy jęk i umilkł jak ucięty nożem. Dusił się, dławił się w pulsującym worku wnętrzności i płynów ustrojowych Tego.

Ba-bach, ba-bach.

Wbił w To ręce, rozrywając, szarpiąc, rozdzierając, w poszukiwaniu źródła tego dźwięku, uszkadzając narządy, jego śliskie od krwi palce otwierały się i zamykały, a uwięziona klatka piersiowa puchła jak balon z braku powietrza.

Ba-bach, Ba-bach.

I nagle to znalazło się w jego rękach, wielka żyjąca istota, która przetaczała krew i pulsowała w jego dłoni, poruszając nią w przód i w tył.

(„Nienienienienienienienienie”).

– Tak! – krzyknął Bill, dławiąc się i prawie tonąc w posoce. – Tak! Spróbuj tego, ty dziwko! Popróbuj sobie! Jak ci się to podoba? Podoba ci się? Co ty na to?

Splótł palce na pulsującym mięśniu serca Tego, układając dłonie na kształt odwróconego V,

i złożył je razem, wkładając w ten ruch całą swoją siłę. Rozległ się jeszcze jeden, już ostatni wrzask bólu i strachu, podczas gdy serce Tego eksplodowało mu w dłoniach i zwisło długimi, włóknistymi strzępami pomiędzy jego palcami.

Ba-bach, Ba-ba…

Okrzyk gasł. Słabł coraz bardziej. Bill poczuł, jak ciało Tego zaciska się gwałtownie wokół niego niczym dłoń we wnętrzu rękawicy. Zdał sobie sprawę, że ciało Tego przechyla się powoli na jedną stronę. W tej samej chwili, kiedy zaczął się wycofywać, stracił przytomność. Pajęczyca runęła na bok – olbrzymia sterta parującego, obcego mięsa. Odnóża Tego wciąż jeszcze podrygiwały konwulsyjnie, drapiąc ściany tunelu i przesuwając się chaotycznie po podłodze.

Bill podniósł się chwiejnie, wciągając łapczywie powietrze krótkimi, urywanymi haustami i spluwając raz po raz, usiłując pozbyć się ohydnego smaku Tego, jaki przez cały czas czuł w ustach. Potknął się o własne stopy i upadł na kolana. I wtedy wyraźnie usłyszał głos Innego; Żółw być może umarł, ale nie ulegało wątpliwości, że Inny – jego stwórca – żyje i miewa się dobrze. „Synu, wykonałeś świetną robotę”.

A potem zniknął. Wraz z nim znikła również moc. Czuł się słaby, było mu niedobrze i znajdował się na granicy obłędu. Obejrzał się przez ramię i zobaczył umierającą czarną, upiorną Pajęczycę, wciąż jeszcze drgającą i wstrząsaną gwałtownymi skurczami.

– Richie! – wykrzyknął ochrypłym, łamiącym się głosem. – Richie, gdzie jesteś, stary?

Nie było odpowiedzi. Światło wygasło. Umarło wraz z Pajęczycą. Zaczął grzebać w kieszeni swej podartej koszuli w poszukiwaniu ostatniego pudełka zapałek. Znalazł je, ale nie chciały się zapalić; główki rozmiękły od krwi.

– Richie! – krzyknął ponownie i nagle się rozpłakał. Zaczął pełznąć przed siebie, macając w ciemnościach najpierw jedną, a potem drugą ręką. Wreszcie jedna z nich natrafiła na coś, co ugięło się nieznacznie pod jego naciskiem. Przesunął po tym dłońmi… i znieruchomiał, gdy dotknął nimi twarzy Richiego. – Richie! Richie!

Nadal brak było odpowiedzi. Szamocząc się w ciemnościach, Bill wsunął jedną rękę pod plecy, a drugą pod kolana Richiego. Potem podniósł się chwiejnie i niepewnym krokiem, niosąc Richiego na rękach, ruszył w powrotną drogę.

3

Derry – 10.00–10.15

O dziesiątej jednostajna wibracja przenikająca ulice śródmieścia Derry urosła do rozmiarów przerażającego dudnienia. W „Derry News” napiszą później, że podziemna część wsporników kanału, która musiała ulec osłabieniu wskutek dzikiego naporu gwałtownej powodzi, po prostu się zapadła. Rzecz jasna byli i tacy, którzy nie zgadzali się z tą teorią.

– Byłem tam, to wiem – powiedział później żonie Harold Gardener. – To, że wsporniki kanału się zapadły, nie jest zupełnie zgodne z prawdą. To było trzęsienie ziemi. Ni mniej, ni więcej, tylko trzęsienie ziemi.

Tak czy inaczej, rezultat był jednakowy. W miarę jak jednostajny grzmot narastał, zaczęły pękać szyby w oknach, potem zapadło się kilka stropów, a następnie do przerażającego chórku dołączył okropny trzask belek i fundamentów. Siateczka pęknięć przesunęła się ku górze, po upstrzonej dziurami od kul fasadzie sklepu Machena, niczym przesuwające się coraz wyżej dłonie. Kable podtrzymujące markizę kina Aladyn popękały i markiza z trzaskiem runęła na ulicę.

Richard’s Alley, biegnąca na tyłach drugstore’u przy Center Street, wypełniła się nagle lawiną żółtych cegieł, kiedy runął budynek Brian X Dowd Professional, wzniesiony w 1952 roku. W powietrze wzbiła się potężna chmura żółtawego pyłu i uniesiona wichurą pomknęła w dal niczym wielki welon. W tym samym czasie posąg Paula Bunyana stojący na City Center eksplodował. Zupełnie jakby nauczycielka, która od tak dawna odgrażała się, że go zniszczy, w końcu dotrzymała słowa. Brodata, uśmiechnięta głowa wyprysnęła pionowo w górę. Jedna noga poleciała do przodu, a druga do tyłu, tak jak gdyby Paul nazbyt entuzjastycznie przystąpił do wykonania szpagatu i jego ciało rozdarło się na kawałki. Korpus pomnika zmienił się w wielką chmurę odłamków, a plastikowa siekiera wzbiła się w deszczowe niebo, zniknęła, a potem, cały czas się obracając, ponownie spadła na ziemię, przebijając konstrukcję Mostu Pocałunków.

Potem zaś, dwie minuty po dziesiątej, śródmieście Derry po prostu się zapadło. Większość wody ze zniszczonego zbiornika stacji pomp spłynęła po Kansas Street i trafiła do Barrens, ale tony spienionej kipieli stoczyły się po zboczu Milowego Wzgórza do śródmieścia.

Być może to była kropla, która przepełniła czarę… a może, tak jak Harold Gardener powiedział swojej żonie, rzeczywiście doszło tam do trzęsienia ziemi. Na Main Street pojawiły się pęknięcia. Z początku były wąskie, a potem zaczęły się rozwierać niczym wygłodniałe usta i z ich wnętrza wydobył się huczący odgłos wód kanału – tyle że już nie przytłumiony, lecz przerażająco głośny. Wszystko zaczęło się trząść. Neon z napisem: „Duży wybór mokasynów” przed sklepem z pamiątkami Shorty’ego Squiresa wylądował na ulicy i znikł w wysokiej na trzy stopy wodzie. Parę chwil potem budynek Shorty’ego stojący tuż obok księgarni zaczął się obniżać. Buddy Angstrom pierwszy zaobserwował to zjawisko. Szturchnął Alfreda Zitnera, który spojrzał na to z rozdziawionymi ustami, a potem dał znać Haroldowi Gardenerowi. W ułamku sekundy operacja układania worków z piaskiem została zakończona. Mężczyźni po obu stronach kanału tylko stali i z identycznymi wyrazami twarzy, na których malowały się zdziwienie i zgroza, patrzyli w stronę śródmieścia, chłostanego strugami deszczu. Wyglądało, jakby budynek Squire’s Souvenirs and Sundries był osadzony na potężnej windzie, która właśnie zaczęła zjeżdżać

w dół. Zanurzył się w solidnym, na pozór, betonie z powolnym, majestatycznym dostojeństwem.

Kiedy się zatrzymał, można było na czworakach wejść do środka przez jedno z okien drugiego piętra. Wokół budynku ze wszystkich stron biły w górę gejzery wody, a zaraz potem na dachu pojawił się sam Shorty, szaleńczo wymachując rękami i wzywając pomocy. Jednak już chwilę później dom został roztarty na miazgę, kiedy zawalił się stojący tuż obok biurowiec – ten, w którym na parterze mieściła się księgarnia. Na nieszczęście nie pogrążył się w ziemi tak jak gmach ze sklepem Shorty'ego. Biurowiec przechylił się (i przez chwilę wykazywał spore podobieństwo do tej cholernej krzywej wieży w Pizie, która widnieje na opakowaniach włoskiego makaronu). Kiedy się pochylał, z góry i z bocznych ścian posypał się grad cegieł. Shorty został trafiony przez kilka z nich. Harold Gardener widział, jak tamten przewraca się do tyłu, chwytając się rękami za głowę – a potem z gmachu biurowca gładziutko jak naleśniki osunęły się trzy górne piętra. Shorty zniknął, któryś ze stojących przy workach mężczyzn krzyknął, a potem wszystko utonęło w ogłuszającym ryku zniszczenia. Mężczyźni padali na ziemię, a ci, którzy zdołali ustać, na

uginających się, chwiejnych nogach oddalali się od kanału.

Harold Gardener zobaczył, jak stojące naprzeciw siebie budynki po obu stronach Main Street pochylają się ku sobie jak stare kobiety kibicujące grającym w karty, niemal stykające się głowami. Ulica zaczęła się zapadać, zalewała ją woda. Pokrywała coraz szersze pęknięcia i coraz głębsze szczeliny. Rozlewała się coraz szerzej. Bryzgała w górę szarawymi strugami. I nagle, jeden po drugim, domy po obu stronach ulicy zaczęły się przechylać i osuwać. Po kolei runęły budynki Northeast Bank, The Shoeboat, Alvey's Smokes 'n Jokes, Bailley's Lunch, Bandler's Record i Music Barn. Nie było już ulicy, na którą mogłyby się zwalić. Ulica zapadła się w głąb kanału, rozciągając się z początku niczym toffi – a potem rozpadając się na wielkie, postrzępione spłachcie asfaltu. Harold zobaczył, jak w pewnym momencie pod ziemią znika cała wysepka przy skrzyżowaniu trzech ulic, a zaraz później w górę strzelił potężny słup wody. Nagle Harold zorientował się, co się stanie.

– Musimy się stąd wynieść! – krzyknął do Ala Zitnera. – Zaraz uderzy przeciwny prąd! Al! Zaraz uderzy przeciwny prąd!

Al Zitner nie sprawiał wrażenia, że go usłyszał. Miał twarz lunatyka albo raczej człowieka pogrążonego w głębokiej hipnozie. Stał w przemoczonej czerwono-niebieskiej kraciastej kurtce, rozpiętej pod szyją koszulce Lacoste'a z aligatorkiem na lewej piersi, niebieskich skarpetkach z wyszywanymi po bokach skrzyżowanymi kijami golfowymi i brązowych butach L.L. Bean's na gumowych podeszwach. Patrzył, jak jego inwestycja, warta może z milion dolarów, zapada się pod ziemię, podobnie jak trzy- czy czteromilionowe inwestycje jego przyjaciół – ludzi, z którymi grywał w pokera, golfa, z którymi czasami jeździł na narty do Rangely. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, jego rodzinne miasto Derry w stanie Maine zmieniło się w jakąś cholerną Wenecję! Pomiędzy budynkami, które jeszcze stały, szalała skłębiona kipiel. Canal Street kończyła się postrzępioną, czarną trampoliną wznoszącą się ponad brzegiem rozszalałego jeziora. W sumie nic dziwnego, że Zitner nie usłyszał Harolda. Wielu mężczyzn wszakże doszło do tego samego wniosku co Gardener – że nic tu po nich. Niektórzy upuścili worki z piaskiem, które nieśli, i czym prędzej wzięli nogi za pas. Harold Gardener był jednym z nich –

dlatego przeżył. Inni nie mieli tyle szczęścia i nadal znajdowali się w rejonie centrum, podczas gdy kanał, którego gardziel zapchała się tonami asfaltu, betonu, cegieł, cementu, szkła i towarów wartości około czterech milionów dolarów, rzygnął tą mieszanką spomiędzy swych betonowych ust, pochłaniając zarówno ludzi, jak i worki z piachem. Harold miał wrażenie, że fala go dopadnie – niezależnie od tego, jak szybko biegł, woda w dalszym ciągu go doganiała. W końcu uszedł z życiem, wspinając się po stromym zboczu nasypu, porośniętym gęstymi zaroślami. Raz obejrzał się za siebie i chyba zobaczył Rogera Lernerda, szefa działu pożyczek w Credit Union Harolda, próbującego uruchomić samochód na parkingu przy Minicentrum Handlowym. Nawet poprzez ryk wody i zawodzenie potwornej wichury Harold słyszał, jak silnik K-cara prycha, a potem czarna ściana wody obmywa wóz ze wszystkich stron. Później zaś, przy wtórze przeraźliwego, przypominającego grzmot łoskotu, Kenduskeag wystąpił z brzegów, zmywając jednocześnie budynek Minicentrum Handlowego i jasnoczerwony K-car Rogera Lernerda. Harold znów zaczął się wspinać, chwytając się gałęzi, korzeni, wszystkiego, co mogło utrzymać jego

ciężar. Musiał dotrzeć jak najwyżej, tylko tak zdoła przetrwać. Jak powiedziałby Andrew Keene, tego ranka Harold Gardener naprawdę zrozumiał zalety bycia na szczycie. Słyszał, jak w oddali za jego plecami śródmieście Derry zapada się pod ziemię. Dźwięk, jaki temu towarzyszył, przypominał huk wystrzału artyleryjskiego.

4

Bill

– Beverly! – krzyknął. Jego plecy i ramiona pulsowały regularnym bólem. Zdawało się, że Richie waży teraz prawie pięćset funtów.

No to go zostaw, wyszeptał jego umysł. On nie żyje. Dobrze o tym wiesz, więc czemu go po prostu nie zostawisz? Ale on nie mógł i nie chciał tego zrobić.

– Beverly! – zawołał ponownie. – Ben! Ktokolwiek!

To właśnie tu To mnie wrzuciło, mnie i Richiego, pomyślał, ale teraz cisnęło nas dużo dalej. Jak to właściwie było? Zaczynam zapominać… tracę to…

– Bill? – To był głos Bena, drżący i wyczerpany. Dochodził z niedaleka. – Gdzie jesteś?

– Tutaj, stary. Mam Richiego. On… on jest ranny.

– Mów dalej. – Ben był teraz bliżej. – Mów dalej, Bill.

– Zabiliśmy To – powiedział Bill, podchodząc do miejsca, skąd dochodził głos Bena. – Zabiliśmy tę dziwkę. I jeśli Richie nie żyje…

– Nie żyje?! – zawołał zaniepokojony Ben. Był naprawdę blisko… a potem jego dłoń wysunęła się z mroku i musnęła nos Billa. – Co masz na myśli, mówiąc „nie żyje”?

– Ja… on… – Teraz obaj podtrzymywali Richiego. – Nie widzę go – rzekł Bill. – Otóż to. Nie m-mogę go zobaczyć!

– Richie! – krzyknął Ben i potrząsnął nim. – No, dawaj, Richie! Dawaj! – Głos Bena stawał się drżący. – Dawaj, do cholery! Obudzisz się wreszcie czy nie! Zbudź się!

I nagle z ciemności dobiegł ich zaspany, mamroczący głos Richiego.

– W borządku, Haystack. W borządku. Nie potrzebować żadne łaźnie.

– Richie! – krzyknął Bill. – Richie, nic ci nie jest?

– Ta dziwka mną rzuciła – mruknął Richie tym samym zmęczonym, zaspanym głosem. – Uderzyłem w coś twardego. To… wszystko, co pamiętam. Gdzie Bevvie?

– Tam – rzekł Ben i opowiedział im błyskawicznie o jajach. – Rozgniotłem ponad setkę. Myślę, że wszystkie.

– Módlmy się, aby tak było – powiedział Richie. Wyglądało, że jego stan się polepsza. – Postaw mnie, Wielki Billu. Mogę chodzić… Czy mi się wydaje, czy szum wody zrobił się głośniejszy?

– Tak – odparł Bill, trzymając się w ciemności za ręce z Benem i Richiem. – Co z twoją głową?

– Boli jak diabli. Co się stało po tym, jak mi się film urwał?

Bill powiedział im tyle, ile wiedział.

– I To nie żyje – mruknął Richie, nie ukrywając zdziwienia. – Jesteś pewien, Bill?

– Tak. T-tym razem jestem p-p-pewny.

– Dzięki Bogu – rzekł Richie. – Przytrzymaj mnie, Bill, muszę się wyrzygać.

Kiedy Richie skończył, ruszyli dalej. Raz po raz trafiał stopą w coś kruchego, odkopując to w ciemność. Przypuszczał, że były to resztki jaj Pajęczycy rozgniecionych przez Bena, i na myśl o tym aż się wzdrygnął. Dobrze było wiedzieć, że posuwali się we właściwym kierunku, ale w głębi

duszy cieszył się, że nie musi oglądać tych szczątków.

– Beverly! – krzyknął Ben. – Beverly!

– Tutaj! – Jej krzyk był słaby i niemal niknął w jednostajnym ryku pędzącej wody. Szli dalej przed siebie w ciemność, nawołując ją regularnie i ustalając miejsce, w którym się obecnie znajdowała.

Kiedy wreszcie do niej dotarli, Bill spytał, czy zostało jej jeszcze parę zapałek. Trzymała w ręku pół paczki. Zapalił jedną i ich twarze rozbłysły w upiornym, migotliwym płomyku – dopiero teraz mógł ich zobaczyć: Bena, obejmującego ramieniem Richiego, który słaniał się na nogach i z którego prawej skroni spływała krew, oraz Beverly, z głową Eddiego na podołku. Potem obrócił się w drugą stronę. Na kamiennych płytach – z rozsuniętymi nogami i głową odwróconą w bok – leżała zwinięta w kłębek Audra. Pajęczyna pokrywająca jej ciało prawie się już wytopiła. Zapałka sparzyła mu palce i upuścił ją. W ciemności błędnie ocenił odległość, potknął się i o mały włos wylądował na ziemi.

– Audro! Audro! S-s-słyszysz mnie?

Podłożył jej rękę pod plecy i uniósł do pozycji siedzącej. Wsunął dłoń w kaskadę rudych

włosów i przyłożył palce do boku szyi. Wyczuł puls. Był spowolniony, ale regularny. Zapalił kolejną zapałkę i w jej świetle zauważył, że źrenice Audry się zwęziły. Był to jednak zwykły odruch – wyraz jej oczu nie zmienił się ani trochę, nawet gdy przysunął zapałkę tak blisko twarzy, że skóra się zaczerwieniła. Audra żyła, ale nie reagowała. Była absolutnie nieczuła. Jej stan był bardzo, bardzo poważny i Bill zdawał sobie z tego sprawę. Audra zapadła w katatonię. Następna zapałka sparzyła mu palce. Zgasił ją.

– Bill, nie podoba mi się ten ryk wody – rzekł Ben. – Myślę, że powinniśmy się stąd wynosić.

– Jak sobie poradzimy bez Eddiego? – mruknął Richie.

– Damy sobie radę – powiedziała Bev. – Bill, Ben ma rację. Musimy stąd zmykać.

– Zabieram ją.

– Oczywiście, ale musimy iść już teraz, zaraz.

– Którędy?

– Będziesz wiedział – powiedziała łagodnym tonem Beverly. – Zabiłeś To. Będziesz wiedział, Bill.

Podniósł Audrę, tak jak wcześniej Richiego, i zbliżył się do pozostałych. Trzymając ją w ramionach, odczuwał dziwny niepokój i strach,

jakby przyszło mu nieść oddychającą figurę woskową.

– Którędy, Bill? – zapytał Ben.

– N-n-nie…

(*będziesz wiedział, zabiłeś To, będziesz wiedział*)

– No to ruszajmy – rzekł Bill. – Zobaczmy, czy uda się nam stąd wydostać. B-b-beverly, łap. – Rzucił jej zapałki.

– A co z Eddiem? – spytała. – Musimy go stąd zabrać.

– J-j-jak? – zapytał Bill. – To… Beverly, to miejsce się r-r-rozpada.

– Musimy go stąd zabrać, stary – rzekł Richie. – Pomóż mi, Ben.

We dwóch unieśli ciało Eddiego. Beverly oświetliła im drogę do baśniowych drzwi. Bill przeniósł przez nie Audrę, starając się nie dotknąć ciałem podłogi. Richie i Ben przeciągnęli na drugą stronę zwłoki Eddiego.

– Połóżcie go – powiedziała Beverly. – Może tu zostać.

– Tu jest za ciemno – wychlipał Richie. – Ale… wiesz… tu jest zbyt ciemno. Eds… on…

– Nie. W porządku – wtrącił Ben. – Może właśnie tak ma być. W każdym razie tak mi się wydaje.

Położyli go na ziemi, a Richie pocałował Eddiego w policzek. Potem spojrzał niewidzącym wzrokiem na Bena.

– Jesteś pewny?

– Tak. Chodź, Richie.

Richie wstał i odwrócił się w stronę drzwi.

– Pieprz się, dziwko! – wykrzyknął nagle i z całej siły kopnął w otwarte drzwi. Zatrzasnęły się z głuchym trzaskiem.

– Czemu to zrobiłeś? – spytała Beverly.

– Nie wiem – odparł Richie, choć w gruncie rzeczy nie była to prawda. Dobrze wiedział, czemu to zrobił. Obejrzał się przez ramię, podczas gdy trzymana przez Beverly zapałka zgasła.

– Bill, znak na drzwiach…

– Co z nim?

– Zniknął – odparł Richie.

5

Derry – 10.30

Oszklony korytarz łączący bibliotekę dla dorosłych z biblioteką dziecięcą eksplodował nagle w pojedynczym, oślepiającym błysku światła. Szkło rozprysło się wokoło, chłoszcząc

gradem odłamków umęczone wichurą drzewa otaczające tereny biblioteki. Ktoś mógł zostać ciężko ranny, a nawet zabity podczas tego niesamowitego deszczu ostrych kawałków szkła, ale na szczęście zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz nie było żywej duszy. Tego dnia biblioteki w ogóle nie otwarto. Tunel, który tak bardzo fascynował w dzieciństwie Bena Hanscoma, nigdy nie został odtworzony. Derry uległo tak poważnym zniszczeniom, że prościej było pozostawić dwa budynki rozdzielone. W późniejszym czasie okaże się, że żaden z członków rady miejskiej nie pamięta, do czego właściwie służył ów przeszklony korytarz. Być może jedynie Ben mógłby im powiedzieć, co się czuło, stojąc na zewnątrz w mroźny styczniowy wieczór, obserwując ludzi kręcących się w środku to w jedną, to w drugą stronę – i podczas gdy tobie było zimno, ciekło ci z nosa i traciłeś czucie w koniuszkach palców stóp, oni wszyscy tam wewnątrz, choć była zima, nie mieli na sobie ciepłych kurtek i spowijało ich ciepłe, miodowe światło. Mógłby im to wszystko powiedzieć… ale przypuszczalnie opowieści o tym, jak stałeś w zimnych ciemnościach i nauczyłeś się kochać światło, nie należą do ulubionych tematów poruszanych podczas

zebrań rady miejskiej. Niezależnie od wszystkiego fakty przedstawiały się następująco – szklany korytarz eksplodował bez żadnego widocznego powodu, nikt nie został ranny (co było swoistym błogosławieństwem, jako że w wyniku burzy straciło życie ogółem sześćdziesiąt siedem osób, a ponad trzysta dwadzieścia doznało ciężkich obrażeń) i nigdy nie został on odbudowany. Po 31 maja 1985 roku, kiedy chciałeś przejść z biblioteki dla dorosłych do biblioteki dziecięcej, musiałeś wyjść na zewnątrz. Jeśli było zimno, lało albo padał śnieg, chcąc nie chcąc, wkładałeś kurtkę.

6

Wyjście – 10.54
31 maja 1985

– Poczekajcie – wysapał Bill. – Dajcie mi chwilę… odpocząć.

– Pomogę ci – powtórzył Richie.

Zostawili Eddiego w kryjówce Pajęczycy i żadne z nich nie chciało o tym rozmawiać. Ale Eddie był martwy, a Audra żyła – w każdym razie formalnie.

– Zrobię to – rzekł Bill, łapczywie chwytając powietrze.

– Chrzanisz, dostaniesz zawału. Pozwól, że ci pomogę, Wielki Billu.

– J-j-jak twoja g-głowa?

– Boli – rzekł Richie. – Nie zmieniaj tematu.

Bill z pewnym wahaniem pozwolił, aby Richie wziął od niego Audrę. Mogło być gorzej; Audra była wysoką kobietą, ważącą zwykle około stu czterdziestu funtów. Jednakże w *Pokoju na poddaszu* miała zagrać rolę młodej dziewczyny przetrzymywanej przez psychopatę, utożsamiającego się z politycznym terrorystą. Ponieważ Freddie Firestone chciał najpierw nakręcić wszystkie sekwencje na poddaszu, Audra przeszła na dietę – drób, sery, tuńczyk – i straciła dwadzieścia funtów. Mimo to, dźwigając ją w ciemności przez ćwierć mili, miało się wrażenie, że te sto dwadzieścia funtów przeradza się w dwieście.

– Dzięki, s-s-stary – powiedział.

– Nie ma za co. Potem twoja kolej, Haystack.

– Bip-bip, Richie – rzekł Ben, a Bill uśmiechnął się wbrew sobie. To był zmęczony i krótki uśmiech, ale lepszy taki niż żaden.

– W którą stronę, Bill? – spytała Beverly. – Szum wody jest głośniejszy niż kiedykolwiek. Nie

chciałabym tu utonąć.

– Najpierw prosto, a potem w lewo – rzekł Bill. – Może spróbujmy trochę przyspieszyć.

Szli przez pół godziny. Bill wołał głośno, kiedy mieli skręcać. Szum wody narastał, aż w końcu niemal ich otaczał w ciemnościach, zupełnie jakby gdzieś w pobliżu rozstawiano sprzęt dolby stereo. Bill wyszedł zza załomu muru, trzymając się jedną ręką wilgotnej, ceglanej ściany. Nagle woda zalała mu buty. Poziom wody był niski, ale prąd dosyć szybki.

– Daj mi Audrę – powiedział do Bena, który głośno sapał. Teraz idziemy pod prąd. – Ben ostrożnie podał Audrę Billowi, który przerzucił ją sobie po strażacku przez ramię. Gdyby tylko zaprotestowała, poruszyła się… zrobiła coś… cokolwiek.

– Ile zapałek, Bev?

– Niewiele. Może z pół tuzina. Bill… wiesz, dokąd idziesz?

– Chyba t-t-tak – odrzekł. – Idziemy.

Pokonali zakręt. Woda pieniła się wokół kostek Billa, a potem wokół jego goleni, kolan i w końcu sięgała aż do ud. Łoskot wody przypominał jednostajny, basowy ryk. Tunel, w którym się znajdowali, przeszywało regularne drżenie. Przez moment Bill miał wrażenie, że

prąd okaże się zbyt silny, aby mogli go pokonać, gdy wtem minęli rurę odprowadzającą, z której w głąb tunelu buchały potężne strumienie spienionej wody – przez chwilę z podziwem patrzył na przepełnioną ogromną mocą białawą strugę, a później siła prądu zdecydowanie zmalała, choć poziom wody w dalszym ciągu się podnosił. To…

Zobaczyłem wodę wypływającą z tej rury! Zobaczyłem to!

– Hej! – krzyknął. – W-w-w-widzicie c-coś?

– Jakby od kwadransa robiło się coraz jaśniej! – odkrzyknęła Beverly. – Gdzie my jesteśmy, Bill? Wiesz?

Wydawało mi się, że wiem, prawie powiedział Bill.

– Nie! Idziemy! – Miał wrażenie, że muszą się zbliżać do okolonej betonowymi nabrzeżami części Kenduskeag, zwanej potocznie kanałem… tej samej, która przebiega pod śródmieściem i wypływa w Bassey Park. Ale tu na dole było światło, a przecież w kanale pod miastem nie mogło być żadnego światła. Niemniej robiło się coraz jaśniej. Bill zaczął mieć poważne problemy z Audrą. Nie chodziło o prąd, który osłabł, ale o poziom wody. Niedługo będę musiał z nią płynąć, pomyślał. Widział Bena po lewej

i Beverly po swojej prawej stronie. Odwracając lekko głowę, dostrzegał Richiego znajdującego się tuż za Benem. Powierzchnia pod stopami zrobiła się nagle dziwna. Dno tunelu pokrywały stosy jakichś kanciastych przedmiotów przypominających cegły. W oddali z wody wystawało coś jak dziób tonącego statku.

Ben, drżąc, bo woda była zimna, zbliżył się do tego czegoś. Przemoczone pudełko po cygarach podpłynęło do jego twarzy. Odepchnął je na bok i schwycił wystający z wody przedmiot. Oczy nieomal wyszły mu z orbit. To wyglądało jak wielki szyld. Zdołał odczytać litery „AL”, a poniżej „przy”. I nagle zrozumiał.

– Bill! Richie! Bev! – wykrzyknął. Śmiał się w głos.

– Co to jest, Ben?! – zawołała Beverly.

Ben, schwyciwszy ów przedmiot oburącz, pociągnął go do tyłu. Rozległ się zgrzyt, kiedy jeden z końców markizy poszorował po ścianie tunelu. Teraz mogli odczytać „Alady” i poniżej „Powrót do przyszłości”.

– To markiza z kina Aladyn – rzekł Richie. – Jak…

– Ulica się rozpadła – wyszeptał Bill. Jego oczy się rozszerzyły. Wpatrywał się w głąb tunelu. W oddali było coraz jaśniej.

– Co, Bill?

– Co się stało, do cholery?

– Bill? Bill? Co…?

– Wszystkie te kanały! – rzucił ostro Bill. – Wszystkie te stare kanały! Była kolejna powódź! I myślę, że tym razem…

Zaczął brnąć przed siebie, trzymając Audrę w górze. Ben, Bev i Richie podążali jego śladem. Pięć minut potem Bill spojrzał w górę i zobaczył niebo. Patrzył przez szczelinę w sklepieniu tunelu, szczelinę, która miała blisko siedemdziesiąt stóp średnicy i biegła od miejsca, w którym się właśnie zatrzymali. W oddali woda była tamowana przez całą masę wysepek i archipelagów – stosy cegieł, tył plymoutha sedana z otwartym bagażnikiem, z którego wylewała się woda, parkometr oparty jak stary pijak o ścianę tunelu z uniesioną czerwoną wajchą. Brnięcie dalej było prawie niemożliwe – minigóry, które wznosiły się i opadały bez ładu i składu, groziły skręceniem nogi. Płynąca leniwie woda sięgała im do piersi.

Prąd jest teraz łagodny, pomyślał Bill, ale gdybyśmy byli tu dwie godziny temu czy choćby godzinę, sądzę, że nie uszlibyśmy z życiem.

– Co to jest, do cholery, Wielki Billu? – odezwał się Richie. Stał przy lewym łokciu Billa,

a kiedy tak się wpatrywał w rozprute sklepienie tunelu, na jego twarzy malował się wyraz zdumienia i niepewności. Tylko że to nie jest sklepienie żadnego tunelu, pomyślał Bill, lecz Main Street. A w każdym razie kiedyś była.

– Wydaje mi się, że większa część śródmieścia Derry zapadła się w głąb kanału i została zniesiona przez prąd Kenduskeag. Niebawem dotrze ona do Penobscot, a stamtąd do Atlantyku i będzie po wszystkim. Pomożesz mi z Audrą, Richie. Nie sądzę, że zdołam…

– Jasne – rzekł Richie. – Oczywiście, Bill. Nie ma sprawy.

Wziął Audrę od Billa. W tym świetle Bill widział ją być może lepiej, niż tego chciał – jej bladość była chwilowo przytłumiona, ale nie ukryta pod pasmami brudu i nieczystości, które pokrywały jej czoło i policzki. Oczy nadal miała szeroko otwarte – otwarte i wpatrujące się tępo w przestrzeń. Przemoczone, zlepione w strąki włosy opadały na jej ramiona. Równie dobrze mogła być jedną z tych nadmuchiwanych gumowych lalek, które sprzedają w sex-shopach. Jedyną różnicą było to, że oddychała – wolno i jakby z trudem, ale naturalnie, co również mogło być jakąś mechaniczną sztuczką i niczym więcej.

– Jak się stąd wydostaniemy? – spytał Richiego.

– Niech Ben zrobi ci siodełko – rzekł Richie. – Pomożesz wyjść Bev, a potem we dwójkę wciągniecie na górę twoją żonę. Ben podsadzi mnie, a później wspólnie wydostaniemy jego. Potem pokażę ci, jak urządzić turniej siatkówki dla tysiąca studentek.

– Bip-bip, Richie.

– Sam się bip-bip, Wielki Billu.

Zmęczenie ogarniało go regularnymi falami. Na moment spojrzenia jego i Bev się spotkały. Beverly skinęła głową i uśmiechnął się do niej.

– Zrobisz dla mnie s-s-siodełko, B-ben?

Ben, który również wyglądał na potwornie zmęczonego, skinął głową. Na jednym z jego policzków widniało świeże zadrapanie.

– Myślę, że jakoś sobie poradzę.

Pochylił się nieznacznie i splótł dłonie. Bill uniósł jedną stopę, postawił w zagłębieniu splecionych rąk Bena i wybił się w górę. Za nisko. Ben uniósł nieco dłonie i Bill zdołał uchwycić krawędź zapadłego tunelu. Podciągnął się. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był drewniany, biało-pomarańczowy kozioł. Drugą był tłum ludzi, kłębiących się za barierami. Trzecią był budynek Freese’a – tyle że wyglądał on teraz na

dziwnie napęczniały i jakby dużo niższy. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że połowa domu zapadła się i znajdowała się teraz w kanale. Górna połowa pochylała się nad ulicą i sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała runąć.

– Patrzcie! Patrzcie! Tam ktoś jest! Tam, w szczelinie w ulicy! – Jakaś kobieta wskazywała ręką w stronę szczeliny w spękanym asfalcie, skąd wyłoniła się głowa Billa. – Wielkie nieba! Tam jeszcze ktoś jest!

Kobieta w chustce na głowie rzuciła się naprzód. Gliniarz zatrzymał ją bezceremonialnie.

– Tam jest niebezpiecznie, pani Nelson. Wie pani o tym. Reszta ulicy może się zapaść w każdej chwili.

Pani Nelson, pomyślał Bill. Pamiętam panią. Pani siostra często przesiadywała ze mną i z George'em. Uniósł rękę, aby dać jej znak, że nic mu nie jest, a kiedy pomachała w odpowiedzi, poczuł napływającą do serca falę ciepła… i nadziei. Odwrócił się i położył płasko na zapadniętym asfalcie, próbując w miarę równo rozłożyć ciężar ciała, tak jakby znajdował się na pokrytym cienkim lodem jeziorze. Wyciągnął rękę do Bev. Schwyciła go za nadgarstek, a on, zdawałoby się, resztką sił, jaka mu jeszcze pozostała, podciągnął ją. Słońce, które wyłoniło

się zza zasłony szarawych jak łuska ryby chmur, przywróciło im ich cienie. Beverly uniosła wzrok zdziwiona; spojrzenia jej i Billa spotkały się i w tej samej chwili uśmiechnęła się promiennie.

– Kocham cię, Bill. I będę się modlić, żeby ona wyzdrowiała.

– Dziękuję, B-b-bevvie – powiedział i jego łagodny uśmiech sprawił, że zaczęła popłakiwać. Objął ją, a tłumek ludzi za barierami skwitował to burzą oklasków.

Fotograf z „News” zrobił zdjęcie. Pojawiło się ono w pierwszym wydaniu gazety, 1 czerwca. Gazetę, z uwagi na szkody, jakich doznała drukarnia „News” w Derry, wydrukowano w Bangor. Podpis pod zdjęciem był nieskomplikowany, ale oddający prawdę na tyle, że Bill zdecydował się je wyciąć i przez wiele lat nosił złożone w portfelu. Podpis pod zdjęciem głosił: „Ocaleni”. I to wszystko, ale nic więcej nie trzeba było dodawać. W Derry w stanie Maine było dokładnie sześć po jedenastej.

7

Derry (później tego samego dnia)

Szklany korytarz pomiędzy biblioteką dziecięcą a biblioteką dla dorosłych eksplodował o dziesiątej trzydzieści. Trzy minuty później deszcz ustał. Nie oslabł – po prostu w jednej chwili przestało padać, jakby Ktoś Tam Na Górze zakręcił kran. Wiatr tak nieoczekiwanie ucichł, że ludzie popatrywali na siebie z niepokojem i złowieszczym przeczuciem w oczach. Dźwięk przypominał odgłos wyłączanych silników boeinga 747, który właśnie wylądował na lotnisku. Przed jedenastą po raz pierwszy tego dnia wyjrzało słońce. Do południa chmury znikły, a dzień stał się parny i gorący. O piętnastej trzydzieści termometr przed sklepem Używana Róża, Używane Rzeczy wskazywał dwadzieścia osiem stopni – najwyższą temperaturę tego roku. Ludzie snuli się po ulicach jak żywe trupy, nie rozmawiając zbyt wiele. Ich twarze miały podobny wyraz i odzwierciedlały niemal to samo ogłupiałe zdumienie, które, gdyby nie to, że było powodowane szczerym żalem, mogłoby być nawet zabawne.

Przed wieczorem do Derry zjechali się reporterzy z ABC, CBS, NBC i CNN; przedstawią pewną wersję wydarzeń, które tu nastąpiły, i uczynią ją prawdziwą, choć znalazłoby się kilka osób, które mogłyby twierdzić, że rzeczywistość jest terminem wielce niepewnym – czymś, co jest mniej więcej tak samo trwałe jak izolacja na przypominającej pajęczynę plątaninie kabli. Następnego ranka w Derry pojawili się Bryant Gumble i Willard Scott z *Today*. Podczas trwania programu Gumble przeprowadził wywiad z Andrew Keene'em.

– Cały zbiornik stacji pomp po prostu runął i stoczył się ze zbocza – rzekł Andrew. – To było fajowe. Niech się schowa Steven Spielberg! Po prostu ekstra! Super! Wiecie, co wam powiem, jak się was ogląda w telewizji, wydajecie się wyżsi.

Oglądanie siebie i sąsiadów na ekranach uczyni to realnym. Dzięki temu uda im się dostrzec to, co nieuchwytne i przerażające.

To była „Dziwaczna burza". W następnych dniach „Liczba ofiar śmiertelnych zabójczej burzy wzrośnie". Była to „Najgorsza wiosenna burza w historii Maine". Wszystkie te nagłówki, choć budzące zgrozę, były użyteczne, pomagały przyćmić dziwne i tajemnicze szczegóły tego, co

się wydarzyło; a może „dziwne i tajemnicze” to niewłaściwe określenia. Bardziej adekwatne byłoby tu – szalone i obłędne. Oglądanie siebie nawzajem w telewizji pomoże wytłumić te szalone przyczyny i uczyni je bardziej racjonalnymi. Jednak kilka godzin przed pojawieniem się telewizji mieszkańcy Derry krążyli po zasypanych gruzem i zalanych błotem ulicach z wyrazem otępienia, oszołomienia i kompletnego niedowierzania na twarzach. Byli tu tylko mieszkańcy Derry, milczący, przyglądający się wszystkiemu, od czasu do czasu podnoszący coś z ziemi, a później odkładający to z powrotem, próbujący domyślić się, co się stało w ciągu ostatnich siedmiu, ośmiu godzin. Mężczyźni stali na Kansas Street, paląc i patrząc na zwalone domy spoczywające w Barrens. Mężczyźni i kobiety stali za biało-pomarańczowymi barierami, patrząc na czarną dziurę, która jeszcze do dziesiątej rano była śródmieściem Derry. Nagłówek niedzielnej gazety głosił: ODBUDUJEMY MIASTO – PRZYRZEKA BURMISTRZ DERRY, i być może rzeczywiście tak będzie. Ale podczas gdy w następnych tygodniach spierano się w radzie miejskiej, od czego należy zacząć odbudowę, wielki krater, ziejący na miejscu dawnego

śródmieścia, wolno, acz regularnie zaczął się poszerzać. Cztery dni po burzy do otworu zwalił się budynek biur Bangor Hydroelectric Company. Trzy dni później pod ziemią znalazł się Flying Doghouse, gdzie podawano najlepsze kraut dogi i chili dogi w całym wschodnim Maine. W willach, budynkach czynszowych i biurowych raz po raz następowały wybicia z rur kanalizacyjnych. W Old Cape sytuacja zrobiła się na tyle poważna, że ludzie zaczęli wyjeżdżać. Dziesiątego czerwca wieczorem w Bassey Park odbyła się inauguracja sezonu wyścigów konnych. Pierwszy bieg był zaplanowany na dwudziestą i wszyscy wydawali się uradowani z tego powodu. Jednak kiedy konie wyszły na ostatnią prostą, zawalił się jeden z sektorów trybun i dwanaście osób zostało rannych. Wśród nich znalazł się Foxy Foxworth, który do 1973 był kierownikiem Aladyna. Foxy spędził dwa tygodnie w szpitalu ze złamaną nogą i przebitym jądrem. Kiedy został zwolniony, postanowił niezwłocznie udać się do swojej siostry w Somersworth, w New Hampshire. Nie on jeden. Derry rozpadało się na kawałki.

8

Patrzyli, jak sanitariusz zamyka tylne drzwiczki ambulansu i podchodzi do samochodu od strony siedzenia pasażera. Karetka zaczęła wjeżdżać na zbocze Milowego Wzgórza, zmierzając w stronę szpitala w Derry. Richie zatrzymał ją, ryzykując jeśli nie życie, to przynajmniej ciężkie obrażenia ciała, i namówił poirytowanego kierowcę, który twierdził, że w wozie nie ma już miejsca, do zabrania jeszcze jednej osoby. Ostatecznie ułożyli Audrę na podłodze.

– I co teraz? – spytał Ben. Pod oczyma miał wielkie, brązowe podkowy, a jego szyję zdobił szary kołnierz brudu.

– Wracam do T-t-town House – rzekł Bill. – B-b-będę spał b-b-bite szesnaście g-g-godzin.

– Drugi! – zawołał Richie. Spojrzał z nadzieją na Bev. – Nie masz może fajki, zapobiegliwa damo?

– Nie – odparła Beverly. – I chyba znów rzucę palenie.

– Dość rozsądnie.

Zaczęli iść wolno w górę zbocza. Szli ramię w ramię.

– P-p-po wszystkim – oznajmił Bill.

Ben skinął głową.

– Dokonaliśmy tego. Ty tego dokonałeś, Wielki Billu.

– Wszyscy tego dokonaliśmy – powiedziała Beverly. – Szkoda, że nie wynieśliśmy stamtąd Eddiego. Naprawdę bardzo tego żałuję.

Dotarli do rogu Upper Main i Point Street. Dzieciak w czerwonej kurtce przeciwdeszczowej i zielonych gumiakach biegł obok okręcika płynącego z prądem wzdłuż rynsztoka. Uniósł wzrok, zobaczył, że mu się przyglądają, i pomachał do nich nieśmiało. Bill pomyślał, że to mógł być ten sam chłopiec, który jeździł na deskorolce – ten sam, którego przyjaciel zobaczył w kanale rekina. Uśmiechnął się i podszedł do chłopca.

– T-t-teraz już jest w p-p-porządku – oświadczył. Chłopiec przyglądał mu się z uwagą, po czym się uśmiechnął.

Uśmiech był promienny i pełen nadziei.

– Tak – rzekł. – Myślę, że tak.

– M-możesz się z-założyć o swój t-t-tyłek.

Dzieciak wybuchnął śmiechem.

– B-będziesz uważał na tej swojej d-d-deskorolce?

– Ee tam – odrzekł dzieciak i tym razem to Bill się roześmiał. Powstrzymał w sobie nagłą chęć pogładzenia chłopca po włosach

(prawdopodobnie tamten poczułby się oburzony) i powrócił do pozostałych.

– Kto to był? – spytał Richie.

– Przyjaciel – odrzekł Bill. Włożył ręce do kieszeni. – Pamiętacie to? Jak wtedy wyszliśmy z tuneli?

Beverly skinęła głową.

– Eddie wyprowadził nas do Barrens. Tyle że jakimś trafem wylądowaliśmy po drugiej stronie Kenduskeag. W Old Cape.

– Ty i Haystack zepchnęliście pokrywę jednej z tych stacji pomp – rzekł Richie do Billa. – Bo wy byliście najsilniejsi.

– Tak – rzekł Ben. – Zrobiliśmy to. Słońce już prawie zachodziło.

– Tak – mruknął Bill. – I byliśmy tam wszyscy.

– Ale nic nie trwa wiecznie – powiedział Richie. Obejrzał się, by spojrzeć na zbocze wzgórza, na które właśnie się wspięli, i westchnął. – Na przykład spójrzcie na to.

Wyciągnął ręce. Niewielkie blizny na jego dłoniach zniknęły. Beverly wyciągnęła ręce przed siebie. Ben zrobił to samo. Bill również się dołączył. Wszystkie dłonie były brudne, ale nie było na nich blizn.

– Nic nie trwa wiecznie – powtórzył Richie. Uniósł wzrok, spoglądając na Billa, który

dostrzegł łzy przedzierające się wolno przez warstewkę brudu na policzkach Richiego.

– Może z wyjątkiem miłości – rzekł Ben.

– I pragnień – dodała Beverly.

– A co z przyjaciółmi? – zapytał Bill i uśmiechnął się. – Co o tym myślisz, Niewyparzona Gębo?

– Cóż – rzekł Richie i przetarł dłońmi oczy. – Bedem musiał o tem pomyźleć, chopie. Wiesz, bedem musiał o tem pomyźleć.

Bill wyciągnął dłonie przed siebie, a pozostali dołączyli swoje i tak stali przez chwilę, trzymając się za ręce – niegdysiejsza siódemka, a obecnie czwórka, która pomimo zmniejszonego składu nadal potrafiła utworzyć krąg. Patrzyli na siebie nawzajem. Ben również płakał – łzy płynęły mu z oczu. Ale pomimo to się uśmiechał.

– Tak bardzo was kocham – oświadczył. Przez moment mocno, naprawdę bardzo mocno ściskał dłonie Beverly i Richiego, a potem puścił ich ręce. – A teraz moglibyśmy sprawdzić, czy załapiemy się tu na jakieś śniadanie, co wy na to? No i powinniśmy zadzwonić do Mike’a i powiedzieć mu, że z nami wszystko w porządku.

– Dobrrra myśl, senhorrr – powiedział Richie. – To chiba dobrrry pomysł. Co ty na to, Wielki Billu?

– Pieprz się – odparł Bill.

Śmiejąc się, weszli do hotelu, a kiedy Bill otwierał przeszklone drzwi, Beverly zauważyła coś, o czym nigdy nikomu nie powiedziała, ale czego nigdy nie zapomniała. Przez chwilę, nie dłuższą niż mgnienie oka, zobaczyła ich odbicie w szklanej tafli, tylko że było ich nie czworo, lecz sześcioro, bo za Richiem znajdował się Eddie, a za Billem Stan i na twarzy tego ostatniego widniał słaby, jakby niepewny uśmieszek.

9

Wyjście – zmierzch, 10 sierpnia 1958

Słońce wisi tuż nad linią horyzontu – lekko spłaszczona czerwona piłka rzucająca krwisty blask na powierzchnię Barrens. Żelazna pokrywa jednej ze studzienek unosi się nieznacznie, opada, znów się unosi i zaczyna się przesuwać.

– P-p-popchnij to, Ben, bo z-zaraz p-p-pęknie mi r-r-ramię.

Pokrywa przesuwa się dalej, przechyla i ląduje pośród krzewów, które obrosły wokoło betonowy walec. Siedmioro dzieci wychodzi, jedno po drugim, z otworu i rozgląda się wokoło, mrużąc oczy, jak sowy w niemym zdumieniu.

Zachowują się tak, jakby nigdy dotąd nie widziały dziennego światła.

– Tu jest tak cicho – mówi nieomal szeptem Beverly.

Jedynymi odgłosami są głośny szum wody i usypiające brzęczenie owadów. Burza się skończyła, ale poziom Kenduskeag jest nadal wysoki. Nieco bliżej miasta, nieopodal miejsca, gdzie rzeka przyodziewa betonowy gorset, by zmienić się w kanał, Kenduskeag wystąpił z brzegów, choć powódź nie była zbyt duża – ot, parę zalanych piwnic. Nic wielkiego. Tym razem.

Stan oddala się od nich z wyrazem skupienia i zamyślenia na twarzy. Bill rozgląda się wokoło i w pierwszej chwili myśli, że Stan dostrzegł małe ognisko na brzegu rzeki – pierwsze wrażenie i skojarzenia to ogień, czerwona poświata, niemal zbyt silna, by na nią patrzeć. Ale kiedy Stan bierze ów ogień w rękę i zmienia się kąt padania światła, Bill widzi, że to tylko butelka po coli – jedna z tych nowych, bezbarwnych, którą ktoś wyrzucił na brzegu. Patrzy, jak Stan odwraca ją i trzymając za szyjkę, uderza butelką o wystający z ziemi korzeń. Butelka rozbija się, a Bill uświadamia sobie, że tak jak on, pozostali również obserwują Stana, który z uwagą i pełnym skupieniem przegląda roztrzaskane

szczątki butelki. Wreszcie wybiera długi, wąski odłamek szkła. Zachodzące słońce ciska weń czerwone refleksy i Bill znowu myśli: Zupełnie jak ogień. Stan spogląda na niego i Bill nagle wszystko pojmuje – to staje się dla niego całkowicie jasne i jak najbardziej właściwe.

Rusza w stronę Stana, unosząc przed sobą dłonie. Stan cofa się i wchodzi do wody. Małe, czarne owady śmigają tuż nad powierzchnią, a Bill widzi, jak opalizująca ważka z głośnym brzęczeniem wzbija się spośród trzcin przy brzegu; wygląda jak miniaturowa tęcza. Żaba rozpoczyna swój koncert, a kiedy Stan bierze jego lewą rękę i przejeżdża po jej wnętrzu kawałkiem szkła, rozcinając ją do krwi, Bill nieomal w ekstazie myśli: Tu na dole życie aż tętni!

– Bill?

– Jasne. Obie.

Stan nacina mu drugą dłoń. Pojawia się ból, ale jest on raczej słaby. Gdzieś w oddali odzywa się lelek; jest to przyjemny, spokojny dźwięk. Bill myśli, że lelek wygania księżyc na niebo. Patrzy na swoje dłonie – teraz obie krwawią – a potem spogląda wokoło. Są już pozostali: Eddie, zaciskający kurczowo w dłoni swój aspirator, Ben z wielkim, bladym brzuchem wystającym

spomiędzy strzępów koszuli, Richie, którego twarz bez okularów wydaje się dziwnie naga, Mike milczący i poważny, o ustach zaciśniętych w wąską, białą kreskę, pomimo że mógł się poszczycić pełnymi wargami, i Beverly z uniesioną głową, z rozszerzonymi, trzeźwo patrzącymi oczyma i włosami, które pomimo brudu w dalszym ciągu wyglądały po prostu przecudownie.

Wszyscy. My wszyscy. Jesteśmy tutaj wszyscy.

I widzi ich – naprawdę ich widzi już po raz ostatni, bo gdzieś w głębi serca czuje, że już nigdy nie spotkają się w pełnym składzie, w siódemkę, tak jak teraz. Nikt się nie odzywa. Beverly wyciąga ręce, a po chwili Richie i Ben wysuwają swoje. Mike i Eddie robią to samo. Stan nacina po kolei ich dłonie, podczas gdy tarcza słońca z wolna zaczyna skrywać się za horyzontem, a poświata z krwistoczerwonej zmienia się w różowawą. Lelek odzywa się ponownie. Bill dostrzega na wodzie pierwsze wirujące pasemka mgły i odnosi wrażenie, jakby stał się częścią wszystkiego – to krótkotrwała ekstaza, o której nigdy nikomu nie powie, tak jak później Beverly nie zwierzy się, że przez ułamek sekundy widziała w szybie odbicie dwóch martwych

mężczyzn, z którymi w dzieciństwie się przyjaźniła.

Powiew wiatru dosięga drzew i krzewów i wydobywa się z nich westchnienie. Bill myśli, że to cudowne miejsce i nigdy go nie zapomni. To wspaniałe miejsce i oni są wspaniali. Wszyscy razem i każdy z osobna. Lelek odzywa się raz jeszcze, jego śpiew jest słodki i płynny, a Bill przez chwilę ma wrażenie, jakby stanowił z nim jedność, jakby potrafił tak śpiewać, a potem ulecieć w stronę zachodzącego słońca – ot, po prostu zatrzepotać skrzydłami i wzbić się w powietrze. Spogląda na Beverly, a ona uśmiecha się do niego. Zamyka oczy i wyciąga dłonie na boki. Bill ujmuje jej lewą, a Ben prawą rękę. Bill czuje ciepło jej krwi, mieszającej się z jego. Pozostali przyłączają się i tworzą krąg, dłonie ich wszystkich zamykają się w ten jedyny w swoim rodzaju, niezwykły sposób. Stan spogląda na Billa, jakby go ponaglał – ale w jego wzroku widnieje coś, co może być równie dobrze strachem.

– P-p-przysięgnijcie m-m-mi, że p-p-powrócicie – mówi Bill. – Przysięgnijcie, że jeżeli T-t-to n-nie umarło, p-powrócicie tutaj.

– Przysięgam – szepcze Ben.

– Przysięgam – wtóruje mu Richie.

– Tak, przysięgam – odzywa się Bev.

– Przysięgam – mruczy Mike Hanlon.

– Tak. Przysięgam. – Głos Eddiego jest cichy jak poszum wiatru.

– Ja również przysięgam – szepcze Stan, ale głos mu się łamie, a poza tym, wypowiadając te słowa, spuszcza wzrok.

– P-p-przysięgam.

To było to – to było wszystko. Ale stoją tak jeszcze przez chwilę, czując moc tkwiącą w ich kręgu – zamkniętym ciele, jakie utworzyli. Światło maluje ich twarze bladymi, blednącymi barwami. Czerwona tarcza skryła się za horyzontem, jej blask dogorywa. Stoją razem w kręgu, podczas gdy do Barrens zakrada się ciemność, wypełniając ścieżki, którymi kroczyli owego lata, polany, na których się bawili, sekretne miejsca wzdłuż brzegów rzeki, gdzie przesiadywali, tocząc długie dyskusje na różne dziecięce tematy, paląc papierosy Beverly albo po prostu milcząc i wpatrując się w odbicie w rzece przesuwających się po niebie chmur. Oko dnia się zamyka.

W końcu Ben opuszcza ręce. Zaczyna coś mówić, kręci głową i odchodzi. Richie idzie za nim, potem wspólnie odchodzą Beverly i Mike. Nikt się nie odzywa; wchodzą na nasyp

prowadzący na Kansas Street i po prostu się rozchodzą – każde w swoją stronę. I gdy Bill wspomina to dwadzieścia siedem lat później, uświadamia sobie, że rzeczywiście już nigdy więcej nie spotkali się wszyscy razem. Spotykali się dość często we czwórkę, czasami w piątkę i, raz czy dwa, w szóstkę. Ale nigdy całą siódemką. Odchodzi ostatni. Stoi przez długi czas z dłońmi opartymi o drewniany biały płotek, patrząc w dół na Barrens, podczas gdy wysoko na letnim niebie pojawiają się pierwsze gwiazdy. Stoi pod błękitem i nad czernią, patrząc, jak Barrens pogrąża się w ciemności.

Nigdy więcej nie chcę się tam bawić, myśli nagle i dziwi się, że ta myśl nie przeraża go ani nie zasmuca, a wręcz przeciwnie, budzi w nim przejmujące uczucie oswobodzenia. Stoi tam jeszcze przez chwilę, po czym odwraca się od Barrens i rusza w drogę do domu, idąc samotnie wzdłuż mrocznego chodnika; trzyma ręce w kieszeniach i od czasu do czasu popatruje na okoliczne domy, z których okien sączyło się w noc ciepłe, jasne światło. Przecznicę czy dwie dalej przyspiesza kroku, myśląc o kolacji… a po przejściu dwóch następnych zaczyna pogwizdywać.

DERRY:
Ostatnie interludium

W naszych czasach na oceanie znajduje się wiele statków; podczas rejsu trudno jest jakiegoś nie napotkać. Zaledwie się mijamy – rzekł pan Micawber, obracając w dłoniach okulary. – Zaledwie się mijamy. Odległość jest pojęciem w pewnym sensie iluzorycznym.
Charles Dickens, *David Copperfield*

4 lipca 1985

Dwadzieścia minut temu przyszedł Bill i przyniósł mi tę książkę. Carole znalazła ją na jednym ze stolików w bibliotece i dała mu ją, kiedy o nią poprosił. Myślałem, że może weźmie ją Rademacher, ale widocznie nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Bill znów przestał się jąkać, ale biedaczyna w ciągu czterech dni postarzał się o cztery lata. Powiedział mi, że nazajutrz Audra ma zostać wypisana ze szpitala (w którym ja jeszcze trochę zostanę), aby można ją było przewieźć do Instytutu Zdrowia Psychicznego w Bangor. Fizycznie nic jej nie jest poza paroma drobnymi siniakami i zadrapaniami, które już zaczęły się goić. Psychicznie…

– Podnosisz jej rękę i tak zostaje – rzekł Bill. Siedział przy oknie, obracając puszkę z dietetyczną colą. – Trzyma ją w górze, dopóki ktoś nie opuści jej ręki! Jej reakcje są znacznie spowolnione. EEG wykazało silne zahamowania fal alfa. Ona jest w stanie k-k-ka-tatonii, Mike.

– Mam pewien pomysł – odezwałem się. – Może całkiem niezły. Jeżeli ci się nie spodoba,

powiedz.

– Co?

– Zostanę w szpitalu jeszcze przez następny tydzień. Zamiast wywozić Audrę do Bangor, czemu nie pojedziesz z nią do mojego domu, Bill? Spędź z nią ten tydzień. Mów do niej, nawet jeśli nie będzie odpowiadała. Czy ona… cię zauważa?

– Nie – odparł słabo Bill.

– A chciałbyś… to znaczy, czy chciałbyś…

– Zmienić ją?

Uśmiechnął się z wyrazem twarzy tak pełnym bólu, że musiałem odwrócić wzrok. W ten sposób uśmiechał się mój ojciec, kiedy opowiadał mi o Bowersie i kurczakach.

– Tak, myślę, że mógłbym przynajmniej spróbować.

– Nie będę się starał cię uspokajać, bo wiem, że w obecnej sytuacji nie mógłbyś się na to zdobyć. Ale pamiętaj, że większość, a może nawet wszystko to, co się wydarzyło, było niemal na pewno przewidziane. Być może uczestnictwo Audry również.

– Nie p-p-powinienem był mówić jej, dokąd jadę.

Czasami lepiej jest nic nie mówić, toteż postąpiłem zgodnie z tą maksymą.

– W porządku – mruknął w końcu. – Jeśli naprawdę tego chcesz…

– Chcę. W recepcji mają moje klucze od domu. W lodówce są dwa steki. Zupełnie jakby to wszystko było przewidziane.

– Ona przyjmuje głównie papki i płyny.

– Cóż – powiedziałem z uśmiechem – może będziemy mieli powód do świętowania. Na najwyższej półce w spiżarni stoi również butelka dobrego wina. Mondavi. Domowej roboty, ale dobre.

Podszedł i ścisnął mi rękę.

– Dziękuję, Mike.

– Nie ma za co, Wielki Billu.

Puścił moją dłoń.

– Dziś rano Richie odleciał do Kalifornii.

Pokiwałem głową.

– Myślisz, że będzie utrzymywał z nami kontakt?

– M-może – odparł. – W każdym razie przez jakiś czas. Ale… – Zmierzył mnie wzrokiem. – To się znów zaczyna. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Zapominanie?

– Tak. Prawdę mówiąc, to już się zaczęło. Jak na razie drobiazgi. Szczegóły. Ale wydaje mi się, że zasięg stale się rozszerza.

– Może tak jest najlepiej.

– Może. – Wyjrzał przez okno, nadal obracając w dłoni puszkę; przypuszczalnie myślał o swojej żonie, pięknej, milczącej, leżącej z rozszerzonymi oczyma na szpitalnym łóżku. Katatonia.

Drzwi zamknęły się z hukiem i szczęknęła przekręcana zasuwa. Westchnął.

– Może i tak.

– Ben? Beverly?

Spojrzał w moją stronę i uśmiechnął się pod nosem.

– Ben poprosił ją, żeby wybrała się z nim do Nebraski i zgodziła się pojechać, przynajmniej na jakiś czas. Wiesz o jej facecie z Chicago?

Skinął głową. Beverly powiedziała Benowi, a Ben opowiedział mi o tym wczoraj. Oględnie mówiąc (w tym wypadku wyjątkowo oględnie), ostatnia opowieść Beverly dotycząca jej cudownego, fantastycznego męża Toma była dużo prawdziwsza od poprzedniej. Cudowny i fantastyczny Tom trzymał Bev pod emocjonalną, duchową, a niekiedy również fizyczną presją co najmniej przez cztery ostatnie lata. Cudowny, fantastyczny Tom trafił tutaj, wymuszając biciem informację od najbliższej przyjaciółki Bev.

– Powiedziała mi, że za dwa tygodnie wróci do Chicago i sporządzi na policji raport o zaginięciu. To znaczy o zaginięciu Toma.

– Dość sprytne – powiedziałem. – Tam na dole nikt nigdy go nie znajdzie.

Ani Eddiego, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno.

– Nie. Chyba nie – rzekł Bill. – A kiedy ona wróci do Chicago, założę się, że razem z Benem. I wiesz co? Ale to dosyć szalone.

– To znaczy?

– Nie sądzę, aby ona pamiętała, co się stało z Tomem.

Nie odpowiedziałem. Po prostu na niego patrzyłem.

– Ona już zapomniała albo zapomina – rzekł Bill. – A ja z kolei nie pamiętam już, jak wyglądało wejście. Chodzi mi o wejście do kryjówki Tego. Myślę o tym i przychodzą mi do głowy same głupoty. Widzę wtedy w myślach trzy kózki p-p-przechodzące po moście. Z tej *Bajki o trzech małych kózkach*. Zwariowane, no nie?

– I tak w końcu się dowiedzą, że Tom Rogan dotarł do Derry. Musiał zostawić za sobą cały stos różnych dokumentów. Bilety na samolot, karta wynajmu wozu i tak dalej…

– Nie byłbym tego taki pewny – powiedział Bill, zapalając papierosa. – Wydaje mi się, że zapłacił za bilet gotówką i podał fałszywe nazwisko. A co się tyczy wozu, może kupił jakiegoś starego grata albo nawet ukradł.

– Dlaczego?

– Nie żartuj. Czy sądzisz, że przebył tak daleką drogę tylko po to, żeby sprawić jej lanie?

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, po czym Bill się podniósł.

– Posłuchaj, Mike…

– Komu w drogę, temu czas – mruknąłem. – Kapuję.

Roześmiał się, śmiał się długo i szczerze, a gdy wreszcie spoważniał, powiedział:

– Dzięki za możliwość skorzystania z twojej chaty, Mike. Nie mówię wcale, że to coś zmieni. O ile wiem, nie przedstawia to jakichkolwiek wartości terapeutycznych. Cóż… na razie. – Pocałował mnie w policzek. – Niech cię Bóg błogosławi, Mike. Będę w kontakcie.

– Może sprawy przybiorą pomyślny obrót – powiedziałem. – Nie trać nadziei. Może przybiorą pomyślny obrót.

Uśmiechnął się i pokiwał głową, ale wydaje mi się, że w tamtej chwili obaj myśleliśmy o tym samym – o katatonii.

5 czerwca 1985

Ben i Beverly wpadli dziś, aby się pożegnać. Nie lecą samolotem – Ben wynajął u Hertza wielkiego cadillaca. Mają zamiar pojechać do Nebraski bez zbytniego pośpiechu – samochodem. W ich oczach, kiedy patrzą na siebie, jest coś szczególnego… iż postawiłbym całą swoją emeryturę, że jeżeli jeszcze nie stanowią pary, to będą nią, nim dotrą do punktu przeznaczenia. Beverly uściskała mnie, powiedziała, żebym szybko wracał do zdrowia, a potem się rozpłakała. Ben również mnie uściskał i po raz trzeci czy czwarty spytał, czy będę pisał. Odparłem, że będę, i z pewnością dotrzymam słowa… no, przynajmniej przez jakiś czas. Bo tym razem to dotknęło mnie tak samo jak pozostałych. Zaczynam zapominać.

Tak jak powiedział Bill, teraz są to tylko drobiazgi. Ale wydaje mi się, że już niebawem zasięg zapominania się rozszerzy. Być może już za miesiąc lub rok ten notatnik będzie jedyną rzeczą przypominającą mi o wydarzeniach, które rozegrały się tu, w Derry. Przypuszczam, że zapisy na tych stronicach w końcu wyblakną i będą tak samo czyste jak w dniu, gdy kupiłem ów notes w sklepie Freese’a. To okropna myśl i za dnia wydaje się nieco paranoidalna… ale, wiecie,

nocą sprawia wrażenie jak najbardziej sensownej i logicznej. To zapominanie… ta perspektywa napełnia mnie uczuciem paniki, a jednocześnie ulgą. Właśnie to bardziej niż cokolwiek innego podpowiada mi, że tym razem naprawdę nam się udało. Że w końcu zabiliśmy To, że nie potrzeba już strażnika, który by tu czuwał i czekał na rozpoczęcie nowego cyklu. Tępa panika, podkradająca się ulga. Wydaje mi się, że spośród tych odczuć wybiorę jednak ulgę.

Bill zadzwonił, żeby mnie powiadomić, że wprowadzili się z Audrą do mojego domu. Jej stan się nie zmienił.

„Zawsze będę cię pamiętać”. To właśnie powiedziała mi Beverly, zanim wyjechała z Benem.

Ale wydaje mi się, że w jej oczach dostrzegłem coś zupełnie przeciwnego.

6 czerwca 1985

Na pierwszej stronie „Derry News” zobaczyłem dziś ciekawy artykuł. Nosił on tytuł: „Burza przyczyną wycofania się Henleya z dalszej przebudowy miasta”. Wspomniany Henley to Tim Henley, multimilioner, który przybył do Derry w końcu lat sześćdziesiątych i wywołał tu istną burzę – to Henley i Zitner

stworzyli konsorcjum odpowiedzialne za wybudowanie Centrum Handlowego w Derry (które, zgodnie z innym artykułem, również na stronie pierwszej, uległo niemal całkowitemu zniszczeniu). Tim Henley chciał zobaczyć, jak Derry się rozrasta. Rzecz jasna, powodem były po części kwestie wynikających z tego tytułu profitów, ale chodziło również o coś więcej. Henley naprawdę chciał to zobaczyć. Jego rezygnacja z dalszych prac coś mi sugeruje. Po pierwsze i chyba najważniejsze, Henley jest rozgoryczony. Poza tym bardzo możliwe, że utrata centrum handlowego znacznie uszczupli jego finanse.

Artykuł wszakże sugeruje, że Henley nie jest odosobnionym przypadkiem. Inni przedsiębiorcy i potencjalni inwestorzy w przyszłość Derry mogą zacząć się zastanawiać i zrezygnować z wejścia na tutejszy rynek. Naturalnie nie będzie to już problemem dla Ala Zitnera, którego – kiedy śródmieście zostało zniszczone – Bóg powołał do siebie. Co się tyczy innych, ci, którzy myśleli tak jak Henley, głowią się teraz nad tym, w jaki sposób odbudować obszar miasta w pięćdziesięciu procentach znajdującego się obecnie pod wodą.

Wydaje mi się, że po latach długiej i upiornej egzystencji Derry zaczęło w końcu dogorywać… jak roślina, która obumiera. Dziś po południu zadzwoniłem do Billa Denbrough. U Audry bez zmian. Godzinę temu znowu zadzwoniłem, ale tym razem do Richiego Toziera do Kalifornii. Włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszałem w tle znajome dźwięki: Creedence Clearwater Revival. Te maszyny zawsze w jakiś sposób potrafią spieprzyć moje poczucie czasu. Podałem swoje nazwisko, numer telefonu i zawahałem się przez chwilę, po czym wyraziłem nadzieję, że mój przyjaciel znowu nosi szkła kontaktowe. Już miałem odwiesić słuchawkę, kiedy sam Richie odebrał telefon.

– Mikey! Jak się masz! – Jego głos był miły i ciepły… ale wyczuwało się w nim pewne zdziwienie. Zupełnie jakby nie spodziewał się mojego telefonu.

– Cześć, Richie – powiedziałem. – Czuję się dość dobrze.

– To świetnie. Boli cię jeszcze?

– Trochę. Ale to już mija. Gorzej ze swędzeniem. Cholernie się ucieszę, kiedy w końcu zdejmą mi bandaże. À propos, podoba mi się Creedence.

Richie się roześmiał.

– A guzik, to nie jest Creedence, to *Rock and Roll Girls* z nowego albumu Fogarty'ego. Nosi tytuł *Centerfield*. Nie słyszałeś tego jeszcze?

– Eee. Nie.

– Musisz posłuchać. Jest świetny. Zupełnie jak… jak… – Przerwał na moment, po czym dodał: – Jak za starych czasów.

– Posłucham – odparłem i prawdopodobnie naprawdę tak zrobię. Zawsze lubiłem Johna Fogarty'ego. Z Creedence najbardziej lubiłem chyba *Green River*. „Wróć do domu, wróć do domu, zanim wszystko się zatrze".

– A co u Billa?

– Zatrzymali się z Audrą w moim domu, póki jeszcze siedzę w szpitalu.

– Dobrze. To dobrze. – Przerwał na chwilę. – Chcesz usłyszeć coś kurewsko dziwnego, Mikey?

– Jasne – odrzekłem. Domyślałem się, co powie.

– Widzisz… siedziałem sobie tu, w studiu, przesłuchując nowości, kopie i czytając notatki służbowe… nazbierały się tego dwa wielkie stosy; wygląda na to, że czeka mnie dobry miesiąc pracy przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny na dobę. Włączyłem sekretarkę, ale zostawiłem dźwięk, tak żeby słyszeć, jak ktoś zadzwoni, i odebrać, jeżeli to będzie coś naprawdę

ważnego. Niech frajerzy gadają sobie do automatu. Widzisz, kazałem ci tak długo mówić do maszyny nagrywającej dlatego, że…

– …że w pierwszej chwili w ogóle nie wiedziałeś, kto do ciebie zadzwonił?

– Jezu, tak! Właśnie tak! Skąd wiedziałeś?

– Bo znowu zaczynamy zapominać. Tym razem wszyscy.

– Mikey, jesteś pewny?

– Pamiętasz nazwisko Stana? – spytałem.

Na drugim końcu linii nastała cisza – długa cisza. Słyszałem, jak w tle rozmawia jakaś kobieta. Może była w Omaha albo w Ruthven w Arizonie, albo we Flint w Michigan. Słyszałem ją tak słabo, jakbym był kosmonautą i znajdował się w kabinie rakiety kosmicznej. A wtedy Richie odparł niepewnym głosem:

– Wydaje mi się, że Underwood, ale to nie jest żydowskie nazwisko, no nie?

– Nazywał się Uris.

– Uris! – krzyknął Richie, jednocześnie z ulgą i zaskoczeniem w głosie. – Jezu, nie cierpię, kiedy mam jakieś słowo na końcu języka i za cholerę nie potrafię go sobie przypomnieć. Ktoś proponuje grę w Trivial Pursuit, a ja mówię: przepraszam, ale znowu mam rozwolnienie

i muszę iść do domu. Ale ty jakimś cudem nadal pamiętasz, Mike. Tak jak poprzednio.

– Nie. Zajrzałem do notesu z adresami.

Kolejna długa chwila ciszy.

– Ty nie pamiętasz?

– Nie.

– Bez kitu?

– Bez kitu.

– A więc tym razem to naprawdę koniec – powiedział i w jego głosie dało się bezbłędnie wyczuć ulgę.

– Tak. Wydaje mi się, że tak.

Znów zapadła długa cisza na linii pomiędzy Maine i Kalifornią. Chyba wtedy obaj myśleliśmy o tym samym – że było już po wszystkim i niedługo, za sześć tygodni, a może za sześć miesięcy, zapomnimy o sobie nawzajem. To się skończyło i kosztowało nas utratę przyjaźni oraz życie dwóch spośród naszej grupki – Stana i Eddiego. Wiecie co, już prawie ich nie pamiętam. To może zabrzmi okropnie, ale prawie nie pamiętam ani Stana, ani Eddiego. Czy Eddie cierpiał na astmę, czy na chroniczną migrenę? Niech mnie kule biją, nie potrafię sobie przypomnieć, ale wydaje mi się, że to była migrena. Zapytam Billa. On będzie wiedział.

– No to pozdrów ode mnie Billa i jego śliczną żonkę – rzekł Richie z udawanym rozbawieniem w głosie.

– Zrobię to, Richie – powiedziałem, zamykając oczy i drapiąc się w czoło. Pamiętał, że żona Billa była w Derry… ale nie pamiętał jej imienia ani tego, co się z nią stało.

– A jak będziesz w Los Angeles, masz mój numer. Zadzwoń, spotkamy się i pogadamy.

– Pewno. – Poczułem, że do oczu napływają mi łzy. – A jeśli ty tu przyjedziesz, nie omieszkaj zajrzeć do mnie.

– Mikey?

– Jestem.

– Kocham cię, stary.

– I nawzajem.

– Och. Trzymaj się, stary pryku.

– Bip-bip, Richie.

Roześmiał się.

– Tak, tak, tak. Wsadź to sobie w ucho, Mike. Właśnie tak, wsadź se to w ucho.

Odłożył słuchawkę i ja zrobiłem to samo. A potem oparłem głowę na poduszce, zamknąłem oczy i nie otwierałem ich długo. Bardzo, bardzo długo.

7 czerwca 1985

Szef policji, Andrew Rademacher, który przejął obowiązki po Bortonie w końcu lat sześćdziesiątych, nie żyje. To był potworny wypadek, jedyny, jaki, moim zdaniem, nie ma związku z tym, co działo się w Derry… z tym, co właśnie się tu skończyło.

Połączony budynek posterunku policji i sądu znajduje się na skraju obszaru, który zapadł się w głąb kanału, i choć dom nie runął, wstrząs albo powódź musiały spowodować uszkodzenia budowli, z których nikt nie zdawał sobie sprawy.

Rademacher pracował wczoraj w swoim biurze do bardzo późna, jak co wieczór od dnia burzy i powodzi – napisano w gazecie. Biuro szefa policji już dawno temu przeniesiono z drugiego na czwarte piętro, tuż pod poziom poddasza, gdzie składowane były bardziej lub mniej cenne pamiątki z historii miasta. Jedną z nich stanowi fotel włóczęgów, o którym wspominałem już wcześniej na tych stronicach. Był wykonany z żelaza i ważył ponad czterysta funtów. Podczas ulewy 31 maja budynek nieźle nabrał wody i musiało to spowodować osłabienie podłogi na poddaszu (w każdym razie tak podają w gazetach). Niezależnie od tego, co było powodem, fotel włóczęgów runął z poddasza

wprost na siedzącego przy biurku i przeglądającego raporty o wypadkach szefa Rademachera. Facet zginął na miejscu. Oficer Bruce Andeen wpadł do jego gabinetu i znalazł go leżącego pośród szczątków zmiażdżonego biurka; wciąż jeszcze trzymał w dłoni długopis.

Ponownie rozmawiałem z Billem. Mówi, że Audra przyjmuje już bardziej stałe pokarmy, ale oprócz tego nic się nie zmieniło. Spytałem go, czy Eddie miał problemy z astmą, czy z migreną.

– Z astmą – odparł natychmiast. – Nie pamiętasz jego aspiratora?

– Racja – mruknąłem i rzeczywiście sobie przypomniałem. Ale dopiero po tym, jak Bill o tym wspomniał.

– Mike?

– Tak?

– Jak on się nazywał?

Spojrzałem na mój notes z adresami, ale nie wziąłem go do ręki.

– Nie mogę sobie przypomnieć.

– Kerkorian czy coś w tym rodzaju – rzekł Bill ze smutkiem w głosie – ale chyba niezupełnie tak. Masz to wszystko zapisane, prawda?

– Owszem – powiedziałem.

– Dzięki Bogu za to.

– Masz jakieś pomysły co do Audry?

– Jeden – powiedział. – Ale jest tak szalony, że nie chcę o tym mówić.

– Jesteś pewny?

– Tak.

– W porządku.

– Mike, nie uważasz, że to straszne? To… całe zapominanie.

– Tak – powiedziałem. I w istocie tak było.

8 czerwca 1985

Raytheon, który miał w lipcu rozpocząć budowę fabryki w Derry, postanowił w ostatniej chwili przenieść się do Waterville. Wstępniak na pierwszej stronie „Derry News” wyrażał konsternację… i, jeśli dobrze pojąłem to, co znajdowało się między wierszami, odrobinę przerażenia.

Wydaje mi się, że wiem, na czym polega pomysł Billa. Będzie musiał działać szybko, zanim resztki magii opuszczą to miejsce – jeżeli to już się nie stało. Poza tym sądzę, że moje poprzednie przemyślenia nie były tak zupełnie irracjonalne. Nazwiska i adresy w moim małym notesie blakną. Barwa atramentu, jakim zostały zapisane, wygląda, jakby zrobiono je pięćdziesiąt, a może nawet siedemdziesiąt pięć lat wcześniej niż pozostałe wpisy i notatki. To się

stało w ciągu ostatnich czterech, pięciu dni. Jestem pewien, że do września znikną zupełnie. Przypuszczam, że mógłbym je zachować – mógłbym zacząć je przepisywać. Jednak jestem pewien, że i one również zaczęłyby blaknąć, a niebawem cały mój wysiłek poszedłby na marne; stałby się tym samym co przepisywanie pięćset razy zdania: „Nie będę pluł na podłogę w klasie”. Przepisywałbym nic nieznaczące nazwiska, zupełnie nie zdając sobie sprawy, po co to robię. Daj temu spokój. Daj spokój. Niech będzie, co ma być.

9 czerwca 1985

Obudziłem się w środku nocy ogarnięty paniką. Nie mogłem złapać tchu. Śnił mi się jakiś koszmar, ale nie potrafię sobie przypomnieć, co to właściwie było. Sięgnąłem po przycisk przyzywający pielęgniarkę, ale w końcu go nie użyłem. Miałem straszną wizję: Mark Lamonica przychodzący na moje wezwanie ze strzykawką… a może to był Henry Bowers ze sprężynowcem w dłoni.

Sięgnąłem po notes i zadzwoniłem do Bena Hanscoma, do Nebraski… numer telefonu i adres były jeszcze bardziej wyblakłe, ale nadal

czytelne. Nic z tego. Głos w informacji powiadomił mnie, że numer został anulowany.

Czy Ben był gruby, czy może miał szpotawą stopę?

Aż do świtu leżałem w łóżku, nie mogąc zmrużyć oka.

10 czerwca 1985

Powiedzieli mi, że jutro mogę wrócić do domu.

Zadzwoniłem do Billa i powiedziałem mu o tym – chyba jednocześnie chciałem go ostrzec, że ma coraz mniej czasu. Tylko Billa dobrze pamiętam i jestem pewien, że z całej naszej grupki on pamięta w ten sposób tylko mnie. Prawdopodobnie dlatego, że obaj znajdujemy się w Derry.

– W porządku – powiedział. – A więc jutro przestaniemy ci zawracać głowę.

– Nadal masz ten swój pomysł?

– Tak. Wygląda na to, że już czas, aby to wypróbować.

– Bądź ostrożny.

Roześmiał się i powiedział coś, co zrozumiałem, ale zarazem nie potrafiłem pojąć.

– Na d-d-deskorolce nie można być ostrożnym, chłopie.

– Skąd będę wiedział, jak ci poszło, Bill?

– Będziesz wiedział – odparł i odłożył słuchawkę.

Jestem całym sercem z tobą, Bill, niezależnie od tego, jak potoczą się sprawy. Jestem całym sercem z nimi wszystkimi i wydaje mi się, że nawet jeśli zapomnimy o sobie nawzajem, wspomnienia pozostaną na zawsze w naszych snach.

To już prawie koniec mojego dziennika i przypuszczam, że na zawsze pozostanie on tylko dziennikiem, na opowieści dotyczące starych skandali i krwawych epizodów z historii Derry nie ma miejsca poza tymi stronicami. Co do mnie, jestem zadowolony z takiego rozwiązania. Wydaje mi się, że kiedy jutro mnie stąd wypuszczą, powinienem wreszcie zająć się sobą i kto wie, być może zacząć nowe życie… choć nie wiem jeszcze, jak powinno ono wyglądać. A co się tyczy moich przyjaciół… Kochałem was wszystkich. Wiecie o tym.

Tak bardzo was kochałem.

EPILOG
Bill Denbrough pokonuje diabła (II)

Znałem moją narzeczoną, gdy
jeździła na kucyku
Znałem moją narzeczoną, gdy
chodziła na spacery
Znałem moją narzeczoną, gdy
chodziła na prywatki
Znałem moją narzeczoną, gdy
słuchała rock and rolla

Nick Lowe

Na deskorolce nie można być ostrożnym

Pewien chłopak

1

Pewnego dnia Bill stanął nagi w sypialni Mike'a Hanlona, patrząc na swoje szczupłe ciało odbijające się w wiszącym na drzwiach lustrze. Miał nieowłosioną klatkę piersiową, jego uda były chude, ale poznaczone węzłami mięśni.

Pomimo to, pomyślał, widzimy tu bez wątpienia ciało dorosłego faceta. Zaczyna mu się formować brzuszek. To skutek zbyt wielu dobrych steków, butelek piwa Kirin i proszonych lunchów, na których bynajmniej nie podaje się dietetycznych potraw. Tyłek też ci rośnie, Bill, stary draniu. Wciąż jeszcze jesteś w formie, ale to już nie to co kiedyś. I wzrok też już nie ten. Chyba nie pogoniłbyś dziś starego dunlopa, tak jak to robiłeś, mając jedenaście lat. Robią ci się fałdki, a jądra zaczynają wyglądać na obwisłe i stare. Na twarzy widać zmarszczki, których tam nie było, kiedy miałeś siedemnaście lat… do diaska, nie było ich nawet na twoim pierwszym autorskim zdjęciu, na którym starałeś się sprawiać wrażenie poważnego… zupełnie jakbyś wiedział coś… cokolwiek.

Jesteś za stary, by zrobić to, co zamierzasz, Billy, chłopcze. Zabijesz i siebie, i ją.

Włożył slipki.

Gdybyśmy w to uwierzyli, nigdy nie zrobilibyśmy tego… co zrobiliśmy. Cokolwiek to było.

Bo Bill nie pamiętał już, co właściwie zrobili ani co sprawiło, że Audra znalazła się w stanie katatonii. Wiedział jedynie, co zamierzał teraz zrobić, i wiedział, że jeżeli nie zrobi tego teraz, to już wkrótce zapomni także i o tym. Audra siedziała na dole w fotelu Mike'a, wpatrując się z fascynacją i zachwytem w ekran telewizora, na którym pokazywano teraz *Dialing for Dollars*. Włosy opadały jej gładką strugą na ramiona. Nie odzywała się słowem i poruszała tylko wtedy, gdy się ją do tego zmuszało.

Teraz jest inaczej. Jesteś po prostu za stary, chłopie. Uwierz w to. Nie. No to umrzyj w Derry, niewielka strata.

Włożył sportowe spodenki, dżinsy i podkoszulek kupiony wczoraj w sklepie Shirt Shack w Bangor. Był jaskrawopomarańczowy. Napis na przodzie koszulki głosił: GDZIE, DO DIABŁA, JEST DERRY? Usiadł na łóżku Mike'a – tym samym, które przez ostatnie siedem nocy dzielił ze swą na wpół martwą żoną, i włożył

trampki… które również nabył wczoraj w Bangor. Wstał i ponownie przejrzał się w lustrze. Zobaczył mężczyznę w średnim wieku, ubranego w dziecięce ciuchy.

Wyglądasz śmiesznie. Czemu nie mówi się w ten sposób o dzieciakach? Nie jesteś dzieckiem. Daj temu spokój.

– Pieprzę to. Zagrajmy trochę rock and rolla – powiedział cicho Bill i wyszedł z pokoju.

2

W snach, które będą go nawiedzać w późniejszych latach, zawsze opuszcza Derry samotnie, o zachodzie słońca. Miasto jest wyludnione – wszyscy wyjechali. Seminarium teologiczne i wiktoriańskie domy przy West Broadway stają się czarne na tle upiornego nieba; wygląda to tak, jakby wszystkie letnie zachody słońca zlały się w jeden. Słyszy odgłos własnych kroków na chodniku. Jedynym dźwiękiem prócz tupotu jego stóp jest szum wody przelewającej się leniwie w labiryncie kanałów.

3

Wytoczył Silvera na podjazd, oparł rower na nóżce i ponownie sprawdził opony. Przednia

była w porządku, ale tylna lekko sflaczała. Zdjął pompkę, którą kupił Mike, i podpompował oponę. Kiedy włożył ją na miejsce, sprawdził karty przyczepione do szprych i spinacze. Koła roweru nadal wydawały te podniecające dźwięki, przypominające terkot kaemu, który Bill pamiętał z dzieciństwa. Świetnie.

Chyba ci odbija. Być może. Sprawdźmy to.

Ponownie wszedł do garażu Mike'a, wziął olejarkę i naoliwił łańcuch i zębatkę. Potem wyprostował się, spojrzał na Silvera i na próbę nacisnął popękaną, starą gruszkę klaksonu. Sygnał zabrzmiał jak należy. Skinął głową i wszedł do domu.

4

I znów widzi te wszystkie miejsca, nietknięte, takie, jakie były kiedyś – olbrzymi, ceglany gmach podstawówki, Most Pocałunków, którego ściany pokryte są mozaiką podpisów i haseł, zakochane nastolatki, które teraz siłą swych uczuć mogą poruszyć ziemię, a kiedy dorosną, staną się agentami ubezpieczeniowymi, sprzedawcami samochodów, kelnerkami i kosmetyczkami; widzi pomnik Paula Bunyana na tle okrwawionego zachodem słońca nieba i długi, biały płot okalający chodnik przy Kansas

Street wzdłuż skraju zbocza Barrens. Widzi je takie, jakie były kiedyś i jakie pozostaną na zawsze gdzieś w głębi jego umysłu… a jego serce jest rozdarte pomiędzy dwoma uczuciami – miłością i zgrozą.

Opuścić, opuścić Derry, myśli. Opuszczamy Derry i jeśli to była opowieść, taka jak w książce, to dotarliśmy już do jej zakończenia – jeszcze tylko parę stron. Można zacząć przygotowywać się do odłożenia książki na półkę i zapomnienia o niej. Słońce zachodzi za horyzont i nie słychać nic prócz odgłosu moich kroków i szumu wody w kanałach. To czas na…

5

Dialing for Dollars ustępuje miejsca *Kołu fortuny*. Audra siedziała biernie przed telewizorem, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z ekranu. Jej zachowanie nie zmieniło się, kiedy Bill wyłączył telewizor.

– Audro – powiedział, podchodząc do niej i biorąc za rękę. – Chodź.

Nie poruszyła się. Jej dłoń spoczywała w jego ręce jak kawał ciepłego wosku. Bill zdjął drugą jej rękę z oparcia fotela i podniósł ją. Tego ranka ubrał ją tak samo jak siebie – miała na sobie dżinsy i niebieską bluzkę. Gdyby nie jej obojętne,

nieobecne spojrzenie, wyglądałaby naprawdę prześlicznie.

– Ch-chodź – powtórzył i wyprowadził ją z pokoju. Przeszli przez kuchnię i wyszli na zewnątrz. Szła bez oporów… choć gdyby Bill nie objął jej w pasie i nie sprowadził ostrożnie po schodach, spadłaby z werandy na głowę. Podprowadził ją do miejsca, gdzie skąpany w promieniach słońca stał jego stary Silver. Audra zatrzymała się obok roweru, wpatrując się tępo w ścianę garażu Mike’a.

– Wsiadaj, Audro.

Nie poruszyła się. Bill cierpliwie przeniósł jedną z jej smukłych nóg ponad bagażnikiem zamontowanym na tylnym błotniku Silvera. Stanęła, mając między nogami bagażnik, ale nie dotykając go siedzeniem. Bill położył rękę na jej głowie i docisnął lekko ku dołowi. Audra usiadła. Wskoczył na siodełko Silvera i podbił piętą nóżkę. Miał zamiar sięgnąć do tyłu i przyciągnąć dłonie Audry, żeby objęła go w pasie, ale zanim to zrobił, jej ramiona oplotły go samorzutnie niczym małe, spłoszone zwierzątka.

Spojrzał na ręce Audry, serce biło mu szybciej – miał wrażenie, że pulsuje nie tylko w jego piersi, ale i w gardle. To była pierwsza czynność, jaką Audra wykonała samorzutnie w ciągu

całego tego tygodnia. Pierwsza niezależna czynność, jaką wykonała, od kiedy To się stało, czymkolwiek To było.

– Audro?

Bez odpowiedzi. Próbował odwrócić głowę, ale nie mógł. Widział tylko jej dłonie zaciskające się na jego brzuchu i paznokcie, na których widniały resztki lakieru nałożonego przez bystrą, żywą, utalentowaną młodą kobietę w małym angielskim miasteczku.

– Wybieramy się na przejażdżkę – rzekł Bill i Silver, przy wtórze chrzęstu żwiru pod kołami, zaczął toczyć się wolno w stronę Palmer Lane. – Trzymaj się mocno, Audro. W-wydaje mi się, że będziemy jechać d-dość szybko. Jeżeli nie spękam.

Pomyślał o dzieciaku, którego spotkał wcześniej podczas swego pobytu w Derry, kiedy To nadal się działo.

„Na deskorolce nie można być ostrożnym”, powiedział ten chłopak. Nigdy dotąd nie powiedziano czegoś bardziej prawdziwego, dzieciaku.

– Audro? Jesteś gotowa?

Bez odpowiedzi. Ale czy jej ręce nie zacisnęły się odrobinę mocniej? Prawdopodobnie to tylko pobożne życzenia.

Dotarł do końca podjazdu i spojrzał w prawo. Palmer Lane biegła prosto do Upper Main Street, a skręcając w lewo, dotrze do szczytu wzgórza, w śródmieściu. Potem w dół zbocza. Nabrać prędkości. Poczuł dreszcz strachu i niepokojąca myśl (stare kości szybko się łamią, Billy, chłopcze) pojawiła się w jego umyśle, niemal zbyt szybko, aby mógł ją zarejestrować. Ale… Ale to nie był tylko niepokój, prawda? Owszem. Prócz tego było jeszcze pragnienie, uczucie, którego doświadczył, kiedy zobaczył tego dzieciaka, idącego w jego stronę z deskorolką pod pachą. Pragnienie, aby pomknąć przed siebie, poczuć na twarzy powiew wiatru, bez świadomości, że dokądś pędzisz czy przed czymś uciekasz – po prostu mknąć. Unosić się w powietrzu. Lecieć.

Niepokój i pragnienie. Różnica pomiędzy światem rzeczywistym a światem potrzeb – różnica pomiędzy dorosłym, który liczy się z kosztami, a dzieckiem, które nie zastanawia się nad konsekwencjami i robi to, co chce. Pomiędzy jednym a drugim znajduje się cały świat. Mimo to różnica nie jest wcale taka wielka. Obaj są dobrymi przyjaciółmi. Starymi przyjaciółmi. Tak samo czujesz się, kiedy wagonik kolejki górskiej dociera do szczytu pierwszego wzniesienia i dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa

przejażdżka. Niepokój i pragnienie. To, czego chcesz i czego boisz się spróbować. Gdzie już byłeś i dokąd pragnąłbyś się udać. Jest o tym w jednej z rockandrollowych piosenek. Opowiada ona o tym, że pragnie się dziewczyny, samochodu i własnych czterech kątów. Och, Boże, proszę, czy ty to rozumiesz?

Bill zamknął na chwilę oczy; czuł za sobą miękkie, bezwładne ciało żony, czuł, że gdzieś tam przed nim znajduje się wzgórze, i czuł bicie swego serca.

Bądź dzielny, bądź sobą, nie poddawaj się.

Znów naparł na pedały.

– Masz ochotę na trochę rock and rolla, Audro?

Bez odpowiedzi. Ale nie przejął się tym. Był już gotowy.

– No to trzymaj się.

Zaczął pedałować. Z początku szło mu opornie. Silver kołysał się niebezpiecznie na boki. Dodając do tego bezwładny ciężar Audry… nie, ona przecież musiała trochę balansować ciałem, choćby i nieświadomie; bo w przeciwnym razie już dawno wylądowaliby na ziemi. Bill stanął na pedałach, jego dłonie z obłąkańczą siłą zacisnęły się na rączkach

kierownicy, uniósł głowę do góry, a na jego szyi pojawiły się grube żyły.

(*wyłożę się zaraz się tu wyłożę i teraz rozwalę czaszkę i jej i sobie…)*

(nie nie wyłożysz się zrób to zrób to Bill zrób to zrób to ty sukinsynu)

Stanął na pedałach, pracując nogami jak szalony, czując każdy papieros wypalony na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, objawiający się w jego podniesionym ciśnieniu i przyspieszonym rytmie serca. Pieprzyć to, pomyślał i nagły przypływ szaleńczego rozbawienia wywołał uśmiech na jego twarzy.

Karty, które do tej pory strzelały ogniem pojedynczym, zaczęły terkotać jak pistolet maszynowy. To były nowe, świetne karty i dawały czysty, głośny dźwięk. Bill poczuł pierwszy podmuch powietrza na łysince i jego uśmiech się powiększył. To ja sprawiłem ten podmuch, pomyślał. Sprawiłem to, bo tak szybko obracam tymi cholernymi pedałami.

Znak stopu na końcu alejki przybliżał się w szybkim tempie. Bill zaczął hamować… i nagle (jego uśmiech nadal się poszerzał – spod unoszonych warg poczęły się wyłaniać zęby) znów naparł na pedały.

Ignorując znak stopu, Bill Denbrough zjechał w lewo, na Upper Main Street, ponad Bassey Park. Bezwładny ciężar Audry ponownie przysporzył mu kłopotów i mało brakowało, a rower straciłby równowagę i runął na asfalt. Silver zachybotał się, zakołysał i powrócił do pionu. Pęd powietrza był teraz silniejszy, chłodził jego ciało i odparowywał pojawiające się na nim kropelki potu. Szum, który słyszał, kojarzył mu się z odgłosem dobywającym się z głębi wielkiej morskiej muszli, ale, rzecz jasna, było to raczej dość niezdarne porównanie. Nie było na ziemi drugiego takiego dźwięku. Bill przypuszczał, że z odgłosem tym był szczególnie dobrze zaprzyjaźniony dzieciak na desce. Ale ty już zapomniałeś, jak brzmi ten dźwięk, mały, pomyślał. Rzeczy się zmieniają. To brudna sztuczka, więc bądź na to przygotowany.

Pedałował teraz szybciej. Szybkość dawała mu pewniejsze panowanie nad rowerem. Po lewej stronie miał ruiny pomnika Paula Bunyana – szczątki upadłego kolosa. Bill krzyknął:

– Hej-ho, Silver. Naprzóóóóód!

Dłonie Audry zacisnęły się mocniej na jego brzuchu; poczuł, jak opierając się o jego plecy, poruszyła się nieznacznie. Teraz jednak nie miał już ochoty, by się odwrócić i spróbować na nią

spojrzeć… nie było pośpiechu, nie było potrzeby. Pedałował szybciej, śmiejąc się w głos, wysoki, szczupły, łysy facet na rowerze, skulony nad kierownicą, aby zmniejszyć opór powietrza. Kiedy mknął wzdłuż Bassey Park, ludzie przystawali i spoglądali w jego stronę. Teraz Upper Main Street zaczęła się zmieniać w ostry spadek wiodący ku zapadniętej części centrum i głos w jego wnętrzu wyszeptał, że jeśli nie wyhamuje dostatecznie szybko, w ogóle nie zdoła tego zrobić; po prostu wjedzie jak burza na zalane, zasypane gruzami skrzyżowanie trzech ulic i zabije ich oboje.

Zamiast zahamować, ponownie zaczął pedałować, zmuszając rower, aby mknął jeszcze szybciej. Pędził teraz w dół zbocza Main Street Hill, a w oddali dostrzegał biało-pomarańczowe drewniane kozły, lampy ostrzegawcze ustawione na skraju zapadliska i szczyty budynków wystające z rozpadliny w ulicy niczym wytwory wyobraźni szaleńca.

– Hej-ho, Silver. Naprzóóóóóód! – wykrzyknął obłąkańczo Bill Denbrough i pomknął w dół zbocza, ku nieznanemu, po raz ostatni mając świadomość, że Derry było jego domem, a przede wszystkim, że on sam żył w prawdziwym świecie pod prawdziwym

niebem i że wszystko było tylko pragnieniem i jeszcze raz pragnieniem. Zjeżdżał na starym Silverze w dół stromego zbocza.

Jeszcze raz stanął do wyścigu z samym diabłem.

6

Wyjechać.

Zatem wyjeżdżasz, ale nagle ogarnia cię chęć, aby obejrzeć się za siebie. Spojrzeć tylko raz na zachód słońca. Zobaczyć po raz ostatni srogi horyzont Nowej Anglii – iglic, stacji pomp, Paula z zarzuconą na ramię siekierą. Ale być może to nie jest najlepszy pomysł – wszystkie opowieści to potwierdzają. Przypomnij sobie, co się stało z żoną Lota. Lepiej nie oglądać się za siebie. Najlepiej uwierzyć, że wszyscy wokoło będą żyli potem długo i szczęśliwie – i kto wie, może rzeczywiście tak będzie? Kto twierdzi, że nie może być szczęśliwych zakończeń? Nie wszystkie łodzie, które wypływają o zmierzchu, nigdy nie powracają do portu. Jeżeli życie uczy nas czegokolwiek, to tylko tego, że szczęśliwe zakończenia się zdarzają, a ludzie, którzy nie wierzą w Boga, mają okazję zrewidować swój racjonalny sposób widzenia świata. A więc wyjeżdżasz szybko. Jeszcze przed zachodem

słońca, mówi do siebie w tym śnie. I zrobisz to. Tak właśnie będzie.

A co się tyczy ostatniej myśli, być może zastanawiasz się jeszcze nad duchami dzieci… duchami dzieci, stojących w wodzie o zachodzie słońca, stojących w kręgu, trzymających się za ręce… Ich twarze są młode, pewne, ale nieustępliwe… w każdym razie na tyle nieustępliwe, aby mogły dać początek ludziom, którymi się staną, na tyle nieustępliwe, aby mogły pojąć, że ludzie, którymi się staną, muszą, co nieuniknione, dać początek ludziom, którymi byli, zanim zaczną próbować zrozumieć, czym jest zwyczajna śmiertelność. Krąg się zamyka, koło się obraca i to właściwie wszystko. Nie musisz oglądać się za siebie, aby zobaczyć te dzieci; będziesz widział je zawsze częścią swego umysłu, będziesz żył z nimi na zawsze i zawsze będziesz je kochał. Nie są, być może, najlepszą częścią twojego „ja”, ale kiedyś były one składnicą wszystkiego, czym mogłeś się stać.

Dzieci, kocham was. Tak bardzo was kocham.

A zatem wyjedź, wyjedź prędko, zanim zgasną ostatnie promienie zachodzącego słońca, wyjedź z Derry, odrzuć wspomnienia… ale nie porzucaj pragnień, one pozostaną; jaskrawa kamea wszystkiego, czym byliśmy i w co wierzyliśmy

jako dzieci, cały ten blask, jaki rozjaśniał nasze oczy, nawet kiedy się pogubiliśmy, a noc rozbrzmiewała poszumem wichury. Wyjedź i staraj się zachować pogodę ducha. Włącz radio na stację nadającą rock and rolla i z całą odwagą, jaką jeszcze masz, oraz z całą wiarą, jaką potrafisz z siebie wykrzesać, podążaj w nowe życie. Bądź sobą, bądź dzielny, nie poddawaj się.

Reszta jest ciemnością.

7

– Hej!

– Hej, panie, co pan…

– …uważaj, facet!

– …co za kretyn, on się zabi…

Potok słów przepływał obok niego obojętnie jak łopot proporców na wietrze czy pęk unoszących się w powietrzu nieuwiązanych balonów. Bariery były tuż przed nim – czuł dym z ostrzegawczych lamp naftowych. Dostrzegł ziejącą czeluść w miejscu, gdzie była ulica, słyszał szum płynącej w ciemności wody i roześmiał się w głos.

Skręcił ostro w lewo, przejeżdżając tak blisko barierki, że musnął lekko nogą biało-pomarańczową deskę. Koła Silvera znajdowały się niespełna trzy cale od rozpadliny w asfalcie

i nie miał już właściwie przestrzeni do manewru. W oddali, na wprost sklepu jubilera, woda zalała całą ulicę i połowę chodnika. To, co pozostało z chodnika, było zagrodzone barierkami. Przesmyk był raczej wąski.

– Bill? – To głos Audry, przepełniony oszołomieniem i z lekka ochrypły. Sprawiała wrażenie, jakby dopiero co obudziła się z głębokiego snu. – Bill, gdzie my jesteśmy? Co my robimy?

– Hej-ho, Silver! – krzyknął Bill, nakierowując rower prosto na barierę ochronną ustawioną pod sklepem jubilerskim. Wystawa była pusta. – Hej-ho, Silver. Naprzóóóóóód!

Silver walnął w barierę z prędkością dobrych czterdziestu mil na godzinę i poprzeczna deska z trzaskiem poleciała do przodu, podczas gdy dwa wspornikowe kozły (w kształcie litery A) rozpadły się na boki. Audra krzyknęła głośno i ścisnęła Billa tak mocno, że zaparło mu dech w piersiach. Przy Canal, Main i Kansas Street w bramach i na chodnikach stali ludzie i patrzyli na nich.

Silver wjechał na częściowo zatopiony chodnik. Bill przeszorował biodrem i kolanem o ścianę sklepu jubilera. Poczuł, jak tylne koło roweru zapadło się gwałtownie i zrozumiał, że

właśnie zawalił się za nimi kawał chodnika… i wtedy rozpędzony Silver ponownie znalazł się na twardym gruncie. Bill skręcił, aby wyminąć przewrócony kosz na śmieci, i znowu wyprysnął na ulicę. Rozległ się pisk hamulców.

Zobaczył przód nadjeżdżającej olbrzymiej ciężarówki, ale nawet to nie powstrzymało go od śmiechu. Przemknął przez wolną przestrzeń na sekundę przed znalezieniem się tam potężnej ciężarówki. Sekunda! Toż to cała masa czasu! A niech to!

Krzycząc, ze łzami spływającymi z oczu, Bill nacisnął klakson Silvera. Jasny, letni dzień wypełnił się charakterystycznym dźwiękiem trąbki.

– Bill, zabijesz nas! – wykrzyknęła Audra i choć w jej głosie pobrzmiewało przerażenie, ona również się śmiała.

Bill wykonał lekki skręt, ale tym razem czuł, jak Audra przechyla się wraz z nim, co znacznie ułatwiło mu kontrolę nad rowerem i sprawiło, że przez te parę chwil miał wrażenie, jakby nie tylko oni, ale i Silver był żyjącą istotą.

– Tak sądzisz?! – odkrzyknął.

– Ja to wiem! – wrzasnęła, a potem zacisnęła dłoń na jego kroczu. Pod materiałem spodni

wyczuła członek Billa w pełnej erekcji. – Ale nie zatrzymuj się!

Jednak nic nie mógł na to poradzić. Silver wytracał prędkość, wjeżdżając na zbocze Milowego Wzgórza – odgłos kart zmienił się ponownie w pojedynczy klekot. Bill zatrzymał się i odwrócił do niej twarzą. Była blada, miała rozszerzone oczy, nie ulegało wątpliwości, że była przerażona i zakłopotana… ale przytomna, świadoma i roześmiana.

– Audro – powiedział i zaczął się śmiać razem z nią. Pomógł jej zsiąść z roweru, oparł Silvera o pobliską ceglaną ścianę i objął mocno swoją żonę. Całował jej czoło, oczy, policzki, usta, szyję i piersi. Objęła go ramionami, kiedy to robił.

– Bill, co się stało? Pamiętam, jak wysiadłam z samolotu na lotnisku w Bangor i nic poza tym. Nic ci nie jest?

– Nie.

– A mnie?

– Też nie. Już nie.

Odsunęła go od siebie, żeby móc na niego spojrzeć.

– Bill, czy ty nadal się jąkasz?

– Nie – odparł Bill i pocałował ją. – Już nie.

– Na dobre?

– Tak – odparł. – Myślę, że tym razem już na dobre.

– Czy mówiłeś coś na temat rock and rolla?

– Nie wiem. A mówiłem?

– Kocham cię – powiedziała.

Skinął głową i się uśmiechnął. Kiedy to zrobił, pomimo łysinki wyglądał naprawdę bardzo młodo.

– Ja też cię kocham – odparł. – A cóż się więcej liczy?

8

Budzi się ze snu, nie mogąc sobie przypomnieć, co mu się właściwie przyśniło; wie tylko, że we śnie tym ponownie był dzieckiem. Dotyka gładkich pleców swojej żony, pogrążonej w spokojnym śnie, przeżywającej swoje intymne marzenia; myśli o tym, że dobrze jest być dzieckiem, ale równie dobrze jest być dorosłym i rozważać tajemnice dzieciństwa… wierzeń i pragnień tamtego okresu.

Któregoś dnia napiszę o tym wszystkim, myśli, choć wie, że to tylko pobożne życzenia, myśl spowodowana dopiero co minionym snem. Mimo to przyjemnie jest myśleć o tym choć przez chwilę, w milczącej, nieskalanej ciszy poranka, myśleć, że dzieciństwo również ma swoje słodkie

sekrety i stanowi potwierdzenie ludzkiej śmiertelności – i że ta śmiertelność oznacza całą odwagę i miłość. Myśleć, że równie dobrze, jak patrzeć w przyszłość, jest oglądać się wstecz i że każde ludzkie życie kształtuje własną imitację nieśmiertelności – przybierającą formę koła.

Tak właśnie myśli Bill Denbrough wczesnym rankiem tuż po tym, jak budzi się ze snu, kiedy jest bardzo bliski przypomnienia sobie czasów dzieciństwa i przyjaciół, z którymi je dzielił.

Książkę tę zacząłem pisać w Bangor
w stanie Maine, 9 września 1981 r.
i skończyłem w Bangor
w stanie Maine, 28 grudnia 1985 r.

Przypisy

[1] *Plum* (śliwka) – slangowe określenie waginy.

[2] Barrens – ziemia jałowa.

[3] Sławny baseballista, który gdy miał 32 lata, rozbił się ze swoją cessną. Wypadek zdarzył się 2 sierpnia 1979 roku i był efektem błędu pilota.

[4] *Comber* (ang.) grzywacz – Bill myli to słowo ze śpiączką, ang. *coma*.

[5] Bohater krótkiej kreskówki amerykańskiej z 1938 roku.

[6] Black Spot.

[7] Belch (ang.) – beknięcie.

[8] Chicken (ang.) oznacza również tchórza.

[9] W slangu – kutas.

[10] Założone w 1915 roku stowarzyszenie biznesmenów, którego statutowym celem była działalność dobroczynna.

[11] Bohater familijnego serialu komediowego *Leave It to Beaver*.

[12] Kanuk – Kanadyjczyk francuskiego pochodzenia. Zwykle określenia tego używa się w sensie pejoratywnym.

[13] Indianin, pomocnik i przyjaciel głównego bohatera serialu *The Lone Ranger*. Miał konia o imieniu Silver, którego popędzał, wołając: „No, dalej, Silver, naprzód!”.

[14] Sieć sklepów oferujących klientom ubrania, buty, dodatki do strojów, biżuterię itd.